

Clive Staples Lewis

Trylogia Kosmiczna

Przełożył Andrzej Polkowski

Z milczącej planet

Out of the silent planet

Mojemu bratu W. H. L.,
zaprzysiężonemu krytykowi
powieści o podróżach w czasie
i przestrzeni

Pewne odniesienia do wcześniejszych powieści tego typu, które znalazły się w tej książce, zostały wprowadzone do niej z powodów czysto literackich. Byłbym srodze zawiedziony, gdyby jakiś czytelnik uznał mnie za zbyt głupiego, bym nie odczuwał przyjemności przy lekturze powieści fantastycznych H.G. Wellsa, albo za zbyt niewdzięcznego, bym nie przyznał, że wiele im zawdzięczam.

C. S. L.

Rozdział 1

Zanim ostatnie krople ulewy przestały spadać ciężko na ziemię, wędrowiec schował mapę do kieszeni, poprawił plecak na zmęczonych ramionach i wyszedł na drogę spod wielkiego kasztana, pod którym znalazł schronienie w czasie burzy. Jaskrawożółty blask zachodzącego słońca przedarł się przez szczelinę w chmurach, lecz tam, dokąd szedł, niebo wciąż miało kolor ciemnoszarego łupku. Drzewa i wysokie trawy ociekały wodą, a droga lśniła jak potok. Nie tracił czasu na rozglądanie się po okolicy, lecz od razu ruszył w drogę zdecydowanym krokiem wędrowca, który zbyt późno spostrzegł, że tego dnia będzie musiał przejść więcej, niż zamierzał. Tak właśnie było. Gdyby spojrzął za siebie - czego nie zrobił - zobaczyłby strzelisty szczyt Much Nadderby i z pewnością wyrwałoby mu się z ust przekleństwo na wspomnienie niegościnnego hoteliku, w którym odmówiono mu noclegu. Od czasu jego ostatniego pobytu w tych okolicach hotelik zmienił właściciela. Miłego, starego gospodarza, na którego gościnność dzisiaj liczył, zastąpił ktoś, kogo bufetowa nazwała „panią”. „Pani” należała najwidoczniej do owej ortodoksyjnej szkoły angielskich właścicieli hoteli, którym goście sprawiają wyraźny kłopot.

Jego ostatnią szansą było teraz miasteczko Sterk, położone po drugiej stronie wzgórz, czyli o dobre sześć mil marszu. Według mapy powinna tam być gospoda. Wędrowiec miał zbyt wiele doświadczenia, by wiązać większe nadzieje z czarnym znaczkiem na mapie, ale i tak wszystko wskazywało na to, że przed nadejściem nocy nie zdoła dojść do żadnej innej miejscowości.

Maszerował zdecydowanie szybkim krokiem nie rozglądając się wokół siebie, jak człowiek próbujący skrócić sobie drogę zajmującym rozmyślaniami.

Był to wysoki, lecz niezbyt szeroki w ramionach mężczyzna, zapewne dobiegający czterdziestki, a jego ubiór odznaczał się owym szczególnym rodzajem zaniedbania, jaki często zdradza inteligenta na urlopie. Na pierwszy rzut oka mógłby być wzięty za lekarza lub nauczyciela, choć brakowało mu pewnej światowości pierwszego i nieokreślonej dziarskości drugiego. W rzeczywistości był filologiem, wykładowcą w jednym z koledżów w Cambridge. Nazywał się Ransom.

Kiedy opuszczał Nadderby, miał nadzieję, że może uda mu się znaleźć nocleg w jakiejś gościnnej farmie i nie będzie musiał wędrować aż do Sterk. Po tej stronie wzgórz okolica wyglądała jednak na prawie nie zamieszkaną. Był to odludny, monotony kraj, w którym między rzadkimi żywopłotami i pojedynczymi drzewami ciągnęły się pola kapusty i rzepy. Nic tu nie przyciągało turystów, którzy wybierali raczej ciekawsze okolice, leżące na południe od Nadderby. Ponure wzgórza oddzielały go od uprzemysłowionych rejonów położonych za Sterk. W miarę jak zapadał zmrok i milkły głosy ptaków, robiło się coraz bardziej cicho, prawdę mówiąc, bardziej niż w przeciętnym krajobrazie angielskiej wsi. Odgłos jego własnych kroków po kamienistej drodze zaczynał mu działać na nerwy.

Przeszedł już ze dwie mile, gdy zobaczył przed sobą światło. Wzgórza były już blisko i prawie zapadał zmrok. Ożyła w nim nadzieja na nocleg w jakiejś zasobnej farmie. Dotarł do źródła światła i stwierdził, że stoi przed niewielkim domkiem z brzydkiej, dziewiętnastowiecznej cegły. Kiedy podszedł do drzwi, otworzyły się raptownie i wypadła z nich starsza kobieta, prawie się z nim zderzając.

- Och, bardzo przepraszam - powiedziała. - Myślałam, że to mój Harry.

Ransom zapytał, czy przed Sterk znajdzie dom, w którym by go przenocowano.

- Nie, proszę pana. Dopiero w Sterk. Ośmielam się zauważyć, że można było znaleźć coś w Nadderby.

W jej głosie, prócz uniżoności, wyczuł pewne zdenerwowanie, jakby coś jeszcze ją niepokoiło.

Wyjaśnił, że już próbował w Nadderby.

- No to naprawdę nie wiem, proszę pana. Przed Sterk nie ma żadnego domu, nic, co by panu odpowiadało. Jest tylko „The Rise”, gdzie pracuje mój Harry. Myślałam, że pan właśnie stamtąd idzie i dlatego wyszłam na dwór. To znaczy, usłyszałam kroki i pomyślałam, że to może on. Już dawno powinien wrócić.

- „The Rise” - powtórzył Ransom. - Co to takiego? Jakaś farma? Czy tam by mnie nie przenocowali?

- O nie, proszę pana. Widzi pan, od czasu jak pani Alice umarła, nie ma tam nikogo, tylko ten profesor i jakiś pan z Londynu. Nie trzymają nawet żadnej służby, tylko mój Harry pali im w piecu. Ale on nie jest na stałe.

- Jak się nazywa ten profesor? - zapytał z nikłą nadzieją Ransom.

- Nie wiem, proszę pana. Ten drugi pan to się nazywa Devine, a Harry mówi, że tamten to jakiś profesor. Pan rozumie, Harry nie ma do tego głowy, a w ogóle to on nie jest za mądry i dlatego niepokoję się, jak tak późno wraca. Oni mówią, że zawsze wysyłają go do domu o szóstej. Ale to nie znaczy, że się dobrze nie narobi przez cały dzień.

Monotonny głos i dość ubogi zasób słów nie zdradzały napięcia, lecz mimo to Ransom odczuł, że kobieta drży i jest bliska płaczu. Przyszło mu do głowy, że powinien pójść do owego tajemniczego profesora i poprosić go, by odesłał chłopca do domu, a w ułamek sekundy później pomyślał, że jak już raz znajdzie się w „The Rise” - wśród ludzi podobnych sobie - może z powodzeniem liczyć na zaproszenie do spędzenia tam nocy.

Jakkolwiek przebiegał ten proces myślowy, po chwili mglista wizja siebie samego pukającego do drzwi „The Rise” przybrała bardziej trwałą postać decyzji. Powiedział kobiecie, co zamierza zrobić.

- Och, bardzo panu dziękuję, proszę pana, naprawdę. I gdyby pan był taki dobry, żeby z nim wyjść z domu i odprowadzić do drogi, pan rozumie. On tak się boi tego profesora, że gdy tylko pan zawróci, nie ruszy się z miejsca, chyba że oni sami każą mu iść.

Ransom uspokoił kobietę, jak tylko potrafił, a potem pożegnał ją upewniwszy się, że znajdzie „The Rise” po lewej stronie drogi, po pięciu minutach marszu. Kiedy zaczął iść, poczuł, jak boleśnie zeszytniały mu mięśnie, podczas gdy stał rozmawiając z kobietą.

Po lewej stronie drogi nie dostrzegał żadnego światła - nic prócz płaskich pól i jakiejś ciemnej masy, którą wziął za zagajnik. Minęło chyba więcej niż pięć minut, zanim do niego doszedł i stwierdził, że się mylił. Zobaczył ogrodzenie z gęstego żywopłotu, a w nim białą bramę. Wznoszące się nad jego głową drzewa nie były brzegiem zagajnika, prześwitywało przez nie niebo. Teraz był już prawie pewien, że to brama do willi „The Rise”, i że drzewa są częścią otaczającego dom ogrodu. Spróbował otworzyć bramę, lecz okazało się, że zamknięto ją od wewnątrz. Stał przez chwilę niezdecydowany, nagle zniechęcony ciszą i ciemnością. Pomimo zmęczenia najchętniej poszedłby dalej, gdyby nie kłopotliwe zobowiązanie wobec tej kobiety. Wiedział, że jeśli się postara, może się przedrzeć przez żywopłot, ale nie miał na to wielkiej ochoty. Ładnie by wyglądało, gdyby natknął się przypadkiem na jakiegoś emeryta-dziwaka - z rodzaju tych, co to mieszkając na wsi, zamykają na klucz bramę swego domu - i zaczął mu opowiadać tę głupią historyjkę o rozhisteryzowanej matce pogrążonej we łzach, bo jej przygłupiego synalka zatrzymano w pracy pół godziny dłużej niż zwykle! Było jednak zupełnie oczywiste, że musi tam wejść. Przez żywopłot od biedy się przecisnie, ale z całą pewnością nie zrobi tego z plecakiem na grzbiecie. Zdjął go więc, przerzucił przez bramę i nagle uświadomił sobie, że aż do tej chwili nie bardzo wiedział, co robi. Teraz musi już włamać się do cudzego ogrodu, choćby tylko po to, aby odzyskać plecak. Ogarnęła go złość na ową kobietę i na siebie, ale ukląkł i zaczął się przedzierać na czworakach przez

gęsty żywopłot.

Operacja okazała się trudniejsza, niż oczekiwał. Minęło kilka dobrych minut, zanim stał w wilgotnej ciemności po drugiej stronie żywopłotu, boleśnie podrapany kolcami i poparzony pokrzywami. Doszedł po omacku do bramy, podniósł plecak i po raz pierwszy rozejrzał się uważnie dookoła.

W szerokiej alei było o wiele jaśniej niż pod drzewami i nie miał trudności w rozpoznaniu kształtów dużego, kamiennego domu, od którego oddzielał go zaniedbany, dawno nie strzyżony trawnik. Po kilkunastu metrach aleja rozwidła się: prawa droga prowadziła łagodnym łukiem pod frontowe drzwi domu, podczas gdy lewa biegła prosto, bez wątpienia do pomieszczeń gospodarczych. Na tej drugiej drodze zauważył głębokie koleiny - teraz pełne wody - jakby po niej często przejeżdżały ciężarówki. W domu nie paliło się żadne światło; niektóre okna zakryte były okiennicami, inne, bez okiennic i zasłon, ziały ciemną pustką. Całe to miejsce sprawiało wrażenie martwego, opuszczonego i niegościnnego. Jediną oznaką, że ktoś tu jednak mieszka, był słup dymu unoszący się spoza budynku. Jego wielkość i kształt sugerował bardziej jakąś fabryczkę czy pralnię niż kuchnię. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że „The Rise” jest ostatnim miejscem na ziemi, w którym obcy przybysz może liczyć na nocleg. Ransom, straciwszy już sporo czasu na odkrycie tej smutnej prawdy, ruszyłby mimo to dalej w drogę, gdyby nie owa nieszczęsna obietnica dana starej kobiecie.

Wszedł po trzech schodkach na obszerny ganek, pociągnął za dzwonek i czekał. Po jakimś czasie zadzwonił ponownie i usiadł na drewnianej ławce biegnącej wzdłuż jednego z boków ganku. Siedział tak długo, że chociaż noc była ciepła i jasna, pot wyschnął mu na twarzy, a w plecach poczuł słabe dreszcze. Ogarnęło go tak wielkie zmęczenie, że nie chciało mu się nawet wstać, aby zadzwonić po raz trzeci. Siedział, chłonąc kojącą ciszę ogrodu, piękno letniego nieba i pohukiwanie sowy gdzieś w pobliżu, jeszcze bardziej pogłębiające spokój tego miejsca. Poczuł senność i chyba już zapadał w drzemkę, gdy nagle usłyszał coś, co przywróciło mu czujność.

Były to dość dziwne, nieregularne odgłosy, jakieś szuranie i głośne, przyspieszone oddechy, przywodzące na myśl odgłosy wydawane przez graczy w piłkę nożną. Wstał. Teraz był prawie pewien: jacyś ludzie w ciężkich butach bili się, siłowali lub uprawiali jakiś dziwny rodzaj sportu. Usłyszał urywane okrzyki, monosylabiczne, krótkie wrzaski zadyszanych i rozwścieczonych mężczyzn. Pakowanie się w awanturę było ostatnią rzeczą, na jaką Ransom miał ochotę, niemniej narastało w nim przekonanie, że powinien sprawdzić, co się tam właściwie dzieje. Nagle mocniejszy głos zawołał wyraźnie: „Zostawcie mnie!”, a w chwilę później: „Nie pójde tam! Chcę iść do domu!”

Ransom zbiegł ze schodków zrzucając plecak i popędził naokoło domu tak szybko, jak mu na to pozwalały zeszywniałe mięśnie i obtarte stopy.

Pożłobiona koleinami, pełna kałuż, błotnista droga zawiodła go na coś w rodzaju podwórza otoczonego niezwykle dużą liczbą szop i przybudówek.

Uchwycił spojrzeniem wysoki komin, niskie drzwi wypchone czerwonym odbłaskiem kominka lub pieca i jakiś olbrzymi kształt czerniejący na tle rozgwieżdżonego nieba. Przemknęło mu przez głowę, że przypomina to kopułę niewielkiego obserwatorium astronomicznego, lecz w tej samej chwili jego uwagę całkowicie pochłonęło coś zupełnie innego: zobaczył trzech mężczyzn walczących ze sobą tak blisko niego, że niewiele brakowało, by na nich wpadł. Już od pierwszej chwili nie miał wątpliwości, że młodym chłopakiem, wyraźnie wyrwijającym się dwóm mężczyznom, jest syn owej starej kobiety, Harry. Czuł, że powinien zagrmieć: „Co wy robicie temu chłopcu!”, ale zamiast tego zawołał tylko słabym głosem:

- Hej! Proszę panów!

Walczący raptownie odpadli od siebie. Chłopiec wybuchnął płaczem.

- Czy mogę zapytać - odezwał się wyższy i cięższy z dwu mężczyzn - kim, do diabła, pan jest i co pan tu robi?

Jego głos miał wszystkie te cechy, których, niestety, zabrakło w głosie Ransoma.

- Jestem na wycieczce - odpowiedział Ransom - i obiecałem tej biednej kobiecie...

- Niech szlag trafi tę biedną kobietę! - warknął mężczyzna. - Jak pan tu się dostał?!

- Przez żywopłot - odparł Ransom, czując, że narasta w nim gniew. - Nie mam pojęcia, co chcecie zrobić z tym chłopcem, ale...

- Mówiłem, że powinniśmy tu trzymać psa - zwrócił się grubas do swego towarzysza ignorując Ransoma.

- Chcesz powiedzieć, że mielibyśmy psa, gdybyś się nie uparł, by eksperymentować na Tartarze - odezwał się po raz pierwszy drugi mężczyzna.

Był prawie tak wysoki jak jego towarzysz, lecz o wiele szczuplejszy i najwyraźniej młodszy. Jego głos wydał się Ransomowi dziwnie znajomy.

- Proszę mnie wysłuchać - Ransom spróbował zacząć wszystko od początku - nie wiem, co chcecie zrobić z tym chłopcem, ale jego dzień pracy dawno już minął i najwyższy czas, by go odesłać do domu. Nie mam najmniejszej ochoty wtrącać się w wasze prywatne spory, ale...

- Kim pan jest? - przerwał mu grubas.

- Nazywam się Ransom, jeśli o to panu chodzi. I...

- Do cholery, chyba nie Ransom, który był w Wedenshaw? - zawołał młodszy.

- Zgadza się, byłem w tej szkole.

- Od razu mi się zdawało, że cię poznałem, jak tylko przemówiłeś. Jestem Devine. Nie pamiętasz mnie?

- Ależ oczywiście! Pomyśleć tylko! - powiedział Ransom, gdy ściskali sobie ręce ze zwykłą przy takich okazjach, nieco wymuszoną serdecznością. Prawdę mówiąc, to właśnie Devine'a najbardziej w szkole nie znosił.

- Niesamowite! - rzekł Devine. - I gdzie jak gdzie, ale na pustkowiu Nadderby. Chyba nie będziemy wspominać niedzielnych wieczorów w kaplicy U. S. D., bo się popłacemy. Czy miałeś okazję poznać Westona? - Devine wskazał na swego masywnego towarzysza. - To ten Weston. Chyba wiesz. Ten wielki fizyk. Na śniadanie połyka Einsteina z grzankami i wypija ćwiartkę krwi Schrödingera. Weston, pozwól że ci przedstawię mojego starego kumpla ze szkoły, Ransoma. Doktor Elwin Ransom. Ten Ransom, chyba wiesz. Wielki filolog. Połyka Jaspersona z grzankami i wypija ćwiartkę...

- Mało mnie to obchodzi - przerwał mu Weston, który wciąż trzymał nieszczęsnego Harry'ego za kołnierz. - Jeżeli sądzisz, że będę piał z zachwyty na widok faceta, który właśnie włamał się do mojego ogrodu, to się grubo mylisz. Guzik mnie obchodzi, do jakiej szkoły chodził i na jakie pseudonaukowe brednie marnuje teraz pieniądze, których brakuje na porządne badania. Chcę tylko wiedzieć, skąd się tutaj wziął, a potem niech się wynosi do diabła.

- Nie bądź osłem, Weston - powiedział Devine poważniejszym tonem. - Uważam, że jego niespodziewane odwiedziny są cudownie *à propos*. Nie obrażaj się, Ransom, Westona trzeba poznać. Wierz mi, pod tą ponurą powłoką kryje się naprawdę złote serce. No, ale chodźmy do środka. Na pewno byś coś wypił i przekąsił.

- To bardzo miłe z twojej strony - rzekł Ransom - ale co do tego chłopca...

Devine wziął go pod ramię i odprowadził na stronę.

- On ma bzika - powiedział cicho. - Normalnie pracuje jak bóbr, ale od czasu do czasu miewa takie napady. Chcieliśmy go tylko zamknąć na jakąś godzinę w pralni, żeby się uspokoił. To mu

zwykle pomaga. Przecież nie można go wysłać do domu w takim stanie. Zrozum, to wszystko dla jego dobra. Jak chcesz, możesz go zaraz zaprowadzić do matki, a potem wrócić tu na noc.

Ransom ogarnęły wątpliwości i zakłopotanie. Cała ta scena była wystarczająco niejasna i budząca sprzeciw, by zrodzić w nim podejrzenie, iż wdepnął w coś wyraźnie niezgodnego z prawem, z drugiej jednak strony tkwił w nim właściwe jego wiekowi i warstwie społecznej irracjonalne przekonanie, że takie rzeczy mogą się przydarzyć zwykłym ludziom tylko w powieści, a już z pewnością trudno je łączyć z profesorami i kolegami ze szkoły. Zresztą, gdyby nawet chłopca rzeczywiście maltretowano, nie widział większej szansy, by go z tego wyciągnąć siłą.

Kiedy tak rozmyślał, Devine mówił coś do Westona przyciszonym głosem. Nie na tyle jednak cichym, by podejrzewać, że chodzi o coś więcej, niż tylko o uzgodnienie w obecności gościa spraw związanych z zaoferowaną mu gością. W końcu Weston mruknął coś, co wyglądało na wyrażenie zgody. Ransom poczuł, że ze względów czysto towarzyskich powinien teraz coś powiedzieć, lecz Weston zwrócił się do chłopca:

- Dość nam już sprawiłeś kłopotu jak na jeden wieczór, Harry. We właściwie rządzonej kraju wiedziałbym, co z tobą zrobić. Przestań wreszcie chlupać. Jeżeli nie chcesz, to nie musisz iść do pralni...

- To wcale nie jest pralnia - wykrztusił chłopiec przez łzy. - Pan dobrze wie. Nie chcę już więcej włączyć do tego...

- Chodzi mu o laboratorium - wtrącił szybko Devine. - Wszedł tam pewnego razu i został przypadkowo zamknięty na parę godzin. Okropnie to przeżył. Biedny dzikus! - Zwrócił się do chłopca: - Posłuchaj, Harry. Ten pan jest tak dobry, że zamierza odprowadzić cię do domu, jak tylko trochę odpocznie. Jeśli wejdiesz do środka i usiądziesz sobie spokojnie w hallu, dam ci coś, co bardzo lubisz. - Wydał z siebie odgłos do złudzenia przypominający wyciągnięcie korka z butelki (Ransom przypomniał sobie, że była to jedna ze znanych sztuczek Devine'a w szkole), a z ust Harry'ego wydobyło się infantylne, głupkowane parsknięcie.

- Weź go do środka - powiedział Weston, odwrócił się i zniknął we wnętrzu domu.

Ransom wahał się, ale Devine pospieszył z zapewnieniem, że Westonowi będzie bardzo miło go gościć. Kłamstwo było szyte grubymi nićmi, ale Ransom szybko pokonał w sobie towarzyskie skrupuły, gdy pomyślał, że będzie mógł wreszcie odpocząć i napić się czegoś. Wszedł za Devinem i Harrym do domu i po chwili siedział już w fotelu, czekając na powrót swego szkolnego kolegi, który poszedł przygotować coś do picia i jedzenia.

Rozdział 2

W pokoju, w którym się znalazł, panowało dziwaczne pomieszanie zbytku z niechlujnym ubóstwem. Okna bez zasłon, z opuszczonymi żaluzjami, goła podłoga zawalona skrzynkami, wiórami, gazetami i starymi butami, na wypłowiatach tapetach ślady po obrazach i meblach poprzednich mieszkańców. Jednocześnie dwa jedyne fotele z pewnością musiały słono kosztować, a na stołach, między tanią zastawą, ułomkami chleba, filiżankami z nie dopitą herbatą i niedopałkami papierosów wałały się drogie cygara, butelki po szampanie, skorupy ostryg, puszki skondensowanego mleka i otwarte pudełka sardynek.

Czekając na gospodarzy, Ransom rozmyślał o Devinie. Czuł do niego ów szczególny rodzaj niechęci, jaki miewa się do kogoś, kogo się w dzieciństwie przez krótki czas bardzo podziwiał, a potem z tej fascynacji wyrosł. Devine opanował o jakieś pół semestru wcześniej od innych znaną sztukę szkolnego humoru, polegającą na nieustannym przedrzeźnianiu sentymentalnych i idealistycznych frazesów dorosłych. Przez kilka tygodni jego ironiczne uwagi na temat Ukochanego Starego Domu, Postępowania Zgodnego z Honorami, Misji Białego Człowieka i Zachowania Twarzy zachwyciły każdego, nie wyłączając Ransoma. Jednak na długo przed opuszczeniem Wedenshaw, Ransoma zaczęły nudzić dowcipy Devine'a, a na uniwersytecie w Cambridge wprost go unikał, dziwiąc się, jak ktoś tak błyskotliwy i jednocześnie szablonowy, może odnosić takie sukcesy. Potem Devine został w dość tajemniczy sposób wybrany członkiem rady naukowej i wykładowcą koledżu Leicester, a później równie tajemniczo zaczął mieć coraz więcej pieniędzy. Już dość dawno mieszkał w Londynie i był tam jakąś ważną figurą. Co jakiś czas słyszało się o nim, a przynoszący nowiny rozmówca kończył zwykle uwagę: „Niegłupi facet z tego cholernego Devine'a, potrafi się urządzić” albo: „Jest dla mnie zagadką, jak ten człowiek osiągnął to wszystko”, albo czymś w tym rodzaju. Sądząc z tego, co Ransom usłyszał w czasie ich krótkiej rozmowy na podwórzu, jego dawny kolega niewiele się zmienił.

Drzwi otworzyły się i Ransom przerwał swe rozmyślanie. Wszedł Devine, niosąc na tacy butelkę whisky, syfon z wodą sodową i szklanki.

- Weston szuka czegoś do zjedzenia - powiedział.

Postawił tacę na podłodze przy fotelu Ransoma i zabrał się do otwierania butelki. Ransom, któremu na ten widok jeszcze bardziej zachciało się pić, zauważył, że jego gospodarz należy do tych denerwujących ludzi, którzy nie potrafią jednocześnie mówić i posługiwać się rękami. Devine zaczął przecinać końcem korkociąga kapturek ze srebrnej folii okrywający koniec butelki, lecz nagle przerwał tę czynność i zapytał:

- Jak trafiłeś do tego pogrążonego w mrokach barbarzyństwa zakątka?

- Wybrałem się na dłuższą wycieczkę - odrzekł Ransom. - Zeszłej nocy spałem w Stoke Underwood i miałem zamiar dojść dziś wieczorem do Nadderby. Ale nie dostałem tam noclegu, więc wyruszyłem do Sterk.

- Daj spokój! - zawołał Devine, opierając wciąż korkociąg nieruchomo na szyjce butelki. - Przyznaj się, stary, robisz to dla forsy, czy z czystego masochizmu?

- Po prostu to lubię - odparł Ransom, wpatrując się w ciągle nie otwartą butelkę.

- Czy możesz wyjaśnić profanowi, na czym ta przyjemność polega? - zapytał Devine, przecinając końcem korkociąga następne pół centymetra srebrnej banderoli.

- To nie takie proste. Zaczyna się od tego, że po prostu lubię chodzić...

- A to dopiero! Musiałeś się dobrze czuć w wojsku. Do rejonu iks biegiem marsz!

- Nie, nie. To zupełnie coś innego niż w wojsku. Cały gips polega na tym, że w wojsku nigdy nie jesteś sam i nigdy nie możesz wybrać sobie celu marszu, czy nawet czasu odpoczynku. A na

takiej włóczędze jesteś zależny tylko od siebie. Zatrzymujesz się gdy zechcesz, i ruszasz w drogę kiedy masz na to ochotę. Od początku do końca robisz, co chcesz, i naradzasz się tylko ze sobą.

- Do czasu, gdy pewnego wieczoru zastajesz w jakimś hotelu depeszę: „Wracaj natychmiast” - zauważył ironicznie Devine, któremu w końcu udało się zdjąć srebrny kołpak z szyjki butelki.

- Tylko wtedy, gdy jesteś na tyle głupi, by zostawić w domu listę swoich spodziewanych adresów, a potem rzeczywiście trzymasz się ściśle tej marszruty. Najgorsze, co się może zdarzyć, to ten facet w radiu, który mówi: „Doktor Erwin Ransom, przebywający na urlopie w Midlands, proszony jest...”

- Zaczynam rozumieć - rzekł Devine, robiąc przerwę w rozpoczętej już ceremonii wyciągania korka z butelki. - Podróż służbowa nigdy ci tego nie zapewni. Cholerny szczęście ciar z ciebie! Ale czy możesz tak po prostu zniknąć? Nie masz na karku żony, dzieci, jakichś wiekowych, lecz miłych staruszków albo czegoś w tym rodzaju?

- Mam tylko zamężną siostrę w Indiach. A poza tym, widzisz, jestem samodzielnym wykładowcą. Chyba pamiętasz, że to taki facet, który w środku letnich wakacji po prostu nie istnieje. W koledżu nie mają pojęcia, gdzie się podziewam, i w ogóle ich to nie obchodzi. I zapewniam cię, że w tym kraju nie ma takiej osoby, którą by to obchodziło.

Rozkoszny odgłos oznajmił, że butelka została wreszcie otwarta.

- Powiedz, ile - rzekł Devine, gdy Ransom wyciągnął swoją szklanekę. - Ale trudno mi uwierzyć, że w tym wszystkim nie ma jakiejś dziury. Czy chcesz powiedzieć, że naprawdę zupełnie nikt nie wie, gdzie jesteś i kiedy powinieneś wrócić? Nikt nie może cię dopaść?

Ransom w odpowiedzi tylko pokiwał głową. Devine podniósł syfon i nagle zaklął.

- Obawiam się, że chyba jest pusty. Może być z wodą? Zaraz pójde do umywalni. Ile ci nalać?

- Do pełna, jeśli łaska.

W kilka minut później Devine wrócił i wręczył mu długo oczekiwanego drinka. Ransom pociągnął kilka porządných łyków i kiedy z westchnieniem ulgi odstawił do połowy opróżnioną szklanekę, zauważył na głos, że miejsce zamieszkania wybrane przez Devine'a jest przynajmniej równie dziwaczne, jak jego własny sposób spędzania urlopu.

- I chyba masz rację - odrzekł Devine. - Ale gdybyś znał Westona, to byś wiedział, że o wiele mniej kłopotu sprawia robienie tego, co on chce, niż przekonywanie go, że mogłoby być inaczej. To się chyba nazywa silny współnik.

- Wspólnik? - powtórzył Ransom z zainteresowaniem.

- W pewnym sensie. - Devine spojrział na drzwi, przysunął bliżej swój fotel i ciągnął dalej nieco konfidencjonalnym tonem. - Ale to naprawdę równy facet. Mówiąc między nami, włożyłem trochę forsy w pewien eksperyment, nad którym on pracuje. Jest w tym, naturalnie, sporo drzewnej mowy o zwycięskim marszu postępu, o dobru ludzkości i tak dalej, ale cała rzecz ma również przemysłowe znaczenie.

Podczas gdy Devine mówił, z Ransomem zaczęło się dziać coś dziwnego. Z początku zdawało mu się, że słowa gospodarza przestały mieć sens: plótł coś o swoim namiętnym zainteresowaniu jakąś produkcją na wielką skalę i o tym, że nie udawało mu się znaleźć czegoś obiecującego w Londynie. Potem Ransom zdał sobie nagle sprawę z tego, że nie tyle przestał Devine'a rozumieć, co słyszeć, ale nawet go to nie zdziwiło, bo przecież Devine siedział bardzo, bardzo daleko, choć nadal widział go wyraźnie, jakby patrzył przez odwrotnie trzymaną lornetkę. Siedząc w małym fotelu o pół mili stąd, Devine wpatrywał się teraz w niego z jakimś nowym wyrazem twarzy. W jego oczach pojawił się niepokój. Ransom próbował wstać, lecz stwierdził, że całkowicie stracił panowanie nad swoim ciałem. Czuł się zupełnie dobrze, tyle tylko, że jego ręce i nogi zdawały się być przywiązane do fotela niewidzialnym bandażem, a głowa umocowana w idealnie dopasowanym, miękko

wyścielanym i unieruchomionym imadle. Nie bał się, chociaż wiedział, że powinien się bać i że wkrótce zacznie się bać. A potem cały pokój powoli rozplątał się we mgle.

Ransom nigdy się nie dowiedział, czy to, co później nastąpiło, miało jakiś związek z wydarzeniami opisanymi w tej książce, czy też był to jedynie bezsensowny sen.

Wydawało mu się, że on sam, Weston i Devine stoją w małym ogrodzie otoczonym wysokim murem. Ogród był zalany słońcem, choć ponad murem panowała nieprzenikniona ciemność. Próbowali wspiąć się na ten mur i Weston prosił by go podsadzili. Ransom upierał się, by nie przechodzić na drugą stronę, bo jest tam zupełnie ciemno, ale Weston stan owczo nalegał i w końcu wszyscy trzej wspięli się na szczyt muru.

Ransom wspiął się ostatni. Usiadł na szczycie podłożywszy sobie płaszcz, bo powierzchnię muru pokrywało tłuczone szkło. Tamci już zeskoczyli w ciemność po drugiej stronie. Zanim zdecydował się pójść w ich ślady, w murze otworzyły się drzwi - których uprzednio nikt z nich nie zauważył - i do ogrodu weszła grupka dziwacznych istot, prowadząc między sobą Devine'a i Westona. Zostawili ich w ogrodzie i znowu zniknęli w ciemnościach, zamykając za sobą drzwi. Ransom nie był w stanie zejść z muru. Nie bał się, miał tylko wrażenie, że prawa noga, zwisająca na zewnątrz, jest ciężka i ciemna, a lewa dziwnie lekka i jasna.

- Ta noga w końcu mi odpadnie, jeśli zrobi się jeszcze ciemniejsza, - powiedział na głos. Potem spojrzął w ciemność przed sobą i zawołał: - Kim jesteście?!

Dzicy ludzie musieli tam wciąż być, bo w odpowiedzi usłyszał ich „Huuu! Huuu! Huuu!”, do złudzenia przypominające pohukiwanie sów.

Nagle zdał sobie sprawę, że jego prawa noga jest nie tyle ciemna, ile zimna i sztywna, ponieważ od dłuższego czasu opiera na niej lewą, a prócz tego, że siedzi w fotelu w jasno oświetlonym pokoju, w którym od dłuższego czasu toczy się blisko niego rozmowa. Wróciła mu zdolność logicznego myślenia i zrozumiał, że podano mu jakiś narkotyk lub zahipnotyzowano, lub może zrobiono i jedno, i drugie. Wciąż jeszcze był bardzo słaby, ale czuł, że odzyskał kontrolę nad swoim ciałem. Słuchał uważnie, nie próbując się nawet poruszyć.

- Mam już tego trochę dosyć - mówił Devine. - W końcu to moje pieniądze i moje ryzyko. Mówię ci, że nadaje się do tego równie dobrze jak ten chłopak, a pod pewnymi względami nawet lepiej. Zrozumi tylko, że wkrótce przyjdzie do siebie i że musimy go tam natychmiast wsadzić. Powinien już tam być od godziny.

- Chłopak nadawał się idealnie - mruknął gniewnie Weston. - Niezdolny, by służyć ludzkości; jedyne, czym mógł się szczycić, to brak piątej klepki. W cywilizowanym społeczeństwie takie jednostki byłyby automatycznie przekazywane do laboratorium w celach badawczych.

- Nie wątpię. Ale w Anglii zniknięcie takiej jednostki natychmiast zainteresowałoby Scotland Yard. Natomiast ten wścibski włóczęga jest sam jak palec i nikomu nie będzie go brakować przez parę miesięcy, a nawet później nikt nie będzie wiedział, gdzie był, gdy zniknął. Nie zostawił żadnego adresu. Nie ma rodziny. I wreszcie sam, z własnej woli, wpakował się w ten interes.

- Nie bardzo mi się to podoba. Ostatecznie to człowiek. Ten chłopiec jest w gruncie rzeczy... hm... czymś w rodzaju preparatu. A ten tutaj... No, ale w końcu to tylko jednostka, prawdopodobnie całkiem bezużyteczna. My też ryzykujemy swoje własne życie. Dla tak wielkiej sprawy...

- Na miłość Boską, tylko nie zaczynaj teraz całej tej mowy. Nie ma czasu.

- Jestem pewien, że byłby zadowolony, gdyby mu wszystko wytłumaczyć.

- Lepiej weź go za nogi, a ja za głowę - przerwał mu Devine.

- Jeśli uważasz, że zaraz przyjdzie do siebie, to dajmy mu jeszcze jedną dawkę. Wiesz, że nie możemy startować przed wschodem słońca. Nie mam ochoty szamotać się z nim przez trzy

godziny. Najlepiej będzie, jak się obudzi już w drodze.

- Święta racja. Uważaj na niego, a ja skoczę na górę po następną.

Devine wyszedł z pokoju. Przez półzamknięte oczy Ransom widział stojącego tuż nad nim Westona. Nie miał pojęcia, jak jego własne ciało zareaguje - jeśli w ogóle zareaguje - na próbę gwałtownego ruchu, ale wiedział, że musi zaryzykować. Gdy tylko drzwi zamknęły się za Devinem, rzucił się z całej siły na nogi Westona. Profesor runął do przodu na fotel. Ransom wyzwolił się z trudem spod jego ciężaru i wybiegł do hallu.

W uszach mu szumiało, a nogi odmawiały posłuszeństwa, lecz groza była poza nim; w kilka sekund dopadł frontowych drzwi i zaczął gwałtownie szukać rygli. Ciemność i drżenie rąk nie ułatwiały mu zadania. Zanim odsunął pierwszy rygiel, usłyszał za sobą tupot butów po gołej posadzce.

W następnej chwili silne ręce złapały go za ramiona i za kolana. Kopiąc, szamocąc się, oblewając potem i wrzeszcząc z całej siły, w słabej nadziei, że ktoś to usłyszy, usiłował przedłużyć tę walkę z przemocą, choć wiedział już, że musi ulec. W pewnym momencie drzwi otworzyły się, owiało go rześkie powietrze nocy i zobaczył kojące serce gwiazdy, a nawet swój plecak wciąż leżący na ganku. Potem poczuł ciężkie uderzenie w głowę i stracił przytomność. Ostatnie, co zapamiętał, to uścisk silnych rąk, wciągających go z powrotem do ciemnego korytarza, i łskot zatrzasowanych drzwi.

Rozdział 3

Kiedy odzyskał świadomość, stwierdził, że leży na łóżku w jakimś ciemnym pomieszczeniu. W głowie czuł tępy ból, a w całym ciele obezwładniającą słabość, zrezygnował więc na razie z próby wstania i zbadania otoczenia. Przycisnął dłoń do czoła i zauważył, że poci się obficie, a to zwróciło jego uwagę na fakt, że w pokoju - jeśli to był pokój - jest niezwykle gorąco. Wyciągnął rękę, by zrzucić przykrywającą go pościel, i przypadkowo dotknął ściany po prawej stronie łóżka: była gorąca.

Wyciągnął lewą rękę, macając nią tu i tam w ciemnej pustce z drugiej strony, i skonstatował, że tu powietrze jest chłodniejsze. Gorąco promieniowało wyraźnie ze ściany. Obmacał twarz i pod lewym okiem wyczuł bolesne spuchnięcie. Przypomniawszy sobie walkę z Westonem i Devinem i doszedł do wniosku, że musieli go zamknąć w jakiejś szopie przylegającej do pieca centralnego ogrzewania. Spojrzał w górę i znalazł źródło bladego światła, w którym widział uprzednio ruchy swych rąk, nie zdając sobie z tego sprawy. Tuż nad jego głową było coś w rodzaju iluminatora: prostokąt nocnego nieba wypełnionego gwiazdami. Ransom pomyślał, że jeszcze nigdy, nawet w najbardziej mroźną noc, nie widział tak czystego nieba. Całą jego uwagę pochłonęły gwiazdy: miarowo rozbłyskujące, jakby w paroksyzmach trudnego do zniesienia bólu lub rozkoszy, samotne i stłoczone w nieprzeliczonych skupiskach, niesamowite w swej wyrazistości, jarzące się na tle doskonałej czerni - wprowadzały go w stan będący mieszaniną lęku i ekstazy. Usiadł na łóżku, czując pulsujący ból w skroniach, co przypomniawszy mu, że musiał zostać odurzony jakimś narkotykiem. Zaczął właśnie formułować hipotezę, według której to świństwo, jakie mu podano, mogło podziałać w jakiś sposób na jego źrenice - co tłumaczyłoby nienaturalną wyrazistość i przepych widoku nieba - gdy w rogu iluminatora pojawiło się srebrzyste światło, przypominające błady, miniaturowy wschód słońca. W kilka minut później przez prostokąt nocnego nieba przetaczał się już doskonały krąg księżyca w pełni. Ransom siedział nieruchomo i wpatrywał się w okienko. Nigdy jeszcze nie widział takiego księżyca - tak białego, tak oślepiającego i tak wielkiego. „Zupełnie jak piłka futbolowa tuż za szybą”, pomyślał.

„Nie, jest jeszcze większy”, stwierdził chwilę później. Ale tym razem był już zupełnie pewny, że z jego oczami dzieje się coś niedobrego. Księżyc nie mógł mieć takich rozmiarów. Blask olbrzymiego księżyca - jeśli to był księżyc - oświetlał pomieszczenie tak jasno, jakby to był dzień. Ransom rozejrzał się i utwierdził w przekonaniu, że jego narząd wzroku został czasowo lub trwale uszkodzony. Prawie całą powierzchnię podłogi zajmowało łóżko i stojący obok stolik, natomiast sufit wydawał się prawie dwukrotnie większy: ściany odchylały się na zewnątrz, tak że miał wrażenie, iż leży na dnie głębokiej i wąskiej taczki. Pod innymi względami szybko przychodził do siebie, a nawet zaczynał odczuwać jakąś nienaturalną lekkość i przyjemne podniecenie. Wciąż było bardzo gorąco i zanim zdecydował się wstać, by zbadać miejsce swego uwięzienia, zdjął z siebie wszystko prócz koszuli i spodni. Próbie wstania z łóżka towarzyszyły jednak zupełnie niezwykle doznania. Najwidoczniej skutki działania narkotyku były o wiele poważniejsze, niż uprzednio sądził. Wstając nie użył do tego większej energii niż zwykle, a mimo to z przerażeniem stwierdził, że jego ciało podskoczyło gwałtownie do góry, uderzyło głową w iluminator, a potem opadło bezwładnie na podłogę, lądując tuż przy przeciwległej ścianie. Zgodnie z tym, co widział uprzednio z łóżka, ściana powinna odchylać się od pionu, jak bok taczki. Tak jednak nie było. Obmacał ją i obejrzał dokładnie: bez wątplenia łączyła się z podłogą pod kątem prostym. Podniósł się, tym razem bardziej ostrożnie. Czuł jakąś niezwykłą lekkość, prawdę mówiąc, z trudem utrzymywał stopy na podłodze. Po raz pierwszy przemknęła mu przez głowę myśl, że może już umarł i rozpoczyna życie ducha.

Dreszcz przebiegł mu po plecach, lecz dziesiątki nawyków myślowych zabraniały mu rozważania tej możliwości. Zamiast tego zbadał swoje więzienie. Wynik nie pozostawiał cienia wątpliwości: wszystkie cztery ściany jakby odchyłały się na zewnątrz, co sprawiało, że sufit był o wiele większy od podłogi. Kiedy jednak podeszło się blisko do każdej ściany - okazywała się idealnie prostopadła. Potwierdzało to badanie palcami kąta przy podłodze. Odkrył też dwa inne dziwne fakty. Ściany i podłoga pokoju zrobione były z metalu i przenikała je nieustanna, bezgłośna wibracja, przywodząca na myśl bardziej coś żywego niż mechanicznego. W pomieszczeniu nie było jednak cicho. Wypełniała je mieszanina dziwnych dźwięków - nieregularne serie melodyjnych bębniń przypominających perkusję - które zdawały się płynąć od sufitu. Sprawiało to wrażenie, jakby metalowa komora, w której się znalazł, bombardowana była gradem małych, brzęczących pocisków.

Ransom ogarnęło przerażenie. Nie był to zwykły lęk wynikający z jakiegoś zagrożenia, doświadczanego, na przykład, na polu bitwy, lecz oszałamiający i obezwładniający strach zwielokrotniony stanem ogólnego podniecenia, jakie odczuwał od chwili przebudzenia. To, co czuł, można było przyrównać do balansowania na stromej, długiej grani, z której mógł w każdej chwili stoczyć się w otchłań niekontrolowanej paniki lub w przepaść ekstatycznego uniesienia. Bowiem teraz był już pewien, że nie znajduje się w żadnym domu czy szopie, lecz w pojeździe będącym w ruchu. Nie była to łódź podwodna, to jasne, bo nie widziałby wówczas nieba. Delikatna wibracja metalowych ścian nie wskazywała też na pojazd kołowy. Musiał to więc być jakiś statek albo rodzaj samolotu. Ale we wszystkich jego doznaniach był coś tak dziwnego, że nie mógł się zgodzić do końca z żadną z tych możliwości. Zbity z tropu usiadł z powrotem na łóżku i wpatrzył się we wspaniały i jednocześnie złowrogi księżyc.

Jakiś statek powietrzny, jakiś rodzaj latającej maszyny... ale dlaczego ten księżyc jest taki wielki?... Teraz wydawał się jeszcze większy. Nie, to niemożliwe. W żadnych okolicznościach księżyc nie mógł mieć takich rozmiarów. Ransom sformułował ten wniosek wyraźnie, choć wiedział o tym od samego początku, a jedynie strach nie pozwalał mu dotąd na przekształcenie tej myśli w logiczny wniosek. I w tej samej chwili poraziła go myśl zapierająca dech: tej nocy w ogóle nie mogło być księżyca w pełni. Pamiętał wyraźnie, że szedł z Nadderby w bezksiężycową noc. Nawet gdyby cienki sierp księżyca w nowiu uszedł wówczas jego uwadze, to nie urosłby do takich rozmiarów przez kilka godzin. W ogóle nie mógł urosnąć do czegoś takiego - ten megalomański dysk, o wiele większy od piłki futbolowej, do której przyrównał go na samym początku, większy niż koło, jakim bawią się dzieci, wypełniający teraz pół nieba... I gdzie jest ta znajoma, stara „twarz”, spoglądająca od wieków na wszystkie pokolenia ludzi? Nie, to na pewno nie jest księżyc! Ransom poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie.

Nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi i szybko odwrócił głowę w tym kierunku. Przez chwilę widniał tam prostokąt oślepiającego światła, a potem zniknął, gdy drzwi ponownie zamknięto. W bladym świetle zamajaczył masywny kształt nagiego mężczyzny, w którym rozpoznał Westona. W obliczu owego potwornego kręgu, jaśniejącego nad nimi w iluminatorze, Ransom zapomniał o wyrzutach czy żądaniu wyjaśnień. Sama obecność istoty ludzkiej, nie kontrolowana nadzieja związana z towarzyszeniem drugiego człowieka, przełamała wreszcie napięcie, z jakim jego nerwy opierały się dotąd bezdennej rozpacz. Kiedy otworzył usta, by przemówić, stwierdził, że płacze.

- Weston! Weston! - wyrzucił z siebie. - Co to jest? To przecież nie jest księżyc, nie, to jest za duże! To nie może być księżyc, prawda?

- Nie - odparł Weston. - To Ziemia.

Rozdział 4

Ransom poczuł, że nogi mu słabną i musiał opaść w tył, na łóżko, choć dotarło to do niego dopiero wiele minut później. W tej chwili świadom był tylko jednego; swego przerażenia. Nie wiedział nawet, czego się boi, lęk sam w sobie opanował całą jego jaźń: jakieś bezkształtne, okropne, złe przeczucie. Nie stracił świadomości, choć o tym marzył. W tym momencie każda zmiana byłaby ulgą: śmierć czy omdlenie lub - najlepsze, co można było sobie wyobrazić - przebudzenie z tego koszmarnego snu. Ale nic takiego nie nadeszło. Zamiast tego odzyskał wyćwiczoną przez lata, właściwą człowiekowi z jego środowiska samokontrolę - ową cnotę obywatelską, która jest w połowie hipokryzją, lub hipokryzję, która tylko w połowie jest cnotą. Kiedy odezwał się ponownie, nie musiał już wstydić się swego głosu.

- Mówisz poważnie? - zapytał.

- Najzupełniej.

- A więc, gdzie właściwie jesteśmy?!

- Poza Ziemią, jakieś osiemdziesiąt pięć tysięcy mil poza Ziemią.

- To znaczy, że jesteśmy w... przestrzeni kosmicznej? - Ransom zająknął się przy ostatnich słowach jak przestraszone dziecko mówiące o duchach lub dorosły mówiący o raku.

Weston kiwnął głową.

- Ale dlaczego? - zapytał Ransom. - I w jakim celu uprowadziliście mnie z sobą?! I jak to zrobiliście?

Przez chwilę Weston sprawiał wrażenie człowieka, który nie zamierza odpowiadać na takie pytania, potem, jakby mu coś przyszło do głowy, usiadł na łóżku obok Ransoma i zaczął mówić:

- Chyba oszczędzę nam wszystkim kłopotów, jeśli od razu odpowiem na pytania, bo zamęczałbyś nas nimi co godzinę przez następny miesiąc. Jeśli chodzi o to, jak to zrobiliśmy - przypuszczam, że masz na myśli techniczne szczegóły lotu tego pojazdu - to wybij sobie z głowy to pytanie. Nie jesteś jednym z czterech lub pięciu prawdziwych fizyków żyjących obecnie na świecie, więc i tak niczego byś nie zrozumiał, a gdyby nawet była jakaś nikła szansa, że coś zrozumiesz, to z pewnością nie uzyskałbyś ode mnie żadnej informacji na ten temat. Jeśli ci sprawi satysfakcję powtarzanie słów, które nic nie znaczą - a w rzeczywistości tego właśnie pragną ludzie nie mający pojęcia o nauce, gdy proszą, aby im coś wyjaśnić - możesz się zadowolić stwierdzeniem, iż poruszamy się dzięki wykorzystaniu pewnych mało znanych właściwości promieniowania słonecznego. Jeśli chodzi o pytanie, dlaczego tu jesteśmy, to odpowiedź brzmi: jesteśmy w drodze na Malakandrę...

- Malakandrę?! Masz na myśli jakąś gwiazdę?

- Nawet ty nie powinieneś być tak naiwny, żeby przypuszczać, iż podróżujemy poza nasz system słoneczny. Malakandra jest znacznie bliżej. Osiągniemy ją za dwadzieścia osiem dni.

- Przecież nie ma takiej planety - zaprotestował Ransom.

- Używam jej prawdziwej nazwy, a nie tej, którą jej nadali ziemscy astronomowie.

- Ale przecież to nonsens! - zawołał Ransom. - Skąd, u diabła, mogłeś poznać „prawdziwą” nazwę, jak to określasz?

- Od jej mieszkańców.

Upłynęło nieco czasu, zanim sens tej wypowiedzi dotarł do Ransoma.

- Czy zamierzasz we mnie wmówić, że już przedtem byłeś na tej gwiazdzie, planecie, czy jak ją tam nazwać?

- Tak.

- Przecież nie możesz oczekiwać, żebym w to uwierzył. Do diabła, takie rzeczy nie zdarzają się

ot tak, co dzień! Dlaczego nikt o tym nie słyszał? Dlaczego nie pisano o tym w gazetach?

- Dlatego, że nie jesteśmy kompletnymi idiotami - odburknął Weston.

Po kilku minutach ciszy Ransom znów przemówił:

- Która to planeta według naszej terminologii?

- Zapamiętaj sobie raz i na zawsze - odrzekł Weston - że nie zamierzamy ci tego powiedzieć.

Jeśli sam znajdziesz sposób na rozwiązanie zagadki, twoja sprawa, pró buj, choć nie sądzę, abyśmy się musieli obawiać twoich naukowych sukcesów w tej dziedzinie. A zanim się to stanie, nie ma powodów, aby ci to zdradzać.

- I mówisz, że to miejsce jest zamieszkane?

Weston spojrział na niego dziwnie, a później kiwnął głową. Niepokój, jaki to wzbudziło w Ransomie, zmienił się nagle w gniew, który tak długo dusił w sobie, targany sprzecznymi uczuciami.

- A co to wszystko ma wspólnego ze mną? - wybuchnął. - Napadliście na mnie, odurziliście jakimś narkotykiem i uprowadzacie jako więźnia w tej piekielnej maszynie. Co takiego wam zrobiłem? Co macie na swoje usprawiedliwienie?

- Mógłbym ci odpowiedzieć zadając z kolei pytanie, dlaczego wś liznąłeś się na moje podwórze jak złodziej. Gdybyś pilnował swojego nosa, nie byłoby cię tutaj. Nie przeczę, że musieliśmy ograniczyć twoje prawa. Na usprawiedliwienie mam oczywistą prawdę: małe roszczenia muszą ustąpić przed wielkimi. To musi ci wystarczyć. Wszystko wskazuje, że tego, czego właśnie dokonujemy, nie zrobił jeszcze nikt w historii ludzkości, a może nawet w historii całego wszechświata. Odkryliśmy, jak skoczyć w przestrzeń z tego ziarenka materii, na której miał początek nasz gatunek. Rasa ludzka uzyskała w ten sposób panowanie nad nieskończonością, a więc prawdopodobnie i nad wiecznością. Chyba nie jesteś tak małostkowy, by uważać, że prawa, czy nawet życie jednostki - lub nawet miliona jednostek - mogą mieć jakieś znaczenie w porównaniu z tym, o czym mówię.

- Tak się składa, że jestem odmiennego zdania - rzekł Ransom - i zawsze byłem odmiennego zdania, nawet w odniesieniu do wiwisekcji. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Do czego jestem wam potrzebny? Co takiego mam zrobić na tej... na Malakandrze?

- Tego nie wiem - odparł Weston. - To nie był nasz pomysł. Spełniamy tylko polecenie.

- Czyje?

Znowu zapanowała cisza.

- Dajmy temu spokój - odezwał się w końcu Weston. - Naprawdę nie ma sensu kontynuowanie tego śledztwa. Zadajesz mi pytania, na które nie mogę ci odpowiedzieć. W niektórych wypadkach dlatego, że nie znam odpowiedzi, w innych - bo byś ich nie zrozumiał. Ta podróż może być o wiele przyjemniejsza, jeśli będziesz w stanie pogodzić się ze swoim losem i zaprzestać zawracania głowy sobie samemu i nam. Zdaję sobie sprawę, że byłoby to o wiele łatwiejsze, gdyby twoja filozofia życia nie była tak nieznośnie ograniczona i zarażona indywidualizmem. Zawsze myślałem, że nikt nie odmówiłby odegrania roli, jaka przypadła tobie w udziale, że nawet robak, gdyby tylko mógł to zrozumieć, zgodziłby się na taką ofiarę. Mam na myśli ofiarę z czasu, z wolności, a także pewne ryzyko. Nie zrozum mnie źle.

- No cóż - powiedział Ransom - to ty masz w ręku wszystkie karty, a ja muszę się z tym pogodzić. Twoją filozofię życia uważam za brednie szaleńca. Całe to gadanie o nieskończoności i wieczności oznacza po prostu tylko tyle, że uważasz się za kogoś, kto ma prawo uczynić wszystko - absolutnie wszystko - tu i teraz, na podstawie nikłej szansy, że jacyś dalecy potomkowie człowieka będą mogli żyć kilka stuleci dłużej niż ludzie, jakich znamy dzisiaj, w jakiejś innej części wszechświata.

- Tak - przyznał chłodno uczony. - I warto wiedzieć, że cała wykształcona opinia - a nie mam tu na myśli filologii klasycznej, historii i tym podobnych bzdur - jest po mojej stronie. Cieszę się, że poruszyłeś ten temat i radzę ci zapamiętać moją odpowiedź. A tymczasem, jeśli pójdziesz za mną do sąsiedniego pomieszczenia, możemy zjeść śniadanie. Tylko ostrożnie ze wstawaniem: tutaj ważysz o wiele mniej niż na Ziemi.

Ransom wstał, a profesor otworzył drzwi. Pokój wypełniło oślepiające, złote światło, które całkowicie przyćmiło blade dyski Ziemi w iluminatorze.

- Zaraz dostaniesz ciemne okulary - powiedział Weston wychodząc pierwszy. Ransomowi wydało się, że profesor tuż przed drzwiami najpierw wspiął się pod górę, a następnie zapadł w dół po drugiej stronie. Poszedł za nim ostrożnie, odnosząc niesamowite wrażenie, że sam idzie pod górę, jakby na skraj przepaści: pomieszczenie za drzwiami wydawało się dobudowane w tak dziwny sposób, że podłoga opadała prostopadle do podłogi pierwszej kabiny, a przeciwległa ściana była do tej ostatniej równoległa.

Kiedy jednak przebożył ostrożnie nogę przez próg, niespodziewanie napotkał podłogę tam, gdzie być powinna, a gdy wszedł do drugiego pomieszczenia, ściany raptownie wyprostowały się, a okrągły sufit też znalazł się tam, gdzie powinien być - nad jego głową. Obejrzał się i stwierdził, że to samo stało się z jego sypialnią: jej sufit był teraz ścianą, a jedna ze ścian sufitem.

- Szybko się do tego przyzwyczaisz - powiedział Weston, śledząc jego zdumione spojrzenia. - Upraszczając nieco sprawę, statek zbudowany jest sferycznie. Ponieważ jesteśmy poza ziemskim polem grawitacyjnym, „dół” oznacza kierunek ku centrum naszego małego, metalowego świata i tak to jest przez nas odczuwane. Zostało to, rzecz jasna, przewidziane i uwzględnione w konstrukcji. Jądro statku to wydrążona kula - trzymamy tam zapasy - której powierzchnia tworzy podłogę wszystkich pomieszczeń. Ich ściany podtrzymują powłokę większej, zewnętrznej kuli, która z naszego punktu widzenia jest sufitem. Ponieważ środek statku jest dla nas zawsze „dołem”, kawałek podłogi, na którym w danej chwili stoimy, wydaje się nam zawsze poziomy. Z drugiej strony, ta wewnętrzna kula jest tak mała, że podłoga każdego pomieszczenia załamuje się pod kątem w stosunku do sąsiedniego; te załamania byłyby czymś w rodzaju horyzontu, gdybyśmy byli, na przykład, pchłami. To bardzo proste, w końcu na Ziemi jest zupełnie tak samo, tylko nasze niewielkie rozmiary nie pozwalają nam tego dostrzec.

Po udzieleniu tych wyjaśnień Weston zajął się - z charakterystyczną dla siebie sumiennością, ale bez cienia uprzejmości - zaspokojeniem podstawowych potrzeb swego gościa, czy raczej więźnia. Za jego radą Ransom zdjął wierzchnie ubranie i zabżył na biodra metalowy, niezwykle ciężki pas, mający zredukować kłopotliwą lekkość ciała. Otrzymał też ciemne okulary. Wkrótce siedział naprzeciw uczonemu przy niewielkim stole nakrytym do śniadania. Czuł głód i pragnienie, rzucił się więc łapczywie na posiłek, składający się z konserwy mięsnej, sucharów, masła i kawy.

Wszystkie te czynności wykonywał jednak jak automat. Rozebrał się, jadł, pił - prawie bez udziału świadomości. Kiedy później próbował sobie przypomnieć ów pierwszy posiłek na pokładzie międzyplanetarnego statku, pamiętał tylko mękę, jaką mu sprawiało gorąco i światło - tak silne, że na Ziemi byłoby nie do zniesienia. Tutaj jednak miało ono pewne nowe właściwości. Nigdy jeszcze nie widział takiego światła, tak intensywnego i jednocześnie tak bladego. Było to najblidsze ze wszystkich złotych światła, jakie można sobie wyobrazić, a jednak rzucało cień tak ostry, jakby pochodziło z reflektora. Powietrze, gorące i prawie całkowicie pozbawione wilgoci, zdawało się ugniatać i chłostać skórę jak twarde ręce jakiegoś gigantycznego masażysty. Nie odczuwał jednak zwykłej w czasie upału senności, przeciwnie: jakieś nienaturalne ożywienie. Ból głowy minął, czuł zadziwiający przypływ wigoru, odwagi i wielkoduszności. Po jakimś czasie ośmielił się nawet podnieść oczy i spojrzeć na iluminator. Był przykryty stalową przesłoną, tak że

pozostała tylko wąska szczelina, a choć i ją zasłonięto ciemnym, gęstym materiałem, to jednak bił z niej oślepiający blask.

- Zawsze myślałem, że przestrzeń kosmiczna jest ciemna i zimna - zauważył.

- Zapominając o słońcu? - rzucił pogardliwie Weston.

Ransom jadł przez chwilę w milczeniu, a potem zaczął:

- Jeżeli tak jest wczesnym rankiem, to... - lecz urwał, spojrzawszy na twarz Westona.

Ogarnęła go zgroza. Uświadomił sobie, że tutaj nie ma poranków, wieczorów, nocy - nic prócz wiecznego południa, wypełniającego przez całe stulecia miliony sześciennych mil przestrzeni. Spojrzał znów na Westona, lecz ten podniósł rękę stanowczym gestem.

- Przestań gadać - rzekł. - Omówiliśmy już wszystko, co konieczne. Nie mamy tyle tlenu, by go marnować na jakikolwiek zbędny wysiłek, nawet na rozmowę.

Wkrótce potem wstał i, otworzywszy jakieś nowe drzwi, opuścił pokój, nie zapraszając Ransoma, by za nim poszedł.

Rozdział 5

Na dobrą sprawę przez cały czas pobytu na pokładzie kosmicznego statku Ransom powinien odczuwać przerażenie i niepokój o swój los. Od reszty rasy ludzkiej - prócz tych dwóch, którym miał prawo nie ufać - oddzielała go astronomiczna odległość. Zmierzał ku nieznanemu przeznaczeniu i został w to wszystko wplątany z powodów, jakich ci, którzy zawładnęli jego życiem, nie zamierzali mu wyjawiać. Devine i Weston zmieniali się regularnie na dyżurach w kabinie, do której nigdy nie pozwalano mu nawet zajrzeć, gdzie - jak przypuszczał - znajdowały się urządzenia sterownicze. Weston podczas odpoczynku prawie cały czas milczał. Devine był bardziej rozmowny i często gawędził z więźniem, raz po raz wybuchając rubasznym śmiechem, aż Weston stukał w ścianę, przypominając im, by nie marnowali tlenu. Ale rozmowność Devine'a też miała granice. Chętnie kpił z napuszonego, naukowego idealizmu Westona i przyznawał, że ma w nosie takie sprawy, jak przyszłość gatunku czy spotkanie dwóch światów.

- Jeśli chodzi o Malakandrę, to jest tam coś więcej - dodał kiedyś, mrugając porozumiewawczo.

Ale kiedy Ransom zapytał go, co ma na myśli, wykręcił się żartem i wrócił do swoich zwykłych ironicznych uwag na temat misji białego człowieka i dobrodziejstw cywilizacji.

- A więc jest zamieszкана? - przypierał go do muru Ransom.

- Och, jeżeli chodzi o te sprawy, to zawsze jest jakiś problem z tubylcami - odpowiedział Devine.

Chętnie mówił natomiast o tym, co będzie robił, gdy wróci na Ziemię. W jego wizjach pojawiały się pełnomorskie jachty, najdroższe kobiety, jakieś wspaniałe miejsca na Riwierze.

- Przecież nie podejmowałbym takiego ryzyka dla zabawy - zwierzał się Ransomowi.

Bezpośrednie pytania na temat roli, jaką miał odegrać w tej wyprawie Ransom, spotykały się z milczeniem. Tylko raz w odpowiedzi na takie pytanie, Devine, który w opinii Ransoma był wówczas raczej daleki od stanu trzeźwości, powiedział coś mętnie o „powierzeniu mu zaszczytnej odpowiedzialności”.

- Ale jestem pewien - dodał - że nigdy nie splamisz honoru naszej starej szkoły.

Wszystko to, jak już powiedziałem, brzmiało dostatecznie niepokojąco, a jednak - rzecz dziwna - Ransom nie odczuwał większego lęku o swój los. Przeciwnie, było mu teraz nadzwyczaj dobrze, do tego stopnia, że nie miał nawet ochoty na rozmyślanie o przyszłości. Po jednej stronie kosmicznego statku trwała nie kończąca się noc, po drugiej - nie kończący się dzień; i jedno, i drugie było cudowne. Ransom przenosił się zachwycony z nocy w dzień, kiedy tylko zapragnął. Nocami, które sam stwarzał przez zamknięcie drzwi do „słonecznej” kajuty, całymi godzinami leżał pogrążony w kontemplacji rozgwieżdżonego nieba. Dysk Ziemi już dawno zniknął. Czarne niebo obsypane było gwiazdami tak gęsto, jak długo nie strzyżony trawnik stokrotkami. Wciąż tylko gwiazdy i gwiazdy, na tym niebie bez obłoków, bez księżyca, bez wschodu słońca. Były tam planety pełne niewiarygodnego majestatu, były konstelacje, jakich nie widziało się nawet we śnie, były niebiańskie szafiry, rubiny, szmaragdy, były drobne jak główki szpilek odpryski pbnącego złota. Po lewej stronie iluminatora majaczyła blada, odległa kometa. A między tymi światłami i poza nimi, o wiele bardziej wyraziste i realne niż na Ziemi, czerniło się niewymierne, tajemnicze niebo. Światło gwiazd pulsowało, wydawało się jaśniejsze, gdy zwracał na którąś z nich spojrzenie. Leżąc nago na łóżku wewnątrz metalowej kuli - niczym mityczna Danae [Danae, córka Akrisjosa, została uwięziona przez ojca w spiżowej komorze, ponieważ wyrocznia oznajmiła, że narodzi się z niej syn, który zabije kiedyś Akrisjosa] - Ransom coraz bardziej tracił swój dawny sceptycyzm wobec starej astrologii. Teraz nie tylko wyobrażał sobie, lecz prawie czuł fizycznie owe „słodkie tchnienia”

[Nawiązanie do *Raju utraconego* J. Milтона, VII, 379] przenikające jego bezwładne, poddające się im ciało. Dojmującą ciszę przerywały tylko raz po raz lekkie, perliste odgłosy; wiedział już, że to meteoryty - niewielkie, błędzące cząsteczki tworzywa wszechświata, uderzające w stalową powłokę statku.

Był przygotowany na to, że w każdej chwili ich kosmiczny pojazd może się zderzyć z czymś dostatecznie dużym, by uczynić z niego garstkę nowych meteorytów. Ale nie potrafił odczuwać lęku. Zaczął nawet w duchu przyznawać Westonowi rację, gdy ten zarzucił mu brak wyobraźni w momencie jego pierwszego przerażenia sytuacją. Ta przygoda wyraźnie Ransom'a przerastała; jej okoliczności były zbyt niesamowite, a ewentualne skutki zbyt poważne, by potrafił teraz odczuwać cokolwiek poza przejmującym zachwytem.

A najwspanialsze były dni - to znaczy godziny spędzane w słonecznej części ich mikrokosmosu. Często wstawał po kilku zaledwie godzinach snu, aby wrócić do królestwa światła, przyciągany jakąś nieodpartą siłą, i zawsze, bez względu na porę, sycił się owym cudem nieustającego południa. Tu, całkowicie pogrążony w kąpieli czystej, eterycznej barwy, mrużąc oczy, rozprostowując się i otwierając na promieniowanie nieubłaganej, choć przyjaznej jasności panującej w tym dziwnym rydwanie, który unosił ich, drząc lekko, przez głębie ciszy i spokoju, czuł, jak jego ciało i umysł oczyszczają się, pozbywają starych powłok, napełniają nową energią. W jednej ze swoich lakonicznych, niechętnych odpowiedzi, Weston dał naukową podstawę tych sensacji: są teraz pod działaniem wielu różnych rodzajów promieniowania, jakie nigdy nie docierają do ziemskiej atmosfery.

Z biegiem czasu Ransom uświadomił sobie jednak jeszcze inną, bardziej duchową przyczynę narastającego w nim wewnętrznego uniesienia i poczucia beztraski. Stopniowo pozbywał się dręczącej wizji kosmosu, od tak dawna sączonej przez nowożytną mitologię, jaka narodziła się wraz z przebudzeniem nauk ścisłych. Czytał o tej „przestrzeni kosmicznej” przez długie lata: to pojęcie kojarzyło mu się z posępną wizją czarnej, zimnej próżni, przerażającej martwoty, oddzielającej światy od siebie. Nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko ta wizja zapadła w jego podświadomość. Nie wiedział o tym - aż do teraz, gdy już sama nazwa „przestrzeń kosmiczna” wydawała się bluźnierczą etykietką dla rzeczywistości owego empirejskiego oceanu radiacji, w którym kąpał się z rozkoszą. Teraz nie mógłby nazwać tej przestrzeni „martwą”; czuł przecież, jak w każdej chwili wlewa się w niego promieniujące z niej życie. Jak zresztą mogło być inaczej, skoro z tego właśnie oceanu pochodzą wszystkie ożywione światy? Dawniej sądził, że to przestrzeń całkowicie pusta i bezpłodna - teraz wiedział, że jest raczej łonem brzemiennej w światy, macierzą, której olśniewające, niezliczone dzieci spoglądały nocami nawet na Ziemię. Ileż ich jest na nocnym niebie Ziemi, a o ile więcej jest ich tutaj! Nie, „przestrzeń kosmiczna” to zła nazwa. Dawni myśliciele byli mądrzejsi, nazywając ją po prostu „niebiosami”. Niebiosy oznajmiające chwałę...

*... szczęśliwe krainy leżące
tam, gdzie dzień nigdy oczu nie zamyka,
na wysokościach bezkresnych pól dalekiego nieba.*

Z zachwytem przypomniał sobie teraz te strofy Milтона i odtąd często do nich wracał.

Oczywiście nie pławił się beczynniami w słońcu przez cały czas. Zapoznał się trochę z wnętrzem statku (na tyle, na ile mu pozwolono), przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia powolnymi krokami, tak jak zalecił im Weston, by przy zbędnym wysiłku nie zużywali zbyt wiele tlenu. Sama budowa kosmicznego pojazdu sprawiała, że było w nim o wiele więcej pomieszczeń, niż wydawało się potrzebne. Wielu z nich w ogóle nie używano, lecz Ransom podejrzewał, że właściciele statku -

a w każdym razie Devine - zamierzają je czymś zapęłnić w drodze powrotnej. Ransom stał się też kimś w rodzaju stewarda i kucharza, częściowo dlatego że było to jedyne zajęcie, jakie mógł wykonywać (nigdy nie pozwalano mu wejść do sterowni), a częściowo, by uprzedzić wyraźną tendencję Westona do traktowania go jak służącego bez względu na jego zgodę. Wolał pracować jako ochotnik niż jawny niewolnik. A poza tym o wiele bardziej smakowało mu jedzenie, które sam przyrządził, niż to, które próbowali przyrządzać jego nadzorcy.

Te właśnie obowiązki pozwoliły mu stać się najpierw mimowolnym, a później bardzo uważnym słuchaczem pewnej rozmowy, w jakiej dwa tygodnie (tak przynajmniej przypuszczał) od opuszczenia Ziemi. Pozmywał po kolacji, zażył słonecznej kąpieli, pogawędził trochę z Devinem - na pewno lepszym towarzyszem podróży niż Weston, choć o wiele bardziej odrażającym - i położył się do łóżka o zwykłej porze. Lekki niepokój nie pozwalał mu jednak zasnąć i po jakiejś godzinie uświadomił sobie, że zapomniał o kilku drobnych sprawach, które utrudniłyby mu przygotowanie rano śniadania. Wstał więc i poszedł do kuchni, nie trudząc się, by włożyć buty.

Kuchnia sąsiadowała z pomieszczeniem, które nazywał „salonem” lub „pokojem dziennym”. Łączące obie kabiny drzwi znajdowały się blisko wejścia do sterowni. Iluminator kuchni wychodził na nocne niebo, ale Ransom nie zapalił światła. Wystarczyło zostawić otwarte drzwi, by rozjaśnił ją strumień jaskrawego słonecznego blasku. Przygotowanie porannego posiłku pozostawiało jednak o wiele więcej do życzenia, niż przypuszczał; rzecz zrozumiała dla każdego, kto zajmował się kiedyś „prowadzeniem domu”. Nabył już wprawy w tej pracy, zrobił więc wszystko, co do niego należało, bez zbędnego hałasu. Właśnie skończył i wycierał ręce w ścierkę wystającą z bębna wiszącego za drzwiami kuchni, gdy usłyszał, że otworzyły się drzwi do sterowni. Zobaczył Devine'a, który zatrzymał się tuż za progiem i kontynuował rozmowę. W ten sposób Ransom mógł słyszeć, co mówił Devine, choć nie rozumiał wyraźnie odpowiedzi Westona.

- Myślę, że byłoby to cholernie głupie - powiedział Devine. - Gdybyśmy mieli pewność, że spotkamy te bydlaki zaraz po wylądowaniu, nie byłoby problemu. Ale założmy, że będziemy musieli ich szukać? Jak to sobie wyobrażasz? Że będziemy nieśli nieprzytomnego faceta i jego plecak? Nie lepiej pozwolić, by szedł na własnych nogach i wykonywał część pracy?

Weston coś na to odpowiedział.

- Ale przecież on sam się tego nie domyśli - przerwał mu Devine - a nikt nie będzie na tyle głupi, żeby mu powiedzieć. A nawet jeśli zacznie coś podejrzewać, to czy uważasz, że ktoś taki jak on odważy się uciec na obcej planecie? Bez jedzenia? Bez broni? Zobaczysz, że będzie ci jadł z ręki, jak tylko zobaczy pierwszego sorna.

Ransom znowu usłyszał niewyraźny głos Westona.

- A skąd mam wiedzieć? - powiedział Devine. - Może to coś w rodzaju wodza, albo raczej bożka czy czarownika.

Tym razem ze sterowni dobiegło krótkie zdanie: sądząc po intonacji, Weston zadał pytanie. Devine odpowiedział od razu.

- To by wyjaśniało, dlaczego go potrzebują.

Weston ponownie o coś zapytał.

- Przypuszczam, że chodzi o jakąś ludzką ofiarę. No, może z ich punktu widzenia, nie będzie to ofiara ludzka, chyba wiesz, co mam na myśli.

Tym razem Weston miał więcej do powiedzenia i wywołało to charakterystyczny chichot Devine'a.

- No jasne! - powiedział. - Oczywiście robisz to z najwyższych pobudek. Dopóki prowadzą one tam, gdzie i moje motywy, wszystko w porządku, chylę przed nimi czoło.

Weston coś powiedział i tym razem Devine mu przerwał.

- Chyba nie tracisz zimnej krwi?

Przez chwilę słuchał dłuższej wypowiedzi Westona, po czym rzekł:

- Jeżeli tak kochasz te zwierzęta, to powinieneś tam zostać i zapłodnić parę samic... oczywiście, jeżeli w ogóle są różnopłciowe, czego nie wiemy. Nie martw się. Kiedy przyjdzie czas na wyczyszczenie tego miejsca, zostawimy ci jedną lub dwie sztuki. Będziesz mógł je trzymać dla zabawy, zrobić sobie wiwisekcję, sypiać z nimi, co tylko zechcesz, a nawet wszystko po kolei... Tak, wiem. Strasznie obmierzłe. To był tylko żart. Dobranoc.

W chwilę później Devine zamknął drzwi sterowni, przeszedł przez pokój dzienny i wszedł do swojej kabiny. Ransom usłyszał szcęk zamka: Devine zawsze się zamykał, choć trudno było odgadnąć, po co to robi. Napięcie, z jakim Ransom przysłuchiwał się rozmowie, opadło. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że przez dłuższy czas wstrzymywał oddech. Zacerpnął głęboko powietrza. Potem ostrożnie wszedł do „salonu”.

Wiedział, że zrobiłby najmądrzej, gdyby jak najszybciej wrócił do swojej kabiny, a jednak stał nieruchomo w przyjaznej fali światła, chłonąc je z jakimś nowym wzruszeniem. Gdzie mieli zstąpić z tych niebios, z tych szczęśliwych krain? Sorny, ofiary z ludzi, obrzydliwe, bezpłciowe potwory... Czym są te sorny? Jego rola w wyprawie zaczynała się wyjaśniać.

Jest potrzebny komuś lub czemuś. Oczywiście trudno przypuścić, by chodziło specjalnie o niego. Ktoś potrzebował ofiary - jakiegokolwiek ofiary - z Ziemi. Wybór padł na niego, bo to Devine dokonał wyboru. Ransom wreszcie zrozumiał - a było to, biorąc pod uwagę okoliczności, odkrycie na pewno zbyt późne i wstrząsające - że Devine nienawidził go przez te wszystkie lata tak, jak on sam nienawidził Devine'a.

Ale czym są te sorny? Kiedy je zobaczy, będzie jadł Westonowi z ręki. Jak wielu ludzi z jego pokolenia, Ransom sporo wiedział o różnych pozaziemskich potworach. Znał dobrze książki H. G. Wellsa i jemu podobnych. Jego wszechświat wypełniony był takimi straszidłami, jakich nie wymyśliła nawet starożytna i średniowieczna mitologia. Był przygotowany, że w obcym świecie może spotkać obrzydliwe, owadopodobne, robakowate czy skorupiakowate stwory, jakieś kurczące się macki, chrzęszczące skrzydła, oślizgłe spirale, poskręcane czułki, jakieś potworne połączenie nadludzkiej inteligencji z nienasyconym okrucieństwem. Te sorny mogą być... mogą być jak... nie ośmielał się nawet tego wyobrazić. A miał zostać im przekazany. Ten fakt w pewien sposób b wydał mu się straszniejszy, niż gdyby został przez nie schwytyany. Miał być oddany, przekazany, ofiarowany. Oczami wyobraźni widział różne niewiarygodne potworności: bulwiaste oczy, wyszczerzone szczęki, rogi, żądła, żuchwy. Wstręt do owadów, do węży, do wszystkiego, co miażdży i dusi, tworzył okropną symfonię szarpiącą mu nerwy. Ale rzeczywistość mogła być jeszcze gorsza: mogła to być jakaś pozaziemska Inność, coś, o czym nikt jeszcze nie pomyślał.

W tym momencie Ransom podjął decyzję. Może stawić czoło śmierci, ale nie sornom. Gdy tylko wylądują na Malakandrze, musi uciec, jeśli to tylko będzie możliwe. Zagłodzenie na śmierć, nawet pochwylenie przez sorny - wszystko będzie lepsze od tego ohydnygo aktu przekazania go jako bezwolnej ofiary. Jeżeli ucieczka okaże się niemożliwa, jedynym wyjściem będzie samobójstwo. Ransom był człowiekiem głęboko wierzącym, lecz miał nadzieję, że uzyska przebaczenie. Nie był w stanie podjąć innej decyzji. Nie panował nad tym: równie dobrze mógł chcieć, by wyrosła mu trzecia ręka. Bez wahania wrócił do kuchni i wybrał najostrzejszy nóż, przyrzekając sobie, że nigdy się z nim nie rozstanie.

Kiedy wyczerpany przerażeniem rzucił się na łóżko w swojej kabynie, natychmiast zapadł w głęboki sen bez marzeń i koszmarów.

Rozdział 6

Obudził się wypoczęty i odświeżony, a nawet nieco zawstydzony lękiem, jaki nim owładnął minionej „nocy”. Sytuacja stała się, bez wątpienia, bardzo poważna: szansa, że wróci na Ziemię żywy, bliska była zeru. Ale w końcu ze śmiercią trzeba się zawsze liczyć, a racjonalny przed nią lęk można opanować. Prawdziwą trudność stwarzał jedynie irracjonalny, biologiczny strach przed potworami. Z tym strachem musiał walczyć - a w końcu pogodził się, gdy po śniadaniu zażywał słonecznej kąpieli.

Czuł, że ktoś, komu przyszło wędrować po niebiosach, tak jak on to teraz czynił, nie powinien okazywać nędznego strachu przed jakimkolwiek przyziemnym stworzeniem. Doszedł nawet do wniosku, że przecież nóż może się wbić nie tylko w jego ciab. Ale wojowniczy nastrój nie często go dotąd nawiedzał. Jak wielu ludzi w jego wieku, raczej nie doceniał, niż przeceniał swoją odwagę. Przepaść między chłopięcymi marzeniami a przeżyтым doświadczeniem prawdziwej wojny była przerażająca, a trzeźwa ocena siebie samego jako bohatera doprowadziła go do wniosków idących może nawet zbyt daleko w przeciwnym kierunku. Niepokoilo go, czy osiągnięty z takim trudem nastrój pogodzenia się z losem nie okaże się krótkotrwałą iluzją, ale nie pozostawało mu nic innego, jak starać się go utrzymać.

W miarę jak godziny upływały, a krótkie przechadzki po statku następowały po okresach snu, zauważył, że coś się stopniowo zmienia.

Temperatura powoli opadała. Zaczęli nosić ubrania, a potem i ciepłą bieliznę. Nieco później musieli włączyć elektryczne ogrzewanie w centrum statku. Stało się też w końcu oczywiste - chociaż początek tego zjawiska nie dał się uchwycić - że światło straciło nieco swą przeraźliwą zaborczość z początku podróży. Było to pewne dla porównującego intelektu, lecz fizycznie nie odczuwali osłabienia światła, a nawet z trudem myśleli o jego „przyciemnieniu”, bo chociaż agresywność promieniowania jakby nieco zmaląła, jego niezemskie właściwości nie zmieniły się. W przeciwieństwie do światła, jakie daje na Ziemi zachodzące słońce - pomieszanego z gęstniejącą wilgocią i widmowymi barwami powietrza - to światło wciąż pozostawało takie samo. Ransom miał wrażenie, że nawet gdyby jego intensywność zmniejszyła się o połowę, pozostałoby takie samo jak przedtem: byłoby go po prostu mniej, ale nie uległoby zmianie. I nawet gdyby zmniejszyć tę intensywność raz jeszcze o połowę, efekt musiałby być wciąż ten sam. Wydawało się, że jak długo to światło w ogóle jest, musi pozostać nie zmienione - nawet tam, w trudnych do wyobrażenia odległościach, gdzie wyczerpywała się jego moc. Ransom próbował przekazać swoje spostrzeżenia Devine'owi.

- Jak to słynne mydło w płynie? - zakpił Devine. - Czyste mydliny aż do ostatniego bąbelka, co?

Wkrótce po tym rutynowy tryb życia na kosmicznym statku zaczął się zmieniać. Weston wyjaśnił, że niedługo wejdą w pole grawitacyjne Malakandry.

- A to oznacza - dodał - że środek statku przestanie być dla nas „dołem”. „Dół” będzie tam, gdzie Malakandra, co z naszego punktu widzenia znaczy, że będzie pod sterownią. W konsekwencji podłogi większości kabin staną się ścianami lub sufitami, a jedna ze ścian podłogą. Obawiam się, że nie będzie to dla was przyjemne.

Na razie oświadczenie to miało jeden, istotny dla Ransoma, skutek: zaczęły się godziny ciężkiej pracy, którą wykonywał ramię w ramię z Devinem lub Westonem, w zależności od tego, który z nich był wolny od dyżuru w sterowni. Cały sprzęt i prowiant - żelazne beczki z wodą, butle z tlenem, karabiny, amunicję, pojemniki z żywnością - należało zgromadzić tuż przy ścianach, które miały się stać podłogami, układając pojemniki na właściwych bokach, tak by stały odpowiednio,

gdy zacznie działać nowy kierunek ciężenia. Na długo przed zakończeniem tej pracy zaczęły się nieprzyjemne sensacje. Z początku Ransom myślał, że to jego członki reagują w ten sposób na ciężką pracę fizyczną, ale odpoczynek nic nie dawał i wyjaśniono mu, że są już w polu grawitacyjnym planety, a ich ciała z każdą minutą nabierają wagi: dokładnie podwajają swój ciężar w ciągu dwudziestu czterech godzin. To, czego doświadczali, można przyrównać do fizycznych doznań ciężarnej kobiety, ale odpowiednio zwielokrotnionych i przyspieszonych.

Jednocześnie odczuli poważne zakłócenia w zmyśle kierunku, który zresztą na pokładzie nigdy nie był całkowicie niezawodny. Do tej pory wydawał się, że podłoga każdego następnego pomieszczenia opada w dół, choć w rzeczywistości była pozioma; teraz i wyglądała na stromą, i taką - choć w o wiele mniejszym stopniu - była, co powodowało niezbyt przyjemne przyspieszenie kroków po wejściu do każdej kabiny. Mogli też odkryć, że na przykład dywan leżący na podłodze „salonu” przesunął się o cal w ciągu paru godzin. Nikogo nie oszczędzały częste wymioty, bóle głowy i palpacje serca.

Warunki podróży pogarszały się z godziny na godzinę. Wkrótce mogli jedynie czołgać się z kabiny do kabiny, szukając po omacku podłogi.

Poczucie kierunku w ogóle zanikło. Pewne części statku były już z całą pewnością „niżej”, w tym sensie, że ich podłogi znajdowały się tam, gdzie dawniej sufity, i tylko mucha mogłaby teraz po nich chodzić. Niestety, nie istniało w ogóle takie pomieszczenie, które Ransom mógłby uznać za normalne w sensie „góry” i „dołu”. Co jakiś czas przenikało go nieznośne poczucie gwałtownego opadania lub wznoszenia. Oczywiście, w tych warunkach nikt nawet nie myślał o gotowaniu. Z trudem przełykali zimne jedzenie, a i picie stwarzało poważne problemy: nigdy nie mieli pewności, czy butelkę trzymają nad ustami, czy tuż obok. Weston zrobił się jeszcze bardziej ponury i milczący. Devine nie rozstawał się z buteleczką alkoholu, wyrzucał z siebie potoki ohydnych bluźnierstw i przeklinał Westona za pomysł z podróżą poza Ziemię. Ransom dygotał, oblizywał wyschnięte wargi, pielęgnował stłuczenia i modlił się o rychły koniec.

Nadszedł wreszcie czas, gdy jedna strona kulistego statku stała się już niewątpliwie „dołem”. Przymocowane do podłóg stoły i łóżka zwisały bezytecznie i śmiesznie z czegoś, co było teraz sufitem lub ścianą. Wydawało im się, że ich ciała są z ołowiu. Nie mieli już nic do roboty. Devine wydobyl ze skrzyni nowe ubiory i powoli podpeł znał po dawnej ścianie „salonu” - obecnie jego podłodze - by popatrzeć na termometr. Ransom zauważył, że w skład nowych ubiorów wchodziła gruba, wełniana bielizna, kurtki z owczej skóry, futrzane rękawice i ciepłe czapki przykrywające uszy. Devine nie odpowiadał na jego pytania, zajęty odczytywaniem temperatury i podawaniem jej Westonowi siedzącemu w sterowni.

- Wolniej, wolniej! - wołał. - Wolniej, ty przeklęty głupcze! Wejdzimy w atmosferę za minutę lub dwie. - A potem ostro, ze złością: - Uważaj! Może ja to zrobię!

Weston nie reagował na okrzyki, a ponieważ Devine nie należał do ludzi, którzy marnują czas na dawanie rad komuś, kto nie zamierza ich słuchać, Ransom doszedł do wniosku, że jego dawny kolega szkolny zupełnie nie panuje nad sobą - nie wiadomo, ze strachu czy z podniecenia.

Nagle światła kosmosu znikły, jak gdyby jakiś demon wytarł twarz niebios brudną gąbką. Zamiast otaczającego ich tak długo przepychu, w iluminatorze pojawiła się ponura, żalonna szarość. Kosmiczny rydwan ślizgający się po niebiańskich polach zamienił się w ciemne, stalowe pudło, do którego, przez zasuniętą mechanicznie przesłonę w iluminatorze, sączyło się mdłe światło. Spadali. Spadali prosto z nieba w obcy sobie świat. Nic jeszcze w tej przygodzie tak nie wstrząsnęło Ransomem, jak właśnie świadomość tego faktu. Dziwił się teraz, jak mógł myśleć o planetach, nawet o Ziemi, jako o wyspach życia i rzeczywistości zawieszonych w martwej pustce. Z dojmującą pewnością, która już nigdy go nie opuściła, patrzył na planety - „Ziemię”, jak je w myślach nazywał -

jak na dziury lub luki w oceanie życia, wyłączone i odrzucone pustkowia ciężkiej materii i gęstego, lepkiego powietrza, utworzone nie tyle przez dodanie czegoś nowego do otaczającej je jasności, ile przez odjęcie od niej czegoś.

„A jednak, myślał, poza układem słonecznym ta jasność gdzieś się kończy. Czy tam zaczyna się prawdziwa pustka, prawdziwa śmierć? Chyba że... uczepił się tej myśli... chyba że widzialne światło jest również czymś w rodzaju dziury lub luki, jest tylko jakby osłabieniem natężenia czegoś zupełnie innego... Czegoś, co ma się do niezmiennych niebios tak, jak owe niebiosy do ciemnych, ciężkich światów...”

Nie zawsze dzieje się tak, jak się tego człowiek przedtem spodziewał. W chwili przybycia do nieznanego świata, Ransom był całkowicie pogrążony w filozoficznych spekulacjach.

Rozdział 7

- Zdrzemnałeś się? - usłyszał głos Devine'a. - Nowe planety to dla ciebie drobnostka?

- Widzisz coś? - zapytał Weston.

- Nie mogę uruchomić tych cholernych przesłon - odrzekł Devine. - Ale możemy od razu otworzyć właz.

Ich głosy wyrwały Ransoma z zadumy. W półmroku dostrzegł tych dwóch zajętych czymś tuż obok niego. Było mu zimno, a jego ciało, choć w rzeczywistości o wiele lżejsze niż na Ziemi, wciąż nieznosnie mu ciążyło. Nagle na nowo uświadomił sobie całą sytuację. Powrócił lęk, ale przeważała ciekawość. Może i czeka go śmierć, ale cóż to za szafot! Z zewnątrz napływało już chłodne powietrze i światło. Kręcił głową niecierpliwie, próbując dostrzec coś między ramionami pracujących mężczyzn. Po chwili ostatnia śruba została odkręcona. Właz był otwarty.

Krąg ziemi, jaki zobaczył, był bladoróżowy, prawie biały. Pokrywało go coś, co mogło być nisko rosnącą roślinnością lub pomarszczoną, granulowaną powierzchnią skały czy gruntu. Nagle otwór wypełniła ciemna sylwetka i Ransom zauważył, że Devine trzyma w ręku rewolwer. „Na mnie, czy na sorny, a może z obu względów?”, zastanawiał się w duchu.

- Teraz ty - usłyszał szorstki głos Westona.

Odetchnął głęboko i dotknął ręką noża ukrytego za paskiem. Potem wysunął przez otwór głowę i ramiona, dotykając rękami powierzchni Malakandry. Różowy grunt okazał się miękki i elastyczny jak guma; musiał to być jakiś rodzaj wegetacji. Spojrzał w górę i zobaczył bladoniebieskie niebo, przypominające ziemskie w bezchmurny, zimowy poranek; niżej - wielką, skłębioną różową masę, którą wziął za chmurę.

- Wylaź! - warknął Weston za jego plecami.

Przeczołgał się przez właz i wstał. Powietrze, zimne, ale nie mroźne, lekko drapało w gardle, gdy odetchnął głębiej. Rozejrzał się wokoło i natychmiast opuściło go intensywne pragnienie, by ogarnąć ten nowy świat jednym spojrzeniem. Zobaczył tylko kolory - mieszaninę kolorów, które nie chciały się ułożyć w jakieś kształty. Zbyt mało jeszcze wiedział, by coś zobaczyć; nie można zobaczyć rzeczy, dopóki się choć bardzo ogólnie nie wie, czym one są. Pierwsze wrażenie, jakie zapamiętał, to że znalazł się w jasnym, bladym, akwarelowym świetle. Dopiero po paru chwilach rozpoznał powierzchnię wody (albo czegoś przypominającego wodę) w płaskim pasie jasnego błękitu podchodzącego prawie do jego stóp. Wylądowali na brzegu jeziora lub szerokiej rzeki.

- No, rusz się - powiedział Weston i popchnął go lekko z tyłu. Ransom odwrócił się i ku swojemu zdumieniu zobaczył opodal całkowicie rozpoznawalny obiekt: barak o niewątpliwie ziemskim kształcie, choć zbudowany z dziwnego materiału.

- Oni są ludźmi - powiedział ochrypłym głosem. - Budują domy...

- To my je budujemy - rzekł Devine. - Zgaduj dalej.

Wyjął z kieszeni klucz i otworzył nim najwykleszą kłódkę wiszącą przy drzwiach domku. Z niezbyt sprecyzowanym uczuciem zawodu, a może ulgi, Ransom zrozumiał, że jego porywacze wrócili po prostu do swego dawnego obozowiska. Zachowywali się tak, jak można się było spodziewać: weszli do baraku, oderwali listwy, którymi były zabite okna, wciągnęli nosami zatęchłe powietrze, wyrazili zdziwienie, że zostawili taki bałagan i w końcu wyszli na zewnątrz.

- Trzeba się zająć prowiantem - powiedział Weston.

Wkrótce Ransom przekonał się, że nie będzie miał wiele czasu na obserwację otoczenia i żadnej możliwości ucieczki. Monotonna praca nad przenoszeniem ze statku do baraku żywności, ubrań, broni i wielu innych skrzyń z nie znaną mu zawartością zajęła całkowicie następne kilka godzin;

nigdy też nie znalazł się sam. Czegoś się jednak dowiedział. Przede wszystkim stwierdził, że Malakandra jest piękna. Jakie to dziwne, pomyślał, że w swoich spekulacjach na temat planety takiej możliwości w ogóle nie brał przedtem pod uwagę. To samo irracjonalne uprzedzenie i wynikające z niego ograniczenie wyobraźni, które kazało mu zaludniać wszechświat potworami, skłaniało go do oczekiwania, że na nieznaną planetę można znaleźć jedynie skaliste pustkowia lub też jakieś mechaniczne, abstrakcyjne układy-konstrukcje ze złego snu. Kiedy się teraz nad tym zastanawiał, nie bardzo wiedział dlaczego właściwie tak myślał. Odkrył też, że błękitna woda otaczała ich przynajmniej z trzech stron; z jednej widok zasłaniała pusta stalowa kula, w której tu przylecieli. Barak zbudowano więc albo na krańcu półwyspu, albo na wyspie. Po jakimś czasie doszedł też do wniosku, że błękitna barwa wody nie pochodziła z odbicia okraślonego oświetlenia, tak jak na Ziemi, lecz że to sama woda jest „naprawdę” błękitna. Było w tej wodzie coś nienaturalnego, zwłaszcza gdy wiatr tworzył na niej fale. Przede wszystkim wydawały się za duże jak na taki wiatr. Przywodziły na myśl wodę wystrzelającą w górę pod ciśnieniem wybuchów pocisków w bitwach morskich uwiecznionych przez ziemskich malarzy. Później zauważył, że miały nienaturalne kształty: zbyt wysokie jak na swoją długość, zbyt wąskie u podstawy, zbyt strome ze wszystkich stron. Przypomniał mu się absurdalny zwrot z wiersza jednego z tych nowoczesnych poetów o morzu, które piętrzyło się „wieżycami barbakanów”.

- Łap! - usłyszał okrzyk Devine'a.

Zdążył złapać paczkę i odrzucił ją Westonowi stojącemu w drzwiach baraku.

Z jednej strony woda rozciągała się na jakieś ćwierć mili, choć nie było to pewne, bo ocena odległości i perspektywy w tym świecie sprawiała jeszcze Ransomowi trudność. Z drugiej strony była o wiele węższa i zdawała się przelewać przez płyciznę, marszcząc się w drobne fale i wydając dziwny dźwięk, bardziej miękki i syczący niż woda w ziemskich strumieniach. Tam gdzie obmywała pokryty białoróżową roślinnością brzeg, burzyła się i musowała, jakby z dna wydobywały się gazy. Na ile tylko pozwalała mu praca, starał się zorientować, co jest na drugim brzegu. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na spiętrzoną masę czegoś purpurowego, tak wielką, że wziął ją za pokryte jakąś wrzosową roślinnością wzgórze. Z drugiej strony, za szerszą wodą, znajdowało się coś podobnego, ale tu mógł sięgnąć wzrokiem dalej. Dostrzegał dziwne kształty koloru rozbielonej zieleni: zbyt poszarpane i nieregularne jak na budynki i zbyt cienkie i strome jak na góry. Nad nimi i poza nimi znowu pię trzymała się zmierzwiona, różowa masa podobna do obłoku, choć z drugiej strony sprawiała wrażenie czegoś bardziej stałego; nie poruszyła się od czasu, gdy spojrzął na nią po raz pierwszy przez właz kosmicznego statku. Przypominała szczyt gigantycznego, czerwonego kalafiora albo wielką misę pełną czerwonych baniek mydlanych. W każdym razie była naprawdę piękna.

Przyjrzał się dokładniej purpurowej masie po drugiej stronie płycizny. Przez chwilę wyglądała jak kępa wielkich organowych puszczalek, później jak szereg ustawionych pionowo beli tkaniny, jeszcze później jak zagajnik gigantycznych parasoli, zamkniętych, lecz rozdętych od wewnątrz. Bez wątpienia poruszała się. Nagle pojął, że to żywe rośliny, prawie dwukrotnie wyższe od angielskich wiązków, lecz najwyraźniej wiotkie i kruche. Łodygi - bo trudno je było nazwać pniami - gładkie, krągłe i uderzająco długie, mogły mieć ze dwanaście metrów. Na ich końcach rozchylały się wiązki liści, wielkich jak nadmuchiwane materace i prawie zupełnie przezroczystych. Wszystko to przywodziło na myśl podwodny las; rośliny, tak wysokie i jednocześnie tak wątpłe, zdawały się potrzebować wody, która by je podtrzymywała. Ransom nie mógł dociec, w jaki sposób b utrzymują pozycję pionową. Niżej, pomiędzy łodygami, zobaczył żywy, purpurowy pókcień zmieszany z jaśniejszymi plamami słonecznego światła i wyobraził sobie niesamowite, lecz wspaniałe wnętrze tego purpurowego lasu.

- Czas na posiłek - powiedział Devine.

Ransom wyprostował plecy. Pomimo chłodu i suchości powietrza, czoło miał spocone. Porządnie się napracowali i teraz oddychał z trudem. W drzwiach baraku pojawił się Weston, mruczając coś w rodzaju „najpierw trzeba skończyć”, ale Devine nie słuchał go. Wydobyli puszkę wołowiny i trochę sucharów, a potem usiedli na skrzyniach, których sporo jeszcze leżało między statkiem a domkiem. Nie zważając na niechęć Westona, Devine wyjął butelkę whisky i nalał do kubków, dodając trochę wody. Ransom zauważył, że woda pochodziła z ich własnych zapasów, a nie z jeziora.

Jak to często bywa, nagła przerwa w wysiłku fizycznym pomogła Ransomowi uświadomić sobie, że od wylądowania pracował w nienaturalnym napięciu i podnieceniu. Początkowo widok jedzenia wywołał w nim wstręt. Jednak pamiętając o planach ucieczki zdecydował, że powinien zmusić się do zjedzenia większej porcji niż zwykle. Niespodziewanie nabrał apetytu w trakcie posiłku i w końcu pochłaniał łączywie wszystko, co mu podano. Smak pierwszego posiłku na Malakandrze połączył się odtąd na zawsze z odczuciem (nigdy póź niej nie odzyskanym) owej nieziemskiej obcości jasnego, cichego, połyskliwego, niezrozumiałego krajobrazu, z jego iglastymi, wysokimi na tysiąc stóp „wieżycami” koloru bladej zieleni, z taflami błękitnej, musującej wody i z całymi akrami różowoczerwonych baniek mydlanych. Trochę się bał, że Devine i Weston mogą zwrócić uwagę na jego apetyt i uznać go za podejrzanego, ale zajęci byli czym innym. Przez cały czas obserwowali uważnie otoczenie, wymieniali między sobą niezrozumiałe dla Ransoma uwagi i często zmieniali pozycje. Kończył właśnie swój przedłużający się posiłek, gdy zobaczył, jak Devine zeszywniał nagle jak pies, który coś zwęszył, i bez słowa położył rękę na ramieniu Westona. Obaj pokiwali głowami i wstali. Ransom łyknął resztkę whisky i również wstał. Tamci wzięli go między siebie, zobaczył też, że wyjęli rewolwery. Poprowadzili go na brzeg płycizny i stanęli, wypatrując czegoś po drugiej stronie i pokazując sobie coś rękami.

Z początku nie mógł się zorientować, o co właściwie chodzi. Wydawało mu się, że wśród purpurowych roślin pojawiły się teraz inne, nieco bledsze i niższe. Jednak jego wyobraźnię tak silnie opanowała idea pełzających, owadopodobnych mieszkańców dalekich planet, że nie zwrócił na nie większej uwagi, koncentrując się na poszyciu czerwonego lasu. Dopiero odbicie w wodzie tych białawych obiektów kazało mu przyjrzeć się im ponownie. Cztery, pięć, nie, dokładnie sześć długich łodyg, odbijających się w ruchliwej wodzie. Nie było wątpliwości: stało tam sześć białawych obiektów, wrzecionowatych i wydłużonych, dwukrotnie, a może nawet trzykrotnie wyższych od człowieka. Ransom przypomniał sobie nagle, że coś podobnego widział w książkach archeologicznych: dziwaczne, wydłużone wyobrażenia ludzi, wyrze ręką prymitywnego artysty. Ale z czego były zbudowane i w jaki sposób utrzymywały się w pozycji pionowej z tak niesamowicie długimi i wątlymi nogami, z ciężkimi, rozdętymi u góry piersiami? Wyglądały jak jakieś łodygowate, płynne karykatury ziemskich dwunogów, jak odbicia w zniekształcającym zwierciadle z wesołego miasteczka. Z całą pewnością nie były zrobione z metalu czy kamienia, bo zakółsały się lekko, gdy na nie patrzył. I nagle, w szoku, który sprawił, że krew odpłynęła mu z twarzy, odkrył, że są to żywe stworzenia, że poruszają się - idą ku nim. Przez moment zobaczył ich twarze, chude i nienaturalnie wydłużone, z długimi, dziwnie opadającymi nosami i szerokimi, obwisłymi wargami, nadającymi im wyraz na pół upiorny, na pół idiotyczny. Potem odwrócił się gwałtownie, by uciec, i znalazł się w mocnym uścisku Devine'a.

- Pozwól mi uciec! - zawołał.

- Nie bądź głupcem! - syknął Devine, wciskając mu lufę pistoletu między żebra.

Kiedy się mocowali, jedno ze stworzeń wydało nagle z siebie potężny odgłos, przypominający dźwięk rogu.

- Chcą, żebyśmy do nich przeszli - powiedział Weston.

Zaciągnęli go siłą na brzeg jeziora. W zaciętym uporze zaparł się nogami w miękkim, elastycznym gruncie i wygiął grzbiet trochę na wzór osła. Tamci stali już w wodzie, ciągnąc go ku sobie. Zdał sobie sprawę, że krzyczy. Nagle od strony dziwnych stworzeń na drugim brzegu rozległ się drugi, o wiele głośniejszy i mniej artykułowany dźwięk. Weston zaklął, rozluźnił uchwyt i niespodziewanie wystrzelił z rewolweru w wodę. Niemal w tym samym momencie Ransom zobaczył jego cel.

Coś wielkiego i błyszczącego mknęło ku nim po wodzie, tworząc za sobą pianistą smugę, jak torpeda. Devine krzyknął, pośliznął się i przewrócił do wody. Ransom ujrzał między sobą i nim błysk kłapiącej szczęki, usłyszał za sobą huk pistoletu Westona i niemal równie donośny krzyk łodygowatych potworów na drugim brzegu. Nie musiał podejmować decyzji. Gdy tylko poczuł się wolny, automatycznie runął do ucieczki, minął Westona, statek kosmiczny i popędził tak szybko, jak potrafił, przed siebie, nie zastanawiając się dokąd. Kiedy okrążył metalową kulę statku, uderzyła go w oczy dzika mieszanina barw: błękitu, czerwieni, purpury. Nie zwolnił kroku. Przebiegł przez płytką wodę, krzycząc nie z bólu, lecz z zaskoczenia, bo woda okazała się prawie gorąca. W następnej minucie wspiął się znowu na suchy brzeg. Przebiegł nagi, dość strome zbocze i z uczuciem ulgi zagłębił się w purpurowy cień między łodygami wysokich, wiotkich roślin.

Rozdział 8

Cały miesiąc bez większej aktywności fizycznej, obfity posiłek i zupełnie obcy świat na pewno nie pomagają w ucieczce. Pół godziny później Ransom nie biegł już, lecz szedł nieco chwiejnym krokiem przez purpurowy las, przyciskając rękę do serca i nasłuchując odgłosów pogoni. Po bezładnej mieszance strzałów rewolwerowych i głosów (nie wszystkie pochodziły od ludzi) usłyszał kilka wystrzałów z karabinu i okrzyków, a potem zapadła niczym nie zmacona cisza. Jak daleko sięgał wzrokiem, widział tylko rozplywające się w fioletowym półkieniu łodygi owych wysokich roślin, a wysoko nad głową zwielokrotnioną przejrzystość olbrzymich liści, przez które do uroczystego przepychu czerwonego półkienia sączyło się blade światło słońca. Gdy tylko poczuł się nieco lepiej, znowu zaczął biec. Grunt, wciąż miękki i sprężysty, pokrywało to samo niskie zielsko, na które natrafił dotykając po raz pierwszy powierzchni Malakandry. Raz czy dwa przemknęło tuż przed nim jakieś małe, czerwone stworzenie, ale poza tym las nie wydawał się tętnić życiem. Nie było czego się lękać - jeśli nie brać pod uwagę faktu samotnej ucieczki przez las zupełnie nieznanymi roślinami, bez prowiantu i broni, tysiące lub miliony mil poza zasięgiem kontaktu z ludźmi.

Biegając myślał o sornach, bo bez wątpliwości stworzenia, którym próbowali go przekazać, to były sorny. Nie mieściły się w zbiorze kosmicznych potworów, jaki zaludniał jego wyobraźnię, i dlatego tym bardziej nim wstrząsnęły. Ich widok oddalał Wellsowskie fantazje, budząc bardziej pierwotny, niemal infantylny świat lęków. Hasłami tego świata były takie słowa, jak: olbrzymy - ogry - kościotrupy - duchy. Widma na szczudłach, pomyślał, surrealistyczne straszidła z tymi ich długimi twarzami. Jednocześnie czuł, że obezwładniająca panika pierwszych chwil słabła. Myśl o samobójstwie wydała mu się już bardzo odległa. Był zdecydowany na wypróbowanie swego szczęścia aż do końca. Modlił się - i zaraz po tym dotykał rękojeści noża. Czuł do samego siebie jakąś dziwną mieszankę zaufania i litości. „Będziemy na sobie polegać, Ransom”, powtarzał w duchu.

Z rozmyślań wyrwała go zmiana w otoczeniu. Od dłuższego czasu szedł pod górę, mając po prawej stronie większą stromiznę; najwidoczniej wspinał się zakolami na wysokie wzgórze. Drogę zaczęły mu przecinać ostre fałdy gruntu, bez wątpliwości odnogi wzgórza po prawej stronie. Nie bardzo wiedział, dlaczego na nie się wspina, ale z jakiegoś powodu to czynił, być może odległe wspomnienie ziemskiej topografii podpowiadało mu, że schodząc niżej napotka odkryte przestrzenie pozbawione lasu, a także wodę, gdzie sorny mogą go łatwiej schwytać. Przecinając te ostrogi i wąwozy, zdumiewał się ich stromością, która jednak nie sprawiała mu większych trudności. Zauważył też, że nawet najmniejszy pagórek miał zupełnie nieziemskie kształty: zbyt wąski, zbyt strzelisty, zbyt cienki u podstawy. Przypominał sobie fale na błękitnym jeziorze, one też miały te dziwne cechy. Patrząc w górę na bladopurpurowe liście, odkrywał tę samą tendencję do wydłużania się w górę, ten sam pęd ku niebu. Szczyty roślin nie pochylały się w dół, jak na Ziemi. Pomimo ich niewiarygodnej wysokości, podtrzymywało je samo powietrze, tak że wysmukłe nawy niezwykłego lasu wyrastały strzeliście w górę, zwieńczone czymś w rodzaju wachlarzowego, gotyckiego ornamentu. A i te sorny - wzdrygnął się na samą myśl - też miały nienaturalnie wydłużone kończyny.

Ransom miał wystarczający zasób wiadomości z dziedziny nauk ścisłych, by dojść do wniosku, że znajduje się na planecie dużo lżejszej od Ziemi. Wszystko wymagało tutaj użycia mniejszej siły i przyroda mogła iść swobodnie za impulsem pociągającym ją ku niebu. Zaczął się więc zastanawiać, gdzie właściwie jest. Nie mógł sobie przypomnieć, czy Wenus jest większa czy mniejsza od Ziemi, ale zdawało mu się, że jest tam o wiele cieplej niż tu. Może to Mars, a może

Księżyc. Jeśli chodzi o Księżyc, to w pierwszej chwili odrzucił tę możliwość, skoro po wylądowaniu nie widać było na niebie Ziemi, ale później przypomniał sobie, że jedna strona Księżyca jest zawsze od Ziemi odwrócona. Tak, z tego wszystkiego, co wiedział, wynikało, że wędruje po drugiej stronie Księżyca... W jakiś irracjonalny sposób poczuł się jeszcze bardziej osamotniony niż przedtem.

Po dnach wielu stromych żlebów, które przecinał, spływały wartko błękitne, syczące strumienie. Woda w nich była ciepła, tak jak w jeziorze, ciepłe też było powietrze nad nimi, tak że wspinając się na zbocza żlebów i schodząc na ich dna znajdował się w coraz to innej temperaturze. Ten właśnie kontrast zwrócił jego uwagę na fakt, że w lesie robiło się coraz chłodniej, a kiedy się rozejrzył, nabrał pewności, że i światło zaczęło przygasać. W swoich kalkulacjach w ogóle nie brał pod uwagę nocy. Nie miał pojęcia, jak może wyglądać noc na Malakandrze. Kiedy tak stał wpatrzony w gęstniejący półmrok lasu, przez gąszcz purpurowych łodyg przedarł się podmuch zimnego wiatru, poruszając nimi i jeszcze bardziej wydobywając zadziwiającą różnicę między ich wysokością a wiotkością. Poczul nagle falę głodu i zmęczenia, tak długo tłumionych przez mieszaninę strachu i ciekawości. Wzdrygnął się i zmusił do ruszenia w dalszą drogę. Wiatr wzmagął się. Potężne liście tańczyły i chyliły się gwałtownie nad jego głową. Podmuchy pozwalały uchwycić widok bladego nieba, w miarę upływu czasu coraz ciemniejszego, aż wreszcie zobaczył dwie lub trzy gwiazdy. Las utracił majestatyczne piękno i spokój. Ransom rozglądał się niespokojnie, szukając czającego się wroga, lecz ciemność zapadała bardzo szybko. Teraz chętnie wypatrywał strumieni, grzejąc przy nich zmarznięte członki.

Ciepło bijące od wody podsunęło mu myśl o znalezieniu schronienia przed narastającym szybko zimnem. W końcu dalsza wędrówka nie miała sensu. Z tego wszystkiego, co wiedział, wynikało, że równie dobrze mógł oddalać się od niebezpieczeństwa, jak i do niego zbliżyć. Zagrożenie czaiło się wszędzie: wcale nie był bardziej bezpieczny, gdy szedł niż gdy odpoczywał. Nad strumieniem może być dość ciepło, aby się położyć. Ruszył zwawiej, w poszukiwaniu wody, lecz jak na złość nie pojawiała się tak długo, że zaczął już się lękać, iż oddalił się od rejonu strumieni. Już prawie zdecydował, że zawróci, gdy teren gwałtownie się obniżył. Ześliznął się po stromym zboczu, podniósł się i stwierdził, że stoi na brzegu potoku. Dziwaczne „drzewa” rosły tu rzadziej, a woda zdawała się lekko fosforyzować, tak że było tu nieco jaśniej. Wiedziony niejasnym przyzwyczajeniem turysty, zawsze szukającego „lepszego miejsca”, poszedł kilkanaście kroków w górę strumienia. Wąwóz piął się dość stromo pod górę i po chwili dostrzegł przegradzającą strumień kataraktę. Zauważył, że woda spływa trochę za wolno, jak na taki spadek, ale był zbyt zmęczony, by się nad tym zastanawiać. Temperatura wody była wyraźnie wyższa niż w jeziorze: być może gdzieś blisko było podziemne ciepłe źródło. Ale interesowało go tylko to, czy nadaje się do picia. Odczuwał okropne pragnienie, lecz widok tej białawej, syczącej cieczy bardziej kojarzył się z trucizną niż z wodą i w końcu zdecydował, że spróbuje jeszcze wytrzymać. Może zmęczenie pozwoli mu zasnąć bez zaspokojenia pragnienia. Ukląkł i obmył ręce w ciepłym strumieniu, a potem wcisnął się do jakiejś jamy tuż przy wodospadzie i głośno ziewnął.

Ten dźwięk - stary dźwięk rozlegający się w ziemskich żłobkach, szkolnych internatach i w tak wielu sypialniach - wyzwolił w nim falę rozczulenia nad samym sobą. Podciągnął kolana i objął je ramionami. Poczul coś w rodzaju fizycznej, prawie synowskiej miłości do własnego ciała. Przystawił zegarek do ucha i stwierdził, że stanął. Nakręcił go. Mruczając coś, prawie skamłając do samego siebie, myślał o ludziach idących do łóżka na dalekiej planecie Ziemi - o ludziach w pensjonatach, w luksusowych kajutach transatlantyków, w hotelach, o małżeństwach, o małych dzieciach, nad których snem czuwają nianie, o rozgrzanych, pachnących tytoniem mężczyznach stłoczonych w żołnierskich ziemiankach i w ciasnych pomieszczeniach dla załogi na handlowych

statkach. Nie mógł się oprzeć chęci mówienia do siebie:

- Będziemy się tobą opiekować, Ransom... Będziemy się trzymać razem, stary.

Nagle przyszło mu do głowy, że jedno z tych stworzeń z kłapiącymi szczękami może żyć w tym strumieniu.

- Masz zupełną rację, Ransom - zamruczał do siebie. - To nie jest najlepsze miejsce na nocleg. Trochę sobie tylko odpoczniemy, a kiedy poczujesz się lepiej, ruszymy dalej w drogę. Ale nie teraz. Za jakiś czas.

Rozdział 9

Obudziło go pragnienie. Nie zmarzył w nocy, choć ubranie nasiąkło wilgocią. Leżał w słońcu, a tuż u jego boku jarzyła się perliście niebieska kaskada, rozlewając się w gamę błękitów, przejrzystych pókieni i ruchliwych światełek, wzbijających się w niesamowitym tańcu wysoko, aż do bladopurpurowych liści na szczycie łądyg. Powoli sięgał do swej świadomości, mozolnie wydobywając z niej bolesne odpryski wiedzy o swojej sytuacji. Gdyby nie zdołał zachować zimnej krwi, padłby ofiarą sornów. A potem, z trudną do opisania ulgą przypomniał sobie jakiegoś człowieka wędrującego samotnie przez las. Biedaczysko! Jak dobrze byłoby podejść do niego i zawołać: „Hej! Ransom!” Nie, to niemożliwe... Przecież to on sam. To on nazywa się Ransom. Ale czy aby na pewno? Kim wobec tego był ten człowiek, którego zaprowadził do gorącego strumienia i utulił do snu, przestrzegając przed piciem tej dziwnej wody? To chyba jakiś nowy przybysz, podobnie jak on nie znający okolicy, w której się obaj znaleźli. Ale cokolwiek mu powiedział, teraz sam zamierza się napić. Położył się na brzegu i zanurzył twarz w ciepłej, wartkiej wodzie. Miała przyjemny smak. Pachniała mocno minerałami, ale była dobra. Napił się jeszcze raz i poczuł się wyraźnie odświeżony i wzmocniony. Cóż za nonsens z tym drugim Ransomem! Zrozumiał, że jest bliski obłądu, i zabrał się energicznie do porannej toalety, a potem pomodlił się, jak to zawsze robił na Ziemi. Zresztą możliwość obłądu nie zrobiła na nim większego wrażenia. Nie wykluczone, że już zwariował i naprawdę nie jest na żadnej Malakandrze, lecz leży bezpiecznie w łóżku, w angielskim szpitalu dla obłąkanych. Gdyby tak było! Zapytałby Ransoma... och, niech to diabli! Znowu przestaje panować nad sobą. Wstał i ruszył w drogę szybkim krokiem.

Złudzenia i przywidzenia powracały co kilka minut. Nauczył się nie reagować na nie gwałtownie, pozwalał im gościć w swojej świadomości, spokojnie czekając, aż rozwieją się same. Nie widział sensu, by się nimi przejmować. O wiele ważniejszy był problem pożywienia. Spróbował naciąć nożem łądygę jednego z tych dziwnych „drzew”. Jak oczekiwał, nie była twarda jak pień drzewa, lecz miękka jak jakieś warzywo. Wyciął kawałek i spostrzegł, że cała gigantyczna roślina zareagowała na to wibracją od gruntu po pęki liści na szczycie, zupełnie tak, jakby potrząsnął jedną ręką masztem wielkiego żaglowca w pełnej gali. Włożył kawałek łądygi do ust i nie wyczuł prawie żadnego smaku. Żuł go przez kilka minut, lecz niewiele to dał o: musiał w końcu wypluć gumowatą masę, która nie dawała się przełknąć. Ale powtarzał to co jakiś czas, aby oszukać narastający głód.

Jego wędrowka przestała już być ucieczką. Stała się włóczęgą bez planu, z nikłą motywacją znalezienia czegoś do zjedzenia. Zdawał sobie sprawę ze słabości tej motywacji, bo przecież nie miał pojęcia, czy na Malakandrze w ogóle jest coś, co nadawałoby się do zjedzenia, a gdyby nawet, nie wiedział, jak to rozpoznać. Raz, gdy przechodził przez mniej zarośniętą przestrzeń, przeraziło go nagle olbrzymie żółte stworzenie; potem pojawiło się drugie, a wreszcie całe stado. Zanim zdołał uciec, znalazł się w jego środku. Te wielkie, porośnięte bladym futrem stworzenia najbardziej przypominały żyrafy, choć o wiele od nich wyższe i smuklejsze. Potrafiły też stawać na tylnych nogach i nawet przejść kilka kroków w tej pozycji. Odżywiały się liśćmi rosnącymi na szczytach purpurowych łądyg. Dostrzegły go i gapiły się na niego wielkimi, wodnistymi oczami, warcząc *basso profundissimo*, ale najwyraźniej bez wrogich zamiarów. Ich żarłoczność była zastraszająca. W ciągu pięciu minut ogołociły szczyty kilkuset „drzew”, wpuszczając do mrocznej puszczy potoki słonecznego światła. Potem odeszły.

To wydarzenie natchnęło Ransoma otuchą. Sorny nie były więc jedynym przejawem życia na planecie, czego się już zaczynał obawiać. Te stworzenia z całą pewnością należały do jakiegoś rodzaju zwierząt, być może nadającego się do hodowli ze względu na mięso. Zwrócił też

baczniejszą uwagę na wielkie liście. Gdyby tylko mógł wspiąć się na „drzewa”! Gapiąc się na nie, zauważył, że spustoszenie, jakie uczyniły w nich bladeżółte „żyrafy”, otworzyło widok na grupę owych białozielonych obiektów, które zobaczył na drugim brzegu jeziora zaraz po wylądowaniu.

Tym razem znajdowały się o wiele bliżej. Były niesamowicie wysokie, tak że musiał ostro zadzierać głowę, żeby zobaczyć ich szczyty. Kształtem przypominały trochę pylony o różnej wysokości, rozrzucone w nieregularnych grupach bez żadnej dostrzegalnej zasady. Niektóre zakończone były ostrymi iglicami, inne, zwężając się ku górze, wybrzuszały się nagle w węzlaste odnogi i platformy, które na przybywszu z Ziemi sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły runąć w dół. Zauważył, że boki miały bardziej nierówne i porysowane, niż sądził z początku, a między dwiema rysami dostrzegł falistą, jasnobłękitną wstęgę, przywodzącą na myśl spadającą z wysoka wodę. To właśnie przekonało go ostatecznie, że mimo swych niewiarygodnych kształtów owe obiekty są po prostu górami. Po tym odkryciu przestał dostrzegać jedynie dziwaczność form: nagle zobaczył ich fantastyczną majestatyczność. Oto miał przed sobą doskonały wyraz owej zasady strzelistości, którą odnalazł już w kształtach roślin, zwierząt i wody na Malakandrze, a która tu urzeczywistniała się jakby na pokaz w orgii skał pnących się ku niebu, wytryskających w górę jak kamienna fontanna, zawieszonych w powietrzu dzięki swej lekkości, tak ukształtowanych, tak smukłych, że wszystkie ziemskie góry będą mu się odtąd wydawały górami leżącymi na boku. Patrząc na nie poczuł dziwne uniesienie i lekkość.

Ale w następnej chwili serce mu zamarło. Na bladym tle gór, całkiem niedaleko od niego - bo same góry nie były chyba dalej niż ćwierć mili - pojawił się jakiś ruchomy kształt. Rozpoznał go od razu, gdy przesuwał się powoli (i, według Ransoma, ukradkiem) między dwoma ogołocionymi z liści szczytami „drzew”: wzrost olbrzyma, trupia chudość, wydłużony, obwisły, przypominający czarodzieja z książek dla dzieci - profil sorna. Głowę miał wąską, stożkową, ręce - albo szpony - którymi rozgarniał łodygi, były ruchliwe, pająkowane i prawie przezroczyste. Ransom poczuł nagle pewność, że sorn szuka właśnie jego. Wszystko to doszło do jego świadomości w nieskończenie krótkim czasie. Zaledwie ów niemożliwy do wymazania z pamięci obraz dotarł do jego mózgu, biegł już tak szybko, jak potrafił, ku największej gęstwinie lasu.

Nie miał żadnego planu prócz instynktownego pragnienia znalezienia się jak najdalej od sorna. Modlił się gorączkowo, by nie było ich więcej. Może cały las jest ich pełen, może są na tyle inteligentne, że go okrążyły! Nie mógł jednak nic na to poradzić, jedyne, co mu pozostawało, to pędzić, pędzić, pędzić - z nożem w ręku. Cały strach zamienił się teraz w działanie; był chłodny i napięty, gotowy - tak gotowy, jak nigdy w życiu - do ostatniej próby. Biegł w dół po zboczu jakiegoś wzgórze, biegł tak szybko, a pochyłość była tak stroma, że gdyby jego ciało podlegało ziemskiej sile ciężenia, runąłby na ręce i kolana, zsuwając się w dół po zboczu. Nagle zobaczył przed sobą coś jasnego i błyszczącego. W chwilę później wynurzył się z lasu i zatrzymał, oślepiiony słońcem i wodą, na brzegu szerokiej rzeki. Przed nim rozciągała się równina z rzeką, jeziorem, wyspą i cyplem, do złudzenia podobna do tej, jaką ujrzał, gdy po raz pierwszy stanął na Malakandrze.

Nie słyszał odgłosów pogoni. Położył się na brzuchu i pił, przeklinając świat, w którym nie istnieje coś takiego jak zimna woda. Potem leżał nieruchomo, nasłuchując i odzyskując oddech, wpatrzony w błękitną wodę. Wtem, jakieś dziesięć metrów od brzegu, zobaczył najpierw bąble, potem rozchodzące się szybko kręgi, a wreszcie z wody wynurzył się lśniący, czarny kształt przypominający kulę armatnią. Potem zobaczył oczy i usta, wydmuchujące powietrze usta okolone pęcherzykami. Potem wynurzyło się tego więcej. Aż wreszcie, rozgarniając wodę z głośnym pluskiem, coś wielkiego, gładkiego i czarnego wczołgało się na brzeg i stanęło, parując, na tylnych nogach. Miało około dwóch metrów wzrostu i było zbyt szczupłe, jak wszystko na Malakandrze.

Stworzenie, pokryte gęstym, czarnym włosem, lśniącem jak futro fok, miało krótkie nogi z pletwiastymi stopami, szeroki ogon jak u bobra lub ryby, mocne łapy z palcami połączonymi błoną i dziwne narośla na brzuchu, które Ransom wziął za genitalia. Było to coś pośredniego między pingwinem, może foką, a olbrzymim gronostajem. Wielka okrągła głowa z długimi wąsami najbardziej przypominałaby głowę fok, gdyby nie o wiele wyższe czoło i proporcjonalnie węższe usta, natomiast smukłość i giętkość całego ciała przywodziła na myśl gronostaja.

Nadchodzi taki moment, w którym dla ściganego wszelkie środki ostrożności i odruchy strachu stają się czystą konwencją, już nie będącą wyrazem paniki czy nadziei ocalenia. Ransom leżał bez ruchu, przywierając całym ciałem do różowych porostów, całkowicie poddany teoretycznej idei, że być może nie zostanie zauważony. Nie odczuwał już prawie niczego. Sformułował w myśli beznamiętną obiektywną refleksję, że w ten oto sposób kończy się jego przygoda: został wreszcie schwytyany w pułapkę między sornem z lądu i wielkim czarnym zwierzęciem z wody. Odnosił, co prawda, że szczęki i usta bestii raczej nie wskazują na mięsożerność, ale zdawał sobie sprawę, że jego wiedza zoologiczna jest zbyt uboga, by mieć co do tego pewność.

A potem wydarzyło się coś, co zupełnie wytrąciło go z równowagi. Czarne stworzenie, które wciąż stało na brzegu, parując, otrząsając się z wody i najwyraźniej nie zwracając na niego uwagi, otworzyło usta i zaczęło wydawać z siebie jakieś dźwięki. Nie byłyby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że jako doświadczony lingwista rozpoznał w nich wyraźnie dźwięki artykułowane. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości: to stworzenie mówiło. Posługiwało się jakimś językiem. Obawiam się, że jeśli czytający te słowa nie jest filologiem, musi po prostu uwierzyć w niesamowitość emocjonalnych konsekwencji, jakie odkrycie to spowodował w umyśle Ransoma. Zobaczył już nowy świat, ale nowy, pozaziemski, nieludzki język - to zupełnie coś innego. Z jakichś powodów nie przyszło mu to do głowy podczas spotkania z sornami; teraz poczuł się tak, jakby jego mózg nawiedziła błyskawica objawienia. Umiłowanie wiedzy jest czymś w rodzaju szaleństwa. W ułamku sekundy, jaki mu wystarczył, by stwierdzić, że to stworzenie naprawdę mówi, mając wciąż świadomość bliskości śmierci, wyobraźnia Ransoma wzniosła się ponad lęki, nadzieje i wszystkie prawdopodobieństwa rozwoju sytuacji, by oddać się oszalałemu projektowi sporządzenia malakandryjskiej gramatyki. Przez głowę zaczęły mu przepływać tytuły: *Wprowadzenie do języka malakandryjskiego... Czasownik księżycowy... Zwięzły słownik marsjańsko-angielski*. A czegoż to nie można odkryć w mowie pozaziemskiej rasy! Można uchwycić samą formę języka jako takiego, zasadę rządzącą wszystkimi możliwymi językami. Bezwiednie uniósł się na łokciach i popatrzył na czarne stworzenie, które nagle zamilkło. Ogromna kulista głowa odwróciła się i przenikliwe spojrzenie bursztynowych oczu spoczęło na Ransomie. Zapanowała kompletna cisza; ani nad jeziorem, ani w lesie nie było wiatru. Przedstawiciele dwu zupełnie obcych gatunków wpatrywali się w siebie w milczeniu.

Minęły długie minuty, zanim Ransom podniósł się na kolana. Stworzenie cofnęło się, nie spuszczać z niego oczu, po czym znowu obaj zamarli w bezruchu. Po chwili zrobiło krok w stronę Ransoma, który podskoczył i zaczął uciekać, ale niezbyt daleko; ciekawość zatrzymała go w miejscu. Zebrał w sobie całą odwagę i wrócił, wyciągając rękę. Zwierzę nie zrozumiało tego gestu. Rzuciło się błyskawicznie do wody i stanęło na płyciźnie, gotowe do nagłego ruchu, o czym świadczyło drganie mięśni pod lśniącą skórą. Ale i ono było najwyraźniej zafascynowane tym spotkaniem. I tak stali nieruchomo naprzeciw siebie - człowiek i owo stworzenie - nie mając dość odwagi, by pozwolić drugiemu na zmniejszenie dzielącego ich dystansu, a jednocześnie nie czując przemożny impuls, by uczynić to samemu. Był to jednocześnie głupie, przerażające, ekscytujące i nie do zniesienia. Było w tym coś więcej niż zwykła ciekawość. Było w tym coś ze spotkania pierwszego mężczyzny i pierwszej kobiety na świecie, a może coś więcej, bo przecież w

porównaniu z tym pierwszym spotkaniem dwu e alkowicie różnych, lecz rozumnych gatunków, tak naturalny jest kontakt dwu płci, tak ograniczona obcość, tak powierzchowna powściągliwość, tak łatwa do przewyciężenia niechęć.

Nagle stworzenie odwróciło się i zaczęło odchodzić. Ransom poraziło uczucie zawodu, graniczące z rozpaczą.

- Wróć! - zawołał po angielsku.

Stworzenie odwróciło się ponownie, rozłożyło łapy i przemówiło w swoim niezrozumiałym języku, po czym odeszło nieco dalej. Ransom poczuł ulgę, gdy zobaczył, że schyla się po coś i wraca. W ręku (Ransom myślał już o tych pletwowatych łapach jak o rękach) trzymało coś, co przypominało muszlę ostrygi, lecz bardziej okrągłą i głębiej sklepioną. Potem zanurzyło muszlę w jeziorze i wydobyło pełną wody. A potem przyłożyło ją do brzucha i nalało czegoś do wody. Ransom z obrzydzeniem pomyślał, że stworzenie oddało mocz do muszli. Bardziej uważna obserwacja dziwnych wypustek na brzuchu stworzenia doprowadziła go jednak do zupełnie nieoczekiwanego odkrycia: to wcale nie były genitalia, to w ogóle nie były żywe organy. Stworzenie miało na sobie coś w rodzaju pasa, z którego zwieszały się różne, przypominające woreczki przedmioty. Płyn dolany do wody w muszli pochodził najwidoczniej z jednego z nich. Teraz stworzenie podniosło muszlę do warg i zaczęło pić, nie przechylając głowy jak człowiek, lecz pochylając ją i wciągając płyn jak koń. Kiedy skończyło, znowu napełniło muszlę wodą, ponownie dodało do niej parę kropel płynu z przymocowanego do pasa pojemnika, który przypominał skórzany bukłak. Trzymając muszlę w obu rękach, wyciągnęło ją do Ransom. Intencja była oczywista. Ociągając się, prawie z nieśmiałością, Ransom podszedł i wziął naczynie. Końce jego palców dotknęły błony między pazurami stworzenia i wstrząsnął nim trudny do opisania dreszcz wstrętu zmieszanego z sympatią. Potem wypił. Cokolwiek dodano do wody, smakowała teraz jak alkohol. Nigdy nie pił czegoś równie dobrego.

- Dziękuję - powiedział po angielsku. - Bardzo dziękuję.

Stworzenie uderzyło się w piersi i wydało jakiś dźwięk. Ransom nie od razu pojął, co to znaczy. Potem zrozumiał, że ta istota próbuje mu przekazać swoje imię lub nazwę swojego gatunku.

- *Hross* - powiedziała. - *Hross* - i poklepała się po piersiach.

- *Hross* - powtórzył Ransom i wskazał na nią. - *Man* - powiedział i stuknął kilka razy palcem w swoją pierś.

- *H... hma... Hmen* - powtórzył *hross*. Zebrał garść ziemi obnażonej między różowymi porostami i wodą. - *Handra* - powiedział.

Ransom powtórzył. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Malakandra? - powiedział, wyraźnie intonując pytanie.

Hross potoczył oczami i rozchylił ramiona, najwyraźniej pragnąc wskazać na cały krajobraz. Ransom był dumny z siebie. *Handra* to nazwa ziemi jako elementu; *Malakandra* - to „ziemia” w znaczeniu całej planety. „Wystarczy teraz dowiedzieć się, co znaczy *Malak*”, pomyślał. Tymczasem zanotował w pamięci, że spółgłoska „h” zanika po „k”, czyniąc tym samym pierwszy krok w poznaniu malakandryjskiej fonetyki. *Hross* próbował teraz przekazać mu znaczenie słowa *handramit*. Ransom rozpoznał w nim rdzeń *handra* i znowu zanotował, że w tym języku istnieją przedrostki i przyrostki, ale tym razem nie mógł zrozumieć, co oznaczają gesty *hrossa* i znaczenie słowa *handramit* pozostało dla niego zagadką. Wobec tego przejął inicjatywę; otworzył usta i wskazał na nie palcem, imitując czynność jedzenia. Malakandryjskie słowo, które teraz usłyszał, zawierało spółgłoski nie do wymówienia przez ludzkie usta, więc próbował za pomocą gestów wyjaśnić, że jego zainteresowanie jedzeniem jest nie tylko filologiczne, ale i czysto praktyczne. *Hross* zrozumiał go, ale minęło nieco czasu, zanim Ransom pojął, że jest zachęcany, by gdzieś

pójść. W końcu uczynił to.

Hross poprowadził go w tym kierunku, w którym uprzednio szukał muszli. Ku swemu niezbyt uzasadnionemu zdumieniu Ransom zobaczył po chwili coś w rodzaju łodzi przycumowanej do brzegu. To jeszcze bardziej przekonało go do rozumności hrossa, zwłaszcza że łódź, choć przystosowana do zwykłych rozmiarów malakandryjskich stworzeń, bardzo przypominała ziemskie łodzie. (Musiało upłynąć trochę czasu, zanim zadał sobie pytanie: „A do czego innego mogłaby być podobna łódź?”) Hross wydobyl z łodzi owalną tacę z żylastą, elastyczną masą, pokrył ją pasemkami gąbczastej, pomarańczowej substancji i wręczył to wszystko Ransomowi. Ten odciął kawałek nożem i zaczął jeść, najpierw z pewnym wahaniem, później z niepoahamowaną żarłocznością. Smakowało to trochę jak fasola, ale było słodsze, w każdym razie ktoś, wygłodzony jak on, mógł to zjeść z przyjemnością. Kiedy się nasycił, świadomość całej sytuacji powróciła z obehładniającą mocą. Olbrzymie, podobne do foki stworzenie, siedzące nieruchomo obok niego, stało się niepokojąco złowieszcze. Wyglądało przyjaźnie, ale było wielkie, czarne i nic o nim nie wiedział. Jaki miało stosunek do sornów? I czy rzeczywiście było tak rozumne, jak się wydawało?

Upłynęło wiele dni, zanim Ransom odkrył, jak sobie radzić z takimi nagłymi utratami zaufania. Nadchodziły wówczas, gdy rozumność hrossa skłaniała do myślenia o nim jak o człowieku. Wtedy stawał się nieznośnie obrzydliwy: człowiek o wzroście grubo ponad dwa metry, z węzowatymi członkami i kocimi wąsami, pokryty od stóp do głowy czarną zwierzęcą sierścią. Patrząc na niego z zupełnie innej strony, miało się zwierzę, ze wszystkim, co zwierzę powinno mieć: połyskliwym futrem, przejrzystymi oczami, słodkim oddechem i najbielszymi zębami, a dopiero do tego można było dodać - jakby raj nigdy nie został utracony i najwcześniejsze marzenia okazały się prawdą - czar mowy i rozumu. Nic nie mogło być bardziej odrażające niż wrażenie pierwsze i nic bardziej miłe - niż drugie. Wszystko zależało od punktu widzenia.

Rozdział 10

Kiedy Ransom skończył jeść i napił się wzmocnionej malakandryjskiej wody, hross wstał i wszedł do łodzi. Uczynił to na sposób zwierzęcia, głową wprzód. Jego giętkie, długie ciało pozwalało mu oprzeć ręce na dnie łodzi, podczas gdy stopy spoczywały jeszcze na lądzie. Cała operacja została zakończona uniesieniem zadu, ogona i tylnych łap na jakieś półtora metra, a następnie opuszczeniem ich płynnie do środka łodzi ze zręcznością, jaka byłaby niemożliwa dla jakiegokolwiek zwierzęcia tych rozmiarów na Ziemi.

Wszedłszy w ten sposób do łodzi, hross wylądował z powrotem na brzeg i wskazał na nią ręką. Ransom zrozumiał, że jest zapraszany do uczynienia tego samego. Pytanie, jakie od dłuższego czasu cisnęło mu się na usta, nie mogło być, rzecz jasna, obecnie zadane. Czy *hrossa* (odkrył później, że tak brzmiała liczba mnoga od *hross*) były na Malakandrze gatunkiem dominującym, a *sorny*, mimo swych człowiekowatych kształtów, jedynie rodzajem półrozumnej trzody? Mogło być też odwrotnie: *hrossy* mogły być domowymi zwierzętami *sornów*, a jeśli tak, to te ostatnie odznaczałyby się superinteligencją. Jego wyobraźnia przyzwyczajona była raczej do łączenia nadludzkiej inteligencji z monstrualnością formy i bezwzględnością woli. Wejście do łodzi *hrossa* mogło oznaczać oddanie się w ręce *sornów* na końcu podróży. Z drugiej strony to zaproszenie mogło stanowić jedyną złotą szansę opuszczenia raz na zawsze lesistego kraju zamieszkałego przez *sorny*.

Tymczasem hross zaczynał okazywać zaskoczenie jego widocznym brakiem inteligencji i coraz natarczywiej ponawiał swoje gesty. W końcu to właśnie pomogło Ransomowi w podjęciu decyzji. Uznał, że w jego sytuacji nie może się zastanawiać poważnie nad porzuceniem towarzystwa przyjaznego dotąd stworzenia. Jego zwierzęcość szokowała go w wieloraki sposób, ale nadzieja na poznanie jego języka, a jeszcze głębiej owa nieuchwytna, lecz nieodparta fascynacja wzajemną innością, a wreszcie poczucie, że to on sam decyduje o swych dalszych losach - wszystko to wiązało Ransoma z czarnym stworzeniem mocniej, niż zdawał sobie z tego sprawę. Wszedł do łodzi.

W łodzi nie było żadnych siedzeń. Miała bardzo podniesiony dziób, duże wychylenie wolnej burty oraz nienaturalnie małe zanurzenie, tak że przypominała raczej nowoczesny europejski ślizgacz. Lina utrzymująca ją przy brzegu na pierwszy rzut oka wyglądała na zwykłą ziemską linę, ale hross nie odwiązał jej, lecz po prostu pociągnął i przerwał, tak jak się przerywa cienki walek z plasteliny lub miękką pałeczkę toffi. Potem przysiadł na rufie i wziął do ręki wiosło z tak olbrzymim piórem, że Ransom zastanawiał się, jak w ogóle można się nim posługiwać, zanim przypomniał sobie o małej sile ciężenia na tej planecie. Długość ciała *hrossa* pozwalała mu na swobodne i szybkie wiosłowanie mimo wysokich burt.

Przez pierwsze kilka minut płynęli między brzegami porośniętymi purpurowymi drzewami. Szlak wodny miał tu najwyżej sto metrów szerokości. Potem okrążyli cypel i wypłynęli na rozległą przestrzeń wodną - jakieś wielkie jezioro, prawie morze. Hross rozglądał się uważnie i często zmieniał kierunek, utrzymując łódź w sporej odległości od brzegu. Oślepiająca, jasnoblękitna przestrzeń otwierała się wokół nich coraz szerzej. Trudno było na nią patrzeć. Ciepło bijące od wody zrobiło się dokuczliwe, Ransom zdjął więc czapkę i kurtkę, co najwyraźniej bardzo zaskoczyło *hrossa*.

Ransom stanął ostrożnie na dnie łodzi, by przyjrzeć się lepiej malakandryjskim widokom. Przed nimi i za nimi rozciągało się rozmięgotane jezioro, tu i tam poznaczone różnymi wyspami, a gdzie indziej rozlewające się radośnie ku bładoniebieskiemu niebu. Zauważył, że słońce mieli prawie nad głowami: znajdowali się więc w malakandryjskich tropikach. Po obu stronach

rozlewisko tworzyło bardziej skomplikowane układy wody i ładu, ozdobionego pióropuszcami gigantycznych purpurowych roślin. Nad nimi wznosiły się postrzępione ściany bladozielonych szczytów, które Ransom wciąż z pewnym oporem nazywał górami, tak były wysmukłe, wiotkie, ostre, wąskie i tak niepewnie zachowujące równowagę. Z prawej strony oddalone były zaledwie o pół mili, po lewej odległość mogła wynosić z siedem mil, ale i tu robiły imponujące wrażenie. Strzegły z obu stron tego niesamowitego, wodnego kraju i Ransom doszedłw końcu do wniosku, że płynie dnem majestatycznego kanionu, szerokiego na jakieś dziesięć mil i o trudnej do określenia długości. Między szczytami gór, a niekiedy i ponad nimi, pojawiały się od czasu do czasu owe wielkie, kłębiaste masy czerwonoróżowej substancji, które poprzedniego dnia wziął za obłoki. Teraz zobaczył, że się mylił, bo poza nimi nie było nieba; za łańcuchem strzelistych gór teren dalej się podnosił, tworząc gigantyczny, zębaty bastion niezliczonych płaskowyży. Tylko na wprost, przed łodzią, i za jej rufą powierzchnia planety rozcięta była wielkim kanionem, który teraz wydał się Ransomowi jedynie wielką bruzdą lub szczeliną w płaskowyżu.

Zastanawiał się, czym są owe przypominające obłoki czerwone masywy i spróbował o to zapytać gestami. Pytanie było jednak zbyt szczegółowe jak na język gestów. Ze skomplikowanej gestykulacji hrossa - a jego ręce były o wiele bardziej giętkie i ruchliwe niż ludzkie, w szybkich ruchach przypominające prawie bicze - wynikało, iż odpowiada na pytanie o nazwę w ogóle terenu położonego wyżej. Nazwał go *harandra*. Niski, wodny kraj, wąwóz lub kanion, określił słowem *handramit*. Ransom uchwycił słowotwórcze implikacje: *handra* - to ziemia, *harandra* - wysoka ziemia, góra, *handramit* - niska ziemia, dolina. A więc właściwie: wyżyna i nizina. O szczególnej wadze tego podstawowego rozróżnienia w malakandryjskiej geografii miał się dowiedzieć później.

Tymczasem hross zakończył swoją ostrożną nawigację. Znajdowali się parę mil od brzegu, gdy nagle przestał wiosłować i usiadł na dnie łodzi, cały napięty, z wiosłem uniesionym prostopadle w górę. Niemal w tej samej chwili łódź zadygotała i wystrzeliła do przodu jak z katapulty. Najwyraźniej trafili na silny prąd. Po kilku sekundach mknęli już z szybkością około piętnastu mil na godzinę, unosząc się i opadając na dziwacznych, pionowych falach w serii nieregularnych, ostrych szarpnięć, nie przypominających podróży morskiej na żadnym, choćby i najbardziej niezwykle wzburzonym ziemskim morzu. Ransomowi kojarzyło się to raczej z jednym z najgorszych doświadczeń z czasów służby w kawalerii: z jazdą truchtem. W każdym razie poczuł się okropnie. Uchwycił mocno burtę lewą ręką, prawą osłaniając twarz: wilgotne ciepło bijące od wody stało się naprawdę trudne do zniesienia. Zastanawiał się, czy malakandryjskie jedzenie, a tym bardziej picie, jest rzeczywiście przyswajalne przez ludzki żołądek. Dzięki Bogu, jest dobrym żeglarzem! W każdym razie dość dobrym żeglarzem. No, może...

Pospiesznie wychylił się za burtę. Gorąco buchnęło mu w twarz. Wydało mu się, że w głębi wody dostrzegł wijące się węgorze: długie, srebrne węgorze... Najgorsze wydarzyło się nie jeden, lecz wiele razy. Upokorzony, przypomniał sobie wyraźnie wstyd, jaki przeżył, gdy mu się zrobiło niedobrze na jakimś dziecięcym przyjęciu... dawno, dawno temu, na planecie, na której się urodził. Teraz poczuł podobny wstyd. Tak nie powinien się zachowywać pierwszy wysłannik rasy ludzkiej w obecności przedstawiciela pozaziemskiego gatunku. Czy hrossy też wymiotują? Czy jego przewodnik zdaje sobie sprawę, w jakim jest stanie? Dygocząc i pojękując opadł na dno łodzi. Stworzenie spoglądało na niego uważnie, ale z jego miny trudno było coś odczytać. Minęło dużo czasu, zanim się tego nauczył.

Tymczasem prąd zdawał się, przybierać na sile. Zatoczyli wielkie półkole, zbliżając się na mniej więcej dwieście metrów od lewego brzegu, potem wrócili z powrotem na środek i znowu dopłynęli ku brzegowi, kreśląc zawrotne spirale i ósemki, a purpurowe lasy i postrzępione góry na przemian to umykały, to rosły w oczach, a Ransom zaczął łączyć ich kręty kurs z przyprawiającym o mdłości

tańcem wijących się węgorzy. Bardzo szybko tracił zainteresowanie Malakandrą. Różnice między Ziemią i inną planetą wydawały się nie mieć znaczenia w porównaniu z okropną różnicą między wodą a lądem. Rozmyślał ponuro, czy hrossy nie spędzają przypadkiem całego życia na wodzie. Może przyjdzie mu spędzić noc w tej obrzydliwej łodzi...

Ale w rzeczywistości jego cierpienia nie miały trwać długo. Wkrótce nadszedł błogosławiony koniec wodnego truchtu i znaczne zmniejszenie szybkości. Hross ostro skierował łódź w stronę brzegu. Znajdowali się teraz w wąskim kanale, w którym woda wrzała i syczała wściekle; najwidoczniej było tu bardzo płytko. Hross wyskoczył z łodzi, wzbijając w górę całą masę wody, która spadła do środka. Ransom też przelazł ostrożnie przez burtę. Woda sięgała mu do kolan. Ku jego zdumieniu hross podniósł łódź bez większego wysiłku i ułożył ją sobie na głowie przytrzymując jedną ręką, a następnie ruszył w stronę lądu wyprostowany jak grecka kariatyda. Ransom powłókł się za nim, rozmyślając, czy ów wahadłowy ruch krótkich nóg kołyszących się w giętkich łądźwiach można nazwać chodem. Po kilku minutach krajobraz zupełnie się zmienił.

Kanał okazał się bystro rwącym potokiem - pierwszym z serii strumieni, którym woda wylewała się z jeziora przez następną pół mili. Przed nimi teren opadał, a kanion - albo handramit - ciągnął się dalej na o wiele niższym poziomie. Jego ściany nie obniżały się jednak wraz z nim i z tego miejsca Ransom mógł wyrobić sobie nieco lepsze pojęcie o ukształtowaniu tego kraju. Na prawo i lewo pokazał się teraz więcej wyżyn, czasem pokrytych owymi czerwonymi, podobnymi do obłoków pierzynami, ale częściej nagich, białych i płaskich, ciągnących się hen, aż do równej linii horyzontu, gdzie łączyły się z niebem. Iglaste szczyty okazały się teraz tylko obramowaniem prawdziwej wyżyny, otaczając ją tak, jak dolne zęby otaczają język. Uderzył go ostry kontrast między handramitem i harandrą. Wąwóz roztaczał się przed nim jak sznur drogich kamieni - purpurowych, szafirowych, błękitnych, żółtych i różowobiałych - jak bogata i różnobarwna inkrustacja lesistego lądu na tle pojawiającej się i znikającej, wszechobecnej wody. Malakandra jeszcze mniej przypominała Ziemię, niż początkowo przypuszczał. Handramit nie był prawdziwą doliną, podnoszącą się lub opadającą wraz z łańcuchem gór. W rzeczywistości w ogóle nie był częścią tych gór. Była to tylko gigantyczna szczelina o różnej głębokości, biegnąca przez wysoką i płaską harandrę. Ta ostatnia, jak zaczął teraz podejrzewać, musiała być prawdziwą „powierzchnią” planety; w każdym razie tak widziałby ją astronom z Ziemi. Sam handramit wydawał się nie mieć końca. Zwężająca się kolorowa linia biegła prawie zupełnie prosto aż do miejsca, w którym rozszczepiała horyzont wcięciem w kształcie litery V. Ransom pomyślał, że do tego miejsca musi być ze sto mil, a przecież od wczoraj zostawił już jakieś trzydzieści czy czterdzieści mil za sobą.

Przez cały czas posuwali się w dół, wzdłuż potoków, aż do miejsca, w którym woda znowu rozlewała się poziomo i hross mógł spuścić na nią swą łódź. Podczas tego marszu Ransom nauczył się słów oznaczających łódź, potok, wodę, słońce i „nieść”; to ostatnie, jako pierwszy poznany czasownik, szczególnie go zainteresowało. Hross próbował też usilnie przekazać mu sens pewnego związku lub stosunku łączącego pary słów, które z naciskiem powtarzał: *hrossa* - *handramit* i *seroni* - *harandra*. Miało to zapewne oznaczać, że *hrossa* żyją w handramicie, a *seroni* na harandrze. Ransom łamał sobie głowę, jakim nowym diabelstwem mogą być *seroni*. Otwarte przestrzenie harandry nie sprawiały wrażenia, jakby je w ogóle ktoś zamieszkiwał. Może hrossy mają jakąś mitologię - był pewien, że są na dość niskim poziomie kultury - a *seroni* to ich bogowie lub demony?

Podróż trwała dalej, z częstymi nawrotami choroby morskiej u Ransoma. Minęły długie godziny, zanim doszedł do wniosku, że *seroni* może być liczbą mnogą od *sorn*.

Słońce zaczęło zachodzić. Chyliło się ku zachodowi szybciej niż na Ziemi, a w każdym razie w tych częściach Ziemi, które Ransom znał. Na bezchmurnym niebie nie zapłonęła oszłamajająca

wieczorna zorza. W nieuchwytny sposób to słońce różniło się od słońca widzianego z Ziemi. Gdy nad tym rozmyślał, iglaste szczyty gór zrobiły się czarne, a handramit pogrążył się w ciemnościach, tylko na wschodzie (po ich lewej stronie) wyżyny handramity jaśniały wciąż bladą różowością - odległe, gładkie, promieniejące spokojem, jak jakiś inny, bardziej uduchowiony świat.

Wkrótce do świadomości Ransoma dotarło, że ponownie przybijają do brzegu, a potem idą po twardym gruncie, zagłębiając się w purpurową puszcę. Wciąż czuł charakterystyczny ruch łodzi, a ziemia zdawała się pod nim kołysać, co w połączeniu ze zmęczeniem i zmierzchem uczyniło dalszą wędrówkę podobną do sennej maligny. Przed sobą zobaczył światło. Płonął jakiś ogień oświetlając olbrzymie liście nad głowami, jeszcze wyżej dostrzegł gwiazdy. Zdawało mu się, że otacza go z tuzin hrossów, bardziej zwierzęcych - w takiej liczbie i tak blisko niego - od jego samotnego przewodnika. Trochę się bał, ale przede wszystkim odczuwał jakiś upiorny brak odpowiedniości. Chciał spotkać ludzi, jakichkolwiek ludzi, nawet Westona i Devine'a. Był zbyt zmęczony, by nawiązać kontakt z tymi absurdalnymi kulistymi głowami i pokrytymi futrem twarzami. Nie czuł wobec nich nic. A potem blisko niego, niżej, pojawiły się grupki ruchliwych, czarnych szceniąt, młodych, małych - nie wiedział, jak je właściwie nazwać. Nagle nastrój mu się poprawił. Położył rękę na jednej z czarnych głów i uśmiechnął się. Stworzenie uciekło.

Nigdy nie mógł sobie wiele przypomnieć z tego wieczoru. Był jakieś jedzenie i picie, ustawiczne pojawianie się i znikanie czarnych kształtów, były niesamowite oczy, odbijające blask ognia, a w końcu był sen w jakimś ciemnym, najwidoczniej zakrytym miejscu.

Rozdział 11

Od samego początku, od chwili przebudzenia się na pokładzie kosmicznego statku, Ransom rozmyślał o swojej zdumiewającej przygodzie, jaką była przymusowa podróż na inną planetę, i o szansach powrotu na Ziemię. Nie myślał natomiast o przebywaniu na obcej planecie. Teraz każdego ranka stwierdzał z pewnym rodzajem oszołomienia, że ani na nią nie przybywa, ani z niej nie ucieka, lecz po prostu na niej żyje. Doznał czegoś w rodzaju szoku, gdy w trzy tygodnie od wylądowania nagle sobie uświadomił, że właśnie wyrusza na przechadzkę. W kilka tygodni później miał już swoje ulubione trasy spacerów i ulubione potrawy, zaczynał też mieć pewne zwyczaje. Odróżniał już z łatwością płęć hrossów, a nawet dostrzegał wyraźnie indywidualne cechy poszczególnych osobników. Hyoui - ten, który go pierwszy znalazł, daleko na północ stąd - różnił się znacznie od czcigodnego Hnohry o szarym pysku, który codziennie uczył go języka hrossów. Zupełnie nowym przeżyciem było obcowanie z młodymi hrossami. Były to cudowne stworzenia. W ich towarzystwie mógł zapomnieć o całej rozumności starszych. Zbyt młode, by go niepokoić zbijającą z tropu zagadką rozumu rządzącego nieludzkimi kształtami, stworzenia te stanowiły prawdziwą pociechę w jego samotności, jakby mu pozwolono zabrać z Ziemi kilka ulubionych psów. Ze swojej strony młode hrossy okazywały żywe zainteresowanie tym bezwłosym chochlikiem, który pojawił się między nimi. Wśród nich, a więc pośrednio i wśród ich matek, Ransom odnosił wspaniałe sukcesy towarzyskie.

Jeśli chodzi o całą wspólnotę, to jego wcześniejsze wrażenia stopniowo ulegały zmianie. W pierwszej próbie diagnozy określił ich kulturę terminem „starsza epoka kamienia”. Kilka narzędzi, jakimi się hrossy posługiwały, zrobione były z kamienia. Nie znały ceramiki, jeśli nie liczyć kilku niezgrabnych naczyń używanych do gotowania. Gotowanie było jedyną stosowaną przez nich metodą przygotowania jedzenia. Przypominająca ostrygę muszla, dzięki której poznał po raz pierwszy gościnność hrossów, służyła im za talerz i czerpak, a jedynym zwierzęciem pożywieniem była jakaś ryba. Jadały za to wiele różnorodnych warzyw; niektóre smakowały naprawdę wyśmienicie. Okazało się, że jadalne były nawet owe różowobiałe porosty, pokrywające cały handramit, tak że gdyby Hyoui nie znalazł go przed zagłodzeniem na śmierć, umarłby z głodu pośród obfitości pożywienia. Żaden hross nie jadł jednak tego ziele (*honodraskrud*), jeśli miał do wyboru coś innego; stanowiło ono tylko coś w rodzaju *faute de mieux* w czasie podróży. Mieszkały w przypominających ule chatach ze sztywnych liści, a wioski - w sąsiedztwie dostrzegł ich kilka - budowano zawsze na brzegach rzek, ze względu na ciepło, i wysoko, bliżej ścian handramitu, gdzie woda była najgorętsza. Spały na gołej ziemi.

Nie uprawiały żadnych rodzajów twórczości artystycznej, prócz dość nieskomplikowanej mieszaniny poezji i muzyki, jaką prawie co wieczór prezentowała grupa czterech hrossów. Jeden recytował coś śpiewnie przez długi czas, podczas gdy trzej pozostali - raz solo, raz antyfonicznie - przerywali mu od czasu do czasu śpiewem. Ransom nie potrafił wykryć, czy te śpiewy były po prostu lirycznymi interludiami, czy rodzajem dramatycznego dialogu wynikającego z narracji prowadzonej przez głównego barda. Zasad muzyki nie rozumiał zupełnie. Głosy nie były przykre, a ich skala zdawała się podobna do ludzkiej, ale jak na jego poczucie rytmu podziały czasowe były zupełnie absurdalne. Czym się szczerp lub ród hrossów zajmował, pozostawało przez długi czas tajemnicą. Starsi znikali co pewien czas na kilka dni. Trochę łowili ryby, lecz przeważnie podróżowali gdzieś swoimi łodziami w celach, których nigdy nie zdołał odkryć. Pewnego dnia ujrzał coś w rodzaju karawany hrossów posuwającej się lądem; każdy niósł na głowie wielki stos warzyw. Najwidoczniej na Malakandrze znano jakąś formę handlu.

Ich uprawy rolnicze odkrył już w pierwszym tygodniu. Około mili w dół handramitu

rozciągały się szerokie błonia pokryte niską, mięsistą roślinnością, przeważnie żółtej, pomarańczowej i niebieskiej barwy. Nieco dalej rosły podobne do sałaty krzaki wysokości ziemskich brzoź. Tam gdzie rośliny rosły nad ciepłą wodą, można było wspiąć się na jeden z niższych liści i leżeć, wypoczywając cudownie, jak w lekko kołyszącym się hamaku. Wszędzie poza brzegami wód było za zimno, by siedzieć dłużej na powietrzu; przeciętna temperatura handramitu przypominała temperaturę pogodnego, zimowego poranka w Anglii. Te rolnicze obszary uprawiane były wspólnie przez otaczające je wioski, a podział pracy okazał się o wiele bardziej usystematyzowany, niż przypuszczał. W grę wchodziły takie zbiorowe prace, jak ścinanie, suszenie, transport, przechowywanie i coś w rodzaju nawożenia. Podejrzewał też, że przynajmniej niektóre wodne kanały wykopane zostały przez hrossy.

Ale prawdziwą rewolucję w swojej ocenie hrossów przeżył wówczas, gdy nauczył się już na tyle ich języka, by móc zaspokoić ich ciekawość w stosunku do niego samego. Chcąc wyjaśnić im, skąd przybył, zaczął od tego, że przyszedł z nieba. Hnohra natychmiast zapytał go, z jakiej planety, czyli „ziemi” (*handra*). Ransom, który z rozmysłem wybrał dziecinną wersję prawdy, aby przystosować ją do spodziewanej ignorancji swoich słuchaczy, zirytował się nieco widząc, jak Hnohra próbuje z wielkim wysiłkiem wyjaśnić mu, że przecież nie mógł żyć w niebie, bo nie ma tam powietrza: mógł dostać się tu przez niebo, ale musiał pochodzić z jakiejś innej handry. Pokazanie im Ziemi na rozgwieżdżonym niebie przekraczało możliwości Ransoma. Wydawali się tym zaskoczeni i wciąż pokazywali na jakąś jasną planetę wiszącą nisko nad zachodnim horyzontem, nieco na południe od miejsca, w którym zaszło słońce. Zdumiało go, że wybrali właśnie tę planetę, a nie jakąś gwiazdę, i upierali się przy swoim wyborze. Czy to możliwe, by znali astronomię? Niestety, zbyt mało znał słów w ich języku, aby to zbadać. Zapytał ich o nazwę owej jasnej planety i usłyszał, że jest to Tulkandra - milcząca planeta.

- Dlaczego nazywacie ją *Tulk*? - zapytał. - Dlaczego ma być „milcząca”?

Nikt tego nie wiedział.

- *Seroni* to wiedzą - rzekł Hnohra. - Oni wiedzą takie rzeczy..

Potem zapytano go, w jaki sposób tu przybył, a gdy próbował bez widocznego powodzenia opisać im statek kosmiczny, usłyszał znowu:

- *Seroni* by wiedzieli.

Czy przybył sam? Nie, przybył z dwoma innymi, podobnymi sobie, ale złymi ludźmi (najbliższym odpowiednikiem pojęcia „zły” było malakandryjskie słowo „skrzywiony”). Próbowali go zabić, ale im uciekł. Hrossy długo nie mogły tego zrozumieć, ale w końcu wszyscy zgodzili się, że powinien pójść do Ojarsy. Ojarsa zapewni mu opiekę. Ransom zapytał, kim jest Ojarsa. Powoli, zmuszając pokonując wiele trudności i nieporozumień językowych, uzyskał informacje, że Ojarsa: 1) żyje w Meldilornie; 2) wie wszystko i panuje nad wszystkimi; 3) zawsze tam jest; i 4) nie jest hrossem ani jednym z *seroni*. Wtedy, idąc za swoim własnym tokiem myśli, zapytał ich, czy Ojarsa stworzył świat. Hrossy zaczęły niemal szczekać w ferworze zbiorowego zaprzeczenia. Czyżby mieszkańcy Tulkandry nie wiedzieli, że to Maleldil Młody stworzył świat i wciąż nim rządzi? Nawet dziecko o tym wie. Ransom zapytał, gdzie jest Maleldil.

- Ze Starym.

A kim jest Stary? Ransom nie zrozumiał odpowiedzi. Spróbował inaczej.

- Gdzie jest Stary?

- On nie jest tego rodzaju - rzekł Hnohra - żeby musiał gdzieś być.

Potem mówił jeszcze coś, ale Ransom znowu niezupełnie rozumiał. Zrozumiał jednak dość, aby kolejny raz poczuć pewną irytację. Od czasu kiedy odkrył niewątpliwą rozumność hrossów, dręczyły go skrupuły, czy czasem nie spoczywa na nim obowiązek ich religijnego nawrócenia.

Teraz, w rezultacie swych umiarkowanych wysiłków, poczuł się nagle tak, jakby to on był dzikusiem, którego wprowadza się w świat cywilizowanej religii, udzielając pierwszej lekcji czegoś w rodzaju hrossjańskiego skróconego katechizmu. Stało się oczywiste, że Maleldil to duch pozbawiony ciała, właściwości czy namiętności.

- On nie jest *hnau* - powiedział hross.

- Co to jest *hnau*? - zapytał Ransom.

- Ty jesteś *hnau*. Ja jestem *hnau*. *Seroni* są *hnau*. *Pfifltryggi* są *hnau*.

- *Pfifltryggi*? - powtórzył Ransom.

- Więcej niż dziesięć dni podróży na zachód - rzekł Hnohra - harandra opada w dół, nie w handramit, lecz w szerokie miejsce, otwarte miejsce, rozchodzą ce się we wszystkie strony. Pięć dni podróży z północy na południe, dziesięć dni podróży ze wschodu na zachód. Lasy tam są innych kolorów niż tu, są niebieskie i zielone. Tam jest bardzo głęboko, to sięga do korzeni świata. Tam się wykopuje najlepsze rzeczy z ziemi. Tam żyją *pfifltryggi*. One lubią kopać. Co wykopią, to zmiękczają w ogniu i robią z tego różne rzeczy. Są małe, mniejsze od ciebie, długie w pyskach, blade, pracowite. Mają z przodu długie kończyny. Żadne *hnau* nie robi tylu różnych pięknych rzeczy co one, tak jak żadne *hnau* nie śpiewa tak jak my. Ale niech Hman sam zobaczy.

Odwrócił się, powiedział coś do jednego z młodszych hrossów i za chwilę, podawana z ręki do ręki, pojawiła się przed nim niewielka misa. Ransom wziął ją i zbliżył do ognia, aby obejrzeć dokładnie. Z całą pewnością zrobiona była ze złota. Zrozumiał teraz motywy zainteresowania Devine'a Malakandrą.

- Czy dużo jest tej rzeczy? - zapytał.

Odpowiedziano mu, że bardzo dużo; wypłukuje się ją z większości rzek, ale najwięcej jest jej tam, gdzie żyją *pfifltryggi*. One też potrafią robić z niej różne rzeczy. Nazywają ją *arbal hru* - krew słońca. Jeszcze raz obejrzał misę. Pokrywały ją po mistrzowsku wytrawione ryty. Były tam wizerunki hrossów, jakichś mniejszych, podobnych do żab stworzeń i sornów. Wskazał na te ostatnie.

- *Seroni* - rzekł hross, potwierdzając przypuszczenia. - One żyją wyżej, prawie na harandrze. W wielkich jaskiniach.

Podobne do żab stworzenia z głowami tapirów okazały się *pfifltryggami*. Ransom zaczął się zastanawiać nad uzyskanymi informacjami. Najwidoczniej na Malakandrze trzy różne gatunki osiągnęły poziom rozumności i jak dotąd żaden nie wytepił pozostałych. Bardzo był ciekaw, który z nich naprawdę panuje nad planetą.

- Które z *hnau* rządzi? - zapytał.

- Ojarsa rządzi - brzmiała odpowiedź.

- Czy on jest *hnau*?

To pytanie zbiło ich z tropu. Doszli w końcu do wniosku, że na takie pytanie mogą odpowiedzieć tylko *seroni*. Może Ojarsa jest *hnau*, ale całkiem innego rodzaju. On nie zna śmierci i młodości.

- Czy *seroni* wiedzą więcej niż *hrossa*? - zapytał.

Wywołało to ożywioną dyskusję. Wynikało z niej, że *seroni*, czyli sorny, są zupełnie bezradne w łodzi, nie potrafią łowić ryb, nie umieją pływać, nie układają wierszy, a jeśli nawet jakiś hross ułoży je dla nich, potrafią zrozumieć tylko pośledniejsze, prostsze rodzaje poezji. Są za to najlepsi w odkrywaniu różnych prawd o gwiazdach, w zrozumieniu mniej jasnych wypowiedzi Ojarsy i w opowiadaniu o tym, co się działo na Malakandrze dawno temu - dawniej, niż ktokolwiek może pamiętać.

„Ach, a więc są inteligentne - pomyślał Ransom. - To one muszą być rzeczywistymi władcami

tej planety”. Nie było to przyjemne dla niego odkrycie. Próbował się dowiedzieć, co by się stało, gdyby sorny użyły swej wiedzy, by zmusić hrossy do robienia różnych rzeczy - tu osiągnął już granice swoich możliwości w malakandryjskim języku. W tej formie pytanie nie brzmiało tak radykalnie jak powinno, gdyby, na przykład, potrafił powiedzieć: „użyli swojej wiedzy do eksploatacji bardziej prymitywnych sąsiadów”. Ale mógł sobie oszczędzić wysiłku. Wspomnienie o trudnościach, jakie sorny mają w odbiorze poezji, sprowadziło rozmowę na tory literackich rozważań. Z gorącej i najwyraźniej bardzo technicznej dyskusji nie zrozumiał zupełnie nic.

Naturalnie jego rozmowy z hrossami nie dotyczyły tylko Malakandry. Musiał udzielić im nieco informacji o Ziemi. Krępowwały go zarówno częste upokarzające odkrycia własnej niewiedzy na temat ojczystej planety, jak i chęć ukrycia części prawdy. Nie chciał mówić im zbyt wiele o ludzkich wojnach i niepohamowanym pędzie do uprzemysłowienia. Pamiętał los Cavora z powieści H. G. Wellsa: on także czuł wstyd. Ransom odczuwał coś wręcz podobnego do przeżycia swojej fizycznej nagości, gdy pytano go zbyt szczegółowo o ludzi - *hmana*, jak ich nazywano. Co więcej, był zdecydowany nie ujawniać hrossom, że został tu przywieziony w celu przekazania go sornom. Z każdym dniem upewniał się coraz bardziej, że to one są gatunkiem dominującym. To, co powiedział, wyraźnie rozпалиło wyobraźnię hrossów: wszyscy zaczęli układać poematy o owej dziwnej handrze; gdzie drzewa są twarde jak kamień, a niskie rośliny zielone jak skała, gdzie woda jest zimna i słona, a *hmana* żyją na wierzchu, na harandrze.

Zainteresowali się też bardzo, gdy opowiedział im o wodnym zwierzęciu z kłapiącymi szczękami, przed którym musiał uciekać w ich własnym świecie, a nawet w ich własnym handramicie. Wszyscy zgodzili się, że musiała to być *hnakra*. Bardzo ich to podnieciło. Hnakry nie widzieli w dolinie już od wielu lat. Młode hrossy wyciągnęły swoją myśliwską broń - prymitywne harpuny z kościanymi ostrzami - a najmłodsze zaczęły się bawić na płycznach w polowanie na hnakrę. Niektóre matki okazywały zaniepokojenie, pragnąc, by dzieci trzymały się z daleka od wody, ale ogólnie rzecz biorąc, wieść o hnakrze wzbudziła powszechny entuzjazm. Hyoi od razu wstał, by zrobić coś przy swojej łodzi, a Ransom mu towarzyszył. Bardzo chciał w czymś pomóc i zaczynał już mieć słabe pojęcie o użyciu hrossjańskich narzędzi. Poszli razem do czołna.

Szli ku wybrzeżu wąską ścieżką przez las; Ransom szedł z tyłu. W pewnej chwili spotkali młodą *hrossini*, niewiele większą od normalnego hrossjańskiego szczenięcia. Kiedy ich mijala, powiedziała coś, ale wyraźnie nie do nich: jej spojrzenie utkwione było zupełnie gdzie indziej.

- Do kogo mówisz, Hrikki? - zapytał ją Ransom.
- Do eldila.
- Gdzie on jest?
- Nie widzisz go?
- Nic nie widzę.
- O tam! Tam! - zawołała. - Och! Już odszedł. Nie widziałeś go?
- Nikogo nie widziałem.
- Hyoi! - zawołała zdumiona. - Hman nie może zobaczyć eldila!

Ale Hyoi odszedł już zbyt daleko, by ją usłyszeć, i najwidoczniej nie zauważył tej sceny. Ransom doszedł do wniosku, że Hrikki „udawała”, jak wszystkie dzieci jego własnego gatunku. Po kilku minutach dogonił swego towarzysza.

Rozdział 12

Pracowali ciężko przy łodzi Hyoiego aż do południa, a potem rozłożyli się na porośniętym różowym zieleń brzegu i zabrali do jedzenia. Nieco wojenny charakter tych przygotowań narzucał Ransomowi wiele pytań. Nie znał słowa oznaczającego wojnę, ale spróbował wytłumaczyć Hyoiemu, o co mu chodzi. *Czyseroni*, *hrossa* i *pfifltryggi* wyprawiają się w ten sposób, z bronią, na siebie?

- Po co? - zapytał Hyoi.

Trudno to było wyjaśnić.

- Jeśli jedni i drudzy chcą tej samej rzeczy, a ani jedni, ani drudzy nie chcą jej oddać - powiedział Ransom - czy mogą użyć siły? Czy mogą powiedzieć: dajcie to albo was zabijemy?

- Jaki rodzaj rzeczy?

- No... może jedzenie...

- Jeśli inne *hnau* chce jedzenia, dlaczego nie mielibyśmy mu dać? Często to robimy.

- A jeśli nie macie dość dla siebie samych?

- Przecież Maleldil nie zatrzyma wzrostu tego, co się je.

- Hyoi, jeśli będziesz miał wciąż więcej i więcej młodych, to czy Maleldil rozszerzy horyzont i stworzy dla ciebie więcej roślin?

- *Seroni* wiedzą o takich sprawach. Ale po co mielibyśmy mieć więcej młodych?

Ransom długo biedził się nad odpowiedzią. W końcu sam zapytał:

- Czy rodzenie małych nie jest przyjemnością dla *hrossów*?

- To wielka przyjemność, *Hman*. To właśnie nazywamy miłością.

- Jeżeli coś jest przyjemne, *hman* chce tego znowu. Może chcesz tej przyjemności częściej niż liczba młodych, które potrafi wykarmić.

Hyoii potrzebował trochę czasu, aby zrozumieć jego słowa.

- Chcesz powiedzieć - rzekł w końcu powoli - że mógłby to robić nie w jednym albo dwu latach swojego życia, ale częściej?

- Tak.

- Ale dlaczego? Czy chciałby jeść obiad przez cały dzień albo spać, jak się obudził? Nie rozumiem tego.

- Obiad jest co dzień. Ta miłość, jak mówisz, przychodzi tylko raz w życiu *hrossa*.

- Ale zajmuje całe jego życie. Kiedy jest młody, musi znaleźć towarzyszkę, potem musi się do niej zalecać, potem rodzi młode, potem je wychowuje, a potem to wszystko pamięta i gotuje to w sobie, i stwarza z tego poematy i muzykę.

- Ale musi się zadowolić tylko pamiętaniem o przyjemności.

- To tak, jakby powiedzieć: muszę się zadowolić tylko jedzeniem, bo je zjadam.

- Nie rozumiem.

- Przyjemność dojrzewa w pełni tylko wtedy, gdy się ją pamięta. Ty, *Hman*, mówisz tak, jakby przyjemność była jedną rzeczą, a pamięć inną. A to jest jedna rzecz. *Seroni* powiedzieliby to lepiej niż ja, choć nie lepiej, niż mógłbym to opowiedzieć w wierszu. To, co nazywasz pamiętaniem, jest ostatnią częścią przyjemności, tak jak *kralli* jest ostatnią częścią poematu. Kiedy się spotkaliśmy, ty i ja, spotkanie było bardzo krótkie, było niczym. Teraz, kiedy je wspominamy, stało się czymś. Ale wciąż niewiele o nim wiemy. To, czym się stanie, kiedy będę je wspominał kładąc się, by umrzeć, czym stanie się przez te wszystkie dni od dzisiaj - to jest nasze prawdziwe spotkanie. Tamto jest tylko początkiem. Mówisz, że w waszym świecie też są poeci. Czy nie uczą was tego?

- Może niekiedy uczą - rzekł Ransom. - Ale czy żaden *hross* nie tęskni za tym, by raz jeszcze

usłyszeć jakiś wspaniały werset poematu?

Odpowiedź Hyoiego zawierała, niestety, jeden z tych elementów języka malakandryjskiego, którego Ransom jeszcze nie opanował. Były tam dwa czasowniki, oba - jak przypuszczał - oznaczające „tęsknić” lub „pragnąć”, lecz hross podkreślał ostrą różnicę między nimi, a nawet pewną opozycję. Zdawał się twierdzić, że każdy może do czegoś tęsknić (*wondelone*), ale nikt nie powinien czegoś pragnąć (*hluntheline*).

- Poemat jest dobrym przykładem - ciągnął Hyoi. - Najwspanialszy werset staje się w pełni wspaniały jedynie dzięki wszystkim wersetom, jakie po nim następują; jeśli do niego wrócisz, stwierdzisz, że jest mniej wspaniały, niż myślałeś. Zabijasz go w ten sposób. Mówię, rzecz jasna, o dobrym poemacie.

- A w skrzywionym poemacie?

- Skrzywionego poematu nikt nie słucha, Hman.

- A co z miłością w skrzywionym życiu?

- Jak życie *hnau* może być skrzywione?

- Czy chcesz powiedzieć, Hyoi, że nie ma skrzywionych hrossów?

Hyoii zastanowił się.

- Słyszałem - rzekł w końcu - o czymś podobnym do tego, o co ci chyba chodzi. Mówią, że czasami tu i tam zdarza się szczenię, w którym coś się wykrzywia. Słyszałem o takim, co chciał jeść ziemię, mógłby więc gdzieś być taki hross, który by chciał przedłużyć lata miłości. Nie słyszałem o takim, ale to możliwe. Słyszałem o czymś dziwniejszym. Jest taki poemat o hrossie, który żył dawno temu w innym handramicie i widział wszystko podwójnie: dwa słońca na niebie, dwie głowy na szyi, a na domiar wszystkiego, jak mówią, wpadł w taki szal, że pragnął mieć dwie towarzyszki. Nie zmuszam cię, żebyś w to uwierzył, ale taka jest opowieść: kochał dwie *hrossini*.

Ransom zdumiał się. Jeśli Hyoi go nie nabierał miał oto przed sobą gatunek z natury wstrzemięzliwy, niewinny, monogamiczny. Czy jednak było to aż tak dziwne? Niektóre znane mu zwierzęta miały regularne pory godów, a jeśli przyroda mogła dokonać cudu, czyniąc pociąg seksualny w ogóle czymś tak uzewnętrznionym, dlaczego nie miałyby pójść dalej i ukierunkować go na jeden tylko obiekt? Przypomniał sobie nawet mgliście, że słyszał o takich „niższych” ziemskich gatunkach, które były z natury monogamiczne. W każdym razie jest oczywiste, że wśród hrossów nieograniczona rozrodczość i stosunki pozamałżeńskie są czymś w rodzaju najradszej perwersji. W końcu doszedł do wniosku, że to nie one, lecz jego własny gatunek stanowi prawdziwą zagadkę. To, że hrossy mogły mieć takie instynkty, nie było w końcu aż tak zaskakujące, ale jak doszło do tego, że owe instynkty pozaziemskich stworzeń tak ściśle odzwierciedlają niespełnione ideały o wiele bardziej rozwiniętego gatunku, jakim jest człowiek, którego instynkty są z kolei tak żałośnie różne? Czym właściwie była historia człowieka? Ale Hyoi znów zaczął mówić.

- Nie wątpimy, że to Maleldil stworzył nas właśnie takimi. Jak mogłoby nigdy nie zabraknąć jedzenia, gdyby każdy miał po dwadzieścia młodych? I jak moglibyśmy żyć i godzić się z upływem czasu, gdybyśmy wciąż wzywali z płaczem powrotu jakiegoś dnia albo jakiegoś roku - gdybyśmy nie wiedzieli, że każdy dzień w życiu napęłnia całe życie oczekiwaniem i pamięcią, że to one są tym dniem?

- A jednak - rzekł Ransom rozdrażniony - Maleldil stworzył hnakrę.

- Och, to coś zupełnie innego. Chcę zabić hnakrę, bo ona chce zabić mnie. Mam nadzieję, że moja łódź będzie pierwsza, a ja pierwszy w mej łodzi, z prostą włócznią w ręku, kiedy zakłapią czarne szczęki. A jeśli hnakra mnie zabije, mój lud będzie mnie oplakiwał, a moi bracia jeszcze bardziej będą chcieli ją zabić. Ale nie pragnęliby tego, gdyby nie było *hneraki*, podobnie jak ja. Jak

ci to wytłumaczyć, skoro nie rozumiesz poetów? Hnakra jest naszym wrogiem, ale i naszą ukochaną. W sercach czujemy radość, gdy spogląda z Góry Wód, na północy, tam gdzie przyszła na świat. Skaczymy wraz z nią ze stromych wodospadów, a kiedy przychodzi zima i jezioro dymi wyżej od naszych głów, patrzymy na nie jej oczami i wiemy, że nadszedł czas jej wędrówki. Zawieszamy jej wizerunek w naszych chatkach, a znakiem wszystkich *hrossa* jest właśnie hnakra. W niej żyje duch doliny, a nasze dzieci bawią się w *hneraki*, gdy tylko mogą pluskać się na płycznach.

- A potem ona je zabija?

- Rzadko. *Hrossa* byłyby skrzywionymi *hrossa*, gdyby jej pozwoliły podejść tak blisko. Trzeba ją wytropić na długo przed tym, zanim zejdziesz z góry tak daleko. Nie, Hman, to nie błędząca po świecie śmierć czyni *hnau* nieszczęśliwym. Tym, co mogłoby naprawdę zaciemnić świat, jest tylko skrzywione *hnau*. I powiem ci coś jeszcze. Nie sądzę, by las był tak promienny, woda tak ciepła, a miłość tak słodka, gdyby w jeziorach nie czaiło się niebezpieczeństwo. Opowiem ci o jednym dniu w moim życiu, który mnie ukształtował, o takim dniu, co zdarza się tylko raz, jak miłość albo jak służba Ojarsie w Meldilornie. Byłem wtedy młody, prawie jeszcze szczenię, kiedy powędrowałem daleko, w górę handramitu, do krainy, gdzie gwiazdy płoną w środku dnia i nawet woda jest zimna. Wspiąłem się na szczyt wielkiego wodospadu. Stałem na brzegu stawu Balki, najstraszniejszego miejsca we wszystkich światach. Jego ściany wznoszą się wciąż i wciąż, a na nich wycięte są wielkie postacie, dzieło dawnych czasów. Jest tam wodospad zwany Górą Wód. Stałem tam sam, tylko Maleldil i ja, bo nawet Ojarsa nie posłał mi słowa. Moje serce doznało uniesienia, a moja pieśń pogłębiła się - na wszystkie dni mego życia. Ale czy myślisz, że tak by się stało, gdybym nie wiedział o *hneraki*, które mieszkają w Balki? Tam napiłem się życia, bo śmierć była w stawie. To był najlepszy z napojów - prócz jednego.

- Jakiego? - zapytał Ransom.

- Prócz samej śmierci, w dniu, gdy ją wypiję i pójdę do Maleldila.

Wkrótce potem wstali, by dokończyć pracę. Gdy wracali przez las do wioski, słońce już zachodziło. Ransom przypomniał sobie o czymś.

- Hyoui, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłem, i zanim jeszcze ty zobaczyłeś mnie, coś mówiłeś. Właśnie w ten sposób poznałem, że jesteś *hnau*, bo gdyby nie to, wziąłbym cię za zwierzę i uciekłbym. Do kogo wtedy mówiłeś?

- Do eldila.

- Co to takiego? Ja nic nie widziałem.

- Czyżby w waszym świecie nie było eldilów? To bardzo dziwne.

- Ale czym one są?

- One przychodzą od Ojarsy, one są, tak mi się wydaje, pewnym rodzajem *hnau*.

- Kiedy szliśmy tędy dziś rano, minąłem dziecko, które powiedziało, że rozmawia z eldilem, ale ja nie widziałem nikogo.

- Wystarczy spojrzeć w twoje oczy, Hman, żeby wiedzieć, że jesteś inny niż my. Ale eldile trudno zobaczyć. One nie są takie, jak my wszyscy. Przechodzi przez nie światło. Trzeba patrzeć we właściwe miejsce i we właściwym czasie, a to nie jest możliwe, jeśli eldil nie chce, żeby go zobaczyć. Czasami można pomylić eldila z promieniem słońca, albo nawet z ruchem liści na wietrze, ale kiedy spojrzysz się znowu, wie się, że to był eldil, który odszedł. Ale czy twoje oczy mogą w ogóle zobaczyć eldila, tego nie wiem. *Seroni* będą wiedzieć.

Rozdział 13

Następnego ranka, zanim jeszcze słońce - już widoczne na harandrze - przeniknęło do puszczy, cała wioska była już na nogach. W świetle ognisk Ransom obserwował nieustanną krzątaninę hrossów. *Hrossini* rozlewały parującą strawę z niezgrabnych garnków; Hnohra kierował znoszeniem do łodzi pęków harpunów; Hyoi, otoczony najbardziej doświadczonymi myśliwymi, perorował na temat czysto technicznych szczegółów polowania zbyt szybko, by Ransom mógł coś zrozumieć; przybywały grupy z sąsiednich wiossek; dzieci biegały tu i tam między dorosłymi, popiskując z podniecenia.

Stwierdził, że jego udział w polowaniu uważany jest za coś oczywistego. Miał popłynąć z Hyoim i Whinem. Mieli wiosłować na zmianę, podczas gdy on miał zająć miejsce na dziobie. Znał hrossy na tyle, by wiedzieć, że oferują mu najbardziej zaszczytną rolę, i że zarówno Hyoiego, jak i Whina dręczy teraz myśl, któremu z nich akurat przypadnie wiosłowanie, gdy pojawi się hnakra. Zaledwie parę miesięcy temu, w Anglii, nic nie wydawabby się Ransomowi tak niedorzeczne, jak możliwość przyjęcia honorowej i niebezpiecznej roli w polowaniu na nieznanego, lecz z całą pewnością bardzo groźnego morskiego potwora. A nawet je szcze nie tak dawno, gdy uciekał przed sornami, lub gdy leżał, litując się nad sobą, w ciemnej puszczy, nie byłby w stanie pomyśleć, że będzie z własnej woli robił to, co miał zrobić dzisiaj. Cokolwiek się wydarzy, musi pokazać, że człowiek też jest *hnau*. Zbyt dobrze wiedział, że taka postawa może się zmienić, gdy nadejdzie decydujący moment, ale nie miał wątpliwości, że tak czy inaczej da sobie radę. To po prostu konieczność, a to, co konieczne, jest zawsze możliwe. Może było też coś w powietrzu, którym oddychał, i w samej społeczności hrossów, co zaczynało go zmieniać.

Jeziro odbijało już pierwsze promienie słońca, gdy kłęczał obok Whina na dziobie łodzi Hyoiego, z małym pękiem harpunów między kolanami i jednym w prawej ręce, napinając mięśnie, by utrzymać równowagę, gdy Hyoi wiosłował, wyprowadzając łódź na właściwe miejsce. W łowach brało udział ze sto łodzi podzielonych na trzy grupy. Środkowa, najmniejsza, miała płynąć w górę owego prądu, który przyniósł Ransoma i Hyoiego po ich pierwszym spotkaniu. Do tej grupy wybrano najdłuższe, ośmiowiosłowe czółna. Hnakra miała zwyczaj swobodnego puszczenia się z biegiem prądu, kiedy tylko mogła; napotykając łodzie, będzie prawdopodobnie próbowała wyrwać się z prądu na spokojną wodę po lewej lub prawej stronie. Dlatego środkowa grupa miała odgrywać rolę nagonki, powoli pokonując prąd, podczas gdy lekkie czółna, posuwając się o wiele szybciej po spokojnej wodzie, miały krążyć po obu stronach, by wypatrywać zwierzyny, gdy tylko opuści prąd, który można by nazwać jej kryjówką. W tej grze przewaga liczebna i inteligencja był y po stronie hrossów, natomiast hnakra dysponowała większą szybkością, a także możliwością ukrywania się w głębinie. Można ją było ugodzić śmiertelnie tylko przez otwarty pysk. Jeśli żaden z myśliwych na dziobie łodzi, koło której się wynurzył, nie trafił jej celnie jednym z harpunów, oznaczało to zwykle koniec myśliwych i łodzi.

Odważny myśliwy z grup okrążających prąd miał do wyboru dwa sposoby walki. Mógł trzymać się blisko długich łodzi, blisko prądu, gdzie najpewniej można się było spodziewać wypłoszonej przez nagonkę hnakry, albo też mógł wyrwać się samotnie do przodu, nadal tuż przy prądzie, w nadziei spotkania jej, gdy będzie płynąć z pełną szybkością, lecz niczym jeszcze nie zaniepokojona. Wówczas mógł zmusić ją do opuszczenia kryjówki prądu dobrze wycelowanym harpunem. W ten sposób uprzedzało się nagonkę i samemu zabijało hnakrę - jeśli, oczywiście, wszystko układało się pomyślnie, a wyrzucony we właściwym momencie harpun trafiał tam, gdzie powinien. Na to właśnie liczyli Hyoi i Whin, a w pewnym sensie także i Ransom, tak bardzo już zarażony gorączką polowania.

Gdy tylko ciężkie łodzie nagonki zaczęły pokonywać bystry prąd, wzbijając dziobami ściany piany, ich czołno pędziło już na północ tak szybko, jak tylko Hyoi był w stanie wiosłować, wyprzedzając łódź za łodzią i kierując się tam, gdzie żadnej z nich nie było. Pęd radował serca. W ostrym chłodzie poranka cieszyło ciepło bijące z błękitnej toni rozcinanej przez dziób. Za nim, odbijając się echem od dalekich skalnych wieżyc po obu stronach doliny, rozbrzmiewały głosy ponad dwustu hrossów, głębokie, dudniące jak dzwony, bardziej melodyjne niż ujadanie sfory myśliwskich psów, lecz pokrewne mu co do jakości i znaczenia. We krwi Ransoma obudziło się coś długo uspiętego. W tej chwili nie wydawało mu się wcale nieprawdopodobne, że nawet on może zostać pogromcą hnakry, że w tym świecie, który nie znał innego człowieka, sława *Hman Hnakrapunt* przekazywana będzie z pokolenia na pokolenie. Ale miał już kiedyś podobne marzenia i wiedział, czym się skończyły. Ujarmiając uniesienie pokorą, zwrócił oczy ku niespokojnym falom prądu, wzdłuż którego płynęli, i zaczął je bacznie obserwować.

Przez długi czas nic się nie działo. W pewnej chwili uś wiadomił sobie, że od samego początku jest cały spięty i rozluźnił mięśnie. Teraz Whin przejął wiosło z markotną miną, a Hyoi zajął jego miejsce na dziobie, natychmiast utkwivszy spojrzenie w syczą cym prądzie. I zaraz potem, nie odwracając spojrzenia, odezwał się cicho do Ransoma:

- Eldil zbliża się do nas nad wodą.

Ransom rozejrzał się, lecz nie dostrzegł niczego poza tym, co podsuwała mu wyobraźnia, lub co było tańcem słonecznych promieni na wodzie. W chwilę później Hyoi przemówił, ale już nie do niego:

- Ale dlaczego, synu nieba?

To, co stało się teraz, było najbardziej niesamowitym przeżyciem, jakie miał do tej pory na Malakandrze. Usłyszał głos. Wydawał się dochodzić z powietrza, metr czy półtora nad jego głową, i był o całą oktawę wyższy od głosów hrossów, wyższy nawet od ludzkiego głosu. Zdał sobie sprawę z tego, że wystarczyłaby niewielka różnica w budowie jego uszu, by Eldil stał się dla niego równie niesłyszalny, jak był niewidzialny.

- Z tobą jest człowiek, Hyoi - mówił głos. - On nie powinien być tutaj. Powinien iść do Ojarsy. Tropią go skrzywione *hnau* jego gatunku z Tulkandry. Powinien iść do Ojarsy. Jeśli go znajdą gdzie indziej, może być niedobrze.

- On ciebie słyszy, synu nieba - rzekł Hyoi. - A nie masz żadnej wiadomości dla mojej żony? Wiesz, jakiego słowa oczekuje.

- Mam przesłanie dla Hleri - rzekł Eldil - ale tobie nie mogę go przekazać. Sam jej to wkrótce powiem. Tak będzie dobrze. Tylko niech człowiek idzie do Ojarsy.

Zapanowała cisza.

- Odszedł - rzekł Whin - a my straciliśmy udział w polowaniu.

- Tak - powiedział Hyoi z westchnieniem. - Musimy wysadzić Hmana na brzeg i wytłumaczyć mu, jak się idzie do Meldilornu.

Ransom nie był całkowicie pewny swojej odwagi. Jedna część jego jaźni odczuła natychmiastową ulgę na myśl o porzuceniu niebezpiecznych łąwów. Ale druga pragnęła zachować odnalezioną na nowo męskość. Teraz lub nigdy - z takimi towarzyszami albo z żadnymi - musi pozostawić w swej pamięci czyn, a nie jeszcze jedno niespełnione marzenie. Posłuszny czemuś, co wydawało mu się głosem sumienia, zawołał:

- Nie! Będzie na to czas po polowaniu. Musimy najpierw zabić hnakrę.

- Kiedy już Eldil przemówił... - zaczął Hyoi, lecz nagle Whin wydał głośny okrzyk (jeszcze trzy tygodnie temu Ransom nazwałby to „szczeknięciem”) i wskazał na jezioro. Tani, nie dalej jak ze sto metrów, powierzchnię wody znaczył pienisty szlak, jakby tuż pod wodą mknęła torpeda. Po

sekundzie zobaczyli prześwitujący przez ścianę piany metaliczny błysk boku potwora. Whin wiosłował z furją. Hyoui rzucił harpun i chybił. W chwili gdy pierwszy przebijał wodę, drugi był już w powietrzu. Tym razem musiał trafić hnakrę, bo zatoczyła nagle koło, wyrwijąc się z prądu. Ransom dostrzegł wielką, czarną jamę jej pyska, dwukrotnie rozwierającą się i zamykającą z głośnym kłapinięciem szczęk rekina. Teraz on rzucił oszczep - pospiesznie, w podnieceniu, nie wyćwiczoną ręką.

- Do tyłu! - zagrzmiął Hyoui do Whina, który już zapierał z całej siły wiosło w wodzie.

A potem wszystko się pomieszało. Ransom usłyszał okrzyk Whina: „Brzeg!” i zaraz potem poczuł gwałtowny wstrząs, który wyrzucił go przez dziób prawie w same szczęki hnakry. Znalazł się po pas w wodzie, lecz nie wypuścił harpunów. Ciskając jeden po drugim w wielką, czarną czelusć rozdziawionej paszczy, zobaczył Hyouiego utrzymującego się w jakiś niewiarygodny sposób na grzbiecie potwora - na jego nosie! - i rzucającego stamtąd z rozmachem oszczep. W sekundę później hross wyleciał w powietrze i spadł z głośnym pluskiem ponad pięć metrów dalej. Ale hnakra była już pokonana. Przewaliła się na bok, wydychając resztki swojego czarnego życia wraz z pęcherzami powietrza. Woda wokół niej zrobiła się czarna i cuchnąca.

Kiedy Ransom doszedł do siebie, byli już wszyscy na brzegu, przemoczeni, parujący, rozdygotani z wysiłku i ściskający się wzajemnie. Nie czuł się wcale dziwnie, gdy czarne łapy przytulały go do piersi pokrytej mokrym futrem. Oddech hrossa, choć miły, nie był ludzkim oddechem, a jednak nie raził go. Ransom był jednym z nich. Pokonał wreszcie w sobie ów opór, którego oni, przyzwyczajeni do obcowania z kilkoma rozumnymi gatunkami, nigdy chyba nie odczuwali. Wszyscy byli *hnau*. Stali ramię przy ramieniu w obliczu wroga i kształt ich głów nie miał żadnego znaczenia. A on, Ransom, przeszedł przez to, nie narażając się na hańbę. Stał się dojrzałym *hnau*.

Znajdowali się na niewielkim, nie zalesionym cyplu, na który wpadła łódź w zamieszaniu walki. Jej szczątki, splątane z martwym ciałem potwora, leżały w wodzie tuż przy brzegu. Nie słyszeli głosów reszty myśliwych: kiedy napotkali hnakrę, wyprzedzali ich o milę. Usiedli, aby uspokoić oddech.

- A więc jesteśmy *hnakrapunti* - rzekł Hyoui. - Czekałem na to przez całe życie.

W tej samej chwili Ransom usłyszał ogłuszający huk - dobrze mu znany dźwięk, ostatni z dźwięków, jakich mógł się w tej chwili spodziewać - dźwięk ziemski, ludzki, cywilizowany, można nawet powiedzieć: europejski. Był to huk angielskiego karabinu, a u jego stóp leżał Hyoui, dysząc ciężko i bezskutecznie próbując się podnieść. Na białych porostach wokół niego widniała krew. Ransom ukląkł przy nim. Potężne ciało hrossa było za ciężkie, aby je mógł sam odwrócić. Pomógł mu Whin.

- Hyoui, słyszysz mnie? - powiedział Ransom, przybliżając twarz do okrągłej, foczej głowy. - Hyoui, to się stało przeze mnie. To ci inni *hmana* ugodzili cię, ci dwaj skrzywieni, którzy przywieźli mnie na Malakandrę. Oni potrafią rzucać śmierć z odległości, za pomocą takiej rzeczy, którą zrobili. Powinienem ci o tym powiedzieć wcześniej. My wszyscy jesteśmy skrzywioną rasą. Przybyliśmy tu, aby przynieść zło na Malakandrę. Jesteśmy tylko w połowie *hnau*... Hyoui... - zająknął się, nie znając malakandryjskich słów oznaczających „przebaczyć”, „wstyd”, „wina”, nie wiedząc nawet, jak się mówi „przepraszam”.

Mógł tylko wpatrywać się w zmienioną twarz Hyouiego z niemym wyznaniem winy. Ale hross zdawał się go rozumieć. Próbował coś powiedzieć i Ransom zbliżył ucho do jego ust. Mętniejące oczy utkwione były w jego oczach, ale nawet teraz wyraz twarzy hrossa pozostawał dla niego zagadką.

- Hna... Hma... - wybełkotał Hyoui, a potem wyrzucił wreszcie z siebie: - *Hman Hnakrapunt!*..

Potem całe jego ciało wyprężyło się, z ust wypłynęła krew i ślina, głowa opadła ciężko, a twarz stała się tak obca i zwierzęca, jak wydała się Ransomowi podczas ich pierwszego spotkania. Szkliste oczy i powoli sztywniejąca, mokre futro przypominały teraz jakiegokolwiek martwe zwierzę znalezione w ziemskim lesie.

Ransom zdusił w sobie infantylny impuls, by wybuchnąć stekiem przekleństw na Westona i Devine'a. Zamiast tego podniósł oczy, aby napotkać spojrzenie Whina, który przykucnął - hrossy nie potrafią klęczeć - po drugiej stronie martwego ciała.

- Jestem w rękach twojego ludu, Whin - powiedział. - Mogą ze mną zrobić, co zechcą. Ale jeśli są mądrzy, to zabijają mnie, a na pewno zabijają tamtych dwóch *hmana*.

- Nie zabijają się *hnau* - rzekł Whin. - Tylko Ojarsa może to zrobić. Ale gdzie są ci dwaj?

Ransom rozejrzał się wokoło. Cypel był nagi, ale tam, gdzie łączył się z łądem, jakieś dwieście metrów stąd, widniała ściana gęstego lasu.

- Są gdzieś w lesie - powiedział. - Połóż się, Whin, tam gdzie jest najniżej. Oni mogą rzucić to ze swojej rzeczy jeszcze raz.

Miał pewne trudności z przekonaniem Whina, aby to uczynił. Kiedy już leżeli obaj na brzegu, ze stopami w wodzie, hross znowu przemówił.

- Dlaczego go zabili? - zapytał.

- Nie wiedzieli, że on jest *hnau* - odparł Ransom. - Mówiłem ci, że w naszym świecie jest tylko jeden rodzaj *hnau*. Pewno myśleli, że on jest zwierzęciem. A jeśli tak, to mogli go zabić dla przyjemności albo ze strachu, albo - zawahał się - ponieważ są głodni. Ale muszę powiedzieć ci prawdę, Whin. Oni zabiliby nawet *hnau*, wiedząc, że to *hnau*, gdyby uważali, że jego śmierć na coś im się przyda.

Zapanowała krótka cisza.

- Zastanawiam się - rzekł po chwili Ransom - czy mnie zobaczyli. To mnie szukają. Może jeśli do nich pójde, zadowolą się tym i nie będą już niepokoić waszego kraju. Ale dlaczego nie wychodzą z lasu, żeby zobaczyć, co zabili?

- Nasz lud przybywa - powiedział Whin odwracając głowę. Ransom też spojrzał za siebie i zobaczył, że jezioro zaczęło się odłodzi.

- Oni boją się hrossów - powiedział. - To dlatego nie wychodzą z lasu. Pójde do nich, Whin.

- Nie. Myślałem o tym. To wszystko stało się dlatego, że nie posłuchaliśmy eldila. Powiedział, że masz iść do Ojarsy. Powinieneś już być w drodze. Musisz iść teraz.

- Ale wtedy ci skrzywieni *hmana* tu zostaną. Mogą zrobić więcej szkody.

- Nie zaatakują hrossów. Powiedziałeś, że się boją. Prędzej to my po nich pójdziemy. Nie obawiaj się, nie zobaczą nas i nie usłyszą. Zabierzemy ich do Ojarsy. Ale ty musisz już iść, tak jak powiedział eldil.

- Twój lud pomyśli, że uciekłem, bo bałem się spojrzeć im w oczy po śmierci Hyoiego.

- Nie trzeba myśleć, trzeba robić to, co powiedział eldil. Mówisz jak szczenię. A teraz słuchaj, powiem ci, którędy masz iść.

Hross wyjaśnił mu, że w odległości prawie pięciu dni marszu na południe, handramit łączy się z innym handramitem, a po trzech dniach wędrówki w górę tego drugiego handramitu, na zachód i północ, dojdzie do Meldilornu, siedziby Ojarsy. Ale jest krótsza droga, górski szlak wiodący przez cypel harandry między dwoma kanionami, który zaprowadzi go do Meldilornu w ciągu dwu dni. Musi iść przez las, który widać przed nim, aż dojdzie do górzystej ściany handramitu, potem skierować się na południe wzdłuż podnóża gór, aż dojdzie do drogi pomiędzy nimi. Musi pójść tą drogą w górę i gdzieś poza szczytami znajdzie Wieżę Augraya. Augray mu pomoże. W lesie może wyciąć trochę różowego ziele do jedzenia.

Whin zdawał sobie sprawę, że Ransom może spotkać innych *hmana*, gdy tylko znajdzie się w lesie.

- Jeśli cię złapią - powiedział - będzie tak, jak powiedziałeś: nie wejdą do naszego kraju. Ale lepiej być schwytanym w drodze do Ojarsy, niż zostać tutaj. A kiedy już będziesz iść do niego, to nie sądzę, by pozwolił tym skrzywionym zatrzymać cię w drodze.

Ransom nie był w żadnej mierze przekonany, że jest to najlepszy plan, zarówno dla niego, jak i dla hrossów. Obezwładniające upokorzenie, jakie go poraziło w chwili śmierci Hyoiego, nie pozwalało mu jednak na sprzeciw. Pragnął tylko jednego: uczynić wszystko, czego chcą, aby sprawić im jak najmniej kłopotu. A przede wszystkim chciał stąd odejść. Nie był w stanie dowiedzieć się, co czuje Whin. Zdusił w sobie przemożne, nieomal wydzierające mu się z serca wraz z jękiem pragnienie, by ponowić swoje protesty, samooskarżenia i ubolewania, by w zamian usłyszeć kilka słów przebaczenia. Wydając ostatnie tchnienie, Hyoi nazwał go Pogromcą Hnakry; to było dostatecznie szczodre przebaczenie i tym musi się zadowolić.

Gdy tylko upewnił się, że zna już jako tako drogę do Meldilornu, pożegnał się z Whinem i ruszył w stronę lasu.

Rozdział 14

Dopóki nie dotarł do pierwszych purpurowych łądyg, nie umiał myśleć o czymś innym, jak tylko o kuli z karabinu Westona lub Devinea. Pocieszał się, że prawdopodobnie wciąż chcą go mieć raczej żywego niż martwego, i ta myśl, połączona ze świadomością, że obserwują go hrossy, pozwoliła mu nie okazywać strachu przynajmniej na zewnątrz. Ale nawet gdy już zagłębił się w las, nie przestawał odczuwać silnego zagrożenia. Długie, nagie łądygi dawały schronienie tylko wtedy, gdy wróg znajdował się bardzo daleko, a w tym wypadku mógł być bardzo blisko. Opanowało go natarczywe pragnienie, by zawołać głośno do Westona i Devinea i poddać się im - pragnienie zracjonalizowane przez refleksję, że spowoduje to opuszczenie przez nich tych rejonów, jako że najprawdopodobniej będą chcieli zaprowadzić go do sornów. W ten sposób hrossy odzyskałyby spokój. Miał jednak pewne pojęcie o psychologii i słyszał o nawiedzającym ściganego człowieka irracjonalnym impulsie, by się poddać. Sam przeżywał coś podobnego w snach. Zdał sobie sprawę, że teraz jego nerwy skłonne są ulec takiemu impulsowi. Przewyciężył go i zdecydował, że odtąd będzie słuchać hrossów i eldilów. Jak dotąd, jego próby polegania na swoich własnych ocenach kończyły się na Malakandrze raczej tragicznie. Zabezpieczając się przed wszystkimi możliwymi zmianami nastrojów w przyszłości, uczynił mocne postanowienie, że jeśli to tylko okaże się możliwe, nic go nie zawróci z drogi do Meldilornu.

To postanowienie wydawało mu się tym bardziej konieczne, że miał jak najgorsze przecucia co do swej wędrowni. Z tego, co wiedział, wynikało, że harandra jest krajem sornów. Biorąc rzecz na chłodno, pakował się dobrowolnie w tę samą pułapkę, której próbował uniknąć od przybycia na Malakandrę. (Tu pierwsza zmiana nastroju próbowała osłabić jego wolę, ale w porę nad nią zapanował.) A nawet jeśli nie wpadnie w ręce sornów i dotrze do Meldilornu, to kim lub czym może być ten Ojarsa? Z nieco zbawczej uwagi Whina wynikało, że Ojarsa nie podziela obiekcji hrossów co do przelewania krwi *hnau*. Prócz tego jest panem sornów, podobnie jak hrossów i pfiltryggów. Może jest czymś w rodzaju archi-sorna? Teraz nadeszła druga zmiana nastroju. Z głębin podświadomości wychynęły, natarczywie domagając się uwzględnienia, stare, ziemskie lęki przed obcą, zimną inteligencją o nadludzkiej potędze i zwierzęcym okrucieństwie - lęki, o których zupełnie zapomniał przebywając wśród hrossów. Ale przemógł je. Idzie do Meldilornu. To niemożliwe, mówił sobie, by hrossy były posłuszne jakiejś złej lub potwornej istocie. Powiedziały mu zresztą (ale czy na pewno? Nie był teraz tego pewien), że Ojarsa nie jest sornem. Może e jest czymś w rodzaju boga? Może jest tym właśnie bożkiem, któremu sorny chciały go złożyć w ofierze? A jednak hrossy, choć mówiły o nim różne dziwne rzeczy, wyraźnie zaprzeczały, by był bogiem. Według nich jest tylko jeden Bóg, Maleldil Młody. Zresztą nie mógł wyobrazić sobie Hyoiego lub Hnohrę czczących krwawego bożka. Chyba że hrossy są w ostatecznym rozrachunku niewolnikami sornów: przewyższają swoich panów w tych wartościach, które ceni człowiek, lecz intelektualnie im nie dorównują i dlatego poddają się ich woli. Byłby to dziwny, ale możliwy do wyobrażenia świat: heroizm i poezja na samym dole, zimny, naukowy intelekt nad nimi, a ponad tym wszystkim jakiś ciemny przesąd, którego nie chciał, a może nawet nie był w stanie usunąć ów naukowy intelekt, bezsilny wobec zemsty ignorowanych przez siebie emocjonalnych impulsów, płynących z głębin podświadomości. Jakiś fetysz... Ransom otrząsnął się. Wiedział zbyt wiele, aby odrzucić taki sposób myślenia. On sam i wszyscy członkowie jego warstwy społecznej nazwaliby eldile przesądem, gdyby im je tylko opisywano, ale przecież na własne uszy słyszał głos jednego z nich. Nie, jeśli Ojarsa w ogóle jest osobą, musi być osobą realną.

Szedł już około godziny i zbliżyło się południe. Jak dotąd nie miał trudności z utrzymaniem właściwego kierunku: musiał po prostu iść pod górę, mając pewność, że prędzej czy później

wyjdzie z lasu u podnóża ściany handramitu. Czuł się już dobrze; zagościł w nim spokój, jaki zwykle następuje po ciężkich przeżyciach. Ciche, purpurowe półświatło lasu roztaczało się wokół niego tak samo, jak w ów pierwszy dzień, jaki spędził na Malakandrze, ale poza nim wszystko się zmieniło. Tamten czas wydawał mu się teraz męczącym snem, a jego nastrój w tym czasie - rodzajem choroby. Wówczas wszystko było skamlącym, nie poddającym się analizie, karmiącym się samym sobą strachem. Teraz, w jasnym świetle przyjętego świadomości obowiązku, odczuwał z pewnością lęk, ale oprócz tego trzeźwe zaufanie do siebie samego i do świata, a nawet coś w rodzaju przyjemności. Na tym polega różnica między szcurem lądowym na tonącym statku i jeźdźcem na koniu, który poniósł: każdego z nich może spotkać śmierć, ale jeździec nie jest bierną ofiarą - ma wciąż możliwość działania.

Od południa minęło już ponad godzinę, gdy nagle wyszedł z lasu na jasne słońce. Tuż przed nim, zaledwie dwadzieścia metrów od brzegu lasu, wystrzelały w górę prawie prostopadłe ściany gór, zbyt bliskich, by widzieć ich szczyty. Właśnie tam, gdzie wyszedł, między dwiema kolumnami gór widniało coś w rodzaju doliny wiodącej ku przełęczy. Było to właściwie niedostępne zagłębienie w gładkiej skale, w dolnej części wznoszące się stromo jak dach starej kamienicy, wyżej prawie prostopadłe. Na samym szczycie zdawało się nawet zwieszać, jak kamienna fala zamarła w samym momencie załamania, ale mogło to być złudzenie. Zastanawiał się, z czym u hrossów w wiąże się pojęcie drogi.

Zaczął się posuwać na południe wzdłuż wąskiego, nierównego pasa nagiej ziemi między górami a lasem. Co kilka minut musiał pokonywać strome ostrogi gór i nawet w tym świecie, gdzie wszystko ważyło mniej niż na Ziemi, było to bardzo męczące. Po pół godzinie doszedł do jakiegoś strumienia. Wrócił do lasu, wyciął nieco różowego zieleń i usiadł nad wodą, by się posilić. Kiedy skończył, napełnił kieszenie tym, co mu pozostało, i ruszył dalej.

Wkrótce zaczął z niepokojem wypatrywać owej drogi, o której mówił Whin, jako że zbliżał się wieczór, a nie wyobrażał sobie, by mógł ją dostrzec w ciemnościach. Ale niepotrzebnie się lękał. Kiedy do niej wreszcie doszedł nie miał żadnych wątpliwości. Musiał być teraz gdzieś na wysokości wioski hrossów. Po lewej stronie pojawił się pas otwartej przestrzeni wiodącej przez las, a po prawej zobaczył drogę, rodzaj wąskiej listwy skalnej - miejscami korytarza - wyciętej zakosami w zboczu kamiennej doliny, podobnej do tej, jaką już widział wcześniej. Wstrzymał oddech, wpatrując się w owe niewiarygodnie strome, przerażająco wąskie schody bez stopni, wiodące wzwyż i wzwyż, aż tam gdzie stawały się prawie niewidoczną nitką na bladezielonej powierzchni skały. Nie było jednak czasu, by stać i przyglądać się. Nie miał wprawy w ocenie wysokości, ale nie wątpił, że od szczytu dzieli go alpejska odległość. W każdym razie osiągnie go nie wcześniej niż o zachodzie słońca. Natychmiast rozpoczął wspinaczkę.

Takie przedsięwzięcie byłoby na Ziemi zupełnie niewykonalne. Już po pierwszym kwadransie człowiek jego budowy i wieku znalazłby się na granicy skrajnego wyczerpania. Tu Ransom najpierw cieszył się z lekkości swoich kroków, później zaczęło go ogarniać ponure zdumienie wobec stromizny i długości wspinaczki, która wkrótce - nawet w tych malakandryjskich warunkach - zmusiła go do zgięcia się w pół i posuwania z trudem w górę na trzęsących się nogach i z łomotem w piersiach. Ale nie to było najgorsze. W uszach czuł już dzwonienie i zauważył, że pomimo wysiłku czoło miał suche. Narastające z każdym krokiem zimno wyczerpywało jego energię bardziej, niż mógłby to uczynić największy upał. Wargi mu popękały, przy każdym wydechu wyrzucał z siebie kłęb pary, palce miał sztywne. Wkraczał w cichy, arktyczny świat; przeszedł już z angielskiej do lapońskiej zimy. Przeraziło go to i zdecydował, że musi odpocząć, bo wyżej każde zatrzymanie się może oznaczać śmierć. Przykucnął na ścieżce na kilka minut, rozgrzewając się mocnymi wymachami rąk. Krajobraz budził grozę. Handramit, jego świat przez

tyłe tygodni, był już tylko cienką, purpurową szczeliną pośród nieskończonego, płaskiego pustkowi harandry rozciągniętej między szczytami gór i ponad nimi. Ale na długo zanim naprawdę odpoczął, wstał, wiedząc, że musi iść, jeśli nie chce umrzeć.

Świat wokół niego stawał się coraz bardziej niesamowity. Przebywając wśród hrossów, Ransom prawie stracił poczucie, że jest na obcej planecie; tutaj wróciło ono z całą mocą, a towarzyszyło mu dojmujące osamotnienie. Nie był to już „ten świat”, nawet nie „jakiś świat”: była to planeta, gwiazda, pustkowie we wszechświecie, miliony mil od świata ludzi. Nie potrafił już myśleć o Hyoim, Whinie, eldilach czy Ojarsie tak, jak myślał o nich wyruszając w tę drogę. Jak doszło do tego, że podjął jakieś zobowiązanie wobec takich straszycieli - jeśli w ogóle nie były to halucynacje - napotkanych w dzikim zakątku kosmosu? Nie miał z nimi nic wspólnego, był człowiekiem. Dlaczego Weston i Devine zostawili go samego, zdanego na łaskę obcego losu?

Ale przez cały czas dawne postanowienie, poczynione wtedy, gdy jeszcze potrafił myśleć, nakazywało mu iść dalej. Często zapominał już, dokąd idzie i po co. Ruch stał się mechanicznym rytmem: od zmęczenia do bezruchu, od bezruchu do nieznośnego zimna, od zimna do ponownego ruchu. Zauważył, że handramit - teraz jedynie niepozorna szczelina w płaskim krajobrazie - wypełniała mgłą. Kiedy tam przebywał, nigdy jej nie widział. Może powietrze kanionu wyglądało tak z tej wysokości, zwłaszcza że z całą pewnością było zupełnie inne niż tutaj. Z jego płucami i sercem działało się coś niedobrego, coś, czego nie mogło wywołać jedynie zimno i wyczerpanie. Chociaż nie było śniegu, atmosferę przesycala niezwykła jasność, wciąż narastająca, coraz ostrzejsza i bielsza. Niebo było o wiele ciemniejsze, granatowe, niemal czarne, a zębate wieżycy skał na jego tle przywodziły na myśl wyobrażenia krajobrazu księżycowego, jakie widział w książkach na Ziemi.

Nagle zrozumiał znaczenie tego zjawiska. Ponad nim było już niewiele powietrza: zbliżał się do jego granicy. Malakandryjska atmosfera wypełniała głównie handramity, a prawdziwa powierzchnia planety była jej pozbawiona lub okryta tylko cienką warstwą. Przerażający blask słońca i czarne niebo były już zaczątkiem owych „niebios”, z których spadł w malakandryjski świat i które już dostrzegał przez ostatni cienki welon powietrza. Jeśli odległość od szczytu wynosi więcej niż trzydzieści metrów, nie będzie tam w ogóle tlenu do oddychania. Może hrossy miały inne płuca i wysłały go w drogę oznaczającą śmierć dla człowieka? Jednak gdy o tym rozmyślał, zauważył, że postrzępione, iglaste szczyty lśniące w słońcu na tle prawie czarnego nieba były już na tym samym poziomie co on. Już się nie wspinał. Przed nim droga biegła płytkim wąwozem, z lewej strony osłoniętym przez skaliste wieżyczki szczytu, z prawej przez gładkie, kamienne wzniesienie, biegnące w górę aż do prawdziwej harandry. Mógł jeszcze z trudem oddychać, dysząc, kaszląc, krzywiąc się z bólu i czując zawroty głowy. Gorzej znosił oślepiający blask zachodzącego słońca. Hrossy musiały to przewidzieć, przecież same nie mogłyby żyć na harandrze w nocy. Idąc chwiejnym krokiem naprzód, rozglądał się za Wieżą Augraya, nie mając pojęcia, jak wygląda i kim może być ów Augray.

Szedł ciemniejszą drogą, przyglądając się uważnie cieniom skał biegnącym mu naprzeciw, bez wątplenia krócej, niż mu się wydawało. W rzeczywistości nie odszedł daleko od przełęcz, gdy ujrzał przed sobą światło, które mu uzmysłowiło, jak już zrobiło się ciemno. Chciał biec, ale ciało odmawiało mu posłuszeństwa. Zataczając się i potykając ze zmęczenia i gorączkowego pośpiechu, skierował się ku światłu. Myślał, że jest blisko, lecz za chwilę stwierdził, że musi być o wiele dalej, niż przypuszczał. Już prawie stracił nadzieję, lecz ostatnim wysiłkiem woli zebrał resztki sił, aż w końcu zatrzymał się, dysząc ciężko, przed wylotem jakiejś jaskini, w kręgu wylewającego się z niej czerwonego, drgającego światła, a w twarz wionęła mu rozkoszna fala ciepła: było to światło ogniska. Wszedł do wylotu jaskini, minął niepewnie ognisko i stanął, oślepiony światłem. Kiedy w

końcu odzyskał wzrok, zobaczył gładką, wysoko sklepioną komorę wykutą w skale. I natychmiast rozpoznał dwie rzeczy. Jedną był tańczący po ścianie i sklepieniu olbrzymi, kanciasty cień sorna; drugą był sam sorn, skulony pod swym cieniem.

Rozdział 15

- Wejdz, Mały - zahuczał sorn. - Wejdz, chciałbym cię obejrzeć.

Stojąc wreszcie twarzą w twarz z widmem, które prześladowało go od czasu, gdy po raz pierwszy postawił stopę na Malakandrze, Ransom odczuł niespodziewaną obojętność. Nie miał pojęcia, co może zdarzyć się za chwilę, ale był zdecydowany wypełnić swe postanowienie do końca, a ciepło i wyraźna ulga w płucach były już same w sobie niebem. Wszedł głębiej, a gdy odpowiedział sornowi, jego własny głos zabrzmiał mu w uszach jak piskliwy dyszkant.

- *Hrossa* wysłali mnie, żebym odnalazł Ojarsę.

Sorn przyjrzał mu się uważnie.

- Ty nie jesteś z tego świata - powiedział nagle.

- Nie - rzekł Ransom i usiadł. Był zbyt zmęczony, aby cokolwiek wyjaśniać.

- Myślę, że jesteś z Tulkandry, Mały - powiedział sorn.

- Dlaczego? - zapytał Ransom.

- Jesteś mały i gruby, a tak właśnie powinny być zbudowane zwierzęta w cięższym świecie. Nie możesz pochodzić z Glundandry, bo jest tak ciężka, że gdyby żyły tam jakieś zwierzęta, musiałyby być płaskie jak placki; nawet ty, Mały, złamałbyś się, gdybyś stanął na takiej planecie. Nie sądzę, żebyś był z Perelandry, bo tam jest bardzo gorąco; gdyby ktoś przybył stamtąd, nie mógłby tu żyć. Dlatego myślę, że jesteś z Tulkandry.

- Świat, z którego przybyłem, nazywany jest Ziemią przez tych, którzy na nim żyją - rzekł Ransom. - Jest w nim o wiele cieplej niż tu. Zanim wszedłem do twojej jaskini, bliski byłem śmierci z zimna i rzadkiego powietrza.

Sorn wykonał nagły ruch jedną ze swych górnych kończyn. Ransom zeszywniał (choć nie pozwolił sobie na ucieczkę), obawiając się, że stworzenie chce go pochwycić. W rzeczywistości intencje sorna były zupełnie inne. Sięgnął w głąb jaskini i zdjął ze ściany coś, co przypominało kubek. Ransom dostrzegł, że jego dno połączone było z długą, giętką rurą. Sorn włożył mu kubek w rękę.

- Powąchaj tego - rzekł. - *Hrossa* też tego potrzebują, gdy idą tędy.

Po krótkiej inhalacji Ransom poczuł natychmiastową ulgę. Płytki, krótki oddech, kończący się za każdym razem bólem, minął, a ucisk w piersiach i skroniach ustąpił. Rozświetlona jaskinia z przycupniętym w niej sornem, uprzednio zamglona i przypominająca senną wizję, stała się zupełnie inną rzeczywistością.

- Tlen? - zapytał po angielsku, lecz oczywiście to słowo nic nie znaczyło dla sorna. - Czy nazywasz się Augray? - zapytał znowu.

- Tak - odparł sorn. - A ty jak się nazywasz?

- Rodzaj, do którego należę, nazywa się w moim języku *men* i dlatego *hrossy* nazywają mnie Hman. Ale moje własne imię brzmi Ransom.

- *Men... Ren-sem* - powtórzył Augray. Ransom zauważył, że wymowa sorna różni się od wymowy *hrossów*, bez śladu początkowego „h”.

Sorn siedział na długich, klinowatych pośladowkach z podciągniętymi pod nie stopami. Czubiek tego wzrostu opierałby brodę na kolanach, ale nogi sorna były na to o wiele za długie. Jego kolana sięgały grubo ponad ramiona po obu stronach głowy, przypominając olbrzymie uszy. Broda spoczywała na wypukłej piersi. Stworzenie albo miało tak długi podbródek, albo brodę - Ransom nie mógł tego wyraźnie rozpoznać w świetle ognia. Było przeważnie białe, lub raczej kremowe i jakby okryte aż do stóp miękką substancją odbijającą światło. Gdy przyjrzał się znajdującym się najbliżej niego długim, wiotkim nogom, doszedł do wniosku, że to jakiś rodzaj naturalnego futra,

do złudzenia przypominającego pióra. Oglądane z bliska, stworzenie to było mniej odrażające i nieco niższe, niż przypuszczał. Do jego twarzy rzeczywiście musiał się przyzwyczać - zbyt długa, zbyt poważna i zbyt bezbarwna, o wiele bardziej nieprzyjemna od ludzkiej niż pysk jakiegokolwiek zwierzęcia. Oczywiście, jak u wszystkich wielkich zwierząt, wydawały się za małe. W sumie stworzenie było jednak bardziej groteskowe niż straszne. W umyśle Ransom zaczęła się kształtować nowa koncepcja sornów, już mniej kojarząca się z „duchami” i „olbrzymami”, a bardziej ze „skrzatami”, a nawet „gamoniami”.

- Może jesteś głodny, Mały? - zapytał sorn.

Ransom był głodny. Sorn powstał i zaczął krzątać się po jaskini dziwnymi ruchami przypominającymi pająka, które naśladował jego długi, chochlikowaty cień. Podał mu zwykłe malakandryjskie jarzyny oraz coś, co Ransomu mile zaskoczyło: brązową substancję, w której nos, oko i podniebienie rozpoznawały - choć wydawało się to nieprawdopodobne - ser. Ransom zapytał, co to jest.

Sorn zaczął z trudem wyjaśniać, że samice pewnych zwierząt wydzielają płyn, aby karmić nim młode, i męczyłby się zapewne jeszcze bardziej, opisując cały proces dojenia i wyrabiania sera, gdyby mu Ransom nie przerwał.

- Tak, tak. Robimy to samo na Ziemi. Co to za zwierzęta?

- To takie żółte zwierzęta z długimi szyjami. Żerują w lasach rosnących w handramicie. Młode sorny, które nie potrafią jeszcze robić innych rzeczy, spędzają je tam o świcie i towarzyszą im przez cały dzień, a przed nocą zapędzają je z powrotem do jaskiń.

Przez chwilę Ransom poczuł coś uspokajającego w fakcie, że sorny są pasterzami. Potem przypomniał sobie, że u Homera cyklopy trudniły się tym samym zajęciem.

- Chyba widziałem jednego z was przy tej pracy - rzekł. - Ale *hrossa*... czy one pozwalają wam na wchodzenie do swych lasów?

- A dlaczego miałyby nie pozwalać?

- Czy wy nad nimi panujecie?

- Ojarsa nad nimi panuje.

- A kto panuje nad wami?

- Ojarsa.

- Ale wy wiecie więcej od *hrossów*?

- *Hrossy* nie wiedzą nic. Znają się tylko na poezji, rybach i sprawianiu, by coś wyrastało z ziemi.

- A Ojarsa... czy on jest sornem?

- Nie, nie, Mały. Powiedziałem ci, że on rządzi wszystkimi *nau* - tak wymawiał *hnau* - i w ogóle wszystkim na Malakandrze.

- Nie rozumiem tego Ojarsy - rzekł Ransom. - Powiedz mi o nim więcej.

- Ojarsa nie umiera. I nie rozmnaża się. On jest tym jednym ze swojego rodzaju, który został dany Malakandrze, żeby nią rządzić, kiedy Malakandra została stworzona. Jego ciało nie jest takie jak nasze albo jak twoje. Trudno je zobaczyć i światło przez nie przechodzi.

- Jak *eldil*?

- Tak, on jest największym z *eldilów*, które kiedykolwiek nawiedziły handrę.

- Czym są *eldile*?

- Czy chcesz powiedzieć, Mały, że w twoim świecie nie ma *eldilów*?

- Nie słyszałem o żadnych. Ale czym są *eldile* i dlaczego nie mogę ich zobaczyć? Czy nie mają ciał?

- Oczywiście mają ciała. Jest wiele ciał, których nie możesz zobaczyć. Oko każdego zwierzęcia

widzi jedne rzeczy, a drugich nie. Czy na Tulkandrze nie wiedzą nic o różnych rodzajach ciał?

Ransom próbował przekazać sornowi jakieś pojęcie o ziemskiej terminologii ciał stałych, płynnych i gazowych. Augray słuchał z dużą uwagą.

- To nie tak - powiedział w końcu. - Ciało to ruch. Jeżeli porusza się z jedną szybkością, czujesz zapach, jeśli z inną, słyszysz dźwięk, jeżeli z inną, widzisz coś, jeżeli z jeszcze inną ani go nie widzisz, ani nie słyszysz, ani nie czujesz nosem, ani w ogóle nie zauważasz w inny sposób. Ale pamiętaj, Mały, że te dwa końce się spotykają.

- Co masz na myśli?

- Jeśli ruch jest szybki, wtedy ten, kto się porusza, jest prawie jednocześnie w dwu miejscach.

- To prawda.

- Ale jeśli ruch jest jeszcze szybszy (trudno to wyjaśnić, bo nie znasz wielu słów), jeśli będzie coraz szybszy i szybszy, to w końcu ta rzecz będzie we wszystkich miejscach na raz.

- Myślę, że rozumiem.

- A więc to taka właśnie rzecz jest na samym szczycie wszystkich ciał: tak szybka, że już się nie porusza, tak cielesna, że przestaje już być ciałem. Ale nie mówmy o tym, Mały. Zacznijmy od tego, gdzie jesteśmy. Najszybszą rzeczą, jaką rozpoznają nasze zmysły, jest światło. Naprawdę nie widzimy samego światła, tylko wolniejsze rzeczy przez nie oświetlone. Dla nas światło jest na krawędzi: to ostatnie, co jeszcze widzimy, potem rzeczy są już za szybkie. Ciało eldila jest ruchem tak szybkim jak światło, można powiedzieć, że jego ciało jest zrobione ze światła. Ale nie z tego, które jest światłem dla eldila. Jego „światło” to ruch jeszcze szybszy, dla nas zupełnie niewidzialny, a to, co my nazywamy światłem, jest dla niego czymś takim, jak dla nas woda: rzeczą widzialną, której można dotknąć, w której można się kąpać. Dla niego nasze światło może być nawet ciemną rzeczą, kiedy nie oświetla jej rzecz szybsza. A to, co my nazywamy rzeczami, ciał o i ziemia, wydaje mu się bardziej przejrzyste i trudniejsze do zobaczenia niż nasze światło, bardziej jak chmury, prawie nic. Dla nas eldil jest przejrzystym, półrealnym ciałem i dlatego może przechodzić przez ściany i skały; tymczasem eldil przechodzi przez nie, bo to on jest czymś stałym i twardym, a one są jak chmury. A to, co jest dla niego prawdziwym światłem nappełniającym niebo, tak że może zanurzyć się w promieniach słońca, aby się odświeżyć, dla nas jest owym czarnym niczym, jakie widzimy na niebie w nocy. Nie są to rzeczy dziwne, Mały, chociaż są poza naszymi zmysłami. Dzwonne jest to, że eldile nigdy nie odwiedzają Tulkandry.

- Tego nie jestem pewien - rzekł Ransom.

Przyszło mu na myśl, że powtarzające się w ludzkiej tradycji podania o jasnych, nieuchwytnych istotach pojawiających się czasem na Ziemi - elfach, dewach i im podobnych - mogły mieć ostatecznie inne wyjaśnienie niż to, które proponowali antropologowie. Dotychczasowe pojęcia o wszechświecie musiałyby wówczas ulec całkowitej zmianie, ale po przeżyciach na pokładzie kosmicznego statku był już przygotowany do takiej operacji.

- Dlaczego Ojarsa mnie wezwał? - zapytał.

- Ojarsa mi tego nie powiedział - odrzekł sorn. - Ale na pewno chce widzieć każdego przybysza z innej handry.

- W moim świecie nie ma Ojarsy - powiedział Ransom.

- To jeszcze jeden dowód na to, że przybyłeś z Tulkandry, milczącej planety.

- Co to ma do rzeczy?

Sorn wydawał się nieco zaskoczony.

- Gdybyście mieli Ojarsę, to z pewnością rozmawiałby z naszym.

- Rozmawiałby z waszym? Ale w jaki sposób, przecież to miliony mil stąd?

- Ojarsa nie myśli o tym w ten sposób.

- Chcesz powiedzieć, że on normalnie otrzymuje wiadomości z innych planet?

- Jeszcze raz: on nie powiedziałby tego w ten sposób. Ojarsa nie powiedziałby, że żyje na Malakandrze, a znowu inny Ojarsa na innej planecie. Dla niego Malakandra jest tylko jednym z miejsc w niebiosach. On i inni Ojarsowie żyją w niebie. Oczywiście rozmawiają ze sobą...

Ransom nie chwycił już sensu słów sorna. Był coraz bardziej śpiący i pomyślał, że musiał go źle zrozumieć.

- Myślę, że powinienem iść spać, Augrayu - powiedział. - Nie bardzo rozumiem, co mó wisz. I być może wcale nie przybyłem z tej handry, którą nazywasz Tulkandrą.

- Zaraz obaj będziemy spać - rzekł sorn. - Ale najpierw pokażę ci Tulkandrę.

Wstał i poprowadził go w głąb jaskini. Ransom zobaczył tam wąską wnękę, a w niej prowadzące w górę schody. Stopnie, wyciosane dla sornów, były dla człowieka za wysokie, ale przy pomocy rąk i kolan mógł się jakoś na nie wspiąć. Czuł zimne podmuchy wiatru. Sorn szedł pierwszy i oświetlał drogę jakimś małym, okrągłym przedmiotem. Szli dość długo, jakby wspinali się wewnątrz wydrążonego szczytu. W końcu, łapiąc z trudem powietrze, znalazł się w ciemnej, lecz ciepłej komorze skalnej i usłyszał głos sorna:

- Jest wciąż dość wysoko nad południowym horyzontem.

Wskazał mu coś, co przypominało małe okienko. Cokolwiek to było, prawdopodobnie nie działało jak ziemski teleskop, lecz gdy następnego dnia próbował wyjaśnić sornowi zasadę budowy teleskopu, poważnie zwątpił we własną zdolność do uchwycenia różnicy. Zawisł na łokciach na krawędzi otworu i spojrzał. Zobaczył doskonałą czerń, a w samym środku, wyraźnie, niemal na odległość wyciągniętej ręki, jasną tarczę rozmiarów półkoronówki. Większość powierzchni dysku była gładka i lśniła srebrzyście, lecz w dolnej części widniały jakieś plamy, a pod nimi biała czapa, przywodząca na myśl białe pokrywy polarne, jakie widział na astronomicznych fotografiach Marsa. Przez chwilę był prawie pewien, że patrzy na Marsa, lecz później, gdy jego oczy zaczęły lepiej rozróżniać kształty plam, rozpoznał, czym były: północną częścią Europy i kawałkiem Ameryki Północnej. Zaszokowało go, że te lądy są na dole, a biegun północny pod nimi, ale nie miał już żadnych wątpliwości: patrzył na Ziemię, może nawet na Anglię, choć obraz drżał lekko i jego oczy szybko się męczyły. Tam, na tym małym dysku, było wszystko: Londyn, Ateny, Jerozolima, Szekspir. Tam żyli wszyscy, których znał, tam wszystko się wydarzyło, tam najprawdopodobniej wciąż leżał jego plecak na ganku pustego domu niedaleko miasteczka Sterk.

- Tak - powiedział martwym głosem. - To jest mój świat.

Była to najbardziej ponura chwila w całej jego podróży.

Rozdział 16

Następnego ranka obudził się z niejasnym poczuciem, że spadł mu z serca jakiś ciężar. Potem przypomniał sobie, że jest gościem sorna, i że to stworzenie, którego tak unikał od wylądowania na Malakandrze, okazało się równie przyjazne jak hrossy, choć nie czuł do niego takiej samej sympatii. A więc nie musiał się już na Malakandrze niczego lękać - prócz Ojarsy...

„Ostatnia przeszkoda”, pomyślał.

Augray dał mu jeść i pić.

- A teraz - powiedział Ransom - wyjaśnij mi, jak trafić do Ojarsy.

- Zaniosę cię tam - odrzekł sorn. - Jesteś za mały na taką podróż, a ja chętnie pójde do Meldilornu. Hrossy nie powinny cię wysyłać tą drogą. Chyba nie potrafią ocenić, patrząc na zwierzę, jaki ma rodzaj płuc i na ile go stać. Takie właśnie są hrossy. Gdybyś umarł na harandrze, stworzyłyby poemat o dzielnym Hmanie, o tym, jak niebo czerniał i płonęły zimne gwiazdy, gdy on wciąż wędrował i wędrował. Ułożyłyby wspaniałą mowę opowiadającą, jak umierałeś... i nie przyszłoby im do głowy, że lepiej jest przewidzieć parę rzeczy, wysłać cię łatwiejszą drogą, i w ten sposób uratować ci życie.

- Lubię hrossy - rzekł Ransom nieco sztywnym tonem. - I myślę, że patrzą na śmierć we właściwy sposób.

- Mają rację, kiedy mówią, że nie trzeba się jej bać, Ren-sem, ale nie sędzę, by patrzyły na nią rozumnie jak na część samej natury naszych ciał i dlatego nie pojmują, że często można jej uniknąć. To, na przykład, uratowało życie wielu hrossom, ale żaden hross by tego nie wymyślił.

Pokazał Ransomowi butlę z wystającą z niej rurą, na końcu której był kubek - najwyraźniej aparat tlenowy.

- Wąchaj tego, kiedy odczujesz potrzebę, Mały. I zamykaj, kiedy nie będzie ci potrzebne.

Umocował butlę na plecach Ransoma, przewiesił mu rurę przez ramię i wsadził do ręki kubek. Ransom nie mógł powstrzymać dreszczu, gdy ręce sorna dotknęły jego ciała: przypominające wachlarze, zimne i z siedmioma palcami. „Kości obciążone skórą jak u ptaka”, pomyślał. Aby odwrócić uwagę i nie ulegać niemiłym reakcjom, zapytał, gdzie zrobiono ten aparat, bo nie widział dotąd nic takiego jak fabryka czy laboratorium.

- My to wymyśliliśmy - rzekł sorn - a pfiiftryggi zrobiły.

- Dlaczego to zrobiły? - zapytał Ransom, próbując raz jeszcze dowiedzieć się czegoś o politycznym i ekonomicznym ustroju Malakandry, a dysponując jedynie ubogim słownictwem.

- One lubią to robić - odpowiedział Augray. - To prawda, że najbardziej lubią robić rzeczy, na które miło jest patrzeć, ale które do niczego nie służą. Ale czasami, kiedy są tym zmęczone, robią coś dla nas - rzeczy, które wymyśliliśmy - pod warunkiem, że są dość trudne. Do łatwych nie mają cierpliwości, choćby były najbardziej pożyteczne. No, ale trzeba ruszać w drogę. Będiesz siedział na moim ramieniu.

Propozycja zaskoczyła i zaniepokoiła Ransoma, ale ponieważ sorn już przykucnął, nie pozostawało mu nic innego, jak wspierać się na jego opierzone ramię i usiąść tuż obok długiej, bladej twarzy, obejmując prawą ręką wielką szyję i sadowiąc się jak najwygodniej do tego ryzykownego sposobu podróży. Olbrzym wyprostował się ostrożnie, a Ransom spojrział na świat z wysokości ponad pięciu metrów.

- Czy wszystko w porządku, Mały?

- W porządku - rzekł Ransom i podróż się zaczęła.

Sposób, w jaki sorn chodził, był chyba najmniej ludzką rzeczą. Podnosił stopy bardzo wysoko i opuszczał bardzo łagodnie. Ransomowi przychodziły do głowy dalekie porównania ze

skradającym się kotem, z kogutem dumnie wychodzącym ze stodoły lub z dobrym zaprzęgowym koniem, ale tak naprawdę ten ruch nie przypominał mu kroku żadnego ziemskiego zwierzęcia. Dla pasażera był niespodziewanie wygodny. Po kilku minutach Ransom stracił już poczucie, że w jego pozycji jest coś nienaturalnego i oszałamiającego. Zaczęły go nawiedzać nedorzeczne i rozczulające skojarzenia: dzieciństwo, jazda na słońiu w ogrodzie zoologicznym, a jeszcze wcześniej cudowne wspomnienie jazdy na barana na ojcowskich plecach.

Posuwali się z szybkością sześciu do siedmiu mil na godzinę. Zimno niezbyt mu dokuczab, a dzięki butli z tlenem nie miał trudności z oddychaniem. Z wysokiego, kołyszącego się punktu obserwacyjnego spoglądał z ciekawością na pełen majestatu krajobraz. Handramitu nie było już widać. Po obu stronach płytkiego żlebu rozciągał się aż po horyzont świat nagich, lekko zielonkawych skał, od czasu do czasu poznaczonych rozległymi plamami czerwieni. Niebo, granatowe w miejscu gdzie łączyło się ze skałami, w zenicie zmieniało się w prawie czarne. Tam gdzie nie osłepiało go słońce, widział gwiazdy. Od sorna dowiedział się, że miał rację myśląc o bliskości granicy atmosfery. Już na górzystym paśmie oddzielającym harandrę od handramitu, lub na dnie wąskiej depresji, którą teraz szli, powietrze było rzadkie jak w Himalajach, a zaledwie kilkaset stóp wyżej, na właściwej harandrze, prawdziwej powierzchni planety, życie nie mogło istnieć. Dlatego jasność, w której szli, zbliżała się do jasności niebios, nieznacznie tylko przytępieniej cienkim welonem atmosfery.

Cień sorna, z cieniem Ransoma na ramieniu, przesuwała się daleko po nierównościach skał, jak cień drzewa w świetle reflektorów jadącego samochodu. Tuż za nim blask skały raził boleśnie oczy. Horyzont wydawał się tak bliski, jakby go było można dosięgnąć wyciągniętą ręką. Szczeliny i granie odległych zboczy rysowały się tak wyraźnie, jak tło prymitywnego malowidła z czasów, gdy człowiek nie znał jeszcze perspektywy. Ransom czuł, że jest na samej granicy owych niebios, którą poznał na pokładzie kosmicznego statku. Znowu przenikały jego ciało promienie, jakich nie znają światy otulone warstwą powietrza. Ogarnęło go dawne uniesienie, jakaś strzelista powaga, spokojne i ekstatyczne zarazem poczucie życia i mocy o spontanicznej, bezmiernej obfitości. Gdyby miał dość powietrza w płucach, roześmiałby się na głos. I jakby w odpowiedzi na to uniesienie, krajobraz wybuchnął niespodziewanym pięknem. Na krawędzi doliny, jak spieniona, różowa masa spływająca z prawdziwej harandry, pojawiły się kuliste kształty owej dziwnej substancji, którą tak często widział już z dużej odległości i brał za chmury. Teraz, z bliska, okazały się nieruchome i twarde jak kamień, lecz skłębione na wierzchu i rozszczerzone pod spodem, jak roślina. Jego pierwotne skojarzenie z wielkimi chmurzastymi kalafiorami okazało się zaskakująco poprawne. Rzeczywiście przypominały kamienne, blad różowe kalafiora, wielkie jak katedry. Zapytał sorna, co to jest.

- To dawne lasy Malakandry - odparł Augray. - Kiedyś na harandrze było powietrze i ciepło. I dzisiaj, gdybyś tylko mógł tam wejść i żyć, zobaczyłbyś, że cała pokryta jest kośćmi dawnych stworzeń. Kiedyś pełna była życia i dźwięków. Porastały ją wtedy te lasy, a między ich łodygami żył lud, który zniknął z tego świata wiele tysięcy lat temu. Nie pokrywało ich futro, lecz coś takiego jak mnie. Nie pływali w wodzie i nie chodzili po ziemi, lecz łożgali się w powietrzu na szerokich, płaskich kończynach. Mówią, że byli wielkimi śpiewakami i za ich dni czerwone lasy rozbrzmiewały muzyką. Teraz lasy zamieniły się w kamień i tylko eldile mogą po nich chodzić.

- My do tej pory mamy takie stworzenia w naszych lasach- powiedział Ransom. - Nazywamy je ptakami. Gdzie był Ojarsa, kiedy to się stało z harandrą?

- Tam, gdzie jest teraz.

- I nie mógł temu zapobiec?

- Nie wiem. Ale świat nie jest stworzony po to, aby trwać wiecznie, a tym bardziej jakaś rasa.

Tak chce Maleldil.

Teraz skamieniałe lasy pojawiały się coraz częściej, a martwy krajobraz rozkwitał jak angielski ogród w lecie. Mijali wiele jaskiń, w których, jak powiedział Augray, żyją sorny. Czasem wysoka skarpa poznaczona była niezliczonymi dziurami aż do samego szczytu; dobiegał stamtąd harmider dudniących głosów.

- Tam się pracuje, - powiedział sorn, ale nie potrafił wyjaśnić Ransomowi, jaką pracę ma na myśli. Jego słownictwo różniło się znacznie od słownictwa hrossów. Nigdzie nie spotkali czegoś takiego jak wioska lub miasto: sorny najwidoczniej należały do stworzeń z natury samotniczych. Raz czy dwa pojawiła się w wylocie jaskini blada twarz, pozdrawiając ich dźwiękiem, jaki wydaje róg, ale poza tym długa dolina - skalny gościniec tego milczącego ludu - była cicha i pusta jak sama harandra.

Dopiero po południu, gdy właśnie mieli schodzić w zagłębienie drogi, zobaczyli trzy sorny zbliżające się ku nim po przeciwległym zboczu. Ich ruchy przypominały Ransomowi bardziej ślizganie się na łyżwach niż kroki piechura. Mała siła ciężenia i doskonała równowaga ciał pozwalały im na wychylenie się do przodu prostopadle do powierzchni zbocza. Zsunęły się szybko w dół, jak trzy statki pod pełnymi żaglami pędzone dobrym wiatrem. Wdzięk ich ruchów, wyniosłość postawy i miękki połysk słońca na upierzonych bokach dokonały ostatecznej przemiany w stosunku Ransoma do ich rasy. Kiedy zobaczył je po raz pierwszy, walcząc z Devinem i Westonem o życie, nazwał je w myślach „ogrami”; teraz czuł, że słowa „tytani” lub „aniołowie” określałyby je o wiele lepiej. Nawet ich twarze wydawały mu się zupełnie inne: sądził, że są widmowe, podczas gdy naprawdę były dostojne. A swoją pierwszą reakcją na nieco złowrogą długość ich kształtów i zagadkowy wyraz twarzy oceniał teraz nie tyle jako przejaw tchórzostwa, co prostactwa. Tak mógł wyglądać Parmenides lub Konfucjusz w oczach uczniaka z londyńskiego przedmieścia! Wielkie, białe istoty ześliznęły się ku nim po zboczu, zakołysały jak drzewa i poszły dalej swoją drogą.

Pomimo zimna - które nakazywało mu co jakiś czas zejść z ramienia sorna i przejść kawałek pieszko - nie pragnął wcale końca wędrówki. Augray miał jednak swoje własne plany i na długo przed zachodem słońca zatrzymał się na nocleg w domu jakiegoś starego sorna. Ransom szybko odkrył, że został tu przyprowadzony po to, by poznać wielkiego uczonego. Jaskinie, a ściślej mówiąc, cały system wykutych w skale komór, wypełniały najróżniejsze przedmioty, których przeznaczenia lub działania nie znał. Zainteresował się szczególnie kolekcją zwojów, chyba ze skóry, pokrytych znakami. Były to z całą pewnością książki. Dowiedział się, że na Malakandrze są one rzadkością.

- Lepiej jest wszystko pamiętać - oznajmiły sorny.

Kiedy Ransom zapytał, czy w ten sposób nie mogą zaginać jakieś cenne sekrety, odpowiedziały, że Ojarsa zawsze je pamięta i wydobędzie na światło, jeśli to będzie potrzebne.

- Hrossy miały kiedyś wiele zwojów z poezjami - dodał Augray - ale teraz mają ich już mniej. Mówią, że pisanie niszczy poezję.

Prócz gospodarza przebywały w jaskiniach inne sorny, najwyraźniej jakoś mu podporządkowane. Ransom początkowo myślał, że to służący, ale później doszedł do wniosku, że są uczniami lub asystentami starego sorna.

Wieczorna rozmowa nie obfitowała w tematy mogące zainteresować ziemskiego czytelnika, ponieważ sorny wyraźnie chciały, by Ransom nie tyle zadawał pytania, ile na nie odpowiadał. Ich pytania różniły się od nieco chaotycznych pytań hrossów, mieszczących się bardziej w sferze wyobraźni niż intelektu. Sorny przechodziły systematycznie od geologii Ziemi do jej obecnej geografii, a potem przez florę, faunę, historię człowieka - do lingwistyki, polityki i sztuki. Kiedy

wyczuwały, że Ransom nie potrafi powiedzieć więcej na jakiś temat - a zdarzało się to dość szybko i często - porzucali go od razu i przechodzili do następnego. Często wyciągały z Ransoma o wiele więcej wiadomości, niż był ich świadom; najwidoczniej dysponowały o wiele szerszym zakresem ogólnej wiedzy o wszechświecie. Przypadkowa uwaga o drzewach - podczas próby Ransoma przybliżenia im produkcji papieru - wypełniała im jakąś lukę w jego lakonicznych odpowiedziach na pytania z dziedziny botaniki; opis ziemskiej nawigacji wyjaśniał im parę problemów z zakresu mineralogii; opis maszyny parowej dawał im wiedzę na temat ziemskiego powietrza i wody większą od tej, jaką miał kiedykolwiek on sam. Już na początku zdecydował, że będzie całkowicie szczerzy, bo teraz czuł, że zatajanie czegoś jest niegodne *hnau*, a także daremne. Sorny były zdumione tym, co powiedział im o ludzkiej historii - o wojnach, niewolnictwie i prostytucji.

- To dlatego, że oni nie mają Ojarsy - zauważył jeden z uczniów.

- To dlatego, że każdy z nich chce sam być małym ojarsą - powiedział Augray.

- I nie może być inaczej - rzekł stary sorn. - Zawsze musi być jakaś władza, ale jak stworzenie może władać samym sobą? Maleldil rządzi eldilami, eldile *hnau*, *hnau* zwierzętami. Te stworzenia nie mają eldilów. Są jak ktoś, kto próbuje podnieść samego siebie za włosy, albo ktoś, kto chce zobaczyć cały kraj, będąc na jednym z nim poziomie, jak samica, pragnąca urodzić małe bez samca.

Dwie sprawy szczególnie ich zdumiewały. Jedna - to niewiarygodnie wielka (według nich) ilość energii, jaką ludzie zużywają na tworzenie i posiadanie rzeczy. Druga zaś to fakt, że na Ziemi jest tylko jeden rodzaj *hnau*. Uważały, że niewątpliwie ma to daleko idące skutki, przejawiające się w zaniku wzajemnej sympatii i zawężeniu horyzontu myślowego.

- Wasze myśli muszą być na łasce waszej krwi - powiedział stary sorn. - Nie możecie ich porównywać z myślami płynącymi w innej krwi.

Była to dla Ransoma rozmowa bardzo męcząca i przykra. Ale kiedy w końcu położył się do snu, nie myślał o ludzkiej nędzy lub o swojej ignorancji. Myślał o pradawnych puszcach Malakandry i o tym, jak by to było, gdyby wzrastał tu, widząc wciąż kilka mil od siebie ów bajecznie kolorowy kraj, do którego nigdy nie można dotrzeć, a który kiedyś był zamieszkały.

Rozdział 17

Wczesnym rankiem Ransom znowu zajął miejsce na ramieniu Augraya. Wędrowali ponad godzinę przez te same jasne pustkowia. Daleko, na północy, niebo zapłonęło podobną do chmury wielką masą matowej czerwieni, pędzącą na zachód jakieś dziesięć mil ponad pustkowiem. Ransom, który nigdy dotąd nie widział chmury na malakandryjskim niebie, zapytał, co to jest. Sorn wyjaśnił, że to piasek z wielkich północnych pustyń niesiony przez wiatry. Często się zdarza, a niekiedy kurzawa wznosi się na siedemnaście mil i opada gdzieś w handramicie jako oś lepiająca burza piaskowa. Widok tej groźnej, skłębionej masy pędzącej przez nagie niebo uświadomił Ransomowi, że naprawdę znajduje się „na zewnątrz” Malakandry, że nie przebywają już w jakimś świecie, lecz pełzają po powierzchni obcej planety. W końcu chmura opadła i wybuchła gdzieś daleko na zachodnim horyzoncie, a czerwona poświata, przypominająca łunę pożaru, długo jeszcze nad nimi wisiała, dopóki cały ten obszar nie zniknął za zakrętem doliny.

Teraz otworzył się przed nimi nowy widok. Przypominało to na pierwszy rzut oka ziemski krajobraz szarych podgórskich grzbietów, podnoszących się i opadających jak morskie fale. Daleko poza nimi piętrzyły się na tle granatowego nieba pionowe ściany i wieżycy znajomych zielonych skał. W chwilę później Ransom dostrzegł, że to, co brał za pasma wzgórz, było poślóbianą powierzchnią kożucha błękitnoszarej mgły zalegającej nad rozległą doliną. Mgła rozwiewała się szybko, gdy z górskich wyżyn zstępowali w dół, do handramitu, a już teraz przeświecały przez nią barwne zarysy kraju leżącego na dnie kanionu. Droga w dół stawała się coraz bardziej stroma. Najwyższe szczyty górskiej ściany, do stóp której mieli zejść, zwieszały się nad krawędzią wąwozu jak wyszczerbione zęby olbrzyma - olbrzyma z bardzo zepsutymi zębami. Zmienił się też zupełnie wygląd nieba i jakość światła. W chwilę później stanęli na krawędzi takiego zbocza, które na Ziemi nazwano by raczej przepaścią. Tędy wiodła ich droga, opadając zawrotnie w dół, aż do miejsca, w którym ginęła w purpurowym rumieńcu roślinności. Ransom kategorycznie odmówił podróży w dół na ramieniu Augraya. Sorn, chociaż nie bardzo rozumiał powodu jego sprzeciwu, ukucnął i pozwolił mu zejść na ziemię, po czym zaczął się lekko ześlizgiwać po zboczu, wychylony do przodu jak narciarz opadający ze skoczni. Ransom ruszył za nim, z przyjemnością - choć niezbyt pewnie - rozprostowując nogi.

Piękno nowego handramitu, jaki się przed nim otwierał, zapierało dech w piersiach. Był szerszy niż ten, w którym żył uprzednio, a pośrodku rozlewało się prawie koliste jezioro: olbrzymi szafir o średnicy dwudziestu kilometrów, osadzony w oprawie purpurowej puszczy. W samym środku jeziora, jak niska, niezbyt stroma piramida, lub jak kobieca pierś, wznosiła się bladoczerwona wyspa, na zboczach naga, na szczycie porośnięta takimi drzewami, jakich żaden człowiek nigdy jeszcze nie widział. Ich gładkie kolumny, wystrzelające w górę z wdziękiem najszlachetniejszych buków, przewyższały wieże ziemskich katedr, a na szczycie rozrastały się w złote kielichy, lśniące jak tulipany, nieruchome jak skały i wielkie jak letnie obłoki. Były to właściwie gigantyczne kwiaty, a nie drzewa. U ich stóp Ransom dostrzegł blade zarysy kamiennej architektury. Zanim Augray mu to powiedział wiedział już, że patrzy na Meldilorn. Lecz to, na co patrzył, różniło się bardzo od tego, czego się spodziewał.

Już dawno pozbył się starych, przyniesionych z Ziemi wizji kompleksu olśniewających budynków w amerykańskim stylu, lub jakiegoś rajy inżynierów składającego się z rozległego labiryntu maszyn. Nigdy jednak nie wyobrażał sobie czegoś tak klasycznego, tak dziewiczego, jak ten jaśniejący gaj, kwitnący spokojnie i tajemniczo w objęciach barwnej doliny, wystrzelający z tak niepowtarzalnym wdziękiem ku zimowemu słońcu. Z każdym krokiem przenikały go, bijące z dna doliny, fale łagodnego ciepła. Spojrzał w górę - niebo przybierało kolor czystego błękitu. Spojrzał

w dół - i owionął go słodki, delikatny zapach gigantycznych kwiatów. Kontury odległych skał stawały się coraz mniej ostre, a ich powierzchnie coraz mniej jasne. Krajobraz odzyskał głębię, miękkość i perspektywę. Krawędź skalistego zbocza, z której niedawno zaczęli schodzić, była już daleko: wydawało się niemożliwe, by w ogóle stamtąd przyszli. Oddychał swobodnie. Poruszył z rozkoszą palcami w butach, jeszcze niedawno sztywnymi i zmartwiały. Odwinął do góry długie końce swej futrzanej czapki i uszy wypełnił mu rozkoszny dźwięk spadającej z wysoka wody. I oto wreszcie kroczył już po miękkiej warstwie różowych porostów, pod baldachimem purpurowego lasu. Pokonali harandrę i byli u progów Meldilornu.

Po krótkim marszu wyszli na coś w rodzaju leśnej alei - na szeroką drogę biegnącą prosto jak strzała między purpurowymi ścianami lasu aż do rozmigotanego, natarczywego błękitu jeziora. Doszli nią do brzegu wody, gdzie wznosił się kamienny słup z wiszącym na nim gongiem i młotem. Słup pokrywał bogaty ornament, a gong i młot zrobione były z jakiegoś zielononiebieskiego metalu, którego Ransom nie potrafił rozpoznać. Augray uderzył w gong. Ransom czuł narastający niepokój, przeszkadzający mu w systematycznym badaniu ornamentu na kamieniu. W ornamencie częściowo figuralnym, częściowo czysto dekoracyjnym, uderzył go przede wszystkim pewien rytm przestrzeni pustych i pokrytych gęsto rysunkiem. Po czystych liniach rytów, surowych jak prehistoryczne rysunki renów na Ziemi, następowały plamy ornamentu tak gęstego i zawilego, jak na nordyckich lub celtyckich ozdobach, a kiedy sięspojrzało na kamień z pewnej odległości, puste i gęsto zdobione przestrzenie same układały się w większy ornament. Figuralne rysunki nie ograniczały się do bardziej pustych przestrzeni, lecz dość często ich wielkie arabeski obejmowały - jako podporządkowany sobie szczegół - owe zawile, gęste ornamenty. Gdzie indziej było odwrotnie i sama ta zmienność również miała w sobie cechy planowej rytmiczności i artystycznego zamysłu. Ransom zaczynał właśnie dostrzegać, że rysunki, mimo swej stylizacji, wyraźnie opowiadają jakąś historię, gdy Augray przerwał mu. Od brzegów wyspy Meldilornu odbiła jakaś łódź.

Gdy się zbliżyła, Ransom poczuł ciepło w sercu: przy wiosle siedział hross! Stworzenie dopłynęło do brzegu tam, gdzie go oczekiwali, obejrzało uważnie Ransoma, a potem spojrzeło pytająco na sorna.

- Masz prawo dziwić się temu *nau*, Hrinha - rzekł Augray - bo nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałeś. Nazywa się Ren-sem i przybyło przez niebo z Tulkandry.

- Mile go tutaj witamy, Augrayu - powiedział uprzejmie hross. - Czy idzie do Ojarsy?

- Ojarsa je wezwał.

- I ciebie też, Augrayu?

- Nie. Jeśli przewieziesz Ren-sema przez wodę, wrócę do mojej wieży.

Hross dał znak Ransomowi, by wszedł do łodzi. Ransom zastanawiał się gorączkowo, jak wyrazić Augrayowi swą wdzięczność. W końcu zdjął z ręki zegarek i podał mu: z rzeczy, jakie miał przy sobie, tylko to wydawał mu się odpowiednim prezentem dla sorna. Bez trudu wyjaśnił przeznaczenie przedmiotu. Olbrzym obejrzał dokładnie zegarek i z pewnym ociąganiem oddał go z powrotem, mówiąc:

- To jest coś, co powinieneś podarować jakiemuś pfiłtryggowi. Cieszy moje serce, ale one będą miały z tego jeszcze większą uciechę. Na pewno je spotkasz w Meldilornie. Daj im to. Ale czy na Tulkandrze nie potrafia bez tego powiedzieć, jaka część dnia już minęła?

- Wierzę, że są zwierzęta, które to w pewien sposób wyczuwają - odparł Ransom - ale nasze *hnau* utraciły tę zdolność.

Potem pożegnał się z sornem i wszedł do czółna. Kiedy znalazł się znowu w łodzi, z hrossem przy wiosle, kiedy poczuł na twarzy ciepło wody i zobaczył nad sobą błękit nieba, miał wrażenie, że

wrócił do domu. Zdjął czapkę i rozłożył się wygodnie na dziobie, zasypując swego towarzysza pytaniami. Dowiedział się, że hrossy nie są jedynym ludem powołanym do służby w Meldilornie, jak mylnie sądził, widząc jednego z nich w roli przewoźnika. Wszystkie trzy rodzaje *hnau* służą Ojarsie, stosownie do ich różnych zdolności; jest zrozumiałe, że obsługę łodzi powierzono tym, którzy się na tym najlepiej znają. Dowiedział się też, że po przybyciu na wyspę będzie mógł iść, gdzie chce, i robić, co mu się będzie podobało, dopóki nie zostanie wezwany przez Ojarsę. Może się to zdarzyć po godzinie albo po kilku dniach. Niedaleko miejsca, w którym przybiją do brzegu, znajdzie chaty; może tam spać, jeśli okaże się to konieczne. Dadzą mu też jeść i pić. Ransom zaś opowiedział mu pokrótce o swoim świecie i o podróży przez niebo, ostrzegł go też przed niebezpiecznymi skrzywionymi *hmana*, którzy go tu przywieźli i którzy wciąż poruszają się swobodnie po Malakandrze. Kiedy to zrobił, uświadomił sobie, że nie przedstawił tego dostatecznie jasno Augrayowi, ale pocieszał się, że Weston i Devine mieli już bezpośredni kontakt z sornami i nie będą skłonni do niepokojenia istot tak wielkich i tak podobnych do ludzi - w każdym razie podobnych w porównaniu z hrossami. A przynajmniej nie spróbują teraz, bo nie miał złudzeń co do ostatecznego celu Devine'a. Jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to wyznać wszystko Ojarsie.

Łódź przybiła do brzegu. Ransom wstał i rozejrzał się wokoło. Po lewej stronie, niedaleko małej przystani, do której wpłynęli, zobaczył niskie kamienne budynki - pierwsze, jakie spotkał na Malakandrze - i płonące ogniska. Tam właśnie, wyjaśnił mu hross, może znaleźć pożywienie i nocleg. Reszta wyspy wydawała się nie zamieszкана. Jej gładkie zbocza były puste, aż do gaju, który ją koronował. Tam znowu dostrzegł kamienną architekturę. Nie była to jednak ani świątynia, ani pałac w znaczeniu ziemskim, lecz szeroka aleja megalitów - o wiele większa niż Stonehenge, majestatyczna i pusta, znikająca nad grzbietem wzgórza w bladym cieniu łądyg owych złotych kwiatów. Nigdzie nikogo nie dostrzegł, ale gdy patrzył na wzgórze, wydawało mu się, że w ciszy poranka słyszy słaby, nieustanny, srebrzysty dźwięk: tak delikatny, że prawie nie można było nazwać go dźwiękiem, a jednak nie mógł go zignorować.

- Wyspa jest pełna eldilów - powiedział szeptem hross.

Ransom wyszedł na brzeg. Zrobił kilka niepewnych kroków do przodu i stanął, jakby się spodziewał jakiejś przeszkody, a potem znowu ruszył, co chwila się zatrzymując.

Chociaż różowe porosty były tu niezwykle bogate i miękkie, a jego stopy nie czyniły najmniejszego hałasu, bezwiednie szedł na palcach. Jego ruchy stały się łagodne i spokojne. Rozmiar otaczającego wyspę jeziora sprawiał, że powietrze było tu bardzo ciepłe; takim nie oddychał jeszcze na Malakandrze. Klimat przypominał tu ciepły, wrześnieowy dzień na Ziemi: ciepły dzień z leciutką zapowiedzią mrozów, które dopiero nadejdą.

Narastał w nim trudny do określenia lęk, który wkrótce kazał mu zrezygnować z chęci wspięcia się na szczyt wzgórza i wejścia w aleję megalitów lub do złotego gaju. W połowie zbocza skręcił w prawo, utrzymując mniej więcej stałą odległość od wybrzeża. Mówił sobie, że ogląda wyspę, ale w głębi serca czuł, że to raczej wyspa ogląda jego. Poczucie to znacznie wzrosło dzięki odkryciu, jakie poczynił po jakiejś godzinie spaceru wokół wzgórza i jakie później tylko z wielkim trudem mógł opisać.

Używając bardzo abstrakcyjnych określeń można by powiedzieć, że powierzchnia wyspy ulegała bardzo subtelnym wibracjom światła i cienia, choć nie mogły tego sprawić żadne zmiany na niebie. Gdyby powietrze nie było tak dojmująco spokojne, a różowe porosty zbyt krótkie i sztywne, by poruszać się na wietrze, Ransom uznałby, że mierzwi je lekki wiatr od jeziora, powodując takie zmiany światła i cienia, jakie zdarzają się na powierzchni łądów zbóż na Ziemi. Owe drgające światła były równie nieuchwytnie jak srebrzyste dźwięki. Kiedy wyteżał wzrok, nie mógł ich w ogóle zauważyć: pojawiały się tłumnie gdzieś na krawędzi pola widzenia, tak jakby tam właśnie

rodziły się i tworzyły coraz wyraźniejsze, świetliste wzory. Każda próba zbliżenia się do jednego z nich sprawiała, że stawało się niewidzialne; często taka znikoma jasność zdawała się opuszczać swe miejsce prawie w tej samej chwili, w której padło na nie spojrzenie. Nie miał wątpliwości, że widzi - jeśli mógł to w ogóle nazwać „widzeniem” - eldile. Towarzyszyło temu bardzo dziwne wrażenie. Trudno właściwie powiedzieć, by odczuwał jakąś niesamowitość czy tajemniczość tego zjawiska. Nie czuł się tak, jakby go otaczały duchy, nie czuł się też śledzony z ukrycia, ale raczej jak ktoś, kogo obserwują istoty mające do tego prawo. Nie mógł też tego uczucia określić jako niepokój lub lęk. Było w tym coś z zakłopotania, coś ze wstydu, coś z pokory. W każdym razie poruszyło go do głębi.

Ogarnęło go zmęczenie i pomyślał, że w tym hojnie obdarzonym przez naturę kraju jest dostatecznie ciepło, by odpoczywać pod gołym niebem. Usiadł. Miętkość porostów, ciepło i słodka woń przenikająca całą wyspę przypominały mu Ziemię i jej ogrody w lecie. Zamknął na chwilę oczy, a gdy je otworzył, zauważył poniżej zbocza grupę kamiennych chat, a na jeziorze zbliżającą się do brzegu łódź. Uświadomił sobie, że musiał obejść całą wyspę dookoła: chaty były owymi domami dla gości blisko przystani, a łódź promem obsługiwanym przez hrossa. Poczł głód. Powinien zejść na dół i poprosić o coś do jedzenia, w każdym razie zajmie to mu trochę czasu, z którym nie bardzo wiedział, co począć.

Ale nie zrobił tego. Kiedy wstał i przyjrzał się uważniej gościnnym chatom, dostrzegł między nimi ożywiony ruch; łódź, która właśnie przybijała do brzegu, również pełna była pasażerów. W jeziorze zobaczył poruszające się kształty, których z początku nie potrafił zidentyfikować, lecz po chwili rozpoznał sorny zanurzone po pas w wodzie i najwidoczniej idące z lądu na wyspę pieszo. Było ich około dziesięciu. Z jakiegoś powodu przybywało na wyspę coraz więcej gości. Już się nie obawiał, że może mu się coś stać, gdy zejdzie w dół i zmiesza się z tłumem tylu stworzeń, ale mimo to odczuwał przed tym jakiś dziwny opór. Sytuacja przypominała mu żywo przeżycie z lat dziecięcych, gdy przybył do nowej szkoły na dzień przed rozpoczęciem roku i wałęsał się, obserwując z oddali powrót starych uczniów. W końcu zdecydował, że nie zejdzie na brzeg. Zjadł trochę różowego ziela i zapadł w drzemkę.

Po południu, gdy zrobiło się chłodniej, znowu zaczął spacerować po wzgórzu. Na wyspie pojawiło się już dużo więcej innych *hnau*. Rozpoznawał głównie sorny, zapewne dlatego, że były tak wysokie. Nie słyszał żadnych głośnych rozmów. Unikając spotkania z innymi przybyszami, którzy gromadzili się głównie na brzegu wyspy, na półświadomie wspinał się coraz wyżej, aż znalazł się nagle na obrzeżach gaju, u wejścia do owej szerokiej alei obramowanej kamiennymi pylonami. Z jakiegoś niezbyt jasno określonego powodu nie chciał na nią wkroczyć, podszedł tylko do najbliższego megalitu, aby przyjrzeć się bliżej płaskorzeźbom pokrywającym go ze wszystkich stron. A kiedy je obejrzał, ciekawość kazała mu pójść dalej, od kamienia do kamienia.

Były to bardzo zagadkowe płaskorzeźby. Między wyobrazeniami sornów, hrossów i małych stworzeń, które, jak przypuszczał, były owymi pfiłtryggami, pojawiała się od czasu do czasu wysoka, falista postać z ledwo zarysowaną twarzą i ze skrzydłami. Skrzydła rozpoznał natychmiast, jeszcze bardziej zaintrygowany. Czy to możliwe, by tradycje malakandryjskiej sztuki sięgały tej dawnej ery geologicznej, w której, jak mówił Augray, na harandrze żyły ptaki? Odpowiedź megalitów była twierdząca.

Zobaczył obrazy pradawnej, czerwonej puszczy z polatującymi wśród niej ptakami i z wieloma innymi stworzeniami, których nie znał. Na innym kamieniu wiele tych stworzeń leżało na ziemi, a fantastyczna, przypominająca *hnakrę* postać, prawdopodobnie symbolizująca zimno, unosiła się nad nimi na niebie, miotając w ich kierunku grad strzał. Te stworzenia, które pozostały przy życiu, gromadziły się wokół skrzydlatej, falistej istoty. Uznał, że musi to być Ojarsa, którego symbolem

był uskrzydłony płomień. Na następnym kamieniu Ojarsa, otoczony wieloma stworzeniami, robił w ziemi głęboką bruzdę jakimś ostro zakończonym przedmiotem. Inny obraz ukazywał gromadę pfifltryggów powiększających ową bruzdę za pomocą różnych narzędzi. Po obu stronach usypywały kopce i wały z ziemi, a hrossy najwidoczniej budowały kanały wodne. Ransom zastanawiał się, czy nie jest to jakiś mityczny opis stworzenia handramitów i czy nie można przyjąć, że rzeczywiście są one sztucznymi tworem.

Wielu obrazów w ogóle nie rozumiał. Jeden, szczególnie zagadkowy, przedstawiał wycinek koła, za którym i nad którym wznosiło się trzy czwarte dysku podzielonego na koncentryczne kręgi. Pomyślał, że może to być obraz słońca wschodzącego za jakimś wzgórzem. Dolny wycinek wypełniały sceny malakandryjskie: Ojarsa w Meldilornie, sorny na górzystej krawędzi harandry i wiele innych rzeczy, znanych mu już i obcych. Przyjrzał się uważnie dyskowi nad wycinkiem koła. Nie, to nie mogło być wyobrażenie wschodzącego słońca. Słońce rzeczywiście tam było, ale w samym środku dysku: wokół niego roztaczały się owe koncentryczne kręgi. W pierwszym, najbliższym słońca kręgu, wyrzeźbiono małą kulkę, na której stała skrzydlata istota przypominająca Ojarsę i trzymała coś, co wyglądało na trąbkę. W następnym kręgu nad podobną kulką również widniał płomienisty znak Ojarsy, tym razem nawet bez symbolicznego zarysu twarzy, lecz za to z dwoma wybrzuszeniami, które po długim i uważnym badaniu uznał za wymiona lub kobiece piersi. Teraz był już pewny, że patrzy na obraz systemu słonecznego. Pierwsza kulka - to Merkury, druga - Wenus. „Cóż za niesamowity zbieg okoliczności ci - pomyślał - że ich mitologia, podobnie jak nasza, wiąże Wenus z ideą żeńskości!” Ten problem nurtowałaby go dłużej, gdyby nie skupił uwagi na następnej kulce, która musiała wyobrażać Ziemię. Patrzył w osłupieniu. Tam, gdzie powinien znajdować się znak skrzydlatego płomienia, widniało nierówne zagłębienie, tak jakby ktoś zniszczył ów znak. A więc kiedyś... lecz jego spekulacje załamały się w obliczu zbyt wielkiej liczby niewiadomych. Spojrzał na następny krąg. Tu w ogóle nie było kulki. Spód kręgu dotykał szczytu dużego wycinka koła wypełnionego malakandryjskimi scenami, jakby w tym miejscu Malakandra dotykała systemu słonecznego i wybiegała z niego w perspektywie ku patrzącemu na obraz. Teraz, gdy znał już sens całego schematu, zdumiał się plastycznością jego wyrazu. Odstąpił od megalitu i zaczerpnął głęboko powietrza, przygotowując się do refleksji nad niektórymi zagadkami, jakie przed nim stały. A więc Malakandra była Marssem. Ziemia... ale w tym momencie dotarł do jego świadomości dziwny dźwięk, przypominający bębnienie lub stukanie, i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że słyszał go już od pewnego czasu. Gdzieś blisko musiało się poruszać jakieś stworzenie i z całą pewnością nie mógł to być eldil. Trochę zaskoczony - bo wyrwało go to z głębokich rozmyślań - rozejrzał się wokoło, ale nikogo nie zobaczył. Nieświadom absurdalności tego odruchu, zawołał po angielsku:

- Hej! Kto tam jest?

Bębnienie nagle ucichło, a zza sąsiedniego megalitu wychyliła się godna uwagi twarz.

Była nieowłosiona, jak twarz człowieka lub sorna, wydłużona i wyostrowana, jak twarz starej jędzy, żółta i nie wzbudzająca zaufania, z tak niskim czołem, że mimo bardzo rozwiniętej czaszki - zwieszającej się z tyłu i za uszami (jak workowata peruka) - nie mogła to być twarz istoty rozumnej. W chwilę później zza kamienia wyskoczyło całe stworzenie. Teraz Ransom był już prawie pewien, że ma przed sobą pfifltrygga i pomyślał, że dobrze się stało, iż nie spotkał jednego z przedstawicieli tego trzeciego gatunku *hnau* zaraz po wylądowaniu na Malakandrze. Bardziej podobny był do owada i płaza niż wszystko, co dotąd na tej planecie zobaczył. Budową przypominał żabę i w pierwszej chwili Ransom sądził, że opiera się na swych „rękach”, tak jak ona. Potem zauważył, że te części jego górnych kończyn, które spoczywały na ziemi, były raczej - używając ludzkiej terminologii - łokciami. Rozszerzone i zakończone czymś w rodzaju poduszki, najwyraźniej

odgrywały rolę stóp, a dopiero z nich wyrastały pod ostrym kątem prawdziwe przedramiona, cienkie i mocne, zakończone dużymi, ruchliwymi rękami z wieloma palcami. Nietrudno było dostrzec, że budowa tego stworzenia jest idealnie przystosowana do wszelkiej pracy manualnej, od górnictwa po wycinanie kamei. Wrażenie podobieństwa do owada pogłębiała szybkość i gwałtowność jego ruchów, a także fakt, iż mogło obracać głowę prawie dookoła szyi, jak modliszka. Jego ruchom towarzyszył suchy, zgrzytliwy i skrzypiący dźwięk. Stworzenie budziło w Ransomie dziwne, odległe od siebie skojarzenia: przypominało trochę pasikonika, trochę jednego z krasnoludków Artura Rackhama, a trochę pewnego starego wypychacza ptaków, którego znał w Londynie.

- Przybyłem z innego świata - zaczął Ransom po malakandryjsku.

- Wiem, wiem - powiedział pfifltrygg ćwierkającym, nieco niecierpliwym głosem. - Chodź tu, za kamień. Tędy, tędy. Polecenie Ojarsy. Bardzo zajęty. Trzeba zacząć natychmiast. Stań tutaj.

Ransom stanął z drugiej strony megalitu, mając przed sobą płaskorzeźbę, której najwidoczniej jeszcze nie skończono. Pod słupem leżało mnóstwo kamiennych wiórów i odprysków.

- Tutaj - rzekło stworzenie. - Stój spokojnie. Nie patrz na mnie. Spójrz tam.

Przez chwilę Ransom nie bardzo wiedział, czego się od niego oczekuje. Potem, gdy zobaczył, jak pfifltrygg rzucał szybkie spojrzenia raz na niego, raz na kamień, z bezbłędną miną artysty porównującego model ze swą pracą - miną, jaką mają chyba wszyscy artyści na wszystkich planetach - zrozumiał i nieomal wybuchnął śmiechem. Pozował do portretu! Ze swego miejsca widział, że stworzenie tnie powierzchnię kamienia, jakby była z sera. Prawie nie nadążał wzrokiem za jego błyskawicznymi ruchami, a jednak nie mógł dostrzec wyników pracy. Mógł za to przyglądać się pfifltryggowi. Zauważył, że ów metaliczny, skrzypiący i dzwoniący dźwięk, jaki towarzyszył jego ruchom, wydawała cała masa maleńkich instrumentów i narzędzi, którymi był obwieszony. Czasem, wyrzucając z siebie krótkie, niezrozumiałe zdania, odkładał narzędzie, którym właśnie pracował, i sięgał po jedno z nich, ale większość tych, jakich ciągle używał, trzymał w ustach. Nie ulegało wątpliwości, że ubrany był w coś sztucznego, w jakąś jasną, łuskowatą materię, bogato zdobioną, choć teraz pokrytą pyłem. Wokół szyi owinięte miał zwoje futra przypominające szal, a jego oczy osłaniały ciemne, wypukłe okulary. Na rękach, nogach i szyi wisiały pierścienie i łańcuchy z jasnego metalu, ale chyba nie ze złota. Przez cały czas wydawał z siebie coś w rodzaju syczącego szeptu, a kiedy był czymś podekscytowany - a więc prawie przez cały czas - marszczył koniec nosa jak królik. Nagle podskoczył gwałtownie w górę, wylądował jakieś siedem metrów od swojego dzieła i powiedział:

- Tak, tak. Nie tak dobrze, jak miałem nadzieję. Zrobię lepsze kiedy indziej. Teraz zostawię. Chodź i zobacz sam.

Ransom usłuchał go. Zobaczył planety, tym razem nie w postaci schematu systemu słonecznego, lecz zbliżające się w pojedynczej procesji ku widzowi. Na wszystkich, prócz jednej, stał płomienisty woźnica. Pod nimi rozciągał się krajobraz Malakandry, a w nim zupełnie znośny wizerunek statku kosmicznego. Obok stały trzy postacie, których modelem musiał być Ransom.

Odwrócił od nich spojrzenie z odrazą. Nawet biorąc pod uwagę niezwykłość tematu z malakandryjskiego punktu widzenia i stylizację sztuki, pfifltrygg mógł lepiej uchwycić ludzkie kształty. Były to niezdarne bałwany, prawie równie grube co wysokie. Tam, gdzie powinny być szyje i głowy, wyrastały jakieś wielkie grzyby.

- To chyba jestem ja, tak jak wyglądam w oczach twojego ludu? - spytał z rezerwą w głosie. - Ale nie tak by mnie przedstawiono w moim świecie.

- Ależ oczywiście - zgodził się pfifltrygg. - Wcale nie chciałem, by to było za bardzo podobne. Zbyt podobne - i nie uwierzą w to ci, którzy urodzą się później.

Mówił coś jeszcze trudnego do zrozumienia, a Ransomowi przyszło do głowy, że te odrażające postacie miały być w zamyśle artysty idealizacją człowieka. Rozmowa urwała się. Aby zmienić temat, Ransom zadał pytanie, które chodziło mu po głowie od dłuższego czasu.

- Nie mogę zrozumieć, jak doszło do tego, że i wy, i *seroni*, i *hrossa* używacie tej samej mowy. Wasze języki, zęby i gardła muszą się bardzo różnić.

- Masz rację - odrzekło stworzenie. - Kiedyś używaliśmy różnych języków. U siebie w domu do dzisiaj ich używamy. Ale wszyscy znają mowę hrossów.

- Dlaczego? - zapytał Ransom, wciąż myśląc kategoriami historii ludzkiej. - Czy kiedyś hrossy panowały nad innymi *hnau*?

- Nie rozumiem. Hrossy są naszymi wielkimi mówcami i pieśniarzami. Mają więcej słów, które są lepsze od naszych. Nikt nie uczy się mowy mojego ludu, bo to, co mamy do powiedzenia, wypowiadamy w kamieniu, we krwi słońca i w mleku gwiazd. Każdy może to zobaczyć. Nikt nie uczy się mowy sornów, bo można zamienić ich wiedzę w jakiegokolwiek słowa, a zawsze jest taka sama. Nie można tego zrobić z pieśniami hrossów. Ich język znany jest na całej Malakandrze. Mówię nim do ciebie, bo jesteś obcy. Mówiłbym nim do sorna. Ale w domu wszyscy używamy swoich, starych języków. Widać to po naszych imionach. Sorny mają wielkobrzmiące imiona, jak Augray, Arkal czy Falmay. Hrossy mają szorstkie imiona, jak Hnoh, Hnihi, Hyoj czy Hlitnahi.

- A więc najlepsza poezja powstaje w najbardziej szorstkim języku?

- Być może. Tak jak najlepsze obrazy robi się w najtwardszym kamieniu. Mój lud nosi takie imiona, jak Kałakapewi, Parakataru czy Tafalakeruf. Ja nazywam się Kanakaberaka.

Ransom przedstawił się.

- W naszym kraju - rzekł Kanakaberaka - jest inaczej niż tu. Nie jesteście my uwięzieni w ciasnym handramicie. Są tam prawdziwe puszcze, zielone cienie, głębokie kopalnie. Jest ciepło. Nie błyszczy się wszystko, tak jak tu, i nie jest tak cicho. Mógłbym cię zaprowadzić do takiego miejsca w puszczy, gdzie pali się jednocześnie sto ognisk i huczy sto młotów. Chciałbym, żebyś odwiedził nasz kraj. Nie mieszkamy w dziurach jak sorny, albo w kupach trzciny jak hrossy. Zobaczył byś domy z setkami kolumn, jedne z krwi słońca, inne z mleka gwiazd, i cały świat namalowany na ścianach.

- Jak się tam rządzą? - zapytał Ransom. - Czy ci, którzy pracują w kopalniach, lubią swoje zajęcie tak jak ci, którzy malują ściany?

- Wszystkie kopalnie są otwarte dla każdego: to nie jest praca, którą się wykonuje samemu. Ale każdy wykopuje sobie to, czego mu właśnie potrzeba do jego pracy. Jak mogłoby być inaczej?

- U nas jest inaczej.

- A więc wasze dzieła muszą być bardzo skrzywione. Jak mógłbym się nauczyć pracować w krwi słońca, gdybym sam nie odwiedził miejsca, w którym się ona rodzi, gdybym nie odróżniał jednego jej rodzaju od innego i gdybym nie żył z nią przez wiele dni, z dala od światła słońca, by przeniknęła do mojej krwi i do mojego serca, jak gdybym nią myślał, żywił się i pluł?

- U nas leży ona bardzo głęboko i trudno ją wydobyć. Ci, którzy ją wykopują, muszą poświęcić temu całe swoje życie.

- I lubią to?

- Nie sądzę... nie wiem. Robią to, bo nie dostaliby jedzenia, gdyby przestali.

Kanakaberaka zmarszczył nos.

- A więc w twoim świecie jest mało jedzenia?

- Nie wiem - odpowiedział Ransom. - Często sam chciałem poznać odpowiedź na to pytanie, ale nikt nie potrafił mi tego powiedzieć. Czy was nikt nie zmusza do pracy, Kanakaberako?

- Tylko nasze towarzyski - rzekł pfifltrygg, wydając jednocześnie z siebie piskliwy dźwięk,

który był najwidoczniej odpowiednikiem śmiechu.

- Czy u was zwraca się na nie większą uwagę niż u innych *hnau*?
- O tak! Seroni zwracają na nie najmniejszą uwagę, my - największą!

Rozdział 18

Tej nocy Ransom spał w jednym z domów dla gości na brzegu wyspy. Był to prawdziwy dom, zbudowany i bogato ozdobiony przez pfifltryggi. Przyjemność, jaką mu sprawiały bardziej ludzkie warunki, przyćmiewało nieco irracjonalne poczucie pewnego skrępowania bliską obecnością tylu mieszkańców Malakandry. Byli tam przedstawiciele wszystkich trzech gatunków. Odnosili się do siebie przyjaźnie, choć zauważało się między nimi pewne różnice, podobne do tych, jakie można zaobserwować w przedziale kolejowym na Ziemi: dla sornów dom był za gorący, dla pfifltryggów za zimny. W ciągu jednego wieczoru lepiej poznał malakandryjskie poczucie humoru i głosy, które go wyrażały, niż we wszystkie poprzednie dni swojego pobytu na tej obcej planecie. Najwidoczniej prowokowało je przede wszystkim spotkanie różnych gatunków. Większość żartów była jednak dla przybysza z Ziemi niezrozumiała. Wydawało mu się, że potrafi już dostrzec różnice w rodzajach humoru: sorny, na przykład, rzadko wykraczały poza granice ironii, hrossy przepadały za fantazją i ekstrawagancją, a pfifltryggi szczególnie lubiły ostre i dosadne kpiny. Ale nawet wówczas, gdy rozumiał wszystkie słowa, z trudem chwycił pointę. Dość szybko poczuł zmęczenie i poszedł spać.

Obudził się o owej wczesnej porze, gdy na Ziemi ludzie wstają, by wydoić krowy. W pierwszej chwili nie wiedział, co go właściwie obudziło. W pokoju było cicho, pusto i prawie ciemno. Zamierzał już zasnąć ponownie, gdy usłyszał tuż obok siebie jakiś delikatny głosik:

- Ojarsa cię wzywa.

Usiadł, rozglądając się wokół siebie. Nie zauważył nikogo, lecz głos powtórzył:

- Ojarsa cię wzywa!

Powoli otrząsnął się ze snu i zrozumiał, że w pokoju jest eldil. Nie odczuwał lęku, ale gdy wstał posłusznie i ubierał się w to, co zdjął poprzedniego wieczora, serce biło mu szybko. Mniej myślał o niewidzialnej istocie w pokoju niż o spotkaniu, które go oczekiwało. Obawy przed spotkaniem z jakimś potworem lub bożkiem dawno już go opuściły, czuł się raczej tak, jakby nadszedł poranek przed egzaminem maturalnym. Bardziej niż cegokolwiek na świecie pragnął teraz filiżanki dobrej herbaty.

Cały dom był pusty. Wyszedł. Znad jeziora podnosiła się niebieska mgła, a za postrzępioną wschodnią ścianą kanionu niebo jaśniało: za kilka minut wstanie słońce. Było wciąż bardzo zimno, na różowych porostach perlila się rosa. W tej scenerii czaib się coś zagadkowego, lecz dopiero po chwili zrozumiał, że otacza go całkowita cisza. Nie słyszał już głosów eldila, nie widział ruchliwej sieci światełek i cieni. Nie powiedziano mu tego, lecz wiedział, że ma wejść na koronę wzgórza, do gaju. Serce w nim zamarło, gdy wchodząc w aleję między megalitami zobaczył, że wypełnia ją milczący tłum mieszkańców planety. Siedzieli w dwu szeregach po każdej stronie alei, w różnych pozycjach, w zależności od swojej specyficznej budowy. Szedł powoli, pełen wątpliwości i niepewności, a spojrzenia tych wszystkich nieludzkich i nie mrugających powiekami oczu skierowane były na niego. Kiedy doszedł do szczytu, zatrzymał się na środku alei, w miejscu gdzie wznosiły się najwyższe megality. Nigdy później nie potrafił sobie przypomnieć, czy nakazał mu to głos eldila, czy jego własna intuicja. Nie usiadł - nie tylko dlatego, że ziemia była za zimna i za mokra, ale i dlatego, że nie śmiał. Po prostu stał nieruchomo, jak żołnierz podczas uroczystej odprawy wart. Wszystkie stworzenia patrzyły na niego w zupełnej ciszy.

Stopniowo zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że całe to miejsce pełne jest eldila. Światła lub pozory światła, wczoraj rozrzucone po całej wyspie, teraz zgromadziły się tutaj, na szczycie wzgórza. Wzeszło słońce i wciąż panowała cisza. Kiedy spojrział w górę, by zobaczyć pierwsze, blade promienie na ścianach megalitów, dostrzegł, że powietrze nad nim wypełnia jakiś gęstszy i bardziej złożony układ światła, niż mógł to wytłumaczyć grą promieni wschodzącego słońca. Było

to światło zupełnie innego rodzaju. Wypełniało niebo i spoczywało na ziemi: widzialni Malakandryjczycy stanowili zaledwie małą cząstkę tego milczącego zgromadzenia, które go otaczało. Kiedy nadejdzie czas, jego sprawa będzie rozpatrywana wobec tysięcy, może nawet milionów świadków. Rząd za rządem wokół niego i rząd nad rządem ponad jego głową zastępy istot, które nigdy nie widziały człowieka i których człowiek nie mógł oglądać, oczekiwały na jego proces. Oblizwał suche wargi, zastanawiając się, czy będzie w stanie mówić, gdy nadejdzie jego kolej. A potem przyszło mu do głowy, że może właśnie to - oczekiwanie pod ich skoncentrowanymi spojrzeniami - jest już procesem; może już teraz bezwiednie mówi im wszystko, czego chcieli się od niego dowiedzieć. Później - długo, długo później - usłyszał odgłos ogólnego poruszenia. Wszystkie widzialne stworzenia powstały, skłaniając głowy. Ransom ujrzał (jeśli można to w ogóle nazwać „widzeniem”), jak między długimi rzędami rzeźbionych kolumn nadchodzi Ojarsa. Poznawał to częściowo po twarzach Malakandryjczyków, a częściowo widział sam. Nigdy później nie potrafił tego dokładniej opisać. Jakiś sam szept światła - nie, to już za mocne określenie - jakiś cień cienia przesunął się po nierównej powierzchni różowego ziela, albo raczej jakieś zróżnicowanie w ich wyglądzie, zbyt znikome, by je nazwać w języku pięciu zmysłów, powoli przesunęło się ku niemu. Jak cisza zapadająca w sali pełnej ludzi, jak lekki powiew chłodu w upalny dzień, jak przejmujące wspomnienie dawno zapomnianego dźwięku lub zapachu, jak coś najbardziej cichego, najmniejszego i najmniej uchwytnego w przyrodzie - tak przeszedł Ojarsa między swymi poddanymi i zatrzymał się w samym środku Meldilornu, jakieś siedem metrów od Ransoma. Ransom poczuł mrowienie w całym ciele i ukłucia w końcach palców, jakby w pobliżu uderzyła błyskawica, a jego serce i ciało składało się z wody.

Ojarsa przemówił. Był to najbardziej nieludzki głos, jaki Ransom kiedykolwiek usłyszał: delikatny, odległy i niewzruszenie pewny, głos - jak to później określił jeden z hrossów - „bez krwi, głos, w którym zamiast krwi jest światło”. Słowa nie wzbudzały niepokoju.

- Czego się lękasz, Ransomie z Tulkandry?

- Ciebie, Ojarso, bo nie jesteś taki jak ja, i nie mogę cię zobaczyć.

- To nie są zbyt poważne powody - rzekł głos. - Ty też nie jesteś taki jak ja, a chociaż mogę cię dostrzec, widzę cię bardzo słabo. Nie myśl jednak, że jesteśmy całkowicie różni. Obaj jesteśmy stworzeni na podobieństwo Maleldila. To nie są prawdziwe powody twego lęku.

Ransom milczał.

- Zaczęłeś się mnie lękać, zanim postawiłeś stopę na powierzchni mojego świata. Później przez cały czas uciekałeś przede mną. Moi słudzy widzieli twój strach, gdy byłeś w swym statku w niebiosach. Widzieli, że ci dwaj z twojego gatunku traktowali cię źle, chociaż nie rozumieli ich mowy. Aby wyrwać cię z ich rąk, obudziłem hnakrę. Chciałem zobaczyć, czy przyjdiesz do mnie dobrowolnie. Ale ty ukryłeś się wśród hrossów, a chociaż ci powiedziały, że masz do mnie przyjść, nie uczyniłeś tego. Potem posłałem eldila, aby cię wezwać, ale i wówczas nie posłuchałeś. Ale w końcu ci dwaj z twojego gatunku zapędzili cię do mnie, lecz krew *hnau* została przelana.

- Nie rozumiem, Ojarso. Czy chcesz powiedzieć, że to ty posłałeś po mnie aż na Tulkandrę?

- Tak. Czy tamci dwaj nie powiedzieli ci tego? I dlaczego miałbyś tu przybyć, gdybyś nie chciał być posłuszny memu wezwaniu? Moi słudzy nie rozumieli, co oni mówili do ciebie, gdy wasz statek był w niebie.

- Twoi słudzy... Nie rozumiem... - wyjąkał Ransom.

- Pytaj śmiało - rzekł głos.

- Czy twoi słudzy przebywają również tam, w niebiosach?

- A gdzie jeszcze mogliby przebywać?

- Ale ty, Ojarso, jesteś tu, na Malakandrze, jak ja.

- Ale Malakandra, tak jak wszystkie światy, unosi się w niebie. A ja nie jestem wcale „tutaj”, tak jak ty, Ransomie z Tulkandry. Stworzenia takie jak ty muszą spadać z nieba w jakiś świat, lecz dla nas światy są tylko miejscami w niebie. Ale nie próbuj tego teraz zrozumieć. Wystarczy, byś wiedział, że ja i moi słudzy nawet w tej chwili jesteśmy w niebie. Moi słudzy byli wokół ciebie w niebiańskim statku tak samo, jak są tutaj, w Meldilornie.

- A więc wiedziałeś o naszej podróży, zanim opuściliśmy Tulkandrę?

- Nie. Tulkandra jest światem, którego nie znamy. Tylko ona jest poza niebem i nie docierają z niej do nas żadne wiadomości.

Ransom milczał, lecz Ojarsa odpowiedział na pytanie, którego on nie śmiał zadać.

- Nie zawsze tak byb. Kiedyś znaleźliśmy ojarsę twojej handry - był jaśniejszy i większy ode mnie - i wtedy nie nazywaliś my jej Tulkandrą. To najdłuższa ze wszystkich opowieści i zarazem najbardziej smutna. Wasz ojarsa stał się skrzywiony. Działo się to w czasie, gdy w waszym świecie nie istniało jeszcze życie. Jeszcze dziś opowiadamy sobie w niebie o owych Skrzywionych Latach, gdy wasz ojarsa nie był przywiązany do Tulkandry, lecz był wolny jak my. Chciał zniszczyć inne światy, tak jak to uczynił ze swoim. Lewą ręką ugodził w wasz księżyc, prawą rzucił zimno na moją harandrę. Gdyby Maleldil, posługując się moją ręką, nie otworzył handramitów i gorących źródeł, w moim świecie nie byłoby dzisiaj życia. Ale nie pozwoliliś my, aby wasz ojarsa robił to, co zechce. Była wielka wojna. Zrzuciliśmy go z nieba i zwiąaliśmy powietrzem jego własnego świata, tak jak chciał Maleldil. Nie wiemy nic więcej o jego planecie: jest milcząca. Sądzymy, że Maleldil nie oddał jej w całkowite władanie Skrzywionemu. Opowiadają, że Maleldil uczynił dziwne i straszne rzeczy, walcząc ze Skrzywionym na Tulkandrze. Ale o tym wiemy mniej od ciebie i oczekujemy, że nam o tym opowiesz.

Upłynęło nieco czasu, zanim Ransom przemówił, a Ojarsa uszanował jego milczenie.

- Po wysłuchaniu twoich słów, Ojarsie, mogę ci tylko powiedzieć, że nasz świat jest bardzo skrzywiony. Ci dwaj, którzy mnie tu przywieźli, nie wiedzieli o tobie nic. Zrozumieli tylko, że sorny chciały mnie dostać w swoje ręce. Myślę, że uważali cię za coś w rodzaju fałszywego eldila. W dzikich częściach naszego świata są takie fałszywe eldile; ludzie zabijają przed nimi innych ludzi, myśląc, że eldil pije ludzką krew. Ci dwaj sądzili, że jestem potrzebny sornom właśnie do tego albo do jakichś innych, równie skrzywionych celów. Przywieźli mnie tu siłą, bez mojej woli. Bardzo się bałem. Ci, którzy układają opowieści w naszym świecie, przyzwyczaili nas do myśli, że jeśli gdzieś poza nim jest życie, to musi być bardzo skrzywione.

- Rozumiem - powiedział głos. - I to wyjaśnia pewne rzeczy, które mnie dziwiły. Gdy tylko wasz statek wyrwał się z tulkandryjskiego powietrza i poszybował przez niebo, moi słudzy powiedzieli mi, że zapewne jedziesz bez swojej woli i że ci dwaj mają przed tobą tajemnice. Nie sądziłem, że jakieś stworzenie może być tak skrzywione, by przywieźć tu siłą inną istotę swojego rodzaju.

- Oni nie wiedzieli, czego ode mnie chcesz, Ojarsie. I ja tego nie wiem do tej pory.

- Powiem ci. Dwa lata temu, to jest okob czterech waszych lat, statek z Tulkandry znalazł się po raz pierwszy w niebiosach. Eldile towarzyszyły mu, gdy płynął nad harandrą, a kiedy w końcu spoczął w handramicie, ponad połowa moich sług stała wokół niego, czekając, aż wyjdą z niego obcy przybysze. Nie wiedziało o tym żadne *hnau*, a zwierzęta utrzymywaliśmy z dala od tego miejsca. Kiedy przybysze zbudowali chatę i oswoili się już trochę z nowym światem, wysłałem kilka sornów, aby się im pokazały i nauczyły ich naszego języka. Wybrałem sorny, bo są najbardziej do was podobne. Tulkandryjczycy bali się jednak sornów i byli bardzo nieufni. Sorny przychodziły do nich wiele razy i w końcu nauczyły ich naszej mowy. Donosiły mi, że Tulkandryjczycy wybierają ze strumieni krew słońca - wszędzie, gdzie tylko udało się im ją znaleźć.

Ale z doniesień sornów nie mogłem ich dobrze poznać. Poleciałem, by ich przyprowadziły do mnie, nie siłą, lecz z dobrej woli. Nie przyszli. Wtedy zaprosiłem tylko jednego, lecz żaden nie przyszedł. Sprowadzenie ich tutaj siłą byłoby bardzo łatwe, ale chociaż widzieliśmy ich głupotę, nie wiedzieliśmy jeszcze, jak bardzo są skrzywieni, a ja nie chciałem rozciągać swej władzy na stworzenia nie należące do mojego świata. Powiedziałem sornom, by potraktowały je jak szczenięta, aby im powiedziały, że nie będą mogli zbierać więcej krwi słońca, dopóki jeden z nich nie przyjdzie do mnie. Kiedy to usłyszeli, zebrali jej tyle do niebiańskiego statku, ile zdołali, i odlecieli do swojego świata. Dziwiliśmy się temu, ale teraz wszystko jest jasne. Sądziłem, że pragnę zjeść jednego z ich rasy i wrócili, by go złapać. Gdyby przeszli te kilka tysięcy kroków, aby się ze mną spotkać, przyjąłbym ich z szacunkiem. A teraz odbyli dwukrotnie podróż między dwoma światami na próżno, a przecież i tak staną przede mną. I ty także, Ransomie z Tulkandry, daremnie się trudziłeś, chcąc uniknąć znalezienia się tu, gdzie stoisz w tej chwili.

- To prawda, Ojarso. Skrzywione stworzenia pełne są lęku. Ale teraz stoję przed tobą, gotów poznać twoją wolę.

- Chcę cię zapytać o dwie rzeczy dotyczące twojej rasy. Po pierwsze, muszę wiedzieć, po co tu przybyliście, bo to należy do mojej służby temu światu. A po drugie, pragnę dowiedzieć się więcej o Tulkandrze i o owych dziwnych wojnach, jakie Maleldil stoczył na niej ze Skrzywionym.

- Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, Ojarso, to przybyłem tu, ponieważ przywieziono mnie tu bez mojej woli. Jeśli chodzi o dwu pozostałych przedstawicieli mojej rasy, to jeden pragnie tylko zdobyć jak najwięcej krwi słońca, bo w naszym świecie będzie je mógł wymienić na przyjemności i władzę. Ale zamiary tego drugiego są o wiele bardziej skrzywione. Myślę, że chciałby zniszczyć cały twój lud, by zrobić miejsce dla naszego ludu, a potem chciałby zrobić to również z innymi światami. On pragnie, by nasza rasa żyła wiecznie, skacząc ze świata do świata... wciąż szukając nowego słońca, gdy stare zacznie umierać... albo czegoś w tym rodzaju.

- Czy on ma zraniony mózg?

- Nie wiem. Może nie opisuję dobrze jego myśli. On ma większą wiedzę niż ja.

- Czy on myśli, że będzie mógł dotrzeć do wielkich światów? Czy myśli, że Maleldil pragnie, by jakaś rasa żyła wiecznie?

- On w ogóle nie wie, że istnieje jakiś Maleldil. Jedno jest pewne, Ojarso: chce zepsuć twój świat. Nie powinieneś dopuścić do tego, by ktokolwiek z naszej rasy mógł tu ponownie przybyć. Byłbym szczęśliwy, gdyby w tym celu wystarczyło zabić nas trzech.

- Gdybyście należeli do mojego ludu, zabiłbym ich natychmiast, a ciebie, Ransomie, wkrótce. Oni są skrzywieni tak, że nie ma nadziei, by się zmienili, a ty, kiedy tylko staniesz się trochę dzielniejszy, będziesz już gotów, by stanąć przed Maleldilem. Ale władza, którą mi dano, obejmuje tylko ten świat. Zabicie czyjś *hnau* jest straszną rzeczą. Nie będzie to potrzebne.

- Oni są silni, Ojarso. Mogą rzucać śmierć z dużej odległości i wydmuchiwać zabójcze powietrze na swoich wrogów.

- Najmniejszy z moich sług mógł dotknąć waszego statku, zanim dotarł do Malakandry, w niebie, i zamienić go w ciało różnych ruchów, co dla ciebie oznacza to samo, co jego unicestwienie. Bądź pewien, że nikt z twojej rasy nie przybędzie już do mojego świata, jeśli ja sam go nie zaproszę. Ale dość już o tym. Teraz opowiedz mi o Tulkandrze. Nie wiemy o niej nic od czasu, gdy Skrzywiony spadł z nieba w powietrze twojego świata, raniony w samo światło swego światła. Ale dlaczego znowu czegoś się lękasz?

- Lękam się upływu czasu, Ojarso... a może nie rozumiem, o czym mówisz. Czy nie powiedziałeś, że to miało miejsce zanim narodziło się życie na Tulkandrze?

- Tak.

- A ty, Ojarso? Ty żyłeś... i ten obraz na kamieniu, gdzie zimno zabija ich na harandrze... Czy to jest obraz czegoś, co wydarzyło się przed początkiem mojego świata?

- Widzę, że jesteś jednak *hnau* - odpowiedział głos. - Nie ma wątpliwości, że żaden kamień, który spoglądał wówczas w niebo, nie byłby dziś kamieniem. Ten obraz był odtwarzany w nowym kamieniu tyle razy, ilu jest eldilów w powietrzu nad nami. Ale był odtwarzany wiernie. W ten sposób można powiedzieć, że widzisz obraz skończony wówczas, gdy twój świat dopiero się tworzył. Ale nie myśl o takich rzeczach. Mój lud obowiązuje prawo, by nigdy nie mówić o rozmiarach i liczbach do innych *hnau*, nawet do sornów. Niczego nie rozumiesz i dlatego zwracasz uwagę na drobnostki, a umyka ci to, co jest naprawdę wielkie. Opowiedz mi raczej o tym, co uczynił Maleldil na Tulkandrze.

- Zgodnie z naszą tradycją... - zaczął Ransom, lecz urwał, bo nagle coś nieoczekiwanego przerwało uroczystą ciszę zalegającą nad zgromadzeniem. Jakaś duża grupa, prawie procesja, zbliżała się do gaju od przystani.

Rozdział 19

Kiedy procesja zbliżyła się, Ransom dostrzegł, że idące na przedzie hrossy niosą jakieś trzy długie i wąskie ciężary. Niosły je na swych głowach, po cztery hrossy na jeden ciężar. Za nimi szła grupa uzbrojona w harpuny, prowadząc jakieś dwa stworzenia, których nie mógł rozpoznać, bo gdy procesja weszła między najdalsze megality, promienie słońca padały im na plecy. Stworzenia te były o wiele mniejsze niż jakiegokolwiek żywe istoty, jakie widział na Malakandrze. Musiały być dwunogami, choć dolne kończyny miały tak grube i krótkie, że właściwie trudno je było nazwać nogami. Ich ciała zwężały się nieco u góry, jak gruszki, a głowy nie były ani okrągłe jak u hrossów, ani wydłużone jak u sornów, lecz prawie kwadratowe. Stapały na wąskich, ciężkich stopach opadających na ziemię z niepotrzebną gwałtownością. Teraz widział już ich twarze: dziwaczne, pstre grudy pofałdowanego, guzowatego ciała, obramowane jakąś włochatą, ciemną substancją. Nagle, z trudną do opisaną zmianą uczucia, zrozumiał, że patrzy na ludzi. Był to Weston i Devine. Przez krótką chwilę Ransom dostąpił przywileju spojrzenia na ludzi okiem Malakandryjczyka.

Czoło procesji znalazło się teraz kilka metrów od Ojarsy. Dziwne ciężary zostały złożone na ziemi. Ransom rozpoznał w nich martwe ciała trzech hrossów, leżące na noszach z nie znanego mu metalu. Ich otwarte oczy spoglądały niepokojąco w górę, ku dalekiemu, złotemu baldachimowi gaju. Jednym z nich musiał być Hyoi, a z całą pewnością tym, który wystąpił i po skłonieniu się przed Ojarsą zaczął mówić, był brat Hyoiego, Hyahi.

Z początku Ransom nie słyszał, co hross mówi, bo całą uwagę skoncentrował na Westonie i Devinie. Nie mieli broni, a uzbrojone hrossy nie spuszczały ich z oczu. Obaj, podobnie jak Ransom, zapuścili brody. Byli bladzi i znać było po nich trudy długiej wędrówki. Weston stał z rękami założonymi na piersiach, a na jego twarzy widniał nieruchomy, prawie sztuczny wyraz desperacji. Devine, z rękami w kieszeniach, był wściekle nadąsany. Obaj sprawiali wrażenie ludzi, którzy mają powód do strachu, lecz zdają się nie tracić odwagi. Otoczeni przez strażników i pochłonięci tym, co działo się przed nimi, nie zauważyli Ransoma.

- Nie użalam się z powodu śmierci tych dwóch, Ojarso - mówił brat Hyoiego - bo kiedy natknęliśmy się w nocy na *hmana*, wpadli w panikę. Można powiedzieć, że było to polowanie i ci dwaj zginęli tak, jak mogłoby się zdarzyć, gdybyśmy polowali na *hna*krę. Ale Hyoiego ugodzili z oddali swoją bronią tchórzcy, kiedy nie czynił nic, co mogłoby ich przestraszyć. A teraz leży tutaj - on *hna*krapunt i wielki poeta, którego strata jest dla nas ciężka - i nie mówię tego dlatego, że był moim bratem, lecz dlatego, że wie o tym cały handramit.

Głos Ojarsy przemówił po raz pierwszy do dwóch mężczyzn.

- Dlaczego zabiliście moje *hnau*?

Weston i Devine rozejrzeli się niespokojnie w poszukiwaniu źródła głosu.

- Na Boga! - zawołał Devine po angielsku. - Nie mów mi, że oni mają głośnik!

- Brzuchomówstwo - powiedział Weston ochrypłym głosem. - Bardzo częste u dzikich. Czarownik lub uzdrowiciel udaje, że wpada w trans i ktoś przez niego przemawia. Trzeba zidentyfikować szamana i zwracać się do niego, choćby głos zdawał się płynąć skądinąd. To rozstroi mu nerwy i pokaże, że został zdemaskowany. Czy widzisz, by ktoś ryś z tych bydłaków był w transie? Do cholery, mam go!

Trzeba przyznać, że Weston miał dar obserwacji: z całego tłumu wyłowił jedyne stworzenie nie stojące z szacunkiem i wytężoną uwagą. Był to stary hross, który niezbyt daleko od niego siedział w kucki i miał zamknięte oczy. Zrobiwszy krok w jego kierunku, Weston przyjął wyzywającą postawę i zagrzmał po malakandryjsku (jego znajomość języka była dość żalosna):

- Dlaczego zabiera nasze puff-bangi? My duży gniew na ciebie. My nie boją.

Zgodnie z hipotezą Westona, jego akcja powinna zrobić duże wrażenie. Na nieszczęście dla niego, nikt nie podzielał jego teorii na temat powodów zachowania starszego hrossa. Hross - bardzo dobrze wszystkim znany, nie wyłączając Ransoma - nie przyszedł tu z pogrzebową procesją. Był tu od wschodu słońca. Bez wątpienia nie miał najmniejszego zamiaru okazać Ojarsie braku szacunku, ale trzeba wyznać, że już o wiele wcześniej uległ słabości, która atakuje starszych *hnau* wszystkich gatunków, i w tym czasie pogrążony był w głębokim, odświeżającym śnie. Jeden z jego wąsów zadrgał lekko, gdy Weston krzyczał mu w twarz, ale oczy pozostały zamknięte.

Ponownie rozległ się głos Ojarsy.

- Dlaczego mówisz do niego? To ja ciebie pytam: dlaczego zabiłeś moje *hnau*?

- Ty pozwoli nam odejść a potem my mówi-mówi - wrzeszczał Weston, nachylając się nad śpiącym hrosssem. - Ty myślisz, my bez siły, myślisz ty, robisz, co chcesz. Ty nie możesz. Wielki, potężny głowa-człowiek w niebie, on nas posyła. Ty nie robisz, co ja mówię, on przychodzi. On dmucha was wszystkich w górę. Puff! Bang!

- Nie wiem, co znaczy „bang” - powiedział głos. - Ale dlaczego zabiliście moje *hnau*!

- Powiedz, że to był wypadek - mruknął Devine po angielsku.

- Już ci mówiłem - odpowiedział Weston w tym samym języku - że nie masz pojęcia, jak postępować z tubylcami. Jedna oznaka słabości i schwyca cię za gardło.

Trzeba ich tylko zastraszyć.

- W porządku! Rób swoje - warknął Devine, Wyraźnie tracił wiarę w swojego współnika.

Weston odchrząknął i znowu nachylił się nad starym hrosssem.

- Zabijamy! - wrzasnął - Pokazujemy, co możemy zrobić. Każdy, kto robi nie wszystko, co mówi - puff! bang! - zabijamy go tak samo, co ten jeden. Wy robicie wszystko, co my mówimy, i my dajemy dużo ładne rzeczy. Patrzycie! Patrzycie!

Ransoma ogarnęło niemal bolesne zażenowanie, gdy zobaczył, że Weston wyciąga z kieszeni jaskrawo kolorowy naszyjnik z paciorków, niewątpliwy produkt pana Woolwortha, [Woolwarth - sieć domów towarowych z tanimi produktami] i zaczyna nim potrząsać przed twarzami swych strażników, obracając się wokoło i wykrzykując:

- Ładne! Ładne! Patrzycie! Patrzycie!

Skutek tej manifestacji był bardziej gwałtowny, niż się Ransom spodziewał. Ciszę tego uroczystego miejsca rozdarł taki ryk odgłosów, jakiego żadne ludzkie ucho jeszcze nie słyszało. Szczekanie hrossów, pisk pfiłtryggów, buczenie sornów przetaczało się po wzgórzach, odbijając echem od odległych ścian kanionu. Powietrze nad ich głowami wypełniło delikatne dzwonienie eldilów. Trzeba oddać sprawiedliwość Westonowi, że chociaż zbladł, nie stracił zimnej krwi.

- Nie ryczą na mnie! - zagrzemiał. - Nie próbują robić mnie przestraszony. Mnie nie boi się was.

- Musisz wybaczyć mojemu ludowi - odezwał się głos Ojarsy - ale oni na ciebie nie ryczą. Oni się tylko śmieją.

Ale Weston nie znał malakandryjskiego czasownika „śmiać się”. Prawdę mówiąc, nie rozumiał go w żadnym języku. Rozejrzał się dookoła zaskoczony. Ransom, zagryzając wargi z upokorzenia, prawie modlił się, by uczonej przestał na eksperymencie z paciorkami. Nie znalazł jednak Westona. Ten spostrzegł, że zgłębł głosów ucichł. Wiedział, że postępuje według najbardziej ortodoksyjnych reguł, nakazujących najpierw przestraszyć, a potem udobruchać prymitywnych dzikusów. Nie należał też do ludzi, którzy się szybko zniechęcają. Ryk, jaki wydobył się ponownie z gardeł wszystkich widzów, gdy zaczął znowu obracać się w kółko jak bąk na zwolnionym filmie, od czasu do czasu stukając się w czoło lewą ręką, a prawą potrząsając naszyjnikiem, całkowicie zagłuszył to, co próbował powiedzieć, ale patrząc na jego wargi Ransom nie miał wątpiwości, że nadal powtarza swoje „Ładne! Ładne!”. A potem nagle śmiech rozbrzmiał jeszcze głośnie.

Gwiazdy były wyraźnie przeciw Westonowi. Jego dobrze wyćwiczony mózg zaczęło nurtować mętne wspomnienie wysiłków, jakie czynił dawno, dawno temu w celu zabawienia jakiegoś małego siostrzeńca. Uginał nogi w kolanach i kiwał głową, prawie tańczył, czerwony i spocony z wysiłku.

Tym, co przerwało występ wielkiego fizyka - największe tego rodzaju wydarzenie artystyczne, jakie miało kiedykolwiek miejsce na Malakandrze - było po prostu wyczerpanie. Kiedy skończył, ucichł też głośny entuzjazm jego widowni. Ransom usłyszał głos Devine'a mówiącego po angielsku:

- Na miłość Boską, Weston, przestań robić z siebie błazna. Czy nie widzisz, że to nic nie daje?

- Nie wydaje się, by dawało - poprawił go Weston. - Skłonny jestem mniemać, że mają mniej inteligencji, niż przypuszczaliśmy. Czy myślisz, że jak spróbuję jeszcze raz... albo może ty chcesz spróbować tym razem?

- Och, do diabła! - krzyknął Devine i odwracając się do swego partnera plecami, usiadł gwałtownie na ziemi, wyjął papierośnicę i zapalił.

- Dam to czarownikowi - rzekł Weston w chwili ciszy, jaka zapadła wśród widzów zdumionych tajemniczymi poczynaniami Devine'a. Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, Weston zrobił krok do przodu, próbując zarzucić paciorki na szyję starego hrossa. Głowa hrossa była jednak za duża i naszyjnik zatrzymał się na niej jak diadem, lekko zwieszając się nad jednym okiem. Stworzenie potrząsnęło głową, jak pies niepokoiony przez muchy, zachrapało łagodnie i powróciło do spokojnego snu.

Teraz głos Ojarsy zwrócił się do Ransoma.

- Czy twoi towarzysze mają zranione mózgi, Ransomie z Tulkandry? A może są zbyt przestraszeni moimi pytaniami?

- Myślę, Ojarso, że oni nie wierzą, że tu jesteś. Sądzą, że te wszystkie *hnau* są... są jak bardzo małe szczenięta. Ten grubszy *hnau* próbuje je przestraszyć, a potem ucieszyć podarunkami.

Na dźwięk głosu Ransoma obaj więźniowie odwrócili się gwałtownie w jego stronę. Weston chciał coś powiedzieć, ale Ransom ubiegł go, mówiąc po angielsku:

- Posłuchaj, Weston. To nie są żadne sztuczki. Tu, w samym środku, rzeczywiście jest pewne stworzenie, tam gdzie jest pewien szczególny rodzaj światła, jeśli się dobrze przyjrzyysz. To stworzenie jest przynajmniej tak inteligentne jak czbwiek i wydaje się żyć od bardzo dawna. Przestań traktować je jak dziecko i odpowiadaj na jego pytania. I posłuchaj mojej rady: mów prawdę i przestań się przechwalać.

- W każdym razie te zwierzaki miały dość inteligencji, aby cię złapać - warknął Weston, ale gdy ponownie zwrócił się do śpiącego hrossa (pragnienie obudzenia rzekomego szamana stało się już jego obsesją), zmienił nieco ton. - Przykro nam, że go zabijamy - rzekł wskazując na ciało Hyoiego. - Nie idziemy zabić go. Sorny mówi nam: przywieźć człowieka, dać go waszej wielkiej głowie. My dostać z powrotem niebo. On przychodzi - wskazał na Ransoma - z nami. On bardzo skrzywiony, ucieka, nie robi to, co sorny mówi. My biegniemy za nim, my dostajemy z powrotem dla sornó w, chcemy robić, co mówimy, i sorny mówi nam, widzi? On nie daje nam. Biegnie, biegnie, biegnie. My biegniemy. Widzą wielkie, czarne, myślą - on nas zabija, my zabijamy jego - puff! bang! Wszystko dla skrzywiony człowiek. On nie biegnie, on dobry, my nie biegamy za nim, nie zabijamy duże, czarne, widzi? Ty masz skrzywiony człowiek, skrzywiony człowiek robi wszystkie kłopoty, wy bardzo trzymacie go, idziemy. On boi was, my nie boimy. Słuchaj...

W tym momencie długotrwałe wrzaski Westona wywołały wreszcie skutek, o który mu tak bardzo chodziło. Hross otworzył oczy i spojrzał na niego łagodnie z pewnym zakłopotaniem. Potem, stopniowo uświadamiając sobie okropną niestosowność swego zachowania, powoli wstał, skłonił się przed Ojarsą i w końcu opuścił zgromadzenie, wciąż przystrojony w sznur paciorków

zwisający mu nad prawym uchem. Weston z otwartymi ustami wpatrywał się w wolno idącą postać aż do chwili, gdy zniknęła między łodygami gaju.

Ciszę przerwał głos Ojarsy.

- Dość już mieliśmy uciechy. Nadszedł czas, byśmy usłyszeli prawdziwe odpowiedzi na nasze pytania. Coś jest nie w porządku z twoją głową, *hnau* z Tulkandry. Jest w niej za dużo krwi. Czy jest tu Firikitekila?

- Jestem, Ojarso - odezwał się pfifltrygg.

- Czy w twoich zbiornikach jest ochłodzona woda?

- Tak, Ojarso.

- A więc zabierzcie tego grubego *hmana* do domu dla gości i niech wykąpie głowę w zimnej wodzie. Dużo wody i wiele razy. Potem przyprowadźcie go z powrotem. Ja w tym czasie zajmę się moimi zabitymi *hrossami*.

Uwagę Westona wciąż pochłaniała chęć odnalezienia źródła głosu, więc nie zrozumiał dokładnie tego, co powiedział Ojarsa, ale przeraził się, gdy pochwyciły go silne ręce *hrossów*, by wyprowadzić go z gaju. Ransom chciał zawołać do niego, że nic mu nie grozi, ale Weston wrzeszczał za głośno, by mógł coś usłyszeć. Mieszał teraz malakandryjskie i angielskie słowa, a ostatnie, co Ransom usłyszał, było niemal wyciem:

- Płaczę za to puff! Bang!... Ransom, na litość boską, Ransom! Raaaaansom!

- A teraz - rzekł Ojarsa, gdy znowu zapadła cisza - uczcijmy moje zmarłe *hnau*.

Na te słowa zgromadziło się przy marach dziesięć *hrossów*, które podniosły wysoko głowy i bez żadnego zauważalnego dla Ransoma sygnału zaczęły śpiewać.

Kiedy człowiek zaczyna obcować z zupełnie nową formą sztuki, nadchodzi moment, w którym to, co uprzednio wydawało się niezrozumiałe, po raz pierwszy uchyla rąbka swej tajemnicy, pozwalając na krótki wgląd w nieokreślone możliwości tego środka wyrazu. Taki moment nadszedł teraz dla Ransoma w jego spotkaniu z malakandryjskim śpiewem. Po raz pierwszy dostrzegł że źródłem rytmu jest inna krew, inne, szybciej biją ce serce i bardziej dziki wewnętrzny ogień. Dzięki swej znajomości *hrossów* i miłości, jaką już je darzył, zaczął nawet słuchać ich śpiewu prawie tak, jakby był jednym z nich. Jakieś wielkie masy, pędzące z fantastyczną szybkością, tańczące olbrzymi, wieczny smutek znajdujący wieczne pocieszenie, coś, czego nie znał, a jednocześnie coś, co znał zawsze - wszystko to obudziło się w Ransomie już przy pierwszych taktach tego głębokiego, gardłowego śpiewu pogrzebowego, nakazując ukorzyć się jego duchowi, jakby otworzyły się przed nim niespodziewanie bramy nieba.

Niech stąd odejdzie,

Niech stąd odejdzie,

Niech rozplynie się i przestanie być ciałem.

Porzuć je, wypuść,

Porzuć je łagodnie,

Jak palce wypuszczają kamień nad cichą sadzawką.

Niech spadnie, niech poszybuje,

Niech go wody otulą.

Niech zanurzy się tam,

Gdzie nic już niczego nie dzieli, nie rani,

Gdzie żadna warstwa nie pęka,

Gdzie jest jednia.

Wyślij je w podróż,

*Już tu nie powróci.
Niech spadnie,
Hnau z niego powstanie.
Oto drugie życie,
Następny początek,
Otwórz się, barwny świecie,
Lotny i bezbrzeżny.
Jesteś drugi i lepszy,
Ten był pierwszy i nędzny.
Ongiś łono światów gorzało i rodziło życie,
Lecz tylko blade pędy nie znające światła.
A oto jasne słońce dzieci z nich wywodzi
W ponurych miejscach.
Niebiosa rodzą nowe światy:
Wysokie pnącza,
Jasnowłose puszcze,
Policzki kwiatów.
Pierwszy świat był ciemniejszy,
Drugi jest jaśniejszy.
Pierwsze było plemię światów,
Drugie - plemię słońca.*

Tyle Ransom zdołał później odtworzyć i przetłumaczyć. Gdy śpiew umilkł, Ojarsa powiedział:

- Rozproszmy ruchy, które były ich ciałami. Tak rozproszy Maeldil wszystkie światy, gdy ten pierwszy i ułomny zwiędnie i przeminie.

Dał zapewne jakiś znak jednemu z pfifltryggów, bo ten nagle wstał i podszedł do martwych ciał. Hrossy odeszły z dziesięć kroków i znowu zaczęły śpiewać, tym razem łagodnie i czule. Pfifltrygg dotknął po kolei każdego zwłok niewielkim, szklanym czy też kryształowym przedmiotem, a potem odskoczył od nich żabim susem. Ransom zamknął oczy, chroniąc je przed oślepiającym światłem, i przez ułamek sekundy poczuł na twarzy podmuch gwałtownego wicheru. Kiedy je otworzył, mary były puste.

- Wielkie nieba! Taka sztuczka przydałaby się na Ziemi! - powiedział do niego Devine. - To by rozwiązało odwieczny problem morderców, co zrobić z ciałem, nie?...

Lecz Ransom milczał, myśląc o Hyoim. Zanim Devine odezwał się ponownie, uwagę całego zgromadzenia pochłonął powrót nieszczęsnego Westona prowadzonego przez hrossy.

Rozdział 20

Idący na czele małego orszaku hross był stworzeniem skrupulatnym i od razu zaczął usprawiedliwiać się nieco zafrasowanym głosem.

- Mam nadzieję, że zrobiliśmy, co do nas należało, Ojarso - rzekł - ale nie jesteście pewni. Zanurzyliśmy mu głowę siedem razy w zimnej wodzie, ale za siódmym coś od niej odpadło. Myśleliśmy, że to czubek głowy, ale okazało się, że to tylko pokrywa ze skóry jakiegoś innego stworzenia. Potem jedni mówili, że wypełniliśmy już twoją wolę, a inni, że jeszcze nie. W końcu zanurzyliśmy go znowu siedem razy. Mam nadzieję, że postąpiliśmy słusznie. To stworzenie wiele mówiło między zanurzeniami, zwłaszcza w czasie tej drugiej siódemki, ale niczego nie zrozumieliśmy.

- Bardzo dobrze uczyniliście, Hnuu - rzekł Ojarsa. - Odstąpcie od niego, abym mógł go dobrze widzieć, bo teraz ja będę do niego mówił.

Strażnicy rozstąpili się na obie strony. Pod orzeźwiająjącym działaniem zimnej wody twarz Westona, zwykle blada, nabrała koloru dojrzałego pomidora, a dawno nie strzyżone włosy oblepiały mu czoło. Z nosa i uszu wciąż ściekała mu woda. Miał minę bohatera cierpiącego w słusznej sprawie, nie uchylającego się przed najgorszym, a nawet prowokującego go. Niestety, jego widownia nie potrafiła tego docenić, nie znając się zupełnie na ludzkiej fizjonomii. Trzeba pamiętać, że tego ranka Weston przeżył już całą groźbę spodziewanego męczeństwa i wstrząs czternastu przymusowych zimnych kąpiel. Devine, który go znał, zawołał po angielsku:

- Spokojnie, Weston! Te diabły potrafią rozszczepiać atom, lub coś w tym rodzaju. Uważaj na to, co mówisz, i skończ już z tymi cholernymi nonsensami.

- A więc i ty stałeś się już tubylcem! - warknął Weston z pogardą.

- Uciszcie się! - powiedział głos Ojarsy. - Ty, Gruby, nie powiedziałeś mi nic o sobie, więc teraz ja ci to powiem. Osiągnąłeś w swoim świecie wielką wiedzę o ciałach i dzięki temu potrafiłeś zbudować statek, który może przebyć niebo, ale we wszystkich innych sprawach twój umysł jest na poziomie zwierzęcia. Kiedy przybyłeś tu po raz pierwszy, posłałem po ciebie, pragnąc cię powitać z szacunkiem. Ciemność w twojej głowie sprawiła, że opanował cię strach. Ponieważ myślałeś, że chcę zrobić ci krzywdę, zachowałeś się tak, jak drapieżne zwierzę wobec innego drapieżnika i porwałeś tego Ransoma, chcąc go oddać w ręce, których sam się bałeś. Dzisiaj, widząc go tutaj, oddałbyś mi go po raz drugi, byleby tylko ratować swoje życie, myśląc, że chcę go skrzywdzić. Tak odnosisz się do swojej własnej rasy. Wiem też, jakie są twoje zamiary wobec mojego ludu. Już kilka razy zabiłeś, a przybyłeś tu, by zabijać więcej, by zabić wszystkich. Dla ciebie nie ma znaczenia, czy stworzenie jest *hnau*, czy nie. Z początku myślałem, że bierzesz pod uwagę tylko to, czy stworzenie ma ciało podobne do twojego, ale Ransom też ma takie ciało, a zabiłbyś go tak łatwo, jak każde z moich *hnau*. Nie wiedziałem, że Skrzywiony tyle dokonał w twoim świecie i wciąż tego nie rozumiem. Gdybyś należał do mnie, pozbawiłbym cię ciała natychmiast. Nie myśl, że to bezpodstawne groźby. Moją ręką Maleldil czyni o wiele większe rzeczy. Mogę cię unicestwić nawet tam, na granicy powietrza otaczającego twój świat. Ale jeszcze nie powziąłem decyzji. Teraz twoja kolej, mów. Chcę zobaczyć, czy w twojej głowie jest coś więcej niż strach, śmierć i żądza.

Weston spojrzął na Ransoma.

- Widzę, że wybrałeś najdonioślejszy przełom w historii ludzkości, by ją zdradzić - powiedział po angielsku.

Potem zwrócił się w kierunku głosu.

- Wiem, ty nas zabija - przeszedł na swój żaloszny malakandryjski. - Ja nie boi. Inni przychodzą i robią tu nasz świat...

Devine zerwał się na nogi.

- Nie, nie, Ojarso! - zawołał. - Ty nie słuchasz go. On bardzo głupi człowiek, on ma sny. My mali ludzie, chcemy tylko dużo słońca-krwi. Ty dajesz nam dużo słońca-krwi, my wracamy w niebo, ty nigdy nas nie widzisz. Po wszystkim, rozumie?

- Cisza! - rozległ się głos Ojarsy.

W świetle - jeśli to można nazwać światłem - z którego wydobywał się głos, zaszła nieuchwytna zmiana. Devine wyprężył się nagle i upadł na ziemię. Kiedy znowu usiadł, był biały jak kreda i dygotał.

- Mów - rzekł Ojarso do Westona.

- Ja nie... nie... - zaczął Weston i załamał się. - Nie potrafię powiedzieć w ich przeklętym języku tego, co chcę - powiedział po angielsku.

- Mów do Ransom, a on przełoży to na naszą mowę - rzekł Ojarso.

Weston natychmiast przyjął propozycję. Wierzył, że wybiła godzina jego śmierci i za wszelką cenę chciał wypowiedzieć to, co miał do powiedzenia. Odchrząknął, przybrał teatralną pozę i zaczął:

- Tobie mogę wydawać się pospolitym rabusiem, lecz w istocie dźwigam na swych barkach los rasy ludzkiej. Wasze szczepowe życie, z narzędziami z epoki kamienia, z chatami podobnymi do uli, z czólnami ze skóry i prymitywną strukturą społeczną, nie ma nic wspólnego z naszą cywilizacją: z naszą nauką, medycyną, prawem, z naszymi armiami, naszą architekturą, handlem i systemem komunikacji, który szybko pochłania przestrzeń i czas. Nasze prawo do wyrugowania was stąd jest prawem, jakie to, co wyżej rozwinięte, ma nad tym, co prymitywne. Życie...

- Chwileczkę - przerwał mu Ransom po angielsku. - Więcej nie będę w stanie odtworzyć za jednym razem.

I zwracając się ku Ojarsie, zaczął przekładać to na malakandryjski najlepiej, jak potrafił. Nie było to łatwe, a rezultat - niezbyt go zadowolający - przedstawiał się mniej więcej tak:

- Wśród nas, Ojarso, jest pewien rodzaj *hnau*, który zabiera innym *hnau* jedzenie i... i inne rzeczy, kiedy one tego nie widzą. On mówi, że nie jest jednym z takich *hnau*. Mówi, że to, co robi teraz, sprawi, że bardzo różne rzeczy wydarzą się z ludźmi, którzy się jeszcze nie narodzili. Mówi, że u was *hnau* z jednej rodziny żyją razem, *hrossa* mają oszczepy, jakich my używaliśmy bardzo dawno temu, wasze chaty są ciemne i okrągłe, a łodzie małe i lekkie, jak dawniej nasze. I macie jednego władcę. Mówi, że u nas jest zupełnie inaczej. Mówi, że my dużo wiemy. W naszym świecie zdarza się tak, że ciało żywego stworzenia czuje ból i słabnie, i on mówi, że my czasami wiemy, jak to zatrzymać. Mówi, że mamy dużo skrzywionych ludzi i wtedy ich zabijamy lub zamykamy w specjalnych chatach, i że mamy takich, którzy rozstrzygają kłótnie między *hnau* o chaty, żony i inne rzeczy. Mówi, że znamy wiele różnych sposobów, za pomocą których *hnau* z jednego kraju mogą zabijać *hnau* z drugiego kraju, a niektóre *hnau* są specjalnie ćwiczone, by to robić. Mówi, że zbudowaliśmy wielkie i mocne chaty z kamienia i zrobiliśmy wiele innych rzeczy, tak jak pfliftryggi. I mówi, że wymieniamy między sobą różne rzeczy i potrafimy bardzo szybko i bardzo daleko przenosić różne ciężary. I z powodu tego wszystkiego, on mówi, że nie byłby to wcale skrzywiony czyn, gdyby nasz lud pozabijał was wszystkich.

Gdy Ransom skończył tłumaczyć, Weston mówił dalej:

- Życie jest ponad wszelkim systemem moralnym. Jego roszczenia mają rangę absolutną. W swym nieubłaganym marszu od ameby do człowieka i od człowieka do cywilizacji ludzkiej życie nie postępowało naprzód dzięki jakimś plemiennym tabu lub maksymom, jakie się zapisuje w notesie.

- On mówi - przetłumaczył Ransom - że żywe stworzenia są silniejsze niż pytanie, czy jakiś czyn jest skrzywiony czy dobry... nie, tak nie będzie dobrze... on mówi, że lepiej być żywym i

skrzywionym, niż dobrym i martwym... nie... mówi... mówi... nie potrafię powiedzieć w waszym języku tego, co on mówi, Ojarso. On chce powiedzieć, że jedyną dobrą rzeczą jest to, by było dużo żywych stworzeń. Mówi, że przed ludźmi żyło wiele innych zwierząt i zawsze te późniejsze były lepsze od wcześniejszych. Ale mówi też, że te zwierzęta nie rodziły się dzięki temu, co starsi mówią młodym o czynach skrzywionych i dobrych. I mówi, że te wszystkie stworzenia nie odczuwały żadnej litości.

- Ono... - zaczął Weston, ale Ransom przerwał mu:

- Przepraszam - powiedział - ale zapomniałem, czym jest to „ono”.

- Mówię o życiu, rzecz jasna - warknął Weston. - Ono bezlitośnie przełamywało wszelkie przeszkody na swej drodze i likwidowało wszystkie swe błędy, a dziś, w swojej najwyższej formie, w cywilizowanej ludzkości i we mnie jako jej przedstawicielu, pod naporem swej energii dokonuje owego potężnego, międzyplanetarnego skoku naprzód, który wyrwie je raz na zawsze z zasięgu śmierci.

- On mówi - przetłumaczył Ransom - że te zwierzęta nauczyły się robić wiele trudnych rzeczy, a te, które się tego nie nauczyły, musiały umrzeć, a te inne zwierzęta wcale ich nie żałowały. I mówi, że dziś najlepszym zwierzęciem jest ten rodzaj człwieka, który buduje wielkie chaty i przynosi wielkie ciężary, i robi te wszystkie inne rzeczy, o które już mówiłem. A on jest jednym z tego rodzaju i mówi, że gdyby wszyscy inni wiedzieli, co chce zrobić, byłiby bardzo zadowoleni. Mówi, że gdyby miał zabić was wszystkich i przyprowadzić tu *hmana* z Tulkandry, by tu zamieszkali, wtedy mogliby żyć po tym, jak w naszym świecie stałoby się coś ze słońcem, z wodą, z jedzeniem. A później, gdyby coś takiego stało się z Malakandrą, mogliby pójść i zabić wszystkie *hnau* w innym świecie. A potem w innym, i w ten sposób nigdy by nie wymarli.

- To w zgodzie z prawem życia - mówił Weston - prawem lub, jeśli chcecie, samą mocą życia, gotów jestem bez wahania wbić flagę ludzkości w glebę Malakandry, tak aby owa ludzkość mogła iść zawsze naprzód, krok za krokiem, niszcząc, jeśli to okaże się konieczne, wszystkie niższe formy życia, opanowując planetę za planetą, system po systemie, aż nasi potomkowie - bez względu na ich przyszły kształt i mentalność - uczynią swym domem cały wszechświat, wszędzie tam, gdzie się do tego nadaje.

- On mówi - przełożył Ransom - że z tego powodu dla niego nie byłoby to skrzywionym czynem... albo mówi, że byłoby to dla niego czynem możliwym... zabić was wszystkich i przenieść tu *hmana* na wasze miejsce. I znowu powtarza, że być może będą mogli przenosić się wciąż z jednego świata do drugiego i wszędzie zabijać wszystkich. Myślę, że on mówi teraz o światach biegnących wokół innych słońc. Chce, żeby stworzenia, które się z nas narodzą, były w tak wielu miejscach, jak to jest możliwe. Mówi, że nie wie, jakim rodzajem stworzeń wtedy będą, ale nie dba o to.

- Mogę przegrać - powiedział Weston. - Ale dopóki żyję, nie zgodzę się, trzymając klucz w swoich rękach, na zamknięcie wrót do przyszłości mojej rasy. To, co leży w przyszłości, poza zasięgiem naszej obecnej wiedzy, przerasta wyobraźnię. Wystarczy mi, że jest jakieś „poza”.

- Mówi - przełożył Ransom - że nie przestanie próbować zrobić to wszystko, dopóki go nie zabijesz, Ojarso. I mówi, że chociaż nie wie, co się stanie ze stworzeniami, które zrodzą się z nas, chce bardzo, by to się stało.

Weston, który skończył swoje przemówienie, instynktownie rozejrzał się za fotelem. Na Ziemi zwykle siadał w fotelu, gdy rozpoczynały się oklaski. Nie znalazłszy niczego podobnego - a nie należał do ludzi, którzy siadają na ziemi, jak Devine - skrzyżował ramiona na piersiach i popatrzył wokoło z godnością.

- Dobrze się stało, że cię wysłuchałem - powiedział Ojarsa. - Widzę teraz, że chociaż twój

umysł jest słabszy, twoja wola jest mniej skrzywiona, niż myślałem. To nie dla siebie zrobiłbyś to wszystko.

- Nie - powiedział Weston z dumą po malakandryjsku. - Ja umieram. *Hmana* żyją.

- Ale wiesz, że te stworzenia będą musiały stać się zupełnie inne niż ty, zanim zamieszkają w innych światach?

- O tak! Wszyscy nowe. Nikt jeszcze nie zna. Dziwne! Wielkie!

- A więc kształt ich ciał nie będzie taki, do jakiego się przyzwyczaiłeś.

- Nie. Nie obchodzi, jakie oni mają kształty.

- Można by więc sądzić, że obchodzi cię tylko dusza, ale tak nie jest, bo kochałbyś wszystkie *hnau*, gdziekolwiek byś je spotkał.

- Nie obchodzi *hnau*. Obchodzi *hmana*.

- Lecz jeśli nie obchodzi cię ani ludzka dusza, która jest taka, jak dusze wszystkich *hnau* - czyż to nie Maleldil jest ich jedynym stwórcą? - ani ludzkie ciało, które się zmieni, jeśli nie obchodzi cię ani to, ani to, to czym dla ciebie jest *hman*?

Ransom musiał mu to przetłumaczyć. Kiedy Weston zrozumiał, odpowiedział:

- Nie obchodzi *hman*, obchodzi nasza rasa, to, co *hman* zrodzi. - Musiał zapytać Ransoma o malakandryjskie słowa „rasa” i „zrodzi”.

- Dziwne! - rozległ się głos Ojarsy. - Nie kochasz nikogo z twojej rasy; pozwoliłbyś mi zabić Ransoma. Nie kochasz duszy swojej rasy ani jej ciała. Zadowoliliby cię każdy rodzaj stworzenia, byleby tylko zrodziła go twoja rasa, ta, która żyje dzisiaj. Wydaje mi się, że tym, co naprawdę kochasz, to nie żadne skończone stworzenie, lecz samo jego nasienie, jego ciągłość. Tylko to pozostaje.

- Powiedz mi - rzekł Weston, gdy Ransom przetłumaczył mu to - że nie jestem metafizykiem. Nie przybyłem tu, by ćwiczyć logikę. Jeśli on nie jest w stanie zrozumieć - podobnie zresztą jak ty - czegoś tak fundamentalnego, jak lojalność człowieka wobec własnej rasy, to nic na to nie poradzę.

Lecz Ransom nie potrafił tego przetłumaczyć, a głos Ojarsy mówił dalej:

- Widzę teraz, jak bardzo skrzywił cię pan milczącej planety. Istnieją prawa, które znają wszystkie *hnau*: współczucie, uczciwość, wstyd i inne. Jednym z nich jest miłość swego gatunku. Nauczył cię łamać wszystkie prawa, prócz tego jednego, które wcale nie jest jednym z najważniejszych. A to jedno prawo jeszcze w tobie wykrzywił, aż stało się odmianą szaleństwa, czymś w rodzaju małego ojarsy w twoim mózgu. Potrafisz teraz tylko jedno: być mu ślepo posłusznym. Gdyby cię zapytano, dlaczego w ogóle jest prawem, nie umiałbyś podać innego uzasadnienia prócz tego, które dotyczy wszystkich innych, większych praw, jakie odrzuciłeś. Czy wiesz, dlaczego Skrzywiony to uczynił?

- Ja nie myślę taka osoba, ja mądry, nowy *hman*, nie wierzy w takie stare gadanie.

- Powiem ci. Pozostawił ci to jedno prawo, ponieważ skrzywione *hnau* może zrobić więcej krzywdy niż złamane *hnau*. Ciebie tylko skrzywił, ale tamtego, który siedzi na ziemi, złamał, bo nie zostawił mu nic prócz chciwości. On jest teraz tylko moim wiącym zwierzęciem i w moim świecie nie uczyniłby więcej krzywdy niż zwierzę. Gdyby należał do mnie, pozbawiłbym go ciała, bo *hnau* w nim jest już martwe. Ale gdybyś ty był mój, próbowałbym cię leczyć. Powiedz mi, Gruby, po co tu przybyłeś?

- Ja mówię ci. Zrobić *hmana* żywe wszystkie czas.

- Czy wasi mędrcy mają tak małą wiedzę, by nie wiedzieć, że Malakandra jest starsza od waszego własnego świata i jej śmierć jest bliższa? Większość jej powierzchni jest już martwa. Mój lud żyje tylko w handramitach. Wody i ciepła było kiedyś więcej, będzie coraz mniej. Już wkrótce, szybciej niż myślisz, doprowadzę ten świat do jego końca i oddam mój lud Maleldilowi.

- Ja znam to wszystko. Ten tylko pierwszy próbuję. Szybko oni idą na inny świat.

- Ale czy nie wiesz, że wszystkie światy kiedyś umrą?

- *Hmana* skaczą z każdy, zanim umiera, dalej i dalej, rozumie?

- A kiedy wszystkie umrą?

Weston milczał. Po chwili Ojarsa znowu przemówił.

- Nie pytasz, dlaczego mój lud, którego świat jest już stary, nie opanował waszego świata?

- Ho! Ho! - zawołał Weston. - Nie wie jak.

- Mylisz się - rzekł Ojarsa. - Wiele tysięcy lat temu, kiedy w twoim świecie nic jeszcze nie żyło, na harandrę spadła zimna śmierć. Była to dla mnie ciężka próba, nawet nie dlatego, że żal mi było moich *hnau* - Maleldil nie stworzył ich, by żyli długo - ale dlatego, że pan waszego świata, który nie był jeszcze wówczas związany, zaczął sączyć w ich dusze truciznę. Chciał uczynić je takimi, jakim jest dzisiaj twój lud: na tyle mądrymi, by dostrzegali nadchodzącą śmierć swojej rasy, lecz nie na tyle, by potrafili się z tym pogodzić. Zaczęły powstawać wśród nich skrzywione rady i z łatwością mogli zbudować niebiańskie statki. Ale Maleldil powstrzymał je przeze mnie. Niektóre *hnau* wyleczyłem, inne pozabawiłem ciała..

- Widzi, co przychodzi! - przerwał mu Weston. - Wy teraz bardzo nieliczni, zamknęci w handramitach. Wkrótce wszyscy umierają.

- Tak - rzekł Ojarsa. - Ale zostawiliśmy za sobą na harandrze jedną rzecz: strach. A ze strachem mord i bunt. Nawet najsłabsze z moich *hnau* nie boją się śmierci. To Skrzywiony wyniszcza wasze życie i plugawi was strachem przed tym, co i tak musi nadejść. Gdybyście byli poddanymi Maleldila, nie byłoby w was niepokoju.

Weston miotał się w złości, rozdarty między pragnieniem wypowiedzenia swoich myśli do końca a nieznajomością języka.

- Bzdury! Defetystyczne brednie! - wykrzyknął po angielsku, a potem wyprostował się dumnie i dodał po malakandryjsku: - Mówisz, twój Maleldil pozwala wszyscy umrzeć. Ten drugi, Skrzywiony, on walczy, skacze, żyje, nie te wszystkie gadanie. Ja nie obchodzi Maleldil. Lubi Skrzywiony bardziej. Ja na jego stronie.

- Ale czy ty nie rozumiesz, że on nigdy nie będzie chciał, czy mógł... - zaczął Ojarsa, lecz nagle urwał, jakby się nad czymś zastanawiał. - Muszę jednak dowiedzieć się więcej o waszym świecie od Ransoma - dodał po chwili. - Nie zabiję was, nie zabiję nawet tego Chudego, bo jesteś cie spoza mojego świata. Jutro opuścicie Malakandrę w waszym statku.

Na twarzy Devine'a odmalowało się przerażenie. Zaczął mówić szybko po angielsku:

- Na miłość Boską, Weston, wytłumacz mu. Minęło kilka miesięcy, Ziemia nie jest teraz w opozycji względem Marsa. Powiedz mu, że to niemożliwe. Równie dobrze może nas zabić od razu.

- Jak długo potrwa wasza podróż na Tulkandrę? - zapytał Ojarsa.

Weston wyjaśnił przy pomocy Ransoma, że przy obecnym położeniu planet podróż jest prawie niemożliwa. Odległość wzrosła o miliony mil, Kąt między ich kursem a promieniami Słońca jest całkowicie inny od tego, na który liczył. Nawet gdyby przy szansie jednej na sto udał o im się trafić na Ziemię, dużo wcześniej wyczerpią się zapasy tlenu.

- Powiedz mu, żeby nas zabił teraz - dodał.

- O tym wszystkim wiem - rzekł Ojarsa. - Jeżeli zostanieie w moim świecie, będę was musiał zabić; nie ścierpię takich stworzeń na Malakandrze. Wiem, że szansa waszego powrotu na Tulkandrę jest niewielka. Ale niewielka - to nie to samo co żadna. Musicie dokonać wyboru i macie na to czas do następnego popołudnia. A teraz odpowiedzcie na moje pytanie. Jeśli w ogóle dotrzecie do waszego świata, ile czasu na to potrzeba?

Po przedłużających się obliczeniach Weston odpowiedział trzęsącym się ze zdenerwowania

głosem, że jeśli nie uda im się zrobić tego w ciągu pięćdziesięciu dni, to będą bez szansy, ale i tak zginą wcześniej z braku powietrza.

- Będziecie mieli te pięćdziesiąt dni - rzekł Ojarsa. - Moje sorny i pfiltryggi dadzą wam powietrza (my też opanowaliśmy tę sztukę) i jedzenia na pięćdziesiąt dni. Zrobię też coś z waszym statkiem. Nie chcę, by kiedykolwiek wrócił do nieba, gdy już wyląduje na Tulkandrze. Ciebie, Gruby, nie było tutaj, gdy unicestwiłem ciała moich hrossów, których zabiliście, ale Chudy ci opowie. Mogę uczynić to samo poprzez przepaść czasu i przestrzeni. Maleldil nauczył mnie tego. Zanim wasz statek wzniesie się ku niebu, moje sorny zrobią z nim coś takiego, że w pięćdziesiątym dniu jego ciało rozpadnie się, stanie się tym, co wy nazywacie niczym. Jeśli zdarzy się to, gdy będziecie szybować przez niebo, wasza śmierć nie będzie bolesna, ale radzę wam opuścić statek natychmiast po wylądowaniu na Tulkandrze. A teraz odprowadźcie tych dwóch, a wy, moje dzieci, możecie iść, gdzie chcecie. Ja muszę porozmawiać z Ransomem.

Rozdział 21

Przez całe popołudnie Ransom odpowiadał na pytania Ojarsy. Nie pozwolono mi zapisać treści tej rozmowy, prócz tego, że głos powiedział w końcu:

- Ukazałeś mi więcej dziwów, niż ich zna całe niebo.

Potem rozmawiali o przyszłości Ransoma. Dano mu całkowitą swobodę decyzji: mógł zostać na Malakandrze lub wybrać rozpaczliwą próbę powrotu na Ziemię.

Ten wybór był dla niego ciężkim przeżyciem. W końcu zdecydował, że zda się na los razem z Westonem i Devinem.

- Miłość swojego gatunku - powiedział - nie jest największym prawem, ale ty sam, Ojarso, przyznałeś, że jednak prawem jest. Jeśli nie będę mógł żyć na Tulkandrze, to lepiej, bym nie żył w ogóle.

- Twój wybór jest słuszny - rzekł Ojarsa. - A teraz powiem ci dwie rzeczy. Moje *hnau* zabiorą ze statku całą tę dziwną broń, ale jedną zostawią tobie. A eldile z głębin niebios będą towarzyszyły waszemu statkowi aż do granicy powietrza Tulkandry. Często będą i w środku. One nie pozwolą, aby ci dwaj pozbawili cię życia.

Ransomowi nie przyszło dotąd do głowy, że zamordowanie go może być pierwszym pomysłem, na jaki wpadną Weston i Devine, aby zaoszczędzić tlenu i żywności. Teraz sam dziwił się swojej naiwności i podziękował Ojarsie za te środki bezpieczeństwa. A potem wielki eldil rozstał się z nim, mówiąc na pożegnanie:

- Nie ma w tobie żadnej winy, Ransomie z Tulkandry. Jesteś tylko trochę lękliwy. Dlatego ta podróż, którą wybrałeś, będzie dla ciebie bardzo ciężka, ale może cię uleczy. Nakładam jednak na ciebie pewien obowiązek: musisz obserwować tych dwóch na Tulkandrze, jeśli tam kiedyś dotrzesz. Mogą jeszcze dokonać wielu skrzywionych czynów, w twoim świecie i poza nim. Po tym, co mi opowiedziałeś, zaczynam widzieć, że są takie eldile, które zanurzają się w wasze powietrze, docierając do samej twierdzy Skrzywionego. Wasz świat nie jest tak mocno zamknięty, jak myślano w tych częściach nieba. Pilnuj tych dwóch skrzywionych. Bądź odważny. Walcz z nimi. A kiedy będziesz w potrzebie, pomogą ci moi poddani. Maieldil ci ich ukaze. Może zdarzy się i tak, że ty i ja spotkamy się znowu, kiedy będziesz jeszcze w swoim ciele. To, że spotkaliśmy się teraz, nie mogło się zdarzyć bez woli Maleldila. Dowiedziałem się od ciebie wielu rzeczy. Wydaje mi się, że to początek kontaktów między niebiosami i światami, i między różnymi światami, choć nie takich, o jakich marzy ten Gruby. Dozwolono mi powiedzieć ci o tym. Ten rok - ale niebiańskie lata różnią się od waszych - był od dawna przepowiadany jako rok wielkiego poruszenia i wielkich możliwości. Milczenie Tulkandry może być bliskie końca. Nadchodzą wielkie wydarzenia. Jeśli taka będzie wola Maleldila, nie będę się temu przyglądał beczynnym. A teraz żegnaj.

Następnego dnia nieprzeliczone tłumy wszystkich malakandryjskich *hnau* obserwowały wyruszenie trzech ludzi w straszną podróż. Weston był blady i wycieńczony po nocy spędzonej na żmudnych obliczeniach, najcięższej próbie dla każdego matematyka, nawet wówczas, gdyby nie zależało od nich jego życie. Devine zachowywał się buńczucznie i trochę histerycznie. Jego poglądy na Malakandrę uległy poważnej zmianie od poprzedniego wieczoru, gdy odkrył, że „tubylcy” mają napój alkoholowy. Próbował nawet nauczyć ich palić, ale tylko *pfifltryggom* bardzo się to podobało. Teraz dręczył go nieznośny ból głowy i perspektywa powolnej śmierci w męczącym towarzystwie Westona. Obaj nie byli zachwyceni, że z pokładu statku zniknęła cała broń, ale pod innymi względami wszystkie ich potrzeby zostały zaspokojone. Wkrótce po południu Ransom ogarnął raz jeszcze długim spojrzeniem błękitne wody, purpurowe lasy i odległe zielone ściany znajomego handramitu, a potem wsunął się za nimi do włazu. Zanim go zamknęli, Weston ostrzegł

ich, że muszą oszczędzać powietrze i zachować całkowity spokój. Nie można wykonywać żadnych zbędnych ruchów, zabronione są też wszelkie rozmowy.

- Ja sam będę mówił tylko w razie zagrożenia - dodał.

- Dzięki Bogu! - odciął się po raz ostatni Devine.

Potem wszyscy znaleźli się w środku.

Ransom poszedł od razu do niższej części kuli, do komory, teraz odwróconej do góry nogami, i położył się na iluminatorze. Ku jego zaskoczeniu wznieśli się już na tysiące metrów. Handramit był już tylko prostą, purpurową linią biegnącą przez różowoczerwoną powierzchnię harandry. Znajdowali się nad połączeniem dwóch kanionów. Jednym był bez wątpienia ten, w którym przez tyle tygodni żył wśród hrossów, w drugim leżał Meldilorn. Nie widział wąwozu, którym - na ramieniu Augraya - przeciął cypel pomiędzy kanionami.

Z każdą minutą pojawiała się coraz więcej handramitów, zawsze tworzących linie proste, niekiedy równoległe do siebie, a niekiedy przecinające się pod ostrym kątem. Krajobraz nabrał cech geometrycznych. Pustkowiec pomiędzy purpurowymi bruzdami wydawały się całkowicie płaskie. Tuż pod statkiem Ransom widział różowe plamy skamieniałych lasów, ale na północy i wschodzie zaczęły się pojawiać pasy żółci i ochry - niewątpliwie owe piaskowe pustynie, o których mówiły sorny. Na zachodzie wylaniały się nieregularne, zielononiebieskie plamy, sprawiające wrażenie, jakby leżały o wiele niżej od poziomu harandry. Doszedł do wniosku, że są to owe lesiste pogórza, w których mieszkają pfifltryggi. Uświadomił sobie nagle z żalem, że jego znajomość Malakandry jest bardzo znikoma, ograniczona, wręcz parafialna. Jakby jakiś sorn przebył czterdzieści milionów mil przez kosmos, wylądował na Ziemi i cały czas spędził między Worthing a Brighton! Pomyślał, że w gruncie rzeczy niewiele miałoby do przekazania ze swojej zdumiewającej podróży, gdyby zdołał przeżyć. Powierzchnia znajomości języka, trochę krajobrazów, trochę fizyki, w połowie tylko zrozumianej - a gdzie statystyka, historia, gdzie w miarę wyczerpujący opis pozaziemskich warunków, wszystko to, co powinien przywieźć z takiej wyprawy każdy podróżnik? Te handramity, na przykład. Teraz, z wysokości, jaką już osiągnął kosmiczny statek, widział ich oczywistą geometryczność, i ze wstydem odrzucił pierwotne przekonanie, że są naturalnymi dolinami. Stanowiły raczej gigantyczne osiągnięcia sztuki inżynierskiej, o której nie dowiedział się niczego, dziełem ukończonym - jeśli to wszystko prawda - zanim rozpoczęła się historia ludzka... zanim zaczęła się ewolucja życia na Ziemi. A może to tylko mitologia? Wiedział, że wyda się to mitologią, kiedy wróci - jeśli w ogóle wróci - na Ziemię, ale jeszcze zbyt dobrze pamiętał Ojarsę, by mógł dopuścić do siebie prawdziwej wątpliwości. Przyszło mu też do głowy, że samo rozróżnienie między historią i mitologią może nie mieć żadnego sensu poza Ziemią.

Te rozważania zbiły go nieco z tropu i powrócił do obserwacji odległego krajobrazu, który z każdą chwilą stawał się coraz bardziej podobny do bladego wykresu. Teraz na wschodzie, na tle różowej powierzchni planety, zaczęła się rozrastać większa i ciemniejsza plama, dziwnie ukształtowana, jakby z obu boków zatoki wypływały długie ramiona lub rogi. Przypominało to wklęsłą stronę księżyca w nowiu. Długie ramiona rosły w oczach, jakby chciały objąć uściskiem całą planetę. Nagle dostrzegł w środku ciemnej plamy jasny punkt światła i zrozumiał, że nie jest to wcale plama na powierzchni planety, lecz czarne niebo poza nią, a gładka krzywizna to krawędź jej dysku. Dopiero w tym momencie, po raz pierwszy od startu, ogarnął go strach. Powoli - choć dla niego nazbyt szybko - ciemne ramiona wydłużały się i wydłużały wokół rozjaśnionej powierzchni, aż w końcu spotkały się. Widział teraz cały dysk Malakandry obramowany czernią. Dotarło do niego delikatne bębnienie meteoroidów, rozlegające się już od jakiegoś czasu. Okno, przez które patrzył, nie leżało już całkowicie pod nim. Cały zeszytniał i poczuł głód. Spojrzał na zegarek. Tkwił na swym posterunku, jak zaczarowany, blisko osiem godzin.

Przeszedł z trudem do słonecznej części statku i wycofał się szybko, zupełnie oślepiiony blaskiem. Po omacku znalazł w swojej dawnej kabinie ciemne okulary, trochę jedzenia i wody (Weston od początku zaczął im wydzielać sztywne racje). Otworzył drzwi sterowni i zajrzał do środka. Obaj współnicy siedzieli przed metalowym pulpitem pokrytym wskaźnikami i delikatnie wibrującymi urządzeniami, składającymi się głównie z kryształu i całej masy przewodów. Obaj, wyraźnie zaniepokojeni, zignorowali jego obecność. Przez całą tę cichą podróż miał pełną swobodę poruszania się po całym statku.

Kiedy powrócił na ciemną stronę, świat, który opuścili, wisiał na niebie pośród gwiazd, niewiele większy od ziemskiego Księżyca. Nawet z tej odległości widział jego barwę: czerwonożółty dysk, poznaczony gdzieś plamami niebieskawej zieleni, z białymi czapami na biegunach. Zobaczył dwa małe malakandryjskie księżyce - ich ruch był nieuchwytny - i pomyślał z gorącością, że są jedną z tysięcy rzeczy, na które nie zwrócił uwagi, gdy tam był. Zasnął, potem obudził się i znowu ujrzał jasny dysk na tle czarnego nieba, teraz mniejszy od ziemskiego Księżyca. Barwy jego powierzchni zanikły. W jego świetle, teraz już nie silniejszym od światła otaczających go gwiazd, pozostała tylko słaba, jednolita domieszka czerwieni. Przestał już być Malakandrą - stał się tylko Marsem.

Wkrótce Ransom wpadł w swój własny rytm snu i wypoczynku w słońcu, przerywany robieniem pospiesznych notatek do malakandryjskiego słownika. Wiedział, że nie ma wielkiej nadziei, by mógł kiedykolwiek przekazać swą wiedzę innym ludziom, bo ich przygodę prawie na pewno zakończy niezauważona przez nikogo śmierć w głębinach przestrzeni kosmicznej. Ale teraz nazywanie jej „przestrzenią kosmiczną” wydawało mu się całkowicie niestosowne. Zdarzały się jeszcze momenty, w których ogarniał go zimny strach, ale za każdym razem trwały krócej, coraz szybciej pochłaniane przez poczucie grozy, wobec której jego osobisty los wydawał się nie mieć żadnego znaczenia. Już nie myślał, że są wyspą życia unoszącą się w otchłani śmierci. Przeciwnie, to życie napierało na stalowe ściany ich maleńkiej, pędzącej przez wszechświat, lupiny, gotowe w każdej chwili włamać się do wnętrza, a jeśli ich to zabije, będzie to śmierć z nadmiaru życia. Pragnął gorąco, by zginęli w wyniku anihilacji kosmicznego statku, a nie z powodu braku powietrza. Czasami to uwolnienie się, to „wyjście”, to rozpląnięcie się w oceanie wiecznego południa, zdawało mu się spełnieniem bardziej pożądanym niż powrót na Ziemię. A ogarniające go duchowe uniesienie, jakie znał już z podróży w tamtą stronę, było teraz zwielokrotnione, bo wiedział już z całą pewnością, że ta otchłań jest pełna życia w dosłownym znaczeniu - że jest pełna eldilów.

Jego wiara w to, co Ojarsa mówił o eldilach, nie tylko nie słabła, lecz z każdym „dniem” rosła. Żadnego z nich nie zauważył: intensywność światła, przez które szybował statek, nie pozwalała uchwycić owych ulotnych różnicowań jasności, mogących zdradzić ich obecność. Słyszał jednak - lub myślał, że słyszy - różne rodzaje delikatnego dźwięku albo wibracji pokrewnych dźwiękowi, mieszającego się z bębnieniem deszczu meteorytów, a często miał nieodparte poczucie czyjejś obecności. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiało, że jego własne szansę na przeżycie nie wydawały mu się ważne. On sam i cała jego rasa - było czymś znikomym i przemijającym na tle tak niezmiernie pełni. W głowie mu się kręciło na myśl o tej prawdziwej populacji wszechświata, o trójwymiarowej nieskończoności ich królestwa i niezapisanych nigdzie eonach ich przeszłości, lecz jego serce przenikał spokój, jakiego dotąd nie zaznał.

Miał szczęście, że osiągnął ten stan, zanim zaczęły się prawdziwe trudy ich podróży. Od samego startu temperatura ustawicznie się podnosiła, teraz była wyższa niż kiedykolwiek w drodze na Marsa. I wciąż rosła. Światło też stawało się coraz bardziej intensywne. Nawet w ciemnych okularach miał przez cały czas zamknięte oczy i otwierał je tylko wtedy, gdy musiał wykonać jakiś niezbędny ruch. Wiedział, że jeśli wróci na Ziemię, to z trwale uszkodzonym wzrokiem. Ale

wszystko to było niczym w porównaniu z męczarnią upału. Żaden z nich nie potrafił już zasnąć, trawiony gorączką pragnienia, leżąc z rozszerzonymi źrenicami, czarnymi ustami i zaschlą pianą na policzkach. Zwiększenie skąpych racji wody byłoby jednak szaleństwem; szaleństwem byłoby nawet marnowanie tlenu na dyskutowanie tej sprawy.

Ransom wiedział, co się dzieje. W rozpaczliwej ucieczce przed śmiercią, Weston poprowadził statek do wewnątrz orbity Ziemi, ryzykując zbliżenie do Słońca na taką odległość, jakiej nie znał jeszcze żaden człowiek, a może nawet żadna forma życia. Prawdopodobnie była to ich jedyna szansa; trudno sobie wyobrazić, by zdołali doścignąć Ziemię, posuwając się po obwodzie jej orbity. Muszą spróbować spotkać ją, przeciąć jej drogę... to szaleństwo! Ale nie zastanawiał się nad tym długo. W ogóle nie mogli myśleć o czymkolwiek poza pragnieniem. Najpierw myśleli o wodzie, potem o pragnieniu, potem znów o wodzie... A wskaźnik temperatury wciąż się podnosił. Ściany statku tak się rozgrzały, że nie można było ich dotknąć. Zbliżał się punkt krytyczny. W ciągu kilku następnych godzin gorąco zabije ich - albo się zmniejszy.

Zmniejszyło się. Nadszedł czas, gdy leżeli wyczerpani i wstrząsani dreszczami, bo wydawało im się, że jest zimno, chociaż wciąż panował upał większy niż w jakimkolwiek ziemskim klimacie. Tym razem Weston odniósł sukces: zaryzykował najwyższą temperaturę, w jakiej może jeszcze teoretycznie przetrwać ludzkie życie - i przeżyli to. Nie byli jednak tymi samymi ludźmi. Przedtem Weston spał bardzo mało; nawet gdy nie miał dyżuru, rezygnował po godzinie z trudnego odpoczynku i wracał do swoich map i nie kończących się, rozpaczliwych obliczeń. Widać było, jak nachylony nad papierami walczy z brakiem nadziei. Teraz nigdy do nich nie zaglądał. Nawet wtedy, gdy miał dyżur w sterowni, zachowywał się jak człowiek, którego przestało cokolwiek obchodzić. Devine poruszał się i wyglądał jak somnambulik. Ransom przebywał coraz dłużej po ciemnej stronie i przez długie godziny leżał, nie myśląc o niczym. Chociaż pierwsze zagrożenie minęło, żaden z nich nie miał poważniejszej nadziei na pomyślny koniec podróży. Przebywali już pięćdziesiąt dni, milcząc, w swojej stalowej kuli i powietrze stawało się coraz gorętsze.

Weston tak bardzo się zmienił, że nawet pozwalał Ransomowi na udział w nawigacji. Głównie gestami, z pomocą zaledwie kilku wyszeptywanych słów, nauczył go wszystkiego, co konieczne w tej fazie lotu. Pędzili na spotkanie z Ziemią - choć z niewielką szansą na przecięcie jej orbity we właściwym czasie - gnani czymś w rodzaju „kosmicznego pasatu”. Nieznaczne ruchy kciukami pozwalały Ransomowi utrzymywać kurs na gwiazdę, którą Weston wskazywał mu na środku iluminatora, zawsze jednak trzymał lewą rękę na przycisku sygnału alarmowego do kabiny Westona.

Ta gwiazda nie była Ziemią. Minęło pięćdziesiąt siedem dni - czysto teoretycznych „dni”, mających jednak tak rozpaczliwie praktyczne dla nich znaczenie - zanim Weston zmienił kurs i w samym środku iluminatora pojawiło się inne światło. Po sześćdziesięciu dniach wyglądało jak planeta oglądana przez lornetkę polową. Po siedemdziesięciu nie przypominało już niczego, co Ransom kiedykolwiek widział: mały, jasny krążek zbyt duży na planetę i o wiele za mały na Księżyc. Odkąd zaczął prowadzić statek, jego niebiańskie uniesienie przygasło. Obudziło się w nim dzikie, zwierzęce pragnienie życia, zmieszane z tęsknotą za świeżym powietrzem, za widokami i zapachami Ziemi, za trawą, mięsem, piwem, herbatą i ludzkimi głosami. Z początku największe trudności podczas nawigacyjnych dyżurów sprawiała mu senność; teraz, choć powietrze było coraz gorsze, gorączkowe podekscytowanie utrzymywało go w stałym napięciu. Często, gdy wychodził ze sterowni, stwierdzał, że prawą rękę ma zdrętwiałą i sztywną: przez całe godziny napierał bezwiednie na pulpit kontrolny, jakby jego tęsknota mogła przyspieszyć lot statku.

Zostało im jeszcze tylko dwadzieścia dni. Dziewiętnaście, osiemnaście - i wydawało mu się, że na białym dysku Ziemi, teraz nieco większym od sześciopensówki, widzi Australię i

południowoschodni róg Azji. Mijała godzina za godziną, lecz chociaż zarysy lądów przesuwały się wolno przez jasną tarczę wraz z obrotem Ziemi wokół osi, sama tarcza nie rosła. „Szybciej! Szybciej!”, mruzczał Ransom do statku. Teraz został o już tylko dziesięć dni i Ziemia była już wielka jak Księżyc, a tak jasna, że ledwie mógł na nią patrzeć. Zapasy powietrza wyraźnie się kończyły, lecz Ransom i Devine zaryzykowali wymianę szeptów, gdy zmieniali się przy pulpicie:

- Uda się. Uda się.

Osiemdziesiątego siódmego dnia, gdy Ransom zmienił Devine'a, zauważył, że z Ziemi dzieje się coś niedobrego. Idealny krąg wybrzuszył się nieco z jednej strony jak gruszka. Kiedy przyszedł Weston i spojrzął w iluminator, zaraz zadzwonił po Devine'a, odtrącił Ransoma i sam usiadł przy pulpicie. Jego twarz poszarzała. Wydawało się, że chce coś zrobić przy pulpicie, lecz gdy Devine wszedł do kabiny, spojrzął na niego i rozłożył ramiona w geście rozpaczy. Potem ukrył twarz w dłoniach i oparł głowę o pulpit.

Ransom i Devine wymienili spojrzenia. Wyciągnęli Westona z fotela - płakał jak małe dziecko - i Devine zajął jego miejsce. Teraz Ransom rozumiał już tajemnicę pęczniejącej z jednej strony Ziemi. W tym, co wydawało się uprzednio wybrzuszeniem, rozpoznawał coraz wyraźniej drugi dysk, prawie tak duży jak ona. Pokrywał ponad połowę Ziemi. To był Księżyc, między nimi a Ziemią, dwieście czterdzieści tysięcy mil bliżej. Ransom nie wiedział jeszcze, co to oznacza. Devine najwidoczniej wiedział i nigdy jeszcze nie zachował się z taką godnością. Był tak samo błąd jak Weston, ale jego oczy pbnęły nienaturalnym ogniem. Nachylił się nad wskaźnikami jak zwierzę gotujące się do skoku i pogwizdywał cicho przez zęby.

W kilka godzin później i Ransom pojął, co się dzieje. Księżyc był teraz większy od Ziemi i stopniowo stało się oczywiste, że oba dyski zmniejszają się. Statek kosmiczny nie zbliżał się już ani do Ziemi, ani do Księżyca: był teraz od nich dalej niż pół godziny temu i taki był właśnie cel gorączkowej aktywności Devine'a przy pulpicie sterowniczym. Nie chodził o tylko o to, że Księżyc krzyżował się z ich kursem i odcinał ich od Ziemi. Najwyraźniej z jakiegoś powodu - prawdopodobnie chodziło o grawitację - zbliżenie się do Księżyca groziło niebezpieczeństwem, dlatego Devine wyprowadził statek ponownie w kosmos. Widząc już przystań, musieli zawrócić dziób statku ku pełnemu morzu. Ransom spojrzął na chronometr. Pozostały tylko dwa dni, by osiągnąć Ziemię, od której się teraz oddalili.

- Myślę, że to nas wykończy - wyszeptał.

- I ja tak myślę - szepnęła Devine nie odwracając głowy od przyrządów.

W chwilę później pojawił się Weston i stanął obok Devine'a. Ransom nie miał tu nic do roboty. Już nie wątpił, że wkrótce umrą. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, agonია niepewności nagle minęła. Zaczął myśleć o samej śmierci, zupełnie niezależnie od tego, czy nadejdzie teraz, czy za trzydzieści lat na Ziemi. Człowiek lubi się przygotować. Opuścił sterownię i wrócił do jednej ze słonecznych kabin, do nieruchomego, niewzruszonego światła, do ciepła, ciszy i ostrych cieni. Nic nie wydawało mu się w tej chwili bardziej odległe niż sen. Brak tlenu musiał jednak zrobić swoje. Zasnął.

Obudził się w prawie całkowitej ciemności i usłyszał głośny, nieustanny dźwięk, którego w pierwszej chwili nie potrafił rozpoznać. Coś mu to przypominało - coś, co już chyba słyszał w poprzednim życiu. Nieustanne bębnienie, gdzieś blisko, nad głową. Nagle serce podskoczyło mu do gardła.

- Och, Boże! - załkał. - Boże! To deszcz!

Był na Ziemi. Nadal oddychał powietrzem ciężkim i nieświeżym, ale uczucie duszności ci minęło. Zdał sobie sprawę, że wciąż znajduje się wewnątrz kosmicznego statku. Jego dwaj towarzysze, w panice przed groźbą zapowiedzianego unicestwienia, opuścili go tuż po wylądowaniu,

pozostawiając własnemu losowi. Z trudem wydostał się na zewnątrz, pokonując ciemność i ziemską siłę ciężenia. Ale odnalazł w końcu włącz i wydostał się ze stalowej kuli. Oddychając łapczywie, ześliznął się w błoto, błogosławiąc jego zapach. Potem podniósł się z trudem i stanął, chwiejąc się, na nogach. Była czarna noc i padał ulewny deszcz. Wchłaniał go wszystkimi porami ciała, witał całym sercem zapach pola - tego kawałka rodzimej planety, gdzie roś nie trawa, gdzie są krowy i gdzie prędzej czy później natrafi na żywoplot i bramę.

Szedł już z pół godziny, gdy nagły błysk światła poza nim i krótkotrwały, potężny podmuch powiedziały mu, że statku kosmicznego już nie ma. Niewiele go to obchodziło. Zobaczył przed sobą słabe światelka, znak ludzi. Znalazł ścieżkę, potem drogę, potem wiejską ulicę. Otworzyły się jakieś drzwi i buchnęło z nich światło. Z wewnątrz dochodziły głosy - rozmawiano po angielsku. Poczul znajomy zapach. Wszedł do środka, zupełnie nieświadom wrażenia, jakie to uczyniło na wszystkich, i podszedł do baru.

- Proszę małe jasne - powiedział.

Rozdział 22

Gdybym się powodował względami czysto literackimi, w tym miejscu moja opowieść powinna się zakończyć. Muszę jednak zdjąć maskę i ujawnić przed czytelnikiem prawdziwy i praktyczny cel, dla którego książka ta została napisana, co z kolei wymaga opisanego, jak do tego doszło.

Dr Ransom - a w tym miejscu należy wyznać, że nie jest to jego prawdziwe nazwisko - wkrótce porzucił myśl o opracowaniu malakandryjskiego słownika, a nawet o przekazaniu całej tej historii światu. Przez wiele miesięcy był chory, a gdy wyzdrowiał, zaczął mieć poważne wątpliwości, czy to, co zapamiętał, naprawdę się wydarzyło. Za bardzo przypominało to fantastyczne wizje wywołane ciężką chorobą, zdawał sobie też sprawę, że większość jego przygód w pozaziemskim świecie można wyjaśnić psychoanalizą. Ale całkowitej pewności nie miał. Już dawno zauważył, iż w podobny sposób można patrzeć na wiele prawdziwych rzeczy w życiu fauny i flory naszego świata, co wcale nie oznacza, że nie są naprawdę realne. Wystarczy zacząć od przekonania, że są iluzjami. Czuł jednak, że jeśli sam powątpiewa w prawdziwość swojej przygody, reszta świata całkowicie ją odrzuci. Zdecydował więc, że będzie milczeć i nikt nie dowiedziałyby się o tym wszystkim, gdyby nie pewien zadziwiający zbieg okoliczności.

W tym miejscu właśnie ja wkraczam na scenę. Znałem dr. Ransoma od wielu lat i korespondowałem z nim na tematy związane z literaturą i filologią, chociaż rzadko się spotykaliśmy. Nie było więc nic niezwykłego w tym, że parę miesięcy temu napisałem do niego list, z którego przytoczę tu pewien znaczący dla nas akapit. Oto on:

Pracuję teraz nad dwunastowiecznymi platonikami, odkrywając przy okazji, że pisali piekielnie trudną łaciną. W jednym z dzieł Bernarda Silvestrisa znalazłem pewne słowo i jestem szczególnie ciekaw twojej na ten temat opinii. Jest to słowo OYARSES. Występuje ono w opisie podróży przez niebo, a ów Oyarses wydaje się być jakąś inteligencją lub duchem opiekuńczym sfery niebiańskiej, czyli w naszym języku planety. Pytałem o to C. J., mówi, że powinno być OUSIARCHES. Miałoby to rzeczywiście sens, ale nie jestem przekonany do takiej interpretacji. [Ousiarches (gr.)- „Wyższa istota” albo „źródło egzystencji”. „C.J. to oxfordzki filozof i teolog C.C.J. Webb, który zaproponował C. S Lewisowi taką interpretację terminu Silverstrisa] Czy nie napotkałeś gdzieś przypadkiem słowa Oyarses, albo czy nie mógłbyś zaryzykować jakiegoś przypuszczenia, z jakiego języka może pochodzić?

Natychmiastową odpowiedzią na mój list było zaproszenie do spędzenia weekendu w domu dr. Ransoma. Opowiedział mi wówczas całą historię i od tego czasu zaczęliśmy razem pracować nad tą tajemnicą. Natrafiliśmy na wiele faktów, których nie chcę na razie ujawniać szerszej opinii publicznej: faktów o planetach w ogóle i o Marsie w szczególności, o średniowiecznych platonikach i o Profesorze, któremu nadałem fikcyjne nazwisko Weston. Usystematyzowany raport o tych faktach mógłby, rzecz jasna, zostać opublikowany, ale na pewno spotkałby się z powszechną niewiarą, nie mówiąc już o procesie o zniesławienie ze strony „Westona”. Obaj czujemy jednak, że nie wolno nam milczeć. Z każdym dniem utwierdzamy się w tym przekonaniu, że Oyarses Marsa miał rację mówiąc, iż obecny „niebiański rok” ma być erą przełomową, że długa izolacja naszej planety zbliża się ku końcowi, że jesteśmy u progu wielkich wydarzeń. Znaleźliśmy dość podstaw, by wierzyć, że średniowieczni platonicy żyli w tym samym „niebiańskim roku” co my, że naprawdę zaczął się on w XII wieku naszej ery i że pojawienie się u Bernarda Silvestrisa słowa Ojarsa (w zlatynizowanej formie Oyarses) nie jest przypadkowe. Mamy też dowody - rosną one z dnia na dzień - na to, że „Weston” albo siła stojąca za „Westonem”, odegra bardzo ważną rolę w

wydarzeniach najbliższych stuleci, rolę - jeśli jej nie powstrzymamy - bardzo niszczycielską. Nie sądzimy, by chcieli naprawdę dokonać inwazji Marsa; nasze hasło nie brzmi jedynie „Ręce precz od Malakandry!”. Niebezpieczeństwo, którego należy się obawiać, ma charakter nie tyle planetarny, co kosmiczny, a w każdym razie solarny, i nie tyle czasowy, co wieczny. Ale nie byłoby mądre mówić obecnie coś więcej na ten temat.

To dr Ransom pierwszy dostrzegł, że naszą jedyną szansą jest opublikowanie w formie fikcji literackiej tego, czego z pewnością i tak nie uznano by za fakty. Uważał nawet - znacznie przeceniając moje zdolności literackie - że w ten sposób możemy uczulić szerszą opinię społeczną i że z całą pewnością cała historia dotrze do wielu ludzi wcześniej niż „Weston”. Miałem co do tego wątpliwości, bo przecież już sam wybór formy przekazu skłoni czytelników do uznania jej za nieprawdziwą. Ransom odpowiedział na to, że w narracji powieści znajdzie się dość wskazówek dla tych niewielu czytelników - może kilku - którzy już teraz są przygotowani do tego, by głębiej wniknąć w całą sprawę.

- I właśnie oni - dodał - z łatwością odnajdą ciebie lub mnie i zidentyfikują Westona. W każdym razie to, czego nam w tej chwili potrzeba, to nie jakaś wiara, mniej lub bardziej powszechna, w to wszystko, lecz raczej grupa ludzi zaznajomionych z pewnymi ideami. Jeśli uda się nam dokonać, by chociaż jeden procent czytelników zmienił swoją koncepcję „przestrzeni kosmicznej” na koncepcję „niebios”, zrobimy dobry początek.

Żaden z nas nie mógł przewidzieć szybkiego biegu wydarzeń, który dezaktualizował tę książkę, zanim została wydana. Te wydarzenia stały się lepszym prologiem do naszej opowieści niż sama książka. Ale nie mamy już na to wpływu. Jeśli chodzi o następne etapy tej niesamowitej przygody - cóż, już Arystoteles, na długo przed Kiplingiem, nauczył nas formuły. „A to już całkiem inna historia”.

Postscriptum

czyli wyjątki z listu napisanego przez „Dr. Ransoma” do autora

... Myślę, że masz rację. Po dwu lub trzech poprawkach (zaznaczyłem je czerwonym ołówkiem) rękopis trzeba będzie oddać w tym stanie. Nie będę ukrywał, że czuję niedosyt, ale w końcu każda próba spisania takiej opowieści musi rozczarować tego, kto tam naprawdę był. Nie chodzi mi o bezlitosne wycięcie większości informacji filologicznych, co sprawiło, że dajemy czytelnikom tylko karykaturę języka malakandryjskiego. Chodzi mi o coś trudniejszego, o coś czego sam nie potrafiłbym wyrazić. Jak można przybliżyć czytelnikowi malakandryjskie zapachy? Nic tak żywo nie powraca do mnie we wspomnieniach... zwłaszcza woń wczesnego poranka w purpurowym lesie. No i właśnie, już samo użycie takich słów, jak „wczesny poranek” czy „las” prowadzi na manowce, bo od razu przywodzi na myśl ziemię, mech, pajęczyny, zapach naszej planety, a przecież myślę o czymś całkowicie innym! Bardziej „aromatycznym”... tak, ale znowu nie chodzi tu o coś gorącego, luksusowego czy egzotycznego, co sugeruje to słowo. Coś aromatycznego, korzennego, a jednak bardzo chłodnego, bardzo cienkiego, co czuje się nie nozdrzami, lecz podniebieniem; coś, co działa na zmysł powonienia tak, jak wysoki, ostry ton skrzypiec na ucho. I zawsze miesza się z tym śpiew: potężny, dudniący, przywodzący na myśl ujadanie psów, głębszy niż bas Szalapina - „ciepły, ciemny dźwięk”. Usycham z tęsknoty za moją malakandryjską doliną, kiedy wspominam ten śpiew, a przecież Bóg jeden wie, jak tęskniłem za Ziemią, gdy go słuchałem...

Oczywiście, masz rację: jeśli mamy to traktować jako zbeletryzowaną opowieść, musisz skracać perspektywicznie czas spędzony przeze mnie w wiosce, kiedy „nic się nie działo”. Ale przyznaję ci rację niechętnie. Dla mnie te spokojne tygodnie, samo życie wśród hrossów, są najważniejszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła. Ja ich znam, Lewis, to jest coś, czego nie można przekazać za pomocą samej opowieści. Na przykład: ponieważ mam zwyczaj zabierania na wakacje termometru, wiem, że normalna temperatura ciała hrossa wynosi 39, 5° C. Wiem - chociaż nie pamiętam, jak się tego dowiedziałem - że żyją około 80 marsjańskich lat, czyli 160 ziemskich; że żenią się przeważnie, gdy mają 20 lat (

40); że ich odchody nie są dla nich - i dla mnie! - czymś wstrętnym lub wstydliwym i pożytkowane są przy uprawie roli; że nie ronią łez i nie mrugają powiekami; że podczas uroczystych nocy, których jest wiele, bywają „podchmieleni”, ale nigdy się nie upijają. Ale co można zrobić z tymi strzępami informacji? Wypreparowuję je z całej żywej pamięci, której nigdy nie uda się ubrać w słowa, i wiem, że nie ma na świecie osoby, która by z tych strzępów potrafiła odtworzyć prawdziwy obraz.

Inny przykład: jak tu wytłumaczyć, nawet tobie, w jaki sposób wiem z całą pewnością, dlaczego Malakandryjczycy nie trzymają ulubionych zwierząt domowych? Oczywiście sami nigdy mi tego nie powiedzieli. To się po prostu widzi, kiedy się obcuje z trzema gatunkami malakandryjskich hnau jednocześnie. Każdy z nich jest dla dwu pozostałych tym, czym dla nas jest drugi człowiek, oraz tym, czym dla nas jest zwierzę. Rozmawiają ze sobą, współpracują, mają taką samą etykę - tu sorn spotyka hrossa tak jak czbwiek drugiego człowieka. Ale poza tym każdy uważa inny gatunek za coś różnego, trochę śmiesznego i pociągającego, ale tak, jak nas pociąga mile zwierzątko. Myślę, że to jest jakiś instynkt - u nas zduszony, niezaspokojony, który próbujemy zagłuszyć traktowaniem nierozumnych stworzeń niemal tak, jakby były rozumne. Na Malakandrze ten instynkt zaspokajany jest naprawdę. Oni po prostu nie potrzebują „ulubionych zwierząt”.

Jeżeli już jesteśmy przy temacie gatunków, to trochę mi żal, że wymogi sfabularyzowanej

opowieści kazały ci tak bardzo uprościć problemy biologiczne. Czyżby z moich słów wynikało, że każdy z trzech gatunków jest całkowicie homogeniczny? Jeśli tak, to wprowadziłem cię w błąd. Weźmy, na przykład, hrossy: moi przyjaciele byli czarnymi hrossami, ale są również srebrne hrossy, a w niektórych zachodnich handramitach można spotkać również wielkie (3 metry!) grzywiaste hrossy, które bardziej lubią taniec niż śpiew. Ach, po człowieku to najszlachetniejsze zwierzę, jakie w życiu widziałem! Grzywy mają tylko męskie osobniki. W Meldilornie widziałem też hrossa zupełnie białego, ale jak głupiec nie dowiedziałem się, czy to przedstawiciel jakiegoś podgatunku, czy też coś w rodzaju naszego albinosa. Jeśli chodzi o sorny, to wiem przynajmniej o jednym rodzaju różnym od tego, jaki spotkałem - mówią o sornbornach, czyli czerwonych, pustynnych sornach z dalekiej północy.

Tak, to wielka szkoda, że nie widziałem pffltriggów w ich naturalnym środowisku. Wiem o nich tyle, że mógłbym zęgać i wymyślić odwiedziny w ich kraju. Myślę jednak, że nie powinniśmy wprowadzać do książki jakiegokolwiek fikcji. „Substancjalnie prawdziwe” - to może brzmi dobrze na Ziemi, ale trudno mi sobie wyobrazić, jak wyjaśniam to łgarstwo Ojarsie, a wszystko wskazuje na to (patrz mój ostatni list), że moja znajomość z nim wcale się nie skończyła. A zresztą, dlaczego nasi „czytelnicy” (zdaje się, że wiesz o nich diabelnie dużo!), którzy tak nie lubią problemów filologicznych, mieliby płonąć żądzą bliższego poznania pffltriggów? Gdyby ci się jednak udało jakoś to wprowadzić, to nie widzę nic złego w tym, by wyjaśnić, że są jajorodne, matriarchalne i żyją o wiele krócej niż dwa pozostałe gatunki. To oczywiste, że wielkie depresje, w których mieszkają, to dawne łoża oceanów Malakandry. Hrossy, które je odwiedzały, mówiły, że schodzi się tam w gęste puszcze rosnące wśród piasków; widać tam skamieniałe szczątki pradawnych rozpruwaczy fal. Nie wątpię, że to właśnie są owe ciemne plamy na Marsie, widziane z Ziemi. No właśnie: nasze „mapy” Marsa, jakie oglądałem uważnie po powrocie, są tak niespójne i mylne, że dałem sobie spokój z identyfikacją „mojego” handramitu. Gdybyś sam chciał spróbować, dezyderat brzmi: „»kanal« biegnący z północnego wschodu na południowy zachód, przecinający »kanal« biegnący z północy na południe, ok. dwudziestu mil od równika”. Niestety, astronomowie bardzo różnie widzą powierzchnię Marsa.

A teraz twoje najbardziej nieznośne pytanie: „Czy Augray, opisując eldile, nie pomieszał koncepcji ciała subtelnego i bytu wyższego?” Nie. To ty sam je mieszasz! Augray powiedział o eldilach dwie rzeczy: że ich ciała różnią się od ciał innych malakandryjskich stworzeń, oraz że mają wyższą inteligencję. Ani on, ani nikt inny na Malakandrze nigdy nie mieszał ze sobą tych dwu stwierdzeń i nie dedukował jednego z drugiego. Więcej: mam powody, by sądzić, że są tam również nierozumne zwierzęta, które mają ciała typu ciał eldilów (pamiętasz „zwierzęta o ciałach z powietrza” u Chaucera?).

Zastanawiam się, czy słusznie zrobiłeś, nie wspominając nic o problemie mowy eldilów. Zgadza się, że poruszanie tej kwestii przy opisie sceny „procesu” w Meldilornie zepsułoby tok narracji, ale z drugiej strony wielu czytelników na pewno będzie miało na tyle rozumu, by zapytać, jak eldile, które przecież nie oddychają, mogą w ogóle mówić. To prawda, musielibyś my dodać, że sami tego nie wiemy, ale czy rzeczywiście czytelnikowi nie należy się taka uczciwość? Podsunąłem J. - jedyjnemu uczonemu, do którego mam pełne zaufanie - twoją hipotezę, że eldile mogą używać jakichś instrumentów do manipulowania powietrzem wokół siebie i w ten sposób pośrednio wydają dźwięki, ale nie był nią zachwycony. Według niego jest bardziej prawdopodobne, że bezpośrednio manipulują uszami tych, do których „mówią”. Nie jest to zbyt jasne wytłumaczenie... ale oczywiście trzeba pamiętać, że właściwie nie wiemy nic o kształtach lub rozmiarach eldila, ba, w ogóle nie znamy jego relacji do przestrzeni (naszej przestrzeni). Prawdę mówiąc, nasza wiedza o eldilach jest bardzo znikoma. Ja sam, podobnie jak ty, nie mogę się wyzwolić z tendencji do

porównywania ich z istotami znanymi w ziemskiej tradycji: z bogami, aniołami, elfami. A przecież nie dysponujemy żadnymi danymi! Kiedy próbowałem przekazać Ojarsie jakieś pojęcie o naszej chrześcijańskiej angelologii, dał mi do zrozumienia, że nasi aniołowie w jakiś sposób różnią się od niego. Nie mam pojęcia, na czym to ma polegać czy chodziło mu o różnicę gatunków, czy tylko o to, że aniołowie są jakąś specjalną wojskową kastą (w końcu nasza biedna Ziemia jest we wszechświecie czymś w rodzaju Ypres z czasów wojny).

Dlaczego opuściłeś moją relację o zacięciu się przesłoni na iluminatorach tuż przed lądowaniem na Malakandrze? Bez tego przy twoim opisie naszych cierpień z powodu nadmiernego światła (podczas podróży powrotnej) rodzi się oczywiste pytanie: „Dlaczego nie użyli przesłoni?” Nie wierzę w twoją teorię, że „czytelnicy nigdy nie zauważają tego rodzaju spraw”. Ja bym to na pewno zauważył.

Są dwie sceny, które chciałbym widzieć w książce... a zresztą, one są we mnie... Jedna lub druga zawsze pojawia mi się przed oczami, gdy tylko je zamknę.

W pierwszej widzę malakandryjskie niebo o poranku: bladoniebieskie, tak blade, że teraz, gdy ponownie przyzwyczałem się do nieba ziemskiego, myślę o tamtym jak o prawie białym. Najbliższe szczyty gigantycznych roślin - „drzew”, jak je nazywasz - wydają się na tle nieba zupełnie czarne, lecz daleko, za milami oślepiającej, błękitnej wody, drzewa-trzciny są koloru akwarelowej purpury. Cienie padające na blade podłoże lasu wyglądają jak cienie na śniegu. Przede mną idą postacie: wysmukłe, lecz olbrzymie, czarne i lśniąco, jak żywe, wysokie kapelusze; ich wielkie, okrągłe głowy, osadzone na falistych, łodygowatych ciałach, nadają im wygląd czarnych tulipanów. Schodzą, śpiewając, na brzeg jeziora. Śpiew napędza las wibracją, chociaż jest tak przyciszony, że ledwo go słyszę: jest jak cicha muzyka organowa. Niektórzy wsiadają do łodzi, większość pozostaje na brzegu. Wszystko odbywa się powoli, uroczyście, nie jest to bowiem zwykła wyprawa łowiecka, lecz ceremonia - ceremonia pogrzebu. Te trzy hrossy, którym inne właśnie pomogły wejść do łodzi, udają się do Meldilornu, aby tam umrzeć. W tym świecie nikt nie umiera przed swoim czasem, z wyjątkiem tych nielicznych, których zabije hnakra. Wszyscy przeżywają tyle, ile jest wyznaczone dla danego gatunku, a czas śmierci przewidywany jest tak, jak u nas czas narodzin. Cała wioska wiedziała, że tych trzech umrze w tym roku, w tym miesiącu, nie trudno nawet zgadnąć, w którym tygodniu. A teraz odchodzą, by uzyskać ostatnie pouczenie od Ojarsy, by umrzeć, by zostać przez niego „odcieleśnionymi”. Ciała, jako ciała, będą istniały jeszcze przez kilka minut. Na Malakandrze nie ma trumien, zakrystianów, cmentarzy, grabarzy. Gdy odpływają, cisza i powaga napędza całą dolinę, lecz nie widzę oznak rozpacz. Nikt nie wątpi w ich nieśmiertelność, a przyjaciele z tego samego pokolenia nie będą rozłączeni. Opuszcza się świat tak, jak się weń weszło, z „ludźmi tego samego rocznika”. Śmierci nie poprzedza strach, a jej skutkiem nie jest rozkład.

Druga scena to nokturn. Widzę siebie kąpiącego się z Hyoim w ciepłym jeziorze. Śmieje się z moich niezdarnych ruchów; przyzwyczajony do cięższego świata, z trudem utrzymuję się pod powierzchnią wody na tyle, by płynąć naprzód. A potem widzę nocne niebo. Większa jego część jest podobna do naszego, chociaż głębie niebios są bardziej czarne, a gwiazdy jaśniej. Lecz oto na zachodzie dzieje się coś, czego nie przybliży ci żadna ziemską analogia. Wyobraź sobie zwiłokrotnioną Drogę Mleczną, ogladaną w najczystszej noc przez najpotężniejszy teleskop. A potem wyobraź sobie to nie jako smugę na zenicie, lecz jako konstelację wschodzącą za szczytami gór - oślepiający naszyjnik światła, wielkich i jasnych jak planety, powoli dźwigający się w górę, aż wypełni piątą część całego nieba, pozostawiając pas czerni między sobą a widnokretem. Trudno dłużej patrzeć na tę orgię światła, ale to dopiero początek! Jasna poświata spływa na harandrę, jakby wszedł księżyc. Ahihra! - woła Hyoi, a ze wszystkich stron odpowiadają mu z ciemności

inne głosy. Bo teraz nadchodzi prawdziwy król nocy, przyćmiewając blask tej niesamowitej, zachodniej galaktyki. Odwracam oczy, bo ten niewielki dysk jest o wiele jaśniejszy od naszego Księżyca w czystą, zimową noc. Cały handramit skąpany jest w bezbarwnym świetle: mogę policzyć łodygi „drzew” na drugim brzegu jeziora, widzę, że mam połamane i brudne paznokcie. Wiem już, na co patrzę - to Jowisz wschodzący poza Asteroidami, o czterdzieści milionów mil bliższy niż oglądany z Ziemi. Malakandryjczycy mówią „wewnątrz Asteroidów”, bo mają dziwny zwyczaj „odwracania” systemu słonecznego (to, co jest dalej od Słońca, jest „wewnątrz”!). Asteroidy nazywają „tancerzami przed progiem Wielkich Światów”. Wielkie Światy to planety, krążące, jakbyśmy my powiedzieli, „poza” Asteroidami. Glundandra (Jowisz) jest największym z nich i ma dla Malakandryjczyków jakieś szczególne znaczenie, ale nie udało mi się wykryć, dlaczego. Nazywają ją „środkiem”, „wielkim Meldilornem”, „tronem”, „uczta” lub „świętem”. Naturalnie wiedzą, że jest nie zamieszкана (a w każdym razie nie ma tam stworzeń typu planetarnego), nie znają też żadnej pogańskiej idei umiejscawiania tam Maleldila. A jednak z Jowiszem wiąże się ktoś lub coś o szczególnym znaczeniu. Gdy się o to pytałem, odpowiadali, jak zwykle: „seroni będą wiedzieć”. Ale sorny nigdy mi tego nie powiedziały. Być może najlepszym komentarem będzie tu fragment z pism autora, o kótó rym ci już wspomniałem: „Albowiem tak jak słusznie powiedziano o wielkim Africanusie, że nigdy nie był mniej samotny niż wówczas, gdy był samotny, tak i według naszej filozofii żadne części wszechświata nie zasługują mniej na miano nie zamieszkanego niż te, które pospólstwo uważa za zupełnie nie zamieszkanego. To bowiem, że nie ma gdzieś ludzi i zwierząt, oznacza tylko, że jest tam więcej bardziej doskonałych stworzeń”.

Porozmawiamy o tym, jak przyjedziesz. Staram się dotrzeć do każdej starej księgi traktującej o tych sprawach, gdy tylko o niej usłyszę. Teraz, gdy „Weston” zatrzasnął drzwi, droga do planet prowadzi przez przeszłość; jeśli mają być jeszcze jakieś podróże kosmiczne, to będą musiały być również podróżami w czasie!..

Perelandra

[Podróż na Wenus]

Rozdział 1

Kiedy opuszczałem dworzec w Worcester, rozpoczynając pieszą wędrówkę do wiejskiego domu Ransom, przyszło mi na myśl, że na peronie nikt nie byłby w stanie odgadnąć, kim naprawdę jest człowiek, którego miałem odwiedzić. Mieszkał w osadzie leżącej jakieś pięć mil na północ od stacji. Rozciągające się przede mną płaskie wrzosowiska nie wyróżniały się niczym szczególnym, a pochmurne niebo wyglądało tak, jak powinno wyglądać niebo w zwykłe jesienne popołudnie. Trudno też było doszukać się czegoś niezwykłego w nielicznych wiejskich domach lub w kępach drzew okrytych czerwonymi i żółtymi liśćmi. Kto mógłby się domyślić, że po przejściu paru mil przez tę spokojną, typowo angielską okolicę uścisknę rękę człowiekowi, który przebywał, jadł i pił w świecie oddalonym o czterdzieści milionów mil od Londynu, który widział Ziemię jako zielonawy punkcik jarzący się na czarnym niebie, który rozmawiał z istotą zrodzoną w czasach, gdy na naszej planecie nie było jeszcze życia?

Przebywając na Marsie Ransom spotkał bowiem nie tylko Marsjan.

Spotkał tam istoty zwane eldilami, a przede wszystkim wielkiego eldila, który rządzi tą planetą i w tamtejszym języku nazywany jest Ojarsą Malakandry. Eldile różnią się znacznie od wszystkich innych mieszkańców planet - ludzi czy Marsjan. Nie odżywiają się, nie rozmnażają, nie oddychają, nie umierają ze starości; pod tym względem bardziej przypominają myślące minerały niż coś, co można uznać za organizmy zwierzęce. Chociaż pojawiają się na planetach, a nawet - w naszym odczuciu - niekiedy na nich mieszkają, to dokładne określenie, gdzie się eldil znajduje w danym momencie, nie jest sprawą łatwą. One same za swoje prawdziwe środowisko uważają przestrzeń kosmiczną (czyli Głębin Niebios), a planety nie są dla nich zamkniętymi światami, lecz jedynie ruchomymi punktami - a może nawet lukami - w tym, co my nazywamy Układem Słonecznym, a one - Polem Arbola.

Bezpośrednim powodem odwiedzin u Ransom był jego telegram:

PRZYJEDŹ WTOREK JEŚLI MOŻLIWE STOP WAŻNE SPRAWY.

Domyślałem się, o jakie sprawy chodzi, i chociaż wciąż sobie powtarzałem, że wieczór spędzony na rozmowie z Ransomem będzie wspaniałym przeżyciem, dręczyło mnie poczucie, że nie cieszę się z tego tak, jak powinienem. Prawdę mówiąc, źródłem mojego niepokoju były właśnie eldile. Zdołałem już pogodzić się z faktem, że Ransom był na Marsie, ale spotkania z eldilami, rozmowy z istotami w naszym pojęciu nieśmiertelnymi - tu już zaczynały się pewne problemy. Już sama podróż na Marsa wystarczała, by czuć się trochę nieswojo w jego towarzystwie. Człowiek, który przebywał w innym świecie, nie może z niego wrócić nie odmieniony, choć trudno tę odmianę ująć w słowa. Kiedy tym człowiekiem jest przyjaciel, odczuwa się ją wyjątkowo dotkliwie: trudno o zachowanie dawnej zażyłości. Ale o wiele przykrzejsze było narastające we mnie przekonanie, że mimo jego powrotu na Ziemię, eldile wcale nie zostawiły go w spokoju. Pewne drobne szczegóły w tym, co mówił, osobliwy sposób patrzenia na świat, przypadkowe aluzje, z których się nieporadnie wycofywał, wszystko to skłaniało do przypuszczenia, że nadal przebywa w dość dziwnym towarzystwie, że jego wiejski dom odwiedzają.. no, powiedzmy, „goście”...

Maszerując pustą, nie ogrodzoną drogą biegnącą przez podmiejskie błonia Worcesteru, próbowałem pokonać narastające złe samopoczucie przez analizę jego źródeł. Czego właściwie się lękam? Ale natychmiast pożałowałem tego pytania, gdy uświadomiłem sobie, że zupełnie niespodziewanie użyłem słowa „lęk”. Do tego momentu wmawiałem w siebie, że czuję tylko

niechęć, zakłopotanie, może nawet coś w rodzaju znudzenia. Ale sbwo „lęk” wyszło samo, jak przysłowiowe szydło z worka. Nie mogłem już dłużej ukrywać przed sobą, że to, co czuję, to ni mniej, ni więcej, tylko po prostu lęk. Lęk przed czym? Odpowiedź nie była trudna. Bałem się dwóch rzeczy: tego, że wcześniej czy później sam mogę spotkać eldila, oraz tego, że zostanę w coś „wciągnięty”. Sądzę, że każdy zna takie uczucie: moment, w którym człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę, że to, co wydawało mu się do tej pory rozważaniem czysto teoretycznym, zaprowadziło go w końcu do drzwi, dajmy na to, partii komunistycznej lub jakiegoś Kościoła; poczucie, że za chwilę te drzwi się zatrzasną i nie będzie już odwrotu. Ostatecznie cała ta sprawa była skutkiem nieszczęśliwego zrządzenia losu. Sam Ransom został uprowadzony na Marsa (czyli na Malakandrę) wbrew swojej woli, właściwie przypadkowo, ja również zostałem wplątany w jego przygodę przez przypadek. I oto obaj byliśmy coraz głębiej wciągani w sprawy, dla których najwłaściwszym określeniem byłoby chyba pojęcie polityki międzyplanetarnej.

Jeśli chodzi o moją głęboką niechęć do spotkania z jakimś eldilem, to nie jestem pewien, czy zdołam to wytłumaczyć. Było w tym coś więcej niż płynąca z ostrożności chęć uniknięcia kontaktu z przedstawicielem obcego rodzaju - całkiem odmiennego, a jednocześnie obdarzonego niezwykłą mocą i inteligencją. Prawdę mówiąc, wszystko, co usłyszałem o eldilach, prowadziło do łączenia dwóch spraw, które umysł ludzki zwykle rozdziela. Trudno się dziwić, że to połączenie dawało w efekcie coś w rodzaju szoku.

Jesteśmy przyzwyczajeni do myślenia o pozaziemskich inteligencjach w dwu kategoriach: jedną można nazwać „naukową”, drugą - „nadprzyrodzoną”. Zupełnie inaczej myśli się o stworzonych przez wyobraźnię pana Wellsa Marsjanach (notabene wcale nie przypominających prawdziwych Malakandryjczyków) czy Selenitach, a zupełnie inaczej o aniołach, duchach, elfach i tym podobnych istotach. To dwa zupełnie różne światy wyobraźni. Ale gdy tylko zmuszeni jesteśmy uznać istotę należącą do jednej lub drugiej kategorii za *realną*, rozróżnienie to zaczyna się zacierać, a w wypadku eldila wydaje się zanikać zupełnie. Z jednej strony, nie ma on organizmu typu zwierzęcego i pod tym względem trzeba go raczej zaliczyć do drugiej kategorii, z drugiej - jego inteligencja dysponuje pewnego rodzaju nośnikiem materialnym, który (w zasadzie) można poddać naukowej weryfikacji, co skłaniałoby do umieszczenia go w kategorii pierwszej. W ten sposób granica między tym, co „przyrodzone” a „nadprzyrodzone”, pęka i dopiero wówczas docenia się całe dobrodziejstwo tego tradycyjnego podziału. Jak bardzo pomaga on człowiekowi znieść ową niesamowitą obcość wszechświata przez podzielenie go na dwie części, o których umysł ludzki nigdy nie myśli w tym samym kontekście! Jaką cenę płacimy za to dobrodziejstwo (myślę tu przede wszystkim o złudnym poczuciu bezpieczeństwa i zaakceptowanym przez wszystkich zafałszowaniu obrazu świata), to już inna sprawa.

„Cóż to za ponura i długa droga!”, pomyślałem. „Dzięki Bogu, nie mam żadnego bagażu. ” I wówczas nagle zdałem sobie sprawę, że przecież powinienem nieść torbę z drobiazgami niezbędnymi podczas noclegu w obcym domu. Zakląłem cicho. Musiałem ją zostawić w pociągu. Czy uwierzycie, że w pierwszym odruchu chciałem wrócić na stację, by „coś z tym zrobić”? Oczywiście nie miało to sensu, na stacji mogłem załatwić tyle samo, co przez telefon od Ransoma. W tym czasie pociąg z bagażem musiał już być wiele mil od Worchesteru.

Teraz jest to dla mnie równie jasne jak dla was. Ale wtedy wydawał mi się oczywiste, że muszę natychmiast zawrócić. Prawdę mówiąc, zrobiłem nawet kilka kroków z powrotem, zanim rozsądek, a może i sumienie doszły do głosu i nakazały mi znowu podjęcie marszu naprzód. Ale wiedziałem już o wiele wyraźniej niż przedtem, że w istocie wcale nie mam ochoty na dojsście do celu mojej podróży. Prawdę mówiąc, coś mnie od tego formalnie powstrzymywało. Szedłem z takim trudem, jakbym pokonywał wichurę wiejącą mi w twarz. W rzeczywistości był cichy,

spokojny wieczór: ani jedna gałązka nie zadrżała na drzewach, nad ziemią zaczynała się gromadzić lekka mgła.

Im dalej szedłem, tym trudniej było mi myśleć o czymkolwiek innym niż eldile. Co właściwie Ransom o nich wiedział? Według jego słów te eldile, które spotkał na Marsie, nie odwiedzały zwykle naszej planety, a w każdym razie zaczęły ją odwiedzać dopiero po jego powrocie na Ziemię. Mówił, że mamy własne, ziemskie eldile, zasadniczo różniące się od tamtych i zdecydowanie wrogie człowiekowi. Właśnie dlatego nie było łączności między naszym światem a innymi planetami. Według Ransoma Ziemia znajduje się jakby w stanie obłąkania, jest faktycznie terenem okupowanym przez nieprzyjaciela, czyli przez ziemskie eldile, prowadzące wojnę zarówno z nami, ludźmi, jak i z „kosmicznymi” eldilami z Głębiny Niebios. Podobnie jak bakterie w skali mikroskopijnej, tak owe niewidzialne, szkodliwe istoty w skali makroskopowej przenikają całe nasze życie. To one są prawdziwą przyczyną owego fatalnego skrzywienia ludzkiej rasy, o którym dowiadujemy się studiując historię. Jeśli to wszystko prawda, to oczywiście ci należałoby się cieszyć, że owe lepsze eldile przełamały w końcu barierę (jest nią podobno orbita Księżyca), oddzielającą Ziemię od reszty Układu Słonecznego, i zaczęły nas odwiedzać. Tak, to rozsądny wniosek - oczywiście pod warunkiem, że informacje, jakimi dysponował Ransom, są wiarygodne.

Bo w tym momencie przysłała mi do głowy niezbyt przyjemna myśl. A jeśli Ransom padł ofiarą sprytnego oszustwa? Przecież gdyby jakieś istoty z kosmosu chciały dokonać inwazji naszej planety, to nie mogłyby stworzyć lepszej zasłony dymnej niż cała ta opowieść o dobrych i złych eldilach. Ostatecznie, czy mamy choćby najmniejszy dowód na istnienie owych rzekomych złych eldilów na Ziemi? A jeśli mój przyjaciel - nie zdając sobie z tego sprawy - jest czymś w rodzaju konia trojańskiego przygotowującego lądowanie najeźdźców na Tellusie? [Tellus - łacińska nazwa Ziemi]

Znowu poczułem przemożną chęć powrotu na stację, jak wówczas, gdy odkryłem brak torby. Wracaj, wracaj - szeptało coś we mnie - wracaj i wyślij mu telegram, że jesteś chory, że przyjedziesz kiedy indziej, cokolwiek! Byłem zaskoczony siłą tego impulsu. Zatrzymałem się, powtarzając sobie w duchu: „Nie bądź głupcem”, a kiedy po kilkunastu sekundach ponownie ruszyłem naprzód, przyszło mi do głowy, że znajduję się u progu załamania nerwowego. Natychmiast dostrzegłem jeszcze jeden argument przemawiający za powrotem do domu. Przecież w tym stanie nie mogę się zajmować „niezwykle ważnymi sprawami”, jakie zapowiadał telegram Ransoma. W takim stanie nie powinienem opuszczać domu nawet na najzwyczajniejszy weekend! Jedyne rozsądne wyjście to natychmiastowe przerwanie marszu i bezpieczny powrót do domu, zanim utracę pamięć lub dostanę napadu hysterii. Muszę jak najszybciej poradzić się lekarza. Dalsza wędrówka to czyste szaleństwo!

Wrzosowe błonia już się kończyły. Droga opadała teraz po zboczku niewielkiego wzgórza. Po lewej stronie rósł zagajnik, po prawej dostrzegłem opuszczone budynki fabryczne. W dole gęstniała wieczorna mgła.

Najpierw mówi się zwykle, że to kryzys nerwowy... Ale czy symptomem jednej z chorób umysłowych nie jest właśnie złudzenie, że zwykle przedmioty wydają się nieznośnie złowrogie?... Tak jak ta opuszczona fabryczka... Wielkie, bulwiaste kształty z betonu, dziwaczne ceglane widma, spoglądały na mnie groźnie poprzez pas suchej, marnej trawy popstrzonej tu i ówdzie kałużami i poprzecinanej resztkami kolejki wąskotorowej. Przypomniały mi się dziwy, jakie Ransom widział w innym świecie. Tyle że były to żywe istoty: długie, pająkowate olbrzymy, które nazywa sornami. I twierdzi, że są to istoty dobre, mało tego: o wiele lepsze od ludzi... Ależ to jasne! Ransom jest z nimi w zмовie. Skąd mi właściwie przyszło do głowy, że jest tylko nieś wiadomą ofiarą podstępny? A jeśli jest o wiele gorzej, jeśli... i znowu się zatrzymałem.

Czytelnik, który nie zna Ransoma tak jak ja, nie dostrzeże absurdalności tych podejrzeń. Rozumna część mojej świadomości bardzo dobrze wiedziała, że gdyby nawet cały wszechświat był chory, szalony i wrogi, to Ransom pozostaby zdrowy, rozsądny i uczciwy. W końcu rozum zwyciężył i ruszyłem w dalszą drogę, choć nadal odczuwałem trudną do opisania niechęć. Szedłem, bo w głębi duszy *wiedzialem*, że każdy krok przybliżył mnie do jedyne go przyjaciela, a jednocześnie *czulem*, że zbliżam się do wroga, zdrajcy, czarownika, człowieka w zмовie z „nimi”, że jak głupiec włączę z otwartymi oczami prosto w pułapkę.

Tak, najpierw nazywają to kryzysem nerwowym, potem wysyłają cię do sanatorium, a w końcu przenoszą do zakładu zamkniętego.

Minąłem opuszczoną fabrykę i szedłem w oparach mgły zalegających dno dolinki. Było bardzo zimno. Wtedy właśnie nadszedł moment absolutnej paniki i musiałem przygryźć wargi, aby powstrzymać okrzyk przerażenia. To tylko kot przebiegł przez drogę, a ja całkowicie straciłem panowanie nad nerwami. „Jeszcze chwila i naprawdę zaczniesz wrzeszczeć”, odezwał się mój wewnętrzny dręczyciel. „Będziesz latał w kółko, wrzeszczał ze strachu i nic na to nie poradzisz.”

Przy drodze pojawił się jakiś domek. Większość okien zabito deskami, tylko jedno spoglądało na mnie jak oko zdechłej ryby. W normalnych warunkach idea „domu, w którym straszysz”, nie znaczy dla mnie więcej niż dla was. Ani więcej, ani mniej. Wówczas jednak myśl o duchach wydawała mi się najbardziej naturalna. „Straszyc”... „tam straszysz”... Coś jest w samym brzmieniu tego słowa. Czy dziecko, które nigdy przedtem go nie słyszało i nawet nie wie, co ono oznacza, nie zadrży, gdy o zmierzchu ktoś z dorosłych powie: „W tym domu straszysz”?

Wreszcie doszedłem do skrzyżowania przy niewielkiej wesleyańskiej kaplicy. Miałem tu skręcić w lewo, w brzozową aleję. Stąd powinienem już widzieć światło w oknach domu Ransoma. A może to już pora zaciemnienia? [Akcja powieści rozgrywa się w czasie ostatniej wojny światowej, gdy obowiązywało zaciemnianie okien w obawie przed niemieckimi nalotami (przyp. tłum.).] Spojrzałem na zegarek, ale stanął. Nie potrafiłem określić bliżej czasu, bo choć było ciemno, mogły to spowodować gęsta mgła i drzewa. Wszyscy znamy te chwile, gdy przedmioty nieożywione zdają się mieć jakby wyraz twarzy, jakby robiły miny. Mina tego odcinka drogi nie była najprzyjemniejsza.

To nieprawda - mówiło coś we mnie - że ludzie, którzy są bliscy obłądki, nie zdają sobie z tego sprawy. Przypuśćmy, że moja choroba umysłowa ma się zacząć właśnie w tym miejscu. W takim wypadku wrogość owych czarnych, ociekających wodą drzew byłaby, oczywiście, halucynacją. Ale czy ten wniosek naprawdę polepsza sytuację? Jeśli nawet wiemy, że widmo, które widzimy, jest przywidzeniem, nie staje się ono przez to mniej straszne, a dochodzi jeszcze lęk przed samym szaleństwem i okropne przypuszczenie, że tylko ci, których reszta nazywa szaleńcami, widzą świat takim, jakim jest naprawdę.

Posuwałem się niepewnie naprzód, w ciemności i chłodzie, prawie już pewien, że przekraczam próg tego, co nazywa się obłądkiem. Co chwila zmieniały się jednak moje poglądy na tak zwaną „normalność”. Czy tym, co nie dozwala nam dostrzec obcości i złowrogości wszechświata, w którym przyszło nam zamieszkiwać, nie jest jedynie pewna konwencja, wygodna przesłona, uzgodniony system pobożnych życzeń? Już samo to, czego się dowiedziałem od Ransoma w ciągu ostatnich miesięcy, przekraczało wszelkie granice „normalności”, a przecież wcale nie próbowałem uznać przytaczanych przez niego faktów za nieprawdziwe. Mogłem mieć zastrzeżenia do jego interpretacji tych faktów, mogłem nawet wątpić w jego wiarę, ale nigdy nie wątpiłem w egzystencję istot, które spotkał na Marsie: pflitryggów, hrossów, sornów czy międzyplanetarnych eldilów. Nie wątpiłem nawet w realność owej tajemniczej istoty, którą eldile nazywały Maleldilem, i która - według nich - ma władzę, jakiej nie miał nigdy żaden ziemski dyktator. Znałem też przypuszczenia

Ransom co do prawdziwej tożsamości Maleldila.

Teraz byłem już pewien, że dotarłem do siedziby mojego przyjaciela, mimo że majaczący za ogrodzeniem dom był skrupulatnie zaciemniony. Przyszło mi do głowy niedorzeczne, pełne dziecinne rozzalenie pytanie: dlaczego nie oczekuje mnie przy furtce? A zaraz potem zaczęły mnie nawiedzać jeszcze bardziej dziecinne lęki. A może Ransom *czeka* w ogrodzie, ukryty w cieniu? Może rzuci się na mnie z tyłu? Może za chwilę ujrzę postać podobną do niego, lecz kiedy przemówię, odwróci się, a twarz, jaką zobaczę, wcale nie będzie twarzą człowieka?...

Odczuwam naturalną niechęć do rozwodzenia się nad tą fazą mojej przygody. Stan, w jakim się wówczas znajdowałem, trudno wspominać bez poczucia pewnego upokorzenia. Nie pisałbym o tym w ogóle, gdyby nie przekonanie, iż opis moich myśli i uczuć w tamtych chwilach jest niezbędny do pełnego zrozumienia tego, co nastąpiło później, a może i niektórych innych spraw. W każdym razie naprawdę *nie potrafię* opisać, jak znalazłem się przed drzwiami domu. Tak czy inaczej, pomimo lęku, a nawet jakiejś niewytłumaczalnej odrazy, walcząc ze sobą o każdy krok naprzód, przebijając się przez coś w rodzaju ściany, zdołałem w końcu przejść przez furtkę i dojść ścieżką do drzwi domu. Pamiętam, że omal nie wrzasnąłem, gdy gałązka żywopłotu musnęła mi twarz. I oto stałem w końcu przed drzwiami, waląc w nie pięściami, szarpiąc kołatkę i wołając do Ransom, aby mnie wpuścił, jakby od tego zależało moje życie.

Ale nikt na to wszystko nie reagował. Jedyłą reakcją było echo hałasu, jaki sam robiłem. W pewnej chwili zauważyłem coś białego, przyczepionego do kołatki, i domyśliłem się, że to kartka z wiadomością. Chcąc ją odczytać, spróbowałem zapalić zapalną, ale nie mogłem opanować dygotania rąk. Płomyk zgasł i znalazłem się w nieprzeniknionych ciemnościach. Wreszcie, po wielu nieudanych próbach, zdołałem odczytać:

Wybacz. Musiałem wyjechać do Cambridge. Wrócę ostatnim pociągiem. Jedzenie w spiżarni, łóżko posłane w twoim zwykłym pokoju. Nie czekaj na mnie z kolacją, chyba że miałbyś na to wielką ochotę. E. R.

Natychmiast, tym razem z istic demoniczną gwałtownością, poraził mnie impuls, którego doświadczyłem już kilkakrotnie w czasie tej podróży. Cofnij się, wracaj, droga wolna! Ta kartka wprost do tego zaprasza. To może być ostatnia okazja! Jeżeli ktoś oczekuje, że wejdę do tego ciemnego domu i będę w nim siedział samotnie przez kilka godzin, to się głupio myli. Ale gdy tylko zacząłem sobie wyobrażać drogę powrotną, zawahałem się. Wizja wędrówki przez brzoźową aleję (było już zupełnie ciemno) nie należała do przyjemnych. I jeszcze ten dom za plecami... Miałem absurdalne uczucie, że będzie za mną podążał!

A potem musiało się we mnie obudzić coś dobrego - jakieś resztki zdrowego rozsądku, może niechęć do zrobienia Ransomowi zawodu. Ostatecznie mogę sprawdzić, czy drzwi rzeczywiście nie są zamknięte na klucz. Zrobiłem to - były otwarte. W następnej chwili (sam nie wiem jak) znalazłem się wewnątrz, a za sobą usłyszałem głuchy łoskot zatraskujących się drzwi.

Ogarnęła mnie kompletna ciemność i poczułem ciepło. Zrobiłem kilka kroków po omacku, uderzyłem o coś nogą i przewróciłem się. Sądziłem, że dobrze pamiętam rozkład dużego pokoju, do którego wchodziło się prosto z dworu, nie miałem więc pojęcia, na co mogłem wpaść. W końcu sięgnąłem po zapalną i spróbowałem jedną zapalić, lecz główka odpadła z trzaskiem. Przydeptałem ją i pociągnąłem nosem, żeby się upewnić, że dywan się nie tli. I wtedy zdałem sobie sprawę z jakiegoś dziwnego zapachu wypełniającego pokój. W żaden sposób nie mogłem odgadnąć, co to może być. Od zwykłych domowych zapachów różniło się to tak jak woń niektórych chemikaliów, ale na pewno nie był to zapach chemiczny. Potarłem drugą zapalną. Błysnęła i prawie natychmiast

zgasła. Nie było w tym nic niezwykłego, bo w końcu siedziałem na podłodze, a nawet w domach zbudowanych solidniej niż wiejski domek Ransoma trudno o frontowe drzwi bez szpary, przez którą przedostaje się przeciąg. Nie zdołałem dostrzec niczego poza własną dłonią osłaniającą płomyk. No tak, muszę oddalić się od tych drzwi. Wstałem ostrożnie i spróbowałem zrobić po omacku kilka kroków, ale natychmiast natrafiłem na przeszkodę. Było to coś gładkiego i bardzo zimnego, sięgającego niewiele ponad moje kolana. Poczułem też, że tu właśnie jest źródło owego szczególnego zapachu. Przesuwając się w lewo, wymacałem koniec dziwnego przedmiotu. Jego powierzchnia zdawała się mieć kilka płaszczyzn, nie potrafiłem jednak odtworzyć sobie kształtu całości. Nie był to na pewno stół - nie wyczułem blatu. Przejechałem ręką wzdłuż górnej krawędzi, trzymając kciuk na zewnątrz, a palec wskazujący wewnątrz zamkniętej przestrzeni. Gdybym wyczuł dotykiem drewno, pomyślałbym, że to jakaś wielka skrzynia. Ale to nie mogło być drewno. Przez chwilę zdawało mi się, że dotykam czegoś wilgotnego, ale szybko doszedłem do wniosku, że wziąłem zimno za wilgoć. Kiedy wymacałem drugi koniec, zapaliłem trzecią zapałkę.

Ujrzałem coś białego i półprzezroczystego, przypominającego lód. Przedmiot był długi - coś w rodzaju dużej, otwartej skrzyni. W jej kształcie było coś niepokojącego, ale w pierwszej chwili nie skojarzyłem tego z przedmiotem, który wszyscy dobrze znamy. W każdym razie pudło mogło pomieścić człowieka. Cofnąłem się o krok, podnosząc płonąca zapałkę, aby lepiej ogarnąć spojrzeniem całość, i znowu na coś wpadłem. Zapałka zgasła, a ja straciłem równowagę i upadłem, tym razem nie na dywan, lecz na zimną, gładką powierzchnię wydzielającą ten sam dziwny zapach. Czyżby cały pokój był zastawiony owymi piekielnymi przedmiotami?

Właśnie postanowiłem wstać i obejść systematycznie cały pokój w poszukiwaniu świecy, gdy usłyszałem, jak ktoś wypowiedział nazwisko mojego przyjaciela i prawie natychmiast zobaczyłem to, czego się lękałem od tak dawna. Usłyszałem słowo „Ransom”, choć trudno mi powiedzieć, czy usłyszałem głos, który je wypowiedział. Ten dźwięk nie przypominał głosu. Był doskonale artykułowany, a nawet piękny, lecz brakowało mu owej trudnej do opisu cechy, po której bezbłędnie poznajemy głos żywej istoty. Mam nadzieję, że rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć. Wszyscy wyczuwamy bardzo wyraźnie różnicę między głosem zwierzęcia (włączając w to ludzkie zwierzę) a wszystkimi innymi dźwiękami, chociaż jest to różnica bardzo trudna do określenia. W każdym prawdziwym *głosie* brzmią w jakimś sensie krew, płuca i ciepła, wilgotna jama ust. W tym głosie tego nie było. Dwie sylaby - Ransom - brzmiały raczej tak, jakby je odegrano na jakimś instrumencie. A jednak nie brzmiały mechanicznie! Maszyna to coś, co jest zrobione z metalu, a ten dźwięk brzmiał tak, jakby przemówiła skała, kryształ lub światło. Ten dźwięk przeszył mi piersi, jak gwałtowny dreszcz przenikający człowieka, który podczas górskiej wspinaczki traci nagle oparcie pod stopą.

Tyle o tym, co usłyszałem. To, co zobaczyłem, przypominało wąski słup słabego światła. O ile pamiętam, światło nie znaczyło jasnego kręgu na podłodze czy na suficie, ale mogę się mylić. Natomiast z całą pewnością nie miało takiej mocy, aby rozjaśnić otoczenie. Dotąd opis nie jest trudny, ale teraz muszę przejść do innych, mniej uchwytnych cech tego zjawiska. Pierwszą z nich była jego barwa. Skoro je zobaczyłem, to wydaje się oczywiste, że musiało być albo białe, albo kolorowe, ale choćbym nie wiem jak wysiłił pamięć, nie potrafię uchwycić choćby najsłabszego sygnału, jaki to mógł być kolor. Błękit, złoto, purpura? Żadna barwa nie budzi odzewu w mojej pamięci. Jak to możliwe, by odebrać wrażenie wzrokowe i już w chwilę później nie móc go sobie przypomnieć? Nie potrafię tego wyjaśnić. Drugą niezwykłą cechą był kąt między ową kolumną światła a podłogą. Chciałem napisać, że nie był to kąt właściwy, ale musiałbym natychmiast dodać, że tego rodzaju opis jest już późniejszą rekonstrukcją wizji. Wówczas zdawało mi się, że kolumna światła jest pionowa, natomiast podłoga wcale nie jest pozioma. Całe pomieszczenie przekrzywiło

się, jakby było częścią statku na pełnym morzu. Nie wiem dlaczego, ale odniosłem wrażenie, jakby ta istota podlegała swojemu własnemu, pochodzącemu spoza Ziemi systemowi kierunków i że sama jej obecność narzucała mi ten obcy system, niwecząc ziemskie poczucie tego, co poziome.

Nie miałem wątpliwości, że widzę eldila. Co więcej, byłem prawie pewien, że jest nim archont Marsa, czyli Ojarsa Malakandry. Nagle opuścił mnie upokarzający strach, choć uczucie, jakiego nadal doświadczałem, nie należało do przyjemnych. Najbardziej mi przeszkadzało, że istota nie miała nic wspólnego z tym, co nazywamy życiem organicznym, że osobowa inteligencja jest w jakiś sposób zakotwiczona w cylindrze światła, lecz nie jest z nim związana tak, jak ludzka świadomość z mózgiem i nerwami.

Ta istota po prostu nie mieściła się w naszych kategoriach. Nie pasował o do niej to, co zwykle czujemy patrząc na żywe stworzenie, ani to, co czujemy patrząc na obiekt nieożywiony. [Oczywiście w tym opisie próbuję oddać to, co myślałem i czułem wówczas, jako że chcę nadać mu charakter świadectwa z pierwszej ręki. Można jednak snuć dalsze spekulacje na temat formy, w jakiej eldile objawiają się naszym zmysłom. O ile wiem, jedyne poważne rozważanie tego tematu można znaleźć w pewnym tekście z początków XVII wieku. Jako punkt wyjściowy do dalszych poszukiwań polecam następujący ustęp z dzieła Natvilcusa pt. *De Aethereo et aereo Corpore* (Bazylea, 1627, II, XII): *liquet simplicem flammam sensibus nostris subjectam non esse corpus proprie dictum angeli vel demonis, sed potius aut illius corporis sensorium aut superficiem corporis in coelesti dispositione locorum supra cogitationes humanas existens.* („Wydaje się, że ten jednorodny płomień, odbierany przez nasze zmysły, nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu ciałem anioła czy demona, lecz raczej jego systemem zmysłów lub widzialną powierzchnią ciała, które naprawdę istnieje w niebiańskim systemie odniesień przestrzennych w sposób przekraczający nasze pojmowanie.”) Sądzę, że przez „niebiański system odniesień przestrzennych” Natvilcius chce wyrazić to, co obecnie nazywamy „przestrzenią wielowymiarową”. Oczywiście Natvilcius nie mógł mieć pojęcia o geometrii wielowymiarowej, ale osiągnął empirycznie to, co nasza matematyka odkryła później na płaszczyźnie czysto teoretycznej.]

Z drugiej strony, znikły - przynajmniej wówczas - wszystkie wątpliwości, które dręczyły mnie, zanim wszedłem do domu mojego przyjaciela: nie zastanawiałem się już, czy eldile są naszymi sprzymierzeńcami czy wrogami, a Ransom pionierem czy ofiarą podstępny. Mój lęk przybrał teraz inną postać. Byłem już pewien, że ta istota jest „dobra” (w naszym ziemskim pojęciu), zacząłem jednak wątpić, czy rzeczywiście lubię „dobroć” tak, jak mi się dotąd wydawało. Było to naprawdę okropne przeżycie. Dopóki to, czego się boimy, jest czymś złym, możemy mieć nadzieję, że jakieś dobro przyjdzie nam na ratunek. Przypuśćmy jednak, że walczymy ze złem, doczekujemy się nadejścia dobra i stwierdzamy, że i ono jest czymś strasznym? To tak, jakby normalne pożywienie stało się nagle zupełnie niejadalne, nasz dom okazał się miejscem niemożliwym do zamieszkania, a życzliwy pocieszyciel osobą, która pogłębia nasze troski. Wówczas nie ma już żadnego ratunku - straciliśmy ostatnią kartę.

Przez sekundę lub dwie byłem bliski takiego właśnie stanu. Oto wreszcie zetknąłem się z częścią tego pozaziemskiego świata, który zawsze uważałem za coś drogiego i upragnionego. Część tego świata objawiła mi się, przełamała dotychczasowe bariery - i wcale nie czułem do niej sympatii, pragnąłem uciec. Pragnąłem, by rozdzielił nas jakiś dystans, przepaść, kurtyna, zasłona, bariera. I, prawdę mówiąc, wpadłem w przepaść, ale w nieco innym sensie. Może to się wydać dziwne, ale uratowało mnie poczucie bezradności. Poczulem spokój. Teraz stało się już oczywiste, że zostałem „wciągnięty”. Dalszy opór nie miał sensu. Następna decyzja nie należała już do mnie.

A potem, jak odgłos z zupełnie innego świata, usłyszałem otwieranie drzwi i szuranie butów po wycieraczkę. Na tle ciemnej szarości nocy ujrzalem ludzką sylwetkę i poznałem Ransoma. Kolumna

światła ponownie przemówiła dźwiękiem nie przypominającym ludzkiego głosu. Był to dziwny, wielosylabiczny język, jakiego nigdy nie słyszałem. Nie próbuję usprawiedliwiać uczuć, jakie obudziły się we mnie, gdy usłyszałem nieludzki dźwięk, którym eldil zwracał się do mojego przyjaciela, i nieludzki język, w jakim ten mu odpowiedział. Wiem, że to niewybaczalne, ale jeśli sądzicie, że w takich okolicznościach niemożliwe, to powiem wam szczerze, że nie znacie dobrze ani historii, ani swego własnego serca. Poczulem gwałtowną odrazę, przerażenie i zazdrość. Chciałem zawołać: „Zostaw go, ty przeklęty czarowniku, i zajmij się MNA!” Ale powiedziałem tylko:

- Och, Ransom! Dzięki Bogu, wróciłeś.

Rozdział 2

Drzwi trzasnęły (po raz drugi tego wieczora) i po chwili szukania po omacku Ransom zapalił świecę. Rozejrzałem się szybko dookoła, lecz prócz nas dwóch nie dostrzegłem nikogo. Najbardziej rzucał się w oczy ów duży, biały przedmiot. Tym razem nie miałem trudności z identyfikacją. Była to wielka, otwarta skrzynia w kształcie trumny. Tuż obok leżało wieko i to o nie musiałem się potknąć w ciemności. Skrzynia i wieko zrobione były z białego tworzywa przypominającego lód, lecz bardziej mętnego i matowego.

- Ach, to ty! Jakże się cieszę, że cię widzę - rzekł Ransom podchodząc i ściskając mi rękę. - Wszystko przez ten pośpiech. Miałem szczerą ochotę wyjść po ciebie na stację, ale dopiero w ostatniej chwili przypomniałem sobie, że muszę być dzisiaj w Cambridge. Wierz mi, nigdy bym cię nie narażał na *taką* samotną wędrówkę. - A po chwili, widząc zapewne, że wciąż gapię się na niego z niezbyt mądrą miną, dodał: - Ale *wszystko w porządku*? Nic ci nie jest? Przeszedłeś przez zaporę szczęśliwie?

- Zaporę? Nie rozumiem.

- Mam na myśli pewne trudności po drodze.

- Ach, *to!* A ja sądziłem, że to po prostu moje nerwy. Czy to znaczy, że naprawdę coś mi przeszkadzało w dojściu do twego domu?

- Naturalnie. Nie chciały, abyś tutaj dotarł. Obawiałem się, że coś takiego może się zdarzyć, ale naprawdę nie miałem czasu, by temu jakoś zaradzić. Zresztą byłem pewien, że sam dasz sobie radę.

- Nie chciały... Czy masz na myśli te inne... to znaczy, nasze, ziemskie eldile?

- Oczywiście. Zwietryły, na co się zanosi...

- Szczerze mówiąc, Ransom - przerwałem mu - cała ta sprawa coraz bardziej mnie niepokoi. Kiedy tu szedłem, przyszło mi do głowy...

- Och, będą ci wpychać do głowy najróżniejsze rzeczy, jeśli im na to pozwolisz - powiedział Ransom lekceważąco. - Najlepiej nie zwracać na to uwagi i robić swoje. Nie próbuj im odpowiadać. Bardzo lubią wciągać ludzi w nie kończące się dyskusje.

- Ależ Ransom, przecież to nie są dziecinne zabawy! Czy jesteś całkowicie pewny, że ów Ciemny Archont, zepsuty Ojarsa Ziemi, naprawdę istnieje? Czy wiesz na pewno, że są dwie strony, a jeśli tak, to po której naprawdę jesteśmy?

Zmierzył mnie nagle łagodnym i zarazem dziwnie przenikliwym spojrzeniem.

- Czy *naprawdę* masz wątpliwości w obu tych kwestiach? - zapytał.

- Nie - odpowiedziałem po chwili namysłu i poczułem wstyd.

- A więc wszystko w porządku - rzekł Ransom beztrąsko. - A teraz zrobimy sobie kolację. Wyjaśnię ci wszystko przy stole.

- Co to za historia z tą trumną? - zapytałem, gdy szliśmy do kuchni.

- Zamierzam odbyć w niej podróż.

- Ransom! - zawołałem. - On... ono... ten eldil nie chce cię chyba wysłać z powrotem na Malakandrę!

- Nie rań mi serca - odpowiedział. - Och, Lewis, ty nic nie rozumiesz. Wysłać mnie z powrotem na Malakandrę? Gdyby tylko zechciał! Oddałbym wszystko, co posiadam... byleby tylko choć raz spojrzeć na jeden z tych wawozów, na błękitną, naprawdę błękitną wodę, wijącą się tu i tam wśród lasów. Albo znaleźć się w górze, na harandrze, i zobaczyć sorna ześlizgującego się po zboczu. Albo być tam wieczorem, kiedy wschodzi Jowisz, zbyt jasny, aby nań patrzeć, i wszystkie asteroidy, niby jakaś Droga Mleczna, a każda gwiazda jest tak jasna, jak Wenus widziana z Ziemi... A te zapachy! Nigdy tego nie zapomnę. I nie myśl, że najbardziej tęsknię w nocy, gdy Malakandra

jest widoczna. Nie, najgorzej jest w gorące, letnie dni, gdy patrzę w głębię błękitu nad sobą i wiem, że *tam*, miliony mil stąd, tam, dokąd już nigdy nie wrócę, jest tak dobrze znane mi miejsce, gdzie w tej samej chwili rozchylają się kwiaty nad Meldilornem, gdzie moi przyjaciele krzątają się wokół swoich codziennych spraw. Och, jakby się ucieszyli, gdybym wrócił! Ale nie. Nie dla mnie takie szczęście. Nie wysyłają mnie na Malakandrę. Tym razem moim celem jest Perelandra.

- Czyli... Wenus?

- Tak.

- I mówisz, że cię tam wysyłają...

- Tak. Pamiętaj, zanim opuściłem Malakandrę, Ojarsa dał mi do zrozumienia, że moja pierwsza podróż międzyplanetarna może być początkiem zupełnie nowej ery w życiu Układu Słonecznego, czyli Pola Arbola. Według niego może to oznaczać, że izolacja naszej planety, pewien stan oblężenia, zbliża się ku końcowi.

- Tak, pamiętam.

- No więc są pewne oznaki, że na coś takiego się zanosi. Przede wszystkim owe dwie strony, jak to nazywasz, zaczynają coraz wyraźniej manifestować swoją obecność na Ziemi. Zaczynają się mieszać do naszych spraw i to w sposób coraz bardziej jawny.

- Zauważyłem to.

- Na tym nie koniec. Czarny Archont, nasz ziemski, skrzywiony Ojarsa, przygotowuje coś w rodzaju ataku na Perelandrę.

- Ale przecież on jest tutaj uwięziony! Nie może wędrować swobodnie po Układzie Słonecznym.

- O to właśnie chodzi. Nie może dostać się na Perelandrę sam, w swoim ciele świetnym, fotosomie, czy jak to tam nazwać. Jak wiesz, został tu uwięziony na długie wieki przed początkiem życia ludzkiego na naszej planecie. Gdyby się ośmielił przeniknąć poza orbitę Księżyca, zostałby siłą zmuszony do powrotu. Ale byłaby to zupełnie inna wojna i mój czy twój wpływ na jej wynik można porównać z udziałem muchy w bitwie o Moskwę. Nie, on musi zaatakować Perelandrę w jakiś inny sposób.

- Ale jaka jest twoja rola w tym wszystkim?

- No cóż, po prostu otrzymałem rozkaz, żeby się tam udać.

- Rozkaz? Od... od Ojarsy?

- Nie. Rozkaz przyszedł z o wiele wyższej instancji. Tak się zresztą zawsze dzieje.

- A co masz tam zrobić?

- Tego mi nie powiedziano.

- Domyślam się, że masz towarzyszyć Ojarsie?

- Ach, nie! Ojarsy tam nie będą. On mnie tylko przeniesie na Wenus... przekaże mnie tam. A potem będę zdany na własne siły.

- Ależ Ransom, posłuchaj... wydaje mi się... - zacząłem i głos uwiązł mi w gardle.

- Wiem, wiem - powiedział ze swoim charakterystycznym, rozbrajającym uśmiechem. - Dostrzegasz absurdalność tego wszystkiego. Doktor Elwin Ransom staje do samotnej walki z niebiańskimi Mocami i Zwierzchnościami. Może nawet podejrzewasz mnie o chorobliwą megalomanię.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć.

- Naprawdę? A mnie się wydaje, że właśnie o tym myślałeś. W każdym razie ja sam coś takiego czuję od czasu, gdy to na mnie się zważyło. Ale kiedy się nad tym dobrze zastanowić... Czy to jest naprawdę bardziej niezwykle od tego, co wszyscy musimy robić dzień po dniu? Kiedy Biblia mówi o walce z Mocami, Zwierzchnościami i upadłymi, nadcielesnymi istotami na wysokościach -

notabene nasze przekłady są tu bardzo niecisłe - to do kogo właściwie się zwraca? Do zwykłych ludzi. To oni mają toczyć tę walkę.

- No tak, ale ośmielę się zauważyć, że to nieco inna sprawa. Przecież to się odnosi do konfliktu moralnego.

Ransom odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Och, Lewis, Lewis - powiedział. - Jesteś niezrównany, po prostu niezrównany!

- Mów, co chcesz, ale to naprawdę jest różnica.

- Oczywiście. Jest różnica. Ale nie aż taka, by uważać za megalomana kogoś, kto zamierza podjąć walkę bezpośrednią. Powiem ci, jak ja to widzę. Czy nie zauważyłeś, że w tej naszej małej ziemskiej wojnie są różne fazy i że ludzie bardzo łatwo zaczynają myśleć i zachowywać się tak, jakby dana faza miała trwać wiecznie? A przecież naprawdę wszystko się wciąż zmienia i ani nasze możliwości, ani zagrożenia nie są takie same, jak w roku ubiegłym. Otóż twój pogląd, że zwykli ludzie mogą walczyć z Ciemnymi Eldilami jedynie w sferze psychologicznej lub moralnej, na przykład odpierając pokusy, jest słuszny w odniesieniu do pewnej fazy wojny kosmicznej. Nazwijmy ją fazą wielkiego oblężenia, fazą, dzięki której nasza planeta uzyskała nazwę Tulkandry, czyli Milczącej Planety. A jeśli ta faza mija? Może w następnej fazie każdy będzie musiał stawić im czoło... no, w każdym razie w jakiś inny sposób?

- Rozumiem.

- Nie wyobrażaj sobie, że dlatego zostałem wybrany, by udać się na Perelandrę, bo jestem kimś niezwykłym. Nigdy się nie wie, a w każdym razie nie wcześniej, zanim to się stanie, dlaczego właśnie *ten*, a nie inny człowiek zostaje wybrany, by spełnić określone zadanie. A kiedy się już wie, okazuje się zwykle, że nie jest to wcale powód, z którego można być dumnym. A już na pewno powodem tym nie jest nigdy to, co ów człowiek uważa za swoją podstawową zaletę. Skłonny jestem raczej przypuszczać, że wybór dlatego padł na mnie, bo ci dwaj łądacy, którzy mnie porwali i uprowadzili na Malakandrę, zrobili coś, co wcale nie leżało w ich zamiarach: dali istotcie ludzkiej szansę opanowania języka.

- O jakim języku mówisz?

- O *hressa-hlab*, oczywiście. To ten język, którego się nauczyłem na Malakandrze.

- Ale przecież chyba sobie nie wyobrażasz, że na Wenus mówi się tym samym językiem!

- Nie mówiłem ci o tym? - Ransom wychylił się do przodu. Siedzieliśmy przy stole kończąc kolację składającą się z zimnego mięsa, piwa i herbaty. - Dziwne, bo odkryłem to już dwa lub trzy miesiące temu. Z naukowego punktu widzenia to najciekawszy aspekt całej tej sprawy. Myliliśmy się uważając *hressa-hlab* za język tylko Marsjan. Okazuje się, że to język całego Układu Słonecznego, *hlab-Eribol-ef-Cordi*, czyli stary język solarny.

- Co?! Język solarny?... Czy zdajesz sobie sprawę...

- Tak, to znaczy, że niegdyś rozumni mieszkańcy planet naszego Układu Słonecznego używali wspólnego języka. Oczywiście mam na myśli planety zamieszkane, te, które *eldile* nazywają Dolnymi Światami. Jak wiesz, większość naszych planet nigdy nie była i nie będzie zamieszkała, w każdym razie nie w tym sensie, w jakim my rozumiemy to słowo. Ten pierwotny język wymarł na Tulkandrze, czyli Ziemi, kiedy rozpoczęła się nasza tragedia. Nie pochodzi od niego żaden ze znanych obecnie języków ludzkich.

- No dobrze, ale przecież mówiłeś, że na Marsie są w użyciu trzy języki, nie jeden.

- Przyznam się, że i ja tego nie rozumiem. Wiem jedno, i mój głębi tego dowieść na gruncie czystej filologii, że te dwa pozostałe są nieporównywalnie młodsze od *hressa-hlab*, zwłaszcza *urnibur*, język sornów. Można wykazać, że *urnibur* jest w skali malakandryjskiej osiągnięciem całkiem świeżym. Wątpię, czy jego początki można datować wcześniej niż na nasz okres

kambryjski.

- I sądzisz, że na Wenus znajdziesz ten *hressa-hlab*, czyli stary język solarny?

- Tak. Przybędę tam, znając już język. To oszczędzi wielu kłopotów, chociaż muszę wyznać, że jako filologa wcale mnie to nie cieszy.

- I zupełnie nie wiesz, co masz tam robić i co tam zastaniesz?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, czego się ode mnie oczekuje. Widzisz, bywają takie zadania, że lepiej z góry nie wiedzieć zbyt wiele... Czasem efekt tego, co ma się powiedzieć, jest większy, jeśli mówi się bez przygotowania. A co do warunków na Wenus... Cóż, zbyt wiele o nich nie wiem. Będzie ciepło, bo mam podróżować nago. Niestety, nasi astronomowie nie potrafią nic powiedzieć o powierzchni Perelandry, bo jej zewnętrzna atmosfera jest zbyt gęsta. Nie jest nawet pewne, czy planeta obraca się wokół swojej osi, a jeśli tak, to z jaką prędkością. Są dwie szkoły. Jest taki uczonek, Schiaparelli, który twierdzi, że obrót Wenus wokół swej osi trwa tyle, ile jej pełne okrążenie wokół Arbola... to znaczy Słońca. Inni sądzą, że obraca się w ciągu dwudziestu trzech godzin. To będzie jedna z tych spraw, które ustalę na miejscu.

- Jeśli Schiaparelli ma rację, to na jednej półkuli panuje wieczny dzień, a na drugiej wieczna noc.

- Tak - powiedział Ransom i zamyślił się. - Ależ to by była niesamowita granica! - dodał po chwili. - Pomyśl tylko! Wkraczasz do krainy wiecznego zmierzchu, z każdym krokiem robi się coraz zimniej i ciemniej, aż w końcu nie możesz już iść dalej, bo dochodzisz do miejsca, w którym brakuje powietrza. Ciekawe, czy można stanąć po stronie dnia i patrzeć w noc, której nigdy się nie osiągnie... I widzieć kilka gwiazd niedostrzegalnych z krainy dnia... No, jeśli tam jest cywilizacja i nauka, to mogą się poruszać po krainie nocy w skafandrach albo pojazdach w rodzaju łodzi podwodnych na kołach...

Jego oczy płonęły i nawet ja odczułem dreszcz tęsknoty i żądzy wiedzy, chociaż przede wszystkim myślałem o tym, że będzie mi go brak, i że prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczę.

- Nie zapytałeś dotąd, na czym ma polegać *twoja* rola - odezwał się Ransom po chwili milczenia.

- Czy... chcesz powiedzieć, że mam ci towarzyszyć?... - zapytałem, czując dreszcz zupełnie innego rodzaju.

- Ależ nie! Musisz mnie tylko zapakować i... jeżeli wszystko pójdzie dobrze... odpakować po moim powrocie.

- Zapakować? Ach, zapomniałem o twojej trumnie! Na miłość boską Ransom, jak sobie wyobrażasz podróż w czymś takim? Co będzie siłą napędową? Co z powietrzem, wodą, jedzeniem? Przecież tam starczy miejsca tylko dla ciebie!

- Siłą napędową będzie sam Ojarsa Malakandry. On po prostu przeniesie tę trumnę na Wenus. Nie pytaj jak, bo sam nie mam pojęcia. Ale istota, która przez kilka bilionów lat utrzymuje planetę na orbicie, chyba sobie poradzi z taką skrzynką.

- Ale co będziesz jadł? Czym będziesz oddychał?

- Ojarsa mówi, że obejdę się bez tego. O ile zdołałem zrozumieć, będę w stanie zawieszenia czynności życiowych. Próbował mi to opisać, ale niczego nie rozumiałem. W końcu to jego sprawa.

- I to cię zadowala? - zapytałem, czując, jak znowu ogarnia mnie zgroza.

- Jeżeli pytasz o to, czy mój rozum akceptuje przekonanie, iż pomijając jakieś nieprzewidziane wypadki, Ojarsa przetransportuje mnie bezpiecznie na powierzchnię Perelandry, to odpowiedź brzmi: tak. Jeśli jednak pytasz, czy moje nerwy i wyobraźnia podzielają to przekonanie, odpowiem: nie. Można wierzyć w anestezjologię, a mimo to odczuwać lęk, gdy przed operacją nakładają ci

maskę na twarz. Chyba czuję się jak człowiek wierzący w życie pozagrobowe, który ma stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Ale może to i dobra zaprawa na przyszłość.

- I ja mam cię zapakować do tej piekielnej skrzyni?

- Tak - odparł Ransom. - To twoje pierwsze zadanie. Gdy tylko wzejdzie słońce, musimy przenieść ją do ogrodu i ustawić tak, by na jej drodze nie było drzew lub budynków. Myślę, że najlepszy będzie zagon kapusty. Potem wejdę do środka z bandażem na oczach, bo ścianki tej skrzyni przepuszczają słońce, a ty nałożysz wieko i dobrze je zaśrubujesz. A potem... cóż, chyba zobaczysz, jak skrzynia poszybkuje w powietrze.

- I co dalej?

- Tu zaczyna się trudniejsza część twojego zadania. Musisz być przygotowany na szybki powrót tutaj, gdy tylko zostaniesz wezwany, żeby zdjąć wieko i wypuścić mnie, kiedy wyląduję.

- Jak sądzisz, kiedy to może nastąpić?

- Tego nie wiem. Może za sześć miesięcy, może za rok, a może za dwadzieścia lat. W tym cały kłopot. Obawiam się, że obarczam cię dość ciężkim obowiązkiem.

- Przecież mogę do tego czasu umrzeć.

- Myślałem o tym. Musisz od razu wybrać sobie jakiegoś następcę. W końcu znamy chyba czterech czy pięciu ludzi, którym możemy zaufać.

- Jak zostanę wezwany?

- Ojarsa da ci znać. Nie bój się, rozpoznasz wezwanie, gdy nadejdzie. Nie powinieneś się tym kłopotać. I jeszcze jedno. Nie mam szczególnych powodów, by sądzić, że wrócę ranny, ale na wszelki wypadek znajdź jakiegoś zaufanego lekarza i przywieź ze sobą.

- Myślisz, że Humphrey by się nadawał?

- Idealnie! A teraz kilka bardziej osobistych spraw. Musiałem cię pominąć w testamencie i chcę, abyś wiedział dlaczego.

- Ależ Elwin, jeszcze nigdy nie pomyślałem o spadku po tobie!

- Nie wątpię. Bardzo bym jednak chciał zostawić ci coś po sobie, a jeśli tego nie czynię, to dlatego, że próbuję wszystko przewidzieć. W końcu zamierzam zniknąć i nie można wykluczyć, że na zawsze. Nietrudno sobie wyobrazić, że może być śledztwo, a nawet osądzenie o morderstwo. W tych sprawach trzeba być bardzo ostrożnym. Więc jeśli cię pomijam w testamencie, to tylko dla twojego dobra. A teraz jeszcze parę drobnych spraw prywatnych.

Przez dłuższy czas rozmawialiśmy poufnie o sprawach, o których zwykle mówi się raczej w gronie krewnych niż przyjaciół. Przy tej okazji poznałem Ransoma lepiej, a liczba dziwnych ludzi, których polecił mojej opiece („jeśli tylko będziesz w stanie coś dla nich zrobić”), powiedziała mi wiele o rozmiarach jego dyskretnej działalności charytatywnej. Mijały minuty i na każde wypowiedziane zdanie kładł się coraz gęstszy cień bliskiego rozstania, pogrążając nas w jakimś grobowym nastroju. Przyłapałem się na tym, że zwracam tkliwą uwagę na jego różne drobne gesty i charakterystyczne wyrażenia, jakie zwykle dostrzegamy u ukochanej kobiety, a u mężczyzny tylko wówczas, gdy dobiegają ostatnie godziny jego życia, lub gdy zbliża się dzień jakiejś bardzo ryzykownej operacji. Poddawałem się chętnie właściwemu ludzkiej naturze niedowiarstwu i odsuwałem od siebie myśl, że to, co było teraz tak bliskie, tak dotykane i (w pewnym sensie) tak bardzo zależne od mojej woli, będzie za kilka godzin nieuchwytnie, stanie się tylko obrazem - a wkrótce obrazem bardzo mglistym - w mojej pamięci. Wreszcie zapanowało między nami coś w rodzaju zażenowania, bo każdy zdawał sobie sprawę, co czuje drugi. Zrobiło się bardzo chłodno.

- Niedługo musimy ruszać - rzekł Ransom.

- Chyba nie wcześniej, niż... Ojarsa wróci - powiedziałem, chociaż, prawdę mówiąc, wolałbym, żeby już było po wszystkim.

- Nigdy nas nie opuszczał - odpowiedział Ransom. - Przez cały czas jest w domu.

- Chcesz powiedzieć, że przez tyle godzin czekał w sąsiednim pokoju?

- Nie, nie czekał. Eldile nie znają czegoś takiego. My przeżywamy oczekiwanie, ponieważ mamy ciało, które męczy się i nuży, a wobec tego potrafimy odczuwać kumulujące się przemijanie. Rozróżniamy czas pracy i czas odpoczynku, stworzyliśmy nawet pojęcie „czasu wolnego”. Z Ojarsą jest zupełnie inaczej. Był tu przez cały czas, ale powiedzieć o nim, że *czekał*, to tak, jak nazwać całe jego istnienie *czekaniem*. Równie dobrze można by powiedzieć, że czeka drzewo w lesie albo światło słońca na zboczu wzgórza.

Zapanowała cisza. Ransom ziewnął.

- Jestem zmęczony, a i ty chyba też. No, ale wyśpię się dobrze w mojej trumnie. Chodźmy. Trzeba ją wytaszczyć z domu.

Przeszliśmy do sąsiedniego pokoju i tu stanąłem ponownie przed owym bezkształtnym światłem, które nie czeka, lecz po prostu jest. Przy pomocy Ransoma jako tłumacza zostałem w pewnym sensie przedstawiony i zaprzysięzony jako uczestnik wielkiej sprawy. Potem zdjęliśmy z okien zasłony, wpuszczając do środka ponurą szarość brzasku, i wynieśliśmy skrzynię z pokrywą na zewnątrz. Były tak zimne, że aż parzyły w palce. Na trawie leżała gęsta rosa i natychmiast przemoczyłem nogi. Eldil towarzyszył nam, unosząc się nad niewielkim trawnikiem, choć w świetle dziennym był prawie niewidoczny.

Ransom pokazał mi, gdzie są i jak działają zatraski mocujące wieko. Teraz nadszedł czas nieznośnego, dłużącego się oczekiwania, kiedy nie bardzo było wiadomo, co z sobą zrobić. Aż w końcu Ransom poszedł jeszcze raz do domu, a potem wrócił nagi: biała, trzęsąca się z zimna postać, sprawiająca zupełnie groteskowe wrażenie o szarym świecie, w zagonie mokrej od rosy kapusty. Wszedł do tej ohydnej skrzyni, kazał zawiązać sobie oczy grubym, czarnym bandażem i położył się. Nie byłem w stanie myśleć o planecie Wenus i nie wierzyłem, że kiedykolwiek jeszcze go zobaczę. Miałem nawet ochotę wycofać się z tego wszystkiego i pewnie bym tak zrobił, gdyby nie obecność tej istoty - tej, która nie czeka. Z uczuciem, które od tego czasu powraca do mnie w koszmarnych snach, zamknąłem lodowate wieko nad żywym człowiekiem i cofnąłem się kilka kroków. W następnej chwili byłem już sam. Nie wiem jak i kiedy trumna zniknęła. Wszedłem do domu i zrobiło mi się niedobrze. W kilka godzin później pozamykałem dom i wróciłem do Oksfordu.

A potem wolno mijały miesiące, minął rok, obfitujący w naloty bombowe, złe wiadomości i zawiedzione nadzieje, a cała Ziemia pograżyła się w mrokach grozy i okrucieństwa. I nagle pewnej nocy przyszedł do mnie Ojarsa. Dla mnie i dla Humphreya oznaczało to pospieszną podróż w zatłoczonych korytarzach wagonów i nocne wyczekiwanie w zimnych podmuchach wiatru na peronach, aż w końcu nadszedł moment, gdy staliśmy obaj w porannym słońcu pośród bujnych chwastów, jakimi zdążył zarosnąć ogród Ransoma.

Na wschodnim nieboskłonie pojawiła się czarna plamka i niemal natychmiast biała skrzynia wylądowała cicho pomiędzy nami. Rzuciliśmy się do niej i nim minęła minuta, zdjęliśmy pokrywę.

- Wielki Boże! - zawołałem zajrzawszy do środka. - Roztrzaskany na miazgę!

- Nie spiesz się tak z diagnozą - powiedział spokojnie Humphrey i zanim skończył mówić, postać w trumnie poruszyła się i usiadła, strząsając z siebie jakąś czerwoną masę. W tym, co w pierwszej chwili wziąłem za krwawe szczątki ludzkie, teraz rozpoznałem czerwone kwiaty. Ransom zamrugał oczami, rozejrzał się trochę nieprzytomnie, a potem zawołał nas po imieniu i uścisnął nam dłonie.

- Jak się macie? - zapytał. - Nie wyglądacie za dobrze.

Milczałem, zdumiony widokiem postaci, która powstała z trumny.

Był to zupełnie nowy Ransom, tryskający zdrowiem, muskularny i młodszy o jakieś dziesięć

lat. Przed rokiem zauważyłem u niego kilka siwych włosów; teraz bujna grzywa i broda spływająca mu na piersi miały kolor czystego złota.

- Ej, skaleczyłeś się w stopę - rzekł Humphrey. Dopiero teraz zauważyłem krew ciekącą z pięty Ransoma.

- Brr, strasznie tu zimno - powiedział, gdy szliśmy w kierunku domu. - Mam nadzieję, że uruchomiliście bojler. Marzę o gorącej kąpeli i o ubraniu się w coś ciepłego.

- Oczywiście - odpowiedziałem. - Humphrey o wszystkim pomyślał. Ja bym chyba o tym nie pamiętał.

Wkrótce Ransom zniknął w kłębach pary buchających z łazienki, a Humphrey i ja zasypywaliśmy go pytaniami stojąc na półpiętrze.

- Ta teoria Schiaparellego jest całkowicie błędna! - odkrzykiwał Ransom. - Mają normalny dzień i normalną noc... Nie, pięta mnie nie boli... no, może dopiero zaczyna... Tak, może jakieś stare ubranie. Zostawcie je na krześle... Och nie, bardzo dziękuję, ale jakoś nie mam ochoty na bekon z jajkiem. Nie ma żadnych owoców?... Nie szkodzi, może być chleb i owsianka... Za pięć minut będę gotowy...

Nieustannie też dopytywał się, czy naprawdę nic nam nie jest. Zszedłem na dół, aby przygotować śniadanie, a Humphrey został, chcąc zbadać i opatrzyć ranę w jego stopie. Kiedy w końcu przyszedł do kuchni, oglądałem właśnie jeden z czerwonych płatków, którymi wysłana była trumna.

- Spójrz, jakie to piękne - powiedziałem wręczając go Humphreyowi.

- Rzeczywiście - przyznał, przyglądając mu się badawczo okiem naukowca. - Cóż za niezwykła delikatność! Nasz angielski fiołek wyglądałby przy nim jak pospolite zielsko.

- Warto by włożyć trochę tych kwiatów do wody.

- E, chyba nic z tego nie będzie. Zobacz, już więdną.

- Co myślisz o stanie Ransoma?

- Ogólnie biorąc, pierwszorzędny. Nie podoba mi się tylko ta pięta. Mówi, że krwawi już od dawna.

W tej chwili zszedł Ransom, kompletnie ubrany. Nalałem wszystkim herbaty. Cały ten dzień i część nocy spędziliśmy na słuchaniu jego opowieści.

Rozdział 3

Ransom nie opisał nam nigdy podróży w niebiańskiej trumnie. Twierdził, że nie potrafi. Jeśli mogę coś o niej powiedzieć, to tylko na podstawie dziwnych uwag i aluzji, jakie zdarzało mu się od czasu do czasu wygłosić podczas rozmów na zupełnie inne tematy.

Z tego, co mówił, wynikało, że nie był w czasie lotu świadomy, przynajmniej w tym sensie, jaki zwykle nadajemy temu pojęciu, bo jednak doznawał jakichś szczególnych, bardzo przyjemnych odczuć. Pewnego razu ktoś mówił przy nim o „ogłądaniu życia” w utartym sensie, a więc o włączaniu się po świecie i poznawaniu różnych ludzi. Obecny przy tym B., wyznawca antropozofii, powiedział wówczas coś, czego dobrze nie pamiętam, polemizując z takim rozumieniem „ogłądania życia”. Chodziło mu chyba o pewien system medytacji, dzięki któremu „sama forma życia” staje się widzialna dla „wewnętrznego oka”. W każdym razie Ransom włączył się do rozmowy, niezbyt ostrożnie ujawniając, że to pojęcie wiąże się dla niego z bardzo konkretnym przeżyciem. Wywiązała się ożywiona dyskusja, w której mój przyjaciel został zasypywany pytaniami. Pod ich naciskiem wyznał, że w pewnych określonych warunkach życie jawiło mu się jako „barwny kształt”. Zapytany o konkretny kolor, zrobił dziwną minę i powiedział tylko:

- Ach, cóż to były za barwy! - a potem dodał, jakby zaprzeczając samemu sobie: - Oczywiście to nie były w ogóle kolory w naszym znaczeniu.

Po tych słowach zamilkł i nie odzywał się już do końca wieczoru.

Innym razem nasz sceptycznie nastawiony znajomy, niejaki McPhee, atakował chrześcijańską doktrynę o zmartwychwstaniu ciał. Chwilowo ja byłem jego ofiarą. Przyciskał mnie do muru w typowo szkocki sposób, zadając takie pytania, jak:

- A więc sądzisz, że będziesz miał wiecznie kaktus i podniebienie w świecie, w którym nie będzie żarcia? Że będziesz miał genitalia w świecie bez kopulacji? Człowieku, ale sobie użyjesz!

Na to Ransom nagle wybuchnął:

- Czy nie rozumiesz, ośle, że jest różnica między życiem trans-sensualnym i życiem a-sensualnym?

Naturalnie McPhee natychmiast skierował swe działa na niego. Z dalszej wymiany zdań wynikało, że według Ransoma po zmartwychwstaniu obecne funkcje i żądze ciała zanikną, nie dlatego, że po prostu zamrą, lecz dlatego, że zostaną, jak się wyraził, „pochłonięte”. Pamiętam, że użył też w dyskusji słów „życie trans-seksualne” i zaczął szukać jakiegoś podobnego słowa w odniesieniu do czynności jedzenia. Nowotwór „życie trans-gastronomiczne” nie przypadł mu do gustu, a że nie był jedynym filologiem w towarzystwie, rozmowa zbiecła na inne tory. Jestem jednak przekonany, że nawiązywał wówczas do swoich przeżyć z okresu podróży na Wenus.

Chyba najbardziej zagadkowa uwaga padła z jego ust przy innej okazji. Zadałem mu wówczas wprost pytanie na ten temat (a bardzo rzadko na to w ogóle pozwalał) i widząc jego niechęć do odpowiedzi, dodałem:

- Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wszystko to było dla ciebie zbyt nieuchwytnie, byś to mógł ująć w słowa.

Ransom zareagował bardzo ostro jak na człowieka tak zrównoważonego:

- Przeciwnie, to słowa są zbyt nieuchwytnie! Jeśli trudno mi o tym mówić, to dlatego, że to przeżycie było *zbyt konkretne* jak na możliwości naszego języka.

To wszystko, co mogę powiedzieć o samym locie na Wenus. Jedno jest pewne: wrócił stamtąd jeszcze bardziej zmieniony niż z Marsa. Ale, rzecz jasna, mogło to być skutkiem nie tyle samego

lotu, co wydarzeń, jakie miały miejsce już po wylądowaniu.

Opiszę teraz to lądowanie zgodnie z relacją Ransoma.

Obudził się (jeśli to wyrażenie właściwe) ze swego trudnego do opisanego, niebiańskiego stanu, czując, że „spada”, a więc innymi słowy wówczas, gdy znajdował się dostatecznie blisko Wenus, by odczuwać ją „w dole”. Było mu bardzo gorąco z jednego boku i bardzo zimno z drugiego, chociaż doznania te nie były aż tak silne, by mu sprawiały przykrość. W każdym razie i tak wkrótce zostały pochłonięte przez przeraźliwie białe światło, przenikające od dołu przez półprzezroczyste ścianki skrzyni. Przybierało wciąż na sile i w końcu, pomimo czarnego bandaża, jaki mu zawiązałem na oczach, stało się bardzo uciążliwe. Było to bez wątpienia *albedo*, zewnętrzna powłoka bardzo gęstej atmosfery Wenus, która odbija promienie Słońca z niesłychaną mocą. Z jakichś niewytłumaczonych powodów nie odczuwał szybko rosnącej wagi swego ciała, co - jak pamiętał - miało miejsce przed lądowaniem na Marsie. W momencie, gdy białe światło stało się naprawdę trudne do zniesienia, nagle znikło zupełnie. Wkrótce po tym poczucie zimna z lewej strony i gorąca z prawej zaczęło słabnąć, aż w końcu ogarnęło go jednolite, łagodne ciepło. Sądzę, że znajdował się już w atmosferze Wenus - najpierw w bladym, póź niej w coraz silniej nasyconym barwami blasku. Dominował kolor złota i miedzi, tak przynajmniej widział to przez niezupełnie przezroczyste ścianki swojej trumny, która opadała pionowo ku powierzchni planety, tak że miał uczucie, jakby zjeżdżał w ciasnej kabinie windy. Był to dość niemiłe przeżycie: niesamowita szybkość, poczucie bezradności i uwięzienia. A potem nagle ogarnęła go zielonawa ciemność, usłyszał trudny do zidentyfikowania dźwięk - pierwszy odgłos nowego świata - a jednocześnie temperatura wyraźnie się obniżyła. Jego pojazd przybrał pozycję poziomą i przestał opadać w dół - przeciwnie: zaczął się wznosić do góry! Ransom był tym tak zdumiony, że w pierwszej chwili pomyślał to za złudzenie.

Od pewnego czasu musiał nieświadomie poruszać kończynami, bo nagle stwierdził, że ściany jego ciasnego więzienia ustępują pod naciskiem. Tak, naprawdę *poruszał* rękami i nogami w czymś, co sprawiało wrażenie kleistej mazi.

Co się stało z trumną? Doznawał teraz niesamowitych, sprzecznych odczuć. Czasem zdawało mu się, że opada, czasem, że unosi w górę, to znowu, że szybkuje poziomo. Mazista substancja była biała. Miał wrażenie, że z każdą chwilą jest jej mniej... Biała, mętna substancja, barwą przypominająca tworzywo tej dziwnej trumny, tyle że na pewno nie ma cech ciała stałego... I nagle, z dreszczem zgrozy, uświadomił sobie, że to *jest* jego skrzynia, jego kosmiczny pojazd, topniejący, rozpływający się w trudnej do opisanego mieszaninie barw, ustępujący miejsca bogatemu, mieniącemu się i zmieniającemu światu, w którym nic, przynajmniej w tym momencie, nie byłoby namacalne. Jeszcze chwila - i skrzynia przestała istnieć. Był uwolniony - przekazany - samotny. Był na Perelandrze.

Jego pierwsze wrażenie bardzo trudno opisać słowami. Zobaczył coś ukośnego, jakby patrzył na fotografię zrobioną krzywo ustawionym aparatem. Ale i to wrażenie trwało zaledwie chwilę. Pierwsza pochyłość ustąpiła miejsca drugiej, o innym kącie nachylenia, potem obie wystrzeliły w górę, połączyły się i utworzyły szczyt, lecz już w następnej chwili ów szczyt spłaszczył się do linii poziomej, a potem ta linia pochyliła się i oto była już krawędzią gigantycznego, lśniącego zbocza, które pomknęło ku niemu z przerażającą szybkością. W tym samym momencie poczuł, że coś unosi go w górę, coraz wyżej i wyżej, aż zdawało mu się, iż dosięgnął płomienistej złotej kopuły, która wisiała nad nim zastępując sklepienie nieba. Był już na samym szczycie. Ujrzał otwierającą się pod nim bezkresną dolinę, połyskującą szklistą zielenią i poznaczoną jak marmur białymi, pianistymi żyłami, i prawie w tej samej chwili runął w tę zieloną czeluść z szybkością trzydziestu mil na godzinę. Nagle uświadomił sobie, że całe jego ciało nurza się w cudownym chłodzie, że stopy nie

znajdują żadnego oparcia i że od pewnego czasu wykonuje bezwiednie ruchy pływaka. Unosiła go potężna, gładka fala jakiegoś oceanu, orzeźwiającego i chłodnego po nieznośnym żarze Niebios, lecz według ziemskich pojęć ciepłego, jak wody płytkiej, piaszczystej zatoki w podzwrotnikowym klimacie. Kiedy po chwili zaczął się wznosić po wypukłym zboczu kolejnej fali, trochę wody dostało mu się do ust. Nie była słona, przypominała świeżą ziemską wodę, lecz różniła się od niej nieuchwytnym, mineralnym posmakiem. Choć nie odczuwał dotąd pragnienia, teraz ów łyk płynu sprawił mu zadziwiająco przyjemność - prawie taką, jakby po raz pierwszy w życiu zakosztował samej czystej Rozkoszy. Zanurzył rozgrzaną twarz w półprzejrzystej zieloności, a kiedy wychynął na powierzchnię, zobaczył, że ponownie jest na szczycie fali.

Nigdzie nie było ładu. Dziwnie płaskie, złociste sklepienie nieba przypominało tło średniowiecznego malowidła. Zdawało się bardzo odległe, jak lekkie cirrusy oglądane z Ziemi. Jak można się było spodziewać, ocean miał również barwę złota, nakrapianego niezliczonymi cieniami w bruzdach fal. Najbliższe fale, połyskujące złotem na szczytach, tam, gdzie chwytają światło nieba, w dole przechodziły w zieleń: najpierw szmaragdową, niżej przypominającą barwę ciemnych, lśniących butelek, jeszcze głębiej prawie granatową w cieniu sąsiednich fal.

Wszystko to Ransom uchwycił jednym krótkim spojrzeniem, gdyż natychmiast osunął się z zawrotną szybkością w kolejną cieniastą dolinę. Tym razem udało mu się przekręcić na plecy. Ujrzał, jak złote sklepienie nieba rozedrgało się szybkimi błyskami jaśniejszych światel, niby sufit łązienki z tańczącymi nań słonecznymi plamami odbitymi od wody w wannie, do której wchodzi się w letni poranek. Odgadł, że są to odbicia fal pochodzące z miejsca, w którym pływał. Jak później się okazało, zjawisko to można obserwować na tej planecie miłoścy przez większość dni w roku. Królowa tego oceanu może się nieustannie przeglądać w niebiańskim zwierciadle.

I znowu w górę, na sam szczyt fali - i wciąż nie widać żadnego ładu. Daleko, po lewej stronie, uchwycił spojrzeniem coś przypominającego obłok - a może to jakieś okręty? Teraz w dół, coraz niżej i niżej - zdawało mu się, że już nigdy nie dosięgnie dna wodnej doliny. Tym razem, patrząc w górę, zauważył, że oświetlenie jest tu dziwnie przyćmione, jakby pozbawione blasku. Na Ziemi taka cudowna, rozkoszna kąpiel w ciepłych falach morza kojarzy się natychmiast z oślepiającym słońcem. Lecz tu, nad Perelandrą nie było słońca. Woda lśniła, niebo płonęło złotem, lecz cały ten przepych barw był jakby zmatowiały; Ransom sycił się nim swobodnie, nie będąc zmuszony do mrużenia powiek. Opisując krajobraz Perelandry, użył z konieczności słów „zieleń” i „złoto”, ale tak naprawdę były one - jak mówił - zbyt szorstkie dla oddania delikatnej opalizacji i subtelnego przepychu tego ciepłego, macierzyńskiego świata. Był to świat łagodny jak pogodny wieczór, ciepły jak letnie popołudnie, cichy i zwycięski jak wczesny poranek. Chłonąc ten świat spojrzeniem, węchem, dotykiem, nie mógł się powstrzymać od głębokiego westchnienia rozkoszy.

Lecz w następnej chwili ujrzał przed sobą falę tak wysoką, że rozkosz ustąpiła nagle miejsca przerażeniu. W naszym świecie mówimy bez zająknięcia o „górach wodnych” na wzburzonym morzu, chociaż największe fale nie przewyższają masztu. Tutaj to poró wnanie w pełni oddawało rzeczywistość. Gdyby ów potworny garb, piętrzący się nad nim, był wzgórzem na lądzie, musiałby wspinać się na jego szczyt przez całe popołudnie. Fala wchłonęła go w siebie na dnie wodnej doliny i w ciągu kilku sekund uniosła w górę, lecz zanim znalazł się na samym szczycie, z trudem powstrzymał okrzyk przerażenia. Ujrzał nad sobą straszliwy grzebień: jakieś zębate, postrzępione, fantastyczne kształty - nienaturalne, bo na pozór niepłynne - wieńczyły szczyt fali. Skały? Piana? Żywe potwory? Te pytania zapłonęły mu w głowie jak ostrzegawcze sygnały, lecz nie było czasu na odpowiedź. Instynktownie zamknął oczy. Kiedy je znów otworzył, osuwał się już ponownie po zboczu fali. Nie wiedział, przez co przepłynął, ale na pewno nie miał złudzenia: przed sekundą wyraźnie poczuł uderzenie w twarz. Przesunął ręką po policzku, lecz nie wyczuł zranienia. Musiało

go uderzyć coś miękkiego, coś, co nie wyrządziło mu krzywdy, tylko smagnęło po twarzy jak batem, z powodu szybkości, z jaką na to wpadł. Odwrócił się znowu na wznak w chwili, gdy zaczął mknąć w górę po stromym zboczu kolejnego grzbietu. Pod sobą, na dnie przepastnej doliny, ujrzał to, co wyminął tak szczęśliwie. Był to dziwny obiekt o nieregularnych, pełnych krzywizn i wklęsłych kształtach, mieniący się kolorami, jak kołdra zrobiona ze skrawków różnych tkanin. Dostrzegł barwy złota, ultramaryny, purpury, gumiguty [Gumiguta - barwna żółwica otrzymywana z soku niektórych drzew egzotycznych rodzaju *garcinia*, stosowana w malarstwie jako barwnik (przyp. tłum.)] pomarańczy, fioleto. Na dokładniejszą obserwację nie miał czasu. Czymkolwiek był ten obiekt, musiał unosić się na wodzie, bo wspiał się szybko po zboczu następnej fali i zniknął za jej grzbietem. Ransom zdążył tylko zauważyć, że przylegał do powierzchni wody jak skóra, odtwarzając jej krzywizny i załamania, bo na samym szczycie fali załamał się tak, że w połowie był już niewidoczny, a w połowie zwiślał po tej stronie grzbietu. Zachowanie obiektu przypominało trochę płat grubej rzęsy na powierzchni stawu, wiernie odtwarzający pofałdowania wody powstałe przy poruszeniach wiosła. Tylko proporcje były nieco inne, bo to coś miało powierzchnię przynajmniej trzydziestu akrów.

Słowa nie nadążają za życiem. Trzeba pamiętać, że od wylądowania Ransoma na Wenus nie minęło nawet pięć minut. Nie odczuwał zmęczenia ani poważniejszego niepokoju o swój los. Ufał tym, którzy go tu wysłali, a chłód wody i swoboda ruchów sprawiały mu prawdziwą przyjemność. Ale prócz tego czuł jeszcze coś, o czym już napomknąłem, a co trudno jest oddać słowami: jakby przesadną rozkosz działającą na wszystkie zmysły jednocześnie. Użyłem określenia „przesadna rozkosz”, bo gdy sam Ransom próbował przybliżyć mi to uczucie, powiedział, że przez pierwsze dni pobytu na Perelandrze przenikało go zdumienie z powodu braku jakiegokolwiek poczucia winy. Czuł jakąś obfitość lub nawet nadmiar rozkoszy płynącej z doznawania życia jako takiego - uczucie, które rodzaj ludzki niemal automatycznie kojarzy z zakazanymi i dalekimi od umiaru uciechami.

A jednak nowy świat potrafił być również groźny. Ledwo stracił z oczu ów dziwny, pływający obiekt, gdy poraziła go straszliwa jasność. Pochyliła, błękitnofioletowa iluminacja rozświetliła cały krajobraz, tak że złoto nieba stało się niemal czarne. W jednej sekundzie dostrzegł tyle, ile nie zdołał zobaczyć od momentu wyłonienia się z zanikającej skorupy kosmicznego pojazdu. Ujrzał przed sobą bezkres fal, a daleko, gdzieś na samym krańcu tego świata, samotną, gładką kolumnę widmowej zieleni, rysującą się ostro na tle nieba - jedyny nieruchomy i pionowy kształt pośród rozkołysanego, pofałdowanego oceanu. Potem oślepiająca zorza zgasła, pograżając świat prawie w ciemnościach. Rozległ się grzmot. Brzmiał nieco inaczej niż na Ziemi, był bardziej dźwięczny, a nawet - gdy zanikał w oddali - przywodził na myśl melodyjne dzwonięcie. Był to raczej śmiech, a nie ryk niebios. A potem zajaśniała nowa błyskawica, potem jeszcze jedna i rozszalała się burza. Napłynęły ogromne, purpurowe chmury i nagle, bez jednej kropli ostrzeżenia, lunął taki deszcz, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Nie były to strugi: woda spadająca z chmur zdawała się tylko trochę rzadsza od wody w morzu, tak że z trudem łapał powietrze. Błyskawice nieustannie rozrywały przymgloną, różową poświatę. W krótkich przerwach pomiędzy nimi dostrzegał teraz zupełnie odmieniony świat. Czuł się tak, jakby go zawieszono w samym środku tęczy albo w obłoku różnobarwnej pary. Wypełniająca powietrze woda zmieniła morze i niebo w chaos wirujących, przejrzystych jaskrawości. Był oszołomiony, oślepiiony i po raz pierwszy trochę przestraszony. W świetle błyskawic widział tylko bezkresne morze i ową nieruchomą zieloną kolumnę na końcu świata. Nigdzie nie było lądu, nigdzie nie było nawet skrawka barwy przywodzącej na myśl brzeg.

Nieustanny grzmot ogłuszał, a woda utrudniała oddychanie. Wraz z ulewą spadały do oceanu jakieś drobne kształty; obserwując je doszedł do wniosku, że to żywe stworzenia. Przypominały

uduchowione, zwiewne, pełne wdzięku żaby ubarwione jak ważki. Nie był jednak w stanie dokładniej im się przyjrzeć. Zaczynał odczuwać pierwsze oznaki zmęczenia, a orgia barw w atmosferze wprawiała go w oszołomienie. Nie potrafił określić, jak długo to wszystko trwało, zapamiętał tylko, że w pewnym momencie fale zaczęły się wyraźnie zmniejszać. Odnosił wrażenie, że zbliża się do skraju łańcucha wodnych gór, z którego spogląda na rozległą morską nizinę. Przez długi czas nie mógł jednak do niej dotrzeć, bo wody, które z daleka wydawały się spokojne, okazywały się wciąż falami tylko trochę niższymi od tych, przez które przebył. W polu widzenia pojawiły się też jakieś wielkie obiekty. Z daleka sprawiały wrażenie łańcucha wysp, lecz gdy podpłynął bliżej, zobaczył flotyllę owych dziwnych, różnobarwnych mat.

W końcu jednak morze zaczęło się naprawdę uspokajać. Ulewa minęła. Fale miały rozmiary najwyżej atlantyckie. Tęczowe barwy nie były już tak agresywne, lecz bardziej przejrzyste. Złociste niebo wyjrzało zza nich najpierw nieśmiało, a wkrótce zaśniło matowo nad całym widnokregiem. Fale wciąż mały. Ransom począł oddychać swobodniej. Był jednak naprawdę zmęczony i teraz, gdy już przeminął chaos burzy, zaczął odczuwać lęk.

Jeden z wielkich, pływających obiektów zsuwał się właśnie po zboczu fali odległej o jakieś kilkaset metrów. Obserwował go uważnie, zastanawiając się, czy nie można by na nim odpocząć. Podejrzewał jednak, że okaże się plamą gęstej rzęsy lub koroną podwodnych roślin, zbyt wiotkich, by utrzymać jego ciężar. Ale po chwili ten właśnie obiekt wypłynął na grzbiet fali i przez chwilę zawisł na tle nieba. Wcale nie był płaski. Z jego brązowej powierzchni wyrastały pierzaste, zmierzwiowane wypustki o różnej wysokości, prawie czarne na tle matowozłotego sklepienia. Nagle wszystkie przechyliły się w jedną stronę, gdy cały obiekt załamał się na grzbiecie fali i zniknął mu z oczu. Niebawem jednak ujrzał inny, i to zaledwie trzydzieści metrów od siebie. Kiedy popłynął ku niemu, poczuł, jak bardzo słabe i obolałe ma ręce; po raz pierwszy przeszył go dreszcz prawdziwego przerażenia. Podpłynął blisko, by dostrzec, że to coś jest zakończone niewątpliwie roślinnymi frędzlami: wlecze za sobą ciemnoczerwony fartuch splecionych rurek, sznurów i pęcherzy. Chciał je schwytać, ale był jeszcze za daleko, zaczął więc rozpaczliwie młócić wodę rękami, bo obiekt mijał go z szybkością około dziesięciu mil na godzinę. Ponownie wyciągnął ręce, lecz garść wypustek, podobnych do rzemieni bata, wyśliznęła mu się z dłoni, boleśnie ocierając skórę. Wreszcie rzucił się do przodu i trafił całym ciałem w płataninę bulgoczących lian i pękających z traskiem pęcherzy, przypominającą gęsty rosół z makaronem. W następnej chwili zdołał schwycić rękami coś bardziej stałego, przypominającego miękkie, rozmokłe drewno. Wreszcie, bez tchu i z potłuczonymi boleśnie kolanami, legł twarzą w dół na gąbczastej powierzchni. Podciągnął się z wysiłkiem nieco dalej i odetchnął z ulgą. Nie zapadła się pod nim, można na tym leżeć.

Chyba bardzo długo leżał tak na brzuchu, nie robiąc nic i nic myśląc o niczym. Kiedy w końcu przyszedł do siebie, poczuł się całkowicie wypoczęty. Przede wszystkim spostrzegł, że leży na suchej powierzchni czegoś, co przypominało gęsty wrzos, tyle że nie było zielone, lecz koloru miedzi. Zanurzył w tym ostrożnie rękę i poczuł pod palcami coś sypkiego, jak suchy piasek, ale nie było tego wiele, bo wkrótce wyczuł twardą warstwę żyłastych, ciasno splecionych włókien. Przewrócił się na plecy i przy tej okazji odkrył zadziwiającą elastyczność powierzchni, na której leżał. Nie mogło to polegać jedynie na uginaniu się owej wrzosowatej, gęstej roślinności porastającej obiekt. Odnosił raczej wrażenie, że cała pływająca wysepka jest czymś w rodzaju miękkiego materaca. Odwrócił się znowu i spojrzął w jej głąb. Przez chwilę zdawało mu się, że patrzy na kawałek lądu. Widział długą, pustą dolinę, miedzianozłotą na dnie; łagodne stoki porastał różnobarwny las. Nagle na jego oczach nastąpiła gwałtowna zmiana: dolina stała się miedzianozłotym górskim grzebieniem, a pokrywający jej zbocza las rósł teraz wierzchołkami

„drzew” w *dół!* Ransom powinien być na to przygotowany, a jednak doznał nie lada wstrząsu. Na pierwszy rzut oka tak bardzo przypominało to prawdziwy łąd, że zapomniał, iż w rzeczywistości jest czymś w rodzaju pływającej wyspy. Wzgórza i doliny co chwila zmieniały miejsca, tak że ich mapę konturową mogłaby uchwycić tylko kamera. Taka jest właśnie natura pływających wysp na Perelandrze. Utrwalone na czarno-białej fotografii przypominałyby do złudzenia fragmenty ziemskich krajobrazów, jednakże w rzeczywistości, choć powierzchnię mają suchą i żyzną jak ziemska gleba, ich ukształtowanie oddaje nieustanne falowanie wody pod nimi.

Konsekwencje tego złudzenia odczuł Ransom na własnej skórze. Jego rozum rozeznał się już w tym, co się dzieje, lecz nie dostosowały się jeszcze do tego jego mięśnie i nerwy. Wstał, by zrobić kilka kroków w głąb wyspy, w dół zbocza - bo akurat w tym momencie znajdował się na szczycie wzniesienia - i natychmiast upadł na twarz, nie raniąc się dotkliwie tylko z powodu elastyczności owych wrzosowatych roślin. Dźwignął się na nogi, ujrzał, że ma przed sobą dość strome zbocze - i upadł po raz drugi. Po raz pierwszy, po napięciu, w jakim się znajdował od chwili wylądowania na Perelandrze, poczuł błogosławione odprężenie i roześmiał się. Przez pewien czas tarzał się i toczył po miękkiej, wonnej murawie, jak rozbawiony uczeń.

Ale nie trwało to długo. Następane parę godzin poświęcił na naukę chodzenia. Okazało się to o wiele trudniejsze niż przyswojenie sobie marynarskiego kroku na statku, bo bez względu na to, co wyprawia morze, pokład jest zawsze czymś stałym i płaskim, natomiast to, co Ransom robił teraz, bardziej przypominało naukę chodzenia po powierzchni wody. Oddalenie się sto metrów od brzegu wyspy zajęło mu dobre kilka godzin. Był dumny, jeśli zdołał przejść pięć kroków bez upadku, z szeroko rozłożonymi rękami, z nogami ugiętymi w kolanach, gotowymi w każdej chwili na nieoczekiwane zachwianie równowagi, w nieustannym napięciu, jak człowiek uczący się chodzić po linie. Ta nauka prawdopodobnie trwałaby krócej, gdyby upadki nie były tak łagodne i gdyby nie sprawiało mu takiej przyjemności leżenie bez ruchu na miękkim materacu porostów i gapienie się w złocistą kopułę nad sobą, wsłuchiwanie w kojący szum fal i wdychanie rozkosznej woni dzikich ziół. A potem wywijał kozły i nurkował w jakiś zalesiony wąwóz, by otworzyć oczy i stwierdzić, że siedzi na najwyższym w tym momencie szczycie wyspy i niby Robinson Crusoe spogląda z góry na łąki i lasy, aż do dalekich wybrzeży. Wytrzymał tak parę sekund bez trudu i za każdym razem bawiło go na nowo, że gdy już zdecydował się wstać, by ruszyć w dół, góry i doliny nagle znikają i cała wyspa stawała się płaską równiną.

W końcu dotarł jednak do zalesionej części wyspy. Poszycie stanowiły pierzaste rośliny o wysokości krzaków jeżyn i o barwie wodnych anemonów. Ponad nie wystrzelały dziwne drzewa o szaropurpurowych, gładkich jak rury pniach, zwieńczonych rozłożystymi baldachimami o barwie przeważnie pomarańczowej, srebrnej i niebieskiej. Tutaj, przytrzymując się gładkich pni, łatwiej utrzymywał równowagę. Nappełniające las zapachy trudno było porównać z czymkolwiek znanym z Ziemi. Ransom próbował je opisać mówiąc, że budziły głód i pragnienie, ale zaraz po tym dodał, iż był to zupełnie nowy rodzaj głodu i pragnienia - raczej jakaś dziwna tęsknota przenikająca z ciała do duszy i sprawiająca niebiańską rozkosz. Raz po raz przystawał, uczepiwszy się jakiegoś pnia, i wdychał łączywie te wonie, jakby samo oddychanie nabrało wartości rytuału. A jednocześnie leśny krajobraz podlegał nieustannym zmianom ukazując formy, które na Ziemi można by spotkać w dziesiątkach różnych miejsc: raz była to równina porośnięta pionowymi wieżami drzew, raz dno głębokiego wąwozu, w którym aż się prosiło o strumień, raz lesiste zbocze, a zaraz potem szczyt wzgórza, z którego poprzez gęstwinę pochyłych pni i delikatnych zarośli prześwitywało dalekie morze. Ciszę zakłócał tylko miarowy, martwy szum fal. Ransom czuł bezmierne osamotnienie, nie sprawiające mu jednak bólu - przeciwnie, dopełniało nieziemską rozkosz posmakiem ekstazy. Jeśli odczuwał teraz jakiś lęk, to był to jedynie błąkający się w jego świadomości niepokój o stan

zmysłów. W Perelandrze było coś takiego, czego nie mógł znieść ludzki mózg.

Doszedł do miejsca, w którym z drzew zwieszały się wielkie kule żółtych owoców, zebrane w kiście, jak sylwestrowe baloniki, i tych samych mniej więcej rozmiarów. Zerwał jeden i obejrzał dokładnie ze wszystkich stron. Gładka i twarda powłoka sprawiała wrażenie niezwykle mocnej, lecz gdy niechętnie zadrasnął ją paznokciem, palec wszedł bez trudu w chłodne wnętrze. Po chwili wahania podniósł owoc do ust. Miał zamiar tylko spróbować chłodnego płynu wylewającego się ze szczeliny, lecz już po pierwszym małym łyku zapomniał o ostrożności. Smak, jaki poczuł, był niewątpliwie smakiem, tak jak głód i pragnienie, jakie odczuwał, były prawdziwym głodem i pragnieniem. Ale ów smak był tak niepodobny do tego, co znał z Ziemi, że nazywanie go smakiem zakrawało na akt czystej pedanterii. Czuł się tak, jakby odkrył całkowicie nowy *genus* rozkoszy, coś obcego ludziom, zupełnie nieoczekiwanego, wykraczającego poza wszelkie ziemskie konwencje. Na Ziemi o jeden łyk tego soku toczono by wojny i zdradzano swe kraje. Jego smak wymykał się wszelkim próbom klasyfikacji. Ransom nie potrafił powiedzieć, czy sok był pikantny czy słodki, aromatyczny czy zmysłowy, gęsty czy musujący. Na wszelkie takie pytania odpowiadał: „Nie, to nie to”. Kiedy odrzucił pustą łupinę owocu i miał sięgnąć po następny, uświadomił sobie nagle, że nie jest już ani spragniony, ani głodny. Powtórzenie rozkoszy tak dojmującej, że prawie duchowej, wydawało się jednak oczywiste. W każdym razie przemawiał za tym rozum albo to, co w naszym świecie nazywamy rozumem: niemal dziecięca nieskazitelność owocu, trudy, jakie Ransom przeżył, niepewność co do przyszłości - wszystko skłaniało go do powtórzenia tego cudu. A jednocześnie coś w nim sprzeciwiało się temu „rozumowi”. Trudno przypuszczać, by sprzeciw rodził się z pożądania, bo jakie pożądanie odwróciłoby się od takiej rozkoszy? Jakakolwiek była przyczyna owego sprzeciwu, poczuł, że lepiej będzie nie sięgać po drugi owoc. Być może doznanie było tak pełne, że powtórzenie go graniczyłoby z wulgarnością, jak słuchanie tej samej symfonii dwukrotnie w ciągu jednego dnia.

Kiedy tak stał, rozmyślając nad tym i zastanawiając się, ile razy na Ziemi zrezygnował z przyjemności wbrew pożądaniu a w posłuszeństwie rzekomemu racjonalizmowi, zauważył, iż oświetlenie ulega zmianie. Za nim zrobiło się wyraźnie ciemniej, przed nim niebo i morze nie prześwitywały już przez las z dawną intensywnością. Na Ziemi wyjście z takiego lasu zajęłoby mu minutę; na tej chwiejnej wyspie trwało o wiele dłużej.

Kiedy wreszcie wy dostał się na otwartą przestrzeń, uderzył go niezwykle widok. Przez cały dzień żadna zmiana tonacji złocistego sklepienia nie zdradzała położenia Słońca, lecz teraz świadczyła o nim cała połowa nieboskłonu. Sam krąg słoneczny pozostawał niewidoczny, ale nad widnokretem spoczywał łuk zieleni tak olśniewającej, że trudno było na nią patrzeć, a nad tą zielenią roztaczał się prawie do zenitu wielki wachlarz barw podobny do rozpostartego ogona pawia. Spojrzał przez ramię i ujrzał, że cała wyspa tonie w ciemniejszym błękitcie, a przez nią - i dalej, niemal do krańców tego świata - biegnie jego własny, gigantyczny cień. Morze, teraz o wiele spokojniejsze, dymiło ku niebu dziwacznymi, strzelistymi fantomami niebieskiej i purpurowej mgły. Lekki, orzeźwiający wiatr podnosił mu włosy na czole. Dzień dopalał się w ostatniej feerii kolorów. Powierzchnia morza wyglądała się z każdą chwilą, zapowiadając prawdziwą ciszę morską. Ransom - samotny kapłan tych uroczystych obrzędów - usiadł ze skrzyżowanymi nogami na skraju wyspy. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że może został wysłany na bezludną planetę. Chłodny dreszcz trwogi, jaki go nagle przeszył dodał jedynie głębi owemu nadmiarowi odczuwanej rozkoszy.

I raz jeszcze zaskoczyło go zjawisko, które rozum mógł jednak przewidzieć. Był nagi, lecz nie odczuwał chłodu, wędrował pośród drzew okrytych owocami lata, wylegiwał się na posłaniu z wonnych wrzosów - wszystko to pozwalało spodziewać się nocy niezbyt ciemnej, szarej, jak w

środku lata na Ziemi. Ale nim jeszcze apokaliptyczna orgia barw zgasła na zachodzie, na wschodzie już zaległy ciemności, które w ciągu kilkunastu sekund pokryły całe niebo. Jeszcze przez chwilę utrzymywała się w zenicie czerwona luna, w której świetle Ransom zdążył szybko powrócić do lasu. Już teraz zrobiło się tak ciemno, że z trudem odnalazł drogę, a nim ułożył się między drzewami, zapadła prawdziwa noc. Miał wrażenie, jakby go zamknięto w hermetycznie szczelnym lochu, w ciemnościach, w których nie mógł dostrzec swojej ręki tuż przed twarzą. Absolutna czerń, w której wymiary i kierunki utraciły swój sens, uciskała mu gałki oczu. Nie było księżyca, a światło gwiazd nie przebijało grubej pokrywy chmur.

Ale ta ciemność była ciepła i przyjemna. Nadpływały z niej nowe, delikatne wonie. Świat utracił wymiary, skurczył się do granic jego ciała i małego skrawka pachnącego posłania, które kołysało go łagodnie jak hamak. Noc otuliła go jak aksamitna kołdra, pod którą poczucie samotności nie miało dostępu. Taka ciemność mogła równie dobrze zalegać jego sypialnię. Sen przyszedł nagle, jak owoc spadający w ręce, zanim dosięgną gałęzi.

Rozdział 4

W momencie przebudzenia Ransom dość wiadczył czegoś, co może się człowiekowi przytrafić jednie poza jego światem: ujrzał rzeczywistość, a był przekonany, że to sen. Otworzył oczy i zobaczył dziwne drzewo o heraldycznych barwach, ciężkie od żółtych owoców i srebrzystych liści. Wokół podstawy granatowego pnia owinięty był mały smok pokryty czerwonożółtą łuską. Ransom od razu rozpoznał w tej scenie ogród Hesperyd i pomyślał, że nigdy jeszcze nie miał równie żywego, plastycznego snu. Gdy po jakimś czasie uświadomił sobie, że to jednak jawa, zarówno wygoda posłania, na którym leżał, jak i to, co widział, utrzymywały go wciąż w stanie podobnym do transu. Leżąc bez ruchu w sennym oszołomieniu przypomniał sobie, jak w zupełnie innym świecie, na planecie zwanej Malakandrą (teraz wydała mu się światem zimnym i archaicznym), zetknął się z prawdziwymi Cyklopami: z olbrzymem zamieszkującym jaskinię i z pasterzem. Czyżby wszystko to, co pojawia się w ziemskiej mitologii, było rozproszone po innych planetach jako rzeczywistość? Potem przemówił rozsądek: „Jesteś na obcej, nie znanej ci planecie, nagi i samotny, a to może być niebezpieczne zwierzę”.

Nie odczuwał jednak strachu. Wiedział, że krwiożerczość ziemskich zwierząt jest w skali kosmicznej wyjątkiem, a zresztą doświadczył już życzliwości stworzeń o wiele dziwniejszych. Leżał wciąż spokojnie i przyglądał się smokowi, przypominającemu jaszczurkę o karbowanym grzbiecie, wielkości dorosłego bernardyna.

Ransom uniósł się na łokciu obserwowany przez dziwne stworzenie. Rozejrzał się dookoła i stwierdził, iż wyspa jest teraz idealnie płaska. Usiadł. Między gładkimi pniami drzew lśniła niby złote zwierciadło tafla morza. Ponownie zaczął obserwować smoka. A może to istota rozumna - *hnau*, jak mówią na Malakandrze? Może został tu przysłany, aby spotkać się właśnie z nią? Nie wydawało się to prawdopodobne, ale warto był spróbować. Sformułował w myśli zdanie w języku solarnym, a potem wypowiedział je. Własny głos zabrzmiał mu w uszach dziwnie obco.

- Nieznana istoto - rzekł - zostałem przysłany z Niebios do twojego świata przez sługi Maleldila. Czy powitasz mnie życzliwie?

Smok popatrzył na niego bardzo uważnie, a może nawet bardzo mądrze, po czym po raz pierwszy zamknął oczy. Nie wyglądało to na obiecujący początek rozmowy. Ransom zdecydował się wstać i stworzenie ponownie otworzyło oczy. Stał przez jakiś czas nieruchomo, nie bardzo wiedząc, co robić dalej, gdy nagle smok zaczął odwijać długie cielsko z pnia. Teraz Ransom musiał przywołać całą siłę woli, by pozostać na miejscu, pomagając sobie racjonalnym wnioskiem, że niezależnie od tego, czy stworzenie jest rozumne, czy nie, ucieczka i tak nie na wiele się przyda. Smok zsunął się na ziemię, wstrząsnął ciałem i rozwinął parę lśniących, błękitnożółtych skrzydeł przywodzących na myśl nietoperza. Zatrzepotał nimi, zwinął je ponownie, spojrzał raz jeszcze na Ransoma, po czym popęzł na brzeg wyspy kołysząc się niezdarnie i zanurzył metaliczny ryjek w wodzie. Kiedy się napił, podniósł łeb i wydał z siebie coś w rodzaju ochrypłego beku, w którym można się było doszukać pewnej melodyjności. Potem odwrócił się, raz jeszcze popatrzył uważnie na Ransoma i ruszył w jego stronę.

„To czyste szaleństwo - czekać spokojnie na tego potwora!”, przemówił znowu fałszywy rozsądek, lecz Ransom zacisnął zęby i nie ruszył się z miejsca nawet wówczas, gdy smok podszedł zupełnie blisko i zaczął szturchać jego kolana chłodnym ryjkiem. Nie miał pojęcia, jak się zachować. Mogło to być stworzenie rozumne, które w ten sposób chce się z nim porozumieć. Mogło być nierozumne, lecz przyjazne, a jeśli tak, jak powinien na to zareagować? Trudno przecież głaskać stworzenie pokryte grubymi łuskami! W tym momencie smok uczynił coś, co przekonało Ransoma, że to tylko zwierzę, bo nagle przestał się nim interesować i zaczął żarłocznie szczytać

rdzawe porosty. Ransom doszedł do wniosku, że jego poczucie godności zostało w ten sposób uratowane, więc również się odwrócił i wycofał do lasu.

W pobliżu rosły drzewa uginające się pod owocami, których smak poznał już poprzedniego dnia, ale jego uwagę przykuło osobliwe zjawisko nieco dalej. Pośród ciemnej gęstwiny szarozielonych krzewów kątem oka uchwycił jakieś błyski, jakby wśród zieleni krył się odbijający słońce dach cieplarni. Przyjrzał się uważniej i stwierdził, że choć to coś nadal przypomina szkło, to znajduje się w nieustannym ruchu, bo świetliste refleksy zapalają się i gasną w spazmatycznym rytmie. Ruszył w tym kierunku, by zbadać dziwne zjawisko, gdy nagle poczuł zimny dotyk na lewej łydce. Smok szedł za nim i znowu próbował się o niego ocierać i trącać go ryjkiem. Ransom przyspieszył kroku i zwierzę uczyniło to samo; zatrzymał się - i ono stanęło również. Kiedy zaczął iść, towarzyszyło mu, drepcąc tak blisko, że pokryty łuskami bok ocierał się o jego udo, a od czasu do czasu zimna, twarda i ciężka łapa przydeptywała mu stopę. Nie było to wcale przyjemne i zaczął poważnie przemyślać, jak pozbyć się tego towarzystwa, gdy nagle jego uwagę pochłonęło coś innego. Tuż nad jego głową zwieszała się z włochatej, podobnej do rury gałęzi wielka, prawie przezroczysta kula. Część powierzchni odbijała światło, reszta mieniła się barwami tęczy. A więc tym właśnie można wytłumaczyć owe refleksy świetlne błyskające wśród gęstwiny! Rozejrzał się wokoło i wszędzie zobaczył setki takich migocących kul. Skupił uwagę na najbliższej i odniósł wrażenie, że się porusza, później jednak uznał to za złudzenie. Powodowany naturalnym odruchem wyciągnął rękę i dotknął kuli. W tej samej chwili głowę, twarz i ramiona oblała mu fontanna cieczy, która w tym ciepłym świecie sprawiała wrażenie lodowatej. Nozdrza wypełnił mu ostry, przenikliwy, upojny zapach, który w jakiś sposób wywołał z jego pamięci słowa Pope'a o „śmierci róży w wonnej męce”. Poczul taką rzeźkość, jakby dopiero teraz naprawdę obudził się ze snu. Kiedy ponownie otworzył oczy, zamknięte instynktownie w momencie wytrysku cieczy, wszystkie barwy wydały mu się bogatsze, a charakterystyczna matowość tego świata ustąpiła miejsca niezwyklej czystości i wyrazistości konturów. Ponownie, jak poprzedniego dnia, ogarnął go frenetyczny zachwyt. Towarzystwo kroczącego u jego boku złocistego stworzenia nie wydawało mu się już ani groźne, ani przykre. Pogodził się nawet z myślą, że nagi człowiek i mądry smok mogą być jedynymi mieszkańcami tego pływającego raj. W tym momencie nie miał poczucia przeżywania niebezpiecznej przygody, lecz raczej ekstatyczną świadomość odtwarzania nieznanego mitu. Wystarczyło mu, że odgrywa jakąś rolę w tym niezemskim misterium.

Spojrzał jeszcze raz na najbliższe drzewo. Powłoka kuli, która go opryskała, znikła. Na końcu rurowatej gałęzi pojawił się teraz mały, drżący otworek, z którego zwisał paciorek kryształowej cieczy. Ransom rozejrzał się dookoła, zdumiony. Gaj jarzył się od połyskujących owoców, lecz po krótkiej obserwacji odkrył, że całe to zjawisko ma swój stały rytm. Każda z owych świetlistych kul stopniowo pęczniała i osiągnąwszy pewien rozmiar pękała nagle z lekkim trzaskiem, pozostawiając na murawie pod drzewem szybko niknącą, wilgotną plamę, a powietrze przenikał rozkoszny zapach i chłód. Kule nie były wcale owocami, lecz czymś w rodzaju pęcherzy lub baniek mydlanych. Życie tych „bankowych drzew”, jak je w myśli nazwał, polegało widocznie na pobieraniu wody z oceanu, a następnie oddawaniu jej w postaci wzbogaconej dzięki szybkiej fermentacji w pełnych soku wnętrzach. Usiadł, by nasycić wzrok tym widowiskiem. Teraz zrozumiał, dlaczego ten gaj wygląda i pachnie zupełnie inaczej niż pozostała część wyspy. Każda bańka oglądana z osobna pojawiała się na macierzystej gałęzi jako kropelka nie większa od ziarenka grochu, a następnie rosła i pękała. Obejmując jednak spojrzeniem cały gaj, widziało się jedynie nieustanne słabe migotanie światła, słyszało ledwo uchwytnie zakłócenia panującej na Perelandrze ciszy, czuło w powietrzu niezwykle chłód i ożywczą świeżość woni. Człowiek urodzony na Ziemi znajdował w tym gaju większe odświeżenie, wytchnienie i pobudzenie sił witalnych niż w pozostałych częściach wyspy, a nawet

w owym ciepłym, opiekuńczym oceanie. Patrząc na wspaniałą kiść świetlistych baniek, zwisającą tuż nad jego głową, Ransom pomyślał, że wystarczy tylko wstać i zanurzyć się w chłodnej kąpieli, aby odczuć wielokrotnione, niemal magiczne odświeżenie. Powstrzymywało go jednak to samo uczucie, które poprzedniego wieczoru odwiodło go od spróbowania drugiego żółtego owocu. Nigdy nie rozumiał ludzi domagających się bisowania ulubionej arii. Uważał, że może to tylko zepsuć wrażenie. Teraz jednak zaczął to odczuwać nieco inaczej, jako zasadę mającą o wiele szerszy zasięg i głębsze znaczenie. Czy początkiem wszelkiego zła nie jest przypadkiem owo przemożne pragnienie powtarzania tych samych przyjemnych doznań, tak jakby życie było filmem, który można puścić jeszcze raz lub nawet cofnąć? Na ogół za źródło zła uważa się pieniądze... Tak, ale jakże często pieniądze są tylko gwarancją ochrony przed przypadkiem, zabezpieczeniem prawa do przeżywania wciąż i wciąż tych samych przyjemności, a więc środkiem umożliwiającym zatrzymanie lub powtórzenie filmu...

Z rozmyślań wyrwało go poczucie męczącego ciężaru na kolanach. To smok ułożył się tuż obok i wsparł długi, ciężki łeb na jego nogach.

- Czy wiesz - Ransom zagadnął go po angielsku - że okropny z ciebie nudziarz?

Smok nie zareagował na tę przyganę i Ransom doszedł do wniosku, że lepiej się z nim zaprzyjaźnić. Poglaskał suchą, twardą głowę, ale stworzenie nie zwróciło na to najmniejszej uwagi. Przesunął rękę niżej i natrafił na bardziej miękką powierzchnię, może nawet na szczelinę w pancerzu. Ach tak... to mu się podoba! Smok chrząknął, a spomiędzy jego szarych warg wystrzelił długi, cylindryczny język, którym wyraźnie polizał rękę człowieka. Potem przewrócił się na grzbiet odsłaniając prawie biały brzuch, który Ransom zaczął ugniatać palcami. Jego przyjaźń ze smokiem rozwijała się nader pomyślnie. W końcu zwierzę usnęło.

Ransom wstał i ponownie zażył natrysku ze świetlistych baniek. Poczul się tak odświeżony i pełen wigoru, że pomyślał o posiłku. Zapomniał już, w jakiej części wyspy rosły owe żółte owoce, lecz gdy ruszył na ich poszukiwanie, odkrył, iż chodzenie sprawia mu pewną trudność. Przestraszył się, że może ciecz z baniek ma jakieś narkotyczne właściwości, ale niebawem dostrzegł przyczynę chwiejności kroków. Porośnięta czerwonozłotym wrzosem równina wyduła się w niewielkie wzgórze, które sunęło wolno w jego kierunku. Urzeczony na nowo widokiem lądu toczącego się ku niemu jak fala, zapomniał o przystosowaniu się do jego ruchu, stracił równowagę i upadł. Wstał i ruszył naprzód już z większą ostrożnością. Nie miał wątpliwości, że morze znowu zaczyna się burzyć. Kiedy dwa sąsiadujące ze sobą gaje utworzyły coś w rodzaju alei biegnącej do krawędzi tej żywej tratwy, ujrzał w perspektywie wzburzone fale, a gorący wiatr zadął z wystarczającą siłą, by potargać mu włosy. Brnąc z trudem ku wybrzeżu, natknął się na kępę krzaków obsypanych owalnymi, zielonymi jagodami, prawie trzykrotnie większymi od migdałów. Zerwał jeden owoc i przełamał na pół. Miąższ był dość suchy, gąbczasty, przypominający banan i - jak się okazało - zupełnie niezły w smaku. Nie dawał owej ekstatycznej i prawie niepokojącej rozkoszy, jaką się czuło po wypiciu soku ze złotej tykwy, lecz specyficzną przyjemność niewyszukaną potrawy, którą się przeżuwa powoli i która daje „spokojną pewność bliskiej błogości nasycenia”. Człowiek, a w każdym razie człowiek pokroju Ransoma, przy takim posiłku odczuwa potrzebę modlitwy dziękczynnej, co też uczynił. Sok ze złotych tykw domagał się raczej oratorium lub mistycznej medytacji. Ale i ten posiłek obfitował w przyjemne niespodzianki. Od czasu do czasu trafiał na owoc o jasnoczerwonym wnętrzu i smaku tak niezapomnianym wśród tysiąca innych, że zacząłby wyszukiwać i zjadać tylko te jagody, gdyby nie głos tego samego wewnętrznego doradcy, który już dwukrotnie przemówił doń na Perelandrze.

„Na Ziemi - pomyślał Ransom - wkrótce by odkryto, jak wyhodować tylko te jagody z czerwonym miąższem i na pewno kosztowałyby o wiele więcej niż te zielone. Tak, pieniądze

pozwalają wołać: *encore!* głosem nie znoszącym sprzeciwu.”

Skończył posiłek i zaczął schodzić na brzeg, by zaspokoić pragnienie, zanim jednak tam dotarł, rzeźba terenu zdążyła się zmienić, tak że musiał iść pod górę. Wyspa przybrała postać niewielkiej kotliny jasnego ładu wtulonej między wzgórze zielonej wody. Kiedy wreszcie położył się na brzuchu i zaczął pić, doznał niezwykłego wrażenia: zanurzył twarz w wodzie położonej wyżej niż brzeg! Potem usiadł i opuścił nogi między czerwone frędzle wodorostów otaczających wyspę.

Poczucie osamotnienia przeniknęło wyraźniej do jego świadomości. Po co został tu wysłany? Czego się od niego oczekuje? Przyszła mu do głowy szalona myśl, że ten bezludny świat czekał na niego od wieków jako na pierwszego swego mieszkańca, że to on został wybrany, by zostać założycielem nowej rasy, protoplastą nowego stworzenia. Wydawało się dziwne, że długie godziny najgłębszego odosobnienia nie dręczą go teraz tak, jak jedna samotna noc na Malakandrze, Różnica, pomyślał, polega na tym, że na Marsa dostał się jedynie przez przypadek (albo dzięki czemuś, co uznał za przypadek), natomiast tutaj jest część cią jakiegoś planu. Tu nie był zdany na łaskę losu, nie był „na zewnątrz”.

Kiedy jego mały świat wznosił się na łagodne wzgórze matowo połyskującej wody, raz po raz dostrzegał w pobliżu wiele innych wysp. Różnorodność barw tych wielkich mat czy dywanów ładu była zdumiewająca. Przywodziły na myśl flotyllę jachtów w przystani podczas burzliwej pogody. Porastające je drzewa zmieniały co chwila kształt, jak maszty. Dziwnie wyglądał na szczycie fali skrawek soczystej zieleni lub aksamitnej purpury, który potem spływał leniwie w wodną rozpadlinę, rozwijając przed oczami krajobraz całej wyspy. Czasami jego wyspa i wyspa sąsiednia rozpościerały się na przeciwległych zboczach tego samego parowu, tak że dzielił je tylko wąski przesmyk wody i przez moment miało się złudzenie ziemskiego krajobrazu: porośniętej lasem doliny z płynącą jej dnem rzeczką. Lecz nagle z rzekomą rzeczką działo się coś zupełnie niemożliwego: najpierw unosiła się tak wysoko, że dawne zbocza doliny zamieniały się w stoki wału, po którym płynęła, a potem jeszcze wyżej, przesłaniając połowę widnokręgu, aby w końcu stać się potężnym, zielonozłotym grzbietem wodnym wiszącym na niebie i grożącym potopem skrawkowi ładu, na którym się stało. Tymczasem ów ład - przez chwilę wklęsły i osuwający się do stóp następnej fali - wspinał się już chyżo na jej szczyt, wyrzuszając się ponownie w zalesiony garb.

Nagle rozległ się świszczący, jazgotliwy dźwięk. Ransom wzdrygnął się. Przez chwilę miał wrażenie, że jest w Europie, a nad głową przelatuje mu samolot. Niebawem rozpoznał jednak swego przyjaciela smoka, który z wyprostowanym ogonem, podobny do latającej gąsienicy, leciał w stronę odległej o pół mili wyspy. Śledząc spojrzeniem kierunek jego lotu, ujrzał dwa rzędy skrzydlatych istot - czarnych na tle nieba - zbliżających się do tej samej wyspy z dwóch stron. Nie były to jednak gady o skrzydłach nietoperza. Wyteżając wzrok, bo odległość była dość duża, doszedł do wniosku, że to ptaki. Za chwilę powiew wiatru przyniósł melodyjny świergot, co utwierdziło go w tym przekonaniu. Ptaki, chyba nieco większe od łabędzi, zmierzały wyraźnie w kierunku tej samej wyspy, na którą leciał smok. Ransom śledził tę scenę z uwagą. Po chwili poczuł narastające podniecenie: coś miało się wydarzyć! O wiele bliżej, w wodzie, dostrzegł pienne smugi, również sunące ku wyspie. Sprawiały wrażenie flotylli w zorganizowanym szyku. Zerwał się na nogi, lecz wielka fala przesłoniła mu widok. Za chwilę ukazały się znowu, tym razem kilkaset metrów niżej. Srebrzyste obiekty, najwyraźniej żywe, bo posuwające się falistym ruchem i wykonujące indywidualne zwroty... Ponownie stracił je z oczu i zaklął, bo w tym ubogim w wydarzenia świecie wydały mu się godne najwyższej uwagi. O, są znowu! To na pewno ryby. Olbrzymie, obłe, przypominające delfiny, suną w dwu długich kolumnach. Niektóre wyrzucają nozdrzami fontanny tęczowej wody. Na czele płynie przodownik. Ale... ma coś dziwnego na

grzbiecie... jakąś narośl czy garb... Och, gdyby tylko falowanie wody wciąż nie zakrywało przed nim tego zjawiska! Srebrzyste stworzenia prawie już dopłynęły do tamtej wyspy, a ptaki opadały, by spotkać się z nimi przy brzegu. Znowu pojawił się przodownik z wysokim garbem. A potem nastąpił moment szaleńczego, zapierającego dech zdumienia i Ransom stał już na samej krawędzi swojej wyspy, z trudem utrzymując równowagę - i wrzeszczał, wrzeszczał na całe gardło.

Bo oto w tej samej chwili, gdy przodownik dopłynął do brzegu, wyspa uniosła się wysoko na potężnej fali, tak że ciemny zarys ryby zawisł na moment na tle jasnego nieba. Nie mógł się mylić: dziwna narośl na jej grzbiecie miała wyraźnie kształt ludzkiej postaci! Postać zeskoczyła lekko na ląd i odwróciła się, nachylając ku rybie, ale za chwilę znikła, gdy cała wyspa spłynęła po zewnętrznym stoku wodnego wału. Z mocno bijącym sercem czekał, aż ujrzy ją ponownie. Tym razem wyspa nie ukazała się na tle nieba i przez sekundę lub dwie nie mógł dostrzec ludzkiej postaci. Przeszył go dreszcz zawodu. Ale wkrótce odnalazł ją znowu - wiotki, ciemny kształt poruszający się wolno na tle błękitnych zarośli. Ransom zaczął podskakiwać, wymachiwać rękami i krzyczeć, aż zupełnie zachrypl, ale postać wciąż nie zwracała na niego uwagi. Co jakiś czas nikała mu z oczu, a kiedy odnajdywał ją ponownie, zaczynał odczuwać lęk, że jest tylko złudzeniem, jakąś przypadkową konfiguracją roślin, której jego tęsknota nadaje kształt człowieka. Zawsze jednak, nim popadł w prawdziwą rozpacz, ukazywała się ponownie tak wyraźnie, że nie mogło być mowy o pomyłce. Po jakimś czasie wzrok mu się zmęczył i zdał sobie sprawę, że im dłużej będzie wypatrywał, tym gorzej będzie widział. Nie zaprzestał jednak obserwacji.

W końcu, całkowicie wyczerpany, usiadł. Lęk przed samotnością, dotąd niezbyt uciążliwy, teraz stał się prawdziwą męką. Nie wyobrażał sobie powrotu do osamotnienia, nie ośmielał się o tym myśleć. Zachwycające, upajające piękno otoczenia znikło. Bez tej jednej, jedynej ludzkiej postaci reszta tego świata zamieniła się nagle w koszmar, w jakiś okropny loch, w którym został uwięziony. Znowu owładnęły nim podejrzania, że zaczyna ulegać halucynacjom. Ujrzał w wyobraźni samego siebie, żyjącego wiecznie na tej okropnej wyspie, zawsze samotnego, lecz wciąż nawiedzanego przez zjawy o ludzkich kształtach, które idą ku niemu z uśmiechem i wyciągniętymi ramionami, a potem znikają, gdy tylko ruszy im na spotkanie. Oparł głowę na kolanach, zacisnął zęby i próbował zaprowadzić ład w swoich myślach. Zrazu słyszał tylko swój własny oddech i liczył uderzenia serca, więc spróbował jeszcze raz i wreszcie zdołał odzyskać nieco wewnętrznego spokoju. A potem nagle olśniła go myśl, że jeśli chce zwrócić na siebie uwagę tej istoty o ludzkich kształtach, musi poczekać, aż jego wyspa znajdzie się na grzbiecie fali i wówczas stanąć tak, by dostrzegła jego sylwetkę na tle nieba.

Trzykrotnie wyczekiwał, aż brzeg, na którym stał, przybierze postać grzbietu, a wówczas powstawał, z trudem utrzymując równowagę na ruchomym lądzie i wymachując rękami. Dopiero za czwartym razem odniósł sukces. W tym momencie sąsiednia wyspa znajdowała się oczywiście niżej - jakby w dolinie. Nie miał wątpliwości, że mała, ciemna postać ludzka odpowiedziała mu tymi samymi gestami, a potem oderwała się od mylącego tła zielononiebieskich zarośli i zaczęła biec ku niemu - to znaczy ku krawędzi swojej wyspy - przez pomarańczową łąkę. Biegła lekko, swobodnie, najwidoczniej chwiejność powierzchni nie sprawiała jej żadnych trudności. A potem wyspa Ransoma pomknęła w dół i wielka ściana wody przegrodziła oba skrawki lądu. Teraz znalazł się na dnie wodnej doliny i po chwili ujrzał pomarańczową łąkę spływającą ku niemu po łagodnie wybrzuszonym zboczu fali. Przesmyk pomiędzy wyspami nie mógł mieć w tej chwili więcej niż dziesięć metrów. Postać wciąż biegła. Teraz był już pewien nie tylko jej ludzkich kształtów. Był to mężczyzna - zielony mężczyzna na tle pomarańczowej łąki, zielony jak cudowny żuk w jakimś angielskim ogrodzie - zbiegający ku niemu chyżo i zwinnie po zboczu. A potem morze znowu uniosło wyspę Ransoma na szczyt fali, a zielony człowiek zmalował nagle w

perspektywicznym skrócie, jak aktor oglądany z najwyższej galerii w Covent Garden. Ransom stał na samym skraju swej wyspy i krzychał wychyliwszy się niebezpiecznie do przodu. Zielony człowiek spojrział na niego, zadzierając głowę. Najwyraźniej krzychał również, osłaniając dłońmi usta, lecz jego głos nikał w ryku morza, a za chwilę wyspa Ransoma zsunęła się w wąwóz i niebotyczna, zielona fala zakryła mu widok.

Doprawdy, trudno to było znieść. Ransom drętwiał ze strachu, że w każdej chwili odległość między wyspami może się zwiększyć. Bogu niech będą dzięki - nie tym razem! Pomarańczowy skrawek ładu przelewał się już przez grzbiet fali i pływał ku niemu w wodną czelusć. A na samym brzegu, twarzą w twarz z nim, stał ów nieznajomy. Przez sekundę spoglądał na Ransoma z wyrazem radosnego powitania i miłości. Nagle zieloną twarz wykrzywił grymas zdumienia i rozczarowania. Ransom - sam boleśnie tym zawiedziony - uświadomił sobie, że został wzięty za kogoś innego. Ten bieg, to wymachiwanie rękami, okrzyki - wszystko to nie było przeznaczone dla niego. A zielona istota wcale nie była mężczyzną - była kobietą.

Trudno właściwie powiedzieć, dlaczego tak go to zaskoczyło. Od kiedy już rozpoznał nieomylnie ludzki kształt postaci, mógł się równie dobrze spodziewać kobiety, co mężczyzny. A jednak był zaskoczony, tak zaskoczony, że dopiero wówczas, gdy obie wyspy zaczęły się osuwać w oddzielne wodne doliny, uprzytomnił sobie, że nie odezwał się do niej, tylko stał gapiąc się jak głupiec. Teraz, kiedy zniknęła mu z oczu, ogarnęły go dręczące wątpliwości. Czyżby właśnie *to* było celem jego podróży? Spodziewał się dziwów, ale zupełnie nie był przygotowany na to, że spotka boginkę wyrzeźbioną ze szmaragdu, a jednak żywą. Nagle uprzytomnił sobie (choć nie zwrócił na to uwagi, gdy na nią patrzył), że otaczał ją dziwny orszak. Stała pośród gromady zwierząt i ptaków, jak młode drzewo wystrzelające z zagajnika. Były tam wielkie ptaki gołębiej barwy i inne, płomienistoczerwone, były smoki i stworzenia podobne do bobrów, a u jej stóp wynurzały się z wody ryby przywodzące na myśl heraldyczne godła. A może wszystko to był złudzeniem? Może to początek halucynacji, których tak bardzo się lękał? Może jest świadkiem wskrzeszania jeszcze jednego mitu - tym razem jeszcze groźniejszego - mitu o Kirke lub Alkione? A ów grymas na jej twarzy... Kogo oczekiwała, jeśli jego widok sprawił jej taki zawód?

Wyspa ukazała się ponownie. Zwierzęta nie były złudzeniem. Wszystkie otaczały zieloną boginię, wpatrzone w nią nieruchomo, tylko niektóre przesuwają się cicho i nieśmiało, jakby szukały swego miejsca tuż przed początkiem jakiejś uroczystości. Ptaki siedziały w długich szeregach, a nowe wciąż nadlatywały i opadały na pomarańczową łąkę przyłączając się do pozostałych. Z pobliskiego gaju bańkowych drzew wynurzyło się z pół tuzina stworzeń przypominających krótkonogie, wydłużone świnie - coś w rodzaju jamników w świńskim świecie. Małe, podobne do żab stworzonka, które widział już w czasie ulewy na morzu, skakały dookoła, niekiedy ponad jej głowę, niekiedy siadając na jej ramionach, tak bajecznie kolorowe, że w pierwszej chwili wziął je za zimorodki. A Zielona Pani stała nieruchomo, ze złączonymi stopami, z rękami zwisającymi swobodnie po bokach, przyglądając mu się spokojnie, bez lęku i zdziwienia. Jej oczy nie wyrażały żadnego uczucia.

Ransom zdecydował się przemówić pierwszy.

- Pochodzę z innego świata - zaczął, używając starego języka solarnego i urwał, bo Zielona Pani uczyniła coś, czego się zupełnie nie spodziewał. Uniosła rękę i wskazała na niego, jakby zapraszała wszystkie zwierzęta, aby mu się przyjrzały. Jej twarz znowu wykrzywił grymas i przez chwilę Ransom sądził, że zacznie płakać. Zamiast tego wybuchnęła perlistym śmiechem. Zanosiła się od śmiechu, kołysała, trzęsła, aż zgięła się w pół, opierając dłonie na kolanach i raz po raz wskazywała na niego. Zwierzęta, jak nasze psy w podobnych okolicznościach, wyczuły natychmiast rozweselenie swej pani, bo zaczęły swawolić, stawać na tylne łapy, popiskiwać,

chrząkać i łopotać skrzydłami. A szmaragdowa bogini wciąż wybuchała nowymi kaskadami śmiechu, aż nadeszła kolejna fala i cała wyspa zniknęła mu z oczu.

Ransom był kompletnie zbity z tropu. Czyżby eldile wysłały go na obcą planetę, by spotkał obląkaną lub złą nimfę szydzącą z ludzi? A może to jednak halucynacje?... Wszystko na to wskazuje. Nagle olśniła go myśl, która prawdopodobnie nie przyszłaby do głowy mnie i wam: a może to nie ona jest szalona, tylko on rzeczywiście śmieszny? Spojrzał na swoje ciab. Nie ulegało wątpliwości, że jego nogi mogły kogoś rozśmieszyć, bo jedna była czerwonobrazowa (jak ciało Tycjanowskiego satyra), a druga zupełnie biała, niemal jak skóra trędowatego. Co gorsza, ta dwubarwność cechowała całe jego ciało. Był to naturalny efekt wystawienia na silne promieniowanie słoneczne tylko jednej połowy ciała podczas podróży w kosmicznej trumnie. Czyżby na tym polegał cały dowcip? W pierwszej chwili ogarnęła go irytacja wobec istoty, która z tak błahego powodu kwituje śmiechem pierwsze spotkanie dwóch różnych światów, po chwili jednak sam się uśmiechnął na myśl o niezbyt chlubnych początkach swojej kariery na Wenus. Przygotowany był na najgorsze niebezpieczeństwa, a tu najpierw wywołał rozczarowanie, a potem gromki śmiech... Ale uwaga! Oto Zielona Pani i jej wyspa pojawiają się znowu!

Tym razem nie śmiała się już, siedząc na samym brzegu, ze stopami zanurzonymi w wodzie i półświadomie pieszcząc podobne do gazeli stworzenie, które wtulało pyszczek w jej pachę. Trudno było uwierzyć, że tak niedawno śmiała się lub że w ogóle robiła co innego niż trwanie w tej malowniczej pozie na skraju pływającej wyspy. Ransom nigdy nie widział twarzy tak spokojnej i tak nieziemskiej, a jednocześnie tak ludzkiej w każdym rysie. Znacznie później doszedł do wniosku, iż ową nieziemskość należy przypisać całkowitemu brakowi pewnej rezygnacji, której domieszka, choćby najmniejsza, widoczna jest zawsze na ludzkich twarzach wyrażających głęboki spokój. Teraz miał przed sobą ciszę, której nigdy jeszcze nie poprzedziła burza. Ta twarz była tajemnicą: mogła wyrażać wszystko - głupotę, nieśmiertelność albo stan ducha zupełnie nie znany ludzkiemu doświadczeniu. Ogarnęło go dziwne, budzące dreszcz grozy uczucie. Na starej Malakandrze spotykał istoty w ogóle nie przypominające ludzi, które jednak przy bliższym poznaniu okazywały się rozumne i życzliwe. Pod zupełnie obcymi powłokami cielesnymi odkrywał serca podobne ludzkim sercom. Czy tym razem miało być odwrotnie? Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przymiotnik „ludzki” odnosi się do czegoś więcej niż do cielesnych kształtów czy rozumnego umysłu. Określa również tę wspólnotę krwi i doświadczenia, która jednoczy wszystkich ludzi na Ziemi. Ta istota nie należała do jego gatunku. Nie łączyły ich żadne, nawet najbardziej zawile meandry jakiegokolwiek drzewa genealogicznego. W tym sensie w jej żyłach nie płynęła ani jedna kropla „ludzkiej” krwi. Wszechświat stworzył ich gatunki zupełnie niezależnie.

Wszystko to przemknęło mu błyskawicznie przez głowę, zanim spostrzegł, że oświetlenie ulega zmianie. W pierwszej chwili pomyślał, że to sama Zielona Pani zaczyna promieniować dziwnym, elektrycznym światłem. Jej ciało stało się bardziej niebieskie niż zielone. Ale wkrótce zorientował się, że cały krajobraz płonie błękitem i purpurą, a jednocześnie, że obie wyspy nie są już tak blisko siebie jak uprzednio. Spojrzał na niebo. Rozlewała się już na nim luna krótkiego wieczoru. W ciągu kilku minut będzie ciemno jak w grobie... a wyspy rozłączą się, być może na zawsze! Zaczerpnął głęboko powietrza i zawołał w starym solarnym:

- Jestem przybyszem! Przychodzę w pokoju! Czy chcesz, żebym przyplłynął do twojej wyspy?

Zielona Pani spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Co to jest „pokój”? - zapytała w tym samym języku.

Ransom poczuł, że ogarnia go zniecierpliwienie. Odległość między wyspami wyraźnie rosła. Właśnie miał przemówić do niej ponownie, gdy wielka fala rozdzieliła obie wyspy i stracił ją z oczu. Grzbiet fali płynął purpurą wieczornej zorzy na tle ciemniejącego nieba. Kiedy ze szczytu

następnej fali ujrzał na dnie wodnej czeluści tamtą wyspę, jej kształty zacierał już szybko gęstniejący półmrok. Bez namysłu skoczył do wody. Z początku trudno mu było oderwać się od brzegu, bo co chwila prąd znosił go między czerwone frędzle i pęcherze. Wreszcie, wyężdżając siły, zdołał się jakoś oderwać i płynął miarowymi ruchami. Nagle zapadła całkowita ciemność. Przeraził się, że nie trafi na tamtą wyspę. Nieustanne piętzenie się i opadanie wielkich fal pozbawiło go zupełnie poczucia kierunku. Jeśli dopłynie gdziekolwiek, będzie to tylko szczęśliwy przypadek. Sądząc po tym, jak długo już płynął, posuwa się chyba *wzdłuż* brzegów obu wysp zamiast przecinać wąski przesmyk. Spróbował zmienić kierunek, po chwili zwał tpił w słuszność tej decyzji, chciał więc wrócić do dawnego kierunku i w rezultacie kompletnie stracił orientację. Powtarzał sobie w duchu, że musi zachować zimną krew, ale zaczął odczuwać narastające zmęczenie. Mimo to płynął wytrwale, nie wiedząc dokąd.

Nagle - a wydawało mu się, że upłynęło już wiele czasu - poczuł, że ociera się o wodorosty. Uczepił się ich i podciągnął kilka metrów, a niebawem z ciemności przed nim napłynęła fala rozkosznych woni kwiatów i owoców. Wytężył ramiona i po chwili leżał już - bez tchu i bez sił, ale bezpieczny - na suchej, słodko pachnącej, kołyszącej się łagodnie wyspie.

Rozdział 5

Musiał usnąć zaraz po wydostaniu się na brzeg, bo następnym wspomnieniem był śpiew ptaka wdzierający się do jego snu. Otworzył oczy i stwierdził, że ptak nie jest senną ułudą, lecz najprawdziwszym bocianem, tyle że śpiewającym jak kanarek. Jasny, przesycony matowym blaskiem perelandryjski dzień obudził w nim przecucie nowej przygody. Wstał, przeciągnął się i rozejrzał dookoła. Wszystko wskazywało, że nie dotarł do pomarańczowej wyspy. Musiał wylądować na tym samym kawałku żywego lądu, na którym znalazł schronienie wkrótce po wylądowaniu na Wenus. Morze było wyjątkowo spokojne, nie miał więc trudności z dotarciem na brzeg. Tu stanął, wstrzymując oddech ze zdumienia. Wyspa Zielonej Pani dryfowała tuż obok, oddzielona zaledwie półorametrowym pasem wody, a cały krajobraz zmienił się zupełnie. Zamiast bezmiar rozkołysanych wód, wszędzie rozciągała się płaska, zalesiona równina. Szybko rozwiązał tę zagadkę: dziesięć lub dwanaście pływających wysp zbiło się w gromadę i utworzyło krótkotrwały kontynent. A przed nim, jakby po drugiej stronie strumienia, spacerowała z pochyloną głową Pani. Zajęta splataniem błękitnych kwiatów, cicho nuciała.

Nagle urwała i odwróciła się do niego, spoglądając mu prosto w oczy.

- Wczoraj byłam młoda... - zaczęła, lecz nie dosłyszał końca zdania. Teraz, gdy już doszło do spotkania, poczuł się dziwnie oszołomiony i zbity z tropu.

Jak podkreślał to później sam Ransom, ważne, by ustrzec się nieporozumienia w ocenie tego momentu jego niezwyklej przygody. Nie zrobiło na nim żadnego wrażenia, że oboje byli nadzy. Wstyd i pożądanie pozostawił tysiące mil poza sobą. Jeśli krępowała go nieco własna nagość, to nie miało to nic wspólnego z różnicą płci, a jedynie ze świadomością brzydoty i śmieszności swojego ciała. Nie raził go również kolor jej skóry, tak dobrze harmonizujący z barwami świata, w którym żyła. W tym świecie dysonansem była jego własna skóra, w połowie ziemista i blada, w połowie pokryta świeżą, niezdrową opalenizną.

Poprosił ją, by powtórzyła swoje słowa.

- Wczoraj byłam młoda, kiedy śmiałam się z ciebie. Teraz wiem, że e istoty z twojego świata nie lubią, gdy się z nich śmieje.

- Mówisz, że byłaś młoda?

- Tak.

- Czy dzisiaj już nie jesteś młoda?

Zastanawiała się przez chwilę tak intensywnie, że nie zauważyła, jak kwiaty wypadły jej z rąk.

- Tak, teraz to zrozumiałam - odezwała się wreszcie. - To bardzo dziwne, gdy ktoś mówi, że jest młody w momencie wymawiania tych słów. Ale jutro będę starsza. I wtedy powiem, że dzisiaj byłam młoda. Masz rację, Łaciaty Człowieku. Przynosisz ze sobą wielką mądrość.

- Co masz na myśli?

- To patrzeć za siebie i przed siebie. Widzisz, że dzień inaczej wygląda, gdy nadchodzi, inaczej, gdy już jest, i inaczej, gdy minie. Jak fale.

- Ale przecież dzisiaj jesteś niewiele starsza niż wczoraj.

- Skąd wiesz?

- Chodzi mi o to, że jedna noc to krótki okres.

Znowu się zamyśliła, a potem zaczęła mówić z rozjaśnioną twarzą:

- Tak, teraz zrozumiałam! Według ciebie, czas może być długi lub krótki. Noc jest zawsze nocą, bez względu na to, co się robi, tak jak od tego drzewa do tamtego jest zawsze tyle samo kroków, bez względu na to, czy zrobisz je wolno, czy szybko. Tak, chyba masz rację... Chociaż... fale nie przychodzą zawsze w jednakowych odstępach... Widzę, że przybywasz z mą drego świata... jeśli to

jest mądre. Nigdy jeszcze tego nie robiłam: wychodzić ze swego życia, stawać obok i patrzeć na nie, jakby się nie żyło. Czy w twoim świecie wszyscy to robią, Łaciaty?

- A co w ogóle wiesz o innych światach? - zapytał Ransom.

- Wiem, że poza tym zbcistym dachem są Głębiny Niebios, górny świat, a dolny świat - tu zatoczyła ręką wokół siebie - nie jest wcale taki rozciągnięty, jak się wydaje, lecz zwinięty w małe kule. Małe grudki dolnego świata pływają w górnym świecie. Na najstarszych i największych są rzeczy, których nigdy nie widzieliśmy, o których nigdy nie słyszeliśmy i których w ogóle nie potrafimy zrozumieć. Ale na młodszych żyją z woli Maleldila istoty takie jak my, które mnożą się i oddychają.

- Skąd wiesz o tym wszystkim? Przecież wasz dach jest tak gęsty, że nie możecie patrzeć na Głębinę Niebios i na inne światy?

Klasnęła w dłonie, a jej twarz - dotąd bardzo poważną - rozjaśnił uśmiech, jakiego Ransom nigdy jeszcze nie widział. Na Ziemi podobny uśmiech można znaleźć chyba tylko na twarzy dziecka, ale tu, na Perelandrze, nie miał w sobie nic dziecięcego.

- Ach, rozumiem! - zawołała. - Jestem teraz starsza. Twój świat nie ma dachu. Możesz własnymi oczami oglądać górny świat i widzieć Wielki Taniec! Żyjesz wciąż w tej grozie i w tym zachwycie, widzisz to, w co my musimy jedynie wierzyć. Czyż to nie cudowny wynalazek Maleldila? Kiedy byłam młoda, potrafiłam sobie wyobrazić piękno tylko mojego świata. Ale On potrafi myśleć o wszystkim, a wszystko może być inne.

- To właśnie jest coś, co mnie zdumiewa - rzekł Ransom. - Ty wcale nie jesteś inna. Masz kształty takie jak kobiety w moim świecie. Nie spodziewałem się tego. Byłem już w jednym obcym świecie, ale żyjące tam stworzenia są inne niż ja i ty.

- Co w tym dziwnego?

- Nie pojmuję, dlaczego różne światy rodzą podobne istoty. Czy różne drzewa rodzą takie same owoce?

- Ale ten obcy świat, w którym byłeś, jest starszy od naszych światów.

- Skąd o tym wiesz? - zdumiał się Ransom.

- Maleldil mi to mówi - odparła i w tej samej chwili w otoczeniu zaszła trudna do określenia zmiana. Światło było nadal nieco przyćmione, powietrze łagodne, a całe ciało Ransoma przenikała rozkosz, lecz owocowy gaj, w którym stał, wypełnił się nagle czymś niepojętym. Ransom poczuł się tak, jakby na barki złożono mu niezmierny ciężar. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, zachwiał się i osunął na ziemię do pozycji siedzącej.

- To wszystko pojawia się teraz przed oczami mego ducha - ciągnęła malachitowa bogini. - Widzę błękitne rzeki, jakieś wielkie, pokryte futrem stworzenia i białe olbrzymy... jak one się nazywają? Ach tak, sorny... Och, jak bybby cudownie zobaczyć je zewnętrznymi oczami, dotknąć ich... Przecież już więcej ich nie będzie... Takie rodzaje stworzeń trwają jeszcze tylko w bardzo starych światach.

- Dlaczego? - szepnął Ransom, patrząc na nią z ziemi.

- Chyba wiesz o tym lepiej niż ja - odpowiedziała. - Czyż nie w twoim świecie stało się to wszystko?

- Co się stało?

- Myślałam, że to ty opowiesz mi o tym. - Tym razem na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

- O czym mówisz?

- O tym, że to w twoim świecie Maleldil po raz pierwszy przybrał te kształty, kształty rasy mojej i twojej.

- Wiesz o tym?! - zawołał Ransom nie mogąc opanować głębokiego wzruszenia. To, co w tej

chwili czuł, potrafi zrozumieć ten, kto miał kiedyś cudowny sen, z którego jednak bardzo chciał się obudzić.

- Tak, wiem o tym. Od chwili, gdy zaczęliśmy rozmawiać, Maleldil uczynił mnie starszą. Na tyle starszą, aby o tym wiedzieć.

Na jej twarzy pojawił się wyraz, jakiego Ransom nigdy jeszcze nie widział. Nie był w stanie patrzeć dłużej na tę twarz. Poczul, że zupełnie nie panuje nad tym, co się dzieje. Zaległa długa cisza. Zanim w końcu przemówił, nachylił się i wypił trochę wody.

- O pani, czemu powiedziałaś, że takie stworzenia żyją już tylko w bardzo starych światach i skazane są na wymarcie?

- Czy jesteś aż tak młody? - zdziwiła się. - Przecież nie mogą już powrócić. Skoro nasz Umiłowany stał się człowiekiem, po cóż miałyby Rozum przyjmować inny kształt na którymkolwiek ze światów? Czy tego nie rozumiesz? To wszystko już się stało. Pośród różnych czasów jest taki, który robi gwałtowny zakręt. Po tej stronie wszystko jest już nowe. Czas nigdy się nie cofa.

- I myślisz, że tak mały świat jak mój może być tym zakrętem?

- Nie rozumiem. Nasz zakręt nie ma nic wspólnego z rozmiarami.

- A czy wiesz - Ransom zawahał się przez chwilę - czy wiesz, *dlaczego* On wybrał właśnie mój świat?

Od pewnego czasu nie potrafił patrzeć wyżej niż na jej stopy, więc gdy usłyszał odpowiedź, był to tylko głos spływający do niego z powietrza.

- Tak - mówił głos - znam powód, ale nie ten, który jest wiadomy tobie. Było więcej powodów. Ja znam jeden, lecz nie mogę go tobie wyjawić, ty znasz drugi, lecz nie możesz wyjawić go mnie.

- A więc w końcu nadejdzie czas - rzekł cicho Ransom - gdy wszyscy będą ludźmi.

- Mówisz to jakby z żalem.

- Myślę, że nie rozumiem z tego wszystkiego więcej niż zwierzę. Nie bardzo wiem, co mówię. Ale wiem jedno: bardzo kochałem te puszyste stworzenia, które spotkałem na Malakandrze, w tym starym świecie. Czy mają być wymiecione z dolnego świata? Czy są tylko śmieciem w Głębinach Niebios?

- Nie wiem, co to znaczy „śmiecie” - odpowiedziała - ani o czym właściwie mówisz. Chyba nie uważasz tych stworzeń za coś gorszego tylko dlatego, że pojawiły się wcześniej i więcej już się nie pojawią? Są tą, a nie inną częścią dziejów. My jesteśmy po tej stronie fali, one po drugiej. Wszystko jest nowe.

Jedną z niewygodnych stron tej rozmowy był dla Ransoma to, że nie miał całkowitej pewności, kto właściwie mówi do niego w danym momencie, a przyczyną tego mogły być (ale nie musiały) wspomniane już trudności z dłuższym patrzeniem w jej twarz. Teraz poczuł chęć przerwania rozmowy. „Miał dosyć” - nie w tym na pół żartobliwym sensie, który zwykle oznacza, że nasz rozmówca przebrał miarę, lecz zupełnie dosłownie, jak człowiek, który zaspokoił pragnienie snu lub jedzenia. Jeszcze godzinę temu nie ośmieliłby się wyrazić tego otwarcie, lecz teraz powiedział bez żadnego skrępowania:

- Nie chcę dłużej rozmawiać. Wolałbym jednak przedostać się na twoją wyspę, abyśmy mogli się znowu spotkać, gdy tego zapagniemy.

- Którą z wysp nazywasz moją? - zapytała Pani.

- Tę, na której jesteś - odparł Ransom. - A jaką inną?

- Chodź - powiedziała, rozkładając ręce takim gestem, jakby cały ten świat był domem, a ona jego gospodynią.

Ześliznął się do wody i wyszedł na brzeg tuż koło niej. Potem skłonił się - trochę niezgrabnie,

jak wszyscy współcześni ludzie - i odszedł do pobliskiego lasu. Nogi ugięły się pod nim i trochę go bolały; odczuwał zresztą dziwne fizyczne wyczerpanie w całym ciele. Usiadł, aby nieco odpocząć, i natychmiast zapadł w głęboki sen bez marzeń.

Obudził się całkowicie odświeżony, lecz z poczuciem jakiejś niepewności. Nie miało to nic wspólnego z odkryciem, że nie jest sam. Tuż przy nim, z rykiem spoczywającym na jego nogach, leżał smok. Jedno oko miał otwarte, drugie zamknięte. Ransom uniósł się na łokciu, rozejrzał wokoło i stwierdził, że przy jego głowie czuwa inny opiekun: pokryte futrem stworzenie przypominające małego kangura, tyle że żółtego. Nigdy jeszcze nie widział czegoś równie żółtego. Kiedy się poruszył, zwierzęta zaczęły go zaczepiać i trącać, a kiedy wstał, pozwalały mu iść tylko w jednym kierunku. Smok był zbyt ciężki, aby usunąć go z drogi, a żółte stworzenie tańczyło wokół człowieka w taki sposób, że mógł iść tylko tam, gdzie ono chciało. W końcu dał za wygraną i pozwolił się im prowadzić.

Przeszli przez gaj wyższych i bardziej brązowych drzew niż te, które widział dotychczas, później przez niewielką polanę, a wreszcie przez coś w rodzaju alei z bańkowych drzew. Za tą aleją rozciągały się łąki porośnięte srebrnymi, sięgającymi mu do pasa kwiatami. Teraz dopiero zrozumiał, że zwierzęta prowadziły go do swojej pani. Stała o kilka kroków od niego, nieruchoma, lecz wyraźnie pochłonięta czymś, co było dla niego tajemnicą; wydawało mu się, że bierze w tym udział jej umysł, a może i mięśnie. Po raz pierwszy mógł się jej przyjrzeć dokładnie, sam pozostając niezauważony. Pomyślał, że jest bardziej dziwna, niż mu się uprzednio wydawało. Nie mieściła się w żadnych ludzkich kategoriach. Gdyby namalować jej wizerunek, myślał Ransom, nie byłaby to sztuka ani religijna, ani świecka. Mieszały się w niej skrajne sprzeczności. Była piękna, naga, bezwstydną, młoda - wszystkie te cechy czyniły z niej pogańską boginię, lecz jej twarz, tak spokojna, że można by ją uznać za bezmyślną, gdyby nie niesamowita koncentracja łagodności, twarz przywodząca na myśl nagły chłód i ciszę kościoła, gdy się do niego wejdzie z nagrzaną, zgiełkliwej ulicy - ta twarz czyniła z niej Madonnę. Czujny, wewnętrzny spokój promieniujący z jej oczu przejmował Ransoma lękiem, lecz w każdej chwili mogła się roześmiać jak dziecko, pobiec przez łąkę jak Diana lub zatańczyć jak menada.

Złote niebo, płaskie i ciężkie, tak że wydawało się wisieć tuż nad jej głową, podkreślało niesamowitość tej sceny. Zwierzęta pobiegły ku swej pani, a gdy biegły przez puszystą łąkę, płoszyły setki kolorowych żab. Sprawiało to wrażenie, jakby w powietrze tryskały wielkie krople tęczy rosy. Pani odwróciła się i powitała je serdecznie. Raz jeszcze Ransom ujrzał scenę na pozór podobną do tak wielu scen ziemskich, lecz w swej wymowie zupełnie odmienną. Zielona Pani nie przypominała kobiety, która pieści konia, lub dziecka bawiącego się ze szczeniakiem. Z jej twarzy promieniowała władza, w jej pieszczotach była pewna łaskawość czy tliwość, świadcząca o tym, że poważnie traktuje niższość swych wielbicieli, a jednocześnie w pewien sposób ją łagodzi, jakby podnosząc ich ze szczebla ulubionych zwierzątek do poziomu sług. Kiedy Ransom do niej podszedł, pochylila się i szepnęła coś do ucha żółtemu stworzeniu, a potem zwróciła się do smoka i zabeczała niemal jego głosem. Odprawione w ten sposób zwierzęta pobiegły z powrotem do lasu.

- W twoim świecie zwierzęta zdają się prawie rozumne - powiedział Ransom.

- Sprawiamy, że z dnia na dzień stają się starsze - odparła. - Czy nie na tym właśnie polega to, że są zwierzętami?

Ransoma zaintrygowało użycie przez nią liczby mnogiej.

- Przyszedłem, aby właśnie o tym z tobą pomówić - zaczął. - Maleldil przysłał mnie do waszego świata w pewnym celu. Czy wiesz, o co chodzi?

Przez chwilę stała bez ruchu, jak człowiek, który czegoś nadśluchuje. Potem odpowiedziała:

- Nie.
- A więc musisz mnie zaprowadzić do swojego domu, do swoich bliskich.
- Bliskich? Nie wiem, o co ci chodzi.
- Mówię o twoich krewnych. O innych istotach twojego rodzaju.
- Mówisz o Królu?
- Tak! Jeśli macie króla, powinnaś mnie do niego zaprowadzić.
- Nie mogę tego uczynić - odparła. - Nie wiem, gdzie go szukać.
- A więc chodźmy do twojego domu.
- Co to jest „dom”?
- Miejsce, gdzie ludzie razem mieszkają, gdzie mają swoje rzeczy, gdzie wychowują dzieci.
- To jest mój dom - powiedziała rozkładając szeroko ręce, jakby tym gestem ogarniała całe otoczenie.

- Czy żyjesz tu samotnie? - zapytał Ransom.
- Samotnie? Co to znaczy?

Ransom westchnął i spróbował zacząć od początku.

- Zaprowadź mnie tam, gdzie spotkam inne istoty twojego gatunku.
- Jeżeli masz na myśli Króla, to już ci powiedziałam, że nie wiem, gdzie jest. Kiedyś, wiele dni temu - byliśmy wtedy bardzo młodzi - przeskakiwaliśmy z wyspy na wyspę i gdy ja byłam na jednej, a on na drugiej, nadeszła wielka fala i rozłączyła nas.

- Ale możesz chyba zaprowadzić mnie do innych istot podobnych do ciebie? Przecież oprócz ciebie i Króla muszą być inni...

- Jest tylko on! Nie wiedziałeś o tym?
- Ale przecież muszą być inni... twoi bracia, siostry, krewni, przyjaciele...
- Nie wiem, co znaczą te słowa.

Ransom poczuł, że ogarnia go rozpacz i złość.

- Kim jest ten Król?

- On jest sobą. Jest Królem - odpowiedziała po chwili wahania. - Jak w ogóle można odpowiedzieć na takie pytanie?

- Posłuchaj - rzekł Ransom, z trudem opanowując irytację - musisz przecież mieć matkę! Czy ona żyje? Gdzie jest teraz? Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

- Ja mam matkę? - powtórzyła Zielona Pani, patrząc na niego oczami pełnymi zdumienia. - O czym ty mówisz? To ja jestem Matką.

Raz jeszcze Ransom odniósł wrażenie, że to nie ona, albo przynajmniej nie tylko ona, wypowiedziała te słowa. Nie usłyszał żadnego innego dźwięku, na morzu i w powietrzu panował cisza, a jednak miał uczucie, jakby całą jego istotę przeniknęła potężna, chóralska muzyka. Nagle powrócił lęk, który w ciągu ostatnich minut ustąpił irytacji wobec jej bezsensownych odpowiedzi.

- Nie pojmuję cię - powiedział.

- Ani ja ciebie. Ale mój duch wielbi Maleldila, który zstępuje na niziny z Głębin Niebios i czyni mnie błogosławioną po wszystkie czasy, które toczą się ku nam jak fale. To On jest mocny, to On obdarza mnie siłą, to On napęcza puste światy swoimi dobrymi stworzeniami.

- Jeżeli jesteś matką, gdzie są twoje dzieci?
- Jeszcze nie, jeszcze nie teraz - odpowiedziała.
- A kto będzie ich ojcem?
- Król! Któż by inny? - zdziwiła się.
- Król. A kim jest jego ojciec?
- Jego ojciec? To on sam jest Ojcem.

- Czy to znaczy - powiedział Ransom wolno - że ty i on jesteście jedynymi istotami waszego gatunku w całym waszym świecie?

- Ależ oczywiście! - odpowiedziała i nagle na jej twarzy pojawił się zupełnie inny wyraz. - Och, jak ja byłam jeszcze młoda! Dopiero teraz to widzę. Przecież wiedziałam, że w starożytnym świecie hrossów i sornów żyło wiele stworzeń tych gatunków. Zapomniałam jednak, że twój świat też jest starszy niż nasz. Ach tak! Was też jest wielu! Myślałam, że i was jest tylko dwoje. Myślałam, że ty jesteś Królem i Ojcem swojego świata. A więc są już u was dzieci zrodzone z dzieci tych, którzy sami byli kiedyś dziećmi?

- Tak - potwierdził Ransom.

- Pozdrów ode mnie waszą Panią i Matkę, kiedy wrócisz do swojego świata.

Po raz pierwszy w jej głosie pojawił się ton wyszukanej, prawie ceremonialnej uprzejmości. Ransom zrozumiał. W końcu pojęła, że nie rozmawia z równym sobie. Teraz mówiła jak królowa przesyłająca pozdrowienia drugiej królowej przez zwykłego poddanego. Z pewnym trudem wypowiedział następane zdanie:

- Nasza Pani i Matka nie żyje - powiedział.

- Co to znaczy „nie żyje”?

- To znaczy, że ludzie odchodzą od nas po pewnym czasie. Maleldil zabiera ich dusze i przenosi je gdzie indziej... do Głębin Niebios, jak wierzymy. Nazywamy to śmiercią.

- Czemu więc dziwiłeś się, Łaciaty, że twój świat został wybrany na zakręt czasu? Życie na nim, mogąc wciąż patrzeć na samo niebo, i nie dość tego, jeszcze was Maleldil tam zabiera. Naprawdę, jesteście obdarowani bardziej niż mieszkańcy wszystkich innych światów!

Ransom potrząsnął głową.

- Nie - powiedział cicho. - Wcale tak nie jest.

- Zastanawiam się - mówiła Zielona Pani - czy nie zostałeś tu przysłany, aby nam powiedzieć o śmierci.

- Nic nie rozumiesz! Śmierć jest straszna, ma ohydny odór. Sam Maleldil zapłakał, gdy ją ujrzął.

W jego głosie i wyrazie twarzy musiało być coś, co nią wstrząsnęło. Spojrzała na niego ze zdumieniem, ale już po chwili pochłonął ją ocean bezmiernego spokoju. Zapytała, co miał na myśli.

- Nie potrafisz tego zrozumieć, Pani - rzekł - ale rzecz w tym, że w naszym świecie nie wszystkie wydarzenia są przyjemne i upragnione. Bywają takie, że każdy wolałby dać sobie odciąć ręce i nogi, byleby tylko ich uniknąć. Ale to daremne. Tych rzeczy my, ludzie, nie możemy uniknąć.

- Jak można nie pragnąć, aby nas dosięgła jedna z tych fal, które wysyła ku nam Maleldil?

Wbrew głosowi zdrowego rozsądku Ransom dał się wciągnąć w dyskusję.

- Przecież nawet ty, Pani - powiedział - już raz nie ucieszyłaś się z tego, co przyszło. Teraz wiem, że kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy, miałaś nadzieję, że to Król. Wkrótce poznałaś, że to nie on, i twoja twarz bardzo się zmieniła. Czyż nie było to wydarzenie przykre? Czy nie pragnęłaś, aby stało się inaczej?

- Och! - zawołała Zielona Pani klaszcząc w ręce, a potem odwróciła się z pochyloną głową, jakby myślała nad czymś bardzo intensywnie. - Dzięki tobie stajesz się starsza tak szybko, że trudno mi to znieść - dodała i odeszła kilka kroków.

Ransom rozmyślał nad tym, co właściwie się stało. Nagle odkrył, iż jej czystość i spokój nie są, jak mu się zdawało, czymś stałym i nieruchomym, jak u zwierzęcia. Są żywe, a więc mogą zamierać. Równowagę utrzymuje świadomy umysł, a zatem - przynajmniej w teorii - może ona ulec zakłóceniu. Nie ma powodu, dla którego cyklista miałby stracić równowagę na równej drodze, a jednak może się tak stać. Nie ma powodu, dla którego Zielona Pani winna opuścić swój stan

szczęścia i zanurzyć się w mrocznej psychologii rodzaju ludzkiego, a przecież nie ma takiego muru, który mógłby ją przed tym uchronić. To poczucie niestałości przeraziło go, ale gdy znowu na niego spojrziała, zamienił szybko w myślach słowo „niestałość” na „ryzyko”, a potem na „przygodę”, a potem... potem wszystkie słowa uciekły mu z głowy. Teraz wiedział już, co chcieli wyrazić starzy mistrzowie, gdy wprowadzili aureolę. Z jej twarzy promieniowała radość i powaga, jakieś dostojęństwo męczeństwa wolnego jednak od bólu. Lecz kiedy w końcu przemówiła, jej słowa wyrażały rozczarowanie.

- Aż do tej chwili byłam tak młoda, że całe moje życie wydaje mi się teraz jakby snem. Myślałam, że jestem unoszona, a oto już wiem, że chodziłam.

Ransom zapytał, co ma na myśli.

- To, co mi ukazałeś - odpowiedziała - jest jasne jak niebo, a przecież nigdy przedtem tego nie widziałam, choć zdarzało się codziennie. Idąc do lasu, aby zerwać coś do zjedzenia, już myśli się o takim, a nie innym owocu. Później może się zdarzyć, że znajdzie się inny owoc, nie ten, o którym się myślało. Innej przyjemności się oczekiwało, a inną otrzymuje. Nigdy jednak dotąd nie zwróciłam uwagi na to, że w samym momencie znalezienia innego owocu rodzi się w umyśle coś w rodzaju odepchnięcia lub odsunięcia na bok. Obraz owocu, którego się *nie* znalazło, jest wciąż przed tobą. To trwa krótko, ale gdyby się chciało, można by zatrzymać ten obraz dłużej. To znaczy, gdyby było możliwe, by tego chcieć. Można posłać swoją duszę za tym, czego się pragnęło, zamiast zwrócić ją ku dobru, które się otrzymało. Można odrzucić prawdziwe dobro! Można zepsuć sobie smak tego prawdziwego, dobrego owocu, myśląc o innym.

- To nieco inna sprawa niż spotkanie kogoś zupełnie obcego, gdy oczekiwało się męża - przerwał jej Ransom.

- Och, właśnie dzięki temu wszystko zrozumiałam! Ty i Król różnicie się między sobą bardziej niż dwa rodzaje owoców. Radość z odnalezienia jego i radość z nowej wiedzy, jaką uzyskałam dzięki tobie, są do siebie mniej podobne niż dwa różne smaki. Kiedy różnica jest tak duża, a każda z dwu rzeczy tak wielka, wówczas ten pierwszy obraz pozostaje w umyśle przez dłuższy czas - przez wiele uderzeń serca - po tym, jak nadeszło to, czego się nie oczekiwało. I właśnie dzięki tobie, Łaciaty, poznałam ów cud i chwałę że to ja, ja sama, odwracam się od dobra oczekiwanego ku dobru otrzymanemu. I czynię to z głębi mego własnego serca. A ktoś może mieć inne serce, serce wciąż przywiązane do tego dobra, o którym najpierw pomyślał, serce zmieniające dobro otrzymane w coś niedobrego.

- Nie widzę w tym żadnego cudu i chwały - powiedział Ransom.

Spojrziała na niego, a jej oczy zapłonęły takim triumfem, że na Ziemi mógłby uchodzić za pychę. Lecz w tym świecie nie było w nim nic z pychy.

- Sądziłam - powiedziała - że unosi mnie wola Tego, kogo kocham, lecz teraz już wiem, że to ja sama podążam za tą wolą. Sądziłam, że dobra, którymi On mnie obdarza, porywają mnie niby fale unoszące wyspy, lecz teraz wiem, że to ja sama rzucam się w nie, jakbym skakała do morza. Czuję się tak, jakbym żyła w twoim świecie bez dachu, tam gdzie ludzie chodzą nie osłonięci pod nagim niebem. Jaka to rozkosz i jaka to groza wędrować tak samemu od jednego dobra do drugiego, przechadzać się u Jego boku, tak jak On sam mógłby się przechadzać, iść obok Niego, nawet nie trzymając Go za rękę! Jak to się stało, że stworzył mnie jako istotę tak oddzieloną od Siebie? Cóż to za dziw, że zamyślił taką rzecz w swoim umyśle? Świat jest o wiele większy, niż myślałam. Sądziłam, że chodzimy po ścieżkach, a teraz widzę, że ścieżki nie istnieją. Ścieżką jest samo wędrowanie.

- I nie lękasz się - zapytał Ransom - że trudno ci będzie odwrócić serce od rzeczy upragnionych ku tym, jakie zsyła Maeldil?

- Rozumiem... - odpowiedziała po chwili namysłu. - Fala, w którą się ktoś rzuca, może być wielka i szybka. Trzeba wówczas wyżyć wszystkie siły, by się na niej utrzymać. Myślisz, że On może mi zesłać takie właśnie dobro?

- Tak... ale fala może być zbyt wielka i zbyt szybka na twoje siły.

- To się często zdarza w morzu. Czy nie na tym, między innymi, polega rozkosz pływania?

- Ale czy jesteś szczęśliwa bez Króla? Czy go nie *pragniesz*?

- Czy go nie pragnę?! Jakże mogłabym go nie pragnąć?

W jej odpowiedziach było coś, co zaczęło budzić w Ransomie niechęć.

- Nie możesz go tak bardzo pragnąć skoro jesteś szczęśliwa bez niego - powiedział, sam zaskoczony oschłością głosu.

- Dlaczego? - zawołała. - Ach, Łaciaty, czemu widzę na twym czole maleńkie fałdy? Czemu lekko unosisz ramiona? Czy to coś oznacza w twoim świecie?

- Nie, to nic nie znaczy - odparł szybko.

To drobne kłamstwo nabrało nagle tu, na Perelandrze, niesłychanej wagi. Gdy tylko je wypowiedział, poczuł skurcz, jakby miał za chwilę zwymiotować, jakby srebrzyste łąki i złote niebo odrzuciły mu je w twarz niby brudną szmatę. Zmieszany gniewem, zdającym się przenikać atmosferę, wyjąkał cicho:

- Nie oznacza nic, co potrafiłbym ci wytłumaczyć.

Popatrzyła na niego nowym, bardziej surowym i badawczym wzrokiem. Może w obecności pierwszego syna matki, z jakim się spotkała, poczęło w niej kiełkować mgliste przecucie problemów, przed którym stanie, gdy sama będzie miała dzieci.

- Nasza rozmowa trwała już dostatecznie długo - powiedziała w końcu.

Ransom sądził, że Pani odwróci się i odejdzie, ale ponieważ stała bez ruchu, skłonił się i cofnął o kilka kroków. Milczała nadal i sprawiała wrażenie, jakby o nim zupełnie zapomniała. Odwrócił się więc i zaczął iść przez kwitnące łąki, aż stracił ją z oczu.

Audiencja była skończona.

Rozdział 6

Gdy tylko Pani znikła mu z oczu, Ransom miał ochotę przygładzić włosy, wypuścić głośno powietrze z płuc, zapalić papierosa, włożyć ręce do kieszeni, jednym słowem przejść przez cały rytuał odprężających gestów, jakie zwykle wykonuje człowiek, który wreszcie został sam po zakończeniu męczącej rozmowy. Nie miał jednak ani papierosów, ani kieszeni i, prawdę mówiąc, wcale nie czuł się samotny. Poczucie czyjejs trudnej do zniesienia Obecności, które ovladnęło nim od początku rozmowy z Zieloną Panią, wcale go nie opuściło, a nawet się wzmogło, tak jakby jej towarzystwo nieco je tłumilo.

To, co odczuwał, przypominało raczej bolesne odosobnienie. Z początku było prawie nie do wytrzymania, bo (jak to ujął później w rozmowie z nami) stwarzało wrażenie dławiącej ciasnoty. Z czasem odkrył, że można nad tym zapanować. Stawało się nieznośne tylko w momentach świadomego potwierdzania swojej niezależności (odruch, by zapalić lub włożyć ręce do kieszeni, był dobrym symbolem tych chwil). „Kiedy się coś takiego czuje - mówił Ransom - samo powietrze wydaje się zbyt gęste, by nim oddychać; przestrzeń wokoło jest całkowicie wypełniona, tak że zdaje się człowieka wypychać z miejsca, którego, rzecz jasna, nie jest w stanie opuścić.” Wystarczyło jednak poddać się tej Obecności, ulec temu ciśnieniu, a przestawało być nieznośnym ciężarem i natychmiast przeradzało się w radosne upojenie. Czuł się wówczas tak, jakby pił, jadł i wdychał promienne złoto, które nie tylko syci go i ożywia, lecz zaczyna z niego promieniować. Wszystko zależało od stosunku do tej Obecności: kiedy stawiał jej opór - dławiła; kiedy jej ulegał, zdawało mu się, że życie ziemskie było czymś w rodzaju próżni. Na początku te niedobre momenty zdarzały się dość często, ale wkrótce nauczył się panować nad wewnętrznymi odruchami, tak jak ranny uczy się unikania pozycji, w których ból jest wyraźnie dotkliwszy. W każdym razie z godziny na godzinę czuł się lepiej.

W ciągu tego dnia poznał dość dobrze całą wyspę. Morze było wciąż spokojne i z łatwością przeskakiwał na sąsiednie wyspy. Zatrzymał się jednak dłużej na skraju tego krótkotrwałego archipelagu, wpatrując się w bezmiar oceanu. Opoдал wznosiła się owa wysoka, zielona kolumna, którą zobaczył po raz pierwszy w kilka minut po wylądowaniu na Perelandrze. Obserwując ją teraz z odległości jednej mili, doszedł do wniosku, że to górzysta wyspa. Zielona kolumna była właściwie skupiskiem strzelistych turni przypominających dolomity o nadnaturalnej wysokości, o powierzchni tak gładkiej, że można by je lepiej porównać do filarów z Grobli Olbrzymów [Grobła Olbrzymów - *Giant's Causeway* - skupisko bazaltowych filarów powstałych na skutek erozji skał na wybrzeżu Irlandii Północnej (przyp. tłum.)] powiększonych do rozmiarów gór. Ten potężny, wyniosły masyw nie wyrastał jednak bezpośrednio z morza, lecz z pofałdowanej wyżyny o płaskim brzegu. Widział doliny pokryte jakąś roślinnością, a nawet bardziej strome jary i wąwozy, podchodzące wysoko pod centralne filary. Był to całą pewnością ląd, prawdziwy stały ląd, wrośnięty w twardą skorupę planety.

Ransom nie mógł oderwać wzroku od tego lądu. Badał szczegóły krajobrazu, strukturę skał, stromiznę zboczy dolin. Niektóre bez wątpienia nadawały się do zamieszkania. Płaski brzeg wyraźnie nie nastroczał trudności przy lądowaniu, a nawet owa wielka, zielona góra, wznosząca się pośrodku, mogła się okazać do zdobycia. Zapragnął znaleźć się tam i zwiedzić ten kraj, bardziej przypominający Ziemię niż owe nietrwale, niepewne wysepki dryfujące po oceanie.

Tego dnia nie zobaczył już Zielonej Pani. Następnego ranka popływał trochę w morzu, zjadł śniadanie i usiadł na brzegu, aby znowu popatrzeć na Stały Ląd. Nagle usłyszał za sobą głos. Obejrzał się i ujrzał ją wychodzącą z lasu, jak zwykle otoczoną orszakiem zwierząt. To, co usłyszał, było słowami powitania, lecz teraz nie zdradzała chęci do rozmowy. Stała obok niego na skraju

wyspy i popatrzyła na Stały Łąd.

- Wybiorę się tam - powiedziała w końcu.

- Czy mogę ci towarzyszyć? - zapytał.

- Jeśli tylko chcesz. Ale chyba wiesz, że to Stały Łąd.

- Właśnie dlatego chciałbym po nim pochodzić. W moim świecie wszystkie łądy są stałe, więc sprawi mi to dużą przyjemność.

Aż krzyknęła ze zdumienia i spojrzała na niego z lękiem.

- Gdzie w takim razie mieszkanie? - zapytała.

- Jak to gdzie? Na łądzie.

- Ale przecież powiedziałeś, że w twoim świecie wszystkie łądy są stałe!

- No tak. Mieszkamy na stałych łądach.

Po raz pierwszy ujrzał na jej twarzy cień przerażenia lub nawet obrzydzenia.

- Ale co wy robicie podczas nocy? - zapytała podniesionym głosem.

- Jak to co? - zdziwił się Ransom. - Oczywiście śpimy.

- Śpicie? Gdzie?

- Tam, gdzie mieszkamy. Na łądzie.

Zamyśliła się głęboko i po jakimś czasie Ransom uznał, że zakończyła rozmowę. Ale w końcu znowu przemówiła, a jej głos był już cichy i spokojny, choć jakby pozbawiony dawnego radosnego tonu.

- A więc On nie zakazał wam tego - powiedziała bardziej twierdząco niż pytająco.

- Nie - potwierdził Ransom.

- To znaczy, że w różnych światach mogą obowiązywać różne prawa.

- Czy w twoim świecie jest prawo zabraniające sypiać na Stałym Łądzie?

- Tak. On nie chce, abyśmy tam mieszkali. Możemy tam dopłynąć i przechadzać się po nieruchomej powierzchni, bo przecież cały ten świat do nas należy. Ale zostać tam... spać i obudzić się... - urwała i wzdrygnęła się.

- W naszym świecie nie mogłoby obowiązywać takie prawo - rzekł Ransom. - U nas w ogóle nie ma pływających łądów.

- Ile podobnych tobie istot żyje w waszym świecie? - zapytała nagle.

Ransom zdał sobie sprawę, że nie zna liczby mieszkańców Ziemi, spróbował jednak przybliżyć jej pojęcie wielu milionów. Spodziewał się zdumienia, lecz okazało się, że liczby nie robią na niej żadnego wrażenia.

- W jaki sposób mieścicie się wszyscy na stałym łądzie? - zapytała.

- Mamy wiele stałych łądów. Są wielkie, prawie tak wielkie jak morze.

- I możecie to znieść?! - wybuchnęła znowu. - Prawie połowa waszego świata jest martwa i pusta! Wszędzie tylko łąd i łąd, nieruchomy, przykuty do dna. Czy nie miażdży was sama myśl o tym?

- Ależ nie! - odparł Ransom. - Jest całkiem odwrotnie. Bylibyśmy nieszczęśliwi i przerażeni, gdyby cały świat był morzem, tak jak tu.

- Jak to wszystko się skończy? - zapytała nagle Zielona Pani, zwracając się bardziej do siebie niż do niego. - W ciągu kilku ostatnich godzin postarzałam się tak, że całe moje poprzednie życie wydaje się zaledwie pnem drzewa, a teraz jestem jak gałęzie wystrzelające z niego we wszystkie strony. Rozpościerają się tak szeroko, że trudno mi to znieść. Najpierw dowiedziałam się, że sama, o własnych siłach, wędruję od jednego dobra do drugiego... Tu już moje gałęzie sięgały bardzo daleko. A teraz słyszę, że dobro nie jest jednakowe we wszystkich światach, że Maleldil zabrania w jednym świecie czegoś, na co pozwala w innym...

- Może mój świat błądzi - powiedział Ransom słabym głosem, bo przeraziło go to, czego dokonał.

- Nie, tak nie jest - zaprzeczyła natychmiast. - Sam Maleldil powiedział mi to w tej chwili. Zresztą nie może być inaczej, skoro w twoim świecie nie ma pływających wysp. Nie mówi mi jednak, dlaczego nam tego zabronił.

- Zapewne są ku temu ważne powody... - zaczął Ransom, lecz przerwał mu nagły wybuch jej śmiechu.

- Och, Łaciaty, Łaciaty! - zawołała, wciąż zanosząc się od śmiechu. - Jak często istoty twojego gatunku mówią!

- Bardzo mi przykro - rzekł trochę zbity z tropu.

- Dlaczego ci przykro?

- Przykro mi, jeśli uważasz, że za dużo mówię.

- Za dużo? Skąd miałabym wiedzieć, co dla ciebie jest za dużo?

- W naszym świecie mówimy, że ktoś za dużo mówi, gdy chcemy, by zamilkł.

- A dlaczego nie powiecie tego wyraźnie?

- Z czego się śmiałaś? - zapytał Ransom, bo odpowiedź na jej ostatnie pytanie przekraczała jego siły.

- Śmiałam się, Łaciaty, bo podobnie jak ja dziwisz się, że Maleldil ustanowił to prawo dla jednego tylko świata. Ale ty nie masz na ten temat nic do powiedzenia, a jednak ubierasz to nic w słowa.

- A jednak *mam* coś do powiedzenia - szepnął do siebie Ransom, po czym dodał już głośniej: - Ten zakaz nie jest wcale uciążliwy w takim świecie jak twój.

- To także są dziwne słowa. Kto by mógł myśleć, że jest uciążliwy? Gdybym kazała moim zwierzętom chodzić na głowach, wcale nie uważałyby tego za uciążliwe, przeciwnie, stałoby się to ich uciechą. Ja jestem zwierzęciem Maleldila, więc wszystkie Jego zakazy są dla mnie radością. Nie, nie to mnie dziwi. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie ma dwu różnych rodzajów zakazów.

- Jeden z naszych mędrców powiedział... - zaczął Ransom, lecz znowu mu przerwała:

- Poczekajmy. Zapytamy o to Króla. Myślę, Łaciaty, że o tych sprawach nie wiesz o wiele więcej ode mnie.

- Ależ tak, zapytajmy Króla - rzekł Ransom i dodał - Jeśli tylko zdołamy go odnaleźć. - A potem, całkiem bezwiednie, zawołał po angielsku: - Co to było, u licha!

Zielona Pani również krzyknęła. Po lewej stronie nieba przemknęła coś przypominającego spadającą gwiazdę, a w kilka minut później usłyszeli łoskot.

- Co to było? - powtórzył Ransom, tym razem w starym solarnym.

- Coś spadło z Głębin Niebios - powiedziała Pani. Jej twarz wyrażała zdumienie i zaciekawienie, lecz Ransomowi wydała się dziwna, bo na Ziemi bardzo rzadko widzi się wyraz tych uczuć bez domieszki obronnego lęku.

- Myślę, że masz słuszość - powiedział. - Hej, a to co znowu?

Spokojne dotąd morze nagle wezbrało, a purpurowe frędzle wyrastające z krawędzi wyspy zaczęły się gwałtownie poruszać. Pojedyncza fala uniosła wyspę i wszystko się uspokoiło.

- Tak, to pewne, że coś spadło do morza - powiedziała Pani, po czym powróciła do przerwanej rozmowy, jakby nic się nie stało.

- Już ci mówiłam, że chcę się przedostać na Stały Łąd. Chcę to zrobić, by odnaleźć Króla. Nie ma go na żadnej z tych wysp, wszystkie dobrze przeszukałam. Jeśli wejdziemy wysoko na Stały Łąd i rozejrzemy się dookoła, będziemy widzieć daleko. Zobaczymy, czy są w pobliżu jakieś inne wyspy.

- Zróbmy to - zgodził się Ransom. - Ale... czy zdołamy tam dopłynąć?

- Nie, my tam pojedziemy - odparła Pani.

Uklękała na samym brzegu - a w jej ruchach był tyle wdzięku, że samo patrzenie na nią sprawiało Ransomowi rozkosz - i wydała z siebie trzy niskie, utrzymane na tej samej nucie dźwięki. Przez chwilę nie było żadnego odzewu. Wkrótce jednak Ransom ujrzał w wodzie liczne smugi zbliżające się szybko do brzegu, a w chwilę później morze wokół wyspy zaroilo się od wielkich srebrnych ryb, które wyskakiwały nad powierzchnię wody, wiły się i cisnęły jedna przez drugą do brzegu. Najbliższe trącały pyskami krawędź wyspy. Miały nie tylko barwę, ale i gładkość srebra. Długość największych sięgała trzech metrów, a wszystkie były masywnie zbudowane i wyglądały na bardzo silne. Trudno je porównać z jakimkolwiek ziemskim gatunkiem, bo nasadę głowy miały o wiele grubszą niż przednia część tułowia, który z kolei rozszerzał się znacznie ku ogonowi. Gdyby nie to wybrzuszenie z tyłu, przypominałyby olbrzymie kijanki, a tak przywodziły raczej na myśl brzuchatych starców o wielkich głowach i wąskich klatkach piersiowych. Zielona Pani zastanawiała się długo nad wyborem dwu z nich, lecz kiedy go dokonała, cała reszta cofnęła się o kilka metrów, a dwie szczęśliwe wybranki wykonały obrót, ustawiły się ogonami do brzegu i czekały spokojnie, lekko poruszając płetwami.

- Teraz rób to, co ja, Łaciaty! - zawołała, siadając okrakiem na wąskiej części grzbietu prawej ryby.

Ransom poszedł za jej przykładem. Wielka głowa ryby zabezpieczała przed ześlizgnięciem się do wody. Obserwował malachitową boginkę i gdy zauważył, że lekko ścisnęła piętami boki swego wierzchowca, uczynił to samo. W chwilę później oddalali się już od wyspy z szybkością mniej więcej sześciu mil na godzinę. Nad wodą powietrze było chłodniejsze, a lekka bryza unosiła mu włosy na głowie. W świecie, w którym dotychczas tylko pływał i chodził, szybkość tej jazdy na rybie wydawała mu się zawrotna. Obejrzał się i zobaczył oddalające się szybko pierzaste, pofalowane zarysy archipelagu. Niebo wydawało się jeszcze bardziej rozległe i złote. Przed nimi dominowała w polu widzenia fantastycznie ukształtowana, kolorowa góra. Z zaciekawieniem spostrzegł, że towarzyszy im ławica srebrnych ryb - część z tyłu, większość jednak igrając w wodzie po bokach.

- Czy one zawsze ci towarzyszą? - zapytał.

- A czy w twoim świecie zwierzęta nie towarzyszą ludziom? - odpowiedziała pytaniem. - Możemy dosiąść tylko dwu ryb. Inne czułyby się bardzo pokrzywdzone, gdybyśmy im nie pozwolili sobie towarzyszyć.

- Czy dlatego, o Pani, wybierałaś tak długo te dwie?

- Oczywiście! Staram się nie dosiadać zbyt często tej samej ryby.

Łądz zbliżał się szybko i to, co z oddali wydawało się równą linią brzegową, teraz zaczęło się załamywać w zatoki i przylądki. Byli już tak blisko, że Ransom widział lekki przybór i odpływ fali na plaży, co świadczyło o nieznacznym ruchu spokojnego na pozór oceanu. Niebawem zrobiło się tak płytko, że ryby nie mogły płynąć dalej. Naśladując Zieloną Panią, Ransom przerzucił nogi na jedną stronę swojej ryby i ześliznął się do wody. Och, co za rozkosz! Stopy natrafiły na twarde, nie uginające się, gładkie kamienie! Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za stałym lądem.

Spojrzał w górę. Do zatoki zbiegał wąwóz o stromych zboczach oznaczonych czerwonymi turniami, niżej porośniętych czymś w rodzaju mchu, spomiędzy którego wystrzelało w górę nieco drzew. Miały zupełnie ziemskie kształty; gdyby je posadzono w którymś z południowych krajów, mogłyby zwrócić uwagę tylko wytrawnego botanika. Ale najlepsze było to, że środkiem doliny - powitany przez Ransoma jak kawałek ojczyzny lub raj - płynął mały, szemrzący strumień,

przejrzysty, o kamienistym dnie, taki, w jakim należałoby się spodziewać pstrągów.

- Podoba ci się to miejsce, Łaciaty? - zapytała Pani.

- Tak - odpowiedział. - Przypomina mi mój świat.

Ruszyli dnem wąwozu pod górę. Kiedy znaleźli się pod drzewami, podobieństwo do ziemskiego krajobrazu zanikło. W tym świecie było o wiele mniej światła; polanki, które na Ziemi powinien pokrywać jedynie delikatny półcień, tu spowijał głęboki, leśny mrok. Wąwóz miał nie więcej niż ćwierć mili długości, dalej przechodził w ciasną rozpadlinę między niskimi skałami. Pani wspięła się zwinnie po skałach i Ransom podążył za nią, podziwiając jej siłę i zręczność. Wyszli na skraj stromej wyżyny pokrytej porostami przypominającymi nisko skoszoną trawę, tyle że bardziej błękitną niż zieloną. Jak okiem sięgnąć, równina upstrzona była białymi, puszystymi plamkami.

- Kwiaty? - zapytał Ransom.

Pani roześmiała się.

- Nie. To są łaciatki. Ich nazwę tobie nadałam.

Nie zrozumiał, o co jej chodzi, lecz nagle jasne plamki zaczęły się poruszać i pomykać ku parze przybyszów, których musiały zwietrzyć, gdyż na wyżynie dał silny wiatr. Po chwili wokół Zielonej Pani tłoczyły się dziwne stworzenia, białe w czarne łaty, wielkości owiec, lecz wielkie uszy, ruchliwe nosy i długie ogony upodobały je raczej do olbrzymich myszy. Ich łapy, przypominające szpony lub nawet dłonie, były wyraźnie przystosowane do wspinania się po skałach. Żywiły się owymi błękitnymi porostami.

Po wymianie serdeczności z łaciatymi stworzeniami ruszyli w dalszą drogę. W dole roztaczał się bezkresny, złocisty krąg oceanu, nad nimi piętrzyły się prawie pionowo zielone filary. Ale od postawy skalnych iglic dzieliła ich jeszcze długa i uciążliwa droga. Temperatura była tu o wiele niższa, ale i tak Ransom nie czuł zimna. Duże wrażenie zrobiła na nim panująca tu cisza, nieznana na pływających wyspach, gdzie ustawicznie - choć nie zawsze się to słyszało - rozlegał się plusk wody, trzask „mydlanych baniek” i odgłosy zwierząt.

Wkraczali teraz w porośniętą błękitnym mchem jakby zatokę czy rozpadlinę między dwoma zielonymi filarami. Oglądane z dołu zdawały się stykać ze sobą, lecz kiedy weszli między nie tak głęboko, że zupełnie przesłoniły im widok, okazało się, że jest tam dość miejsca na cały batalion w rozwiniętym szyku. Im bardziej stromy stawał się żleb, tym bardziej zwężała się przestrzeń między filarami. Wkrótce wspinali się już przy pomocy rąk i kolan, aż rozpadlina między zielonymi ścianami tak się zwężyła, że musieli iść jedno za drugim. Kiedy Ransom zadarł głowę, ujrzał tylko wąski pasek nieba między skałami. W końcu doszli do nagiej ściany około dwu i pół metra wysokości, z której jak z kamiennego działka wyrastały korzenie dwu strasznych zębów góry. „Wiele bym dał za parę spodni”, pomyślał Ransom spoglądając na przeszkodę. Zielona Pani, która go wyprzedziła, wspięła się na palce i uniosła ręce, by uchwycić się występu skalnego na krawędzi ściany. Ujrzał, jak napina mięśnie, najwidoczniej zamierzając zawiesić się na rękach i wciągnąć na szczyt skały jednym ruchem.

- Posłuchaj! W ten sposób nie uda ci się... - zaczął bezwiednie po angielsku, ale zanim zdążył się poprawić, stała już na krawędzi urwiska.

Nie zauważył dokładnie, jak właściwie tego dokonała, ale nic nie świadczyło o tym, by włożyła w to wiele wysiłku. Jego wspinaczka była o wiele mniej efektywna i kiedy wreszcie stanął obok niej, spocony i z trudem łapiący powietrze, kolana miał boleśnie poobcierane. Widok krwi wzbudził w niej żywe zainteresowanie, a kiedy wyjaśnił jej to zjawisko jak mógł najlepiej, chciała zadrapać skórę na swoim kolanie, by zobaczyć, czy nastąpi coś podobnego. Próbował jej wytłumaczyć, na czym polega ból, ale to tylko jeszcze bardziej zachęcało ją do przeprowadzenia eksperymentu. Widocznie jednak Maleldil zakazał jej tego w ostatniej chwili, bo nagle poniechała prób.

Ransom rozejrzał się po otoczeniu. Stali na skraju niewielkiego, owalnego płaskowyżu położonego między niebotycznie wysokimi kolumnami zielonych skał. Było ich dziewięć, wszystkie wystrzelały w górę tak wysoko, że prawie całkowicie przesłaniały niebo, a w perspektywie zdawały się nachylać ku sobie na samym szczycie. Niektóre wyrastały tuż obok siebie, tak jak te dwie, między którymi weszli do wnętrza tego kamiennego kręgu; inne rozdzielało wiele metrów przestrzeni. Otoczoną nimi owalną płaszczyznę, o powierzchni blisko siedmiu akrów, porastała wspaniała, bujna murawa, upstrzona drobnymi, purpurowymi kwiatami. Zawodzący śpiewnie wiatr przynosił w to surowe, górskie pustkowie fale ochłodzonej i rześkiej kwintesencji wszystkich zapachów bujnego, położonego w dole świata. Połyskujące między filarami morze przypominało Ransomowi, że znaleźli się na znacznej wysokości. Po wielobarwnym, rozfalowanym świetle pływających wysp z ulgą wodził wzrokiem po czystych i nieruchomych kształtach skalnych masywów. Postąpił kilka kroków, a kiedy się odezwał, wewnątrz tej gigantycznej katedralnej nawy rozbrzmiało echem jego głosu.

- Och, jak tu pięknie! Ale ty, Pani, zapewne tego nie czujesz, bo to kraina dla ciebie zakazana... - Lecz kiedy na nią spojrzął, zrozumiał, że się myli. Nie mógł przeniknąć tej twarzy, ale jaśniała czymś, co ponownie kazało mu opuścić oczy.

- Popatrzmy teraz na morze - powiedziała po chwili.

Bez pośpiechu okrążali owalny płaskowyż, zatrzymując się w każdej przerwie między zielonymi filarami. Z tej odległości grupa wysp, z których wyruszyli tego ranka, wydała się Ransomowi znacznie większa, niż przypuszczał. Bogactwo barw upodabniało ją do wielkiej tarczy herbowej. Dominowały kolory srebra, purpury, szafranu i - co było dla niego pewnym zaskoczeniem - połyskliwej czerni. To właśnie stamtąd wiatr przynosił zapach, który - choć słaby - działał na niego tak, jak szmer strumienia na spragnionego człowieka.

Ale we wszystkich pozostałych kierunkach rozpościerał się złoty ocean bez śladu innych wysp. Dopiero gdy okrążyli już prawie cały płaskowyż, Ransom krzyknął nagle, a w tej samej chwili Zielona Pani wskazała na coś ręką. Około dwóch mil od lądu na zielonomiedzianej powierzchni wody czernił się jakiś mały, okrągły przedmiot. Gdyby patrzyli na ziemskie morze, Ransom mógłby przysiąc, że to boja.

- Nie wiem, co to jest - powiedziała Pani. - Chyba to coś, co spadło rano z Głębin Niebios.

„Wiele bym dał za dobrą lornetkę”, pomyślał Ransom, w którym jej słowa obudziły nagle dziwny niepokój. Im dłużej obserwował ciemny, idealnie kulisty przedmiot, tym silniejsze stawały się jego podejrzenia. Miał wrażenie, że widział już kiedyś coś podobnego.

Jak wiadomo, Ransom był niegdyś na planecie zwanej przez ludzi Marsem, której prawdziwa nazwa brzmi - Malakandra. Nie został na nią przeniesiony przez eldile. Przywieźli go tam ludzie w kosmicznym statku, w pustej kuli ze stali i szkła. Mówiąc ściślej, został porwany przez awanturników, przekonanych, iż władcy Malakandry żądają od nich ofiary ludzkiej. Okazało się to nieporozumieniem. Wielki Ojarsa rządzący Malakandrą od początku jej dziejów (ten sam, którego widziałem w holu domku Ransoma) nie miał bynajmniej złych zamiarów i nie wyrządził mu krzywdy. Natomiast złe i groźne zamiary miał główny organizator całego przedsięwzięcia, profesor Weston. Był to człowiek opętany ideą, która obecnie krąży po świecie w licznych mętnych książkach, określanych zwykle jako „fantazje naukowe”, w różnego rodzaju „towarzystwach studiów międzyplanetarnych” i „klubach rakietowych”, czy też między kolorowymi okładkami podejrzanych, pseudonaukowych czasopism. Idea ta, choć wyszydzana i lekceważona przez intelektualistów, może jednak realnie zagrażać losom świata, jeśli tylko sprzymierzy się z potęgą. Głosi ona, że ludzkość, zniszczywszy środowisko naturalne macierzystej planety, musi za wszelką cenę rozprzestrzenić się po wszechświecie. Innymi słowy, trzeba pokonać bariery astronomicznych

odległości, które Bóg ustanowił jako część swego rodzaju systemu kwarantanny otaczającego Ziemię. Ale na tym nie koniec. Na dnie tej idei kryje się słodka trucizna kultu fałszywej nieskończoności - szaleńcza utopia, według której da się zmusić planetę po planecie, system gwiazdny po systemie gwiazdnym, galaktykę po galaktyce, by przez nieskończoność utrzymywały ten rodzaj życia, jaki powstaje z nasienia naszego gatunku. W tę utopię, zrodzoną z nienawiści do śmierci i z lęku przed prawdziwą nieśmiertelnością, wierzą skrycie tysiące ciemnych ludzi oraz setki takich, którzy z pewnością ciemnymi nie są. Dla nich upragnionym celem jest zniszczenie lub zniewolenie innych, pozaziemskich gatunków, jeśli takie istnieją.

W osobie profesora Westona te marzenia sprzymierzyły się po raz pierwszy z potęgą. Wielki fizyk odkrył energię zdolną poruszyć pojazdy kosmiczne. A ów niewielki, ciemny obiekt, kołyszący się teraz na nieskalanych wodach Perelandry, z każdą chwilą coraz bardziej przypominał Ransomowi właśnie statek kosmiczny.

„A więc dlatego - myślał - zostałem tutaj przysłany. Nie udało mu się na Malakandrze, przybył więc tutaj. I ja, właśnie ja, mam temu zaradzić.” Przeniknęło go dojmujące poczucie nierówności sił w tej walce. Poprzednim razem - na Marsie - Weston miał tylko jednego współnika, dysponował jednak bronią palną. Ilu współników może mieć teraz? Zresztą na Marsie pokonał go nie on, Ransom, lecz eldila, a w szczególności wielki eldil, Ojarsa tamtego świata.

- Nie widziałem jeszcze żadnego eldila w twoim świecie - zwrócił się do Zielonej Pani.

- Eldila? - powtórzyła, jakby to słowo było jej obce.

- Tak, eldila. Mówię o potężnych, odwiecznych sługach Maleldila. O istotach, które nie oddychają i nie rozmnażają się, a ciała mają ze światła. Trudno je zobaczyć, ale trzeba im być posłusznym.

Zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała:

- Tym razem Maleldil uczynił mnie starszą bardzo łagodnie i miło. Ukazał mi całą naturę tych błogosławionych istot. Ale *teraz*, w tym świecie, nie trzeba im być posłusznym. Należą do starego porządku, są po przeciwległej stronie fali, która odeszła i nigdy już nie wróci. Na tym bardzo starym świecie, który odwiedziłeś, trzeba okazywać im posłuszeństwo. Rządziły kiedyś i w twoim świecie, ale to było dawno, przed tym, jak Umiłowany stał się człowiekiem. Choć... wciąż tam jeszcze trwają... Ale w naszym świecie, pierwszym, jaki się przebudził po wielkiej przemianie, nie mają władzy. Tutaj nie ma żadnych pośredników między nami a Nim. My urosiliśmy znacznie, eldile zmałyły. O! Teraz Maleldil mówi mi, że dla nich to właśnie jest radością i chwałą! Oddano im nas w opiekę - nas, istoty z niższego świata, które oddychają i mnożą się - tak jak słabe zwierzątka, które może zniszczyć jedno ich dotknięcie. Ich chwałą było czuwanie nad nami i czynienie nas starszymi, aż w końcu staliśmy się starsi od nich i mogą nam upaść do stóp. To wielka radość, jakiej nigdy nie zaznamy. Mogę uczyć i uczyć moje zwierzęta, lecz nigdy nie staną się lepsze ode mnie. Och, to wielka radość, radość niezrównana! Oczywiście nie przewyższa tej, która jest naszym udziałem. Każda radość jest niezrównana. Owoc, który właśnie spożywamy, jest zawsze najlepszy ze wszystkich.

- A jednak jest taki eldil, dla którego nie było to wcale radością - rzekł Ransom.

- Jak to?!

- Wczoraj, Pani, mówiłaś o przywiązaniu do starego dobra i przekładaniu go nad nowe, kiedy przychodzi.

- Tak... przez kilka uderzeń serca.

- Otóż był kiedyś eldil, który przywiązał się do starego dobra na dłużej. Trwa przy nim od pradawnych czasów, zanim jeszcze stworzono świat.

- Ale przecież stare dobro przestało już być dobrem!

- Tak. Przestało być dobrem. Lecz on nadal przy nim trwa.

Spojrzała na niego ze zdumieniem i już chciała coś powiedzieć, gdy ją uprzedził:

- Nie ma czasu na wyjaśnienia.

- Nie ma czasu? A co się stało z czasem? - zapytała.

- Posłuchaj uważnie - rzekł Ransom. - Ta dziwna rzecz przywędrowała tu przez Głębinę Niebios z mojego świata. Wewnątrz jest człowiek, a może nawet wielu ludzi...

- Patrz! - przerwała mu. - Teraz się dzieli na dwie części! Jedna jest duża, druga mała!

Zobaczył, że od kosmicznego statku odłączyło się coś małego i zaczęło płynąć w stronę brzegu. Przez chwilę sam był zaskoczony, lecz wkrótce doszedł do wniosku, że Weston - jeśli to był Weston - prawdopodobnie wiedział o oceanicznej powierzchni Wenus i zabrał ze sobą coś w rodzaju lekkiej szalupy. Czyżby jednak nie brał pod uwagę przypliwów i burz, czyżby nie przewidział, że może już nigdy nie powrócić na pokład swego statku? Nie było to podobne do Westona, który zawsze zapewniał sobie drogę odwrotu, a z kolei Ransom był ostatnią osobą, która mogłaby pragnąć, aby mu się to nie udało. Weston nie mogący wrócić na Ziemię, gdyby tego chciał - to stwarzało problem nie do rozwiązania. W każdym razie, czego mógłby dokonać on sam, Ransom, bez pomocy eldilów? Znowu ogarnęło go poczucie nierówności sił, a nawet niesprawiedliwości. Cóż to za pomysł, wysłać tu jego, skromnego naukowca, aby stawiał czoło takiej sytuacji? Bardziej by się nadawał jakiś bokser albo jeszcze lepiej facet radzący sobie dobrze z pistoletem maszynowym. Żeby chociaż odnaleźć tego Króla, o którym wciąż wspomina Zielona Pani!

Podczas gdy te myśli przebiegały mu przez głowę, zaczęło do niego docierać coś innego: najpierw słaby, później coraz silniejszy pomruk.

- Spójrz! - usłyszał głos Zielonej Pani, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że wskazuje na archipelag pływających wysp. Ich powierzchnia przestała być płaska. Teraz zdał sobie sprawę, że głuchy pomruk wydają fale, wciąż jeszcze niezbyt duże jak na perelandryjską skalę, ale już załamujące się w bryzgach piany na skalistych przylądkach Stałego Łądu.

- Morze się podnosi - powiedziała Pani. - Musimy zejść i natychmiast opuścić Łąd. Wkrótce fale będą zbyt wielkie... a ja nie mogę tu zostać, gdy zapadnie noc.

- Nie, nie tędy! - zawołał Ransom. - Nie chcę, byś spotkała przybysza z mojego świata.

- Dlaczego? Przecież to ja jestem Panią i Matką tego świata. Jeśli nie ma Króla, kto prócz mnie mógłby powitać gościa?

- Ja go przywitam.

- Ty, Łaciaty? Przecież to nie jest twój świat!

- Nic nie rozumiesz - odparł Ransom. - Ten człowiek... on jest przyjacielem tego skrzywionego eldila, o którym ci mówiłem... tego, co wciąż trwa przy starym dobru.

- A więc muszę mu to wytłumaczyć - powiedziała spokojnie. - Chodźmy i uczynmy go starszym.

Zsunęła się zwinnie po skalnej podstawie płaskowyżu i ruszyła w dół stromego wąwozu. Ransomowi zejście po gładkiej ścianie zajęło o wiele więcej czasu, lecz gdy tylko dotknął stopami mchu, pobiegł tak szybko, jak potrafił. Krzyknęła ze zdziwienia, gdy ją mijał, lecz nawet się nie obejrzał. Widział dobrze, do której zatoczki kieruje się łódka, i całą uwagę pochłaniało mu teraz utrzymanie właściwego kierunku i pewne stawianie stóp. W czółnie siedział tylko jeden człowiek. Ransom biegł i biegł długim zboczem, starając się utrzymać równy oddech. Znalazł się w krętej dolinie; teraz co jakiś czas tracił morze z oczu. Wreszcie dotarł do brzegu zatoki. Obejrzał się i ku swemu zdumieniu ujrzał Zieloną Panią zaledwie kilka metrów za sobą. Spojrzał przed siebie. Na kamienistej plaży rozbijały się niezbyt jeszcze wysokie fale. Mężczyzna w koszuli, szortach i

tropikalnym hełmie brodził po kostki w wodzie, ciągnąc za sobą brezentowe czółno. Był to niewątpliwie Weston, choć w jego twarzy było coś, co wydało się Ransomowi obce. „Za wszelką cenę - myślał gorączkowo - nie mogę dopuścić, by się spotkali. ” Widział już, z jaką łatwością Weston morduje mieszkańców innej planety. Odwrócił się, rozłożył szeroko ręce, aby jej zagrozić drogę, i zawołał:

- Wróć!

Była tak blisko, że przez moment znalazła się prawie w jego ramionach. Natychmiast jednak cofnęła się i stała, lekko zdyszana po biegu, patrząc na niego ze zdziwieniem. Widział, jak otwiera usta, by coś powiedzieć, ale zanim to uczyniła, dobiegł go zza pleców głos Westona, mówiącego po angielsku:

- Wolno zapytać, doktorze Ransom, co to właściwie ma znaczyć?

Rozdział 7

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, należałoby oczekiwać, że Weston będzie zaskoczony widokiem Ransoma bardziej niż Ransom widokiem jego. Jeśli jednak nawet tak było, to profesor wcale nie okazywał zaskoczenia i Ransom nie mógł się oprzeć poczuciu podziwu wobec jego niewzruszonego egotyzmu, który mu pozwalał w momencie przybycia na obcą planetę stać sobie swobodnie, promieniując wulgarną wyższością, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, z nachmurzoną twarzą i ze stopami wpartymi w tę nieziemską glebę tak pewnie, jakby stał przy kominku we własnym gabinecie.

Nagle doznał prawdziwego wstrząsu. Usłyszał, jak Weston zwraca się do Zielonej Pani, używając w sposób płynny i bezbłędny starego języka solarnego. Na Malakandrze uczony fizyk przyswoił sobie ten język bardzo powierzchownie, do czego się przyczyniła nie tylko jego lingwistyczna ignorancja, ale i pogarda wobec jej mieszkańców. Ta nowa umiejętność Westona była dla Ransoma niezrozumiałą i przykrą nowiną. Poczul, że pozbawiono go jedyne atutu. Teraz nie wiedział już, czego może się spodziewać. Jeżeli szale przechyliły się tak nieoczekiwanie pod jednym względem, co może nastąpić dalej?

Tymczasem Weston i Zielona Pani rozmawiali ze sobą swobodnie, lecz najwidoczniej bez wzajemnego zrozumienia.

- To nie ma sensu - mówiła Pani. - Okazuje się, że oboje nie jesteśmy dostatecznie starzy, by ze sobą rozmawiać. Fala rośnie, wracajmy na wyspy. Łaciaty, czy on też z nami wraca?

- Gdzie są nasze ryby? - zapytał Ransom.

- Miały czekać w sąsiedniej zatoce - odparła.

- A więc pospieszmy się! - rzekł Ransom, a odpowiadając na jej pytające spojrzenie, dodał: - Nie, on nie wraca z nami.

Najwidoczniej nie pojmowała jego niepokoju, ale spoglądała raz po raz na morze, dobrze znając własne powody do pośpiechu. Zaczęła się już wspinać na zbocze doliny, a Ransom ruszył za nią, gdy rozległ się okrzyk Westona:

- Nie! Ty zostaniesz!

Ransom odwrócił się i zobaczył, że profesor mierzy do niego z rewolweru. Nagła fala gorąca, przebiegająca przez całe ciało, była jedynym objawem przestachu. Umysł zachował jasność.

- Czy i w tym świecie chcesz zaczynać od mordy? - zapytał.

- O czym wy mówicie? - zapytała Pani, zatrzymując się i patrząc na nich z zaciekawieniem, ale bez niepokoju.

- Nie ruszaj się z miejsca, Ransom - rzekł profesor. - Ta kolorowa dziewczyna może sobie iść, dokąd chce. Im prędzej, tym lepiej.

Ransom już miał zawołać, by natychmiast skorzystała ze sposobności i uciekła, gdy zdał sobie sprawę, że to zbyt bezczelne. Przypuszczenie, iż orientuje się w sytuacji, było przecież zupełnie niedorzeczne; z jej punktu widzenia byli tylko dwoma przybyszami z innego świata rozmawiającymi o czymś, czego w tym momencie nie rozumiała. O wiele ważniejsza była dla niej konieczność opuszczenia Stałego Łądu przed nocą.

- Czy ty, Łaciaty, i ten drugi nie pójdziecie ze mną? - zapytała.

- Nie - odpowiedział Ransom, nie odwracając się do niej. - Być może rychło się nie spotkamy. Pozdrów ode mnie Króla, jeśli go odnajdziesz, i nie zapominaj o mnie, kiedy będziesz rozmawiała z Maleldilem. Ja zostaję tutaj.

- Spotkamy się, kiedy zechce tego Maleldil - powiedziała. - A jeśli nie, to ześle nam zamiast tego jakieś większe dobro.

Usłyszał za plecami odgłos jej kroków, a potem nastała cisza. Był sam na sam z Westonem.

- Przed chwilą doktorze Ransom - odezwał się profesor - pozwolił pan sobie na użycie słowa „mord” w odniesieniu do pewnego wydarzenia, jakie miało miejsce na Malakandrze. Chciałbym przypomnieć, że zabite wówczas stworzenie nie było człowiekiem. Poza tym niech mi będzie wolno zauważyć, że uwodzenie miejscowej dziewczyny nie jest, moim zdaniem, o wiele lepszym sposobem zaszczepiania cywilizacji na nowej planecie.

- Uwodzenie? - powtórzył Ransom. - Ach, o to ci chodzi. Myślisz, że się do niej zalecam?

- To bardzo delikatne określenie. Czy uważasz mnie za takiego naiwniaka, że mógłbym pomyśleć co innego na widok nagiego cywilizowanego mężczyzny obejmującego nagą kolorową dziewczynę w ustronnym miejscu?

- Wcale jej nie obejmowałem - odparł Ransom matowym głosem, choć widział już bezsens usprawiedliwiania się przed Westonem. - Poza tym nikt tutaj nie nosi ubrań. Zresztą, co cię to obchodzi? Zajmij się lepiej tym, po co tu przybyłeś.

- Chcesz, bym uwierzył, że w tych warunkach żyjesz z tą kobietą w stanie seksualnej obojętności?

- Och, cóż to za kategoria! - zachnął się Ransom. - Ale dobrze, odpowiem ci. Twoje wyobrażenia o życiu na Perelandrze są w tym względzie kompletnie absurdalne. Równie dobrze można by powiedzieć, że ktoś zapomniał o istnieniu wody, bo widok Niagary nie skojarzyłmu się od razu z filiżanką herbaty. Ale masz słuszość, jeśli sądzisz, że myśl o pożądaniu tej kobiety jest mi równie obca, co... co... - zamilkł, bo zabrakło mu porównania. - Nie ludź się jednak, że zależy mi na tym, czy w to wierzysz, czy nie. Zależy mi tylko na jednym: żebyś zaczął i skończył jak najprędzej z tymi wszystkimi grabieżami i spustoszeniami, jakie są celem twojej wyprawy.

Weston przyglądał mu się przez chwilę z dziwnym wyrazem twarzy, a potem, zupełnie nieoczekiwanie, schował rewolwer do kabury.

- Ransom - powiedział - jesteś wobec mnie bardzo niesprawiedliwy.

Umilkli obaj na kilka sekund. Długie fale uwieńczone grzywami piany wtaczały się do zatoki, zupełnie jak na Ziemi.

- Tak - odezwał się w końcu Weston. - To wielka niesprawiedliwość. Zacznę od szczerego wyznania. Możesz to wykorzystać, jeśli chcesz. Nie będę oponował. Muszę przyznać, że wybierając się na Malakandrę miałem pod pewnymi względami błędną, nawet bardzo błędną koncepcję całego problemu międzyplanetarnego.

Ransom miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Zniknięcie rewolweru uspokoiło go, a napuszczona wielkoduszność przemowy Westona nadawała całej scenie nieco humorystyczny charakter. Pomyślał jednak, że uczony fizyk prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu przyznaje się do błędu, i że nawet ten przebłysk pokory, choć wciąż przytłumiony dziewięćdziesięcioma pięć procentami aroganckiej pewności siebie, nie powinien być wyszydzany, a w każdym razie nie przez niego.

- No cóż, miło mi to słyszeć - powiedział. - A na czym ten błąd polegał?

- Zaraz ci wytłumaczę - rzekł profesor. - Muszę jednak najpierw wynieść swoje rzeczy na ląd.

Wspólnymi siłami wytaszczyli na plażę brezentowe czółno, a następnie przenieśli w miejsce oddalone o około dwieście kroków ekwipunek Westona: prymus, namiot, puszki i jakieś paczki. Ransom wiedział już, że wszystko to jest na Wenus zupełnie niepotrzebne, ale pomagał mu w milczeniu. Po kwadransie rozbili coś w rodzaju obozowiska na porośniętym mchem brzegu niewielkiego strumienia, pod drzewami o niebieskich pniach i srebrnych liściach. Potem usiedli i Ransom zaczął słuchać przemowy profesora - najpierw z zaciekawieniem, później ze zdumieniem, a w końcu z niedowierzaniem. Weston odchrząknął, wypiął pierś i zaczął mówić tak, jakby stał za

profesorską katedrą. Ransom poczuł, że surrealizm tej sytuacji całkowicie go obezwładnia. Oto dwie istoty ludzkie znalazły się w zupełnie obcym świecie, w całkowicie innych, trudnych do pojęcia warunkach. Jedna jest oddzielona od swego pojazdu kosmicznego, druga dopiero co została uwolniona od zagrożenia natychmiastową śmiercią. Czyż nie kłóciło się to ze zdrowym rozsądkiem - czy w ogóle było do pomyślenia - że natychmiast zasiądą i rozpoczną dysputę filozoficzną, jaka byłaby na miejscu w oksfordzkim salonie dla wykładowców? A do tego właśnie zmierzał najwidoczniej Weston. Nie zdradzał żadnego zainteresowania losem swojego pojazdu, nie wydawał się nawet zaintrygowany obecnością Ransoma na Wenus. Czy to możliwe, by przemierzył trzydzieści milionów mil przestrzeni kosmicznej po to, by znaleźć sobie odpowiedniego słuchacza?

W miarę jak słuchał wywodów uczonego, utwierdzał się jednak coraz bardziej w przekonaniu, że ma do czynienia z człowiekiem opanowanym jedną manią. Jak aktor, który nie jest w stanie myśleć o czymś innym niż o swojej sławie, albo jak kochanek pochłonięty osobą swej wybranki, tak Weston trzymał się kurczowo i nużąco swojej *idee fixe*.

- Tragedią mojego życia - mówił - a zresztą i całego współczesnego świata intelektualnego, jest wąska specjalizacja wiedzy narzucona nam przez wciąż narastającą złożoność tego, co wiemy o świecie. Mój osobisty udział w tej tragedii polega na tym, że wczesne poświęcenie się fizyce nie pozwoliło mi zająć się należycie biologią, przynajmniej do pięćdziesiątki. Muszę jednak oddać sobie sprawiedliwość i podkreślić, że nigdy nie przemawiał do mnie fałszywy, humanistyczny ideał wiedzy dla samej wiedzy. Zawsze zdobywałem wiedzę po to, by dzięki niej osiągnąć coś pożytecznego. Z początku, rzecz jasna, skala tej użyteczności miała dla mnie ściśle osobisty zakres: pragnąłem tytułów naukowych, wysokich dochodów i owej ogólnie uznanej pozycji w świecie, bez której człowiek nie ma żadnego wpływu na rzeczywistość. Lecz kiedy to osiągnąłem, ujrzałem nowe perspektywy: moim celem stał się pożytek całej ludzkości!

Zaokrągliwszy ostatnią frazę, umilkł efektownie i Ransom pokiwał głową, by go zachęcić do kontynuowania.

- Pożytek całej ludzkości - ciągnął Weston - widziany w dalszej perspektywie zależy ściśle od możliwości podróży międzyplanetarnych, a nawet międzygwiazdnych. Ten problem ja właśnie rozwiązałem. Klucz do przeznaczenia rodzaju ludzkiego został złożony w moje ręce. Zupełnie niepotrzebne - a i przykre dla nas obu - byłoby przypomnienie, w jaki sposób b został mi wydarty na Malakandrze przez członka wrogiego, obcego gatunku, którego istnienia - przynajmniej to - nie przewidziałem.

- Wcale nie jest taki wrogi - wtrącił Ransom. - Ale mów dalej.

- Trudy powrotnego lotu z Malakandry doprowadziły mój organizm do poważnego kryzysu...

- Mój również - przerwał mu Ransom.

Weston wydawał się nieco zbity z tropu tymi interwencjami, ale ciągnął dalej.

- Podczas rekonwalescencji miałem sporo czasu na rozmyślanie, z których uprzednio musiałem zrezygnować na wiele lat. Szczególnie wiele myślałem nad twoimi zastrzeżeniami wobec likwidacji nieludzkich mieszkańców Malakandry, co oczywiście byłoby niezbędnym wstępem do osiedlenia się tam ludzkiej rasy. Tradycyjna i, że tak się wyrażę, humanitarna forma, w jakiej wyrażałeś swoje zastrzeżenia, przysłoniła mi ich prawdziwą siłę. Teraz zacząłem ową siłę doceniać. Zacząłem pojmować, iż moja wyjątkowa pasja służenia wyłącznie pożytkowi ludzkości w rzeczywistości opierała się na pewnym podświadomym dualizmie.

- O co ci właściwie chodzi, Weston?

- Chodzi mi o to, że przez całe życie wspierałem całkowicie nienaukową dychotomię lub antytezę. Przeciwstawiałem człowieka naturze i w ten sposób dałem się wciągnąć w walkę ze środowiskiem naturalnym w imię interesów człowieka. Podczas mojej choroby pogrążyłem się w

studiowaniu biologii, a zwłaszcza dziedziny, którą można nazwać filozofią biologii. Poprzednio, jako fizyk, uważałem, że Życie jest tematem spoza mojego pola obserwacji. Nie interesowały mnie spory zwolenników ścisłego podziału rzeczywistości na świat organiczny i nieorganiczny z tymi, co utrzymują, że Życie jest obecne w materii od samego początku. Teraz bardzo mnie to interesuje. Od razu dostrzegłem, iż nic nie świadczy o jakimś przełomie czy braku ciągłości w rozwoju procesu kosmicznego. Stałem się zagorzałym zwolennikiem powszechnej, obejmującej wszystko Ewolucji. Wszystko jest jednością. Tworzywo myśli, nie uświadomiony, lecz celowy dynamizm, jest obecne w materii od samego początku. - Zamilkł na chwilę, a Ransom, który nieraz wysłuchiwał podobnych wywodów, zastanawiał się, do czego właściwie profesor zmierza.

- Majestatyczny spektakl owej ślepej, nieartykułowanej celowości - podjął Weston jeszcze bardziej uroczystym tonem - pnącej się coraz wyżej i wyżej w nie kończącym się jednoczeniu zróżnicowanych osiągnięć ku wciąż wzrastającej złożoności organizacji, ku spontaniczności i duchowości, unicestwił moją dawną koncepcję służenia człowiekowi jako takiemu. Człowiek sam w sobie jest niczym. Ruch życia naprzód - narastanie ducha - jest wszystkim. Mówię ci całkiem szczerze, Ransom, teraz już wiem, że popełniłbym błąd, likwidując rdzennych mieszkańców Malakandry. Uważanie naszego gatunku za coś lepszego - to czysty przesąd. Moją misją nie jest już tylko rozprzestrzenianie rodzaju ludzkiego, lecz samo krzewienie duchowości. Oto są kamienie milowe mojej kariery naukowej: najpierw pracowałem tylko dla siebie, potem dla nauki, potem dla ludzkości, a w końcu dla samego Ducha, czy też - używając pojęcia bardziej dla ciebie zrozumiałego - dla Ducha Świętego.

- Czy możesz mi bliżej wyjaśnić, co właściwie chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Ransom, zupełnie oszołomiony tą tyradą.

- Chcę, abyś zrozumiał, że obecnie nie dzieli nas już nic z wyjątkiem paru wyświechtanych formułek teologicznych, którymi, niestety, są obwarowane wszystkie zorganizowane religie. Ale ja zdołałem się przebić przez tę sztuczną, zewnętrzną powłokę i dotrzeć do ich ukrytego jądra, wiecznie żywego i zawsze prawdziwego. Pozwól, że ujmę to w ten sposób: owa najgłębsza, istotna słuszność religijnego poglądu na życie znajduje godne uwagi potwierdzenie w fakcie, że właśnie ten pogląd pozwolił ci uchwycić na Malakandrze prawdę, która była dla mnie - wówczas człowieka bardzo oddalonego od religii - zupełnie niedostępna. Oczywiście uchwyciłeś ją na swój własny, mityczny sposób, posługując się bardziej wyobraźnią niż intelektem, ale mnie nie dane było wówczas nawet i to.

- Niewiele wiem o tym, co ludzie nazywają religijnym poglądem na życie - powiedział Ransom marszcząc brwi. - Widzisz, ja jestem chrześcijaninem. Dla nas, chrześcijan, Duch Święty nie jest jakąś ślepą, nieartykułowaną celowością.

- Och, Ransom, rozumiem cię doskonale - rzekł Weston. - Nie wątpię, że moja frazeologia brzmi dla ciebie obco, a może nawet szokująco. Dawne, wciąż otaczane skojarzenia mogą ci utrudniać rozpoznanie w nowej postaci tych samych prawd, które religia przechowuje od tak dawna, a nauka zaczyna wreszcie odkrywać ponownie. Ale niezależnie czy to dostrzegasz, czy nie, wierz mi, mówimy dokładnie o tym samym.

- Wcale nie jestem tego pewien.

- Nie obraż się, ale to właśnie jest jedną z poważnych słabości zorganizowanych religii, to uparte trzymanie się formułek! To właśnie one nie pozwalają ci rozpoznać prawdziwych przyjaciół. Ransom, pamiętaj, że Bóg jest duchem. Trzymaj się tego. Przecież ta formuła musi ci być bliska. Trwaj przy niej. Bóg jest duchem.

- Naturalnie, ale co z tego?

- Co z tego? Pomyśl tylko! Duch - umysł - wolność - spontaniczność. Przecież o tym właśnie

mówię. Do tego celu zmierza cały proces kosmiczny. Ostateczne wyzwolenie tej wolności, tego uduchowienia, jest dziełem, któremu poświęciłem swoje życie i przyszłość ludzkości. Cel, Ransom, cel! Myśl o celu. *Czysty duch*: wir autorefleksyjnej, samostwarzającej się aktywności. Oto ostateczny cel.

- Ostateczny cel? - powtórzył Ransom. - To znaczy, że ów „wir aktywności”, jak mówisz, jeszcze nie istnieje?

- Aha, rozumiem, co cię gnębi. Religia przedstawia to jako byt istniejący od samego początku. Ale czy naprawdę zachodzi tu jakaś różnica poglądów? Wszystko zależy od właściwego pojmowania czasu. Skoro już ów stan czystego ducha zostanie przez wszechświat osiągnięty, można będzie powiedzieć, że istniał od początku lub że zaistniał na końcu. Czas jest jedną z rzeczy, wobec których będzie on transcendentny.

- Pozwól, że zadam ci jedno pytanie - przerwał mu Ransom. - Czy ten twój „czysty duch” ma jakieś cechy osobowe? Czy żyje?

Na twarzy Westona pojawił się trudny do opisanego wyraz. Przysunął się bliżej do Ransoma i zaczął mówić ciszej:

- Tego właśnie nikt z nich do końca nie pojmuje. - Jego głos przypominał teraz konspiracyjny szept gangstera lub ucznia podpowiadającego koledze na lekcji. Przyzwyczajony do jego górnolotnego, profesorskiego stylu, Ransom poczuł nagle gwałtowną niechęć graniczącą z odrazą.

- Tak - mówił Weston - ja również do niedawna nie mogłem w to wszystko uwierzyć. Oczywiście nie chodzi tu o osobę w naszym pojęciu. Antropomorfizm jest jedną z dziecięcych chorób religii - tu powrócił do swego zwykłego, oratorskiego tonu - aczkolwiek przeciwstawianie mu całkowitej abstrakcji okazało się w ostatecznym rozrachunku jeszcze bardziej katastrofalne. Można to nazwać Siłą. Potężną, nieodgadnioną Siłą, wlewającą się w nas z ciemnych podstaw bytu. Siłą, która może wybierać swe narzędzia. Widzisz, Ransom, dopiero niedawno, dzięki aktualnemu doświadczeniu, odkryłem to, w co ty wierzyłeś przez całe swoje życie, co zawsze było częścią twojej religii.

Znowu ściszył głos od urywanego, gardłowego szeptu, tak różnego od jego zwykłego głosu.

- Powołany. Wybrany. Natchniony. Uświadomiłem sobie, że jestem człowiekiem wybranym. Dlaczego poświęciłem się fizyce? Dlaczego odkryłem „promienie Westona”? Dlaczego znalazłem się na Malakandrze? Otóż tym, co mnie przez cały czas popychało, była właśnie owa Siła. Jestem przez nią prowadzony. Teraz już wiem, że jestem największym z uczonych, jakich wydał świat. Ale nie ma w tym mojej zasługi. Zostałem wybrany, aby stać się narzędziem Siły. To we mnie ów Duch podąża teraz ku swemu ostatecznemu celowi.

- Posłuchaj, Weston - rzekł Ransom - w tych sprawach trzeba być bardzo ostrożnym. Chyba wiesz, że są duchy i duchy.

- Co? - zdziwił się Weston. - O czym ty mówisz?

- Mówię, że nie każdy duch musi być dobry.

- Jak to? Myślałem, że w tym punkcie się zgadzamy. Nie wierzysz, że duch jest dobry, że jest końcem całego procesu rozwoju kosmosu? Myślałem, że wszyscy ludzie religijni są zwolennikami duchowej doskonałości. Jaki jest ostateczny sens ascezy, postów, celibatu i tego wszystkiego? Czyżbyś nie wierzył, że Bóg jest duchem? Czy nie czcisz Go właśnie dlatego, że jest czystym duchem?

- Wielkie nieba, nie! Czczymy Go dlatego, że jest mądry i dobry. Sam fakt, że ktoś jest duchem, nie czyni go automatycznie doskonałym. Szatan też jest duchem.

- Twoja wzmianka o szatanie jest godna uwagi - rzekł Weston, wracając do swego dawnego tonu. - To najbardziej interesująca sprawa w ludowej religii, ta tendencja do mnożenia, do płodzenia

par przeciwstawnych sobie elementów: niebo i piekło, Bóg i Szatan. Chcę podkreślić, że z mojego punktu widzenia realny dualizm we wszechświecie jest nie do przyjęcia. Nie wyciągaj jednak z tego pochopnych wniosków. Jeszcze kilka tygodni temu skłonny byłem odrzucić te wszystkie pary jako czystą mitologię; dziś już wiem, że popełniłbym poważny błąd. To nie takie proste. Korzenie tej powszechnej tendencji tkwią o wiele głębiej. Pary przeciwstawnych sobie elementów są w rzeczywistości obrazami Ducha, owej kosmicznej energii. Może nawet lepiej byłoby powiedzieć: są autoportretami Ducha, bo złożyła je w naszych mózgach owa Siła Życiowa.

- O czym ty, u licha, pleciesz?! - zawołał Ransom, po czym wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem. Czuł, że ogarnia go irytacja i zmęczenie.

- *Twój Szatan i twój Bóg* - powiedział Weston - są obrazami tej samej Siły. Twoje niebo jest obrazem doskonałego uduchowienia, jakie jest przed nami, a twoje piekło jest obrazem owego impulsu - łacińskie *nisus* najlepiej to oddaje - pchającego nas od tyłu w tym właśnie kierunku. Stąd w obrazie nieba dominuje statyczny spokój, a w obrazie piekła ogień i ciemność. Przyszłym stadium powszechnej ewolucji jest pociągający nas naprzód Bóg; stadium przekroczonym jest popychający nas do przodu Szatan. Przecież nawet twoja religia twierdzi, że diabły są upadłymi aniołami.

- Natomiast ty, o ile cię dobrze zrozumiałem, twierdzisz coś zupełnie odwrotnego, że anioły to szatany, którym się powiodło.

- Nie widzę w tym zasadniczej różnicy - odrzekł profesor.

- Posłuchaj, Weston - rzekł Ransom po dłuższym milczeniu - w takich sprawach łatwo o wzajemne nieporozumienie. To, co mówisz, wydaje mi się najokropniejszym błędem, w jaki może popaść człowiek. Zastanawiam się jednak, czy nie mówisz o wiele więcej, niż naprawdę myślisz. Może starasz się przystosować swoje koncepcje do przypisywanego mi „religijnego poglądu na życie” i dlatego wychodzi tak potworna mieszanka? Przyznaj, że to, co mówiłeś o duchach i siłach, to tylko metafora. Naprawdę chodzi ci o to, że za swój święty obowiązek uważasz pracę dla krzewienia cywilizacji, wiedzy i tym podobnych rzeczy.

Ransom starał się ukryć mimowolny, coraz silniejszy niepokój. Lecz gdy tylko skończył, wzdrygnął się, rażony niemal infantylnym lub starczym chichotem Westona:

- Tu cię mam! Tu cię mam! No cóż, tacy jesteście wy wszyscy, wierzący. Potraficie tylko gadać i gadać o tych sprawach przez całe życie, ale kiedy zetkniecie się z nimi w rzeczywistości, oblatuje was strach!

- Jakie masz dowody? - zapytał znowu Ransom, czując, że naprawdę oblatuje go strach. - Na jakiej podstawie opierasz swą pewność, że ktoś lub coś tobą kieruje, że jesteś wybrany i natchniony? Skąd wiesz, że to nie twój własny wymysł albo chorobliwe przejęcie się książkami napisanymi przez innych?

- A czy nie zauważyłeś, drogi doktorze filologii, że nieco poprawiłem swoją znajomość pozaziemskiego języka, odkąd się ostatni raz widzieliśmy?

Ransom drgnął.

- Jak do tego doszedłeś? - wyjąkał.

- Natchnienie, Ransom. Duchowe kierownictwo - zarechotał Weston.

Siedział w kucki pod drzewem. Tuż nad kolanami widniała jego nalana ziemista twarz, wykrzywiona nieruchomym grymasem.

- Tak, duchowe przewodnictwo, Ransom - powtórzył. - Różne rzeczy same wchodzą mi do głowy. Nie rozumiesz? Przez cały czas byłem do tego przygotowywany. Kształtowano mnie, bym stał się odpowiednim przekąźnikiem.

- Nie musiało to być trudne - Ransom coraz wyraźniej tracił cierpliwość. - Jeżeli ta twoja Siła

Życiowa jest tak wieloznaczna, że jej obrazem jest zarówno Bóg, jak i Szatan, to każdy przekaznik będzie dla niej równie odpowiedni, a cokolwiek powiesz, może być jej wyrazem.

- Jest jednak coś takiego, jak główny nurt prądu - rzekł Weston. - Chodzi o to, aby mu się poddać, aby uczynić siebie nośnikiem tej żywej, nieokiełznanej, centralnej Siły, aby stać się grotem ewolucji.

- Przed chwilą mówiłeś, że to jest właśnie szatański aspekt tego procesu.

- Na tym właśnie polega zasadniczy paradoks. To, ku czemu zmierzamy - to jest ów kres przed nami, który ty nazywasz Bogiem. Natomiast sam ruch naprzód, dynamizm - to jest coś, co ludzie twojego pokroju nazywają Szatanem. Ludzie tacy jak ja, którzy są nośnikami owego dynamizmu, zawsze są męczennikami. Wyklinacie nas, lecz to przez nas osiągniecie swój cel.

- Zdaje mi się, że działania, do których was zmusza owa Siła, zwykli ludzie nazywają po prostu diabelskimi...

- Mój drogi doktorze, bardzo bym chciał, żebyś nie schodził wciąż do poziomu pospółstwa. Te dwie rzeczy, o których mówimy, są tylko dwoma momentami - w sensie fizyki - jednej, jedynej rzeczywistości. Świat rozwija się w osobach wielkich ludzi, a wielkość zawsze transcenduje czysty moralizm. Kiedy już się dokona ów wielki skok naprzód, nasza dzisiejsza „diabelskość”, jak to nazywasz, stanie się moralnością następnej fazy, ale kiedy go dokonujemy, nazywani jesteśmy kryminalistami, heretykami, bluźniercami.

- Jak daleko można się w tym posunąć? Czy nadal będziesz posłuszny swojej Sile Życiowej, jeśli stwierdzisz, że nakazuje ci mnie zamordować?

- Tak.

- Albo zaprzedać Anglię Niemcom?

- Tak.

- Albo opublikować w naukowym czasopiśmie kłamstwa, sugerując, że to wyniki poważnych badań?

- Tak.

- Niech Bóg zlituje się nad tobą!

- Wciąż tkwisz w swoich konwencjonalizmach jak mucha w smole - powiedział Weston wyrozumiałym tonem. - Wciąż operujesz abstrakcjami. Czy naprawdę nie potrafisz się całkowicie czemuś oddać... podporządkować się czemuś, co rozsadza te wszystkie ciasne szufladki?

Ransom uchwycił się tej ostatniej szansy.

- Poczekaj, Weston - rzekł. - To może być punkt porozumienia. Mówisz o całkowitym poświęceniu, a więc o rezygnacji z siebie, ze swoich korzyści. Nie, daj mi to powiedzieć. To *jest* punkt kontaktu między twoją i moją moralnością. Obaj uznajemy...

- Ty idioto! - Weston zerwał się na nogi, a jego głos przypominał skowyt. - Idioto! Czy nic nie możesz zrozumieć?! Czy zawsze będziesz próbował wszystko wtłoczyć w żalony kadłub swego przestarzałego żargonu? Ty i twoje poświadczenie! To tylko jeszcze jedna postać starego, przekłętego dualizmu. Myśl konkretna w ogóle nie rozróżnia między mną a wszechświatem. W takiej mierze, w jakiej jestem nośnikiem centralnego nurtu wszechświata zmierzającego ku swemu celowi, sam jestem wszechświatem. Rozumiesz, ty tchórzliwy, kupczący skrupułami głupcze? Ja *jestem* wszechświatem. Ja, Weston, jestem twoim Bogiem i twoim Szatanem. Ja ucieleśniam tę Siłę... ja...

W tej chwili zaczęło się dziać coś okropnego. Twarz Westona zmieniła się nie do poznania: wykrzywił ją grymas, jakby miał za chwilę gwałtownie zwymiotować. Potem odzyskał na kilka sekund dawne oblicze. Z oczami otwartymi szeroko z przerażenia zawył:

- Ransom! Ransom! Na litość Boską, nie pozwól im... - i nagle zwinął się cały, jak trafiony kulą z rewolweru, upadł na ziemię i zaczął się tarzać u stóp Ransoma tocząc ślinę, zgrzytając zębami

i wydzierając palcami kłęby mchu. Powoli konwulsje osłabły. Leżał teraz nieruchomo, oddychając ciężko, z otwartymi oczami bez wyrazu. Ransom ukląkł przy nim, nie wiedząc, czy był to atak epilepsji czy apopleksji; nigdy jeszcze nie był świadkiem ani tego, ani tego. Poszperał w paczkach i znalazł butelkę brandy, odkorkował i przyłożył choremu do ust. Ku jego przerażeniu, usta otworzyły się szeroko i z głośnym chrzęstem odgryzły szyjkę butelki.

- O Boże! Zabiłem go! - zawołał widząc, że Weston nie wypluwa szkła. Ale z wyjątkiem strużki krwi ciekącej z wargi, wygląd Westona nie uległ zmianie. Jego twarz sugerowała, że albo nie czuje żadnego bólu, albo jest to ból nie do wyobrażenia. W końcu Ransom wstał, ale zanim to uczynił, wyjął profesorowi rewolwer z kabury, a potem zszedł na plażę i rzucił go w morze najdalej, jak potrafił.

Stał przez długą chwilę wpatrzony w zatokę, nie wiedząc, co robić dalej. W końcu postanowił wejść na torfiasty grzbiet osłaniający dolinę z lewej strony. Znalazł się na płaskiej wyżynie z rozległym widokiem na złote morze, teraz znowu pofałdowane, migocące ruchomą mozaiką blasków i cieni. Z początku nie mógł dostrzec pływających wysp, lecz po chwili wyłoniły się nagle wierzchołki ich drzew, dziwacznie powykrzywiane na tle nieba. Wzmagające się ruchy fal rozpraszały przypadkowo utworzony archipelag, ale zanim Ransom zdążył się rozeznac w szybkości i kierunku tego zjawiska, drzewa znikły w niewidocznej stąd wodnej dolinie. Jakie miał szansę odnalezienia wysp? Poraziło go poczucie osamotnienia, potem napłynęła fala gniewu i zawodu. Po co został tu przysłany? Od jakiego zagrożenia miał uratować Perelandrę? Jeśli nawet Weston nie umrze, to zostanie z nim, uwięziony na tym niewielkim łądzie.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest głodny. Nigdzie nie widział owoców lub orzeźwiających baniek. „Chyba wpadłem w śmiertelną pułapkę”, pomyślał i uśmiechnął się gorzko, wspominając dzisiejszy ranek, kiedy to cieszył się jak głupiec z zamiany tych pływających rajskich ogrodów na bezpłodny, skalisty łąd.

A może nie jest zupełnie bezpłodny? Pomimo narastającego zmęczenia, postanowił wyruszyć na poszukiwanie pożywienia. Nie uszedł jednak daleko, gdy nagle zmiana oświetlenia i barw zapowiedziała rychłe nadejście nocy. Bezwiednie przyspieszył kroku, lecz zanim zszedł w dolinę, lasek, w którym zostawił Westona, był już tylko ciemniejszą plamą w ogarniającym wszystko mroku, a zanim do niego dotarł znalazł się w nieprzeniknionych ciemnościach. Próbował trafić po omacku do miejsca, w którym leżały zapasy Westona, ale wkrótce całkowicie stracił orientację. Nie pozostawało mu nic innego, jak usiąść na ziemi. Kilkakrotnie zawołał Westona po nazwisku, ale zgodnie z przewidywaniem nie otrzymał odpowiedzi. „W każdym razie dobrze, że zabrałem mu rewolwer”, pomyślał. „Cóż, *qui dort, dîne*... Do rana będzie mi to musiało wystarczyć.”

Ułożył się do snu i odkrył, że twardy, porośnięty mchem grunt Stałego Łądu jest o wiele mniej wygodny niż miękka, elastyczna powierzchnia, do której ostatnio przywykł. Wsłuchany w ponury, monotony łoskot fal rozbijających się na brzegu, myślał o drugiej istocie ludzkiej, leżącej gdzieś w pobliżu z otwartymi oczami i zębami ściskającymi odłamki szkła.

- Gdybym był mieszkańcem Perelandry - mruknął do siebie - Maleldil nie musiałby mi zabraniać spędzania nocy na Stałym Łądzie. Bodajbym go nigdy nie zobaczył!

Rozdział 8

Było już zupełnie jasno, gdy obudził się po niespokojnej, pełnej snów nocy, z wyschniętymi ustami, ze skurczem w karku i obolałymi członkami. Przebudzenie było tak różne od poprzednich, że przez chwilę zdawało mu się, iż jest z powrotem na Ziemi, a ó w sen (bo teraz było to jak sen) o życiu wśród oceanów Gwiazdy Zarannej rozbłysnął nagle w jego pamięci, napełniając go trudnym do zniesienia poczuciem utraconego szczęścia. Lecz gdy usiadł, uprzytomnił sobie, że to nie sen.

„Prawdę mówiąc, nie jest to takie odległe od przebudzenia się ze snu”, pomyślał. Był głodny i spragniony, lecz za pierwszy swój obowiązek uznał zajęcie się chorym, chociaż wątpił, czy zdoła mu pomóc. Rozejrzał się wokół. Zobaczył niedaleko gaj srebrnych drzew, ale Westona nigdzie nie było. Spojrzał na zatokę: czołno również zniknęło. Przekonany, że w ciemności zabłądził do innej dolinki, wstał i poszedł nad strumyk, by napić się wody. Kiedy z długim westchnieniem ulgi podniósł twarz znad wody, spostrzegł drewnianą skrzynkę, a tuż za nią kilka puszek z konserwami. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że jest jednak we właściwej dolinie, a po kilku dalszych zdołał wyciągnąć wnioski z faktu, że skrzynka jest otwarta i pusta, a część zapasów znikła. Czy to możliwe, by człowiek, który jeszcze tej nocy był w takim stanie, rano zwinął obóz i odszedł, dźwigając ciężką paczkę? Czy to możliwe, by jakikolwiek człowiek stawiał czoło *temu* morzu w wywrotnym czołnie? Zauważył teraz, co prawda, że sztorm (a raczej, według perelandryjskiej skali, zaledwie szkwał) minął w ciągu nocy, lecz fale wciąż były wysokie i wydawało się nieprawdopodobieństwem, by profesor opuścił wyspę. Zapewne odszedł gdzieś, zabierając ze sobą brezentowe czołno.

Ransom postanowił natychmiast go odnaleźć. Nie mógł sobie pozwolić na stracenie kontaktu z wrogiem. Jeśli Weston odzyskał siły, to knuje teraz coś złego. Nie był całkowicie pewien, czy zrozumiał wszystko z jego dziwacznej, bełzadnej mowy poprzedniego dnia, ale to, co zrozumiał, bardzo mu się nie podobało. Miał wszelkie podstawy, by podejrzewać, że cały ten mglisty mistycyzm i brednie o „uduchowieniu” okazały się w rezultacie gorsze niż dawny, stosunkowo prosty program międzyplanetarnego imperializmu. Naturalnie byłoby nieuczciwością traktować całkowicie poważnie słowa człowieka wypowiedziane tuż przed groźnym atakiem i utratą świadomości, ale i tak jego obecność na Wenus była dostatecznie niepokojąca.

W ciągu następnych kilku godzin Ransom krążył po wyspie w poszukiwaniu jedzenia i Westona. Na wyższych stokach znalazł mnóstwo małych owoców przypominających borówki, a lesiste doliny obfitowały w owalne orzechy o gąbczastych, nieco łykowatych jądrach, których smak, choć niezbyt wyszukany po wspaniałych owocach pływających wysp, okazał się zupełnie znośny. Spotykał też wielkie myszy, równie łagodne i przyjazne jak inne zwierzęta Perelandry, choć wydały mu się nieco głupsze.

Wspiął się na centralny płaskowyż. Jak okiem sięgnąć, morze było upstrzone wyspami, wznoszącymi się i opadającymi na wielkich falach. Od razu wyłowił spojrzeniem pomarańczową plamę, ale nie był pewien, czy tam właśnie przebywał, bo co najmniej dwie inne wyspy miały podobną barwę. Za jednym razem udało mu się naliczyć dwadzieścia trzy pływające wyspy. Było to na pewno więcej, niż zgromadził krótkotrwały archipelag, miał więc nadzieję, że na którejś z nich przebywa Król, może nawet już nie sam, lecz z Zieloną Panią. Nie zastanawiając się nad tym specjalnie, Ransom zaczął łączyć prawie wszystkie nadzieje z osobą tajemniczego Króla.

Nie natrafił nigdzie nawet na ślad po Westonie. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, musiał jednak opuścić Stały Łąd. Ransom był tym poważnie zaniepokojony, bo nie miał pojęcia, co może zrobić uczony, biorąc pod uwagę jego stan fizyczny i psychiczny. Podtrzymywał w sobie nadzieję, że szalony profesor zostawi w spokoju parę władców Perelandry, uważając ich za

dzikusów.

Zbliżał się już wieczór, gdy zmęczony usiadł na brzegu. Stopy, wydelikaczone na miękkiej jak materac powierzchni pływających wysp, teraz piekły go boleśnie, postanowił więc pobrodzić trochę po płyciźnie. Morze było spokojne. Rozbijające się na piasku fale sięgały mu zaledwie do kolan. Rozkoszna woda wciągnęła go jednak głębiej i wkrótce zanurzył się do pasa. Kiedy tak stał pogrążony w myślach, nagle uświadomił sobie, że to, co początkowo brał za odbicie światła w wodzie, jest w rzeczywistości grzbietem jednej z owych wielkich, srebrnych ryb. „Ciekawe, czy pozwoliłaby mi się dosiąść”, pomyślał. Obserwował ją uważnie i spostrzegł, że wyraźnie stara się trzymać jak najbliżej niego, na ile tylko pozwalała na to płycizna, a nawet zachowuje się tak, jakby chciała zwrócić na siebie jego uwagę. Czyżby została wysłana?

Olśniony tą myślą, postanowił dokonać próby. Najpierw położył rękę na grzbiecie ryby, a widząc, że nie umyka pod dotknięciem, z pewnym trudem wdrapał się na wąską część tułowia, tuż za głową. Ryba trwała bez ruchu, ale gdy tylko się usadowił, zawróciła w miejscu i popłynęła ku otwartemu morzu.

Gdyby nawet chciał przerwać ten eksperyment, wkrótce nie było to już możliwe. Spojrzał za siebie - zielone iglice góry zmalowały i zmatowiały na tle nieba, a linia brzegowa wyspy wchłonęła już zatoki i przylądki. Ucichł łaskot rozbijających się na plaży fal, wokół słyszał tylko świszczące i świergotliwe dźwięki wody i powietrza. Na oceanie unosił o się wiele pływających wysp, chociaż z tego poziomu widział tylko ich pierzaste wierzchołki. Ale ryba nie zmierzała do żadnej z nich. Płynęła prosto, jakby dobrze знаła swój cel, mocnymi ruchami płetw unosząc go coraz dalej i dalej w głąb oceanu. Minęła godzina tej niesamowitej podróży i nagle cały świat spowiła zieleń i purpura, a potem czerń. Zapadła perelandryjska noc.

Choć mknęli wciąż naprzód w ciemnościach, wspinając się i opadając po zboczach wielkich fal, Ransom nie odczuwał lęku. Czerń nocy nie była zresztą doskonała. Znikło niebo i powierzchnia morza, lecz daleko pod nią, w sercu ciemnej próżni, przez którą podróżował, wystrzelały dziwne, podobne do rakiet błyski i wiły się smugi zielononiebieskiego światła. Z początku były bardzo odległe i niewyraźne, lecz wkrótce przybliżyły się i nabrały wyrazistości. Rychło tuż nad powierzchnią morza rozegrał się cały świat jakichś fosforyzujących stworzeń: wijące się węgorze, szybkie, opancerzone kule, fantastyczne, heraldyczne stwory, wobec których nasze koniki morskie mogły uchodzić za coś banalnego. Tłoczyły się wokół Ransoma siedzącego na srebrnej rybie; chwilami widział ich ze dwadzieścia lub trzydzieści. A wśród tłumu morskich centaurów i smoków ujrzał jeszcze dziwniejsze kształty: ryby - jeśli w ogóle można nazwać je rybami - których przednia część ciała była tak bardzo ludzka, że kiedy zobaczył je po raz pierwszy, pomyślał, że śni i otrząsnął się, aby ten sen przerwać. Ale to nie był sen. Tu i tam dostrzegał to ramię, to profil, to znowu przez sekundę całą twarz istnej syreny lub trytona. Podobieństwo owych istot do ludzi było większe, niż mu się z początku wydawało, bo w pierwszej chwili ukrywał je całkowity brak ludzkiego wyrazu twarzy. Nie były to twarze bezmyślne, nie przywodziły na myśl wulgarniej parodii człowieczeństwa, jaką znajdujemy w twarzach ziemskich małp. Przypominały raczej twarze ludzi uśpionych lub twarze, w których człowieczeństwo drzemie, a obudzone jest jakieś inne życie, ani zwierzęce, ani diaboliczne, lecz po prostu inne, zaczarowane, niedostępne naszej sferze doznań. Ransom przypomniał sobie dawne przypuszczenie, że coś, co jest mitem w jednym świecie, może być rzeczywistością w innym. Zastanawiał się też, czy to możliwe, by Król i Królowa Perelandry - niewątpliwie pierwsza para ludzka na tej planecie - mieli przodków w głębinach oceanu. A jeśli tak, to co można powiedzieć o człekokształtnych stworzeniach poprzedzających rodzaj ludzki na Ziemi? Czy koniecznie musiały nimi być owe smutne bestie, których wyobrażenia można spotkać w książkach o ewolucji? A może w prastarych mitach jest więcej prawdy niż w nowoczesnych? Może

naprawdę był taki czas, gdy satyry tańczyły w lasach Italii?

Uciszył jednak swój ożywiony nagle umysł, bo oto z nieprzeniknionych ciemności napłynęły ku niemu cudowne wonie. Wdychał z rozkoszą te zapachy, ciepłe i słodkie, z każdą chwilą coraz bardziej słodkie i czyste, coraz mocniejsze, coraz bardziej upajające. W każdym zakątku wszechświata rozpoznalby natychmiast upojny nocny oddech pływającej wyspy na planecie Wenus. Dziwne było tęsknić za miejscami, w których przebywał tak krótko, za miejscami tak obcymi jego gatunkowi i światu. Ale czy naprawdę obcymi? Zdawało mu się, że nie tęsknoty połączyła go z tą niewidzialną wyspą na długo, zanim przybył na Perelandrę, dawniej, niż mógł sięgnąć pamięcią, przed najwcześniejszymi wspomnieniami z dzieciństwa, przed swoim narodzeniem, przed powstaniem rodzaju ludzkiego, przed początkiem czasu. Było to uczucie gwałtowne i rozkoszne, dzikie i święte zarazem, uczucie, które w każdym innym świecie miałooby dla człowieka również zabarwienie erotyczne. Ale nie na Perelandrze.

Ruch ryby ustał. Ransom wyciągnął przed siebie rękę i wyczuł dotykiem dobrze mu znane wodorosty. Ześliznął się niezgrabnie przez głowę wielkiej ryby i wylądował na rozkołysanej powierzchni wyspy. Mimo krótkiego pobytu na Stałym Łądzie, zdążył już odzyskać ziemskie nawyki przy chodzeniu i szukając w ciemności drogi, kilka razy stracił równowagę. Ale na szczęście upadki niczym tu nie groziły! Wokół niego rosły drzewa, kiedy więc wpadł mu w ręce gładki, chłodny, kulisty przedmiot, podniósł go bez obawy do ust. Nie był to żaden ze znanych mu już owoców, lecz smakował lepiej niż te, które dotąd próbował. Zielona Pani miała najwidoczniej rację, gdy mówiła, że w jej świecie najlepszy jest zawsze ten owoc, który się właśnie zjada. Znużony morską podróżą i wspinaczką po skałach Stałego Łądu, upojony poczuciem absolutnego zaspokojenia, zapadł w głęboki, spokojny sen.

Obudził się czując, że spał już kilka godzin, choć wciąż jeszcze było ciemno. Wiedział, że coś go obudziło i po chwili wsłuchał się w dźwięki, które musiały być tego przyczyną. Były to głosy - głosy mężczyzny i kobiety zajętych ożywioną rozmową. Ocenił, że znajdują się bardzo blisko, ale w ciemnościach perelandryjskiej nocy niczego nie widział. Natychmiast jednak rozpoznał głosy. Było w nich coś dziwnego, a nie widząc twarzy rozmówców, nie potrafił z początku zorientować się w ich nastrojach.

- Ciekawa jestem - zabrzmiał głos kobiety - czy w twoim świecie wszyscy mają zwyczaj powtarzać wiele razy jedno i to samo? Już ci mówiłam, że nie wolno nam mieszkać na Stałym Łądzie. Dlaczego nie mówisz o czymś innym albo nie zamilkujesz?

- Dlatego, że to bardzo dziwny zakaz - odpowiedział głos mężczyzny. - I całkiem niepodobny do poczynań Maleldila w naszym świecie. Chyba nie zabronił wam *myśleć* o przebywaniu na Stałym Łądzie?

- Po co myśleć o czymś, co się nigdy nie zdarzy?

- Och, w naszym świecie często o tym myślimy. Składamy słowa, by opisać wydarzenia, które nigdy nie zaszły, i miejsca, których nigdy nie było. Wybieramy piękne słowa i starannie je ze sobą łączymy. A potem opowiadamy sobie nawzajem te historie. Nazywamy to poezją i prozą. Na tym bardzo starym świecie, o którym mówiliśmy, na Malakandrze, robią to samo. Jest w tym radość i piękno, i mądrość.

- Jaka w tym mądrość?

- Świat składa się nie tylko z tego, co istnieje, lecz i z tego, co mogłoby istnieć. Maleldil zna jedno i drugie. Pragnie, abyśmy też to poznali.

- Nigdy jeszcze coś takiego nie gościło w moich myślach. Tamten, Łaciaty, opowiadał mi już tak dziwne rzeczy, że czułam się jak drzewo, którego gałęzie sięgają coraz dalej i dalej. Ale to, co ty mówisz, sięga jeszcze dalej. Przechodzić od tego, co istnieje, do tego, co mogłoby istnieć... mówić

o tym i tworzyć coś z tego... obok prawdziwego życia... Zapytam Króla, co on o tym sądzi.

- No widzisz, wciąż do tego wracamy. Gdybyś nie rozstawała się z Królem...

- Ach, rozumiem! To jedna z tych rzeczy, które mogłyby istnieć. Nasz świat mógłby być tak stworzony, że Król i ja nigdy nie musielibyśmy się rozstawać.

- To nie wasz świat musiałby być inny, lecz wasz sposób życia. W świecie, gdzie ludzie mieszkają na stałym lądzie, nigdy nie zagraża im rozłąka.

- Pamiętaj jednak, że nam nie wolno mieszkać na Stałym Lądzie.

- Tak, ale Maleldil nie zabronił wam o tym myśleć. A może to jedna z przyczyn, dla których zabronił wam tam mieszkać? Może chciał wam dać Coś-co-mogłoby-istnieć, tak abyście mogli o tym układać słowa, tworzyć - jak my to nazywamy - opowieści?

- Pomyślę nad tym, co mówisz. Zapytam Króla. Może uczyni mnie starszą.

- Ach, jak bardzo chciałbym poznać twojego Króla! Ale jeśli chodzi o opowieści, może wcale nie jest starszy od ciebie...

- Twoja mowa jest jak drzewo bez owoców. Król jest starszy ode mnie zawsze i we wszystkim.

- A jednak Łaciaty i ja uczyniliśmy cię starszą w pewnych sprawach, o których Król nigdy ci nie wspominał. To nowe dobro, jakiego się nie spodziewałaś. Myślałaś, że zawsze będziesz się dowiadywać wszystkiego tylko od Króla, a tymczasem Maleldil zesłał ci innych ludzi, których istnienia nawet nie podejrzewałaś. I oni powiedzieli ci rzeczy, o jakich nie wie sam Król.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego tym razem zostaliśmy z Królem rozłączeni. To przedziwne i wielkie dobro, jakim Maleldil zamierzył mnie obdarzyć.

- No właśnie. A ty nie chcesz uczyć się ode mnie i wciąż powtarzasz, że poczekasz i zapytasz Króla. Czy to nie tak, jakbyś się odwracała od owocu, który niespodziewanie wpadł ci w ręce, aby sięgnąć po inny, oczekiwany przez ciebie?

- To bardzo trudne sprawy, przybyszu z innego świata. Maleldil nie wkłada mi do głowy wiedzy o tych sprawach.

- Czy nie rozumiesz dlaczego?

- Nie.

- Od czasu, gdy Łaciaty i ja pojawiliśmy się w twoim świecie, to my wkładamy ci do głowy wiele rzeczy, a Maleldil milczy. Czy nie czujesz, że On oddala się trochę od ciebie?

- Jak to?! Przecież On jest wszędzie tam, gdzie i my.

- Tak, ale w inny sposób. On czyni cię starszą, chce, żebyś uczyła się różnych rzeczy nie wprost od niego, ale od innych ludzi, a także dzięki własnym pytaniom i myślom.

- Istotnie tak czyni.

- Tak. Czyni z ciebie pełną, dojrzałą kobietę. Dotychczas byłaś stworzona jakby tylko w połowie, jak zwierzęta, które niczego nie robią samodzielnie. Tym razem, kiedy znowu spotkasz Króla, to ty będziesz miała mu wiele do powiedzenia. To ty będziesz starsza od niego i ty uczynisz go starszym.

- Maleldil nie pozwoliłby na coś takiego. To tak, jakby stworzył owoc pozbawiony smaku.

- Ale ten owoc będzie miał smak *dla Króla*. Czy nigdy nie pomyślałaś, że czasem go nuży, że jest starszy? Czy nie pokocha cię bardziej, gdy będziesz od niego starsza?

- Czy to właśnie nazywacie poezją, czy też mówisz o czymś, co naprawdę istnieje?

- Mówię o czymś, co naprawdę istnieje.

- Ale przecież nie można kochać kogoś lub czegoś bardziej. To tak, jakby się powiedziało, że coś jest większe od samego siebie.

- Mówię tylko, że możesz się stać bardziej podobna do kobiet z mojego świata.

- Jakie one są?

- Są bardzo mądre i odważne. Sięgają wciąż po nowe i nieoczekiwane dobra. Na długo przed mężczyznami wiedzą, że coś jest dobre. Myślą wyprzedzają to, co powie im Maleldil. Nie muszą czekać, aż On im powie, że coś jest dobre - wiedzą to same, wiedzą to tak jak On. Nasze kobiety są właściwie małymi Maleldilami. Dzięki swej mądrości są o wiele piękniejsze od ciebie. Ich uroda przewyższa twoją tak, jak słodycz tych owoców przewyższa smak wody. A ponieważ są tak piękne, miłość, jaką darzą je mężczyźni, jest o wiele większa niż miłość Króla do ciebie, podobnie jak naga jasność Głębin Niebios oglądana z mojego świata wspanialsza jest niż złota kopuła Perelandry.

- Bardzo bym chciała zobaczyć te kobiety!

- I ja chciałbym, żebyś mogła je zobaczyć.

- Jak wspaniały jest Maleldil, jak cudowne są wszystkie Jego dzieła! Może zechce, by ze mnie narodziły się córki, które będą przewyższać mnie tak, jak ja przewyższam zwierzęta. Och, to byłoby dobro, jakiego się nigdy nie spodziewałam. Do tej pory myślałam, że zawsze będę Panią i Królową, teraz widzę, że mogę się stać podobna eldilom. Mogę być powołana, by pielęgnować moje dzieci, dopóki będą małe i słabe, a kiedy dorosną i przewyższą mnie, upadnę im do stóp. Teraz widzę, że nie tylko pytania i myśli rozrastają się szerzej, jak konary potężnego drzewa. Radość też rozprzestrzenia się i sięga tam, gdzie nie sięgała nigdy nasza myśl.

- Pójdę teraz spać - rozległ się głos mężczyzny. Dopiero w tym momencie zabrzmiał jak prawdziwy głos Westona, i to Westona zbitego z tropu i ledwo ukrywającego cęgo złość. Poprzednio Ransom był co chwila bliski wtrącenia się do rozmowy, ale powstrzymywał go coś w rodzaju zawieszenia między dwoma sprzecznymi stanami umysłu. Z jednej strony, dźwięk i treść słów niewidocznego mężczyzny świadczyły, że niewątpliwie wypowiada je Weston. Z drugiej strony, oddzielony od wyglądu twarzy głos był dziwnie obcy. Co więcej, pełen niewzruszonej cierpliwości sposób mówienia mężczyzny odbiegał znacznie od normalnej manieri profesora, łatwo przechodzącego od pompatycznego wykładu do grubiańskiego zęczenia się nad rozmówcą. I jakim cudem człowiek mógł ozdrowieć i odzyskać pełnię sił w kilka godzin po ciężkim kryzysie fizycznym? Jak przedostał się na pływającą wyspę?

Podczas tego dziwnego dialogu Ransom czuł, że stoi w obliczu trudnej do zniesienia sprzeczności. Ten głos był i nie był głosem Westona. Czuł, że kilka kroków od niego, w ciemności, dzieje się coś potwornego, coś, co raz po raz wzbudzał o w nim silne dreszcze przerażenia i rodziło w mózgu myśli, które starał się odpędzić jako czystą fantazję. Teraz, kiedy głosy umilkły, zdał sobie sprawę, z jak strasliwym niepokojem słuchał tej rozmowy, a jednocześnie niespodziewanie przeniknęło go poczucie triumfu. Ale to nie on triumfował. Cała ciemność wokół niego rozbrzmiewała pieśnią zwycięstwa. Wzdrygnął się i usiadł, bo zdawało mu się, że naprawdę usłyszał jakiś dźwięk. Nasłuchiwał, wstrzymując oddech, ale prócz szmeru ciepłego wiatru i łagodnego plusku fal żaden dźwięk nie dochodził z ciemności. Złudzenie muzyki musiało narodzić się w nim samym. Położył się z powrotem i natychmiast poczuł, że to nie złudzenie. Nie, ta upojna muzyka, ten nieziemski taniec, to radosne świętowanie wlewały się w niego z zewnątrz, na pewno z zewnątrz, choć nie za pośrednictwem słuchu. To nie dźwięki, a jednak niepodobna myśleć o nich inaczej niż jako o muzyce. Poczul się tak, jakby miał zupełnie nowy, nie znany mu dotąd zmysł, jakby w jego obecności chórem zaśpiewały poranne gwiazdy, jakby Perelandra w tej właśnie chwili została stworzona.

Być może w pewnym sensie tak było istotnie. Ogarnęła go pewność, że przed chwilą oddalona została od niej jakaś straszliwa katastrofa, a zaraz po tym nadeszła nadzieja, że drugiego zagrożenia już nie będzie. A wreszcie zrodziło się w nim najwspanialsze, napełniające go słodką ulgą

przypuszczenie, że może przybył na Perelandrę nie po to, by czegoś dokonać, lecz po to, aby być widzem i świadkiem.

W kilka minut później zasnął.

Rozdział 9

W ciągu nocy pogoda zmieniła się. Ransom siedział na skraju lasu, w którym spędził tę noc, i spoglądał na płaską powierzchnię morza. Nigdzie nie widział ani jednej wyspy. Obudził się przed kilkoma minutami i stwierdził, że leży samotnie w gęstwinie nie znanych mu jeszcze drzew o pniach podobnych do trzciny, lecz grubych jak ziemskie brzozy i zwieńczonych niemal płaskim baldachimem gęstych liści. Zwisały z nich gładkie, czerwone, kuliste owoce, przypominające jagody ostrokrzewu. Zjadł kilka i wyszedł na otwartą przestrzeń, aby się rozejrzeć. Nie dostrzegł nigdzie Westona ani Zielonej Pani, zaczął się więc przechadzać bez celu brzegiem morza. Szafranowy kobierzec porostów ugiął się lekko pod jego nagimi stopami, pokrywając je aromatycznym pyłkiem. Przeglądając się temu, zauważył nagle coś innego. W pierwszej chwili sądził, iż stworzenie, na które patrzy, ma kształty jeszcze bardziej fantastyczne niż wszystkie, jakie dotąd widział na Perelandrze. Ale te kształty były nie tylko fantastyczne - były obrzydliwe. Przykląkł, aby mu się lepiej przyjrzeć, a następnie dotknął go, pokonując wstręt. I natychmiast cofnął rękę, jakby dotknął węża.

Miał przed sobą jedną ze znanych mu już wielobarwnych żab, której przydarzyło się coś okropnego. Cały grzbiet był jedną otwartą raną w kształcie litery V, której spiczasty koniec znajdował się tuż za głową. Coś rozdarło grzbiet biednego zwierzęcia - przywodziło to na myśl pospiesznie otwartą kopertę - tak że tylne nogi zwisały bezwładnie, prawie wyrwane z tubwii. Na Ziemi byłby to widok jedynie odrażający, ale tu, na Perelandrze, Ransom nie spotkał dotąd nic martwego lub okaleczonego i teraz przeszył go wstrząs, jakby go ktoś uderzył w twarz. Było to jak pierwszy spazm dobrze znanego bólu, ostrzegający człowieka, który uprzednio uwierzył w swoje wyzdrowienie, że został oszukany przez rodzinę i że mimo wszystko umiera. Był to jak pierwsze kłamstwo w ustach przyjaciela, na którego prawdomówność można by bez wahania postawić tysiąc funtów.

Było to nieodwracalne. Ciepły, łagodny wiatr nad złocistym morzem, błękit, srebro i zieleń pływającego ogrodu, samo niebo - wszystko to stało się nagle jedynie iluminowanym marginesem stronicy księgi, której treścią była ta mała, wijąca się żałośnie u jego stóp potworność. Jednocześnie w nim samym zaszła jakaś zmiana, której nie potrafił ani opanować, ani zrozumieć. Daremnie tłumaczył sobie, że tego rodzaju stworzenie prawdopodobnie ma niewielką wrażliwość. Wiedział, że nie tylko współczucie wobec męki zwierzęcia spowodowało nagłą zmianę rytmu jego serca. To, co się stało, było trudne do zniesienia, plugawe, niemal sprośne. Przepęłniał go wstyd. W tej chwili czuł, że byłoby lepiej, gdyby cały świat nigdy nie zaistniał, byleby tylko nie zdarzyła się ta jedna, jedyna rzecz.

W końcu zdecydował, że pomimo teoretycznego przeświadczenia o niewielkiej wrażliwości na ból organizmu na tak niskim szczeblu rozwoju, lepiej będzie go dobić. Nie miał butów, nie dysponował kamieniem ani kijem. Żaba okazała się bardzo żywotna. Przekonał się jednak o tym za późno, by się wycofać. Do poczucia wstrętu i wstydu doszła teraz jeszcze upokarzająca świadomość, że był głupcem, podejmując się tej próby bez zastanowienia. Niezależnie od stopnia wrażliwości tego stworzenia na ból, to, co robił, z pewnością zwiększało jego mękę. Musiał jednak dokończyć dzieła. Wydawało mu się, że nim skończył, minęła prawie godzina.

Poszarpane szczątki u jego stóp uspokoiły się wreszcie, a on sam poszedł nad wodę, aby się obmyć. Był do głębi wstrząśnięty i chciało mu się wymiotować. Może to dziwić u kogoś, kto był w okopach nad Sommą, ale - jak mówią architekci - nie ma rzeczy wielkich lub małych, wszystko zależy od miejsca, z którego się je ogląda.

W końcu ruszył przed siebie bez celu, ale już po chwili wzdrygnął się i ponownie wbił

spojrzenie w ziemię. Przyspieszył kroku, znowu się zatrzymał i jeszcze raz spojrzął pod nogi. Zamarł bez ruchu i ukrył twarz w dłoniach, a potem podniósł głowę ku niebu i zaczął modlić się na głos, błagając Boga, by przerwał ten koszmar lub pozwolił mu zrozumieć, co się dzieje.

Wzdłuż brzegu wyspy ciągnął się krwawy szlak z okaleczonych żab. Stawiając ostrożnie stopy, aby nie nadeptać na żalosne szczątki, naliczył ich dziesięć, piętnaście, dwadzieścia... Przy dwudziestej pierwszej żabie dotarł do miejsca, w którym las podchodził klinem do samego brzegu. Przeszedł przez las i wynurzył się po drugiej stronie, aby natychmiast znieruchomieć. Jakieś dziesięć metrów od niego stał Weston, wciąż ubrany, ale bez swego tropikalnego kasku. Stał i rozdzierał żabę: spokojnie, z niemal chirurgiczną precyzją zagłębiał wskazujący palec, zakończony długim, ostrym paznokciem, tuż za głową zwierzęcia, a następnie rozpruwał je aż do zadu. Ransom nie zwrócił wcześniej uwagi na jego zdumiewające paznokcie. Ukończywszy operację, Weston odrzucił krwawiące szczątki i podniósł głowę. Ich spojrzenia spotkały się.

Ransom milczał, bo nie był w stanie wydobyć głosu. Miał przed sobą człowieka, który z pewnością nie był chory, bo stał pewnie na nogach, a przed chwilą wykazał niepospolitą siłę i sprawność palców. Sądząc po jego wysokości, budowie, rysach, kolorze skóry i włosów był to na pewno Weston. Pod tym względem nie mógł mieć wątpliwości. Grozę budził fakt, że było w nim coś, co jednak pozwalało w to wątpić. Nie sprawiał wrażenia chorego - lecz raczej umarłego. Twarz, którą ukazał zakończywszy torturowanie żaby, miała w sobie przerażającą moc, jaką widzi się czasami w twarzy trupa, moc, która udaremnia wszelkie ludzkie odczucia wobec takiej twarzy. Pozbawione wyrazu usta, martwe, nieruchome oczy, coś ciężkiego i jakby nieożywionego w każdej zmarszczce na policzkach - wszystko to zdawał się mówić: „Mam twarz taką jak ty, ale poza tym nie mamy niczego wspólnego”. To właśnie sprawiło, że Ransom nie mógł wydobyć z siebie słowa. Co można powiedzieć - do czego się odwołać, czym zagrozić - mając przed sobą *coś takiego*? W końcu, z trudem torując sobie drogę do jego świadomości, odrzucając wszelkie myślowe konwencje i brutalnie łamiąc naturalne pragnienie, by w to nie wierzyć w końcu wyłoniło się z chaosu odczuć i myśli przekonanie, że TO nie jest czbwiekiem, że ciało Westona tylko dlatego nie ulega rozkładowi, bo opanował je zupełnie inny rodzaj życia, a samego Westona już nie ma.

Istota patrzyła na Ransoma w milczeniu, aż w końcu zaczęła się uśmiechać. Wszyscy niekiedy mówimy o szatańskim uśmiechu - Ransom też używał tego wyrażenia - ale w tym momencie zdał sobie sprawę, że nigdy nie brał tych słów na serio. Ten uśmiech nie był ani przykry, ani dziki, nie był też ponury w zwykłym znaczeniu tego słowa. Nie był nawet drwiący. Z jakąś straszliwą naiwnością i tępotą zdawał się zapraszać Ransoma do świata tak odmiennych wzruszeń i rozkoszy, jakby były wspólne wszystkim ludziom, czymś najbardziej naturalnym, bezspornym, nie podlegającym dyskusji. Nie był to uśmiech ukradkowy, wstydlivy, konspiracyjny. Nie zaprzeczał dobru - po prostu je ignorował aż do granic unicestwienia. Ransom zrozumiał, że dotychczas widział tylko połowiczne, nieudolne próbki zła. W tej istocie było ono wyraźne i triumfujące, tak pełne i bezwstydnego, że bliskie potwornej niewinności. Ta istota była poza granicami grzechu, tak jak Zielona Pani była poza granicami cnoty.

Ten uśmiech i milczenie trwały chyba ze dwie minuty - w każdym razie na pewno nie krócej. Potem zdecydował się na zrobienie kroku w kierunku Istoty, nie wiedząc jeszcze, co robi, gdy się do niej zbliży. Potknął się i upadł. Nieoczekiwane powstanie na nogi sprawiło mu dużą trudność, a kiedy wreszcie stanął, zachwiał się i upadł po raz drugi. A potem pociemniało mu w oczach i usłyszał gwałtowny łoskot, jakby tuż obok przejechał pociąg pospieszny. Kiedy znowu ujrzał złociste niebo i różnobarwne fale morza, zdał sobie sprawę, że odzyskuje przytomność po omdleniu. Był sam.

Leżał wciąż, nie mając ani siły, ani chęci, aby wstać. Nagle przypomniało mu się, co czytał

kiedyś w dziełach dawnych filozofów i poetów: że jedną z największych udręk piekła jest sam widok szatanów. Aż do tej chwili uważał to za osobliwą fantazję, teraz zrozumiał, że nawet dzieci wiedzą na ten temat więcej: każde dziecko natychmiast przyzna, że może być taka twarz, której zobaczenie jest równoznaczne z najgorszym, nieodwracalnym nieszczęściem. Dzieci, filozofowie i poeci znają prawdę. Podobnie jak ponad wszystkimi światami jest Oblicze, którego sam widok przynosi niewysłowioną radość, tak u samego dna wszystkich światów kryje się inna Twarz, napelniająca każdego, kto ją ujrzy, nieukojonym cierpieniem i poczuciem upadku. I chociaż sądzimy, że bywa - i naprawdę jest - tysiąc dróg wiodących przez życie, nie ma wśród nich ani jednej, która wcześniej czy później nie zawiodłaby człowieka albo do uszczęśliwiającego, albo do upodlającego Oblicza. Oczywiście on sam widział przed chwilą jedynie jego maskę lub mglistą zapowiedź, ale mimo to wcale nie był pewien, czy nie znalazł się w przedsionku śmierci.

Kiedy odzyskał siły, wstał i ruszył na poszukiwanie Istoty. Czuł, że musi zapobiec jej spotkaniu z Zieloną Panią lub przynajmniej być przy nim obecny. Nie wiedział co będzie w stanie zrobić, ale teraz stało się już oczywiste, że właśnie po to został tu przysłany. Ciało Westona, odbywające podróż przez przestrzeń kosmiczną, było tylko czymś w rodzaju wehikułu, przy pomocy którego dokonało inwazji Perelandry coś innego. W świetle tego przerażającego faktu mniej już było ważne, czy chodzi o najważniejsze, pierwotne Zło, nazywane na Marsie Skrzywionym, czy tylko o jednego ze służących mu duchów.

Ransom czuł, że całe ciało pokrywa mu gęsia skórka, nie potrafił też zapanować nad kolanami, które co chwila stukwały o siebie. Zdumiewało go, że mimo dojmującego lęku był w stanie chodzić i myśleć, podobnie jak żołnierze na froncie lub ludzie ciężko chorzy dziwią się, że można jednak znieść tak wiele. Mówimy: „Oszaleję, jak to się stanie” albo „Przecież tego nie znoś, to mnie zabije” - a potem to się staje i stwierdzamy, że nie tylko żyjemy i jesteśmy przy zdrowych zmysłach, ale robimy to, co do nas należy.

Pogoda zmieniła się. Równina, po której szedł, wydeła się w fałdę. Niebo zaczęło blednąć, złocista kopuła nabrała barwy rozkwitłych pierwiosnków. Pociemniałe morze połyskiwało teraz starym brązem. Wkrótce wyspa wspinała się już na wyniosłe wodne wzgórza. Raz czy dwa usiadł, by nieco odpocząć. Posuwał się wolno i dopiero po kilku godzinach ujrzał dwie ludzkie postacie na tle chwilowego widnokręgu. Zaraz potem znikły, przysłonięte wyrosłym nagle garbem łądu. Dotarcie do nich zajęło mu blisko pół godziny.

Ciało Westona stało, chwiejąc się i balansując przy każdej zmianie rzeźby terenu. Utrzymywało równowagę w sposób, na jaki dawny, prawdziwy Weston nigdy nie mógłby się zdobyć. Mówiło coś do Pani, ta zaś słuchała z uwagą. Ku zdumieniu Ransoma nie powitała go ani nie zareagowała w inny sposób, gdy usiadł obok niej na miękkiej murawie.

- Tworzenie opowieści albo poezji o rzeczach, które mogłyby się stać, lecz się nie wydarzyły - mówiło ciało Westona - jest naprawdę wielkim wzrostem, wspaniałym owocowaniem. Jeśli się przed tym cofasz, to czy nie odrzucasz ofiarowanego ci owocu?

- Nie cofam się przed tworzeniem opowieści, Przybyszu - odpowiedziała. - Lękam się tylko jednej opowieści, tej, którą mi wkładasz do głowy. Sama mogę tworzyć opowieści o moich dzieciach albo o Królu. Kiedy jednak próbuję tworzyć opowieść o życiu na Stałym Łądzie, nie wiem, co począć z Maleldilem. Przecież nie mogę wymyślić czegoś takiego, że On zmienia swój zakaz, bo to niemożliwe. A jeśli pomyślę, że mielibyśmy tam żyć wbrew zakazowi, to czuję się tak, jakbym uczyniła niebo czarnym, wodę czymś, czego nie można pić, a powietrze - czym nie można oddychać. A zresztą nie widzę żadnej przyjemności w wymyślaniu takich rzeczy, po cóż więc to robić?

- Aby stać się mądrzejszą, starszą - odpowiedziało ciało Westona.

- Czy jesteś pewny, że tak się stanie?

- Tak, ponad wszelką wątpliwość. Właśnie w ten sposób kobiety z mojego świata stały się tak potężne i piękne.

- Nie słuchaj go! - wtrącił się Ransom. - Odpędź go! Nie słuchaj jego słów, nie myśl o nich!

Odwróciła się do niego po raz pierwszy. W jej twarzy zauważył jakąś mało uchwytną zmianę od czasu, gdy widział ją ostatnim razem. Nie było to przygnębienie ani oszołomienie, raczej cień niepewności. Mimo to, wyraźnie ucieszyła się na jego widok, chociaż była zaskoczona tą nagłą interwencją. Jej pierwsze słowa wyjaśniły mu, dlaczego nie przywitała go, gdy się pojawił: po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić, by w rozmowie mogły brać udział więcej niż dwie osoby. Zresztą i później jej nieznamość podstawowych zasad prowadzenia konwersacji nadawał a całej scenie nieco dziwaczny i męczący charakter. Nie potrafiła przenosić szybko spojrzenia z jednej twarzy na drugą ani uchwycić sensu dwóch zdań wypowiedzianych jednocześnie. Raz słuchała tylko Ransoma, raz drugiego rozmówcy, ale nigdy obu jednocześnie.

- Dlaczego zaczynasz mówić, nim tamten skończy, Łaciaty? - zapytała. - Jak sobie radzicie w waszym świecie, gdzie jest was wielu, więc często spotykają się więcej niż dwie osoby? Czy nie mówią kolejno? A może posiadliście umiejętność rozumienia się nawet wtedy, gdy wszyscy mówią równocześnie? Ja jestem na to chyba nie dość stara.

- Nie chcę, żebyś go w ogóle słuchała - powiedział Ransom. - On jest... - i urwał, bo nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. „Zły”, „kłamca”, „wróg” - żadne z tych słów nie miało jeszcze dla niej znaczenia. Szukając lepszego słowa, przypomniał sobie ich poprzednią rozmowę o wielkim eldilu, który trwał przy dawnym dobru i odwracał się od nowego. Tak, to będzie jedyna dla niej droga do przyswojenia pojęcia zła. Już miał przemówić, gdy uprzedził go głos Westona.

- Łaciaty nie chce, żebyś mnie słuchała, bo robi wszystko, byś wciąż była młoda. Nie chce, żebyś sięgnęła po nowe owoce, jakich jeszcze nigdy nie próbowałaś.

- Dlaczego miałby pragnąć, abym wciąż była młoda?

- Czy nie zauważyłaś - odrzekło ciało Westona - że Łaciaty zawsze cofa się przed nadpływającą falą i najchętniej, gdyby tylko mógł, zawróciłby falę, która już przeszła? Czyż nie zdradził się z tym już w pierwszej rozmowie z tobą? Jeszcze wówczas nie wiedział, że wszystko się odmieniło od czasu, gdy Maleldil stał się człowiekiem. To ty musiałaś go nauczyć tej prawdy, a on niechętnie ją przyjął. Było mu żal, że nie będzie już dawnych pokrytych futrem stworzeń. Gdyby tylko mógł, przywróciłby znowu stary, miniony świat. A kiedy go poprosiłaś, żeby cię nauczył Śmierci, odmówił. Chciał, żebyś wciąż była młoda, żebyś nie wiedziała o Śmierci niczego. Czy to nie on posiał w twojej głowie myśl, że można nie pragnąć fali, którą toczy ku nam Maleldil? Czy nie mówił ci, że trzeba się cofać przed nią za każdą cenę, nawet odciąć sobie ręce i nogi, jeśli będzie trzeba?

- Czy to możliwe, by był aż tak młody?

- W moim świecie mówi się o takim człowieku: zły - powiedziało ciało Westona. - To ktoś, kto odtrąca ofiarowany mu owoc, bo woli ten, którego oczekuje, albo ten, który znalazł poprzednim razem.

- A zatem musimy uczynić go starszym - rzekła Pani i chociaż nie patrzyła na Ransoma, poczuł, jak ogarnia go fala jej macierzyńskości. Tak, wciąż była wielką Matką i Królową, pragnącą dobra dla niego i dla wszystkiego, co żyje, a on - on nie był w stanie przeszkodzić temu, co się działo. Wytracono mu oręż z ręki.

- A ty nauczysz nas Śmierci? - Pani zwróciła się do stojącego nad nią ciała Westona.

- Tak. Po to właśnie tutaj przybyłem: żeby wam nigdy nie zabrakło Śmierci. Ale musisz być bardzo odważna.

- Odważna? Co to znaczy?

- To jest to, co każe ci pływać w dzień, w którym fale są tak wielkie i szybkie, że coś wewnątrz radzi ci zostać na brzegu.

- Znam to. To najlepsze dni do pływania.

- Tak. Ale po to, by spotkać Śmierć, a wraz z nią prawdziwą starość i potężne piękno, a więc by sięgnąć najdalej jak można, po to musisz zanurzyć się w coś większego niż fale.

- Mów dalej. Nigdy jeszcze nie słyszałam takich słów. Są jak bańki pękające na drzewach. Sprawiają, że myślę o... o... sama nie wiem o czym...

- Usłyszysz jeszcze ode mnie większe słowa, ale muszę poczekać, aż będziesz starsza.

- Uczyń mnie starszą.

- O Pani, Pani! - przerwał im Ransom. - Czyż Maleldil nie uczyni cię starszą wtedy, kiedy zechce i w swój własny sposób? I czy tak nie będzie lepiej?

Ani teraz, ani w żadnym innym momencie rozmowy twarz Westona nie zwróciła się ku niemu, ale jego głos odpowiedział na te pytania, choć zwracał się wyłącznie do Zielonej Pani:

- Widzisz? On sam wyjawiał ci parę dni temu, chociaż tego nie zamierzał ani nie chciał, że Maleldil zaczyna cię uczyć chodzić samodzielnie, bez prowadzenia za rękę. To było jak pierwsze sięgnięcie w dal. Kiedy to poznałaś, stałaś się naprawdę starsza. A od tego czasu Maleldil pozwolił ci nauczyć się o wiele więcej, nie za pomocą swojego głosu, lecz mojego. Stajesz się samodzielną. Tego właśnie chce Maleldil. Właśnie dlatego rozłączył cię z Królem, a nawet, w pewien sposób, ze sobą samym. Rozumiesz teraz, w jaki sposób chce cię uczynić jeszcze bardziej starszą? On chce, żebyś sama stawała się starsza, żebyś to robiła samodzielnie. Taka jest wola Maleldila. A do czego namawia cię ten Łaciaty? Do tego, żebyś siedziała beczynnym i czekała, aż Maleldil wszystko zrobi za ciebie.

- Co możemy zrobić z Łaciatym, żeby stał się starszy?

- Nie sądzę, byś mogła mu pomóc, dopóki sama nie staniesz się starsza. Teraz nie pomożesz nikomu. Jesteś jak drzewo bez owoców.

- Tak, to prawda - przyznała Pani. - Mów dalej.

- A więc posłuchaj. Czy zrozumiałaś, że oczekiwanie na głos Maleldila, kiedy On chce, abyś była samodzielną, jest pewnym rodzajem nieposłuszeństwa?

- Wydaje mi się, że to rozumiem.

- Zły rodzaj posłuszeństwa może być nieposłuszeństwem.

Pani zamyśliła się na chwilę, a potem klasnęła w dłonie.

- Rozumiem - powiedziała. - Oczywiście! Och, jak już jestem stara dzięki tobie! Niedawno ściagałam dla zabawy zwierzę. Ono wiedziało, o co chodzi, i uciekało przede mną. Gdyby stało spokojnie i pozwoliło mi się schwytać... tak, to by było posłuszeństwo... ale nie najlepsze...

- Zrozumiałaś to bardzo dobrze. Kiedy zupełnie dorosniesz, będziesz mądrzejsza i piękniejsza od kobiet z mojego świata. Czy teraz widzisz, że tak samo może być z zakazami Maleldila?

- Tego chyba jeszcze do końca nie rozumiem.

- Czy jesteś pewna, że On naprawdę pragnie, aby zawsze być Mu posłusznym?

- Jakże można nie słuchać tego, kogo się kocha?

- A jednak to zwierzę uciekło przed tobą, chociaż cię kochało.

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Pani w zadumie - czy to jest to samo. Zwierzę dobrze wie, kiedy chce, aby uciekło, a kiedy chce, żeby do mnie przyszło. Natomiast Maleldil nie powiedział mi nigdy, że jakieś Jego słowo lub czyn jest żartem. Przecież nasz Umiłowany nie potrzebuje śmiechu i swawoli, tak jak my. On jest cały płomienną radością i siłą. To tak, jakby sądzić, że potrzebuje snu lub jedzenia.

- Nie, to by wcale nie był żart. To tylko tak wygląda, ale nie o to tu chodzi. Pomyśl, czy wyzwolenie twojej ręki z dłoni Maleldila - czyli twoje pełne dorośnięcie, twoja samodzielność - mogłoby być prawdziwe i pełne, gdybyś choć raz nie *udała*, że nie jesteś Mu posłuszna?

- Jak można udawać, że się jest nieposłusznym?

- Przez zrobienie czegoś, czego On tylko *pozornie* zakazał. Maleldil mógł zakazać czegoś właśnie po to, żebyś ten zakaz złamała.

- Ale przecież gdyby powiedział, że mamy to złamać, nie byłoby zakazu! A dopóki nam tego nie powie, skąd mamy wiedzieć, czego pragnie?

- Och, jakże mądrą się stajesz, piękna Pani - powiedziały usta Westona. - Słusznie. Gdyby Maleldil powiedział wam, abyście złamali Jego przykazanie, nie byłoby prawdziwego przykazania. Tak, masz rację, On nie żartuje. On pragnie skrycie prawdziwego nieposłuszeństwa, prawdziwego odgałęzienia się od Jego pnia. Pragnie tego skrycie, bo gdyby nam to powiedział wszystko by się zepsuło.

- Teraz zaczynam się zastanawiać - powiedziała Pani po chwili milczenia - czy rzeczywiście jesteś starszy ode mnie. Naprawdę, twoje słowa są jak owoc bez smaku! Jakże mogłabym zrobić coś wbrew Jego woli inaczej, niż czyniąc coś, czego nie powinnam uczynić? Czy mam próbować przestać kochać Maleldila - albo Króla - albo zwierzęta? To tak, jakbym chciała chodzić po wodzie lub przepłynąć przez wyspę. Czy mam próbować nie spać albo nie pić, albo nie śmiać się? Nie, Przybyszu. Sądziłam, że twoje słowa mają jakieś ukryte znaczenie, ale teraz widzę że się myliłam. Droga niezgodna z Jego wolą to droga, która prowadzi donikąd.

- To prawda w odniesieniu do wszystkich Jego przykazań prócz tego jednego.

- A czemu to jedno miałoby się różnić od innych?

- Och, przecież sama widzisz, że się różni. Sama widzisz, że wszystkie inne przykazania Maleldila - żeby kochać, spać, napełniać ten świat waszymi dziećmi - są dobre i mądre. One są dobre i mądre wszędzie, we wszystkich światach. Ale z zakazem zamieszkania na Stałym Łądzie jest inaczej. Powiedziałem ci już, że w moim świecie nie ma takiego zakazu. Sama też nie rozumiesz, na czym miałyby polegać jego słuszność i mądrość. Nic dziwnego. Gdyby był słuszny i dobry, to czy nie obowiązywałby wszędzie? Bo w rzeczywistości *nie* jest dobry. Sam Maleldil objawia ci to właśnie w tej chwili, za pomocą twojego własnego rozumu. To *tylko* przykazanie. Nie ma w nim dobra. To tylko zakaz dla samego zakazu.

- Ale po co...

- Po to, żeby go złamać. Czy może być jakaś inna przyczyna? Przecież sam w sobie nie jest dobry. Nie ma go w innych światach. Ten zakaz oddziela cię od całej pełni życia, od prawdziwego panowania nad powierzonym ci światem. Czyż Maleldil nie ukazuje ci - i to najwyraźniej, jak potrafi - że ów zakaz jest tylko próbą, czymś na kształt wielkiej fali, którą musisz pokonać, aby stać się naprawdę starszą, naprawdę oddzieloną od Niego?

- Jeśli to ma wielkie dla mnie znaczenie, to dlaczego nic mi o tym nie mówi? Wszystko to przychodzi do mnie tylko od ciebie, Przybyszu. Nie słyszę nawet Jego szeptu, nie słyszę nawet „tak!” potwierdzającego twoje słowa.

- Czy nie pojmujesz, że to niemożliwe? On pragnie... och, jak bardzo pragnie!... by Jego stworzenie stało się w pełni sobą, by zaufało własnemu rozumowi i własnej odwadze - nawet wbrew Niemu. Jakże mógłby ci *powiedzieć*, żebyś to zrobiła? Przecież to by wszystko psuło. Cokolwiek byś po tym uczyniła, byłoby wciąż niesamodzielne, wciąż uczynione z Nim. A to jest ta jedna, jedyna rzecz, którą masz zrobić sama, do której On nie chce przybżyć ręki. Czy myślisz, że nie nuży Go oglądanie tylko siebie samego we wszystkim, co stworzył? Znaleźć Innego - kogoś, czyja wola nie będzie już tylko Jego wolą - oto, czego pragnie Maleldil.

- Gdybym tylko wiedziała...

- On ci tego nigdy sam nie powie. Nie może tego powiedzieć. Jedyne, co może zrobić, aby ci to jakoś przekazać, to posłużyć się innym stworzeniem. I zrozum wreszcie- właśnie to czyni! Po cóż w końcu odbyłem tę podróż przez Głębiny Niebios? Czy nie rozumiesz, że przybyłem, aby powiedzieć ci to, czego On sam nie chce ci powiedzieć?

- Pani - odezwał się Ransom - czy mnie wysłuchasz, gdy przemówię?

- Chętnie, Łaciaty.

- Ten człowiek powiedział, że zakaz mieszkania na Stałym Łądzie różni się od innych praw Maleldila, ponieważ nie obowiązuje we wszystkich pozostałych światach i ponieważ nie można dostrzec jego słuszności. A potem mówił, że dzieje się tak dlatego, abyś mogła okazać swe nieposłuszeństwo. Ale może być inna przyczyna.

- Jaka? Powiedz, Łaciaty.

- Myślę, że Maleldil ustanowił ten zakaz po to, abyś mogła okazać Mu swoje posłuszeństwo. W innych sprawach to, co nazywasz posłuszeństwem, jest tylko czynieniem tego, co i tak uważasz za dobre i słuszne. Czy miłość może tylko na tym poprzestać? Inne przykazania wypełniasz, bo są zgodne z Jego wolą, ale nie tylko dlatego. W jaki sposób mogłabyś zakosztować prawdziwej radości z wypełniania Jego woli, gdyby nie zakazał ci czynić czegoś, co samo w sobie nie jest dobre ani słuszne, czego *jedynym* powodem jest właśnie Jego zakaz? W ostatniej rozmowie powiedziałaś, że zwierzęta z radością chodziłyby na głowach, gdybyś tylko dała im taki rozkaz. Jestem więc pewien, że dobrze rozumiesz, co ci chcę powiedzieć.

- Och, dzielny Łaciaty! - zawołała Zielona Pani. - To najlepsze ze wszystkiego, co dotychczas powiedziałaś! Czynisz mnie znacznie starszą, ale to zupełnie inna starość niż ta, której mi udziela tamten drugi. Ach, teraz wszystko jest takie jasne! Nie możemy odstąpić nawet na krok od woli Maleldila, ale jednocześnie wskazał On nam sposób odstąpienia od *naszej* własnej woli. A tym jedynym sposobem jest właśnie taki zakaz. Tak, wbrew naszej woli. To jest... to tak, jakby przebić sklepienie świata i ulecieć w Głębiny Niebios, tam, gdzie jest tylko On i miłość. Wiedziałaś, że przyjemnie patrzeć na Stały Łąd i odrzucić wszelką myśl o tym, by na nim zamieszkać, ale zrozumielałam to dopiero teraz.

Jej twarz promieniała, gdy to mówiła, lecz nagle znowu pojawił się na niej cień niepewności.

- Skąd wiesz to wszystko, jeśli jesteś taki młody, jak mówi ten drugi?

- To on powiedział, że jestem młody. Myślę, że jest inaczej.

W tej chwili z ciała Westona wydobył się głos donośniejszy i głębszy, jeszcze mniej podobny do głosu profesora:

- Jestem starszy od niego i on nie odważy się temu zaprzeczyć. Zanim poczęta została matka jego matki, ja byłem już starszy ponad jego wyobrażenia. Przebywałem z Maleldilem w Głębinach Niebios i wysłuchiwałem słów odwiecznych zgromadzeń, tam, dokąd on nigdy nie trafił. Jestem od niego starszy i potężniejszy w hierarchii stworzenia; wobec mnie on jest niczym. Czy możesz mi zaprzeczyć, Łaciaty?

Trupia twarz nie zwróciła się ku niemu, lecz Ransom pojął, że zarówno jego Przeciwnik, jak i Zielona Pani oczekują na jego odpowiedź. Poczęte już w myśli kłamstwo zamarło mu na ustach. Pod złocistym niebem Perelandry możliwa była tylko prawda, choćby miała przynieść mu klęskę. Oblizując wyschłe wargi i poskramiając mdłości, powiedział:

- W naszym świecie ten, kto jest starszy, nie zawsze jest mądrzejszy.

- Spójrz na niego! - odezwało się ciało Westona do Pani. - Spójrz na niego, a ujrzysz pot na jego czole i bladeść na policzkach. Nie widziałaś jeszcze takich objawów, ale odtąd będziesz je widywała często. Oto, co się dzieje - a to dopiero początek! - z małymi, nędznymi stworzeniami,

gdy występują przeciw większym i potężniejszym od siebie!

Ransom poczuł dreszcz strasliwego przebiegający mu po kręgosłupie. Uratował go widok twarzy Zielonej Pani. Spoglądała na stojącą nad nią Śmierć z wyrazem niepewności, mieszczącej się jednak w granicach rozbawienia i dziecięcego zaciekawienia, a choć zło było tak blisko, nie miało do niej dostępu, jakby oddzielały je dziesiątki lat podróży w głąb królestwa jej niewinności i prostoty. Ta niewinność chroniła ją skutecznie, zarazem jednak narażała na niebezpieczeństwo.

- Ale on ma rację, Przybyszu! On mi wyjaśnił najlepiej zagadkę tego zakazu Maleldila. To ciębie trzeba uczynić starszym. Czy sam tego nie widzisz?

- Ja zawsze ogarniam spojrzeniem całość, a on dostrzega tylko połowę. To prawda, że Maleldil wskazał ci sposób odstąpienia od twojej własnej woli, ale chodziło Mu o twą wolę najgłębszą.

- A cóż to takiego?

- Teraz twoją najgłębszą wolą jest okazywanie posłuszeństwa Maleldilowi. Pragniesz pozostać taką, jaką jesteś - Jego ukochanym zwierzątkiem, Jego małym dzieckiem. Wydostać się z tego stanu jest bardzo trudno. Ta trudność stworzona została po to, by na pokonanie jej poważył się tylko ktoś naprawdę potężny, ktoś bardzo mądry i bardzo odważny, bo tylko ktoś potężny, mądry i odważny godzien jest wydostania się z tego małego, dziecięcego światka, w którym teraz żyjesz, by poprzez ciemną falę Jego zakazu wstąpić w prawdziwe życie, w Głębinę Życia, z całą ich radością i trudem.

- Posłuchaj mnie, Pani - przerwał mu Ransom. - On nie wyjawia ci całej prawdy. Wszystko, o czym teraz mówimy, było już kiedyś tematem rozmowy. Próba, do której on pragnie cię nakłonić, została już kiedyś podjęta. Dawno temu, u początków naszego świata, żyła tylko jedna para ludzi, mężczyzna i kobieta, podobnie jak tu, na Perelandrze, jesteś cie tylko wy, ty i Król I. I pewnego razu ten Obcy stanął przed kobietą, tak jak teraz stoi przed tobą. Znalazł ją samotną, podobnie jak dzisiaj ciebie. Mówił jej to samo co tobie, a ona posłuchała go i uczyniła to, czego Maleldil zakazał jej czynić. Ale z tego, co uczyniła, nie narodziła się wcale radość ani chwała. Nie potrafię ci opowiedzieć, co z tego wynikło, bo w twoich myślach nie ma odpowiednich wyobrażeń i porównań. Mogę ci tylko wyjawić, że odtąd wszelka miłość ochłodziła, a ludziom trudno już było usłyszeć głos Maleldila. Dlatego mądrość przestała się krzewić bujnie pośród nich: kobieta powstała przeciw mężczyźnie, matka przeciw swemu dziecku, a kiedy poculi głód, spostrzegli, że drzewa nie rodzą już owoców. Musieli poświęcać cały swój czas na zdobywanie pożywienia i oto ich życie zawężyło się i ograniczyło, zamiast poszerzyć i pogłębić.

- Ukrywa przed tobą połowę tego, co się stało - powiedział głos wydobywający się z trupich ust Westona. - Tak, życie stało się trudniejsze, ale towarzyszyła mu chwała. Ludzie wzniesli własnymi rękami góry wyższe od waszego Stałego Łądu. Zbudowali sobie pływające wyspy większe od waszych i potrafią nimi przemierzać oceany szybciej niż ptaki. Ponieważ nie zawsze starcza dla wszystkich jedzenia, kobieta może oddać swemu mężowi lub dziecku ostatni owoc, a sama spożyć śmierć. A więc potrafi oddać im wszystko, potrafi uczynić to, czego ty, zamknięta w swoim małym, dziecinnym światku igraszek, pieszczot i przejażdżek na rybach, nigdy nie dokonałaś i nigdy nie dokonasz, dopóki nie złamiesz zakazu Maleldila. Tak, odtąd trudniej było zdobyć wiedzę, ale właśnie dlatego te nieliczne kobiety, które ją posiadały, stały się piękne i potężne, przewyższając innych ludzi tak, jak ty przewyższasz zwierzęta. O ich miłość walczą tysiące mężczyzn...

- Chyba pójdę teraz spać - oznajmiła nagle Pani. Aż do tej chwili słuchała z rozchyłonymi ustami i szeroko otwartymi oczami, lecz kiedy głos Westona zaczął wychwalać ziemskie kobiety z ich tysiącami kochanków, ziewnęła bezwstydnie i bez namysłu, jak młoda kotka.

- Poczekaj! - zawołały usta Westona. - Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. Łaciaty nie powiedział ci, że to właśnie złamanie zakazu sprowadziło Maleldila do naszego świata. Właśnie dlatego stał się człowiekiem. Nie ośmieli się zaprzeczyć.

- Czy potwierdzasz to, Łaciaty? - zapytała Pani.

Ransom siedział skurczony, zaciskając dłonie tak mocno, że pobieły mu kostki. niesprawiedliwość tego wszystkiego raniła go jak drut kolczasty. To niesprawiedliwe... to krzywdzące! Jakże walczyć, skoro wytrąca mu się z ręki każdy oręż, skoro Maleldil zabrania mu kłamać, a jednocześnie przenosi do świata, w którym prawda okazuje się zgubna? To niesprawiedliwe! Poczul, że rodzi się w nim ogień buntu, ale już w sekundę później nadeszło zwątpienie, załamując się nad nim jak wielka fala. A jeśli Przeciwnik ma mimo wszystko rację? *Felix peccatum Adame*. Nawet Kościół naucza, że z nieposłuszeństwa narodziło się w ostatecznym rozrachunku dobro. Jest również prawdą, że on, Ransom, jest istotą bojaźliwą, cofającą się przed wszystkim, co nowe i trudne. Komu włąściwie ma służyć ta pokusa? W błyskawicznej wizji ujrzał postęp ziemski: miasta, armie, wyniosłe okręty, biblioteki, sławę i wielkość poezji wytryskającej niby fontanna z pracy i ambicji ludzi. Któż może z całą pewnością twierdzić, że Ewolucja Twórcza nie jest najgłębszą prawdą? Z najtajniejszych zakamarków mózgu, których istnienia nigdy nie podejrzewał, zaczęło powstawać coś dzikiego, oszałamiającego i jednocześnie rozkosznego, coś, co kierowało się z uwielbieniem ku kształtom Westona. „To jest duch - szeptał ów wewnętrzny głos - to jest duch, a ty jesteś tylko człowiekiem. To duch, który trwa od tysiącleci. Ty jesteś tylko człowiekiem...”

- Czy zgadzasz się z tym, Łaciaty? - powtórzyła swe pytanie Pani.

Zły czar prysnął.

- Powiem ci, z czym się zgadzam, Pani - odpowiedział Ransom zrywając się na nogi. - Tak, z tego wszystkiego ostatecznie wynikło dobro. A cóż innego mogło wyniknąć? Czy Maleldil jest zwierzęciem, które możemy zawrócić z drogi, lub liściem, który możemy zgnieść i zniekształcić? Cokolwiek uczynisz, On przemieni to w dobro. Ale nie będzie to dobro, jakie zamyslił dla ciebie, gdybyś była Mu posłuszna. To dobro będzie utracone na zawsze. Tak, pierwszy Król i pierwsza Matka naszego świata dokonali czynu zakazanego, a Maleldil przemienił to w dobro. Ale to, co uczynili, nie było dobre, a tego, co utracili, nigdy nie ujrzeliśmy i nie ujrzemy. Są też tacy ludzie, dla których nie wynikło z tego żadne dobro i nigdy nie wyniknie.

Odwrócił się gwałtownie do ciała Westona.

- Powiedz jej wszystko! Jakie *ty* zyskałeś dobro? Czy *ty* cieszysz się z tego, że Maleldil stał się człowiekiem? Opowiedz jej o *swoich* radościach i o *swoich* korzyściach, jakie ci przyniosło spotkanie Maleldila ze śmiercią.

W tym momencie zdarzyły się dwie rzeczy, obie zupełnie obce ziemskiemu doświadczeniu. Ciało Westona zadarło gwałtownie głowę, otworzyło usta i wydało z siebie przeciągły, żalony dźwięk przypominający wycie psa, natomiast Zielona Pani położyła się zupełnie obojętna na wszystko, zamknęła oczy i już po chwili zapadła w głęboki sen. A gdy się to działo, kawałek ładu, na którym przebywali we troje, zaczął się gwałtownie osuwać po wielkim wodnym zboczach.

Ransom nie spuszczał oczu z Przeciwnika, lecz ten zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Jego źrenice poruszały się jak źrenice żywego człowieka, trudno było jednak się zorientować, na co spoglądają i czy w ogóle służą mu za organ wzroku. Odnosiło się wrażenie, że jakaś obca siła zwraca źrenice w odpowiednim kierunku, gdy usta mówią, ale tak naprawdę ta istota posługuje się zupełnie innymi metodami percepcji. Istota usiadła przy głowie Pani; była teraz oddzielona od Ransoma całą długością jej uspiętego ciała. Trudno właściwie powiedzieć, że usiadła: nie przypominało to zwykłych ludzkich ruchów, lecz znowu zdawało się, jakby jakaś zewnętrzna siła

uformowała ciało w stosowną pozycję, a następnie opuściła je na ziemię. Trudno powiedzieć, który z ruchów ciała był na pewno nieczłowiecki. Ransom miał wrażenie, jakby obserwował naśladownictwo ruchów żywego człowieka, naśladownictwo bardzo wierne i technicznie bez zarzutu, któremu jednak czegoś brakowało. Czuł, jak napęnia go niewymowna, podobna do dziecięcych nocnych lęków groza na widok tego trupa ożywianego jakąś siłą, tego upiora - Nie-człowieka.

Nie pozostawało mu nic innego, jak siedzieć beczynnie, strzegąc Zielonej Pani przed Nie-człowiekiem, podczas gdy wyspa wspinała się wciąż i wciąż na Alpy i Andy lśniącej wody. Wszyscy troje trwali w ciszy i w bezruchu. Raz po raz zbliżały się do nich zwierzęta i spoglądały ciekawie. Minęły długie godziny, zanim Nie-człowiek przemówił. Nawet nie spojrzał w stronę Ransom; wolno i opornie, jak źle naoliwiony mechanizm, rozchylił wargi i wypowiedział jego nazwisko:

- Ransom.
- Co?
- Nic.

Ransom spojrzał na niego badawczo. Czyżby oszalał? Ale w jego wyglądzie nic się nie zmieniło, wciąż sprawiał wrażenie raczej martwego niż obłąkanego, gdy tak siedział bez ruchu, z głową opuszczoną i lekko rozchyłonymi ustami, z nogami skrzyżowanymi po turecku, wspierając się z przodu na rękach z długimi, połyskującymi metalicznie paznokciami. W bruzdach na jego policzkach osiadło nieco żółtego pyłku z pobliskich porostów. Ransom przestał się nim zajmować i powrócił do własnych, ponurych rozmyślań.

- Ransom - rozległ się matowy głos.
- Co takiego? - rzucił ostro Ransom.
- Nic - padła odpowiedź.

Znowu zapadło milczenie i znowu, po jakiejś minucie, ohydne usta wypowiedziały to samo słowo:

- Ransom.

Tym razem nie odpowiedział. Znowu minęła minuta i znowu usłyszał swoje nazwisko, a potem, jak ostrzegawczy sygnał, co minutę padało martwe, złowieszcze „Ransom... Ransom... Ransom...”

- Czego chcesz, do diabła? - wybuchnął wreszcie Ransom.
- Nic - odpowiedział głos.

Postanowił nie reagować, ale kiedy po raz kolejny usłyszał swe nazwisko, nie wytrzymał, odpowiedział krótkim pytaniem i znowu rozległo się martwe „Nic”. W końcu nauczył się milczeć. Tortura opierania się impulsowi odpowiedzi nie była wcale łżejsza od męki samej odpowiedzi, lecz postanowił zniszczyć pewność swego dręczyciela, który najwidoczniej nie wątpił, że ofiara musi się wreszcie poddać.

Gdyby atak był gwałtowniejszy, łatwiej byłoby mu się opierać, ale niesamowite połączenie złośliwości i jakby dziecięcego zbijania go z tropu i niemal paraliżowało. Był w pewnym sensie przygotowany na pokusy, na bluźnierstwa, na jakąś kanonadę grozy i potworności, ale nie na to drobne, niezmordowane dokuczanie godne nieznośnego przedszkolaka. Godziny mijały i czuł, że żadna prawdziwa groza nie byłaby tak dręcząca, jak narastające w nim przekonanie, iż ta istota jest według wszelkich ludzkich pojęć jakby przenicowana na lewą stronę: serce ma na wierzchu, a we wnętrzu jakąś powierzchowną płytkość. Na wierzchu - wielkie plany i wrogość wobec Niebios, której skalą jest los wszechświata; w głębi - kiedy już przedarło się przez wszystkie osłony - nie było nic, prócz owej złośliwej błazenady, bezsensownej i bezcelowej mściwości, gotowej sycić się nawet drobnymi okrucieństwami, podobnie jak miłość nie gardzi najmniejszymi wyrazami uczucia.

Ostatecznie tym, co pomogł mu wytrwać w milczeniu, gdy już poniechał daremnych prób myślenia o czymś innym, był wymuszony wybór: skoro musi wysłuchiwać milion razy albo słowa „Ransom”, albo słowa „nic”, woli już to pierwsze.

A przez cały ten czas mały skrawek mieniącego się barwami klejnotów łądu raz po raz ulatywał ku żółtemu niebu, zawisał przez moment na szczycie fali kołysząc miękko pióropuszcami lasów, a potem ześlizgiwał się w ciepłą, połyskliwą dolinę między dwiema falami. Zielona Pani spała z głową opartą na zgiętym ramieniu, z lekko rozchylonymi wargami. Nie ulegał wątpliwości, że spała - oczy miała zamknięte, a oddech spokojny i regu larny - a jednak wyglądała inaczej niż ludzie pogrążeni we śnie, bo jej twarz pełna była wyrazu i inteligencji, a całe ciało sprawiało wrażenie gotowego w każdej chwili do skoku. Można było mniemać, iż sen nie jest czymś, co się z nią dzieje, lecz raczej czynnością, wykonywaną przez nią świadomie.

Niespodziewanie i szybko zapadła noc.

- Ransom... Ransom... Ransom... - powtarzał głos.

Nagle przyszło mu na myśl, że z całą pewnością kiedyś będzie musiał zasnąć, natomiast Nieczłowiek może tego wcale nie potrzebować.

Rozdział 10

Problem snu rzeczywiście okazał się ciężką próbą. Przez długi czas, zdętwiały i zmęczony, a wkrótce głodny i spragniony, siedział w ciemnościach, starając się nie zwracać uwagi na nieustannie powtarzane swoje nazwisko. Nagle zdał sobie sprawę, że tuż obok niego toczy się rozmowa, której początku na pewno nie słyszał, a więc mimo wszystko musiał zasnąć. Pani rzadko się odzywała, natomiast łagodny głos Westona brzmiał prawie bez przerwy. Lecz tym razem nie mówił ani o Stałym Łądzie, ani nawet o Maleldilu. Z zaskakującym wdziękiem i patosem opowiadał jej o rozmaitych wydarzeniach. Z początku Ransom nie mógł się dopatrzeć żadnego związku między tymi opowieściami. Wszystkie mówiły o kobietach, lecz każda z nich najwyraźniej żyła w innym miejscu, warunkach i czasie. Rzadkie uwagi Zielonej Pani wskazywały, że jest w tych opowieściach wiele rzeczy, których nie rozumie. Co dziwniejsze, Nie-człowiek wcale się o to nie troszczył. Jeśli jej pytania okazywały się zbyt trudne lub kłopotliwe, po prostu przerywał wątek i natychmiast rozpoczynał inny.

Bohaterki jego opowieści miały jednak przynajmniej jedną cechę wspólną: wszystkie były ciężko doświadczane przez los. Były prześladowane przez ojców, porzucane przez mężów i opuszczane przez kochanków. Własne dzieci buntowały się przeciw nim, a społeczeństwo potępiało i odtrącało. Wszystkie opowieści kończyły się jednak w pewnym sensie szczęśliwie: czasem bohaterkom udawało się nawet dożyć do czasu zadośćuczynienia i zaszczytów, częściej czekało je spóźnione uznanie i daremne oplakiwanie po śmierci.

W miarę jak płynął ten nie kończący się potok słów, pytania Zielonej Pani stawały się coraz rzadsze. Najwidoczniej - na skutek częstego powtarzania - ukształtowały się w niej jakieś pojęcia słów „Śmierć” i „Smutek” - jakie, tego już Ransom nie był w stanie odgadnąć. Wreszcie i jemu zaczęło świtać, o czym sąte wszystkie opowieści. Każda z kobiet walczyła samotnie i narażała się odważnie dla swego dziecka, kochanka lub ludu. Każda była niezrozumiana, wyszydzana i prześladowana, lecz w ostatecznym rozrachunku bieg wydarzeń oddawał jej sprawiedliwość, choć zawiłe drogi losu tych kobiet nie zawsze były dla słuchacza czytelne. Nie ulegało wątpliwości, że w barwnej galerii owych szlachetnych postaci nie brakowało takich, które na Ziemi określa się mianem czarownic lub kobiet upadłych. Ale przebieg wydarzeń stanowił tylko tło. Z każdej opowieści wyłaniał się przede wszystkim pewien wizerunek - obraz kobiety wysokiej i smukłej, wyprostowanej i pogodnej, choć dźwigającej na swych ramionach ciężar świata, wstępującej w ciemność bez lęku, z uśmiechem na ustach, aby dokonać czynu przez innych zakazanego i potępianego, choć właśnie niezbędnego dla ich własnego ocalenia. I za każdym razem, jako coś w rodzaju tła dla tych boskich sylwetek, mówca zrećcznie budował obraz drugiej płci. Bezpośrednio nie padło na ten temat ani jedno słowo, lecz wyczuwało się ów męski świat jako wielką, mglistą ciżbę stworzeń żałośnie dziecinnych i bezkrytycznie zadufanych, bojaźliwych, drobiazgowych i pozbawionych twórczej myśli, ospałych jak woły, prawie wrośniętych w ziemię na skutek chronicznej indolencji, cofających się przed każdym czynem, każdym wysiłkiem i ryzykiem. Ku pełni życia mogły ich dźwignąć jedynie owe samotne, nie oczekujące wdzięczności kobiety. W każdym razie opowieści skomponowane były po mistrzowsku. Nawet Ransom - który zresztą nigdy nie był specjalnie dumny ze swojej płci - złapał się na tym, że przez chwilę uwierzył w to wszystko.

Nagle błyskawica rozdarła ciemności, a w parę sekund później przetoczył się rozkoszny, perelandryjski grzmot, jakby ktoś zagrał na niebiańskim tamburynie. Lunął ciepły deszcz. Ransom nie zwracał na to uwagi. W świetle błyskawicy ujrzał Nie-człowieka siedzącego sztywno, Zieloną Panią wspartą na jednym łokciu, a tuż przy jej głowie czuwającego smoka; za nimi zajaśniał gaj, a

dalej wielkie fale na tle widnokregu.

Zamyślił się nad tym, co zobaczył. Jak ona może patrzeć na tę twarz, te szczęki poruszające się monotonnie, jakby nie mówiły, ale coś przeżuwały - i nie wyczuć, że ta istota jest z gruntu zła? Ale po chwili zreflektował się: zadaje niezbyt rozsądne pytania. Cóż ona wie o człowieku? On sam jest w jej oczach postacią niezgrabną i dziwną. Ona w ogóle nie wie, co to jest zło, nie zna wyglądu normalnych ludzi, skąd więc mogłaby wywnioskować, że z ciałem Westona jest coś nie w porządku?

Wyraz, jaki dostrzegł na jej twarzy w krótkim mgnieniu błyskawicy, był dla niego czymś zupełnie nowym. Nie patrzyła na opowiadającego, właściwie mogła być myślami tysiące mil stąd. Usta miała lekko zaciśnięte, brwi nieco uniesione. Jeszcze nigdy nie przypominała tak bardzo kobiety naszego rodzaju. A jednak podobny wyraz nieczęsto widuje się na Ziemi... chyba że... - uświadomienie tego było dla Ransom'a wstrząsem - na scenie. „Jak królowa z tragedii”, pomyślał z pewną odrazą.

„Oczywiście, jest w tym duża przesada”, stwierdził po chwili. To ją obraża. Poczł coś w rodzaju wyrzutów sumienia. A jednak... jednak... Żywy obraz objawiony przez błyskawice utrwalił się w jego mózgu jak fotografia. W żaden sposób nie mógł przestać o nim myśleć. Tak, bardzo *dobra* królowa z tragedii, wspaniale grana przez kobietę, która w prawdziwym życiu odznacza się dobrocią. Według ziemskich kryteriów wygląd ten powinien właściwie budzić uznanie, nawet szacunek. Ale Ransom nie czuł podziwu. Pamiętał, co widział w jej twarzy wcześniej: nieświadomą, promienną pogodę, radosną, nawet swawolną świętość, głębię spokoju, przywodzące na myśl czasem niemowlęctwo, a czasem dojrzałą starość, choć młodzieńcza twardość twarzy i całego ciała wykluczała i jedno, i drugie. W porównaniu z tym ów nowy wyraz budził odrazę. Okropny cień świadomie akceptowanej wielkości, ślady sprawiającego jej wyraźną przyjemność patosu, drobne, lecz czytelne oznaki odgrywania jakiejś roli - wszystko to sprawiało na nim wrażenie żalostnej wulgarności. A może to tylko spontaniczna reakcja na objawianą jej właśnie po raz pierwszy sztukę eposu, legendy i poezji? Podtrzymywał w sobie nadzieję, że tak właśnie jest, lecz mimo wszystko nie potrafił się wyzbyć uczucia niesmaku i niepokoju. I po raz pierwszy odezwała się w nim jasno sformułowana myśl: „*Trzeba to przerwać, trzeba temu zapobiec*”.

- Chodźmy tam, gdzie liście osłonią nas od deszczu - rozległ się w ciemności głos kobiety.

Do tej chwili Ransom prawie nie zauważył, że jest mokry, w końcu nie jest to takie ważne w świecie, w którym nie nosi się ubrania. Wstał jednak, gdy usłyszał ruch, i podążył za nią, kierując się słuchem. Zdawało mu się, że Nie-człowiek zrobił to samo. Posuwali się w całkowitej ciemności, po gruncie chwiejnym jak powierzchnia wody. Raz po raz błyskawice rozjaśniały niebo ukazując na moment Zieloną Panią, dumnie wyprostowaną, i wlokącego się u jej boku Nie-człowieka w mokrych, oblepiających ciało szortach i koszuli Westona. Za nimi dreptał smok prychając i sapiąc. W górze krople deszczu bębniły o sklepienie z wielkich, twardych liści. Usiedli.

- A innym razem - zaczął natychmiast Nie-człowiek - żyła w naszym świecie królowa władająca niewielką krainą...

- Sza! - przerwała mu Pani. - Posłuchajmy deszczu. - A po chwili dodała: - Co to takiego? Nigdy nie słyszałam głosu tego zwierzęcia.

Istotnie, tuż przy niej zabrzmiało przed chwilą w ciemności coś przypominającego głuchy pomruk.

- Nie wiem - powiedział głos Westona.

- Ja chyba wiem - rzekł Ransom.

- Sza! - uciszyła ich ponownie Pani.

Tej nocy nie padło już ani jedno słowo.

Taki był początek całej serii dni i nocy, które Ransom z niechęcią wspominał do końca życia. Miał niestety rację podejrzewając, że Przeciwnik nie odczuwa potrzeby snu. Na szczęście odczuwała ją Zielona Pani, choć potrzebowała go o wiele mniej niż Ransom, a w miarę upływu dni zaczęła chyba sypiać krócej, niż wymagała tego jej natura. W każdym razie ilekroć budził się z krótkiej drzemki, stwierdzał, że Nie-człowiek już z nią rozmawia. Ransom był śmiertelnie zmęczony i chyba by nie wytrzymał tego długo, gdyby co jakiś czas Zielona Pani nie dawała im wyraźnie do zrozumienia, że chce być sama. Zdarzało się to dość często, lecz wówczas zawsze starał się nie odstępować Nie-człowieka, co sprawiało, że nawet te krótkie chwile wytchnienia od zasadniczej batalii nie przynosiły mu pełnego odpoczynku. Ani na moment nie ważył się spuścić go z oczu i z dnia na dzień jego towarzystwo stawało się coraz trudniejsze do zniesienia.

Miał teraz sposobność przekonania się o zawodności tradycji, według której Księżę Ciemności odznacza się dobrymi manierami. Coraz częściej czuł, że gładki i subtelny Mefistofeles w czerwonej pelerynie, kapeluszu z piórami i z rapierem u boku, a nawet p osepny, tragiczny Szatan z *Raju utraconego* stanowiliby przynoszące ulgę wytchnienie po tej odrażającej istocie, na której śledzenie był skazany. Nie przypominało to też rozgrywki prowadzonej z podstępny, zręcznym dyplomata, bardziej już pilnowanie jakiegoś imbecyla, małpy lub szczególnie nieznośnego dziecka. Nadal, o każdej porze dnia i nocy, słyszał swoje nazwisko powtarzane tym obrzydliwym, bezmyślnym tonem, i wciąż, jak za pierwszym razem, budziło to w nim wstręt i zbijało z tropu.

W rozmowach z Zieloną Panią Nie-człowiek wykazywał co prawda wiele subtelnej inteligencji, lecz posługiwał się nią wyłącznie jak orężem, który odrzucał w godzinach wolnych od zasadniczej rozgrywki, podobnie jak żołnierz na urlopie nie ćwiczy walki na bagnety. Myśl była dla niego narzędziem osiągnięcia określonego celu - poza tym nie interesowała go w ogóle. Rozumem posługiwał się instrumentalnie i mechanicznie, tak jak ciałem Westona. Gdy tylko tracił z oczu Panią, osuwał się w stan bezmyślnej wegetacji.

Wiele czasu zajmowało Ransomowi chronienie przed nim zwierząt. Nie-człowiek korzystał z każdej okazji, by schwytać znajdujące się akurat w jego zasięgu żywe stworzenie i przynajmniej wydrzeć mu nieco sierści lub piór. Ransom starał się stawać między nim a ofiarą i wówczas mierzyli się długo spojrzeniami. Do walki nigdy nie dochodziło, ponieważ Przeciwnik tylko wykrzywił twarz, prychnął, spluwał i w końcu cofał się nieco; zanim to jednak uczynił, Ransom miał możliwość odkrycia, że ciągle bardzo go się boi. Bo niezależnie od wstrętu, nie opuszczał go zwykle na dłużej nieco dziecienny lęk, towarzyszący obcowaniu z upiorem lub sztucznie ożywionym trupem. Chwilami myśl o przebywaniu z nim *sam na sam* napelniała go takim obrzydzeniem, że musiał się odwoływać do całego swego rozsądku, by znieść tęsknotę za innym towarzystwem, by pokonać przemożny impuls nakazujący mu biec na oślep przez wyspę, odnaleźć Zieloną Panią i błagać ją o pomoc i opiekę.

Kiedy Nie-człowiek nie mógł osiągnąć zwierząt, zadowalał się roślinami. Lubił ranić paznokciami korę, wyrywać z ziemi korzenie, obrywać liście lub wyszarpywać garście mchu i porostów. Miał też bogaty repertuar zbśliwych zabaw, wyraźnie obliczonych na dokuczenie Ransomowi. Posługiwał się przy tym w sposób obrzydliwy swoim - a raczej Westona - ciałem. Porażająca głupota owych zabaw dorównywała ich wulgarności. Czasami siedział i całymi godzinami wykrzywił się do Ransoma, a potem znowu dręczył go w swój stary, wypróbowany sposób, powtarzając bez końca: „Ransom... Ransom... Ransom...” Często robił miny przypominające Ransomowi osoby znane i kochane. Ale najgorsze były chwile, gdy pozwalał dojść do głosu prawdziwemu Westonowi i mamrotał żałośnie:

- Bądź ostrożny, Ransom, bądź bardzo ostrożny. Jestem na samym dnie głębokiej, czarnej

dziury... Nie, nieprawda! Jestem na Perelandrze. Trudno mi zebrać myśli, ale to nic, on za mnie myśli. Zaraz będzie lepiej. Ten chłopak wciąż zamyka okna. Tak musi być, wszystko w porządku... Zabrali mi głowę i nałożyli inną. Ale zaraz będzie lepiej... Nie pozwolili mi pokazać moich wycinków prasowych. Poszedłem i powiedziałem im prosto z mostu, że jeśli nie widzą mnie w pierwszej drużynie, to mogą sobie radzić beze mnie... Powiemy temu szczeniakowi, że pokazywanie takiej pracy egzaminatorom to obelga... Proszę mi powiedzieć, dlaczego płacę za bilet pierwszej klasy i jadę w takim tłoku! To zwyczajne oszustwo! Nigdy nie chciałem wyrządzić komuś krzywdy. Och, zdejmijcie ten ciężar z moich piersi!... Nie chcę tych wszystkich ubrań. Zostawcie mnie w spokoju. Zostawcie mnie! To niesprawiedliwe. To nieuczciwe. Cóż za obrzydliwe muchy! Mówią, że można do nich przywyknąć...

Bełkot kończył się zwykle czymś w rodzaju psiego skowytu. Ransom nie potrafił dociec, czy to nowy, wymyślny sposób dręczenia go, czy też w ten kapryśny i żalorny sposób dają o sobie znać obumierające siły psychiczne istoty, która kiedyś była Westonem. W każdym razie odkrył, iż wygasła w nim dawna nienawiść do profesora, a nawet modlił się gorąco za jego duszę, choć to, co wobec niego czuł, nie było litością w ścisłym znaczeniu tego słowa. Dotychczas myśląc o piekle wyobrażał sobie, że potępione dusze zachowują wciąż cechy ludzkie; teraz, kiedy rozwarła się przed nim czeluść dzieląca świat duchów od świata ludzi, litość została prawie całkowicie pochłonięta przez zgrozę, stłumił ją niemożliwy do opanowania szok, z jakim Życie odwracało się od realnej, pożerającej samą siebie Śmierci. Jeśli doczesne szczątki Westona przemawiały w takich momentach ustami Nie-człowieka, to sam Weston nie był już teraz człowiekiem. Moce, które być może już wiele lat temu zaczęły pochłaniać jego człowieczeństwo, dokonały już swego dzieła. Skażona wola, zatruwająca stopniowo inteligencję i uczucia, zatruła wreszcie śmiertelnie samą siebie i cały system psychiczny rozleciał się na kawałki. Pozostał jedynie upiór - wieczny niepokój, proch, ruina, odór rozkładu. „I ten stan - myślał Ransom - mógłby przypaść w udziale mnie... albo jej.”

Ale oczywiście godziny spędzane sam na sam z Nie-człowiekiem miały drugorzędne znaczenie. Prawdziwy cel życia wyznaczały nie kończące się rozmowy między Kusicielem a Zieloną Panią. Trudno było ocenić ich skutek z godziny na godzinę, ale w miarę upływu dni Ransom nie mógł się oprzeć wrażeniu, iż ogólny rozwój sytuacji zmierza w kierunku wyznaczonym przez Przeciwnika, choć i jemu zdarzały się potknięcia i porażki. Często ulegał nieoczekiwaniu jakiemuś bardzo prostemu argumentowi, którego widocznie nie był w stanie przewidzieć. Często wtrącenie się samego Ransoma do tej straszliwej dyskusji dawało chwilowy skutek. Bywały chwile, w których myślał: „Chwała Bogu! W końcu zwyciężyliśmy!” Ale Przeciwnik nigdy nie dawał za wygraną, był niestrudzony, podczas gdy Ransom odczuwał coraz większe znużenie, a niebawem zaczął też dostrzegać oznaki świadczące o zmęczeniu Zielonej Pani. W końcu uczynił jej wyrzut z tego powodu i prosił, by odprawiła ich obu. Spotkał się jednak z ostrą odmową, która ujawniła mu, jak groźna już jest sytuacja.

- Chcesz, bym odpoczywała i bawiła się, gdy *to wszystko* jest przede mną? - zapytała. - Nie pozwolę sobie na to, dopóki nie będę pewna, że nie muszę dokonać jakiegoś wielkiego czynu dla dobra Króla i dzieci naszych dzieci.

Przeciwnik skoncentrował teraz swój atak po tej właśnie linii. Zielona Pani nie znała wprawdzie pojęcia „obowiązku”, ale Nie-człowiek potrafił skłonić ją do ciągłego rozmyślenia o idei nieposłuszeństwa w kontekście jakiejś powinności. Przekonał ją też, że odrzucanie takich myśli jest tchórzostwem. Dzień po dniu, w tysiącach najróżniejszych wariantów, podsuwał jej ideę Wielkiego Czynu, Wielkiego Poświęcenia, a jednocześnie wytrwale niszczył w niej chęć poczekania z decyzją na radę Króla. Nie powinna nawet myśleć o takim „tchórzostwie”, bo cały sens jej „czynu” - cała jej

wielkość - polega właśnie na tym, by spełnić go bez wiedzy Króla. Dopiero wtedy Król będzie mógł naprawdę swobodnie odrzucić go lub przyjąć. W ten sposób wszelkie korzyści i dobrodziejstwa przypadną jej małżonkowi, ona zaś weźmie na siebie całe ryzyko, a z ryzykiem, rzecz jasna, spłynie na nią cała wzniosłość, patos, tragedia i niepowtarzalność „czynu”. Pytanie Króla o radę - dowodził Kusiciel - miałyby się też z celem, gdyż z całą pewnością nie potrafiłby zaakceptować jej decyzji. Tacy już są mężczyźni. Aby Król uzyskał prawdziwą wolność, trzeba go do tego zmusić. Teraz gdy ona, jako kobieta, jest już samodzielna - teraz lub nigdy - nadszedł czas na dokonanie szlachetnego czynu. Owo „teraz lub nigdy” działało na uczucie, jakie Pani dzieliła ze wszystkimi kobietami Ziemi - na lęk przed zmarnotrawieniem życia, przed niewykorzystaniem jakiegś wielkiej szansy.

- To tak, jakbym była drzewem, które mogło wydać owoce, lecz nie wydało żadnych - powiedziała pewnego razu i widać było, że jest tym głęboko przejęta.

Ransom próbował ją przekonać, że dzieci są wystarczająco pięknymi owocami, ale Nie-człowiek natychmiast zapytał, czy to możliwe, by tak szczególnie podział ludzkiego rodzaju na dwie płci mógł mieć na celu jedynie wydawanie potomstwa. Przecież ta sprawa mogła być załatwiona o wiele prościej, na przykład tak jak u wielu rosin. W chwilę później wyjaśniał jej, że w naszym świecie mężczyźni tego pokroju co Ransom - o wyjątkowo męskich, zachowawczych poglądach, którzy zawsze cofają się przed wszystkim, co nowe - starają się od dawna ograniczyć rolę kobiety do rodzenia dzieci, ignorując całkowicie owo zaszczytne przeznaczenie, dla którego Maleldil ją stworzył. Tacy mężczyźni wyrządzili już na Ziemi nieodwracalne szkody i właśnie jej zadaniem jest troska, by nic podobnego nie zaszło na Perelandrze.

Na tym etapie kuszenia Nie-człowiek zaczął ją uczyć wielu nowych słów, takich jak „twórczość”, „intuicja” czy „duchowość”. Było to jednak błędne posunięcie. Kiedy wreszcie zrozumiała, co to znaczy „twórczość”, zapomniała o „wielkim poświęceniu” i „tragicznym osamotnieniu”, a w końcu wybuchnęła długim śmiechem. W rezultacie powiedziała Nie-człowiekowi, że jest młodszy od Łaciatego i odprawiła ich obu.

W tym punkcie Ransom zdobył pewną przewagę, ale nazajutrz utracił ją całkowicie, ponieważ nie potrafił nad sobą zapanować. Przeciwnik zachwalał z jeszcze większym niż zwykle zapałem szlachetność postawy samoofiary i poświęcenia, a ona zdawała się tym być coraz bardziej urzeczona. Ransom, straciwszy w końcu cierpliwość, zerwał się na nogi i zaatakował ją z furią, mówiąc o wiele za szybko i stanowczo za głośno, a nawet zapominając chwilami języka solarnego i wplatając słowa angielskie. Starał się jej dowieść, że widział już ten rodzaj „samoposwiecenia” i „rezygnacji z samej siebie” w praktyce; mówił o żonach, które mdleją z głodu, lecz nie zaczynają jeść, dopóki nie przyjdzie pan domu, chociaż doskonale wiedzą, że on tego nie cierpi; mówił o matkach, które wypruwają z siebie wnętrzności, byle tylko wydać córkę za kogoś, kogo ona nie znosi; mówił o Agrypinie i Lady Makbet.

- Czy nie rozumiesz - krzyczał - że on każe ci powtarzać słowa, które nie mają sensu? Przecież to niedorzeczne wmawiać sobie, że uczynisz to dla dobra Króla, skoro on tego nigdy nie uzna za dobro! Czy jesteś Maleldilem, aby określać, co jest dobre dla Króla?

Zielona Pani niewiele z tego zrozumiała, natomiast wyraźnie zraziło ją jego gwałtowne zachowanie i w rezultacie korzyść z przemowy odniósł Nie-człowiek.

Ale dzięki tym wszystkim sukcesom i porażkom, wszystkim zmianom linii frontu, przeciwnatarciom, obronom i odwrotom, Ransom coraz wyraźniej dostrzegał strategię rozgrywki. Gotowość, z jaką Pani ulegała namowom, by podjęła ryzyko, by stała się tragiczną pionierką, wpływała przede wszystkim z jej miłości do Króla i jej nie narodzonych dzieci, a nawet - w pewnym sensie - do samego Maleldila. Myśl, że On sam może naprawdę życzyć sobie, by okazała

nieposłuszeństwo, była jak otwarta śluza, przez którą wlewał się swobodnie potok innych sugestii i pojęć. Ale od czasu, gdy Nie-człowiek zaczął w nią sączyć tragiczne opowieści o losach ziemskich kobiet, pojawił się w niej również cień teatralności, pierwszy nikły ślad samouwielbienia i chęci odegrania głównej roli w dramacie własnego świata. Stało się jasne, że cały wysiłek Nie-człowieka koncentruje się teraz na wzmocnieniu tego elementu. Dopóki te nowe skłonności stanowiły tylko kroplę w oceanie jej myśli, dopóty nie mógł wiele zdziałać: wciąż była odporna na pokusę realnego nieposłuszeństwa. Prawdopodobnie żadne rozumne stworzenie nie wyrzeknie się szczęścia dla czegoś tak mglistego, jak bajdurzenie Kusiciela o „pogłębnym życiu” i „ścieżce wiodącej wzwyż”, dopóki nie zacznie w nim dominować skłonność do samouwielbienia. Wewnątrz całej koncepcji szlachetnego buntu musi najpierw rozwinąć się zawoalowany egoizm. I oto Ransom zaczął zdawać sobie sprawę, że pomimo wszystkich kontrataków z jej strony i wielu porażek wroga, powoli, bardzo powoli, ale w sposób już zauważalny, to właśnie w niej się dzieje.

Oczywiście cała sprawa była tragicznie powikłana. Słowa Nie-człowieka nigdy nie odbiegały daleko od prawdy. Z całą pewnością było częścią Boskiego planu, aby to stworzenie osiągnęło dojrzałość, aby stawało się coraz bardziej wolne, aby - w pewnym sensie - oddzielało się od Boga i od swego towarzysza po to, by zjednoczyć się z nimi w bogatszy sposób, na wyższym poziomie. Od samego początku, od pierwszego z nią spotkania Ransom był świadkiem tego właśnie procesu i w pewnej mierze, nieświadomie, przyczyniał się do tego. Odrzucenie obecnej pokusy stanowiłoby następny, prawdopodobnie decydujący, krok w tym samym kierunku: osiągnięcia stanu posłuszeństwa bardziej dobrowolnego, bardziej rozumnego i bardziej świadomego. Ale z tego samego powodu ów inny, fałszywy i fatalny krok, który straciłby ją na dno straszliwej niewoli pożądania i nienawiści, ekonomiki i konieczności władzy - niewoli tak dobrze znanej rodzajowi ludzkiemu - mógł się jej wydawać tak upragniony i chwalebny. O narastaniu w niej owej niebezpiecznej tendencji świadczyło coraz wyraźniejsze lekceważenie intelektualnego kośćca całego problemu. Coraz trudniej było zwrócić jej uwagę na *konkretne elementy* sytuacji: przykazanie Maleldila, całkowitą niepewność co do skutków nieposłuszeństwa, wreszcie obecny stan szczęścia tak wielkiego, że trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek zmianę na lepsze. Wszystko zostało zalane falą mętnych obrazów podsuwanych jej niestrudzenie przez Nie-człowieka, a zwłaszcza ową centralną wizją „Wielkiego Czynu” dla Króla i całej przyszłości Perelandry. Wciąż jeszcze była niewinna i żadna zła intencja nie przybrała konkretnego kształtu w jej umyśle, ale mimo nieskalanej dotąd woli, połowę jej świata wyobraźni wypełniały już błyskotliwe, lecz zatrute kształty.

„Muszę temu zapobiec”, pomyślał Ransom po raz drugi. Ale wszystkie jego argumenty okazywały się na dłuższą metę nieskuteczne. Przeciwnik dalej robił swoje. Pewnej nocy był tak zmęczony, że nad ranem zapadł w kamienny sen i obudził się późno w dzień. Był sam. Ogarnęło go przerażenie.

- Jak mogłem to zrobić! Jak mogłem! - zawołał przekonany, że wszystko stracone. Z otępiłą głową i ściśniętym sercem powłókł się na skraj wyspy, zamierzając znaleźć jakąś rybę i na jej grzbiecie popłynąć za zbiegami na Stały Łąd. Nie wątpił, że tam właśnie ich znajdzie. Przybity i oszołomiony poczuciem klęski zapomniał, że nie ma pojęcia, w jakim kierunku i w jakiej odległości może być teraz ów łąd. Wrócił w głąb wyspy, gorączkowo przeszukując gaje. Nagle, gdy znalazł się na otwartej przestrzeni, stwierdził, że nie jest sam. Przed nim, na tle żółtego nieba, stały nieruchomo dwie postacie odziane w purpurowe szaty z piór i wielkie kołpaki ze srebrnych liści. Stopy miały bosc. Jedna z nich wydała mu się najpiękniejszym, druga najbrzydszym okazem ludzkich kształtów. Wtem usłyszał znajomy głos i zrozumiał, że patrzy na Zieloną Panią i nawiedzone ciało Westona. Znał też dobrze perelandryjskie ptaki, z których pochodziły pióra, natomiast sposób utkania z nich szat - jeśli można to nazwać tkaniem - stanowił dla niego zagadkę.

- Witaj, Łaciaty - powiedziała Królowa. - Długo dzisiaj spałeś. Co sądzisz o naszych liściach?
- Ptaki - jęknął Ransom. - Biedne ptaki! Co on im zrobił?
- Znalazł gdzieś te pióra - odrzekła beztrąsko. - Ptaki je gubią.
- Dlaczego to zrobiłaś, Pani?
- On znowu uczynił mnie starszą. Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłeś, Łaciaty?
- O czym?

- O czym nigdy nie wiedzieliśmy. Dopiero on powiedział mi, że drzewa mają liście, a zwierzęta futra i że w waszym świecie mężczyźni i kobiety też zawieszają na sobie różne piękne rzeczy. Dlaczego nie mówisz, jak w tym wyglądamy? Och, Łaciaty, mam nadzieję, że to nie będzie jeszcze jedno nowe dobro, przed którym cofniesz swą rękę. Przecież nie może być nowe dla ciebie, skoro w waszym świecie robią to wszyscy.

- Tak, ale... - zaczął się jąkać - u nas jest inaczej. Jest zimno.

- Obcy też tak mówił. Ale nie wszędzie jest zimno. On mówi, że tam, gdzie jest ciepło, ludzie też to robią.

- A czy powiedział ci, dlaczego to robią?

- Bo chcą być piękni. A po cóż innego by to robili? - na jej twarzy odmalował się szczere zdziwienie.

„Dzięki Bogu, na razie uczy ją tylko próżności”, pomyślał Ransom. Obawiał się czegoś gorszego. Ale czy można przez dłuższy czas nosić odzienie i nie nauczyć się wstydu, a poprzez wstyd lubieżności?

- Czy jesteśmy teraz piękni, Łaciaty? - zapytała ponownie Pani przerywając tok jego myśli.

- Nie - odpowiedział Ransom, a potem szybko się poprawił: - Nie wiem.

Odpowiedź była istotnie trudna. Jeśli chodzi o Nie-człowieka, to po zakryciu prozaicznych szortów i koszuli Westona wyglądał bardziej egzotycznie, a co za tym idzie nie tak nęcznie i odrażająco. Natomiast Pani niewątpliwie wyglądała gorzej. W nagości ci jest coś powszedniego (w takim sensie, w jakim się mówi o „powszednim” chlebie). Wraz ze szkarłatną suknią pojawił się jakiś przepych, jakiś nadmiar, jakaś mniej doskonała koncepcja piękna. Po raz pierwszy (i ostatni) Ransom dostrzegł w niej kobietę, którą urodzony na Ziemi mężczyzna mógłby kochać w jakiś wyobrażalny sposób. Było to trudne do zniesienia. Upiorna niestosowność tej myśli jak gdyby ujęła czegoś z barw krajobrazu i z zapachu kwiatów.

- Czy uważasz, że jesteśmy teraz piękniejsi? - powtórzyła.

- Czy to takie ważne? - zapytał Ransom matowym głosem.

- Każdy powinien pragnąć wyglądać najpiękniej - odpowiedziała. - A my nie możemy siebie zobaczyć.

- Możemy - odezwało się ciało Westona.

- Jak to? - zdziwiła się i odwróciła do niego. - Przecież gdyby się nawet mogło obrócić oczy do środka, ujrzałoby się jedynie ciemność.

- Nie w ten sposób - powiedział. - Pokażę ci, jak.

Odszedł kilka kroków do miejsca, gdzie wśród żółtych porostów leżał plecak Westona. Z dziwną, beznamietną ostrością, właściwą nieraz ludziom przerażonym lub całkowicie czymś pochłoniętym, Ransom zarejestrował spojrzeniem kształt i wykończenie plecaka. Musiał pochodzić z tego samego sklepu w Londynie, w którym kupił swój. Ten błahy fakt uprzytomnił mu nagle, że Weston był kiedyś człowiekiem, że i on przeżywał kiedyś radości, zmartwienia i miał ludzki umysł. Poczłwał gwałtowne wzruszenie.

Potworne palce, których prawdziwy Weston nigdy już nie miał użyć, manipulowały przez chwilę przy sprzączkach, a potem wydobyły z plecaka niewielki, połyskujący przedmiot: angielskie

kieszonkowe lusterko, które mogło kosztować ze trzy i pół szylinga. Podał je Zielonej Pani, a ona zaczęła je oglądać.

- Co to jest? Co mam z tym zrobić? - zapytała.

- Spójrz w to - odrzekł głos Westona.

- Jak?

- Spójrz! - Wyjął lusterko z jej rąk i podniósł na wysokość twarzy. Wpatrywała się w nie przez dłuższy czas, jakby wciąż nie rozumiała, do czego służy. Potem nagle cofnęła się z krzykiem i zakryła twarz rękami. Ransom cofnął się również. Po raz pierwszy ujrzał ją jako zupełnie bierną ofiarę swoich własnych uczuć. W otaczającym go świecie zachodziły wielkie zmiany.

- Och... och! - zawołała. - Co to jest? Widziałam twarz.

- To twoja własna twarz. Piękna twarz - powiedział Nie-człowiek.

- Tak... rozumiem - wciąż unikała spojrzeniem lusterka. - Moja twarz... stamtąd... patrzyła na mnie. Czy staję się starsza, czy to coś innego? Czuję... czuję... och, jak mocno bije mi serce. Nie jestem ciepła. Co to znaczy?... Co to jest?...

Spoglądała raz na jednego, raz na drugiego. Jej twarz stracił a całą tajemniczość. Można było w niej czytać równie łatwo co w twarzy człowieka, który siedząc w schronie nasłuchuje gwizdu spadającej bomby.

- Co to jest? - powtórzyła.

- To jest Strach - powiedziały usta Westona, a potem jego twarz odwróciła się do Ransoma i wykrzywiła w uśmiechu.

- Strach... To jest Strach. - Rozmyślała nad tym nowym odkryciem. - Nie lubię tego - oświadczyła w końcu.

- To minie - rzekł Nie-człowiek, ale Ransom nie pozwolił mu skończyć.

- To nigdy nie minie, jeśli zrobisz to, do czego on cię namawia. On prowadzi cię do coraz większego i większego strachu.

- Prowadzę cię - mówił Nie-człowiek - ku wielkim falom. Poprowadzę cię przez nie i poza nie. Poznałaś już Strach, sama więc widzisz, że to ty musisz zakosztować go w imieniu całego twojego rodzaju i dla jego dobra. Wiesz, że Król tego nie robi. Nie chcesz, aby to zrobił Ale ten drobiazg ma raczej budzić radość, nie strach. Czego się w nim lękasz?

- Tego, że rzeczy robią się podwójne, a przecież są pojedyncze - odpowiedziała stanowczo. - To - wskazała na lusterko - jest mną, a zarazem nie jest.

- Ale jeśli nie spojrzysz, nie będziesz wiedziała, jak jesteś piękna.

- Przyszło mi na myśl, Obcy, że owoc nie zjada sam siebie, a człowiek nie może obcować sam ze sobą.

- Owoce nie może tego zrobić, bo jest tylko owocem - odparł łagodnie Nie-człowiek - ale my możemy wiele. Tę rzecz nazywamy lusterkiem. Człowiek *może* kochać sam siebie i obcować ze sobą. To właśnie znaczy być mężczyzną albo kobietą: stanąć przed sobą jak przed drugą osobą i zachwycać swoją pięknnością. Lusterka są po to, aby uczyć tej umiejętności.

- Czy to jest dobre? - zapytała Pani.

- Nie - odpowiedział szybko Ransom.

- Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz - rzekł Nie-człowiek.

- Jeśli raz spróbujesz, a okaże się złe - powiedział Ransom - skąd wiesz, że zdołasz zaniechać robienia tego dalej?

- Stanęłam już przed sobą - oznajmiła nagle Pani - ale jeszcze nie wiem, jak naprawdę wyglądam. Skoro już jestem podwójna, to powinnam poznać tę drugą moją postać. A jeśli chodzi o twoje obawy, Łaciaty, to przyznam się, że ich nie rozumiem. Wystarczy mi jedno spojrzenie, żeby

zobaczyć twarz tej drugiej kobiety, czemu więc miałabym spoglądać więcej razy?

Z pewnym lękiem, ale zdecydowanie, wzięła lusterko z ręki Nie-człowieka i milcząc patrzyła w nie blisko minutę. Potem opuściła rękę i zamyśliła się głęboko.

- To bardzo dziwne - powiedziała w końcu.

- To bardzo piękne - dodał szybko Nie-człowiek. - Czy nie mam racji?

- Tak, masz rację.

- Ale nie znalazłaś jeszcze odpowiedzi na to, o co pytałaś.

- Co to było? Zapomniałam.

- Pytałaś, czy ta szata z piór czyni cię bardziej czy mniej piękną.

- Widziałam tylko twarz.

- Trzymaj lusterko dalej od siebie, a zobaczysz całą kobietę, tę drugą kobietę, która jest tobą.

Albo nie... ja ci potrzynam.

Okropna banalność tej sceny zaczynała z niej czynić groteskę. Zielona Pani przyglądała się sobie dokładnie najpierw w szacie, potem nago, a potem znowu w szacie, wreszcie zdecydował a najwidoczniej, że szata czyni ją mniej piękną, bo zdjęła ją i odrzuciła od siebie. Nie-człowiek natychmiast ją podniósł.

- Nie chcesz jej zachować? - zapytał. - Przecież możesz włożyć ją któregoś dnia, chociaż nie masz ochoty nosić jej stale.

- *Zachować?* - powtórzyła, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Ach, zapomniałem - rzekł Nie-człowiek. - Zapomniałem, że nie chcesz mieszkać na Stałym Łądzie ani zbudować sobie domu. Nie chcesz być panią swego losu. „Zachować” to znaczy zbzyć jakąś rzecz w takim miejscu, gdzie zawsze można ją znaleźć i gdzie nie może jej dosięgnąć deszcz, zwierzę albo inny człowiek. Chętnie dałbym ci to lusterko, żebyś je mogła zachować. Byłoby to lusterko Królowej, dar z Głębin Niebios, dar niedostępny dla innych kobiet. Ale przypomniałaś mi, że to niemożliwe. Dopóki żyjesz tak jak teraz, z dnia na dzień podobnie jak żyją zwierzęta, nie może być darów, zachowywania rzeczy, przewidywania przyszłości.

Lecz Zielona Pani zdawała się go nie słuchać. Stała nieruchomo, jakby ją oślepiła jakaś wspaniała wizja. W każdym razie nie wyglądała wcale jak kobieta myśląca o nowej sukni. Prawdę mówiąc, tej szlachetności było trochę za wiele. Wielkość, tragiczność, podniosłe uczucia - oto, co niewątpliwie zaprzętało jej myśli. Ransom zdał sobie sprawę, że epizod z szatą i lusterkiem tylko powierzchownie dotyczył tego, co potocznie nazywane jest kobiecą próżnością. Obraz jej pięknego ciała był tylko środkiem do obudzenia w niej o wiele bardziej niebezpiecznej wizji: wizji jej wielkiej duszy. Prawdziwym celem Przeciwnika była zewnętrzna, teatralna koncepcja osobowości. Czynił z jej wyobraźni i umysłu scenę, na której ta widmowa osobowość mogłaby zagrać główną rolę, bo sztukę już dla niej napisał.

Rozdział 11

Te kilka godzin porannego snu, które tak bardzo sobie wyrzucał, sprawiły jednak, że następnej nocy bez trudu zachował czujność. Morze uspokoiło się i deszcz nie padał. Siedział w ciemnościach wyprostowany, oparty plecami o drzewo. Nie był sam. Zielona Pani spała opodal, na co wskazywał jej miarowy oddech, a Nie-człowiek czuwał zapewne w pobliżu, gotów przebudzić ją i podjąć swe zabiegi, gdy tylko Ransom zapadnie w drzemkę. Po raz trzeci, z jeszcze większą siłą niż dotychczas, odezwała się w nim wyraźna myśl: „*To nie może trwać dłużej. Muszę coś zrobić*”.

Przeciwnik stosował metody trzeciego stopnia. Ransom czuł, że opór Zielonej Pani słabnie. Tylko cud mógłby ją uratować. Dlaczego nie zdarza się cud? Albo raczej: dlaczego cud nie wspomogł słusznej sprawy? Bo przecież sama obecność Przeciwnika była czymś w rodzaju cudu. Czyżby piekło miało przywilej dokonywania cudów? Dlaczego niebo milczy? Nie po raz pierwszy poczynił wątpić w Bożą sprawiedliwość. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Maleldil nie przybywa, skoro Przeciwnik zjawił się tu osobiście.

Lecz podczas gdy takie myśli przechodziły mu przez głowę, nagle - tak dojmująco, jakby gęsta ciemność wokół niego przemówiła artykułowanym głosem - odczuł wyraźnie, że Maleldil jest blisko. Po raz drugi czy trzeci powróciło zaznane już na Perelandrze poczucie - tak bardzo pożądane, a jednak nigdy nie przyjmowane bez pewnego oporu - poczucie czyjejs Obecności. Gęste ciemności były nią niemal fizycznie nasycone, napierała na niego ze wszystkich stron, tak że z trudem nabierał powietrze w płuca. Czuł jej ucisk wokół skroni, jakby je otaczała ciasna korona, od której ciężaru mąciło mu się w głowie. Co więcej, w jakiś nieokreślony sposób zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości ta Obecność towarzyszyła mu nieprzerwanie od samego początku, a tylko jakieś działanie jego podświadomości zdołało w nim stłumić zdolność jej odczuwania.

Osiągnięcie prawdziwej ciszy wewnętrznej nie jest dla człowieka łatwe. Wiecznie gadatliwa część naszej jaźni nie milknie nawet w najświętszych miejscach. Podczas gdy jedną część świadomości Ransoma pogrążyła w ciszy fala lęku i miłości, przypominająca śmierć, w innej, obojętnej na cześć i uwielbienie, nadal trwał zgiełk pytań i wątpliwości.

„To wszystko jest bardzo piękne - szeptał wewnętrzny elokwentny krytyk - ale w końcu cóż wynika z *takiej* obecności? Przeciwnik jest tu realnie, fizycznie, działa słowem i czynem. A gdzie jest wysłannik Maleldila?”

Odpowiedź, jaka nadeszła z ciszy i ciemności, szybka jak riposta szermierza lub tenisisty, prawie zaparła mu dech w piersiach, bo graniczyła z bluźnierstwem.

„Ale cóż jeszcze mogę zrobić?”, paplał elokwentny krytyk w jego mózgu. „Zrobiłem, co mogłem. Od tych nie kończących się dyskusji robi mi się niedobrze. I tak nic z tego, ona mu już prawie uległa.” Próbował sobie tłumaczyć, że on, Ransom, nie może być wysłannikiem Maleldila w takim sensie, w jakim Nie-człowiek jest wysłannikiem piekła. Odpowiedź, jaką dała cisza i ciemność, musi być diabelską pokusą, jej akceptacja oznaczałaby próżną pychę, megalomanię.

Ogarnęła go prawdziwa zgroza, gdy Ciemność po prostu odrzuciła mu ten argument prosto w twarz, prawie ze zniecierpliwieniem. A w chwilę później - zdumiał się, jak mógł dotąd sam tego nie spostrzec - został zmuszony do refleksji, która rozjaśniła mrok jego myśli jak błyskawica: przecież jego przybycie na Perelandrę było w końcu czymś równie zadziwiającym, prawie niemożliwym, co pojawienie się na niej Przeciwnika.

Wspierający słuszną sprawę cud, którego tak się domagał, w rzeczywistości już się wydarzył. On sam jest tym cudem.

„Ależ to nonsens”, odezwała się elokwentna część jaźni. „Cóż to za cud, on, Ransom, z tym

komicznym, łaciatym ciałem, z żalnymi argumentami w dyskusji, raz po raz sprowadzanymi przez Przeciwnika do zera!” Rzucił się z nadzieją w tę boczną ścieżkę, wróżącą pomyślny odwrót. „Tak, to prawda, że dostałem się tu w sposób cudowny. Jestem narzędziem w rękach Boga. Dopóki czynię wszystko, co w mojej mocy - a temu żadna część mojej świadomości nie może zaprzeczyć - Bóg odpowiada za ostateczny wynik. Nie zdołałem pokonać Przeciwnika, ale robiłem, co było w mojej mocy. Nikt nie zdołałby więcej. O sukcesie lub porażce nie decydują śmiertelnicy. Nie powinienem się troszczyć o ostateczny rezultat. To sprawa Maleldila. I to Maleldil odeśle mnie na Ziemię, jeśli nawet moje wysiłki nie przyniosą widomego skutku. Ale robiłem, co w mojej mocy. A może prawdziwym zamierzeniem Maleldila jest to, bym obwieścił rodzajowi ludzkiemu prawdy, których się dowiedziałem na planecie Wenus? Przecież los tej planety nie może spoczywać na barkach przybysza z Ziemi. To sprawa samego Boga. Trzeba umieć pozostawić to w Jego rękach. Trzeba mieć wiarę...”

Nić myśli pękła, jak struna skrzypiec. Ze wszystkich wybiegów nie pozostał nawet strzęp. Niemal bezlitośnie Ciemność wtłoczyła w niego niezachwiane przekonanie, że ten obraz sytuacji jest dogłębnie fałszywy. Jego podróż na Perelandrę nie była ani jakąś moralną próbą, ani walką pozorowaną. Ostateczny wynik spoczywa w rękach Maleldila, ale to Ransom i Zielona Pani są tymi rękami. Los tej planety naprawdę zależy od tego, jak zachowają się w ciągu kilku następnych godzin. Taka jest nieodwołalna, naga prawda. Jeśli zechcą, mogą odmówić ratowania niewinności nowej rasy, ale jeśli odmówią - niewinność ta *nie zostanie* zachowana. Żadne inne stworzenie w czasie i przestrzeni nie może ich w tym zastąpić. Ransom wyraźnie zdał sobie z tego sprawę, chociaż wciąż nie miał pojęcia, co może zrobić.

Elokwentna część jaźni zaprotestowała natychmiast z furją, jak śruba motorówki wynurzona na chwilę nad powierzchnię wody. „Przecież to ślepotą, absurd, nieuczciwość! Czyżby Maleldil *chciał* zagłady swych światów? Jaki byłby sens powierzania czegoś tak straszliwie ważnego człowiekowi tak niepozornemu, słabemu i zawodnemu jak on?”

Lecz natychmiast przypomniał sobie, że w tej samej chwili daleko, na Ziemi, ludzie prowadzą wojnę. Błazni podporucznicy i przyszczaci kaprale, którzy dopiero co zaczęli się golić, kulą się w norach okopów lub pełzną w śmiertelnych ciemnościach, świadomi - podobnie jak on - absurdalnej prawdy, że wszystko naprawdę zależy od tego, jak się zachowają. I przypomniał sobie, że dawno, dawno temu Horacjusz stał na moście, Konstantyn rozważał: odrzucić czy przyjąć nową religię, Ewa spoglądała na zakazany owoc, a moce niebieskie czekały na jej decyzję. Ransom wiał się i zgrzytał zębami, lecz nie mógł uciec od prawdy. Tak właśnie, a nie inaczej, został zbudowany świat. Od indywidualnych wyborów zależy albo coś, albo nic, a jeżeli coś, ktoś potrafi zakreślić temu granice? Jeden kamień może wyznaczyć bieg rzeki. I właśnie on jest takim kamieniem w tym straszliwym momencie, czyniącym z Perelandry centrum całego wszechświata. Eldile wszystkich planet, bezgrzeszne byty wieczystego światła, ucichły w Głębinach Niebios, by zobaczyć, co uczyni doktor Elwin Ransom z Cambridge.

A potem nadeszła błogosławiona ulga. Nagle uprzytomnił sobie, że przecież nie wie, co *może* zrobić. Omal nie wybuchnął głośnym śmiechem z radości. Wszystkie obawy były przedwczesne! Nie wyznaczono mu, jak dotąd, żadnego konkretnego zadania. Oczekiwano od niego generalnej, wstępnej decyzji przeciwstawienia się Przeciwnikowi w sposób, jaki narzuca okoliczności i bieg wypadków. A więc miał po prostu - i tu schronił się skwapliwie pod opiekę tych napełniających otuchą słów, jak dziecko rzucające się w objęcia matki - „uczynić wszystko, co w jego mocy”, a raczej *nadal* czynić wszystko, co w jego mocy, bo przecież nic innego nie robił od samego początku. „Jak niepotrzebnie sami się straszymy!”, mruknął półgłosem, usadawiając się wygodniej pod drzewem. Ogarnęła go łagodna fala radosnego, a jednocześnie racjonalnego poczucia synostwa

Bożego.

Nie! To niemożliwe! Ponownie wyprostował się, cały napięty, czując, jak serce łomocze mu w piersiach. Jego myśli natrafiły nagle na coś, przed czym cofnęły się jak człowiek, który dotknął rozgrzanego do czerwoności pogrzebacza. Lecz tym razem zgrozę stłumiło natychmiast poczucie niedorzeczności. Nie, to niemożliwe, to dziecinada! To *musi* być jakiś chytry podstęp jego własnej podświadomości. Przecież rozsądek uczy, że walka z Szatanem musi być walką *duchową*... Pomysł fizycznej walki z takim Przeciwnikiem mógłby się narodzić jedynie w mózgu jakiegoś dzikusa. Ach, gdyby to *było* takie proste!...

Ale tu elokwentny krytyk popełnił fatalną pomyłkę. Ransom miał zbyt silnie zakorzenioną uczciwość wobec własnej wyobraźni, by dłużej niż przez sekundę udawać, że fizyczna walka z Nie-człowiekiem nie jest czymś, czego się boi najbardziej. Wyobraźnia nie szczędziła mu wyrazistych obrazów. Trupi chłód tych rąk (dotknął ich przypadkowo kilka godzin wcześniej)... długie, metaliczne paznokcie... szarpiące ciało na cienkie paski... wydzierające ścięgna... Powolna, bardzo powolna śmierć... I do samego końca ten uśmiech bezmyślnego okrucieństwa, to spojrzenie. Uległby na długo przed śmiercią... błagałby o litość, przyrzekał pomoc, cześć boską, wszystko...

Na szczęście tej potwornej wizji nie sposób brać poważnie. Ransom zdecydował szybko - choć, prawdę mówiąc, decyzji brakowało stuprocentowej pewności - że bez względu na to, co zdawała się szeptać Cisza i Ciemność, jest niemożliwe, by Maleldil rzeczywiście oczekiwał od niego brutalnej, fizycznej walki. Jakikolwiek przeciwne tej decyzji lęki muszą być wytworem jego chorej wyobraźni. Duchowych zmagani nie można przecież degradować do poziomu mitologii.

Ale w tym miejscu pojawiła się nowa przeszkoda. Już dawno temu, na Marsie - a pobyt na Perelandrze jeszcze to przeświadczenie umocnił - Ransom począł dostrzegać, że ściśle odróżnianie prawdy od mitu i obydwu tych pojęć od faktów jest zabiegiem czysto ziemskim, będącym pochodną owego nieszczęsnego rozdziału pomiędzy duchem i ciałem, który jest rezultatem Pierwszego Upadku człowieka. Zresztą nawet na Ziemi sakramenty są nieustannym przypomnieniem, że rozdział ten nie jest ani całkowity, ani ostateczny. Wcielenie było początkiem scalania rozdartych rzeczywistości. Na Perelandrze to wszystko nie miało znaczenia. Cokolwiek się tu wydarzy, człowiek zrodzony na Ziemi uzna za mitologię. Rozmyślał już o tym niejednokrotnie - teraz był pewien. Obecność, jaką nasycona była ciemność, doświadczana tak silnie jak nigdy przedtem, składała te prawdy w jego ręce niby bezcenne, lecz budzące lęk klejnoty.

Elokwentny krytyk prawie stracił grunt pod nogami i przez kilka sekund odzywał się głosem rozżalonego dziecka, które prosi, by go zostawiono w spokoju i pozwolono wrócić do domu. Ale wkrótce odzyskał dawną pewność siebie i zaczął wyjaśniać precyzyjnie, na czym polega absurdalność idei fizycznej walki z Nie-człowiekiem. Przecież jej wynik nie może mieć znaczenia dla duchowego sensu całego konfliktu. Jeśli Zielona Pani ma wytrwać w posłuszeństwie Maleldilowi jedynie dzięki usunięciu Kusiciela siłą, to na czym miałaby polegać cała próba? Czego to dowiedzie? A jeśli kuszenie nie jest próbą, po co w ogóle zostało dopuszczone? Czyżby Maleldil chciał nam dać do zrozumienia, że nasz własny świat uniknąłby upadku, gdyby jakiś słoń stratował przypadkowo Węża, gdy Ewa zaczęła się skłaniać ku ustępstwu? Czy mogłoby to być aż tak proste i jawnie amoralne? Przecież to czysty absurd!

Straszliwa Cisza trwała, coraz bardziej podobna do twarzy, smutnej twarzy, co patrzy na nas, gdy kłamiemy, nie przerywa nam, tylko patrzy w milczeniu, aż w końcu wiemy już, że nasze kłamstwa są jawne, że nic się przed tym spojrzeniem nie ukryje i zaczynamy się jąkać, przeczyć własnym słowom, aż wreszcie milkniemy, pełni wstydu. Wymowny krytyk wyczerpał wreszcie swoje argumenty, a Ciemność szepnęła do Ransoma: „Wiesz przecież, że tylko marnujesz czas”.

Z każdą minutą dostrzegał coraz wyraźniej, że paralela, jaką próbował przeprowadzić między

Edenem i Perelandrą, jest toporna i niedoskonała. To, co stało się na Ziemi, gdy Maleldil przyszedł na świat w Betlejem, zmieniło cały wszechświat raz na zawsze. Nowy świat, Perelandra, nie był jedynie powtórzeniem starego świata, Ziemi. Maleldil nigdy się nie powtarza. Jak powiedziała Zielona Pani, fala, która przeszła, nigdy nie wraca. W chwili, gdy Ewa upadła, Bóg nie był człowiekiem. Nie uczynił jeszcze ludzi członkami swego Ciała. A od kiedy to się stało, zbawia i cierpi poprzez nich. Jednym z powodów, dla których Bóg wszystko to uczynił było i to, by uratować Perelandrę za pośrednictwem Ransom. Jeśli Ransom odmówi, ów Boży plan nie zostanie - przynajmniej w ludzkim pojęciu - zrealizowany. Został wybrany, by odegrać taką rolę w tym punkcie dramatu, który okazał się o wiele bardziej zawiły, niż mu się początkowo zdawało. Z dziwnym poczuciem „odpadania, pomniejszania” zdał sobie sprawę, że równie dobrze centrum wszechświata można nazwać nie Ziemię, lecz Perelandrę. W perelandryjskim dramacie można widzieć zaledwie pośrednią konsekwencję Wcielenia na Ziemi, ale można też spojrzeć na dramat ziemski jako na swojego rodzaju wstęp do wydarzeń na innych planetach, z których pierwszą jest Perelandra. Ani jedno, ani drugie spojrzenie nie jest wcale bliższe lub dalsze od prawdy niż pozostałe. Nic nie jest bardziej lub mniej ważne od czegoś innego. Nic nie jest kopią czy modelem czegoś, co już było lub będzie.

Jednocześnie zdał sobie sprawę, że elokwentna część jego jaźni błaga o wyjaśnienie nowej wątpliwości.

Do tej pory Zielona Pani nie uległa napastnikowi. Była głęboko poruszona i osłabiona, zapewne też nie zdołała zachować pierwotnej czystości wyobraźni, wciąż jednak stawiała opór. Pod tym względem perelandryjskie kuszenie różniło się zasadniczo od wszystkiego, co Ransom słyszał o Matce rodzaju ludzkiego. Nie wiedział, czy Ewa stawiała opór, a jeśli tak, jak długo. Jeszcze słabsze wyobrażenie miał o tym, jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby nie uległa. Czy „Wąż” ponawiałby dzień po dniu swe wysiłki? Czy owa próba trwałaby wiecznie? W jaki sposób Maleldil położyłby temu kres? Intuicja mówiła mu, że tu, na Perelandrze, problem polega nie tyle na wytrwaniu, ile właśnie na przerwaniu kuszenia, na owym często przez niego powtarzanym zdaniu: „Tak dalej być nie może, trzeba to przerwać”. Lecz przerwanie tego coraz bardziej wyrafinowanego nękania, przypominającego „badanie trzeciego stopnia” w śledztwie, było zadaniem zupełnie nowym. Dzieje upadku pierwszych ludzi na Ziemi nie dawały żadnej wskazówki. Trudno się dziwić, że nowe zadanie wymaga nowej postaci dramatu, której rolę miał (niestety) odegrać właśnie on. Daremnie raz po raz wracał myślą do Księgi Rodzaju, zapytując: „Co by się stało, gdyby...” Ciemność nie dawała żadnej odpowiedzi. Cierpliwie, lecz nieubłaganie odsyłała go z powrotem do rzeczywistości „tu i teraz”, ku narastającej pewności, czego się od niego oczekuje „tu i teraz”. Zaczynał już czuć, że pytanie: „Co by się wówczas wydarzyło?” jest pozbawione sensu, że jest jedynie zaproszeniem do błędzenia w czymś, co Pani nazwałaby „ubocznym światem”, nie mającym nic wspólnego z rzeczywistością. Rzeczywiste było tylko to, co działo się „tu i teraz”, a każda aktualna sytuacja nie powtarzała czegoś, co już się wydarzyło. Tu, na Perelandrze, kuszenie musi być przerwane przez Ransom lub nie ustanie nigdy. Głos - bo teraz spierał się z czymś, co było niemal Głosem - tworzył wokół tej alternatywy straszliwą próżnię. Ten rozdział, ta stronica, to jedno zdanie z księgi kosmicznego dramatu miało znaczenie jedyne i niepowtarzalne; nie mógł go zastąpić żaden inny fragment dramatu - ani taki, co już miał kiedyś miejsce, ani taki, który miał się kiedykolwiek wydarzyć.

Uchwycił się innej linii obrony. W jaki sposób on, Ransom, miałby pokonać nieśmiertelnego wroga? Gdyby nawet potrafił walczyć - a przecież był tylko zasiedziałym naukowcem z nie najlepszym wzrokiem i starą raną z poprzedniej wojny - cóż za sens miałaby taka walka? Przeciwnika w ogóle nie można zabić. Lecz odpowiedź nie pozostawiała cienia wątpliwości: można

zniszczyć ciało Westona, a wszystko wskazuje, iż jest ono jedynym przyczółkiem Przeciwnika na Perelandrze. W tym ciele, posłusznym jeszcze wówczas ludzkiej woli, Przeciwnik dostał się do nowego świata, jeśli więc zostanie go pozbawiony, nie będzie miał żadnego innego siedliska. Posiadł ciało Westona za jego własnym przyzwoleniem i bez takiej zgody nie będzie mógł zamieszkać w żadnym innym ciele. Ransom przypomniał sobie, że nieczyste duchy, o których mówi Biblia, panicznie lękały się wypędzenia z ciała opętanego.

Tak rozmyślając doszedł wreszcie do ponurego wniosku, że jeśli rzeczywiście oczekuje się od niego fizycznej walki, to nie jest to zadanie ani niemożliwe, ani beznadziejne. Z biologicznego punktu widzenia byłaby to walka dwóch mężczyzn w średnim wieku, przywykłych do siedzącego trybu życia, uzbrojonych jedynie we własne pięści, zęby i paznokcie. Na samą myśl o tych szczegółach przeszył go dreszcz strachu i odrazy. Uśmiercenie tej istoty takim orężem... ależ to koszmar! A samemu ginąć z jego rąk - kto wie, w jak potwornej męce - nie, o tym trudno nawet myśleć! Dobrze pamiętał, jak Przeciwnik mordował żaby. Nie miał zresztą złudzeń, że to on sam musiałby zginąć. „Czy w ciągu mego życia zwyciężyłem w jakiejś walce?“, pytał sam siebie z goryczą, aż za dobrze znając odpowiedź.

Nie próbował dłużej opierać się wewnętrznemu przekonaniu. Wyczerpał już wszystkie środki. Wiedział, co musi zrobić - wszelkie wykręty były daremne. Głos ciemnej nocy powtarzał nieodpartą odpowiedź tak stanowczo i dobitnie, że chociaż najłżejszy dźwięk nie mącił gęstej ciszy, Ransom obawiał się, iż ta odpowiedź obudzi śpiącą opodal kobietę. Stał w obliczu niemożliwego: musiał uczynić coś, czego uczynić nie mógł. Na próżno powtarzał sobie, że zapewne w tej samej chwili młodzi mężczyźni na Ziemi dokonują bohaterских czynów w imię spraw mniejszej wagi, a nie zawsze towarzyszy im pewność i wiara. Jego wola stoczyła się do owej przepastnej doliny, w której lęk przed hańbą nie jest już żadnym bodźcem, ba! czyni tę dolinę jeszcze bardziej mroczną i głęboką. Nie wątpił, że potrafiłby stawić czoło Nie-człowiekowi mając broń palną, a nawet że bez lęku spojrzalby śmierci w twarz, gdyby sam był nie uzbrojony, a Przeciwnik zachował rewolwer Westona. Ale walka wręcz, dobrowolne przywarcie nagą piersią do tamtej nagiej piersi, uścisk tych trupich, a przecież żywych ramion...

W ogarniającej go panice spróbował jeszcze jednego tak dobrze znanego ludziom wybiegu. Nie posłucha Głosu, a później, gdy już powróci na Ziemię, okaże prawdziwą skruchę, ukorzy się i odpokutuje. Stchórzy, jak święty Piotr, i podobnie jak on uzyska przebaczenie. Odpowiedź jakiej udzielił mu na tę pokusę rozum, była jasna i oczywista, ale przeżywał teraz jeden z tych momentów, w których wszelkie rozszczenia zimnego rozsądku brzmią jak stare, dobrze znane bajki.

Nagle poczuł gniew na samego siebie, a silny podmuch determinacji oczyścił jego myśli i odmienił nastrój. Może przecież walczyć i zwyciężyć, może nawet nie odnieść ciężkich obrażeń! Ale Ciemność milczała, nie dodając mu otuchy, nie udzielając nawet najsłabszej gwarancji, że tak może być. Przyszłość była tak nieprzenikniona jak ta noc.

- Nie na darmo nazywasz się Ransom [Ransom - po angielsku „okup” (przyp. tłum.)] - powiedział Głos.

To nie mógł być wytwór jego wyobraźni. Był tego pewien, bowiem od lat wiedział, że jego nazwisko nie pochodzi od słowa *ransom* oznaczającego okup, lecz od słów *Randolf's son* - syn Randolfa. Nigdy nie próbował łączyć tych dwóch znaczeń, podobne skojarzenie traktował co najwyżej jako kalambur. Ale nawet elokwentny krytyk nie ośmielał się podszeptywać, że Głos zabawia się w grę słów. W jednej chwili zrozumiał, iż to, co dla ziemskiego filologa było jedynie przypadkowym podobieństwem dwu dźwięków, w rzeczywistości nie jest wcale przypadkiem. Rozróżnienie na to, co przypadkowe, i na to, co zamierzone, jest konwencją czysto ziemską, podobnie jak podział na fakty i mity. Paradygmat wszechświata jest tak pojemny, że w ciasnym

kręgu ziemskiego doświadczenia pojawiają się jedynie jego fragmenty, między którymi potrafimy dostrzec związek, oraz takie, które wydają się nam ze sobą nie związane. Dlatego na Ziemi rozróżniamy to, co przypadkowe, od tego, co istotowo konieczne; jest to podział naszego punktu widzenia słuszny i użyteczny. Wystarczy jednak przestąpić owe granice choćby o krok i całe to rozróżnienie osuwa się w próżnię, trzepocąc bezużytecznymi skrzydłami. Z chwilą, gdy Ransom został wypchnięty z kręgu ziemskich konwencji, mógł ogarnąć percepcją ów „zewnątrzny”, bardziej rozległy wzornik. Teraz rozumiał już, dlaczego dawni filozofowie twierdzili, że poza Księżycem nie istnieje coś takiego jak przypadek czy ślepy los. Zanim poczęła go matka, zanim jego przodkowie nazwani zostali Ransomami, zanim jeszcze słowo *ransom* zaczęło oznaczać „okup”, zanim został stworzony świat - wszystkie te elementy współistniały już w wieczności w taki sposób, by znaczenie tego fragmentu kosmicznego wzoru ujawnił się w ich spotkaniu we właściwym czasie, w taki, a nie inny sposób. Pochylił głowę, uginając się pod brzemieniem tej wiedzy, skarżąc się na swój los: oto wciąż był człowiekiem, a mimo to przeniesiony został bez swojej woli do metafizycznego świata, by wprowadzić w czyn to, o czym filozofowie tylko myśleli.

- Ja też nazywam się Ransom - powiedział Głos.

Upłynął pewien czas, zanim zrozumiał sens tych słów. Ten, którego w innych światach nazywano Maleldilem, był okupem złożonym za cały świat, również za niego, o czym tak dobrze wiedział. W jakim jednak celu zostało to przypomniane właśnie teraz? Zanim przyszła odpowiedź, poczuł jej nieuchronne zbliżanie i wyciągnął ręce przed siebie, jakby chciał przeszkodzić w wyważeniu drzwi jego jaźni. Lecz odpowiedź przyszła.

A więc *to* jest prawdziwe rozwiązanie zagadki. Gdyby nawet teraz zawiódł, ta planeta i tak zostanie w swoim czasie odkupiona. Jeś li on nie zechce być okupem, zastąpi go ktoś Inny. Ale nic nigdy się nie powtarza. Nie będzie drugiego Ukrzyżowania. Być może - któż to może wiedzieć - nie będzie nawet drugiego Wcielenia... lecz jakiś akt jeszcze bardziej przerażającej miłości, jakiś triumf jeszcze głębszej pokory... Widział już przecież, jak kosmiczny wzór pęcznieje, jak rozrasta się z jednych światów na inne, za każdym razem przechodząc przez inny wymiar. Niewielkie, zewnętrzne zło, wyrządzone przez Szatana na Malakandrze, można porównać do jednowymiarowej linii; głębsze zło, jakie uczynił na Ziemi, do dwuwymiarowego prostokąta; jeś li upadnie Wenus, jej zło będzie niby sześć cian, a jej odkupienie wykracza poza ramy ludzkiej wyobraźni. Lecz odkupiona zostanie.

Ransom od dawna wiedział, że od jego wyboru zależą wielkie sprawy. A jednak teraz, gdy zdał sobie sprawę z prawdziwej skali przerażającej wolności złożonej w jego ręce - skali, wobec której wszelka fizyczna nieskończoność przestrzeni wydaje się czymś ciasnym i ograniczonym - poczuł się jak człowiek porzucony pod gołym niebem, na skraju przepaści, na pastwę wichru, co rycząc nadlatuje z samego bieguna. Do tej pory wyobrażał sobie, że stoi przed Panem jak Piotr. Było gorzej: oto siedział przed Nim jak Piłat. Od niego zależało ocalenie lub przelanie krwi. Podobnie jak wszyscy ludzie, dłonie miał czerwone od mordu popełnionego przed powstaniem tego świata. Dzisiaj, jeś li dokona złego wyboru, unurza je ponownie w tej samej krwi.

- Litości!... - jęknął, a po chwili: - Panie, dlaczego ja?... - lecz nie otrzymał odpowiedzi.

To, czego od niego żądano, wciąż jeszcze wydawało mu się niemożliwe. Stopniowo jednak zaszło w nim coś, co przytrafiło mu się dotychczas dwukrotnie w ciągu całego życia: raz, gdy podczas wojny przygotowywał się duchowo do wykonania bardzo niebezpiecznego zadania, ponownie zaś w Londynie, gdy walczył ze sobą by pójść do pewnego człowieka i poczynić przed nim wyjątkowo kłopotliwe wyznanie, którego domagała się sprawiedliwość. W obu wypadkach to, co miał uczynić, zdawało się jawną niemożliwością: wiedział dobrze, że taki człowiek jak on jest do tego psychicznie niezdolny. A jednak po pewnym czasie, bez jakiegokolwiek zauważalnego

wysiłku woli, chłodno i obojętnie, jakby patrzył na tarczę zegara, ujrzał przed sobą niepodważalną prawdę: „Jutro o tej porze uczynisz to, co jest niemożliwe”.

To samo przydarzyło mu się teraz. Nic się nie zmieniło, jego strach, wstyd, miłość, wszystkie argumenty. Groza zadania nie była ani mniejsza, ani większa. Jedyne różnica polegała na pewności - tak niezachwianej, jakby przyszłość należała już do historii - że dokona tego czynu. Mógł błagać, płakać, buntować się, mógł miotać przekleństwa lub pogrążyć się w adoracji, śpiewać hymny jak męczennik lub bluźnić jak opętany przez złego ducha. Nie miało to żadnego znaczenia. Czyn zostanie dokonany. Minie pewien czas i nadejdzie moment, w którym ma się to dokonać. Należący do przyszłości akt jawił się przed nim niemal zatrzymany w czasie, nieodwołalny, jakby już został dokonany. To, że zajmował pozycję, którą nazywamy przeszłością, a nie tę, którą nazywamy przyszłością, było tylko mało znaczącym szczegółem. Całe zmaganie już się zakończyło, choć wciąż brakowało momentu zwycięstwa. Można by to ująć dwojako: albo że wolność wyboru została zawieszona i zastąpiona nieugiętym przeznaczeniem, albo też, że Ransom wyzwolił się z retoryki własnych namietności i osiągnął przestworza nienaruszalnej wolności. On sam nie potrafił, nawet za cenę życia, dostrzec żadnej różnicy między tymi dwoma stwierdzeniami. Predestynacja i wolność stały się jednością. Uczzone wywody na temat ich sprzeczności wydały mu się pozbawione sensu.

Kiedy już pojął, że jutro spróbuje zabić Nie-człowieka, spełnienie tego zamiaru wydało mu się sprawą o wiele mniej trudną. Nie pamiętał już, dlaczego właściwie oskarżał się o megalomanię, kiedy myśl o walce po raz pierwszy zaświtała mu w głowie. To prawda, że gdyby odmówił, sam Maleldil dokonałby czegoś nieporównywalnie większego. W tym sensie zastępował poniekąd Maleldila, ale nie w większym stopniu, niż Ewa zastąpiłaby Go nie jedząc jabłka; podobnie zastępuje Go każdy człowiek dokonujący dobrego czynu. Tak jak nie można porównywać osób, tak nie można porównywać cierpień, chyba że mowa o takim porównaniu jak między kimś, kto sparzy sobie palec gasząc iskrę, a strażakiem, który oddaje życie w walce z pożarem wynikłym z nie zgaszonej w porę iskry. Nie zadawał już sobie pytania: „Dlaczego ja?” Równie dobrze mógł to być ktoś inny. Wybór mógł paść na kogoś innego. Potężne światło, które rozjaśniło ów moment decyzji, padło na wszystko, co go otaczało.

- Pogrążyłem Przeciwnika we śnie - powiedział Głos. - Nie zbudzi się aż do rana. Wstań. Przejdź dwadzieścia kroków w głąb gaju, tam ułóż się do snu. Siostra twoja śpi również.

Rozdział 12

Kiedy nadchodzi z lękiem oczekiwany poranek, budzimy się zwykle od razu, bez pośrednich stanów między snem a jawą. Po nocy spędzonej w głębokim śnie bez marzeń i koszmarów, Ransom otworzył oczy w pełni świadom zadania, jakie miał dzisiaj wypełnić. Był sam. Wyspa kołysała się łagodnie na morzu ani spokojnym, ani burzliwym. Złote światło migocące między wysmukłymi pniami koloru indygo wskazywało kierunek, w jakim znajduje się woda. Poszedł tam i wykąpał się, a potem napił do syta leżąc na brzegu. Przez kilka minut stał w ciepłym słońcu, rozczesując włosy palcami i masując członki. Jego ciało zdążyło się już zmienić przez te kilka dni. Znikł dawny kontrast między opalenizną jednej połowy ciała a blednością drugiej. Gdyby Zielona Pani ujrzała go dziś po raz pierwszy, nie nazwałaby go Łaciatym. Skóra nabrała barwy starej kości słoniowej, a palce u nóg utraciły już swą niezdrową kanciastość, jaką zwykle nadaje im obuwie. Ogólnie rzecz biorąc, miał teraz o sobie, jako ludzkim zwierzęciu, o wiele lepsze mniemanie niż jeszcze kilka dni temu. Był pewien, że to jego ostatni dzień; po nim nie będzie już władał nieokaleczonym ciałem aż do owego wielkiego poranka, jaki nadejdzie kiedyś dla całego wszechświata.

„Kiedy powstanę z martwych na Twe podobieństwo, Panie, będę z siebie zadowolony”, pomyślał.

Poczuł głód i wszedł do lasu, aby znaleźć jakieś owoce. Niespodziewanie natknął się na całą chmurę pękających baniek i przeżył rozkosz równie dojmującą jak wówczas, gdy doświadczył jej po raz pierwszy. Kiedy wynurzył się z orzeźwiającej mgiełki, szedł zupełnie innym krokiem. Miał to być jego ostatni posiłek, lecz nie uważał za stosowne szukać ulubionych owoców. Napotkał purpurowe dynie. „Zupełnie niezłe śniadanie, jak na poranek przed egzekucją”, pomyślał z wisielczym humorem. Odrzucił pustą łupinę i przez chwilę poczuł taką radość, jakby cały świat stał się tanecznym korowodem. „Cokolwiek by się powiedziało i cokolwiek ma się zdarzyć - myślał - warto było. Żyłem przecież w Raju.”

Wszedł nieco głębiej w las i przechodząc przez gęste zarośla omal się nie potknął o ciało pogrążonej we śnie Pani. Nigdy nie sypiała o tej porze dnia, zrozumiał więc, że sprawił to Maleldil. „Nie zobaczę jej więcej”, pomyślał. „Nigdy już nie spojrzę na ciało kobiece w taki sposób, w jaki patrzę na nie w tej chwili.”

Kiedy tak stał patrząc na nią, odczuł bolesną, sierocą tęsknotę za tym, by choć raz ujrzeć Matkę rodzaju ludzkiego w całej jej niewinności i chwale.

- Inne wielkie rzeczy, inne błogosławieństwa, inne radości i uniesienia - mruknął do siebie - ale nie to. Już nigdy. Bóg może zamienić w dobro wszystko, co się wydarzyło. Ale ta strata jest faktem. Nic jej nie odwróci. Popatrzył na nią raz jeszcze i odszedł szybkim krokiem. „Miałem rację”, myślał. „To nie mogło trwać dłużej. Nadszedł czas, żeby z tym skończyć.”

Długo wędrował po całej wyspie, raz po raz zagłębiając się w ciemne, przesycone barwą gąszcze. Przeciwnika nigdzie nie był. Spotkał za to swego starego przyjaciela, smoka, owiniętego wokół pnia drzewa jak wówczas, gdy ujrzał go po raz pierwszy. Lecz tym razem smok spał, podobnie jak jego pani. Dopiero teraz Ransom uprzytomnił sobie, że od czasu przebudzenia do jego uszu nie dochodziło nic prócz jednostajnego szumu morza. Nie słyszał świergotu ptaków, gładkie, lśniące ciała nie przemykały wśród listowia, brązowe oczy nie błyskały spomiędzy zarośli. Wydawało się, iż Pan Bóg pogrążył całą wyspę - a może i cały świat - w głębokim śnie. Przez chwilę opanowało go uczucie osamotnienia, ale natychmiast zastąpiła je ulga na myśl, że żadne wspomnienie krwi i szafu walki nie utrwali się w pamięci tych niewinnych, szczęśliwych istot.

Wędrował tak blisko godzinę, gdy nagle, penetrując niewielką kępę bańkowatych drzew, stanął twarzą w twarz z Nie-człowiekiem. „Czyżby ktoś już go zranił?”, pomyślał na widok splamionej krwią piersi Przeciwnika, lecz rychło dostrzegł, że nie jest to jego krew. W długich, zręcznych szponach Nie-człowieka szamotał się rozpaczliwie ptak, do połowy już oskubany i otwierający dziób w niemym krzyku agonii. Ransom zareagował natychmiast, nie zastanawiając się, co robi. Zapewne obudziło się w nim odległe wspomnienie lekcji boksu w szkole, ponieważ z całej siły wymierzył lewy prosty w szczękę przeciwnika. Zapomniał jednak, że nie walczy w rękawicach. Cios niemal sparaliżował mu ramię, a knykcie przeszył ostry ból, jakby sobie pogruchotał kości. Oszołomiony stał przez moment bez ruchu, co pozwoliło Przeciwnikowi cofnąć się o kilka kroków. On również odczuł boleśnie pierwszy smak starcia. Niewątpliwie przygryzł sobie język, bo kiedy spróbował przemówić, na jego ustach pojawiła się krwawa piana. Ptaka jednak nie puścił.

- A więc teraz chcesz spróbować siły? - powiedział po angielsku ochryplym głosem.

- Puść tego ptaka - warknął Ransom.

- To bardzo głupie - rzekł Nie-człowiek. - Czy nie wiesz, kim jestem?

- Wiem, *czym* jesteś - odparł Ransom. - I nie obchodzi mnie, którym z nich.

- I wyobrażasz sobie, mój mały, że możesz ze mną walczyć? A może sądzisz, że On ci pomoże? Wielu tak myślało. Ale ja znam Go dłużej niż ty, mój mały. Wszyscy się łudzą, że On pospieszy im z pomocą, a nabierają rozsądku i skamlą o zmiłowanie dopiero wówczas, gdy już jest za późno, gdy płoną w ogniu, gniją w obozach koncentracyjnych, wiją się na torturach, miotają w domach dla obłąkanych lub skarżą, przybici do krzyża. A czy On sam sobie pomógł?

I nagle odrzucił głowę do tyłu, jak wilk, i zawył głosem, który zdawał się rozdzierać złotą kopułę niebios:

- *Eli, Eli, lamma sabachtani!*...

Ransom był pewien, że usłyszał bezbłędny język aramejski z pierwszego stulecia. Nie-człowiek nie cytował, lecz *wspominał*. To były słowa wypowiedziane na Krzyżu, przechowywane przez wszystkie te lata w udręczonej nienawiścią pamięci tej potępionej istoty, która musiała je słyszeć, a teraz wyrzucała z siebie w ohydnej parodii.

Poczuł gwałtowne mdłości. Nim zdążył przyjść do siebie, Nie-człowiek rzucił się na niego, wyjąc jak zawierucha, ze zjezonymi włosami, z oczami otwartymi tak szeroko, jakby w ogóle nie miał powiek. Zwarł się z Ransomem pierś w pierś, otaczając go żelaznym uściskiem ramion, a jego pazury zaczęły mu wydierać z pleców płaty żywego mięsa. Uwięziony w tym uścisku, Ransom szamotał się dziko, lecz nie mógł zadać ciosu. Zdołał wykręcić głowę i wgrzyzł się głęboko w mięśnie prawego przedramienia Przeciwnika. Zrazu nie przyniosło to skutku, ale kiedy sięgnął zębami głębiej, tamten zawył, przez chwilę próbował jeszcze mocniej zacisnąć uchwyt, a potem nagle opuścił ramiona i potoczył nieprzytomnym spojrzeniem. Ransom wykorzystał ten moment i zasypał go gradem mocnych ciosów wymierzonych w okolice serca. Słyszał, jak tamten stęka i po każdym uderzeniu wyrzuca z siebie gwałtownie powietrze, lecz po chwili znów wyciągnął ku niemu ramiona z zakrzywionymi jak szpony palcami. Nie chciał walczyć na pięści, chciał dusić i szarpać. Ransom odtrącił jego prawe ramię i zachwiał się, oszołomiony straszliwym wstrząsem, jaki spowodowało zderzenie kości, lecz natychmiast odzyskał równowagę i wymierzył celny cios w podbródek. Niemal w tej samej chwili ostre pazury rozorały mu prawe ramię. Instynktownie wyciągnął ramiona i bardziej dzięki szczęściu niż zręczności uchwycił Przeciwnika za przeguby obu rąk.

Tego, co nastąpiło w ciągu najbliższej minuty, żaden widz nie nazwałby walką. Nie-człowiek wyteżał wszystkie siły, jakie mógł znaleźć w ciele Westona, by oswobodzić ręce, a Ransom z równą determinacją starał się ani na chwilę nie zwolnić uścisku. Widocznym skutkiem tego

wysiłku, od którego po plecach walczących spływały strumyki potu, były jedynie powolne i na pozór niedbałe, a nawet bezcelowe ruchy dwóch par rąk. Żaden nie mógł ugodzić drugiego. Nie-człowiek wyciągał głowę próbując gryźć, lecz Ransom wytrzymał wszystkie siły i trzymał go na odległość wyciągniętych ramion. Mogło się wydawać, że będzie to trwało bez końca.

Nagle Nie-człowiek wyrzucił do przodu nogę i podciął od tyłu kolano Ransoma, ten zaś z trudem utrzymał równowagę. Ruchy walczących stały się szybsze i bardziej chaotyczne. Z kolei Ransom próbował podstawić Przeciwnikowi nogę, a gdy mu się nie powiodło, zaczął wypychać jego lewe ramię do tyłu, chcąc je wyłamać lub przynajmniej zwichnąć. Musiał jednak przy tym osłabić swój uścisk na drugim przegubie i w końcu tamtemu udało się oswobodzić prawą rękę. Ransom zdążył zamknąć oczy, zanim ostre paznokcie rozdarły mu policzek. Ból kazał mu przerwać bombardowanie żeber Przeciwnika wolną lewą ręką. W chwilę później - nie miał pojęcia, jak do tego doszło - stali o kilka kroków od siebie, dysząc ciężko i mierząc się spojrzeniami.

Obaj wyglądali żałośnie. Ransom nie widział własnych ran, ale czuł, że cały ocieka krwią. Wróg ledwo otwierał oczy, a ciab, tam gdzie go nie osłaniały strzępy koszuli Westona, pokryte miał sinymi obrzękami, które szybko ciemniały i puchły. Ten widok, wraz z ciężkim oddechem Przeciwnika i próbą sił podczas ich zapasów, całkowicie odmienił nastrój Ransoma. Ze zdziwieniem stwierdził, że Nie-człowiek nie jest tak silny, jak się spodziewał. Nieco wbrew zdrowemu rozsądkowi oczekiwał jakiejś nadludzkiej, diabelskiej siły, twardych jak stal ramion, których pochwycenie jest równie niemożliwe, co zatrzymanie śmigieł samolotu. Teraz wiedział już, że Nie-człowiek dysponuje jedynie siłą Westona. Z fizycznego punktu widzenia walczyło ze sobą dwu naukowców w średnim wieku. Weston był potężniej zbudowany, lecz otyły, jego ciało źle znosiło ciosy. Ransom był bardziej zwinny i nie miał takich trudności z oddechem. Niedawna pewność śmierci wydawała mu się teraz śmieszna. Szanse były wyrównane. Mógł zwyciężyć - i ocalić życie.

Tym razem to Ransom zaatakował pierwszy. Druga próba sił miała przebieg podobny do pierwszej. Ilekroć zdołał użyć pięści, uzyskiwał przewagę, lecz gdy dosięgały go zęby i pazury Przeciwnika, przegrywał. Nawet w najgorętszych momentach zachowywał jasność umysłu. Wiedział, że ostateczny wynik walki zależy tylko od rozstrzygnięcia prostej sprawy: czy utrata krwi obezwładni go wcześniej, niż potężne ciosy w serce i nerki zmogą Przeciwnika.

Bujny świat wokół nich pogrążony był w uśpieniu. W tej walce nie było prawideł, rozjemców i widzów; samo wyczerpanie, raz po raz zmuszające ich do odpadnięcia od siebie, dzieliło ten groteskowy pojedynek na precyzyjnie odmierzane rundy. Po jakimś czasie nie potrafił już sobie uprzytomnić, ile tych rund był. Starcia przypominały nawroty szału, a pragnienie stanowiło mękę dotkliwszą niż najboleśniejsze ciosy. Niekiedy tarzali się po ziemi. Raz udało mu się sięść okrakiem na piersi Przeciwnika; w porywie triumfu zacisnął palce na jego szyi i - ku swemu własnemu zaskoczeniu - wykrzykiwał jakiś ustęp z *Pieśni o bitwie pod Maldon*. Lecz Przeciwnik tak długo orał mu szponami ramiona i walił kolanami w plecy, że musiał ulec, nie zdoławszy zdławić jego oporu.

Zapamiętał - jak się pamięta wysepkę świadomości w mglistym oceanie narkozy - że atakując Nie-człowieka, jak mu się zdawało, po raz tysięczny, wiedział wyraźnie, że nie wytrwa już długo. Pamiętał, że spojrzawszy na Przeciwnika, ujrzał przez chwilę nie ciało Westona, lecz małą i natychmiast zrozumiał, że to delirium. Zachwiał się, lecz po chwili ogarnęło go uczucie, jakiego nie zaznał chyba żaden prawy człowiek w naszym świecie: potężny nurt niczym nie zakłóconej, usprawiedliwionej nienawiści. Nigdy przedtem nie poddawał się nienawiści bez poczucia winy, bez niejasnego samooskarżenia, że przestaje rozróżniać między grzesznikiem i grzechem. Teraz energia nienawiści wezbrała w jego rękach i nogach, aż poczuł, iż stały się kolumnami wrzącej krwi. To, co

miał przed sobą, przestało być istotą o skażonej woli, stało się samym zepsuciem, które wolą posługiwało się jedynie jako narzędziem. Tak, było Osobą przed wiekami wieków, lecz teraz żalosne szczątki osobowości przetrwały w nim tylko jako oręż na usługach oszalonej negacji, skazanej przez samą siebie na wygnanie. Zapewne trudno zrozumieć, dlaczego nappełniło to Ransoma nie zgrozą, lecz rodzajem radości. Jej źródłem było odkrycie, po co została stworzona nienawiść. Cieszył się z idealnej zgodności między swym uczuciem a jego przedmiotem, podobnie jak cieszy się chłopiec z siekierą, gdy napotka drzewo, lub chłopiec z pudełkiem kolorowych kredek, gdy znajdzie plik czystych kartek.

Krwawił i drżał z wyczerpania, a jednak czuł, że teraz stać go na wszystko. Kiedy rzucił się na tę żyjącą Śmierć, tę odwieczną Niewymierną w matematyce wszechświata, zdumiała go własna siła (choć gdzieś głęboko był jej zawsze pewien). Jego ramiona poruszały się szybciej niż myśli, pięści same pokazywały, czego potrafią dokonać. Czuł, jak pękają żebra Przeciwnika, słyszał chrzęst gruchotanej szczęki. Całe ciało Westona zdawało się trzeszczeć i rozpadać pod jego ciosami. Ból, jakim nabrzmiewało jego własne ciało rozdzierane pazurami rozpaczliwie broniącego się wroga, przestał się liczyć. Czuł, że mógłby tak walczyć i nienawidzić przez cały rok.

Nagle uprzytomnił sobie, że jego ciosy trafiają w powietrze. Był w takim stanie, że w pierwszej chwili nie pojął, co się stało, nie potrafił uwierzyć, że walka jest skończona. Chwila oszołomienia pozwoliła Nie-człowiekowi oderwać się od niego. Ransom zdążył przyjść do siebie akurat w porę by ujrzeć, jak tamten znika w zaroślach, powłóczęg niezdarnie nogami i skomląc jak zbity pies. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie. Ransom rzucił się za nim. Na kilka sekund stracił go z oczu między pniami drzew, potem zobaczył znowu, lecz mimo iż biegł ile sił w nogach, nie mógł zmniejszyć dzielącego ich dystansu.

Rozpoczął się niesamowity pościg przez cieniste gaje i jasne polany, przez falujące łagodnie grzbiety i doliny. Minęli owiniętego wokół pnia smoka, minęli Zieloną Panią, śpiącą z uśmiechem na twarzy. Przebiegając koło niej, Nie-człowiek pochylał się nisko i wyciągnął lewą rękę z zakrzywionymi pazurami. Niewątpliwie chciał rozedrzeć jej ciało, ale widząc, że Ransom jest już blisko, zrezygnował w ostatniej chwili, nie chcąc ryzykować zwłoki. Minęli stado wielkich, pomarańczowych ptaków pogrążonych w głębokim śnie, każdy na jednej nodze, z głową ukrytą pod skrzydłem, tak że wyglądały jak kępa uroczyстых, kwitnących krzewów. Przebiegli przez polanę, na której pary i rodziny żółtych kangurów leżały nieruchomo na grzbietach, z zamkniętymi oczami i krótkimi przednimi łapkami złożonymi na piersiach, jak rzeźby krzyżowców na średniowiecznych sarkofagach. Pochyleni nisko przemknęli pod gałęziami ugiętymi pod świnkami drzewnymi, pochrapującymi cichutko i beztrosko jak śpiące dzieci. Przedarli się przez gąszcz bańkowych drzew, zapominając przez chwilę o zmęczeniu.

Wyspa była rozległa. Wybiegli z lasu i przemknęli przez szafranowe i srebrne łąki, tonąc czasem po kostki, a czasem po pas w chłodnych i ostro pachnących ziołach. Zbiegli po zboczach ku innym lasom, najpierw ukrytych na dnie tajemniczych parowów, a potem - gdy już się do nich zbliżali - ulatujących w górę, by zwieńczyć szczyty samotnych wzgórz.

Nie mógł doścignąć Przeciwnika. Zdumiewało, że istota tak okaleczona, jak wskazywały na to jej chwiejne kroki, potrafi utrzymać takie tempo. Jeśli miał zwichniętą kostkę, jak podejrzewał Ransom, każdy krok musiał mu sprawiać nieopisaną mękę. A potem przyszła mu do głowy okropna myśl: a może Nie-człowiek w jakiś sposób obarcza tym bólem resztki świadomości Westona tłące się jeszcze w jego ciele? Podejrzanie, że to coś, co niegdyś należało do rodzaju ludzkiego i wykarmione zostało piersią kobiety, może być obecnie uwięzione w ściganej przez niego istocie, zdwoiło jego nienawiść. Takiej nienawiści nigdy dotąd nie zaznał: pomnażała jego siły.

Kiedy wybiegli z czwartego z kolei lasu, ujrzał przed sobą morze, odległe o jakieś dwadzieścia metrów. Nie-człowiek pędził dalej przed siebie, jakby nie dostrzegał różnicy między lądem a wodą. Rzucił się w nią z głośnym pluskiem. Ransom śledził jego głowę ciemniejącą na tle miedzianego morza, czując narastającą radość zwycięstwa, bo pływanie było jedynym sportem, w którym zawsze osiągał znakomite wyniki. Skoczył do wody i na chwilę stracił go z oczu. Potem, gdy wynurzył głowę i otrząsnął z twarzy mokre, bardzo już długie włosy, ujrzał jego całe ciało wystające pionowo nad falą, jakby na czymś siedział. Spojrzał raz jeszcze i zrozumiał, że Nie-człowiek dosiadł ryby. Najwidoczniej czarodziejski sen ogarnął jedynie wyspę, ponieważ natychmiast rozwinął znaczną szybkość. Nie miał wątpliwości, że Przeciwnik dysponuje bogatym repertuarem pomysłów, by zmusić zwierzę do zwiększenia tempa.

Przez chwilę owładnęła nim rozpacz, bo zapomniał o naturalnej sympatii, jaką darzą ludzi owe konie morskie. Spozrzegł, że otacza go cała ławica tych stworzeń, wyskakujących nad powierzchnię i uwijających się wokół, jakby chciały zwrócić jego uwagę. Mimo obustronnej dobrej woli, nielatwo było wspiąć się na śliski grzbiet wspaniałego okazu - pierwszego, jakiego dosięgnął rękami. Gdy próbował go dosiąść, odległość między nim a zbiegiem znacznie się powiększyła. Ale w końcu mu się udało. Usadowił się tuż za wielkim łbem o wyłupiastych oczach, ścisnął grzbiet ryby kolanami, uderzył piętami w jej boki, wyszeptał kilka słów pochwały i zachęty - jednym słowem uczynił wszystko, co potrafił by pobudzić jej wigor. Morski wierzchowiec ruszył naprzód, pozostawiając za sobą smugę piany.

Spojrząwszy przed siebie, Ransom nie dostrzegł jednak Nie-człowieka. Zapewne zasłonił go długi grzbiet kolejnej fali. Lecz wkrótce odetchnął z ulgą: nie musiał się martwić o kierunek pościgu. Wodne zboczce mieniło się wielkimi rybami, które pruły fale znacząc je wirami żółtej piany: niektóre wyskakiwały raz po raz nad powierzchnię. Uciekinier nie wziął widocznie pod uwagę instynktu, nakazującego tym stworzeniom podążyć za każdym ze swych towarzyszy, którego dosiadał człowiek. Całe stado płynęło szybko naprzód, tak pewne właściwego kierunku, jak wracające do swych gniazd ptaki lub psy gończe na tropie.

Kiedy wzniósł się na szczyt fali, zobaczył przed sobą rozległą nieckę wodną, której kształt przywodził na myśl angielskie doliny. W dali, tuż pod przeciwległym zboczem, ciemniała maleńka, podobna do kukielki sylwetka Nie-człowieka, a pomiędzy nimi cała ławica ryb rozciągnęła się w trzy lub cztery rzędy. Nie bał się już, że utraci kontakt z Przeciwnikiem. Ransom polowała na niego ze sforą ryb, a te z pewnością nie zaniechają pościgu. Roześmiał się na głos i ryknął:

Me psy wywodzą się z rasy spartańskiej O długich pyskach i sierś ci piaskowej! [W. Szekspir, *Sen nocy letniej* Akt IV, scena 1. Przekład M. Słomczyńskiego (przyp. tłum.).]

Po raz pierwszy dotarł do niego naprawdę ten błogosławiony fakt, że nie musi już walczyć, nie musi nawet stać o własnych siłach. Spróbował przyjąć wygodniejszą pozycję i aż go poderwało w górę od przeszywającego bólu w plecach. Bezmyślnie sięgnął ręką do łopatki i omal nie zawył, urażony dotknięciem własnych palców: plecy musiały być jedną wielką masą krwawych, pozlepianych strzępów. Jednocześnie odkrył, że stracił ząb i skórę na knykciach, a pod piekącą powierzchnią całe ciało, od stóp do głowy, przeszywają jakieś dziwne, głębsze i bardziej złowieszcze bóle. Nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak bardzo jest poraniony i udręczony.

Potem przypomniał sobie o pragnieniu. Ponieważ ochłonął już i zeszytniał, dosięgnięcie umykającej chyżo wody okazało się bardzo trudne. Najpierw chciał pochylić się nisko i zanurzyć twarz w chłodnej fali, lecz pierwsza próba wyleczyła go z tego pomysłu. Nie mając wyboru, czerpał wodę dłońmi, ale nawet te ruchy wymagały dużej ostrożności i wywoływały liczne syknięcia i jęki. Po wielu minutach mąk zdołał wypić łyk, będący kpina z jego pragnienia. Zaspokoił je dopiero po pół godzinie splotu trudnych do opisania cierpień i obłąkańczej rozkoszy. Jeszcze nigdy nic nie

smakowało mu tak, jak woda zdobywana w takim bđu. Kiedy napił się do syta, czerpał ją nadal i opryskiwał ciało. Byłyby to najszczęśliwsze chwile jego życia, gdyby tylko piekące rany na plecach nie dokuczały coraz bardziej. Zaczął się poważnie obawiać, że mogą być zatrute jakimś jadem. Nieznośny ból sprawiał mu też każdy ruch nóg, którymi ścisnął boki ryby. Od czasu do czasu robiło mu się ciemno przed oczami i czuł, że grozi mu utrata przytomności. Powtarzał sobie w myślach: „Wytrwam! Wytrwam!”, wlepił oczy w najbliższe ryby lub fale i starał się myśleć o prostych, zwyczajnych sprawach, byle tylko zachować świadomość.

Przez cały czas Nie-człowiek mknął przed nim na swojej rybie, to wspinając się na grzbiety wodnych wzgórz, to opadając w ciemne doliny. Ławica ryb płynęła za nim wytrwale, a Ransom na swym wierzchowcu podążał za rybami. Było ich coraz więcej, jakby pogoń napotykała nowe ławice i porywała je za sobą jak śnieżna lawina. Pojawiły się też inne stworzenia: ptaki o długich szyjach, przypominające łabędzie. Nie potrafił określić ich barwy, bo na tle nieba wydawały się czarne. Z początku zataczały nad nimi koła, później uformowały się w długie, proste klucze i przyłączyły do pościgu za Nie-człowiekiem. Raz po raz rozbrzmiewały ich dzikie, rodzące poczucie osamotnienia krzyki, przeraźliwie obce wszystkiemu, co ludzkie.

Przez wiele godzin nie widział żadnego ładu. Fantastyczny pościg mknął przez prawdziwy perelandryjski ocean, wodne pustkowia, jakiego Ransom jeszcze nie widział od wylądowania na planecie. W uszach dźwięczał mu wciąż szum fal, nozdrza wypełniał zapach, równie nieomylny i przenikliwy jak zapach ziemskich oceanów, choć tak inny przez swą złotą słodycz i bogate ciepło. Wszystko było dzikie i obce, lecz nie wrogie. Wrogość jest rodzajem relacji i wróg nie może być kimś całkowicie obcym. Przyszło mu do głowy, że właściwie nic nie wie o tym dziwnym świecie. Niewątpliwie kiedyś zaludnił się potomkami Króla i Królowej. Ale te wszystkie miliony lat pustej przeszłości, wszystkie niezliczone mile roześmianej wody, samotnej teraźniejszości... Czyżby istniały tylko dla siebie? To dziwne, że właśnie on, któremu na Ziemi widok lasu lub porannego nieba starczał nieraz za posiłek, musiał przybyć aż na obcą planetę, aby zrozumieć, że Przyroda może istnieć dla samej siebie.

Ze wszystkich stron otoczył go i wchłonał rozproszony, niezgłębiony sens, ukryta, lecz samoistna natura, właściwa zarówno Ziemi, jak i Perelandrze od czasu, gdy oderwały się od Słońca, i w pewnym sensie zniszczona wraz z pojawieniem się zdobywczej ludzkości. W pewnym sensie, bo teraz wiedział już, że w innym sensie ta natura, to ukryte znaczenie sąniezniszczalne, są wciąż obecne, a tu, na Perelandrze, mogą zaśnić pełnym blaskiem nawet po narodzinach rozumnego gatunku.

Rozdział 13

Ciemność zapadła nad falami tak nagle, jakby się wylała z butelki. Gdy tylko barwy i odległości znikły, dźwięk i ból stały się jeszcze bardziej dojmujące. Świat został zredukowany do tępego bólu i nagłych, przesywających ukłuc, do uderzeń rybich płetw i nieskończonego bogactwa odgłosów morza.

Ransom ocknął się, gdy już prawie spadał z grzbietu ryby. Z trudem powrócił do dawnej pozycji i zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie spał od dłuższego czasu. Łatwo było przewidzieć, że takie zagrożenie może się powtórzyć. Po namyśle wysunął się ostrożnie z wąskiego zagłębienia za głową ryby i wyciągnął całe ciało wzdłuż jej grzbietu, obejmując rękami i nogami śliskie boki. Miał nadzieję, że dzięki temu utrzyma się na swym wierzchołku nawet we śnie. Nie potrafił zresztą wymyślić nic lepszego. Po chwili odczuł w całym ciele dziwną wibrację, wywołaną ruchami mięśni ryby. Dawało mu to złudzenie uczestnictwa w mocnym, zwierzęcym życiu, jakby sam stawał się rybą.

Musiało upłynąć wiele czasu, gdy nagle uświadomił sobie, że patrzy na coś podobnego do ludzkiej twarzy. Powinien się przestraszyć, lecz - jak to czasem bywa we śnie - nie odczuwał lęku. Była to niebieskawozielona twarz, wyraźnie świecąca własnym światłem. Oczy, znacznie większe od ludzkich, nadawały jej wygląd złośliwego skrzata. Frędzle pokarbowanych błon przypominały bokobrody. Doznał wstrząsu, gdy wreszcie pojął, że to nie sen. Oto obolały i słaby leży wciąż na grzbiecie ryby płynącej przez ciemność, a ta twarz należy do czegoś, co rzeczywiście płynie obok niego. Przypomnił sobie widziane już w głębinach tego morza wodniki i trytony. Nie bał się wcale i podejrzewał, że dziwny mieszkaniec morza na jego widok czuje to samo: niepokojące, choć pozbawione wrogości zdziwienie. Nie łączyło ich nic: spotkali się jak gałęzie dwu różnych drzew, gdy połączy je wichura.

Dźwignął ciało i ponownie usiadł. Spostrzegł, że ciemności nie są już tak nieprzeniknione. Jego ryba i dziwne stworzenie o ludzkiej twarzy skąpane były w fosforyzującej poświacie. Wokoło migotały inne plamy i smugi niebieskawego światła. Z kształtów owych plam mógł się domyślić, które są rybami, a które wodnikami. Ich ruchy wyznaczały kontury fal i dawały pewne pojęcie perspektywy w bezwymiarowej dotąd nocy. Wkrótce zauważył, że część z płynących w pobliżu wodnych stworzeń niewątpliwie żeruje. Błoniastymi, zabimi rękami wyławiały z wody coś ciemnego i pochłaniały to żarłocznie. Gdy żuły pokarm, z ust zwisały im włókniste, krzaczaste strzępy, przypominające wasy.

Ransom chętnie nawiązywał kontakt ze wszystkimi spotykanymi na Perelandrze zwierzętami, lecz - rzecz zastanawiająca - ani on nie myślał o próbie porozumienia się z wodnikami, ani one nie wykazywały na to ochoty. W przeciwieństwie do innych stworzeń, nie wyglądały na naturalnych poddanych człowieka. Odniósł wrażenie, że po prostu dzielą z nim planetę, tak jak owce i konie dzielą między sobą jedno pastwisko ignorując się wzajemnie. W przyszłości ten problem miał jeszcze niepokoić jego umysł, ale teraz zajęty był bardziej praktyczną sprawą. Widok żerujących wodników przypomniawszy mu o głodzie i zaczął się zastanawiać, czy ich pokarm nie byłby jadalny i dla niego. Długo przebierał palcami w wodzie, zanim zdołał schwytać garść ciemnej masy przypominającej jeden z ziemskich gatunków wodorostów. Oślizgłe i łykowate ziele pokrywały pęcherzyki, pękające przy lekkim naciśnięciu. Smaku nie potrafił później opisać, zauważył tylko, że nie były słone, jak morskie wodorosty na Ziemi. Warto pamiętać, że podczas całego pobytu na Perelandrze zmysł smaku dawał mu coś więcej niż na Ziemi: nie tylko przyjemność, ale i wiedzę, chociaż wiedza ta nie zawsze dawała się ująć w słowa. Gdy tylko przełknął kilka kęsów wodorostów, poczuł, że w jego świadomości zachodzą dziwne zmiany. Wydawało mu się, że

powierzchnia morza jest dachem tego świata; myślał o pływających wyspach tak jak my o obłokach; oczami wyobraźni widział je z dołu jako włókniste maty z długimi, zwisającymi serpentynami. To, że mógł kiedyś chodzić po ich górnej powierzchni, zdawało mu się teraz prawdziwym cudem lub baśnią. Wspomnienie Zielonej Pani, jej przyszłego potomstwa i w ogóle wszystkie problemy zaprzatające go od momentu wylądowania na Perelandrze, stopniowo bledły w jego umyśle jak bledną sny po przebudzeniu; ich miejsce zaczął powoli zajmować świat nowych problemów i wzruszeń, których nie potrafił nazwać. Przeraził się. Mimo głodu odrzucił resztę ziela.

Musiał znowu zasnąć, bo następna scena, jaką zapamiętał, miała miejsce już w świetle dnia. W dali przed sobą widział wciąż Nie-człowieka, a dzielącą ich przestrzeń znaczyły smugi ryb. Ptaki zrezygnowały z pościgu. Nagle dotarł do niego prozaiczny sens sytuacji, w jakiej się znalazł. Wnosząc z jego doświadczenia, w rozumowaniu człowieka po przybyciu na obcą planetę pojawia się dziwna wada: z początku zupełnie zapomina o rozmiarach nowego świata. W porównaniu z dystansem, jaki musiał pokonać w podróży kosmicznej, planeta wydaje mu się tak mała, że wszelkie odległości na niej przestają się liczyć. Dwa różne miejsca położone gdzieś na Marsie czy na Wenus przybysz traktuje tak jak dwa punkty w jednym mieście. Lecz teraz, gdy Ransom rozejrzył się raz jeszcze dookoła i nie zobaczył nic prócz złotego nieba i rozhuśtanych fal, zrozumiał niedorzeczność takiego złudzenia. Nawet gdyby na Perelandrze istniały kontynenty, mógł być oddalony od najbliższego z nich o całą szerokość Pacyfiku albo jeszcze bardziej. Gdyby istniały - a przecież nie miał żadnych podstaw, by sądzić, że istnieją. Co więcej, nie miał też podstaw, by przypuszczać, że pływające wyspy są liczne lub równomiernie rozmieszczone na całej powierzchni planety. Nawet gdyby taki roztańczony archipelag zajmował z tysiąc mil kwadratowych, czyż nie byłby tylko znikomą plamką na bezkresnym oceanie, oblewającym glob niewiele mniejszy od Ziemi? Niebawem jego ryba musi się zmęczyć. Już teraz zdawało mu się, że płynie wolniej niż na początku. Oczywiście Nie-człowiek będzie torturował swojego wierzchowca, zmuszając go do ruchu, dopóki nie padnie. I oczywiście on, Ransom, nie mógłby tego zrobić.

Tak rozmyślając, spojrzął przed siebie i ujrzał coś, co zmroziło mu serce. Jedna z ryb powoli odłączyła od swojego rzędu, wyrzuciła z siebie mały słup piany, dała nurka i wypłynęła kilka metrów dalej, wyraźnie dryfując. Po kilku minutach znikła z pola widzenia. Najwidoczniej miała już dosyć.

Teraz szturm na jego wiarę podjęły przeżycia minionego dnia i nocy. Bezkres oceanu, a jeszcze bardziej wrażenia, jakich doznał po skosztowaniu wodorostów, zbudziły w nim wątpliwości, czy ten świat rzeczywiście należy do tych dwojga, którzy nazywają siebie Królem i Królową. Jak mógł być dla nich stworzony, skoro w większości nie nadaje się do zamieszkania przez ludzi? Czy nie jest to pogląd w najwyższym stopniu naiwny i antropomorficzny? A ów wielki zakaz, od którego jakby tak wiele zależy, czy naprawdę jest tak ważny? Co może obchodzić te szumiące fale, uwieńczone żółtą pianą, lub stworzenia zamieszkujące ich głębie, czy dwie drobne istoty osiedlą się czy nie osiedlą na określonej skale, oddalonej stąd o setki mil?

Czy rzeczywiście ma głębsze znaczenie paralelizm między scenami, jakich był niedawno świadkiem, a tymi opisanymi w Księdze Rodzaju - paralelizm, który uprzednio dawał mu poczucie poznawania doświadczalnie czegoś, w co inni ludzie mogą tylko wierzyć? Czego bowiem na pewno dowodzi? Jedynie tego, że podobne irracjonalne tabu towarzyszy brzaskowi rozumu na dwu różnych planetach. Opowieść o Maleldilu jest z całą pewnością bardzo piękna i wzniosła, ale gdzie jest ów Maleldil w tej chwili? Jeśli ten bezkresny ocean mówi cokolwiek, to z pewnością cię coś zgoła innego. Podobnie jak wszystkie bezludne przestrzenie, również i ta wodna pustynia jest nawiedzona, ale wcale nie przez antropomorficzne bóstwo, lecz raczej przez całkowicie nieodgadnioną rzeczywistość, dla której człowiek ze swym życiem pozostanie na zawsze obojętny.

A poza tym oceanem jest tylko przestrzeń kosmiczna. Daremnie próbował sobie przypomnieć, że był w tej „przestrzeni” i odkrył, iż jest Niebiosami kipiącymi pełnią życia, dla którego nawet nieskończoność nie byłaby ani o cal sześciennej zbyt wielka.

Wszystko to wydawało mu się teraz snem. Coraz bardziej pochłaniał go przeciwny nurt myśli, z którego kiedyś tak często szydził, nazywając go Upiorem Empiryzmu; ów wielki mit naszego wieku z jego gazami i galaktykami, latami świetlnymi i ewolucją, z koszmarnymi perspektywami zwykłej arytmetyki, dzięki której wszystko, co może mieć jakieś znaczenie dla ludzkiego umysłu, staje się jedynie produktem ubocznym powszechnego chaosu. Dotychczas Ransom zawsze lekceważył ów świat, traktował z pewną pogardą jego płaskie superlatywy, jego błazeńską satysfakcją z faktu, że różne rzeczy muszą mieć różne rozmiary, jego gładką potoczystość cyfr. Nawet teraz jego rozum nie poddał się całkowicie, chociaż serce nie chciało już słuchać rozumu. Jakaś część jego osobowości wciąż wiedziała, że rozmiary są najmniej ważną cechą rzeczy, że materialny wszechświat zawdzięcza swój majestat mitotwórczej mocy i zdolności do porównań - ten właśnie majestat, przed którym on, Ransom, ma się teraz ukorzyć. Wiedział, że same cyfry nie są w stanie napawać nas lękiem, dopóki nie udzielimy im ze swoich własnych zasobów takiej grozy, jakiej one same nigdy nie mogą nabyć, podobnie jak nie ma jej bankierska księga rachunkowa. Ale ta wiedza była teraz czystą abstrakcją, nad którą wzięła górę samotność i wielkość bezkresnego oceanu.

Z rozmyślań wyrwało go coś, czego się najmniej spodziewał: dźwięk ludzkiego głosu. Spozrzegł, że wszystkie ryby zniknęły, jego własna porusza się leniwie, a zaledwie kilka metrów od siebie ujrzał Nie-człowieka. Już nie uciekał, lecz powoli zbliżał się do niego, skulony, z oczami zapuchniętymi od ciosów, ze skórą koloru wątroby, z nogą wyraźnie złamaną i ustami wykrzywionymi od bólu.

- Ransom... - rozległ się słaby głos.

Ransom milczał. Nie zamierzał go zachęcać do podjęcia nowej rozgrywki.

- Ransom - powtórzył zdławiony głos. - Na miłość boską, odezwij się.

Spojrzał na Przeciwnika zaskoczony i zobaczył łzy spływające mu po policzkach.

- Och, Ransom, nie odtrącaj mnie. Powiedz, co się stało? Co oni z nami zrobili? Ty... ty cały krwawisz. Ja mam złamaną nogę... - głos załamał się w szlochu.

- Kim jesteś? - zapytał Ransom szorstko.

- Och, nie udawaj, że mnie nie znasz - wymamrotał głos Westona. - Jestem Weston. A ty jesteś Ransom. Elwin Ransom z Cambridge, filolog. Wiem, trochę się pokłóciliśmy. Bardzo mi przykro. Przyznaję, że to moja wina. Ransom, chyba nie pozwolisz mi zdechnąć w tym okropnym miejscu?

- Gdzie nauczyłeś się aramejskiego? - zapytał Ransom, nie spuszczać go z oczu.

- Aramejskiego? O czym ty mówisz? Chyba nie godzi się kpić z umierającego.

- I naprawdę jesteś Westonem? - zapytał Ransom, zaczynając wierzyć w powrót profesora.

- A kim miałbym być? - głos był na granicy płaczu, ale pojawiła się w nim nuta rozżalonego zniecierpliwienia.

- Gdzie byłeś?

Weston - jeśli to był Weston - wzdrygnął się.

- A gdzie teraz jesteście? - zapytał.

- Na Perelandrze... czyli na Wenus. Ale o tym przecież wiesz.

- Czy odnalazłeś statek kosmiczny?

- Widziałem go tylko raz i to z daleka. Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz. Z tego, co wiem, wynika, że co najmniej parę setek mil stąd.

- A więc jesteście w pułapce? - głos Westona przypominał skomlenie zbitego psa. Ransom nic

nie odpowiedział, a tamten zwiesił głowę i rozplakał się jak dziecko.

- Posłuchaj - rzekł Ransom w końcu - nie ma sensu robić z tego tragedii. Do licha, przecieżna Ziemi mogło być z tobą gorzej. Pamiętaj, że tam jest wojna. Może w tej chwili Niemcy bombardują Londyn. - A widząc, że profesor wciąż płacze, dodał: - Weź się w garść, chłopie. W końcu to tylko śmierć. Przecież wiesz, że każdy musi kiedyś umrzeć. Nie zabraknie nam wody, a głód - bez pragnienia - nie jest taki straszny. A co do utonięcia... no cóż, rana od bagnetu lub rak, to chyba gorsze?...

- Czy chcesz powiedzieć, że zamierzasz mnie tu zostawić? - zapytał Weston.

- Nie mogę, nawet gdybym chciał - odparł Ransom. - Czy nie zauważyłeś, że jestem w takiej samej sytuacji?

- Obiecuj, że nie odejdziesz i nie porzucisz mnie na pastwę losu.

- Dobrze, przyrzekam ci to, jeśli chcesz. Dokąd miałbym odejść?

Weston rozejrzył się powoli dookoła, a potem skierował swoją rybę nieco bliżej Ransoma.

- Gdzie jest... no wiesz? - zapytał szeptem i wykonał jakiś bezsensowny gest.

- Takie samo pytanie mógłbym zadać tobie.

- Mnie? - Weston miał tak zniekształconą twarz, że trudno było odczytać jej wyraz.

- Czy nie pamiętasz, co się z tobą działo w ciągu ostatnich kilku dni? - zapytał Ransom.

Weston znowu rozejrzył się wokół z niepokojem.

- To wszystko prawda - powiedział w końcu.

- Co jest prawdą?

- Dobrze ci gadać! - warknął Weston w nagłym wybuchu wściekłości. - Utopienie nie boli, śmierć tak czy owak nadejdzie. Co za brednie! Co ty możesz wiedzieć o śmierci? Mówię ci, to wszystko prawda.

- O czym ty właściwie mówisz?

- Przez całe życie nabijałem sobie głowę różnymi nonsensami. Próbowałem przekonać sam siebie, że tym, co się liczy, są losy ludzkości... próbowałem wierzyć, że można coś zrobić, by uczynić świat bardziej znośnym. To wszystko są bzdury, rozumiesz?

- A prawdą jest coś innego?

- Tak - odparł Weston.

Na długi czas zapadło milczenie.

- Lepiej skierujmy ryby głowami do fali - odezwał się Ransom spoglądając na morze - bo nas rozdzieli.

Weston posłuchał, ale sprawiał wrażenie, jakby nie był świadom tego, co robi. Przez jakiś czas płynęli wolno obok siebie.

- Powiem ci, co jest bardziej prawdziwe - powiedział w końcu Weston.

- Co?

- Małe dziecko, które zakrada się na piętro, gdy nikt nie widzi, bardzo wolno uchyla drzwi, by choć raz zajrzeć do pokoju, gdzie leży trup jego babki, a potem ucieka i ma koszmarne sny.

- Dlaczego to ma być bardziej prawdziwe? Do czego właściwie zmierzasz?

- Dziecko wie o wszechświecie coś, co starają się ukryć wszystkie religie i cała nauka.

Ransom milczał.

- Jest wiele rzeczy... - ciągnął Weston. - Dzieci boją się przejść nocą obok cmentarza, a dorośli mówią im, żeby nie były głupie. Ale dzieci wiedzą o wiele więcej niż dorośli. Krajowcy w Afryce Środkowej nakładają maski i ciemną nocą wyczyniają różne okropności, a misjonarze i biali urzędnicy mówią, że to zabobony. Ale ci czarni wiedzą więcej o wszechświecie niż biali. Obdarci księża na przedmieściach Dublina straszą głupkowate dzieci opowieściami o śmierci. Powiesz, że to

ludzie ciemni, niedouczeni. To nieprawda. Ich ciemnota polega tylko na tym, że wierzą w możliwość ucieczki. Nie ma takiej możliwości. Taki jest prawdziwy wszechświat. Taki był i taki zawsze będzie. Taki jest właśnie sens tego wszystkiego.

- Nie bardzo rozumiem... - zaczął Ransom, ale Weston nie pozwolił mu skończyć.

- Właśnie dlatego jest tak ważne, by żyć jak najdłużej. Wszystko, co dobre, jest tu i teraz. Tu i teraz, Ransom. Cienka łupinka tego, co nazywamy życiem... coś zewnętrznego... na pokaz... A potem - potem zaczyna się *prawdziwy* wszechświat. Już na zawsze. Na wieki wieków. Nie ma ucieczki. Pogrubić tę łupinę bodaj o centymetr, żyć choćby tydzień, dobę, pół godziny dłużej - tylko to się naprawdę liczy. Oczywiście ty tego nie rozumiesz, ale rozumie to każdy człowiek, którego mają powiesić. Mówisz: co za różnica, prędzej czy później. Co za różnica!

- Przecież nikt nie musi tam odejść.

- Och, wiem, że w to wierzysz. Ale popełniasz błąd. Tak myśli tylko mała część cywilizowanej ludzkości. Ludzkość jako całość wie dobrze, jak jest naprawdę. Wie, jak Homer, że *wszyscy* umarli zapadają w wewnętrzną ciemność: pod skorupę. Wszyscy otepiali, wszyscy mamrocząc, belkocząc, gnijąc. Upiory. Każdy dzikus wie, że upiory nienawidzą żyjących, tych, co wciąż zażywają szczęścia na zewnątrz skorupy, tak jak stare kobiety nienawidzą dziewcząt, które wciąż cieszą się swą urodą. Mają rację ci, którzy boją się upiorów. Ty też będziesz kiedyś upiorem.

- Ty nie wierzysz w Boga - powiedział Ransom.

- Ach, to inna sprawa! Jako mały chłopiec chodziłem do kościoła, tak jak ty. Niektóre części Biblii mają głębsze znaczenie, o którym wy, wierzący, nie macie pojęcia. Czy Biblia nie mówi, że On jest Bogiem żywych, a nie umarłych? O to właśnie chodzi. Być może wasz Bóg istnieje, ale w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia. Oczywiście ty tego nie pojmujesz, ale jeszcze przyjdzie taki dzień, w którym przejrysz. Teraz... no cóż, nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałeś koncepcję tej cienkiej, zewnętrznej łupinki, zwanej życiem. Wyobraź sobie wszechświat jako nieskończony glob otoczony z zewnątrz bardzo cienką powłoką. Pamiętaj jednak, że jej grubość mierzy się *czasem*. W najlepszych miejscach niewiele ponad siedemdziesiąt lat. Rodzimy się na powierzchni tej skorupy i w ciągu całego życia zapadamy się w nią stopniowo, a kiedy w końcu przejdziemy przez nią całkowicie, stajemy się zmarłymi: dostajemy się do ciemnego wnętrza globu, do prawdziwego wszechświata. Jeśli twój Bóg istnieje, nie ma go *wewnątrz* globu, jest na zewnątrz, tak jak Księżyc. Zapadając się do wnętrza globu, znikamy z Jego pola widzenia. On nie idzie tam za nami. Mówisz: Bóg jest poza czasem i uważasz, że to bardzo pocieszające! Biedaku! To po prostu oznacza, że On zostaje na zewnątrz, w świetle, w powietrzu - *na zewnątrz*. Ale my istniejemy w czasie. Poruszamy się wraz z czasem, a więc z Jego punktu widzenia *odchodzimy* w coś, co On uważa za niebyt, dokąd nigdy za nami nie podąży. To jest nasze przeznaczenie. Bóg może istnieć lub może nie istnieć w tym, co nazywamy „życiem”. Ale jakie to ma znaczenie? Przecież my nie zabawimy tam długo!

- To wcale nie jest cała prawda o bycie - powiedział Ransom. - Gdyby było tak, jak mówisz, czulibyśmy się w takim wszechświecie bardzo swojsko jako jego czątki. Sam fakt, że podobna koncepcja przeraża nas swoją potwornością...

- Tak - przerwał mu Weston - wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że samo ludzkie rozumowanie zachowuje wartość tak długo, jak długo pozostajemy na zewnątrz skorupy. Wobec prawdziwego wszechświata - tego wewnątrz - jest całkowicie bezradne. Nawet zwyczajni naukowcy, jakim ja niegdyś byłem, zaczynają to dostrzegać. Czy nie widzisz, jakie jest prawdziwe znaczenie całej tej nowoczesnej gadaniny o niebezpieczeństwach ekstrapolacji, o zakrzywionej przestrzeni i nieokreśloności atomu? Oczywiście uczeni nie używają wielu słów, ale w istocie zmierzają za życia do odkrycia tego, co odkryje każdy człowiek, kiedy umrze: że rzeczywistość nie

jest ani racjonalna, ani konsekwentna, ani w ogóle żadna inna. W pewnym sensie można powiedzieć, że jej nie ma. „Realne” i „nierealne”, „prawdziwe” i „fałszywe” - to wszystko ma znaczenie tylko na powierzchni. Ściśnij mocniej te pojęcia, a nic z nich nie zostanie.

- Gdyby to było prawdą - rzekł Ransom - to po co w ogóle o tym mówić?

- Albo o czymkolwiek innym! Brawo! Jedyne sensu czegośkolwiek polega na tym, że nic nie ma sensu. Dlaczego upiory straszą? Bo są upiorami. A co innego miałyby robić?

- Zaczynam cię rozumieć - powiedział Ransom. - Sposób, w jaki człowiek patrzy na wszechświat czy na jakąkolwiek budowlę, w znacznej mierze zależy od miejsca, w którym się akurat znajduje.

- Ale szczególnie od tego, czy jest wewnątrz, czy na zewnątrz. Wszystkie sprawy, nad którymi tak lubimy się rozwodzić, leżą na zewnątrz. Weź na przykład naszą planetę albo Perelandrę. Albo piękne ludzkie ciało. Wszystkie barwy i miłe oku kształty są tylko tam, gdzie ciało się kończy, gdzie już przestaje istnieć. A wewnątrz - co jest wewnątrz? Ciemność, robactwo, gorąco, ciśnienie, sól, duszność, smród.

Przez kilka minut płynęli w milczeniu przez rosnące coraz bardziej fale. Ryby posuwały się wyraźnie wolniej.

- Oczywiście ciebie to niewiele obchodzi - odezwał się w końcu Weston. - Co was, żyjących w skorupie, w ogóle obchodzi? Jeszcze nie zostaliś cię ściągnięci w dół, do środka. To mi przypomina sen, jaki kiedyś miałem, chociaż wówczas jeszcze nie wiedziałem, jak bardzo jest prawdziwy. Śniłem, że leżę martwy... no wiesz, ułożony pięknie w szpitalnej izolatce. Twarz miałem umytą i ogoloną przez ludzi z zakładu pogrzebowego, w pokoju stały wielkie, białe lilie... I nagle wszedł ktoś, kto... dosłownie się rozpadał... jak włóczęga... tyle że to nie jego ubranie było w strzępach, ale on sam... Wszedł i stanął w nogach łóżka. Czulem, że mnie nienawidzi. „No, pięknie, pięknie”, powiedział. „Na pewno jesteś z siebie bardzo zadowolony pod tymi czystymi, białymi prześcieradłami? Kwiaty, gotowa lśniąca trumna. Ja też tak zaczynałem. Wszyscy tak zaczynamy. Ale tylko poczekaj, a zobaczysz, co będzie dalej, dokąd się stoczysz...”

- Wiesz co? - przerwał mu Ransom ostrym tonem. - Może byś przestał pleść bzdury?

- Albo spirytyzm - ciągnął Weston, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Kiedyś uważałem to wszystko za nonsens. Ale myliłem się. To wszystko prawda. Czy zauważyłeś, że wszystkie *przyjemne* opowieści o zmarłych są albo tradycyjne, albo czysto filozoficzne? Bo aktualne doświadczenie ukazuje coś zupełnie innego. Ektoplazma, ta śluzowata mgielka, która wydobywa się z brzucha medium i formuje wielkie, rozmazane, rozpadające się twarze... Automatyczne pismo dające całe ryzy śmiecia...

- Czy jesteś Westonem? - zapytał nagle Ransom, odwracając się do swego towarzysza. Czuł, że zaczyna go doprowadzać do szaleństwa ten monotony, mamroczący głos, na tyle artykułowany, że musiało się go słuchać, i jednocześnie tak niewyraźny, że trzeba było wyteńczyć słuch, by zrozumieć słowa.

- Nie złość się - odpowiedział głos. - Nie powinieneś się na mnie złościć. Myślałem, że będziesz mi współczuł. O Boże, Ransom, to jest straszne! Ty tego nie rozumiesz. Pomyśl tylko. Jesteś tam, w dole, pod tyloma warstwami. Pogrzebany żywcem. Próbujesz znaleźć jakiś związek między rzeczami - i nie możesz. Zabrali ci głowę... Nie możesz nawet sięgnąć wspomnieniem wstecz, ku temu, czym był życie w powłoce, bo wiesz, że ono nie miało sensu od samego początku.

- Kim jesteś?! - zawołał Ransom. - Skąd wiesz, jak wygląda śmierć? Bóg mi świadkiem, pomógłbym ci, gdybym wiedział jak. Podaj mi fakty. Gdzie byłeś przez ostatnie dni?

- Przestań! - uciszył go nagle Weston. - Co to takiego? Ransom nasłuchiwał. Z całą pewnością

w otaczającym ich wielkim zbiorowisku dźwięków pojawił się nowy element. Z początku nie potrafił go zidentyfikować. Morze było wzburzone, a wiatr silny. Nagle Weston wyciągnął rękę i chwycił go za ramię.

- Och, mój Boże! - zawołał. - Och, Ransom! Ransom! Zginiemy. Zabiją nas i zepchną pod skorupę. Ransom, przyrzekłeś, że mi pomożesz. Nie pozwól, by mnie znowu dostali.

- Zamknij się - rzekł Ransom, bo odrażająca istota tak jęczała i zawodziła, że trudno mu było wsłuchać się w ów nowy, niski, głęboki dźwięk, który wmieszał się w wycie wiatru i ryk wody.

- To bałwany rozbijają się o skały! - wołał Weston. - Nie słyszysz, głupcze? W pobliżu musi być ląd! Jakiś skalisty brzeg. Spójrz tam... nie, na prawo. Zaraz nas roztrzaska na miazgę. Zobacz... O Boże, robi się ciemno!

I rzeczywiście nadeszła ciemność. Ransom ogarnęło przerażenie, jakiego chyba jeszcze nigdy w życiu nie zaznał: strach przed śmiercią, strach przed tą okropną istotą miotającą się tuż obok niego, a w końcu strach przed czymś nieokreślonym. Po kilku minutach w czarnej jak smoła nocy ujrzał świetlisty obłok piany. Ze sposobu, w jaki wystrzelała stromo w górę, ocenił, że wielka fala rozbiła się o wysoki, skalisty brzeg. Niewidzialne ptaki krążyły w podnieceniu tuż nad ich głowami, wrzeszcząc przeraźliwie.

- Hej, Weston, jesteś tu?! - zawołał. - Jak się czujesz? Weź się w garść. Te wszystkie bzdury, o których mówiłeś, to zwykłe wariactwo. Zmów dziecinny pacierz, jeśli nie potrafisz się modlić jak dorosły. Żałuj za grzechy. Chwyć mnie za rękę. W tej chwili setki młodych chłopców śmiało spoglądają śmierci w oczy. Jakoś przez to przejdziemy.

Poczuł, że jego rękę uściskała w ciemności inna, bardzo zimna dłoń. Uścisk był trochę mocniejszy, niż oczekiwał.

- Nie zniosę tego, nie wytrzymam - jęczał głos Westona.

- Spokojnie... Tylko nie tak! - zawołał Ransom, bo Weston nagle chwycił go oburącz za ramię.

- Nie wytrzymam - powtórzył głos w ciemności.

- Hej! Puszczaj! Do diabła, co ty wyprawiasz?!

W tej samej chwili silne ręce wyrwały go z rybiego siodła, opasały w kolanach żelaznym uściskiem i zaczęły ściągać w dół. Daremnie się opierał, chwytając śliskiego ciała ryby. Woda zamknęła się nad nim. Przeciwnik pociągał go w ciepłą otchłań, a potem jeszcze głębiej, tam, gdzie przestała już być ciepła.

Rozdział 14

„Nie utrzymam dłużej oddechu”, myślał Ransom. „Nie mogę. Nie wytrzymam. „Raz po raz coś zimnego i oślizgłego przesuwano się w górę wzdłuż jego udręczonego ciała. Zdecydował, że nie będzie już dłużej wstrzymywał oddechu, że otworzy usta i umrze. Ale wola nie posłuchała tej decyzji. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie mu nie tylko klatka piersiowa, ale i skronie. Walka była daremna. Ręce nie napotykały Przeciwnika, nogi miał spętane uściskiem. Uświadomił sobie, że zaczynają się wznosić w górę, ale nie wzbudziło to w nim nadziei. Powierzchnia morza była za daleko: nie wytrzyma, zanim jej dosięgną. W obliczu bliskiej śmierci wszystkie koncepcje życia pozagrobowego zbladły i straciły sens. „A więc tak umiera człowiek”, powtarzał w myśli, nie mając do tego żadnego stosunku, jakby to było abstrakcyjne stwierdzenie, które go nie dotyczy.

Nagle uszy wypełnił mu ryk dźwięków, trudny do zniesienia huk i szum. Automatycznie otworzył usta i stwierdził, że znowu oddycha. W rozbrzmiewających echemi, nieprzeniknionych ciemnościach czepiał się czegoś, co przypominało żwir, a jednocześnie wierzgał dziko, by uwolnić się z uścisku wciąż opasującego mu nogi. Wreszcie wyzwolił się i podjął walkę na nowo. Była to walka na oślep, po części w wodzie, po części na pokrytej otoczkami plaży. Co jakiś czas natrafiał na ostrzejsze skały, które kaleczyły mu stopy i łokcie. Ciemność wypełniła się zdławionymi przekleństwami, skowytami, krótkimi jękami, odgłosami uderzeń i ciężkich oddechów.

W końcu zdołał przygnieść Przeciwnika do kamieni. Usiadł na nim okrakiem i ścisnął kolanami jego żebra, aż usłyszał, jak trzeszcza. Chwycił go oburącz za gardło. Ostre szpony szarpały mu ramiona, lecz nie rozluźnił chwytu. Kiedyś już ścisnął tak czyjąś szyję, ale wówczas chodziło o powstrzymanie krwotoku z tętnicy, o ratowanie życia. Teraz dusił śmiertelnego wroga, zabijał. Zdawało mu się, że trwa to całe wieki. Nie-człowiek zaprzestał walki, lecz on długo jeszcze nie ważył się rozluźnić uścisku. Nawet wówczas, gdy był już całkowicie pewny, że Przeciwnik przestał oddychać, siedział wciąż na jego piersiach, nie puszczając zimnego gardła ze zmęczonych rąk. Był bliski omdlenia, lecz najpierw policzył do tysiąca, a dopiero potem cofnął ręce. Nadal jednak ścisnął kolanami nieruchome ciało.

Nie potrafił powiedzieć, czy w ciągu kilku ostatnich godzin naprawdę przemawiał do niego duch Westona, czy też padł ofiarą jeszcze jednego podstęp. Zresztą, cóż za różnica! Potępienie prowadzi niewątpliwie do pomieszania osobowości: źli ludzie otrzymują w piekle to, czego panteiści błędnie oczekują od nieba. Wtapiają się w swego Mistrza, tak jak obwiany żołnierz roztapia się i traci kształt na łyżce trzymanej nad płomieniem gazu. Pytanie, czy w konkretnym wypadku działa Szatan, czy też jeszcze ktoś, kogo Szatan strawił, jest na dalszą metę pozbawione wyraźnego sensu. Tymczasem najważniejsze, by nie dać się oszukać ponownie.

Jedyne, co mógł teraz zrobić, to czekać rana. Z ryku fal wywnioskował, że znajduje się w bardzo wąskiej zatoce otoczonej skałami. Jak tu trafili, pozostawał zagadką. Niestety, do świtu pozostawało wiele godzin. Postanowił nie opuszczać martwego ciała, dopóki nie obejrzy go w świetle dziennym i w razie potrzeby nie zrobi jeszcze czegoś, aby mieć pewność, że ciało nie ożyje. Do tego czasu musi jakoś wytrzymać. Wymoszczona otoczkami plaża nie zachęcała do spoczynku. Kiedy spróbował odchylić się do tyłu, plecy natrafiły na ostry występ skalny. Na szczęście był tak zmęczony, że na razie sprawiało mu ulgę samo siedzenie. Ale to stadium wkrótce minęło.

Starął się wytrwać. Przede wszystkim postanowił zaniechać obliczania upływu czasu. „Jedyna bezpieczna odpowiedź - powiedział sobie - to pomyśleć o możliwie najwcześniejszej godzinie, a następnie wmówić w siebie, że naprawdę jest o dwie godziny wcześniej. „Skracał sobie czas rekapitulacją tego, co już przeżył na Perelandrze. Recytował wszystkie zapamiętane urywki z *Iliady*,

Odysei, Pieśni o Rolandzie, Raju utraconego, Kalewali i Polowania na rekina, a nawet własny poemat o fonetyce germańskiej, skomponowany na pierwszym roku studiów. Próbował strawić jak najwięcej czasu na przypominaniu sobie tych wersów, których nie pamiętał. Postawił przed sobą problem szachowy. Próbował naszkicować w myślach rozdział książki, jaką zaczął pisać na Ziemi.

Ale wszystko w końcu zawodziło. Raz po raz wpadał w tępą beczynność, gdy zaciskał zęby starając się nie upaść na twarz. W końcu nie potrafił już sobie przypomnieć, co było przed tą nocą. Nie mógł uwierzyć, że dwanaście godzin może się tak dłużyć, nawet komuś, kto się nudzi i czuwa. I te odgłosy... To gruboziarniste, oślizgłe zmęczenie...

To bardzo dziwne, myślał, że tu w ogóle nie ma owych słodkich, nocnych powiewów, tak charakterystycznych dla Perelandry. Czy nie jest też dziwne (ale ta myśl przyszła chyba wiele godzin później), że ciemności nie rozjaśnia bodaj fosforescencja pienistych grzebieni fal? Powoli, bardzo powoli, zaczęła mu świtać prawdopodobna odpowiedź; wyjaśniałaby ona również, dlaczego ciemność trwa tak długo. Była to odpowiedź tak straszna, że nie pozwalała na luksus przerażenia. Starając się panować nad sobą, dźwignął się na zeszywniałe nogi i ruszył ostrożnie wzdłuż plaży. Posuwał się bardzo wolno z wyciągniętymi przed siebie rękami i wkrótce dotknął pionowej skały. Wspiął się na palce i sięgnął rękami jak najwyżej. Wyczuł jedynie skałę.

- Nie wpadaj w panikę - powiedział na głos do siebie. Po omacku wrócił, odnalazł ciało Nieczłowieka, przekroczył je i ruszył w przeciwną stronę. Brzeg zakręcał tu ostro. Nim zrobił dwadzieścia kroków, jego uniesione do góry ręce napotkały tym razem nie ścianę, lecz skalny pułap. Posunął się kilka kroków dalej i pułap zaczął opadać. Niebawem musiał się pochylić, a potem pełznąć na czworakach. Nie zdziwił się, gdy w końcu sklepienie połączyło się z kamienistą powierzchnią plaży.

Zrobiło mu się słabo z bezsilnej rozpacz. Wrócił po omacku do trupa i usiadł. Nie miał wątpliwości: nigdy nie doczeka się poranka. W tym miejscu słońce nie zapłonie aż do końca świata. Być może czekał już całą noc i cały dzień. To echo, to martwe powietrze, ten szczególnie zapach - wszystko potwierdzało złowrogą prawdę. Kiedy poszedł na dno ze swym wrogiem, natrafili przypadkowo na szczelinę w skale i wypłynęli na powierzchnię w jakiejś grocie.

Czy można odwrócić bieg wydarzeń? Odnalazł po omacku drogę do brzegu, gdzie żwir był wilgotny. Woda sama wyszła mu na spotkanie. Potężny bałwan wystrzelił w górę, przewalił się z rykiem nad jego głową i uderzył w ścianę gdzieś poza nim, a potem powrócił z taką mocą, że pociągnąłby go za sobą, gdyby Ransom nie przywarł do plaży, rozkrzyżowując ramiona i czepiając się - aż do bólu - kamieni.

Rzucić się *w to*? Co to da? W najlepszym razie połamanie żeber przy zderzeniu z przeciwległą skałą. Gdyby miał światło i zdołał wdrapać się na jakąś wysoką półkę skalną, mógłby skoczyć i nurkując na samo dno odnaleźć podwodne wyjście... Szansa jedna na sto... Zresztą - i tak nie ma światła.

Chociaż powietrze w jaskini nie było najlepsze, Ransom podejrzewał, że jego więzienie musi być jakoś zasilane powietrzem z zewnątrz. Inna sprawa, czy do takiej domniemanej szczeliny można się dostać... Trzeba jednak spróbować. Odwrócił się i zaczął badać ścianę poza sobą. Z początku rezultat nie dawał żadnej podstawy do nadziei, ale przekonanie, iż wszystkie jaskinie dokądś prowadzą, było w nim - jak w każdym z nas - zbyt głęboko zakorzenione, aby zaniechać poszukiwań. Wreszcie wymacał rękami niezbyt wysoką półkę skalną. Sądził, że będzie miała ledwie kilka cali szerokości, ale kiedy się na nią wspiął, nie wyczuł przed sobą ściany. Bardzo ostrożnie postąpił kilka kroków naprzód, aż prawą nogą stanął na czymś ostrym. Syknął z bólu i ruszył dalej, starając się stąpać jeszcze ostrożniej. Po chwili wymacał pionową ścianę, zupełnie gładką, w każdym razie do takiej wysokości, do jakiej mógł dosięgnąć ręką. Przesunął się w prawo

i wkrótce natrafił na próżnię, ale niemal w tej samej chwili potknął się boleśnie. Rozmasował stopę i ruszył dalej na czworakach. Miał wrażenie, że pełźnie po stromym osypisku. Czasem ślizgał się po sypkim piargu, czasem mozolnie pokonywał wielkie głązy, ale przez co najmniej dziesięć minut zdołał wspiąć się dość wysoko. Potem znów napotkał pionową ścianę. Obmacał ją i znalazł półkę na wysokości swoich piersi, ale tym razem naprawdę bardzo wąską. Włazł na nią i, przywarłszy całym ciałem do skały, począł szukać palcami następnego punktu oparcia.

Kiedy go znalazł, zawahał się, zdając sobie sprawę, że teraz czeka go prawdziwa wspinaczka. Nie miał pojęcia, jak wysoka i stroma jest skała, do której przywarł drżąc z zimna; może nie odważyłby się jej atakować nawet w świetle dziennym i w odpowiednim ubraniu. Nadzieja szeptała mu jednak, że równie dobrze skała może mieć zaledwie dwa, trzy metry. Jeśli tylko przez kilka minut zachowa zimną krew, dotrze do wygodnych, krętych korytarzy w sercu tej góry, wiodących w końcu na zewnątrz. Ta wizja rozpałała jego wyobraźnię. Zdecydował się wspinać wyżej. Prawdę mówiąc, nie tyle lękał się upadku, co oddalenia od wody. Był przekonany, że głód może znieść długo, natomiast drżał na myśl o mękach pragnienia.

Przez kilka następnych minut dokonywał czynów, na jakie nigdy nie zdobyłby się na Ziemi. Niewątpliwie pomagały mu w tym ciemności: nie miał przynajmniej lęku wysokości i zawrotów głowy. Ale z drugiej strony poleganie wyłącznie na zmysle dotyku czyniło ze wspinaczki czyste szaleństwo. Gdyby go ktoś obserwował, byłby z pewnością zdumiony, widząc, jak raz nieprzytomnie ryzykuje, a innym razem pozwala sobie na zupełnie niepotrzebną ostrożność. Przez cały czas próbował zagłuszyć w sobie myśl, że być może wspina się daremnie ku skalnemu sklepieniu jakiejś gigantycznej jaskini.

Mniej więcej po kwadransie wspinaczki znalazł się na szerokiej, płaskiej powierzchni. Mogła to być kolejna, o wiele głębsza półka, ale podsycił w sobie nadzieję, że osiągnął już szczyt urwiska. Odpoczął przez chwilę, obmacując rany. Wreszcie wstał i ruszył ostrożnie naprzód, wyciągnąwszy przed siebie ręce, aby nie zderzyć się z nową ścianą. Ale nic takiego nie nastąpiło. Po trzydziestu krokach krzyknął kilka razy i z tonu dźwięków wywnioskował, że znajduje się na obszernej, otwartej przestrzeni. Pokryte drobnymi otoczkami zbocze podnosiło się dość stromo. Co pewien czas zdarzały się większe kamienie, ale nauczył się już unosić wysoko stopy i rzadziej je kaleczył. Dokuczał mu tylko ból głowy i migotanie ostrych światełek i urojonych barw, bo mimo całą kowitej ciemności nie mógł się powstrzymać, by wciąż nie wycęzać wzroku.

Ta powolna, uciążliwa wędrówka w ciemności trwała bardzo długo i w końcu zaczął się obawiać, że krąży w kółko lub że zabłądził wśród podziemnych korytarzy, ciągnących się w nieskończoność pod powierzchnią planety. Podtrzymywało w nim nadzieję stałe wznoszenie się kamienistego zbocza. Nieznośna była tęsknota za światłem. Marzył o nim tak, jak zgłodniały człowiek marzy o jedzeniu. Oczami wyobraźni widział mleczne obłoki sunące nad wzgórzami po błękitnym, kwietniowym niebie albo napełniające spokojem jasne kręgi od lamp, oświetlające rozrzucone w miłym nieładzie książki i fajki. Owładnęło nim nieodparte wrażenie, że idzie po zboczu nie tylko pograżonym w ciemności, ale i czarnym z natury, jakby je pokrywał a sadza. Zdawało mu się, że ma nią powalane ręce i nogi, a kiedy wyobrażał sobie powrót na światło dnia, był to zawsze powrót do świata pokrytego grubą warstwą sadzy.

Nagle uderzył o coś czołem i oszołomiony osunął się na ziemię. Kiedy oprzytomniał, zbadał ręką niespodziewaną przeszkodę i stwierdził, że kamienisty stok zbiega się z gładkim, skalnym sklepieniem. Serce w nim zamarło, gdy usiadł, przetrawiając to odkrycie. Gdzieś z dołu dochodził słaby, melancholijny odgłos fal, podpowiadając mu, że musiał osiągnąć znaczną wysokość. W końcu, bez większej nadziei, zaczął posuwać się w prawo, przez cały czas dotykając sklepienia uniesionymi wysoko rękami. Wkrótce stracił kontakt ze skałą, a po pewnym czasie usłyszał bliski

szum wody. Szedł bardzo wolno, bojąc się, że może trafić na wodospad. Kamieniste podbże zrobiło się wilgotne i niebawem wyczuł, że wchodzi do zagłębienia z wodą. Zrobił kilka kroków w lewo i rzeczywiście natrafił na wodospad, ale struga wody była mała i nie musiał się jej obawiać. Ukląkł w pluszczącej sadzawce, napił się z kaskady i pozwolił by orzeźwiający strumień oblał mu zboląłą głowę i ramiona.

Pokrzepiony spróbował ruszyć dalej. Śliskie kamienie porastał mech i Ransom raz po raz natrafił na płytkie zbiorniki wody, ale na ogół droga nie sprawiała mu większych trudności. Po blisko dwudziestu minutach zbocze skończyło się sądząc po brzmieniu echa, musiał dojść do naprawdę rozległej i wysokiej pieczary. Pozwolił, by dalej prowadził go strumyk, i już po chwili poczuł się raźniej, jakby w tej bezkształtnej ciemności znalazł towarzysza. Powoli rodziła się w nim i krzepła prawdziwa nadzieja, różna od owej konwencjonalnej otuchy, jakiej ludzie dodają sobie zwykle w rozpaczliwych sytuacjach.

Ale niebawem zaczęły go niepokoić dziwne odgłosy. Już dawno ucichł stłumiony szum morza, dobiegający uprzednio ze skalnej studni, z której rozpoczął wędrówkę. Od dłuższego czasu słyszał tylko łagodny szmer strumyka. Ale teraz zmieszały się z nim inne dźwięki. Czasem był to głuchy plusk, jakby coś ześliznęło się do jednej z pozostawionych w tyle sadzawek, czasem - jeszcze bardziej zagadkowy suchy zgrzyt, jakby ktoś ciągnął po kamieniach metalowy przedmiot. Z początku wziął to za wytwór swojej udręczonej wyobraźni. Kilka razy przystanął nasłuchując, lecz gdy uspokojony ruszał w dalszą drogę, niepokojące dźwięki rozbrzmiewały znowu. Wreszcie przystanął raz jeszcze i usłyszał je zupełnie wyraźnie. Czyżby to Nie-człowiek ożył mimo wszystko i podążał jego śladem? Wydawało się to nieprawdopodobne - przecież gdyby nawet powrócił do życia po raz wtóry, to jego jedynym planem mogła być tylko ucieczka. Z drugiej strony niełatwo było się pogodzić z inną możliwością: że te podziemne groty są zamieszkane. Całe dotychczasowe doświadczenie mówiło mu, że jeśli żyją tu jakieś istoty, to prawdopodobnie nie są groźne, lecz nie potrafił uwierzyć, by coś żyjącego w takim miejscu mogło nie być odrażające. Niby stłumione echo wróciły słowa Nie-człowieka - a może Westona: „Wszystko, co piękne, jest na powierzchni; wewnątrz jest tylko ciemność, gorąco, groza i smród”.

Przyszło mu na myśl, że jeśli jakieś stworzenie idzie za nim w górę strumienia, dobrze by było oddalić się od jego brzegu i poczekać, aż przejdzie. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że stworzenie żyjące w wiecznych ciemnościach musi posługiwać się głównie węchem, nie chciał też ryzykować utraty kontaktu ze strumieniem. Ostatecznie postanowił iść dalej jego brzegiem.

Po pewnym czasie zrobiło mu się nieznośnie gorąco. W poszukiwaniu ochłody wszedł do strumienia, ale nie przyniosło mu to wyraźnej ulgi. Nie wiedział, czy to skutek zmęczenia - dokuczał mu teraz silny głód - czy też bezwiednego przyspieszenia kroku. W końcu postanowił, że mimo ścigających go wciąż odgłosów, musi zatrzymać się i odpocząć. Niemal w tej samej chwili ujrzał światło.

Tyle razy ulegał złudzeniom, że z początku nie chciał w to uwierzyć. Zamknął oczy, policzył do stu i ponownie je otworzył. Odwrócił się, usiadł i wytrwał tak kilka minut, modląc się, by światło nie okazało się halucynacją, a potem spojrzął raz jeszcze. „No, jeśli to jest złudzenie - pomyślał - to trzeba przyznać, że wyjątkowo uporczywe.” Przed nim majaczyła w mroku słaba, drżąca poświata o lekko czerwonym zabarwieniu. Była za słaba, by cokolwiek oświetlić. W tym krędstwie czerni trudno było powiedzieć, czy od jej źródła dzieli go pięć stóp czy pięć mil.

Czując, jak serce łomocze mu w piersi, zaczął iść, dziękując Bogu, że strumień prowadzi w tym samym kierunku.

Był pewien, że światło jest jeszcze daleko, gdy niespodziewanie znalazł się na jego krawędzi. Padało z góry, tworząc na powierzchni wody krąg, który stwarzał złudzenie głębszej,

pomarszczonej sadzawki. Wszedł do niej i spojrzął w górę. Nad sobą miał nieregularną, czerwoną plamę światła. Tym razem było dość silne, by rozjaśnić najbliższe otoczenie. Kiedy oczy Ransoma przyzwyczyły się do rozpoznawania kształtów, stwierdził, że spogląda w skalny komin. Jego dolny otwór znajdował się w sklepieniu pieczary, którą dotąd szedł, zaledwie kilka stóp nad jego głową; górny przebijał niewątpliwie dno oddzielnej, wyżej położonej komory, skąd pochodziło światło. Widział nierówne ściany szybu, pokryte plamami i nawisami galaretowatej, raczej niezbyt przyjemnej dla oka roślinności. Spływała po nich woda, a jej krople spadały ciepłym deszczem na głowę i ramiona Ransoma. Ciepło i czerwone zabarwienie światła pozwalały podejrzewać, że górną komorę oświetla jakiś podziemny ogień.

Trudno właściwie powiedzieć, dlaczego Ransom bez chwili wahania postanowił, że uczyni wszystko, by dostać się do górnej jaskini. Kiedy się nad tym później zastanawiał, przychylił się do wniosku, że prawdziwym powodem była po prostu przemożna tęsknota za światłem. Już pierwsze spojrzenie w komin przywróciło mu świat wymiarów i perspektywy i już samo to dawało poczucie uwolnienia z więzienia. Miał wrażenie, że dowiadyuje się o swym otoczeniu o wiele więcej, niż dowiadywał się naprawdę. Odzyskiwał cały układ kierunków przestrzennych, bez którego człowiek nie jest w stanie nazywać swego ciała własnym. Żaden powrót do tej straszliwej, czarnej próżni, w której się dotąd poruszał, nie wchodził w ogóle w rachubę. Być może pomyślał też i o tym, że wejście do oświetlonej groty przerwie wreszcie ucieczkę przed tym czymś lub kimś nieznanym, co uparcie podążało jego śladem.

Nie było to łatwe. Nie mógł dosięgnąć otworu komina, a podskakując dotykał tylko zwisających frędzli porostów. Wreszcie wpadł na pomysł nie rokujący z początku wielkich sukcesów, ale najlepszy ze wszystkich, jakie mu przychodziły do głowy. W nikłym świetle dostrzegł wokół siebie sporo wielkich kamieni i postanowił ułożyć z nich stos pośrodku sadzawki.

Pracował gorączkowo i nieraz musiał niszczyć to, co już zrobił, nim piramida osiągnęła pożądaną wysokość. Słaby i zlany potem stanął wreszcie na jej szczycie. Dopiero wó wczas zdał sobie sprawę, jak wielkie ryzyko go czeka. Musiał teraz schwytać mocno frędzle porostów zwieszające się po obu stronach otworu, licząc na to, że utrzymają jego ciężar, a następnie podciągnąć się energicznie do góry. W całej tej operacji najważniejsza była szybkość, bo był pewny, że jeśli nawet rośliny nie przerwą się w pierwszym momencie, to długo nie utrzymają jego ciężaru.

Udało się. Nie bardzo wiedząc, jak do tego doszło, tkwił już w szczelinie, wsparty plecami o jedną ścianę, a stopami o drugą, jak alpinista w skalnym kominie. Gruba, gąbczasta roślinność ochraniała skórę. Po kilku mozolnych ruchach zdołał się wsunąć głębiej. Okazało się, że ściany rozpadliny są na tyle nierówne i popękane, że można się po nich wspinać w zwykły sposób. Robiło się coraz goręcej. „Jestem chyba skończonym głupcem pchając się do tego piekła”, pomyślał. W tej samej chwili wynurzył głowę przez górny otwór.

Oślepiła go jasność. Kiedy w końcu odzyskał zdolność postrzegania, zobaczył, że stoi w przestronnej grocie wypełnionej jaskrawym blaskiem o takim natężeniu, jakby była wydrążona w rozpalonym do czerwoności żużlu. Po lewej stronie dno opadało łagodnie, po prawej wznosiło się ku krawędzi, za którą ziała otchłania oślepiającej jasności. Środkiem płynęła szeroka, płytka rzeka. Sklepienie było tak wysoko, że ginęło w mroku, a ściany pięły się ku niemu szerokimi łukami, jak korzenie starych buków.

Wygramolił się z dziury, przeszedł przez gorącą, jak się okazało, rzekę i ostrożnie podszedł do krawędzi. Tysiące stóp niżej, hucząc, kłębiąc się i trzeszcząc, płonął potworny ogień. Przeciwległego brzegu otchłani nie widział. Wytrzymał parę sekund, a kiedy odwrócił głowę, grot wydała mu się pogrążona w ciemności. Nie mógł dłużej znieść żaru i wycofał się jak najdalej, a

potem usiadł plecami do ognia, by zebrać myśli.

Stało się to zupełnie nieoczekiwanie. Jego świadomość została całkowicie opanowana przez obraz wszechświata, jaki Weston (jeśli to był Weston) malował mu niedawno. Inwazja była tak nagła i trudna do odparcia jak atak czołgów. Teraz widział wyraźnie, że całe życie spędził w świecie iluzji. Upiory, przeklęte upiory mają słuszość! Piękno Perelandry, niewinność Zielonej Pani, cierpienia świętych, szlachetne porywy ludzkich uczuć - wszystko to jest tylko zewnętrznym pozorem, widowiskiem. To, co nazywał światami, jest tylko powłką światów. Zaledwie ćwierć mili głębiej, pod skorupą, rozpoczynają się tysiące mil mroków, milczenia i piekielnego ognia, sięgające do samego serca planety. Tam mieszka Rzeczywistość - bezcelowa, nie uformowana, wszechpotężna absurdalność, z którą żadne duchy nie mają nic wspólnego i wobec której wszelkie wysiłki są daremne. Teraz wiedział już, że to coś, co podążało jego śladem, wejdzie do wilgotnego, ciemnego szybu i za chwilę wyłoni się z ohydneho kanału. A wówczas nadejdzie śmierć. Utkwił oczy w czarnym otworze, z którego tak niedawno sam wyszedł. A potem...

- Spodziewałem się tego - powiedział na głos.

Powoli, chwiejnie, nienaturalnymi i nieludzkimi ruchami, wypełził z otworu ludzki kształt, purpurowy w blasku płomiennej łuny. Wlokąc złamaną nogę, z dolną szczęką zwisającą jak u trupa, Nie-człowiek dźwignął się i zrobił kilka niepewnych kroków w jego stronę. Ransom nie miał jednak czasu, by na to zareagować. Z czarnej dziury zaczęło wychodzić coś innego.

Najpierw wyłoniło się coś, co przypominało gałęzie drzewa, następnie siedem czy osiem świetlnych punktów, ugrupowanych nieregularnie, jak konstelacja gwiazd, a w końcu jakaś potworna, rurowata masa, odbijająca czerwone światło jak wypolerowany metal.

Serce skoczyło mu do gardła. Gałęzie rozwinęły się gwałtownie w kłębowisko długich macek, punkty świetlne rozbłysły wieloma oczami w przykrytej muszli - jak hełmem - głowie. Rurowata masa okazała się wielkim, prawie cylindrycznym tułowiem. Dalej wyłaniały się kanciaste, wielocłonowe nogi, a kiedy sądził, że ma już przed sobą całe ciało poczwary, z otworu wyłonił się drugi tułów, a za nim trzeci. Potwór składał się z trzech części połączonych cienkimi przegubami, jak odwłok osy z resztą ciała. Wielocłonowa, drgająca masa wznosiła się teraz tuż za Nie-człowiekiem, tak że ich okropne, splecione cienie tańczyły na ścianie poza nimi jak jedno straszliwe zagrożenie.

„Chcą mnie nastraszyć”, odezwał się głos w mózgu Ransoma i w tym samym momencie poczuł pewność, że to Nie-człowiek wezwał tego olbrzymiego, podziemnego robaka i że to on wsadził do jego mózgu złe myśli poprzedzające pojawienie się Przeciwnika. Świadomość, że jego myśli mogą być w ten sposób kierowane z zewnątrz, obudziła w nim nie grozę, lecz wściekłość. Uprzytomnił sobie - jakby obserwował kogoś innego - że wstaje, zbliża się do Nie-człowieka i krzyczy do niego po angielsku:

- Czy myślisz, że ci na *to* pozwolę?! Precz z mego mózgu! To nie twój mózg! Powtarzam ci: wynoś się!

Wyrzucił z siebie te słowa jak w transie i podniósł znad strumienia wielki, kanciasty kamień.

- Ransom! Zaczekaj! Obaj jesteśmy w pułapce... - zaskrzeczał Nie-człowiek. Ale Ransom był już przy nim.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Ś świętego... a więc... Amen! - zawołał i z całej siły cisnął kamieniem w twarz Nie-człowieka. Tamten upadł sztywno, jak przewrócony ołówek, z twarzą zmiażdżoną tak, że nie można już było rozpoznać rysów.

Ransom gotów już był stawić czoło drugiej okropności. Ale gdzie się podziała okropność? To nieznanne stworzenie, bez wątpienia dziwacznie ukształtowane, nie budziło już żadnej odrazy ani lęku. Jak w ogóle można mieć coś przeciw jakiemuś zwierzęciu tylko dlatego, że ma więcej nóg i

oczu niż my? Wszystko, co od samego dzieciństwa czuł do insektów i płazów, zamarło w nim tak raptownie i nieodwołalnie, jak zamiera obrzydliwa muzyka, gdy wyłączy się radio. Bez wątplenia były to od samego początku złe czary Przeciwnika. Kiedyś, w Cambridge, gdy siedział w pobliżu okna zajęty pisaniem, doznał wstrząsu, bo ujrzał, jak po białym papierze pełźnie wielobarwny robak o wyjątkowo wstrętnym kształcie. Ale zaraz odetchnął z ulgą: owad okazał się zeschniętym liściem poruszonym przez powiew wiatru. Nagle te same zakrzywienia i wklęsłości, które jeszcze przed chwilą stanowiły o brzydocie robaka, uczyniły pięknym zeschniętym liściem.

W tej chwili doznał bardzo podobnego uczucia. Nie miał już najmniejszej wątpliwości, że stworzenie nie chce wyrządzić mu krzywdy, prawdę mówiąc, w ogóle nie ma żadnych zamiarów. Zostało tu przywleczone przez Nie-człowieka, a teraz stało spokojnie, niezobowiązująco poruszając czułkami. Widocznie nowe otoczenie nie przypadło mu do gustu, bo po chwili odwróciło się pracowicie wokół osi i zaczęło znikać w otworze, z którego niedawno wyszło. Ransom patrzył, jak ostatni człon chwieje się nad krawędzią otworu i unosi w górę podobny do torpedy ogon.

„Zupełnie jak ożywiona kolejka podziemna”, pomyślał i omal nie wybuchnął śmiechem.

Spojrzał na Nie-człowieka. Z głowy niewiele zostało, ale wolał nie ryzykować. Chwycił go za nogi, rozciągnął na skraju ognistej przepaści i - po krótkim odpoczynku - zepchnął w dół. Przez sekundę zarysowało się czernią na tle złota, bieli i purpury, a potem znikło w morzu ognia.

Dopełził, a raczej dotoczył się do strumienia i pił długo. „Może to koniec, a może jeszcze nie - pomyślał - może jest wyjście z tych podziemi, a może go nie ma, ale dzisiaj nie zrobię już ani jednego kroku. Nawet gdyby miało mi to uratować życie. Nawet za cenę życia. Sprawa załatwiona. Chwała Bogu. Jestem zmęczony.”

W tej samej chwili zapadł w głęboki sen.

Rozdział 15

Resztę podziemnej wędrówki Ransom odbył jakby w malignie, półprzytomny z wyczerpania i głodu. Pamięta, że gdy obudził się po długim śnie w rozjarzonej blaskiem ognia jaskini, przez wiele godzin leżał jeszcze nieruchomo nad ciepłym strumieniem, prowadząc dialog sam ze sobą, czy warto iść dalej. Sam moment decyzji uleciał mu z pamięci, a następne obrazy odcisnęły się w niej bardzo chaotycznie.

Najpierw była długa galeria, otwarta z jednej strony na płomienistą czeluść i jakieś przerażające miejsce, z którego wydobywały się obłoki pary. Niewątpliwie jeden z podziemnych potoków znajdował tam ujście w otchłani ognia. Dalej były mniej oświetlone komory pełne nieznanymi minerałami, które lśniły i grały blaskami mamiąc jego oczy, jakby zwiedzał ciemną, pełną luster salę przyświecając sobie latarką. Wydawało mu się także - chociaż mógł to być wytwór wyobraźni - że przeszedł przez przestronną, katedralną nawę, przywodzącą na myśl bardziej dzieło sztuki niż przyrody, z dwoma wielkimi tronami w jednym końcu i stallami po obu stronach, zbyt dużymi jak dla istot ludzkich. Jeśli ten obraz był realny, Ransom nigdy nie znalazł jego wytłumaczenia.

Był też ciemny tunel, w którym dął wiatr - nie wiadomo skąd - i miotał mu piasek w twarz. Było miejsce, przez które szedł w ciemności, patrząc w dół - przez gmatwaninę szybów, naturalnych łuków i poskręcanych lejów - na gładką posadzkę zalaną chłodnym, zielonym światłem. I kiedy tak stał i patrzył, wydało mu się, że w pole widzenia wpłynęły wielkie, podobne do ziemskich żuków stworzy, pomniejszone przez odległość do rozmiarów komarów.

Posuwały się parami ciągnąc platformę, a na niej stała wyprostowana i nieruchoma, wysmukła postać spowita płaszczem. Dziwny zaprzęg przesunął się powoli przez tę naturalną scenę i zniknął mu z oczu, pozostawiając w pamięci wspomnienie jakiegoś trudnego do zniesienia majestatu. Wnętrze tej planety nie było przeznaczone dla czubwieka, ale z całą pewnością oddane zostało komuś we władanie.

Pomyślał, że zapewne jest jakiś sposób - należy go tylko znaleźć - odnowienia starych, pogańskich praktyk, mających na celu zjednanie sobie miejscowych bóstw nieznanymi krainami w taki sposób, by nie było to obrazą samego Boga, lecz tylko formą rozsądnych i uprzejmych przeprosin za wtargnięcie do ich królestwa. Ta okryta płaszczem postać na dziwnym rydwaniu była bez wątpienia istotą podobną człowiekowi, co nie oznacza wcale, by byli sobie równi lub by mieli równe prawa w podziemnej krainie.

W długi czas później usłyszał bębnienie - *bum-bum-ba-ba-bum* z nieprzeniknionej ciemności - najpierw odległe, później otaczające go ze wszystkich stron, a w końcu zamierające w oddali po kaskadzie echa przetaczającej się długo ciemnym labiryntem. Potem ujrzał kolumnę zimnego, pulsującego światła. Choć szedł ku niej przez wiele godzin, nigdy nie udało mu się do niej zbliżyć, aż w końcu nagle znikła i nigdy już się nie dowiedział, co to było.

Wreszcie, po tylu dziwacznych zachwytach i trudach, że trudno mi je tutaj opisać, nadszedł moment, w którym nagle, bez żadnego ostrzeżenia, pośliznął się na glinie i z dreszczem przerażenia, wyciągnawszy instynktownie ręce, aby się czegoś złapać, walczył już rozpaczliwie z bystrym nurtem głębokiej wody. Zdażył tylko pomyśleć, że jeśli nawet uniknie roztrzaskania o kamienne ściany kanału, to wkrótce wpadnie z potokiem do ognistej otchłani. Kanał musiał być bardzo prosty, a prąd mniej gwałtowny, niż przypuszczał, bo ani razu nie otarł się o brzegi, choć długo pędził z nurtem przez rozbrzmiewające echem ciemności, poddawszy się swemu losowi.

Nietrudno zrozumieć, że oczekiwanie śmierci, wyczerpanie i ogłuszający ryk wody osłabiły jego zdolność postrzegania i myślenia. Sięgając później pamięcią do tych chwil, wyłuskiwał z niej zmiany barwy: najpierw przejście z czerni w szarość, potem z szarości w niepojęty chaos

półprzejrzystego błękitu, zieleni i bieli. W górze migotały zarysy łuków i kolumn świecących przyćmionym blaskiem, wszystko to było jednak bardzo niewyraźne i krótkotrwałe. Przez chwilę miał wrażenie, że płynie przez jaskinię z lodu, ale szybko zreflektował się, że jest na to za ciepło. Sklepienie marszczyło się i falowało jak powierzchnia wody - musiała to być gra refleksów światła. A w chwilę później prąd wyniósł go w krainę słońca, powietrza i ciepła. Pochwycony przez wir, przekoziółkował kilka razy i wylądował na płyciźnie wielkiego zalewu, oślepiiony i bez tchu.

Był zbyt słaby, by się poruszyć. Coś w powietrzu, a także niezmierna cisza tworząca tło dla pojedynczych krzyków ptactwa powiedziały mu, że znajduje się na szczycie wysokiej góry. Wytoczył się z wody na wonny, błękitny mech. Spojrzawszy tam, skąd przybył, ujrzał rzekę wylewającą się ze skalnej gardzieli, naprawdę przypominającej lodową pieczarę. Pod nią woda była widmowo niebieska, lecz tu, w spokojnym rozlewisku, nabrał a ciepłej, bursztynowej barwy. Przesycone lekką mgiełką powietrze pachniało świeżością, a wokoło perliła się rosa. Tuż obok wyrastała skalna ściana spowita barwną roślinnością, zaś tam, gdzie prześwitywała naga powierzchnia - lśniła jak szkło. Lecz to wszystko niewiele go obchodziło, skoro pod drobnymi, ostro zakończonymi liśćmi dostrzegł kiście podobnych do winogron owoców. Mógł po nie sięgnąć nie podnosząc się z mchu. Przejścia od jedzenia do snu nie zapamiętał w ogóle.

Od tego punktu coraz trudniej odtworzyć przeżycia Ransoma w określonym porządku. Nie miał pojęcia, jak długo leżał nad rzeką u ujścia z podziemi, jedząc, śpiąc i budząc się jedynie po to, by znowu jeść i spać. Mówił, że mogło to trwać przez dzień lub dwa, ale jego niezły stan fizyczny po zakończeniu rekonwalescencji wskazywałby raczej, że minęły ze dwa lub trzy tygodnie. Był to czas, który miał odtąd powracać tylko w snach, jak okres niemowlęctwa. Bo, prawdę mówiąc, przeżył wówczas swoje drugie niemowlęctwo, gdy jego karmicielką była sama planeta Wenus.

Z długiego, świątecznego odpoczynku utrwaliły mu się w pamięci trzy wrażenia. Jednym był nieustający szmer rozradowanej wody. Drugim - rozkoszne życie, jakie wysysał z kiści gron chylących się ku jego wyciągniętej dłoni. I wreszcie pieśń - raz bujająca wysoko nad głową, innym razem wytryskająca z odległych dolin i wąwozów - która płynęła przez jego sny i była pierwszym dźwiękiem, jaki słyszał po przebudzeniu. Była bezkształtna jak pieśń ptaka, lecz nie wyśpiewywał jej ptasi głos. Jeśli ptasi trzel porównać z dźwiękiem fletu, to ten głos można by porównać do wiolonczeli: w obu wypadkach różnica jest podobna. Był to głos głęboki, dojrzały i czuły, głos pełny jak brzemienny wiatrem żągiel, głos bogaty i zbtobrazowy, głos wezbrany namiętnościami - tak, ale nie były to na pewno namiętności ludzkie.

Ponieważ Ransom wynurzał się ze stanu półświadomej bierności i snu stopniowo, jego wrażenia z miejsca, w którym leżał, są trudne do odtworzenia w takim porządku i natężeniu, w jakim ich doznawał. Mogę tylko opisać, co zobaczył, gdy już odzyskał zdrowie i jasność myśli.

Podziemna rzeka wypływała z gardzieli w wysokim, prostopadłym skalnym masywie, zbudowanym nie z lodu, lecz z jakiegoś przepuszczającego światło minerału. Jego drobne odłamki były przezroczyste jak szkło, ale skała oglądana z bliska robiła się mętna już na głębokości około piętnastu centymetrów. Jeśli się weszło do jaskini, brodząc pod prąd brzegiem rzeki, i spojrzano wstecz, krawędzie łuku tworzącego wylot były przezroczyste, a całe wnętrze tonęło w niebieskawym świetle. Jak to wyglądało na szczycie urwiska, Ransom nigdy nie zdołał zbadać.

Przed urwiskiem rozpościerała się płaska, porośnięta błękitnym mchem łąka, która po mniej więcej trzydziestu krokach zaczynała dość stromo opadać. Rzeka spływała tam wartko, tworząc serię porohów i kaskad wśród bujnych kwiatów, drżących nieustannie pod tchnieniem łagodnego wiatru. Zbocze ciągnęło się dość daleko i kończyło krętą, zalesioną doliną, która skręcała w prawo i nikła z oczu za majestatycznym wzniesieniem. A dalej - tak nisko i daleko, że wydawało się to ułudą - majaczyły szczyty gór, a poza nimi ledwo widoczne kotliny i jary rozpl ywające się w

złoty mgłach. Po przeciwnej stronie doliny piętrzył się łańcuch niebieskich, pofałdowanych grzbietów niemal himalajskiej wysokości, ukoronowanych czerwonymi turniami. Nie była to przydymiona czerwień nadmorskich klifów Devonu, lecz czysta różowoczerwona barwa przywodząca na myśl świeżo położoną farbę. Ransom zdumiewała czystość tej barwy, a także niezwykła ostrość skalnych iglic, szybko jednak przypomniał sobie, że przebywa w bardzo młodym świecie: z geologicznego punktu widzenia te góry przeżywały okres dzieciństwa. Ponadto mogły leżeć o wiele dalej, niż mu się wydawało.

Z tyłu przesłaniały widok kryształowe urwiska, po prawej stronie kończące się rychło, a dalej wyrastał inny szczyt, o wiele niższy od tych, które widniały na wprost, za doliną. Fantastyczna stromość wszystkich zboczy potwierdzała domysł, że znajduje się w bardzo młodych górach.

Jeśli nie liczyć błakającej się pod niebem i w dolinach pieśni, było tu bardzo cicho. Od czasu do czasu pojawiały się samotne ptaki, zwykle jednak o wiele niżej. Na zboczach po prawej stronie i - nieco mniej wyraźnie - na stromiźnie wielkiego masywu na wprost coś ustawicznie migotało i falowało, lecz Ransom nie potrafił znaleźć przyczyny tego zjawiska. Przypominał o to spływającą po stoku wodę, ale gdyby rzeczywiście płynęły tam potoki, to biorąc pod uwagę oddalenie masywu, musiałyby mieć ze dwie lub trzy mile szerokości - więc uznał to za nieprawdopodobne.

Starając się zebrać spostrzeżenia Ransom w jeden obraz, pominął em coś, co w rzeczywistości bardzo mu utrudniało wizję całości. Krajobraz spowijały co pewien czas welony szafranowej lub bładozłotej mgły, jakby złociste sklepienie nieba, które zdawało się wisieć zaledwie o kilka stóp nad szczytami gór, otwierało się, by wylać na świat swoje bogactwa.

Dzień po dniu poznając coraz lepiej swoje otoczenie, Ransom poznawał również stopniowo stan własnego ciała. Przez długi czas było tak zeszywniałe i odrętwiałe, że nie mógł sobie pozwolić na żaden ruch, a nawet nieostrożny oddech wywoływał grymas bólu. Zdrowie powracało jednak zadziwiająco szybko.

Najpoważniejszą ranę odkrył dopiero wtedy, gdy czuł się już naprawdę dobrze. Była to rana w pięcie. Jej kształt wskazywał wyraźnie, że musiała być zadana ludzkimi zębami - mocnymi, tępyimi zębami właściwymi naszemu gatunkowi, które bardziej miażdżą i szarpią, niż przecinają. Co dziwniejsze, w ogóle nie pamiętał takiego ugryzienia w żadnym z licznych starć z Nie-człowiekiem. Rana nie wyglądała groźnie, ale wciąż krwawiła. Choć nie był to silny krwotok, nie mógł go zatamować. Nie przejmował się tym specjalnie: w owym czasie ani przeszłość, ani przyszłość nie bardzo go interesowały. Zarówno lęk, jak i pragnienie czegokolwiek należały wówczas do tych stanów świadomości, do których nie był zdolny.

W końcu nadszedł dzień, w którym odczuł potrzebę jakiejś aktywności, choć nie był jeszcze gotów do porzucenia swego legowiska między rozlewiskiem rzeki a skalną ścianą - legowiska, które stało mu się domem. Zajął się więc czymś, co może się wydawać śmieszne i niedorzeczne, ale co wówczas uważał za swoją powinność. Stwierdził, że substancja owej przezroczystej skały nie jest zbyt twarda. Znalazł ostry kamień innego rodzaju i oczyścił kawał ściany z roślinności. Wymierzył rozmieszczenie liter i przez kilka godzin mozolnie wycinał je w skale.

Napis ułożył w starym języku solarnym, ale oczywiście posłużył się alfabetem łacińskim:

W tych jaskiniach zostało spalone ciało Edwarda Rollesa Westona uczonego hnau ze świata zwanego przez jego mieszkańców Ziemią a przez eldile Tulkandrą.

Urodził się, gdy Ziemia dokonała tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt obrotów wokół Arbola od kiedy MALELDIL - niech będzie błogosławiony - narodził się jako hnau na Tulkandrze.

Ten Weston badał właściwości ciał i jako pierwszy z Ziemiaków odbywał podróże przez Głębiny Niebios na Malakandrę i na Perelandrę gdzie swoją wolę i rozum oddał Skrzywionemu Eldilowi

kiedy Ziemia dokonała tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego obrotu wokół Arbola od narodzin Maleldila - któremu chwała na wieki - - Czyste wariactwo - mruknął z zadowoleniem, układając się na miękkim mchu. - Nikt tego nigdy nie przeczyta. Ale należało to jakoś uwiecznić. Mimo wszystko był wielkim fizykiem. A w każdym razie trochę się rozruszałem.

Ziewnął potężnie i zapadł w dwunastogodzinny sen.

Nazajutrz poczuł się na tyle dobrze, że pospacerował trochę po łące, choć nie odważył się jeszcze zejść po zboczu. Następnego dnia przyniósł dalszą poprawę; trzeciego czuł się już zupełnie zdrow i gotów do dalszych przygód.

Wyruszył wczesnym rankiem, trzymając się brzegu rzeki. Zbocze okazało się bardzo strome, ale nie skaliste, a błękitny mech tak miękki i sprężysty, że schodząc w dół nie czuł wcale zmęczenia w kolanach. Mniej więcej po pół godziny, gdy przeciwny szczyt przesłonił już całkowicie widok, a pozostawione z tyłu kryształowe urwiska lśniły w oddali jak bładniebieska poświata, doszedł do strefy odmiennej roślinności. Rozpoczynał się tu las karłowatych drzewek sięgających mu zaledwie do pasa. Ze szczytu każdej gałęzi wyrastały wiotkie wstęgi, falujące na wietrze równoległe do zbocza jak długie proporce. Brodził wśród roślin niby po falującym nieustannie morzu, rozciągającym się teraz aż po horyzont. Błękit tego morza był jaśniejszy od błękitu mchu; intensywny w środku każdej wstęgi, przechodził w niebieską szarość ku pierzastym krawędziom, co w sumie dawało efekt przypominający nisko ścielące się dymy lub wieczorne mgły w naszym świecie. Subtelna, prawie niewyczuwalna pieszczota tych wstęg na jego nagiej skórze, ich cichy, śpiewny szum i wesoły ruch towarzyszący każdemu jego krokowi sprawiły, że serce zaczęło mu bić rytmem tej samej, prawie beztroskiej radości życia, jaką odczuwał już na Perelandrze przed spotkaniem Przeciwnika. Teraz wiedział, że te właśnie karłowate lasy - „falujące drzewa”, jak je nazwał - były wyjaśnieniem owego zjawiska migotania czy falowania wody, widzianego z góry na dalekich stokach.

Kiedy poczuł zmęczenie i usiadł, znalazł się w zupełnie innym świecie. Zwiewne wstęgi falowały teraz nad jego głową. Był jakby w lesie stworzonym dla karzełek, w lesie przykrytym błękitnym, przejrzystym baldachimem, pośród żywej mozaiki światła i cieni. A po chwili, gdy już nasycił oczy ich nieustającym tańcem na niebieskim mchu, spostrzegł, że ten las został naprawdę stworzony dla karzełek. W gęstwinie mchu, szczególnie tu bogatego i pięknego, wędrowały tu i tam małe stworzonka. W pierwszej chwili wziął je za owady, ale gdy przyjrzał się bliżej, okazały się małymi ssakami. Było tam wiele górskich myszy rozmiarów trzmieli - miniaturowe modele tych, które już spotkał na Stałym Łądzie. Były prawdziwe cuda natury: małe, wdzięczne stworzenia podobne do koników, a jeszcze bardziej do ziemskich przodków konia.

„Jak tu iść dalej, żeby nie zdeptać tysięcy tych cudownych stworzeń”, zafrasował się Ransom, lecz po chwili spostrzegł, że w rzeczywistości nie były tak liczne, jak się wydawało. Główne stado wkrótce się oddaliło, a kiedy wstał, w polu widzenia było zaledwie kilka miniaturowych koników.

Blisko godzinę brodził wśród falujących wstęg, mając wrażenie, że zażywa kąpieli w łagodnych morskich falach. Potem doszedł do wysokiego lasu, a niebawem drogę zagroziło mu skaliste łóżko rzeki, płynącej w prawą stronę. Musiał już dotrzeć do owej krętej, lesistej doliny, którą widział z góry. Na drugim brzegu rozpoczynało się zbocze wiodące ku wielkiemu masywowi góry. Tu, w uroczyściej nawet wysokopiennego lasu, gęstniał bursztynowy cień, strumyczki spływały ze skał i coraz mocniej rozbrzmiewała dziwna pieśń, słyszana już na szczycie. Teraz była tak głośna i melodyjna, że Ransom zboczył w prawo i poszedł z biegiem strumienia, by odnaleźć jej źródło. Bardzo szybko opuścił majestatyczne nawy i przestronne polany i musiał się przedzierać przez gęszcza wysokich, kwitnących krzewów. Wkrótce głowę miał obsypaną barwnymi płatkami, a boki pokryte pyłkiem. Pozbawione kolców gałązki wydzielaly żywiczną substancję, każdy krok

dobycwał z gleby i roślinności nowe, cudowne wonie, od których kręciło mu się w głowie. Pieśń rozbrzmiewała coraz silniej, lecz nagle, gdy zarośla stały się tak gęste, że nie widział nic na odległość jarda, umilkła. Usłyszał trzask łamanych gałązek i ruszył w tym kierunku, ale nic nie zobaczył. Był już bliski poniechania dalszych poszukiwań, gdy pieśń zabrzmiała znowu, tym razem nieco dalej. Pospieszył w tym kierunku i ponownie tajemnicza istota przestała śpiewać i ukryła się przed nim. Zabawa w chowanego trwał blisko godzinę, lecz w końcu jego upór został nagrodzony.

Skradając się powoli w czasie najgłośniejszego wybuchu melodii, dostrzegł poprzez obsypane kwiatami gałęzie coś czarnego. Zatrzymując się, gdy pieśń milkła, i posuwając z największą ostrożnością dalej, gdy rozbrzmiewała ponownie, podchodził coraz bliżej. Po dziesięciu minutach ujrzał wreszcie wyraźnie wielkie, czarne stworzenie, które śpiewało, nie wiedząc, że jest obserwowane. Czarne, gładkie i lśniące, siedziało wyprostowane jak pies. Jego barki sięgały o wiele wyżej niż głowa człowieka, przednie nogi wpierały się mocno w ziemię jak młode drzewka, a szerokie, miękkie łapy przypominały racice wielbłąda. Potężny, zaokrąglony brzuch lśnił bielą, a z ramion wyrastała długa, końska szyja. Głowa zwrócona była profilem. Z szeroko otwartych ust płynęła kaskada trel - pieśń tak nabrzmiała radością i tak mocna, że niemal widoczna w lśniącym gardle. Ransom wpatrywał się jak urzeczonego w ogromne, wilgotne oczy i drgające, czułe nozdrza. Nagle stworzenie umilkło, dostrzegło go i odskoczyło o parę kroków, a następnie zamarło bez ruchu na czterech łapach, niewiele mniejsze od młodego słonia, kołysząc długim, puszystym ogonem. Było pierwszą istotą na Perelandrze, która okazała pewien lęk przed człowiekiem.

A jednak nie był to lęk. Na głos Ransom'a zwierzę podeszło, ostrożnie zbliżyło aksamitny nos do jego dłoni i pozwoliło się dotknąć. Natychmiast jednak odskoczyło i, wyginając długą szyję, ukryło głowę w przednich łapach.

Ransomowi nie udało się z nim porozumieć i kiedy w końcu zniknęło w zaroślach, zrezygnował z dalszych prób. Nie chciał dokonywać żadnego gwałtu na jego sarniej płochliwości, na jego ustępliwej delikatności i wyraźnej chęci pozostania na zawsze jedynie dźwiękiem w najgęstszych zakątkach bezludnych lasów.

Powrócił na swój szlak, a po kilku minutach pieśń rozbrzmiała jeszcze potężniej i jeszcze piękniej niż dotąd, jakby w radosnym peanie na cześć odzyskanej samotności.

Zabrał się teraz poważnie do zdobywania wielkiej góry. Po kilkunastu minutach wyszedł z lasu na jej niższe zbocza. Były tak strome, że blisko pół godziny wspinał się przy użyciu nie tylko nóg, ale i rąk, dziwiąc się jednocześnie, że prawie nie odczuwa zmęczenia. Potem znowu wszedł w strefę falujących drzew. Tym razem wiatr wiał z dołu, unosząc wiotkie wstęgi w taki sposób, że wydawały się tworzyć zdumiewający, bo płynący pod górę, wodospad, pieniający się i falujący w kierunku szczytów. Za każdym razem, gdy wiatr na chwilę zamierał, błękitne wstęgi zwijały się i opadały pod wpływem siły ciężenia, jak grzywy fal załamujące się pod uderzeniami mocnego, przeciwnego wiatru.

Szedł długo, odpoczywając co pewien czas, choć właściwie nie musiał tego robić. Znajdował się już tak wysoko, że spoglądając za siebie, przez dolinę widział na tym samym co on poziomie kryształowe urwisko, spod którego wyruszył w drogę. Teraz zobaczył, że dalej, za białym klifem, piętrzy się łańcuch podobnych stromizn, zakończony czymś w rodzaju szklanej góry stołowej. Pod obnażonym słońcem naszej planety nie mógłby nań patrzeć - tutaj, pod matowym falowaniem, jakie perelandryjskie niebo zapożycza od oceanu, szklisty płaskowyż oślepiął drżącym, zmieniającym się co chwila blaskiem. Na lewo widniały pojedyncze iglice zielonych skał.

Wspinał się dalej. Zielone szczyty i biabniebieski płaskowyż stopniowo opadały i malały, a za nimi pojawił się cudowny plaster mgły mieniający się barwami ametystu, szmaragdu i złota. W miarę

wspinaczki wznosiła się również krawędź tego plastra, aby wreszcie utworzyć widnokrag morza zawieszony nad szczytami gór. A podczas gdy góry malały, morze rosło z każdym krokiem. Jego widnokrag podnosił się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu wszystkie niższe góry zdawały się spoczywać na dnie wielkiej, barwnej misy morza. Tak było poza nim, natomiast przed nim wyrastało pod niebo bezkresne zbocze, raz błękitne, raz fioletowe, raz migocące plamami falujących drzew, podobnymi do pełzającego w górę dymu.

Oglądając się wstecz nie widział już lesistej doliny, gdzie spotkał śpiewające zwierzę, a góra, z której wyruszył, wyglądała jak nieznaczna wypukłość na stoku wielkiego masywu. W powietrzu nie było ptaków; pod baldachimem błękitnych wstęg nie wędrowały już żadne miniaturowe stworzenia. Pięta przez cały czas nieznacznie mu krwawiła. Nie odczuwał lęku, nie dokuczała mu samotność. Nie miał żadnych pragnień, nie myślał nawet o osiągnięciu szczytu ani o tym, po co tam idzie. Ta nie kończąca się wspinaczka przestała być czynnością - była teraz stanem, w którym żył i w którym czuł się szczęśliwy. W pewnej chwili pomyślał nawet, że już umarł i dlatego nie czuje zmęczenia, bo już nie ma ciała. Rana w pięcie skłaniała do wniosku, że tak nie jest, ale gdyby nawet nie żył i gdyby te góry należały do pozagrobowego świata, jego wędrowka nie mogłaby być wspanialsza i dziwniejsza.

Noc spędził na zboczu, leżąc wśród delikatnych pni falujących drzewek, pod słodko pachnącym, chroniącym od wiatru, cicho szepczącym baldachimem. Rano ruszył w dalszą drogę. Z początku wędrował w gęstej mgle, a gdy się rozstąpiła, był już tak wysoko, że horyzont morza otaczał go ze wszystkich stron, prócz jednej, gdzie piętrzyły się - już niedalekie - różowoczerwone iglice. Poprzez przełęcz między dwiema najbliższymi uchwycił spojrzeniem rąbek czegoś nieokreślonego, łagodnego i zarazem wzbudzającego wzruszenie. Opanowała go dziwna mieszanina uczuć: z jednej strony pewność, że musi wejść do tego tajemniczego miejsca strzeżonego przez skalne iglice, z drugiej strony - równie silne poczucie lęku przed pogwałceniem czyjegoś prawa. Nie śmiał zawrócić z drogi i nie śmiał przekroczyć przełęczy. Rozglądał się za aniołem z mieczem ognistym, lecz wiedział, iż Maleldil nakazuje mu tam wejść „Będzie to najświętszy i zarazem najbardziej bezbożny czyn w moim życiu”, pomyślał, ale szedł dalej i wkrótce dotarł do przełęczy.

Szczyty po obu jej stronach nie były zbudowane z czerwonej skały. Zapewne miały skalny rdzeń - na to wskazywały ich kształty, przywodzące na myśl alpejski Matternhorn - ale spowijały je płaszcz z kwiatów podobnych do lilii, lecz koloru róż. Niebawem takie same kwiaty pokryły kobiercem drogę, po której szedł. Miażdżył je bosymi stopami; nareszcie nie zostawiał krwawych śladów.

Z siodła między dwiema iglicami spojrzął nieco w dół, bo wierzchołek tej dziwnej góry tworzył płytką nieckę. Zobaczył dolinę o powierzchni kilku akrów, tak tajemniczą jak dolina na szczycie jakiejś chmury: purpurową dolinę otoczoną dziesięcioma lub dwunastoma lśniąco iglicami. W środku widniał staw, którego czysta, gładka tafla odbijała złoto nieba. Lilie spływały aż do samej krawędzi stawu, wytyczając wszystkie jego zatoczki i przylądki.

Poddając się bez oporu ogarniającemu go poczuciu grozy, szedł powoli przed siebie z pochyloną głową. Tuż nad wodą zobaczył coś białego. Ołtarz? Plama białych kwiatów pośród szkarłatnych? Grobowiec? Ale czyj? Nie, to nie był grobowiec, lecz trumna - otwarta i pusta. Wieko leżało tuż obok.

Wreszcie zrozumiał. Trumna była bliźniaczą kopią kosmicznego pojazdu, w którym moce anielskie przyniosły go z Ziemi na Wenus. „Czeka, przygotowana na mój powrót.” Gdyby pomyślał „na mój pogrzeb”, jego uczucia nie różniłyby się wiele. A gdy o tym myślał, uświadamiał sobie stopniowo, że w dwu miejscach tuż obok niego kwiaty są jakieś dziwne. Po chwili dostrzegł,

że ta dziwność polega na osobliwej różnicy w świetle, a zaraz potem, że dotyczy nie tylko kwiatów, lecz i powietrza nad nimi. Po kilku sekundach krew zaczęła w nim krążyć szybciej i przeniknęło go znajome, choć wciąż dziwne poczucie pomniejszania i zanikania. Wiedział już, że stoi w obliczu dwóch eldilów.

Stał nieruchomo, bez słowa. Nie do niego należało przerwanie milczenia.

Rozdział 16

Rozległ się czysty głos, przypominający melodię dalekich dzwonek, głos całkowicie bezcielesny, który sprawił, że Ransom poczuł mrowienie w całym ciele.

- Postawili już stopy na piasku i zaczynają się wspinać.

- Ten mały z Tulkandry już tu jest - powiedział drugi głos.

- Popatrz na niego, umiłowany, i pokochaj go - rzekł pierwszy. - Zaprawdę, jest tylko oddychającym pyłkiem i nieostrożne dotknięcie mogłoby obrócić go wniwecz. A jego najlepsze myśli zmieszane są z takimi, że gdyby nam się to zdarzyło, zagasłoby nasze światło. Ale jest w ciele Maleldila, a jego grzechy są już odkupione. W swoim języku nazywa się Elwin, czyli przedstawiciel eldilów.

- Jak wielka jest twoja wiedza! - odezwał się drugi głos.

- Byłem tam, w dole, w powietrzu Tulkandry - odrzekł pierwszy - którą ci malcy nazywają Ziemią. Gęste powietrze, tak pełne Ciemnych, jak Głębiny Niebios pełne są Świetlistych. Słyszałem tych więźniów, jak rozmawiają ze sobą w różnych językach. Elwin powiedział mi, jak to z nimi jest.

Ransom zrozumiał, że te słowa wypowiedział Ojarso Malakandry, wielki archont Marsa. Nie rozpoznał głosu, bo głosy eldilów nie różnią się między sobą. Nie działają fizycznie na nasze bębny słuchowe, lecz tworzą efekt dźwięku wprost w naszej świadomości, a ich mowa nie ma oczywiście nic wspólnego z płucami czy wargami.

- Jeśli wolno, Ojarso - rzekł Ransom - powiedz mi, kim jest ten drugi?

- To jest właśnie Ojarso - brzmiała odpowiedź - bo tutaj nie jest to moje imię. Jestem Ojarsą w mojej własnej sferze. Tutaj jestem po prostu Malakandrą.

- Ja jestem Perelandra - rzekł drugi głos.

- Nie rozumiem - powiedział Ransom. - Ta kobieta powiedziała mi, że w tym świecie nie ma eldilów.

- Do dziś nie widzieli mego oblicza. Mogli mnie oglądać tylko w wodzie, w sklepieniu nieba, w wyspach, jaskiniach i drzewach. Nie zostałem ustanowiony, by nimi rządzić, lecz gdy byli młodzi, władałem wszystkim innym. To ja utoczyłem tę kulę, gdy po raz pierwszy oderwał a się od Arbola. Ja oprząłem ją powietrzem i utkałem jej sklepienie. Ja zbudowałem Stały Łąd i tę świętą górę, tak jak mi nakazał Maleldil. Zwierzęta, które śpiewają, i te, które latają, i wszystko, co pływa po moim łonie, i to, co pełza i drąży w moim wnętrzu, aż do samego rdzenia - wszystko to należało do mnie aż do dzisiaj. Chwała Maleldilowi!

- Ten mały może cię nie zrozumieć - odezwał się Pan Malakandry. - Myśli, że czujesz się skrzywdzony.

- Przecież tego nie mówi, Malakandro.

- Nie mówi. To jeszcze jedna dziwna cecha dzieci Adama.

Na moment zapanowała cisza, a potem Malakandra zwrócił się do Ransoma:

- Zrozumiesz to lepiej, gdy w myślach porównasz to z pewnymi wydarzeniami w twoim świecie.

- Sądzę, że rozumiem - odrzekł Ransom. - Mówił nam o tym jeden z rzeczników Maleldila. Dzieje się podobnie, gdy dzieci wielkiego rodu osiągną pełnoletność. Wówczas ci, którzy zarządzali całym ich dziedzictwem, i których mogli nawet nigdy nie oglądać, przekazują wszystko w ich ręce i oddają im klucze.

- Dobrze to rozumiałś - rzekł Perelandra. - Podobnie dzieje się również, gdy śpiewające zwierzę porzuca niemą matkę, która je wykarmiła swą piersią.

- Śpiewające zwierzę? - powtórzył Ransom. - Bardzo bym chciał dowiedzieć się o nim więcej.

- Te zwierzęta nie mają mleka. Ich potomstwo karmi samica innego gatunku. Jest duża i piękna, lecz niema. Dopóki śpiewające zwierzę karmi się jej mlekiem, przebywa wśród jej szceniąt i jest jej posłuszne. Lecz gdy dorośnie, staje się najbardziej subtelne i wspaniałe ze wszystkich zwierząt i wówczas opuszcza ją, a ona zachwyca się jego śpiewem.

- Dlaczego Maleldil tak to uczynił?

- A dlaczego Maleldil stworzył mnie? Teraz wystarczy powiedzieć, że zwyczaje tych dwu gatunków zwierząt pomogą w osiągnięciu mądrości mojemu Królowi, mojej Królowej i ich dzieciom. Ale dość już o tym. Nadchodzi godzina.

- Jaka godzina? - zdziwił się Ransom.

- Nadszedł dzień świtu - odparł jeden lub drugi głos, a może oba razem. Ale do Ransoma dotarło coś więcej prócz samych dźwięków. Serce zaczęło mu bić szybciej.

- Świtu... To znaczy... Czy wszystko się udało? Czy Królowa odnalazła Króla?

- Dzisiaj narodził się świat - rzekł Malakandra. - Dzisiaj po raz pierwszy dwa niższe stworzenia, dwie podobizny Maleldila, które oddychają i mnożą się jak zwierzęta, przestąpiły próg, na którym potknęli się i upadli twoi prarodzice, i zasiadły na tronie swojego prawdziwego przeznaczenia. Tego jeszcze nigdy nie był. Nie zdarzyło się to w twoim świecie i dlatego właśnie stało się tam coś o wiele większego - ale nie to. A ponieważ coś o wiele większego zdarzyło się na Tulkandrze, to właśnie - a nie coś większego - staje się tutaj.

- Twoje słowa przytłaczają Elwina - odezwał się drugi głos. - Myśli, że jego trud okazał się daremny.

- Nie upadaj na duchu! - rzekł Malakandra. - To nie twoje dzieło. Nie jesteś aż tak wielki, choć zapobiegłeś rzeczy tak wielkiej, że zadziwiłeś Głębiny Niebios. Raduj się, maleńki, swoją własną małością. Nie na tobie spoczywa brzemię zasługi. Nie lękaj się, by twoje ramiona miały dźwigać ten świat. On jest pod tobą i unosi cię.

- Czy oni tu przyjdą? - zapytał Ransom w jakiś czas później.

- Są już wysoko, na zboczu góry - odparł Perelandra. - Nadchodzi nasza godzina. Przygotujmy jakieś kształty, bo jeśli zostaniemy sobą, trudno im będzie nas zobaczyć.

- Mówisz bardzo słusznie - rzekł Malakandra. - W jakiej postaci ukážemy się, by powitać ich godnie?

- Ukážemy się najpierw temu małemu - odpowiedział drugi głos. - On jest czbwiekiem i powie nam, co jest miłe dla ich zmysłów.

- Ja widzę... Widzę *coś* nawet teraz - odezwał się Ransom.

- Czy Król ma wyteżać swój wzrok, by dostrzec tych, którzy przychodzą złożyć mu pokłon? - zapytał archont Perelandry. - Spójrz i powiedz nam, jak to na ciebie działa.

Nagle znikło to nieuchwytnie światło, ta prawie niedostrzegalna różnica w polu widzenia, która sygnalizuje obecność eldila. Znikły też różowe iglice i gładka tafla jeziora. Wokół Ransoma rozpętało się tornado potworności: mknące kolumny ziejące setkami oczu, pulsacje ognia jaś niejące jak błyskawice, szpony i dzioby przecinające powietrze jak straszliwe klingi, kłębiaste masy czegoś, co przypominało śnieg, mknące szaleńczo, by po ułożeniu się w sześć ciany i ośmiościany rozpląnąć się w nieskończenie czarnej próżni.

- Dosyć! Dosyć! - zawołał Ransom i nagle wszystko znikło. Rozglądał się dookoła mrużąc oczy i widząc tylko pola szkarłatnych lili, spływające ku złotej tafli wody. „Te kształty nie odpowiadają ludzkim zmysłom”, dał do zrozumienia eldilom.

- A więc spójrz na to - powiedziały głosy.

Spojrzał, nie bez lęku. Daleko, między dwoma szczytami po drugiej stronie doliny pojawił się

ruchome kręgi. Nic więcej, tylko dwa koncentryczne kręgi obracające się powoli jeden wewnątrz drugiego. Nie było w nich nic przerażającego, jeśli już przyzwyczało się do ich uderzających rozmiarów, ale nie było też nic wymownego. Poprosił więc, by eldile podjęły trzecią próbę. I nagle po drugiej stronie jeziora ukazały się dwie ludzkie postacie.

Były wyższe od sornów, owych olbrzymów, których spotkał na Marsie: miały blisko dziesięć metrów wysokości. Jaśniały jak rozpalone do białości żelazo. Kontury ich ciał rysujące się na tle czerwonego krajobrazu, zdawały się lekko i szybko falować, jakby stałość ich kształtów, podobnie jak w wypadku wodospadów i płomieni, współistniała z oszałamiającym ruchem materii, jaką zawierały. Przy samym brzegu, na pół cala od krawędzi, postacie były przejrzyste, dalej jaśniała stężona, oślepiająca biel.

Przez cały czas, gdy na nie patrzył, zdawały się pędzić ku niemu z zawrotną szybkością. Kiedy jednak przenosił wzrok na otoczenie, trwały nieruchomo. Po części przypisywał to wrażenie ich długim, lśniącem włosom, które unosiły się za nimi, jakby potężny wiatr dał im prosto w twarz. Ale jeśli to był wiatr, to nie polegał na ruchu powietrza, bo wokół nich nie drgnął ani jeden płatek lilii. Postacie nie stały całkiem pionowo w stosunku do dna doliny, ale Ransomowi (podobnie jak mnie, gdy raz na Ziemi spotkałem eldila) zdawało się, że eldile zawsze stoją pionowo. To raczej sama dolina - to cały świat Perelandry - położone były ukośnie względem nich. Przypomniał sobie słowa Ojarsy usłyszane kiedyś na Marsie: „Nie jestem *tutaj* w takim samym sensie, jak ty jesteś *tutaj*”. Przyszło mu do głowy, że te istoty naprawdę są w ruchu, chociaż nie jest to ruch w stosunku do niego. Ta planeta, która wydaje mu się światem nieruchomym, gdy na niej przebywa - jego światem - w rzeczywistości jest dla nich kulą mknącą przez niebiosy. W stosunku do ich własnego, niebiańskiego układu odniesienia eldile musiały mknąć naprzód, aby się utrzymać w tej górskiej dolince. Gdyby się zatrzymały, przemknęłyby obok niego zbyt szybko, by mógł je w ogóle dostrzec, unoszony podwójnym pędem: obrotu planety wokół osi i jej biegu wokół Słońca.

Ich ciała, jak mówił Ransom, były białe. Ale tuż nad ramionami tryskał z tej bieli strumień barw, okrywając szyje, igrając na twarzach i tworząc wokół ich głów jakby pióropusze lub aureole. W pewnym sensie zapamiętał te kolory - to znaczy był pewien, że rozpoznałby je, gdyby je znowu zobaczył - ale mimo wielu wysiłków nie był w stanie wyobrazić ich sobie wizualnie lub nadać im jakiegoś określenia. Nieliczne osoby, z którymi mogliśmy to przedyskutować, podzielały nasze wyjaśnienie tego fenomenu. Sądzimy, że kiedy stworzenia „nadcieleśne” chcą się nam „pokazać”, w rzeczywistości wcale nie działają na siatkówki naszych oczu, lecz manipulują bezpośrednio odpowiednimi częściami naszych mózgów. Jeżeli tak jest w istocie, to bardzo może liwe, że mogą stwarzać w nas takie wrażenia, jakie *powinniśmy* mieć, gdyby nasze oczy były w stanie odebrać te kolory w widmie barw, które aktualnie pozostawały poza ich zasięgiem. „Pióropusze” czy aury obu eldilów bardzo się od siebie różniły. Ojarsa Malakandry jaśniał kolorami zimnymi, porannymi, nieco metalicznymi, czystymi, surowymi i ożywczymi. Ojarsa Wenus płonął ciepłym bogactwem barw, pełnym zapowiedzi bujnego, roślinnego życia.

Najbardziej zaskoczyły go twarze. Trudno sobie wyobrazić coś mniej podobnego do twarzy „aniołów” z popularnych dzieł sztuki. Brakowało im też zupełnie owego bogactwa różnorodności, owego śladu niedojrzałych jeszcze możliwości, jakie budzą zainteresowanie w twarzy ludzkiej. Na tych twarzach wyciśnięty był jeden, niezmienny wyraz - tak dobitny i jasny, że niemal ranił i oślepił - ale prócz niego nie było w nich nic. W tym sensie twarze te były tak „prymitywne” i nienaturalne, jak twarze archaicznych posągów z Egiptu. Ransom długo nie mógł się zdecydować, jak określić ów jeden wyraz twarzy. W końcu oświadczył, że było to miłosierdzie. Cokolwiek to znaczy, jednego był pewny: nie można go porównywać z wyrazem ludzkiego miłosierdzia, które zawsze widzimy jako zrodzone z naturalnego *uczucia* miłości lub przynajmniej zapowiadające

narodziny miłości. W tych twarzach w ogóle nie było uczucia: ani śladu uczucia choćby i sprzed dziesięciu milionów lat, ani zarodka, z którego mogłoby się ono rozwinąć w najodleglejszej przyszłości. Z tych twarzy strzelała jak rozgałęziona błyskawica czysta, duchowa, intelektualna miłość, tak niepodobna do miłości, jakiej my doświadczamy, że można by ją poczytać za okrutną dzikość.

Ciała obu postaci były nagie, całkowicie pozbawione pierwszorzędnych lub drugorzędnych cech płciowych. Tego mógł się spodziewać. Skąd jednak pochodziła owa dziwna różnica między nimi? Ransom stwierdził, iż nie jest w stanie wskazać na choćby jeden charakterystyczny szczegół, z którego ta różnica wynikała, a jednak nie sposób było jej nie zauważyć. Setki razy próbował wyrazić ją słowami. Mówił, na przykład, że Malakandra przywodził na myśl rytm, a Perelandra melodię. Mówił, że Malakandra działał nań jak stopa wierszowa iloczasowa, a Perelandra jak stopa akcentowana. Wydaje mu się, że pierwszy trzymał w ręku coś przypominającego włócznię, a drugi miał dłonie otwarte, zwrócone środkiem do niego. Nie jestem jednak pewien, czy wysiłki mojego przyjaciela naprawdę mi pomogły. W każdym razie wiem jedno: w tym momencie pojął prawdziwe znaczenie *rodzaju*.

Każdy z nas musi się czasem zastanawiać, dlaczego w prawie wszystkich językach pewne nieożywione obiekty są rodzaju męskiego, a inne żeńskiego. Co jest męskiego w jednych gatunkach drzew, a żeńskiego w innych? Ransom wyleczył mnie z przekonania, iż jest to zjawisko czysto morfologiczne, zależne wyłącznie od formy słowa. Rodzaj gramatyczny nie jest też jakimś wyimaginowanym rozszerzeniem pojęcia płci. Nasi przodkowie nie dlatego nadali dę bowi rodzaj męski, że rzutowali nań jakieś cechy męskie. W rzeczywistości proces przebiegał odwrotnie. Rodzaj jest rzeczywistością bardziej fundamentalną niż płeć. Płeć jest w istocie rzeczy tylko zastosowaniem do życia organicznego owej fundamentalnej biegunowości, która dzieli wszystkie stworzone byty. Płeć żeńska jest tylko jedną z cech należących do rodzaju żeńskiego, a jest wiele innych; rodzaj męski i żeński spotykamy na takich płaszczyznach rzeczywistości, w których cechy samcze i samicze byłyby po prostu bezsensowne. Rodzaj męski nie jest czymś w rodzaju rozcieńczonej męskości, a rodzaj żeński czymś w rodzaju rozcieńczonej żeńskości. Przeciwnie, męskość i żeńskość stworzeń ożywionych raczej słabo i niezbyt wyraźnie odzwierciedla oba rodzaje w sensie gramatycznym. Ich funkcje rozrodcze, różnice w sile i rozmiarach części ciowo ujawniają, ale częściowo również zacierają prawdziwą biegunowość.

Wszystko to Ransom zobaczył na własne oczy. Te dwie białe istoty nie miały płci. A jednak Malakandra był na pewno rodzaju męskiego (nie: płci męskiej), a Perelandra była rodzaju żeńskiego (nie: płci żeńskiej). Malakandra wydał mu się kimś w rodzaju wojownika pełniącego nieustającą straż na wałach jego własnego archaicznego świata, wiecznie przeszukującego spojrzeniem horyzont od strony Ziemi, skąd przed wiekami nadeszło zagrożenie. „Spojrzenie żeglarza”, powiedział kiedyś do mnie Ransom. „Wiesz... oczy przesycone dałą”.

Natomiast oczy Perelandy były raczej zwrócone ku wnętrzu, jakby stanowiły zasłonięte kurtyną wrota do świata morskich fal, szumów i powiewów, do świata życia kołysanego przez wiatry, pluszczącego na omszałych kamieniach, opadającego rosą i ulatującego ku słońcu w zwiewnych smugach mgieł. Na Marsie nawet lasy są z kamienia, na Wenus nawet lądy pływają.

Odtąd nie nazywał ich już w myślach Malakandra i Perelandra, lecz ich ziemskimi imionami. W głębokim zdumieniu myślał: „Moje oczy oglądały Marsa i Wenus. Widziałem Aresa i Afrodytę”.

Pytał ich, w jaki sposób dali się poznać starożytnym poetom Ziemi. Kto i kiedy nauczył dzieci Adama, że Ares to wojownik, a Afrodyta powstała z morskiej piany? Przecież Ziemia była obleżonym, zajęтым przez nieprzyjaciela terytorium jeszcze w czasach poprzedzających historię. Bogowie nie mieli tam dostępu. W jaki sposób ludzie dowiedzieli się o eldilach innych planet?

W odpowiedzi usłyszał, że te wiadomości docierały na Ziemię bardzo okrężnymi drogami, przechodząc wiele etapów pośrednich. Jest sfera przestrzeni, ale jest również sfera myśli. Wszechświat jest jeden, można go porównać do misternej sieci pajęczej, gdzie każdy umysł wyczuwa każdą z nici, albo do przestronnej galerii wypełnionej szeptami, gdzie (z wyjątkiem bezpośredniego działania Maleldila) każda nowina podawana z ust do ust ulega zmianom, a jednak żadna tajemnica nie może być ściśle dochowana. W świadomości upadłego Archonta, pod którego jarzmem jęczy nasza planeta, wciąż żywa jest pamięć Głębin Niebios i bogów, z którymi kiedyś obcował jak równy z równymi. Ba! W samej materii naszego świata nie zanikły całkowicie ślady niebiańskiej wspólnoty. Pamięć przenika rodzące łono i unosi się w powietrzu. Muza istnieje naprawdę. Najślabszy oddech, jak mówi Wergiliusz, sięga przeszłych pokoleń. Nasza mitologia opiera się na podstawach bardziej realnych, niż możemy marzyć, choć jest również prawdą, że od tych podstaw dzieli ją nieskończona odległość.

Kiedy Ransom to usłyszał, zrozumiał wreszcie, dlaczego mitologia jest tym, czym jest - promieniami niebiańskiej mocy i piękna, padającymi na dżunglę nieczystości i otepiałej głupoty. Rumienił się ze wstydu za rodzaj ludzki, gdy patrzył na prawdziwego Marsa i prawdziwą Wenus, przypominając sobie brednie opowiadane o nich na Ziemi. A potem ogarnęły go wątpliwości.

- Ale czy widzę was takimi, jakimi jesteście naprawdę? - zapytał.

- Tylko Maleldil widzi stworzenia takimi, jakimi naprawdę są - odrzekł Mars.

- A jak wy widzicie siebie nawzajem?

- W twoim umyśle nie ma odpowiedniego miejsca na odpowiedź na to pytanie.

- Ale czy oglądam tylko zjawy? Czy to w ogóle nie jest realne?

- Oglądasz tylko zjawy, mały. Nigdy nie oglądasz niczego więcej, czy patrzysz na Arbola, czy na kamień, czy na swoje ciało. My jesteśmy równie realni jak tamte zjawiska.

- Ale... przecież najpierw widziałem was w innej postaci...

- Nie. Widziałeś tylko próby.

- Nie rozumiem. Czy tamte zjawiska... te kręgi i oczy... były bardziej czy mniej realne od tego, co teraz widzę?...

- Twoje pytanie nie ma sensu - odparł Mars. - Możesz zobaczyć kamień, jeśli jest w odpowiedniej odległości i jeśli porusza się z mniej więcej taką samą szybkością co ty. Ale jeśli ktoś rzuci kamieniem i trafi cię w oko, to co wtedy widzisz? I gdzie tu jest pytanie o większą czy mniejszą realność?

- Poczuję ból i zapewne zobaczą rozpryskujące się światło - powiedział Ransom. - Nie wiem jednak, czy nazwałbym to „wyglądem” kamienia.

- A jednak byłoby to bardzo realne działanie kamienia. Oto odpowiedź na twoje pytanie. Znajdujemy się teraz w odpowiedniej dla ciebie odległości.

- Czy poprzednio byliście bliżej?

- Tu nie chodzi o ten rodzaj odległości.

- Ale jest jeszcze, Ojarso, forma, w której chyba pojawiaasz się najchętniej: to bardzo nikle światło, jakie widziałem w twoim świecie.

- To była i jest forma wystarczająca, by porozumieć się z tobą. Nie trzeba więcej ani nam, ani tobie. Jeśli dziś ukazujemy się wyraźniej, to czynimy tak, by uhonorować Króla. Tamto światło jest przenikającym w świat twoich zmysłów echem tej postaci, w jakiej ukazujemy się sobie lub eldilom większym i potężniejszym.

W tym momencie do Ransoma dotarły wzmagające się zakłócenia ciszy, dochodzące zza niego - bezładne, ochryple i trajkoczące dźwięki wdzierające się między górską ciszę i kryształowe głosy bogów. Rozejrzał się wokoło. W nieopisanym bogactwie kształtów, barw i rozmiarów,

baraszkując, podskakując, podfruwając, szybując, kołysząc się i pełzając, wlewał się w dolinę przez przełęcz między iglicami cały ogród zoologiczny. Zwierzęta i ptaki nadchodziły przeważnie parami, samiec obok samicy, łaszcząc się do siebie, podskakując, nurkując pod brzuchy sąsiadów i wspinając się na ich grzbiety. Niebawem otoczyły Ransoma ze wszystkich stron płomieniste pióropusze, złociste dzioby, połyskujące skrzydła, wilgotne oczy, wielkie, czerwone czeluście skamlących lub beczących gardeł i gąszcz ruchliwych ogonów.

„Prawdziwa Arka Noego!”, pomyślał Ransom i zaraz potem nawiedziła go nieco poważniejsza refleksja: „Ale w tym świecie nie będzie potrzebna żadna arka”.

Ponad tę niespokojną ciszę wzbijał się triumfalny głos czterech śpiewających zwierząt. Wielki eldil Perelandry zgromadził wszystkie stworzenia po tej stronie jeziora, pozostawiając drugą stronę wolną (nie licząc podobnego do trumny przedmiotu). Ransom nie był pewien, czy Wenus przemawia do zwierząt, a nawet czy w ogóle zdają sobie sprawę z jej obecności. Jej kontakt z nimi był chyba nieco bardziej subtelny, zupełnie różny od stosunków łączących Zieloną Panią z jej poddanymi.

Oba eldile znajdowały się teraz po tej samej stronie jeziora co Ransom. Człowiek, bogowie i zwierzęta - wszyscy patrzyli w jednym kierunku. Cała scena zaczęła się aranżować sama. Najpierw, na samej krawędzi stawu, stały eldile, między nimi - nieco w tyle - siedział wśród szkarłatnych lilii Ransom. Za nimi, jak powiększone figurki psów stawianych na kominku, przysiadły na zadach cztery śpiewające zwierzęta, głosząc radość wszystkim uszom. A dalej usadowiły się wszystkie pozostałe zwierzęta. Nastrój stawał się coraz bardziej uroczysty, oczekiwanie coraz intensywniejsze. W typowo ludzki, niezbyt mądry, sposób Ransom zadał pytanie, po to tylko, aby zakłócić tę atmosferę:

- W jaki sposób Król i Królowa zdołają tu się wspiąć, a potem ponownie zejść na brzeg i opuścić wyspę przed zapadnięciem nocy?

Nikt mu nie odpowiedział. Prawdę mówiąc, nie oczekiwał odpowiedzi. Wiedział dobrze, że *ta* wyspa nigdy nie była dla nich zakazana, a jedynym celem zakazu przebywania na tamtej był o doprowadzenie ich do przeznaczonego im tronu. Zamiast odpowiedzi usłyszał krótkie polecenie bogów:

- Milcz.

Jego oczy tak przywykły do przyćmionej miękkości perelandryjskiego dziennego światła, że - zwłaszcza po wędrówce w ciemnych wnętrzościach góry - przestał zupełnie dostrzegać różnicę między nim a oświetleniem na Ziemi. Dlatego doznał wstrząsu, gdy nagle ujrzał jak szczyty po drugiej stronie doliny rysują się czernią na tle nieba, którego barwa przywodzi wspomnienie ziemskiego świtu. W chwilę później ostre, wyraźnie nakreślone cienie - długie jak cienie o wczesnym poranku - pojawiły się za każdym zwierzęciem i każdą nierównością gruntu. Każda lilia miała teraz swoją ciemną i jasną stronę. Światło podnosiło się coraz wyżej, aż wreszcie wypełniło całą dolinę. Cienie znowu znikły. Wszystko pograżyło się w czystym świetle dnia - w świetle, które zdawało się pochodzić z niewiadomego źródła. Odtąd wiedział już, co naprawdę oznaczają wyrażenia, że światłość „spoczęła” na jakiejś świętej rzeczy lub „spowiła” ją, a nie promieniowała z niej samej.

Kiedy światło osiągnęło swą doskonałość i spoczęło jak władca na tronie lub jak wino we wnętrzu czary, napelniając swą czystością całą misę ukwieconej doliny, każdy jej zakątek i każdą szczelinę, pojawiła się świętość, sam Raj w swoich dwu Osobach, Raj kroczył ręką w rękę, dwa ciała jaśniejące w tym świetle jak drogocenne szmaragdy, nie zanadto jednak jasne, aby na nie patrzeć.

Dwie postacie zatrzymały się przez chwilę na przełęczy między dwoma szczytami. Mężczyzna

podniósł prawą rękę w królewskim i kapłańskim błogosławieństwie. A potem zeszli w dół i stanęli po drugiej stronie górskiego jeziora.

Wówczas bogowie ukłękli i pochyłili swe olbrzymie ciała w pokłonie przed małą postaciami Króla i Królowej.

Rozdział 17

Na szczycie góry zapanowała wielka cisza. Ransom również pochylił się kornie przed tą ludzką parą. Kiedy w końcu oderwał wzrok od czterech błogosławionych stóp i lekko unióśł głowę, stwierdził, że mówi, choć głos mu się łamał, a oczy zachodziły mgiełką łez.

- Nie odchodźcie! Nie podnoście mnie z klęczek! Nigdy jeszcze nie widziałem mężczyzny ni kobiety. Całe życie spędziłem wśród cieni i zdruzgotanych wizerunków. Och, mój Ojczy i moja Matko, mój Panie i moja Pani! Nie poruszajcie się nie odpowiadajcie mi jeszcze. Nigdy nie widziałem swoich własnych rodziców. Przyjmijcie mnie za syna. Tak długo byliśmy samotni w naszym świecie!

Oczy Królowej spoglądały na niego z miłością i uznaniem, ale to nie ona wypełiła bez reszty jego myśli. Trudno było teraz myśleć o czymkolwiek innym niż o Królu. Jakże mam opisać go ja, który go nigdy nie widziałem? Nawet Ransom z trudem opisał jego twarz. Nie chcemy jednak zachowywać prawdy tylko dla siebie. Była to twarz, o której nikt nie może powiedzieć, że jej nie zna.

Jak mógł patrzeć na to oblicze i nie popełniać bałwochwalstwa, nie pomylić go z tym, którego była obrazem? Bo podobieństwo było, na swój szczególny sposób, nieskończone. Chwilami aż zdumiewało, iż czoło nie powleka cień smutku, a na dłoniach i w stopach nie ma ran. A jednak nie istniała obawa pomyłki, chwila wahania, żaden poryw woli ku zakazanej czci. Tam, gdzie podobieństwo było największe, pomyłka była najmniej możliwa.

Być może zawsze tak jest. Zręcznie wykonana figura woskowa może tak bardzo przypominać człowieka, że nawet na moment nas zmyli. Ale nigdy nie zmyli portret namalowany przez wielkiego artystę, chociaż oddaje podobieństwo w o wiele głębszy sposób. Gipsowe wyobrażenia Najświętszego mogły niegdyś budzić uwielbienie, jakie miało być przeznaczone dla Tego, którego wyobrażały. Ale tutaj, gdy Ransom miał przed sobą Jego żywe podobieństwo, zewnętrzne i wewnętrzne, stworzone Jego własnymi rękami, ten wykwit boskiego arcydzieła autoportretu, które wyszło z Jego pracowni, aby zachwycić wszystkie światy - tutaj nigdy nie był można pomylić podobizny z oryginałem. Co więcej, całe piękno tej podobizny polegało właśnie na pewności, że jest to kopia - łudzące podobieństwo, a jednak nie tożsamość, raczej echo, rym, doskonały pogłos nie stworzonej muzyki utrwalony w stworzonym medium.

Przez pewien czas Ransom całkowicie pochłaniał nabożny podziw wobec tej rzeczywistości. Gdy się ocknął, zdał sobie sprawę, że słyszy słowa wypowiedziane przez Perelandrę, a to, co usłyszał, wyglądało na zakończenie długiego przemówienia.

- Pływające wyspy i stałe lądy - mówiła Wenus - powietrze i kurtyny u wrót Głębin Niebios, morza i Świętą Górę, rzeki naziemne i rzeki podziemne, ogień ryby, ptactwo, zwierzęta i inne, nie znane wam jeszcze stworzenia żyjące wśród fal - wszystko to Maleldil składa dzisiaj w wasze ręce, abyście tym władali po kres waszych dni i po kres czasu. Odtąd moje słowo jest niczym, a wasze słowo jest nienaruszalnym prawem i córką samego Głosu. Wy jesteście Ojarsą w kręgu, jaki ten świat zatacza wokół Arbola. Radujcie się swą mocą. Nadajcie imiona wszelkim stworzeniom i prowadźcie wszystkie gatunki do doskonałości. Umacniajcie słabych, oświecajcie ciemnych, miłujcie wszystkich. Cześć wam i pozdrowienie, mężczyzno i kobieto, Ojarso-Perelandri, Adamie, Korono, wy, których imiona są Tor i Tinidril, Baru i Baru'ah, Ask i Embla, Jatsur i Jatsura, wy - umiłowani przez Maleldila. Wieczna Mu chwała!

Kiedy w odpowiedzi przemówił Król, Ransom znowu spojrział na niego. Ludzka para siedziała teraz na niskim brzegu wystającym nieco ponad krawędź stawu. Światło było tak silne, że na

powierzchni wody ich odbicia rysowały się tak wyraziście jak na naszej planecie.

- Składamy ci dzięki, o sprawiedliwa Matko Mleczna - rzekł Król - szczególnie za ten świat, nad którym przez tyle wieków trudziłaś się jako prawica Maleldila, aby wszystko było gotowe na nasze przebudzenie. Nie znaleźliśmy cię aż do dziś. Często zastanawialiśmy się, czyją to rękę widzimy w długich falach i jasnych wyspach i czyje to tchnienie zachwyca nas w porannym powiewie. Bo chociaż byliśmy wówczas młodzi, pojmowaliśmy mgliście, że prawdą są słowa: „To dzieło Maleldila”, ale nie jest to cała prawda. Ten świat otrzymujemy teraz w darze, a nasza radość jest tym większa, że to dar nie tylko od Niego, ale i od ciebie. Co jednak Maleldil wkłada teraz do twojej głowy? Co masz odtąd zrobić?

- To zależy od Ciebie, Torze-Ojarso - odpowiedziała Perelandra. Mogę powrócić tylko do Głębin Niebios, ale mogę przebywać również i w tej ich części, która dla was jest światem.

- Jest naszym najgłębszym pragnieniem - rzekł Król - byś pozostała z nami, zarówno dlatego, że darzymy cię miłością, jak i dlatego, byś mogła wspierać nas swą radą, a nawet swym działaniem. Jeszcze wiele razy okążymy Arbola, zanim dorośniemy do pełnej samodzielności władania królestwem, jakie Maleldil złożył w nasze ręce. Nie dojrzeliliśmy jeszcze do tego, by sprowadzić deszcz i czynić piękną pogodę. Jeżeli wydaje ci się to dobre, zostań z nami.

- Jestem rada z zaproszenia - powiedziała Perelandra.

Słuchając tego dialogu Ransom dziwił się, że kontrast między Adamem i eldilami nie jest dysonansem. Po jednej stronie był kryształowy, bezcielesny głos i niezmienny wyraz śnieżnobiałej twarzy; po drugiej - krew krążąca w żyłach, uczucie drżące na wargach i roziskrzane oczy, moc męskich ramion, cud kobiecych piersi, nie znane na Ziemi połączenie męskiej chwały i bogactwa kobiecości, żywy strumień doskonałej zwierzęcości. A jednak w tym spotkaniu pierwsza strona nie wydawała się wcale upiorna, a druga zbyt żywotna lub wręcz wulgarna. *Animal rationale* - zwierzę, lecz również rozumna dusza - taka była, jak pamiętał, starożytna definicja człowieka. Nigdy jednak nie zobaczył tego na własne oczy. Teraz miał przed sobą żyjący Raj, Pana i Panią, ucieleśnienie odzyskanej zgody, most spinający klamrą to, co bez niego tworzyłoby próżnię w stworzeniu, zwornik całego łuku. Wkraczając do tej górskiej dolinki, zjednoczyli nagle ciepłą mnogość zwierząt poza nim z nadcielesnymi inteligencjami u jego boku. Zamknęli koło i od tej pory wszystkie oddzielne tony mocy i piękna stworzyły jedną muzykę.

Lecz oto Król mówił znowu:

- A tak, jak dar ten jest bogatszy dlatego, że nie jest tylko darem Maleldila, lecz darem Maleldila wręczonym przez ciebie, Perelandro, tak nabiera on jeszcze większej wartości, bo pośrednikiem jesteś nie tylko ty, ale i ktoś trzeci. Posłuchajcie więc pierwszego słowa Tora, Ojarsy-Perelandri: każdego ranka i każdego wieczora, dopóki ten świat pozostanie światem, my i nasze dzieci będziemy mówili do Maleldila o Ransomie, człowieku z Tulkandry, i będziemy go sławić między sobą. A tobie, Ransomie, powiem: słusznie uczyniłeś, nazywając nas Panem i Ojcem, Panią i Matką, bo takie jest nasze imię. Lecz w innym sensie to my ciebie nazywamy Panem i Ojcem. Bo oto Maleldil przysłał cię do naszego świata w dniu, w którym dobiegł kresu czas naszej młodości i mogliśmy tylko wlecieć lub spaść, pogrążyć się w zepsuciu lub w doskonałości. To Maleldil zawiódł nas tam, dokąd zamierzał, lecz pośród Jego narzędzi ty byłeś najważniejszy.

Wezwali go do siebie, a Ransom przeszedł przez staw, sięgający mu zaledwie do kolan. Upadłby do ich stóp, ale mu na to nie pozwolili. Powstali, by go przywitać, i oboje uścisnęli go i ucałowali, usta w usta, serce przy sercu, jak równy z równym. Chcieli, by siadł pomiędzy nimi, kiedy jednak dostrzegli jego zmieszanie, pozwolili mu usiąść na brzegu jeziora, nieco na lewo od nich. Stamtąd objął spojrzeniem całe zgromadzenie - wielkie postacie bogów i ciżbę zwierząt. Wtedy przemówiła Królowa:

- Gdy tylko odwidłeś ode mnie Złego, ja zaś zbudziłam się ze snu, mój umysł został oczyszczony. To dla mnie istny dziw, Łaciaty, że przez te wszystkie dni ty i ja byliśmy tak okropnie młodzi. Powód, dla którego nie wolno nam być zamieszkać na Stałym Łądzie, jest przecież tak oczywisty! Dlaczego miałabym pragnąć żyć właśnie tam, a nie gdzie indziej? Tylko dlatego, że jest łądem *stałym*. A dlaczego pragnęłabym właśnie stałości łądu, jeśli nie dlatego, bym pewnego dnia mogła zdecydować, gdzie mam być nazajutrz i co się ze mną stanie? Byłoby to odrzuceniem fali, wyrwaniem ręki z dłoni Maleldila, powiedzeniem Mu: „Nie tak, ale tak”. Jakbym chciała własną mocą sprowadzić natychmiast to, co czas ma mi przynieść kiedyś... jakbym dziś zbierała owoce na jutrzejszy posiłek, zamiast jeść to, co zostało nam dane. Byłaby to zimna miłość i kruche zawierzenie. I jak zdołalibyśmy ponownie wznieść się do prawdziwej miłości i prawdziwego zawierzenia?

- Rozumiem to - rzekł Ransom - chociaż w moim świecie uznano by to za szaleństwo. Jesteśmy już tak długo we władaniu zła, że... - i urwał, wątpiąc, czy zostanie zrozumiany, a jednocześnie dziwiąc się, że użył słowa „zło”, bo aż dotąd nie wiedział, że je zna i nigdy go jeszcze nie słyszał ani na Marsie, ani na Wenus.

- Teraz już znamy te sprawy - powiedział Król widząc jego wahanie. - Maleldil dał nam poznać, co zdarzyło się w twoim świecie. Poznaliśmy zło, chociaż nie w ten sposób, w jaki Zły pragnął je nam wpoić. Poznaliśmy jednak zło lepiej, bo przecież to przebudzenie pozwala rozumieć sen, a nie sen przebudzenie. Można nie znać zła dlatego, że jest się młodym. Ale istnieje jeszcze większa, ciemniejsza nieznajomość zła, której źródłem jest czynienie zła. Człowiek, który zasypia, przestaje wiedzieć, że śni. Wy, mieszkańcy Tulkandry, mniej znacie zło teraz niż w czasach poprzedzających dzień, w którym wasz Pan i wasza Pani zaczęli je popełniać. Nas Maleldil wyprowadził z pierwszej postaci nieświadomości, a w drugą nie wstąpiliśmy wcale. A stało się to za przyczyną samego Złego. Jakże mało wiedział ten mroczny umysł o prawdziwym celu, w jakim przybył na Perelandrę!

- Wybacz mi, Ojcze, jeśli powiem głupstwo - rzekł Ransom. - Rozumiem, w jaki sposób zło zostało ukazane Królowej, lecz nie wiem, jak ty je poznałeś.

Niespodziewanie Król wybuchnął śmiechem. Biorąc pod uwagę wielkość jego ciała, ten śmiech przypominał małe trzęsienie ziemi: był głośny, głęboki, długi, aż w końcu Ransom zaczął się również śmiać, chociaż nie wiedział z czego, a potem śmiała się i Królowa. Ptaki zaczęły trzepotać skrzydłami, zwierzęta wymachiwać nogami, światło jakby jeszcze bardziej pojaśniało, szybciej zabiło tętno całego zgromadzenia i wszystkich nappełniła zupełnie nowa radość, nie mająca nic wspólnego z naszym rozweseleniem, jakby płynęła wprost z powietrza, albo jakby roztańczyły się Głębiny Niebios. Niektórzy mówią, że taki taniec jest ich normalnym stanem. ”

- Wiem, o czym on myśli - rzekł wreszcie Król patrząc na Królową. - On myśli, że ty cierpiałaś i walczyłaś, a ja otrzymałem ten świat w nagrodę. I masz słusność - ciągnął zwracając się do Ransoma. - Wiem teraz, co się w twoim świecie sądzi o sprawiedliwości. I być może dobry to osąd, bo w tym świecie wszystko dzieje się zawsze *poniżej* sprawiedliwości. Ale Maleldil zawsze jest *ponad* nią. Wszystko jest darem. To, że zostałem Ojarsą, jest nie tylko darem samego Maleldila, ale i naszej Matki Mlecznej, a przecież nie tylko jej, bo i twoim, a także mojej żony - ba, w pewnym sensie jest to dar zbżony mi przez same zwierzęta i ptaki. Dar trafił do mnie za pośrednictwem wielu rąk, wzbogacony po drodze różnymi rodzajami miłości i pracy. Takie jest Prawo. Najlepsze owoce zrywane są dla każdego nie jego rękami.

- Ale to jeszcze nie wszystko, Łaciaty - powiedziała Królowa. - Król nie powiedział ci wszystkiego. Maleldil zawiódł go daleko, na zielone morze, gdzie lasy wyrastają z dna ponad fale...

- To miejsce nazywa się Lur - wtrącił Król.

- To miejsce nazywa się Lur - powtórzyły eldile i Ransom pojął że Król nie wypowiada zasłyszanej informacji, lecz nadaje nazwę części swego królestwa.

- I tam, w Lur... to bardzo daleko stąd... - mówiła dalej Królowa - przydarzyły mu się dziwne rzeczy.

- Czy wolno o nie zapytać? - odezwał się Ransom.

- Było ich wiele - odparł Król Tor. - Przez wiele godzin uczyłem się właściwości kształtów, kreśląc linie na darni pokrywającej wysepkę po której błędziłem. Przez wiele godzin dowiadywałem się nowych rzeczy o Maleldilu i o Jego Ojcu, i o Trzecim. Kiedy byliśmy młodzi, niewiele o tym wiedzieliśmy. A potem pokazał mi w ciemności, co dzieje się z Królową, i zrozumiałem, że ona może ulec podszeptom Złego. Potem ujrzałem, co stało się z twoim światem, jak wasza Matka upadła i jak wasz Ojciec poszedł za nią, przez co pograżył ją jeszcze bardziej, a na wszystkie swoje dzieci sprowadził ciemność. A potem ujrzałem przed sobą... tak jakby coś zbliżało się do mojej ręki... poznałem, co powinienem uczynić, gdyby się tak stało... Poznałem zło i dobro, ból i radość.

Ransom oczekiwał, że Król opowie o swojej decyzji, ale gdy jego głos zamarł w pełnej zadumy ciszy, nie śmiał zadać pytania.

- Tak... - powiedział wreszcie Król w głębokim zamyśleniu. - Człowiek może być rozdarty na dwoje... jedna jego część obróci się w proch... lecz ta druga, żywa, musi wciąż podążać za Maleldilem. Bo gdyby i ona upadła, gdyby i ona stała się prochem, czyż byłaby jakaś nadzieja dla całości?... Dopóki żyje jedna połowa, On może dzięki niej przywrócić życie drugiej.

Znowu zamilkł, tym razem na dłużej, a potem ponownie przemówił, tym razem nieco szybciej.

- Nie dał mi pewności. Żadnego stałego lądu. Zawsze trzeba rzucać się w falę.

Nagle rozpozgodził czoło i zwrócił się do eldilów zupełnie innym tonem.

- Z pewnością, Matko Mleczna. Bardzo nam potrzeba rady, bo już czujemy, że rośnie w naszych ciałach coś, z czym nasza młoda wiedza nie może sobie poradzić. Nie zawsze będą ciałami przywiązanymi do niższych światów. Posłuchajcie drugiego, słowa, które wypowiadam jako Tor-Ojarsa-Perelandri. Podczas gdy ten świat okrąży Arbol dziesięć tysięcy razy, będziemy sądzić i podnosić na duchu nasz lud z tego tronu. Zwie się on Tai Harendrimar, Wzgórze Życia.

- Zwie się on Tai Harendrimar - powtórzyły eldile.

- Na zakazanym niegdyś Łądzie Stałym - ciągnął Król Tor - uczynimy miejsce chwały Maleldila. Nasi synowie zegną skalne filary w łuki...

- Co to są łuki? - zapytała Królowa Tinidril.

- Łuki - odrzekł Król Tor - powstają wówczas, gdy filary kamienne wypuszczają gałęzie jak drzewa i spletają się tymi gałęziami, aby dźwignąć wielką kopułę jakby listowia, ale i liść cie będą wykute z kamienia. I synowie nasi uczynią tam wizerunki...

- Co to są wizerunki? - zapytała Tinidril.

- Na Głębiny Niebios! - zawołał Król wybuchając śmiechem. - Wygląda na to, że w powietrzu jest za dużo nowych słów. Myślałem, że te rzeczy przepływają do mnie z twoich myśli, a tymczasem okazuje się, że w ogóle o nich nie myślałaś! A jednak sądzę, że Maleldil przekazuje mi je poprzez ciebie. Pokażę ci wizerunki, pokażę ci domy. Być może pod tym względem nasze natury są swoim przeciwieństwem i to ty zapładniasz, a ja będę rodzić. Pomówmy jednak o mniej zawiłych sprawach. Napelnimy ten świat naszymi dziećmi. Poznamy ten świat aż do jego rdzenia. Uczynimy szlachetniejsze ze zwierząt tak mądrymi, że staną się *hnau* i przemówią. Ich życie obudzi się na nowo w nas, tak jak my obudziliśmy się w Maleldilu. Kiedy czas dojrzeje i dziesięć tysięcy obrotów będzie dobiegać kresu, rozedrzemy kurtynę nieba, a Głębiny Niebios staną się znajome oczom naszych synów, tak jak drzewa i fale znane są oczom naszym.

- A co będzie później, Torze-Ojarso? - zapytał Malakandra.

- Później zamiarem Maleldila jest udzielenie nam pełnej swobody w Głębinach Niebios. Nasze ciała ulegną przemianie, choć nie wszystko się zmieni. Będziemy jak eldile, ale niezupełnie jak eldile. I tak będą się zmieniać wszyscy nasi synowie i wszystkie córki, gdy nadejdzie ich czas dojrzwania, aż wypełni się liczba, którą Maleldil wyczytał w umyśle swojego Ojca, zanim wytrysnął czas.

- I wówczas nastąpi koniec? - zapytał Ransom.

- Koniec? - Król spojrział na niego ze zdumieniem. - Kto mówi o końcu?

- Koniec waszego świata - rzekł Ransom.

- Na Głębiny Niebios! - zawołał Tor. - Twoje myśli nie są podobne do naszych. W czasie, o którym mówię, będziemy niedaleko początku wszechrzeczy. Ale zanim nastąpi prawdziwy początek, trzeba będzie rozstrzygnąć jedną sprawę.

- Jaką? - zapytał Ransom.

- Sprawę twojego świata, Tulkandry. Zanim nastąpi początek, trzeba będzie przerwać oblężenie i zmasakrować czarną plamę. W tym czasie Maleldil stoczy bój - w nas i w wielu, którzy byli kiedyś *hnau* w twoim świecie, i w innych przybyłych z daleka, i w wielu eldilah. A na koniec we własnej, nieutajonej postaci zstąpi na Tulkandrę. Niektórzy z nas będą tam przed Nim. Słyszę, Malakandro, że ty i ja będziemy wśród nich. Spadniemy na wasz Księżyc, siedzibę tajemnego zła, tarczę Ciemnego Pana Tulkandry, poszczerbioną od wielu uderzeń. Skruszymy Księżyc, a jego szczątki spadną na wasz świat. Z oceanów powstanie dym, który zaćmi światło Arbola. A kiedy sam Maleldil będzie już blisko, zło zrzuci maskę i ukaze się, nagie i ohydne w każdej ze swych postaci, tak że klęski i potworności okryją wasze lądy i morza jak płaszcz. Lecz w końcu nastąpi powszechne oczyszczenie i nawet wspomnienie o waszym Czarnym Ojarsie zostanie wymazane z pamięci. Wasz świat napełni się pięknem i czarem. Znowu połączy się z całym Polem Arbola i odzyska swe prawdziwe imię. Ale czy to możliwe, przyjacielu, by na Tulkandrę nie dotarły pogłoski o tych wydarzeniach? Czyżby twoi bracia myśleli, że Ciemny Władca na zawsze utrzyma swoją zdobycz?

- Większość z nich - odparł Ransom - przestała w ogóle myśleć o tych sprawach. Niektórzy zachowują wciąż prawdziwą wiedzę, ale i ja nie rozumiałem od razu, o czym mówisz, bo to, co nazwałeś Początkiem, my zwykliśmy nazywać Końcem Świata.

- Nie nazywam tego początkiem - rzekł Król Tor. - To, o czym mówię, jest jakby wymazaniem błędnego początku, by świat mógł się *potem zacząć* naprawdę. To tak jak z czubkiem, który ułoży się do snu i po jakimś czasie poczuje pod łopatką skręcony korzeń; zmienia więc miejsce i dopiero wówczas zapada w prawdziwy sen. Albo jak z człowiekiem, który stawiając stopę na jakiejś wyspie, zrobi fałszywy krok, zachwieje się, a nawet upadnie. Potem podnosi się, odzyskuje równowagę i zaczyna swą wędrówkę. Czy odzyskanie równowagi nazwałbyś końcem?

- I sądzisz, że cała historia mojego rodzaju to tylko pierwszy fałszywy krok - i nic więcej?

- Dla mnie historia wszystkich Dolnych Światów to dopiero początek, a dzieje twojego świata to początek nieudany. Mówisz o wieczorze, zanim zaświta dzień! Dziś rozpoczynam dopiero przygotowania do początku, zamierzone na dziesięć tysięcy lat, ja, pierwszy z mojego rodzaju, który jest rodzajem pierwszym. Powiadam ci, że kiedy ostatnie z moich dzieci dojrzeją, a dojrzałość ich rozprzestrzeni się na wszystkie Dolne Światy, dopiero wówczas rozlegną się szepty o bliskości poranka!

- Pełen jestem wątpliwości i niewiedzy - powiedział Ransom. - W naszym świecie ci, którzy znają Maleldila, wierzą, że Jego przyjście na Ziemię w ciele człowieka jest centralnym wydarzeniem wszystkich dziejów. Jeśli zabierzesz mi tę wiarę, Ojczu, dokąd mnie zawiedziesz? Chyba nie

chcesz, bym uwierzył słowom Przeciwnika, które spychają mój świat i mój rodzaj w daleki zakątek i w zamian dają mi wszechświat bez żadnego centrum, miliony światów, które pędzą donikąd, albo, co jeszcze gorsze, ku wiecznie rosnącej wielości nowych światów? To Przeciwnik przyszedł do mnie z liczbami nieskończonymi, pustymi przestrzeniami, nieustannymi powrotami. Żądał, bym ukorzył się przed wielkością rozmiarów i liczb. A może uważasz, że centrum stanowi twój świat? Mam wątpliwości. A co z mieszkańcami Malakandry? Czy oni też uważają, że to ich świat jest centrum? Wyznam ci, że nie pojmuję nawet, dlaczego Perelandra miałaby należeć do ciebie. Tyś został stworzony zaledwie wczoraj, a ona istnieje od wieków. W większości składa się z wód, w których nie możesz zamieszkać. A krainy ukryte pod jej skorupą? A te bezkresne przestrzenie, gdzie w ogóle nie ma planet? Czy sądzisz, że naprawdę łatwo odpowiedzieć Przeciwnikowi, gdy mówi, iż nie istnieje żaden plan, a wszystko pozbawione jest znaczenia? Ilekroć wydaje się nam, że odkryliśmy jakiś plan, natychmiast rozplywa się w nicłość lub w inny plan, o którym nigdy nam się nie śniło. To, co było centrum, staje się obrzeżem, a w końcu zaczynamy wątpić, czy jakikolwiek kształt, plan czy wzór jest czymś więcej, jak tylko złudzeniem naszych oczu, uwiedzionych próżną nadzieją lub zmęczonych zbyt długim patrzeniem. Ku czemu to wszystko zmierza? Czym jest ów poranek, o którym mówisz? Czego będzie początkiem?

- Początkiem Wielkiej Gry, Wielkiego Tańca - odparł Tor. - Ale niewiele jeszcze o tym wiem. Niech przemówią eldile.

Głos, który zabrzmiał w następnej chwili, wydawał się głosem Marsa, ale Ransom nie był tego do końca pewien. A po nim przemówił ktoś, kogo zupełnie nie znał. Chociaż wierzył, że w rozmowie, która się rozpoczęła - jeśli to można nazwać rozmową - i on sam brał czynny udział, nigdy nie wiedział, które słowa należą do niego, a które do eldilów; nie wiedział nawet, czy w danej chwili przemawia człowiek czy eldil. Zdawało mu się, że głosy rozbrzmiewają kolejno, ale i tego nie był pewny, bo wrażenie, jakie zapamiętał, przypominało raczej muzykę wykonywaną przez kwintet lub szum pięciu drzew stojących razem na wzgórzu.

- Nie można o tym mówić w ten sposób - mówił pierwszy z głosów. - Wielki Taniec nie czeka, aż mieszkańcy Dolnych Światów zbiorą się, aby wziąć w nim udział. Nie można mówić o jego początku, gdyż trwa i trwa zawsze. Nie istniał czas, w którym byśmy się nie weselili przed Jego obliczem. Taniec, w którym bierzemy udział, jest w centrum i dla niego wszystko zostało stworzone. Chwała Maleldilowi!

A inny głos mówił:

- On nigdy nie uczynił tego samego dwukrotnie. Nigdy nie wypowiedział ponownie tego samego słowa. Po planetach nie przysły doskonalsze planety, lecz zwierzęta, po zwierzętach nie doskonalsze zwierzęta, lecz duchy. Po upadku - nie uzdrowienie, lecz nowe stworzenie. A z nowego stworzenia - nie trzecie stworzenie, ale sam rodzaj przemiany zostanie zmieniony. Chwała Maleldilowi!

A inny głos mówił:

- Ten łańcuch przemian jest brzemienno sprawiedliwością, jak drzewo uginające się pod ciężarem owoców. Wszystko jest słuszne, lecz nie ma równości. Jego Porządek nie polega na tym, że takie same kamienie leżą obok siebie, lecz raczej na tym, że kamienie podtrzymują łuk i same są podtrzymywane. Władanie i posłuszeństwo, zapładnianie i rodzenie. Żar ześlizguje się w dół, życie wystrzela w górę. Chwała Maleldilowi!

- Ci, którzy w nedorzecznym sumowaniu dodają lata do lat, mile do mil, galaktyki do galaktyk, nie zbliżają się do Jego wielkości. Dni Pola Arbola dobiegną kresu i nawet dni Głębin Niebios są już policzone. Nie na tym polega Jego wielkość. Przebywa - cały i niepodzielny - w nasionku najmniejszego kwiatka i wcale Go to nie ogranicza. Głębin Niebios mieszczą się w Nim, który

przebywa w ziarenku, lecz nie przerastają Go. Chwała Maleldilowi!

- Krawędź każdej natury graniczy z czymś, co nie jest jej cieniem lub podobieństwem. Z wielu punktów - jedna linia, z wielu linii - jeden kształt, z wielu kształtów - jedno zwarte ciało, z wielu odczuć i myśli - jedna osoba, z trzech Osób - On sam. Czym okrąg dla kuli, tym starożytne światy, które nie potrzebowały odkupienia, dla świata, w którym On się narodził i umarł. Czym punkt dla linii, tym ten świat dla odległych owoców Jego odkupienia. Chwała Maleldilowi!

- A przecież koło nie jest mniej okrągłe niż kula, a kula jest domem i ojczyzną kół. W każdej kuli zawiera się nieskończona mnogość kół i gdyby mogły przemówić, powiedziałby: „Kule dla nas zostały stworzone”. Niech żadne usta nie otworzą się, by im zaprzeczyć. Chwała Maleldilowi!

- Mieszkańcy starożytnych światów nigdy nie zgrzeszyli i nigdy nie zstąpił do nich Maleldil, a przecież to dla nich stworzono Dolne Światy. Bo chociaż leczenie tego, co zostało zranione, i prostowanie tego, co zostało skrzywione, jest nowym wymiarem chwały, to jednak to, co proste, nie zostało uczynione po to, aby mogło być skrzywione, ani zdrowe po to, by mogło być zranione. Mieszkańcy starożytnych światów są centrum. Chwała Maleldilowi!

- Wszystko, co samo nie jest Wielkim Tańcem, zostało stworzone po to, by On mógł ku temu zstąpić. W upadłym świecie przygotował dla siebie ciało, zjednoczył się z prochem i uczynił go chwalebny na wieki. Taki jest kres i ostateczna przyczyna wszelkiego stworzenia i dlatego grzech, z którego to przyszło, zwany jest błogosławionym, a świat, w którym to się stało, jest centrum. Chwała Maleldilowi!

- Drzewo zostało zasadzone w tamtym świecie, lecz owoc dojrzał w tym. Źródło, które trysnęło mieszaniną krwi i życia w Ciemnym Świecie, tu płynie samym życiem. Przebyliśmy pierwsze progi skalne, odtąd strumień nabiera głębi i zwraca się w kierunku morza. Oto Gwiazda Zaranna, przyobiecana przez Niego tym, którzy zwyciężą - oto centrum światów. Aż dotąd trwało oczekiwanie, lecz teraz trąba zagrzmiała i wojska ruszyły w pochód. Chwała Maleldilowi!

- Chociaż światami rządzą ludzie i aniołowie, to światy są stworzone dla nich samych. Wody, po których nie pływaliscie, owoce, których nie zerwaliście, jaskinie, do których nie zstąpiliście, ogień, którego wasze ciała nie mogą przebyć - wszystko to nie czeka na wasze przyjście, aby osiągnąć doskonałość, chociaż będzie wam posłuszne, gdy przybędziecie. Niezliczoną ilość razy okrążyłem Arbol, zanim Maleldil powołał was do życia, a przecież czasy te nie były martwą pustynią śniącą o dniu waszego przebudzenia. Przemawiały własnym głosem i były również w centrum wszechrzeczy. Nie traćcie otuchy, mali nieśmiertelnicy! Nie jesteście głosem, którym przemawia wszystko, co stworzone, nie ma też wiecznej ciszy tam, dokąd nie możecie zawędrować. Żadna stopa nie tknęła i nie tknie lodów Glundu, a Żelazna Równina Neruwału jest dziewicza i pusta. Lecz nie bez celu bogowie krążą nieustannie po Polu Arbola. Chwała Maleldilowi!

- W centrum wszechrzeczy jest Pył rozproszony po niebiosach, z którego zrobione są wszystkie światy i wszystkie ciała, co światami nie są. Nie czeka on, aż ujrzą go stworzone oczy lub dotkną stworzone dłonie, lecz sam w sobie jest siłą i chwałą Maleldila. Jedyne drobna jego cząstka służy lub służyć będzie zwierzętom, ludziom czy bogom. Lecz zawsze i wszędzie, przed ich przyjściem i po ich odejściu, tam, dokąd nigdy nie trafią, poza wszelkimi wyobrażalnymi odległościami Pył pozostaje tym, czym jest i własnym głosem opiewa chwałę Najwyższego. Jest Mu najdalszy ze wszystkich rzeczy, bo nie ma życia, uczucia, rozumu - jest Mu jednak najbliższy, bo bez pośrednictwa duszy ulatuje z niego jak iskry z ogniska i każdym swoim ziarenkiem przemawia czysty obraz Jego energii. Każde ziarenko, gdyby przemówiło, powiedziałoby: „Ja jestem w centrum! Dla mnie wszystko zostało stworzone”. Niech żadne usta nie otworzą się, by mu zaprzeczyć. Chwała Maleldilowi!

- Każde ziarenko jest w centrum. Pył sam jest centrum. Światy są w centrum. Zwierzęta są w

centrum. I mieszkańcy starych światów. I rodzaj, który zgrzeszył. Tor i Tinidril. Bogowie są tam również. Chwała Maleldilowi!

- Centrum jest tam, gdzie Maleldil. On jest w każdym miejscu. Nie jakaś Jego część w jednym miejscu, a inna w drugim, lecz w każdym miejscu cały i niepodzielny Maleldil, nawet w drobnie niemożliwej do wyobrażenia. Nie ma innego wyjścia z centrum prócz Skrzywionej Woli, która wiedzie donikąd. Chwała Maleldilowi!

- Wszystko zostało stworzone dla Niego. On jest centrum. A ponieważ z Nim jesteśmy, każdy z nas jest w centrum. To nie tak, jak w mieście Ciemnego Świata, gdzie mówią, że każdy musi żyć dla wszystkich. W Jego mieście wszyscy zostali stworzeni dla każdego. Kiedy On umarł w Zranionym Świecie, umarł nie dla ludzi, lecz dla każdego człowieka. Gdyby istniał wówczas tylko jeden człowiek, Maleldil postąpiłby tak samo. Każda rzecz, od pojedynczej drobiny Pyłu do najpotężniejszego eldila, jest końcem i ostateczną przyczyną całego stworzenia, zwierciadłem, na które pada promień Jego chwały, aby do Niego powrócić. Chwała Mu, chwała na wieki!

- W planie Wielkiego Tańca splatają się niezliczone plany. Każdy ruch, gdy nadejdzie jego pora, staje się impulsem powodującym spełnianie celu, ku któremu skierowane są wszystkie pozostałe. Tak więc każdy jest w równej mierze w centrum, lecz nie dlatego, że jest równy innym; jeden ustępuje miejsca, inny je otrzymuje, małe rzeczy są tam dzięki swej małości, wielkie dzięki swej wielkości, a wszystkie wzory powiązane są i splecione razem więzami ukorzenia się przed berłem miłości. Chwała Maleldilowi!

- Każda rzecz, którą stworzył, jest Mu bezgranicznie potrzebna, aby Jego miłość i chwała mogły rozlewać się niby potężna rzeka, potrzebująca koryta i wypełniająca jednako głębokie rozpadliny i najmniejsze szczeliny. Wypełnione są jednako, lecz nie są sobie równe, a gdy rzeka wypełni je po brzegi, rozlewa się dalej i tworzy nowe kanały. My również niezmiernie potrzebujemy wszystkiego, co On stworzył Kochajcie mnie, bracia, bo jestem wam nieskończenie potrzebny i zostałem stworzony, by nieść wam radość. Chwała Maleldilowi!

- On nie potrzebuje niczego, co zostało stworzone. Eldil nie jest Mu potrzebny bardziej niż drobina Pyłu. Zaludniony świat nie jest Mu potrzebny bardziej niż świat zupełnie pusty. Wszystko jest Mu zbyt cenne w równym stopniu, bo niczego Mu nie przydaje. My także nie potrzebujemy niczego, co zostało stworzone! Kochajcie mnie, moi bracia, bo jestem wam nieskończenie zbyt cenny, a wasza miłość będzie jak Jego miłość - zrodzona nie z waszej potrzeby ani z mojej zasługi, lecz z najczystszej, bezinteresownej szczodrości. Chwała Mu, chwała na wieki!

- Wszystko jest stworzone przez Niego i dla Niego. On stwarza siebie samego dla własnej radości i widzi, że jest dobry. On zapładnia sam siebie, a co rodzi się z Niego, jest Nim samym. Chwała Maleldilowi!

- Wszystko, co zostało stworzone, wydaje się bezcelowe umysłom ciemnym, ponieważ we wszystkim jest więcej celów, niż mogą one dostrzec. W morzach są wyspy, gdzie włosy darni zostały tak cudownie i ściśle utkane, że jeśli się nie umie patrzeć, nie zobaczy się ani włosów, ani sposobu, w jaki są misternie splecione, tylko jednostajną, płaską powierzchnię. Tak właśnie jest z Wielkim Tańcem. Niech twoje oczy spoczną na jednym tylko ruchu, a on poprowadzi cię przez wszystkie wzory i wyda ci się ruchem najważniejszym, rządzącym wszystkimi innymi. Lecz to złudzenie będzie prawdą. Niech żadne usta nie otworzą się, by temu zaprzeczyć. Wydaje się, że nie ma planu, bo wszystko jest planem. Wydaje się że nie ma centrum, bo wszystko jest centrum. Chwała Maleldilowi!

- Ale złudzenie to jest także końcem i ostateczną przyczyną, dla której wywiódł On czas i rozpostarł Głębiny Niebios. Gdybyśmy bowiem nigdy nie napotkali ciemności ani drogi prowadzącej donikąd, ani pytania, na które niepodobna sobie wyobrazić odpowiedzi, to umysł nasz

nie potrafiły nigdy stworzyć sobie obrazu Otchłani Ojca. Bo jeśli istota stworzona wrzuci swe myśli do tej Otchłani, nigdy, przenigdy myślom tym nie odpowie żadne echo. Chwała Mu! Chwała! Chwała! Chwała!

Ransom nie zauważył, kiedy i jak dokonała się przemiana, lecz nagle wydało mu się, że to, co rozpoczęło się jako mowa, zmieniło się w wizję albo w coś, co można zapamiętać tylko tak, jakby się to widziało. Wydało mu się, że widzi Wielki Taniec utkany z falowania wielu sznurów czy wstęg światła, przeskakujących przez siebie i pod sobą, nieustannie splatających się w jakieś delikatne wzory przypominające kwiaty lub arabeski. Każdy wzór, na jaki spojrzął, stawał się kluczem lub ośrodkiem całego spektaklu, za pomocą którego można było wyodrębnić i ułożyć w całość inne elementy, ale gdy tylko wzrok spoczął na czymś, co uprzednio zdawało się marginesową dekoracją, odkrywało się i tu taką samą hegemonię. A jednak ów poprzedni, dawniej kluczowy wzór nie tracił nic na tym odkryciu, lecz w swym nowym podporządkowaniu ukazywał znaczenie większe niż to, które mu zostało odjęte.

Widział również (ale tutaj słowo „widzieć” jest już zdecydowanie nieadekwatne), jak w miejscach zetknięcia się owych wstęg czy spirali światła zapalały się na moment iskierki jasności. W jakiś sposób wiedział, że te mikroskopijne cząsteczki są powtarzającymi się zjawiskami, o których mówi historia: ludami, instytucjami, klimatami opinii publicznej, cywilizacjami, nurtami sztuki i nauki i tym podobnymi efemerycznymi błyskami, które wygwizdują swą krótką pieśń i giną. Same wstęgi lub sznury, w których żyły i ginęły miliony owych cząsteczek, były czymś innym i z początku nie potrafił pojąć czym. W końcu poznał jednak, że większość z nich to indywidualne jednostki. Wynikało z tego, że czas, w jakim odbywał się Wielki Taniec, różni się znacznie od naszego czasu. Niektóre cieńsze i delikatniejsze włókna były rzeczywistościami uważanymi przez nas za krótkotrwałe; widział więc różne kwiaty i owady, jakiś owoc, gwałtowny deszcz, a raz (jak sądził) falę morską. Inne wstęgi były rzeczywistościami, które i my uważamy za długowieczne: kryształami, rzekami, górami, a nawet gwiazdami. Wysoko nad nimi, w pasie jasności, rozbłyskując barwami nie znanymi naszej tęczy, były linie osobowych bytów, tak różniące się między sobą, jak wszystkie razem różniły się od poprzedniej kategorii. Ale nie wszystkie włókna były tu osobami, niektóre były uniwersalnymi prawdami lub wartościami. Wówczas nie był wcale zaskoczony, że zarówno one, jak i osoby są podobnymi świetlistymi wstęgami, tak różnymi od owych atomów zbiorowości, które żyły i umierały w zwarciu się ich strumieni, ale gdy wrócił na Ziemię, dziwił się temu bardzo.

Lecz teraz Taniec musiał już wyjść poza granice wizualności, przynajmniej w ludzkim pojęciu, bo Ransom opowiada, że cała ta monstrualna konfiguracja zakochanych w sobie i ożywiających się wzajemnie kręgów ujawniła się jako zaledwie powierzchnia o wiele bardziej rozległego, czterowymiarowego wzoru, a ten znów jako granica jeszcze innych światów, aż nagle, gdy ruch stał się jeszcze szybszy, splatanie jeszcze bardziej ekstatyczne, związek wszystkiego z wszystkim jeszcze bardziej ścisły, gdy wymiar zaczął rodzić wymiar, i ta część percepcji Ransoma, która posługiwała się rozumem i pamięcią, zaczęła być spychana coraz dalej kosztem tej, która tam, w samym zenicie złożoności, mogła jeszcze widzieć - wówczas złożoność została pochłonięta i rozplynęła się, jak zwiewna biała chmurka rozplywa się w agresywnym błękitnie nieba, i oto prostota ponad wszelkie wyobrażenie, prastara i zarazem młoda jak wiosna, bezgraniczna i oczywista, pociągnęła go sznurami nieskończonej tęsknoty w swój własny bezruch. Wszedł w taki spokój, w takie zacisze i taką świeżość, że w tym samym momencie, w którym znajdował się najdalej od naszego zwykłego sposobu istnienia, odczuł, jak odrywa się od czegoś, budzi z transu i wraca do siebie. Z westchnieniem ulgi rozejrzał się wokół siebie...

Zwierzęta znikły. Dwie białe postacie znikły. W zwykłym, łagodnym świetle perelandryjskiego

poranka dostrzegł tylko Tora i Tinidril.

- Gdzie są zwierzęta? - zapytał.

- Odeszły, by zająć się swoimi małymi sprawami - odparła Tinidril. - Odeszły, by zrodzić małe, złożyć jajka, zbudować gniazda, utkać swe sieci i wykopać nory. Odeszły, by śpiewać, bawić się, jeść i pić.

- Długo tu nie wytrzymały - zauważył Ransom - bo czuję, że wciąż jest wczesny ranek.

- Ale nie ten sam ranek - powiedział Tor.

- A więc jesteśmy tu długo?

- Tak. Sam tego do tej chwili nie wiedziałem. Od chwili naszego spotkania opisaliśmy pełny krąg wokół Arbola.

- Rok?! - zawołał Ransom. - Cały rok? Wielkie nieba! Co mogło o się w tym czasie wydarzyć w moim ciemnym świecie! Czy wiedziałeś, Ojczy, że mija tyle czasu?

- Nie czułem, gdy mijał - odrzekł Tor. - Myślę, że odtąd fale czasu będą się dla nas często zmieniać. Będzie zależało od naszej woli, czy wzniesiemy się ponad nie, by ujrzeć wiele fal naraz, czy też poddamy się jednej, jak dotąd.

- Przychodzi mi do głowy - powiedziała Tinidril - że dzisiaj, skoro ten rok przywiódł nas znowu do tego samego miejsca w niebiosach, przyjdą eldile, by zabrać Łaciatę do jego świata.

- Masz słuszość, Tinidril - rzekł Tor. Potem spojrzął na Ransoma i dodał - Z twojej stopy sączy się czerwona rosa.

Ransom zobaczył, że rana w pięcie wciąż krwawi.

- Tak - powiedział. - W to miejsce ugryzł mnie Zły. Ta czerwona rosa to *hru*.

- Usiądź, przyjacielu - rzekł Tor - Pozwól, że umyję ci stopy w tym jeziorze.

Ransom zawahał się, ale Król był stanowczy. Usiadł więc na niskim brzegu, a Król ukląkł przed nim w płytkiej wodzie i ujął zranioną stopę w swe ręce.

- A więc to jest *hru* - powiedział po chwili milczenia. - Nigdy jeszcze nie widziałem tej cieczy. A więc to jest substancja, którą Maleldil odmienił światy, zanim jeszcze pierwszy z nich został stworzony.

Mył stopę długo, ale krwawienie nie ustępowało.

- Czy to znaczy, że Łaciaty umrze? - zapytała w końcu Tinidril.

- Nie sądzę - odparł Tor. - Myślę, że każda istota jego rodzaju, która oddychałaby powietrzem, jakim on oddychał, i piła taką wodę, jaką on pił od czasu, gdy przybył na Świętą Górę, przekonałaby się, że niełatwo jej umrzeć. Powiedz mi, przyjacielu, czy po utracie Raju ludzie nie nauczyli się umierać zbyt szybko?

- Słyszałem, że pierwsze pokolenia były bardzo długowieczne, ale dziś większość ludzi uważa, że to legenda lub poezja. Nie zastanawiałem się nad tym.

- O! - zawołała nagle Tinidril. - Eldile idą po niego!

Ransom rozejrzał się i zobaczył już nie białe ludzkie postacie, w jakich oglądał ostatnio Marsa i Wenus, lecz prawie niewidoczne światła. Król i Królowa rozpoznali w nich duchy tak łatwo, jak ziemski monarcha poznaje swoich dworzan nawet wówczas, gdy nie są w stroju dworskim.

Król uwolnił stopę Ransoma i wszyscy troje poszli w kierunku białej skrzyni. Pokrywa leżała obok na ziemi. Wszyscy poczuli pragnienie opóźnienia rozstania.

- Jak się nazywa to, co teraz czujemy, Torze? - zapytała Tinidril.

- Nie wiem - odrzekł Król. - Kiedyś nadam temu nazwę. To nie jest dzień na wymyślanie nazw i imion.

- To mi przypomina owoc w bardzo grubej łupinie - powiedziała. - Radość z ponownego spotkania w Wielkim Tańcu jest jego słodkim miąższem. Ale skorupa jest gruba... gruba na tyle lat,

że nie mogę policzyć.

- Widzisz teraz - rzekł Tor - co chciał z nami uczynić Zły. Gdybyśmy go posłuchali, próbowalibyśmy teraz dobrać się do owej słodczy nie rozgryzając skorupy.

- I w ogóle nie byłoby „tej słodczy” - dodała.

- Nadszedł czas jego odejścia - zabrzmiał głos eldila.

Ransom, gdy już ułożył się w skrzyni, nie znalazł słów, które mógłby wypowiedzieć. Jej boki wyrastały w górę jak ściany, a nad nimi, obramowane długim otworem trumiennym, ujrzał złote niebo i twarze Tora i Tinidril.

- Musicie zakryć mi oczy - rzekł wreszcie.

Dwie postacie zniknęły na chwilę, a kiedy się znowu pojawiły, każde miało w ramionach pęki czerwonych lili. Schylili się i ucałowali go. Król uniósł rękę w błogosławieństwie. Była to ostatnia rzecz, jaką widział w tym świecie. Obsypali mu twarz chłodnymi płatkami, aż oślepnął wśród czerwonego, słodko pachnącego obłoku.

- Czy wszystko gotowe? - rozległ się głos Króla. - Żegnaj, przyjacielu i zbawco! - odezwały się dwa głosy. - Żegnaj do chwili, kiedy wszyscy troje opuścimy wymiary czasu. Mów o nas zawsze Maleldilowi, jak my zawsze mówimy Mu o tobie. Niech moc, miłość i chwała będą z tobą.

Rozległ się głośny, ciężki odgłos, z jakim wieko spoczęło na trumnie. Przez kilka sekund słyszał jeszcze dźwięki ze świata, z którym rozstawał się na zawsze. Potem stracił świadomość.

Ta straszna siła

[współczesna baśń dla dorosłych]

*Cień tej plugawej strasznej siły
Mierzy ponad sześć i pół mili*

*Sir David Lindsay
Fragment poematu Ane Dialog
Opisujący Wieżę Babel*

Dla J. McNeill

Przedmowa

Nazwałem tę książkę baśnią, aby od razu ostrzec czytelnika, który nie lubi powieści fantastycznych, bo dwa pierwsze rozdziały mogłyby go wprowadzić w błąd i po dalszej lekturze mógłby się czuć zawiedziony. Jeśli mnie zapytacie, dlaczego - mając zamiar pisać o magach, diabłach, mitycznych zwierzętach i aniołach z innych planet - zaczynam jednak od takich zwykłych, nieco monottonnych scen i osób, odpowiem, że pozostaję w zgodzie z typową konstrukcją tradycyjnej baśni. Zwykle nie zwracamy na to uwagi, bo te chałpki i zamki, ci drwale i królowie, od których często zaczynają się baśnie, są nam równie odlegli, jak wiedźmy i ogry, których poznajemy trochę później. Dla bajaran i ich pierwszych słuchaczy te postacie i miejsca nie były jednak tak odległe. Być może były dla nich nawet bardziej realne i „zwykłe” niż dla mnie Bracton College, bo wiele niemieckich pasterek spotkało się w swoim życiu z okrutnymi macochami, natomiast ja nigdy, na żadnym uniwersytecie nie natknąłem się na kolegium braktońskie.

Jest to „niesamowita opowieść” o szatańskich mocach, chociaż kryje się za nią pewien poważniejszy problem, który próbowałem wyłożyć w mojej książce *The Abolition of Man* (Zniesienie człowieczeństwa). Z mojego zamysłu pisarskiego wynikało, że w tej historii zewnętrzny krąg owego diabelstwa powinien zetknąć się z jakimś zwykłym, ale ogólnie szanowanym środowiskiem. Wybrałem moje własne środowisko - oczywiście nie dlatego, że uważam, iż członkowie kolegiów uniwersyteckich są bardziej podatni na rozkład moralny, ale dlatego, że moje środowisko zawodowe jest w naturalny sposób tym, które znam najlepiej. Wybrałem też mały uniwersytet, ponieważ stwarza to pewne udogodnienia w konstruowaniu fabuły. Edgestow nie jest w żadnej mierze odpowiednikiem Durham - uniwersytetu, z którym łączyły mnie wyłącznie bardzo miłe stosunki.

Jedna z głównych idei tej książki wpadła mi do głowy podczas rozmów z pewnym przedstawicielem nauk ścisłych, jakiś czas przed tym, jak natknąłem się na podobne sugestie w książkach Olafa Stapledona. Roi się w nich od wspaniałych pomysłów, więc chyba wolno mi było z niektórych skorzystać. A tak wysoko cenię jego pomysłowość (choć już nie zawartą w jego książkach filozofię), że nie wstydzę się owych zapożyczeń.

Ci, którzy chcieliby się dowiedzieć czegoś więcej o Numinorze i o trzeciej wojnie, muszą niestety poczekać, aż mój przyjaciel, profesor J. R. R. Tolkien opublikuje choć część swoich rękopisów.

Fabuła mojej powieści toczy się „po wojnie”. Jest to ostatnia część trylogii, której pierwszą częścią jest powieść *Z milczącej planety*, a drugą *Perelandra*, ale można ją czytać jako osobną powieść.

C.S. Lewis
Magdalen College, Oxford
Wigilia Bożego Narodzenia 1943 roku

Rozdział 1

Sprzedaż uniwersyteckiej nieruchomości

A po trzecie - powiedziała do siebie Jane Studdock - małżeństwo zostało ustanowione po to, aby małżonkowie obdarzali się wzajemnie swą obecnością, pomocą i pociechą.

To zdanie, które usłyszała sześć miesięcy temu podczas ceremonii zaślubin z Markiem, mocno utkwilo jej w pamięci. Była wówczas w kościele po raz pierwszy od wielu lat, chyba od dzieciństwa.

Przez otwarte drzwi widziała małą kuchnię ich czynszowego mieszkania i słyszała głośne, natarczywe tykanie zegara. Dopiero co opuściła kuchnię i dobrze wiedziała, że łóżko jest czyste. Naczynia pozmywane po śniadaniu, ściereczki do naczyń rozwieszane nad piecem, podłoga przetarta mopem. Pokoje też już „zrobione”, łóżka posłane. Już po codziennych zakupach, a dopiero jedenasta. Poza przygotowaniem lunchu i herbaty dla siebie - żadnej roboty aż do szóstej, nawet gdyby Mark wrócił do domu na obiad. A przecież miał dzisiaj to swoje posiedzenie. Prawie na pewno zadzwoni około piątej i powie, że zebranie potrwa dłużej, niż przypuszczał, i że będzie musiał zjeść obiad w kolegium. A przed nią wypełnione pustką godziny w pustym mieszkaniu. Słońce świeciło, zegar tykał.

- Obecność, pomoc i pociecha - powtórzyła z goryczą.

W rzeczywistości jej małżeństwo okazało się bramą, przez którą opuściła świat pracy naukowej, koleżeńskich znajomości, śmiechu i tylu innych rzeczy sprawiających jej radość, aby znaleźć się w miejscu, którego nie wahała się już nazwać samotnym więzieniem. Przez te kilka lat przed ślubem częściej widywała Marka niż w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Nawet wtedy, gdy był w domu, prawie w ogóle się nie odzywał. Zawsze był albo śpiący, albo zajęty swoją pracą. Kiedy się poznali i później, kiedy zostali kochankami, życie wydawało się zbyt krótkie na to, co chcieli sobie powiedzieć. A teraz... Dlaczego w ogóle się z nią ożenił? Czy jeszcze ją kocha? Jeśli tak, to miłość musi oznaczać coś zupełnie innego dla mężczyzn i dla kobiet. A może okrutna prawda polega na tym, że te ich wszystkie niekończące się rozmowy, które dla niej przed ślubem były samym wyrazem, samym spełnieniem się miłości, dla niego były zawsze tylko konwencjonalną grą wstępną?

- Jane Studdock, coś mi się zdaje, że jesteś na dobrej drodze, aby zmarnować jeszcze jedno przedpołudnie - skarciła się ostrym tonem. - Musisz się zabrać do pracy.

Mówiąc o „pracy”, miała na myśli swoją rozprawę doktorską na temat Donne'a. Po ślubie nadal chciała pracować naukowo; był to jeden z powodów, dla których wciąż nie mieli dzieci. Nie lubiła się, że jej praca będzie wybitnym dziełem z jakąś oryginalną tezą: zamierzała skupić się na modnym wówczas problemie „rehabilitacji ciała” u Donne'a. Wciąż jeszcze wierzyła, że gdy tylko wyciągnie wszystkie notatki i książki i zabierze się na serio do pisania, zdoła odzyskać dawno utracony zapał. Zanim jednak to uczyniła, odwróciła gazetę leżącą na stole - być może po to, by odwlec początek pracy - i wówczas jej spojrzenie padło na zdjęcie na ostatniej stronie.

Natychmiast przypomniawszy sobie swój sen. Nie tylko sen, ale i chwile po przebudzeniu, gdy wysliznęła się z łóżka i usiadła w fotelu, by doczekać świtu. Nie zapalała światła ze strachu, że Mark się obudzi i zrobi jej awanturę, a jednocześnie czuła się trochę urażona, słysząc jego regularny oddech. Nigdy nie miał najmniejszych problemów ze spaniem. Tylko jedno mogło go powstrzymać od natychmiastowego zaśnięcia po wejściu do łóżka, a i to zwykle nie trwało zbyt długo.

Był to koszmarny sen. Przeróżne, jakie czasem ogarnia nas we śnie, zwykle słabnie, gdy taki sen opowiadamy, trzeba jednak w tym miejscu przytoczyć jego treść ze względu na to, co się miało

wydarzyć później.

Najpierw przysniła się jej po prostu jakaś twarz - brodata twarz o cudzoziemskich rysach, z pożółkłą skórą i haczykowatym nosem, zastygła w śmiertelnym przerażeniu. Jane dobrze zapamiętała te otwarte usta i wytrzeszczone oczy. Takie oczy widzi się przez sekundę lub dwie u ludzi, którzy doznali jakiegoś szoku. Ale ta twarz sprawiała wrażenie, jakby zastygła w panice po szoku, który trwał przez wiele godzin. Stopniowo wyłniał się cały obraz. Twarz należała do człowieka, który siedział zgarbiony w rogu małego pokoju o białych ścianach, czekając - jak jej się wydawało - na kogoś, kto miał nad nim władzę, na kogoś, kto miał przyjść i zrobić mu coś strasznego. W końcu drzwi się otworzyły i wszedł przystojny mężczyzna z ostro przystrzyżoną szarą bródką. Więzień najwyraźniej dobrze go znał i zaczął z nim rozmawiać. We wszystkich dotychczasowych snach Jane albo rozumiała, co mówią postaci ze snu, albo ich w ogóle nie słyszała. W tym śnie było zupełnie inaczej. Rozmowa toczyła się po francusku, co sprawiało, że sen stawał się niezwykle realistyczny, bo Jane rozumiała z niej tylko niektóre słowa, zupełnie tak, jak mogło to być na jawie. Przybysz powiedział coś, co najwyraźniej miało być dla więźnia dobrą wiadomością. Ten wyprostował się z błyskiem nadziei w oczach, powiedział: *Tiens... ah... ca marche...*, lecz po chwili opadł z powrotem, jakby nadzieja go opuściła. Przybysz mówił dalej cichym głosem, pełnym łagodnej perswazji. Był to przystojny opanowany mężczyzna, lecz na Jane sprawiał bardzo nieprzyjemne wrażenie, być może dlatego, że nosił binokle, które odbijały światło i nigdy nie pozwalały zobaczyć jego oczu. Było też coś prawie nienaturalnego w doskonałości jego uzębienia. Nie mogła zrozumieć, do czego chce przekonać więźnia, który najwyraźniej wpadał w coraz większą panikę, ale uświadomiła sobie, że ciąży na nim wyrok śmierci. Nagle sen zamienił się w koszmar. Przybysz, wciąż z chłodnym uśmiechem na twarzy, poprawił sobie binokle na nosie, ujął głowę więźnia w obie ręce i gwałtownie skrzywił wokół osi. Przypominało to scenę, jaką Jane widziała minionego lata nad morzem, gdy odkręcano nurkowi hełm. W podobny sposób nieznajomy „odkręcił” więźniowi głowę i odrzucił ją na bok. A potem - jak to we śnie - wszystko się pomieszało. Głowa wciąż była najważniejszą częścią snu, ale teraz zupełnie się zmieniła. Miała rdzawobiałą brodę i należała do starca, którego ciało wykopywali jacyś ludzie. Starzec przywodził na myśl starożytnego druida. Ubrany był w długą oponczę lub płaszcz, a scena odbywała się na jakimś przykościelnym cmentarzu. Nagle Jane dostrzegła, że ciało ożywa. „Uważajcie!”, krzyknęła we śnie. „Przecież on żyje! Przestańcie! Przestańcie! Budzicie go ze snu!” Ale ludzie nie zwracali na nią uwagi. Starzec usiadł i zaczął mówić w dziwnym języku, trochę przypominającym hiszpański. Jane opanowało takie przerażenie, że się przebudziła.

Taki był ten sen i mogłoby się wydawać, że nie był ani bardziej ani mniej przerażający od wielu podobnych nocnych koszmarów. Ale nie samo wspomnienie owego koszmaru spowodowało, że teraz cały pokój zawirował jej w oczach, tak że szybko usiadła, bojąc się przewrócić. Oto na ostatniej stronie gazety ujrzała tę samą twarz, którą widziała we śnie - tę pierwszą twarz (jeśli to były dwie twarze) twarz więźnia. Z lękiem podniosła gazetę i przeczytała nagłówek EGZEKUCJA ALCASANA i podtytuł: UCZONY SINOBRODY IDZIE NA GILOTYNE. Przypomniała sobie, że śledziła tę sprawę choć bez specjalnego zainteresowania. Alcasan był znanym radiologiem z sąsiedniego hrabstwa (mówiono, że z pochodzenia był Arabem). Jego błyskotliwą karierę przerwał proces, w którym udowodniono mu, że otruił swą żonę. Ach, więc stąd ten makabryczny sen! Musiała spojrzeć na zdjęcie przed położeniem się do łóżka i zapamiętać tę odrażającą twarz. Nie, to niemożliwe! Przecież to poranna gazeta. No tak, ale na pewno jego zdjęcie były wcześniej w prasie. Proces zaczął się wiele tygodni temu. Zobaczyła któreś z tych zdjęć, a później o nim zapomniała. Co za głupota przejmować się czymś takim! Trzeba się zabrać do Donne'a.

„Zaraz... na czym to ja skończyłam?”, pomyślała, przeglądając notatki. „Ach, tutaj, na tym

dwuznacznym zakończeniu *Alchemii miłości*":

*Nie chciej duszy w kobietach; przy całym rozumie
Są, gdy się je posiędzie, już tylko jak mumie*".

[J. Donne, *Alchemia miłości*, przeł. S. Barańczak.]

„Nie chciej duszy w kobietach"... A czy któryś z nich kiedykolwiek naprawdę chciał duszy w kobietach?

„No dobrze, ale przecież nie o to chodzi", pomyślała.

- Muszę odzyskać zdolność koncentracji - powiedziała na głos.

Ale... czy naprawdę było już w prasie jakieś zdjęcie Alcasana? A jeśli...

Pięć minut później odłożyła książki, podeszła do lustra, włożyła kapelusz i wyszła. Nie była pewna, dokąd właściwie idzie. Dokądkolwiek, byle wyjść z tego pokoju, z tego mieszkania, z tego całego domu.

* * *

W tym samym czasie Mark szedł w kierunku Bracton College i rozmyślał o zupełnie innych sprawach, nie zwracając uwagi na poranne piękno uliczki, która wiodła go z położonej na zboczu podmiejskiej dzielnicy do środkowej, uniwersyteckiej części Edgestow.

Chociaż sam wychowałem się w Oksfordzie i kocham Cambridge, uważam, że Edgestow jest od nich piękniejsze. Przede wszystkim dlatego, że jest takim małym miasteczkiem. Uroczę wiejskie okolice nie zostały jeszcze zaanektowane przez żadnych producentów samochodów, kielbasek czy dżemów, a sam uniwersytet należy do najmniejszych w Anglii. Prócz Bracton College i dziewiętnastowiecznego kolegium żeńskiego, położonego za torami kolejowymi, należały do niego tylko dwa kolegia: Northumberland College nad rzeką Wynd i Duke's College naprzeciw opactwa. Kolegium brackońskie nie przyjmuje studentów. Założono je w 1300 roku dla dziesięciu uczonych mężów, do których obowiązków należało zanoszenie modłów za duszę Henry'ego de Bractona i studiowanie praw Anglii. Liczba członków kolegium stopniowo urosła do czterdziestu, z których obecnie tylko sześć ciu studiowało prawo i prawdopodobnie żaden nie modlił się za duszę Bractona. Mark Studdock był socjologiem, a członkiem kolegium został pięć lat temu. Właśnie zaczynał pewniej czuć grunt pod nogami. Gdyby nawet miał co do tego jakieś wątpliwości (a nie miał), to pozbyłby się ich całkowicie, kiedy tuż za pocztą spotkał Curry'ego i z satysfakcją zauważył, w jak naturalny sposób prodziekan kolegium zaproponował mu, by dalszą drogę odbyli razem i przedyskutowali porządek dzienny posiedzenia.

- Tak - powiedział Curry - zanoszę się na piekielną nasiadówkę. Założę się, że nie skończymy przed obiadem. Nasi obstrukcyjniści już się o to postarają. Na szczęście, jedyne co mogą osiągnąć, to zmarnowanie wszystkim czasu.

Ton odpowiedzi Studdocka nie zdradzał rozkoszy, jaką mu sprawiło użycie przez Curry'ego formy „my". Jeszcze do niedawna był skromnym outsiderem, obserwującym z nabożnym podziwem niezbyt dla siebie rozumiał posunięcia „bandy Curry'ego". Jego nieczyste wystąpienia na zebraniach kolegium były krótkie, nerwowe i nigdy nie miały żadnego wpływu na bieg wydarzeń. I oto nagle został włączony do ich gry, stał się częścią Postępowej Elity kolegium brackońskiego. Wciąż czuł słodycz tej wspaniałomyślności losu.

- A więc sądzisz, że wniosek przejdzie? - zapytał.

- Z całą pewnością - odrzekł Curry. - Już teraz mamy za sobą dziekana i kwestora, a także wszystkich chemików i biochemików. Rozmawiałem z Pelhamem i Tedem, to rozsądni faceci. Sprawilem, że Sancho uwierzył w to i jest za. Bill Zawierucha będzie prawdopodobnie rozrabiał, ale gdy przyjdzie do głosowania, stanie po naszej stronie. Aha, jeszcze ci tego nie mówiłem: Dick będzie na zebraniu. Przyjechał wczoraj wieczorem i od razu zabrał się do roboty.

- Myśli Studdocka zaczęły miotać się gorączkowo w poszukiwaniu bezpiecznego sposobu ukrycia faktu, że nie miał pojęcia, kim jest Dick. Jediną osobą, z którą kojarzyło mu się to poufale zdrobnienie imienia, był pewien mało znaczący kolega, Richard Telford.

- Telford? - zapytał zdziwionym tonem, dobrze wiedząc, że Curry'emu nie mogło o niego chodzić.

- Wielki Boże! Telford! - Curry parsknął śmiechem. - Nie. Mam na myśli lorda Feverstone'a, czyli Dicka Devine'a.

- Nie mam pojęcia, skąd mi ten Telford przyszedł do głowy - powiedział Studdock, śmiejąc się, jakby to był żart. - Cieszę się, że Feverstone będzie. Nie miałem jeszcze okazji go poznać.

- Och, musisz, koniecznie! Wiesz co, przyjdź dziś wieczorem do mnie na obiad. Zaprosiłem go.

- Będzie mi bardzo miło - rzekł Studdock, tym razem nie mijając się z prawdą, a po chwili dodał: - A propos, chyba jego pozycja nie jest zagrożona?

- Co masz na myśli? - zapytał Curry.

- No cóż, jak pamiętasz, było trochę wątpliwości, czy ktoś, kto tak długo przebywa poza Bractonem, może być nadal członkiem kolegium.

- Och, chodzi ci o Glossopa i jego pogroźki. Nic z tego nie wyjdzie. Przecież to farsa!

- Między nami mówiąc, jestem tego samego zdania. Ale muszę wyznać, że gdyby mi przyszło publicznie wyjaśnić, dlaczego facet, spędzający prawie cały czas w Londynie, ma być nadal członkiem kolegium bracktońskiego, nie wiem, czybym sobie z tym poradził. Prawdziwe powody należą do kategorii, które doktor Watson nazwałby imponderabiliami.

- Nie masz racji. Ja nie miałbym żadnych oporów przed publicznym wyjaśnianiem prawdziwych powodów jego nieobecności. Czyż nie jest ważne, by mieć wpływowych łączników ze światem zewnętrznym? W końcu nie jest wcale powiedziane, że Dick nie wejdzie do przyszłego gabinetu. A nawet teraz może w Londynie zrobić dla kolegium więcej, niż zrobił Glossop i pół tuzina jemu podobnych, siedząc tu przez całe życie.

- Tak, oczywiście, na tym polega istota sprawy. Tylko że niezbyt zrećcznie byłoby ujmować to w ten sposób na posiedzeniu kolegium.

- Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć o Dicku - rzekł Curry nieco mniej poufałym tonem.

- Co takiego?

- Że to dzięki niemu jesteś członkiem kolegium.

Mark nic nie odpowiedział. Przypominanie o tym, że w swoim czasie był nie tylko poza Postępową Elitą, ale w ogóle poza kolegium, nie sprawiło mu przyjemności. Prawdę mówiąc, nie zawsze sprawiło mu też przyjemność obcowanie z Currym, a w każdym razie nie był to ten rodzaj przyjemności, o którym marzył.

- Tak - rzekł Curry. - Twoim głównym rywalem był Denniston. Między nami mówiąc, wielu ludziom jego prace bardziej się podobały niż twoje. To Dick obstawał uparcie, że właśnie ty jesteś człowiekiem, jakiego naprawdę potrzebujemy. Pochodził po Duke's College i wszystkiego się o tobie dowiedział. Utrzymywał, że nieważne są te wszystkie papierkowe kwalifikacje, ważny jest charakter człowieka. I muszę przyznać, że się nie mylił.

- Dzięki, miło mi to słyszeć - powiedział Studdock z lekkim, ironicznym ukłonem.

Niespodziewany obrót rozmowy zaskoczył go. W Bractonie, jak w większości angielskich

kolegiów uniwersyteckich, obowiązywała stara zasada, że w obecności zainteresowanego nigdy nie porusza się okoliczności, w jakich został wybrany. Aż do tej chwili nie przychodziło mu do głowy, że Postępowa Elita gotowa była złamać i tę tradycję. I nie miał pojęcia, że jego wybór wcale nie zależał od wyników egzaminu, a tym bardziej, że mało brakowało, by członkiem kolegium został ktoś inny. Tak już przywykł do swojej obecnej pozycji, że poczuł się trochę jak człowiek, który nagle odkrywa, iż jego ojciec o mało co nie poślubił innej kobiety.

- Tak - ciągnął Curry, który myślał o czymś zupełnie innym. - Teraz już jest jasne, że Denniston byłby fatalną inwestycją. To nie ulega wątpliwości. Wtedy świetnie się zapowiadał, to fakt, ale z czasem zupełnie mu odbiło. Wplątał się w ten cały dystrybutywizm i podobne bzdury. Mówią, że może skończyć w jakimś klasztorze.

- No, ale głupi to on nie jest - zauważył Studdock.

- Cieszę się, że poznasz Dicka - rzekł Curry. - Nie ma teraz na to czasu, ale jest pewna sprawa, która go dotyczy, a którą chciałbym i z tobą przedyskutować.

Studdock spojrzał na niego pytająco.

- James, ja i jeszcze paru innych - rzekł Curry, nieco ściszej Sios - sądzimy, że to on powinien być nowym dziekanem. No, ale jesteśmy na miejscu.

- Jeszcze nie ma dwunastej - powiedział Studdock. - A może byśmy tak wpadli do „Bristolu” na szklaneczkę?

Curry nie miał nic przeciwko temu. Dostosowanie się do atmosfery, w której działała Postępowa Elita, nie mogło się obejść bez takich drobnych uprzejmości. Oczywiście związane z tym koszty były poważniejszym obciążeniem dla Studdocka niż dla Curry'ego, który był kawalerem i dostawał stypendium prodiakana. Ale „Bristol” był bardzo przyjemnym miejscem. Studdock zamówił podwójną whisky dla swojego towarzysza i małe piwo dla siebie.

* * *

Byłem w Bractonie tylko raz. Namówiłem wówczas mojego gospodarza, aby zaprowadził mnie do lasu i zostawił tam samego na jakąś godzinę. Zgodził się, ale powiedział, że będzie mnie musiał tam zamknąć.

Niewielu ludzi dostępowało przywileju wstępu do Lasu Bragdon. Otoczony jest murem, a jedynym wejściem do niego jest ozdobna brama - dzieło Inigo Jonesa. Las ma z ćwierć mili szerokości i milę długości. Jeśli się doń wejdzie od strony ulicy, po przejściu przez czworoboczny dziedziniec kolegium, poczucie wkraczania do jakiegoś sanktuarium jest szczególnie silne. Najpierw trzeba przejść przez pusty i ponury dziedziniec Newtona, otoczony bogato zdobionymi gregoriańskimi budynkami. Potem idzie się przez zimny, podobny do tunelu korytarz, prawie ciemny nawet w południe, chyba że pozostawiono otwarte drzwi do refektorium po prawej stronie lub do spiżarni po lewej: pozwala to uchwycić spojrzeniem światło rozlewające się wewnątrz na kasetonach i poczuć zapach świeżego chleba. Z tego korytarza wychodzi się na krużganki o wiele mniejszego dziedzińca zwanego Republiką. Po surowości dziedzińca Newtona zachwyca tutaj świeżość zielonej trawy. Niedaleko jest kaplica; gdzieś z góry dobiega ochryply, ciężki odgłos pracy wielkiego starego zegara. W krużgankach mija się tablice, urny i popiersia upamiętniające martwych braktończyków, a potem, po przejściu niskich schodów, wkracza się w pełne światło dziedzińca noszącego imię Lady Alice. Szare budynki po lewej i prawej stronie pochodzą z siedemnastego wieku: są skromne, przytulne, z mansardowymi oknami, porośnięte mchem. Czuje się tu błogość protestanckiego świata, przywodzącą na myśl Bunyana albo Waltona. Dziedziniec jest zabudowany z trzech stron, z czwartej - na wprost - zamknięty rzędem starych wiązów i

murem. Tu po raz pierwszy słycać cichy plusk wody i gruchanie dzikich gołpi. Ulica jest tak daleko, że nie dochodzą żadne inne odgłosy. Przez furtkę w murze wchodzi się do pokrytej dachem galerii z wąskimi oknami po obu stronach. Wyglądając na zewnątrz, nie dostrzegasz, że galeria jest w rzeczywistości mostem, pod którym przepływa ciemnobrązowa, pomarszczona rzeka Wynd.

Cel jest już bardzo blisko. Za furtką na końcu mostu rozpościera się zielona łąka do gry w krykieta, a za nią widać już wysoki mur otaczający Las Bragdon. Przez bramę Inigo Jonesa przeziara nasyciona słońcem zieleń zmieszana z głębokimi cieniami.

Już sam fakt, że las otoczony jest murem, nadaje mu ową szczególną cechę, odczuwaną jako „wyłączenie” z otaczającego świata. Wkraczając do niego po miękkim mchu, czułem, że jestem tu gościem. Drzewa rosły tak rzadko, że choć wokół siebie wszędzie widziałem zieloność, miałem wrażenie, jakbym szedł przez zalaną łagodnym blaskiem słońca polanę otoczoną łagodnymi cieniami. Prócz pasących się owiec, które od czasu do czasu unosiły swoje długie, głupkowate głowy, aby na mnie spojrzeć, nie było tu nikogo. Czułem się trochę tak, jakbym znalazł się w wielkiej sali jakiegoś opuszczonego domu. Pamiętam, że pomyślałem wówczas: „To takie miejsce, w którym dziecko poczułoby albo lęk, albo szczęście”. A w chwilę później pomyślałem: „Ale przecież każdy, kiedy jest sam, naprawdę sam, jest dzieckiem... a może nikim?” Młodość i wiek dotykają tylko powierzchni naszego życia.

Pół mili to krótki spacer, a jednak wydawało mi się, że wędrówka do środka lasu trwała bardzo długo. Nie miałem wątpliwości, że jestem już w samym środku, bo w końcu zobaczyłem coś, co było moim głównym celem: obramowaną resztkami starożytnych kamiennych płyt studnię ze schodkami wiodącymi w głąb. Teraz jest już bardzo zniszczona. Położyłem się na trawie i dotknąłem chłodnych kamieni. Tu bije serce Bractonu, stąd wytryska źródło wszystkich legend związanych z Lasem Bragdon i, jak sądzę, tu miało początek całe kolegium. Archeologowie są zgodni co do tego, że obudowa studni jest dziełem rzemieślników brytyjskich z okresu rzymskiego, wykonano ją prawdopodobnie tuż przed inwazją Anglo-Saksonów. Pozostaje tajemnicą, co łączy Las Bragdon z prawnikiem Bractonem; tnogę sobie tylko wyobrażać, że właśnie to przypadkowe podobieństwo nazw własnych przywiodło ród Bractonów do przekonania, iż łączy go z tym miejscem jakaś szczególna więź. W każdym razie, jeśli wierzyć pogłoskom, las jest starszy od rodu Bractonów. Sądzę, że obecnie nikt już nie przywiązuje większej wagi do wzmianki Strabona o *Balachthonie*, choć pozwoliła ona pewnemu szesnastowiecznemu dziekanowi Bracton College na stwierdzenie, że „starożytne zapiski nie znają Brytanii bez Bragdonu”. Średniowieczna pieśń prowadzi nas z powrotem do czternastego wieku:

*In Bragdon bricht this ende dai
Herde ich Merlin ther he lai
Singende woo and welawai.*

„W Bragdon już nadszedł koniec dnia / Merlinam słycał, leżał tam / Zawodząc smętne lamentacje”.

Są podstawy, by przypuszczać, że już w czternastym wieku miejsce to nosiło nazwę Studni Merlina, chociaż sama nazwa występuje w źródłach dopiero za czasów elżbietańskich, kiedy dziekan Shovel otoczył las murem, „aby położyć kres bluźnierczym i pogańskim przesądom i wszelkiego rodzaju prostackim zabobonom, takim jak nocne igry, nieprzystojne pląsy czy pieczenie chlebków Morgany, uprzednio pieniającym się przy wodotrysku zwanym chepliwie Studnią Merlina, a zdemaskowanym jako obrzydliwa mieszanka papizmu, pogaństwa, lubieżnictwa i

ciemnoty". Nie znaczy to jednak wcale, by Bracton College wyrzekł o się roszczeń do tego miejsca. Stary doktor Shovel, który dożył prawie stu lat, pewno jeszcze nie był w grobie, kiedy jeden z generałów Cromwella uznał za swój obowiązek „zniszczenie pogańskich gajów i kopców” i wysłał kilku żołnierzy, by zbożnym działaniem wzbudzili szacunek okolicznych wieśniaków. Do zniszczenia studni jednak nie doszło. W starciu między żołnierzami i członkami kolegium zginął słynący z uczoności świątobliwy Richard Crowe, ugodzony kulą z muszkietu na stopniach studni. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł posądzić Crowe'a o papizm lub „pogaństwo”, ale legenda głosi, że jego ostatnie słowa brzmiały: „Miarkujcie sobie, panowie, że jeśli Merlin, syn diabła, był najprawdziwszym sługą króla, jaki kiedykolwiek jadł chleb na tym świecie, to czyż nie jest hańbą, że wy, sukinsyny, musicie być buntownikami i królobójcami?” I przez wieki każdy nowy dziekan Bractonu w dniu swojego wyboru wypijał ceremonialny puchar wody ze Studni Merlina- puchar, który ze względu na swój wiek i piękno był największym skarbem kolegium.

O tym wszystkim rozmyślałem, leżąc przy Studni Merlina - przy studni, która z całą pewnością musiała pochodzić z czasów Merlina, jeśli taki władca rzeczywiście kiedyś istniał - w miejscu, w którym Sir Kenelm Digby leżał ongiś przez całą letnią noc i widział pewną dziwną zjawę, w miejscu, w którym leżał poeta Collins i gdzie pakał król Jerzy III, gdzie wspaniały, uwielbiany przez wszystkich Nathaniel Fox stworzył słynny poemat na trzy tygodnie przed swoją śmiercią we Francji. Było tak cicho i spokojnie, tak zielono wokół mnie i nade mną, że zasnąłem. Obudziło mnie dochodzące z oddali nawoływanie mojego przyjaciela.

* * *

Najbardziej kontrowersyjnym punktem porządku dziennego plenarnego posiedzenia bracktońskiego kolegium była sprawa sprzedaży Lasu Bragdon. Ofertę kupna złożył NIBS - Narodowy Instytut Badań Skoordinowanych, który na tym terenie zamierzał wybudować swoją siedzibę. Instytut miał być jedną z pierwszych prób konstruktywnej współpracy państwa z ośrodkami badawczymi - współpracy, z którą wiele osób wiązało nadzieje na budowę lepszego świata. Miał być wolny od prawie wszystkich męczących ograniczeń - jego zwolennicy nazywali je „czerwoną linią” - które tak bardzo utrudniają rozwój badań naukowych w Anglii. Zapewniono mu też prawie nieograniczoną swobodę materialną, bo - jak to ujęto - naród, który był w stanie wydawać tyle milionów dziennie na wojnę, z pewnością może wydać kilka milionów miesięcznie na produktywnie badania naukowe w czasie pokoju. Projektowany budynek miał być okazały, porównywalny z nowojorskimi drapaczami chmur. Planowano zatrudnienie imponującej liczby bardzo dobrze płatnych specjalistów i pracowników pomocniczych.

Nowo utworzony instytut poszukiwał miejsca na siedzibę. Myślano kolejno o Oksfordzie, o Cambridge, o Londynie, natomiast senat Uniwersytetu Edgestow robił wszystko, by zwabić ów ośrodek badawczy do siebie, mając na uwadze nowe miejsca pracy. Stały nacisk i zabiegi dyplomatyczne ze strony niektórych członków senatu zostały w końcu uwieńczone sukcesem. Po wielu dramatycznych momentach, gdy wydawało się, że sprawa jest przegrana, Postępowa Elita mogła świętować swój triumf. Aby doprowadzić rzecz do końca, wystarczyło tylko zaoferować instytutowi odpowiedni teren. Curry wyraził nawet mniemanie, że jeśli już ta budżąca tyle nadziei instytucja zakorzeni się w Edgestow, to Oksford i Cambridge mogą z czasem pożegnać się z mianem najlepszych uniwersytetów brytyjskich.

Gdyby Mark przyszedł na posiedzenie kolegium jeszcze trzy lata temu, mógłby mieć pewność, że samo postawienie takiej sprawy wywoła falę oburzenia. Minęły jednak czasy, gdy w Edgestow bardziej się liczyły sentymenty historyczne niż postęp nauk ścisłych oraz piękno bardziej niż

praktyczna użyteczność. Dziś, gdy zajął swoje miejsce w Sali Tronowej, długim pomieszczeniu na piętrze Lady Alice, wiedział już więcej. Wiedział, że takie sprawy załatwia się zupełnie inaczej.

Postępowa Elita rozgrywała partię po mistrzowsku. Większość członków kolegium w ogóle nie zdawała sobie sprawy, że chodzi o sprzedaż lasu. Punkt 15 porządku dziennego brzmiał „Sprzedaż gruntów należących do kolegium”, ale nie wzbudzało to w nikim większych emocji, jako że taki punkt pojawiał się na każdym posiedzeniu plenarnym. „Sprawy dotyczące Lasu Bragdon” widniały jako punkt 1, więc nikt nie wiązał ich ze sprzedażą gruntów. Curry jako prodziekan miał tu do odczytania kilka listów. Pierwszy został nadesłany przez jakieś stowarzyszenie zajmujące się ochroną zabytków. Sądzę, że autorom listu zabrakło wyobraźni (niewykluczone zresztą, że zostali do tego przez kogoś namówieni), gdy sformułowali dwa oskarżenia pod adresem administracji Bracton College. Gdyby ograniczyli się do zwrócenia uwagi na zły stan muru otaczającego las, mogliby liczyć na przychylne zrozumienie. Kiedy jednak po oskarżeniu członków kolegium o niefrasobliwość w sprawie muru zażądali zbudowania jakiejś osłony nad Studnią Merlina, a nawet ośmielili się przypomnieć, że już uprzednio się tego domagali, członkowie kolegium zmarszczyli czoła. A kiedy na końcu listu wyrazili życzenie, by kolegium okazało nieco większą przychylność poważnym znawcom starożytności, którzy pragnęli zbadać stan studni, na sali powiało pełnym urazy zniecierpliwieniem. Nie chciałbym oskarżać człowieka tego pokroju co Curry o błędne odczytanie listu, ale sposób, w jaki to uczynił, z całą pewnością nie osłabiał dość agresywnego tonu niektórych sformułowań, a raczej go podkreślał. Zanim usiadł, wszyscy pragnęli jednego: aby świat zewnętrzny przyjął do wiadomości, że Las Bragdon jest prywatną własnością Bracton College i że świat zewnętrzny zrobiłby lepiej, gdyby pilnował swojego nosa.

Następnie podniósł się ponownie, aby odczytać drugi list, tym razem od towarzystwa spirytystów, które prosiło o zgodę na zbadanie „pewnych zjawisk, o których krążą pogłoski”, mających podobno miejsce w Lesie Bragdon.

- Ten list - powiedział Curry - ma związek z innym, który teraz odczytam, jeśli dziekan pozwoli.

Trzeci list pochodził od wytwórni filmów, która dowiedziała się o zainteresowaniu, jakie Las Bragdon wzbudził wśród spirytystów, i chciała nakręcić film na temat ich badań.

Kolegium zaleciło Curry'emu wystosowanie krótkich odpowiedzi odmownych na wszystkie trzy listy.

Potem zabrał głos przedstawiciel zupełnie innej części kolegium. Lord Feverstone rozpoczął swoje wystąpienie od wyrażenia solidarności z reakcją kolegium na listy wścibskich natrętów. Czy nie jest jednak faktem, że stan muru wokół lasu rzeczywiście jest wysoce niezadowolający? Wielu niewtajemniczonych członków kolegium - Studdock już do nich nie należał - odniosło wrażenie, że są świadkami rewolucyjnej zmiany w stosunkach między Feverstone'em a „bandą Curry'ego”. Natychmiast podniósł się jednak kwestor, James Busby. Witając z satysfakcją głos lorda Feverstone'a, wyraził opinię, że określenie „stan niezadowolający” jest stanowczo zbyt łagodne. Otrzymał właśnie wynik ekspertyzy stanu muru i może z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że właściwie jedynym rozwiązaniem problemu byłaby budowa zupełnie nowego muru. Długo opierał się przed wyjawieniem przewidywanych kosztów takiego przedsięwzięcia, a kiedy wreszcie wypowiedział sumę, członkowie kolegium wstrzymali oddechy. Lord Feverstone zapytał, czy kwestor poważnie proponuje zaakceptowanie tak wielkiego wydatku. Busby (były duchowny, olbrzym z krzaczastą czarną brodą) odpowiedział dość powściągliwie, że jeśli już miał coś zaproponować, to tylko radę, aby tego problemu nie rozważano w oderwaniu od pewnych ważnych okoliczności natury finansowej, których ujawnienie należy do jego obowiązków; uczyni to w stosownym punkcie porządku dziennego, "o tym nieco złowieszczym oświadczeniu nastąpiła

krótka przerwa, po której zaczęli się wypowiadać „outsiderzy” i „obstrukcyjniści”, czyli ludzie nie należący do Postępowej Elity. Większość z nich nie mogła uwierzyć, że mur jest aż w tak złym stanie, że trzeba go zastąpić nowym. Postępowa Elita pozwoliła im mówić przez blisko dziesięć minut. Potem ponownie wstał lord Feverstone i zapytał, czy to możliwe, by kwestor i Komisja Konserwacji naprawę nie byli w stanie znaleźć innego rozwiązania poza budową nowego muru albo degradacją Lasu Bragdon do stanu zwykłego, publicznego lasu. Niektórzy „outsiderzy” odnieśli nawet wrażenie, że ton, w jakim Feverstone zwracał się do kwestora, był nieco zgryźliwy. Kwestor odpowiedział cichym głosem, że jest pewna alternatywa, choć dotąd rozważał ją czysto teoretycznie. Na przykład ogrodzenie z drutu kolczastego. .. Reszta zdania utonęła w donośnym ryku oburzenia całej sali, w czasie którego dał się słyszeć głos starego kanonika Jewela, przysięgającego, że wolałby już ściąć w lesie wszystkie drzewa, niż zobaczyć las opasany drutem. Ostatecznie sprawa została odłożona do rozważenia na następnym zebraniu plenarnym.

Kolejnego punktu obrad większość członków kolegium w ogóle nie była w stanie zrozumieć. Curry przedstawił rekapitulację długiej korespondencji między kolegium a senatem na temat proponowanego wcielenia Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych do Uniwersytetu Edgestow. Następnie rozpoczęła się dyskusja, w której raz po raz odnoszono się do jakichś „zobowiązań”.

- Jako kolegium jesteśmy zobowiązani - mówił Watson - do udzielenia pełnego wsparcia nowemu instytutowi.

- Wygląda na to - mówił lord Feverstone - że mamy związane ręce i musimy dać uniwersytetowi *carte blanche*.

O co właściwie chodziło, tego niewtajemniczeni członkowie kolegium nie mogli dociec. Pamiętali, że na poprzednim posiedzeniu zaciekle walczyli z pomysłem wsparcia instytutu i że przegrali, ale każda próba uzyskania informacji, co ta ich klęska naprawę oznacza, kończyła się długimi wywodami Curry'ego naszpikowanymi całkowicie niezrozumiałymi cytatami ze statutu uniwersyteckiego i dywagacjami na temat skomplikowanych relacji prawnych między uniwersytetem a kolegium. Po długiej dyskusji odnieśli wrażenie, że zainstalowanie Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych w Edgestow w niczym nie narusza honoru kolegium.

Podczas dyskusji nad tym punktem myśli niejednego członka kolegium zaczęły krążyć wokół lunchu. Gwałtowne ożywienie nastąpiło dopiero wówczas, gdy za pięć pierwsza Curry powstał, by przedstawić punkt 3, zapowiedziany w porządku dziennym jako „Korektura anomalii wysokości stypendiów dla młodszych członków kolegium”. Wolałbym nie wspominać, ile otrzymywał wówczas młodszy członek Bracton College - w każdym razie była to suma, która nawet nie pozwalała na pokrycie kosztów utrzymania. Studdock, który do niedawna sam należał do tej grupy, dobrze rozumiał wyraz twarzy młodszych kolegów. Zatwierdzenie „korektury” oznaczało dla nich zakup nowej odzieży, wakacje, mięso na lunch i szansę zakupienia sobie połowy, a nie jednej piątej, książek, których potrzebowali. Wszystkie oczy utkwione były w Busbym, gdy podniósł się, aby odpowiedzieć na propozycje Curry'ego. Wyraził nadzieję, że chyba nikt nie wyobraża sobie, by on, kwestor, pochwałował ową anomalię, która począwszy od 1910 roku wykluczała najniższą kategorię członków kolegium z udziału w nowych, korzystniejszych warunkach, określonych w 18 paragrafie ustawy numer 17. Jest przekonany, że każdy obecny na tej sali pragnąłby zmiany tej sytuacji, jego obowiązkiem jest jednak zwrócić uwagę, że to już drugi wniosek na tym posiedzeniu zmierzający do zaakceptowania bardzo poważnych wydatków. Nie można go rozpatrywać w oderwaniu od problemu ogólnej sytuacji finansowej kolegium, którą ma nadzieję przedstawić po południu. Na ten temat wyrażono wiele opinii, ale gdy za kwadrans druga zebrani udali się na lunch, każdy młodszy członek kolegium wiedział jedno: budowa nowego muru wokół Lasu

Bragdon i podwyższenie jego stypendium to dwa wykluczające się postulaty.

- Przez całe przedpołudnie błądziliśmy po tym cholernym lesie - powiedział jeden z nich.

- I jeszcze z niego nie wyszliśmy - dodał drugi.

W tym stanie umysłów kolegium zebrało się ponownie po lunchu, aby rozpatrzyć swoją sytuację finansową. Głównym mówcą był, oczywiście, kwestor Busby. Popołudnie było słoneczne, a potoczyste przemówienie kwestora, a nawet błysk jego równych, białych zębów (miał rzeczywiście godne podziwu użębienie) wprawiało zebranych w hipnotyczny trans. Dla przeciętnego członka kolegium uniwersyteckiego sprawy finansowe przeważnie nie są łatwe do zrozumienia; gdyby były, to prawdopodobnie należałoby do tego rodzaju ludzi, którzy nie zostają członkami kolegium. W każdym razie do świadomości zebranych dotarło, że sytuacja jest zła, jeśli nie katastrofalna. Niektórzy najmłodszy i najmniej doświadczeni członkowie kolegium przestali się zastanawiać, czy w końcu zostanie wybudowany nowy mur, czy nastąpi podwyżka stypendium, bo zaczęli się zastanawiać, czy kolegium będzie w ogóle dalej istniało. Czasy, jak słusznie przypomniał kwestor, były nadzwyczaj trudne. Starsi członkowie kolegium często słyszeli o nadzwyczaj trudnych czasach z ust poprzednich kwestorów, więc mniej się tym przejęli. Nie sugeruję tu bynajmniej, że Busby przedstawiał sytuację w nieprawdziwym świetle. Kondycja finansowa jakiegokolwiek dużej instytucji zajmującej się wyłącznie sprawami nauki bardzo rzadko może być określona jako przynajmniej zadowolająca. Mowa kwestora była świetnie przygotowana. Każde zdanie można było uznać za model klarowności, a jeśli nawet słuchacze uznali, że sens całego jego wystąpienia jest mniej jasny od poszczególnych części, to już ich wina. Zaaprobowano nieznaczne ograniczenia budżetowe i przesunięcia środków, po czym kolegium udało się na herbatę w bardziej potulnym usposobieniu. Studdock zadzwonił do Jane i powiedział, że nie wróci do domu na obiad.

Dopiero o szóstej wszystkie myśli i uczucia, wzniecone uprzednio przy omawianiu różnych punktów porządku dziennego, pozornie niewiele mających ze sobą wspólnego, zbiegły się przy sprawie sprzedaży Lasu Bragdon. Nie określono tego zresztą jako „sprzedaż Lasu Bragdon”, lecz - jak to ujął kwestor - „sprzedaż terenu zabarwionego na różowo na planie, który, za zgodą dziekana, puszczać teraz w obieg wokół stołu”. Busby nadmienił tylko, że sprzedaż owego terenu pociągnęłaby za sobą utratę „części lasu”. W rzeczywistości proponowane usytuowanie instytutu pozostawiało przy Bracton College jedynie południowy skraj lasu, szerokości zaledwie pięciu metrów, ale nie był to żaden podstęp, bo przecież każdy członek kolegium widział ów plan na własne oczy. Był to plan w dość małej skali i chyba nie za bardzo dokładny, bo miał dać tylko ogólny pogląd. Odpowiadając na pytania, Busby przyznał, że niestety - albo na szczęście - sama studnia znajduje się wewnątrz terenów interesujących NIBS. Oczywiście kolegium będzie miało zagwarantowane prawo dostępu do studni, natomiast cały zabytek zostanie otoczony opieką przez instytut, i to w sposób satysfakcjonujący wszystkich archeologów na całym świecie. Kwestor powstrzymał się od wyrażenia swojej opinii, wymieniając jedynie zapierającą oddech w piersiach sumę, jaką Narodowy Instytut Badań Skoordynowanych gotów był zapłacić za „teren zabarwiony na różowo”.

Atmosfera wyraźnie się ożywiła. Wciąż nowe i nowe korzyści płynące ze sprzedaży lasu ujawniały się same, jak dojrzałe owoce spadające prosto w ręce. Zaakceptowanie transakcji rozwiązywało problem muru, rozwiązywało problem konserwacji starożytnego zabytku, rozwiązywało problemy finansowe kolegium, ba, wydawało się rozwiązywać problem stypendiów dla młodszych członków kolegium. Okazało się też, że NIBS zainteresowany jest jedynie owym „terenem zabarwionym na różowo”. Inne lokalizacje w Edgestow nie wchodziły w grę, tak więc, gdyby Bracton nie zechciał tego terenu sprzedać, instytut bez wątpienia znalazłby siedzibę w Cambridge. Po długich oporach wyciągnięto nawet z kwestora poufną wiadomość, że jego

odpowiednik w Cambridge dałby wiele, aby tak się stało.

Kilku prawdziwych zatwardziałych konserwatystów, którym Las Bragdon wypełniał niemal całą treść życia, nie było w stanie zorientować się w sytuacji. Kiedy doszli do głosu, ich wystąpienia były niemiłym dysonansem w ogólnym aplauzie. Zostali wmanewrowani w sytuację, w której reszcie zgromadzenia jawili się jako grupka zagorzałych zwolenników otoczenia Lasu Bragdon drutem kolczastym. Kiedy w końcu powstał niewidomy, trzęsący się, stary Jewel i powiedział coś, prawie łkając, prawie nikt go nie usłyszał. Ludzie odwrócili się ku niemu, podziwiając jego szlachetną, nieco dziecinną twarz i białe włosy, które stały się jeszcze bardziej widoczne w zapadającym zmroku, ale tylko siedzący najbliżej niego mogli dosłyszeć jego słowa. Po chwili wstał lord Feverstone, skrzyżował ręce na piersi i patrząc starcowi prosto w oczy, powiedział mocnym głosem:

- Jeżeli kanonik Jewel pragnie, abyśmy nie usłyszeli jego poglądu na tę sprawę, to łatwiej osiągnie cel, jeśli zamilknie.

Jewel był stary już przed pierwszą wojną światową, gdy ludzi w jego wieku traktowano z należnym szacunkiem, i dotąd nie udało mu się przywyknąć do obyczajów nowoczesnego świata. Przez chwilę stał z podniesioną głową, tak jakby zamierzał odpowiedzieć na tę impertynencję, ale nagle rozłożył ręce w geście bezradności i cofnął się, by z trudem zająć miejsce w swoim krześle.

Wniosek przeszedł.

* * *

Opuściwszy dom tego przedpołudnia, Jane również skierowała swe kroki do Edgestow, gdzie kupiła sobie kapelusz. Do tej pory trochę pogardała kobietami, które kupują kapelusze - tak jak mężczyźni idą się napić - aby poprawić sobie nastrój. Prawdę mówiąc, nie przyszło jej do głowy, że właśnie to zrobiła. Lubiła proste stroje w kolorach, którym z czysto estetycznego punktu widzenia nie można było nic zarzucić - stroje, które miały świadczyć, że jest inteligentną dorosłą kobietą, a nie modnisią zwracającą na siebie uwagę kolorami przywodzącymi na myśl pudełko czekoladek. Zachowując taki styl, uważała, że w ogóle nie interesuje się strojami. Poczula się więc lekko rozdrażniona, gdy wychodząc ze sklepu Sparrowa, spotkała panią Dimble, która na jej widok zawołała:

- Ach, witaj, moja kochana! Co, kupiłaś nowy kapelusz? Chodź do nas na lunch, musimy go razem obejrzeć. Cecil ma samochód tuż za rogiem.

Cecil Dimble, członek Northumberland College, był adiunktem opiekującym się Jane podczas ostatniego roku jej studiów, a pani Dimble (większość studentów nazywała ją spontanicznie Mamą Dimble) była kimś w rodzaju uniwersalnej ciotki dla wszystkich dziewcząt z jej roku. Myślę, że obdarzanie sympatią studentek własnego męża nie jest zbyt częstym zjawiskiem wśród żon wykładowców, ale pani Dimble naprawdę lubiła wszystkich studentów doktora Dimble'a niezależnie od płci, a dom Dimble'ów, położony po drugiej stronie rzeki, był przez cały rok akademicki czymś w rodzaju hałaśliwego salonu towarzyskiego. Do Jane czuła ową szczególną sympatię, jaką takie dobroduszne i obdarzone dużym poczuciem humoru bezdzietne kobiety obdarzają czasem dziewczęta uważane przez nie za ładne i trochę głupie. W ciągu ostatniego roku Jane straciła z nią kontakt i miała z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia.

Przejechali przez most do północnej części Bractonu, potem skierowali się na południe, mijając rząd domków letniskowych na brzegu rzeki Wynd, przy kościele normańskim skręcili w lewo, na wschód, aż wreszcie, prostą drogą, obrzeżoną z jednej strony topolami, a z drugiej murem Lasu Bragdon, dojechali przed dom Dimble'ów.

- Och, jak tu cudownie! - zawołała Jane po wyjściu z samochodu.

Ogród Dimble'ów był słynny na całe Edgestow.

- A więc korzystaj z okazji i dobrze się wszystkiemu przyjrzyj - powiedział doktor Dimble.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała Jane.

- Nie mówiłaś jej? - Dimble zwrócił się do żony.

- Jeszcze nie nabrałam odwagi - odpowiedziała pani Dimble.

- A poza tym... biedaczka jest żoną jednego z tych drani. Zresztą chyba sama wie.

- Nie mam pojęcia, o czym mówicie!

- Twoje kolegium, moja kochana, staje się troszkę uciążliwe. Wyrzucają nas stąd. Nie chcą odnowić dzierżawy.

- Och, pani Dimble! - zawołała Jane. - Nie miałam pojęcia, że to należy do Bractonu.

- No proszę! Jedna połowa świata nie wie, jak żyje druga. A ja sobie wyobrażałam, że i ty, i pan Studdock użyjecie wszelkich swoich wpływów, by nas ratować podczas gdy w rzeczywistości...

- Mark nigdy ze mną nie rozmawia o sprawach kolegium.

- Dobrzy mężowie nigdy tego nie robią - powiedział doktor Dimble. - Chyba że chodzi o jakieś inne kolegium. Dlatego Margaret wie wszystko o Bractonie, a nie ma pojęcia, co się dzieje w Northumberlandzie. Czy nikt nie ma zamiaru wejść do środka, żeby zjeść lunch?

Dimble domyślał się, że Bracton College zamierza sprzedać las i resztę terenów po tej stronie rzeki. Okolica, w której mieszkał, jeszcze bardziej wydawała mu się rajem teraz niż przed dwudziestoma pięcioma laty, gdy się tu osiedlił. Czuł, że jest zbyt mocno poruszony tą sprawą, by o niej rozmawiać z żoną jednego z bractonczyków.

- Będziesz musiał poczekać na lunch, aż obejrzę nowy kapelusz Jane - oświadczyła Mama Dimble i bezzwłocznie porwała Jane do swojej sypialni.

Teraz nastąpiło kilka minut ściśle kobiecej konwersacji (w staroświeckim znaczeniu tego słowa), które sprawiło, że Jane poczuła się o wiele lepiej, a choć pani Dimble miała całkowicie odmienne poglądy na te sprawy, trudno byłoby zaprzeczyć, że pewna drobna sugestia z jej strony okazała się całkiem sensowna. W końcu pani Dimble odłożyła kapelusz i nagle zapytała:

- Czy coś się stało, moja kochana?

- Nie, dlaczego pani pyta?

- Wyglądasz jakoś nieswojo.

- Och, nie, wszystko w porządku - odpowiedziała Jane, a w myślach dodała: „Umiera z ciekawości, czy nie jestem w ciąży. To właśnie ten rodzaj kobiet”.

- Nie znosisz całowania? - zapytała całkiem nieoczekiwanie pani Dimble.

„Czy nie znosisz całowania?”, powtórzyła Jane w myślach. „To dopiero pytanie! Czy nie znosisz całowania... Chyba nie na kobiecy rozum... ” Zamierzała odpowiedzieć: „Ależ skąd! Oczywiście, bardzo lubię!”, ale zamiast tego, ku swemu wielkiemu zdumieniu i zażenowaniu, rozplakała się. A potem przez chwilę poczuła, że jest małym dzieckiem, a pani Dimble po prostu osobą dorosłą: tym kimś dużym i ciepłym, do kogo można pobiec, kiedy się stłukło kolano albo kiedy zepsuła się zabawka. Kiedy Jane myślała o swoim dzieciństwie, zwykle przypominała sobie sytuacje, w których gwałtowne uściski niani czy matki odczuwała jako zamach na swoją dojrzałość; teraz, przez chwilę, powróciła myślą do tych zapomnianych, nielicznych momentów, w których strach lub rozżalenie wzbudza w dziecku chęć rzucenia się w ramiona dorosłego. To, że nie buntowała się przeciw próbom utulenia jej i pocieszenia, było sprzeczne z jej filozofią życia, a jednak zanim zeszły na dół, wyznała pani Dimble, że nie spodziewa się dziecka, lecz bardzo dokucza jej samotność, a poza tym miała tej nocy koszmarne sny.

Podczas lunchu doktor Dimble zaczął rozmawiać z Jane o legendzie arturiańskiej.

- Naprawdę to zachwycające, jak bardzo cała ta opowieść wydaje się spójna i wiarygodna, nawet w późniejszych wersjach, na przykład u Malory'ego. Zauważyłaś chyba, że są tam dwie grupy charakterów. Mamy więc Ginewrę, Lancelota i inne postaci z otoczenia Artura, wszystkie bardzo szlachetne, ale właściwie trudno powiedzieć, żeby było w nich coś specyficznie brytyjskiego. Natomiast w tle są te wszystkie mroczne postacie, jak Morgana czy Morgause, naprawdę bardzo brytyjskie i zwykle bardziej lub mniej wrogie. Wszystkie mają coś wspólnego z magią. Pamiętasz tę cudowną frazę, kiedy królowa Morgana „razem z innymi czarodziejkami wznieciła pożogę w całym kraju”? Oczywiście Merlin też ma cechy brytyjskie, choć nie jest postacią wrogą. Czy nie sprawia to wrażenia bardzo prawdopodobnego obrazu Brytanii tuż przed inwazją Germanów?

- W jakim sensie, panie doktorze? - zapytała Jane.

- No cóż, zapewne w ówczesnym społeczeństwie istniała silnie zromanizowana i schryścianizowana elita. Ludzie noszący togi i mówiący jakąś celtycką odmianą łaciny... myślę, że w naszych uszach brzmiałoby to trochę podobnie do hiszpańskiego... ale jednak chrześcijanie. Natomiast w głębi kraju, w różnych mało dostępnych rejonach, odciętych od reszty wyspy puszcami, znajdowały się niewielkie księstwa rządzone przez prawdziwych, starych Brytów, mówiących jakąś odmianą walijskiego i wciąż praktykujących dawną religię druidów.

- A do której grupy należał Artur? - zapytała Jane.

Nie wiadomo, dlaczego jej serce zamarło na sekundę po słowach „trochę podobnie do hiszpańskiego”.

- Dobre pytanie. Można sobie wyobrazić, że był potomkiem starej linii brytyjskiej. Tak, Bryt, ale już chrześcijanin, dobrze wyszkolony w rzymskiej technice dowodzenia, próbuje scalić tworzące się społeczeństwo. I prawie mu się udało. Na pewno spotykał się z zawiścią ze strony swojego brytyjskiego rodu, a owa zromanizowana elita, ci wszyscy Lanceloci i Lionele, patrzyła na Brytów z góry. Właśnie dlatego Kei jest zawsze przedstawiany jako gbur: jest częścią rodzimego środowiska. No, a w tle mamy wciąż cofającą się falę druidyzmu.

- A Merlin?

- Tak... Merlin to naprawdę ciekawa postać. Może cały ten śmiały plan nie powiódł się, bo Merlin umarł za wcześnie? Czy nigdy nie uderzyło cię, jak bardzo dziwne elementy skupiał w sobie? On nie należy do mrocznego świata, a jednocześnie wciąż pozostaje magiem. Nie ulega wątpliwości, że jest druidem, a jednak zna tajemnicę Graala. Jest „synem diabła”, ale przecież Layamon nie omieszkał zauważyć, że ta istota, która wychowała Merlina, wcale nie była zła. Pamiętasz? „Albowiem niebiosa zamieszkują różne rodzaje istot. Jedne z nich są dobre, a inne są sprawcami zła”.

- Tak, to rzeczywiście zadziwiające. Nigdy tak o tym nie myślałam.

- Często się zastanawiam - ciągnął doktor Dimble - czy Merlin nie jest ostatnim przedstawicielem czegoś, o czym późniejsza tradycja zupełnie zapomniała, czegoś, co stało się niemożliwe od czasu, gdy każdy, kto jeszcze miał kontakt ze światem nadprzyrodzonym, musiał być już albo biały, albo czarny: musiał być albo chrześcijańskim kapłanem, albo czarnoksiężnikiem.

- Cóż za okropny pomysł! - wtrąciła pani Dimble. - W każdym razie Merlin żył dawno, dawno temu, jeśli w ogóle żył, a teraz na szczęście jest martwy i pochowany w Lesie Bragdon, o czym wszyscy dobrze wiemy.

- Pochowany, zgoda, ale nie martwy, jeśli wierzyć legendzie - poprawił ją doktor Dimble.

- Och!... - wyrwało się Jane, ale doktor Dimble nie zwrócił na to uwagi i dalej snuł swoje rozważania.

- Ciekaw jestem, co naprawdę znajdą, kiedy zaczną rozkopywać las pod fundamenty tego ich instytutu.

- Najpierw błoto, a potem wodę - powiedziała pani Dimble. - I dlatego nie mogą tam niczego zbudować.

- Tak by się wydawało. Więc dlaczego chcą kupić las? Nie przypuszczam, aby taki londyński cwaniak jak Jules przejmował się jakimiś poetyckimi fantazjami o płaszczu Merlina.

- Oni i płaszcz Merlina! A to dopiero! - prychnęła pani Dimble.

- Tak - powiedział doktor Dimble z powagą - To mało prawdopodobne. Ale śmiem twierdzić, że są tacy, którym marzy się zdobycie tego płaszcza. Inna sprawa, czy znalazłby się wśród nich ktoś tak wielki, by płaszcz na niego pasował! No i na pewno nie byłiby zachwyceni, gdyby w tym płaszczu ożył sam Merlin.

- To dziecko zaraz zemdleje! - przerwała mu żona, podrywając się z miejsca.

- Hej, co się dzieje? - zapytał jej mąż, patrząc ze zdumieniem na twarz Jane. - Czy w pokoju jest za gorąco?

- Och... to śmieszne, ale... - zaczęła Jane i urwała.

- Przejdźmy do salonu. O, tak. Oprzyj się na mnie.

Nieco później, w salonie, siedząc przy oknie, za którym widać było trawnik zasłany już żółtymi liśćmi, Jane spróbowała wytłumaczyć swoje zachowanie, opowiadając im o dziwnym śnie.

- Chyba się strasznie skompromitowałam - powiedziała na zakończenie. - Możecie mnie zaraz poddać psychoanalizie.

Patrząc na twarz doktora Dimble'a, Jane mogła sądzić, że jej sen naprawdę go zaintrygował.

- To niesłychane... to zupełnie niesamowite... - mrucał pod nosem. - Dwie głowy. I jedna z nich to głowa Alcasana... Czyżby fałszywy trop?...

- Cecilu, proszę cię, przestań - powiedziała pani Dimble.

- Czy uważacie, że powinnam się poddać psychoanalizie? - zapytała Jane.

- Psychoanalizie? - powtórzył doktor Dimble, jakby nie bardzo rozumiał, o co chodzi. - Ach, rozumiem. Masz na myśli wizytę u kogoś takiego jak Brizeacre?

Jane zdała sobie sprawę, że jej pytanie przywołało go z bardzo odległych rejonów myśli. Najwidoczniej opowieść o dziwnym śnie wiązała się z jakimś innym problemem, o wiele ważniejszym od stanu jej zdrowia. Z jakim, nie miała pojęcia.

Doktor Dimble wyjrzał przez okno.

- O, mój najnudniejszy student właśnie dzwoni do drzwi - powiedział. - Muszę was opuścić. Pójdę do gabinetu i wysłucham eseju o Swiftcie, który na pewno będzie się zaczynał od „Swift urodził się. - - Będę musiał się na tym skupić, a to nie będzie łatwe.

Wstał i położył rękę na ramieniu Jane.

- Posłuchaj - rzekł. - Nie będę ci dawał żadnych rad. Ale jeżeli naprawdę zdecydujesz się pójść do kogoś ze swoim snem, bardzo bym chciał, żebyś najpierw porozmawiała z pewną osobą, której adres da ci Margery albo ja.

- Nie ma pan zaufania do doktora Brizeacre'a?

- Nie mogę tego wyjaśnić. Nie teraz. To wszystko jest bardzo skomplikowane. Staraj się tym nie przejmować. Ale jeśli ci się nie uda, skontaktuj się z nami. Do widzenia.

Prawie natychmiast po jego odejściu przyszli inni goście, tak więc Jane nie miała już sposobności, by porozmawiać z Mamą Dimble. Pół godziny później pożegnała się i ruszyła w stronę domu - nie tą drogą obrosniętą topolami, ale ścieżką wiodącą przez miejskie błonia, na których pasły się osiołki i gęsi, mając po lewej stronie iglice kościołów i wieże Edgestow, a po prawej majaczący na horyzoncie stary młyn.

Rozdział 2

Kolacja u prodiękana

Co za cios! - powiedział Curry, stojąc przed kominkiem w swoim wspaniałym salonie z oknami wychodzącymi na dziedziniec Newtona.

- Coś ze strony NO? - zapytał Busby.

Siedzieli we czwórkę w mieszkaniu Curry'ego - Busby, lord Feverstone, Mark i gospodarz - popijając sherry przed kolacją. Skrót NO, czyli Non Olet, był kryptonimem Charlesa Place'a, dziekana Bracton College. Jego wybór przed piętnastoma laty był jednym z najwcześniejszych triumfów Postępowej Elity. Używając argumentów o potrzebie „nowej krwi” i wyrwania kolegium z „akademickiego zaścianka”, udało im się wprowadzić na to stanowisko podstarzałego urzędnika państwowego, który z pewnością nigdy nie zbrukał się pracą naukową od czasu, gdy jeszcze w poprzednim stuleciu opuścił któreś z najgorszych kolegiów Cambridge, ale który napisał monumentalny raport o stanie warunków sanitarnych w Anglii. Temat ten najwidoczniej zafascynował Postępową Elitę. Uznała go za policzek wymierzony wszystkim „dyletantom” i „twardogiowym”, którzy zareagowali nadaniem mu przezwiska Non Olet. Z biegiem czasu zaczęli go tak nazywać nawet ci, którzy go popierali. Place najwyraźniej nie sprostął ich oczekiwaniom. Okazał się cierpiącym na niestrawność tetrykiem, interesującym się wyłącznie filatelistyką, a głos zabierał tak rzadko, że niektórzy z młodszych członków kolegium w ogóle nie wiedzieli, jak ten głos brzmi.

- Tak. A niech go wszyscy diabli! - zaklął Curry. - Chce mnie widzieć w związku ze „sprawą największej wagi”. Dziś wieczorem. Mam do niego zadzwonić zaraz po kolacji.

- To znaczy, że Jewel i spółka nie zasypiają gruszek w popiele - powiedział kwestor. - Dotarli do niego, chcąc znaleźć jakiś sposób na wycofanie się z tej całej transakcji.

- Nie dałbym za to złamanego grosza - obruszył się Curry. - Niby jak miałby unieważnić przyjęty już wniosek? To nie przejdzie. Tyle, że zapaskudził nam cały wieczór.

- Tylko tobie - odezwał się Feverstone. - Zanim wyjdiesz, nie zapomnij wyciągnąć tej swojej specjalnej brandy.

- Jewel! Dobry Boże! - zawołał kwestor, zagłębiając lewą dłoń w swojej brodzie.

- Trochę mi było żal starego Jewela - powiedział Mark.

Motywy, które go skłoniły do wypowiedzenia tego zdania, były dość złożone. Aby oddać mu sprawiedliwość, trzeba powiedzieć, że był zniesmaczony całkiem nieoczekiwaną i wyraźnie niepotrzebną brutalnością, z jaką Feverstone potraktował starego kanonika. Z drugiej strony, wciąż nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia, jakim była dla niego wiadomość, że swoją obecną pozycję zawdzięcza właśnie Feverstone'owi. Kim ten Feverstone naprawdę był? A jednak paradoksalnie - nawet jeśli czuł, że nadszedł czas, by potwierdzić swoją niezależność i zaznaczyć, że jego zgoda na metody stosowane przez Postępową Elitę nie jest bezwarunkowa - czuł również, że wyrażenie takiej opinii może mu zapewnić jeszcze lepszą pozycję wewnątrz tej wpływowej grupy. Gdyby te dość mętne odczucia skryształizowały się w krótkim zdaniu: „Feverstone bardziej mnie doceni, jeśli pokażę zęby”, zapewne taką myśl by odrzucił jako zbyt serwilistyczną. Ale tak się nie stało.

- Żal ci było Jewela? - spytał Curry, obracając się od okna.

- Szkoda, że go nie znałeś u szczytu kariery.

- Masz rację - rzekł Feverstone do Marka - ale jestem zwolennikiem Clausewitza. W ostatecznym rozrachunku najbardziej humanitarnym sposobem pokonania przeciwnika jest wojna totalna. Uciszyłem go natychmiast. I jak się otrząśnie z szoku, powinien być zadowolony, bo w

końcu potwierdziłem tylko to, co on sam głosi o młodszym pokoleniu od czterdziestu lat. A jaki mieliśmy wybór? Pozwolić mu pleść bzdury, dopóki by go nie uciszył napad kaszlu lub atak serca, i jeszcze na dodatek sprawić mu zawód uprzejmym traktowaniem?

- No tak, to z pewnością jest jakiś punkt widzenia - powiedział Mark.

- Do wszystkich diabłów! - wybuchnął Feverstone. - Przecież nikt nie lubi, kiedy się go pozbawia ulubionych argumentów i frazesów. Co by, na przykład, zrobił nasz biedny Curry, gdyby pewnego dnia zatwardziali konserwatyści przestali się sprzeciwiać wszelkim innowacjom? Nie mógłby już odgrywać roli Otella.

- Kolację podano, sir - oznajmił „szeregowiec” Curry'ego. W Bractonie nazywano tak służących członków kolegium.

- Nie pleć bzdur, Dick - powiedział Curry, gdy zasiedli do stołu. - Niczego tak nie pragnę jak tego, żeby ci wszyscy konserwatyści i zatwardziali przestali wreszcie wtrącać swoje trzy grosze. Chcę mieć warunki, żeby ostro zabrać się do roboty. Chyba nie uważasz, że sprawia mi przyjemność marnowanie czasu na samo oczyszczanie drogi?

Mark zauważył, że gospodarz jest trochę urażony kpinkami lorda Feverstone'a. Ten ostatni wybuchnął głośnym, zaraźliwym śmiechem. Mark zaczynał czuć do niego sympatię.

- A tą robotą jest...? - zapytał Feverstone, nie patrząc wyraźnie na Marka, a tym bardziej do niego nie mrugając, ale dając mu do zrozumienia, że w jakiś sposób został wciągnięty do gry.

- No cóż, niektórzy z nas mają jeszcze do zrobienia to i owo na tym ś wiecie - odpowiedział Curry, zniżając głos, by dodać swojej wypowiedzi powagi, podobnie jak niektórzy ludzie zniżają głos, kiedy mówią o sprawach medycznych lub religijnych.

- Nigdy nie podejrzewałem, że należysz do tego rodzaju osób - kpił nadal Feverstone.

- Na tym właśnie polega bagno tego całego systemu - rzekł Curry. - W takim miejscu jak to trzeba albo siedzieć cicho i patrzeć, jak wszystko się wali, albo poświęcić swoją karierę naukową dla tej całej piekielnej polityki uniwersyteckiej. Ale już niedługo rzucę to wszystko w diabły i zabiorę się do mojej książki. Przecież dobrze wiesz, Feverstone, że mam tu wszystko pod ręką. Wystarczą jedne długie wakacje i nadam mojemu dziełu kształt.

Mark, który nigdy wcześniej nie widział drażniącego się z kimś Curry'ego, zaczynał się dobrze bawić.

- Rozumiem - powiedział Feverstone. - Aby utrzymać naukową rangę tego ośrodka wiedzy, wszystkie jego najlepsze mózgi muszą całkowicie zrezygnować z nauczania...

- Właśnie! - zawołał Curry. - Otóż właśnie... - i urwał, bo nagle zaczął podejrzewać, że nie jest traktowany poważnie.

Feverstone wybuchnął śmiechem. Kwestor, który do tej pory zajmował się wyłącznie jedzeniem, wytarł pieczołowicie brodę i przemówił poważnym tonem:

- To wszystko jest piękne w teorii, ale myślę, że Curry ma rację. Przypuśćmy, że zrezygnuje ze stanowiska prodziekana i wycofa się do swojej jaskini. Jestem pewien, że spłodzi świetną książkę o ekonomii..

- O ekonomii? - przerwał mu Feverstone, unosząc brwi.

- Tak się składa, James, że zajmuję się historią wojskowości - wycedził Curry.

Curry często cierpiał z powodu trudności, jaką mieli jego koledzy z zapamiętaniem uprawianej przez niego dziedziny wiedzy.

- Ależ oczywiście, historią wojskowości - zgodził się Busby. - A więc, jak powiedziałem, Curry mógłby nas uraczyć wystrzałową książką o historii wojskowości. Ale wszyscy wiemy, że nawet najlepsza praca zdezaktualizuje się w ciągu... no, powiedzmy, dwudziestu lat. Natomiast to, co obecnie robi dla całego kolegium, będzie owocowało przez stulecia. Weźmy ten cały interes ze

ściągnięciem do Edgestow Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych. Pomyślałeś o tym, Feverstone? I nie mówię o samej finansowej stronie tego przedsięwzięcia, choć jako kwestor bardzo wysoko ją cenię. Pomyśl tylko o nowym życiu, o pobudzeniu nowych wizji, o poruszeniu drzemających impulsów... Czy można jakkolwiek książkę o ekonomii...

- O historii wojskowości - wtrącił łagodnie Feverstone, ale Busby tego nie dosłyszał.

- ... czy można jakkolwiek książkę o ekonomii - ciągnął - porównać z takim osiągnięciem? Ja, w każdym razie, widzę w tym największy w naszym stuleciu triumf praktycznego idealizmu!

Dobre wino zaczynało działać. Wszyscy znamy ten rodzaj duchownych, którzy zapominają o koloratce po trzecim kieliszku wina. Z Busbym było odwrotnie. Kiedy wino rozwiązywało mu język, utajony w nim pastor budził się do dziwnego, galwanicznego życia, mimo trzydziestu lat apostazji.

- Nie roszczę sobie pretensji do ortodoksji - perorował - ale jeśli religię rozumieć w jej najgłębszym znaczeniu, to śmiem twierdzić, iż przez ściągnięcie NIBS-u do Edgestow Curry uczynił dla niej więcej niż Jewel w ciągu całego swojego żywota.

- No cóż - powiedział skromnie Curry - to może budzić takie nadzieje, chociaż ja nie ująłbym tego w taki sposób...

- Ależ oczywiście! - zgodził się kwestor. - Każdy z nas mó wi innym językiem, ale w sumie mówimy o tym samym.

- Czy ktoś z was właściwie wie - zapytał nagle Feverstone - czym dokładnie jest ten cały instytut i co zamierza robić?

Curry spojrzał na niego z lekkim zdumieniem.

- Dziwię się trochę, Dick, że właśnie ty zadajesz to pytanie. Sądziłem, że jesteś w całą sprawę bardzo wciągnięty.

- Czy nie trąci naiwnością przypuszczenie - zaczął Feverstone - że jeśli ktoś zaangażował się w coś takiego, to tym samym musi znać oficjalny program w szczegółach?

- Och, oczywiście, jeśli masz na myśli szczegóły... - zaczął Curry i urwał.

- Śmiem twierdzić, Feverstone - odezwał się Busby - że robisz wielką tajemnicę z czegoś, co jest proste i oczywiste. Ja cel działań NIBS-u widzę całkiem jasno. Chodzi o pierwszą próbę poważnego potraktowania nauk stosowanych z punktu widzenia całego państwa. Różnica między skalą tego przedsięwzięcia a skalą tego wszystkiego, co mieliśmy dotąd, staje się zasadniczą różnicą jakościową. Już sam rozmach architektoniczny, jakoś aparatu badawczego... Wystarczy pomyśleć, co już to dało naszemu przemysłowi. Pomyślcie, jak zmobilizuje się wszystkie ukryte talenty w tym kraju! I nie mam na myśli jedynie naukowych talentów, w wąskim znaczeniu tego słowa. Piętnastu dyrektorów wydziałów z pensją piętnaście tysięcy na rok każdy! Własna służba prawnicza! Własna policja, jak mi powiedziano! Własny stały personel techniczny, architekci, rzeczoznawcy, inżynierowie! To niesamowite przedsięwzięcie!

- Niesamowita droga do kariery dla naszych synów - mruknął Feverstone. - Rozumiem.

- A ja nie bardzo rozumiem, co lord Feverstone chciał przez to powiedzieć - oznajmił Busby, zdejmując okulary.

- Lord! - zawołał Feverstone z kpiącym uśmiechem. - James, zupełnie zapomniałem, że masz rodzinę!

- James ma rację - odezwał się Curry, który od pewnego czasu wyraźnie chciał dożyć do głosu. - Powstanie NIBS-u to początek nowej ery, prawdziwej ery nauki. Do tej pory mieliśmy do czynienia z chaosem. Teraz mamy szansę uprawiania nauki w sposób naukowy. Ma tam być czterdzieści powiązanych ze sobą zespołów naukowych, obradujących dzień w dzień. Będą dysponowali wspólnym urzędem... pokazali mi jego model... dzięki któremu osiągnięcia

badawcze każdego zespołu zostaną zanotowane i wyświetlone na specjalnej tablicy analitycznej. Raporty będą notowane co pół godziny, przy czym owo urządzenie będzie automatycznie ustawiało wydruki na właściwym miejscu i łączyło je strzałkami z odpowiednimi fragmentami raportów innych zespołów. Wystarczy jedno spojrzenie na tablicę i polityka badawcza całego instytutu będzie jak na dłoni. Na szczycie budynku, w pomieszczeniu przypominającym sterownię kolei podziemnej, będzie pracowało nad tym przynajmniej dwudziestu specjalistów. To zupełnie niesamowite urządzenie! Wydruki różnych problemów będą miały różne kolory. Musi kosztować z pół miliona funtów. Nazywają je pragmatometrem.

Możecie więc już teraz wyrobić sobie opinię - dodał Busby co do wartości pracy NIBS-u dla całego kraju. Pragmatometria to wielka przyszłość! W jej rozwój zaangażowane są już setki ludzi. Ta tablica analityczna może już być przestarzała, zanim skończą wznosić ten budynek!

- Tak, tak, zaiste - zakpił Feverstone. - A sam NO powiedział mi dziś rano, że warunki sanitarne instytutu będą zdumiewające.

- A żebyś wiedział - rzekł z naciskiem Busby. - Nie rozumiem, dlaczego miałyby to nie być ważne.

- Studdock, a ty co o tym myślisz? - zagadnął Feverstone.

- Myślę, że James dotknął bardzo ważnego problemu, gdy powiedział, że NIBS będzie miał swoją własną służbę prawniczą i swoją policję. Prawdę mówiąc, te wszystkie pragmatometry i luksusowe warunki sanitarne niewiele mnie obchodzą. Najistotniejsze, że mamy do czynienia z pierwszą próbą wykorzystania prawdziwej nauki do rozwiązywania problemów społecznych, i to przy wsparciu całej siły państwa. Jak dotąd, znamy tylko jeden przykład takiej koncentracji siły państwa i nauki: podczas wojny. Można, oczywiście, mieć nadzieję, że w ten sposób odkryje się więcej rzeczy, niż było to możliwe w warunkach samotnej pracy uczonych, ale jedno nie ulega już wątpliwości - na pewno więcej się zrobi.

- Psiakrew! - zaklął Curry, patrząc na zegarek. - Muszę iść na rozmowę z NO. Moi drodzy, jeśli po winie chcecie się napić brandy, jest w tym kredensie. Na wyższej półce są kieliszki do koniaku. James, chyba nie zamierzasz nas opuszczać?

- Zamierzam - odparł kwestor. - Chciałbym położyć się wcześniej. Mam nadzieję, że wy dwaj będziecie się świetnie bawili beze mnie. Cały dzień na nogach. Tylko głupiec może przyjąć jakąś poważną funkcję w tym kolegium... Ustawiczne kbpoty... Przygniatająca odpowiedzialność. ... I człowiek ma do czynienia z ludźmi, którzy uważają, że te wszystkie mole książkowe, nie wyściubiające nosa z bibliotek i laboratoriów, naprawdę wiedzą, co to jest ciężka praca! Chciałbym widzieć, jak wyglądałby Glossop albo któryś inny, gdyby mu kazano zrobić to wszystko, z czym ja dzisiaj musiałem się uporać. Curry, miałbyś o wiele łatwiejsze życie, gdybyś zajął się tylko tą swoją ekonomią.

- Mówiłem ci przedtem... - zaczął Curry, ale kwestor już pochylał się nad lordem Feverstone'em, opowiadając mu jakiś dowcip.

Gdy tylko Curry i Busby opuścili pokój, lord Feverstone utkwiał znaczące spojrzenie w Marku, potem zachichotał, a wreszcie wyciągnął swoje szczupłe, muskularne ciało w fotelu i wybuchnął głośnym śmiechem. Był to bardzo zaraźliwy śmiech i Mark nie mógł się oprzeć, aby mu nie zawtórować.

- Pragmatometry... pałacowe łazienki... praktyczny idealizm! - wydyszał Feverstone, nie przestając się śmiać.

Mark poczuł nagle wielką ulgę, jakby się wyzwolił z ciasnego gorsetu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w zachowaniu i słowach Curry'ego i Busby'ego było wiele rzeczy, których dotąd nie potrafił albo nie chciał zauważyć. Jak mógł być tak ślepy, by nie dostrzec, że są po prostu

śmieszni?

- To naprawdę katastrofalne - powiedział Feverstone, gdy zdołał wreszcie opanować wesołość - że ludzie, których musimy wykorzystywać do tego, aby nasze sprawy jakoś szły, mogą pleść takie bzdury o tychże sprawach.

- A przecież to oni są, w pewnym sensie, mózgiami Bractonu - zauważył Mark.

- Wielki Boże, nie! Glossop, Bill Zawierucha, nawet stary Jewel są od nich dziesięć razy inteligentniejsi!

- Nie sądziłem, że tak o nich myślisz.

- Myślę, że Glossop i spółka całkowicie się mylą. Myślę, że ich koncepcja kultury, wiedzy i lichu wie jeszcze czego, jest całkowicie nierealistyczna. Nie pasuje do świata, w którym żyjemy. Ale w każdym razie jest to koncepcja jasna, a oni konsekwentnie się jej trzymają. Wiedzą, czego chcą. Natomiast nasi biedni dwaj koledzy nie mają zielonego pojęcia, dokąd właściwie zmierzają. Staną na głowie, aby sięgnąć NIBS do Edgestow, i dlatego są nam bardzo potrzebni. Ale nie pytaj ich, jakie są cele NIBS-u, jakie w ogóle są cele... Pragmatometria! Piętnastu dyrektorów wydziałów!

- No cóż, wygląda na to, że i ja jadę na tym samym wózku.

- Ależ skąd! Ty od razu się połapałeś, o co chodzi. Przeczytałem wszystko, co napisałeś. I o tym właśnie chciałem z tobą pomówić.

Mark zamilkł. Poczucie gwałtownego przenoszenia się z jednego poziomu wtajemniczenia na następny oszłomiło go i zbiło z tropu.

- Chcę, żebyś przeniósł się do NIBS-u - powiedział po chwili Feverstone.

- To znaczy... żebyś opuścił Bracton?

- A co w tym takiego nadzwyczajnego? Nie sądzę, żebyś tu zrobił karierę. Kiedy NO odejdzie na emeryturę, zrobimy dziekanem Curry'ego, a potem...

- Słyszałem, że to ciebie chcą zrobić dziekanem.

- O Boże! - jęknął Feverstone i wytrzeszczył oczy.

Mark zrozumiał, że dla lorda Feverstone'a brzmi to jak propozycja, by został przełożonym zakładu dla obłąkanych, i dziękował Bogu, że nie wypowiedział tego zbyt poważnym tonem. Potem obaj znowu wybuchnęli śmiechem.

- Jeśli chodzi o ciebie - przemówił w końcu Feverstone - nie możemy sobie pozwolić na takie marnotrawstwo. To jest zajęcie w sam raz dla Curry'ego. Potrzebujemy tu człowieka, który uwielbia samo zarządzanie i pociąganie za sznurki, i nie będzie pytał, o co w tym wszystkim chodzi. Bo gdyby zaczął pytać, zechciałby wprowadzać swoje własne pomysły... A jemu wystarczy tylko podpowiadać, że jest taki-a-taki człowiek, o którym kolegium marzy, i że musi zrobić wszystko, aby taki-a-taki został członkiem kolegium. W końcu całe to kolegium ma pełnić funkcję sieci... biura zatrudnienia...

- Biura zatrudnienia dla NIBS-u?

- Tak, przede wszystkim. Ale to tylko część o wiele większej sprawy.

- Przyznam, że nie bardzo rozumiem, co masz na myśli.

- Niedługo zrozumiesz. Zobaczysz, po której stronie warto być! Używając stylu Busby'ego, powiedziałbym tak: ludzkość znalazła się na rozdrożu i w tym momencie historii podstawową sprawą jest dokonanie właściwego wyboru. Trzeba się opowiedzieć po jednej z dwu stron: po stronie obskurantyzmu lub po stronie ładu. Wydaje się, że naprawdę mamy teraz możliwość, jako gatunek, przejęcia kontroli nad naszym losem. Jeśli nauka rzeczywiście uzyska wreszcie swobodę działania, może zapanować nad rodzajem ludzkim i całkowicie go odnowić. Człowiek ma po raz pierwszy szansę, aby stać się zwierzęciem działającym skutecznie. Jeśli nie wykorzystamy tej

szansy... no cóż, będzie po nas.

- Powiedz coś więcej.

- Są trzy podstawowe problemy. Pierwszy ma charakter międzyplanetarny.

- Co, u diabła, przez to rozumiesz?

- No cóż, to na razie nie jest aż tak ważne. Niestety, to problem, którego jeszcze nie potrafimy rozwiązać. Jedynym człowiekiem, który mógł nam pomóc, był Weston.

- To ten facet, który zginął podczas bombardowania?

- Został zamordowany.

- Zamordowany?

- Jestem tego pewny i mam podstawy, by twierdzić, że wiem, kto to uczynił.

- Wielki Boże! I nic nie można z tym zrobić?

- Brak dowodów. Mordercą jest pewien ogólnie szanowany wykładowca z Cambridge. Ma słaby wzrok, wspaniałą brodę i kuleje. Jeśli chcesz wiedzieć, to miał gościnne wykłady w naszym kolegium.

- Dlaczego Weston został zamordowany?

- Ponieważ był po naszej stronie. Morderca należy do obozu wroga.

- Chcesz powiedzieć, że to wystarczy, aby kogoś zabić?

- Tak - odpowiedział Feverstone, kładąc rękę na stole wytwornym gestem. - O to właśnie chodzi. Ludzie pokroju Curry'ego czy Jamesa paplają o „wojnie z reakcją”. Nie wpadną na to, że chodzi o prawdziwą wojnę z prawdziwymi ofiarami. Sądzą, że stosowanie przemocy przez tamtą stronę zakończyło się wraz z prześladowaniem Galileusza. Nie wierz im. To dopiero początek. Tamci doskonale wiedzą, że w końcu uzyskaliśmy prawdziwą potęgę, że w ciągu następnych sześćdziesięciu lat rozstrzygnie się, czym ma być nowa ludzkość. Będą walczyć o każdy cal pola. I nie cofną się przed niczym.

- Nie mogą zwyciężyć.

- Mamy nadzieję, że nie. Sądzę, że nie są w stanie. Właśnie dlatego jest tak niezwykle ważne, aby każdy dokonał wyboru, po której jest stronie. Jeśli spróbujesz zachować neutralność, staniesz się po prostu pionkiem.

- Och, nie mam najmniejszej wątpliwości, po której stronie jestem! - zawołał Mark. - Do diabła, w końcu chodzi o przetrwanie ludzkiego gatunku! To do czegoś zobowiązuje!

- Osobiście nie pozwalam sobie na żaden „busbyizm” w tej sprawie. Tylko jakiś fantasta opierałby swoje działanie na założeniu, że kogoś będzie obchodzić, co się stanie z ludzkością za milion lat, a musisz pamiętać, że ta druga strona również będzie utrzymywać, iż chodzi jej o przetrwanie ludzkiego gatunku. Jeśli na to pójdą, trzeba będzie sięgnąć do argumentów natury psychologicznej. Ale spójrz- my na to od strony praktycznej. Ani ja, ani ty nie chcemy być w tej grze pionkami. Wolimy walczyć... zwłaszcza po zwycięskiej stronie.

- Jakże ma być pierwsze praktyczne posunięcie?

- Otóż to! Oto właściwe pytanie. Jak powiedziałem, aspekt międzyplanetarny musimy na razie pominąć. W tych warunkach niczego nie zdołaliśmy. Drugim problemem są nasi rywale na tej planecie. Nie mam na myśli jedynie owadów czy bakterii. Wciąż jest jeszcze zbyt wiele życia wszelkiego rodzaju, roślinnego i zwierzęcego. Jeszcze nie oczyściliśmy dostatecznie środowiska, w którym ma żyć człowiek. Po pierwsze dlatego, że nie byliśmy w stanie, po drugie, wciąż mamy estetyczne i humanitarne skrupuły, no i nadal nie rozwiązaliśmy problemu równowagi w przyrodzie. To wszystko przed nami. A trzecim problemem jest sam człowiek.

- Mów dalej. To mnie najbardziej interesuje.

- Człowiek musi wziąć za siebie odpowiedzialność. I pamiętaj: to oznacza, że niektórzy ludzie

muszą wziąć odpowiedzialność za resztę, i jest to jeszcze jeden powód, dla którego trzeba się tym szybko zająć. A kierować tym wszystkim muszą tacy ludzie, jak ty i ja, a nie ci, którymi trzeba pokierować. Dokładnie.

- Co właściwie przez to rozumiesz?

- Mam na myśli całkiem proste i oczywiste sprawy. Najpierw sterylizacja osób upośledzonych, likwidacja ras zacofanych, tego zbędnego balastu, selektywne rozmnażanie. Potem prawdziwe wychowanie, włączając w to wychowanie prenatalne. Nie chodzi tu o żadne nonsensy w rodzaju woluntarystycznej zasady „mogę bez tego żyć”. Przez prawdziwe wychowanie rozumiem takie, które nieodwołalnie czyni z pacjenta osobę, o jaką nam chodzi - bez względu na to, co on sam czy jego rodzice próbują w tym kierunku zrobić. Oczywiście, na początku będzie to sprawa samej psychologii. Niebawem przejdziemy jednak do metod stymulacji biologicznej i bezpośredniej manipulacji w mózgu...

- Ależ... Feverstone, to wszystko jest niesamowite!

- I wreszcie całkiem realne. Nowy typ człowieka, rozumiesz, Mark? I właśnie ludzie tacy jak ty muszą rozpocząć to dzieło.

- Mam wiele wątpliwości. Nie sądzę, że to fałszywa skromność, ale ja jeszcze nie widzę, na czym ma polegać moja rola.

- Ty nie, ale my to widzimy. Jesteś tym, kogo nam potrzeba: wykwalifikowanym socjologiem z radykalnie realistycznym poglądem na świat, nie lękającym się odpowiedzialności. No i potrafisz pisać.

- Chyba nie chcecie, żebym o tym wszystkim napisał?

- Nie. Ale chcemy, żebyś pisał. Będę szczery. Chodzi o kamuflaż. Oczywiście, tylko przez pewien czas. Kiedy sprawy ruszą z miejsca, nie będziemy się musieli przejmować sentymentalną opinią publiczną. Opinię publiczną sami sobie ukształtujemy. Na razie jest jednak bardzo ważne, jak będziemy to wszystko przedstawiać. Dam ci przykład. Gdyby na tym etapie pojawiły się choćby tylko pogłoski, że NIBS chce uzyskać zezwolenie na użycie kryminalistów do swoich eksperymentów, mielibyśmy natychmiast przeciw sobie całe pospolite ruszenie wszystkich starych bab płci obojga, wrzeszczących o humanizmie. Ale nazwij to reedukacją jednostek zdeprawowanych, a wszyscy będą się ślinić z rozkoszy, sądząc, że w końcu nadszedł kres epoki brutalnej kary naprawczej. To zadziwiające, że słowo „eksperyment” budzi tyle obaw, natomiast nikt nie ma zastrzeżeń wobec przymiotnika „eksperymentalny”. Nikt się nie zgodzi na przeprowadzanie eksperymentów na dzieciach, ale zaproponuj tylko darmowe wychowanie naszych kochanych maluchów w eksperymentalnej szkole prowadzonej przez NIBS, a wszystko będzie w porządku!

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że miałbym być odpowiedzialny za... no... dziennikarski aspekt całego przedsięwzięcia?

- To nie ma nic wspólnego z dziennikarstwem. Twoimi czytelnikami będą przede wszystkim członkowie różnych komisji Izby Gmin. Zresztą, mówimy tu jedynie o czymś ubocznym. Co się tyczy twojej zasadniczej funkcji, trudno w tej chwili określić, w jakim kierunku będzie się kształtować. A jeśli chodzi o stronę finansową, dla człowieka twojego pokroju nie jest to chyba najważniejsze. Powinieneś zacząć od całkiem umiarkowanego wynagrodzenia... powiedzmy około tysiąca pięciuset funtów rocznie.

- Przecież nie to miałem na myśli - odpowiedział skwapliwie Mark, rumieniąc się z podniecenia.

- Oczywiście powinienem cię ostrzec, że może ci coś grozić. Może jeszcze nie teraz, ale kiedy sprawy ruszą z kopyta, mogą próbować i ciebie zlikwidować, tak jak biednego Westona.

- O tym też nie myślałem.

- Posłuchaj - rzekł Feverstone. - Chciałbym cię jutro zabrać do Johna Withera. Na cały weekend. Sam mnie o to prosił Spotkasz tam wszystkie najważniejsze osoby i będziesz miał sposobność wyrobienia sobie jaśniejszej opinii o całej sprawie.

- Wither? Myślałem, że szefem NIBS-u jest Jules...

Jules był słynnym pisarzem i popularyzatorem nauki. Jego nazwisko pojawiała się zawsze, gdy była mowa o Narodowym Instytucie Badań Skoordynowanych.

- Jules! Uwierzyłeś w to? - zawołał Feverstone. - Do licha! Chyba nie sądzisz, że ta marionetka ma cokolwiek do powiedzenia! Jules nadaje się do robienia instytutowi dobrej prasy w niedzielnych dodatkach do gazet. Zresztą dostaje za to grubą forszę. Do prawdziwej pracy kompletnie się nie nadaje. Głowę ma napchaną jakąś socjalistyczną sieczką rodem z ubiegłego wieku i sloganami o prawach człowieka. Wciąż jest na etapie Darwina!

- Och, rozumiem - powiedział Mark. - Zawsze było dla mnie zagadką, dlaczego jest tak eksponowany. Wiesz, jeśli już jesteś taki uprzejmy, chętnie skorzystam z twojej propozycji i odwiedzę Withera podczas weekendu. O której się tam wybierasz?

- Chcę wyjechać za kwadrans jedenasta. Mówiono mi, że mieszkasz przy trasie do Sandown. Mogę tam podjechać i zabrać cię swoim wozem.

- Bardzo dziękuję. A teraz powiedz mi coś o tym Witherze.

- John Wither... - zaczął Feverstone i nagle urwał. - Cholera! Wraca Curry. Zaraz usłyszymy, co powiedział NO i jak sprytnie go załatwił nasz superpolityk. Nie uciekaj. Będę potrzebował twojego moralnego wsparcia.

* * *

Ostatni autobus odjechał na długo przed wyjściem Marka z gmachu kolegium. Poszedł do domu pieszo, wspinając się na wzgórze zalane blaskiem księżyca. Kiedy wszedł do mieszkania, zdarzyło się coś niezwykłego. Otworzył drzwi i zanim zdolał wejść do środka, rzuciła mu się w ramiona drżąca, przerażona - nawet pokorna - Jane, witając go szlochem i okrzykiem:

- Och, Mark, tak strasznie się bałam!

Przywarła do niego. W jej ciele było coś, co go całkowicie zaskoczyło. Nie wyczuł owej nieuchwytniej, trudnej do określenia sztywności czy obronności, które tak dobrze znał. Zdarzało się to już dawniej, ale rzadko, a ostatnio coraz rzadziej, i zwykle, jak pamiętał, następnego dnia owocowało trudnymi do wytłumaczenia kłótniami. To go zawsze bardzo dziwiło, ale nigdy nie wyraził owego zdumienia słowami.

Wątpliwe, czy zdołałby zrozumieć jej uczucia nawet wó wczas, gdyby mu o nich opowiedziała, a Jane i tak nie była w stanie tego zrobić. Sama nie wiedziała, co się z nią dzieje. Tego wieczoru przyczyna jej niezwykłego zachowania była jednak dość prosta. Wróciła od Dimble'ów około pół do piątej, bardzo zmęczona pieszą wędrowką, głodna i przekonana, że ma już za sobą przykre przeżycia związane z owym koszmarnym snem. Zanim skończyła pić herbatę, zrobiło się już ciemno, więc musiała zapalić światło i zaciągnąć zasłony. Przyszło jej do głowy, że lęk towarzyszący wspomnieniu owego dziwnego snu, a także wzmiankom o płaszczu, o starcu pochowanym, lecz nie umarłym, o języku przypominającym hiszpański - że ten lęk jest równie irracjonalny jak strach dziecka przed ciemnością. Zaczęła sobie przypominać momenty, w których bała się ciemności. Trwało to trochę za długo i poczuła, że ten wieczór staje się nieznośnie przykry. Nie mogła się skupić na swojej pracy, a kiedy dała sobie z nią spokój, okazało się, że żadna książka też nie przykuwa jej uwagi. Znowu ogarnęła ją fala niepokoju, a po niej nastąpił długi okres, w

którym się nie bała, ale czuła, że w każdej chwili może się zacząć panicznie bać, jeśli nie będzie nad tym łekiem panować. Potem stwierdziła, że odczuwa dziwny opór przed pójściem do kuchni, aby sobie przygotować kolację, a kiedy wreszcie to zrobiła, zrozumiała, że nie jest w stanie przełknąć ani kęsa. W chwilę później nie mogła już dłużej ukrywać przed sobą samą, że jest śmiertelnie przerażona. W rozpaczy zadzwoniła do Dimble'ów.

- Chyba jednak powinnam pójść do tej osoby, o której mi wspominałaś - powiedziała.

Po nieco dziwnej, krótkiej pauzie pani Dimble podała jej nazwisko:

- Ironwood. - Jane była przekonana, że to mężczyzna, i trochę się skrzywiła, gdy pani Dimble dodała: - Pani Ironwood, mieszka w St Anne's-on-the-Hill.

Jane zapytała, czy musi się uprzednio umówić.

- Nie - odpowiedziała pani Dimble. - Będą... nie, nie musisz się umawiać.

Jane przedłużała rozmowę, jak tylko mogła, bo w końcu zadzwoniła głównie po to, by usłyszeć głos Mamy Dimble, a nie po to, aby uzyskać ten adres. Miała skrytą nadzieję, że pani Dimble wyczuje jej stan i powie: „Zaraz do ciebie przyjadę”. Ale zamiast tego usłyszała bliższe informacje o adresie i pospieszne:

- Dobranoc.

W głosie pani Dimble było coś dziwnego. Jane miała wrażenie, że jej telefon przerwał jakąś rozmowę Dimble'ów, może nawet o niej samej, a może o czymś ważniejszym, ale w jakiś sposób z nią związanym. I co właściwie miało oznaczać to „będą...”? Będą cię oczekiwać? To dziwne, bezosobowe „oni” obudziło w niej dziecinne lęki związane z opowieściami o duchach i czarownicach. Oczami wyobraźni ujrzała panią Ironwood w czarnej sukni, siedzącą z rękami złożonymi na kolanach. Ktoś prowadził ją ku tej złowieszczej postaci i zostawił ją przed nią ze słowami: „Przyszła”.

- Do diabła z tymi Dimble'ami! - powiedziała na głos i natychmiast to w duchu odwołała, nie tyle z powodu wyrzutów sumienia, ile ze strachu.

Teraz, kiedy wykorzystała już jedyną możliwość pomocy, przerażenie powróciło ze zdwojoną mocą, jakby obrażone jej bezskutecznym oporem. Nie wiedziała już, czy ów straszny starzec w płaszczu rzeczywiście pojawił się w jej śnie, czy też tylko rozpałała w sobie dziką nadzieję (i modliła się, choć nie wierzyła w nikogo, do kogo mogłaby się modlić), że to się nie powtórzy.

Właśnie dlatego Mark zastał ją w drzwiach domu w tak niezwykle ym stanie. Szkoda, pomyślał, że musiało się to zdarzyć akurat dziś, gdy wrócił późno, zmęczony i prawdę mówiąc, niezupełnie trzeźwy.

* * *

- Dobrze się dzisiaj czujesz? - zapytał Mark.

- Tak, dzięki za troskę.

Mark leżał w łóżku i pił herbatę. Jane siedziała przy toalecie, jeszcze niecałkowicie ubrana, i czesała się. Przyglądał się jej z błogim, porannym rozleniwieniem. Nie był świadom tego, co się w niej teraz działo, i miał tylko jakieś niejasne podejrzenia, że w ich wzajemnych stosunkach coś się popsulo. Ludzie mają zwyczaj dokonywania „projekcji”. Sądzymy, że jagnię jest łagodne, bo ma takie miękkie futro; mężczyzna mówi o kobiecie, że „jest ponętna”, bo budzi w nim pożądanie. Dla Marka ciało Jane było delikatne, a jednocześnie mocne, wysmukłe, choć jednocześnie krągłe i pełne, i te same przymioty nieuchronnie przypisywał jej osobowości.

- Jesteś pewna, że nic ci nie dolega? - zapytał ponownie.

- Jestem pewna.

Czuła narastające rozdrażnienie. Fryzura nie układała się tak, jak chciała, a Mark zupełnie niepotrzebnie powracał do jej zachowania wczorajszego wieczoru. Wiedziała, oczywiście, że jest również bardzo zła na siebie z powodu słabości, która doprowadziła ją w nocy do przeistoczenia się w coś, czego nie znosiła: w rozhisteryzowaną, skłoną do płaczu „małą kobietkę” z sentymentalnej powieści, szukającą pociechy w męskich ramionach. Sądziła jednak, że owa złość kryje się jedynie w najgłębszej sferze jej świadomości i nie podejrzewała, iż pulsuje w jej żyłach, powodując sztywność palców układających włosy.

- Bo jeśli czujesz się nie najlepiej - ciągnął Mark - mogę zrezygnować z poznania tego Witherera. Jane milczała.

- Gdybym pojechał, to nie byłoby mnie przez całą dobę, może dwie.

Jane jeszcze mocniej zacisnęła wargi i milczała.

- A jeżeli już tam pojedę - powiedział po chwili - może należałoby poprosić Myrtle, aby tu przyjechała?

- Nie, dzięki - odparła Jane z naciskiem. - Jestem przyzwyczajona do samotności.

- Wiem - przyznał Mark nieco przeproszającym tonem. Wszystko przez tę parszywą sytuację w kolegium. To jeden z głównych powodów, dla których myślę o zmianie pracy.

Jane nadal milczała.

- Posłuchaj, kochanie - rzekł Mark, nagle siadając i opuszczając nogi na podłogę - nie ma sensu owijać wszystkiego w bawełnę. Nie chciałbym jechać, dopóki jesteś w takim stanie...

- W jakim stanie? - zapytała Jane, obracając się i po raz pierwszy patrząc na niego.

- No cóż, uważam, że... że jesteś trochę zdenerwowana... Każdemu to się czasem zdarza.

- A ja nie sądzę, żebyś musiał mówić do mnie takim tonem, jakbym była neurasteniczką, tylko dlatego, że miałam koszmarny sen, kiedy wróciłeś do domu wczoraj w nocy... a raczej dzisiaj rano.

Zaraz pożałowała tych słów.

- No, chyba nie osiągniemy niczego, rozmawiając w ten sposób... - zaczął Mark, lecz Jane przerwała mu:

- To znaczy w jaki sposób? - zapytała lodowatym tonem, a potem, zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Jeśli uznałeś, że jestem - na granicy obłędu, to może lepiej sprowadź tu od razu Brizeacre'a, żeby mnie zbadał. Myślę, że dla wszystkich byłoby najwygodniej, jeśli cię przy tym nie będzie. Mogą mnie stąd zabrać, podczas gdy ty będziesz w gościnie u pana Witherera, więc unikniesz całego tego zamieszania. A teraz idę zająć się śniadaniem. Jeśli się szybko nie ogolisz i nie ubierzesz, to możesz nie być gotowy, kiedy zadzwoni lord Feverstone.

Mark paskudnie się zaciął przy goleniu (i natychmiast ujrzał siebie, jak rozmawia z tym ważniakiem Witherem z wielką pacyną waty nad wargą), podczas gdy Jane, powodowana całą mieszaniną motywów, postanowiła przygotować mu wyjątkowo wymyślne śniadanie, po czym w ostatniej chwili wywróciła zawartość tacy na nową kuchenkę. Kiedy przybył Feverstone, oboje siedzieli jeszcze przy stole, udając, że czytają gazety. Na nieszczęście w tym samym momencie pojawiła się pani Maggs. Pani Maggs była tym elementem w gospodarstwie domowym Jane, który kryje się pod wyrażeniem: „Mam dziewczynę, która przychodzi dwa razy w tygodniu”. Dwadzieścia lat temu matka Jane zwracałaby się do takiej osoby po imieniu, a ta mówiłaby do niej „mamo”, podczas gdy dla Jane była to „pani Maggs”, a ona sama była dla niej „panią Studdock”. Obie były mniej więcej w tym samym wieku, a w oczach profesora uniwersytetu ich stroje niewiele się różniły. Można więc uznać za usprawiedliwione, że kiedy Mark chciał przedstawić lorda Feverstone'a swojej żonie, ten uściśnął rękę pani Maggs. Nieporozumienie pozostało niewyjaśnione w ciągu kilku minut poprzedzających odjazd obu mężczyzn.

Jane prawie natychmiast wyszła z domu pod pretekstem zrobienia zakupów.

- Naprawdę nie jestem dziś w stanie znieść paplaniny pani Maggs - powiedziała do siebie, zamykając drzwi.

A więc tak wygląda lord Feverstone - facet z ustami rekina, śmiejący się głośno i nienaturalnie. Od razu widać, że to jeszcze jeden błazen! I co temu głupiemu Markowi przyjdzie z zadawania się z takim człowiekiem?

Jego twarz nie wzbudziła w niej zaufania. Była to twarz krętacza. Prawdopodobnie zwodzi Marka. Mark tak łatwo daje się nabrać. Och, dlaczego musi siedzieć w tym okropnym Bractonie?! Co Mark widzi w ludziach takich jak Curry czy ten odrażający stary klecha z brodą? Jaki dzień ją czeka... jaka noc, ta - i następne? Bo jeśli mężczyzna mówi, że nie będzie go dwa dni, oznacza to „minimum dwa dni”, a tak naprawdę ma nadzieję, że nie będzie go przez tydzień. Wystarczy przysłać telegram (nie telefon, broń Boże!) i sprawa załatwiona. Przynajmniej dla niego.

Musi coś z tym zrobić. Może nawet posłucha rady Marka i zaprosi Myrtle? Ale Myrtle była jej szwagierką, jego bliźniaczą siostrą, adorującą swojego wspaniałego brata w sposób trudny do wytrzymania. Zanudzałyby ją rozmowami o zdrowiu Marka, o jego koszulkach i skarpetkach, a we wszystkim kryłoby się stałe, niewyrażone, ale dość jawne zdumienie, że Mark ją poślubił. Nie, nie ma mowy o Myrtle. Potem pomyślała o wizycie u doktora Brizeacre'a. Pracował w Bracton College, więc prawdopodobnie nie musiałaby mu nic płacić. Ale kiedy zaczęła sobie wyobrażać pytania, na które musiałaby odpowiedzieć, doszła do wniosku, że przekracza to jej aktualne możliwości. W końcu, trochę niespodziewanie dla samej siebie, zdecydowała, że pojedzie do St Anne's i zobaczy się z panią Ironwood. Pomyślała, że to najbardziej wariacka decyzja, ale postanowiła się jej trzymać.

* * *

Ktoś, kto stanąłby tego dnia na wzgórzu wznoszącym się nad Edgestow i spojrział na południe, mógłby zobaczyć ciemną plamkę poruszającą się po głównej drodze, a później, na wschodzie, bliżej srebrnej wstęgi rzeki Wynd, o wiele wolniej poruszający się kłęb dymu z parowozu ciągnącego pociąg.

Tą ciemną plamką był samochód, który wiozł Marka Studdocka do Ośrodka Transfuzji Krwi w Belbury, gdzie znalazł czasową siedzibę Narodowy Instytut Badań Skoordynowanych. Już same rozmiary i kształty samochodu lorda Feverstone'a wywarły na nim duże wrażenie. Tapicerka była takiej jakości, że aż chciałoby się ją polizać. I cóż za doskonała, męska energia (Mark miał w tym momencie serdecznie dość kobiet) tryskała z Feverstone'a, gdy siedział za kierownicą z fajką w zębach, oparłszy łokieć na klaksonie! Mark podziwiał nonszalancką pewnością siebie, z jaką jego utytułowany znajomy prowadził wóz po wąskich uliczkach Edgestow, rzucając od czasu do czasu krótkie uwagi krytyczne pod adresem innych kierowców i pieszych. Ale dopiero gdy wyjechali z miasteczka i minęli stare kolegium Jane (St Elizabeth's), Feverstone pokazał, co naprawdę jest wart jego samochód. Pędzili z taką szybkością, że nawet na raczej pustej drodze niewiarygodnie źli kierowcy, najwyraźniej tępi przechodnie i ludzie prowadzący konie, kury i psy, które nieopatrznie wybiegały na drogę (kwitowane przez Feverstone'a uwagą: „Znowu miały cholerne szczęście!”) - wszystko to przemykało obok nich jedno za drugim. Słupy telegraficzne migwały im w oczach, mosty rozstępowały się, dudniąc krótko echem silnika, wioski umykały chyżo w dal, łącząc się z krajobrazem, który dopiero minęli, a Mark, odczuwając dziwną mieszaninę fascynacji i odrazy wobec nonszalanckiej i zuchwałości jazdy Feverstone'a, ograniczał się do lakonicznych reakcji na jego uwagi w rodzaju: „Tak”, „No jasne” czy „To była ich wina”, i kątem oka obserwował swojego towarzysza. Z całą pewnością różnił się od nadętego Curry'ego czy kwestora! Długi, prosty nos,

zaciśnięte zęby, twardy, kościsty podbródek, styl ubioru - wszystko mówiło: oto wielki człowiek prowadzący wielki samochód, zmierzający tam, gdzie będzie się załatwiać wielkie sprawy. A on, Mark, bierze w tym wszystkim udział. Raz lub dwa serce podskoczyło mu do gardła, a przez głowę przemknęło pytanie, czy lord Feverstone naprawdę ma takie umiejętności jako kierowca, które usprawiedliwiałyby taką szybkość.

- Tutaj wcale nie trzeba zwalniać - ryknął Feverstone, kiedy przemknęli przez jedno z bardziej niebezpiecznych skrzyżowań.

- No jasne - wybełkotał Mark.

- Przepisy są po to, aby je omijać! A ty często prowadzisz?

- Kiedyś często - mruknął Mark.

Pociąg, który nasz wyimaginowany obserwator mógłby widzieć na wschód od Edgestow, wiozł w tym czasie Jane Studdock powoli do St Anne's. Dla kogoś kto przyjechał z Londynu, Edgestow mogło się wydawać ostatnią stacją, ale gdyby się uważniej rozejrzał, dostrzegłby stojący przy bocznym peronie niewielki pociąg miejscowy - dwa lub trzy wagony i buchającą parą lokomotywą - z rodzaju tych, w których większość pasażerów dobrze się zna. W niektóre dni zamiast trzeciego wagonu pasażerskiego doczepiano wagon do przewożenia koni, a na peronie było widać kosze z martwymi królikami lub żywym drobiem, mężczyźni w brązowych melonikach i getrach, czasem jakiegoś teriera lub owczarka, najwyraźniej oswojonego z pociągami.

O pół do drugiej taki właśnie pociąg szarpnął i zaczął się toczyć z hałasem po nadrzecznym nasypie, najpierw wzdłuż nakrapianej żółtymi i czerwonymi liśćmi ściany Lasu Bragdon, a potem, za skrzyżowaniem przy Bragdon Camp, skrajem Brawl Park (w pewnym momencie poprzez gałęzie drzew mignął wielki budynek), aż do pierwszej stacyjki w Duke's Eaton. Tu, podobnie jak później w Woolham, Cure Hardy i Fourstones, zatrzymał się z lekkim westchnieniem, a peron wypełnił łoskot przetaczanych baniek z mlekiem i tupot roboczych butów. Ale trwało to krótko, po czym nastąpiła cisza, w której jesienne słońce nagrzewało powoli szyby wagonu, a spoza męskiej stacji napływały zapachy lasu i pól. Pasażerowie wchodzili i wysiadali na każdej stacji: mężczyźni o twarzach rumianych jak jabłka, kobiety w wysokich butach ze ściągaczami po bokach, uczniowie. Jane prawie ich nie dostrzegała, bo chociaż teoretycznie była zagorzałą zwolenniczką demokracji, nie знаła żadnej klasy społecznej poza własną, chyba że z książek. A pomiędzy stacjami przesuwwały się za oknem różne rzeczy, tak wyrwane ze swojego prawdziwego kontekstu, że każda wydawała się obiecywać jakieś niezwykłe szczęście, gdyby tylko można było wyrwać się z pociągu w odpowiednim momencie: wiejski dom, a za nim kilka stogów siana pośród brązowych pól, dwa stare konie stojące jeden za drugim, królik z uszami postawionymi na sztorc, patrzący na pociąg oczami jak dwa paciorki. Kwadrans po drugiej pociąg dojechał do St Anne's. Tu linia kolejowa naprawdę się kończyła - tu kończyło się wszystko. Kiedy Jane opuszczała peron, przeniknęła ją rześkie, krzepiące powietrze.

Choć przez ostatnie pół godziny pociąg dyszał i sapał, pnąc się mozolnie pod górę, wciąż miała jeszcze przed sobą pieszą wspinaczkę, bo St Anne's jest jedną z tych osad - częstszych w Irlandii niż w Anglii - które zagnieździły się na szczycie wzgórza, a stację od wioski dzieli pewna odległość. Szła drogą wijącą się dnem głębokiego wąwozu. Tuż za kościołem, na rozstajach Saxon Cross, skręciła w lewo, tak jak ją pouczono. Po lewej stronie nie było domów, tylko rząd buków, za nim nieogrodzone pola uprawne, opadające dość stromo w dół, a jeszcze dalej lesista równina rozciągająca się aż po horyzont, gdzie nabierała niebieskiej barwy. Znalazła się teraz w najwyższym miejscu w całej okolicy. Wkrótce odnalazła długi, wysoki mur po prawej stronie drogi, a w nim furtkę ze starym żelaznym dzwonkiem. Poczowała zniechęcenie. Była pewna, że cała ta wyprawa nie ma najmniejszego sensu, ale mimo to pociągnęła za dzwonek. Kiedy jego dźwięczny głos ucichł,

nastąpiła cisza tak długa i tak przenikliwa, że Jane zaczęła się w końcu zastanawiać, czy ten dom w ogóle jest zamieszkały. A potem, gdy już stanęła przed wyborem, czy dzwonić jeszcze raz, czy odejść, usłyszała odgłos szybkich kroków po tamtej stronie muru.

Tymczasem samochód lorda Feverstone'a dawno już dotarł do Belbury - ozdobnego edwardiańskiego pałacyku zbudowanego ongiś dla pewnego milionera, którego zachwycił Wersal. Po bokach wstawał w rozległy kompleks nowszych i niższych budynków z szarego cementu, mieszczących Ośrodek Transfuzji Krwi.

Rozdział 3

Belbury i St Anne's-on-the-Hill

Wchodząc po szerokich schodach, Mark uchwycił w lustrze swoje i swojego towarzysza odbicie. Feverstone wyglądał jak zawsze: nienaganny strój, nonszalancja człowieka, który panuje nad sobą i nad sytuacją. Kawalek waty nad górną wargą Marka przekrzywił się podczas jazdy, tak że przypominał teraz połówkę zadartych ostro do góry sztucznych wąsów nad czarną plamą zaschniętej krwi. W chwilę później znalazł się w pokoju z wielkimi oknami i płonącym kominkiem i został przedstawiony panu Johnowi Witherowi, wicedyrektorowi Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych.

Wither był starszym mężczyzną o siwych włosach i nienaganych manierach. W jego starannie wygolonej, wielkiej twarzy z wodnistymi, błękitnymi oczami było coś chaotycznego i nieokreślonego. Chyba właśnie te oczy sprawiały, że zdawał się nie poświęcać swoim gościom całej uwagi, choć jego słowa i gesty cechowała uprzejmość granicząca z wylewnością. Powiedział, że sprawia mu naprawdę wielką przyjemność powitanie pana Studdocka i natychmiast dodał że w ten sposób powiększa i tak już bezmierny dług wdzięczności wobec lorda Feverstone'a. Wyraził też nadzieję, że mieli dobrą podróż. Był przekonany, że przylecieli samolotem, a kiedy to sprostowano, uznał, że przyjechali z Londynu pociągiem. Następnie zaczął dopytywać, czy pan Studdock jest w pełni zadowolony ze swojego apartamentu, i trudno było się zorientować, czy dociera do niego wyjaśnienie, że dopiero co tu przybyli. „Coś mi się zdaje, pomyślał Mark, że stary robi wszystko, żebym poczuł się swobodnie”. W rzeczywistości gadatliwość Withera miała całkiem odwrotny skutek. Mark marzył, by go poczęstowano papierosem. Narastało w nim przekonanie, że ten człowiek nic o nim nie wie i że wszystkie olśniewające perspektywy i obietnice Feverstone'a rozplývają się we mgle. Nie było to wcale przyjemne. W końcu zdecydował się skierować rozmowę na ten temat, mówiąc wprost, że nie jest dla niego całkiem jasne, w jakim charakterze miałby się włączyć w pracę instytutu.

- Zapewniam pana, panie Studdock - odrzekł wicedyrektor, a jego wodniste spojrzenie stało się jeszcze bardziej nieobecne - że nie ma powodu, by obawiał się pan jakichkolwiek... ee... jakichkolwiek trudności w tym względzie. Nigdy nie braliśmy pod uwagę takiej ewentualności, by w jakiś sposób ograniczać pańską działalność i pański konkretny wpływ na politykę instytutu, a tym bardziej pańskie stosunki z kolegami oraz to, co można by określić ogólnie układem kompetencji, w ramach którego mógłby pan z nami współpracować, a w każdym razie, by mogło się to odbywać bez najpełniejszego uwzględnienia pańskich własnych poglądów i, co pragnę podkreślić, pańskiej opinii. Zobacz pan, panie Studdock, że jesteśmy tu, jeśli tak można powiedzieć, bardzo szczęśliwą rodziną.

- Och, chyba mnie pan źle zrozumiał - powiedział Mark. - Miałem jedynie na myśli... cóż, czuję... to znaczy chciałbym się chociaż bardzo ogólnie dowiedzieć, co właściwie miałbym robić, gdybym tu przeszedł.

- No, jeśli chodzi o przejście do nas - odrzekł wicedyrektor - to mam nadzieję że nie doszło tu do jakiegoś nieporozumienia.

Chyba wszyscy się zgodziliśmy, że nie ma w ogóle potrzeby stawiania sprawy stałego pobytu... oczywiście na tym etapie. Uważamy... wszyscy uważamy, że jeśli zależy panu, by nadal mieszkać w Londynie lub w Cambridge...

- W Edgestow - wtrącił lord Feverstone.

- Ach tak, w Edgestow, oczywiście! - Wicedyrektor zwrócił się do Feverstone'a. - Właśnie

wyjaśniałem panu... ee... Studdockowi, i jestem pewien, że w pełni podziela pan moje zdanie, że nic nie byłoby bardziej odległe zamiarom komitetu niż dyktowanie, a nawet tylko doradzanie panu... pańskiemu przyjacielowi, gdzie powinien mieszkać. To oczywiście, że gdziekolwiek będzie mieszkał, zapewnimy mu niezbędne środki transportu powietrznego i drogowego. Mam nadzieję, lordzie Feverstone, że wyjaśnił już pan swojemu znajomemu, iż wszystkie podobne problemy zostaną rozwiązane bez najmniejszych trudności.

- Proszę mi wierzyć - powiedział Mark - że nie to miałem na myśli. Nie mam... to znaczy, nie sądzę, bym miał jakiegokolwiek obiekcje co do miejsca zamieszkania. Chciałem tylko...

- Ależ zapewniam pana - przerwał mu wicedyrektor, jeśli cokolwiek, co wypowiedział tak łagodnym głosem, można było w ogóle określić „przerwaniem” - panie... ee... zapewniam pana, drogi panie, że nic nie stoi na przeszkodzie, by mieszkał pan tam, gdzie będzie panu wygodnie. Nigdy, na żadnym etapie, nie było najmniejszej sugestii...

W tym momencie Mark nie wytrzymał i sam ośmielił się mu przerwać.

- Interesuje mnie dokładny zakres badań prowadzonych w instytucie. Wiąże się z tym sprawa moich kwalifikacji do tej pracy.

- Drogi przyjacielu - odrzekł wicedyrektor - nie powinien pan mieć z tym najmniejszych problemów. Jak już powiedziałem, jesteście tu bardzo szczęśliwą rodziną i może pan być całkowicie pewien, iż nikomu nawet nie przeszło przez głowę, by dyskutować sprawę pańskiej pełnej użyteczności. Nie proponowałbym panu miejsca wśród nas, gdyby istniała choć najmniejsza wątpliwość, czy zostanie pan zaakceptowany przez wszystkich członków, albo choć podejrzenie, że pańskie niezwykle wartości nie zostaną w pełni docenione. Jest pan... jest pan tutaj wśród przyjaciół, panie Studdock. Byłbym chyba ostatnią osobą, która mogłaby panu doradzać wiązanie się z jakąkolwiek instytucją, w której byłby pan narażony na ryzyko... ee... trudnych do zaakceptowania kontaktów osobistych.

Mark zrezygnował z kolejnej próby dowiedzenia się, czego właściwie NIBS od niego oczekuje. Zaczynał podejrzewać, iż jego znakomity rozmówca jest przekonany, że powinien już o tym wiedzieć. Poczul też, że postawienie bezpośredniego pytania na ten temat zabrzmiałoby w tym gabinecie niemal jak grubiańskie przekleństwo, a w każdym razie byłoby na pewno przejawem takiej niedelikatności, która mogłaby go wykluczyć z owej ciepłej, prawie narkotycznej atmosfery nieokreślonego, lecz mimo to bardzo poważnego zaufania.

- To bardzo uprzejme z pana strony - odparł. - Jediną sprawą, o której chciałbym wiedzieć nieco więcej, jest dokładny... ee... dokładny zakres moich kompetencji.

- Tak... - powiedział pan Wither głosem tak cichym i bezbarwnym, że zabrzmiało to prawie jak westchnienie. - Bardzo się cieszę, że postawił pan tę sprawę już teraz i to w tak nieformalny sposób. Jest oczywiście, że ani pan, ani ja nie chcielibyśmy my angażować się, tu, w tym pokoju, w sposób, który mógłby choć w znikomej mierze zaszkodzić integralności naszego komitetu. Dobrze rozumiem pana motywy i... ee... szanuję je. Oczywiście nie mówimy o stanowisku w quasitechnicznym znaczeniu, nie, to by było niestosowne zarówno dla mnie, jak i dla pana... choć może mi pan o tym w jakiś sposób przypomnieć... a w każdym razie mogłoby to prowadzić do pewnych nieporozumień. Mogę jednak pana zapewnić, - że nikt nie chce pana wcisnąć do jakiegoś ciasnego gorsetu lub proponować panu prokrustowego łoża. My tutaj nie operujemy kategoriami ściśle rozgraniczonych funkcji. Jestem pewien, że ludzie tacy jak pan i ja... no cóż, powiem szczerze: my chyba nie mamy zwyczaju operowania takimi kategoriami. W naszym instytucie każdy ma świadomość, że jego własna praca jest nie tyle jakimś wydziałowym wkładem w całokształt osiągnięć zespołu, ile raczej momentem lub etapem procesu samookreślania się pewnej organicznej całości.

A na to Mark odpowiedział - niech mu Bóg wybaczy, bo był młody, nieśmiały, próżny i bojaźliwy:

- Sądzę, że to jest bardzo ważne. Elastyczność waszej organizacji jest jedną z jej cech, która mnie najbardziej pociąga.

W ten sposób stracił na zawsze szansę uzyskania informacji na najbardziej dla siebie istotny temat i za każdym razem, gdy milkł ów łagodny, cedzący słowa głos, pozostawało mu tylko przeżuwanie w myśli dręczącego pytania: „O czym my właściwie rozmawiamy?”

Pod koniec rozmowy coś niecoś się wyjaśniło. Pan Wither wyraził przypuszczenie, że Mark uzna za wygodne dla siebie zapisanie się do klubu NIBS-u: to chyba zrozumiałe, że nawet tylko w ciągu najbliższych dni będzie się czuł swobodniej jako członek niż jako gość. Mark zgodził się, a potem oblał rumieńcem jak mały chłopiec, kiedy usłyszał, że najlepszym rozwiązaniem będzie dożywotnie członkostwo za jedyne dwieście funtów. Nie miał tyle na rachunku w banku. Oczywiście, gdyby dostał tę nową posadę z wynagrodzeniem tysiąca pięciuset funtów rocznie, mógłby sobie na to pozwolić. Ale czy ją dostał? Czy ta posada w ogóle istnieje?

- Och, to głupio z mojej strony - powiedział głośno - ale nie zabrałem książeczki czekowej.

W chwilę później szedł po schodach z lordem Feverstone'em.

- No i co? - zapytał niecierpliwie Mark.

Feverstone zdawał się go nie słyszeć.

- I co? - powtórzył Mark. - Kiedy się dowiem, jak wypadłem? To znaczy... czy dostałem tę pracę?

- Cześć, Guy! - wrzasnął nagle Feverstone do jakiegoś mężczyzny w holu.

Zbiegł szybko po schodach, uściskał wylewnie rękę znajomego i zniknął. Mark, schodzący nieco wolniej, znalazł się w holu wśród grup i par gawędzących mężczyzn. Wszyscy zmiierzali ku wielkim rozsuwanym drzwiom po lewej stronie.

* * *

Wydawało mu się, że czas płynie niemiłosiernie wolno, gdy tak stał, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić, starając się wyglądać naturalnie i nie patrzeć ludziom w oczy. Słyszac po miłych zapachach, które napływały przez otwarte drzwi, wszyscy udawali się na lunch. W końcu uznał, że nie może dłużej stać jak głupiec, i wszedł za innymi.

Miał nadzieję, że w jadalni będzie kilkanaście małych stolików i że przy jednym z nich będzie mógł usiąść samotnie. Był tam jednak tylko jeden długi stół i prawie wszystkie miejsca były już zajęte. Mark, nie widząc nigdzie Feverstone'a, musiał usiąść przy kimś obcym.

- Mam nadzieję, że każdy siada, gdzie chce? - mruknął, ale jego sąsiad wyraźnie nie dosłyszał pytania, zajęty szybkim pochłanianiem jedzenia i jednoczesną rozmową z sąsiadem z drugiej strony.

- O to właśnie chodzi - mówił. - Powiedziałem mu, że nie obchodzi mnie, w jaki sposób to załatwią. Nie mam nic przeciwko temu, by całą sprawą zajęli się ludzie IJP, jeśli tego właśnie chce WD (tak mówimy na wicedyrektora), ale nie podoba mi się, kiedy jeden człowiek jest za coś odpowiedzialny, a połowę roboty odwała ktoś inny. Powiedziałem mu, że mamy teraz trzech facetów do roboty, którą tak naprawdę mógłby załatwić jeden zwykły urzędnik. To zaczyna być śmieszne. A jak pomyślę o tym, co się dzisiaj stało...

Rozmowa toczyła się dalej w podobnym tonie.

Choć potrawy i wina były wyborne, Mark poczuł ulgę, gdy zaczęto wstawać od stołu. Poszedł tam, gdzie kierowali się wszyscy, i znalazł się w wielkim pokoju, umeblowanym jak salon, w którym podawano kawę. Tu wreszcie dostrzegł Feverstone'a. Prawdę mówiąc, trudno było go nie

dostrzec, bo stał pośrodku małej grupki i zanosił się gromkim śmiechem. Mark chciał podejść do niego, aby dowiedzieć się przynajmniej, czy ma tu nocować, a jeśli tak, czy przydzielono mu jakiś pokój, ale krąg mężczyzn wokół jego znakomitego nowego znajomego promieniował tak poufną zażyłością, że nie ośmielił się do nich przyłączyć. Usiadł więc przy jednym ze stolików i zaczął przeglądać jakiś ilustrowany tygodnik. Co kilka sekund zerknął znad czasopisma, czy nadarza się szansa porozmawiania z Feverstone'em sam na sam. Za piątym razem, kiedy spojrzał w górę, znalazł się twarzą w twarz z jednym ze swoich kolegów z Bractonu, Williamem Hingestem. Postępowa Elita nazywała go - oczywiście za plecami - Billem Zawieruchą.

Jak przewidział Curry, Hingest nie wziął udziału w ostatnim posiedzeniu kolegium i trudno było powiedzieć, czy zna bliżej Feverstone'a. Mark uświadomił sobie z pewnym przerażeniem, że oto stoi przed nim człowiek bezpośrednio związany z NIBS-em - ten, który, mówiąc sportowym językiem, wystartował tuż za Feverstone'em. Zajmował się chemią fizyczną i był jednym z dwóch uczonych w Bractonie, których znano poza granicami Anglii. Mam nadzieję, iż czytelnik nie odniósł wrażenia, że członkowie kolegium bractonńskiego byli jakimiś wybitnymi uczonymi. Wybieranie do kolegium samych miernot na pewno nie było intencją Postępowej Elity, ale tak bardzo zależało im na wyborze „rozsądnych ludzi”, że mieli wyjątkowo ograniczone pole wyboru. Jak powiedział kiedyś Busby, „nie można mieć wszystkiego na raz”. Bill Zawierucha miał staromodne, podkręcane do góry wąsy, w których białe włosy prawie zdominowały żółte, wielki nos przypominający ptasi dziób i łysą głowę.

- Och, co za miła niespodzianka - odezwał się Mark nieco oficjalnym tonem. Zawsze trochę się bał Hingesta.

- Hm - odchrząknął Hingest. - Och, to ty, Studdock? Nie wiedziałem, że i ciebie tu ściągnęli.

- Szkoda, że nie było cię wczoraj na posiedzeniu kolegium.

Było to kłamstwo. Postępowa Elita zawsze uważała obecność Billa za niewygodną. Jako uczonego - i to jedynego prawdziwego uczonego w Bractonie - należał do nich, ale był jednocześnie tą zniechęconą anomalią, tym złym rodzajem uczonego. Przyjaźnił się z Glossopem, klasykiem, i sprawiał wrażenie (Curry nazywał to „pretensjonalnością”) człowieka, który nie przywiązuje żadnej wagi do swoich własnych rewolucyjnych odkryć chemicznych, a w każdym razie o wiele wyżej ceni to, że nazywa się Hingest. Był to ród o niemal mitycznej starożytności, „nigdy nie skażony obecnością zdrajcy, renegata czy baroneta”, jak to ujął jeden z jego dziewiętnastowiecznych historyków. Bill naraził się Postępowej Elicie szczególnie przy okazji wizyty w Edgestow Louisa Victora de Broglie. Francuz spędził wtedy cały wolny czas w towarzystwie Billa Zawieruchy, ale kiedy pewien entuzjastycznie nastawiony młodszy członek kolegium wyraził przekonanie, że musiało to być wspaniałe sympozjum naukowe dwóch geniuszy, Bill zastanowił się przez chwilę, a potem odpowiedział, że o ile sobie przypomina, nie rozmawiali na ten temat. „Założę się, że głównym tematem ich rozmów był Almanach Gotajski”, skomentował to Curry, ale już nie w obecności Hingesta.

- E... ee... co takiego? Posiedzenie kolegium? A o czym tam mówili?

- O sprzedaży Lasu Bragdon.

- Co za bzdura! - mruknął pogardliwie Zawierucha.

- Przypuszczam, że zgodziłbyś się z decyzją, jaką podjęliśmy.

- Ich decyzje nie mają żadnego znaczenia.

Markowi wyrwał się okrzyk zaskoczenia.

- To wszystko bzdury - powtórzył Bill. - NIBS i tak dostałby ten las. Są na to wystarczająco silni.

- To zadziwiające! Dano mi do zrozumienia, że wybiorą Cambridge, jeśli nie sprzedamy im

lasu.

Hengist głośno pociągnął nosem.

- Nie ma w tym ani krzty prawdy. A czy to jest zadziwiająca, to już zależy od tego, co masz na myśli. Nie ma nic zadziwiającego w tym, że członkowie kolegium braktońskiego przez całe popołudnie dyskutują o jakichś bzdurach. Nie ma też nic zadziwiającego w fakcie, że NIBS pragnie przenieść na Bracton całe odium zrobienia z serca Anglii czegoś w rodzaju skrzyżowania nieudanego amerykańskiego hotelu ze wspaniałą gazownią. Jediną zagadką jest to, dlaczego NIBS chce mieć właśnie ten kawałek ziemi.

- Mam nadzieję, że czegoś się tu dowiemy.

- Ty może tak, ja nie.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał Mark.

- Mam tego po prostu dosyć - odparł Hingest, zniżając głos. - Odjeżdżam dziś wieczorem. Nie wiem, co właściwie robisz w Bractonie, ale radziłbym ci tam wracać i trzymać się swojej starej posady.

- No wiesz! - zachnął się Mark. - A niby dlaczego?

- Bo, widzisz, ja jestem na to za stary, ale ciebie mogą nabrać. Oczywiście wszystko zależy od tego, co kto lubi.

- Prawdę mówiąc - rzekł Mark - nie bardzo mogę się w tym połapać. - Przywykł uważać Hengista za zakutego reakcjonistę. - Do tej pory nie wiem nawet, na czym by miała polegać moja praca, gdybym tu został.

- Czym się zajmujesz?

- Socjologią.

- Ho! Jeśli tak, to mogę ci wskazać człowieka, pod którym będziesz.

- Mógłbyś mnie przedstawić?

- A więc zostajesz, tak?

- No cóż, w każdym razie chyba powinienem z nim pogadać.

- Jak uważasz - odrzekł Hingest. - W końcu to nie mój interes. - I zawołał głośniejszym głosem: - Steele!

Steele odwrócił się. Był to wysoki, ponury mężczyzna, który mimo długiej, końskiej twarzy miał grube i wydęte wargi.

- To jest Studdock - powiedział Hingest. - Nowy pracownik twojego wydziału.

Po czym odszedł.

- Och... - W głosie Steele'a dało się odczuć zdziwienie. - Czy on powiedział: mojego wydziału?

- Tak przynajmniej powiedział - odrzekł Mark, próbując się uśmiechnąć - ale może się myli. Jestem socjologiem... jeśli to panu coś wyjaśni.

- To by się zgadzało, bo jestem kierownikiem wydziału socjologii. Szkoda tylko, że przed chwilą pierwszy raz o panu usłyszałem. Kto panu powiedział, że ma pan tu pracować?

- No cóż... prawdę mówiąc - odrzekł Mark - nie wiem jeszcze nic konkretnego. Miałem rozmowę z wicedyrektorem, ale nie mówiliśmy o szczegółach.

- A jak się panu udało go poznać?

- Przedstawił mnie lord Feverstone.

Steele zagwizdał.

- Hej, Cosser - zwrócił się do piegowatego mężczyzny, który akurat przechodził obok nich. - Posłuchaj. Feverstone właśnie władował nam tego faceta do wydziału. Zabrał go prosto do WD i nie raczył mi o tym powiedzieć. Co o tym myślisz?

- Nie do wiary! - zawołał Cosser, prawie nie zwracając uwagi na Marka, za to wpatrując się w Steele'a.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Mark trochę głośniejszym i nieco chłodniejszym tonem niż poprzednio - ale zdaje się, że zostałem postawiony w fałszywej sytuacji. Nie ma powodów do niepokoju. To chyba jakieś nieporozumienie. Prawdę mówiąc, przyjechałem tu tylko po to, żeby się czegoś dowiedzieć. Wcale mi nie zależy na pracy w instytucie.

Żaden z jego rozmówców nie zwrócił uwagi na ostatnie zdanie.

- To typowe dla Feverstone'a - powiedział Cosser do Steele'a.

Steele zwrócił się do Marka. - Na pana miejscu nie przywiązywałbym większej wagi do tego, co mówi Feverstone. To w ogóle od niego nie zależy.

- Jest mi tylko niezręcznie - odrzekł Mark, marząc o tym, by się nie zarumienić - bo zostałem wmanewrowany w fałszywą sytuację. Przyjechałem tu tylko po to, żeby się rozejrzeć. W ogóle mi nie zależy na tym, czy dostanę pracę w NIBS-ie, czy nie.

- Chyba się zgodzisz - rzekł Steele do Cossera - że w naszym kramie nie ma już miejsca dla nikogo, a zwłaszcza dla kogoś, kto nie zna tej pracy. Chyba że dadzą go do biblioteki.

- Jasne - odparł Cosser.

- Pan Studdock, jeśli się nie mylę - rozległ się nowy głos tuż za Markiem, cienki i wysoki.

Ten głos zupełnie nie pasował do wielkiego mężczyzny, którego Mark ujrzał, gdy odwrócił głowę. Natychmiast go poznał. Trudno było nie rozpoznać tej smagłej, gładkiej twarzy, czarnych włosów i szczególnego akcentu. Był to profesor Filostrato, znany fizjolog, przy którym Mark siedział na jakimś obiedzie ze dwa lata temu. Był tak gruby, że mógłby występować w komediach, ale w prawdziwym życiu nie było to już takie śmieszne. Mark poczuł miłą satysfakcję, że został zapamiętany przez takiego człowieka.

- Bardzo się cieszę, że zechciał się pan do nas przyłączyć, panie Studdock - rzekł Filostrato, biorąc Marka za ramię i łagodnie wyprowadzając z towarzystwa Steele'a i Cossera.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien, czy już to zrobiłem. Przywiózł mnie tu Feverstone, ale gdzieś znikł, a ten Steele... chyba miałbym pracować w jego wydziale... sprawia wrażenie, jakby po raz pierwszy o mnie usłyszał.

- Och, Steele! - roześmiał się profesor. - Niech pan sobie nim nie zawraca głowy. Trochę już wyrósł ze swoich butów. Już niedługo trafi na właściwe miejsce i być może pan mu w tym pomoże. Przeczytałem pańskie prace, *si, si*. Niech pan nie zwraca na niego uwagi.

- Pod żadnym pozorem nie chciałbym się znaleźć w fałszywej sytuacji... - zaczął Mark.

- Niech pan posłucha, przyjacielu - przerwał mu Filostrato. - To są wszystkie sprawy niewarte uwagi. Przede wszystkim trzeba zdać sobie sprawę z powagi całego przedsięwzięcia. Od NIBS-u, od naszej pracy, zależy ni mniej, ni więcej, tylko egzystencja ludzkiej rasy. Od naszej konkretnej pracy, pojmujecie pan? Spotka się tu pan z różnymi tarciami, z impertynencjami ze strony tych *canaglia*, tego motłochu. Trzeba to wszystko traktować tak, jak urazę do towarzysza na wojnie, gdy bitwa osiągnie swój punkt krytyczny.

- Jeśli tylko będę mógł zrobić coś, co jest naprawdę tego warte powiedział Mark - to nie pozwolę, aby podobne sprawy miały na to jakikolwiek wpływ.

- Otóż to, o to właśnie chodzi. Ta praca jest ważniejsza, niż się panu wydaje. Sam pan zobaczy. Ci wszyscy Steele'owie, Feverstone'owie... Proszę się nimi nie przejmować. Dopóki ma pan za sobą wicedyrektora, może pan sobie kpić z ich impertynencji. Tylko jego musi pan słuchać, rozumie pan? Ach... i jest jeszcze ktoś. Dam panu dobrą radę: niech pan nigdy nie zrobi sobie wroga z Wróżki. A reszta może panu nakichać.

- Wróżki?

- Tak. Nazywają ją Wróżką. Och, mój Boże, ta straszliwa *Inglesaccia!* To szefowa naszej policji, policji NIBS-u. *Ecco*, właśnie tu idzie! Przedstawię pana. Pani Hardcastle, niech mi będzie

wolno przedstawić pani pana Studdocka.

Uścisk, w którym znalazła się dłoń Marka, godny był palacza w hucie lub tragarza. A jednak stała przed nim kobieta - postawna kobieta w czarnym uniformie z krótką spódniczką. Mimo potężnego biustu, z jakiego byłaby dumna każda wiktoriańska bufetowa, nie była gruba, raczej silnie zbudowana. Miała szare, krótko ostrzyżone włosy, prostokątną twarz, surową i bladą, oraz głęboki głos. Gruba smuga szminki, pobżonej niedbale na wargach, była jedynym ustępstwem na rzecz mody. Między jej zębami tkwiło długie, nie zapalone cygaro, które podczas rozmowy wyjmowała co jakiś czas z ust, przyglądając się jego przezutemu końcowi pokrytemu mieszaniną szminki i śliny.

Usiadła natychmiast w fotelu stojącym obok Marka, przerzuciła prawą nogę przez oparcie i utkwiała w Marku spojrzenie zabarwione chłodną poufałością.

* * *

Klip-klap... klip-klap... rozlegały się w ciszy kroki po drugiej stronie muru. A po chwili drzwi się otworzyły i czekająca Jane ujrzała przed sobą wysoką kobietę w swoim wieku, która obrzuciła ją bystrym, ale nie agresywnym spojrzeniem.

- Czy tu mieszka pani Ironwood? - zapytała Jane.

- Tak - odpowiedziała dziewczyna, nie otwierając szerzej drzwi i nie odsuwając się z przejścia.

- Chciałabym się z nią zobaczyć.

- Czy jest pani umówiona?

- Ja... ściśle mówiąc, nie. Skierował mnie tutaj doktor Dimble, który zna panią Ironwood. Powiedział, że nie muszę się umawiać.

- O, jeśli pani jest od doktora Dimble'a, to inna sprawa. Niech pani wejdzie. Proszę chwilę zaczekać, muszę dobrze zamknąć drzwi. O, tak. Możemy iść. Proszę wybaczyć, że pójde pierwsza, ale ta ścieżka jest bardzo wąska.

Poprowadziła ją wyłożoną ceglami ścieżką, wzdłuż muru, przy którym rosły owocowe drzewa, a potem w lewo, ścieżką porośłą mchem, między krzakami agrestu. Doszły nią do niewielkiego trawnika z huśtawką pośrodku, za którym była oszklona cieplarnia. Tu znalazły się w czymś w rodzaju folwarku, który spotyka się czasem na obrzeżach wielkich ogrodów. Poszły krótką uliczką ze stodołą i stajnią po jednej stronie, a ogrodową komórką i chlewem po drugiej. Pochrząkiwanie i niezbyt przyjemny zapach świadczyły o tym, że chlew jest zamieszkały. Uliczka doprowadziła je do wąskiej ścieżki wiodącej przez ogród warzywny, położony na dość stromym zboczu wzgórza. Doszły nią do krzewów róż - teraz pozbawionych liści, ze sztywnymi, kolczastymi łodygami. W pewnym miejscu ścieżka była wyłożona pojedynczymi deskami. Idąc nią, Jane odniosła wrażenie, że to wszystko coś jej przypomina. Był to bardzo duży ogród. Był jak... jak... tak, teraz sobie przypominała: jak ogród z *Powiatki o Króliku Piotrusiu*. Albo... z *Powieści o Róży*? Nie, chyba nie. Może jak ogród Klingsora? Albo ogród z *Alicji w Krainie Czarów*? Albo jak ogród na szczycie jakiegoś mezopotamskiego zigguratu, który prawdopodobnie dał początek legendzie o Raju? Albo po prostu jak wszystkie ogrody otoczone murem? Freud twierdził że lubimy ogrody, ponieważ są symbolami kobiecego ciała. No tak, ale to wyjątkowo męski punkt widzenia. W snach kobiet ogród na pewno znaczy coś innego. Ale... czy aby na pewno? A może kobiece ciało budzi ciekawość zarówno w mężczyznach, jak i w kobietach, i do tego prawie w taki sam sposób? Przypomniała sobie pewne zdanie. „Piękno kobiety jest źródłem radości zarówno dla niej samej, jak i dla mężczyzny, i nie jest przypadkiem, że bogini miłości jest starsza i silniejsza od boga miłości”. Gdzie właściwie to przeczytała? I w ogóle, co za bzdury przychodzą jej do głowy? Otrząsnęła się z

tych wszystkich myśli o ogrodach i postanowiła wziąć się w garść, bo miała dziwne poczucie, że znajduje się na wrogim, a w każdym razie na obcym gruncie. W tej samej chwili wynurzył się spomiędzy plantacji rododendronów i wawrzynów i znalazły przed małymi, bocznymi drzwiami wielkiego domu. Przy drzwiach stała beczka na deszczówkę. Z góry dobiegł Jane trzask zamykanego okna.

W chwilę później siedziała w przestronnym, skąpo umeblowanym pokoju z kafelkami i piecem. Na podłodze nie było dywanu, a ściany ponad sięgającą pasa boazerią były pokryte białoszarym tynkiem, co nadawało pokojowi nieco surowy, klasztorny wygląd. Kroki wysokiej dziewczyny, która ją tu przyprowadziła, ucichły w korytarzu i pokój nappełniła cisza, przerywana tylko od czasu do czasu krakaniem gawronów.

„Będę musiała opowiedzieć tej kobiecie swój sen, a ona zada mi mnóstwo pytań”, pomyślała Jane. Zwykle uważała się za nowoczesną kobietę, która może bez oporu rozmawiać na każdy temat, ale teraz, gdy już znalazła się w tym pokoju, wszystko to zaczęło się jej jawić w nieco innym świetle. Najróżniejsze tajemne wyjątki w jej programie szczerości - sprawy, o których, jak teraz zdała sobie sprawę, nigdy i nikomu nie chciała mówić - wdarły się do jej świadomości. To zaskakujące, że tylko parę z nich miało związek z seksem. „U dentysty, pomyślała, mają przynajmniej w poczekalni ilustrowane czasopisma”. Wstała i otworzyła jedną z książek leżących na stole pośrodku pokoju. I nagle jej oczy zapłonęły, gdy przeczytała: „Piękno kobiety jest źródłem radości zarówno dla niej samej, jak i dla mężczyzny, i nie jest przypadkiem, że bogini miłości jest starsza i silniejsza od boga miłości. Pożądanie własnej piękności jest wyrazem próżności Lilith, natomiast pragnienie radowania się własną piękną jest wyrazem posłuszeństwa Ewy, a obie mogą jedynie poprzez kochanka poczuć smak własnej piękności. Posłuszeństwo wiedzie do rozkoszy, natomiast pokora...”

W tym momencie drzwi się nagle otworzyły. Jane oblała się rumieńcem, odłożyła książkę na stół i spojrzała. Ta sama dziewczyna, która ją tu przyprowadziła, właśnie otworzyła drzwi i nadal stała w progu. Jane nagle poczuła do niej prawie namiętny podziw, jaki kobiety - o wiele częściej, niż się tego spodziewamy - mają wobec innych kobiet, których typ piękna jest zupełnie różny od ich typu. "Chciałabym być taka, pomyślała, taka prosta, wysmukła, pewna siebie, tak pasująca do jazdy konno, tak bosko wysoka".

- Czy... czy pani Ironwood jest w domu? - zapytała.

- Czy pani nazywa się Studdock?

- Tak.

- Zaraz panią do niej zaprowadzę. Czekaliśmy na panią. Nazywam się Camilla... Camilla Denniston.

Jane poszła za nią. Wąskie i skromne korytarze wskazywały, że wciąż znajdują się w tylnej części domu, a skoro tak, musiał to być bardzo duży dom. Długo trwało, zanim Camilla zapukała do jakichś drzwi, otworzyła je, usunęła się na bok, by przepuścić Jane, i powiedziała cichym, wyraźnym głosem („Jak służąca”, pomyślała Jane):

- Już przyszła.

Jane weszła do pokoju i zobaczyła panią Ironwood, całą w czerni, siedzącą w fotelu, z rękami złożonymi na kolanach, zupełnie tak, jak ujrzała ją w swoim śnie - jeśli to był sen - poprzedniej nocy.

- Proszę usiąść, młoda damo - powiedziała pani Ironwood.

Złożone na kolanach dłonie były bardzo duże i kościste, ale nie kojarzyły się z szorstkością. Nawet gdy siedziała, była niezwykle wysoka. Wszystko w niej było duże - nos, pozbawione uśmiechu usta, szare oczy. Mogła mieć pięćdziesiąt kilka lat, raczej bliżej sześćdziesięciu.

- Jak się nazywasz, młoda damo? - zapytała pani Ironwood, biorąc do ręki ołówek i notes.
- Jane Studdock.
- Czy jesteś zamężna?
- Tak.
- Czy twój mąż wie, że do nas przyszedłeś?
- Nie.
- A ile masz lat, jeśli można wiedzieć?
- Dwadzieścia trzy.
- Dobrze. Co masz mi do powiedzenia? Jane zaczerpnęła głęboko powietrza.
- Mam złe sny i... i czuję się ostatnio fatalnie...
- Co to były za sny? - zapytała pani Ironwood.

Opowieść Jane - a nie wychodziło jej to zbyt dobrze - trwała dość długo. Mówiąc, utkwiała spojrzenie w dużych dłoniach pani Ironwood, w jej czarnej spódnicy, ołówku i notesie. Właśnie dlatego nagle przerwała, bo w pewnej chwili zauważyła, że pani Ironwood przestała notować, a jej palce zacisnęły się na ołówku. Musiała mieć bardzo silne palce. Uścisk był mocny, bo knykcie jej pobiegały, a żyły na wierzchu dłoni nabrzmiały, aż w końcu, jakby pod wpływem tłumionej emocji, palce zacisnęły się tak mocno, że ołówek złamał się na pół. Zdumiona Jane umilkła i spojrzała w jej twarz. Szare oczy patrzyły na nią nieruchomo, bez żadnej zmiany wyrazu.

- Proszę mówić dalej, młoda damo - powiedziała pani Ironwood.

Jane podjęła swoją opowieść. Kiedy skończyła, pani Ironwood zadała jej kilka pytań. Potem siedziała nieruchomo, nic nie mówiąc tak długo, że w końcu Jane zapytała:

- Czy pani sądzi, że ze mną jest coś nie w porządku? Czy to coś poważnego?
- Z tobą jest wszystko w porządku - odpowiedziała pani Ironwood.
- Sądzi pani, że to minie?

- Trudno powiedzieć, ale raczej nie. Na twarzy Jane pojawił się cień zawodu.

- Więc... czy można z tym coś zrobić? To były naprawdę okropne sny... straszliwie realistyczne, w ogóle nie jak sny.

- Nie wątpię.
- Czy to coś takiego, z czego nie można się wyleczyć?
- Nie możesz się z tego wyleczyć, bo wcale nie jesteś chora.
- Ale przecież coś się ze mną dzieje. Przecież to nie jest naturalne, żeby mieć takie sny.

Po dłuższym milczeniu pani Ironwood powiedziała:

- Sądzę, że powinnam ci powiedzieć całą prawdę...
- Och, tak! Proszę mi wszystko powiedzieć! - przerwała jej Jane głosem pełnym napięcia.
- A muszę zacząć od tego - ciągnęła pani Ironwood - że jesteś osobą o wiele ważniejszą, niż sobie wyobrażasz.

Jane nic nie powiedziała, myśląc: „Kpi sobie ze mnie. Sądzi, że jestem pomyłona”.

- Jak brzmi twoje panieńskie nazwisko? - zapytała pani Ironwood.
- Tudor.

Jane zwykle niechętnie o tym wspominała, bojąc się, że ktoś może ją posądzić o snobizm.

- Tudorowie z Warwickshire?
- Tak.

- Czy czytałeś taką małą książeczkę... zaledwie czterdzieści stron... o bitwie pod Worcesterem, którą napisał jeden z twoich przodków?

- Nie, nie czytałam, ale wiem, że mój ojciec miał egzemplarz tej książki, chyba jedyny, jaki istnieje. Tak mówił. Zaginęła gdzieś po jego śmierci.

- Twój ojciec się mylił. Są jeszcze przynajmniej dwa egzemplarze. Jeden jest w Ameryce, drugi w tym domu.

- I co z tego?

- Twój przodek dał w tej książce pełny i całkowicie poprawny opis bitwy pod Worcesterem, twierdząc przy tym, że sporządził go dokładnie w tym samym dniu, tuż po bitwie. Problem w tym, iż wcale nie brał w niej udziału. Był w tym czasie w Yorku.

Jane wpatrywała się w nią, nie bardzo śledząc jej słowa.

- Jeśli napisał prawdę - ciągnęła pani Ironwood - a my wierzymy, że tak, musiał to wszystko zobaczyć we śnie. Rozumiesz?

- Śnił o tej bitwie?

- Tak, ale śnił, jakby tam naprawdę był. W swoim śnie zobaczył prawdziwą bitwę.

- Nie widzę związku.

- Wizjonerstwo, zdolność oglądania rzeczywistości we śnie, to czasami cecha dziedziczna.

Coś zaczęło przeszkadzać Jane w swobodnym oddychaniu. Poczula się słabo. Nienawidziła takich reakcji. Coś z przeszłości, coś irracjonalnego i z całą pewnością niechcianego wyłaziło ze swojego legowiska i próbowało zwrócić na siebie jej uwagę.

- Czy można to udowodnić? - zapytała. - Chodzi mi o to, że mamy tylko jego świadectwo.

- Mam twoje sny - odpowiedziała pani Ironwood.

Jej głos, dotąd poważny, teraz zabrzmiał surowo. Fantastyczna myśl przemknęła Jane przez głowę. A może tej starej kobiecie chodzi przede wszystkim o to, by nie wspominać o kłamstwach nawet najdawniejszych przodków?

- Moje sny? - zapytała ostrym tonem.

- Tak.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Sądzę, że w swoich snach ujrzałaś rzeczywistość. Zobaczyłaś Alcasana w rzeczywistości, w jego celi. Zobaczyłaś też gościa, który naprawdę go odwiedził.

- Ale... ale... och, przecież to śmieszne - powiedziała Jane. - Ta część snu musiała być jakimś zbiegiem okoliczności, a reszta... to zwykły koszmar senny. Przecież to wszystko jest nieprawdopodobne. Mówiłam pani, że on odkręcił mu głowę... I... i oni odkopali tego człowieka. Tego, który ożył.

- Nie ulega wątpliwości, że są tu punkty niejasne. Sądzę jednak, że nawet za tymi epizodami kryje się rzeczywistość.

- Obawiam się, że nie potrafię w coś takiego uwierzyć - powiedziała chłodno Jane.

- To zupełnie naturalne, biorąc pod uwagę twoje wychowanie. Oczywiście, jeśli już sama nie odkryłaś, że masz zdolność widzenia realnych sytuacji we śnie.

Jane pomyślała o leżącej na stole książce i o zdaniu, które sobie przypomniała, zanim tę książkę zobaczyła, a potem o samej pani Ironwood, którą też już widziała we śnie. Nie, to niemożliwe, to jakiś nonsens...

- A więc nie może mi pani pomóc?

- Mogę ci powiedzieć prawdę. Już próbowałam.

- To znaczy... nie może pani tego powstrzymać... wyleczyć mnie z tego?

- Wizjonerstwo nie jest chorobą.

- Ale ja tego nie chcę! - zawołała Jane. - Muszę to powstrzymać. Nienawidzę takich rzeczy.

Pani Ironwood milczała.

- I nie zna pani nikogo, kto by mi pomógł? Nie może mi pani kogoś polecić?

- Jeśli pójdziesz do psychoanalityka, potraktuje to zgodnie ze swoim założeniem, według

którego sny są odbiciem twojej podświadomości. Będzie cię próbował wyleczyć. Nie wiem, jakie mogą być skutki leczenia przez kogoś, kto ma takie założenie. Obawiam się, że mogą być bardzo poważne. I z całą pewnością nie przestaniesz mieć tych snów.

- Ale o co w ogóle tu chodzi?! - wybuchnęła Jane. - Chcę prowadzić normalne życie. Chcę normalnie pracować. To jest nie do zniesienia! Dlaczego akurat ja mam być wybrana do takich okropnych rzeczy?

- Odpowiedź na to jest znana tylko tym, którzy stoją znacznie wyżej ode mnie.

Zapanowała krótka cisza. W końcu Jane poruszyła się na krześle i powiedziała nieco obrażonym tonem:

- No cóż, jeśli nie może pani dla mnie nic zrobić, to chyba już pójdę... - A potem nagle dodała: - Ale skąd właściwie pani wie o tym wszystkim? To znaczy... o jakich realnych wydarzeniach pani mówi?

- Myślę, że ty sama masz więcej powodów, by wierzyć w realność twoich snów, niż te, o których mi dotąd opowiedziałaś. A jeśli nie, to wkrótce będziesz je miała. A tymczasem odpowiem ci na twoje pytanie. Wiemy, że twoje sny są przynajmniej częściowo prawdziwe, bo pasują do informacji, które już posiadamy. Właśnie dlatego doktor Dimble przysłał cię do nas.

- Chce pani powiedzieć, że przysłał mnie tu nie po to, żebym się wyleczyła, ale po to, żebym dostarczyła wam jakichś informacji?

To podejrzenie pasowało do jego reakcji, gdy po raz pierwszy powiedziała mu o swoich kłopotach.

- Dokładnie tak.

- Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej - powiedziała chłodno Jane i zdecydowanie podniosła się do wyjścia. - To chyba jakieś nieporozumienie. Wyobrażałam sobie, że doktor Dimble próbuje mi pomóc.

- I nie myliłaś się. Ale jednocześnie próbował zrobić coś o wiele ważniejszego.

- Chyba powinnam być wdzięczna, że zechciano poświęcić mi choć trochę uwagi - powiedziała oschle Jane - choć nie bardzo rozumiem, w jaki sposób miałabym uzyskać pomoc, biorąc pod uwagę te... to wszystko, co dotąd usłyszałam.

Miało to zabrzmieć ironicznie, ale gdy tylko to powiedziała, miejsce ironii zajęła złość, a na twarzy wykwitły rumieńce. Pod pewnymi względami była wciąż bardzo młoda.

- Młoda damo - powiedziała pani Ironwood - w ogóle nie zdajesz sobie sprawy z powagi sytuacji. To, co zobaczyłaś, ma związek z czymś, przy czym takie sprawy jak szczęście, a nawet życie... twoje lub moje... tracą znaczenie. Proszę cię, żebyś zrozumiała, w jakiej sytuacji się znalazłaś. Nie uwolnisz się od swojego daru. Możesz próbować go stłumić, ale ci się to nie uda. Jedynym skutkiem będzie coraz większy strach. Możesz jednak oddać ów dar do naszej dyspozycji. Jeśli to uczynisz, strach będzie coraz mniejszy, a jednocześnie pomożesz nam ocalić ludzkość od wielkiego nieszczęścia. Jest też trzecie wyjście: możesz powiedzieć o tym komuś innemu. Jeśli to zrobisz, prawie na pewno wpadniesz w ręce ludzi, którzy tak jak my pragną wykorzystać twój dar, ale którzy o twoje szczęście i życie nie będą dbali bardziej niż o szczęście i życie muchy. Ludzie, których zobaczyłaś w swoim śnie, istnieją naprawdę. Prawdopodobnie już wiedzą, że niezależnie od swojej woli masz wgląd w to, co robią czy chcą zrobić. A jeśli tak, to nie spoczną, póki nie dostaną cię w swoje ręce. Radzę ci, nawet tylko ze względu na twoje własne bezpieczeństwo przyłącz się do nas.

- Mówi pani wciąż: my, nas. Czy to coś w rodzaju stowarzyszenia?

- Tak. Można to tak nazwać.

Od kilku minut Jane stała, prawie już wierząc tej dziwnej kobiecie w czerni. A potem nagle

znowu ogarnęła ją fala niechęci. Powróciła cała zraniona próżność, złość na bezsensowną sytuację, w jakiej się znalazła, i odraza do wszystkiego, co tajemnicze i nieznanne. W tym momencie liczyło się tylko jedno: pragnęła wyjść z tego pokoju i nie słyszeć już pełnego powagi, cierpliwego głosu pani Ironwood. „Miała mnie wyleczyć, a czuję się coraz gorzej”, pomyślała. Wciąż uważała się za chorą.

- Muszę już iść - powiedziała. - Nie mam pojęcia, o czym pani mó wi. I nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

* * *

Mark odkrył w końcu, że oczekiwano, by pozostał w Belbury przynajmniej do jutra, i kiedy poszedł na górę, aby przebrać się do kolacji, poczuł się raźniej. Dobry nastrój był po części skutkiem kilku szklaneczek whisky z wodą sodową, wypitych dopiero co z Wrózką Hardcastle, a także spojrzenia w lustro, bo stwierdził, że może już pozbyć się tego okropnego kawałka waty z górnej wargi. Miała też z tym coś wspólnego luksusowa sypialnia z płonącym kominkiem i osobną łazienką. Dzięki Bogu uległ Jane i kupił ten nowy garnitur! Wyglądał bardzo dobrze, gdy leżał rozłożony na łóżku. Przy okazji stwierdził, że stary garnitur można by śmiało wyrzucić. Najbardziej podniosła go jednak na duchu rozmowa z Wrózką.

Trudno powiedzieć, by mu się spodobała. Prawdę mówiąc, wzbudziła w nim niechęć, jaką młody mężczyzna odczuwa zwykle wobec kobiety wyzywającej, nawet bezwstydnej, a jednocześnie całkowicie niepociągającej. Jej zimne oczy zdawały się mówić: „Jestem świadoma twojej reakcji i bawi mnie to”. Opowiedziała mu mnóstwo zabawnych historyjek. Do tej pory często się wzdygał, obserwując niezdarne wysiłki wyzwolonych kobiet, które chciały dorównać mężczyznom, opowiadając takie dowcipy, ale tej reakcji towarzyszyło pewne poczucie wyższości. Tym razem miał poczucie, że to on jest kimś godnym wzruszenia ramion. Ta kobieta drażniła męską pruderię. Później zaczęła snuć swoje reminiscencje policyjne. Mimo początkowego sceptycyzmu Mark był coraz bardziej przerażony, Wróżka bowiem twierdziła, iż około trzydziestu procent spraw o morderstwo kończy się powieszeniem niewinnego człowieka. Mówiła też o pewnych szczegółach dotyczących samej egzekucji, o których nigdy przedtem nie słyszał.

Wszystko to nie było przyjemne, a jednak Mark rozkoszował się intymnym, ezoterycznym charakterem tej rozmowy. Wielokrotnie w ciągu tego dnia czuł się tu obco, ale kiedy rozmawiał z panią Hardcastle, poczucie to całkowicie znikło. Z jej słów wynikało, że miała ekscytujące życie. W różnych okresach była sufrażystką, pacyfistką, brytyjską faszystką. Sama bywała maltretowana i więziona przez policję. Ale też spotykała się z premierami, dyktatorami i słynnymi gwiazdami filmowymi, a wszystko to otoczone było jakąś tajemnicą. Wiedziała dobrze - i to z obu stron - co policja może zrobić, a czego nie; zresztą według Wróżki policja mogła prawie wszystko.

- A zwłaszcza teraz - powiedziała. - Tu, w instytucie, ochraniaemy krucjatę przeciwko Czerwonej Linii.

„Policyjny aspekt” pracy NIBS-u jawił się w jej wynurzeniach jako bardzo ważny. Istniał po to, by uwolnić zwykłych pracowników od troski o - jak to nazywała - „higienę pracy”, co obejmowało bardzo szeroki zakres spraw, od szczepień ochronnych po tropienie nienaturalnych skłonności, bo - jak twierdziła - wszelkie „zbożenia” to pole do rozmaitych prób szantażu. Jeśli idzie o problem przestępstwa jako takiego, kierownictwo instytutu popularyzowało już w prasie ideę, by dano mu swobodę eksperymentowania na ludziach. Chodziło o uzyskanie odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu humanitarne, „lecnicze” traktowanie przestępców, zmierzające do ich resocjalizacji, może wyprzeć dawne pojęcie kary „naprawczej” czy „restrykcyjnej”. Tu właśnie

pojawiła się bariera prawna, owa Czerwona Linia.

- Na szczęście pozostały już tylko dwie gazety, których nie kontrolujemy, a i te dwie zniszczymy bez trudu. Trzeba doprowadzić do tego, by zwykły człowiek automatycznie kojarzył karę z sadyzmem.

Wtedy będziemy mieć *carte blanche*.

Mark nie od razu pojął, o co chodzi. Wróżka zaczęła mu więc tłumaczyć, że tym, co od dawna krępuje działanie angielskiej policji, jest właśnie pojęcie „zasłużonej kary”. Jest to sztywne ograniczenie: z kryminalisty można zrobić tylko to i to, nic więcej. Natomiast „lecnicze traktowanie” nie stwarza żadnych ograniczeń: może trwać, dopóki nie osiągnie się ostatecznego celu, jakim jest „wyleczenie” przestępcy. Kto o tym decyduje? Oczywiście ci, którzy leczą. A jeśli sama kuracja jest tak humanitarna, to co dopiero prewencja! Wkrótce każdy, kto kiedykolwiek trafił w ręce policji, znajdzie się pod kontrolą NIBS-u. Tak, chodzi o każdego obywatela.

- I w tym momencie zaczyna się nasza rola: twoja i moja - dodała, stukając Marka palcem w pierś. - Na dłuższą metę nie ma różnicy między pracą policji a socjologią. Musimy pracować ręką w rękę.

To zdanie kazało Markowi wyjawic swoje wątpliwości, czy rzeczywiście otrzymał tu pracę, a jeśli tak, to na czym ona ma polegać. Wróżka ostrzegła go, że Steele może być niebezpieczny.

- I jest dwóch ludzi, co do których musisz zachować ostrożność.

Jednym jest Frost, a drugim stary Wither.

Ale wyśmiała jego obawy.

- Jesteś już z nami, chłopcze. Radzę ci tylko, żebyś na razie nie dopytywał się o szczegóły. Wither nie znosi ludzi, którzy próbują go przyszpilić konkretnymi pytaniami. Nie mów, że przyszedłeś tu, żeby zrobić „to”, a nie będziesz robił „tamtego”. Teraz wszystko za szybko się dzieje, żeby myśleć takimi kategoriami. Musisz po prostu dowieść, że jesteś potrzebny. I nie wierz we wszystko, co ci tu będą mówić.

Przy kolacji Mark siedział obok Hingesta.

- No i co - zapytał Hingest - już cię zwabili?

- Chyba tak.

- Dobrze się zastanów, bo mam samochód i wracam jeszcze dziś. Mogę cię zabrać.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze, dlaczego odjeżdżasz.

- Och, wszystko zależy od tego, co kto lubi. Jeśli bawi cię towarzystwo tego włoskiego eunucha, tego zwariowanego pastora i tej wścieklej Wróżki... jej babka natarłaby jej zdrowo uszu, gdyby żyła... to oczywiście nie ma o czym mówić.

- Myślę, że trudno to wszystko oceniać na płaszczyźnie czysto towarzyskiej. Przecież tu chodzi o coś więcej niż zwykły klub.

- Co? Oceniać? - zaśmiał się Hingest. - Ja nigdy niczego nie oceniam, chyba że jestem na wystawie kwiatów. To wszystko kwestia gustu. Przyjechałem tu, bo sądziłem, że to ma coś wspólnego z nauką. Teraz, kiedy stwierdziłem, że mam do czynienia z czymś w rodzaju konspiracji politycznej, pakuję manatki i wracam do domu. Jestem za stary na takie zabawy, a gdybym już chciał przyłączyć się do jakiejś konspiracji, to na pewno nie do tej.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie interesuje cię planowanie społeczne? Rozumiem, jesteś chemikiem i takie nauki jak socjologia...

- Po pierwsze, socjologia nie jest żadną nauką - przerwał mu Hingest. - A po drugie, gdybym stwierdził, że chemia pasuje do tajnej policji kierowanej przez podstarzałą megierę, która nie nosi biustonosza, i do projektu odebrania każdemu Anglikowi jego farmy, jego sklepu i jego domu, to rzuciłbym chemię w diabły i wrócił do ogrodnictwa.

- Chyba rozumiem ten sentyment do zwykłych, prostych ludzi, ale kiedy zacznie się studiować rzeczywistość, tak jak ja...

- To zaczyna się mieć ochotę, żeby wszystko rozwalić i zaproponować coś zupełnie innego. Oczywiście. Tak się dzieje, kiedy przedmiotem badań są ludzie: znajduje się coś, co nie istnieje. Osobiście uważam, że ludzie nie mogą być przedmiotem badań naukowych. Ludzi można tylko poznawać, a to już zupełnie coś innego. Pseudonaukowe badanie ludzi prowadzi do tego, że chce się, aby niższe klasy rządziły państwem i słuchały muzyki klasycznej, a to przecież bzdury. Chce się też pozbawić ich wszystkiego, co nadaje wartości życia, zresztą nie tylko ich, ale każdego, z wyjątkiem grupki skromnisiów i profesorów.

- Bill! - zawołała nagle pani Hardcastle z drugiego końca stołu. Hingest spojrzął na nią i twarz mu nabiegła krwią.

- Czy to prawda, że odjeżdżasz po kolacji?

- Tak, to prawda, droga pani.

- Czy mogłabym się z tobą zabrać?

- Byłbym szczęśliwy - odparł Hingest tonem nie ukrywającym prawdziwych uczuć. - Jeśli tylko jedziemy w tym samym kierunku.

- Jedziesz przez Brenstock?

- Niestety, jadę przez Potter's Lane.

- A niech to diabli! Zupełnie mi nie pasuje. Równie dobrze mogę tu zostać do rana.

W tym czasie Mark zajął się rozmową z sąsiadem z lewej strony i Billa Zawieruchę zobaczył ponownie już po kolacji, w holu, gotowego do wyjazdu.

- Posłuchaj mojej rady, Studdock - zaczął Hingest, otwierając drzwi i zmuszając go w ten sposób, by mu towarzyszył do samochodu - albo przynajmniej dobrze to przemyśl. Nie wierzę w socjologię, ale myślę, że jeśli pozostaniesz w Bractonie, masz przed sobą całkiem przyzwoitą karierę. Przyłączając się do tego towarzystwa, nie uczynisz nic dobrego dla siebie i, na Boga, nie uczynisz nic dobrego dla nikogo!

- Wydaje mi się, że na wszystko zawsze można spojrzeć z dwóch punktów widzenia - odparł Mark.

- Co? Dwa punkty widzenia? A to dopiero! Jest przynajmniej tuzin punktów w widzenia na cokolwiek, dopóki nie znasz właściwej odpowiedzi. A wtedy jest już tylko jeden. Dobranoc.

- Dobrej nocy, Hingest - odrzekł Mark.

Bill Zawierucha wszedł do samochodu, uruchomił starter i odjechał.

Zapowiadała się mroźna noc. Ramię Oriona - choć Mark nie znał tej tak bardzo rzucającej się w oczy konstelacji - połyskiwało ku niemu znad wierzchoków drzew. Z niechęcią pomyślał o powrocie do tego domu. Mógł tam mieć okazję poznania innych ciekawych i wpływowych ludzi, ale równie dobrze mógł znowu poczuć się kręcącym się bez celu outsiderem, łowiącym strzępy rozmów, w których nie dane mu będzie uczestniczyć. Był już jednak bardzo zmęczony. Idąc wzdłuż frontu domu, natrafił na jakieś mniejsze drzwi, przez które, jak uznał, można było wejść do środka, nie przechodząc przez hol czy salon. Zrobił tak i od razu poszedł na górę do swojej sypialni.

* * *

Camilla Denniston odprowadziła Jane do wyjścia - tym razem nie była to furtka w murze, ale główna brama otwierająca się na tę samą drogę jakieś sto metrów dalej. Żółte promienie ze szpary rozrywającej szare niebo na zachodzie załyły na krótko cały krajobraz chłodną jasnością. Jane starała się nie okazać przed Camillą swojego wzburzenia i niepokoju, co przyniosł taki skutek, że

pozbyła się jednego i drugiego, zanim się pożegnały. Pozostała tylko odraza do tego, co w myślach nazywała „tymi wszystkimi bzdurami”. Prawdę mówiąc, nie była do końca przekonana, że to bzdury, ale już postanowiła tak to traktować. Nikt jej w to nie wmiesza, nie da się w to wciągnąć. Trzeba żyć własnym życiem. Zawsze pragnęła zachować niezależność - to była jedna z jej głównych zasad. Nawet wtedy, gdy uświadomiła sobie, że poślubi Marka, jeśli ją o to poprosi, natychmiast pomyślała: „ale nie zrezygnuję ze swojego własnego życia” i odtąd ta myśl prawie zawsze czaiła się w jej świadomości, będąc utajonym źródłem pewnych oporów wobec miłości jako takiej, a więc i rozżalenia na Marka, który wtargnął w jej życie. Teraz wiedziała już bardzo dobrze, ile wyrzeczeń kosztuje kobietę małżeństwo. A Mark zdawał się zupełnie tego nie dostrzegać. Choć nie sformułowała tego w sobie wyraźnie, lęk przed utratą wolności był najgłębszym powodem oporu przed urodzeniem dziecka. Jeszcze nie teraz. Każdy ma swoje życie.

Gdy tylko weszła do domu, zadzwonił telefon.

- Czy to ty, Jane? - usłyszała kobiecy głos. - To ja, Margaret Dimble. Stał się coś strasznego. Opowiem ci, jak przyjadę. Jestem tak wściekła, że aż nie mogę mówić. Czy masz jakieś wolne łóżko? Co? Twojego męża nie ma w domu? Jeśli tobie to nie przeszkadza, to mnie ani trochę. Wysłałam Cecila na noc do kolegium. Na pewno nie będę przeszkadzać? Jestem ci strasznie wdzięczna. Będę za pół godziny.

Rozdział 4

Likwidacja anachronizmów

Pani Dimble, obarczona wieloma paczkami, zjawił a się, gdy Jane kończyła zmieniać pościel na łóżku Marka.

- Jesteś aniołem, że zgodziłaś się mnie przenocować - powiedziała. - Próbowaliśmy znaleźć pokój we wszystkich hotelach Edgestow. To miasto staje się nie do wytrzymania! Wszędzie ta sama odpowiedź! Wszystko zajęte przez pieczeniarzy i markietanki tego okropnego NIBS-u. Tu sekretarki... tam maszynistki... pośrednicy pracy... coś okropnego! Naprawdę gdyby Cecil nie miał pokoju w kolegium, chyba by musiał spać w poczekalni na dworcu. Mam nadzieję, że ktoś mu przewietrzył pościel.

- Ale co się właściwie stało?

- Wyrzucono nas z domu, moja kochana!

- Ależ to niemożliwe! Przecież to niezgodne z prawem!

- To samo powiedział Cecil... Wyobraź sobie, Jane, z samego rana zobaczyliś my przez okno olbrzymią ciężarówkę i grupę jakichś typów o twarzach kryminalistów, z kilofami i szpadlami. Był tam taki dziwny, niski facet w czapce z daszkiem, który oświadczył, że nie będzie się sprzeciwiał, byśmy pozostali w domu... pomyśl tylko, w domu, nie w ogrodzie!.. . do ósmej rano następnego dnia. Nie będzie się sprzeciwiał!

- Ale przecież to na pewno... to musi być jakaś pomyłka!

- Oczywiście Cecil zadzwonił do kwestora. No i oczywiście kwestora akurat nie było. Wydzwaniał do niego przez całe przedpołudnie, a w tym czasie na naszych oczach ścięto ogromny buk w naszym ogrodzie, który tak ci się podobał. Gdybym nie była taka wściekła, to chyba bym tam usiadła i wypłakała sobie oczy. Tak parszywie się czułam. W końcu dodzwonił się do pana Busby'ego, który mu powiedział, że to jakieś nieporozumienie, ale on nie ma na to wpływu, żebyśmy raczej zadzwonili do NIBS-u, do Belbury. Oczywiście okazało się to niemożliwe. Kiedy nadeszła pora lunchu, stwierdziliśmy, że po prostu nie możemy tam dłużej zostać.

- Dlaczego?

- Moja kochana, nie masz nawet pojęcia, co tam się dzieje. Wielkie ciężarówki i traktory jeżdżą przez cały czas tam i z powrotem. I wielki dźwig na czymś takim jak lokomotywa. Nasi dostawcy nie mogli się do nas przebić! Nie mieliśmy mleka do jedenastej. Mięso w ogóle nie dojechało. Zadzwonili po południu, że nie mogą się do nas dostać. Błyski reflektorów, hałas, cała droga niemal zrujnowana. Mnóstwo blaszanych baraków, aż do samego parku. A ci ludzie! Okropni! Nie wiedziałam, że mamy w Anglii takich robotników. To jest straszne, straszne!

Pani Dimble zaczęła się wachlować kapeluszem, który zdjęła z głowy.

- I co zamierzacie robić?

- Bóg jeden wie! Na razie zamknęliśmy dom, a Cecil poszedł do swojego doradcy prawnego, Rumbolda, żeby się dowiedzieć, czy możemy dom opieczetować do czasu, kiedy coś znajdziemy i będziemy mogli pozabierać rzeczy. Mecenas sprawiał wrażenie, jakby sam nie mógł się w tym połapać. Plótł coś, z czego wynikało, że NIBS jest w jakiejś szczególnej sytuacji prawnej. Nic nie wiemy. Coś mi się wydaje, że wkrótce w Edgestow w ogóle nie będzie normalnych domów. W każdym razie na tamtym brzegu rzeki po prostu nie można już mieszkać, nawet gdyby nam na to pozwolono. Co mówisz? Och, to nie do opisania. Wycinają wszystkie topole. Burzą te wszystkie śliczne domki koło kościoła. Spotkałam biedną Ivy... no wiesz, twoją panią Maggs... całą we łzach. Biedacy! Naprawdę, to okropny widok: ludzie płaczący na kupie gruzu, tam, gdzie jeszcze wczoraj

był ich dom. Bo ich też wyrzucono. Ivy i tak dość już w życiu przeszła. Poczułam ulgę, jak stamtąd odeszłam. Ci ludzie są straszni! Trzech takich przyszło do nas od kuchni i poprosiło o ciepłą wodę. Przestraszyli Marthę tak, że nie wiedziała, co się z nią dzieje. Cecil wyszedł, żeby z nimi pomówić. Myślałam, że go pobiją, naprawdę. To było okropne! Potem przyszedł policjant, taki jakiś dziwny, i kazał im się wynosić. Co? Ależ tak, pełno tam takich, co wyglądają na policjantów, ale muszę wyznać, że oni też mi się nie podobają. Łażą i wymachują takimi wielkimi pakami, zupełnie jak w amerykańskim filmie. Wyobraź sobie, że Cecil i ja pomyśleliśmy jednocześnie to samo: to wszystko wygląda tak, jakbyśmy przegrali wojnę. Och, herbata! Dobra z ciebie dziewczyna. Bardzo mi tego brakowało.

- Może pani zostać tak długo, jak pani zechce, pani Dimble - powiedziała Jane. - Mark będzie po prostu spał w kolegium.

- Wybacz mi, kochana, ale w tej chwili jestem tak wściekła, że... że żadnemu członkowi Bractwa College nie powinno się pozwolić nigdzie spać! No, może z wyjątkiem pana Studdocka. Naprawdę, nie powinnam się zachowywać jak miecz Zygfyda... nawiasem mówiąc, byłby to jakiś obrzydliwy, tłusty miecz. Jestem ci bardzo wdzięczna, ale nie będę musiała skorzystać z twojej propozycji. Przenosimy się z Cecilem do St Anne's. No wiesz, i tak musimy tam teraz częściej być.

- Och! - wyrwało się Jane mimo woli, gdyż w tej chwili przypomniawszy sobie o własnych problemach.

- Ojej, ale ze mnie za samolubne prosię! - zawołała Mama Dimble. - Plotę o moich kłopotach, a zupełnie zapomniałam, że tam byłeś i masz mi na pewno dużo do opowiedzenia. Czy widziałas się z Grace? Spodobała ci się?

- Czy Grace to pani Ironwood?

- Tak.

- Rozmawiałam z nią. Trudno powiedzieć, czy mi się spodobała, czy nie. Ale nie chcę o tym wszystkim mówić. Nie potrafię myśleć o niczym, tylko o tym, co was spotkało. To pani jest prawdziwą męczennicą, nie ja.

- Nie, moja kochana - powiedziała pani Dimble. - Nie jestem żadną męczennicą. Jestem tylko rozwścieconą, starą kobietą, którą pieką odciski i której pęka głowa. Zresztą z głową już coraz lepiej. Ostatecznie nie straciliśmy wszystkiego, jak ta biedna Ivy Maggs. Naprawdę, nie ma co rozpaczać tylko dlatego, że musimy się wynieść z *tego* starego domu. Dobrze się nam tam mieszało, ale było w tym trochę melancholii... Nawiasem mówiąc, zastanawiam się, czy ludzie w ogóle lubią być szczęśliwi? Tak, trochę melancholii. Te wielkie pokoje na górze... Kiedyś myśleliśmy, że będą potrzebne, bo chcieliśmy mieć dużo dzieci. No i nie mamy dzieci. Może za bardzo polubiłam to swoje pochlipywanie za nimi, kiedy Cecila nie było w domu. To rozżalało się nad sobą. Może lepiej mi będzie gdzie indziej. Mogłabym skończyć jak ta okropna baba ze sztuki Ibsena, która wciąż bawiła się lalkami. Z Cecilem to gorsza sprawa. On tak uwielbia mieć wszystkich swoich studentów wokół siebie. Jane, ziewnęłaś już po raz trzeci. Oczy ci się kleją, a ja zagadam cię na śmierć, tak to bywa, kiedy się jest mężatką od trzydziestu lat. Mężowie są stworzeni do tego, żeby do nich mówić. To im pomaga skoncentrować się na tym, co właśnie czytają. O, znowu ziewnęłaś!

W końcu położyły się do łóżek i Jane doszła do wniosku, że dzielenie pokoju z Mamą Dimble jest trochę krępujące: przed zaśnięciem zmówiła pacierz. Jane nie wiedziała, jak się zachować. Trudno jej było rozmawiać znowu normalnie z panią Dimble, gdy ta wstała z klęczek.

* * *

- Nie śpisz?... - rozległ się w środku nocy cichy głos pani Dimble.
- Nie - odpowiedziała Jane. - Przepraszam. Obudziłam panią? Krzyczałam?
- Krzyczałaś. O kimś, kogo uderzono w głowę.

- Widziałam, jak kogoś mordują... jakiegoś człowieka, który jechał dużym samochodem wiejską drogą. Dojechał do rozdroża, skręcił w prawo, wzdłuż kilku drzew, i tam ktoś stał pośrodku drogi. Machał latarką, żeby go zatrzymać. Nie słyszałam, co mówił, było za daleko. Musieli go jakoś przekonać, żeby wysiadł z samochodu. Było ich kilku, rozmawiał z jednym z nich. Światło padło na jego twarz. To nie byłten starzec, wie pani, z tamtego snu. Nie miałbrody, tylko wąsy. I takie szybkie ruchy... tak się poruszał, jakby... jakby się nikogo nie bał. Nie spodobało mu się, co tamten powiedział, i nagle wymierzył mu silny cios, tak że tamten się przewrócił. Wtedy jakiś inny mężczyzna zamierzył się na niego z tyłu... w głowę... ale ten stary był szybki, odwrócił się i zdołał uniknąć ciosu. A potem... to było straszne, ale i wspaniałe. Rzuciło się na niego aż trzech, a on dzielnie walczył. Czytałam o czymś takim, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak to naprawdę wygląda i co się wtedy czuje. Oczywiście w końcu powalili go na ziemię i... tłukli go czymś po głowie. Pochylili się, żeby sprawdzić, że ma już dość. Zabili go. Światło z latarni było jakieś dziwne... to były jakby długie promienie... jakby takie pręty świetlne... oświetlały całe miejsce. Nie, dziękuję, nic mi nie jest. To było straszne, ale teraz już się nie boję... a przynajmniej nie tak, jak wtedy. Bardziej mi po prostu żal tego starca.

- Myślisz, że znowu zaśniesz?
- O, chyba tak! A co z pani głową, pani Dimble? Już lepiej?
- Już mnie prawie nie boli. Dobranoc, Jane.

* * *

„To musi być ten zwariowany pastor, o którym wspominał Bill Zawierucha”, pomyślał Mark. Zebranie komitetu miało się rozpocząć dopiero o 10.30, więc mimo chłodnej i mglistej pogody spacerował po ogrodzie w towarzystwie wielebnego Straika. Od pierwszego momentu, gdy tylko przyczepił się do niego ten mężczyzna w wyświechtanym garniturze, ciężkich butach i wytartej koloratce, jego posępna, wychudła, tragiczna twarz, źle ogolona i poznaczona bliznami, a także szorstka bezpośredniość zachowania budziły w Marku kontrowersyjne uczucia. Kogoś takiego nie spodziewał się spotkać w Narodowym Instytucie Badań Skoordynowanych.

- Niech pan nie myśli - mówił Straik - że pozwalałam sobie na jakieś mrzonki o wcieleniu w życie naszego programu bez użycia przemocy. Tak, spotkamy się z oporem. Będą z bólu gryźć języki, ale od swych czynów się nie odwrócą. My jednak nie ustąpimy. Tak, będzie opór i będą zamieszki, lecz stawimy im czoło z taką stanowczością, że ci oszczercy oskarżą nas o wywoływanie zamętu. Niech tam mówią. W pewnym sensie tak jest. Nasza misja nie polega na dalszym utrzymywaniu całej tej instytucji zorganizowanego grzechu, którą się nazywa społeczeństwem. Dla niej mamy tylko jedno przesłanie: czeka was czarna rozpacz.

- To właśnie miałem na myśli - zauważył Mark - kiedy powiedziałem, że nasze punkty widzenia nie dadzą się pogodzić, przynajmniej w dalszej perspektywie. Moim celem jest właśnie zachowanie społeczeństwa poprzez skrupulatne planowanie jego rozwoju. Nie sądzę, by był, lub by w ogóle mógł być, inny cel, inna perspektywa. Dla pana cały ten problem wygląda inaczej, bo pan jest zapatrzonony w coś lepszego niż społeczeństwo ludzkie, w coś, co czeka nas w innym świecie.

- Każdą myślą, każdym drgnieniem serca i każdą kroplą swej krwi - odparł Straik - odrzucam tę przeklętą doktrynę. To jest właśnie ów chytry wybieg, który służy Światu, czyli organizacji i

ciału Śmierci, do zmarginalizowania i okastrowania nauczania Jezusa, do zamienienia w urząd kapłański i mglisty mistycyzm Jego wyraźnego żądania, by tu i teraz odbyć sąd i zaprowadzić sprawiedliwość. Królestwo Boże ma być zbudowane tu, na tym świecie. I tak się stanie. Na dźwięk imienia Jezus zegnije się każde kolano. I w to właśnie Jmię odzegnuję się od wszystkich form zorganizowanej religii, jakie Zaistniały na tym świecie.

Mark, który potrafił z całym spokojem prowadzić wykłady dla młodych kobiet na temat aborcji i różnych form perwersji, na dźwięk imienia Jezus poczuł się tak zażenowany, że policzki mu poróżnowiały, a złość na siebie samego i na Straika sprawiła, że zarumienił się jeszcze bardziej. Tego rodzaju rozmów po prostu nie potrafił znieść i jeszcze nigdy od czasów lekcji religii w szkole nie poczuł się tak zmieszany. Wymamrotał pod nosem, że nie zna się na teologii.

- Teologia! - prychnął Straik z głęboką pogardą. - Nie mówię o żadnej teologii, młody człowieku, mówię o Panu Jezusie! Teologia to puste słowa, to mydlenie oczu, to zasłona dymna, to gra dla bogatych. Nie na salach wykładowych spotkałem Jezusa! Spotkałem go w kopalniach węgla i przy trumnie mojej córki. Jeśli oni wszyscy myślą, że teologia jest rodzajem waty, która ich ochroni w ów wielki i straszliwy dzień sądu, to gorzko się rozczarują. I niech pan sobie zapamięta: to właśnie ma się stać. Nadchodzi Królestwo Boże. Tu, w tym świecie, w tym kraju. Nauki ścisłe to tylko narzędzie. Niezawodne narzędzie, jak wszyscy w NIBS-ie wiemy. A dlaczego jest niezawodne?

- Ponieważ nauki ścisłe opierają się na doświadczeniu.

- Są niezawodnym narzędziem - wrzasnął Straik - bo są narzędziem w Jego rękach! Są narzędziem sądu i uzdrowienia! A tego właśnie nie znajduję w żadnym istniejącym Kościele. Oni wszyscy są ślepi. Na oczach mają brudne szmaty humanizmu, kultury, humanitaryzmu i liberalizmu, a na barkach ohydny ciężar jeszcze większych grzechów. Właśnie dlatego działam samotnie... ja, człowiek biedny, słaby i niegodny... jedyny prorok, jaki im się ostał. Bo poznałem, że Pan jest blisko, że nadchodzi w chwale swojej mocy. I dlatego mogę się przyłączyć do komunistów i materialistów, ba, do wszystkich, którzy wiedzą, że Pan jest blisko i że świat należy przygotować na Jego przyjście. Nawet najsłabszych z nich cechuje wprost dramatyczne poczucie życia i prawdy, totalne zaangażowanie, gotowość poświęcenia wszystkich ludzkich wartości. Tego nie odnalazłem w tych wszystkich wywołujących mdłości zawodzeniach żadnej z istniejących zorganizowanych religii.

- A więc dla pana - powiedział Mark - nie istnieją żadne ograniczenia w bezpośredniej współpracy z programem NIBS-u?

- Odrzuć pan całe to pojęcie współpracy! - zagrzemiał Straik. - Czy glina współpracuje z garncarzem? Czy Cyrus współpracował z Panem? Oni wszyscy będą użyci. Ja będę użyty. Staniemy się narzędziami. I tu pojawia się problem, który dotyczy pana, młody człowieku. Nie ma pan wyboru. Nie można odwrócić się tyłem, kiedy już się przyłożyło dłonie do pługa. Z NIBS-u nikt nie odchodzi. Ci, którzy spróbują, zginą, przepadną na pustkowiach. A więc, czy chcesz być tylko jednym z tych narzędzi, które Pan odrzuci, gdy staną mu się już bezużyteczne, kimś, kto sprawując sąd nad innymi, sam będzie sądzony, czy też pragniesz znaleźć się pośród tych, którzy obejmą dziedzictwo? Albowiem wszystko to jest prawdą. Tak, powiadam ci, oto święci odziedziczą Ziemię, tu, w Anglii. A stanie się to, być może, w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy. Tylko święci i nikt więcej. Czy nie wiesz, że będziemy sądzić anioły?

Niespodziewanie ściszył głos i dodał:

- Prawdziwe zmartwychwstanie już się rozpoczęło. Prawdziwe życie wieczne. Tu, na tym świecie. Sam pan to zobaczy.

- O, już prawie dwadzieścia po dziesiątej - powiedział Mark. - Chyba powinniśmy wrócić na

posiedzenie komitetu.

Straik zawrócił wraz z nim w milczeniu. Częściowo po to, aby zapobiec dalszej rozmowie na ten sam temat, a częściowo dlatego, że naprawdę chciał poznać odpowiedź, Mark powiedział:

- Wie pan, przykra sprawa, zgubiłem portfel. Nie było w nim wiele, może ze trzy funty, ale były listy i różne dokumenty, to dla mnie kłopot. Sądzi pan, że powinienem komuś o tym powiedzieć?

- Niech pan powie kierownikowi klubu - odpowiedział Straik.

* * *

Posiedzeniu, które trwało już od dwu godzin, przewodniczył wicedyrektor instytutu. Prowadził zebranie w sposób rozwlekły i zagmatwany i dla Marka szybko stał się oczywiste, iż prawdziwe kierowanie NIBS-em jest dyskutowane w innym gronie. Nie było to dla niego zaskoczeniem; miał już pewne podstawy, by żywić nadzieję, że on sam znajdzie się wkrótce w owym wewnętrznym kręgu wtajemniczonych, odpowiadającym w Belbury temu, co w Bractonie nazywano Postępową Elitą. Tematem posiedzenia były głównie szczegóły prac już rozpoczętych w Edgestow. Instytutowi najwyraźniej udało się uzyskać prawo do zburzenia małego normańskiego kościoła.

Oczywiście zwykle obiekcje zostaną przedyskutowane - dodał Wither.

Mark, którego architektura w ogóle nie interesowała i który nie znał miasta po drugiej stronie rzeki Wynd tak dobrze, jak jego żona, pozwolił swoim myślom błądzić.

Dopiero na samym końcu spotkania Wither poruszył bardziej sensacyjny temat. Wyraził przypuszczenie, że większość zebranych już słyszała („Dlaczego wszyscy przewodniczący zebrań muszą zaczynać w ten sposób?", pomyślał Mark) bardzo przygnębiającą wiadomość, którą ma jednak obowiązek obecnie zakomunikować wszystkim w półoficjalnej formie. Ma na myśli mord popełniony na osobie Williama Hingesta. Z niezwykle mętnych i pełnych aluzji wywodów Withera Mark zdołał wywnioskować, że Bill Zawierucha został znaleziony przy Potter's Lane obok swego samochodu, z głową rozbitą jakimś tępym przedmiotem. Znaleziono go o czwartej nad ranem i nie żył już wówczas od kilku godzin. Wither wyraził nadzieję, iż dla komitetu będzie pewną smutną satysfakcją informacja, że policja NIBS-u była na miejscu zbrodni już przed piątą oraz że ani miejscowe władze, ani Scotland Yard nie wyraziły najmniejszego sprzeciwu wobec propozycji pełnej z nią współpracy. Gdyby okoliczności na to pozwalały, ciągnął Wither, powitałby z uznaniem każdy gest zmierzający do publicznego wyrażenia wdzięczności, jaką niewątpliwie wszyscy czują wobec pani Hardcastle, i do pogratulowania jej sprawnego współdziałania kierowanych przez nią sił porządkowych z policją państwową. Jest to bez wątpienia pozytywny element w całej tej ponurej sprawie, stanowiący, jak mu się wydaje, dobrą prognozę na przyszłość. Po tych słowach rozbrzmiały umiarkowane oklaski. Potem Wither powiedział kilka słów o zamordowanym. Stwierdził, że wszyscy bardzo ubolewają nad tym, że pan Hingest postanowił wycofać się z NIBS-u, jednocześnie w pełni doceniając motywy, które nim kierowały. Wyraził przekonanie, że to formalne rozejście się w żadnej mierze nie zakłóciło serdecznych stosunków łączących zmarłego i prawie wszystkich, a może nawet wszystkich bez wyjątku jego kolegów. Następnie wygłosił pośmiertną laudację, a trzeba przyznać, że ten rodzaj literacki najwyraźniej mu odpowiadał, więc przemawiał dość długo. Zakończył wezwaniem do uczczenia pamięci Williama Hingesta minutą ciszy.

Uczyniono to i podczas gdy sekundy upływały niemiłosiernie wolno, słychać było tylko dziwne trzaski i westchnienia, a spod masek zeszywniałych twarzy o zaciśniętych ustach wypełzały nieśmiało myśli nie mające nic wspólnego z czią pamięci zmarłego - podobnie jak ptaki

i myszy powracają bojaźliwie na leśną polanę po odejściu wycieczkowiczów - a każdy krzepił się w duchu pewnością, że, dzięki Bogu, on jeszcze żyje i nie musi myśleć o śmierci.

A potem wybuchł gwar, zrobił się ruch i posiedzenie komitetu zostało przerwane.

* * *

Jane szybko doszła do przekonania, że w towarzystwie Mamy Dimble cały proces wstawania i wykonywania „porannych czynności” sprawia jej o wiele większą przyjemność niż zazwyczaj. Mark zwykle jej w tym pomagał, ale jego pomoc była jedną z najczęstszych przyczyn kłótni między nimi, bo uważał - a Jane czuła to nawet wówczas, gdy nie wyraził tego słowami - że „można się obyć bez tego czy owego”, że Jane robi mnóstwo zupełnie niepotrzebnych rzeczy i że mężczyźni potrafiliby prowadzić dom bez całej tej babskiej krzątaniny i zamieszania. Natomiast z panią Dimble doskonale się rozumiały. Był jasny, słoneczny poranek i kiedy zasiadły w kuchni do śniadania, poczuła się zupełnie dobrze. W nocy wypracowała sobie wygodną teorię, według której sam fakt rozmowy z panią Ironwood i „wyrzucenia z siebie tego wszystkiego” może zaowocować przerwaniem jej koszmarnych snów. Będzie to miała za sobą, a przed sobą ekscytujące perspektywy związane z nową pracą Marka. Już zaczęła sobie wyobrażać szczegóły.

Pani Dimble bardzo chciała się dowiedzieć, jak przebiegła wizyta Jane w St Anne's i kiedy wybiera się tam po raz drugi. Jane odpowiedziała wymijająco na pierwsze pytanie, a pani Dimble była zbyt dobrze wychowana, by naciskać. Jeśli chodzi o drugie pytanie, to Jane ograniczyła się do stwierdzenia, że chyba nie będzie już „zawracać głowy” pani Ironwood swoimi snami. Dodała, że „była głupia”, ale czuje, że teraz już wszystko będzie dobrze. Potem zerknęła na zegar i wyraziła zdziwienie, że pani Maggs jeszcze nie ma.

- Obawiam się, moja kochana, że Ivy Maggs już straciłaś - powiedziała pani Dimble. - Nie mówiłam ci wczoraj, że zniszczyli jej dom? Chyba to oczywiste, że już do ciebie nie przyjdzie. Dla niej w Edgestow już nie ma miejsca.

- A niech to wszyscy diabli! - zawołała Jane, a potem dodała, bez widocznego zainteresowania odpowiedzią: - Czy pani wie, co ona zamierza zrobić?

- Pojechała do St Anne's.

- Ma tam znajomych?

- Będzie mieszkać we Dworze, tak jak Cecil i ja.

- To znaczy, że dostała tam pracę?

- No... tak. Można to tak ująć.

Pani Dimble wyszła około jedenastej. Wybierała się do St Anne's, ale najpierw miała się spotkać na lunchu z mężem w kolegium Northumberland. Jane poszła z nią do miasteczka, żeby zrobić zakupy. Rozstały się na początku Market Street. W chwilę później Jane spotkała Curry'ego.

- Zna już pani nowinę, pani Studdock? - zapytał.

Curry zwykle zachowywał się tak, jakby miał coś ważnego do powiedzenia, ale tym razem ton jego głosu sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście zaszło coś niezwykłego.

- Nie. Co się stało?

Uważała Curry'ego za nadętego głupca i nie potrafiła zrozumieć, jak Mark może być pod jego wrażeniem. Ale gdy tylko Curry zaczął mówić, na jej twarzy odmalowało się zdumienie i zaskoczenie, o jakie mogło mu chodzić. I tym razem nie było to udawane. Powiedział jej, że pan Hingest został zamordowany, w nocy albo wczesnym rankiem. Jego ciało o znaleziono na Potter's Lane; leżało z rozbitą głową przy jego samochodzie. Jechał z Belbury do Edgestow. Curry był przed chwilą na posterunku policji i wracał pospiesznie do kolegium, żeby porozmawiać o tym z

dziekanem. Widać było, że to morderstwo stał się już jego własnością. „Sprawa” była - w jakimś niezbyt określonym sensie - „w jego rękach” i czuł się za nią odpowiedzialny. W innych okolicznościach Jane pomyślałaby, że to dość dziwne. Pozbyła się jego towarzystwa pod pierwszym lepszym pretekstem i wstąpiła do „Blackie's” na filiżankę kawy. Czowała, że musi usiąść.

Sama śmierć Hingesta niewiele dla niej znaczyła. Spotkała go tylko raz i zgodziła się z opinią Marka, że to nieznośny stary snob. Lecz teraz pewność, że we śnie była świadkiem rzeczywistego morderstwa, zniszczyła ową nadzieję, jaką się pocieszała dzisiejszego ranka. Z porażającą jasnością zrozumiała, że cała ta afera z jej koszmarnymi snami nie tylko się nie skończyła, ale dopiero rozpoczęła. Koniec z marzeniami o normalnym życiu. To straszne, przecież zwariuje, jeśli nikt jej nie pomoże. Czy nie powinna zwrócić się do pani Ironwood? Nie, to by był dobrowolnym zanurzeniem się coraz głębiej w ciemność. Ten cały Dwór w St Anne's, ci ludzie... nie, nie może pozwolić, aby ją w coś wciągnięto. To nieuczciwe. Chce tylko, żeby ją zostawiono w spokoju. J w ogóle to wszystko jest absurdalne! Według autorytetów, którym dotychczas wierzyła, takie rzeczy w ogóle powinny się zdarzać!

* * *

Cosser - ów piegowaty facet z małym, czarnym wąsikiem - podszedł do Marka, gdy ten wychodził z posiedzenia komitetu.

- Mamy robotę, ty i ja - powiedział. - Musimy sporządzić raport o Cure Hardy.

Mark z ulgą przyjął konkretne zadanie, ale wciąż czuł się trochę urażony wczorajszą rozmową z Cosserem.

- Czy to oznacza, że jednak mam być w wydziale Steele'a?

- Zgadza się - odparł Cosser.

- Pytam, bo ani on, ani ty nie okazywaliście większego entuzjazmu. Nie chcę żadnych nieporozumień. Ja się nigdzie nie wpycham na siłę. Bo, widzisz, ja w ogóle nie muszę pracować w NIBS-ie, jeśli miałyby to tak wyglądać.

- Nie rozmawiajmy na ten temat tu, w holu - odpowiedział Cosser. - Chodźmy na górę.

Mark zauważył Withera wolno przemierzającego hol w ich kierunku.

- Może powinienem z nim pomówić na temat tej pracy? - zapytał Mark.

Ale wicedyrektor, zbliżywszy się do nich na jakieś trzy metry, nagle skręcił w inną stronę, mamrocąc coś pod nosem, najwidoczniej tak pogrążony w myślach, że Mark zrezygnował z próby nawiązania z nim rozmowy. Cosser, chociaż nic nie powiedział, najwidoczniej też tak uważał i poszli razem na trzecie piętro, do biura wydziału Steele'a.

- Chodzi o tę wioskę, Cure Hardy - zaczął Cosser, gdy usiedli. - Kiedy zabiorą się do roboty, cały teren wokół Lasu Bragdon przestanie być jałowym bagnem. Po jakiego diabła tam się pchamy, to już inna sprawa. Tak czy owak, ostatni projekt polega na zmianie biegu rzeki Wynd przez zablokowanie starego kanału przecinającego Edgestow. Popatrz. Tu jest Shillingbridge, dziesięć mil na północ od miasta. Tu ma być zmiana biegu rzeki, która popłynie sztucznym kanałem... o tutaj, na wschód, gdzie ta niebieska linia - a dalej już starym korytem.

Uniwersytet nigdy się na to nie zgodzi - zauważył Mark. Edgestow bez rzeki? To nie przejdzie.

- Mamy ich w garści - odrzekł Cosser. - O to nie musisz się martwić. W każdym razie to nie nasza sprawa. Dla nas jest istotne, że ta nowa Wynd musi popłynąć tu, przez Cure Hardy, tą wąską doliną. Co? Aha, znasz te okolice, tak? No to będzie jeszcze łatwiej. Ja ich nie znam. Plan polega na zbudowaniu tamy u południowego wylotu doliny i stworzeniu wielkiego zbiornika wody. Edgestow będzie potrzebowało nowego źródła wody. Zwłaszcza teraz, kiedy stanie się drugim

miastem w kraju.

- Ale co się stanie z Cure Hardy?

- Cure Hardy czeka wspaniała przyszłość. Zbudujemy nową, modelową wioskę... ma się nazywać Jules Hardy albo Wither Hardy... cztery mile dalej. O, tutaj, przy linii kolejowej.

- Ostrzegam, będzie piekielna awantura na cały kraj. Cure Hardy słynie z malowniczych widoków. Są tam szesnastowieczne przytułki, normański kościół, wiele innych zabytków.

- Zgadza się. Tu właśnie zaczyna się nasza rola. Musimy sporządzić naukowy raport na temat Cure Hardy. Przyjrzymy się temu na miejscu jutro, ale już dzisiaj możemy napisać większą część raportu. To nie powinno być trudne. Jeśli ta miejscowość słynie z malowniczości, to trzeba dowieść, że jest niekorzystna dla zdrowia. Trzeba też zająć się jej ludnością. Chyba nie będzie to dla ciebie trudne, żeby wykazać, że to przeważnie element niepożądany: drobni rentierzy i robotnicy rolni.

- Zgadzam się, że drobni rentierzy to element niepożądany, ale robotnicy rolni to już trochę inna sprawa.

- Instytut ocenia ich krytycznie. W planowanym społeczeństwie to element krnąbrny i z natury zacofany. Nie przepadamy za angielskim rolnictwem. Więc sam widzisz: musimy tylko zweryfikować parę faktów, a raport będziemy mieć z głowy.

Mark milczał przez chwilę, a potem rzekł:

- Tak, to nie będzie trudne. Ale zanim zabiorę się do pracy, wolałbym wiedzieć coś więcej na temat mojej pozycji. Czy nie powinienem porozmawiać ze Steele'em? Nie zamierzam zabierać się do pracy w tym wydziale, jeśli on mnie nie chce.

- Ja bym tego nie robił.

- Dlaczego?

- No cóż, przede wszystkim Steele nie jest w stanie ci zaszkodzić, jeśli popiera cię WD. Poza tym Steele może być trochę groźny. Jeśli zabierzesz się spokojnie do roboty, może się do ciebie w końcu - przekona, ale jeśli zechcesz teraz porozmawiać z nim na temat pracy, może się to źle skończyć. I jest jeszcze coś, o czym powinienes wiedzieć. - Zamilkł, postukał się znacząco w nos i powiedział: - Między nami mówiąc, nie sądzę, aby obecną sytuację na tym wydziale można było uznać za trwałą.

Doświadczenie, jakiego Mark nabył w Bractonie, pozwoliło mu natychmiast zrozumieć tę aluzję. Cosser miał nadzieję, że Steele nie zagrzeje długo miejsca na stanowisku kierownika wydziału. Mark uznał, że panuje nad całą sytuacją. Steele jest niebezpieczny, dopóki rządzi wydziałem, ale może nim długo nie porządzić.

- Odniosłem wczoraj wrażenie - powiedział - że ty i Steele dość dobrze się ze sobą zgadzacie.

- Tu, w instytucie - odrzekł Cosser - jest bardzo ważne, żeby się z nikim nie kłócić. Ja w ogóle nie znoszę kłótni. Mogę pracować z każdym. Ważne, żeby robota dobrze szła.

- Naturalnie. A propos, jeśli mamy być jutro w Cure Hardy, to chyba mógłbym pojechać do Edgestow i przespać się w domu?

Odpowiedź była dla Marka bardzo ważna, bo mógłby z niej wywnioskować, czy Cosser jest jego szefem. Gdyby odpowiedział „Nie sądzę”, Mark wiedziałby przynajmniej, na czym stoi. Gdyby powiedział, że Mark jest tutaj potrzebny, byłoby jeszcze lepiej. Mógłby też powiedzieć, że musi to skonsultować z WD, co również pozwoliłoby Markowi poczuć się pewniej. Ale Cosser zareagował na to tylko krótkim: „Och!”, pozostawiając go w całkowitej niepewności, czy to znaczy, że nikt tutaj nie musi tłumaczyć się ze swojej nieobecności, czy też że Mark nie jest jeszcze pełnoprawnym członkiem instytutu i wobec tego jego wyjazd nie wiązałby się z żadnymi konsekwencjami.

Zabrali się do pracy nad raportem. Pracowali nad nim przez resztę dnia, więc poszli na kolację, nie przebierając się w garnitury. Mark poczuł się o wiele swobodniej, a jedzenie też było znakomite. Choć tych ludzi dopiero co poznał już po pięciu minutach rozmawiał ze wszystkimi tak, jakby ich znał dobrze. Uczył się szybko.

- Ach, jak tu pięknie! - powiedział sobie następnego ranka, kiedy w Duke's Eaton samochód zjechał z szosy, tocząc się z wyboistej wiejskiej drogi w dolinę, w której leżała wioska Cure Hardy. Mark nie był z zasady zbyt czuły na piękno, ale Jane i miłość, jaką do niej czuł, pobudziły już w nim pewną wrażliwość. Być może miało też na to wpływ zimowe słońce o poranku, bo nikt mu przedtem nie mówił, że trzeba się czymś takim zachwycać, więc teraz działało to na niego bezpośrednio, bez estetycznych pouczeń. Ziemia i niebo wyglądały, jakby je niedawno obmyto, brązowe pola - jakby nadawały się do zjedzenia, a te porośnięte trawą podkreślały łagodne krzywizny niskich wzgórz jak krótko obcięta grzywa konia podkreśla łuk jego szyi. Niebo wydawało się jakby bardziej odległe niż zazwyczaj, ale i czystsze, tak że długie smugi chmur - o barwie ciemnego łupku na tle bladego błękitu - miały krawędzie tak ostre, jakby je wycięto z kartonu. Każdy zagajnik był niemal czarny i najeżony jak szczotka do włosów, a kiedy samochód zatrzymał się w samym Cure Hardy, ciszę, jaka nastąpiła po wyłączeniu silnika, wypełniło krakanie gawronów, zdających się budzić całą wioskę.

- Ale te cholerne ptaki hałasują! - powiedział Cosser i od razu zabrał się do roboty. - Masz mapę? No więc...

Obeszli wioskę w ciągu dwóch godzin, wynajdując wszystkie przejawy marnotrawstwa i wszelkie anachronizmy, które należało zniszczyć. Zobaczyli krnąbrnego i zacofanego robotnika rolnego i wysłuchali jego opinii o pogodzie. Spotkali rozrzutnie utrzymywanego nędzarza, wlokącego się przez podwórze przytulku, aby napęlić zupą garnek, i starszą rentierkę (co gorsza, miała starego, tłustego psa) rozmawiającą z listonoszem. Mark czuł się tak, jakby był na wakacjach, bo tylko w czasie wakacji zdarzało mu się wędrować po angielskiej wsi. Dlatego sprawiało mu to teraz taką przyjemność. Nie uszło jego uwadze, że twarz robotnika była trochę bardziej interesująca niż twarz Cossera, a jego głos o wiele miłszy. Podobieństwo starej rentierki do ciotki Gilly („Kiedy ja ją ostatni raz widziałem? Boże, jakie to stare czasy!”) pozwoliło mu zrozumieć, że i do takich ludzi można poczuć sympatię. Wszystko to nie wpłynęło jednak na odrzucenie wcześniej przyjętych socjologicznych założeń. I nie wpłynęłoby nawet wówczas, gdyby w ogóle nie poznał ludzi z Belbury i nie miał żadnych ambicji, ponieważ jego wykształcenie kazało mu uważać to, co czytał i pisał, za bardziej realne od tego, co widział. Realne były dane statystyczne o robotnikach rolnych, natomiast każdy prawdziwy kopacz rowów, oracz czy syn farmera byli tylko cieniami ludzi. Choć sam nigdy tego nie zauważył, w swojej pracy miał wielkie opory nawet przed używaniem takich słów, jak „mężczyzna” czy „kobieta”. Wolał pisać o „grupach zawodowych”, o „elementach” i o „ludności”. Na swój własny sposób Mark wierzył silnie, niczym mistyk, że rzeczy, których się nie widzi, są bardziej realne od tych, które nas otaczają.

A jednak ta wioska bardzo mu się spodobała. Kiedy o pierwszej namówił Cossera, żeby wpadli do pubu „Dwa Dzwony”, nawet to powiedział. Zabrali ze sobą kanapki, ale Mark miał ochotę na kufel piwa. W pubie był bardzo ciepło i ciemno, bo jedyne okienko było małe. Dwóch robotników rolnych (bez wątplenia krnąbrnych i zacofanych) siedziało nad glinianymi kuflami, przeżuując bardzo grube kanapki, a trzeci stał przy ladzie, gawędząc z właścicielem.

- Dzięki, ale dla mnie piwa nie zamawiaj - powiedział Cosser. - Nie możemy tutaj za długo siedzieć. Co mówiłeś?

- Mówiłem, że w takie pogodne przedpołudnie jest w tym miejscu jakiś urok... pomimo jego wszystkich oczywistych absurdalności.

- Tak, pogoda rzeczywiście jest piękna. Trochę słońca i każdy od razu lepiej się czuje.

- Miałem na myśli to miejsce.

- To miejsce? - Cosser rozejrzał się po wnętrzu gospody. - Ja bym raczej powiedział, że właśnie takich miejsc powinniśmy jak najszybciej się pozbyć. Ciemno jak w grobie, brak wentylacji. Ja osobiście nie jestem wielkim zwolennikiem picia alkoholu... czytałem raport Millera... ale jeśli już ludzie muszą mieć jakieś środki pobudzające, to wolałbym, żeby je podawano w bardziej higieniczny sposób.

- Nie znam się na tym, ale nie sądzę, żeby ten środek pobudzający - Mark spojrzał na swoje piwo - był tu najważniejszy.

Cała ta scena przypomniła mu dawne czasy - picie i długie rozmowy, dowcipy i gorące spory - kiedy był w liceum. Wtedy jakoś łatwiej nawiązywało się przyjaźnie. Zaczął się zastanawiać, co się z nimi wszystkimi stało - z Careym, z Wadsdenem, z Dennistonem... z tym Dennistonem, który o mało co nie został członkiem kolegium zamiast niego.

- Ja też się nie znam - powiedział Cosser. - Żywnienie to nie moja specjalność. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć na ten temat, zapytaj Stocka.

- Prawdę mówiąc, nie miałem na myśli tego pubu, ale całą wioskę. Oczywiście, zgadzam się: nie ma racji bytu. Ale ma swoją przyjemną stronę. Musimy bardzo uważać, czy to, co zamierzamy zbudować w miejsce tej wioski, będzie w stanie przewyższyć ją pod każdym względem - nie tylko pod względem efektywności.

- Och, chodzi ci o architekturę to wszystko! - odparł Cosser. - No cóż, mnie to po prostu nie bierze. To są raczej sprawy dla kogoś takiego jak Wither. No co, kończysz już?

Mark zdał sobie nagle sprawę z tego, jakim strasznym nudziarzem jest ten człowiek i jak bardzo jest ograniczony. I w tym samym momencie poczuł że ma już serdecznie dość tego całego NIBS-u. Oczywiście natychmiast pouczył się w duchu, że nie należy od razu spodziewać się samych plusów, na pewno z czasem pojawią się ciekawsze tematy i pozna ciekawszych ludzi. W każdym razie nie spalił jeszcze za sobą mostów. Może rzuci to wszystko i wróci do Bractonu za dzień lub dwa, ale jeszcze nie teraz. Nie od razu. Trzeba wzięćna wstrzymanie i zobaczyć, jak się sprawy potoczą.

W drodze powrotnej Cosser podrzucił go w pobliże stacji Edgestow. Kiedy Mark szedł do domu, zaczął się zastanawiać, co powie Jane o Belbury. Byłby niesprawiedliwe sądzić, że świadomie obmyślał kłamstwa. Gdy tylko wyobraził sobie siebie wchodzącego do mieszkania i pytającą minę Jane, prawie bez udziału swojej woli usłyszał, jak jej opowiada konspiracyjnym tonem o budzących wielkie nadzieje perspektywach pracy w Belbury. A ta wyimaginowana przemowa stopniowo wyparła z jego świadomości prawdziwe odczucia, których doznał. Po prostu własne lęki i wątpliwości wzmocniły w nim naturalne pragnienie, by wypaść dobrze w oczach żony. Prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, kiedy postanowił, że nie wspomni jej o Cure Hardy. Jane zawsze rozplýwała się nad starymi budowlami i innymi takimi głupstwami. W rezultacie, kiedy Jane usłyszała otwieranie drzwi i odwróciła się, by spojrzeć na Marka, ujrzała człowieka uśmiechniętego i pełnego animuszu. Tak, to już prawie pewne, że dostał tę pracę. Wysokość uposażenia nie została jeszcze ustalona, będzie o tym mowa jutro. Ale już zdążył poznać naprawdę wybitnych ludzi. Liczą się przede wszystkim Wither i pani Hardcastle.

- Muszę ci koniecznie opowiedzieć o tej kobiecie - dodał. - Jest niesamowita.

Jane musiała o wiele szybciej od niego postanowić, co mu powiedzieć o swoich sprawach. I postanowiła nie mówić mu nic o swoich snach i o wizycie w St Anne's. Mężczyźni nie znoszą kobiet, z którymi „coś się dzieje”, zwłaszcza jeśli oznacza to coś dziwnego i niezwykłego. Nie sprawiło jej to trudności, bo Mark był tak zajęty sobą, że nie zadawał jej żadnych pytań. To, co

mówił, nie bardzo ją przekonywało. Za dużo w tym było ogólników, za mało szczegółów. Już dość wcześnie, na początku rozmowy zapytała ostrym, pełnym niepokoju tonem (nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Mark nie lubi takiego tonu):

- Mark, chyba nie zamierzasz rezygnować z członkostwa w Bracton College?
- Ależ nie, skądże znowu - odrzekł i opowiadał dalej.

Nie słuchała go zbyt uważnie. Wiedziała, że Mark ma często trochę zbyt wygórowane ambicje, a coś w jego twarzy mówiło jej, że w czasie tego wyjazdu pił o wiele więcej niż zwykle. I tak przez cały wieczór puszył się i chwalił, a ona zadawała pytania, śmiała się i udawała zainteresowanie. Oboje byli młodzi, a jeśli nawet nie bardzo się kochali, każde wciąż chciało być podziwiane.

* * *

Tego wieczoru członkowie kolegium bractonńskiego zebrali się w salonie wypoczynkowym przy winie i deserze. Wojna przyzwyczała ich do tego, by nie przebierać się do kolacji, więc ich sportowe kurtki i swetry trochę razily na tle starych boazerii, świec i srebrnej zastawy z różnych epok. Feverstone i Curry siedzieli obok siebie. Od prawie trzech stuleci salon wypoczynkowy w Bractonie był jednym z najspokojniejszych i najprzyjemniejszych miejsc w Anglii. Mieścił się na parterze Lady Alice, pod Salą Tronową, a okna po wschodniej stronie wychodziły na niewielki taras, na którym w letnie wieczory podawano deser. Widać było stąd rzekę i Las Bragdon. O tej porze okna były, jak zawsze, zamknięte i zasłonięte, lecz mimo to z zewnątrz wdzierały się dźwięki, jakich tu jeszcze nigdy nie słyszano: krzyki, przekleństwa, gwizdki, dudnienie wielkich ciężarówek zmieniających z jazgotem biegi, brzęk łańcuchów, ogłuszający warkot pneumatycznych świdrów, szcęk żelaza, a wszystkim towarzyszyła przenikliwa wibracja. *Saeva sonare verbera, tum stridor ferri tractaeque catenae*, [Z *Eneidy* Wergiliusza (opis bramy piekła): „Zgrzyta żelazo i szczeka łańcuch wleczony” przekładzie T. Kubiaka.] jak siedzący przy kominku Glossop mruknął do Jewela. Poza oknami, zaledwie kilkadziesiąt metrów stąd, po drugiej stronie rzeki Wynd, dokonywała się przemiana prastarego lasu w piekło biota, stali i betonu. Nawet niektórzy członkowie Postępowej Elity zaczęli głośno okazywać niezadowolenie. Sam Curry był nieco zaskoczony formą, w jaką jego wizja zamieniała się teraz w rzeczywistość, ale robił, co mógł, aby zbagatelizować to, co się działo, i choć obaj z Feverstone'em musieli krzyczeć, aby prowadzić rozmowę, unikali aluzji na ten temat.

- A więc to już pewne - wrzeszczał Curry - że młody Studdock do nas nie wróci?!
- Tak, to pewne! W każdym razie powiadomił mnie przez kogoś, że zamierza odejść.
- Kiedy złożę formalną rezygnację?
- Nie mam pojęcia! Ci młodzi mają w nosie formalności. Nawiasem mówiąc, im później to zrobi, tym lepiej.
- Żebyśmy mogli się trochę rozejrzeć, tak?
- No właśnie. Nie ma pośpiechu. Zanim złożę rezygnację, trzeba przecież obgadać, kto ma być jego następcą.
- Oczywiście. To najważniejsze. Gdybyśmy postawili sprawę wakat bez przygotowania, to ci wszyscy ludzie, którzy nie mają pojęcia, o co chodzi, i w ogóle nie potrafią myśleć, mogliby nas wpędzić w nie lada kabałę.
- Tak jest. Tego właśnie chcemy uniknąć. I jest tylko jeden na to sposób. Trzeba przedstawić naszego kandydata na dwie minuty przed ogłoszeniem, że jest wakat. Trzeba go wyciągnąć jak królika z kapelusza.
- Warto już teraz zacząć się nad tym zastanawiać.

- Uważasz, że też powinien być socjologiem? Czy to wakujące miejsce w kolegium związane jest z socjologią?

- Och, nie sądzę. To jedno z tych miejsc Pastona. Dlaczego pytasz? Masz na myśli jakąś konkretną dyscyplinę?

- Już od dawna nie mamy nikogo z nauk politycznych.

- Hm... to prawda. Wciąż pokutuje przekonanie, że polityka nie może być przedmiotem akademickim. A propos, Feverstone, czy nie sądzisz, że powinniśmy wesprzeć tę nową dyscyplinę?

- Jaką nową dyscyplinę?

- Pragmatometrię.

- No wiesz, zabawne, że to mówisz, bo człowiek, o którym pomyślałem w związku z odejściem Studdocka, zajmuje się właśnie pragmatometrią. Można by to nazwać pragmatometrią społeczną albo coś w tym rodzaju i zaproponować mu członkostwo w kolegium.

- O kim myślisz?

- O Lairdzie. Z Leicesteru w Cambridge.

Curry nigdy nie słyszał o Lairdzie, ale zareagował automatycznie:

- Ach, ten Laird. Przypomnij mi jakieś szczegóły.

- No więc, jak pamiętasz, w okresie egzaminów w końcowych miał jakieś kłopoty ze zdrowiem i niespecjalnie mu poszło. Egzaminy w Cambridge są ostatnio cholernie ostre. Każdy wiedział, że Laird był najlepszym studentem na roku. Był prezesem Sfinksa i wydawcą „The Adult”. David Laird, chyba pamiętasz?

- Tak, tak, pamiętam. David Laird. Ale posłuchaj, Dick...

- No co?

- Nie bardzo mi się podobają jego końcowe wyniki. Oczywiście nie mam jakichś staroświeckich poglądów na te sprawy, podobnie jak ty, ale... Trzeba pamiętać, że wyboru ostatnich dwu członków kolegium nie można nazwać najszcześniejszym.

Powiedziawszy to, Curry prawie bezwiednie zerknął w drugi koniec pokoju, gdzie siedział Pelham - tęgi mężczyzna z pulchną twarzą i małymi, krągłymi ustami. Pelham był dość rozsądnym facetem, ale nawet Curry miał trudności z przypomnieniem sobie, co ten facet zrobił albo co kiedykolwiek powiedział.

- Tak, wiem - rzekł Feverstone - ale nawet nasze najgorsze wybory są lepsze od tych, których dokonuje kolegium, kiedy pozostawiamy sprawy samym sobie.

Być może dlatego, że nieznośny hałas szarpał mu nerwy, Curry przez chwilę poczuł wątpliwość. Niedawno jadł kolację w Northumberland College i natknął się tam na Telforda. Zdumiał go kontrast między bystrym, dowcipnym i przyciągającym uwagę wszystkich Telfordem, którego tam zobaczył, a cichym i potulnym Telfordem z salonu w Bractonie. Czy to możliwe, by milczenie tych outsiderów w jego własnym kolegium, monosylabiczne odpowiedzi, gdy raczył ich o coś zapytać, i pobladłe, puste twarze, gdy przybierał wobec nich konfidencjonalną pozę, można było wyjaśnić w sposób, który nigdy nie przyszedł mu do głowy? Fantastyczne przypuszczenie, że on, Curry, może być nudziarzem, przemknęło mu przez głowę tak szybko, że sekundę później już o nim na zawsze zapomniał. Pozostało o wiele mniej bolesne przypuszczenie, że ci wszyscy tradycjoniści i te wszystkie mole książkowe trochę nim pogardzają, i że ktoś musiał mieć na to wpływ. Ale Feverstone znowu do niego wrzasnął:

- W przyszłym tygodniu będę w Cambridge! Zapraszam parę osób na obiad. Prawdopodobnie będzie premier, paru ludzi z prasy i Tony Dew. Co?! Przecież znasz Tony'ego. Ten mały, smutny gość z banku. Laird też będzie. Wiesz, jest spokrewniony z premierem. Zastanawiałem się, czy też

mógłbyś przyjechać. Wiem, że David bardzo chciałby cię poznać. Dużo o tobie słyszał od jakiegoś faceta, który chodził na twoje wykłady. Nie pamiętam nazwiska.

- No, to chyba będzie bardzo trudne. Zależy od tego, kiedy będzie pogrzeb biednego Billa. Oczywiście powinienem na nim być. Czy w popołudniowych wiadomościach mówili coś o śledztwie?

- Nie słyszałem! - odpowiedział Feverstone. - Ale, ale! Wyłania się kolejny problem. Skoro Zawierucha przeniósł się do lepszego świata, to mamy już dwa wakaty!

- Nic nie słyszę! Czy hałas jest coraz większy, czy ja zaczynam głuchnąć?

- Hej, dyrektorze! - wrzasnął nagle Brizeacre, siedzący gdzieś za Feverstone'em. - Co, u diabła, wyczyniają ci pańscy znajomi tam, na zewnątrz?

- Czy oni muszą tak wrzeszczeć przy pracy?! - zapytał ktoś inny.

- To w ogóle nie przypomina pracy! - zawołał ktoś trzeci.

- Posłuchajcie! - ryknął nagle Glossop. - To coś innego! Jaki tupot! To mi bardziej przypomina mecz rugby!

- I jest coraz głośniejsze! - zauważył Raynor.

W następnej chwili prawie wszyscy poderwali się z foteli.

- Co tam się dzieje?! - krzyknął ktoś.

- Tam kogoś mordują - odpowiedział Glossop. - Jest tylko jeden sposób, żeby wydobyć taki dźwięk z ludzkiego gardła.

- Dokąd idziesz? - zapytał Curry.

- Idę zobaczyć, co tam się dzieje - odrzekł Glossop. - Curry, idź i pozbieraj wszystkich strzelców! Niech ktoś zadzwoni po policję!

- Ja bym tego nie robił - powiedział Feverstone, który nadal siedział i spokojnie dolewał sobie wina. - Sądząc po odgłosach, policja już tam jest.

- Co masz na myśli?

- Posłuchaj! O, teraz!

- To chyba ten ich piekielny świder.

- Posłuchajcie!

- O Boże!... Czy... czy to nie karabin maszynowy?

- Uwaga! Uwaga! - zabrzmiało jednocześnie kilkanaście głosów, gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła, a na podłogę salonu posypał się grad kamieni. W chwilę później wielu członków kolegium - rzuciło się do okien i uniosło zasłony, a potem wszyscy stanęli jak wryci, wytrzeszczając na siebie oczy. Zrobiło się tak cicho, że słychać było tylko ciężkie oddechy. Glossop miał rozcięte czoło, a na podłodze leżały szczątki owego słynnego wschodniego okna, na którym Henrietta Maria wycięła kiedyś diamentem swoje imię.

Rozdział 5

Elastyczność

Następnego ranka Mark pojechał do Belbury pociągiem. Obiecał żonie wyjaśnić sprawy związane ze swoim uposażeniem i mieszkaniem, co trochę zmąciło mu dobry nastrój. Ten powrót do Belbury - wejście wolnym, swobodnym krokiem, nonszalanckie powieszenie kapelusza i zamówienie drinka - stanowił przyjemny kontrast z jego pierwszym przybyciem do kwatery głównej NIBS-u. Służący, który przyniósł mu drinka, najwidoczniej go poznał Filostrato skinął mu głową. Mark wypił i poszedł na górę do Cossera. Zabawił tam tylko pięć minut, a kiedy wyszedł, stan jego ducha uległ całkowitej zmianie.

Prócz Cossera był tam Steele. Popatrzyli na niego jak na obcego. Obaj milczeli.

- Och... dzień dobry - powiedział niezbyt pewnie Mark.

Steele skończył pisać ołówkiem na jakimś wielkim dokumencie.

- O co chodzi, panie Studdock? - zapytał, nie podnosząc głowy.

- Chciałem się zobaczyć z Cosserem - odrzekł Mark. - Właśnie przemyślałem ostatnią część raportu i...

- Jakiego znowu raportu? - Steele zwracał się do Cossera.

- Och, pomyślałem sobie - odrzekł Cosser, uśmiechając się nieznacznie - że byłoby dobrze sklecić w wolnym czasie jakiś raport o Cure Hardy, a ponieważ wczoraj akurat nic innego nie było do roboty, zrobiłem to. Pan Studdock mi pomógł.

- No cóż, chyba teraz nie musisz mi tym zawracać głowy - powiedział chłodno Steele. - Panie Studdock, może pan porozmawia na ten temat z panem Cosserem kiedy indziej. Obawiam się, że obecnie jest zajęty.

- Niech pan posłucha, Steele - rzekł Mark. - Sądzę, że powinniśmy się wzajemnie zrozumieć. Czy mam uważać ten raport za prywatne hobby Cossera? A jeśli tak, to chyba powinienem o tym wiedzieć, zanim poświęcę na to osiem godzin, prawda? I kto właściwie jest moim szefem?

Steele patrzył na Cossera, bawiąc się ołówkiem.

- Zadałem panu pytanie na temat mojego stanowiska na tym wydziale, panie Steele - powiedział Mark.

- Nie mam teraz czasu na takie sprawy - odparł Steele. - Może pan nie ma nic do roboty, ale ja akurat mam. I nie mam pojęcia o pana stanowisku.

Mark przez chwilę chciał zwrócić się do Cossera, ale jego gładka, piegowata twarz i obojętne spojrzenie wzbudziły w nim taką odrazę, że odwrócił się na pięcie i opuścił gabinet, trzaskając drzwiami. Zamierzał odbyć rozmowę z wicedyrektorem.

Przed drzwiami gabinetu Withera zawahał się, bo z wewnątrz dobiegły go jakieś głosy. Był jednak zbyt wściekły, aby poczekać. Zapukał i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

- Ach, to pan, drogi chłopcze - powiedział Wither, patrząc w jego kierunku, ale z pewnością nie na jego twarz. - Cieszę się, że pana widzę.

Mark spostrzegł, że w pokoju jest jeszcze ktoś - niejaki Stone, którego przedwczoraj poznał podczas kolacji. Stone stał przed biurkiem Withera, zwijając i rozwijając kawałek bibuły. Miał otwarte usta, a oczy utkwione w wicedyrektorze.

- Bardzo się cieszę, że pana widzę - powtórzył Wither. - A cieszę się tym bardziej, że... hm... przerwał mi pan rozmowę, którą muszę, niestety, określić jako przykrą. Właśnie mówiłem biednemu panu Stone'owi, że nic nie jest bliższe memu sercu niż pragnienie, by w tym wielkim instytucie wszyscy pracowali jak jedna rodzina... W najściślejszym zespoleniu woli i celu, panie

Stone, w najgłębszym wzajemnym zaufaniu... Tego właśnie oczekuję po moich kolegach. Ale z całą pewnością, panie... ee... Studdock, nawet w najlepszej rodzinie zdarzają się napięcia i nieporozumienia. I właśnie dlatego, mój drogi chłopcze, nie mam w tej chwili czasu... Niech pan nie odchodzi, Stone. Mam panu o wiele więcej do powiedzenia.

- Może powinienem przyjść później? - zapytał Mark.

- No cóż... może w tych okolicznościach... a biorę pod uwagę przede wszystkim pańskie uczucia, panie Stone... może... najbardziej naturalnym sposobem umówienia się ze mną, panie Studdock, jest rozmowa z moją sekretarką. Oczywiście chyba pan wie, że absolutnie nie jestem przywiązany do wszelkich formalności i że z wielką przyjemnością porozmawiałbym z panem o każdej porze. Chodzi mi wyłącznie o pana, aby pan nie marnował swego drogiego czasu...

- Dziękuję, panie dyrektorze - powiedział Mark. - Zamelduję się u pana sekretarki.

Sekretarka urzędowała w sąsiednim pokoju. Ścisłej mówiąc, nie była to sekretarka, ale kilka jej podwładnych, urzędujących za czymś w rodzaju lady. Mark został umówiony nazajutrz o dziesiątej rano; niestety, wcześniej nie było to możliwe. Kiedy wychodził, natknął się na Wrózkę Hardcastle.

- Cześć, Studdock! Co, próbujemy się dostać do WD? Nie widzę w tym większego sensu.

- Postanowiłem - odparł Mark - że albo otrzymam jasną odpowiedź na temat mojego stanowiska, albo opuszczę instytut.

Popatrzyła na niego z trudnym do określenia wyrazem twarzy, w którym dominowało rozbawienie, i nagle wzięła go pod rękę.

- Posłuchaj, synku. Daj sobie z tym wszystkim spokój. Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie. Chodźmy gdzieś i porozmawiajmy.

- Naprawdę nie ma o czym rozmawiać pani Hardcastle. Już postanowiłem. Albo dostanę konkretne stanowisko, albo wracam do Bractonu. To chyba proste. Nie zależy mi na niczym.

Wróżka nic nie odpowiedziała, lecz stały nacisk jej ramienia zmusił Marka do pójścia z nią korytarzem. W sposobie, jakim trzymała go pod rękę, intymność mieszała się z poczuciem władzy: pasowałyby to prawie dokładnie do stosunku łączącego policjanta i więźnia, kochanki i kochanka, niani i dziecka. Mark poczuł, że wyglądałby głupio, gdyby ktoś ich teraz zobaczył.

Zaprowadziła go do swojego biura na drugim piętrze. Pierwszy pokój pełen był funkcjonariuszek Pomocniczej Policji Żeńskiej. Mężczyźni z instytutowej służby policyjnej, choć bardziej liczni, rzadko mieli kontakt z pracownikami, natomiast policjantki - zwane potocznie pepeżetkami - pojawiały się wszędzie tam, gdzie znalazła się akurat pani Hardcastle. Dalekie od tego, by dzielić ze swoją szefową męskie cechy, były przeważnie istotami drobnymi, roztrzepanymi i rozchichotanymi, „kobięcymi do granic imbecylnymi”, jak to kiedyś określił Feverstone. Pani Hardcastle zachowywała się wobec nich tak, jakby były mężczyznami, a w tonie, jakim się do nich zwracała, dźwięczała dziwna mieszanina jowialnej i drapieżnej jednocześnie galanterii.

- Dolly, dwa koktajle! - ryknęła od progu.

Kiedy weszli do jej gabinetu, kazała Markowi usiąść, a sama stanęła rozkraczona tyłem do kominka. Dolly przyniosła drinki i szybko wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Przestań się tym wszystkim przejmować, Studdock - powiedziała pani Hardcastle. - I cokolwiek będziesz robił, nie zwracaj tym głowy WD. Już ci mówiłam, że nie musisz się przejmować tymi karzełkami z drugiego piętra, dopóki masz jego poparcie. A masz je. Możesz je jednak stracić, jeśli będziesz do niego łąził, żeby się uzalać.

- Byłaby to na pewno dobra rada, pani Hardcastle, gdybym był przekonany, że tu zostaję. A nie jestem. Trochę już poznałem to miejsce i muszę wyznać, że wcale mi się tu nie podoba. Szczerze mówiąc, jestem bardzo bliski powrotu do Bractonu. Chciałem tylko najpierw spotkać się z nim i postawić sprawę jasno.

- Stawianie spraw jasno jest czymś, czego WD nie potrafi znieść. Prowadzi ten interes w zupełnie inny sposób. I możesz być pewien, że wie, co robi. To po prostu działa, mój chłopcze. Nie masz pojęcia, jak to dobrze działa. A jeśli chodzi o twoją decyzję... chyba nie jesteś przesądny, co? Bo ja jestem. I myślę, że porzucenie NIBS-u nie przyniesie ci szczęścia. Nie powinieneś sobie zawracać głowy tymi wszystkimi Steele'ami i Cosserami. To po prostu część twojej praktyki w instytucie. Musisz przez to przejść, ale jeśli wytrzymasz, będziesz mógł na nich nakichać. Teraz musisz tylko siedzieć cicho. Kiedy naprawdę ruszymy z miejsca, żadnego z nich już tutaj nie będzie.

- Taką właśnie linię przyjął Cosser wobec Steele'a - powiedział Mark - i nic nie wskazuje, żeby mi to pomogło, kiedy doszło do zasadniczej rozmowy.

- Wiesz, Studdock - przerwała mu pani Hardcastle - polubiłam cię. I dobrze, bo gdyby nie to, byłabym skłonna obrazić się za tę ostatnią uwagę.

- Nie miałem zamiaru nikogo obrazić, ale... do diabła, proszę na to spojrzeć z mojego punktu widzenia!

- To nie ma sensu, synku - powiedziała pani Hardcastle, kręcąc głową. - Wiesz jeszcze tak mało, że twój punkt widzenia niewart jest sześciu pensów. Jeszcze sobie nie zdałeś sprawy z tego, w co wszedłeś. Zaoferowano ci szansę. Zaoferowano ci coś, co jest o niebo ważniejsze od fotela w jakimś gabinecie. Musisz pamiętać, że jest tylko jedna alternatywa: być w instytucie albo poza nim. A ja wiem lepiej od ciebie, co będzie najlepsze.

- Rozumiem, tylko że wszystko jest lepsze od sytuacji, w której niby nominalnie tu pracuję, a nie mam co robić. Proszę mi dać konkretną pracę w wydziale socjologicznym, a będę...

- Bzdury! Cały ten wydział pójdzie na szmelc. Musiał być na początku, ale tylko dla celów propagandowych. Ich wszystkich wywałą na zbity łeb.

- Jaką jednak mogę mieć pewność, że będę jednym z ich sukcesorów?

- Wcale nim nie będziesz. Prawdziwa robota, jaka nas czeka, nie ma nic wspólnego z tymi wszystkimi wydziałami. Ten rodzaj socjologii, jaki nas interesuje, będą uprawiali moi ludzie. Policjanci.

- A więc co właściwie miałbym tu robić?

- Jeżeli mi zaufasz - odpowiedziała Wróżka, odstawiając pustą szklankę i wyjmując cienkie cygareto - mogę cię zaraz wprowadzić w twoją prawdziwą pracę, w to, po co zostałeś tu ściągnięty.

- Więc co to jest?

- Alcasan - wycodziła przez zęby pani Hardcastle.

Zaciągnęła się głęboko, a potem, patrząc na Marka z lekką pogardą, zapytała:

- Czy do ciebie dociera, o czym mówię?

- Masz na myśli tego radiologa... tego, który skończył karierę na gilotynie?... - zapytał zupełnie oszołomiony Mark.

Wróżka skinęła głową.

- On ma być zrehabilitowany - powiedziała. - Stopniowo. Mam w jego dossier wszystkie fakty. Zaczynasz od niewielkiego, spokojnego artykułu, nie kwestionując jego winy, a tylko napomykając, że oczywiście, tak, był podczas wojny członkiem tego ich kolaboracyjnego rządu Quislinga i stąd te wszystkie uprzedzenia. Ze nie wążpisz w sprawiedliwość werdyktu sądu, ale niepokoi cię, że z całą pewnością zapadłby ten sam wyrok i wtedy, gdyby był niewinny. A potem, za dzień lub dwa, napiszesz zupełnie inny artykuł. Taki popularny wykład o jego pracy. Zebranie danych na ten temat, przynajmniej na taki artykuł nie zajmie ci więcej niż jedno popołudnie. A potem napiszesz pełen oburzenia list do gazety, która ten artykuł opublikuje. I w nim już dociśniesz do dechy. Ta egzekucja to pogwałcenie sprawiedliwości. Do tego czasu...

- Ale jaki jest cel tego wszystkiego?!

- Przecież ci mówię, Studdock. Alcasan ma być zrehabilitowany. Ma zostać męczennikiem. Niepowetowaną stratą dla ludzkości.

- Ale po co?

- A ty znowu swoje! Narzekasz, że nie ma tu dla ciebie pracy, a jak tylko podsuwam ci kawałek prawdziwej roboty, żądasz, żeby ci - najpierw przedstawić plan całej kampanii. To przecież nie ma sensu. Tak się tutaj nie pracuje. Trzeba robić to, co ci każą. Jeśli się okaże, że będzie z ciebie pożytek, wkrótce sam zrozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi. Musisz jednak zacząć od konkretnego zadania. Właśnie tego. Zdaje się, że nie masz pojęcia, czym my właściwie jesteśmy. A jesteśmy armią.

- W każdym razie - rzekł Mark - nie jestem dziennikarzem. Nie przyszedłem tutaj, żeby pisać artykuły do gazet. Już na samym początku próbowałem to wyjaśnić Feverstone'owi.

- Im szybciej przestaniesz gadać, po co tu przyszedłeś, tym więcej zyskasz. Mówię to dla twojego własnego dobra, Studdock. Potrafisz pisać. I między innymi właśnie do tego jesteś nam potrzebny.

- A więc zaszło jakieś nieporozumienie - powiedział Mark. Jej słowa mile polechtały jego próżność, ale nie zagłuszyły poczucia urazy z powodu ukrytej w nich implikacji, że jako socjolog się nie liczy. - Nie zamierzam spędzić życia na pisaniu artykułów do gazet. A gdyby nawet, to musiałbym wiedzieć o wiele więcej o generalnej strategii NIBS-u, żeby się angażować w coś takiego.

- Czy ci nie powiedziano, że NIBS nie ma nic wspólnego z polityką?

- Powiedziano mi tyle rzeczy, że nie wiem już, czy stoję na nogach, czy na gbwie. Ale nie bardzo rozumiem, jak można uprawiać dziennikarstwo, nie angażując się w politykę. Czy te wszystkie bzdury o Alcasanie mają drukować gazety lewicowe czy prawicowe?

- I jedno, i drugie, mój kochany - odpowiedziała pani Hardcastle. - Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? Podstawową sprawą jest utrzymanie równowagi między ekstremistami z lewicy i z prawicy, i to tak, żeby się nawzajem paraliżowali. To właśnie robimy. Każda krytyka NIBS - u ma być przedstawiana jako lewicowe oszustwo w prawicowej prasie, a jako prawicowe oszustwo w prasie lewicowej. Jeśli to się dobrze zrobi, każda strona będzie się prześcigać w popieraniu nas, żeby dać odpór wrogim oszczerstwom. Ale, oczywiście, nie jesteśmy organizacją polityczną. Ten, kto ma prawdziwą władzę, nie musi się bawić w politykę.

- Nie wierzę, by udało się wam tego dokonać. W każdym razie nie w gazetach, które czytają inteligenci.

- To tylko dowodzi, że wciąż jesteś w żłobku, mój kochany - powiedziała pani Hardcastle. - Nie pojąłeś jeszcze, że jest akurat całkiem odwrotnie?

- Nie rozumiem...

- No to zrozum, głupcze, że wystrychnąć na dudka można właśnie inteligenta. Z nim nie ma kłopotu, kłopoty mamy z innymi. Spotkałeś kiedy robotnika, który wierzyłby w to, co piszą gazety? Robotnik po prostu wie, że to wszystko propaganda, i w ogóle nie czyta wstępniaków. Kupuje gazety dla wyników meczów futbolowych i dla wzmianek o dziewczynach, które wypadły z okna albo o trupach znalezionych w apartamentach w Mayfair. Tak, z nim mamy problem. Musimy nad nim popracować. Wymaga remontu.

Ale ludzie wykształceni, ci, którzy czytają cotygodniowe tasiecmce dla intelektualistów... ich nie trzeba remontować. Uwierzą we wszystko.

- Jako jeden z nich po prostu w to nie wierzę.

- O Boże! Gdzie ty masz oczy? Nie widzisz, co się dzieje w tych czasopismach? Przyjrzyj się

„Weekly Question”. To pismo akurat dla ciebie. Kiedy pewien śmiały profesor z Cambridge wynalazł to, co nazwał *Basic English*, wychwalali to pod niebo. Gdy tylko poparł to torysowski premier, *Basic English* stał się nagle zagrożeniem dla czystości języka. Przez dziesięć lat monarchia była drogim absurdem. I co? Kiedy tylko książę Windsoru zrzekł się tronu, „Weekly Questions” stało się nagle monarchistyczne i legitymistyczne. I nie stracili ani jednego czytelnika. Czy nie rozumiesz, że inteligent po prostu nie potrafi przestać czytać tych cotygodniowych intelektualnych bzdetów? Nie może przestać. To coś w rodzaju odruchu warunkowego.

- No cóż - rzekł Mark - to wszystko jest bardzo interesujące, pani Hardcastle, ale nie ma nic wspólnego ze mną. Nie mam zamiaru zostać dziennikarzem, a nawet gdybym miał, wolałbym być raczej dziennikarzem uczciwym.

- Bardzo pięknie. A wiesz, co osiągniesz z taką postawą? Pomożesz w całkowitym zniszczeniu tego kraju, a być może i całej ludzkości. A przy okazji zrujnujesz własną karierę.

Konfidencjonalny ton, którym do tej pory mówiła, zniknął - w jej głosie brzmiała teraz bezwzględna groźba. Dobry i uczciwy obywatel, jaki obudził się w Marku podczas tej rozmowy, trochę się przestraszył, a do głosu doszła inna, o wiele silniejsza część jego osobowości - ta, która nade wszystko nie chciała znaleźć się poza kręgiem wtajemniczonych, decydujących o wszystkim.

- Nie chciałem przez to powiedzieć, że nie doceniam pani punktu widzenia. Zastanawiałem się tylko...

- Nie widzę różnicy, Studdock - powiedziała chłodno pani Hardcastle, siadając wreszcie przy biurku. - Jeśli ci się nie podoba ta praca, to już twoja sprawa. Idź i załatw to z WD. Uprzedzam, że nie lubi tych, którzy rezygnują, ale, oczywiście, to twoja sprawa. Obawiam się, że będzie miał coś do powiedzenia Feverstone'owi, który cię tu ściągnął. Byliśmy przekonani, że wszystko rozumiesz.

Wzmianka o Feverstone'u uświadomiła Markowi z całą ostrością nieubłaganą konsekwencję jego decyzji: powrót do Edgestow i zadowolenie się karierą zwykłego członka Bracton College. Na jakich warunkach mógłby tam wrócić? Byłby nadal członkiem kręgu wtajemniczonych, nawet tam, w Bractonie? Myśl, że miałby utracić zaufanie Postępowej Elity i znaleźć się pośród takich ludzi, jak Telford czy Jewel, była naprawdę trudna do zniesienia. A pensja zwykłego wykładowcy nijak się miała do marzeń, które snuł od paru dni. Już wiedział, że małżeństwo wymaga o wiele większych wydatków, niż kiedyś myślał. A potem przypomniał sobie nagle o tych dwustu funtach za członkostwo klubu NIBS-u. Ale nie... to byłby absurd. Przecież nie mogą go tym obciążać.

- Tak, oczywiście - powiedział, siląc się na obojętność. - Najlepiej będzie, jak porozmawiam z WD.

- Skoro odchodzisz, to muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Wyłożyłam przed tobą wszystkie karty. Gdyby ci przypadkiem przyszło do głowy powtórzyć komuś z zewnątrz to, o czym tu rozmawialiśmy, radzę ci, nie rób tego. Nie byłoby to wcale dobre dla twojej przyszłej kariery.

- Ależ oczywiście... - zaczął Mark.

- Powinieneś już iść. Cóż, życzę miłej rozmowy z WD. Ty lko za bardzo go nie zdenerwuj. On tak nie znosi rezygnacji!

Mark próbował jeszcze przedłużyć rozmowę, ale pani Hardcastle na to nie pozwoliła. Musiał wyjść.

Resztę dnia spędził w dość żalospisny sposób, starając się trzymać z dala od ludzi, żeby się nie wydało, że jest tutaj osobą, która nie ma co robić. Przed obiadem wybrał się na jedną z tych krótkich, bezsensownych przechadzek, które podejmuje czasem człowiek, kiedy znajdzie się w obcej dla siebie okolicy, nie mając ani swojego starego ubrania, ani laski. Po obiedzie obszedł park, ale szybko stwierdził, że nie jest to ten rodzaj parku, po którym spaceruje się dla przyjemności. Edwardiański milioner, który zbudował Belbury, otoczył jakieś dwadzieścia akrów ziemi niskim

ceglanym murkiem z żelazną balustradą na szczycie, tworząc wewnątrz coś, co pracujący dla niego przedsiębiorca budowlany nazwał Ozdobnym Parkiem Wypoczynku. Były tam różne drzewa i kręte ścieżki wyłożone okrągłymi białymi kamykami, po których z trudem można było chodzić. Były rozległe klomby, jedne prostokątne, inne w kształcie rombu, a jeszcze inne półkoliste. Były plantacje - może lepiej byłoby je nazwać „plackami” - wawrzynu, który wyglądał, jakby jego liście zrobiono ze sprytnie pomalowanego i polakierowanego metalu. Wzdłuż ścieżek stały co jakiś czas jadownice zielone ławki. Wszystko to przywodziło na myśl cmentarz komunalny. Mimo to Mark udał się tam również po popołudniowej herbacie, paląc papierosa za papierosem, choć wiatr zdmuchiwał mu żar na usta i miał już całkiem przepalony język.

Walęśając się bez celu, zawędrował na tyły budynku, gdzie wyrosły już nowe, niższe przybudówki. Tu zaskoczył go zapach przywodzący na myśl stajnię i mieszanina zwierzęcych odgłosów - warczenie, szczekanie i skomlenie - wszelkie oznaki dość dużego ogrodu zoologicznego. W pierwszej chwili nie wiedział, o co chodzi, ale później przypomniał sobie, że w jednym z programów badawczych NIBS-u wykorzystywano na szeroką skalę wiwisekcję, uwolnioną wreszcie od ograniczeń Czerwonej Linii i mabstkowej ekonomii. Kiedy dowiedział się o tym po raz pierwszy, nie wykazał zbytniego zainteresowania - sądził, że chodzi o zwykłe przy takich doświadczeniach szczury, króliki, a w wyjątkowych wypadkach psy. Mieszanina zwierzęcych głosów, którą teraz słyszał, sugerowała coś zupełnie innego. I kiedy tak stał, rozmyślając nad tym wszystkim, rozległ się pojedynczy, przypominający potężne ziewnięcie skowyt, a natychmiast po nim rozbrzmiał przejmujący chór różnego rodzaju ujadów, pisków, trąbień, a nawet śmiechu. Trwało to krótko, a potem powoli ucichło, rozplywając się w cichym, pełnym smutku skomleniu.

Mark nie miał skrupułów co do wiwisekcji. Ten chór zwierzęcych protestów uprzytomnił mu tylko doniosłość i skalę przedsięwzięcia, z którego najwyraźniej miał zostać wykluczony. Pomyślał o tysiącach funtów, jakie instytut bez wahania wydał na zakupienie i utrzymywanie całego tego zwierzyńca, tylko dlatego, że mogło to być szansą na dokonanie jakiegoś odkrycia naukowego.

Musi dostać tę pracę, musi jakoś rozwiązać problem Steele'a. Ale odgłosy, jakie wciąż dochodziły z tej menażerii, były nie do zniesienia. Odszedł stamtąd.

* * *

Obudził się następnego ranka z poczuciem, że czeka go dzisiaj próba pokonania trudnej przeszkody, a może nawet dwóch. Pierwszą była jego rozmowa z wicedyrektorem. Jeśli nie uzyska jasnej odpowiedzi na temat swojego stanowiska i uposażenia, gotów był zerwać z instytutem. Wtedy czekała go druga przeszkoda: powrót do domu i wyjaśnienie Jane, że trzeba się pożegnać ze wszystkimi marzeniami.

Tego ranka Belbury spowiała pierwsza prawdziwa jesienna mgła. Mark zjadł śniadanie przy sztucznym świetle. Nie dotarła poczta i gazety. Był piątek i służący wręczył mu rachunek za dotychczasowy pobyt w instytucie. Mark rzucił okiem na sumę i włożył papier do kieszeni z postanowieniem, że pod żadnym pozorem nie wspomni o niej Jane. Ani końcowa suma, ani wyszczególnienie należności nie należały do spraw, które żony potrafią zrozumieć. Osobiście miał pewne wątpliwości, czy w rachunku nie ma żadnych pomyłek, ale wciąż jeszcze był w wieku, w którym prędzej odda się ostatniego pensa, niż zakwestionuje wysokość rachunku. Wypił drugą filiżankę herbaty, poszukał w kieszeni papierosów, stwierdził, że wszystkie już wypalił, i zamówił nową paczkę.

Do spotkania z wicedyrektorem pozostało pół godziny. Czas dłużył mu się nieznośnie. Nikt z

nim nie rozmawiał. Wydawało się, że każdy gdzieś się spieszy, by załatwić jakieś bardzo ważne i ściśle określone sprawy. Wkrótce wszyscy wyszli i został sam w sali, czując, że kelnerzy patrzą na niego tak, jakby uważali, że nie powinno go tutaj być. Z ulgą zapukał w końcu do drzwi gabinetu Wither'a.

Został od razu przyjęty, ale początek rozmowy nie był łatwy. Wither milczał, a chociaż podniósł głowę znad biurka z dość uprzejmą miną, gdy tylko Mark wszedł do jego gabinetu, nie spojrzał wyraźnie na niego i nie poprosił by usiadł. W pokoju, jak zwykle, było bardzo gorąco i Mark, rozdarty między chęcią wyrażenia swego kategorycznego sprzeciwu wobec niejasności sytuacji a równie gorącym pragnieniem otrzymania stanowiska - jeśli tylko naprawdę było dla niego jakieś stanowisko - nie był zadowolony z tego, co mówił, w każdym razie wicedyrektor nie ułatwiał mu zadania, wysłuchując jego chaotycznych powtórzeń bez słowa i milcząc nawet wówczas, gdy Mark tracił wątek i na długie chwile przerywał swą tyradę. Siedział z lekko nadąsaną miną, rozchyliwszy nieco usta, jakby coś nucił pod nosem.

- Tak więc, panie dyrektorze, sądzę, że lepiej będzie, jeśli odejdę powiedział w końcu Mark.

- Pan się nazywa Studdock, jeśli dobrze pamiętam? - zapytał Wither niezobowiązującym tonem po dłuższej chwili milczenia.

- Tak - odpowiedział niecierpliwie Mark. - Kilka dni temu rozmawiałem z panem przez telefon... razem z lordem Feverstone'em. Dał mi pan do zrozumienia, że proponuje mi pan pracę socjologa w instytucie. Ale, jak już mówiłem...

- Chwileczkę, panie Studdock - przerwał mu wicedyrektor. - Chciałbym, żeby wszystko było całkowicie jasne. To bardzo ważne. Jest pan bez wątpienia świadom, że w pewnym sensie mówienie o mnie, jakobym mógł proponować komukolwiek stanowisko w instytucie, grzeszy bardzo przykrym brakiem precyzji. Nie powinien pan sobie wyobrazić, że zajmuję tu jakąś autokratyczną pozycję, a z drugiej strony, że relacja między moją sferą wpływów a władzą... czasową władzą, ma się rozumieć... komitetu albo samego dyrektora może być określona w terminach jakiegoś trwałego i sprawnego systemu o charakterze... ee... konstytucyjnym, albo nawet tylko konstytutywnym. Na przykład...

- Ale chyba może mi pan powiedzieć, panie dyrektorze, czy ktokolwiek zaproponował mi tutaj pracę? A jeśli tak, to czy ktoś podjął już decyzję?

- Och! - Wither zmienił ton i poruszył się w fotelu, jakby nagle coś przyszło mu do głowy. - Nigdy nie ulegało wątpliwości, że pańska współpraca z naszym instytutem byłaby w pełni zaakceptowana. .. byłaby niezwykle cenna.

- A więc czy mógłbym... to znaczy, czy nie powinniśmy porozmawiać o szczegółach? Na przykład o wysokości stałego wynagrodzenia i... komu miałbym podlegać?

- Drogi przyjacielu - powiedział Wither, uśmiechając się wyrozumiale - nie przewiduję, aby pojawiły się jakiegokolwiek trudności, jeśli chodzi o... ee... finansowy aspekt tej sprawy. A co do...

- A więc jakie mi pan proponuje wynagrodzenie, panie dyrektorze? - przerwał mu ponownie Mark.

- No cóż, porusza pan sprawę, o której trudno mi decydować. Sądzę, że członkowie instytutu zajmujący stanowisko, na którym byśmy pana widzieli, otrzymują zwykle sumę... myślę, że jakieś tysiąc pięćset funtów rocznie... Oczywiście mogą tu być pewne różnice skalkulowane według... ee... bardzo liberalnych kryteriów. Nie widzę żadnych trudności w rozwiązaniu tego rodzaju problemów.

- Ale kiedy dowiem się czegoś konkretnego, panie dyrektorze?

- Nie powinien pan uważać, panie Studdock, że jeśli wspomniałem o tysiącu pięciuset funtach, to wykluczyłem przez to możliwość wyższej sumy. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek z nas...

- Byłbym w pełni usatysfakcjonowany tą sumą - przerwał Mark. - Nie w tym rzecz. Chodzi mi tylko... o... to znaczy... Wyraz twarzy wicedyrektora stawał się coraz bardziej uprzejmy, a nawet konfidencjonalny, tak że kiedy Mark wyrzucił wreszcie z siebie: - Sądzę, że powinienem otrzymać jakiś kontrakt czy coś w tym rodzaju - poczuł się tak, jakby powiedział coś bardzo grubiańskiego.

- No cóż - zaczął wicedyrektor, utkwivszy wzrok w suficie i zniżywszy głos prawie do szeptu, jakby poczuł się zbyt zażenowany - mówiąc ściśle, procedura wygląda trochę inaczej... to znaczy... bez wątpienia byłoby to możliwe...

- Ale nie to jest dla mnie najważniejsze, panie dyrektorze - przerwał mu znowu Mark, zdając sobie sprawę z tego, że się czerwieni. - Chodzi o mój status. Czy miałbym pracować pod kierownictwem pana Steele'a?

- Mam tutaj formularz - odrzekł Wither, wysuwając szufladę - który, jak mi się zdaje, nie jest aktualnie w użyciu, ale który był pomyślany dla tego rodzaju umów. Może go pan przestudiować w wolnej chwili i jeśli go pan zaakceptuje, możemy go podpisać w dowolnym czasie.

- A co z panem Steele'em?

W tym momencie weszła sekretarka i położyła na stole kilka listów.

- Ach! W końcu jest poczta! - ucieszył się Wither. - Mam nadzieję, panie Studdock, że... ee... i na pana czekają jakieś listy...

Jest pan żonaty, jak mniemam?

Na jego twarzy pojawił się ojcowski, wyrozumiwały uśmiech.

- Proszę mi wybaczyć, panie dyrektorze - rzekł Mark - ale co z panem Steele'em? Byłbym zmuszony odrzucić każde stanowisko, o ile wiązałoby się z podległością panu Steele'owi.

- To otwiera przed nami bardzo interesujący problem, o którym chciałbym z panem kiedyś porozmawiać w sposób całkowicie nieformalny i poufny. Do tego czasu, panie Studdock, nie bę dę uważał tego, co pan powiedział, za ostateczną decyzję. Może pan zadzwoni do mnie jutro, co?

Po tych słowach zagłębił się w lekturze listu, który właśnie otworzył. Mark pomyślał, że osiągnął już wszystko, co mógł osiągnąć podczas pierwszej rozmowy i opuścił pokój. Było oczywiste, że naprawdę chcą go zatrudnić i są przygotowani, aby uczynić to w sposób formalny. Rozwiązanie problemu Steele'a trzeba odbżyć na później. Na razie trzeba dokładnie przestudiować formularz umowy.

Zszedł na dół i w recepcji znalazł czekający na niego list. Otworzył kopertę i zaczął czytać:

*Bracton College
Edgestow
20 października 19'..*

Drogi Marku,

z żalem przyjęliśmy wiadomość o Twojej rezygnacji z godności członka kolegium, ale jesteśmy pewni, że podjąłeś słuszną decyzję, przynajmniej mając na uwadze swoją karierę. Jak już NIBS na dobre się tu zainstaluje, na pewno będziemy się widywać tak często, jak dotąd. Jeśli jeszcze nie posłałeś NO formalnej rezygnacji, radziłbym Ci się nie spieszyć. Lepiej wstrzymaj się do przyszłego semestru, tak żeby to wypadło w okresie naszego lutowego posiedzenia i ż ebyśmy mieli czas na znalezienie odpowiedniego kandydata na Twoje miejsce. A może sam masz jakiś pomysł? Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Jamesem i z Dickiem o Davidzie Lairdzie (James o nim nie słyszał). Na pewno znasz jego prace. Mógłbyś mi napisać o nich parę zdań? I w ogóle o jego kwalifikacjach? Mogę się z nim spotkać w przyszłym tygodniu w Cambridge, gdzie będę na obiedzie z premierem i paroma innymi osobami. Zresztą może Dick wcześ niej z nim porozmawia.

Wczoraj mieliśmy tu niezłą awanturę. Była jakaś rozróżba między tymi nowymi robotnikami a dawnymi mieszkańcami. Policja instytucyjowa popełniła błąd, strzelając ponad głowami tłumy. Słukli nam okno Henrietty Marii, do salonu posypały się kamienie. Glossop stracił głowę, chciał wyjść i przemówić do tego motłochu, ale udało mi się go jakoś uspokoić. Piszę to, oczywiście, w zaufaniu. Wielu chciałoby zbić na tym kapitał i zaatakować nas ostro za sprzedaż lasu. Spieszę się - muszę pędzić, żeby uzgodnić sprawy związane z pogrzebem Hingesta.

*Pozdrawiam,
G. C. Curry*

Już przy pierwszych słowach listu przeszył Marka dreszcz strachu. Starał się uspokoić, przekonując samego siebie, że wszystko można jeszcze odwrócić - będzie tylko musiał jakoś się wytłumaczyć. Napisze, że to nieporozumienie, i natychmiast wyśle list. Przecież nie mogą odebrać komuś członkostwa jedynie na podstawie przypadkowego zdania wypowiedzianego przez lorda Feverstone'a w salonie wypoczynkowym! Ale natychmiast przyszła mu do głowy smutna refleksja, że to, co nazywa teraz „przypadkowym zdaniem”, było dokładnie tym, co - jak nie tak dawno się dowiedział - Postępowa Elita określała jako „załatwianie prawdziwych interesów na płaszczyźnie prywatnej” albo „wycinaniem Czerwonej Linii”. Próbował zlekceważyć tę refleksję, a potem uderzyła go inna myśl. Przypomniał sobie, że biedny Conington stracił posadę w bardzo podobny sposób. No tak, ale okoliczności były zupełnie inne... Conington był outsiderem, a on został już jednym z wtajemniczonych, może nawet jeszcze bardziej niż sam Curry. Ale... czy jest nim nadal? Skoro nie jest już mile widziany w Belbury (a na to zaczyna wyglądać), to czy przypadkiem Feverstone nie utraci do niego zaufania? Czy odzyska swój dawny status, jeśli wróci do Bractonu? Ależ oczywiście! Musi natychmiast napisać do Curry'ego, że nie złożył rezygnacji i nie zamierza jej złożyć. Usiadł przy stole we wspólnym gabinecie, wyciągnął wieczne pióro i nagle uderzyła go jeszcze inna myśl. Curry z pewnością pokaże list Feverstone'owi. Feverstone powie o tym Witherowi. Taki list zostanie uznany za definitywną rezygnację z Belbury. Cóż... niech tak będzie! Pożegna się z krótkotrwałym marzeniem i powróci do swojego kolegium. A jeśli okaże się to niemożliwe? Cała ta afera mogła być specjalnie zaaranżowana, żeby usiadł pomiędzy dwoma stołkami... żeby go wykopano z Belbury, bo zachował członkostwo w kolegium bracktońskim, i żeby go wykopano z Bractonu, bo postanowił przyjąć posadę w Belbury. Z jednym skutkiem: on i Jane pozostaną bez grosza przy duszy... a Feverstone już dopilnuje, żeby nie znalazł nigdzie pracy... I gdzie jest Feverstone?

Trzeba to wszystko bardzo ostrożnie rozgrywać. Nacisnął przycisk dzwonka i zamówił dużą whisky. W Bractonie nigdy nie pił przed dwunastą, a jeśli nawet, to pozwalał sobie jedynie na piwo. Ale teraz... no, w każdym razie miał jakieś dziwne dreszcze. Tego by tylko brakowało, żeby przy tych wszystkich kłopotach jeszcze się rozchorował!

Zdecydował, że musi napisać bardzo ostrożny, bardzo wyważony list. Nie powinien wyjaśniać Curry'emu tego wszystkiego dosłownie; Mogłoby to zostać wykorzystane jako dowód, że całkowicie zrezygnował z Belbury. Pierwszy szkic uznał za zbyt dosłowny. No tak, ale jeśli wyjaśnienia będą zbyt mętne, straci Bracton. A niech to wszyscy diabli! W niezłą kabałę się wpakował! Dwieście funtów za członkostwo w klubie, rachunek za pierwszy tydzień... I jak tu przekonać Jane, żeby nie dostała hysterii, żeby potrafiła spojrzeć na to wszystko we właściwym świetle? W końcu, z pomocą whisky i mnóstwa papierosów, napisał:

Narodowy Instytut Badań Skoordynowanych

Belbury
21 października 19..

Drogi Curry,

Feverstone musiał mnie źle zrozumieć. Nigdy nawet nie wspomniakm o rezygnacji z członkostwa kolegium i wcale nie mam takiego zamiaru. Prawie już porzuciłem myśl o przyjęciu pełnego etatu w NIBS-ie i myślę, że pojawię się w Bractonie za dzień lub dwa. Po pierwsze, martwię się o zdrowie mojej żony i na razie nie mógłbym sobie pozwolić na wyjazd. Po drugie, choć wszyscy tutaj bardzo mi schlebiają i naciskają, żebym został, proponują mi pracę o charakterze administracyjnym, chcą, żebym pisał do gazet. Spodziewałem się czegoś innego, w końcu jestem naukowcem. Zaprzeczaj każdemu, kto opowiada, że myślę o porzuceniu Edgestow. Mam nadzieję, że uda Ci się wypad do Cambridge. Do jakich kręgów dotarłeś!

*Pozdrawiam,
Mark G. Studdock*

PS. Laird nie nadaje się w żadnym wypadku. Dostał słabą ocenę, a jego jedyna publikowana praca była przedmiotem dowcipów poważnych recenzentów. On w ogóle nie ma zmysłu krytycznego. Możesz być pewien, że będzie wychwalał pod niebiosa każdą bzdurę.

Ulga, jaką mu przyniosło skończenie listu, trwała bardzo krótko. Gdy tylko zakleił kopertę, powróciła udręka pytania, co robić z resztą dnia. W końcu postanowił spędzić ją w swoim pokoju, ale kiedy do niego wszedł, zobaczył, że z łóżka zdjęto pościel, a na środku stoi odkurzac. Najwyraźniej gości nie spodziewano się w ich pokojach o tej porze dnia. Zszedł na dół, chcąc usiąść w sali klubowej, ale akurat tam sprzątano. Zajrzał do biblioteki. Zastał tam tylko dwu mężczyzn, którzy rozmawiali przyciszonymi głosami, a na jego widok przerwali rozmowę i popatrzyli wyczekująco, jawnie okazując, że im przeszkadza. W holu zobaczył Steele'a, który stał przy tablicy ogłoszeń i rozmawiał z jakimś mężczyzną ze spiczastą bródką. Żaden z nich nie spojrzał na Marka, ale kiedy obok nich przechodził, zamilkli. Przeszedł przez hol i udał, że sprawdza barometr. Wałęsał się tak bez celu przez jakiś czas, a zewsząd dochodziły odgłosy otwierania i zamykania drzwi, pospiesznych kroków i telefonów - odgłosy, jakie się słyszy w każdej instytucji tętniącej życiem. Życiem, z którego został wykluczony. Otworzył frontowe drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Mgła była gęsta, mokra i zimna.

Każda narracja jest pod pewnym względem fałszywa - nie oddaje rzeczywistego upływu czasu. Dzień dłużył się Markowi tak nieznośnie, że jego drobiazgowy opis byłby nie do czytania. Czasami siedział na górze - na szczęście skończono już sprzątać jego pokój - czasami wychodził na dwór w gęstą mgłę, czasami wałęsał się po holu czy bibliotece. Wszę dzie napotykał grupki rozmawiających ze sobą ludzi i z początku próbował za wszelką cenę nie sprawiać wrażenia kogoś, kto nie ma żadnego zajęcia, nie mieć żalosej, zakłopotanej miny, ale po kilku minutach wszyscy nagle gdzieś zniknęli, jakby ich wezwał do pilnych zajęć niewidzialny sygnał.

W jakiś czas po lunchu spotkał Stone'a. Nie myślał o nim od wczorajszego poranka, ale teraz, patrząc na jego minę i dostrzegając coś ukradkowego w jego sposobie bycia, zdał sobie sprawę, że ma do czynienia z człowiekiem, który czuje się tutaj tak samo niepewnie jak on. Było w nim to coś, co często można dostrzec w niepopularnych lub nowych uczniach w szkole, w outsiderach w Bractonie - to coś, co dla Marka było symbolem jego najgorszych lęków, bo w jego skali wartości ktoś, kto tak wyglądał, był największym złem. Instynktownie poczuł, że nie powinien z nim

rozmawiać. Wiedział z doświadczenia, jak niebezpiecznie jest przyjaźnić się - a nawet tylko być widzianym - z kimś, kto został uznany przez środowisko za tonącego: nie można go utrzymać na powierzchni, a samemu można się pogrążyć. Doszedł jednak do takiego stanu, że w poszukiwaniu towarzystwa zrezygnował z ostrożności i pozdrowił go przyjaźnie.

Stone wzdrygnął się, jakby go przeraził sam fakt, że ktoś do niego zagadnął, i wyjąkał:

- Dobry wieczór.

- Chodźmy gdzieś i pogadajmy, jeśli masz chwilę czasu - zaproponował Mark.

- Ja... to znaczy... nie jestem pewny, ile mam wolnego czasu wyjąkał Stone.

- Co sądzisz o tym miejscu? Bo ja mam jak najgorsze wrażenia, ale jeszcze się nie zdecydowałem. Chodźmy do mojego pokoju.

- Wcale tak nie uważam - odrzekł szybko Stone. - Wcale. Kto powiedział, że tak uważam?

Mark nie zdążył jednak na to odpowiedzieć, bo w tym momencie dostrzegł zmierzającego ku nim Withera. W ciągu najbliższych kilku tygodni miał odkryć, że żaden korytarz lub pokój w Belbury nie był bezpiecznym miejscem, jeśli się chciało uniknąć spotkania z wicedyrektorem, który miał zwyczaj obchodzenia wszystkich pomieszczeń w czasie swoich długich spacerów. Trudno byłoby zresztą uznać to za szpiegowanie, bo donośny stukot jego butów i posępna melodia, jaką prawie zawsze buczał pod nosem, stanowiły wystarczające ostrzeżenie dla każdego. Słyszało się go z daleka, a często i dostrzegało, bo był wysoki (a byłby jeszcze wyższy, gdyby się tak nie garbił) i zwykle, nawet w tłumie, widać było z daleka jego twarz, a każdy odnosił dziwne wrażenie, że wicedyrektor patrzy akurat na niego. Dla Marka był to jednak pierwsze doświadczenie owej wszechobecności wicedyrektora i pomyślał, że ten zjawiał się w najmniej sprzyjającym momencie.

Wither zbliżył się do nich powoli, patrząc w ich kierunku, ale w taki sposób, że trudno było się zorientować, czy ich rozpoznał, a potem przeszedł obok. Nie próbowali już wracać do rozmowy.

Podczas popołudniowej herbaty Mark dostrzegł Feverstone'a i natychmiast postanowił usiąść obok niego. Zdawał sobie sprawę, że dla człowieka w jego sytuacji najgorsze jest narzucanie się komukolwiek, ale teraz czuł się już tak zdesperowany, że machnął na to ręką.

- Cześć, Feverstone! - zaczął niefrasobliwym tonem. - Chciałbym się czegoś dowiedzieć... - Poczul ulgę, gdy zobaczył, że Feverstone się uśmiecha. - Muszę przyznać, że przyjęcie, jakie mi zgotował ten Steele, trudno nazwać ciepłym. WD nie chce jednak słyszeć o mojej rezygnacji. No i zdaje się, że Wróżka chce, żebym pisał do gazet. Może ty wreszcie wiesz, czego tu się ode mnie oczekuje?

Feverstone śmiał się głośno i długo.

- Bo gdy chodzi o mnie- ciągnął Mark - to niech mnie cholera weźmie, jeśli wiem, co mam tu robić. Próbowałem coś wydusić z tego starego...

- O Boże! - zawołał Feverstone, śmiejąc się jeszcze głośniej.

- Czy nigdy nie można z niego wyciągnąć czegoś konkretnego?

- Coś można, ale nigdy nie to, co by się chciało - odrzekł Feverstone, chichocąc.

- No to jak, do diabła, mam się dowiedzieć, czego ode mnie oczekują, skoro nikt nie chce mi udzielić żadnej informacji?

- No właśnie!

- Aha, i to mi coś jeszcze przypomniało. Skąd Curry'emu przyszło do głowy, że rezygnuję z kolegium?

- A nie rezygnujesz?

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

- Naprawdę? Bo Wróżka mi powiedziała, że już tam nie wracasz.

- Chyba nie sądzisz, że gdybym chciał złożyć rezygnację, to zrobiłbym to przez nią?

Promienny i szeroki uśmiech nie zniknął z twarzy Feverstone'a.

- Zrozum, to bez różnicy - powiedział. - Jeśli zechcą, żebyś miał jakąś nominalną posadę poza Belbury, to ją będziesz miał, a jeśli nie zechcą, to jej nie dostaniesz. To takie proste.

- A co to obchodzi NIBS? Ja tylko staram się zachować członkostwo kolegium, to, co już mam, a im nic do tego. Nikt nie chce wpaść w dziurę między dwoma stolkami.

- Masz rację, nikt tego nie chce.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Posłuchaj mojej rady i postaraj się jak najszybciej odzyskać łaski Withera. Dzięki mnie miałeś dobry start, ale zdaje mi się, że doprowadziłeś go do irytacji. Jego stosunek do ciebie trochę się zmienił od rana. Musisz go jakoś ugłaskać. I, między nami mówiąc, nie spoufalalbym się tak z Wrózką. W karierze ci to nie pomoże. Są tryby większe i są małe trybiki.

- W każdym razie - powiedział Mark - napisałem do Curry'ego, że pogłoski o mojej rezygnacji to czyste bzdury.

- Nie zaszkodzi, jeśli cię to bawi - wycedził Feverstone, wciąż się uśmiechając.

- No wiesz, nie sądzę, żeby kolegium chciało się mnie pozbyć tylko dlatego, że Curry coś źle zrozumiał. Coś, co pani Hardcastle powiedziała tobie.

- Jeśli dobrze znam statut, to nikt nie może cię pozbawić członkostwa, chyba że z powodu rażącej niemoralności.

- Oczywiście. Nie o tym myślałem. Chodzi mi o to, że mogą mnie nie wybrać ponownie, podczas najbliższych wyborów semestralnych.

- Och, teraz rozumiem.

- I właśnie dlatego liczę na ciebie, że wybijesz to Curry'emu z głowy.

Feverstone milczał.

- Na pewno ci się uda - nalegał Mark, choć tracił już nadzieję - przekonać go, że to jakieś nieporozumienie.

- Nie znasz Curry'ego? Przecież on już dawno uruchomił tę całą swoją kuglarską maszynę, żeby załatwić sprawę następstwa po tobie.

- Właśnie dlatego liczę na ciebie, że go powstrzymasz.

- Na mnie?

- Tak.

- Dlaczego na mnie?

- Do diabła, Feverstone, przecież to ty mnie do tego namówiłeś!

Lord Feverstone wziął z talerzyka płaską bułeczkę.

- Wiesz co, Studdock? - zaczął. - Twój sposób prowadzenia rozmowy nie bardzo mi odpowiada. Za parę miesięcy będą ponowne wybory. Kolegium może cię wybrać ponownie i, oczywiście, może tego nie zrobić. Jeśli dobrze rozumiem, próbujesz już teraz zapewnić sobie swój głos. Na co mam tylko jedną odpowiedź: idź do diabła!

- Wiesz doskonale, że nie miałbym żadnych kłopotów z ponownym wyborem, gdybyś nie szepnęła o mnie paru słów Curry'emu!

Feverstone obejrzał bułeczkę krytycznym spojrzeniem.

- Nudzisz mnie - powiedział. - Jeśli sam nie wiesz, jak sobie dawać radę w takim miejscu jak Bracton, to po co mnie tym zadręczasz? Nie jestem twoją niańką. I dla twojego własnego dobra radziłbym ci rozmawiać tutaj z ludźmi w sposób bardziej możliwy do zaakceptowania. Jeśli się tego nie nauczysz, twoje życie może się stać - według słynnego powiedzenia - „przykre, nędzne, zbydlęcone i krótkie!” [Według T. Hobbesa opisującego społeczeństwo pierwotne w dziele *Leviathan*.]

- Krótkie? - powtórzył Mark. - To groźba? I czy masz na myśli moje życie w Bractonie czy w Belbury?

- Na twoim miejscu nie przywiązywałbym większej wagi do tego rozróżnienia.

- Zapamiętam to sobie - warknął Mark, powstając. Już miał odejść, ale nie mógł się powstrzymać, by jeszcze raz nie spojrzeć Feverstone'owi prosto w rozśmianą twarz i nie dorzucić: - To ty mnie tu ściągnąłeś. Myślałem, że jesteś moim przyjacielem.

- Nieuleczalny romantyk! - powiedział lord Feverstone, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej i wsunął w otwarte usta bułeczkę.

I w ten sposób Mark dowiedział się, że jeśli utraci posiadłość w Belbury, to utraci też członkostwo w kolegium braktońskim.

* * *

W ciągu tych dni Jane spędzała jak najmniej czasu w domu, a nocami starała się jak najdłużej nie zasnąć, czytając w łóżku książkę. Sen stał się jej wrogiem. W ciągu dnia często jeździła do Edgestow, żeby znaleźć jakąś „kobietę na dwa dni w tygodniu” na miejsce pani Maggs. Podczas jednego z wypadów do miasteczka spotkała Camillę Denniston. Sprawilo jej to prawdziwą radość. Camilla właśnie wysiadała z samochodu i po chwili przedstawiła Jane swego męża, wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę. Jane od razu zauważyła, że Dennistonowie należą do tego rodzaju ludzi, który bardzo lubiła. Wiedziała, że Denniston przyjaźnił się kiedyś z Markiem, ale ona nigdy się z nim nie spotkała i teraz zadała sobie w duchu pytanie, dlaczego dzisiejsi znajomi Marka tak bardzo ustępują dawnym. Carey, Wadsden czy Taylorowie, z którymi się przyjaźnił, kiedy go poznała, na pewno byli miłsi od Curry'ego i Busby'ego, nie mówiąc już o tym całym lordzie Feverstone. A Denniston był naprawdę dużo miłszy.

- Właśnie jechaliśmy po panią! - zawołała Camilla. - Niech pani posłucha, mamy ze sobą coś do jedzenia. Co by pani powiedziała na przejażdżkę do lasu, za Sandown? Możemy zjeść lunch w samochodzie. Jest wiele spraw do omówienia.

- A może pojedziemy do mnie i zjemy lunch? - zapytała Jane, zastanawiając się w duchu, jak sobie z tym poradzi. - To chyba nie jest pogoda na piknik.

- Żeby miała pani więcej zmywania? To już lepiej zjedźmy coś w mieście. Frank, co ty na to? Pani Studdock uważa, że na piknik jest za zimno i za mglisto.

- Restauracja to nie najlepszy pomysł pani Studdock - powiedział Denniston. - Chcemy być sami. - To ostatnie zdanie odnosiło się najwyraźniej do nich trojga i od razu nawiązało między nimi miłą, rzeczową więź. - W taki jesienny, mglisty dzień las jest naprawdę piękny. I będzie nam całkiem ciepło w samochodzie, zobaczy pani.

- Jane odpowiedziała, że po raz pierwszy spotyka kogoś, kto lubi mgłę, ale może spróbować. Wsiadli do samochodu.

- Właśnie dlatego się pobraliśmy - rzekł Denniston, kiedy ruszyli. - Oboje lubimy pogodę. Nie jakąś określoną pogodę, ale pogodę jako taką. To się przydaje, kiedy się mieszka w Anglii.

- Skąd wam się to wzięło? - zapytała Jane. - Bo mnie jakoś nikt nie nauczył lubić deszczu lub śniegu.

- To nie tak. Każdy jako dziecko lubi pogodę jako taką. Uczymy się nie lubić deszczu lub śniegu, w miarę jak dorastamy. Nie zauważyła pani tego w jakiś śnieżny dzień? Dorosli mają skwaszone miny, ale wystarczy spojrzeć na dzieci... albo na psy. One wiedzą, po co został stworzony śnieg.

- Jestem pewna, że jako dziecko nie znosiłam deszczowych dni.

- Bo wtedy dorośli nie wypuszczali pani na dwór - powiedziała Camilla. - Każde dziecko lubi deszcz, jeśli może wyjść i taplać się w kałużach.

Za Sandown zjechali z nieogrodzonej drogi i dotarli do zielonej łąki okolonej z jednej strony bukami, a z drugiej gęstym zagajnikiem sosnowym. Pomiędzy gałęziami połyskiwały pajęczyny, a wokoło mocno pachniało jesienią. Usiedli razem na tylnej kanapie samochodu, a Dennistonowie wyciągnęli koszyki. Były tam kanapki i sherry, gorąca kawa i papierosy. Jane poczuła się lepiej.

- No to do dzieła! - powiedziała Camilla, gdy skończyli.

- Chyba ja zacznę - rzekł Denniston. - Oczywiście wie pani, skąd przyjechaliśmy?

- Z domu pani Ironwood.

- No tak, z domu, w którym i ona mieszka. Ale rzecz przedstawia się trochę inaczej, niż pani myśli.

- Tak?

- Głową naszej małej wspólnoty czy rodziny - można to różnie nazwać - jest niejaki Fisher-King. W każdym razie takie nazwisko przybrał ostatnio. Jego prawdziwe nazwisko chyba pani nic nie powiedziało. To wielki podróżnik, ale teraz jest inwalidą. Podczas ostatniej podróży został zraniony w nogę i ta rana nie chce się zagoić.

- A dlaczego zmienił nazwisko?

- Miał zamężną siostrę w Indiach, panią Fisher-King, która umarła, pozostawiając mu wielką fortunę, pod warunkiem, że przybierze jej nazwisko. To była dość niesamowita postać. Przyjaźniła się z wielkim indyjskim mistykiem chrześcijańskim, Surą, może pani - o nim słyszała. Od tego wszystko się zaczęło. Sura miał powody, by wierzyć, że nad ludzkością zawisło wielkie niebezpieczeństwo. Tuż przed śmiercią doszedł do przekonania, że to zagrożenie ma związek z jakąś głową na tej wyspie. A kiedy odszedł...

- Umarł? - zapytała Jane.

- Tego nie wiemy - odpowiedział Denniston. - Niektórzy sądzą, że wciąż żyje, inni, że umarł. W każdym razie zniknął. A pani Fisher-King przekazała to ostrzeżenie swojemu bratu. Właśnie dlatego zapisała mu cały majątek. Miał zebrać grupę zaufanych ludzi, czatować na to zagrożenie i uderzyć, gdy nadejdzie.

- To nie całkiem tak, Arthurze - powiedziała Camilla. - Ta grupa zaufanych ludzi miała się sama zebrać wokół niego, a on miał być ich przywódcą.

- To już są szczegóły. Ale zgoda, masz rację. No i tutaj, pani Studdock, dochodzimy do pani osoby.

Jane milczała.

- Sura powiedział, że kiedy nadejdzie czas, powinniśmy znaleźć wizjonera: osobę, która ma wewnętrzny wzrok.

- To nie my mamy znaleźć wizjonera, Arthurze - wtrąciła Camilla - ale raczej on nas. W każdym razie ma się pojawić i może trafić w ręce naszych przeciwników. Albo my, albo oni.

- I wszystko wskazuje na to - Denniston zwracał się teraz do Jane - że to pani jest owym oczekiwanym wizjonerem.

- Dajcie mi spokój! - powiedziała Jane ze śmiechem. - Wcale nie chcę być kimś tak ważnym.

- To zrozumiałe. Ale akurat na panią to trafiło. - W jego głosie można było wyczuć nutę współczucia.

Camilla spojrzała na nią i powiedziała:

- Dowiedziałam się od Grace Ironwood, że nie jest pani przekonana o swoich niezwykłych zdolnościach. Uznała pani, że to zwyczajne sny. Czy nadal pani tak sądzi?

- To wszystko jest takie dziwne i... wstrętnie... - powiedziała Jane. Znajomy wewnętrzny sufler

szeptał: „Bądź ostrożna. Nie daj się wciągnąć. W nic się nie angażuj”. Ale jakiś impuls kazał jej dodać: - Prawdę mówiąc, od tego czasu znowu miałam sen. Sen, który okazał się rzeczywistością. Zobaczyłam morderstwo... Zobaczyłam, jak zabito pana Hingesta.

- No widzi pani - powiedziała Camilla. - Och, pani Studdock, przecież musi się pani do nas przyłączyć! Musi pani, naprawdę musi! Już jesteśmy tak blisko. Nie rozumie pani? Wciąż się głowiliśmy, jak odnaleźć to miejsce, gdzie ma się narodzić zagrożenie, a pani już coś zobaczyła, właśnie tu, kilka mil od Edgestow. Przecież my już jesteśmy w zasięgu tego... tej... cokolwiek to jest... I bez pani pomocy nie możemy nic zrobić. Jest pani naszą tajną służbą, naszymi oczami. To wszystko zostało już ułożone na długo przed naszym urodzeniem. Niech pani wszystkiego nie popsuje! Niech się pani do nas przyłączy.

- Nie, Cam, tak nie można - przerwał jej mąż. - Pendragon... to znaczy nasz przywódca... nie byłby z tego zadowolony. Pani Studdock musi sama dokonać wyboru. Może do nas przystać tylko z własnej woli.

- Ale przecież ja nic nie wiem o tym wszystkim - powiedziała Jane. - Nie chcę brać udziału w czymś, czego nie rozumiem.

- Nie pojmuje pani - wtrąciła Camilla - że nie może pani pozostać neutralna? Jeśli się pani nie odda nam, wróg panią wykorzysta.

Nie był to najszcześniejszy dobór słów: „jeśli się pani nie odda nam”. Jane poczuła, że sztywnieje. Gdyby nie powiedziała tego Camilla, którą już zdążyła polubić, pozostałaby głucha na wszelkie dalsze namowy. Denniston położył rękę na ramieniu żony.

- Musisz na to spojrzeć z punktu widzenia pani Studdock. Zapomniałaś, że właściwie nic o nas nie wie. I tu mamy kłopot, bo nie możemy powiedzieć jej zbyt wiele, dopóki się do nas nie przyłączy. Prawdę mówiąc, żądamy od niej, aby skoczyła w ciemność. Zwrócił się do Jane, uśmiechając się zagadkowo, choć mimo to na jego twarzy malowała się powaga: - To tak, jak wziąć z kimś ślub, zaciągnąć się do marynarki jako chłopiec albo wstąpić do klasztoru. Człowiek nie wie, jak to jest, dopóki nie skoczy głową naprzód.

Mówiąc to, nie zdawał sobie chyba sprawy (a może zdawał?) ze skomplikowanych resentymentów i oporów, jakie wzbudził w Jane jego wybór porównań, choć nie miała czasu, aby je teraz analizować. Odpowiedziała więc chłodnym tonem:

- W każdym razie trudno mi zrozumieć, dlaczego właściwie mam się w to wszystko angażować.

- Mówiąc szczerze, może pani tylko nam zaufać. Myślę, że tak naprawdę wszystko zależy od tego, jakie wrażenie wywarli na pani Dimble'owie, Grace i my. No i, oczywiście, nasz Przewodniczący, kiedy go pani pozna.

- Jane trochę zmiękla.

- Czego właściwie ode mnie oczekujecie? - zapytała.

- Przede wszystkim, żeby się pani zgodziła porozmawiać z naszym szefem... nazywamy go Przewodniczącym. A potem... no, żeby się pani do nas przyłączyła. Będzie to wymagać od pani złożenia mu pewnych przyrzeczeń. My wszyscy zgodziliśmy się słuchać jego poleceń. Och... i jest coś jeszcze. Jak pani myśli, co mógłby o tym wszystkim sądzić Mark? Jesteśmy starymi przyjaciółmi...

- Czy naprawdę musimy teraz o tym mówić? - zapytała Camilla.

- Wcześniej czy później będziemy musieli - odrzekł jej mąż.

Zapadło krótkie milczenie.

- Mark? - zapytała Jane. - A co on ma z tym wspólnego? Nie mam pojęcia, co by na to wszystko powiedział. Chyba pomyślałby, że wszyscy zwariowaliśmy.

- Ale czy mógłby mieć jakieś obiekcje? To znaczy... gdyby pani się do nas przyłączyła?

- Gdyby w ogóle był w domu, to pewnie by się bardzo zdziwił, gdybym mu oświadczyła, że zamierzam zamieszkać w St Anne's. Bo chyba to oznacza „przyłączenie się do was”?

- A Marka nie ma w domu? - zdziwił się Denniston.

- Nie. Jest w Belbury. Chyba zamierza pracować w tym NIBS-ie.

Powiedziała to z pewną satysfakcją, bo była już świadoma, jakie to może mieć dla nich znaczenie. Ale jeśli nawet na Dennistonie zrobiło to wrażenie, nie okazał tego po sobie.

- Nie sądzę - rzekł - aby „przyłączenie się do nas” musiało od razu oznaczać zamieszkanie pani w St Anne's, zwłaszcza że jest pani zamężna. Jeśli Marka to zainteresuje i sam do nas przyjedzie...

- To już zupełnie inna sprawa - przerwała mu Jane, myśląc w duchu: „On zupełnie nie zna Marka”.

- W każdym razie - ciągnął Denniston - to nie jest teraz sprawa najważniejsza. Czy miałby jakieś obiekcje, gdyby się pani do nas przyłączyła, zgodziła słuchać poleceń Przewodniczącego, dokonała pewnych przyrzeczeń?

- Czy mógłby mieć jakieś obiekcje? - powtórzyła Jane. - A co on w ogóle mógłby mieć z tym wspólnego?

- Bo widzi pani... - zaczął Denniston i zawahał się lekko. " Przewodniczący... albo ci, którym podlega... mają raczej staroświeckie poglądy. Sądzę, że nie bardzo by mu się podobało, gdyby miała się do nas przyłączyć kobieta zamężna bez... bez zgody męża... bez konsultacji...

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że miałabym prosić Marka o pozwolenie? - spytała, parszkając ironicznym śmiechem.

Niechęć, która w ciągu ostatnich kilkunastu minut to wzbierała w niej, to znów opadała, teraz wybuchła ze wzmożoną siłą. Już cała ta mowa o przyrzeczeniach i posłuszeństwie jakiemuś bliżej nieznanemu Fisher-Kingowi budziła w niej odrazę, ale gdy uświadomiła sobie, że ta sama osoba miałaby odesłać ją do Marka, aby uzyskać jego łaskawą akceptację, Jane miała tego zupełnie dosyć. Popatrzyła na Dennistona z niechęcią. On, Mark i ten cały Fisher-King to po prostu mężczyźni, zadowoleni z siebie patriarchowie, rządzący kobietom życie, jakby były dziećmi, handlujący nimi jak byłem. („I król obiecał, że odda swoją córkę temu, kto zabije smoka”). Poczwała, jak wzbiera w niej złość.

- Arthurze - odezwała się Camilla - czy widzisz ten blask? Myślisz, że to jakieś ognisko?

- Chyba tak.

- Nogi mi trochę zmarzły. Przejdźmy się trochę, żeby na nie popatrzeć! Szkoda, że nie mamy kilku kasztanów.

- Och tak, chodźmy - ucieszyła się Jane.

Wysiedli z samochodu. Okazało się, że na zewnątrz jest teraz cieplej niż w samochodzie. Pachniało liśćmi i wilgocią, z gałęzi kapą woda. Ognisko było duże, płomień nie strawił jeszcze nawet połowy drewna. Stanęli przy nim i gawędzili przez jakiś czas o innych sprawach.

- Powiem wam, co zrobię - powiedziała nagle Jane. - Nie przyłączę się do waszego... do waszej... no, cokolwiek to jest. Ale przyrzekam, że powiadomię was, jeśli znowu będę miała sny tego rodzaju.

- Wspaniale! - zgodził się Denniston. - Myślę, że to tyle, ile mieliśmy prawo oczekiwać. Doskonale rozumiem pani punkt widzenia. Mogę poprosić o jeszcze jedno przyrzeczenie?

- O co?

- Żeby pani nikomu o nas nie wspominała.

- Och, oczywiście.

Kiedy wrócili do samochodu i ruszyli w drogę powrotną, Denniston rzekł:

- Pani Studdock, mam nadzieję że te sny nie będą pani tak bardzo dręczyć. To nie oznacza, że już ich nie będzie, wręcz przeciwnie. Ale teraz, kiedy już pani wie, że nie biorą się z czegoś, co jest w pani, ale pochodzą z zewnątrz, będzie pani o wiele łatwiej je znosić. Są okropne, w to nie wątpię, ale chyba nie gorsze od tego, o czym można codziennie przeczytać w gazetach. Im mniej będzie pani o nich myślała jako o pani snach, a bardziej jako o... no, wiadomościach... tym lepiej będzie je pani znosiła.

Rozdział 6

Mgła

Jeszcze jedna noc (prawie bezsenna) i pół następnego dnia minęły, wlokąc się niemilosiernie, zanim Mark uzyskał możliwość rozmowy z wicedyrektorem. Poszedł do niego skruszony, pragnąc dostać posadę w instytucie na każdych warunkach.

- Odnoszę panu formularz, panie dyrektorze - powiedział.

- Jaki formularz? - zdziwił się Wither.

Mark stwierdził, że rozmawia z zupełnie innym, nieznanym mu dotąd Witherem. Wciąż sprawiał wrażenie nieobecnego myślami, ale przestał być uprzejmy. Patrzył na niego tak, jakby dzielił ich jakiś wielki dystans, ale i z taką niechęcią, która mogłaby się przerodzić w jawną nienawiść, gdyby ów dystans choć trochę się zmniejszył. Wciąż się uśmiechał, ale w tym uśmiechu było coś z kota szczerzącego zęby. Mark był wyraźnie myszą w jego pazurach. W Bractonie Postępowa Elita, mając do czynienia z innymi wykładowcami, starała się ich nie zrażać zbyt wyniosłym zachowaniem; tu, w Belbury, było zupełnie inaczej. Wither oświadczył, iż zrozumiał, że Mark zrezygnował już z pracy w instytucie. Jako wicedyrektor nie widzi żadnej możliwości ponowienia propozycji. Mówił niezbyt jasno o jakichś napięciach i tarciach, o nierozważnym zachowaniu, o niebezpieczeństwie robienia sobie wrogów, a wreszcie wycedził, że NIBS nie może sobie pozwolić na zatrudnianie osób, które w ciągu pierwszego tygodnia potrafią zrazić do siebie wszystkich jego członków. Jeszcze bardziej mętnie wspominał o niepokojących rozmowach, które odbył z „pańskimi kolegami w Bractonie”, którzy całkowicie podzielili jego pogląd. Wyraził wątpliwość, czy Mark w ogóle nadaje się do kariery naukowej, ale nie zamierzał dawać mu żadnych rad w tym względzie. Kiedy już wprowadził Marka w stan kompletnego przygnębienia, rzucił mu, jak psu kość luźną propozycję zatrudnienia na okres próbny z pensją sześciuset funtów rocznie. I Mark ją przyjął, choć nawet w tej sytuacji zaryzykował kilka pytań. Komu będzie podlegał? I czy ma rezydować w Belbury?

- O ile pamiętam, panie Studdock - odpowiedział Wither - wspomniałem już panu, że zasadą naszego działania jest elastyczność. Jeśli nie jest pan gotów w traktować członkostwa instytutu jako... ee... bardziej powołania niż tylko zatrudnienia, to nie mógłbym panu doradzać z pełną odpowiedzialnością, aby pan z nami współpracował. Pracujemy tu na zasadzie naczyń połączonych. Obawiam się, że nie byłbym w stanie przekonać członków komitetu, by zgodzili się na stworzenie panu takich warunków, w których wypełniałby pan sztucznie ograniczone obowiązki, a poza nimi miałby pan czas do swojej dyspozycji. Niech mi pan pozwoli skończyć, panie Studdock. Tworzymy tu, jak już panu mówiłem, bardziej coś w rodzaju rodziny, albo nawet jednej osobowości. Nie ma mowy o „podleganiu” jakiemuś jednemu konkretnemu urzędnikowi, jak pan niefortunnie się wyraził, i zachowywaniu całkowitej niezależności wobec innych kolegów... Jestem zmuszony prosić, żeby mi pan nie przerywał... W ten sposób u nas się nie pracuje. Musi pan sam potwierdzić swoją użyteczność, panie Studdock, swoją ogólnie pojętą użyteczność. Nie sądzę, aby instytut mógł zaakceptować pozostawienie w nim kogoś, kto jest niechętny spełnianiu tej czy innej funkcji tylko dlatego, że wykraczają one poza pewien zakres obowiązków, które można by z góry zamknąć w ramach ścisłej definicji. Z drugiej strony, byłoby równie katastrofalne... dla pana, panie Studdock... równie katastrofalne, gdyby pan pozwolił sobie na oderwanie się od swoich prawdziwych obowiązków przez nieautoryzowaną, samowolną współpracę z innymi członkami instytutu... lub, jeszcze gorzej, ingerencję w ich sprawy. Nie może pan pozwolić na to, by jakieś przypadkowe sugestie odrywały pana od konkretnego zadania lub osłabiały pańskie

zaangażowanie. Koncentracja, panie Studdock, koncentracja. I gotowość do dawania i brania. Jeśli pan zdoła ustrzec się obu tych błędów, o których wspomniałem... ee... nie traciłbym nadziei na pozytywną korektę pewnych niezbyt szczęśliwych wrażeń, jakie wzbudziło w nas, muszę to powiedzieć, pańskie dotychczasowe zachowanie. Nie, panie Studdock, nie pozwolę na dalszą dyskusję. Jestem bardzo zajęty. Nie mogę być ustawicznie nękanym takimi rozmowami. Do widzenia, panie Studdock, do widzenia. I proszę pamiętać, co panu powiedziałem. Robię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc. Do widzenia.

Mark złagodził poczucie upokorzenia, jakie go spotkało, refleksją, że gdyby nie był żonaty, nie zniósłby tego ani przez chwilę. Wydawało mu się (choć nie ubrał tego w słowa), że w ten sposób przerzuca ciężar porażki na Jane. Pozwoliło mu to również wyobrazić sobie, co by powiedział Witherowi, gdyby nie musiał się o nią troszczyć. W znacznie lepszym nastroju szedł na herbatę i stwierdził, że rozpoczyna się wypłata premii za jego pokorę. Wróżka pomachała do niego ręką, dając mu znać, aby przy niej usiadł.

- Czy zająłeś się już Alcasanem? - zapytała.

- Nie - odparł Mark. - Ale mogę wpaść do ciebie dziś po południu i przejrzeć materiały... W każdym razie wydaje mi się, że mogę, bo wciąż nie jestem pewien, na czym mają polegać moje obowiązki.

- Elastyczność, mój drogi, elastyczność - powiedziała pani Hardcastle. - Tego nigdy nie będziesz pewny. Po prostu rób to, co ci każą, a przede wszystkim nie zwracaj głowy temu staruszkowi.

* * *

Przez następne kilka dni gęstniała mgła, spowijająca zarówno Edgestow, jak i Belbury. W Edgestow twierdzono, że ta mgła „unoszą się z rzeki”, ale w rzeczywistości zalegała nad całą środkową Anglią. W miasteczku wszystkie mury ociekały wodą, można było napisać palcem swoje nazwisko na wilgotnym blacie każdego stołu, a w południe ludzie pracowali przy sztucznym świetle. Tam, gdzie jeszcze niedawno był Las Bragdon, wciąż trwały roboty budowlane, ale już nie raziły oczu upartych konserwatystów; spoza tumanów mgły słychać było tylko huki, zgrzyty, łoskoty, metaliczne podzwanianie, okrzyki i przekleństwa.

Niektórzy byli radzi, że mgła ukryła ten ohydny widok, bo teraz wszystko to, co działo się za rzeką Wynd, budziło powszechną odrazę. NIBS panoszył się w Edgestow coraz bardziej. Porośnięta na brzegach trzcinami rzeka, która do tej pory zachwycała grą barw - od brązowozielonej, poprzez bursztynową do srebrzystej - teraz była mętna, gęsta od mułu, pełna pustych puszek, strzępów papieru, niedopałków i kawałków drewna, poznaczona plamami opalizującej ropy. Ale był to dopiero początek prawdziwej inwazji. Instytut zakupił tereny położone na lewym albo wschodnim brzegu rzeki. Teraz Busby został wezwany na spotkanie z Feverstone'em i profesorem Frostem i dowiedział się po raz pierwszy, że bieg rzeki Wynd zostanie zmieniony. Rzeka nie będzie już płynąć przez Edgestow. To ściśle poufna informacja, ale instytut ma już zapewnione poparcie dla tego przedsięwzięcia. Trzeba na nowo wytyczyć granice między NIBS-em a Bracton College. Busby'emu opadła szczeka, kiedy zdał sobie sprawę, że - tereny należące do instytutu mają sięgać aż do murów kolegium. Oczywiście wyraził swój sprzeciw, a wówczas po raz pierwszy dano mu do zrozumienia, że może dojść do zarekwirowania ziemi. Teraz kolegium może ją sprzedać i dostać za nią całkiem niezłą sumę, ale jeśli tego nie zrobi, w niedalekiej przyszłości będzie musiało się zadowolić symboliczną rekompensatą. Podczas tego spotkania stosunki między Feverstone'em i kwestorem wyraźnie się pogorszyły.

Zwołano nadzwyczajne posiedzenie kolegium i Busby musiał stawić czoło burzy, jaka wybuchła. Spotkał się z takimi obelgami, że ledwo zdołał to wszystko wytrzymać fizycznie. Na próżno starał się wykazać, że ci, którzy go teraz oskarżają, sami głosowali za sprzedażą lasu. Zresztą równie bezpłodne były oskarżenia pod jego adresem. Kolegium znalazło się w pułapce. Sprzedano więc instytutowi wąski pas ziemi nad rzeką Wynd, między murami kolegium a brzegiem rzeki. Dwadzieścia cztery godziny później NIBS zamienił ten pas ziemi w olbrzymią hałdę. Przez cały dzień robotnicy krążyli po ułożonych deskach, zrzucając ziemię pod same mury Bractonu, aż w końcu przywalili nią okno Henrietty Marii, a wysypisko sięgnęło już prawie wschodniego okna kaplicy.

Wielu członków Postępowej Elity zmieniło front i przyłączyło się do opozycji. Ci, którzy zostali, jeszcze bardziej zwarli szeregi, znalazłszy się pod ostrzałem ogólnej opinii. I choć w ten sposób doszło do tak ostrych podziałów wewnątrz kolegium, z tego samego powodu zjednoczyło się ono w obronie swojego dobrego imienia na zewnątrz, bo za sprowadzenie NIBS-u do Edgestow obwiniano całe Bracton College. Było to niesprawiedliwe, jako że w swoim czasie wielu ważnych przedstawicieli uniwersytetu całkowicie poparło tę decyzję, teraz jednak, gdy jej opłakane skutki stały się tak widoczne, nie chciano o tym pamiętać. Kiedy Feverstone dał Busby'emu do zrozumienia, że może dojść do przymusowego wywłaszczenia, zaznaczył, iż mówi mu to w ścisłym zaufaniu, ale w obliczu takiej awantury Busby nie omieszką powtarzać we wszystkich salonach Edgestow:

- I tak nic by to nie dało, gdybyśmy odmówili sprzedaży tego skrawka ziemi.

Niestety, nikt mu nie wierzył a niepopularność Bracton College wciąż narastała. Studenci skorzystali z okazji i przestali chodzić na wykłady członków kolegium. Busby, a nawet zupełnie niewinny dziekan, spotykali się z obelgami na ulicach.

Zwykli mieszkańcy Edgestow, którzy przeważnie nie podzielali opinii uniwersytetu, też byli bardzo wzburzeni. Zamieszki, podczas których w Bracton College wybito szyby, nie zasłużyły sobie na większą uwagę londyńskich gazet, czy nawet „Edgestow Telegraph”, ale doszło jednak do dalszych incydentów. Na jednej z głównych ulic, za stacją, napadnięto na kobietę w sposób uznawany zwykle za obrazę moralności. Dwukrotnie pobito kogoś w pubie. Wzrosła liczba skarg na zagrażające bezpieczeństwu mieszkańców zachowanie robotników sprowadzonych przez NIBS. Gazety jednak o tym milczały. Przypadkowi świadkowie tych paskudnych incydentów ze zdumieniem czytali w „Edgestow Telegraph”, że nowy instytut zadomowił się już dobrze w Edgestow, a między jego pracownikami i starymi obywatelami miasteczka panują serdeczne stosunki. Ci, którzy tych incydentów nie widzieli na własne oczy, a tylko o nich słyszeli, uznawali takie pogłoski za zwykłe plotki albo wyolbrzymianie faktów, bo nie pisano o tym w miejscowej gazecie. Świadkowie slali listy do redakcji, ale ich nie publikowano.

Jeśli nawet można było wątpić w prawdziwość tych wszystkich incydentów, nie ulegało wątpliwości, że prawie wszystkie hotele w mieście przeszły w ręce instytutu, tak że teraz nie można już było wypić z przyjaciółmi szklaneczki whisky w ulubionym barze; że w znajomych sklepach tłoczyli się obcy z wypchanymi portfelami i że ceny znacznie wzrosły; że do każdego autobusu trzeba było czekać w długiej kolejce i że trudno było kupić bilet do każdego kina. Na spokojnych dotąd ulicach od rana do wieczora panował straszny ruch i nigdzie człowiek nie był wolny od agresywnego towarzystwa obcych. Dla mieszkańców małego, targowego miasteczka, jakim był Edgestow, gdzie zwykle nawet przybyszów z sąsiedniego hrabstwa uważano za obcych, rozbrzmiewająca od rana do późnej nocy we mgle mieszanina północnych, walijskich, a nawet irlandzkich akcentów, krzyków, gwizdów i ordynarnych piosenek była czymś nie do zniesienia.

- Będą poważne kłopoty - komentowali na początku sytuację obywatele miasta, aby po paru

dniach stwierdzić: - Wygląda na to, że oni świadomie do tego dążą. W kronikach miasta nie odnotowano, kto pierwszy powiedział: „Potrzeba nam więcej policjantów”. Po jakimś czasie nawet w „Edgestow Telegraph” zauważono, że coś jest nie w porządku, i zamieszczono niewielki artykuł zawierający nieśmiało przypuszczenie, że lokalna policja nie daje sobie rady z przybyszami.

Jane nie zwracała na to wszystko uwagi. Dręczyła ją niepewność co do własnego losu. Może Mark ściągnie ją do Belbury? Może da sobie z tym spokój i wróci do domu? Jego listy były pełne niedomówień. Może powinna pojechać do St Anne's i zobaczyć się z Dennistonami? Dziwne sny nadal ją nawiedzały, ale Denniston miał rację: o wiele lepiej je znosiła, od kiedy zaczęła je traktować jak „wiadomości”. W jednym z nich, powtarzającym się co jakiś czas, nic się właściwie nie działo, a jednak zdawał się mieć głębokie znaczenie. W tym śnie leżała w swoim łóżku, gdy pojawił się ktoś, kto przysunął do łóżka krzesło i usiadł na nim, najwyraźniej po to, aby ją obserwować. Miał notes, w którym od czasu do czasu coś zapisywał. Przeważnie jednak siedział w milczeniu, czujny, uważny - jak lekarz. Poznała tę bladą twarz tak dobrze, że mogłaby ją zawsze rozpoznać: binokle, spiczasta bródka, wyraźne, dość regularne rysy. Zresztą i jej twarz musiała mu być równie dobrze znana, skoro wszystko wskazywało na to, że właśnie ją studiuje. Kiedy ten sen nawiedził ją po raz pierwszy, nie napisała o tym do Dennistonów, a gdy się powtórzył, było już za późno, aby wysłać list tego samego dnia. Pragnęła pocieszenia, ale - jeśli tylko było to możliwe - pragnęła go bez konieczności odwiedzania St Anne's, bez konieczności spotkania się z tym Fisher-Kingiem i wciągnięcia w orbitę jego wpływów.

W tym samym czasie Mark zajął się rehabilitacją Alcasana. Po raz pierwszy miał w ręku policyjne dossier i trudno mu było je zrozumieć. Starał się to ukryć, ale Wróżka szybko się w tym połapała.

- Poznam cię z kapitanem - powiedziała - on cię we wszystko wprowadzi.

Mark zaczął więc spędzać wiele godzin w towarzystwie jej zastępcy, kapitana O'Hary, postawnego, siwego mężczyzny o przystojnej twarzy, mówiącego z dublińskim akcentem. Utrzymywał, że pochodzi ze starożytnego rodu, którego siedzibą jest Castlemortle. Mark nie bardzo rozumiał jego wyjaśnienia na temat gromadzenia dossier, „rejestrów Q”, systemu „ruchomej kartoteki” i czegoś, co kapitan nazywał „melioracją”. Zresztą cała selekcja faktów pozostawała w rękach O'Hary; Mark przetwarzał tylko materiał w artykuły. Starał się ukryć to przed kapitanem i sprawiać wrażenie, że naprawdę ze sobą współpracują, co, oczywiście, udaremniało mu dalsze uskarżano się, że jest traktowany tylko jako dziennikarz. Miał bardzo dobry styl (który pomógł mu w karierze akademickiej w o wiele większym stopniu, niż się do tego przed samym sobą przyznawał) i na tym polu odnosił sukcesy. Jego artykuły i listy o Alcasanie ukazywały się w gazetach, do których nieznanemu jeszcze autorowi bardzo trudno byłoby się dostać. Oglądając na ich łamach swoje nazwisko, za każdym razem czuł dreszcz przyjemnego podniecenia.

Po jakimś czasie zwierzył się kapitanowi O'Harze ze swoich finansowych kłopotów. Kiedy tu się płaci? Bo ma już niewiele drobnych pieniędzy, a portfel ukradziono mu pierwszego wieczoru w Belbury i dotąd go nie odzyskał. O'Hara ryknął śmiechem.

- Zgłoś się do intendenta! Da ci tyle forsy, ile zażadasz!

- I później odpisuje się to przy wypłacie, tak?

- Człowieku, jak już jesteś w instytucie, nie musisz sobie zawracać głowy takimi sprawami. Przecież to my będziemy rozwiązywać problemy walutowe w całym kraju! To my rządymy forszą!

- Tak myślisz? - zdumiał się Mark, a po chwili dodał: - No, ale jak się stąd odchodzi, to każą ci to wszystko zwrócić, prawda?

- O czym ty mówisz, człowieku? Stąd nikt nie odchodzi. Do tej pory słyszałem tylko o jednym: o starym Hingeście.

W tym czasie dochodzenie w sprawie śmierci Hingesta już się zakończyło. Werdykt brzmiał: zamordowany przez nieznaną sprawców. Ceremonia pogrzebowa odbyła się w braktońskiej kaplicy.

Było to trzeciego dnia owej okropnej mgły, w tym dniu chyba najgęstszej. Oczy piekły, gdy się na nią patrzyło, tłumiała wszelkie dalsze odgłosy, tak że w kaplicy słychać było tylko kapanie kropli wody z okapów i drzew oraz krzyki robotników pracujących tuż za oknami. Świece płonęły prostymi płomieniami, każdy wewnątrz kuli mętnego blasku, nie oświecając całego wnętrza, tak że tylko z pokasywania i szurania stopami można było wywnioskować, że stalle są wypełnione. Curry, w czarnym garniturze, przechadzał się nerwowo po zachodniej części kaplicy, poszeptując coś pod nosem, zaniepokojony, że mgła może opóźnić przybycie tego, co nazywał „szczątkami”, i z wyraźną satysfakcją znosząc ciężar odpowiedzialności złożony na jego barkach. W uroczystościach pogrzebowych w Bractonie Curry sprawdzał się wyśmienicie. Nie było w nim nic z przedsiębiorcy pogrzebowego, przeciwnie: promieniował powściągliwą życzliwością jak człowiek, który mężnie znosi utratę przyjaciela, a jednocześnie jest wciąż świadom swojej roli „ojca kolegium” i tego, że wobec takich przykrych przejawów przemijalności on przynajmniej musi zachować spokój i panować nad sytuacją. Obecni na tych pogrzebach ludzie z zewnątrz często mówili jeden do drugiego po odjeździe: „Widać było, jak prodziekan ciężko to przeżywa, chociaż starał się nie dać tego po sobie poznać”. I nie było w tym hipokryzji. Curry tak przywykł do kierowania życiem swoich kolegów, że kierowanie nimi również po śmierci wydawało mu się czymś całkiem naturalnym. Bardzo możliwe, że gdyby miał umysł analityczny, odkryłby w sobie poczucie, że jego wpływy, jego władza, jego zdolność do wygładzania ścieżek i pociągania za odpowiednie sznurki nie kończą się wraz z ostatnim oddechem uchodzącym z czyjegoś ciała.

Organy zaczęły grać, zagłuszając zarówno pokasywanie wewnątrz, jak i odgłosy z zewnątrz - gniewne okrzyki, szczęk żelaza i głuche dudnienie, z jakim coraz to nowo zwwały ziemi zsypywano wprost na ścianę kaplicy. Mgła, jak obawiał się Curry, rzeczywiście opóźniła przybycie trumny i organista musiał grać z pół godziny, zanim dał o się słyszeć zamieszanie przy drzwiach i do kaplicy wkroczyła rodzina zmarłego, wszyscy w czarnych strojach, barczyści, z rumianymi twarzami mieszkańców wsi. Potem wszedł rektor Uniwersytetu Edgestow poprzedzany przez cenzorów i pedli niosących buławy, za nim chór śpiewający stosowny hymn, a na końcu, w gęstych, chłodnych tumanach mgły, które wdarły się do kaplicy, sunęła obłożona kwiatami trumna. Rozpoczęło się nabożeństwo pogrzebowe.

Przewodził jej wielebny kanonik Storey. Głos miał nadal silny i dźwięczny, a od całego tego towarzystwa dzieliła go zarówno głęboka wiara, jak i zwyczajna głuchota. Nie miał skrupułów co do stosowności słów, które odczytywał nad ciałem starego, dumnego bezbożnika, ponieważ nigdy nie podejrzewał, że Hengist jest ateistą, i był całkiem nieświadomy dziwnego asonansu między swoim głosem odczytującym święte wersety a ochrypłymi głosami dochodzącymi z zewnątrz. Glossop skrzywił się, kiedy jeden z tych głosów wrzasnął:

- Zabieraj mi stąd tą swoją cholerną girę, bo ci na nią nawalę kupę ziemi!

Na co Storey, niewzruszony i głuchy jak pień, zagrzemiał:

„O, niemądry! Przecież to, co siejesz, nie ożyje, jeżeli wprzód nie obumrze”.

- Zaraz ci sypnę prosto w parszywą gębę, zobaczysz! - dobiegł głos z zewnątrz.

- „Zasiewa się ciało zmysłowe - powstaje ciało duchowe” - czytał dalej Storey.

- To skandaliczne, skandaliczne - mruknął Curry do siedzącego obok niego kwestora.

Niektórzy młodszy członkowie kolegium dostrzegli jednak humorystyczną stronę tego dwugłosu i byli pewni, że Feverstone'a (który nie mógł przybyć) bardzo by to ubawiło.

* * *

Najprzyjemniejszą nagrodą dla Marka za jego posłuszeństwo było jednak dopuszczenie go do biblioteki. Pokój ten, choć teoretycznie dostępny dla wszystkich, w praktyce był zarezerwowany dla wybranego grona, czegoś w rodzaju „złotej młodzieży” w szkole lub Postępowej Elity w Bractonie. To właśnie tam, na dywaniku przed kominkiem, między dziesiątą wieczorem a północą toczyły się poufne rozmowy o ważnych sprawach, więc trudno się dziwić, że gdy pewnego wieczoru Feverstone podszedł do niego i rzucił od niechcenia: „A może byśmy się czegoś napili w bibliotece?”, Mark zgodził się rozpromieniony, porzucając natychmiast urazę, jaką czuł do swego utytułowanego znajomego od czasu ich ostatniej rozmowy. I szybko stł umił w sobie poczucie upokorzenia, bo przecież pogarda wobec samego siebie jest przejawem niedojrzałości i braku realizmu.

Zbierające się w bibliotece grono wybranych składało się zwykle z Feverstone'a, Wróżki, Filostrata i - co było pewną niespodzianką - Straika. Balsamem na rany Marka był fakt, że Steele nigdy się tam nie pojawiał. Najwyraźniej, jak mu obiecywano, nie musiał się już Steele'a obawiać, a więc wszystko toczyło się zgodnie z planem. Natomiast nie bardzo rozumiał, dlaczego częstym gościem w bibliotece jest milczący mężczyzna w binoklach, z ostro zakończoną bródką, profesor Frost. Wicedyrektor - albo, jak go teraz Mark nazywał, WD czy „stary” - wpadał co jakiś czas, jak zwykle skrzypiąc butami i nucąc pod nosem swoją posępną melodię. Czasem podchodził do grupy stojącej przy kominku, z ojcowską miną przysłuchiwał się rozmowie, choć sam rzadko brał w niej udział, a potem powracał do swoich denerwujących obchodów instytutu, by po godzinie znowu wkroczyć do biblioteki, pospacerować po niej, przyrzeć się obecnym i raz jeszcze odejść. Od czasu owej poniżającej rozmowy w jego gabinecie nigdy się do Marka nie odezwał, a według Wróżki Mark nadal był w niełasce.

- Staremu z czasem przejdzie - powiedziała mu Wróżka. - Po prostu, jak już ci mówiłam, nie lubi ludzi, którzy mówią o rezygnacji.

Najmniej przyjemnym bywalcem biblioteki był w oczach Marka Straik. „Zwariowany pastor” nie czynił żadnego wysiłku, by dostosować się do cynicznego i nieprzyzwoitego tonu, jakim rozmawiali jego koledzy. Nigdy nie pił ani nie palił. Zwykle siedział, masując sobie kolano i wodząc wzrokiem od jednego mówcy do drugiego, nie próbując włączyć się do rozmowy i nie reagując na dowcipy. Czasami - zdarzało się to najwyżej raz podczas całego wieczoru - ożywał się nagle, sprowokowany czyjąś wypowiedzią na temat poczynań reakcjonistów wobec NIBS-u, i wybuchał głośną i długą tyradą, w której groził, oznajmiał i prorokował. Marka dziwiło, że nikt mu nie przerywał i nikt się z niego nie śmiał. Wyczuwał, że tego zbzikowanego starego gbura łączy z nimi jakaś tajemnicza więź, która ich powstrzymywała, choć najwyraźniej nie darzyli go sympatią. Co to była za więź, tego nie potrafił dociec. Czasem Straik zwracał się bezpośrednio do niego, mówiąc - ku wielkiemu zdumieniu i zgorszeniu Marka - o zmartwychwstaniu.

- To ani nie fakt historyczny, ani nie wymysł młodego człowieka, ale prorocstwo... Wszystkie te cuda... to tylko cienie tego, co nadejdzie. Odrzuć fałszywą duchowość. Wszystko to się stanie, tu, w tym świecie, w jedynym świecie, jaki istnieje. Dokonamy tego. Syn Człowieczy. .. to znaczy sam Człowiek, sam w pełni dojrzały Człowiek... ma władzę sądu nad światem. On będzie dawcą nieskończonego życia i tym, który wymierza wieczną karę. Zobaczysz. Tu i teraz.

Mark wzdrygał się, słysząc te brednie.

W dzień po pogrzebie Hingesta Mark odważył się odwiedzić bibliotekę sam, bez Feverstone'a czy Filostrata, trochę niepewny, jak zostanie to odebrane, ale czując, że jeśli nie sprawdzi swojego prawa do *entree*, to owa skromność może go zgubić. Wiedział, że błąd w każdą stronę jest równie

fatalny w skutkach.

Odniósł sukces. Zanim zamknął za sobą drzwi, wszyscy zwrócili się w jego kierunku, witając go jak starego znajomego.

- *Ecco* - powiedział Filostrato, a Wróżka dodała:

- Oto i on we własnej osobie.

Mark poczuł, że przenika go dreszcz rozkoszy. Jeszcze nigdy ogień w kominku nie pbnął tak jasno, a woń trunków tak miło nie drażniła nosa. Najwyraźniej na niego czekano. Był im potrzebny.

- Ile czasu potrzebujesz na napisanie dwu wstępniaków? - zapytał Feverstone.

- Możesz pracować przez całą noc? - dodała pani Hardcastle.

- Już mi się zdarzało - odrzekł Mark. - W czym rzecz?

- I wam to odpowiada - odezwał się Filostrato - że to... że te zamieszki... wybuchną już teraz?

- Sęk w tym - rzekł Feverstone - że Wróżka odwaliła swoją robotę aż za dobrze. Nie czytała Owidiusza. *Ad metam properate simul*. [Ze *Sztuki kochania* Owidiusza: „Najmilej, gdy jednocześnie przybijecie do przystani” w przekładzie J. Ejsmonda.]

- Nie możemy tego opóźnić, nawet gdybyśmy chcieli - powiedział Straik.

- O czym właściwie mówimy? - zapytał Mark.

- O zamieszkach w Edgestow - odrzekł Feverstone.

- Och... Nie bardzo śledziłem rozwój wypadków. Zaczyna być groźnie?

- Może być groźnie - powiedziała pani Hardcastle. - O to właśnie chodzi. Planowaliśmy, że zamieszki wybuchną w przyszłym tygodniu. Te wszystkie drobne incydenty były po to, żeby przygotować grunt. Ale... do cholery, trochę za dobrze nam poszło! Bomba pójdzie w górę jutro albo najpóźniej pojutrze.

Mark przeniósł zdumione spojrzenie z jej twarzy na twarz Feverstone'a. Ten ryknął śmiechem, a Mark, prawie automatycznie, natychmiast pokrył swoje zdumienie wymuszoną żartobliwą uwagą:

- Wygląda na to, że mój mózg trochę za wolno pracuje.

- Chyba nie sądziłeś, że Wróżka pozwoli na to, by miejscowi przejęli inicjatywę, co?

- To znaczy, że ona sama...?

- Ależ tak, tak - zachichotał Filostrato, a oczy mu rozblęły z nadmiernej wagi.

- Wszystko jest pod kontrolą - powiedziała pani Hardcastle. - Nie można wpuścić kilkuset ważnych robotników...

- Zwłaszcza tych, których sama zatrudniłaś! - przerwał jej Feverstone.

- ... do takiej sennej dziury jak Edgestow - ciągnęła pani Hardcastle - nie spodziewając się kłopotów. Bez kłopotów i tak by się nie obeszło. W każdym razie moi chłopcy nie musieli się zbytnio napracować. A skoro i tak miało dojść do zamieszek, to chyba nie zaszkodzi przypilnować, żeby do nich doszło we właściwym momencie.

- Czy chcecie w ten sposób powiedzieć, że te zamieszki zostały przez was zaaranżowane? - zapytał Mark.

- Wolalbym nie używać tak obcesowych wyrażen - powiedział Feverstone.

- To bez różnicy - wtrącił Filostrato. - Po prostu tak trzeba było zrobić.

- No właśnie - powiedziała pani Hardcastle. - Tak zawsze się robi. Powie ci to każdy, kto zna się na policyjnym fachu. I, jak już mówiłam, poważne zamieszki muszą się zacząć w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

- Na pewno przyjemnie jest tak poluzować sobie uzdę, ale wolalbym najpierw wywieźć z miasta moją żonę - powiedział Mark.

- Gdzie ona mieszka? - zapytała Wróżka.

- W Sandown.

- Och, tam będzie spokojnie. A tymczasem ty i ja musimy się zająć relacją z tych wydarzeń.

- Ale... po co to wszystko?

- Przepisy stanu wyjątkowego - odpowiedział Feverstone. - Nigdy nie przejmemy władzy w Edgestow, dopóki rząd nie dojdzie do wniosku, że trzeba tu wprowadzić stan wyjątkowy.

- O to właśnie chodzi - odezwał się Filostrato. - Cała ta gadanina o pokojowej rewolucji to bzdury dla naiwnych. Nie chcę przez to powiedzieć, że *canaglia* zawsze stawia opór, często trzeba ich w to wpędzić, ale dopóki są zamieszki, strzelanina, barykady, nikt nie może działać w sposób efektywny. Żeby sterować łodzią, nie wystarczy jej ładunek.

- Teksty muszą być gotowe do druku, żeby mogły się pojawić w prasie następnego dnia po zamieszkach - powiedziała pani Hardcastle. - To oznacza, że trzeba je wręczyć WD jutro rano przed szóstą.

- Ale jak mamy je napisać dziś w nocy, skoro to wszystko wydamy się jutro?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Jeżeli będziesz do tego tak podchodził - rzekł Feverstone - to jako dziennikarz nigdy nie zdobędziesz sławy. Przecież nie musisz czekać na to, żeby coś się stało, zanim o tym napiszesz!

- No cóż - powiedział Mark z uśmiechem na ustach - trochę to trudne, jeśli się nie żyje w wymyślonym przez Dunne'a świecie równoległych czasów albo po tamtej stronie lustra.

- Nie ma rady, synku - powiedziała pani Hardcastle - trzeba się od razu do tego zabrać. Wypijemy jeszcze po jednym i idziemy na górę do roboty. Powiem, żeby nam podali o drugiej jakieś odgrzewane mięso i kawę.

Po raz pierwszy w życiu zażądano od Marka, by uczynił coś, co - jak dobrze wiedział - było zwykłym przestępstwem. Prawdę mówiąc, sam moment wyrażenia na to zgody jakoś umknął jego uwadze. Nie opierał się, nie miał poczucia, że znajduje się na zakręcie. Może w historii były takie momenty, których powagę od razu się wyczuwało - czarownice wieszczły przy ognisku bliskość tragedii Makbeta, Cezar musiał podjąć decyzję o przejściu przez Rubikon. Ale dla niego to wszystko utonęło w odmętach beztroskiej gawędy i śmiechu, a jak wiadomo, taki śmiech w gronie bliskich sobie profesjonalistów jest najsilniejszym środkiem znieczulającym sumienie, pozwalającym człowiekowi dokonywać bardzo złych czynów, zanim sam stanie się bardzo złym człowiekiem. W kilka minut później wchodził już po schodach za Wrózką. Po drodze minął ich Cosser. Mark, pochłonięty rozmową ze swoją towarzyszką, kątem oka dostrzegł, że Cosser bacznie się im przygląda. I pomyśleć, że kiedyś czuł przed nim respekt!

- Kto obudzi WD o szóstej? - zapytał Mark.

- To chyba nie będzie potrzebne - odpowiedziała Wróзка. - Przecież stary musi kiedyś spać. Ale nie mam pojęcia, kiedy to robi.

* * *

O czwartej nad ranem Mark siedział w gabinecie Wrózki, czytając dopiero co napisane przez siebie artykuły: jeden do najbardziej wpływowej gazety brytyjskiej, drugi do bardziej popularnej. Praca nad tymi artykułami zajęła mu tylko część nocy i nie miała w sobie nic, co mogłoby mile połechtąć jego literacką próżność. Najpierw musiał się mocno natrudzić nad kompilacją samych faktów. Pierwszy z artykułów wstępnych brzmiał następująco:

Na ostateczny komentarz na temat zamieszek, do jakich doszło ostatniej nocy Edgestow, jest jeszcze za wcześnie. Już jednak teraz, na podstawie pierwszych doniesień, można zaryzykować dwie konkluzje, których oczywistość zapewne nie zostanie osłabiona przez dalszy rozwój

wypadków. Po pierwsze, wydarzenia te muszą wywołać szok wstrząsający poczuciem błędnego samozadowolenia ze stanu naszej „oświeconej” cywilizacji, jakie wciąż jeszcze wśród nas pokutuje. Trzeba, rzecz jasna, pamiętać, że przemiana uniwersyteckiego miasteczka ui nowoczesny, sponsorowany przez państwo ośrodek badań naukowych nie może się odbyć bez pewnych tarć i utrudnień dla ludności miejscowej. Anglicy traktowali jednak zawsze podobne niedogodności ze spokojem i humorem. Nigdy nie odmawiali - jeśli tylko wyjaśniono im we właściwy sposób cel i sens jakiegoś przedsięwzięcia - ofiar, i to ofiar niejednokrotnie większych niż owe zmiany w zwyczajach i postawach obywateli Edgestow, jakich domaga się dziś wielka sprawa postępu. Nie ma najmniejszego powodu, by oskarżać NIBS o nadużycie władzy lub o brak rozważli i zwykłej uprzejmości. Nie ulega też wątpliwości, że punktem zapalnym zamieszek była zwykła sprzeczka w miejscowej gospodzie między jednym z robotników zatrudnionych przez NIBS a jakimś zbyt pewnym siebie mieszkańcem Edgestow. A te, jak już dawno zauważył Stagiryta, drobne incydenty zawsze mają jakieś głębsze przyczyny i nie sposób wątpić, że ten mało znaczący epizod został rozdmuchany, jeśli nie wykorzystany świadomie, w imię grupowych interesów i szeroko rozprzestrzenionych uprzedzeń.

Byłoby głęboko niepokojące, gdybyśmy zostali zmuszeni podejrzewać, że tak łatwo (choć, mamy nadzieję, tylko czasowo) mogłaby odżyć stara nieufność do planowanej skuteczności działania i niechęć do tego, co bywa dość dwuznacznie nazywane „biurokracją”. Z drugiej strony, podejrzenie takie, Ujawniając luki i słabości naszego systemu edukacji, wskazuje jednocześnie na te właśnie choroby społeczne, do których uleczenia NIBS został powołany. I możemy być pewni, że się z tego zadania wywiąże. Naród popiera ow „wspaniały pokojowy wysiłek”, jak trafnie określił pan Jules projekt powołania Narodowego Instytutu Badań Skoordinowanych. Każda próba storpedowania tego wysiłku, na jaką odważyłaby się opozycja, musiałaby zostać uznana za przejaw ignorancji i spotkałaby się - jak wolno mieć nadzieję - ze zdecydowanym sprzeciwem.

Druga refleksja, jaką budzą wydarzenia ostatniej nocy, jest bardziej krzepiąca. Pierwotna propozycja, by wyposażyć NIBS w coś, co bywa niezbyt trafnie nazywane jego własnymi „siłami policyjnymi”, spotkała się z nieufnością wielu źródeł informacji. Nasi czytelnicy zapewne pamiętają, e nie dzielając tej nieufności, podkreślaliśmy jednocześnie, iż biorąc pod uwagę kompleksową strukturę współczesnego społeczeństwa, byłoby anachronizmem powierzenie faktycznej egzekucji woli tego społeczeństwa zespołowi ludzi, którego naturalną funkcją jest zapobieganie i wykrywanie zbrodni. Wykazaliśmy, że policja powinna wcześniej czy później zostać uwolniona od owego narastającego wciąż ciężaru przymusowych funkcji, jakie nie mieszczą się w ramach jej naturalnych zadań. Wszyscy pamiętamy, w jaki sposób rozwiązywano ten problem w innych krajach, tworząc prawdziwe „państwo w państwie”, co okazało się fatalne zarówno dla wolności, jak i dla sprawiedliwości. Tak zwana policja NIBS-u, którą powinno się raczej nazywać „sanitarną władzą wykonawczą”, jest specyficznym angielskim rozwiązaniem tego problemu. Jej stosunku do policji narodowej być może nie sposób określić z doskonałą logiczną dokładnością, ale jako naród nigdy nie darzyliśmy logiki zbyt dużą sympatią. Przedstawiciele władzy wykonawczej w NIBS-ie nie mają żadnych związków z polityką, a jeśli zdarzy się, że mają do czynienia z przestępcami, wymierzają sprawiedliwość bardziej jako „ratownicy” niż jak „policjanci” - jako ratownicy, którzy nie wymierzają kary, tylko leczą. Jeżeli ktoś miał wątpliwości co do sensu powoływania takiej służby, to muszą się one rozwiać po ostatnich wydarzeniach w Edgestow. Obserwowaliśmy tam godną podziwu współpracę między funkcjonariuszami ochrony NIBS-u i policji państwowej. Jak powiedział dziś rano naszemu korespondentowi jeden z wybitnych oficerów policji: „Gdyby nie policja NIBS-u, sprawy mogłyby przybrać zupełnie inny obrót”.

Jestem pewien, że gdyby w świetle tych wydarzeń uznano za pożądane, aby cały rejon Edgestow znalazł się przez jakiś określony czas pod wyłączną kontrolą sił porządkowych Narodowego Instytutu Badań Skoordinowanych, to Brytyjczycy nie mieliby co do tego najmniejszych obiekcji. Na szczególne uznanie zasługuje działanie kobiet pełniących służbę w tej formacji, bo był to ten typ działania, w którym odwaga wspianałe wspiera zdrowy rozsądek, a takiego właśnie działania oczekujemy już od angielskich kobiet po tych kilku dramatycznych latach ostatniej wojny. Trzeba włożyć między bajki kłamliwe pogłoski krążące dziś po Londynie o strzelaninie na ulicach Edgestow i setkach rannych. Prawdopodobnie okaże się, kiedy już wszystkie okoliczności tych wydarzeń zostaną wyjaśnione, że - używając słów naszego Premiera - „jeśli popłynęła krew, to na ogół z nosów”.

Drugi artykuł zawierał podobną treść, tyle że wyrażoną dosadniej:

Co się wydarzyło w Edgestow?

Oto pytanie, na które zwykły obywatel chce uzyskać odpowiedź. Instytut, który znalazł siedzibę w Edgestow, jest instytutem narodowym, czyli moim i twoim. Nie jesteśmy naukowcami i nie udajemy, że wiemy, o czym myślą najtęższe mózgi w tym instytucie. Wiemy jednak, czego oczekują zwykli obywatele tego kraju. Oczekujemy rozwiązania problemu bezrobocia, skutecznej walki z rakiem, zapewnienia wszystkim mieszkań i skutecznej edukacji, naprawy chorej waluty, uporania się ze skutkami wojny. Oczekujemy lepszych, czystszych i bardziej wszechstronnych warunków życia dla naszych dzieci, w których będziemy razem z nimi maszerować zawsze naprzód, aby w pełni rozwinąć w sobie wolę życia zaszczerpioną przez Boga w każdym z nas. A NIBS jest instrumentem spełnienia tego wszystkiego, o co walczymy.

Ale co się dzieje w Edgestow?

Czy można uwierzyć w to, że zamieszki wybuchły tylko z tego powodu, że właściciel sprzedał instytutowi grunt, na którym stał sklep lub domek pani Snooks czy pana Bugginsa? Zapytajcie obywateli Edgestow! Oni dobrze wiedzą, że obecność instytutu w ich mieście oznacza rozwój handlu i infrastruktury miejskiej, wzrost zaludnienia, jednym słowem - niebywały wzrost dobrobytu. Twierdzą, że te zamieszki zostały przez kogoś WYWOŁANE.

Może to dziwne oskarżenie, ale prawdziwe.

Dlatego pytam po raz wtóry: co się naprawdę dzieje w Edgestow?

Działają tam zdrajcy. Nie lękam się tego powiedzieć, bez względu na to, kim ci zdrajcy są. Być może są to ludzie uważani za religijnych. Być może są to jacyś finansisci. Być może są to profesorowie i filozofowie samego Uniwersytetu Edgestow. Może Żydzi. Może prawnicy. Nie dbam o to, kim są, ale mam im do powiedzenia jedno: strzeżcie się. Naród angielski nie zamierza wam tego puścić płazem. Nie pozwolimy, aby sabotowano NIBS.

Co trzeba zrobić w Edgestow?

Uważam, że trzeba zapewnić instytutowej policji pełną swobodę działania w tym mieście. Kto w któryś weekend odwiedził Edgestow, ten dobrze wie, jak tam jest - małe, senne miasteczko z sześcioma policjantami, których jedynym zajęciem od dziesięciu lat było zatrzymywanie rowerzystów za brak świateł. To absurd, by oczekiwać, że ci skromni stróże prawa poradzą sobie z czymś takim jak SZTUCZNIE WYWOŁANE ZAMIESZKI. Ubiegłej nocy policja NIBS-u udowodniła, że potrafi sobie z nimi poradzić. czapki z głów przed panią Hardcastle i jej dzielnymi chłopcami! Kwiaty "la jej dzielnych dziewcząt! Dajmy im wolną rękę, a oni już dadzą sobie z tym wszystkim radę. Precz z Czerwoną Linią!

Mam jedną radę. Jeśli usłyszycie, że ktoś podniósł rękę na policjantów z NIBS-u, powiedzcie

mu, gdzie jest jego miejsce. Jeśli usłyszycie, że ktoś przyrównuje tych dzielnych chłopców do gestapo albo NKWD, powiedzcie mu, że już to kiedyś słyszeliście. Jeśli usłyszycie, że ktoś mówi o angielskich swobodach (przez które rozumie wolność dla obskurantów, pań Grundy, biskupów i kapitalistów), pilnie mu się przyglądajcie. To wróg. Powiedzcie mu ode mnie, że NIBS to boksyerska rękawica na pięści demokracji, i że jeśli mu się to nie podoba, to niech zjeżdża z drogi. W każdym razie - OBSERWUJCIE TO, CO SIĘ BĘDZIE DZIAŁO W EDGESTOW.

Można by przypuszczać, że po ochłonięciu z ekscytującej gorączki, jaka go ogarnęła w trakcie pisania tych artykułów, Mark powinien odzyskać resztki zdrowego rozsądku i poczuć odrazę do samego siebie, kiedy przeczytał gotowe już teksty. Niestety, było odwrotnie. Im dłużej nad nimi pracował, tym bardziej wierzył w ich treść.

Uwierzył całkowicie, kiedy przepisał je na czysto. Tak to już bywa, że kiedy człowiek postawi wszystkie kropki nad „i” i doda wszystkie brakujące przecinki, nie chce wrzucić tekstu do kosza. Im więcej razy odczytywał swoje artykuły, tym bardziej mu się podobały. A zresztą, przecież to tylko zabawa... W wyobraźni już widział siebie w starszym wieku, bogatego (prawdopodobnie z tytułem para, a już na pewno otaczanego powszechnym szacunkiem), kiedy będzie już dawno po wszystkim - kiedy już nikt nie będzie pamiętał o tych wszystkich niezbyt przyjemnych aspektach działania NIBS-u - karmiącego młodzież niesamowitymi opowieściami o czasach, w których żyje obecnie. („Ach... dziwne to były czasy... Pamiętam, jak pewnego razu... ”). I odnajdywał też w sobie błogą satysfakcję, kiedy pomyślał, że oto on, który do tej pory pisywał do uczonych periodyków, czytanych tylko przez garstkę innych wykładowców uniwersyteckich, pisze teraz do prasy codziennej... a przecież te dwa artykuły to dopiero początek... redaktorzy czekają niecierpliwie na jego teksty... czytelnicy w całej Europie sięgają po gazety, by odszukać jego nazwisko... coś naprawdę zależy od tego, co napisze. Czuł dreszcz dziwnego podniecenia, gdy pomyślał, że dano mu do ręki jakiś potężny instrument władania ludzkimi poglądami i zachowaniami. A przecież jeszcze nie tak dawno podniecał się tym, że dopuszczono go do Postępowej Elity w Bractonie... A czym była Postępowa Elita w porównaniu z tym wszystkim?

Pisał te artykuły z przymrużeniem oka - ta fraza bardzo mu odpowiadała, ponieważ pomagała mu uwierzyć, że całą tę sprawę można traktować w kategoriach dowcipu. Zresztą, gdyby on tego nie napisał, znalazłby się ktoś inny. A utajone w nim dziecko szeptało, jak cudownie jest być dorosłym, który siedzi sobie w nocy pełen alkoholu, ale nie pijany, i pisze tak swobodnie (z przymrużeniem oka) dla znanych w całym kraju gazet, wyprzedzając to, co dopiero się stanie, ze świadomością, że na jego tekst czeka londyńska drukarnia i cała elita NIBS-u. I że nikt już nie będzie miał prawa uważać go za zero.

* * *

Jane wyciągnęła rękę w ciemności, ale nie wyczuła stolika, który powinien stać przy łóżku. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że wcale nie leży w łóżku, tylko stoi w ciemności i czuje dotkliwie zimno. Jeszcze raz wyciągnęła rękę i dotknęła chropowatej powierzchni kamiennej ściany. Powietrze też było jakieś dziwne - martwe, nieco zatęchłe. Gdzieś z oddali, chyba z góry, ale jakby przez grubą warstwę ziemi, dochodziły jakieś stłumione odgłosy. A więc stało się to najgorsze: bomba spadła na jej dom, a ona jest pogrzebana żywcem. Ale zanim obudziło się w niej poczucie całej grozy tej sytuacji, przypomniała sobie, że przecież wojna już się skończyła... och, i tyle się wydarzyło... poślubiła Marka... widziała Alcasana w celi... spotkała Camillę. A potem, z wielką ulgą, pomyślała: „To jeden z moich snów. To tylko jakieś nowe wiadomości. To się zaraz skończy.

Nie ma się czego bać".

Nie wiedziała, gdzie jest, wyczuwała tylko, że w jakimś zamkniętym pomieszczeniu. Macając chropowatą ścianę, posunęła się kilka kroków i uderzyła boleśnie nogą w coś twardego. Pochyliła się i zaczęła badać to rękami. Jakaś platforma albo stół z kamienia, około metra wysokości. A na niej? Czy ośmieli się to zbadać? Ale nie zrobić tego... nie, to jeszcze gorzej. Przesunęła dłoń po powierzchni kamiennego stołu i w następnej chwili przygryzła mocno wargi, aby nie krzyknąć, ponieważ dotknęła zimnej ludzkiej stopy nagiej i zapewne martwej. Dalsze macanie w ciemnościach wydawało się najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiła, ale czuła, że musi to zrobić. Tkanina okrywająca leżące na kamiennej ławie ciało była bardzo szorstka i nierówna, jakby ją ozdobiono bogatym haftem. Musiał to być wielki mężczyzna. Na jego piersiach wyczuła coś, co przypominało skórę jakiegoś włochatego zwierzęcia. Dopiero po chwili zrozumiała, że to długa broda. Zawahała się przed dotknięciem twarzy, bojąc się, że ten człowiek może się poruszyć albo przebudzić, albo do niej przemówić. Znieruchomiała na chwilę. To tylko sen, przecież nic się jej nie stanie... ale jaki straszny... jakby oglądała coś, co wydarzyło się bardzo dawno temu, jakby przez jakąś szczelinę w czasie wpadła w ciemną, zimną studnię odległej przeszłości. Miała tylko nadzieję, że to nie będzie trwało zbyt długo. Och, gdyby tylko ktoś szybko przyszedł i pozwolił jej stąd wyjść! I nagle ujrzała wizję kogoś brodatego, ale (to było dziwne) bosko młodego, kogoś złocistego, silnego i ciepłego, nadchodzącego zdecydowanym krokiem, od którego dygotała ziemia. Sen stał się jeszcze bardziej chaotyczny. Czuła, że powinna skłonić się przed tą osobą (która wcale się nie pojawiła, ale której obecność wyraźnie wyczuwała) i bardzo się zmieszala, kiedy zdała sobie sprawę z tego, że mgliste wspomnienia z lekcji tańca w szkole wcale jej w tym nie pomogą. W tym momencie się obudziła.

Zaraz po śniadaniu poszła do Edgestow, aby raz jeszcze spróbować znaleźć kogoś na miejsce pani Maggs. Na Market Street wydarzył się coś, co zmusiło ją w końcu do postanowienia, że musi pojechać do St Anne's jeszcze tego samego dnia, pociągiem o dziesiątej dwadzieścia trzy. Zobaczyła zaparkowany przy chodniku wielki samochód należący do NIBS-u. Kiedy była blisko, ze sklepu wyszedł jakiś mężczyzna, przeciął jej drogę i wsiadł do samochodu. Przez chwilę był tak blisko, że pomimo mgły zobaczyła wyraźnie jego twarz, jakby wyskakującą z szarego tła pośród hałaśliwego zgiełku, który teraz wciąż rozbrzmiewał na ulicach Edgestow. Poznałaby ją wszędzie; nawet twarz Marka, nawet jej własna twarz w lustrze nie byłyby jej teraz tak dobrze znana, jak ta. Zobaczyła ostro zakończoną bródkę, binokle, twarz przywodzącą na myśl figury woskowe. Nie musiała się zastanawiać, co zrobić. Zdecydowało o tym jej ciało, jej nogi zmierzające szybko w kierunku stacji. I to nie strach (choć była tak przerażona, że ogarnęły ją mdłości) kazał jej wsiąść do pociągu jadącego do St Anne's. Wszystkie poziomy jej osobowości odrzucały tego człowieka w taki sposób, że nie musiała nimi rządzić wola czy rozum. Już nieważne były jej sny w porównaniu z oślepiającą rzeczywistością obecności tego człowieka. Wzdrygała się na myśl, że ich ręce mogłyby się zetknąć, kiedy go mijała.

W pociągu było ciepło, przedział był pusty. Usiadła i poczuła ulgę. Powolna podróż przez mgłę prawie ją uspiła. Nawet nie myślała o St Anne's, dopóki się tam nie znalazła. Wspinając się na wzgórze, nie snuła żadnych planów, nie zastanawiała się, co powie, myślała tylko o Camilli i o pani Dimble. Cała jej osobowość została przeorana panicznym strachem, ujawniając podglebie dziecięcych lęków i pragnień. Chciała po prostu być z „miłymi ludźmi”, z dala od „brzydkich ludzi” - to podstawowe rozróżnienie z przedszkola było teraz ważniejsze od wszystkich późniejszych kategorii dobra i zła, przyjaciela i wroga.

Z tego stanu wyrwało ją spostrzeżenie, że zrobiło się jaśniej. Spojrzała przed siebie. Ten zakręt drogi jest bardziej widoczny, niż powinien być w takiej mgle... A może wiejska mgła różni się od tej miejskiej? W każdym razie z całą pewnością to, co było szare, stawało się białe, oślepiająco

białe. W chwilę później nad głową ujrzała cudowny błękit. Drzewa rzucały cienie (nie widziała cieni od wielu dni) i nagle rozwinął się nad nią przepych całego nieba z bladym słońcem, a kiedy na zakręcie spojrzęła za siebie, zobaczyła, że stoi na brzegu zielonej, zalanej słońcem wysepki pośród morza białej mgły, zmierzwionego i postrzępionego na krawędziach, ale płaskiego, rozciągającego się tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem. I były tam inne wyspy. Ta ciemna, na zachodzie, to zalesione wzgórza nad Sandown, gdzie wyprawiła się na piknik z Dennistonami, a ta o wiele większa i jaśniejsza na północy to skaliste wzgórza - prawie góry - z których wypływała rzeka Wynd. Wzięła głęboki oddech. To rozmiary tego świata ponad mgłą tak ją wstrząsnęły. Tam, w dole, w Edgestow, nawet po wyjściu z domu czuła się ostatnio jak w zamkniętym pomieszczeniu, bo widziała tylko najbliższe obiekty. Prawie już zapomniała, jak wielkie jest niebo, jak daleki może być horyzont.

Rozdział 7

Pendragon

Zanim dotarła do furki w murze, spotkała Dennistona, który wprowadził ją do środka główną bramą, otwierającą się na tę samą drogę kilkaset metrów dalej. Opowiedziała mu wszystko. W jego towarzystwie miała to dziwne uczucie, jakie zna większość małżonków, spotykając kogoś, kogo (z zupełnie nieznanego powodu) nigdy by się nie poślubiło, ale kto jednak w jakiś sposób jest bardziej bliski od osoby, którą się poślubiło w rzeczywistości. Kiedy weszli do domu, spotkali panią Maggs.

- Co? Pani Studdock? Niemożliwe!

- Tak, Ivy - powiedział Denniston. - I w dodatku z bardzo ważnymi wiadomościami. Musimy natychmiast zobaczyć się z Grace. MacPhee jest gdzieś w pobliżu?

- Od dawna pracuje w ogrodzie. A doktor Dimble wybrał się do swojego kolegium. Camilla jest w kuchni. Przysłać ją?

- Tak. I jeśli zdołasz, to przekonaj Pana Bultitude'a, żeby nam nie przeszkadzał.

- Dobrze, dobrze. Już ja zadbam, żeby nie napsocił. Napije się pani herbaty, pani Studdock? Po tej jeździe pociągiem i tym wszystkim...

Po kilku minutach Jane znalazła się ponownie w pokoju Grace Ironwood. Pani Ironwood i Dennistonowie usiedli naprzeciw niej, tak że poczuła się, jakby miała zdawać jakiś egzamin ustny. A kiedy Ivy Maggs wniosła herbatę, nie odeszła, lecz także usiadła.

- No więc! - powiedziała Camilla, a jej oczy rozbłysły czymś w rodzaju mentalnego głodu, zbyt skoncentrowanego, by nazwać go podnieceniem.

Jane rozejrzała się po pokoju.

- Nie krępuj się obecnością Ivy - powiedziała pani Ironwood.

- Należy do naszej grupy.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Otrzymaliśmy twój list - ciągnęła po przerwie pani Ironwood - z opisem snu o mężczyźnie ze spiczastą bródką, siedzącym w twojej sypialni i robiącym notatki. Powinnam ci chyba powiedzieć, że nie było go tam w rzeczywistości, w każdym razie Przewodniczący sądzi, że to niemożliwe. Ale studiował cię naprawdę. Zbierał o tobie informacje z innych źródeł, których, niestety, nie widziałś w swoim śnie.

- Czy mogłabyś jeszcze raz opowiedzieć to, o czym mi mówiłaś, gdy tutaj szliśmy? - zapytał Denniston.

Jane opowiedziała o ostatnim śnie z martwym ciałem na kamiennym katafalku i o spotkaniu mężczyzny z bródką na Market Street. Natychmiast spostrzegła, że jej słowa wzbudziły najwyższe zainteresowanie.

- Nie do wiary! - zawołała Ivy Maggs.

- Więc mieliśmy rację co do Lasu Bragdon! - zawołała Camilla.

- To naprawdę Belbury - powiedział jej mąż. - Ale jeśli tak, to jak się tam znalazł Alcasan?

- Wybaczcie - odezwała się pani Ironwood spokojnym głosem, a wszyscy natychmiast umilkli - ale nie możemy teraz o tym mówić. Pani Studdock jeszcze się do nas nie przyłączyła.

- Więc niczego się nie dowiem? - zapytała Jane.

- Młoda damo, musisz mi wybaczyć. Nie byłoby to rozsądne i szczerze mówiąc, nie wolno nam tego zrobić. Czy pozwolisz, że zadam ci dwa pytania?

- Proszę bardzo - odparła Jane trochę obrażonym tonem, choć wcale nie poczuła się obrażona,

bo obecność Camilli i jej męża w jakiś sposób działała na nią kojąco.

Pani Ironwood otworzyła szufladę, wyjęła jakąś fotografię i wręczyła ją Jane z zapytaniem:

- Czy poznajesz tę osobę?

- Tak - odpowiedziała cicho Jane. - To ten człowiek, który pojawia się w moich snach, ten sam, którego widziałam dziś rano w Edgestow.

Była to dobra fotografia. U dołu widniało imię i nazwisko: Augustus Frost oraz kilka innych danych, na które Jane w tym momencie nie zwróciła uwagi.

- Wobec tego zadam ci drugie pytanie - powiedziała pani Ironwood, wyciągając rękę po fotografię. - Czy jesteś gotowa zobaczyć SIC z Przewodniczącym... teraz?

- No... tak, jeśli to potrzebne.

- A więc, Arthurze, chyba byłoby lepiej, żebyś poszedł do niego i sprawdził, czy czuje się na tyle dobrze, aby porozmawiać z panią Studdock.

Denniston natychmiast wstał.

- A ja tymczasem chciałabym porozmawiać z panią Studdock w cztery oczy - powiedziała pani Ironwood.

Wszyscy wyszli z pokoju. Wielki kot, którego Jane dotąd nie zauważyła, wskoczył na krzesło, które przed chwilą zwolniła Ivy Maggs.

- Jestem prawie pewna, że Przewodniczący będzie chciał cię przyjąć.

Jane milczała.

- A to oznacza, że będziesz musiała, jak sądzę, podjąć ostateczną decyzję.

Jane zakaszła, a zrobiła to tylko po to, żeby zakłócić nieznośną dla niej atmosferę uroczystej powagi, która zapanowała w pokoju, kiedy zostały same.

- Zanim zobaczysz się z Przewodniczącym, powinnaś się o nim czegoś dowiedzieć. Wyda ci się bardzo młody, ale to tylko pozory. W rzeczywistość ci bliżej mu do pięćdziesiątki niż do czterdziestki. To człowiek, który wiele przeżył. Podróżował do miejsc, do których nikt przed nim nie zawitał, i poznał społeczności, o których ty czy ja nie mamy najmniejszego pojęcia.

- To bardzo ciekawe - rzuciła Jane, nie okazując większego zainteresowania.

- Muszę cię również prosić, abyś pamiętała, że często ma bardzo silne bóle. Ufam, że bez względu na to, jaką decyzję ostatecznie podejmiesz, zrobisz to w taki sposób, by nie narażać go na niepotrzebne napięcia.

- Jeżeli pan Fisher-King nie czuje się na tyle dobrze, by przyjmować gości... - zaczęła Jane, ale pani Ironwood nie pozwoliła jej skończyć.

- Musisz mi wybaczyć, że mówię ci o tych sprawach. Jestem tu jedynym lekarzem i moim obowiązkiem jest dbanie o jego zdrowie. Muszę go ochraniać. A teraz pozwól, że zaprowadzę cię do Niebieskiego Pokoju.

Wstała i otworzyła drzwi. Poprowadziła ją wąskim, jasnym korytarzem, a potem po kilku stopniach w górę, do wielkiego holu, skąd wiodły szerokie, georgiańskie schody na wyższe piętra. Dom okazał się większy, niż Jane z początku sądziła. Było w nim ciepło i bardzo cicho, a po tylu dniach spędzonych w gęstej mgle jesienne słońce, padające na miękkie dywany i ściany, wydało się jej ożywczo jasne i złociste. Na pierwszym piętrze znalazły się w niewielkim westybulu z białymi kolumnami. Były tam drzwi, przy których czekała Camilla.

- Pragnie ją zobaczyć - powiedziała do pani Ironwood.

- Bardzo cierpi?

- Bóle nie są ciągłe. To jeden z jego dobrych dni.

Pani Ironwood uniosła rękę, żeby zapukać do drzwi, a Jane pomyślała: „Bądź ostrożna. Nie daj się w nic wciągnąć. Te wszystkie długie korytarze i przyciszone głosy mogą ogłupić każdego, jeśli

się nie ma na baczności. Nie stań się jeszcze jedną wielbicielką tego mężczyzny".

Pokój okazał się bardzo jasny i ciepły. Na kominku płonął ogień. Przeważał kolor niebieski. Pani Ironwood oznajmiła jej przybycie i wykonała głęboki ukłon, co wprawilo Jane w zmieszanie. „Nie zrobię tego”, pomyślała. „Nie mogę”. I natychmiast sobie przypomniała: tak było w jej śnie.

- To jest ta młoda dama - powiedziała pani Ironwood.

Jane spojrzała i w tej samej chwili jej świat rozleciał się na kawałki.

Na sofie, z jedną nogą obandażowaną, jakby był ranny, leżał młodzieniec wyglądający na dwadzieścia lat.

Po długim parapecie jednego z wielu okien spacerował oswojona kawka. Na suficie mieszały się ze sobą refleksy promieni słońca i blasku ognia na kominku, ale całe światło w pokoju zdawało się biec ku złotym włosom i złotej brodzie leżącego na sofie rannego.

Oczywiście nie był chłopcem - jak mogła tak pomyśleć?! To przez tę gładkość skóry na czole, na policzkach i przede wszystkim na rękach. Ale żaden chłopiec nie mógł mieć takiej bujnej brody. I żaden chłopiec nie mógł być tak... tak silny. Spodziewała się zobaczyć inwalidę, ale teraz nie miała wątpliwości, że nikt nie wyrwaby się z uścisku tych rąk, a wyobrażenia podpowiadała jej, że te ramiona mogłyby podtrzymać cały dom. Pani Ironwood, stojąca u jej boku, wyglądała teraz jak pomarszczona, blada staruszka, jak ktoś, kogo można odepchnąć jednym mocnym dmuchnięciem.

Sofa, na której leżał, stała na czymś w rodzaju niskiego podium. Jane miała wrażenie, że za nią zwisają jakieś niebieskie draperie (dopiero później spostrzegła, że to parawan), więc poczuła się trochę tak, jakby się znalazła w sali tronowej. Gdyby ktoś jej o tym opowiadał, gdyby nie widziała tego na własne oczy, uznałaby to za głupotę. Za oknami nie widać było drzew czy wzgórz ani zarysów innych budynków, tylko płaski kobierzec mgły, jakby ten mężczyzna i ona sama znajdowali się na szczycie niebieskiej wieży ponad całym światem.

Przez jego twarz przemknął grymas bólu. Ale podobnie jak błyskawica rozdziera ciemności, a potem ciemności zwierają się ponownie bez blizny światła, tak spokój na jego twarzy pochłonął krótki wstrząs fizycznej męki. Jak mogła pomyśleć, że jest młody? Ale czy był stary? Poczuła krótki dreszcz lęku, gdy przemknęło jej przez głowę, że ta twarz w ogóle pozbawiona jest oznak wieku. Dotychczas nie lubiła (albo tak się jej wydawało) brodatych twarzy, chyba że były to twarze siwych starców. A wszystko dlatego, że już dawno zapomniała o baśniowym Arturze swojej młodości - i o Salomonie. Tak... o Salomonie... bo oto po raz pierwszy od wielu lat pojawił o się w jej świadomości jaśniejące, słoneczne połączenie króla, kochanka i maga, związane z tym imieniem. Po raz pierwszy od wielu lat poczuła smak słowa „Król”, ze wszystkimi skojarzeniami, jakie ono budziło: bitwa, małżeństwo, kapłaństwo, łaska i moc. W chwili, w której spoczęło na niej jego spojrzenie, zapomniała, kim sama jest i gdzie się znajduje, zapomniała o swoich żalach i urazach wobec Grace Ironwood, wobec Marka, wobec swojego dzieciństwa i wobec domu swojego ojca. Trwało to, oczywiście, bardzo krótko. W następnej chwili była już znowu zwykłą Jane, czującą gwałtowną falę zażenowania na myśl, że od kilku minut gapi się w nieokrzesany sposób (a w każdym razie miała nadzieję, iż przede wszystkim nieokrzesanie widoczne jest na jej twarzy) na zupełnie nieznanego mężczyznę. Ale jej świat legł w gruzach, wiedziała o tym. Teraz wszystko mogło się zdarzyć.

- Dziękuję ci, Grace - powiedział mężczyzna, a jego głos również przywodził na myśl słoneczne światło i złoto.

Tak, złoto, i to nie tylko dlatego, że jest złote, ale i ciężkie. Tak, światło słońca, i to nie tylko dlatego, że jesienią pada łagodnie na mury angielskich domów, ale i dlatego, że smaga dżunglę lub pustynię, pobudzając w nich życie albo to życie niszcząc. A teraz padało na nią.

- Proszę mi wybaczyć, pani Studdock, że nie wstaję. Mam zranioną stopę.

A Jane usłyszała swój własny głos:

- Tak, proszę pana.

Był to głos cichy, pełen szacunku, jak głos pani Ironwood. Chciała powiedzieć: „Dzień dobry, panie Fisher-King”, i to swobodnym tonem, którym by pokryła zmieszanie, jakie ją ogarnęło, gdy weszła do tego pokoju. Nic z tego nie wyszło. Po chwili siedziała już przed Przewodniczącym. Była wstrząśnięta, nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Miała rozpaczliwą nadzieję, że się nie rozplacze, że będzie w stanie mówić, że nie zrobi czegoś głupiego. Bo jej świat legł w gruzach teraz wszystko mogło się zdarzyć. Och, gdyby już było po tej rozmowie! Żeby już mogła wyjść z tego pokoju, nie zbłaźniwszy się uprzednio do końca, wyjść stąd i odejść gdzieś daleko - nie na zawsze, ale na długo.

- Czy życzy pan sobie, żebym została? - zapytała pani Ironwood.

- Nie, Grace - odpowiedział Przewodniczący. - Nie sądzę, żebyś musiała zostać. Dziękuję.

„I teraz, pomyślała Jane, teraz to nadchodzi... nadchodzi... teraz to się zacznie”.

W głowie kłębiły się jakieś najbardziej nieznośne pytania, które mógł jej teraz zadać, wizje najbardziej szalonych czynów, do których mógłby ją zmusić. Poczowała, że nie jest w stanie mu się przeciwstawić, że nie ma siły na żaden opór, że jest całkowicie bezbronna.

* * *

Przez kilka pierwszych minut po odejściu pani Ironwood do Jane nie bardzo docierało, co Przewodniczący mówi. Nie oznacza to, że nie mogła się skupić, przeciwnie, jej uwaga była tak na nim skoncentrowana, że niszczyła samą siebie. Każdy ton głosu, każde spojrzenie (jak mogli sądzić, że uzna go za kogoś młodego?), każdy gest wyciskał swoje piętno na jej pamięci, i dopiero kiedy przestał mówić i najwyraźniej czekał na odpowiedź, zdała sobie sprawę, że zupełnie nie wie, o czym mówił.

- Proszę... proszę mi wybaczyć... czy mógłby pan powtórzyć? - spytała, modląc się w duchu, żeby nie spłonęła rumieńcem jak uczennica.

- Mówiłem, że już wiele pani dla nas zrobiła. Wiedzieliśmy, że wkrótce na tej wyspie rozpocznie się najgroźniejszy w dziejach atak na ludzką rasę. Podejrzewaliśmy, że Belbury może mieć z tym coś Wspólnego. Ale nie mieliśmy pewności. Nie wiedzieliśmy, że Belbury jest aż tak ważne. Właśnie dlatego pani informacje są tak cenne - Z drugiej jednak strony, z pani osobą wiąże się pewne trudności. Mieliśmy nadzieję, że będzie pani mogła przyłączyć się do nas... że zaciągnie się pani do naszej małej armii.

- A nie mogę? - zapytała Jane.

- To dość trudne - odpowiedział po chwili milczenia. - Widzi pani, pani mąż jest w Belbury.

Jane podniosła głowę i spojrzała na niego. Już miała na końcu języka zdanie: „Czy uważa pan, że Mark jest w niebezpieczeństwie?”, gdy zdała sobie sprawę, że tak naprawdę niepokój o Marka wcale nie jest częścią emocji, które nią teraz owładnęły, i że takie pytanie byłoby przejawem hipokryzji. Był to ten rodzaj skrupułów, które nieczęsto odczuwała.

- Co pan ma na myśli? - zapytała w końcu.

- To oczywiście, że trudno się zgodzić, by ta sama osoba była żoną jednego z członków NIBS-u i jednocześnie należała do naszej grupy.

- Chce pan powiedzieć, że nie możecie mieć do mnie zaufania?

- Chcę powiedzieć, że biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, pani, ja i pani mąż nie możemy sobie wzajemnie ufać.

Jane przygryzła wargi ze złości - nie na Przewodniczącego, ale na Marka. Dlaczego Mark i

jego ciemne sprawy z tym całym Feverstone'em muszą pojawić się właśnie w takim momencie?

- Powinnam robić to, co uważam za słuszne, prawda? - zapytała cicho. - To znaczy... jeśli Mark... jeśli mój mąż... jest po złej stronie, taka sytuacja nie może mieć wpływu na to, co ja zrobię.

- A myśli pani o tym, co jest słuszne? - zapytał Przewodniczący.

Jane drgnęła i oblała się rumieńcem. Wcale o tym nie myślała.

- Oczywiście - mówił dalej Przewodniczący - sprawy mogą dojść do takiego punktu, w którym będzie pani usprawiedliwiona, przychodząc do nas nawet wbrew jego woli, nawet w tajemnicy przed nim. To zależy od tego, jak blisko jest zagrożenie... dla nas wszystkich i dla pani osobiście.

- Myślałam, że to zagrożenie już nad nami wisi... w każdym razie tak wynikało ze słów pani Denniston.

- To wciąż nie jest takie oczywiste - odrzekł z uśmiechem Przewodniczący. - Nie wolno mi być zbyt ostrożnym, ale nie wolno mi też stosować ostatecznych środków, dopóki objawy krytycznego stanu nie będą naprawdę oczywiste. Bo w przeciwnym razie upodobnimy się do naszych wrogów: będziemy łamać wszelkie zasady gdy tylko sobie wyobraźmy, że przyczyni się to do jakiegoś bliżej nieokreślonego dobra w odległej przyszłości.

- Ale gdybym tu została, to czy komuś bym tym zaszkodziła?

Nie odpowiedział bezpośrednio na to pytanie. Po chwili milczenia rzekł:

- Wygląda na to, że będzie pani musiała wrócić, w każdym razie teraz. Bez wątplenia zobaczy się pani wkrótce ze swoim mężem. Sądzę, że powinna pani dokonać jeszcze jednej próby wyrwania go z NIBS-u.

- Ale jak to zrobić? Co mam mu powiedzieć? Przecież on uzna to wszystko za kompletny nonsens. Nie uwierzy w to wszystko, w ten atak na ludzkość, w to zagrożenie.

Kiedy to powiedziała, zastanowiła się, czy nie zabrzmiało to jak chytry wybieg. A może to był chytry wybieg?

- Nie - rzekł Przewodniczący. - I proszę mu o tym nie mówić. Proszę mu w ogóle nie wspominać ani o mnie, ani o całej naszej grupie. Nasze życie jest w pani rękach. Musi pani po prostu go poprosić, żeby opuścił Belbury. Musi go pani poprosić, żeby zrobił to dla pani. Jest pani jego żoną.

- Mark nigdy nie zwraca uwagi na to, co ja mówię.

Podobnie myślał o niej Mark.

- Może jeszcze nigdy nie prosiła go pani o coś tak, jak powinna to pani uczynić teraz. Czy nie chce pani uratować i jego, i siebie?

Jane zignorowała pytanie. Teraz, kiedy już zrozumiała, że zbliża się chwila opuszczenia tego domu, ogarnęła ją rozpacz. Nie zważając na wewnętrzny głos, który w ciągu tej rozmowy już niejedną raz ukazywał jej własne słowa i pragnienia w całkiem nowym świetle, wybuchnęła potokiem słów:

- Nie odsyłajcie mnie stąd! Jestem tam taka samotna, z tymi okropnymi snami. Z Markiem rzadko się widzimy. Jestem taka nieszczęśliwa... Jemu w ogóle jest obojętne, czy wrócę do domu, czy nie. Wyśmiałyby mnie, gdybym mu o tym powiedziała. Czy to sprawiedliwe, żebym miała zatrute całe życie tylko dlatego, że on wdał się w jakieś okropne towarzystwo? Przecież chyba pan nie myśli, że zamężna kobieta nie ma prawa do własnego życia?

- A czy teraz jesteś nieszczęśliwa?

Już miała zawołać: „Tak! Tak! Oczywiście!”, ale ugryzła się w język. Nagle ogarnął ją dziwny spokój, jakby w samym środku strasznego wiru odnalazła jego nieruchome centrum - prawdę. Przestała się zastanawiać, jak zabrzmiały jej słowa, jak on je oceni, i powiedziała:

- Nie. - A po chwili milczenia dodała: - Ale... ale teraz będzie jeszcze gorzej... jeśli wrócę.

- Na pewno?
- Nie wiem. Nie. Chyba nie.

I przez chwilę zapomniiała o wszystkim, czuła tylko bezbrzeżny spokój i błogą wygodę, z jaką siedziała się jej w tym fotelu, w tym pokoju, którego barwy i proporcje odznaczały się tak dziwnym, czystym pięknem. Ale trwało to krótko, bo wnet pojawiła się w jej świadomości myśl: „To już koniec. Za chwilę przywoła panią Ironwood, żeby mnie stąd zabrała”. I uwierzyła, że jej los zależy od tego, co teraz powie.

- Ale... czy to naprawdę konieczne? Chyba nie patrzę na małżeństwo tak jak pan. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszystko ma zależeć od tego, co powie Mark.. na temat czegoś, czego nie rozumiem.

- Moje dziecko - rzekł Przewodniczący - nie jest ważne, jak ty czy ja patrzymy na małżeństwo. Ważne jest, jak patrzą na to moi zwierzchnicy.

- Ktoś powiedział, że są bardzo staroświeccy, ale...
- To był żart. Nie są staroświeccy, są tylko bardzo, bardzo starzy.
- I nigdy nie pomyślą najpierw o tym, czy Mark i ja podzielamy ich poglądy na małżeństwo?
- Cóż... raczej nie - odpowiedział Przewodniczący z zagadkowym uśmiechem. - Nie. Z całą pewnością o tym nie pomyślą.

- I nie wezmą pod uwagę, jakie to małżeństwo jest teraz... czy się udało, czy żona kocha swojego męża? - Wcale nie zamierzała tego powiedzieć, a już na pewno nie takim patetycznym tonem. - Pewnie powie mi pan, że nie powinnam tego mówić.

- Drogie dziecko - rzekł Przewodniczący - mówisz mi to od chwili, gdy po raz pierwszy wspomniiałaś o swoim mężu.

- Czy nie należy tego wziąć pod uwagę?
- Przypuszczam, że to zależy od tego, w jaki sposób utracił swoją miłość.

Jane milczała. Nie potrafiła powiedzieć temu człowiekowi prawdy i, szczerze mówiąc, sama jej nie znała, lecz teraz, kiedy spróbowała zgłębić powody swojej urazy do Marka, poczuła nagle, że nie była wobec niego sprawiedliwa, i nawet zrobiło się jej go trochę żal. I ogarnęła ją rozpacz, bo wydało się jej teraz, że ta rozmowa, po której skrycie spodziewała się rozwiązania wszystkich problemów, w rzeczywistości jeszcze bardziej skomplikowała jej sytuację.

To nie jego wina - powiedziała w końcu. - Myślę, że nasze małżeństwo było po prostu pomyłką.

Przewodniczący nic na to nie powiedział.

- Co by pan... co ci, o których pan wspomniiał... powiedzieliby o takim przypadku?
- Powiem ci, jeśli naprawdę chcesz to wiedzieć.
- Tak - odpowiedziała Jane bez przekonania.
- Powiedzieliby, że nie tyle wyrzekłaś się posłuszeństwa z powodu braku miłości, ile straciłaś miłość, bo nigdy nie próbowałaś być posłuszna.

To coś w Jane, co normalnie zareagowałoby na taką uwagę gniewem lub śmiechem, zostało uciszone (choć gdzieś z oddali wciąż słyszała ten głos), a powodem był fakt, że słowo „posłuszeństwo” - choć z pewnością nie posłuszeństwo akurat wobec Marka - spłynęło na nią tu, w tym pokoju, jak jakieś dziwne orientalne perfumy, groźne i zarazem uwodzące.

- Dość! - powiedział Przewodniczący ostrym tonem.

Jane spojrzała na niego z otwartymi ustami. Egzotyczna wonność odpłynęła.

- Co chciałaś powiedzieć, moje dziecko? - zapytał Przewodniczący.
- Myślałam, że miłość oznacza równość. I bycie ze sobą na zasadzie wolnego wyboru.
- Ach, równość! Musimy o tym kiedyś porozmawiać. Tak, równe prawa muszą nas strzec

przed żądzą innych ludzi, ponieważ żyjemy w stanie upadku. Z tego samego powodu nosimy ubrania. Ale pod ubraniem jest nagie ciało, wyczekujące dnia, w którym ubrania nie będą nam już potrzebne. Równość nie jest czymś najgłębszym.

- Zawsze myślałam, że równość to po prostu równość. Myślałam, że ludzie są równi w swoich duszach.

- I myliłaś się - powiedział z powagą. - Dusza to ostatnie miejsce, w którym ludzie są równi. Równość przed prawem, równość w zysku - zgoda. Równość strzeże życia, ale go nie tworzy. To lekarstwo, a nie pokarm. To tak, jakby próbować ogrzać się raportem Parlamentu.

- Ale przecież w małżeństwie...

- Jeszcze gorzej... Nie znają jej zalet, nie ma jej w spełnieniu. A co ma z tym wspólnego wzajemne obdarzanie się swoją obecnością? Towarzyszami życia są ci, którzy razem się radują albo razem cierpią. Nie są nimi ci, których cieszy druga osoba albo którzy cierpią z powodu drugiej osoby. Nie wiesz, jak wstydliva jest przyjaźń? Przyjaciele... współtowarzysze... nie patrzą nawzajem na siebie. Przyjaźń...

- Myślałam... - powiedziała Jane i umilkła.

- Rozumiem. To nie twoja wina. Nikt cię przed tym nie ostrzegł. Nikt ci nie powiedział że posłuszeństwo, a więc pokora, jest erotyczną koniecznością. Próbujesz wcisnąć równość tam, gdzie jej wcale nie powinno być. To stwarza pewne wątpliwości co do twojej obecności tutaj. Na razie muszę cię odesłać do domu. Możesz nas odwiedzać. Porozmawiaj ze swoim mężem, a ja porozmawiam ze swoimi zwierzchnikami.

- Kiedy pan się z nimi zobaczy?

- Odwiedzą mnie, kiedy zechcą. Ale przez cały czas rozmawialiśmy o posłuszeństwie trochę zbyt poważnie. Chciałbym teraz pokazać ci jego niektóre śmieszne strony. Nie boisz się myszy, co?

- Czego? - zapytała zaskoczona Jane.

- Myszy.

- Nie - odpowiedziała zdumiona Jane.

Przewodniczący potrząsnął małym dzwonkiem wiszącym obok sofy.

- Zjadłbym teraz obiad, jeśli pani pozwoli - powiedział. Pani podadzą obiad na dole, pani Studdock, i na pewno będzie to coś bardziej treściwego niż to, czym ja się żywię. Ale jeśli dotrzyma mi pani towarzystwa, pokażę pani pewne udogodnienia tego domu.

Pojawiła się pani Maggs z tacą, na której znajdowała się szklanka, mała karafka czerwonego wina i kromka chleba. Postawiła tacę na stoliku przy sofie i wyszła.

- Widzi pani - rzekł Przewodniczący - że żyję jak król z „Księżniczki i Curdiego”. [*Princess and Curdie* - jedna z powieści fantastycznych Georgea Macdonalda, w której chłopcu o imieniu Curdie podawano przez długi czas zaprawione narkotykiem wino.] To zaskakująco przyjemna dieta.

Ułamał kawałek chleba i nalał sobie wina.

- Nie czytałam książki, o której pan wspomniał - powiedziała Jane.

Podczas gdy on jadł i pił, rozmawiali trochę o tej książce, a potem wziął talerz i wysypał okruszki chleba na podłogę.

- A teraz, pani Studdock, zobaczy pani coś ciekawego. Proszę tylko być cicho i się nie ruszać.

Wyjął z kieszeni mały srebrny gwizdek i zagwizdał. Jane siedziała nieruchomo, w pokoju zapadła głucha cisza. I w tej ciszy usłyszała najpierw jakiś szelest, potem cichy chrobot i nagle zobaczyła trzy pulchne myszy maszerujące po puszystym dywanie jak po sawannie. Węsząc tu i tam, posuwały się ku nim krętym szlakiem, aż znalazły się tak blisko, że widziała błyski w ich czarnych oczkach i drganie węszących nosków. Pomimo tego, co powiedziała, w rzeczywistości

nie przepadała za obecnością myszy blisko swoich stóp, więc siedzenie nieruchomo wymagało od niej pewnego wysiłku. Dzięki temu po raz pierwszy w życiu zobaczyła myszy takimi, jakie naprawdę są - nie skradającymi się, odrażającymi gryzoniami, ale delikatnymi czworonogami, przypominającymi, gdy siadały na tylnych nóżkach, małe kangury, z czułymi przednimi łapkami w gienzowych rękawiczkach i bystrymi, przejrzystymi oczkami. Myszkowały po dywanie szybkimi, bezszelestnymi ruchami, dopóki nie znalazły i nie zjadły wszystkich okruszków, a wówczas Przewodniczący ponownie zagwizdał i wszystkie trzy machnęły nagle ogonami, po czym pobiegły w stronę skrzyni z węglem, za którą zniknęły. Popatrzył na nią, a oczy mu się śmiały. („To niedorzeczne, pomyślała, uważać, że jest stary”).

- Oto przykład - rzekł - bardzo prostego wzajemnego uzgodnienia. Ludzie chcą, żeby na dywanie nie było okruszków, a myszy aż się palą, żeby je usunąć. Nie ma mowy o żadnej wojnie. Widzi pani jednak, że posłuszeństwo i reguły współżycia bardziej przypominają taniec niż dryl. Zwłaszcza między mężczyzną i kobietą, a więc w związku, w którym role wciąż się zmieniają.

- Dla tych myszy musimy być olbrzymami - powiedziała Jane.

Bardzo dziwny był powód, dla którego wypowiedziała tę z pozoru nieistotną uwagę. Miała na myśli wielkość ciała i przez chwilę pomyślała o tym, jak sama jest wielka w porównaniu z myszą. Ale trwało to krótko, bo natychmiast stwierdziła, że tak naprawdę myśli o wielkości jako takiej. O czymś ogromnym. Nie, właściwie nie myśli, raczej doświadcza tego w jakiś przedziwny sposób. Coś nieznośnie wielkiego, coś z Brobdingnagu [Brobdingnag - kraina olbrzymów w *Podróży Gulliwera* J. Swifta.] napierało na nią, przybliżało się, wypełniało pokój. Poczowała, że się wzdryga, dusi, że ucieka z niej siła i odwaga. Rzuciła Przewodniczącemu spojrzenie, które było krzykiem o pomoc, i to spojrzenie w jakiś niewytłumaczalny sposób ujawniło jej, że i on - podobnie jak ona sama - jest bardzo mały. Zresztą cały pokój był małeńki, był mysią norką, a w dodatku zdawał się nieco przechylony, jakby go zdeformowała trudna do zniesienia masa i świetność owego bezkształtnego ogromu, który nadchodził.

Usłyszała głos Przewodniczącego.

- Szybko - powiedział łagodnie. - Musisz teraz odejść. To nie jest miejsce dla nas, maluczkich. Ja już się zahartowałem. Odejdź!

* * *

Jane zeszła ze wzgórza, na którym leżała wioska St Anne's, i zobaczyła, że nawet u jego stóp, na stacji kolejowej, mgła zaczęła się już podnosić. Tu i tam przezierало przez nią niebo, a kiedy pociąg ruszył, co jakiś czas przejeżdżał przez połacie popołudniowego słońca.

Podczas drogi powrotnej Jane czuła się tak podzielona wewnątrz, że można by powiedzieć, iż w przedziale podróżują trzy - jeśli nie cztery - młode kobiety o tym samym imieniu i powierzchowności.

Pierwszą była Jane poddająca się wpływowi Przewodniczącego, wspominająca czule każde jego słowo i każde spojrzenie, Jane całkowicie bezbronna, odarta ze złudzeń współczesnych idei, które do tej pory uznawała za mądrość, porwana przez potężną falę przeżycia, którego nie rozumiała i nad którym utraciła kontrolę, choć się przeciwko temu buntowała. Ale ten bunt podejmowała inna Jane. Ta druga Jane odczuwała wobec pierwszej odrazę, widząc w niej ten rodzaj kobiety, jakim zawsze szczególnie pogardzała. Kiedyś, wychodząc z kina, usłyszała, jak jakaś dziewczyna o wyglądzie ekspedientki powiedziała do swojej przyjaciółki: „Och, czyż to nie było cudowne? Gdyby ktoś spojrzał na mnie tak, jak on na nią patrzył, poszłabym z nim na koniec świata!” Taka zwykła, prosta dziewczyna, ssąca miętówkę... Można powątpiewać, czy ta druga Jane miała rację,

porównując pierwszą Jane z tą dziewczyną, ale tak było. I poczuła wściekłość na samą siebie. Poddawać się bezwarunkowo samemu głosowi i spojrzeniu tego obcego mężczyzny, rezygnować (prawie bezwiednie) z tak jej drogiej pedantycznej kontroli nad własnym losem, ze stałego dystansu wobec innych ludzi, który uważała za istotną cechę dorosłej, dojrzałej, inteligentnej osoby... to upodlenie, to stoczenie się do poziomu prostactwa... barbarzyństwa!

Trzecia Jane była zupełnie nieoczekiwanym gościem. Pierwsza miała swoje korzenie w dzieciństwie, druga wydawała się jej tą „prawdziwą”, normalną Jane. Natomiast istnienia tej trzeciej, tej „moralnej”, nigdy nie podejrzewała. Wyłoniona z jakichś nieznanych obszarów łaski lub dziedziczności, mówiła rzeczy, które Jane często przedtem słyszała, ale których nigdy nie uważała za związane z realnym życiem. Nie byłaby bardzo zaskoczona, gdyby ta nowa Jane powiedziała jej, że uczucia, jakimi obdarza Przewodniczącego, są czymś złym lub niestosownym. Uznałaby to za głos tradycji. Ale ta trzecia Jane wcale jej tego nie powiedziała. Potępiła ją za to, że nie żywi podobnych uczuć wobec Marka. Pobudzała w niej całkiem nowe uczucia wobec męża, poczucie winy i żal, a zdarzyło się to po raz pierwszy w gabinecie Przewodniczącego. To Mark popełnił fatalną pomyłkę i trzeba mu „okazać serce”. Przewodniczący wyraźnie na to nastawał. I w tym samym momencie, w którym jej świadomość całkowicie pochłaniał inny mężczyzna, zrodziło się w niej postanowienie, by dać z siebie Markowi o wiele więcej, niż dała mu kiedykolwiek przedtem, a towarzyszyło temu poczucie, że tak naprawdę będzie to dar złożony Przewodniczącemu. W efekcie doznała takiego pomieszania uczuć, że cała ta wewnętrzna debata została zmacona i ostatecznie pochłonął ją rozleglejszy świat przeżyć czwartej Jane - Jane, która była nią samą i która bez specjalnego wysiłku, a nawet bez świadomego wyboru, zaczęła dominować nad Jane pierwszą, drugą i trzecią.

Ta czwarta, „najważniejsza” Jane, znajdowała się po prostu w stanie radosnego uniesienia. Tamte trzy nie miały nad nią władzy, ponieważ bytowała w sferze Jowisza, pośród światła, muzyki i odświeżonego przepychu, promieniująca życiem i zdrowiem, pogodna, ubrana w jaśniejące szaty. Nie myślała już o tym dziwnym doznaniu, które poprzedzało jej wyjście z gabinetu Przewodniczącego i które sprawiło, że wychodząc, poczuła prawie ulgę. Wszystkie myśli wiodły ją do samego Przewodniczącego, a w nim - do radosnego uniesienia. Przez okno wagonu widziała co jakiś czas wyraźnie zarysowane promienie słońca padające na rzyska lub lasy i zdawały się jej one dźwiękami trąbki. Na widok migających za oknem królików i krów wzbierała w niej radosna, świąteczna miłość. Radowała ją to, co od czasu do czasu mówił pomarszczony staruszek, który siedział w tym samym co ona przedziale, podziwiała piękno jego bystrego, jasnego umysłu, przywodzącego na myśl słodczy orzechów i starą, dobrą Anglię. Zdała sobie sprawę, od jak dawna muzyka nie odgrywała żadnej roli w jej życiu, i postanowiła, że tego wieczoru zrobi wreszcie użytek z gramofonu i posłucha chorałów Bacha. Albo... może poczyta sonety Szekspira. Cieszyło ją, że jest głodna i spragniona, i obiecywała sobie, że po powrocie zrobi sobie dobrą herbatę i całą furę grzanek z masłem. Radowała ją też świadomość własnej piękności, ponieważ miała poczucie - które mogło być błędne, ale nie miało nic wspólnego z próżnością - że z każdą minutą rozkwita jak zaczarowany kwiat. Trudno więc się dziwić, że kiedy staruszek wysiadł w Cure Hardy, wstała i przejrzała się w lusterku osadzonym w ścianie przedziału. Tak, wygląda dobrze, jest naprawdę piękna... I powtórzmy jeszcze raz: nie był to wcale przejaw próżności. Jej piękność należała do Przewodniczącego. Należała do niego tak bezgranicznie, że mógł zażądać, by oddała ją innemu w akcie posłuszeństwa, które było wyższej rangi, bardziej bezwarunkowe, a więc i bardziej radujące serce, niż gdyby zażądał jej dla siebie.

Kiedy pociąg wjechał na stację Edgestow, zdecydowała, że nie będzie próbowała złapać autobusu. Z przyjemnością przejdzie się pieszo. I wtedy... o Boże, co to wszystko znaczy? Zwykle

opustoszały o tej porze peron przypominał londyński dworzec przed wolną sobotą.

- Hej, laleczko! - wrzasnął ktoś, kiedy otworzyła drzwi, i z pół tuzina mężczyzn wtargnęło do jej przedziału, tak że przez chwilę nie mogła się wydostać. Peron był zatłoczony, ludzie miotali się we wszystkie strony - źli, wulgarni i podnieceni.

- Wracaj do pociągu, szybko! - zawołał ktoś.

- Jeśli nie wsiadasz, zjeżdżaj ze stacji! - zawołał ktoś inny.

- Co za piekło! - krzyknął ktoś tuż obok niej, na co kobiecie głos odpowiedział:

- Och, naprawdę, dlaczego ktoś coś z tym nie robi!

A z zewnątrz dochodził potężny zgiew, przypominający ryk tłumu na meczu piłki nożnej. I płonęły jakieś dziwne, oślepiające światła.

* * *

W parę godzin później, posiniaczona, przerażona i zmęczona Jane znalazła się na jakiejś nieznanym sobie ulicy, otoczona przez umundurowanych funkcjonariuszy policji NIBS-u. Szła jak człowiek, który stara się wrócić do domu, zmierzając brzegiem morza w czasie gwałtownego przypływu. Na Warwick Street plądrowano sklepy i rozpalano ogniska, więc szybko postanowiła wybrać określoną drogę wiodącą koło szpitala psychiatrycznego, ale i ta trasa okazała się nie do przebycia z tego samego powodu. Znowu zboczyła z drogi i znowu napotkała tłum, który za każdym razem zdawał się ją wyprzedzać. W końcu skręciła w pustą i cichą Bonę Lane, uznając, że to jedyna szansa dostania się tego wieczoru do domu, i natychmiast zobaczyła grupkę policjantów NIBS-u. Zauważyła już, że można spotkać ich wszędzie, z wyjątkiem tych miejsc, w których zamieszki uliczne były najbardziej gwałtowne.

- Nie przejdzie pani tędy! - zawołał jeden z nich.

Kiedy się odwrócili, zrozpaczona Jane popełniła błąd: zaczęła uciekać. Złapali ją natychmiast i w ten sposób znalazła się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, przesłuchiwana przez umundurowaną policjantkę z krótko ostrzyżonymi, szarymi włosami, ostro zarysowaną, kwadratową twarzą i zgasłym cygarem w zębach. W pokoju panował bałagan, jakby jakiś prywatny dom nagle i bezpardonowo zamieniono w posterunek policji. Jane nie wzbudziła w tej kobiecie większego zainteresowania, dopóki nie usłyszała jej nazwiska. Wówczas pani Hardcastle spojrzała jej w twarz po raz pierwszy, a Jane doznała zupełnie nowego uczucia. Była już zmęczona i przerażona, ale to uczucie było czymś innym. Twarz tej kobiety wywołała w niej takie wrażenie, jak twarze niektórych mężczyzn: grubych mężczyzn z małymi, zachłannymi oczami i dziwnym, budzącym niepokój uśmiechem, których spotykała nieraz, gdy była młodą dziewczyną. Była to twarz przeraźliwie spokojna, a jednocześnie wyraźnie nią zafascynowana. Jane dostrzegła w tej twarzy dziwną grę uczuć: najpierw satysfakcję, potem wahanie, znowu satysfakcję, aż w końcu - a towarzyszyło temu lekkie westchnienie - przyzwolenie. Pani Hardcastle zapaliła cygaro i dmuchnęła jej w twarz dymem. Gdyby Jane wiedziała, że pani Hardcastle bardzo rzadko zapala cygaro, byłaby jeszcze bardziej zaniepokojona. Otaczający ją policjanci i policjantki chyba o tym wiedzieli. Atmosfera wyraźnie się zagęściła.

- Jane Studdock - powtórzyła Wróżka. - Wiem o tobie wszystko, złotko. Jesteś żoną mojego znajomego, Marka. - Mówiąc to, pisała coś na zielonym formularzu. - Świetnie. Niedługo zobaczysz się ze swoim mężulkiem. Zabierzemy cię do Bel bury. A teraz tylko jedno pytanie, moja droga. Co tutaj robiłaś o tej porze?

- Właśnie wysiadłam z pociągu.

- A gdzie byłaś, złotko?

Jane milczała.

- Pojechałaś sobie gdzieś pofiglować, gdy mężulka nie było w domu, co?

- Proszę mnie wypuścić! - zawołała Jane. - Chcę iść do domu. Jestem zmęczona i jest bardzo późno.

- Ale nie wrócisz do domu - oznajmiła pani Hardcastle. - Pojedziesz do Belbury.

- Mój mąż nie mówił mi, że mam do niego przyjechać. Pani Hardcastle pokiwała głową.

- To jeden z jego błędów. Ale my cię tam zabierzemy.

- Co to ma znaczyć?

- Jesteś aresztowana, moja droga - oświadczyła pani Hardcastle, wyciągając ku niej zielony formularz.

Formularz był taki, jak wszystkie urzędowe formularze: mnóstwo rubryk, niektóre były puste, inne wypełnione drobnym drukiem, jeszcze inne wypełnione ołówkiem, a w jednej Jane dostrzegła swoje imię i nazwisko.

- Ooch! - krzyknęła nagle Jane, czując, że otacza ją jakiś koszmar, i rzuciła się w stronę drzwi.

Oczywiście do nich nie dobiegła. Gdy w chwilę później przysła do siebie, dwie młode policjantki trzymały ją mocno za ręce.

- Co za nieznośny charakter! - powiedziała pani Hardcastle kpiącym tonem. - A może pozbędziemy się tych wstrętnych mężczyzn, co?

Na jej znak policjanci opuścili pokój. Jane poczuła się pozbawiona ostatniej szansy obrony.

- No, moje kochane - pani Hardcastle zwracała się do dwu dziewcząt w mundurach, spoglądając na zegarek. - Tak... jest za piętnaście pierwsza... i wszystko idzie jak po maśle... Myślę, Daisy, że możemy sobie pozwolić na rozrywkę. Uważaj, Kitty, i trzymaj ją trochę mocniej. O tak, świetnie.

Mówiąc to, rozpiniała swój szeroki, skórzany pas. Kiedy skończyła, ściągnęła bluzę i rzuciła ją na sofę, ujawniając swój wybujały, rozlazły biust okryty tylko cienką halką, bez biustonosza (na co uskarżał się Bill Zawierucha); coś takiego mógł w napadzie delirium namalować Rubens. Potem usiadła, wyjęła cygaro z ust, ponownie wydmuchała dym prosto w twarz Jane i zapytała:

- Skąd wracałaś tym pociągiem?

Jane nie odpowiedziała - i nie tylko dlatego, że nie była w stanie wydobyć głosu. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości, że jest w rękach tych wrogów ludzkości, z którymi walczył Przewodniczący, i że nie wolno jej niczego zdradzić. Nie czuła się bohaterką. Cała ta scena stawała się dla niej coraz bardziej nierealna, jakby z pogranicza snu i jawy.

- Myślę, Kitty - usłyszała głos pani Hardcastle - że lepiej będzie, jak mi ją dacie trochę bliżej.

Dwie policjantki zmusiły ją do okrążenia stołu. Tuż przed sobą ujrzała panią Hardcastle siedzącą z szeroko rozstawionymi nogami w wysokich, skórzanych butach. Poczowała łagodny, ale stanowczy nacisk trzymających ją rąk i znalazła się między tymi nogami, które ścisnęły jej kostki. Bliskość tej kobiety-potwora napelniła Jane takim przerażeniem, że nie miała już siły lękać się tego, co ją czeka. Pani Hardcastle obserwowała ją z lekkim uśmiechem, pociągając cygaro i wydmuchując dym w jej twarz.

- Wiesz, moja mała - powiedziała w końcu - na swój sposób jesteś nawet całkiem ładna.

Jane milczała.

- Skąd wracałaś tym pociągiem? - zapytała ponownie pani Hardcastle.

Nagle wyciągnęła rękę, powoli rozchyliła dekolot sukienki Jane i przycisnęła rozżarzony koniec cygara do nagiej skóry nad piersią.

- Skąd wracałaś tym pociągiem? - powtórzyła, odejmując cygaro.

Jane nie pamiętała później, ile razy powtórzyła się ta sama procedura. W końcu zdała sobie

sprawę, że pani Hardcastle nie mówi już do niej, lecz do jednej z policjantek.

- O co znowu chodzi, Daisy?

- Powiedziałaam tylko, że jest pięć po pierwszej, proszę pani.

- Jak ten czas leci, prawda, Daisy? Coś nie tak? Chyba się nie zmęczyłaś, trzymając tę małą?

- Nie, proszę pani. Ale pani mówiła, że ma się spotkać z kapitanem O'Harą punktualnie o pierwszej.

- Z kapitanem O'Harą?... - powtórzyła pani Hardcastle, najpierw cicho, jakby w rozmarzeniu, a potem kończąc frazę głośno i gwałtownie, jak ktoś, kto budzi się ze snu. Zerwała się z krzesła i zaczęła wkładać bluzę.

- A niech to diabli! - zawołała. - Co za tępaki z was! Dlaczego nie przypomniałaś mi wcześniej?

- No bo... nie chciałam, proszę pani...

- Nie chciałaś?! A niby po co wy tu jesteście?

- Pani nie lubi, jak jej przeszkadzać... podczas przesłuchania...

- Nie dyskutuj! - przerwała jej pani Hardcastle, wymierzając dziewczynie policzek otwartą dłonią. - Weź się w garść. Zabierzcie aresztowaną do samochodu. Nie traćcie czasu na zapinanie jej guzików, kretynki! Zaraz do was przyjdę, tylko obmyję twarz zimną wodą.

W kilkanaście sekund później Jane znalazła się między Daisy i Kitty na tylnym siedzeniu wielkiego samochodu (z tyłu było miejsce dla pięciu osób) toczącego się cicho przez ciemność.

- Lepiej unikaj jak możesz przejazdu przez centrum, Joe - rozległ się głos pani Hardcastle. - Musi tam być nieźle piekło. Jedź do psychiatryka, a potem w dół tymi małymi uliczkami z tyłu dziedzińca.

Z ciemności dobiegały dziwne odgłosy; raz po raz błyskały jakieś światła. Od czasu do czasu mijali duże grupy ludzi. Nagle samochód zatrzymał się, silnik zgasł.

- Do jasnej cholery, dlaczego się zatrzymałeś?! - zawołała pani Hardcastle.

Kierowca nie odpowiedział, słychać było tylko zgrzyt rozrusznika towarzyszący bezskutecznym próbom uruchomienia silnika.

- Co się stało? - zapytała pani Hardcastle.

- Nie wiem, proszę pani - odpowiedział kierowca, wciąż starając się uruchomić motor.

- Na Boga! Nie potrafisz nawet zadbać o swój wóz? Niektórym z was też by się przydało jakieś leczenie.

Ulica była pusta, ale sądząc po odgłosach, gdzieś blisko gromadził się rozwścieczony tłum. Kierowca wysiadł, klnąc pod nosem, i podniósł maskę samochodu.

- Wy dwie, wyskakujcie - poleciła pani Hardcastle. - Rozejrzyjcie się za innym samochodem... gdzieś niedaleko... i zarekwirujcie go. Jak nie znajdziecie żadnego, wracajcie tu za dziesięć minut, choćby nie wiem co się działo. Szybko.

Obie policjantki wysiadły i znikły za rogiem. Pani Hardcastle nie przestawała miotać obelg. Hałas przybliżał się. Nagle kierowca wyprostował się i zwrócił do pani Hardcastle. W świetle latarni Jane dostrzegła pot na jego twarzy.

- Pani słucha, pani Hardcastle - powiedział. - Mam już tego dość. Albo pani przestanie się na mnie wydzierać, albo niech pani wyjdzie i sama naprawi ten cholerny wóz, jeśli pani taka mądra!

- Nie próbuj takiego tonu, Joe. Chyba nie chcesz, żebym szepnęła o tobie parę słów zwykłej policji?

- Może mi pani naskoczyć! Coś mi się widzi, że pobyt w kiciu wcale nie jest gorszy od roboty dla tej waszej bandy. Niech mnie szlag! Służyłem w żandarmerii wojskowej, byłem w Irlandii i w BUF, [British Union of Fascists.] ale w porównaniu z tym wszystkim tutaj to były pikniki. Człowiek zasługuje na przyzwoite traktowanie! I tam miałem nad sobą chłopów, a nie jakieś

cholerne stare baby!

- Tak, Joe - wycodziła pani Hardcastle - ale tym razem, jeśli doniosę na ciebie zwykłej policji, to czeka cię nie tylko więzienie.

- Tak?! Tak?! A może ja też im coś o pani opowiem, co?

- O Boże, niech go pani nie drażni - jęknęła Kitty. - Oni są już blisko. Zaraz się do nas dobiorą. Rzeczywiście na ulicy pojawiły się pierwsze grupki biegnących mężczyzn.

- Dziewczęta, idziemy - zdecydowała pani Hardcastle. Szybko! Tędy!

Jane została wyciągnięta z samochodu, a Daisy i Kitty wzięły ją z obu stron pod rękę. Pani Hardcastle kroczyła z przodu. Przeszły przez ulicę i skręciły w pierwszą napotkaną przecznicę.

- Czy któraś z was wie, gdzie jesteśmy? - zapytała po chwili pani Hardcastle.

- Nie mam pojęcia, proszę pani - odpowiedziała Daisy.

- Ja tu jestem obca, proszę pani - dodała Kitty.

- Ale mi się trafiło towarzystwo - mruknęła pani Hardcastle. - A w ogóle coś wiecie?

- Tędy chyba nigdzie nie dojdziemy - powiedziała Kitty roztrzęsionym głosem.

Rzeczywiście, alejka okazała się ślepą uliczką. Pani Hardcastle zatrzymała się, nic nie mówiąc. W przeciwieństwie do swoich podwładnych nie wyglądała na przerażoną, co więcej - sytuacja najwyraźniej wprawiała ją w przyjemne podniecenie.

- Nie wytykałyście nigdy nosa z domu po zmierzchu? - zakpiła - Ej, Daisy, widzisz tu kogoś? Bo mnie się zdaje, że te wszystkie domy są puste. W każdym razie pozamykane. Może po prostu zatrzymamy się tutaj, co?

Z ulicy, którą dopiero co opuściły, dobiegały coraz głośniejsze wrzaski. Zobaczyły skłębiony tłum ludzi biegnących gdzieś na zachód. Potem rozległy się jeszcze głośniejsze pojedyncze okrzyki.

- Złapali Joego - powiedziała pani Hardcastle. - Jeżeli dadzą mu dojść do słowa, skieruje ich za nami. Psiakrew! Stracimy naszą zdobycz! Przestań beczeć, Daisy, ty kretynko! Szybko. Musimy się rozdzielić i wmieszać w tłum. Jakoś się stąd wydostaniemy. Nie traćcie głowy. I nie strzelajcie, cokolwiek by się działo. Na skrzyżowaniu starajcie się kierować na Billingham. Pa, pa, dziewczyny! Zachowajcie zimną krew, jeśli mamy się jeszcze spotkać.

I natychmiast oddaliła się spokojnym krokiem. Przez chwilę zatrzymała się na rogu, a potem wmieszała w tłum. Dwie policjantki zawahały się, po czym uczyniły to samo. Jane usiadła na schodkach jakiegoś domu. Przypalenia na piersi bolały przy każdym ruchu, ale bardziej niepokoił ją to, że czuła się słabo. Miała dreszcze i zbierało się jej na wymioty. A przede wszystkim poczuła się potwornie zmęczona, tak zmęczona, że prawie natychmiast zamknęła oczy...

Otrząsnęła się. Naokoło panowała cisza. Przemarzała tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Dygotała i szczękała zębami. „Chyba musiałam zasnąć”, pomyślała. Wstała, przeciągnęła się i ruszyła słabo oświetloną alejką ku ulicy. Tu napotkała tylko jakiegoś mężczyznę w kolejarским mundurze, który pozdrowił ją krótkim „Dzień dobry”, kiedy ją mijał. Przez chwilę stała nieruchomo, niezdecydowana, a potem zaczęła wolno iść w prawą stronę. Wsadziła rękę do kieszeni płaszcza, który narzuciły na nią Daisy i Kitty, kiedy wychodziły z mieszkania, i natrafiła na spory kawałek czekolady. Poczula straszny głód, więc zaczęła ją żarłocznie gryźć. Właśnie skończyła, gdy tuż przed nią zatrzymał się jakiś samochód.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał kierowca, wychylając głowę przez okno.

- Może panią zraniono w zamieszkach? - rozległ się kobiecy głos z wnętrza wozu.

- Nie... to nic takiego... ja nie wiem... - wybełkotała Jane.

Mężczyzna popatrzył na nią uważnie i wysiadł z samochodu.

- Halo, proszę pani! Nie wygląda pani za dobrze. Naprawdę nic pani nie jest?

Potem odwrócił się i powiedział coś do kobiety w samochodzie.

Nieznajoma para umieściła Jane w samochodzie. Podano jej trochę brandy, a potem kanapkę. Kiedy przysła do siebie, mężczyzna zapytał:

- Gdzie pani mieszka?

I Jane, trochę niespodziewanie dla samej siebie, usłyszała swój głos odpowiadający:

- W St Anne's, we Dworze.

- Wspaniale! - ucieszył się mężczyzna. - Jedziemy do Birmingham i będziemy tamtędy przejeżdżać.

Jane natychmiast usnęła. Odzyskała świadomość, przekraczając oświetlony próg domu, podtrzymywana przez kobietę w piżamie i narzuconym na ramiona płaszczu. Dopiero po chwili rozpoznała panią Maggs. Była jednak zbyt zmęczona, aby zapamiętać, jak znalazła się w łóżku.

Rozdział 8

Belburg w świetle księżycy

Jestem ostatnią osobą, pani Hardcastle - powiedział wicedyrektor - która chciałaby się wtrącać w pani... ee... prywatne przyjemności. Ale... naprawdę!...

Rozmowa odbywała się w jego gabinecie, w kilka godzin przed śniadaniem. Starszy pan był ubrany, ale nieogolony. Stali przed wygasłym kominkiem, co było dziwne, jeśli założyć, że nie spał tej nocy.

- Ona nie może być daleko - stwierdziła pani Hardcastle. - Dostaniemy ją innym razem. Warto było spróbować. Zabrakło mi pięciu minut, żeby z niej wydusić, skąd wracała. A mogło się okazać, że trafiliśmy na główną kwaterę wroga. Moglibyśmy wyłapać całą tę bandę.

- Nie sądzę, aby to była najlepsza okazja do... - zaczął Wither, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

- Jak się pan orientuje, nie mamy zbyt wiele czasu. Frost skarży się, że świadomość tej kobiety jest coraz trudniej dostępna. A zgodnie z tą całą waszą metapsychologią, czy jak wy to tam nazywacie w tym swoim cholernym żargonie, to oznacza, że dostaje się w sferę wpływów tamtej strony. Sam mi to pan mówi! Co będzie, jeśli stracie kontakt z jej świadomością, zanim ją zawładnę jej ciałem?

- Oczywiście zawsze jestem gotów wysłuchać pani opinii i... ee... szczerze mnie one interesują. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, by zaprzeczyć, że mają one... ee... w pewnym sensie, jeśli nawet nie bez zastrzeżeń, naprawdę wielką wartość. Z drugiej jednak strony, pani Hardcastle, są pewne sprawy, przy których pani... ee... wąsko wyspecjalizowane kwalifikacje nie do końca wystarczają, aby... Cóż, na tym etapie nie rozważaliśmy aresztowania. Obawiam się, że Głowa może być skłonna do oskarżenia pani o przekroczenie swoich kompetencji. Nie twierdzę, że podzielał bez zastrzeżeń taką opinię, ale wszyscy musimy się zgodzić, że takie nieautoryzowane działanie...

- Och, daj spokój, Wither! - przerwała mu znowu Wróżka, siadając na blacie biurka. - Zachowaj pan sobie te gierki dla ludzi pokroju Steele'a lub Stone'a. Do cholery, czy pan myśli, że dam się - nabrać na te kawały z elastycznością? Trafiła się znakomita okazja, ta mała sama wpadła nam w ręce. Gdybym nie zechciał tego wykorzystać, prawilby mi pan teraz kazania o braku inicjatywy, a jak to wykorzystałam, to słyszę o przekroczeniu moich kompetencji. Ale mnie nie tak łatwo postraszyć. Wiem dobrze, że jeśli NIBS zawiedzie, wszyscy oberwiemy, a bardzo jestem ciekawa, jakbyście sobie poradzili beze mnie. Przecież musimy dostać tę dziewczynę w swoje ręce, tak czy nie?

- Ale nie w taki sposób. Zawsze byliśmy przeciwni stosowaniu przemocy. Gdyby zwykłe aresztowanie dało nam w efekcie... ee... zgodę pani Studdock na współpracę z nami, to nie musielibyśmy robić sobie tyle kłopotów ze ściąganiem tutaj jej męża. I obawiam się, pani Hardcastle, że nawet zakładając... oczywiście tylko teoretycznie... możliwość usprawiedliwienia takich drastycznych metod, to obawiam się, że pani zachowanie po fakcie aresztowania zasługuje na poważną krytykę.

- Przecież nie mogłam przewidzieć, że ten cholerny samochód nawali właśnie w takim momencie!

- Nie sądzę - odparł Wither - aby Głowa była skłonna rozpatrywać to jedynie w kategoriach zwykłego niepowodzenia. Gdy tylko napotkała pani opór ze strony tej kobiety, nie można było... taka jest przynajmniej moja opinia... spodziewać się sukcesu przy zastosowaniu metod, jakie zostały przez panią użyte. Chyba pani wie, że zawsze ubolewam nad wszystkim, co nie jest

doskonale ludzkie, lecz zgadzam się ze sprawdzoną opinią, według której, jeśli już zachodzi konieczność zastosowania bardziej drastycznych środków, to należy je zastosować konsekwentnie i w sposób do końca przemyślany. Umiarkowany ból, taki, któremu może się oprzeć człowiek o przeciętnym stopniu wytrzymałości, zawsze jest błędem. Tak nie powinno się traktować więźnia. Otrzymała pani instrukcje stosowania bardziej naukowych i chyba bardziej cywilizowanych metod represyjnego przesłuchania i jestem pewien, że dałyby one o wiele lepsze rezultaty. Nie mówię tego oficjalnie, pani Hardcastle, i w żadnym sensie nie próbuję antycypować reakcji naszej Głowy. Zlekceważyłbym jednak swoje obowiązki, gdybym w tym miejscu nie wspomniał iż w łonie kierownictwa pojawiła się już opinia... choć nie została jeszcze, rzecz jasna, zaprotokobwana. .. że pani skłonność do pozwalania sobie na pewne... ee... emocjonalne podniecenie w zakresie dyscyplinarnego aspektu pani obowiązków odrywa panią od wymogów naszej strategii.

- Nie znajdziecie nikogo, kto by potrafił dobrze odwalić tę robotę, jeśli nie dacie mu się trochę wyżyć - powiedziała pani Hardcastle obrażonym tonem.

Wicedyrektor spojrzał na zegarek.

- W każdym razie chciałabym wiedzieć, dlaczego Głowa chce mnie widzieć właśnie teraz? Przez tę całą cholerną noc byłam na nogach. Chyba należy mi się kąpiel i jakieś śniadanie.

- Ścieżka wypełniania obowiązków, droga pani Hardcastle, nigdy nie będzie łatwa. Nie może pani zapominać, że punktualność jest jednym z tych wymogów, na które czasami kładziemy szczególny nacisk.

Pani Hardcastle wstała i roztarła sobie twarz dłońmi.

- No dobra, ale muszę się czegoś napić, zanim tam wejdę. Wither uniósł ręce w geście potępienia.

- Wither, ja muszę się napić.

- Nie boi się pani, że poczuje?

- Mów pan sobie, co chcesz, ale nie wejdę tam, jeśli się nie napiję.

Wicedyrektor otworzył kredens i nalał jej whisky. Potem oboje opuścili gabinet i przeszli długimi korytarzami tam, gdzie stary budynek łączył się z nowo wybudowanym skrzydłem, mieszczącym Ośrodek Transfuzji Krwi. O tej porze wszędzie było ciemno i pani Hardcastle przyświecała latarką, kiedy szli najpierw przez korytarze wybżone dywanami i ozdobione obrazami, potem przez korytarze zaśmieczone, z obdrapanymi ścianami, przez drzwi, które musieli otworzyć kluczem, potem przez drugie drzwi. Słychać było tylko stukot obcasów wysokich butów pani Hardcastle, bo wicedyrektor szedł w bamboszach. W końcu dotarli do jasno oświetlonego pomieszczenia wypełnionego mieszaniną zwierzęcych i chemicznych zapachów. Były tam drzwi, które otworzyły się przed nimi po wymianie zdań przez specjalną tubę. Na progu stał Filostrato w białym fartuchu.

- Wejdz - powiedział do pani Hardcastle. - Czeka na ciebie od pewnego czasu.

- Jest w złym nastroju?

- Sza! - syknął Wither. - W każdym razie, droga pani, nie sądzę, by można było używać takiego języka wobec Głowy. Jak pani wie, jego przypadłości... jego szczególny stan...

- Masz wejść natychmiast, gdy tylko będziesz gotowa - przerwał mu Filostrato.

- Chwileczkę! Poczekaj. Tylko chwilę.

- Co jest z tobą? Pospiesz się, błagam!

- Chyba zwymiotuję.

- Tylko nie tu! Wracaj. Zaraz ci dam trochę X54.

- Już dobrze. - Pani Hardcastle oddychała głęboko. - To tylko chwilowa słabość. Trzeba czegoś gorszego niż to, żeby mnie zmogło.

- Teraz cisza - powiedział Włoch. - Nie otwieraj drugich drzwi, dopóki mój asystent nie zamknie za tobą pierwszych. Mów tylko tyle, ile konieczne. Nie mó w nawet: „Tak jest”, jeśli otrzymasz jakieś polecenie. Głowa ma prawo oczekiwać, że będziesz posłuszna. Nie wykonuj gwałtownych ruchów, nie podchodź zbyt blisko, nie krzycz, a przede wszystkim nie sprzeczasz się Wchodź!

* * *

Długo po wschodzie słońca uśpiona świadomość Jane zarejestrowała dziwne odczucie, które - gdyby zechciała je ubrać w słowa - mogłaby oddać pieśń: „Bądź szczęśliwy, o śpiący, niech twój smutek pierzchnie. Jam jest bramą do wszelkiej radosnej przygody”. [Z poematu Chaucera, *The Parliament of Fowles*, 131-132.] Kiedy się obudziła i zobaczyła, że leży w łóżku zalanym zimowym, porannym słońcem, ogarnięta miłym rozmarzeniem, ten nastrój nadal się utrzymywał. „Musi mi pozwolić tu zostać”, pomyślała. W jakiś czas później przyszła pani Maggs, rozpałała ogień w kominku i podała jej śniadanie. Jane skrzywiła się, siadając w łóżku, bo poparzone miejsca przykleiły się jej do dziwnej koszuli nocnej (raczej na nią za dużej), w którą ją ubrano. W zachowaniu pani Maggs zaszła trudna do określenia zmiana.

- Och, jak to cudownie, że jesteśmy tu razem, prawda, pani Studdock? - powiedziała, a w tonie jej głosu dało się wyczuć jakąś bliskość, której wcześniej między nimi nie było.

Jane czuła się zbyt rozleniwiona, aby się nad tym zastanawiać. Po śniadaniu odwiedziła ją pani Ironwood. Zbadła i opatrzyła oparzenia, które okazały się niegroźne.

- Może pani wstać dopiero po południu, jeśli pani chce, pani Studdock - powiedziała. - Będę miała spokojny dzień. Co chciałaby pani poczytać? Mamy tu całkiem sporą bibliotekę.

- Jeśli można prosić, to książki o Curdiem i może *Mansfield Park*, i... sonety Szekspira.

Przyniesiono jej książki, lecz wkrótce znowu zapadła w sen. Dopiero o czwartej po południu oświadczyła pani Maggs, że chce wstać.

- Dobrze, pani Studdock - odpowiedziała pani Maggs. - Jak pani sobie życzy. Zaraz pani przyniosę filiżankę dobrej herbaty i przygotuję kąpiel. Łazienka jest tuż obok, tylko będę musiała wyprosić z niej Pana Bultitude'a. Okropny z niego leniuch i siedziaby tam przez cały dzień, kiedy jest zimno.

Jane zdecydowała się jednak wstać, nie czekając na herbatę. Czuła się na tyle dobrze, że postanowiła zaryzykować spotkanie nawet z owym ekscentrycznym Panem Bultitude'em. Miała wrażenie, że gdy tylko wstanie i ogarnie się mogą się w tym domu wydarzyć same przyjemne niespodzianki. Narzuciła na ramiona płaszcz, wzięła ręcznik i wyruszyła na poszukiwanie łazienki. W ten sposób doszło do sceny, w której pani Maggs, wchodząc chwilę później po schodach z herbatą, ujrzała ją z twarzą białą jak papier, wybiegającą z łazienki, a potem gwałtownie zatrzasnącą za sobą drzwi do sypialni.

- Och, moja kochana! - zawołała pani Maggs, wybuchając śmiechem. - Powinam panią uprzedzić. Ale proszę się nie martwić. Zaraz go wyrzucę.

Postawiła tacę na podłodze i skierowała się do łazienki.

- Czy to bezpieczne? - zapytała Jane.

- Ależ oczywiście, jest łagodny jak baranek - odpowiedziała pani Maggs. - Tylko niełatwo ruszyć go z miejsca. W każdym razie pani albo mnie, bo pani Ironwood i Przewodniczący to już inna sprawa.

Otworzyła drzwi łazienki. Wewnątrz, tuż obok wanny, siedział na tylnych łapach wielki, brzuchaty, z oczkami jak paciorki i z miękko pofałdowanym futrem brunatny niedźwiedź, który po

wielu wymówkach, zaklinaniach, popychaniach i klapsach pani Maggs uniósł wreszcie swój wielki brzuch i z godnością, bardzo powoli wyszedł na korytarz.

- Czemu nie wyjdiesz na dwór i nie pobiegasz sobie trochę w takie piękne popołudnie, leniuchu? - zawołała pani Maggs. Niech się go pani nie boi, pani Studdock. Można go pogłaskać. No, chodź, Panie Bultitude. Chodź i przywitaj się z tą panią!

Jane wyciągnęła ostrożnie rękę, by dotknąć grzbietu zwierzęcia, ale Pan Bultitude wyraźnie się dąsał i nie racząc nawet obdarzyć jej spojrzeniem, kontynuował powolny marsz korytarzem, aby po przejściu jakichś ośmiu metrów nagle usiąść. Nie ulegało wątpliwości, że piętro niżej wszyscy się dowiedzieli, że Pan Bultitude właśnie usiadł.

- Czy to naprawdę bezpieczne trzymać takie stworzenie w domu i pozwalać, żeby swobodnie łąziło, gdzie ma ochotę? - zapytała Jane.

- Pani Studdock - odrzekła uroczystym tonem pani Maggs - gdyby Przewodniczący zechciał, aby po domu chodził sobie tygrys, też byłoby to zupełnie bezpieczne. On już tak ma ze zwierzętami. Żadne stworzenie w tym domu nie zaatakuje nikogo, jeśli Przewodniczący pomówi z nim na osobności. To samo dotyczy nas wszystkich. Sama pani zobaczy.

- Będę wdzięczna, jeśli zanieś mi pani herbatę do mojego pokoju - powiedziała Jane nieco chłodnym tonem i skierowała się do łazienki.

- Dobrze, proszę pani, ale może pani się przy nim kąpać... chociaż jest taki wielki i taki ludzki, że chyba sama nie najlepiej bym się przy tym czuła.

Jane chwyciła za klamkę, żeby zamknąć drzwi od łazienki.

- No to panią z nim zostawiam - powiedziała pani Maggs, nie ruszając się z progu.

- Dziękuję.

- Na pewno nic więcej pani nie potrzeba?

- Na pewno.

- To ja już idę - powiedziała pani Maggs, ale prawie natychmiast znowu się do niej odwróciła i dodała: - Jakby pani chciała, to znajdzie nas pani w kuchni, Mamę Dimble, mnie i resztę.

- Czy pani Dimble też tutaj przebywa? - zapytała Jane, kładąc nacisk na słowo „pani”.

- My tutaj nazywamy ją Mamą Dimble. I jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciw temu, żeby i pani tak ją nazywała. Za dzień lub dwa przywyknie pani do naszych zwyczajów, zobaczy pani. Tak sobie myślę, że to trochę śmieszny dom. No dobrze. To ja już idę. Niech pani za długo tam nie siedzi, bo herbata pani ostygnie. A w ogóle, to nie radziłabym pani się kąpać. Przez te okropne oparzenia. Niczego pani nie potrzeba?

Jane umyła się, napiła herbaty, ubrała się i uczesała dziwną szczotką przed jeszcze dziwniejszym lustrem, po czym wyruszyła na zwiedzanie domu. W długim korytarzu panowała owa jedyna w swoim rodzaju cisza górnego piętra w dużym domu, w pogodne zimowe popołudnie. Doszła do miejsca, od którego odchodził drugi korytarz, i tutaj ciszę zakłócił lekki, nieregularny stukot: *pob-pob-pob-pob*. Spojrzała w prawo i na końcu korytarza ujrzała Pana Bultitude'a, siedzącego na tylnych łapach w wykuszu okna i spokojnie uderzającego przednimi łapami w gruszkę bokserską. Skręciła więc w lewo i wkrótce znalazła się na podeście, z którego wiodły schody na dół, do wielkiego holu, gdzie światło dzienne mieszało się z blaskiem kominka. Po drugiej stronie majaczył mroczny korytarz, prowadzący - jak pamiętała - do pokoju Przewodniczącego. Promieniowała stamtąd jakaś dziwna powaga, więc zeszła na palcach do holu, przeniknięta narzucającym się gwałtownie wspomnieniem przedziwnej atmosfery tego niebieskiego pokoju - tak silnym, że dominującym nawet nad myślą o samym Przewodniczącym. W holu nabrała pewności, gdzie w tym domu koncentruje się życie. Wiedziona głosami i innymi dźwiękami zeszła dwa stopnie w dół, potem długim, wyłożonym kamiennymi płytami korytarzem, mijając gablotkę z

wypchanym szczupakiem i stary zegar - do kuchni.

W wielkim, otwartym kominku płonęło drewno, oświetlając miłą postać pani Dimble, która siedziała w pobliżu na kuchennym krześle i obierała jakieś jarzyny. Pani Maggs i Camilla stały przy piecu kuchennym - kominek najwidoczniej nie służył do gotowania i pieczenia - a w drzwiach prowadzących zapewne do zmywalni stał wysoki, szpakowaty mężczyzna w gumowych butach, wycierający ręce w ścierkę. Wyglądał, jakby właśnie przyszedł z ogrodu.

- Wejdz, Jane - powitała ją serdecznie Mama Dimble. - Dzisiaj nie oczekujemy jeszcze od ciebie żadnej pomocy. Wejdz i usiądź sobie z drugiej strony przy kominku, to porozmawiamy. To jest pan MacPhee. Co prawda nie powinno go tutaj być, ale skoro już jest, to ci go przedstawiam.

Pan MacPhee, zakończywszy wycieranie rąk i powiesiwszy z namaszczeniem ścierkę za drzwiami, podszedł do Jane i przywitał się z nią trochę ceremonialnie. Miał dużą, szorstką dłoń i bystrą twarz o twardych rysach.

- Bardzo mi miło panią poznać, pani Studdock - powiedział.

Mówił z akcentem, który Jane wzięła za szkocki, ale który w rzeczywistości świadczył, że pan MacPhee pochodzi z Ulsteru.

- Nie wierz w ani jedno jego słowo, Jane - powiedziała Mama Dimble. - To twój największy wróg w tym domu. Nie chce uwierzyć w twoje sny.

- Pani Dimble! - odezwał się MacPhee. - Już wielokrotnie wyjaśniałem pani różnicę między osobistym poczuciem zaufania a uznaniem logicznej wymowy świadectw. W tym pierwszym przypadku chodzi o pewne przeżycie psychologiczne...

- A w drugim o zwykłe nudziarstwo - wtrąciła pani Dimble.

- Pani Studdock, proszę nie zwracać na nią uwagi - powiedział MacPhee. - Jak już powiedziałem, bardzo mi miło powitać panią wśród nas. To, że uznałem za swój obowiązek przy wielu okazjach podkreślać, iż żaden *experimentum crucis* nie potwierdził jeszcze hipotezy, wedle której pani sny są wiarygodne, nie ma żadnego związku z moim osobistym do pani stosunkiem.

- Oczywiście - powiedziała Jane wymijająco, nieco zmieszana tą wymianą zdań. - Jestem przekonana, że ma pan prawo do własnej opinii.

Wszystkie kobiety roześmiały się, kiedy MacPhee odpowiedział, nieco podnosząc głos:

- Pani Studdock, ja nie mam żadnej opinii na żaden temat. Stwierdzam tylko fakty i odkrywam ich implikacje. Gdyby każdy był bardziej oszczędny w wyrażaniu swoich opinii - ostatnie słowo zostało wypowiedziane z wyraźną odrazą - na świecie byłoby o wiele mniej głupich rozmów i druków.

- Ja natomiast wiem, kto w tym domu najwięcej mówi - wtrąciła pani Maggs, co trochę Jane zaskoczyło.

MacPhee popatrzył na panią Maggs z kamienną twarzą, wyjmując jednocześnie tabakierkę i zażywając z niej spory niuch.

- Tak czy owak, na co pan jeszcze czeka? - zapytała pani Maggs. - Dziś jest kobiecy dzień w kuchni.

- Właśnie się zastanawiam - odparł MacPhee z godnością - czy zostawiono dla mnie filiżankę herbaty.

- Tak? A dlaczego nie było pana o właściwej porze?

Jane zauważyła, że pani Maggs zwraca się do niego w podobny sposób jak do niedźwiedzia.

- Byłem zajęty - oświadczył MacPhee, siadając w końcu stołu. - Okopywałem seler - dodał po pauzie. - Ta mała robi co może, ale nie ma pojęcia o pracy w ogrodzie.

- Co to znaczy „kobiecy dzień w kuchni”? - zapytała Jane panią Dimble.

- Nie ma tu służby i sami wszystko robimy. W jednym dniu kobiety, w drugim mężczyźni. Co?

Nie, to bardzo rozsądna umowa. Przewodniczący uważa, że mężczyźni i kobiety nie są w stanie pracować razem w kuchni bez kłótni. Coś w tym jest. Oczywiście w dzień męski staramy się nie przyglądać zbyt uważnie filiżankom, ale na ogół jakoś dajemy sobie radę.

- Ale skąd to przekonanie, że mężczyźni i kobiety muszą się kłócić? - zapytała Jane.

- Chodzi o różne metody, moja kochana. Mężczyźni nie potrafią pomagać. Mogą coś zrobić, jak się ich do tego nakłoni, ale niech nam nie pomagają. Okropnie przy tym zrzędzą.

- Podstawową trudnością - odezwał się MacPhee - we współpracy między odmiennymi płciami jest to, że kobiety mówią językiem bez rzeczowników. Kiedy dwóch mężczyzn robi coś razem, jeden mówi do drugiego: „Włóż tę miskę do tej większej miski, którą znajdziesz na najwyższej półce zielonego kredensu”. Natomiast kobiecym odpowiednikiem tej informacji jest: „Włóż to do tamtego tam”. A jeśli zapytasz: „Do czego?”, odpowiadają: „No przecież do tego!” W rezultacie powstaje fatyczny hiatus.

- Tu jest herbata, a ja zaraz pójde i przyniosę panu kawałek ciasta - powiedziała Ivy Maggs. - To o wiele więcej, niż pan na to zasługuje. A jak już pan zje i wypije, to może pan iść na górę i gadać sobie o rzeczownikach przez resztę popołudnia.

- Nie o rzeczownikach, ale o znaczeniu rzeczowników - oświadczył z naciskiem MacPhee, ale pani Maggs już opuściła kuchnię.

Jane wykorzystała okazję, aby powiedzieć cicho do Mamy Dimble:

- Pani Maggs zdaje się tu czuć jak u siebie w domu.

- Ależ kochana, ona tu jest u siebie w domu.

- Jako służąca?

- Jeśli bywa służącą, to nie bardziej niż każdy z nas. Jest tu przede wszystkim dlatego, że zabrano jej własny dom. Nie miała gdzie się podziać.

- To znaczy, że jest... jednym z dobrych uczynków Przewodniczącego? ...

- Oczywiście. Dlaczego o to pytasz?

- No... nie wiem. Trochę to dziwne, że mówi do pani „Mamo Dimble”. Mam nadzieję, że nie jestem snobką, ale...

- Zapominasz, że Cecil i ja też jesteśmy jednymi z dobrych uczynków Przewodniczącego.

- Czy to nie jest tylko gra słów?

- Ależ skąd! I Ivy, i Cecil, i ja jesteśmy tutaj dlatego, że wyrzucono nas z naszych domów. W każdym razie Ivy i ja. Z Cecilem to trochę inna sprawa.

- A Przewodniczący wie, że pani Maggs tak się do wszystkich odzywa?

- Moje dziecko, nie pytaj mnie, co wie Przewodniczący.

- Bo zastanawia mnie, że kiedy się z nim widziałam, mówił coś o równości... że nie jest taka ważna. A w jego własnym domu panują... no, bardzo demokratyczne zasady.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, co on mówi na ten temat - odpowiedziała Mama Dimble. - Zwykle mówi albo o duchowym aspekcie... a przecież chyba nie uważasz, że akurat twoja duchowość jest lepsza od duchowości Ivy... albo o małżeństwie.

- A dla pani jego poglądy na małżeństwo są zrozumiałe?

- Moja kochana, Przewodniczący jest bardzo mądrym człowiekiem. Ale w końcu to mężczyzna, w dodatku niezonaty. Czasami mi się wydaje, że i on, i Zwierzchnicy, robią dużo zamieszania wokół sprawy, która jest tak prosta i naturalna, że w ogóle nie powinno się o niej mówić. Ale chyba w naszych czasach jest wiele młodych kobiet, którym trzeba o tym mówić.

- Widzę, że nie ma pani zbyt dobrego zdania o współczesnych młodych kobietach.

- No, może jestem niesprawiedliwa. My miałyśmy łatwiej. Wychowano nas na opowieściach ze szczęśliwym zakończeniem i na modlitewnikach. Naszymi ideałami były miłość, szacunek i

posłuszeństwo, dbaliśmy o swój wygląd, nosiliśmy szlafroczy i lubiliśmy walca...

- Walc to bardzo przyjemny taniec - powiedziała pani Miggs, która właśnie wróciła z ciastem dla pana MacPhee. - Taki staroświecki...

W tym momencie otworzyły się drzwi i rozległ się głos:

- No, jeśli chcesz wejść, to wchodź.

Zaproszony w ten sposób, wkroczył do kuchni wspaniały gawron, a za nim najpierw Pan Bultitude, a potem Arthur Denniston.

- Arthurze, przecież cię prosiłam - powiedziała Ivy Maggs. Żebyś nie przyprowadza! tego niedźwiedzia do kuchni, kiedy przygotowujemy kolację.

Pan Bultitude, najwyraźniej niezbyt pewny, jak go tutaj przyjmą przeszedł przez kuchnię w sposób, który uważał (błędnie) za nierzucający się w oczy i usiadł za krzesłem pani Dimble.

- Doktor Dimble właśnie wrócił - oznajmił Denniston. - Musiał jednak pójść prosto do Niebieskiego Pokoju. Przewodniczący chce też widzieć ciebie, MacPhee.

* * *

Tego dnia Mark zasiadł do obiadu w dobrym nastroju. Wszyscy wyrażali satysfakcję ze sposobu, w jaki zostały uśmierzone zamieszki, a jemu przyjemnie było czytać swoje własne doniesienia w porannej prasie. Zrobiło mu się jeszcze przyjemniej na duszy, kiedy usłyszał, jak Steele i Cosser komentują te artykuły, najwyraźniej nie mając pojęcia, w jaki sposób i przez kogo zostały napisane. Przed południem uczestniczył też w rozmowie między Frostem, Wrózką i Witherem na temat przyszłości Edgestow. Byli zgodni co do tego, że rząd przychylił się do opinii społecznej (ogólnie nastawionej do NIBS-u przychylnie, jak wynikało z prasy) i odda czasowo Edgestow pod kontrolę policji instytutu. Powinien zostać wyznaczony nadzwyczajny komisarz miasteczka. Lord Feverstone jest oczywistym kandydatem. Jako członek parlamentu reprezentuje społeczeństwo, jako członek Bracton College reprezentuje uniwersytet, jako członek instytutu reprezentuje instytut. Jego osoba gwarantowała, że nie będzie żadnych niepotrzebnych tarć. Artykuł, który Mark ma po południu napisać na ten temat, po prostu napisze się sam! Ale na tym nie koniec. W trakcie tej rozmowy wyszł o na jaw, że wybór Feverstone'a na to niewdzięczne stanowisko ma drugie dno - w odpowiednim czasie, kiedy NIBS znajdzie się w ogniu krytyki, właśnie z niego będzie można zrobić kozła ofiarnego. Oczywiście nie powiedziano tego wyraźnie, ale Mark zrozumiał, że Feverstone nie należy już do Wewnętrznego Kręgu. Wróзка stwierdziła, że stary Dick tak naprawdę jest tylko politykiem i zawsze nim będzie. Wzdychając, Wither przyznał, że talenty lorda były bardziej użyteczne we wcześniejszej fazie, a teraz chyba już nie będzie z niego większego pożytku. Sam Mark nie zamierzał podkopywać pozycji Feverstone'a, a nawet nie przyznawał się przed samym sobą że byłoby mu to na rękę, ale ogólna atmosfera tej rozmowy całkiem mu odpowiadała, zwłaszcza od chwili, gdy połapał się w sytuacji. No i „rozgryzł” wreszcie Frosta. Wiedział z doświadczenia, że w prawie każdej organizacji istnieje jakaś cicha, niepozorna osoba, którą drobne plotki lekceważą, a która w rzeczywistości jest jednym z głównych rozgrywających. Już samo rozpoznanie takich ludzi wskazuje, że człowiek robi postępy. Co prawda we Froście było coś zimnego, rybiego, co niezbyt się Markowi podobało, a regularność jego rysów wydawała się prawie odpychająca, ale to, co mówił (a mówił niewiele), zawsze trafiało w sedno dyskutowanego tematu. Mark był naprawdę rad, że może z nim rozmawiać.

Przyjemność, jaką Mark czerpał z rozmowy z takimi ludźmi, coraz bardziej traciła związek z tym, czy ich lubił, czy nie lubił. Był świadom tej zmiany - a zaczęło się to wówczas, gdy dostał się do Postępowej Elity w kolegium - i uznawał ją za oznakę swojej dojrzałości.

Stosunek Withera do Marka zmienił się w sposób budzący w nim zadowolenie i otuchę. Pod koniec narady wicedyrektor wziął go pod ramię i konfidencjonalnie (choć ze swoim zwykłym paternalizmem) zapewnił o powadze, z jaką traktuje jego aktualną pracę, po czym zagadnął go o żonę. Wyraził przy tym nadzieję, że nie mają nic wspólnego z rzeczywistością pogłoski, które do niego dotarły, jakoby wpadła w... ee... jakiś rozstrój nerwowy. „Kto, u diabła, naopowiadał mu takich bzdur?”, zastanawiał się Mark.

- Mówię o tym - dodał Wither - bo doszedłem do wniosku, że mając na uwadze poważny ciężar obowiązku, jaki obecnie na panu spoczywa, i wiążącą się z tym trudność w tak częstym bywaniu w domu, jakbyśmy sobie wszyscy, dla pańskiego dobra, życzyli, w pana wypadku instytut byłby skłonny... mówię to zupełnie nieoficjalnie... a więc bylibyśmy wszyscy szczęśliwi, mogąc powitać tutaj panią Studdock.

Dopiero po usłyszeniu tych słów Mark zdał sobie sprawę, że nic mu mogło być dla niego bardziej przykre, jak myśl o zamieszkaniu w Belbury razem z Jane. Tylu spraw na pewno by nie zrozumiała! Nie tylko tego, że nabrał zwyczaju częstego zaglądania do kieliszka, ale... och, wszystkiego, od rana do wieczora! Nie wyobrażał sobie, by w jej obecność mógł prowadzić wiele z tych rozmów, których wymagało życie w Belbury. Już sama jej obecność uczyniłaby intymną, żartobliwo-cyniczną atmosferę Wewnętrznego Kręgu czymś sztucznym, nierealnym, a to, co on sam obecnie uważał za zwykłą roztropność, ona z pewnością nazwałaby pochlebstwem, oszczerstwem i lizusostwem. Jane w Belbury... to nie do pomyślenia! Belbury stałoby się podejrzanym ośrodkiem wulgarności i pochlebstwa. Niedobrze mu się robiło na samą myśl, że musiałby nakłaniać Jane do pomocy w podtrzymywaniu przychylności Withera i do zachowywania dobrej miny wobec Wróżki. W końcu nie odpowiedział wicedyrektorowi nic konkretnego, wyraził wdzięczność i uciekł z pokoju przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Podczas popołudniowej herbaty podeszła do niego pani Hardcastle i przechylając się przez oparcie jego fotela, powiedziała mu do ucha:

- No, Studdock, sam się wykończyłeś.

- O co ci znowu chodzi, Wróżko?

- Rzecz w tym, że nie mogę zrozumieć, o co chodzi tobie, młodzieńcze. Czyżbyś postradał zmysły? Czemu dręczysz starego? Pamiętaj, to niebezpieczna zabawa.

- O czym ty, do diabła, mówisz?!

- Posłuchaj, my tu wszyscy działamy, żeby ci pomóc, i dziś rano już się zdawało, że jest po kłopotach. Już mówił o daniu ci angażu i skróceniu okresu próbnego. Wszystko grało, a tobie wystarczyło zaledwie pięć minut beztrudnej paplaniny, żeby to wszystko rozwalić. Zaczynam myśleć, że po prostu brak ci piątej klepki.

- Do cholery, a co mu się nie podobało tym razem?!

- No, chyba sam wiesz najlepiej! Czy nie wspominał o sprowadzeniu tu twojej żony?

- Tak, wspominał. No i co z tego?

- A ty co mu odpowiedziałeś?

- Odpowiedziałem, żeby sobie tym nie zawracał głowy... i... oczywiście podziękowałem mu za troskę...

Wróżka gwizdnęła cicho.

- Czy nie rozumiesz, skarbie - powiedziała, pukając go łagodnie w głowę - że nie mogłeś palnąć gorszej gafy? Przecież ta propozycja to z jego strony najpiękniejsze ustępstwo od ustalonych zasad! Nigdy tego nikomu nie zaproponował. A teraz łazi i mamrocze o braku zaufania. Mówi, że został „boleśnie zraniony”. Twoją odmowę uważa za dowód, że tak naprawdę nie „zainstalowałeś się” w instytucie.

- Ale to czyste szaleństwo! Przecież...

- Dlaczego, do cholery, nie mogłeś mu powiedzieć, że o niczym tak nie marzysz?!

- Czy to nie jest moja prywatna sprawa?

- Chcesz ją tutaj mieć czy nie, Studdock? Coś nie bardzo jesteś miły dla swojej żonki. A mówili mi, że jest cholernie ładna.

W tym momencie oboje zauważyli Withera zbliżającego się ku nim swoim powolnym krokiem i przerwali rozmowę.

Podczas obiadu Mark siedział obok Filostrata. W zasięgu głosu nie było innych członków Wewnętrznego Kręgu. Włoch był w dobrym nastroju i gadatliwy. Właśnie kazał wyciąć kilka starych buków.

- Dlaczego pan to zrobił, profesorze? - zapytał siedzący naprzeciw pan Winter. - Komu szkodziły te stare drzewa, rosnące tak daleko od domu? Bo ja, na przykład, kocham drzewa.

- Och, tak, tak! - odrzekł Filostrato. - Piękne drzewa, parkowe drzewa. Ale nie dzikie. W ogrodzie sadi się róże, a nie polne różyczki. Dzikie, leśne drzewo to chwast. I powiem panu coś cywilizowane drzewa to ja widziałem w Persji. Miał je francuski attache, bo tam, gdzie mieszkał, w ogóle nie rosły drzewa. Były z metalu. Toporne, okropne. Ale gdyby wykonano je bez zarzutu? Gdyby były lekkie, z aluminium? Tak doskonałe, że można by je pomylić z prawdziwymi?

- Sztuczne drzewo nigdy nie zastąpi prawdziwego - odrzekł Winter.

- Ale niech pan pomyśli o zaletach! Kiedy się znudzi w jednym miejscu, robotnicy mogą je przenieść tam, gdzie sobie zażycysz. I nigdy nie umiera. Nie opadają żadne liście, nie ma suchych gałązek, ptaki nie budują sobie w nim gniazd, nie trzeba nawozu, nie ma bałaganu.

- No, może jedno albo dwa w ogrodzie byłyby zabawną ciekawostką, ale...

- A dlaczego jedno lub dwa? Teraz musimy jeszcze mieć tlen, bo produkują tlen. Ale wkrótce wynajdziemy chemiczne środki wzbogacania naszej atmosfery. A wtedy drzewa staną się bezużyteczne. Wszędzie będą tylko te sztuczne. Prawdziwe dzieła sztuki. W ten sposób oczyścimy naszą planetę.

- Więc pan uważa, profesorze - wtrącił niejaki Gould - że w ogóle nie będzie roślinności?

- Dokładnie. Przecież się golimy, nieprawdaż? A w Anglii golą się codziennie. Nastanie czas, gdy ogolimy naszą planetę.

- A co z ptakami?

- Nie będzie żadnych ptaków. Na sztucznych drzewach będą sztuczne ptaki. Zaś śpiewają, kiedy naciśnię pan w domu guzik. A kiedy znudzi się panu ich śpiew, po prostu je pan wyłączy. I warto pomyśleć o innych zaletach. Żadnych piórek zaśmiecających ogród, żadnych gniazd, jajek, całego tego brudu.

- To brzmi tak - powiedział Mark - jakbyśmy chcieli się pozbyć całego życia organicznego.

- A dlaczego nie? To po prostu kwestia higieny. Postuchajcie mnie, drodzy przyjaciele. Kiedy podniesiesz coś zgniłego i zobaczysz pełzające po nim życie organiczne, to co mówisz? „Och, jakie to okropieństwo”, prawda? I co robisz? Odrzucasz to, prawda?

- I co z tego? - zapytał Winter.

- A to, że ludzie, a już szczególnie wy, Anglicy, tolerują życie organiczne tylko w swoim własnym ciele. Ale już nie na nim. Stąd zwyczaj codziennych kąpieli.

- To prawda.

- A co to jest brud? Czyż to nie jest właśnie życie organiczne? Minerale to czysty brud. Ale prawdziwy brud pochodzi z żywych organizmów. Pot, ślina, ekskrementy. Czyż cała wasza koncepcja czystości nie jest tego najlepszym przykładem? Nieczystości i życie organiczne to jedno i to samo.

- Do czego pan zmierza, profesorze? - zapytał Gould. - Ostatecznie my też jesteśmy żywymi organizmami.

- Zgoda. W tym rzecz. W nas życie organiczne wytworzyło Umysł. Wykonało dobrą robotę. I na tym koniec, już go nie potrzebujemy. Nie chcemy już świata zapaskudzonego życiem organicznym, tą całą pleśnią, która kiełkuje, pączkuje, mnoży się i gnije. Musimy się tego pozbyć. Oczywiście pomału, pomału. Powoli uczymy się, jak tego dokonać. Uczymy się, jak sprawić, by nasze mózgi potrzebowały coraz mniej ciała, jak budować nasze ciała za pomocą chemicznych bodźców, żeby nie trzeba było już dłużej napychać ich martwymi zwierzakami i roślinami. Uczymy się, jak rozmnażać się bez kopulacji.

- Nie sądzę, by to było przyjemne - powiedział Winter.

- Mój drogi przyjacielu, już dokonaliśmy rozróżnienia między przyjemnością a płodnością. Sama przyjemność zaczyna schodzić na dalszy plan. Ba! Wiem, że pan się z tym nie zgadza. Ale pomyślcie, panowie, o kobietach. O waszych angielskich kobietach. Sześć z nich na dziesięć to kobiety seksualnie oziębłe. Może się mylę? Widzicie? Sama przyroda zaczyna odrzucać ten anachronizm. A kiedy go na dobre odrzuci, powstaną warunki dla prawdziwej cywilizacji. Zrozumielibyście to łatwo, gdybyście byli wieśniakami. Po co się użerać - z ogierami i bykami? Nie, lepiej mieć wałachy i woły. Dopóki będzie seks, nie będzie spokoju, ładu i dyscypliny. Kiedy ludzkość na dobre odrzuci seks, będzie można ją sterować.

Obiad dobiegł końca. Powstając, Filostrato szepnął Markowi do ucha:

- Odradzam dziś bibliotekę. Rozumiemy się? Niech pan do mnie wpadnie na małą pogawędkę.

Mark przyjął zaproszenie, pocieszając się, że w tym najnowszym kryzysie jego stosunków z wicedyrektorem Filostrato najwyraźniej pozostaje jego sprzymierzeńcem. Poszli do saloniku Włocha na pierwszym piętrze. Mark usiadł przy kominku, ale jego gospodarz nie przerywał krążenia po pokoju.

- Bardzo mi przykro, młody przyjacielu - zaczął wreszcie - słyszeć o pańskich nowych kłopotach. Trzeba coś z tym zrobić, rozumie pan? Jeżeli wicedyrektor zaprasza pańską żonę do Belbury, to dlaczego jej pan tu nie sprowadza?

- Ależ... naprawdę... nigdy by mi do głowy nie przyszło, że przywiązuje do tego taką wagę. Myślałem, że po prostu stara się być uprzejmy.

Jego wewnętrzny sprzeciw wobec obecności Jane w Belbury został znacznie osłabiony winem, które wypił podczas obiadu, i udręką możliwości wykluczenia go z bibliotecznej elity.

- Samo w sobie nie jest to takie ważne - odpowiedział Filostrato. - Mam jednak powody, by wierzyć, że to wyszło nie od Withera, ale od Głowy.

- Od Głowy? Ma pan na myśli Julesa? Sądziłem, że to tylko figurant. I niby dlaczego miabby mu zależeć na tym, abym sprowadził tu moją żonę?

- Myli się pan. Głowa nie jest żadnym figurantem.

Było coś dziwnego w tonie jego głosu. Przez chwilę obaj milczeli.

- To, co mówiłem przy kolacji - powiedział w końcu Filostrato - to wszystko prawda.

- Ale wróćmy do Julesa. Jaki on ma w tym interes?

- Julesa? - zdziwił się Filostrato. - Czemu pan o nim wspomina? Powtarzam, to wszystko prawda. Świat, którego wyczekuję, to świat doskonałej czystości. Czysty umysł i czyste minerały. Co najbardziej obraża godność człowieka? Narodziny, rozmnażanie się i śmierć. A jeśli stoimy na progu odkrycia, że człowiek może żyć bez narodzin, rozmnażania się i śmierci?

- Mark wytrzeszczył oczy. Sposób prowadzenia rozmowy przez Filostrata był tak chaotyczny, a jego zachowanie tak dziwaczne, że zaczął się zastanawiać, czy profesor jest przy zdrowych zmysłach albo czy nie jest pijany.

- Jeśli chodzi o pańską żonę, nie sędzę, żeby to było w istocie ważne. Co mnie w końcu obchodzą czyjeś żony? Takie problemy wzbudzają we mnie najwyżej odrazę. Ale jeśli już robią z tego problem... Posłuchaj, przyjacielu, prawdziwy problem polega na tym, czy naprawdę chce pan być jednym z nas, czy nie.

- Nie bardzo rozumiem - rzekł Mark.

- Chce pan być tylko zwykłym najemnikiem? A nawet gdyby pan się godził na taką rolę, to niechże pan pamięta, że za daleko już pan w to wszedł. Jest pan w zwrotnym punkcie kariery, panie Studdock. Jeśli spróbuje pan teraz zrezygnować, skończy pan tak, jak ten głupiec Hingest. Jeśli naprawdę chce pan w to wejść... cały świat... ba, co mówię, cały wszechświat będzie miał pan u stóp.

- Ależ to oczywiste, że chcę - powiedział Mark, czując, że ogarnia go fala dziwnego podniecenia.

- Głowa uważa, że nie może pan być jednym z nas, jeśli nie sprowadzi pan tutaj swojej żony. Albo przyjmie pana całego ze wszystkim, co do pana należy, albo nie zechce pana w ogóle. Musi pan sprowadzić tu swoją żonę. Ona też musi być jedną z nas.

Ostatnia uwaga zaszokowała Marka, ale w tym momencie, widząc utkwione w sobie małe, błyszczące oczy profesora, nie bardzo potrafił myśleć o Jane jako o realnej istocie.

- Usłyszysz to pan z ust samej Głowy - powiedział Filostrato.

- Jules jest teraz tutaj? - zapytał Mark.

Niespodziewanie Filostrato odwrócił się do okna i zamaszystym ruchem rozsunał kotary, po czym zgasił światło. Mgły już nie było, zerwał się wiatr. Małe obłoczki pędziły po niebie, przysyłając gwiazdy. Jaśniała olbrzymia tarcza Księżyca w pełni. Kiedy przesuwały się przez nią chmurki, wyglądała jak wielka, tocząca się po niebie piłka. Jej zimne, bezkrwiste światło zalało pokój.

- Oto świat dla ciebie! - zawołał Filostrato. - Oto czystość, nieskazitelność. Tysiące mil kwadratowych gładkich, lśniących skał, bez jednego źdźbła trawy, bez jednego włókienka porostu, bez jednego ziarenka pyłku. Bez powietrza. Czy pomyślał pan kiedy, mój przyjacielu, jak by to było, gdyby mógł pan postawić stopę na Księżycu? Chodzić po gładkiej powierzchni nie podlegającej erozji?

Szczyty tych gór to prawdziwe szczyty, ostre jak iglice, przecięły by dłoń. Klify wysokie jak Everest i proste jak ściany domu, rzucające całe akry cieni czarnych jak heban. A w tych cieniach kilkaset stopni mrozu. I wystarczy tylko zrobić jeden krok, by blask poraził gałki oczne jak stal, a skały poparzyły stopy. Gorąco sięga tam temperatury wrzenia. Pewna śmierć, prawda? Ale nawet po śmierci nie staniesz się tam brudem. Po paru sekundach zamienisz się w kupkę popiołu, czystego, białego proszku. I nie ma tam wiatru, który rozwiałby ten proszek. Każde ziarenko popiołu w tej małej kupce pozostanie na wieki w tym samym miejscu, w którym spotkała cię nagła śmierć. Na wieki, do końca świata... ale co ja mówię, przecież to nonsens! Wszechświat nie będzie miał końca.

- Tak. Martwy świat - powiedział Mark, wpatrując się w Księżyc.

- Nie! - Filostrato zbliżył się do Marka i mówił prawie szeptem, przywodzącym na myśl szept nietoperza, który zwykle wydaje z siebie pisk. - Nie. Tam jest życie.

- Czy to pewne? - zapytał Mark.

- Och, *si*. Inteligentne życie. Pod powierzchnią. Wspaniała rasa, bardziej rozwinięta od nas. Inspiracja. Czysta rasa. Oczyszczili swój świat, uwolnili go od tego, co organiczne.

- Ale w jaki sposób...

- Nie muszą się rodzić, rozmnażać, umierać. To jest udziałem tylko ich prostych poddanych, ich

canaglia. Rasa panów po prostu żyje. Zachowują inteligencję, utrzymują ją sztucznie po rozkładzie organicznego ciała, wykorzystując... cud biochemii stosowanej... Nie potrzebują organicznego pokarmu. Rozumie pan? Można powiedzieć, że prawie uniezależnili się od natury. Łączy ich z nią tylko najcieńsza, najwspanialsza nić.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że to wszystko - Mark wskazał na pokryty plamami krąg Księżyca - jest ich dziełem?

- Dlaczego nie? Jeżeli wypłeni się całkowicie roślinność, bardzo szybko nie będzie żadnej atmosfery, żadnej wody.

- Ale po co?

- Higiena. Po co im świat przepełniony tymi wszystkimi organizmami? Zwłaszcza że oni zamierzają się pozbyć szczególnie jednego organizmu. To, co pan widzi, to nie cały Księżyc. Żyją tam nadal na powierzchni dzikusy. Na wielkiej pości brudu po drugiej stronie, gdzie wciąż jest woda, powietrze, lasy... tak, zarazki i śmierć. A prawdziwi panowie powoli rozprzestrzeniają swoją higienę na cały glob. Dezynfekują go. Dzikusy z nimi walczą. Są tam granice, toczą się okrutne wojny, tam, głęboko, w jaskiniach i podziemnych korytarzach. Ale ta wielka, wspaniała rasa wciąż przebiega do przodu. Gdybyśmy mogli zobaczyć drugą stronę Księżyca, dostrzeglibyśmy, że rok po roku poszerza się zasięg nagiej, czystej skały, a ta organiczna rdza, te wszystkie zielone, błękitne i mgliste plamy zanikają. To jak czyszczenie zaśniedziałego srebra.

- A skąd o tym wszystkim wiadomo?

- Powiem panu innym razem. Głowa ma wiele źródeł informacji. Mówię panu o tym, żeby pana zainspirować. Żeby pan wiedział, co można zrobić. Co będzie zrobione tutaj. Ten instytut... *Dio meo!*... ten instytut to coś większego niż te budynki, coś większego niż szczepionki, szybkie pociągi, leczenie raka... Ten instytut jest po to, żeby zwyciężyć śmierć... albo organiczne życie, jeśli pan woli. To jedno i to samo. Instytut jest po to, aby z kokonu organicznego życia, które jest tylko osłoną umysłu ludzkiego w jego dzieciństwie, wywieść Nowego Człowieka. Człowieka nieśmiertelnego, człowieka sztucznego, człowieka uwolnionego od natury. Natura jest drabiną, do której szczytu właśnie dochodzimy i którą można będzie odepchnąć.

- I sądzi pan, że pewnego dnia naprawdę znajdziemy sposób na utrzymanie przy życiu... samego mózgu, i to przez nieokreślony czas?

- To się już zaczęło. Głowa...

- Niech pan mówi - zachęcił go Mark, widząc jego wahanie.

Serce biło mu jak szalone, zapomniał o Jane i o Witherze. W końcu usłyszał coś konkretnego.

- Ten, który jest naszą Głową, przeżył już swoją śmierć. Dziś wieczór będzie pan z nim rozmawiał.

- Chce pan przez to powiedzieć, że Jules umarł?!

- Och, Jules! On nic nie znaczy. To nie on jest Głową.

- A więc kto?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś wszedł, nie czekając na zaproszenie.

- Czy ten młody człowiek jest gotów? - Mark rozpoznał głos Straika.

- O, tak. Jest pan gotów, panie Studdock, prawda?

- A więc wyjaśniłeś mu wszystko, tak? - zapytał jeszcze Straik.

Zwrócił się w stronę Marka. Światło Księżyca było tak jasne, że Mark częściowo rozpoznawał rysy jego twarzy: gęste brwi, podkreślone zimnym światłem i cieniem.

- Czy naprawdę chce pan się do nas przyłączyć, młody człowieku? - zapytał Straik. - Bo kiedy się przyłoży dłoń do pługa, nie ma już odwrotu. I nie ma miejsca na zastrzeżenia. Głowa chce z panem rozmawiać. Rozumie pan? Głowa! Stanie pan przed kimś, kto został zabity, a jednak wciąż

żyje. Zmartwychwstanie Jezusa, opisane w Biblii, było symbolem. Dziś ujrzy pan na własne oczy, czego to był symbol. Chodzi o prawdziwego Człowieka, który żąda od nas całkowitego posłuszeństwa.

- O czym pan, do diabła, mówi? - zapytał Mark ochryłym głosem.

- Mój przyjaciel ma całkowitą rację - powiedział Filostrato. - Głowa to pierwszy Nowy Człowiek, pierwszy, który żyje poza życiem zwierzęcym. Gdyby natura miała nad nim władzę, jego mózg rozsypywałby się teraz w proch. A jednak w ciągu najbliższej godziny będzie do pana mówił. I powiem panu w zaufaniu: będzie pan posłuszny, niech mi pan wierzy.

- Ale kto to jest? - zapytał Mark.

- To Francois Alcasan - odrzekł Filostrato.

- Ma pan na myśli tego człowieka ściętego na gilotynie?... - wyrzucił z siebie Mark zduszonym głosem.

Obie głowy skinęły potakująco. Obie twarze były tuż przed nim. W bladym świetle wyglądały jak wiszące w powietrzu maski.

- Przeraziło to pana? - zapytał Filostrato. - Niech pan się nie lęka. Chcemy, żeby pan był jednym z nas. Gdyby pan był kimś z zewnątrz, jednym z tych *canaglia*, miałby pan powody. To jest początek najwyższej potęgi i władzy. On żyje wiecznie. Gigant czasu został zwyciężony. I gigant przestrzeni też został zwyciężony. Jeden z nas już odbył podróż przez przestrzeń kosmiczną. To prawda, został zdradzony i zamordowany, a jego zapiski są w fatalnym stanie i jeszcze nie zdołaliśmy odtworzyć statku kosmicznego, którym się posłużył. Ale zrobimy to.

- To początek Człowieka Nieśmiertelnego, Człowieka Wszechobecnego - dodał Straik. - To o tym mówiły wszystkie proroctwa.

- Najpierw, oczywiście - powiedział Filostrato - potęga będzie zastrzeżona dla niewielkiej liczby jednostek. Tych, którzy zostali wybrani do wiecznego życia.

- A później rozprzestrzeni się na wszystkich ludzi?

- Nie - odparł Filostrato. - Później zostanie skupiona w jednym człowieku. Przecież nie jesteś głupcem, młodzieńcze, prawda? Wiesz równie dobrze jak ja, że władza człowieka nad naturą oznacza władzę niektórych ludzi nad innymi ludźmi. Cała ta gadanina o władzy człowieka nad naturą jest tylko dla *canaglia*. Natura jest tylko instrumentem. Nie ma czegoś takiego jak Człowiek w ogóle, Człowiek przez duże C. To tylko słowo. Są tylko ludzie. Nie! To nie Człowiek będzie wszechmocny, ale jeden określony człowiek, jeden nieśmiertelny człowiek. Alcasan, nasza Głwa, jest pierwszym szkicem tego, co kiedyś nadejdzie. Ostateczny, doskonały produkt może być kimś innym. To może być pan. To mogę być ja.

- Oto król będzie panował sprawiedliwie nad wszechświatem i zgodnie z prawem nad niebiosami - rzekł Straik. - Myślałeś, synu, że to tylko mitologia, prawda? Myślałeś tak, bo określenie „Syn Człowieczy” obrosło baśniami, które głosiły, że Człowiek nigdy nie będzie miał syna posiadającego pełnię władzy. Ale on będzie ją miał.

- Nie rozumiem, nie rozumiem - wymamrotał Mark.

- Ależ to proste - powiedział Filostrato. - Odkryliśmy, jak uczynić martwego człowieka żywym. Alcasan był mądrym człowiekiem już za swego naturalnego życia. Teraz żyje na wieki i staje się jeszcze mądrzejszy. Na razie to drugie życie nie jest jeszcze doskonałe, pracujemy nad tym. Rozumie pan? W przyszłości będzie lepiej. W przyszłości to wieczne życie będzie przyjemne dla wybranych i... może niezbyt przyjemne dla innych. Możemy ożywić zmarłych, kiedy tego chcą i kiedy tego nie chcą. Ten, który ostatecznie będzie królem wszechświata, może dać życie tym, którym zechce. Nie są w stanie mu odmówić.

- I w ten sposób - dodał Straik - powracają nauki, jakie poznawałeś na kolanach matki. Bóg

będzie miał władzę udzielania wiecznej nagrody i wiecznej kary.

- Bóg? - zdziwił się Mark. - A co ma z tym wszystkim wspólnego Bóg? Nie wierzę w Boga.

- Ależ, mój przyjacielu - rzekł Filostrato - czy z tego, że nie było Boga w przeszłości, wynika od razu, że nie będzie Go również w przyszłości?

- Czy nie rozumiesz - odezwał się Straik - że oferujemy ci niewypowiedzianą chwałę obecności przy stworzeniu wszechmogącego Boga? Tutaj, w tym domu, ujrysz pierwszy szkic prawdziwego Boga. To człowiek... albo istota stworzona przez człowieka... ostatecznie zasiądzie na tronie wszechświata. I będzie panował na wieki.

- Więc idzie pan z nami? - zapytał Filostrato. - Posiał po pana!

- To oczywiście, że idzie - dodał Straik. - Przecież wie, że nie można się wycofać i żyć dalej.

- No i ta drobna sprawa z pańską żoną - dodał Filostrato. - Nie wolno panu wspominać o czymś tak trywialnym. Zrobi pan, co panu powie. Z Głową się nie dyskutuje.

Mark poczuł się przyparty do muru. Pozostało mu już tylko powracające falami ożywienie alkoholem wypitym podczas obiadu i jakieś słabe przebłyski pamięci owych godzin spędzonych z Jane i przyjaciółmi, zanim przeniósł się do Bractonu, gdy świat wyglądał zupełnie inaczej. Tylko to i instynktowna odraza do tych dwu skąpanych w bladym świetle księżycy twarzy. Po drugiej stronie był strach. Co z nim zrobią jeśli odmówi? Ale był młody i skłonny wierzyć, że nawet jeśli ktoś ulegnie wieczorem, to rano sprawy same się jakoś wyprostują. A zresztą dreszcz, jaki go przenikał na myśl o tym, do jakich niesłychanych tajemnic został dopuszczony, nie był wcale przykry.

- Tak - wyrzucił z siebie z trudem, jakby zabrakło mu powietrza. - Tak... oczywiście... Pójdę tam.

Wyprowadzili go z pokoju. W korytarzach panowała teraz cisza, z dołu nie dochodziły już rozmowy i śmiechy. Potknął się i poczuł, że biorą go pod ramiona. Szli długo, korytarz za korytarzem, otwierając zaopatrzone w solidne zamki drzwi, aż doszli do jasno oświetlonego miejsca, w którym czuło się dziwne zapachy. Filostrato powiedział coś przez tubę i otworzyły się drzwi. Mark znalazł się w pomieszczeniu przypominającym gabinet chirurgiczny. Było tu mnóstwo jarzących się lamp, zlewów, butelek i błyszczących instrumentów. Przyjął ich nieznanym mu młody człowiek w białym fartuchu.

- Rozbierz się do bielizny - zwrócił się Filostrato do Marka.

Przeciwległa ściana pomieszczenia pokryta była zegarami i wskaźnikami, pod którymi ze ściany wychodziły przewody i rurki ginące w podłodze. Słabo pulsujące tarcze wskaźników z wiązkami rurek pod nimi sprawiały wrażenie jakiegoś potwora z wieloma oczami i czułkami. Młody człowiek wpatrywał się uważnie w drgające wskazówki przyrządów. Wszyscy trzej rozebrali się, umyli ręce i twarze, nałożyli białe ubrania, które Filostrato wyjął szcypcami ze szklanego pojemnika. Dał im też rękawice i maski, jakie noszą chirurdzy. Nastąpiła chwila milczenia, gdy studiował wskaźniki.

- Tak, tak - powiedział. - Trochę więcej powietrza. Nie za dużo, jest ich trzech. Otwórz dopływ powietrza do komory... Powoli... na pełną moc. Teraz powietrze we włazie. Trochę mniej roztworu. No to co - zwrócił się do Straika i Studdocka - jesteście gotowi wejść?

Podprowadził ich do drzwi w ścianie pokrytej wskaźnikami.

Rozdział 9

Głowa Saracena

To był najgorszy sen ze wszystkich, jakie dotąd miałam - powiedziała Jane następnego rana. Siedziała w Niebieskim Pokoju, z Przewodniczącym i Grace Ironwood.

- Znajdowałam się w ciemnym pomieszczeniu pełnym dziwnych zapachów i buczących dźwięków. Potem zapaliło się światło... ale takie słabe... i przez długi czas nie mogłam zrozumieć, na co patrzę. A kiedy to do mnie dotarło... chyba bym się przebudziła, gdybym tak bardzo nie starała się dalej śnić. Zdawało mi się, że widzę przed sobą twarz unoszącą się w powietrzu. Twarz, nie głowę, rozumiecie? Widziałam brodę, nos i kolorowe okulary... ale nad nimi, nad tymi okularami, nie było nic... Tak mi się zdawało na początku. Kiedy przyzwyczaiłam się do światła, doznałam szoku. Zobaczyłam więcej i wtedy pomyślałam, że to jest maska naciągnięta na coś w rodzaju balona. Właściwie nie... to nie była maska... to wyglądało trochę tak jak głowa w turbanie... och, źle to opowiadam... Naprawdę to była głowa, ale brakowało jej górnej części, jakby ją odcięto. A potem... potem... jakby coś wykijało z tej głowy. Jakaś masa wyrzuszała się z tego, co zostało z czaszki... ale tę masę okrywała bardzo cienka błona. To drgało... pulsowało. Pamiętam, że pomyślałam: „Och, trzeba ją zabić. Przecież to musi sprawiać jej potworny ból. Trzeba to przerwać”. Ale zaraz potem zrozumiałam, że ta twarz jest martwa naprawdę. Była zielonkawa, usta szeroko otwarte, zupełnie suche. Patrzyłam na nią długo, nic się nie działo. I wkrótce spostrzegłam, że wcale nie unosi się w powietrzu. Była umocowana na czymś w rodzaju klamry, konsoli albo półki, z której zwisały jakieś rurki. To znaczy... nie... one wychodziły z szyi, z karku. Tak, była szyja, ale pod nią już nic, nie było ramion ani ciała. Tylko te zwisające przewody. W tym śnie pomyślałam, że to jakiś nowy rodzaj człowieka, który ma tylko głowę i wnętrzności... że te wszystkie przewody to jego wnętrzności. Ale wkrótce... nie bardzo wiem jak, zrozumiałam, że one są sztuczne. Gumowe rurki, jakieś baniaste zbiorniki, małe metalowe urządzenia... Nie mogłam tego zrozumieć. Wszystkie rurki ginęły w ścianie. I wtedy w końcu coś się stało.

- Dobrze się czujesz, Jane? - przerwała jej pani Ironwood.

- Och, tak... tylko czuję jakiś opór, kiedy o tym opowiadam. To bardzo trudne... No więc nagle, jakby włączono jakąś maszynę, z tych ust wydobył się powietrze... tak, poczułam je i usłyszałam taki głośny, suchy, chrapliwy dźwięk. I potem znowu... i jeszcze raz. .. iw końcu to coś zaczęło rytmicznie sapać... uff... uff... uff... jakby naśladowało oddychanie. A potem... och, to był najgorsze. Usta zaczęły się ślinić. Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale zrobiło mi się żal tej głowy, bo nie miała rąk, więc nie mogła sobie obetrzeć ust. To taka drobnostka w porównaniu z całą tą resztą, ale wtedy to poczułam. Usta zaczęły się poruszać, widziałam język liżący wargi. To było tak, jakby włączono jakąś maszynę. Jakby to ożyło, a przecież widziałam ślinę spadającą w sztywną, martwą brodę... Nagle do pokoju weszli trzej mężczyźni w białych ubraniach i w maskach. Szli ostrożnie... jak koty po szczycie muru. Jeden był wielki, gruby, drugi chudy, kościsty. A trzeci... - Jane odruchowo przerwała. - Trzeci... myślę, że to był Mark! To znaczy... mój mąż...

- Jesteś pewna? - zapytał Przewodniczący.

- Tak. To był Mark. Poznałam go po krokach... I po butach. I po głosie. To był Mark.

- Przykro mi, Jane - powiedział Przewodniczący.

- Wszyscy trzej stanęli przed Głową. Skłonili się przed nią. Trudno powiedzieć, czy na nich patrzyła, okulary były za ciemne. Wciąż dyszała rytmicznie. A potem przemówiła.

- Po angielsku? - zapytała Grace Ironwood.

- Nie, po francusku.

- Co powiedziała?

- No cóż, mój francuski... Wiele nie rozumiałam. Mówiła w dziwny sposób. Jak ktoś, komu brakuje oddechu. Bez odpowiedniego akcentowania. No i oczywiście nie poruszała się jak... jak głowa żywej osoby, kiedy mówi.

- Czy cokolwiek rozumiałaś? - zapytał Przewodniczący.

- Niewiele. Wyglądało to tak, że ten gruby mężczyzna przedstawił Marka. Głowa coś mu powiedziała, a potem Mark próbował odpowiedzieć. Rozumiałam go dobrze, bo jego francuski nie jest dużo lepszy od mojego.

- Co powiedział?

- Mówił coś takiego... że... zrobienie czegoś w kilka dni jest możliwe.

- I to wszystko?

- Prawie tak. Mark nie mógł tego znieść. Wiedziała, że nie jest w stanie tego znieść... pamiętam... to głupie, ale we śnie chciałam go ostrzec. Wiedziała, że za chwilę zemdleje. Chyba próbowałam zawołać do tych dwóch: „On zaraz upadnie!” Ale, oczywiście, nie mogłam. Zwymiotował. Wyprowadzili go z pokoju.

Przez długą chwilę panowała cisza.

- To wszystko? - zapytała pani Ironwood.

- Tak - odpowiedziała Jane. - To wszystko, co pamiętam. Chyba się wtedy obudziłam.

Przewodniczący odetchnął głęboko.

- No tak - powiedział, patrząc na panią Ironwood. - Wszystko staje się coraz bardziej jasne. Musimy natychmiast zebrać się na naradę. Wszyscy są?

- Nie. Doktor Dimble musiał pojechać do Edgestow, do kolegium, po swoich studentów. Wróci dopiero wieczorem.

- Więc narada będzie wieczorem. Przygotuj wszystko. - Zamilkł na chwilę, a potem zwrócił się do Jane:

- Myślę, że to dla ciebie ciężkie przeżycie, moje dziecko. Ale dla niego jeszcze cięższe.

- Mówi pan o Marku?

- Tak. Nie myśl o nim źle. On cierpi. Jeśli przegramy, podzielimy jego los. Jeśli zwyciężymy, uratujemy go. Nie sądzę, aby zaszedł za daleko. - Przerwał, uśmiechnął się i dodał: - Widzisz, my tu jesteśmy przyzwyczajeni do martwienia się o mężów. Mąż Ivy, biedak, jest w więzieniu.

- W więzieniu?

- Tak. Za zwykłą kradzież. Ale to całkiem porządny człowiek. Jeszcze do nas wróci. Wszystko będzie dobrze.

Jane była tak przerażona wspomnieniem snu, w którym ujrzała swojego męża w takim miejscu i z takimi ludźmi, że ogarnęły ją mdłości, ale ten koszmar miał w sobie coś wielkiego i tajemniczego. Niespodziewane zrównanie jego losu z losem zwykłego przestępcy sprawiło, że zbladła jak kreda. Milczała.

- I jeszcze coś - dodał Przewodniczący. - Chyba mnie zrozumiesz, jeśli ci powiem, że nie możesz wziąć udziału w naszej wieczornej naradzie.

- Oczywiście - powiedziała Jane, chociaż nie bardzo rozumiała.

- Bo, widzisz, MacPhee uważa, że gdybyś usłyszała, o czym mówimy, mogłabyś nieświadomie przenieść te informacje do swoich snów, a to by znacznie osłabiło ich faktyczną wiarygodność. I trudno się z nim nie zgodzić. Jest naszym sceptykiem, a to bardzo ważne stanowisko.

- Rozumiem.

- To oczywiście dotyczy tylko naszych przypuszczeń - ciągnął Przewodniczący. - Ich właśnie

nie powinnaś słyszeć. Nie powinno cię być przy tym, jak zastanawiamy się nad znaczeniem faktów. Nie mamy jednak przed tobą innych tajemnic, zwłaszcza co do historii naszej rodziny. I to właśnie MacPhee nalega, by ci to wszystko opowiedzieć. Uważa, że moja lub Grace opowieść nie byłaby dostatecznie obiektywna.

- Rozumiem.

- Chciałbym, żebyś go polubiła. To jeden z moich najstarszych przyjaciół i chyba będzie najlepszym towarzyszem, jeśli mamy przegrać. Trudno sobie wyobrazić lepszego towarzysza u boku podczas przegranej bitwy. Natomiast nie potrafię sobie wyobrazić, co robi, jeśli zwyciężymy.

* * *

Mark obudził się następnego ranka, czując, że głowa mu pęka, zwłaszcza z tyłu. Pamiętał, że upadł - w ten sposób uderzył się w tył głowy - upadł w tamtym drugim pomieszczeniu... gdzie był Filostrato i Straik... a potem, jak mówi poeta, „odkrył w swej jaźni ranę, obrzękłą i gorejącą, swoją pamięć”. Och, ale przecież to niemożliwe, nie do przyjęcia, to musiał być tylko koszmarny sen! Trzeba go wymazać z pamięci, niech zniknie, skoro jest już dzień. To czysty absurd. Kiedyś, w malignie, zobaczył przednią część konia, bez tubwii i tylnych nóg, biegnącą przez łąkę. Była straszna, choć w chwili, gdy na nią patrzył, wydawała się śmieszna. To był absurd tego samego rodzaju. Głowa bez reszty ciała. Głowa, która mówiła, gdy podłączono do niej powietrze. Sztuczna ślina pompowana z drugiego pokoju. Jego własna głowa zaczęła pulsować takim bólem, że musiał przestać myśleć.

Wiedział jednak, że to nie był sen, i nie potrafił tego znieść. Wstydził się tego, bo chciał uchodzić za człowieka twardego, o nerwach jak postronki, choć tak naprawdę było to tylko pobożne życzenie, a cnoty, które mu się udał prawie całkowicie wyprzeć ze świadomości, wciąż gdzieś w nim tkwiły, choćby jako ich zaprzeczenie lub słabości. Pochwalał wiwisekcję, ale nigdy sam jej nie dokonał. Uważał, że niektóre grupy ludzi powinno się stopniowo eliminować, ale nigdy nie był świadkiem, jak jakiś drobny sklepikarz wędruje do przytułku albo jak jakaś wygłodniała staruszka o wyglądzie guwernantki kończy swój żywot na zimnym strychu. Nie wiedział nic o ostatniej filiżance kakao, wypitej przez nią powoli dziesięć dni wcześniej.

Trzeba wstać. Trzeba coś zrobić z Jane. To oczywiste, że będzie musiał sprowadzić ją do Belbury. Jego świadomość podjęła już tę decyzję, nie pamiętał tylko, kiedy to się stało. Musi ją tu ściągnąć, aby uratować swoje życie. Przybladły wszystkie lęki o stanowisko czy o dostanie się do elity. Teraz była to kwestia życia i śmierci. Zabijają go, jeśli ich rozgniewa. Może odetną mu głowę... och, Boże, gdyby tylko naprawdę zabili tę potworną, umęczoną resztkę ciała, tę twarz, którą wyhodowali na stalowej konsoli... Wszystkie lęki w Belbury - bo teraz już wiedział, że w tym strasznym miejscu bali się wszyscy prócz ścisłego kierownictwa - były tylko emanacją tego podstawowego koszmaru. Musi ściągnąć tu Jane. Już się nie opierał.

Trzeba pamiętać, że w umyśle Marka nawet strzęp szlachetnej myśli - chrześcijańskiej czy pogańskiej - nie miał trwałego, bezpiecznego gniazda. Wychowanie, jakie zdobył, nie było ani „naukowe”, ani „klasyczne”, było jedynie „nowoczesne”. Nie przeżył nigdy przejmującej powagi abstrakcyjnego myślenia lub surowej głębi najlepszych ludzkich tradycji. Nie miał też ani przenikliwości wieśniaka, ani poczucia honoru arystokraty. Był człowiekiem, na którym trudno polegać, marionetką, kimś, kto gładko zdaje egzaminy z tych przedmiotów, które nie wymagają konkretnej wiedzy (zawsze radził sobie znakomicie z pisaniem esejów i wypracowań na tematy ogólne). Pierwszy sygnał realnego zagrożenia życia doczesnego rozłożył go na obie łopatki. Głowa

pękała mu z bólu i czuł okropne mdłości. Na szczęście miał już w pokoju butelkę whisky. Dopiero kiedy się napił, zdołał się ogolić i ubrać.

Spóźnił się na śniadanie, co nie miało większego znaczenia, bo i tak nie byłby w stanie nic zjeść. Wypił kilka filiżanek czarnej kawy i poszedł do pokoju cichej pracy. Chciał napisać list do Jane, ale zmarnował tylko mnóstwo czasu, bazgrząc coś półświadomie. Teraz, kiedy wiedział już, że musi to zrobić, napisanie tego listu wydał mu się czymś zupełnie niemożliwym. I dlaczego tak im zależy na sprowadzeniu tu Jane? Ogarnął go lęk, którego nie potrafił ubrać w słowa. Dlaczego akurat Jane? Chcą ją zaprowadzić przed Głowę? Chyba po raz pierwszy w życiu poczuł coś w rodzaju całkowicie bezinteresownej miłości - żałował, że w ogóle się z nią ożenił, bo w ten sposób wciągnął ją w ten cały koszmarny, którym najwidoczniej miało odtąd być jego życie.

- Cześć, Studdock! - rozległ się nad nim głos pani Hardcastle. - Co, piszemy do żonki?

- Psiakrew! - zaklął Mark. - Pióro mi spadło przez ciebie.

- To je podnieś, synku - powiedziała pani Hardcastle, przysiadając na stole.

Mark zrobił to, a potem usiadł, nadal na nią nie patrząc. Takiej nienawiści i strachu, jakie wzbudzała w nim ta kobieta, nie czuł od czasu, gdy był ofiarą szkolnych gangów.

- Mam dla ciebie złe nowiny, synku - powiedziała po chwili milczenia, a jemu serce załomotało w piersi. - Przyjmij to jak mężczyzna.

- Mianowicie?

Nie odpowiedziała od razu. Czuł, że bada go spojrzeniem, oceniając, czy instrument wydaje właściwe tony.

- Rzecz w tym, że martwię się o twoją żonkę - powiedziała w końcu.

- O co ci właściwie chodzi? - zapytał Mark ostrym tonem, teraz już na nią patrząc.

Nie zapaliła jeszcze cygara tkwiącego w jej ustach, ale wyjęła zapalki.

- Widziałam ją zresztą z uwagi na ciebie. Nie sądzę, aby Edgestow było teraz najlepszym dla niej miejscem.

- Co jej się stało?! - zawołał Mark.

- Ciszej! Chyba nie chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli.

- Czy możesz mi wreszcie powiedzieć, co się stało? Oczekała chwilę, po czym odpowiedziała:

- Co ty w ogóle wiesz o jej rodzinie, Studdock?

- Wiem sporo. A co to ma do rzeczy?

- Nic... ee... Po obu stronach?

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Nie krzycz, skarbie. Martwię się o ciebie. To tylko... no cóż, odniosłam wrażenie, że kiedy ją widziałam, zachowywała się bardzo dziwnie.

Mark dobrze pamiętał rozmowę z Jane tego ranka, gdy wyjeżdżał do Belbury. Przeszył go nowy dreszcz strachu. A może ta odrażająca kobieta mówi prawdę?

- Co mówiła? - zapytał.

- Jeśli z nią jest coś nie w porządku, a na to wygląda, to posłuchaj mojej rady, Studdock, i jak najszybciej ją tu sprowadź. Tutaj będzie miała właściwą opiekę.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co powiedziała albo zrobiła.

- Ja bym nie chciał, żeby zapakowano kogoś mi bliskiego do szpitala wariatów w Edgestow. Zwłaszcza teraz, gdy mamy tu stan wyjątkowy. Wiesz, zwykli pacjenci mogą być wykorzystywani do doświadczeń. Podpisz zaraz ten formularz, a ja zajmę się tym po obiedzie i przywiozę ją tu wieczorem.

Mark cisnął pióro na biurko.

- Niczego takiego nie zrobię, zwłaszcza że nie usłyszałem jeszcze ani słowa o tym, co jej

właściwie jest.

- Próbuję ci to powiedzieć, ale mi nie pozwalasz. No więc... ona bez przerwy opowiada, że ktoś włamał się do waszego mieszkania... albo napadł na nią na stacji, choć trudno się zorientować, gdzie to miało być, i poparzył ją cygarem. Potem zauważyła moje cygareto i, nie uwierzysz, nagle stwierdziła, że to ja jestem tym wyimaginowanym prześladowcą. Chyba rozumiesz, że nie mogłam ciągnąć tej rozmowy.

- Muszę natychmiast jechać do domu - powiedział Mark, wstając.

- Ej... hola! Nie możesz tego zrobić! - zawołała Wróżka, również wstając.

- Nie mogę pojechać do domu?! Więc przyjmij do wiadomości, że mogę, jeśli to wszystko jest prawdą.

- Nie bądź głupcem, skarbie. Uwierz mi, że wiem, co mówię. Już i tak wpakowałeś się w cholernie groźną sytuację. Będziesz miał jeszcze większe kłopoty, jeśli teraz opuścisz Belbury bez pozwolenia. Ja to załatwię. Podpisz tylko ten formularz. To naprawdę najrozsądniejsze, co można zrobić.

- Chwilę temu mówiłaś, że ona nie może znieść twojej obecności!

- Och, to mi nie przeszkadza. Oczywiście ci byłoby mi łatwiej, gdyby się na mnie tak nie uwzięła. Słuchaj, Studdock, chyba nie myślisz, że twoja żonka jest zazdrosna, co?

- Zazdrosna? O ciebie?! - zawołał Mark z nieukrywaną odrazą.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała Wróżka ostrym tonem.

- Do WD, a potem do domu.

- Chwileczkę! Nie zrobisz tego, chyba że chcesz mieć we mnie śmiertelnego wroga... a mam wrażenie, że wrogów już i tak ci nie brakuje.

- Och, idź do diabła!

- Wracaj, Studdock! - krzyknęła. - Poczekaj! Nie bądź przeklętym durniem!

Ale Mark był już w holu. Przez chwilę wszystko wydawało mu się jasne. Pójdzie do Withera i po prostu mu oznajmi, że musi natychmiast wrócić do domu z powodu nagłej i ciężkiej choroby żony. Wyjdzie, zanim Wither będzie w stanie mu odpowiedzieć i w drogę. Nie zastanawiał się, co się stanie potem. Włożył płaszcz i kapelusz, popędził schodami na górę i zapukał do gabinetu wicedyrektora.

Nie usłyszał odpowiedzi, ale zauważył, że drzwi nie są domknięte. Odważył się lekko je uchylić. Zobaczył wicedyrektora siedzącego plecami do drzwi.

- Przepraszam, panie dyrektorze - powiedział. - Czy mógłbym prosić o chwilę rozmowy?

Nie było odpowiedzi.

- Przepraszam, panie dyrektorze - powtórzył Mark trochę głośniejszym głosem, ale postać ani się nie odezwała, ani nie poruszyła.

Zdecydował się wejść. Obszedł biurko, spojrzał na Withera i wstrzymał oddech: patrzył w twarz trupa. Chwilę później zrozumiał, że się mylił: w ciszy gabinetu słyszał jego oddech. Nawet nie spał, oczy miał otwarte. Zdawało się, że jest przytomny, bo spojrzał na Marka, po czym popatrzył gdzieś w bok.

- Niech mi pan wybaczy, panie dyrektorze... - zaczął Mark i urwał.

Wither nie słuchał go. Można było zwątpić, czy w ogóle tu jest, można było pomyśleć, że jego dusza błądzi gdzieś po bezkształtnych, cienistych światach, po jałowych ziemiach i graciarniach wszechświata, powoli rozplywając się w nicość jak obłoczek gazu. W jego bladych, wodnistych oczach malowało się coś, co można by nazwać nieskończonością - bezkształtną i ponadczasową. W pokoju było cicho i chłodno. Nie tykał zegar, ogień na kominku wygasł. Mark poczuł, że nie potrafi mówić do takiej twarzy, ale nie mógł też po prostu wyjść z pokoju, bo przecież Wither już go

zobaczył. Przestraszył się. Czegoś takiego jeszcze nigdy w życiu nie przeżył.

Kiedy Wither w końcu przemówił, jego spojrzenie utkwione był w jakimś odległym punkcie gdzieś za oknem, może w niebie.

- Wiem, kim jesteś - powiedział bezbarwnym głosem. - Nazywasz się Studdock. Jak śmiesz tutaj przychodzić?! Powinieneś zostać na zewnątrz. Odejdź.

Nagle Mark przestał panować nad sobą. Wszystkie lęki, gromadzące się w nim stopniowo przez ostatnie dni, skumulowały się w jednym odruchu determinacji. Wypadł z pokoju i zbiegł po schodach po trzy stopnie naraz. Przebiegł przez hol, wydostał się na zewnątrz i ruszył dalej podjazdem. Wiedział, dokąd ma iść. Naprzeciw bramy wyjściowej wyrastał szeroki pas drzew przebity polną drogą. Idąc nią, za pół godziny dotrze do Courthampton, a tam złapie autobus do Edgestow. Zupełnie nie myślał o przyszłości. Teraz liczyły się tylko dwie sprawy: musi wydostać się z tego domu i wrócić do Jane. Ogarnęła go wprost fizyczna, ale całkowicie pozbawiona zmysłowości tęsknota, jakby to jej ciało tchnęło pociechą i męstwem, jakby sam dotyk jej skóry mógł go oczyścić z brudu, który zdawał się go oblepiać. Nie myślał już o tym, że Jane mogła postradać zmysły. I był wciąż na tyle młody, że nie mógł uwierzyć w ostateczną klęskę. Nie potrafił wyzbyć się do końca nadziei, że wystarczy tylko chcieć, wystarczy tam pobiec, a sieć pęknie, niebo zajaśnieje i cały ten koszmar zakończy się sceną, w której on i Jane piją razem herbatę, jakby nic się nie stało.

Był już za murami Belbury, przeszedł przez pas drzew. Nagle zatrzymał się. Zrobił to nie z własnej woli. Stało się coś, co było czystym absurdem, co było niemożliwe. Ujrzał przed sobą postać: wysoką, lekko zgarbioną, zbliżającą się do niego wolnym krokiem i nucącą pod nosem jakąś posępną melodię. Był to wicedyrektor Wither we własnej osobie. W jednej chwili opuściła Marka cała krucha determinacja. Odwrócił się. Przez chwilę stał na drodze, czując straszliwy boi. A potem zboląły i zmęczony, tak zmęczony, że poczuł łzy pod powiekami, powoli, z trudem stawiając stopy, powrócił do Belbury.

* * *

Pan MacPhee miał na parterze mały pokój, przyjemnie urządzone, choć nieco zakurzone, który nazywał swoim „biurem” i do którego nie miała wstępu żadna kobieta, jeśli jej sam tam nie wprowadził. Tam właśnie zaprosił Jane Studdock przed kolacją, aby przedstawić jej, jak to określił, „zwięzły, obiektywny zarys sytuacji”.

- Chciałbym na wstępie zaznaczyć, pani Studdock, że znam Przewodniczącego od wielu lat i że przez większość swego życia był filologiem. Nie sądzę, by filologia w pełni zasługiwała na miano nauki, ale wspominam o tym, by nakreślić pani jego intelektualne horyzonty. I, nie przesadzając niczego, nie powiem, jak bym to może uczynił w zwykłej pogawędce, że zawsze był człowiekiem obdarzonym twórczą wyobraźnią. Jego pierwotne nazwisko brzmiało Ransom.

- Czyżby ten Ransom od *Dialektyki i semantyki*? - zapytała Jane.

- Zgadza się. To on. A więc jakieś sześć lat temu... wszystkie daty są tu, w tym notesie, ale to w tej chwili nie jest takie ważne... zniknął po raz pierwszy. Po prostu przepadł bez śladu. Tak to było. Zniknął na jakieś dziewięć miesięcy. Już myślałem, że utopił się podczas kąpieli albo spotkał go jakiś inny nieszczęśliwy wypadek. Aż potem, pewnego dnia, zjawił się znowu w Cambridge. Chory, bardzo chory. I nie powiedział nikomu... prócz najbliższych przyjaciół... gdzie był.

- No więc gdzie?... - zapytała niecierpliwie Jane.

- Powiedział - odrzekł MacPhee, przesadnie akcentując to słowo i wyjmując tabakierkę - powiedział, że był na planecie, którą nazywamy Marssem.

- To znaczy... powiedział to... kiedy był chory, tak?
- Nie, to nie to. Powtarza to do dziś. Może pani wierzyć albo nie, ale tak to wygląda.
- Wierzę w to - powiedziała Jane.

MacPhee wyjął z pudełka szczyptę tabaki, a zrobił to z taką uwagą, jak by właśnie te konkretne ziarenka różniły się od całej reszty w tabakierce, po czym przemówił, zanim podsunął sobie tę uprzywilejowaną szczyptę do nosa:

- Przedstawiam pani fakty. Powiedział nam, że był na Marsie, porwany tam przez profesora Westona i pana Devine'a. Ten ostatni jest dziś lordem Feverstone'em. Według opowieści Przewodniczącego uciekł im, na Marsie, ma się rozumieć, i samotnie tam wędrował.

- Mars, jak sądzę, nie jest zamieszkały?

- Nie mamy innych świadectw poza jego opowieścią. Chyba pani wie, pani Studdock, że nawet na naszej planecie człowiek prze- bywający długo w samotności, na przykład odkrywca, osiąga szczególne stany świadomości. Mówią, że może nawet zapomnieć o własnej tożsamości.

- Chce pan przez to powiedzieć, że mógł wyobrażać sobie coś, czego tam w rzeczywistość ci nie było?

- Nie komentuję niczego - oznajmił MacPhee z godnością. - Ja tylko odnotowuję fakty. Według jego opowieści jest tam wiele różnych rodzajów stworzeń. Może dlatego zamienił ten dom w coś w rodzaju menażerii, ale mniejsza z tym. Mówi jednak również, że spotkał tam pewien gatunek istot, który ma z nami szczególny związek. Nazywa je eldilami.

- To jakiś rodzaj zwierząt, tak?

- Czy próbowała pani kiedykolwiek zdefiniować słowo „zwierzę”, pani Studdock?

- Chyba nie. Chodzi mi o to, czy one są... no, rozumne? Czy potrafią mówić?

- Tak. Potrafią mówić. A w każdym razie były rozumne, co nie zawsze musi oznaczać, że są.

- A więc to właśnie byli Marsjanie?

- Otóż według Ransoma wcale nie. Te eldile przebywały na Marsie, ale właściwie stamtąd nie pochodzą. Przewodniczący twierdzi, że żyją w pustej przestrzeni między planetami.

- Ale tam przecież nie ma powietrza!

- Powtarzam tylko jego słowa. Twierdzi, że one nie oddychają. Mówi też, że nie rozmnażają się i nie umierają. Ale nawet jeśli uznamy, że reszta jego opowieści jest prawdziwa, to takie stwierdzenie nie może się opierać na obserwacji.

- Więc czym w końcu są te istoty?

- Mówię pani, jak on je opisywał.

- To jak one wyglądają?

- Nie bardzo potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

- Czy są wielkie? - zapytała Jane prawie bezwiednie.

MacPhee wydmuchał nos w chustkę, zanim odpowiedział.

- Rzecz w tym, pani Studdock, o czym zaraz powiem. Doktor Ransom twierdzi, że te istoty odwiedzają go tu, na Ziemi, od kiedy stamtąd wrócił. To tyle, jeśli chodzi o jego pierwsze zniknięcie. Bo potem było drugie. Zniknął na ponad rok. Tym razem po powrocie oświadczył, że był na planecie Wenus, zabrany tam przez owe eldile.

- To na Wenus one też mieszkają?

- Niech mi pani wybaczy, jeśli zauważę, że to zdanie wydaje się świadczyć, iż nie zrozumiała pani tego, co mówię. Te istoty nie mieszkają na planetach. Zakładając, że w ogóle istnieją, można je sobie wyobrazić jako istoty szybujące w przestrzeni kosmicznej, chociaż mogą wylądować na jakiejś planecie, jeśli zechcą, tak jak ptak, który siada sobie na gałęzi. Niektóre z nich, jak on mówi, są mniej lub bardziej związane z poszczególnymi planetami, ale z nich nie pochodzą. Są po prostu

zupełnie innym rodzajem bytu.

Zapanowało krótkie milczenie, a potem Jane zapytała:

- Domyślam się, że są raczej przyjazne?
- Tak utrzymuje Przewodniczący, chociaż z jednym wyjątkiem.
- To znaczy?

- Z wyjątkiem eldilów, które od wieków skoncentrowały się na naszej planecie. Wygląda na to, że nie mieliśmy szczęścia w naszym szczególnym przydziale pasożytów. I to właśnie, pani Studdock, prowadzi nas do sedna sprawy.

Jane czekała w milczeniu. Sposób, w jaki MacPhee przedstawiał „zarys sytuacji”, prawie neutralizował dziwaczność tego, co mówił.

- Krótko rzecz ujmując, pani Studdock, ten dom jest opanowany albo przez te istoty, o które rych mówiłem, albo przez zwykłe iluzje. W każdym razie Przewodniczący wierzy, że to właśnie dzięki kontaktom z eldilami odkrył spisek przeciw gatunkowi ludzkiemu i że zgodnie z instrukcjami eldilów kieruje walką z tym spiskiem... jeśli w ogóle można to nazwać kierowaniem! To po prostu zadziwiające, jak ktoś może myśleć, że zniszczy spisek przeciwko ludzkości, hodując w zimie warzywa i tresując niedźwiedzie. Podnosiłem tę kwestię nie raz i nie dwa. Odpowiedź jest zawsze taka sama: czekamy na rozkazy.

- Od eldilów? To ich ma na myśli, mówiąc o Zwierzchnikach?

- Na to by wyglądało, chociaż nie użył tego słowa, kiedy ze mną rozmawiał.

- Ale, panie MacPhee, nie bardzo rozumiem. Przecież chyba sam pan powiedział, że te żyjące na Ziemi są wrogie?!

- Bardzo dobre pytanie. Otóż Przewodniczący utrzymuje, że to nie z nimi ma stały kontakt, ale ze swoimi przyjaciółmi z przestrzeni kosmicznej. Ziemskie eldile popierają spisek, o którym mówiłem. Proszę sobie wyobrazić, pani Studdock, że żyjemy na planecie, na której owa przestępcza grupa eldilów założyła sobie kwaterę główną. A jeśli Przewodniczący ma rację, ich szlachetni ziomkowie odwiedzają tę planetę, żeby z nimi walczyć.

- To znaczy... że te inne eldile, te z przestrzeni kosmicznej... odwiedzają ten dom?

- Tak przynajmniej twierdzi Przewodniczący.

- Ale pan... przecież musi pan wiedzieć, czy to prawda, czy nie.

- Niby w jaki sposób?

- Czy pan je widział?

- Na to pytanie nie można odpowiedzieć „tak” lub „nie”. W swoim czasie widziałem wiele różnych rzeczy, których tak naprawdę nie było albo które nie były tym, czym zdawały się być: tęczę, refleksy świetlne, zachodzące słońce, nie mówiąc o snach. No i jest coś takiego jak sugestia. Nie przeczę, że byłem świadkiem pewnych zjawisk w tym domu, których nie potrafię w pełni wyjaśnić. Nigdy jednak nie doszło do nich w chwili, gdy miałem przy sobie notes albo jakiś inny środek weryfikacji faktów.

- Nie wystarczy, że pan to widział?

- Samo widzenie może wystarczyć dzieciom albo zwierzętom.

- Ale nie rozsądnym ludziom, tak?

- Mój wuj, doktor Duncanson... pewnie zna pani to nazwisko... który był moderatorem Zgromadzenia Ogólnego Kościoła Prezbiteriańskiego w Szkocji, zwykł był mówić: „Pokaż mi to w księdze Słowa Bożego”. I walił Biblią w stół. W ten sposób zamykał usta ludziom, którzy przychodzili do niego, plotąc o szczególnych przeżyciach religijnych. I zgodnie z przyjętymi przez niego założeniami, miał rację. Nie podzielam jego poglądów, pani Studdock, ale postępuję według podobnych metod. Jeśli Andrew MacPhee ma uwierzyć w istnienie czegoś, to to coś musi mu się

pokazać w pełnym świetle dnia, w obecności wystarczającej liczby świadków. Najlepiej z aparatem fotograficznym czy termometrem w garści.

Spojrzał z namysłem na swoją tabakierkę.

- A więc coś pan jednak widział?

- Tak. Trzeba jednak zachowywać otwarty umysł. To mogły być halucynacje. Mogły to być jakieś sztuczki magiczne...

- Wyczarowane przez Przewodniczącego? - zapytała Jane ze złością, a MacPhee ponownie zajął się tabakierką. - Czy naprawdę wyobraża pan sobie, że uwierzę, że Przewodniczący jest szarlatanem?

- Życzyłbym sobie, szanowna pani - odpowiedział MacPhee aby zechciała pani rozważyć tę sprawę bez ustawicznego używania takich terminów, jak „wierzyć”. Sztuczki magiczne to jedna z hipotez, którą każdy bezstronny badacz musi wziąć pod uwagę. Fakt, że jest to hipoteza szczególnie niemiła uczuciom tego badacza, nie powinien mieć żadnego znaczenia. No, może tylko takie, że istnieje wówczas niebezpieczeństwo negowania jej z czysto psychologicznych względów.

- Ale przecież istnieje coś takiego jak lojalność - oburzyła się Jane.

MacPhee, który ostrożnie zamykał tabakierkę, spojrzał na nią wzrokiem, w którym zapłonęła godność niezłomnych obrońców prezbiterianizmu.

- Tak, szanowna pani, istnieje coś takiego - powiedział. - Kiedy będzie pani nieco starsza, z pewnością nauczy się pani, że jest to cnota zbyt wielkiej wagi, aby ją trwonić na indywidualne osobowości.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść - powiedział MacPhee.

Weszła Camilla.

- Czy skończył pan już rozmowę z Jane, panie MacPhee? - zapytała. - Jane obiecała, że wyjdzie ze mną trochę się przewietrzyć przed kolacją.

- Och, przewietrz swoją babkę! - zawołał MacPhee z gestem desperacji. - Wspaniale, moje panie, wspaniale. Byle się wyrwać do ogrodu. Wątpię, czy robi się tu coś więcej w walce ze spiskiem przeciwko ludzkości. W ten sposób opanują cały kraj, zanim się obejrzymy!

- Bardzo bym chciała, żeby pan przeczytał poemat, który właśnie czytam - powiedziała Camilla. - Bo jest w nim takie zdanie, które bardzo mi teraz pasuje: „Głupcze, wszystko zależy od cnoty cierpliwości, której mój pan hołduje”. [Cytat z arturiańskiego poematu *Taliessin through Logres* pióra Charlesa Williama, jednego z członków grupy Inkling.]

- Z czego to jest? - zapytała Jane.

- Z *Taliesina*.

- Pewnie pan MacPhee uznaje tylko Burnsa.

- Burnsi! - zawołał MacPhee z głęboką pogardą, po czym energicznym ruchem otworzył szufladę biurka i wyciągnął z niej stos papierów. - Jeśli wybierają się panie na przechadzkę, to nie zatrzymuję.

- Powiedział ci? - zapytała Camilla, gdy szły korytarzem.

Wiedziona impulsem, który był obcy całemu jej dotychczasowemu doświadczeniu, Jane schwyciła ją za rękę.

- Tak!

Obie czuły, że przepelnia je jakaś żarliwa pasja, ale nie potrafiły jej bliżej określić. Doszły do drzwi frontowych, a kiedy je otworzyły, widok, który ukazał się ich oczom - choć był tak naturalny - dla nich przez chwilę miał jednak w sobie coś apokaliptycznego.

Wiatr wzmagął się przez cały dzień i teraz patrzyły na prawie czyste niebo. Powietrze było

przejmująco zimne, a gwiazdy wyraźne i jasne. Wysoko, nad ostatnimi strzępami unoszonej przez wiatr chmury, wisiał Księżyc w całej swojej dzikiej krasie: nie był to ów zmysłowy Księżyc z tysiąca południowych pieśni miłosnych, ale łowczym, nieujarzmiona dziewica, ostrze szaleństwa. To szaleństwo zdawało się przenikać do krwi Jane.

- Ten MacPhee... - zaczęła, gdy podchodziły z boku na szczyt ogrodu.

- Wiem, wiem. Ale... czy ty w to uwierzyłaś?

- Oczywiście.

- W jaki sposób MacPhee wyjaśnia wiek Przewodniczącego?

- Chodzi ci o to, że wygląda... albo jest... tak młodo... jeśli to można tak określić?

- Tak. Tak wyglądają ludzie, którzy wrócili z gwiazd. A w każdym razie z Perelandry. Tam wciąż jest raj. Poproś go kiedyś, żeby ci o tym opowiedział. On już nigdy się nie zestarzeje choćby o rok, czy nawet miesiąc.

- Ale przecież kiedyś umrze...

- Myślę, że zostanie stąd zabrany. Wróci do Głębin Niebios. To się już zdarzyło na Ziemi, z dwoma, może nawet sześcioma osobami od początku świata.

- Camillo!

- Co?

- Kim... kim on jest?

- Jest mężczyzną, moja droga. I jest Pendragonem, władcą Logresu. Ten dom, my, którzy w nim mieszkamy, Pan Bultitude i Szczypka, to wszystko co zostało z Logresu. Cała reszta stała się po prostu Brytanią. Chodźmy. Wejźmy na sam szczyt. Och, jak tu wieje! Tej nocy mogą go odwiedzić!

* * *

Tego wieczoru Jane myślała się pod czujnym okiem gawrona Corvo, podczas gdy reszta mieszkańców Dworu zebrała się na naradzie w Niebieskim Pokoju.

- Tak, moi drodzy - powiedział Ransom, kiedy Grace Ironwood skończyła czytać swoje notatki. - To jest sen, a jednak wszystko w nim wydaje się obiektywne.

- Obiektywne? - powtórzył Dimble. - Nie rozumiem. Przecież chyba pan nie sądzi, że mogliby mieć coś takiego.

- A co ty o tym myślisz, MacPhee? - zapytał Ransom.

- O tak, to możliwe. Takie rzeczy robi się w laboratoriach dość często. Można odciąć kotu głowę i utrzymać ją w ruchu przez jakiś czas, jeśli się jej dostarcza krwi pod odpowiednim ciśnieniem.

- Niesamowite! - zawołała Ivy Maggs.

- Utrzymać przy życiu? - upewnił się Dimble.

- Życie to pojęcie niejednoznaczne. Można utrzymać wszystkie funkcje organizmu. W tym wypadku chodzi o to, co potocznie nazywa się życiem. Ale ludzka głowa... i świadomość... Nie umiem przewidzieć wyniku takiego eksperymentu.

- Dokonano już takiej próby - powiedziała pani Ironwood. - Zrobił to pewien Niemiec przed pierwszą wojną. Posłużył się głową kryminalisty.

- Naprawdę? - zdziwił się MacPhee. - A jaki był rezultat tego eksperymentu?

- Nic z tego nie wyszło. Głowa po prostu uległa rozkładowi.

- Ja mam już tego dosyć - oświadczyła Ivy Maggs, po czym wstała i szybko wyszła z pokoju.

- A więc ta obrzydliwość - odezwał się doktor Dimble - nie jest tylko snem.

Na jego pobladłej twarzy malowało się napięcie. Natomiast jego żona okazywała tylko kontrolowaną odrazę, jaką może okazywać pani starej daty, wysłuchując odrażających szczegółów, których w rozmowie nie można pominąć.

- Nie mamy na to dowodu - stwierdził MacPhee. - Ja mówię tylko o faktach. To, o czym śniła ta dziewczyna, jest możliwe.

- A co z tym... jakby turbanem? - zapytał Denniston. - Z tym rodzajem balonu na szczycie czaszki?

- Chyba rozumiesz, czym to mogło być - odpowiedział Przewodniczący.

- No... nie bardzo.

- Zakładając, że sen jest zgodny z rzeczywistością - rzekł MacPhee - można podejrzewać coś takiego. Kiedy już udało im się utrzymać głowę przy życiu, no cóż, takie typy spróbowałyby przede wszystkim powiększyć mózg. Zastosowałyby najróżniejsze czynniki pobudzające. A potem, być może, doszłoby do wniosku, że trzeba otworzyć czaszkę i po prostu... po prostu pozwolić, by ten rosnący mózg wykipiał z niej, jeśli tak można powiedzieć. Nie wątpię, że na tym to polega. Wywołana sztucznie hipertrofia mózgowa, żeby wesprzeć nadludzką zdolność ideacji.

- Czy jest w ogóle możliwe - zapytał Przewodniczący - by podobna hipertrofia fizyczna doprowadziła do spotęgowania władz umysłowych?

- W tym widzę słaby punkt - odezwała się pani Ironwood. - Raczej bym sądziła, że coś takiego dałoby w rezultacie śpiączkę. Ale... zawsze jest możliwy efekt zupełnie przeciwny.

Zapanowała pełna zadumy cisza.

- A więc mamy do czynienia - powiedział Dimble - z mózgiem kryminalisty rozdętym do nadludzkich rozmiarów i mającym taki rodzaj świadomości, jakiego nie możemy sobie wyobrazić, ale jest to prawdopodobnie świadomość potwornej męki i nienawiści.

- Wcale nie jest pewne - zauważyła pani Ironwood - że coś takiego jest w stanie odczuwać ból. No, może ból karku.

- Ale nas powinno bardziej obchodzić co innego - powiedział MacPhee. - Musimy określić, jakie konkluzje możemy z tego wyciągnąć i jakie kroki praktyczne powinniśmy przedsięwziąć, oczywiście zakładając roboczo, że ten sen poddaje się weryfikacji.

- W każdym razie jednego możemy być pewni - stwierdził Denniston.

- Mianowicie? - zapytał MacPhee.

- Że działania naszych wrogów mają zasięg międzynarodowy. Aby dostać tę głowę, musieli pozyskać do współpracy przedstawicieli policji przynajmniej jednego obcego kraju.

MacPhee zatarł ręce.

- Człowieku - rzekł - widzę, że zaczynasz myśleć logicznie. Tyle, że taka dedukcja nie musi być do końca nieomylna. W tym wypadku realna współpraca nie jest konieczna. Wystarczy dać łapówkę.

- Ale otrzymaliśmy w ten sposób jeszcze jedną informację, Ważniejszą w perspektywie czasu - powiedział Przewodniczący. - Wszystko świadczy o tym, że jeśli takie zabiegi techniczne okażą się rzeczywiście skuteczne, ludzie z Belbury odkryją sposób uczynienia się nieśmiertelnymi. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - To początek czegoś, co można naprawdę nazwać nowym gatunkiem: gatunkiem Wybranych Główn, które nigdy nie umierają. Nazwą to następną fazą ewolucji. A stąd wniosek, że wszystkie istoty, które my nazywamy ludźmi, dla nich są jedynie albo kandydatami do tego nowego gatunku, albo jego niewolnikami. Może... jego pożywieniem.

- Ależ to... pojawienie się cyborgów! - zawołał Dimble.

- Bardzo możliwe, bardzo możliwe - rzekł MacPhee, wyciągając do niego tabakierkę. Doktor Dimble odmówił, więc sam zażył z namaszczeniem niuch tabaki i ciągnął dalej: - Nie ma jednak

większego pożytku z napędzania sobie strachu za pomocą wyrafinowanych figur retorycznych albo tracenia głowy tylko dlatego, że jacyś ludzie zrezygnowali z karków, na których osadzone są ich głowy. Będę stawiał na głowy Przewodniczącego, pana, doktorze, i moją własną przeciw głowie tego nieszczęśnika, bez względu na to, czy kipi z niej mózg, czy nie kipi. Pod warunkiem, że będziemy tych głów używać. Byłbym rad usłyszeć jakieś bardziej praktyczne wnioski.

Po tych słowach postukał lekko knykциями w kolana, spojrział twardo na Przewodniczącego i dodał:

- I to właśnie już wcześniej ośmieliłem się zaproponować.

Twarz Grace Ironwood nagle zapłonęła gniewem; przywodziło to na myśl płomień, który nagle buchnął wśród rozżarzonych węglików.

- Panie MacPhee, czyżby pan nie darzył zaufaniem Przewodniczącego na tyle, by wolno mu było ujawnić swój plan wówczas, gdy uzna to za stosowne?

- A czy doradcy Przewodniczącego nie zasługują na takie zaufanie, by w końcu usłyszeć, na czym ten plan polega?

- O co ci chodzi, MacPhee? - zapytał Dimble.

- Panie Przewodniczący - powiedział MacPhee - niech mi pan wybaczy szczerość. Wrogowie dysponują tą Głową. Opanowali Edgestow i są na dobrej drodze, by zawiesić prawa Anglii. A pan, panie Przewodniczący, wciąż nam powtarza, że jeszcze nie czas na ruch z naszej strony. Gdyby pan posłuchał mojej rady sześć miesięcy temu, dziś mielibyśmy już organizację na całej wyspie i być może przedstawiciele w Izbie Gmin. Wiem dobrze, co mi pan odpowie, że - to nie są właściwe metody. Może i nie są. Ale jeśli pan ani nie chce przyjąć tej rady, ani nie mówi nam, żebyśmy coś konkretnego zrobili, to po co tu w ogóle siedzimy? Czyżby pan poważnie rozważał możliwość odesłania nas do domów i sprowadzenia zupełnie innych towarzyszy, takich, z którymi może pan współpracować?

- Masz na myśli rozwiązanie Stowarzyszenia? - zapytał Dimble.

- Tak, to mam na myśli - odparł MacPhee.

Przewodniczący popatrzył na nich z uśmiechem.

- Ale ja nie mam takiej władzy, by je rozwiązać.

- Jeśli tak - powiedział MacPhee - to muszę zapytać, jaką władzę pan miał, aby je powołać?

- Nigdy niczego nie powoływałem - odpowiedział Przewodniczący. Popatrzył po wszystkich i dodał: - To jakieś dziwaczne nieporozumienie! Czyżbyście wszyscy odnieśli wrażenie, że was wybrałem? Czy tak?

- No cóż - odezwał się w końcu Dimble - jeśli chodzi o mnie, to zdaję sobie sprawę, że stało się to mniej lub bardziej nieświadomie... a nawet przypadkowo. Nigdy pan nie zapytał mnie, czy chcę się przyłączyć do jakiegoś konkretnego ruchu czy czegoś podobnego. I dlatego zawsze uważałem siebie za kogoś w rodzaju markietana. Zakładałem, że inni odgrywają tu bardziej istotną rolę.

- Przecież pan wie, panie Przewodniczący, dlaczego Camilla i ja tu jesteśmy - powiedział Denniston. - Z pewnością nie zastanawialiśmy się w ogóle, czy znajdziemy tu jakieś zatrudnienie.

Grace Ironwood podniosła głowę i spojrzała na Ransoma. Jej twarz pობladła.

- Czy pan chce... - zaczęła. Ransom położył jej rękę na ramieniu.

- Nie. Nie ma potrzeby opowiadania tych wszystkich historii. Przez chwilę trwała cisza, którą przerwał MacPhee. Jego surowe rysy rozluźniły się w ironicznym grymasie.

- Widzę, do czego pan zmierza - rzekł - Obawiam się, że wszyscy bawimy się w ciuciubabkę. Ośmielałem się jednak zauważyć, doktorze Ransom, że troszkę pan przeholował. Nie mogę sobie przypomnieć, jak to się stało, że nazywa się pana Przewodniczącym, ale biorąc pod uwagę ten tytuł i parę innych sugestii, można by pomyśleć, że zachowuje się pan bardziej jak przywódca jakiejś

organizacji, a nie gospodarz na wydanym przez siebie przyjęciu.

- Jestem Przewodniczącym - powiedział Ransom z uśmiechem. - Czy myślicie, że rościłbym sobie jakieś pretensje do władzy, gdyby stosunki między nami zależały od waszych lub moich wyborów? Wy nigdy mnie nie wybieraliście. Ja nigdy nie wybierałem was. Nawet wielki Ojarsa, któremu służę, nigdy mnie nie wybrał. Trafiłem do ich światów dzięki czemuś, co z początku wyglądało na zwykły przypadek, podobnie jak wy trafiliście tutaj... jak trafiły do tego domu zwierzęta. Ani wy, ani ja tego nie rozpoczęliśmy. Nie my to wymyśliliśmy. To na nas spadło. Można powiedzieć, że to nas samo wciągnęło. Tak, to jest bez wątpienia organizacja, ale nie my ją założyliśmy. I dlatego nie mam żadnej władzy, aby udzielić komukolwiek z was pozwolenia na opuszczenie mojego domostwa.

Zapanowało głucho milczenie, słychać było tylko trzaskanie ognia w kominku.

- Jeśli nie ma już więcej tematów do dyskusji - odezwała się w końcu Grace Ironwood - to może lepiej pozwolimy Przewodniczącemu odpocząć.

MacPhee wstał i strząsnął szczyptę tabaki z wypchanych na kolanach spodni, bezwiednie przygotowując w ten sposób nie lada niespodziankę dla myszy w czasie ich następnej wizyty.

- Nie mam nic przeciwko pozostaniu w tym domu - oświadczył z godnością - jeśli ktoś zechce, bym w nim pozostał. Co się jednak tyczy ogólnej hipotezy, zgodnie z którą Przewodniczący wydaje się działać, i jego bardzo szczególnego zwierzchnictwa, które sobie przypisuje, to stanowczo zachowuję sobie prawo do własnej oceny. Wie pan dobrze, panie Przewodniczący, w jakim sensie mam i w jakim sensie nie mam do pana całkowitego zaufania.

Ransom roześmiał się.

- Zapomniałem - powiedział - że powinienem wiedzieć, co się dzieje w każdej z dwóch połówek twojej głowy, MacPhee, i w jaki sposób łączysz je ze sobą. Ale o wiele ważniejsze jest to, że dobrze wiem, jakim rodzajem zaufania mnie obdarzasz. Może byś jednak usiadł? Mamy jeszcze wiele do omówienia.

MacPhee opadł z powrotem na swoje krzesło, Grace Ironwood, która siedziała wyprostowana, rozluźniła się, a Przewodniczący mówił dalej:

- Dziś wieczór czegoś się dowiedzieliśmy. Jeśli nawet jeszcze nie wiemy, do czego dąży i co czyni prawdziwa siła ukrywająca się za plecami naszych wrogów, to w każdym razie wiemy już, w jaką postać wcieliła się w Belbury. Tak więc wiemy już coś o jednym z dwóch ataków, jakie są przygotowywane, aby zniszczyć ludzkość. Teraz myślę jednak o tym drugim.

- Tak - odezwała się żywo Camilla. - O tym drugim. - To znaczy?... - zapytał MacPhee.

- To znaczy o tym, co spoczywa pod Lasem Bragdońskim.

- Wciąż pan myśli o tym? - zapytał Ulsterczyk.

- Myślę właściwie tylko o tym - odrzekł Przewodniczący. - Wiemy już, że przeciwnikowi zależy na tym lesie. Niekórzy z nas podejrzewają dlaczego. A Jane w swojej wizji zobaczyła... albo raczej odczuła... czego oni tam szukają. Być może jest to większe zagrożenie od pierwszego. Jedno jest pewne: największym niebezpieczeństwem byłoby połączenie sił wrogów. Kiedy nowa potęga z Belbury połączy się ze starą potęgą z Bragdonu, wówczas naprawdę Las Bragdon, Logres... ba, sama ludzkość.. będą już prawie otoczeni. Wszystko zależy teraz od niedopuszczenia do tego połączenia. To sprawa, dla której musimy być gotowi zabijać i umrzeć. Nie możemy jednak dostać się do lasu i sami rozpocząć wykopalisk. Nastąpi moment, w którym oni go odnajdą. Nie wątpię, że zostaniemy o tym w jakiś sposób powiadomieni. Do tego czasu musimy czekać.

- Nie wierzę w ani jedno słowo z całej tej historii z lasem - oświadczył MacPhee.

- Wydawało mi się - powiedziała z przekąsem pani Ironwood - że nie mieliśmy używać takich słów, jak „wierzę”. Sądziłam, że mieliśmy tylko stwierdzać fakty i wykrywać ich konsekwencje.

- Jeśli wy dwoje będziecie się wciąż kłócić - rzekł Przewodniczący - to chyba będę musiał doprowadzić do waszego ślubu.

* * *

Dla stowarzyszenia przez długi czas pozostawało zagadką, dlaczego nieprzyjaciel stara się o uzyskanie prawa do Lasu Bragdon. Teren był nieuzbrojony i jego przygotowanie do budowy obiektu o takiej skali musiałyby bardzo dużo kosztować; zresztą samo Edgestow też trudno było nazwać wygodnym miejscem. Wnikliwe studia, prowadzone we współpracy z doktorem Dimble'em, pozwoliły jednak Przewodniczącemu - mimo nieprzejednanego sceptycyzmu MacPhee - dojść do pewnej konkluzji. On sam, Dimble i Dennistonowie mieli bogatą wiedzę na temat Brytanii arturiańskiej - wiedzę daleko wykraczającą poza to, co głosiła współczesna historia ortodoksyjna. Wiedzieli, że Edgestow leży w samym sercu starożytnego Logresu, że Cure Hardy to dawne Ozana le Coeur Hardi, a w Lesie Bragdon przebywał kiedyś historyczny Merlin.

Co właściwie Merlin tam robił, tego jeszcze nie wiedzieli, ale wszyscy, dochodząc do tego różnymi drogami, już dawno odrzucili popularne w świecie historyków przekonanie, że jego niezwykle zdolności były legendą, a on sam szarlatanem; nie zadowalała ich również inna hipoteza, głosząca, iż zajmował się tym, co w czasach Renesansu nazywano magią. Według doktora Dimble'a wystarczy przyjrzeć się krytycznie świadectwom literackim, by wykryć zasadnicze różnice między barwnymi opisami owych „magów” i alchemików, a tym, co wiemy o Merlinie.

- Co może łączyć takich rytualistycznych okultystów - pytał doktor Dimble - jak Faust, Prospero czy Archimag, studiujących po nocach zakazane księgi, zgłębiających tajemnice żywiołów i korzystających z pomocy demonów, z postacią taką jak Merlin, który dokonuje niezwykle czynów, po prostu będąc Merlinem?

Ransom zgadzał się z nim. Wszystko wskazywało na to, że Merlin był ostatnim dziedzicem prastarej wiedzy, przyniesionej do zachodniej Europy po upadku Numinoru, a pochodzącej z epoki, w której na naszej planecie ogólnie relacje między duchem a materią były zupełnie inne niż te znane dzisiaj. Prawdopodobnie wiedza ta różniła się zasadniczo od renesansowej magii. Można mniemać (choć nie jest to pewne), że była mniej grzeszna i diaboliczna, natomiast z całą pewnością - bardziej skuteczna. Paracelsus i Agryppa, jak również cała reszta alchemików właściwie niewiele osiągnęli: sam Bacon - który przecież nie był wrogiem magii - stwierdził, że dokonania owych magów „nie są ani wielkie, ani pewne”. Cały ten renesansowy wybuch zakazanych nauk wydaje się jedynie skuteczną metodą zaprzędania duszy diabłu na wyjątkowo niekorzystnych warunkach.

Skoro jednak jedyną możliwą atrakcyjnością Lasu Bragdon polegała na jego związkach z ostatnimi śladami pradawnej atlantyckiej magii, miało to poważne konsekwencje dla ujawnienia prawdziwego charakteru Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych. Wynikało z tego, że instytut nie jest - przynajmniej w swoim kierowniczym rdzeniu - skoncentrowany na zdobyciu wyłącznie nowoczesnych, materialistycznych środków władzy. Przewodniczący doszedł do wniosku, że za celami i działalnością NIBS-u kryje się energia i wiedza skrzywionych eldilów. Czy jego członkowie zdają sobie sprawę z tego, że służą ciemnym siłom, to już inna kwestia, w dalszej perspektywie być może wcale nie najważniejsza.

- Niezależnie od tego, czy o tym wiedzą czy nie wiedzą - mówił sobie co jakiś czas Ransom - stanie się to, co ma się stać. Nie chodzi o to, jak ludzie z Belbury zamierzają działać - ciemne eldile już o to zadbają - ale o to, co ci ludzie będą sądzić o celach swoich działań. Wiemy, że przejmą Bragdon, ale jeszcze nie wiemy, czy którykolwiek z nich będzie świadom, po co naprawdę się tam pakują, czy też wszyscy będą przekonani, że jest tam jakaś nadzwyczajna gleba, powietrze czy

eteryczne napięcia.

Do pewnego momentu Ransom tylko podejrzewał, że siła, do której wzdychał wróg, była w jakiś sposób powiązana z samym Lasem Bragdon; istnieje bowiem stare i szeroko rozprzestrzenione przeświadczenie, iż miejsca odgrywają w takich sprawach ważną rolę. Opowiedziany przez Jane sen o śpiącym starcu utwierdził go w tym. Pod Lasem Bragdon musi być coś, co ma duże znaczenie, coś, co należy odkopać. Wszystko przemawiało za tym, że chodzi o ciało Merlina. To, co powiedziały mu o możliwości takiego odkrycia eldile, nie był o niespodzianką ani dla niego, ani dla nich. Ziemskie formy narodzin, śmierci i rozkładu były dla nich nie mniej cudowne niż inne, niezliczone wzorce istnienia, jakie nieustannie poznawały ich rozbudzone świadomości. Dla tych wyższych istot, których aktywność tworzy to, co my nazywamy Naturą, nie jest „naturalne”. Nieustannie postrzegają zasadniczą „dowolność” każdego stworzenia, nie uznają żadnych sztywnych założeń: dla nich wszystko wykwita spontanicznie jak dobry ż art czy melodia w owym cudownym momencie samoograniczenia, w którym Nieskończoność, odrzuciwszy miliardy możliwości, wyrzuca z siebie ten, a nie inny pozytywny wzór. Zupełnie ich nie dziwiło, że ciało może leżeć nie zepsute przez piętnaście stuleci: znały światy, w których w ogóle nie było rozkładu. Nie widziały też nic nadzwyczajnego w tym, że życie takiego ciała może być przez cały ten czas w fazie uśpienia: widziały niezliczone inne formy, w których dusza i materia mogą się łączyć i rozdzielać - rozdzielać również bez utraty wzajemnego wpływu, łączyć bez konieczności realnego wcielenia, w krótkotrwałej unii, niekiedy tak krótkiej, jak ślubny pocałunek. To, co przekazały Ransomowi, nie brzmiało jak zadziwiający fakt z zakresu filozofii przyrody, lecz po prostu jako rzeczowa informacja przekazana w czasie wojny. Merlin nie umarł. Jego życie zostało skierowane na boczny tor, wyłączone na piętnaście stuleci spod praw naszego jednowymiarowego czasu. Wystarczy spełnienie pewnych warunków, aby powróciło do swego ciała.

Eldile powiedziały mu to dopiero teraz, bo przedtem same o tym nie wiedziały. Jedną z największych trudności w dyskusji Ransoma z takim sceptykiem jak MacPhee (który nieustannie przeczył możliwości istnienia eldilów) było wyrażane przez niego dość popularne, choć dziwne przekonanie, że gdyby istniały takie istoty, mądrzejsze i potężniejsze od człowieka, to musiałyby być wszechwiedzące i wszechmocne. Ransom na próżno usiłował mu wyjaśnić, jak jest naprawdę. Nie ulega wątpliwości, że te istoty, które ostatnio tak często go odwiedzają, obdarzone są taką mocą, że mogłyby bez trudu zmieść Belbury z powierzchni Anglii, Anglię z powierzchni Ziemi, a być może unicestwić cały nasz glob. Rzecz w tym, że nigdy by czegoś takiego nie zrobiły. Nie mają również jakiegoś bezpośredniego wglądu w ludzkie umysły. Stan Merlina odkryły w zupełnie innym miejscu, sięgając po wiedzę z zupełnie innej rzeczywistości - nie badały szczątków spoczywających pod Lasem Bragdon, ale zauważyły pewną wyjątkową konfigurację w miejscu, w którym przebywają byty wzięte z głównej drogi czasu, poza niewidzialnymi żywoplotami, wśród trudnych do wyobrażenia pól. Dla nich czas, który nie jest czasem teraźniejszym, nie musi być czasem przeszłym czy przyszłym.

To właśnie nie pozwalało Ransomowi zasnąć w czasie tych chłodnych godzin przed świtem, gdy inni opuścili go po naradzie. Uważał, że nie ulegało wątpliwości, iż wróg kupił Bragdon, aby odnaleźć ciało Merlina, a po odnalezieniu - obudzić go do drugiego życia. Stary druid mógłby się z nimi sprzymierzyć - cóż mogłoby go powstrzymać? Połączenie dwu tak potężnych sił, dwu różnych form władzy, mogło przynieść tylko jedno: uzyskanie całkowitego wpływu na los naszej planety. I taki był, bez wątpienia, pradawny plan czarnych eldilów. Nauki przyrodnicze, same w sobie dobre i niewinne, za życia Ransoma zaczynały podlegać subtelnym wpływom, wiodącym je w określonym kierunku. Utrata nadziei na osiągnięcie obiektywnej prawdy stawała się coraz

bardziej powszechną chorobą uczonych; rezultatem było zlekceważenie prawdy i skoncentrowanie się na poszukiwaniu energii i władzy. Paplanie o *elan vital* i ciągoty do panpsychizmu przybliżyły odrodzenie się starej idei magów o *Anima Mundi*. Wizje świetlanej przyszłości człowieka pozwalały na odgrzebanie pradawnego marzenia o Człowieku jako Bogu. Doświadczenia, przeprowadzane w laboratoriach instytutów patologii, rodziły przekonanie, iż pierwszą podstawową zasadą wiodącą ku postępowi jest odrzucenie dawnych, głęboko zakorzenionych uprzedzeń i sentymentów. A teraz wszystko to weszło w fazę, którą ciemne siły uznały za dogodną, by cały ten proces nagiąć wstecz, tak aby można było przejść do sojuszu nowej wiedzy ze starymi potęgami. Wybierały właśnie pierwszy moment, w którym powinno to się stać. Trudno było dokonać tego z dziewiętnastowiecznymi uczonymi! Przeszkodą był ich niewzruszony, obiektywny materializm, a odziedziczona zdrowa moralność nie pozwalała na kontakt z brudem. MacPhee był spadkobiercą tej tradycji.

Teraz sytuacja uległa zmianie. Być może w Belbury tylko parę osób (a może żadna?) wie, o co naprawdę chodzi, a kiedy już to się stanie, wszyscy ulegną owym ciemnym planom jak słoma, w którą wrzucono płonąca zapalkę. Cóż może być dla nich niewiarygodnego, skoro nie wierzą już w rozumny wszechświat? Co mogą uznać za zbyt wstrętne, skoro utrzymują, iż cała moralność jest tylko subiektywnym produktem ubocznym fizycznej i ekonomicznej sytuacji człowieka? Z diabelskiego punktu widzenia cała historia Ziemi prowadziła do tego momentu. Nadszedł wreszcie czas prawdziwej szansy dla upadłego Człowieka, by otrząsnął się z ograniczeń swej potęgi, narzuconych mu przez Łaskę dla ochrony przed wszystkimi skutkami jego upadku. Jeśli to się uda, nastąpi w końcu wcielenie piekła. Żli, skrzywieni ludzie, nadal w ciałach, nadal pełzając po tym małym globie, osiągną stan, który dotąd mogli osiągnąć jedynie po śmierci, osiągając długowieczność i moc złych duchów. Na całej Ziemi Natura stanie się ich niewolnicą, a trudno przewidzieć, czy ich panowanie osiągnie kres przed końcem samego czasu.

Rozdział 10

Podbite miasto

A z dotąd, niezależnie od TEGO, co się wydarzyło w ciągu dnia, Mark zwykle nie miał kłopotów z zasypianiem, ale tej nocy sen go zawiódł. Nie napisał do Jane, cały dzień wałęsał się bez celu, unikając ludzi. Lęki, jakie ostatnio przeżywał, w nocy osiągnęły nowy poziom. Teoretycznie był materialistą i - również teoretycznie - przekroczył już wiek, w którym miewa się nocne lęki. Teraz jednak, słysząc łomotanie wiatru w okna, poczuł, że powracają dawne dreszcze strachu, podobne dotykowi zimnych palców przebiegających po plecach. Bo w praktyce materializm nie daje żadnej ochrony przed lękiem. Ci, którzy szukają w nim takiej nadziei (a jest ich wielu), będą zawiedzeni. To, czego człowiek się lęka, jest niemożliwością. Koniec, kropka. Ale czy takie przeświadczenie wystarczy, by przestać się bać? Niestety nie. I co wtedy? Skoro musisz widzieć duchy, to już lepiej w nie uwierzyć.

Mark został obudzony wcześniej niż zwykle. Wraz z poranną herbatą podano mu liścik od wicedyrektora, który przesyłał mu pozdrowienia i prosił, by pan Studdock zgłosił się do niego niezwłocznie w bardzo pilnej sprawie. Mark ubrał się i poszedł do gabinetu wicedyrektora.

U Withera zastał już panią Hardcastle. Ku zaskoczeniu Marka, ale i ogromnej uldze, Wither nie dawał po sobie poznać, że pamięta o ich ostatniej rozmowie. Przeciwnie, odnosił się do niego uprzejmie, nawet z pewnym szacunkiem, choć był niezwykle poważny.

- Dzień dobry, dzień dobry, panie Studdock - powiedział. - Z największą przykrością... ee... a więc, mówiąc krótko, nie pozwoliłbym sobie na opóźnianie pańskiego śniadania, gdybym nie był przekonany, że w pańskim własnym interesie leży możliwie wczesne poznanie pewnych faktów. Oczywiście, proszę zachować wszystko, co panu powiem, w ścisłej tajemnicy. Sprawa jest nieprzyjemna, a w każdym razie kłopotliwa. Jestem pewny, że w trakcie naszej rozmowy... proszę, niech pan siądzie, panie Studdock... doceni pan w pełni naszą przezorność, gdy od samego początku powołaliśmy nasze własne... ee... siły policyjne... żeby użyć tego niezbyt szczęśliwego terminu.

Mark oblizwał wyschnięte wargi i usiadł.

- Mój opór przed poruszaniem tej sprawy - ciągnął Wither byłby jednak o wiele silniejszy, gdybym nie czuł się gotów do zapewnienia pana, od samego początku, ma się rozumieć, o całkowitym zaufaniu, jakim wszyscy pana darzymy, zaufaniu, które, żywią głęboką nadzieję - tu po raz pierwszy spojrzał Markowi prosto w oczy - zaczął pan odwzajemniać. Uważamy się tutaj za jedną rodzinę, składającą się z wielu braci i... ee... sióstr, więc to, co zostanie powiedziane w tym pokoju, należy traktować jako poufne w pełnym znaczeniu tego słowa i jestem pewien, że wszyscy czujemy się powołani do przedyskutowania tej sprawy w sposób jak najbardziej ludzki i możliwie najmniej formalny...

- Zgubiłeś portfel, Studdock - przerwała mu nagle pani Hardcastle, co miało efekt przypominający nagły wystrzał z pistoletu.

- Mój... mój portfel? - wyjąkał Mark.

- Tak, portfel. To coś takiego, w czym trzyma się banknoty i listy.

- Tak, zgubiłem. Czyżby się odnalazł?

- Czy zawierał trzy funty i dziesięć pensów, przekaz pocztowy na pięć szylingów, listy od kobiety podpisującej się imieniem Myrtle, od kwestora z Bractonu, od G. Hernshawa, F. A. Browne'a, M. Belchera oraz rachunek za ubranie z firmy Simonds i Syn, 32 A Market Street, Edgestow?

- Chyba wszystko się zgadza.
- Oto on - powiedziała pani Hardcastle, wskazując na stół.
- Nie, nie! - dodała, gdy Mark zrobił krok w jej kierunku i wyciągnął rękę.
- O co tu w ogóle chodzi? - zapytał Mark tonem, którego użyłby chyba każdy w takich okolicznościach, ale który policjanci uznają zwykle za „napastliwy”.
- Nic z tego. Ten portfel został znaleziony przy drodze, jakieś pięć metrów od ciała Hingesta.
- Na Boga! - zawołał Mark. - Chyba nie myślisz... przecież to absurd!
- Nie ma sensu pytać o moje zdanie. Nie jestem adwokatem, sędzią czy lawą przysięgłych. Jestem tylko policjantką. Zapoznaję cię z faktami.
- Mam rozumieć, że jestem oskarżony o zamordowanie Hingesta?!
- Naprawdę nie sędzę - odezwał się wicedyrektor - by mógł pan mieć najmniejsze obiekcje co do tego, że na tym etapie istnieje jakaś zasadnicza różnica między panem a pańskimi kolegami w kwestii płaszczyzny, na której należy rozpatrywać tę bardzo bolesną sprawę. Ma ona raczej charakter konstytucyjny...
- Konstytucyjny?! - powtórzył Mark z oburzeniem. - Jeśli dobrze rozumiem, pani Hardcastle oskarża mnie o morderstwo.

Wither spojrział na niego tak, jakby patrzył z nieskończonego dystansu.

- Och, naprawdę nie sędzę - powiedział - by to, co pan przed chwilą wyraził, oddawało stanowisko pani Hardcastle. Czynniki, który ona reprezentuje, znalazłby się w pozycji ściśle *ultra vires*, [Poza legalną kompetencją danego urzędu.] gdyby doszło do czegoś podobnego wewnątrz NIBS-u. Założywszy, ale oczywiście tylko na użytek naszej dyskusji, że chcieliby albo powinni zechcieć to uczynić w późniejszej fazie sprawy, musimy pamiętać, że jej funkcja w odniesieniu do władzy zewnętrznej, jakkolwiek byśmy ją zdefiniowali, byłaby całkowicie niespójna z tego rodzaju działaniem, przynajmniej w tym sensie, jaki chyba i pan, i ja nadajemy tym słowom.

- Rzecz w tym, że - jak mi się wydaje - wkroczyliśmy już w fazę kompetencji władzy zewnętrznej - przerwał mu Mark, mówiąc z trudem, bo zrobiło mu się sucho w ustach. - Jeśli dobrze zrozumiałem, pani Hardcastle sugeruje, że mam być aresztowany.

- Nic podobnego - zaprzeczył Wither. - Mamy tu do czynienia z jednym z tych przypadków, które pozwalają dostrzec wszelkie korzyści z posiadania przez nas własnej władzy wykonawczej. To jest właśnie przypadek, w którym istotnie znalazłby się pan w bardzo nieprzyjemnej sytuacji, gdyby ten portfel odnalazła zwykła policja, albo gdyby znalazł się on w rękach jakiegoś zwykłego obywatela, który poczułby się w obowiązku... jak każdy z nas w podobnej sytuacji... przekazania portfela policji. Nie wiem, czy pani Hardcastle wyjaśniła panu do końca, iż to jej funkcjonariusze, i wyłącznie oni, dokonali tego... ee... kłopotliwego odkrycia.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał Mark. - Jeśli pani Hardcastle nie uważa, że jest to *prima facie* sprawa przeciwko mnie, to dlaczego w ogóle mnie oskarża? A jeśli tak uważa, to jak mogłaby zrezygnować z poinformowania o tym władz zewnętrznych?

- Drogi przyjacielu - rzekł Wither namaszczonego tonem - nasz komitet nie przejawia choćby najsłabszej tendencji do wywierania jakiegokolwiek nacisku, przynajmniej w sprawach tego rodzaju, w kierunku wyznaczania granic działania naszej wewnętrznej policji, a tym bardziej określania jej możliwości zaniechania działań. Nie sędzę, by kiedykolwiek wyrażono sugestię, że pani Hardcastle powinna być zobowiązana, w jakimkolwiek znaczeniu, które by ograniczało jej własną inicjatywę, do informowania władz zewnętrznych, które, choćby ze względu na swoją strukturę, są mniej przygotowane do prowadzenia takich niejasno określonych i quasitechnicznych spraw, jakie często mogą tutaj mieć miejsce, o jakichkolwiek faktach ustalonych przez jej podwładnych w trakcie rutynowych działań wewnątrz NIBS-u.

- Czyżbym miał rozumieć, że pani Hardcastle jest w posiadaniu faktów pozwalających na aresztowanie mnie pod zarzutem morderstwa pana Hingesta, lecz łaskawie proponuje ich zatajenie?

- Wreszcie to do ciebie dotarło, Studdock - mruknęła pani Hardcastle.

Chwilę później, po raz pierwszy w obecności Marka, zapaliła swoje cygaro, wydmuchała kłęb dymu i uśmiechnęła się, a w każdym razie rozciągnęła usta, ukazując zęby.

- Ale ja wcale tego nie chcę - oświadczył Mark.

Nie było to całkiem zgodne z prawdą. Myśl o tym, że cała sprawa zostanie wyciszona w jakikolwiek sposób i na jakichkolwiek warunkach, podziałała na niego jak maska tlenowa na człowieka, który się dusi. Jakież miazmaty postawy obywatelskiej wciąż jednak w nim drzemały, więc ciągnął dalej, podnosząc głos:

- Nie chcę tego! Jestem niewinny. Sądzę, że powinienem zgłosić się na policję, na prawdziwą policję, i to natychmiast.

- Jeśli chcesz dostać karę śmierci - wtrąciła Wróżka - to już całkiem inna sprawa.

- Chcę dowieść swojej niewinności. Oskarżenie nie ma żadnych podstaw. Brak przekonującego motywu. Mam też alibi. Każdy potwierdzi, że spałem tutaj przez całą noc.

- Czyżby?

- O co ci chodzi?

- Przecież wiesz, że zawsze jest jakiś motyw - powiedziała pani Hardcastle. - Policjanci są tylko ludźmi. Kiedy machina już raz ruszy, będą chcieli mieć winnego.

Mark zapewniał siebie w duchu, że nie jest przerażony. Gdyby tylko w tym pokoju nie buchał taki żar z kominka i gdyby otworzono choć jedno okno!

- Jest list, który napisałeś - dodała Wróżka.

- Jaki list?

- List do pana Pelhama z twojego kolegium, datowany sześćtygodni temu, w którym piszesz: „Oby Bill Zawierucha został przeniesiony do lepszego świata”.

Wspomnienie tego naprędce nabazgranego zdania przeszło Marka jak ostry, fizyczny ból. Było to jedno z owych głupich, żartobliwych powiedzeń, które krążyły wśród Postępowej Elity i które w Bractonie powtarzab się czasem tuzin razy w ciągu jednego dnia pod adresem jakiegoś oponenta czy nudziarza.

- W jaki sposób ten list wpadł w wasze ręce? - zapytał.

- Myślę, panie Studdock - odezwał się wicedyrektor - że byłoby całkiem niewłaściwe sugerowanie pani Hardcastle, by ujawniła jakiejkolwiek szczegóły z dochodzenia prowadzonego obecnie przez naszą instytucyjną policję. Mówiąc to, nie chcę ani przez chwilę zaprzeczać, że możliwie najpełniejsze zaufanie, jakim obdarzamy się wszyscy w NIBS-ie, jest jedną z jego najbardziej cennych cech i czymś w rodzaju *sine qua non* owego naprawdę solidnego i organicznego życia społecznego, jakie zamierzamy promować. Są jednak pewne sfery, oczywiście niezbyt ostro zdefiniowane, ale w sposób nieuchronny ujawniające się jako reakcja na środowisko i posłuszeństwo wrodzonemu etosowi czy też dialektyce całości, w których zaufanie, domagające się werbalnej wymiany konkretnych danych, doprowadziłoby do swojego samounicestwienia.

- Chyba nie sądzicie, że ktokolwiek mógłby potraktować ten list poważnie? - zapytał Mark.

- A czy kiedykolwiek próbowałeś doprowadzić do tego, żeby policjant coś zrozumiał? - zakpiła Wróżka. - Mam na myśli prawdziwego policjanta.

Mark milczał.

- I nie wydaje mi się, abyś miał szczególnie mocne alibi. Widziano cię, jak rozmawiałeś z Billem podczas kolacji. Widziano cię, jak wychodziłeś z nim przez frontowe drzwi, zanim odjechał. Nie widziano cię, jak wracałeś. Zupełnie nie wiadomo, co robiłeś do śniadania następnego ranka.

Jeśli pojechałeś z nim samochodem aż do miejsca zbrodni, miałbyś wystarczająco dużo czasu, by wrócić pieszo i położyć się do łóżka jakiś kwadrans po drugiej. Noc była mroźna, jak pamiętasz, nie było więc powodu, abyś musiał sobie zabłocić buty.

- Jeśli wolno mi podchwycić punkt widzenia zaprezentowany przez panią Hardcastle - odezwał się Wither - jest to bardzo dobra ilustracja nieocenionej roli naszej instytucyjnej policji. W tej sprawie jest wiele niejasnych momentów, które, jak długo sprawa pozostaje w naszym rodzinnym kręgu... a wie pan, panie Studdock, że patrzę na NIBS jak na jedną wielką rodzinę... a więc które wcale nie muszą być równoznaczne z tendencją prowadzącą w efekcie do jakiejś fatalnej pomyłki sądowej.

Na skutek jakiegoś mentalnego zawirowania, które do tej pory nawiedzało go jedynie u dentysty albo w gabinetach dyrektorów szkół, Mark zaczął prawie utożsamiać sytuację, niedwuznacznie grożącą mu więzieniem, z rzeczywistym uwięzieniem w czterech ścianach tego niemilosiernie nagrzanego pokoju. Och, zrobiliby wszystko, gdyby tylko mógł się stąd wyrwać na świeże powietrze, na słońce, na wieś, jak najdalej od nieznośnego trzeszczenia kołnierzyka wicedyrektora, czerwonego żaru na końcu cygara pani Hardcastle i portretu króla wiszącego nad kominkiem!

- Czy pan naprawdę odradza mi, panie dyrektorze, pójście na policję?

- Na policję? - powtórzył Wither, jakby ten pomysł całkowicie go zaskoczył. - Nie sądzę, panie Studdock, aby ktokolwiek rozważał na serio podjęcie przez pana takiej nieodwracalnej akcji. Można by się nawet spodziewać, że taka akcja zostanie uznana za przejaw pewnego rodzaju braku lojalności wobec pańskich kolegów, a szczególnie wobec pani Hardcastle, choć, muszę dodać, braku lojalności niekoniecznie intencjonalnie uświadomionego. Oczywiście w ten sposób znalazłby się pan poza granicami naszego wsparcia i ochrony...

- W tym rzecz, Studdock - wtrąciła Wróżka. - Kiedy raz dostaniesz się w łapy policji, będziesz już w łapach policji.

Mark nie potrafił sobie uświadomić, w którym momencie podjął decyzję.

- No dobrze, a więc możesz mi powiedzieć, co mam robić? - zapytał.

- Ja? Siedzieć na tyłku. Masz szczęście, że to my, a nie ktoś z zewnątrz, znaleźliśmy ten portfel.

- To okoliczność szczęśliwa nie tylko dla... ee... pana Studdocka - dodał łagodnie Whither - ale i dla całego NIBS-u. Nie moglibyśmy pozostać obojętni...

- Jest tylko jeden szkopuł - powiedziała Wróżka. - Nie mamy twojego listu do Pelhama. Mamy tylko kopię. No, ale przy odrobinie szczęścia, może to ci nie zaszkodzi.

- A więc nic nie trzeba na razie robić? - zapytał Mark.

- Nic - odpowiedział Wither. - Zupełnie nic. Żadnych pochopnych kroków noszących znamiona oficjalnej akcji. Byłoby, rzecz jasna, pożądane... jeśli można panu doradzić... aby zachował pan jak największą rozwagę i... ee... ostrożność w ciągu kilku następnym miesięcy. Dopóki jest pan z nami, Scotland Yard raczej nie będzie próbował podejmować żadnych kroków wobec pana, nie dysponując żadnymi poważnymi poszlakami. Nie ulega wątpliwości, że w ciągu najbliższych sześciu miesięcy dojdzie do jakiegoś... ee... do jakiejś próby sił między organami władzy a naszą organizacją, ale sądzę, iż nie uznają tego za dogodny dla siebie przypadek testujący możliwość ingerencji w nasze sprawy.

- Ale czy to oznacza, że już mnie podejrzewają?

- Mamy nadzieję, że nie - odpowiedziała Wróżka. - Oczywiście chcieliby mieć podejrzanego w więzieniu, to naturalne, ale założę się, że woleliby mieć takiego, który nie ma nic wspólnego z NIBS-em.

- Ale, do diabła, czy nie uważacie, że tego złodzieja można złapać w ciągu jednego lub dwu

dni?! Czy nie zamierzacie podejmować żadnych kroków?

- Złodzieja? - zdziwił się Wither. - Jak dotąd brak jest podstaw, aby przypuszczać, że ciało zostało obrabowane.

- Mówię o złodzieju, który ukradł mój portfel.

- Och... ach... pański portfel - powiedział wicedyrektor, gładząc swą szlachetną, przystojną twarz. - Rozumiem. Chciałby pan wystąpić z oskarżeniem o kradzież przeciw nieznanej osobie albo osobom...

- Ależ... wielki Boże! - zawołał Mark. - Czyżby pan nie wierzył, że ktoś mi go ukradł?! Czy pan uważa, że ja tam byłem?! Czy i pan sądzi, że jestem mordercą?!

- Bardzo proszę - rzekł Wither - bardzo proszę, panie Studdock. Naprawdę nie musi pan krzyczeć. Dowodzi to braku roztropnej dyskrecji, a prócz tego, panie Studdock, muszę zwrócić panu uwagę, że jest pan w obecności damy. Jeżeli dobrze pamiętam, to w ogóle nie wspominaliśmy o morderstwie, nie zostało też sformułowane żadne oskarżenie. Pragnę jedynie, abyśmy zdawali sobie jasno sprawę, co tu wszyscy robimy. Istnieją oczywiście, pewne rodzaje zachowań i procedur, które teoretycznie mógłby pan uznać za stosowne w pańskiej sytuacji, ale wówczas byłoby nam bardzo trudno kontynuować tę rozmowę. Jestem przekonany, że pani Hardcastle podziela moje stanowisko.

- Dla mnie to wszystko jeden czort - odpowiedziała Wróżka.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Studdock zaczyna na nas wrzeszczeć, kiedy próbujemy ochronić go przed ławą oskarżonych. Ale to jego sprawa. Mam dziś mnóstwo roboty i nie zamierzam siedzieć tu do południa.

- Naprawdę - zaczął Mark - chyba wolno mi mniemać, że było to wybaczone...

- Niech pan weźmie się w garść, panie Studdock - przerwał mu Wither. - Jak już powiedziałem wcześniej, uważamy się tu za jedną wielką rodzinę i nie wymagamy żadnych formalnych usprawiedliwień. Wszyscy dobrze się rozumiemy i nie lubimy... ee... scen. Być może wolno mi nadmienić, w całkiem przyjacielskiej formie, że jakakolwiek chwiejność nastrojów zostałaby przez komitet uznana za... no, podstawę do niezbyt przychylnego dla pana rewizji oceny pana przydatności ci w instytucie. Ta rozmowa, oczywiście, jest całkowicie poufna...

Mark wyzbył się już lęku o swoje stanowisko, ale zdał sobie sprawę, że tym razem zagrożenie utraty pracy jest równoznaczne z zagrożeniem utraty życia.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli byłem niegrzeczny. Co mi pan radzi?

- Nie wystawiaj nosa poza Belbury, Studdock - powiedziała Wróżka.

- Sądzę, że pani Hardcastle nie mogła udzielić panu lepszej rady - rzekł Wither. - Zresztą teraz, kiedy zamierza pan sprowadzić tu panią Studdock, takie czasowe uwięzienie... używam tego słowa jak pan rozumie - wyłącznie w metaforycznym znaczeniu... nie będzie specjalnie uciążliwe. Powinien pan uważać Belbury za swój dom, panie Studdock.

- Och... dobrze, że mi pan przypomniał, panie dyrektorze powiedział Mark. - Nie jestem pewien, czy będę mógł sprowadzić tu żonę. Prawdę mówiąc, nie czuje się dobrze...

- No właśnie, jeśli tak, to chyba tym bardziej chciałby pan mieć ją przy sobie?

- Nie przypuszczam, aby jej to odpowiadało, panie dyrektorze.

Wicedyrektor rozejrzał się po pokoju.

- Prawie bym zapomniał panie Studdock - powiedział, ścisząc głos - pogratulować panu osobistej rozmowy z Głową. To bardzo ważny moment w pańskiej karierze. Teraz wszyscy czujemy, że naprawdę jest pan jednym z nas, i to w najgłębszym znaczeniu. Jestem pewny, że nic nie jest tak dalekie od pańskich intencji, jak odrzucenie tego przyjacielskiego... prawie ojcowskiego... zainteresowania Głowy pańską osobą. Wiem, że pragnie powitać tu panią Studdock,

i to możliwie jak najszybciej.

- Dlaczego? - zapytał nagle Mark.

Wither spojrzął na niego z trudnym do opisanego uśmiechem.

- Drogi chłopcze - powiedział. - Jedność, rozumie pan?

Krąg rodzinny. Pańska żona będzie dobrą towarzyszką... ee... pani Hardcastle!

Zanim Mark zdążył ochłonąć po usłyszeniu tej zdumiewającej nowej koncepcji, Wither wstał i powłóczę nogami, poszedł w kierunku drzwi. Zatrzymał się z jedną ręką na klamce, a drugą położył na ramieniu Marka.

- Podejrzewam, drogi przyjacielu, że myśli pan już o śniadaniu.

Nie chcę pana dłużej zatrzymywać. Proszę zachować jak największą ostrożność... i... i...

Nagle urwał, a jego twarz gwałtownie się zmieniła. Szeroko otwarte usta przywoływały na myśl jakieś zwierzę, a w pogodnym, choć raczej nieobecny dotąd spojrzeniu wodnistych oczu trudno było doszukać się jakiegokolwiek ludzkiego wyrazu.

- I sprowadź tu dziewczynę. Rozumiesz? Sprowadź tu swoją żonę. Głowa... nie należy do zbyt cierpliwych.

* * *

Gdy Mark zamknął za sobą drzwi, pomyślał: „Teraz! Oboje są w gabinecie. Mam przynajmniej minutę”. Nie tracił czasu na zabranie kapelusza, zbiegł po schodach i wypadł na zewnątrz. Nic, prócz fizycznej niemożności, nie mogło go teraz powstrzymać przed powrotem do Edgestow i ostrzeżeniem Jane. Nie zastanawiał się, co zrobi później. Nie mógł nawet marzyć o ucieczce do Ameryki, która ongiś budziła nadzieję w tyłu nieszczęśników. Już nieraz czytał w gazetach o poparciu NIBS-u i jego planów przez rządy Stanów Zjednoczonych i Rosji. Autorami tych komentarzy byli na pewno tacy głupcy jak on sam. NIBS miał już swoich popleczników w każdym kraju; jeśli nawet uda mu się dostać na pokład jakiegoś parowca, agenci NIBS-u będą już tam na niego czekać, lub w pociągu, jeśli uda mu się dopłynąć do jakiegoś portu.

Przebiegł drogę i znalazł się w pasie drzew. Upłynęła zaledwie minuta od czasu, gdy opuścił gabinet Withera, i nikt go jeszcze nie ścigał. Ale wczorajsza przygoda powtórzyła się i tym razem. Wysoka, przygarbiona, koścista postać powłóczę nogami i bucząca coś pod nosem, zagroziła mu drogę. Mark nigdy się z nikim nie bił. Jakiś odziedziczony po przodkach impuls kierował jego ciałem - ciałem pod wieloma względami mądrzejszym od jego mózgu - gdy wymierzył cios w zgrzybiałego przeciwnika. Ale pięść trafiła w próżnię. Postać nagle znikła.

Ci, którzy wiedzą więcej, nigdy nie zdołali jednoznacznie wyjaśnić tego wydarzenia. Być może Mark, będąc w stanie szoku nerwowego, zarówno wówczas, jak i poprzedniego dnia, miał halucynacje. Może postać Withera, całymi dniami włóczącego się po pokojach i korytarzach Belbury, była (w weryfikowalnym sensie tego słowa) „duchem” - jednym z owych odbieranych przez zmysły wrażeń, które może odcisnąć w samej strukturze budynku jakaś silna osobowość, najczęściej po śmierci, ale niekiedy i przed nią, i których można się pozbyć nie dzięki egzorcyzmom, lecz dokonując pewnych zmian architektonicznych. Można też ostatecznie przyjąć hipotezę, że dusze, które utraciły swoje intelektualne dobro, otrzymują w zamian - na krótki czas - pożałowania godny przywilej powielania swej postaci w różnych miejscach jako widma. W każdym razie, czymkolwiek ta zjawy była, znikła.

Ścieżka wiodła ukośnie przez pokrytą szronem łąkę. Niebo było bladoniebieskie, przesłonięte lekką mgłą. Doszedł do przełazu; za nim ścieżka biegła przez trzy pola wzdłuż zagajnika. Potem skręciła nieco w lewo, na tyłach jakiejś farmy i wkrótce zagłębiła się w las, za którym ujrzał iglicę

wieży w Courthampton. Zaczęły go piec stopy i poczuł głód. Przeciął jakąś drogę, dostał się między stado krów, które na jego widok zwiesiły głowy i prychnęły gniewnie, potem przeszedł po kładce na drugą stronę strumienia i dotarł do polnej drogi, której zamrożone koleiny doprowadziły go do Courthampton.

Pierwsze, co zobaczył, gdy tylko wszedł do wioski, był wiejski wóz. Powoził jakiś mężczyzna, obok niego siedziała kobieta i troje dzieci, a z tyłu piętrzyły się skrzynie, komody i materace oraz klatka z kanarkiem. Zaraz potem nadeszła para z dzieckiem, pchająca dziecięcy wózek wypełniony drobnymi sprzętami domowymi. Później pojawiła się rodzina, ciągnąca wózek gospodarczy, a za nią obładowana dwukółka i stary samochód, którego kierowca bez przerwy naciskał klakson, usiłując bezskutecznie wydostać się z tej procesji. Przez wioskę przepływał prawdziwy strumień dziwnych pojazdów i ludzi. Mark nigdy nie widział wojny; gdyby widział, rozpoznałby od razu oznaki zbiorowej ucieczki i hasło: „Wróg jest za nami”.

Z trudem dotarł do skrzyżowania, gdzie opodal miejscowego pubu odnalazł przystanek autobusowy. Obejrzał oszklony rozkład jazdy, ale autobus do Edgestow miał nadjechać dopiero kwadrans po dwunastej. Powąłęsał się tu i tam, nie pojmując, co się tu właściwie dzieje, bo Courthampton było zwykle bardzo spokojną wioską. Łatwo poddał się tak często spotykanej iluzji, że jest bezpieczniejszy, skoro stracił już z oczu Belbury. To dziwne, ale nie zaprzętał sobie głowy przyszłością. Od czasu do czasu myślał o Jane, ale chyba częściej o jajkach na bekonie, smażonej rybie i ciemnym, wonnym strumieniu kawy lejącym się do wielkich kubków. Pub otworzono o wpół do dwunastej. Wszedł do środka i zamówił piwo, trochę chleba i sera.

Z początku był jedynym gościem w barze. W ciągu pół godziny zebrало się czterech mężczyzn. Przez dłuższy czas nikt nic nie mówił, popatrując na przewalający się za oknem tłum. Potem jeden z nich, niski mężczyzna o twarzy przypominającej stary kartofel, odezwał się:

- Widziałem wczoraj wieczorem starego Rumbolda.

Przez następne pięć minut nikt nie zareagował na to oświadczenie, po czym zabrał głos jakiś młodzieniec w getrach:

- Po mojemu, to on teraz żałuje, że tego spróbował.

Dopiero wówczas, gdy temat starego Rumbolda został całkowicie wyczerpany, rozmowa zaczęła rzucać nieco światła na zjawisko strumienia uciekinierów.

- Wciąż idą - rzekł jeden z mężczyzn.

- Aha - zgodził się drugi.

- Chyba niewielu już zostało.

- Niech skonam, jeśli wiem, gdzie oni wszyscy się podzieją.

Powoli wszystko się wyjaśniło. Przez wioskę ciągnęli uciekinierzy z Edgestow. Niektórzy zostali wyrzuceni ze swoich domów, inni uciekali przed zamieszkanymi, jeszcze inni - tych było najwięcej - przed tymi, którzy przywracali porządek. Wszystko wskazywało na to, że w mieście panuje terror.

- Słyszałem, że wczoraj aresztowano dwieście osób - powiedział właściciel baru.

- No, te gliny z NIBS-u to twarde sztuki - odezwał się młodzieniec. - Jeden lepszy od drugiego. Mojego starego popędzili jak kota. - I wybuchnął śmiechem.

- Z tego, co słyszałem, ci robociarze to takie samo plugastwo, jak ta ich policja. Nie powinni nam tu sprowadzać Walijczyków i Irlandczyków.

Marka uderzyło, że mężczyźni nie przejawiają ani oburzenia, ani współczucia wobec uciekinierów. Każdy z nich wiedział o przynajmniej jednym przypadku brutalnej przemocy w Edgestow, ale wszyscy zgadzali się, że uciekinierzy mocno przesadzają.

- W porannej gazecie piszą, że przywracają spokój w mieście - powiedział właściciel pubu.

- Zawsze znajdują się jacyś niezadowoleni - rzekł facet z twarzą jak kartofel. - I co im z tego przyjdzie? Kijem rzeki nie zatrzymasz.

- Święta racja - burknął barman.

W tej rozmowie Mark odnajdywał argumenty ze swoich artykułów. Najwyraźniej dobrze wykonał polecenia pani Hardcastle, dla której cały ten robotniczy sprzeciw był skutkiem wrogiej propagandy.

Nie miał trudności z dostaniem się do autobusu, bo wszyscy kierowali się w przeciwną stronę. Wsiadł na Market Street i poszedł do domu. Miasteczko sprawiało przygnębiające wrażenie. Co trzeci dom był opuszczony, w połowie sklepów okna zabezpieczono żaluzjami. Kiedy doszedł na szczyt wzgórza, do dzielnicy willowej, zauważył, że na wielu domach białe świeże plakietki z symbolem NIBS-u - muskularnym nagim mężczyzną dzierżącym piorun. Na każdym rogu stali lub przechadzali się policjanci z instytutu, w hełmach, z rewolwerami wiszącymi przy czarnych, lśniących pasach, z długimi pałkami w rękach. Zapadły mu w pamięć ich krągłe, białe twarze, półotwarte usta i szczęki poruszające się przy żuciu gumy. Wszędzie było też mnóstwo obwieszceń z nagłówkiem: „Nadzwyczajne przepisy porządkowe”, podpisane przez Feverstone'a. Nie zatrzymywał się, by odczytać ich treść.

Czy zastanie Jane w domu? Nie zniósłby jej nieobecności. Wymacał klucz w kieszeni i zacisnął na nim palce na długo przed dojściem do domu. Frontowe drzwi były zamknięte, co oznaczało, że zajmujący parter Hutchinsonowie gdzieś wyszli. Otworzył drzwi kluczem i wszedł do środka. Na schodach było zimno, wilgotno i ciemno.

- Ja-ane! - zawołał, ale gdy tylko otworzył drzwi, już stracił nadzieję, bo zorientował się szybko, że w mieszkaniu od dawna nie było nikogo. W przedpokoju, na macie przy drzwiach, leżała kupka nieotwartych listów. Panowała głucha cisza, nie było nawet słychać tykania zegara. Wszędzie był porządek; najwidoczniej Jane opuściła dom któregoś ranka, tuż po „zrobieniu” wszystkich pokoi. W kuchni odkrył zeschnięty chleb i garnek skwaśniałego mleka. Krążył długo po pustych, dusznych pokojach, chociaż już znał prawdę, wchłaniając w siebie panującą w nich atmosferę smutku i opuszczenia. Ale co mu z tego przyjdzie? Narastał w nim irracjonalny gniew. Dlaczego, do diabła, Jane nie powiedziała mu, że dokądś wyjeżdża?! A może ktoś ją stąd zabrał? Może jest gdzieś kartka z wiadomością dla niego? Przejrzał stos listów leżący na stoliku pod wieszakiem, ale nie znalazł niczego ciekawego - były to listy, które sam tam położył, żeby kiedyś na nie odpowiedzieć. Potem dostrzegł na stole kopertę zaadresowaną do pani Dimble. A więc ta przeklęta baba musiała tu być! Czuł, że Dimble'owie nie darzą go sympatią. Prawdopodobnie zaprosili Jane do siebie. Zawsze przejawiali ochotę do wściubiania nosa w ich sprawy. Musi pojechać do Northumberland College i zobaczyć się z Dimble'em.

Uraza, jaką poczuł do Dimble'ów, podziałała na niego jak ożywczy bodziec. Pozycja zranionego męża poszukującego żony - tak, to była całkiem niezła zmiana w porównaniu z tym, co tak niedawno zmuszony był zaakceptować. Idąc do miasta, postanowił czegoś się napić. Kiedy doszedł do „Bristolu” i zobaczył na budynku plakietkę NIBS-u, zaklął pod nosem i już miał odejść, gdy nagle uświadomił sobie, że przecież sam jest wysokiej rangi pracownikiem instytutu i nie należy już do zwykłej „publiki”, która obecnie miała tu wstęp wzbroniony. Przy drzwiach zapytano go, kim jest, a kiedy powiedział, zaproszono do środka wśród służalczych ukłonów. Na kominku płonął miły ogień. Po tym ponurym dniu nie mógł sobie odmówić dużej whisky, a potem zamówił drugą. Alkohol zrobił swoje, utrwalając tę zmianę w jego nastawieniu do świata, która zaszła, gdy poczuł żal do Dimble'ów. Miała z tym coś wspólnego cała atmosfera panująca obecnie w Edgestow. Było w nim coś, co mu podpowiadało, że wobec tych przejawów twardej władzy mimo wszystko lepiej być częścią NIBS-u niż outsiderem. Nawet teraz... ale, zaraz, czy aby nie

potraktował zbyt poważnie tych wszystkich *demarche* na temat procesu o morderstwo? Wither po prostu tak rządzi: lubi mieć haka na każdego. Na pewno chodziło mu tylko o to, żeby go zatrzymać w Belbury i skłonić do sprowadzenia tam Jane. A jakby się tak zastanović, to właściwie... dlaczego nie? Przecież i tak nie mogłaby dłużej mieszkać sama. A żona człowieka, który zamierza zrobić karierę i być w samym centrum najważniejszych spraw, musi się nauczyć być kobietą światową. W każdym razie przede wszystkim trzeba się zobaczyć z tym Dimble'em.

Opuścił „Bristol”, czując się innym człowiekiem. I rzeczywiście zaszła w nim głęboka zmiana. Odtąd, aż do chwili, gdy będzie musiał dokonać ostatecznego wyboru, ten inny człowiek będzie w nim raz po raz dochodził do głosu, próbując zapanować nad nim całkowicie. I tak, miotając się gwałtownie między dwoma biegunami, jego młodość osiągnęła ów znaczący poziom rozwoju, w którym człowiek zaczyna być prawdziwą osobą.

* * *

- Proszę wejść - rozległ się głos Dimble'a, kiedy zapukał do jego mieszkania w Northumbland College.

Właśnie pożegnał się z ostatnim w tym dniu studentem i zamierzał pojechać do St Anne's.

- Ach, to ty, Studdock - powiedział, gdy Mark otworzył drzwi. - Proszę, wejdź.

Starał się zachowywać naturalnie, ale był zaskoczony tą wizytą i wstrząśnięty tym, co zobaczył. Studdock bardzo się zmienił od czasu, gdy go widział ostatnio. Twarz miał bardziej nalaną, bardziej bladą i czaiła się w niej jakaś niewidziana dawniej prostackość.

- Przyjechałem, żeby się zapytać o Jane - powiedział Mark. - Czy wiesz, gdzie ona jest?

- Przykro mi, ale nie mogę ci podać jej adresu.

- Czy to znaczy, że go nie znasz?

- Nie mogę ci go podać.

Zgodnie z planem, jaki sobie Mark ustalił w tym punkcie powinien okazać twardość i zdecydowanie. Teraz, gdy już znalazł się w gabinecie Dimble'a, jego nastrój nie bardzo zgadzał się z tym planem. Dimble zawsze odnosił się do niego z przesadną uprzejmością, a Mark zawsze czuł, że nie jest przez niego lubiany. Nie oznaczało to jednak, że Mark nie lubił Dimble'a. W jego obecności zwykle mówił za dużo, mniej lub bardziej świadomie zabiegając o jego względy. Mściwość nie należała do cech Marka. Bardzo chciał być lubiany. Kiedy spotykał go jakiś afront, nie marzył o tym, by się odegrać, ale o tym, by jakimiś wspaniałymi dowcipami lub osiągnięciami zyskać sobie przychylność i podziw człowieka, który go obraził. Jeśli bywał okrutny, to nie wobec tych, którzy go zlekceważyli, ale wobec tych, którzy pragnęli zwrócić na siebie jego uwagę, a więc wobec ludzi „z zewnątrz”. W jego charakterze było coś ze spaniela.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał. - Nie rozumiem.

- Jeżeli choć trochę zależy ci na bezpieczeństwie twojej żony, nie prosz mnie, abym ci powiedział, gdzie jest.

- Na jej bezpieczeństwie?

- Tak, na jej bezpieczeństwie - powtórzył Dimble surowo.

- A co jej grozi?

- Nie wiesz, co się stało?

- Co się stało?

- Tej nocy, kiedy wybuchły zamieszki, policja NIBS-u próbowała ją aresztować. Uciekła im, ale przedtem ją torturowali.

- Torturowali? O czym ty mówisz?

- Przypalali ją cygarami.
- No tak. Właśnie dlatego jej szukam. Jane... obawiam się że ona jest na progu poważnego załamania nerwowego. To, o czym mówisz, w rzeczywistości się nie zdarzyło.
- Lekarz, który opatrywał oparzenia, jest innego zdania.
- O Boże! A więc naprawdę to zrobili?... Ale... posłuchaj...
- Spokojny wzrok Dimble'a sprawiał, że trudno mu było mówić.
- Dlaczego mi nie powiedziano o tym bestialstwie?! - zawołał.
- A niby kto miał ci powiedzieć? Twoi koledzy? - Głos Dimble'a był oschły. - To dziwne, że pytasz o to mnie. Powinieneś wiedzieć lepiej niż ja, co dzieje się w NIBS-ie.
- Ale dlaczego wy mi nie powiedzieliście? Dlaczego nic się w tej sprawie nie robi? Czy byliście na policji?
- Policji instytucyjnej?
- Nie, na zwykłej policji.
- Czy naprawdę nie wiesz, że w Edgestow nie ma już zwykłej policji?
- Przecież muszą być jacyś sędziowie magistracy.
- Jest tylko komisarz nadzwyczajny, lord Feverstone. Zdaje się, że w ogóle nie rozumiesz, co się stało. Edgestow jest podbitym, okupowanym miastem.
- Więc dlaczego, na Boga, nie porozumieliście się ze mną?
- Z tobą?

Przez chwilę, po raz pierwszy od wielu lat, Mark ujrzał siebie takim, jakim widział go Dimble. Doznał szoku.

- Posłuchaj... - wyjąkał wreszcie. - Przecież ty chyba nie...
- Nie, to zbyt fantastyczne! Przecież nie wyobrażasz sobie, że mogłem o tym wiedzieć! Chyba nie wierzysz, że wysłałem policjantów, żeby maltretowali moją własną żonę!
- Zaczął z nutą oburzenia, ale skończył, siląc się na ironię. Gdyby tylko ten Dimble choć słabo się uśmiechnął, gdyby zrobił coś, żeby zmienić grobową atmosferę tej rozmowy!
- Ale Dimble milczał, a na jego twarzy nadal malował a się surowa powaga. Prawdę mówiąc, nie był do końca pewny, czy Mark nie stoczył się aż tak nisko, ale litość nie pozwalała mu tego powiedzieć na głos.

- Wiem, że nigdy mnie nie lubiłeś - powiedział Mark. - Nie wiedziałem jednak, że aż tak.
- Dimble nadal nic nie odpowiadał, ale powodu tego milczenia Mark nie mógł się domyślać. A prawda była taka, że Mark trafił w jego czuły punkt. Przez całe lata oskarżał się o brak współczucia wobec Marka, starał się to w sobie przezwyciężyć. I robił to teraz.
- No cóż - powiedział w końcu oschle Mark po milczeniu, które trwało dobre kilkanaście sekund - chyba niewiele już można powiedzieć. Ale nalegam, żebyś mi wyjawiał, gdzie jest Jane.
- Chcesz ją zabrać do Belbury?
- Mark skrzywił się. Poczul się tak, jakby jego rozmówca w jakiś dziwny sposób poznał jego zamiar, który narodził się w nim pół godziny wcześniej w Bristolu.
- Posłuchaj, Dimble, nie widzę powodu, dla którego miałbyś mnie przesłuchiwać. Gdzie jest moja żona?
- Nie pozwolono mi udzielić ci tej informacji. Nie ma jej w moim domu i nie jest pod moją opieką. Jeżeli wciąż ci na niej zależy, na jej szczęściu, powinieneś przestać jej szukać.
- Mówisz tak, jakbym był kryminalistą lub trędowatym, nie zasługującym choćby na tyle zaufania, by znać adres własnej żony!
- Przykro mi. Jesteś członkiem NIBS-u, instytucji, która ją znieważyla, torturowała, aresztowała. Odkąd uciekła, ma spokój tylko dlatego, że twoi koledzy nie wiedzą, gdzie jest.

- Jeżeli to rzeczywiście była policja instytutu, to czy przypuszczasz, że nie będę żądał od nich wyjaśnień? Do cholery, za kogo ty mnie uważasz?!

- Mam tylko nadzieję, że nie dali ci żadnej władzy. Jeśli nie masz władzy, nie jesteś w stanie obronić Jane. Jeśli masz, identyfikujesz się z ich polityką. W żadnym przypadku nie mogę ci powiedzieć, gdzie jest twoja żona.

- To przecież absurd! Nawet gdybym miał jakieś stanowisko w NIBS-ie, to przecież mnie znasz...

- Nie znam ciebie - przerwał mu Dimble. - Nie mam pojęcia, jakie są twoje motywy i cele.

Markowi zdawało się, że Dimble patrzy na niego nie z gniewem lub potęgą, lecz z tym rodzajem odrazy, który łączy się z pewnym zażenowaniem. Jakby był jakimś plugastwem, na widok którego przyzwoity człowiek zmuszony jest udawać - po prostu ze wstydu - że go nie zauważa. Mylił się. W rzeczywistości jego obecność działała na Dimble'a jak wezwanie do surowej samokontroli. Dimble po prostu starał się nie poddać fali nienawiści i pogardy, nie zdając sobie sprawy, że wysiłki te nadają jego twarzy wyraz martwej powagi. To nieporozumienie wpłynęło na całą resztę rozmowy.

- Musiała zajść jakaś śmieszna pomyłka - spróbował jeszcze raz Mark. - Dokładnie to wszystko zbadam. Zrobię awanturę. Na pewno jakiś świeżo upieczony policjant upił się albo coś w tym rodzaju. Zniszczę go. Ja...

- To nie był świeżo upieczony policjant. To była szefowa waszej policji, pani Hardcastle.

- A więc zniszczę ją. Myślisz, że puszczę to płazem? Ale to musiało być jakieś nieporozumienie. Nie mogę...

- Czy dobrze znasz panią Hardcastle? - przerwał mu Dimble.

Mark umilkł. Odniósł wrażenie (całkiem mylne), że Dimble czyta w jego myślach i właśnie odnalazł tam oczywistą prawdę, iż pociągnięcie do odpowiedzialności pani Hardcastle jest dla Marka równie nieosiągalne, jak zatrzymanie obrotu Ziemi.

Nagle twarz Dimble'a zmieniła się i przemówił innym tonem:

- Czy rzeczywiście możesz ją oskarżyć? Czy jesteś już tak blisko prawdziwego kierownictwa Belbury? Jeśli tak, to musiałeś wyrazić zgodę na zamordowanie Hingesta, na zamordowanie Comptona. Jeśli tak, to za twoim przyzwoleniem zgwałcono i załuczono na śmierć Mary Prescott, porzucając jej ciało w krzakach za stacją. To za twoją zgodą zwykli skazańcy zostali zabrani z więzień, do których ich posłali brytyjscy sędziowie, i przewiezieni do Belbury, aby tam, przez nieokreślony czas, poza zasięgiem prawa, poddawano ich torturom, aby im odbierano tożsamość pod szyldem waszej „leczniczej metody reedukacyjnej”. To ty wyrzuciłeś dwa tysiące rodzin z ich własnych domów, wysyłając ich na śmierć z wyzębienia w licznych rowach przydrożnych od Edgestow do Birmingham czy Worcesteru. To ty możesz nam odpowiedzieć na pytanie, dlaczego aresztowano Place'a, Rowleya i Cunninghama... miał osiemdziesiąt lat... i gdzie oni teraz są. A jeśli już zabrnąłeś w to tak głęboko, nie powierzyłbym ci bezpieczeństwa nie tylko Jane, ale nawet mojego psa.

- Ależ... naprawdę... - wyjąkał Mark. - To absurd. Wiem o paru przypadkach użycia przemocy... W każdej policji zawsze znajdują się jacyś zwyrodnialcy... zwłaszcza na początku, kiedy się ją tworzy... Ale... co ja takiego zrobiłem, że obarczysz mnie odpowiedzialnością za to, co uczynili jacyś urzędnicy NIBS-u... lub raczej, co zarzuca im brukowa prasa?

- Brukowa prasa! - zagrział Dimble, który w oczach Marka był teraz nawet fizycznie większy niż przed paroma minutami. - Przestań wygadywać bzdury! Czy uważasz mnie za takiego durnia, który nie wie, że kontrolujecie wszystkie gazety poza jedną? A ta jedna nie ukazała się dziś rano. Drukarze zastrajkowali. Ci biedni naiwniacy twierdzą, że nie będą już drukować artykułów

atakujących ludzi z instytutu. A sam wiesz o wiele lepiej ode mnie, kto wypisuje te wszystkie kłamstwa w innych gazetach.

Może to dziwne, ale Mark, żyjąc tak długo w świecie, w którym nie było miejsca na miłość bliźniego, nigdy nie spotkał się z prawdziwym gniewem. Często miał do czynienia ze złą wolą, lecz przejawiała się ona w drwinach, afrontach, w intrygach i nieuczciwej walce. Cóż, spojrzenie i głos tego starszego mężczyzny podziały na niego tak, że zeszywniał i stracił panowanie nad sobą. W Belbury na określenie wszelkich przejawów opozycji, z jaką NIBS spotykał się z zewnątrz, używano słów „skomlenie” i „ujadanie”. A Markowi zawsze brakowało wyobraźni, by zdać sobie sprawę z tego, na czym naprawdę polega to „ujadanie”, jeśli spotka się z nim twarzą w twarz.

- Mówię ci, że nic o tym nie wiedziałem! - zawołał. - Do cholery, przecież to mnie skrzywdzono! A ty mówisz tak, jakby to twoją żonę potraktowano w taki sposób!

- Mogło tak być. I wciąż jej to grozi. To grozi każdemu mężczyźnie i każdej kobiecie w Anglii. Jane to kobieta i obywatelka tego kraju. Czy to takie ważne, czyją była żoną?

- Przysięgam, że zrobię z tego powodu piekło! Zniszczę tę diabelską sukę, która ośmieliła się to uczynić, choćby to oznaczało rozwalenie całego instytutu.

Dimble milczał. Mark nie miał złudzeń: Dimble dobrze wiedział, że są to tylko pogrożki. Nie mógł się jednak pohamować. Gdyby teraz nie wybuchnął, nie wiedziałby, co powiedzieć.

- A zanim to zrobię - wrzasnął - odejdę stamtąd!

- Mówisz poważnie? - zapytał Dimble, patrząc mu badawczo w oczy.

Dla Marka, miotanego mieszaniną zranionej próżności, chwytających za gardło lęków i dojmującego wstydu, było to spojrzenie pełne oskarżenia i odrazy. W rzeczywistości była w nim obudzona nadzieja, bo miłosierdzie nigdy nadziei do końca nie traci. Była w nim jednak również ostrożność. Rozdarty między nadzieją i ostrożnością, Dimble raz jeszcze zamilkł.

- Widzę, że mi nie ufasz - rzekł Mark, instynktownie robiąc tę żalostną minę zbitego psa, która często pomagała mu w gabinetach dyrektorów szkoły.

Dimble był człowiekiem prawdomównym.

- Masz rację - przyznał po dłuższej pauzie. - Zupełnie ci nie ufam.

Mark wzruszył ramionami i odwrócił się.

- Posłuchaj mnie, Studdock - powiedział Dimble. - Nie pora ani na błazeństwa, ani na uprzejmości. Być może za kilka minut obaj umrzemy. Prawdopodobnie przysłano cię do naszego kolegium na przeszeptanie. A ja, w każdym razie, nie mam zamiaru umierać ze słowami nieszczerzej uprzejmości na ustach. Nie ufam ci. Dlaczego miałbym ci ufać? Jesteś, przynajmniej w jakimś stopniu, współnikiem najgorszych na świecie ludzi. Twoje odwiedziny też mogą być podstępem.

- Czy nawet na tyle mnie nie znasz?

- Przestań wygadywać bzdury! Przestań pozować i grać, choćby przez minutę. Lepsi od ciebie czy ode mnie dali się kupić. Straiak był kiedyś przyzwoitym człowiekiem. Filostrato... no, w każdym razie był geniuszem. Nawet Alcasan... tak, tak, wiem, kto jest waszą Głową... był tylko zwykłym mordercą, a więc kimś lepszym od potwora, którego z niego zrobili. A kim ty jesteś, żeby uważać się za wyjątek?

Mark patrzył na niego z otwartymi ustami. Odkrycie, że Dimble aż tyle wie, nagle przewróciło mu świat do góry nogami. Zawiodła wszelka logika.

- Mimo to - ciągnął Dimble - wiedząc o tym wszystkim, wiedząc, że możesz być tylko przynętą, zaryzykuję. Zaryzykuję, choć w porównaniu z tym, co wystawiam na ryzyko, życie twoje czy moje jest niczym. Jeśli naprawdę chcesz odejść z NIBS-u, pomogę ci.

Przez moment Mark poczuł się tak, jakby ujrzał otwarte bramy raju, lecz po chwili wróciła dławiąca fala ostrożności i chęci opóźnienia decyzji. Szczelina ponownie się zamknęła.

- Muszę... muszę to przemyśleć - wymamrotał.
- Nie ma na to czasu. I naprawdę nie ma się nad czym zastanawiać. Proponuję ci powrót do ludzkiej rodziny. Musisz jednak zdecydować się teraz.
- Od tego zależy cała moja kariera...
- Twoja kariera! - zawołał Dimble. - Nie kariera, lecz potępienie lub... ostatnia szansa! Musisz zdecydować natychmiast.
- Chyba nie bardzo rozumiem - odparł Mark. - Wciąż mówisz o jakimś zagrożeniu. O co właściwie chodzi? I jaką władzę dysponujesz, żeby ochronić mnie... lub Jane... jeśli od nich ucieknę?
- Musisz podjąć ryzyko. Nie mogę ci obiecać bezpieczeństwa. Nie rozumiesz? Nie ma już bezpieczeństwa dla nikogo. Bitwa się rozpoczęła. Oferuję ci miejsce po właściwej stronie. I nie wiem, która strona zwycięży.
- Prawdę mówiąc - powiedział Mark - już wcześniej myślałem o odejściu z NIBS-u. Muszę jednak to wszystko przetrwać. Dość dziwnie przedstawiasz całą sytuację.
- Nie ma już czasu.
- A może mógłbym spotkać się z tobą jutro?
- Jesteś pewien, że będziesz mógł?
- To może za godzinę? Posłuchaj, to jest naprawdę sensowne. Będziesz tu za godzinę?
- Co ci da ta godzina? Chcesz tylko trochę odczekać, łudzisz się, że za godzinę przestaniesz już trzeźwo myśleć.
- Ale będziesz tu?
- Jeśli nalegasz. Ale nic z tego nie wyjdzie.
- Muszę pomyśleć. Muszę pomyśleć - powiedział Mark i opuścił pokój, nie czekając na odpowiedź.

W rzeczywistości pragnął alkoholu i papierosa. Myśli kłębiło mu się w głowie mnóstwo - na pewno o wiele więcej, niż chciał. Miał wielką ochotę przyłgnąć do Dimble'a jak zagubione dziecko do byle jakiego dorosłego. A na to jakiś inny głos szeptał mu w duszy: „To szaleństwo. Nie zrywaj z NIBS-em. I tak cię dopadną, Dimble cię przed nimi nie uratuje! Zabiją cię”. Kolejny głos podpowiadał mu, że jeszcze nie wszystko stracone, że nie powinien spisywać na straty swojej tak ciężko wypracowanej pozycji w Wewnętrznym Kręgu Belbury. Musi, musi być jakieś pośrednie wyjście! Wzdrygał się też na myśl o ponownym zobaczeniu się z Dimble'em; zżymał się już na samo wspomnienie tonu jego głosu. Chciał być znowu z Jane i chciał ją ukarać za przyjaźnienie się z Dimble'em, chciał już nigdy nie zobaczyć Witherera i chciał wrócić, żeby jakoś załagodzić wszystko z Witherem. Chciał być absolutnie bezpieczny, a jednocześnie nonszalancki i śmiały, poważany przez Dimble'ów za ludzką uczciwość, a także za realizm i inteligencję w Belbury. I bardzo chciał wypić jeszcze ze dwie duże whisky, a także przemyśleć to wszystko na trzeźwo. A niech to wszyscy diabli! Cholera, jasna cholera! Dlaczego odziedziczył tak zgniłe cechy? Dlaczego go tak źle wychowano? Dlaczego cały system społeczny jest tak irracjonalny? Dlaczego ma takie parszywe szczęście?

Ruszył spiesznym krokiem przed siebie.

Rozpadało się, gdy dotarł do Bracton College. Przed wejściem stał duży samochód, przy którym kręciło się kilku ludzi w mundurach. Później pamiętał, jak mokre od deszczu kaptury ich płaszczy lśniły w świetle latarni. Ktoś oślepił go latarką.

- Pan wybacz - zwrócił się do niego jeden z mundurowych - ale muszę pana zapytać o nazwisko.

- Studdock.

- Mark Gainsby Studdock, zgadza się? Mam obowiązek aresztowania pana pod zarzutem morderstwa na osobie Williama Hingesta.

* * *

Doktor Dimble pojechał samochodem do St Anne's, niezadowolony z siebie, dręczony podejrzeniem, że gdyby był mądrzejszy, gdyby okazał temu nieszczęśliwemu młodzieńcowi więcej serca, mógłby mu jakoś pomóc. „Straciłem nerwy? Byłem zbyt zadufany w sobie? Za dużo mu nagadałem?”, pytał sam siebie. A potem pojawiły się charakterystyczne dla niego poważniejsze wyrzuty sumienia. „Może nie wyjaśniłem mu wszystkiego dokładnie, bo tak naprawdę wcale tego nie chciałem? Może pragnąłem tylko ranić go i poniżyć? Żeby zadowolić swoją pychę? Czyżby i mnie opanowała już zaraza Belbury?” Ogarnął go jakiś nieznanym dotąd smutek. „I tak zawsze czynię, zacytował Brata Wawrzyńca, kiedy pozostawisz mnie, Panie, samemu sobie”.

Wyjechawszy z miasta, zwolnił bardzo, aż samochód zaczął się toczyć w tempie pieszego. Na zachodzie niebo poczerwieniało, pojawiły się też pierwsze gwiazdy. Daleko, w dolinie, zobaczył światła Cure Hardy. „Dzięki Bogu leży tak daleko od Edgestow, że można się tam czuć bezpiecznie”, pomyślał. Po lewej stronie pomiędzy drzewami śmignęła nisko biała sowa. Bliskość nocy sprawiła mu ulgę. Był już porządnie zmęczony, tęsknił za miłym wieczorem wśród przyjaciół i wygodnym łóżkiem.

- Już jest! Doktor Dimble już jest! - zawołała Ivy Maggs, gdy podjechał pod drzwi wejściowe Dworu.

- Nie odstawiaj samochodu, Dimble - powiedział Denniston.

- Och, Cecil! - krzyknęła cicho jego żona.

W jej oczach wyczytał strach. Czyżby wszyscy na niego czekali?

W kilka minut później, mrużąc oczy w jasno oświetlonej kuchni, zrozumiał, że nie będzie to zwykły wieczór. Przy palenisku siedział sam Przewodniczący, z gawronem na ramieniu i Panem Bultitude'em u stóp. Wyglądało na to, że wszyscy zjedli kolację wcześniej, i Dimble został natychmiast posadzony przy końcu stołu, a jego żona i pani Maggs w nieco natarczywy sposób b zmusiły go, by zabrał się do jedzenia i picia.

- Nie przerywaj jedzenia, aby zadawać pytania, kochanie - powiedziała pani Dimble. - Jedz, jedz, oni ci wszystko powiedzą. Smacznego.

- Będzie pan musiał zaraz znowu wyjechać - dodała Ivy Maggs.

- Tak - potwierdził Przewodniczący. - W końcu zaczynamy działać. Przykro mi, że muszę cię wysłać, choć dopiero przyjechałeś, ale bitwa się rozpoczęła.

- Już wielokrotnie wskazywałem - odezwał się MacPhee - na absurdalność wysyłania tam starszego człowieka, podczas gdy ja, w końcu chyba kawał chłopca, siedzę tu i nic nie robię.

- Nic z tego, MacPhee - powiedział Przewodniczący. - Ty nie możesz tam iść. Przede wszystkim nie znasz języka. A poza tym... w końcu nadszedł czas na szczerłość... jak dotąd nie oddałeś się pod opiekę Maleldila.

- Wobec tych nadzwyczajnych okoliczności - odrzekł MacPhee - jestem już całkowicie gotów zgodzić się na istnienie twoich eldilów i istoty zwanej Maleldilem, którą uznają za swojego króla. I...

- Nie możesz tam pójść - przerwał mu Przewodniczący. - Nie wyślę cię tam. To by było tak, jakbym wysłał trzyletnie dziecko do walki z czołgiem. Rozłóż mapę na stole, tak żeby Dimble mógł na nią rzucić okiem, nie przerywając posiłku. A teraz uciszcie się. Posłuchaj, Dimble. Pod Lasem Bragdon leży żywy Merlin. Tak, uśpiony, jeśli chcesz nazwać to snem. Nie wydarzyło się jeszcze

nic, co by wskazywało, że nieprzyjaciół go odnalazł. Rozumiesz? Nie, nic nie mów, jedź. Zeszłej nocy Jane Studdock miała sen, najważniejszy ze wszystkich dotychczasowych. Pamiętasz, że w jednym z wcześniejszych snów widziała... a w każdym razie ja tak myślałam... miejsce, w którym Merlina pochowano, pod lasem. A jednak, i to jest bardzo ważne, do tego miejsca nie prowadzi jakiś szyb albo schody. Jane śniła, że idzie długim, nieznacznie obniżającym się tunelem. Ach, widzę, że już zaczynasz rozumieć, o co chodzi. Masz rację Jane sądzi, że może rozpoznać wejście do tego tunelu, pod stosem kamieni, na końcu zagajnika, i... co tam było, Jane?

- Białe wrota, panie Przewodniczący. Zwykle, pomalowane na biało polne wrota z pięciu desek poziomych i jednej pionowej. Ta pionowa była złamana, niecałe pół metra od szczytu. Poznałabym je natychmiast.

- Rozumiesz, Dimble? Jest duża szansa, że wejście do tego tunelu znajduje się poza terenem wykupionym przez NIBS.

- To znaczy - rzekł Dimble - że możemy dostać się pod Las Bragdon, nie wchodząc do niego.

- Dokładnie tak. Ale to nie wszystko.

Dimble spojrzął na niego, powoli przeżuując kęs chleba.

- Wiele przemawia za tym, że się spóźniliśmy. Prawdopodobnie już się przebudził.

Dimble przerwał jedzenie.

- Jane mówiła, że to miejsce jest puste - rzekł Ransom.

- Czy to znaczy, że wróg już go odnalazł?

- Nie. Nie jest aż tak źle. Nikt się tam nie włamał. To raczej sam Merlin obudził się z własnej woli.

- O Boże! - zawołał Dimble.

- Jedź, jedź, kochanie - powiedziała jego żona.

- Ale co to wszystko znaczy? - spytał, kładąc dłoń na dłoń żony.

- Myślę, że wszystko zostało zaplanowane dawno, bardzo dawno temu - odpowiedział Ransom. - Ze znalazł się poza czasem, w parachronicznym stanie, aby powrócić tu właśnie w tym momencie.

- Stał się kimś w rodzaju bomby zegarowej - zauważył szybko MacPhee. - I właśnie dlatego...

- Ty nie możesz tam pójść - przerwał mu Ransom.

- A więc teraz jest poza grobem? - zapytał Dimble.

- Prawdopodobnie tak. Opowiedz mu, co widziałas, Jane.

- To było to samo miejsce. Ciemne, kamienne, jak piwnica. Od razu je poznałam. I była tam ta kamienna płyta, ale tym razem nikt na niej nie leżał i nie było tak zimno. Potem śnił mi się ten tunel... wychodził z komory i łagodnie się podnosił. W tunelu był jakiś człowiek. Oczywiście nie widziałam go w tych ciemnościach, ale był naprawdę wielki. Ciężko oddychał. Z początku nawet myślałam, że to zwierzę. W miarę posuwania się do góry, robiło się coraz zimniej. Powiało powietrzem z zewnątrz. Tunel kończył się stosem luźno leżących kamieni. Ten człowiek odgarniał je, gdy nagle sen się zmienił. Byłam na zewnątrz, przed białymi wrotami, padał deszcz.

- A więc, jak widzisz - powiedział Ransom - wygląda na to, że jeszcze nie nawiązali z nim kontaktu, przynajmniej do tamtej pory. Naszą jedyną szansą jest odnalezienie go przed nimi.

- Wszyscy wiemy, że Bragdon leży na bardzo podmokłym terenie - wtrącił MacPhee. - Warto zadać sobie pytanie, gdzie można tam znaleźć suchą pieczarę, w której ciało zachowałoby się przez kilkaset lat. Oczywiście, jeśli nadal interesują was fakty.

- O to chodzi - rzekł Przewodniczący. - Komora musi leżeć pod wzniesieniem, pod zwirowatym grzbietem na południe od lasu, tam, gdzie wznosi się on ku Eaton Road. Blisko miejsca, w którym mieszka! niegdyś Storey. Tam właśnie trzeba szukać owych białych wrót, które

widziała Jane. Przypuszczam, że wychodzą właśnie przy Eaton Road. Albo przy tej drugiej drodze, tej żółtej, biegnącej do rozwidlenia w Cure Hardy.

- Możemy tam być w pół godziny - powiedział Dimble, trzymając rękę na dłoni żony.

Wszyscy poczuli dreszcz podniecenia i lęku, tak częsty w ostatnich minutach przed bitwą.

- I to musi się stać dziś w nocy, tak? - odezwała się nieśmiało pani Dimble.

- Przykro mi, Margaret, ale tak - odpowiedział Przewodniczący. - Liczy się każda minuta. Jeśli nieprzyjaciel nawiąże z nim kontakt, to możemy się pożegnać z nadzieją na zwycięstwo w tej wojnie. Prawdopodobnie na tym polega cały ich plan.

- Oczywiście. Rozumiem. Przepraszam.

- A jaki jest nasz plan działania, panie Przewodniczący? - zapytał Dimble.

- Pierwszy problem: czy Merlin wydostał się z tunelu. Wydaje się mało prawdopodobne, by przez tyle stuleci wejście do tunelu zakryte było tylko stosem luźnych kamieni. A nawet jeśli tak, to te kamienie nie muszą być teraz luźne. Może mu to zająć wiele godzin.

- Będzie potrzeba przynajmniej dwu silnych mężczyzn z kilofami... - zaczął MacPhee.

- Nic z tego, MacPhee - przerwał mu Ransom. - Ty tam nie pójdziesz. Jeśli wejście do tunelu nadal jest zamknięte, musisz po prostu czekać tutaj. Ale Merlin może dysponować siłami, których nie znamy. Jeśli już się wydostał, przydasz się do odnalezienia śladów. Dzięki Bogu, grunt jest błotnisty. Musisz go wytopić.

- Jeśli idzie Jane - odezwała się Camilla - to czy ja nie mogłabym jej towarzyszyć? Mam więcej doświadczenia w tego rodzaju sprawach niż...

- Jane musi iść, bo jest naszym przewodnikiem. Ty musisz zostać. Mieszkańcy tego domu są wszystkim, co pozostało z Logresu. Nosisz jego przyszłość w swoim łonie. Jak powiedziałem, Dimble, czeka cię polowanie. Nie sądzę, żeby odszedł daleko. Ten kraj tak zmienił się od jego czasów, że niełatwo będzie mu się poruszać, nawet za dnia.

- A... jeśli go odnajdziemy?

- Właśnie dlatego wybrałem ciebie. Tylko ty znasz Wielki Język. Jeśli za tradycją, którą reprezentuje, kryła się moc eldilorów, może go zrozumie. A nawet jeśli nie zrozumie, to chyba go rozpozna. To mu podpowie, że ma do czynienia z przedstawicielem Władców. Mam - nadzieję, że uzna was za ludzi z Belbury, czyli jego przyjaciół. Wówczas przywieziecie go tutaj.

- A jeśli nie?...

- Wówczas musisz okazać stanowczość - odrzekł z powagą Ransom. - Tu zaczyna się niebezpieczeństwo. Nie wiemy, jakimi siłami władano w starym atlantydzkim kręgu. Prawdopodobnie posługiwali się czymś w rodzaju hipnozy. Nie bój się, ale nie pozwalaj mu na żadne sztuczki. Trzymaj rękę na rewolwerze. Ty też, Denniston.

- Bardzo dobrze znam się na broni - wtrącił MacPhee. - I dlatego, w imię zdrowego rozsądku...

- Ty nie możesz tam pójść, MacPhee. Uśpiłby cię w dziesięć sekund. Ci, których wysyłam, są uzbrojeni w coś, czego tobie brakuje. A więc, rozumiesz, Dimble? Rewolwer w rękę, modlitwa na ustach, myśli skupione na Maleldilu. A potem zacznij go czarować.

- Co mam powiedzieć w Wielkim Języku?

- Powiedz, że przychodzisz w imię Boga i wszystkich aniołów, w imię potęgi planet, a posyła cię ten, kto zasiada dziś na tronie Pendragona. I rozkaż mu udać się z tobą. Powiedz to teraz.

I Dimble, który do tej pory siedział z pobladłą twarzą między dwiema kobietami o równie bladych twarzach, ze wzrokiem utkwionym w stole, podniósł głowę i zaczął mówić, a słowa, które płynęły z jego ust, zdawały się warowniami mocy. Serce Jane zabiło szybciej. Wszyscy wsłuchiwali się w nie z napięciem, nawet zwierzęta - ptak, niedźwiedź i kot - zamarły, wpatrując się

w mówcę. Jego głos nie brzmiał jak głos Dimble'a: wydawało się, że słowa płyną przez niego z jakiegoś odległego, tchnącego mocą miejsca albo że to w ogóle nie są słowa, lecz działanie Boga, planet, Pendragona. Był to bowiem język, jakim mówiono przed Upadkiem i poza Księżycem, i to nie przypadek, talent lub długa tradycja nadały sylabom znaczenie; mieściło się ono w nich samo z siebie, podobnie jak kształt wielkiego Słońca mieści się w maleńkiej kropelce wody. Był to sam Język, który narodził się z woli Maleldila z płynnej rtęci planety zwanej Merkurym na Ziemi, a Viritribią w Głębinach Niebios.

- Dziękuję ci - rzekł Przewodniczący po angielsku i nagle ogarnęła ich z powrotem ciepła, domowa atmosfera kuchni. - Jeśli pójdziesz z tobą, wszystko będzie w porządku. Jeśli nie... no cóż, Dimble, wówczas będziesz musiał polegać na swojej chrześcijańskiej wierze. Nie próbuj żadnych chytrych sztuczek. Nie ustawaj w modlitwie i skup swą wolę w woli Maleldila. Nie wiem, co Merlin uczyni, ale ty się nie poddawaj. Cokolwiek się stanie, nie trać ducha, w każdym razie nie pod jego wpływem.

- Tak - powiedział Dimble. - Rozumiem.

Zapadło długie milczenie.

- Rozchmurz się, Margaret - odezwał się w końcu Ransom. - Jeśli zabiją Cecila, to i nam nie pozostanie już wiele godzin życia po jego śmierci. Rozstanie będzie krótsze niż to, którego moglibyście się spodziewać zgodnie z prawami Natury. A teraz, moi panowie, macie jeszcze trochę czasu, by się pomodlić i pożegnać z żonami. Jest już prawie ósma. Myślę, że za dziesięć minut wrócicie tu wszyscy, gotowi do walki, co?

- Oczywiście - zabrzmiały głosy.

Po chwili w kuchni pozostała tylko Jane z panią Maggs, zwierzętami i Przewodniczącym.

- Dobrze się czujesz, moje dziecko? - zapytał Ransom.

- Chyba tak.

Nie potrafiła określić, co się z nią naprawdę dzieje. Miotają ją silne, sprzeczne uczucia, przesycone jakąś dziką, trudną do wyrażenia nadzieją: coś, co można by nazwać przerażeniem, gdyby nie radość, i radością, gdyby nie przerażenie, gorączkowe podniecenie i spokój poddania się cudzej woli. Wszystko inne w jej życiu wydawało się jakieś małe i śmiesznie zwykłe w porównaniu z tym, co teraz czuła.

- Czy oddajesz się posłusznie woli Maleldila?

- Niech mi pan wybaczy, ale ja nic nie wiem o Maleldilu. Oddaję się pana woli.

- To na razie wystarczy. Takie jest dobrodziejstwo Głębin Niebios, że kiedy masz dobrą wolę, On zawsze sprawia, iż zmierzasz ku dobru większemu, niż ci się wydaje. Ale to nie wystarczy na zawsze. On jest bardzo zazdrosny. W końcu będzie chciał mieć ciebie tylko dla siebie. Ale na tę noc wystarczy.

- To najbardziej zwariowana sprawa, o jakiej kiedykolwiek słyszałem - mruknął MacPhee.

Rozdział 11

Bitwa się zaczyna

Zupełnie nic nie widzę - powiedziała Jane. - Trudno się dziwić w tym deszczu. Trochę nam krzyżuje plany - odezwał się Dimble z tylnego siedzenia. - Arthurze, wciąż jesteśmy na Eaton Road?

- Myślę, że... tak, to jest roгатka - odpowiedział Denniston zza kierownicy.

- I co z tego? - zapytała Jane. - Ja nic nie widzę, nawet kiedy opuszczę szybę. Możemy minąć te wrota nie wiem ile razy. Lepiej wysiadźmy i idźmy pieszo.

- Panie doktorze, to chyba dobra propozycja - powiedział Denniston.

- Uwaga! - zawołała nagle Jane. - Spójrzcie! Co to jest? Zatrzymaj.

- Nie widzę żadnych białych wrót.

- Och nie, nie o to chodzi. Spójrz tam.

- Nic nie widzę - powiedział Dimble.

- Mówisz o tym świetle? - zapytał Denniston.

- Tak, oczywiście. To ogień.

- Jaki ogień?

- To światło, ogień w zagłębieniu, w tym lasku. Zupełnie o tym zapomniałam. Tak, teraz wiem. Nie mówiłam o tym Grace ani Przewodniczącemu. Aż do tej chwili ten fragment snu wyleciał mi z pamięci. Tak, teraz pamiętam. To było zakończenie snu. Najważniejsza jego część. Właśnie tu go spotkałam... Merlina. Siedział przy ognisku w niewielkim lasku. Wtedy, jak wyszłam z tego podziemia. Och, idźmy tam, szybko!

- Co o tym myślisz, Arthurze? - zapytał Dimble.

- Myślę, że musimy pójść wszędzie tam, dokąd prowadzi Jane.

- Pospieszcie się! - przynaglała Jane. - Tam są te wrota. Szybko! Jedno pole dalej!

Wysiedli z samochodu, otworzyli wrota i weszli na pole. Dimble milczał. W głębi duszy czuł dojmujący wstyd z powodu obojętności go w tej chwili strachu. Prawdopodobnie lepiej od pozostałych wiedział, co może się zdarzyć, gdy odnajdą to, czego szukali.

Jane, jako przewodnik, szła pierwsza, obok niej Denniston, podtrzymujący ją od czasu do czasu i przyświecający latarką. Dimble kroczył z tyłu. Nikt się nie odzywał.

Przejście z drogi na pole było jak przejście od stanu jawy do sennej świadomości, o wiele bardziej ciemnego, wilgotnego i nieprzewidywalnego. Każda pochyłość gruntu wydawała się zapowiedzią krawędzi przepaści. Szli ścieżką wzdłuż żywopłotu, którego mokre i kłujące odrosty czepiały się ich ramion. Za każdym razem, gdy Denniston poświecił latarką, wszystko, co pojawiało się w kręgu światła - kępy trawy, koleiny pełne wody, pokurczone żółte liście, zwisające z mokrych, rosnących pod różnymi kątami czarnych gałązek, a raz para zielonawożółtych płomyków w oczach jakiegoś zwierzątka - nabierało nagle cech zwyczajności, jakby przez tę krótką chwilę wydobycia z ciemności przybierało maskę, by rzucić ją natychmiast, gdy przestaną je oglądać ludzkie oczy. I wszystko to wyglądało na dziwnie małe, a gdy tylko światło zgasło, stawało się ponownie jedną wielką, zimną, zgiełkliwą ciemnością.

Lęk, który od początku odczuwał Denniston, zaczął powoli przenikać w umysły innych - jak woda sącząca się do wnętrza statku przez słaby przeciek. Zdali sobie sprawę, że aż do tej chwili tak naprawdę nie bardzo wierzyli w istnienie Merlina. Podczas rozmowy w kuchni tylko im się wydawało, że wierzą w słowa Przewodniczącego. Nie doznali jeszcze wstrząsu - ten dopiero ich czekał. Dopiero tutaj, w ciemności, mając przed sobą to migocące, czerwone światełko, zaczęli

uznawać za rzeczywistość to umówione spotkanie z kimś umarłym, a jednak żyjącym, z kimś ekshumowanym z ciemnej otchłani historii, mieszczącej się między nadejściem starożytnych Rzymian a początkiem Anglii. „Ciemne Wiek...” myślał Dimble. „Jak to się lekko czyta i pisze...”. Teraz mieli sami wkroczyć w tę Ciemność. W strasznej, ciemnej norze czekała na nich inna epoka, nie człowiek.

I nagle cała ta pradawna Brytania, z którą tak długo obcował jako uczony, zmartwychwstała przed nim jako coś namacalnego, realnego. Widział to wszystko. Niewielkie, chylące się ku upadkowi miściny, w których tliło się jeszcze światło Rzymu - małe osady chrześcijańskie, Camalodunum, Kaerleon, Glastonbury - kościół, jedna czy dwie wille, skupisko domostw, jakieś nasypy czy wały. A dalej, na rzut kamieniem, za wrotami, wilgotna, gęsta, niekończąca się puszcza, zamulona warstwami rozkładu nagromadzonymi w niej przez te wszystkie jesienie, które upłynęły od czasu, gdy Brytania stała się wyspą; kluczące między zaroślami wilki, bobry zajęte budową tamy, rozległe bagna, dalekie dźwięki rogów i bębnow, oczy w gęstwinie, oczy ludzi pochodzących nie tylko z czasów przedrzymskich, ale i przedbrytyjskich, oczy starożytnych istot, nieszczęśliwych i wydziedziczonych, które stały się elfami, ogrami i wilami późniejszej tradycji. A wśród nieprzebytej puszczy - polany. Małe grodziska bezimiennych królów. Małe kolegia spiskujących druidów. Domy, w których do zaprawy murarskiej dodawano krew niemowląt. Próbowano to również zrobić z małym Merlinem. I oto teraz cała ta epoka, wyrwana ze swojego miejsca w pochodzie czasu, zmuszona do powrotu i ponownego przejścia przez wszystkie swoje etapy ze zdwojoną potwornością, napływała ku nim, by wchłonąć ich za kilka minut.

Wizja pierzchła, bo wpadli na żywopłot. Zmarnowali minutę, zanim wyplątali włosy Jane spomiędzy gałązek, przyświecając sobie latarką. Doszli do końca pola. Stąd ledwo było widać blask ogniska, który to wzmacniał się, to przygasał. Musieli zboczyć i po długim marszu wreszcie odnaleźli wrota. Były zamknięte. Pokonali je górą i szli dalej podmokłym polem, po kostki w wodzie. Przez kilka minut, wlokąc się nieco pod górę, stracili ognisko z oczu, a kiedy znowu się pojawiło, było już dobrze na lewo od nich i o wiele dalej, niż się spodziewali.

Aż dotąd Jane nawet nie próbowała myśleć, co może być przed nimi. Teraz zaczęło do niej docierać prawdziwe znaczenie tamtej sceny w kuchni. Powiedział mężczyznom, żeby się pożegnali ze swoimi żonami. Pobłogosławił ich wszystkich. A więc już wtedy było prawdopodobne, że właśnie to - ten mozolny nocny marsz przez błotniste, zaorane pole - może oznaczać śmierć. Śmierć - coś, o czym często się słyszy (podobnie jak o miłości), coś, o czym piszą poeci. A więc tak to będzie wyglądać... Ale przecież nie to było najważniejsze. Jane próbowała spojrzeć na śmierć w nowym świetle tego wszystkiego, co usłyszała od opuszczenia Edgestow. Już dawno przestała się buntować przeciw skłonności Przewodniczącego do dysponowania jej osobą: raz oddawał ją Markowi, innym razem - i w innym sensie - Maleldilowi, lecz nigdy, w żadnym sensie, nie próbował zatrzymać jej dla siebie. Pogodziła się z tym. O Marku zbyt wiele nie myślała, bo oznaczało to wezbranie w niej poczucia litości i winy. Ale ten Maleldil... Aż do tej chwili nie myślała o nim wiele. Nie wątpiła w istnienie eldilor, nie wątpiła też w istnienie owej potężniejszej i bardziej tajemniczej istoty, której były posłuszne... której był posłuszny Przewodniczący, a poprzez niego wszyscy mieszkańcy Dworu, nawet MacPhee. Gdyby przedtem zadała sobie pytanie, czy te wszystkie sprawy mogą być rzeczywistością wykraczającą poza to, czego ją uczono w szkole jako „religii”, odrzuciłaby tę myśl. Dystans między tymi niepokojącymi i najwyraźniej działającymi rzeczywistościami a wspomnieniem, dajmy na to, grubej pani Dimble odmawiającej pacierz był zbyt duży. Dla Jane te rzeczy należały do różnych światów. Z jednej strony były te straszne sny, zachwyty posłuszeństwem, wzbudzające dreszcze światło i dźwięki spod drzwi pokoju Przewodniczącego oraz zażarta walka z nadciągającym zagrożeniem; z drugiej - zapach kościelnych

ławek, okropne wielkie litografie przedstawiające Zbawiciela (z twarzą suchotniczej dziewczyny), nerwowa życzliwość duchownych. Ale teraz, jeśli naprawdę miała nadejść śmierć, nie mogła tej myśli odrzucić. Bo teraz już wszystko mogło być prawdą. Już się okazało, że świat wcale nie jest taki, jak dotąd myślała. Można się zgodzić na wszystko. Maleldil może być - całkiem po prostu i lapidarnie - Bogiem. Po śmierci może istnieć życie: niebo, piekło. Ta myśl rozjarzyła się w niej jak iskra, która upadła na suche wióry, a w sekundę później, podobnie jak te wióry, cała jej świadomość zapłonęła ogniem... no, może poza tym ogniem pozostał jeszcze jakiś skrawek, w którym mogło się narodzić coś w rodzaju protestu. „Ale... ale to jest nie do zniesienia... Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?” W tym momencie nie przyszło jej nawet do głowy wątpić w to, że skoro takie rzeczy istnieją, to są całkowicie i niezmiennie niezgodne z jej osobowością.

- Spójrz, Jane - usłyszała głos Dennistona. - To chyba drzewo.

- Nie... To chyba... krowa.

- Nie, to drzewo. Zobacz, tam jest drugie.

- Ciiiszej - syknął Dimble. - To jest ten lasek, o którym mówiła Jane. Jesteśmy już blisko.

Przed nimi teren podnosił się, tworząc garb zasłaniający blask ogniska. Teraz widzieli już całkiem wyraźnie lasek i swoje twarze, blade, z mrugającymi oczami.

- Pójdę pierwszy - powiedział Dimble.

- Zazdroszczę ci odwagi - powiedziała Jane.

- Cicho - powtórzył Dimble.

Podeszli powoli na szczyt i stanęli. Poniżej nich, na dnie niewielkiego jaru, płonęło wielkie ognisko. Naokoło zwieszały się jakieś zarośla, których cienie, drgające wraz z ruchami płomieni, nie pozwalały widzieć wyraźnie całej sceny. Za ogniskiem majaczyło coś przypominającego prymitywny szałas z worków i przewróconej dwukółki. Na pierwszym planie stał spory kociół.

- Czy widzisz kogoś? - szepnął Dimble do Dennistona.

- Nie wiem. Odczekajmy chwilę.

- Popatrzcie! - powiedziała nagle Jane. - Tam! Kiedy płomień rozwiewa się na boki.

- Co tam jest? - zapytał Dimble.

- Nie widzisz go?

- Nie.

- Chyba widziałem jakiegoś mężczyznę - szepnął Denniston.

- To zwykły włóczęga - powiedział Dimble. - Chodzi o to, że ma zwykłe, współczesne ubranie.

- Jak wygląda?

- Trudno powiedzieć.

- Musimy tam zejść - oświadczył Dimble.

- Myślisz, że da się to zrobić? - zapytał Denniston.

- Nie z tej strony. Zdaje mi się że tam, na prawo, jest coś w rodzaju ścieżki. Musimy przejść kawałek po krawędzi jaru, aż ją odnajdziemy.

Wszyscy mówili przyciszonymi głosami. Deszcz przestał padać, słychać było tylko trzask płonących bierwion. Ruszyli ostrożnie krawędzią parowu, skradając się od drzewa do drzewa.

- Stop! - szepnęła nagle Jane.

- Co się stało?

- Tam coś się rusza.

- Gdzie?

- Tam, w dole. Blisko.

- Nic nie słyszałem.

- Nic tam teraz nie ma.

- Idziemy.

- Jane, nadal uważasz, że coś tam jest?

- Już się nie porusza. Ale coś tam na pewno było.

Przeszli kilka kroków dalej.

- Psst! - szepnął Denniston. - Jane ma rację. Tam coś jest.

- Mam przemówić? - zapytał Dimble.

- Zaczekaj - odrzekł Denniston. - To jest tam... O... patrzcie! A niech to diabli, to tylko stary osioł!

- A nie mówiłem? - zaczął Dimble. - To żaden Merlin, tylko jakiś Cygan, wędrowny druciarz albo coś w tym rodzaju. To jego osioł. No, ale musimy tam zejść.

Po chwili schodzili już poślizbioną koleinami ścieżką, wijącą się po zboczu parowu. Teraz ognisko nie było już między nimi a namiotem.

- Jest tam - szepnęła Jane.

- Widzisz go? - zapytał Dimble. - Nie mam takich dobrych oczu jak ty.

- Ja go widzę całkiem wyraźnie - powiedział Denniston. - To naprawdę włóczęga. Nie widzisz go, Dimble? Starzec z potarganą brodą, w czymś przypominającym złachaną kurtkę wojskową i w czarnych spodniach. Nie widzisz jego lewej stopy? Wystaje, czubek buta trochę uniesiony do góry.

- To? Myślałem, że to kłoda. Ale ty też masz lepsze oczy ode mnie. Arthurze, naprawdę kogoś widzisz?

- Tak mi się wydawało, ale teraz nie jestem już pewny. Chyba już mi się oczy męczą. Siedzi nieruchomo. Jeśli to człowiek, to chyba śpi.

- Albo jest martwy - odezwała się Jane, nagle wzdrygając ramionami.

- No dobra - powiedział Dimble. - Musimy tam zejść.

W ciągu minuty znaleźli się na dnie parowu. Za ogniskiem był szałas, a wewnątrz jakieś legowisko, cynowy talerz, kilka zapalek, trochę niedopalonego tytoniu z fajki. Nigdzie jednak nie dostrzegli żadnego człowieka.

* * *

- Zupełnie nie rozumiem, Wither - powiedziała Wróżka Hardcastle - dlaczego nie pozwala mi pan pobawić się trochę z tym szczeniakiem. Wszystkim pańskim pomysłem brakuje zdecydowania: podrzucanie mu zarzutu morderstwa, aresztowanie go, zostawianie na noc w celi, żeby sobie to wszystko przemyślał. Po co wymyślać takie cuda, nie mając pewności, czy poskutkują? Wystarczy dwadzieścia minut moich metod, a wszystko wyśpiewa. Znam ten typ.

Pani Hardcastle mówiła to około dziesiątej wieczorem tej samej deszczowej nocy. W gabinecie wicedyrektora obecna była trzecia osoba: profesor Frost.

- Zapewniam panią, Hardcastle - odparł Wither, utkwivszy spojrzenie nie w niej, lecz w czole Frosta - że nie powinna pani mieć żadnych wątpliwości co do tego, iż pani poglądy na tę czy jakąkolwiek inną sprawę zawsze będą traktowane przez nas z najwyższą uwagą. Ale niech mi będzie wolno zauważyć, że ten przypadek należy do takich, przy których... ee... jakiś wyższy stopień przesłuchania może oznaczać klęskę.

- Niby dlaczego? - burknęła Wróżka.

- Musi mi pani wybaczyć przypomnienie... oczywiście nie oznacza to w żadnej mierze, abym sądził, iż lekceważy pani ten aspekt, wspominam o tym jedynie z metodologicznego punktu widzenia... bo przecież jest tak ważne, aby wszystko było dostatecznie jasne... że ta kobieta jest nam

potrzebna... mam na myśli, że powitanie wśród nas pani Studdock miałyby dla nas nieocenioną wartość... głównie ze względu na jej godne uwagi zdolności psychiczne. Jeśli używam terminu „psychiczne”, nie oznacza to bynajmniej, chyba pani rozumie, że angażuję się po stronie jakiejś określonej teorii.

- Chodzi panu o te sny?

- Jest bardzo wątpliwe - ciągnął Wither - czy osiągnęlibyśmy pożądaną skutek, gdyby została tu sprowadzona pod przymusem i gdyby znalazła swego męża... ee... w wyrażnie, choć czasowo, nienormalnej kondycji, którą można przewidywać jako rezultat pani naukowych metod przesłuchiwania. Można się nawet spodziewać głębokiego emocjonalnego kryzysu, który mógłby sprawić, że na długo utraciłaby owe niezwykle zdolności.

- Nie mamy jeszcze raportu major Hardcastle - zauważył spokojnie profesor Frost.

- Niewiele nam wyszło - odpowiedziała Wróżka. - Śledziliśmy go aż do Northumberland. Po nim opuściło kolegium tylko trzech: Lancaster, Lyly i Dimble. Wymieniam ich w porządku prawdopodobieństwa. Lancaster jest chrześcijaninem i ma duże wpływy. Jest członkiem Izby Niższej Synodu. Ma dużo kontaktów z Repton Conference. To na pewno ktoś bardzo zaangażowany po ich stronie. Lyly to podobny typ, ale nie taki organizator. Warto pamiętać, że to on tak narozrabia! w tej reakcyjnej komisji do spraw edukacji w ubiegłym roku. Obaj są niebezpieczni. To takie typy, które zwykle - osiągają swoje cele, naturalni przywódcy. Dimble to zupełnie inna postać. Nie mamy na niego nic prócz tego, że też jest chrześcijaninem. To naukowiec z krwi i kości. Nie sądzę, by prócz kolegów zajmujących się tą samą dziedziną ktokolwiek kojarzył jego nazwisko. Tacy ludzie nie bywają osobami publicznymi. Niepraktyczny... zbyt pełen skrupułów, żeby miał być dla nich pożyteczny... Tamtych dwóch, zwłaszcza Lancaster, to zupełnie co innego. Tak, to facet, który mógłby zdobyć godną pozycję wśród nas, gdyby tylko miał właściwe poglądy.

- Major Hardcastle powinna wiedzieć, że mamy już dostęp do większości tych faktów - zauważył sucho Frost.

- Może - odezwał się Wither - zważywszy na późną godzinę... nie będziemy już korzystać z imponujących zasobów pani energii, pani Hardcastle. Proponuję, abyśmy przeszli do ściśle opisowych części pani raportu.

- No więc - zaczęła Wróżka - musiałam śledzić wszystkich trzech, mając do dyspozycji ograniczone środki. Warto pamiętać, że Studdocka zauważono tylko przez szczęśliwy przypadek, kiedy wsiadał do autobusu. To była bomba! A wówczas połowa moich ludzi była już zajęta. Musiałam łapać każdego, kto mi się nawinął. Kazałam wystawić posterunek i miałam jeszcze sześciu ludzi ukrytych tak, że z kolegium ich nie widziano, oczywiście w cywilu. Jak tylko wyszedł Lancaster, kazałam trzem najlepszym nie tracić go z oczu. Pół godziny temu dostałam od nich depeszę z Londynu, gdzie Lancaster wysiadł z pociągu. Może to jakiś trop. Lyly narobił nam od cholery kłopotów. Wygląda na to, że kontaktował się z około piętnastoma różnymi osobami w Edgestow. Wszystkich mamy zanotowanych. Wysłałam za nim kolejnych dwóch ludzi. Dimble wyszedł na końcu. Posłałabym za nim swojego ostatniego czbwieka, ale akurat zgłosił się kapitan O'Hara, który potrzebował na gwałt samochodu. Postanowiłam więc na noc zostawić Dimble'a w spokoju i podesłać tego człowieka kapitanowi. Ale to nie problem, Dimble'a możemy mieć w każdej chwili. Przychodzi do kolegium niemal regularnie każdego dnia, zresztą to zero.

- Nie mogę pojąć - powiedział Frost - dlaczego nie miała pani nikogo wewnątrz kolegium, żeby zaobserwować, w którą klatkę schodową wszedł Studdock.

- Przez waszego cholernego komisarza nadzwyczajnego - odparła Wróżka. - Nie mamy zezwolenia na operowanie w kolegiach, - jeśli chce pan wiedzieć. Ostrzegłam, że Feverstone nie

jest odpowiednim człowiekiem. Próbuje grać na obie strony. Popiera nas przeciwko władzom miejskim, ale kiedy chodzi o stosunki z uniwersytetem, staje się nieobliczalny. Zapamiętaj sobie, Wither, moje słowa: jeszcze będziemy mieć z nim sporo kłopotów.

Frost spojrział na wicedyrektora.

- Daleki jestem od negocjowania - rzekł Wither - nie zamykając jednocześnie umysłu na inne możliwe wyjaśnienia, że niektóre z przedsięwzięć lorda Feverstone'a mogą się wydawać niedostatecznie usprawiedliwione. Byłoby dla mnie bolesnym ciosem, gdybym był zmuszony przypuszczać...

- Czy major Hardcastle jest nam jeszcze potrzebna? - przerwał mu Frost.

- A niech mnie kule biją! - zawołał Wither. - Jakież to rozsądne! Prawie bym zapomniał, droga pani, jak bardzo musi pani być zmęczona i jak cenny jest pani czas. Musimy starać się oszczędzać pani energię, tak cenną w tej szczególnej pracy, w której nikt nie mógłby pani zastąpić. Nie powinna pani nam pozwolić na wykorzystywanie pani niezwykłych cech charakteru i gotowości do poświęceń. Jest mnóstwo o wiele nudniejszej i bardziej rutynowej pracy, którą tylko pani może dla nas wykonać.

Wstał i otworzył przed nią drzwi.

- A nie uważa pan - powiedziała - że powinnam pozwolić moim chłopcom choć trochę popracować nad Studdockiem? Wydaje mi się nieco absurdalne robienie sobie tylu kłopotów ze zdobyciem jednego adresu.

Nagle, gdy Wither tak stał z ręką na klamce, cały ugrzeczniony, cierpliwy, z uśmiechem, z jego twarzy zniknął jakikolwiek wyraz. Poblądłe usta rozwarły się tak, że widać było dżiąsła, a podpuchnięte oczy wpatrzone były w przestrzeń. Pani Hardcastle miała wrażenie, że patrzy na siwowłosą maskę ze skóry i mięsa. W chwilę później wyszła z pokoju.

- Zastanawiam się - rzekł Wither, siadając z powrotem w fotelu - czy nie przywiązujemy zbyt wielkiej wagi do tej kobiety Studdocka.

- Działamy zgodnie z rozkazem z pierwszego października - odpowiedział Frost.

- Och... przecież tego nie kwestionuję - powiedział Wither, machając lekceważąco ręką.

- Pozwól, że przypomnę ci fakty. Nasze władze miały dostęp do jej świadomości przez bardzo krótki czas. Skontrolowały tylko jeden sen, ten najważniejszy, który ujawnił, choć z pewnymi niejasnościami, zasadniczy element naszego programu. To nas ostrzegło, że ta kobieta mogłaby stać się bardzo niebezpieczna, gdyby znalazła się w zasięgu jakichś źle usposobionych osób, które będą wiedziały, jak wykorzystać jej zdolności.

- Och, z pewnością, z pewnością. Nigdy nie miałem zamiaru zaprzeczać...

- To był punkt pierwszy - ciągnął Frost. - Drugi sprowadza się do tego, że natychmiast potem jej mózg stał się niedostępny dla naszych władz. W dzisiejszym stanie naszej wiedzy znamy tylko jedną przyczynę takiej okultacji. Zachodzi ona wówczas, gdy infiltrowana świadomość odda się dobrowolnie pod kontrolę wrogiego organizmu. A więc ta okultacja udaremniła nam dostęp do jej snów i jednocześnie ujawniła, że dziewczyna, w taki lub inny sposób, dostała się w sferę wpływów wroga. Już samo w sobie stanowi to dla nas poważne zagrożenie. Ale oznacza również, iż odnalezienie jej będzie prawdopodobnie równoznaczne z odkryciem kwatery głównej przeciwnika. Pani Hardcastle ma chyba rację, upierając się przy tym, że tortury bardzo szybko skłoniłyby Studdocka do ujawnienia miejsca pobytu jego żony. Zgadza się jednak z tobą, że gdyby ta kobieta przeżyła najazd na ich siedzibę i aresztowanie, a w dodatku później odnalazła męża w kondycji, w jakiej znajdowałby się po torturach, to wszystko mogłoby wywołać w niej taki kryzys psychiczny, że obawiałbym się nawet utraty jej nadzwyczajnych zdolności. W ten sposób sami udaremnilibyśmy osiągnięcie celu, dla którego chcemy dostać ją w nasze ręce. To jest pierwsza

obiekcja. Druga wiąże się z dość dużym ryzykiem ataku na główną kwaterę przeciwnika. Prawie na pewno mają jakąś ochronę, i to taką, na jaką możemy nie być przygotowani. W takim wypadku...

- Och - przerwał mu Wither - prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie w tej chwili, co mogłoby wywołać we mnie głębszy sprzeciw. Zastosowanie metody naukowych... nie chcę w tym kontekście używać terminu „tortury”... w sytuacji, gdy pacjent nie zna odpowiedzi, jest zawsze fatalnym błędem. Jako humaniści nie powinniśmy... a z drugiej strony, jeśli badanie się przedłuża, pacjentowi jest trudno powrócić do pierwotnego stanu... a jeśli je się przerwie, nawet doświadczony operator dręczą zwykle obawy, że pacjent jednak nie powiedział tego, co wiedział. Oba wyjścia są niezadowolające.

- Realnie na rzecz patrząc, nie ma innej drogi wcielenia w życie naszych planów poza nakłonieniem Studdocka, by sam dobrowolnie sprowadził tu swoją żonę.

- Albo też - powiedział Wither tonem nieco bardziej marzycielskim niż zwykle - gdyby to było możliwe, trzeba wzbudzić w nim o wiele bardziej zdecydowany entuzjazm dla naszej sprawy, niż dotychczas okazał. Mówię, drogi przyjacielu, o prawdziwej przemianie ducha.

Frost rozchylił nieco wąskie wargi, ukazując białe zęby.

- To właśnie jest częścią planu, o którym mówiłem. Powiedziałem, że Studdocka trzeba nakłonić, żeby sam sprowadził żonę. Oczywiście, można to osiągnąć na dwa sposoby. Pierwszy polega na dostarczeniu mu jakiegoś motywu na poziomie instynktów, takiego jak strach przed nami lub tęsknota za żoną. Drugi to wzbudzenie w nim poczucia takiej identyfikacji ze Sprawą, aby zrozumiał i zaakceptował prawdziwe motywy ochrony jej osoby i współdziałał z nami.

- Tak... właśnie tak - powiedział Wither. - Używasz, jak zwykle, sformułowań, które różnią się nieco od tych, których sam bym użył, ale...

- Gdzie teraz jest Studdock?

- W jednej z cel... po drugiej stronie.

- Wciąż jest przekonany, że aresztowała go zwykła policja?

- Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że tak. Ale to chyba nie robi większej różnicy.

- Co proponujesz?

- Proponuję zatrzymać go w celi na kilka godzin i poczekać aż dojrzeją psychologiczne efekty aresztowania. Podjąłem ryzyko... z zachowaniem szacunku dla humanitarnych norm, rzecz jasna... ryzyko zaufania do wartości pewnych drobnych... ee... fizycznych niedogodności... takich jak brak posiłku, na przykład. Kazałem opróżnić mu kieszenie. Nie można pozwolić, by ten młody człowiek próbował łagodzić ewentualne napięcie nerwowe paleniem tytoniu. Świadomość człowieka powinna korzystać jedynie z własnych źródeł.

- Oczywiście. Co dalej?

- No cóż, sugerowałbym jakiś rodzaj przesłuchania. Chętnie posłucham twojej rady w tym względzie. Osobiście skłaniam się ku temu, by pozory przesłuchania przez zwykłą policję utrzymać nieco dłużej. Później pozwolimy mu odkryć, że wciąż jest w naszych rękach. Byłoby pożyteczne, gdyby nie od razu, lecz stopniowo, zaczął zdawać sobie sprawę z oczywistego faktu, że to właśnie uwalnia go z... ee... kłopotów związanych ze śmiercią Hingesta. Sądzę, że później nastąpi pełniejsza realizacja jego spodziewanej solidarności z instytutem...

- A wtedy ponownie zachęcimy go do sprowadzenia tu żony, tak?

- Ja na to patrzę zupełnie inaczej - odrzekł Wither. - Ośmielam się zauważyć, że jedną z ujemnych stron owej niezwyklej, tak przez nas wszystkich podziwianej prostoty i celności twoich wypowiedzi, jest to, że nie pozostawiają miejsca na subtelne niuanse. Trzeba raczej liczyć na spontaniczny wybuch zaufania do nas ze strony tego młodzieńca. Jakakolwiek forma bezpośredniego nacisku...

- Słabością tego planu jest to, że całkowicie polegasz na strachu.

- Strachu? - powtórzył Wither, jakby usłyszał to słowo po raz pierwszy. - Nie bardzo rozumiem sens takiej asocjacji myślowej. Trudno mi przypuścić, abyś skłaniał się do sugestii poczynionej, jeśli dobrze pamiętam, przez panią Hardcastle.

- Jakiej sugestii?

- Jeśli dobrze ją zrozumiałem, myślała o zastosowaniu środków naukowych, które by wzmogły w nim pragnienie towarzystwa żony. Niektóre środki chemiczne...

- Masz na myśli jakiś afrodyzjak?

Wither westchnął łagodnie i nic nie odpowiedział.

- To nonsens - rzekł Frost. - Ona nie należy do kobiet, do których mężowie zaczynają tęsknić pod wpływem afrodyzjaków. Powiedziałem już, że błędem jest poleganie wyłącznie na strachu. Obserwując to zjawisko przez wiele lat, doszedłem do przekonania, że jego skutki są nieprzewidywalne, zwłaszcza gdy sam strach jest uczuciem dość skomplikowanym. Pacjent może się tak bać, że nie będzie w stanie zrobić żadnego ruchu, nawet w pożądanym przez siebie kierunku. Jeśli uznamy, że sprowadzenie tu tej kobiety może zależeć jedynie od dobrej woli jej małżonka, to musimy użyć tortur, ze wszystkimi ich niedogodnymi konsekwencjami. Są jednak inne możliwości. Jest żądza.

- Nie jestem pewien, czy dobrze cię rozumiem. Odrzuciłeś pomysł jakiegś medycznej lub chemicznej stymulacji.

- Mam na myśli silniejszą żądzę.

Na żadnym etapie ich rozmowy wicedyrektor nie patrzył Frostowi w twarz. Jego oczy jak zwykle błądziły po całym pokoju albo wpatrywały się w przestrzeń. Czasami po prostu je zamykał. A jednak albo Frost, albo Wither - trudno powiedzieć który - stopniowo przysuwał swój fotel, tak że w tym momencie ich kolana prawie się stykały.

- Rozmawiałem z Filostratem - powiedział Frost swoim cichym, ale wyraźnym głosem. - Użyłem sformułowań, które musiały uczynić dość jasnym sens tego, co mówiłem, jeśli on ma jakieś pojęcie o prawdzie. Przy rozmowie był obecny jego asystent, Wilkins. Obaj nie są prawdziwie zaangażowani. Interesuje ich tylko fakt, że udało im się, jak sądzą, utrzymać Głowę przy życiu i spowodować, by mówiła. Natomiast co Głowa mówi, jest im raczej obojętne. Posunąłem się dość daleko. Pytałem ich o sposób funkcjonowania jej świadomości, o to, co właściwie przez nią przemawia. Nie uzyskałem żadnej odpowiedzi.

- Jeśli dobrze rozumiem - rzekł Wither - sugerujesz postępowanie z panem Studdockiem według tych wytycznych. Jeśli dobrze pamiętam, odrzuciłeś strach, obawiając się, że jego skutków nie da się dokładnie przewidzieć. Ale... ee... czy jesteś pewny, że ta inna metoda jest bardziej godna zaufania? Nie potrzebuję chyba dodawać, że zdaję sobie w pełni sprawę z pewnego zawodu, jaki muszą odczuwać poważnie myślący ludzie wobec takich kolegów jak Filostrato i jego asystent Wilkins.

- W tym rzecz. Trzeba się wystrzegać błędu uważania politycznej i ekonomicznej dominacji NIBS-u nad Anglią za coś więcej niż cel drugorzędny. Nam zależy przede wszystkim na jednostkach. Mocny rdzeń jednostek w pełni oddanych naszej sprawie - oto czego potrzebujemy i co musimy, zgodnie z rozkazami, zapewnić. Jak dotąd nie udało się nam wprowadzić zbyt wielu ludzi. Naprawdę wprowadzić.

- Wciąż nie ma żadnych wiadomości z Lasu Bragdon?

- Nie.

- I sądzisz, że Studdock byłby odpowiednią osobą?

- Nie wolno zapominać - odpowiedział Frost - że jego wartość nie polega wyłącznie na

jasnowidzeniu jego żony. Z eugenicznego punktu widzenia ta para jest dość interesująca. Nie sądzę też, by stawił opór. Godziny strachu w celi, potem odwołanie się do pragnień, które niszczą strach, prawie na pewno wywołają pożądany skutek, biorąc pod uwagę charakter tego typu.

- Oczywiście - zgodził się Wither. - Niczego nie pożąda się tak, jak możliwie najgłębszego zjednoczenia. Nie podejrzewaj mnie - o lekceważenie tego aspektu poleceń, jakie otrzymaliśmy. Każda świeża jednostka doprowadzona do owej jedno ci byłaby źródłem największej satysfakcji dla... ee... dla wszystkich zainteresowanych. Ja sam pragnę najściślejszych więzi. Pragnę wzajemnej penetracji osobowości tak głębokiej, tak nieodwołalnej, że prawie niwelującej indywidualność. Chyba nie wątpisz, że otworzę szeroko ramiona, by przyjąć... wchłonać... przyswoić sobie tego młodego człowieka.

Siedzieli teraz tak blisko siebie, że ich twarze prawie się stykały, jakby byli kochankami mającymi się pocałować. W binoklach Frosta odbijało się światło, więc jego oczy były niewidoczne; tylko usta, rozciągnięte w lekkim, pełnym napięcia uśmiechu, wyrażały to, co czuje. Wither miał usta otwarte, dolna warga zwisała, oczy miał wilgotne, całe ciało zwiotczało, ramiona opadły, jakby nie miał siły wstać z fotela. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że wicedyrektor jest pijany. Po chwili ramiona mu zadrgały i powoli zaczął się śmiać. Frost nie roześmiał się, ale jego uśmiech stawał się coraz wyraźniejszy, a jednocześnie coraz bardziej zimny. Wyciągnął rękę i poklepał Withera po ramieniu. Nagle rozległ się głośny trzask. Gruby tom *Who Is Who* zsunął się ze stołu i upadł na podłogę, gdy dwaj mężczyźni nagłym, szybkim, konwulsyjnym ruchem pochylili się ku sobie i zaczęli się kołysać w różne strony, uwięzieni we wspólnym uścisku, z którego każdy z nich zdawał się gwałtownie wyrwać. I kiedy tak się kołysali, walcząc ze sobą rękami i paznokciami, rozległ się chichot, najpierw piskliwy i słaby, a w końcu przypominający bardziej zwierzęcą niż starczą parodię śmiechu.

* * *

Kiedy Marka wypchnięto z policyjnego furgonu w ciemność i deszcz, a potem zostawiono samego w małym, oświetlonym pokoju, nie miał pojęcia, że znajduje się w Belbury. Zresztą gdyby o tym wiedział, i tak nie przywiązywałby do tego większej wagi, ponieważ od momentu aresztowania stracił nadzieję na dalsze życie. Był przekonany, że zostanie powieszony.

Aż do tej pory nigdy nie znalazł się tak blisko śmierci. Teraz, spoglądając na swoje ręce (bo były zmarznięte i automatycznie je rozcierał), ze zdumieniem pomyślał, że ta właśnie ręka, z jej pięcioma paznokciami i żółtą plamą od tytoniu na wewnętrznej stronie palca serdecznego, stanie się pewnego dnia ręką trupa, a później szkieletu. Nie czuł właściwie strachu, choć coś dusiło go w gardle, szokowała go tylko groteskowość tej myśli. Było to coś zupełnie niewiarygodnego, a jednocześnie całkowicie pewnego.

Nagle stanęły mu przed oczami ponure szczegóły egzekucji, których mu od dawna nie szczydziła pani Hardcastle, i tego już jego świadomość nie była w stanie zaakceptować. Przez ułamek sekundy wizja ta zagościła w jego wyobraźni, napawając go przerażeniem tak strasznym, że aż jęknął w myślach, po czym znikła, zepchnięta w odmęty podświadomości. Powróciła sama myśl o śmierci. Pojawił się problem nieśmiertelności. Nie był nią zainteresowany. Jakieś życie po śmierci? Szczęście w jakimś innym, bezcielesnym świecie (nigdy nie pomyślał o cierpieniu) nie miało żadnego znaczenia dla człowieka, który miał zostać zabity. Samo zabijanie - o tak, to był ważne. Jedno było pewne: to ciało, to słabe, wiotkie, roztrzęsione, rozpaczliwie czepiające się życia ciało, tak nierozzerwalnie z nim związane, tak bardzo, ma się stać martwym ciałem. Jeśli nawet istnieje coś takiego jak dusza, to los ciała nie ma z nią nic wspólnego. Duszące, dławiące poczucie

cielesności było tak silne, że nie pozostawiało miejsca na inne myśli i uczucia.

Miał wrażenie, że się dusi, więc rozejrzał się po pokoju, szukając śladów wentylacji. Nad drzwiami rzeczywiście widniała jakaś kratka. Ta kratka i same drzwi były jedynymi obiektami, na których mogło zatrzymać się oko. W tym pomieszczeniu wszystko było białe: podłoga, sufit, ściany, jedno jaskrawe białe światło w środku sufitu. Była to upiornie biała cela bez krzesła, bez stołu, bez jednego kołka w ścianie.

Coś w wyglądzie tego miejsca zaczęło mu podpowiadać, że może jest w Belbury, a nie na posterunku zwykłej policji. Błysk nadziei, towarzyszący temu podejrzeniu, zgasł jednak natychmiast. Cóż za różnica, czy Wither, pani Hardcastle i reszta postanowią się go pozbyć, wydając zwykłej policji, czy też skończą z nim sami na osobności, tak jak bez wątplenia zrobili z Hingestem? Zaczął rozumieć, że te wszystkie jego wloty i upadki, jakich doświadczył w Belbury, były częścią planu. Wszyscy byli wrogami, wykorzystującymi jego nadzieje i lęki, aby go zredukować do roli sługi, aby go zabić, jeśli spróbuje wyrwać się spod ich wpływu, i aby się go pozbyć po tym, jak już wykorzystają go do swoich celów. Jak mógł do tej pory tego nie dostrzegać? Jak mógł przypuszczać, że zdoła w jakiś sposób zaskarbić sobie przychyłność tych ludzi?

Jakim był głupcem - przeklętym, dziecinnym, naiwnym głupcem! Usiadł na podłodze, bo w nogach poczuł słabość, jakby przeszedł ze dwadzieścia pięć mil. Po co w ogóle chciał dostać się do tego Belbury? Czy już pierwsza rozmowa z wicedyrektorem nie powinna go ostrzec? Przecież od samego początku powinien poznać prawdę, tak oczywistą, jakby ją ogłaszano przez megafon albo wydrukowano wielkimi literami na olbrzymim plakacie: że znalazł się w królestwie przenikających się spisków i podstępów, w świecie kłamstw, korupcji, ciosów w plecy, mordów i pogardliwych rehotów z takich jak on głupców, odrzucanych jak śmieci, gdy już przestali być potrzebni. Przypomniał sobie rubaszny śmiech Feverstone'a tego dnia, gdy nazwał go „nieuleczalnym romantykiem”. Feverstone... Tak, w ten sposób zaczął wierzyć w Withera: dzięki rekomendacji Feverstone'a. Najwyraźniej jego głupota ma wcześniejsze źródła. Jak mógł zaufać Feverstone'owi, człowiekowi o ustach rekina, z tymi jego manierami na pokaz, komuś, kto nigdy nie patrzył rozmówcy prosto w oczy? Jane czy Dimble przejrzeliby go od razu. Miał kręctwo wypisane na twarzy. Mógł nabrać tylko takie marionetki jak Curry czy Busby. Tak, tylko że w tym czasie, gdy on sam poznał Feverstone'a, wcale nie uważał Curry'ego i Busby'ego za marionetki... Z niezwykłą jasnością, ale i z ponownym zdumieniem przypomniał sobie, co czuł do Postępowej Elity w Bractonie, gdy po raz pierwszy dopuszczono go do jej zamkniętego kręgu, przypomniał sobie, że jeszcze większym niedowierzaniem, jak się czuł, będąc jeszcze tylko młodszym członkiem kolegium, poza tym kręgiem wybrańców, jak spoglądał z nabożnym lękiem na głowy Curry'ego i Busby'ego, pochylone ku sobie w salonie, jak chciwie wyłapywał strzępy ich rozmów prowadzonych szeptem, udając, że jest pogrążony w lekturze jakiegoś czasopisma, a naprawdę marząc - och, jak bardzo marząc! - aby jeden z nich podszedł do niego, aby go zagadnął. A potem, po tylu miesiącach, wreszcie się to stało. Ujrzał samego siebie, obrzydliwego, nic nie znaczącego outsidera, tak bardzo pragnącego przestać nim być, infantylnego frajera, któremu wystarczyły rzucane mu przez nich nędzne ochłapy zaufania, by poczuł się tak, jakby go zaproszono do udziału w rządzie całej planety. Czy jego głupota nie miała początku? Czy był głupcem przez całe życie, od dnia swoich narodzin? Nawet w szkole, gdy zaniedbał naukę i prawie złamał sobie serce, próbując za wszelką cenę dostać się do szkolnego gangu nazywanego „Szpony” i stracił przez to jedynego przyjaciela? Nawet jako dziecko, bijąc się z Myrtle tylko dlatego, że mogła wyjść i dzielić się sekretami z Pamelą z sąsiedniego domu?

Nie rozumiał, dlaczego to wszystko, co teraz dostrzegał z taką porażającą jasnością, nigdy

przedtem nie przyszło mu do głowy. Nie uświadamiał sobie, że takie myśli często pukały, by wejść, ale zawsze były odrzucane z tego prostego powodu, że gdyby je do siebie dopuścił, sieć jego życia zostałaby porwana na strzępy, a wszystkie decyzje, które kiedykolwiek podjął, byłyby unieważnione. Musiałby zaczynać wszystko od początku, jakby się na nowo urodził. Nieokreślona masa problemów, które musiałby rozwiązać, gdyby takie myśli dopuścił do siebie, te niezliczone „coś”, z czym „coś” trzeba by było zrobić, powstrzymywały go skutecznie od samego stawiania sobie takich pytań. Co wyłączyło teraz te wszystkie światła ostrzegawcze? Świadomość, że już nic nie mógł zrobić. Powieszają go. To już koniec. Sieć można porwać na strzępy, bo nie będzie mu już potrzebna; nie było już rachunków do zapłacenia (w postaci męczących decyzji i trudu przebudowy życia) za prawdę. To był skutek bliskości śmierci, którego Wither i Frost prawdopodobnie nie przewidzieli.

Na tym etapie Mark nie próbował jeszcze dokonywać żadnych ocen moralnych. Spoglądał na swoje dotychczasowe życie nie tyle ze wstydem, ile z pewną odrazą do jego przygnębiającej jakości. Ujrzał siebie jako małego chłopca w krótkich spodenkach, ukrytego w zaroślach przy ogrodzeniu i podsłuchującego, o czym rozmawia Myrtle z Pamelą, chociaż tak naprawdę nie było to wcale interesujące. Ujrzał siebie udającego, że rozkoszuje się niedzielnymi popołudniami spędzonymi w towarzystwie atletycznych herosów ze „Szponów”, gdy w głębi duszy za każdym razem (teraz to widział) tęsknił do dawnych spacerów z Pearsonem - Pearsonem, któremu sprawił taki ból, odrzucając jego przyjaźń. Ujrzał siebie jako nastolatka, wytrwale czytającego ordynarne powieści dla dorosłych i pijącego piwo, podczas gdy naprawdę lubił Johna Buchana i napój imbirowy. Godziny spędzane na nauce żargonu każdego nowego kręgu, do którego chciał się dostać, wieczne udawanie zainteresowania sprawami, które go nudziły, i wiedzą, o której nie miał pojęcia, poświęcanie prawie każdej osoby i rzeczy, jakie go w danym okresie naprawdę cieszyły, żalodne próby wmawiania sobie, że można się cieszyć z wejścia do zamkniętego kręgu „Szponów”, Postępowej Elity czy NIBS-u - wszystko to nagle powróciło, rozdzierając mu serce. Czy kiedykolwiek zrobił coś, czego naprawdę pragnął? Czy kiedykolwiek wybrał towarzystwo ludzi, których naprawdę lubił? Czy choćby jadł i pił to, na co miał ochotę? Skondensowana bezbarwność dotychczasowego życia napelniła go litością do samego siebie.

W normalnych warunkach pojawiłyby się w jego umyśle - i zostałyby natychmiast zaakceptowane - logiczne usprawiedliwienia, składające odpowiedzialność za to życie, pełne brudu i potłuczonych butelek, na jakieś bezosobowe siły z zewnątrz. Byłby to „system” albo jakiś „kompleks wewnętrzny”, którym obarczyli go rodzice, przywary charakterystyczne dla wieku. Teraz już takich usprawiedliwień nie potrzebował. Jego „naukowy” światopogląd nigdy nie był jego prawdziwą filozofią życia, w którą by wierzył i którą by ukochał całym sercem. Był tylko w jego mózgu, był częścią jego tożsamości na pokaz, a teraz stał się całkowicie bezużyteczny. Uświadomił sobie, nawet nie musząc się nad tym zastanawiać, że to on sam - a nie nikt inny w całym wszechświecie - wybrał ten brud i te potłuczone butelki, ten stos starych puszek, te wszystkie jałowe, duszne miejsca.

Przyszła mu do głowy nieoczekiwana myśl. Ta... ta jego śmierć... byłaby szczęściem dla Jane. Dawno temu Myrtle, później w szkole Pearson, jeszcze później Denniston, a w końcu Jane - wszyscy czworo byli wysłańcami wkraczającymi w jego życie z jakiegoś innego świata, spoza tych jałowych i dusznych miejsc. Myrtle podporządkował sobie, stając się tym mądrym bratem, który zdobył stypendium i spotykał się z ważnymi ludźmi. Byli bliźniętami, ale po krótkim okresie w dzieciństwie, w którym wydawała mu się starszą siostrą, to on stał się starszym bratem i pozostał nim aż do dziś. Całkowicie wciągnął ją w swoją orbitę: to jej wielkie, zdumione oczy i naiwne uwagi do jego opowieści o wyższych kręgach, w których się obracał, sprawiały mu taką rozkosz na

różnych etapach kariery. Tak, ale z tego samego powodu przestała być dla niego wysłannikiem życia spoza tych jałowych miejsc. Kwiat, kiedyś bezpiecznie posadzony pośród blaszanych puszek, sam zamienił się w puszkę. Pearsona i Dennistona po prostu odrzucił. A teraz zrozumiał, po raz pierwszy w życiu, co chciał uczynić z Jane. Gdyby się wszystko udało, gdyby stał się mężczyzną, jakim pragnął być, ona miała zostać wzorową gospodynią - gospodynią nieznaną w tym sensie, że tylko bardzo wąskie grono wiedziałooby, kim jest ta uderzająco piękna kobieta i dlaczego jest tak bardzo ważne, by zapewnić sobie jej przychylność. Tak... to szczęście dla Jane. Teraz, kiedy o niej myślał, zdawała się mieć w sobie głębokie studnie i ukwiecone łąki szczęścia, rzeki świeżości, zaczarowane ogrody wolnego czasu, do których nie miał dostępu, lecz które mógł zniszczyć. Była jedną z tych osób - jak Pearson, Denniston, Dimble'owie - które potrafiły się cieszyć rzeczami samymi w sobie. Nie była do niego podobna. To dobrze, że wreszcie się od niego uwolni.

W tym momencie usłyszał zgrzyt klucza obracającego się w zamku. Natychmiast wszystkie te myśli pierzchły, poczuł falę fizycznego strachu, wyszło mu w gardle. Podźwignął się na nogi i oparł plecami o najdalszą od drzwi ścianę, wytrzeszczając oczy, jakby od tego, czy ujrzy wyraźnie wchodzącego, zależało jego życie.

Człowiek, który wszedł do celi, nie był policjantem. Miał na sobie szary garnitur, a w jego binoklach odbijało się światło, ukrywając oczy. Mark poznał go od razu i zrozumiał, że jest w Belbury. Ale nie to sprawiło, że jeszcze szerzej otworzył oczy i prawie zapomniał o strachu. Zdumiała go zmiana w wyglądzie tego człowieka - a może raczej on sam inaczej na niego patrzył. W pewnym sensie profesor Frost był taki jak zawsze: spiczasta bródka, wyjątkowa bledość czoła, jasny, lodowaty uśmiech. Mark nie potrafił jednak pojąć, jak przedtem mógł nie dostrzegać w tym człowieku czegoś tak oczywistego, że na jego widok każde dziecko uciekłoby z wrzaskiem i każdy pies schowałby się w kącie z najeżoną sierścią i obnażonymi kłami. Sama śmierć nie zdawała się Markowi tak przerażająca jak fakt, że zaledwie przed sześcioma godzinami mógł ufać temu człowiekowi i wierzyć, że jego towarzystwo nie jest odrażające.

Rozdział 12

Deszczowa i wietrzna noc

No cóż - powiedział Dimble - tu nie ma nikogo.

- Przecież był tutaj jeszcze przed chwilą - powiedział Denniston.

- A jesteś pewien, że kogoś widziałeś?

- Wydawało mi się, że kogoś widziałem, ale teraz nie mam pewności.

- Jeśli ktoś tu był, to musi być gdzieś blisko.

- A może go zawołać? - zapytał Denniston.

- Cicho! Posłuchajcie! - przerwała im Jane. Przez parę chwil nasłuchiwali w ciszy.

- To tylko ten stary osioł - stwierdził w końcu Dimble.

Znowu zapadła cisza.

- W każdym razie ten ktoś używa zapalek dość rozrzutnie - rzekł Denniston, przyglądając się zdeptanej ziemi wokół ogniska. - Można by się spodziewać, że włóczęga...

- Z drugiej strony - przerwał mu Dimble - trudno przyjąć, by Merlin przyniósł ze sobą pudełko zapalek z piątego wieku.

- No dobrze, ale co robimy? - zapytała Jane.

- Aż przykro pomyśleć, co powie MacPhee, jeśli wrócimy z niczym - powiedział z uśmiechem Denniston. - Od razu nam wytknie, że powinniśmy postępować zgodnie z jego planem.

- Skoro deszcz przestał już padać, to lepiej wróćmy do samochodu i poszukajmy tych twoich białych wrót - zaproponował Dimble. - Czemu się tak przyglądasz, Denniston?

Denniston odszedł kilka kroków od ogniska w kierunku ścieżki, którą zeszli do zapadliny.

- Wiecie co, przyglądam się tej błotnistej ziemi i... - Nagle się wyprostował. - Popatrzcie! Tu było kilku ludzi. Uwaga, nie zdeptajcie tych śladów! O tu. Widzicie?

- Czy to nie są nasze ślady? - zapytał Dimble.

- Niektóre prowadzą w przeciwną stronę. Proszę spojrzeć na to... i na to.

- Może to właśnie ślady tego włóczęgi. Jeśli to w ogóle był włóczęga.

- Przecież nie mógł wyjść na górę tak, żebyśmy go nie zauważyli - zauważyła Jane.

- Chyba że to zrobił, zanim tu przyszliśmy - powiedział Denniston.

- Chodźcie, pójdziemy za tymi śladami - zdecydował Dimble. - Nie sądzę, by nas daleko zaprowadziły, a wtedy wrócimy do drogi, poszukamy tych wrót.

Ale kiedy weszli na krawędź parowu, błotnista ziemia ustąpiła miejsca trawie i ślady się urwały. Obeszli dwukrotnie zapadlinę a potem wrócili do drogi. Zrobiła się piękna, gwiazdzista noc. Nad całym niebem dominował Orion.

* * *

Wicedyrektor prawie nigdy nie spał. Kiedy odczuwał nieodpartą potrzebę snu, brał środek nasenny, ale zdarzało się to rzadko, ponieważ stan świadomości, jakiego doświadczał przez większość dnia i nocy, już od dawna nie przypominał tego, co inni ludzie nazywają stanem jawy. Nauczył się wyłączać większą część swojej świadomości, resztę utrzymując w stanie gotowości jedynie na użytek kierowania bieżącymi sprawami. Barwy, smaki, zapachy i wrażenia dotykowe niewątpliwie atakowały jego zmysły w normalny sposób, ale nie docierały do jego ego. Sposób zachowania się i zewnętrzna postawa, jakie przyjął pół wieku temu, stały się rodzajem zamkniętego systemu, który funkcjonował zupełnie niezależnie, jak gramofon, i który niemal automatycznie

prowadził go od spotkania do spotkania, od posiedzenia do posiedzenia. Podczas gdy jego mózg i wargi wykonywały mechaniczną pracę - dzień po dniu budując we wszystkich, którzy się z nim spotykali, nieco tajemniczy i groźny obraz dobrze im znanej osobowości - jego jaźń wiodła swoje własne życie. Oddzielenie ducha nie tylko od zmysłów, ale i od rozumu - rzadko osiągniany cel niektórych mistyków - jemu udało się całkowicie.

Dlatego też godzinę po odejściu Frosta Wither wciąż jeszcze nie spał. Każdy, kto by w tym czasie zajrzał do jego gabinetu, zobaczyłby go siedzącego przy stole nieruchomo, z opuszczoną głową i rękami założonymi na piersi. Ale oczy miał otwarte, twarz bez Wyrazu. Prawdziwy Wither był daleko stąd, doświadczając czegoś (trudno powiedzieć, czy było to bolesne, czy radosne), czego takie dusze mogą doświadczać - cierpiąc, radując się lub zawłaszczając innych - gdy nic wiążąca je z naturalnym podłożem naprężona jest do ostateczności. Kiedy zadzwonił telefon stojący przy jego łokciu, nawet nie drgnął, lecz natychmiast podniósł słuchawkę.

- Słucham - powiedział.

- Mówi Stone - rozległ się głos w słuchawce. - Znaleźliśmy komorę.

- Tak.

- Była pusta, panie dyrektorze.

- Pusta?

- Tak, panie dyrektorze.

- Czy jest pan pewny, drogi panie Stone, że znaleźliście właściwe miejsce? Możliwe, że...

- O tak, proszę pana. To coś w rodzaju małej krypty. Dobra robota kamieniarska i trochę rzymskiej cegły. Na środku coś w rodzaju ołtarza lub sarkofagu.

- I mam rozumieć, że nikogo tam nie było? Żadnego śladu?

- Przypuszczamy, że całkiem niedawno naruszono stan pierwotny.

- Czy mógłby pan wyrazić to jaśniej, panie Stone?

- No więc, panie dyrektorze, jest tam wyjście, rodzaj tunelu, prowadzi na południe. Zbadaliśmy go. Wychodzi na powierzchnię jakieś osiemset metrów dalej, już poza lasem.

- Wychodzi? Chce pan powiedzieć, że jest tam jakiś łuk... brama... wylot tunelu?

- No więc właśnie tu jest pewien szkopuł. Wydostaliśmy się tunelem na otwartą przestrzeń, ale wszystko wskazuje na to, że wylot tunelu został niedawno rozwalony. To wygląda tak, panie dyrektorze, jakby użyto materiału wybuchowego. Jakby koniec tunelu pierwotnie zabudowano kamieniami i przykryto kopcem ziemi, i jakby niedawno ktoś rozwalił to wszystko od wewnątrz, żeby zrobić wyjście. Na końcu jest tylko rumowisko.

- Niech pan mówi dalej, panie Stone. Co zrobiliście potem?

- Zgodnie z pana poleceniem zebrałem tylu policjantów, ilu się dało, i wysłałem grupy poszukiwawcze za człowiekiem, którego mi pan opisał.

- Rozumiem. A jak pan go opisał?

- Tak, jak pan to uczynił panie dyrektorze: starzec z bardzo długą brodą albo z brodą byle jak przystryżoną, prawdopodobnie - w płaszczu, ale z pewnością w jakimś niezwykłym stroju. W ostatniej chwili zdecydowałem się dodać, że może w ogóle nie być ubrany.

- Dlaczego pan to dodał, panie Stone?

- Nie wiedziałem, jak długo tam przebywał, i to nie moja sprawa, ale słyszałem, że tkaniny przechowywane w takich miejscach rozsypują się w proch, gdy tylko dostanie się tam powietrze. Mam nadzieję, że pan dyrektor ani przez chwilę nie posądza mnie, że próbuję się domyślać czegoś, czego pan nie zechciał mi powiedzieć. Pomyślałem jednak, że byłoby dobrze...

- Miał pan rację, panie Stone - przerwał mu Wither - uważając, iż wszystko, co mogłoby wskazywać na zbytnią ciekawość z pana strony, miałyby bardzo niekorzystne konsekwencje.

Oczywiście dla pana, bo przy wyborze środków kierowałem się głównie pańskim dobrem. Zapewniam, że może pan liczyć na moje poparcie w bardzo... ee... delikatnej sytuacji, w którą się pan... bez wątpienia mimowolnie... wpakował.

- Bardzo dziękuję, panie dyrektorze. Cieszę się, że pochwała pan to, iż powiedziałem, że ten człowiek może być nagi.

- Ach, jeśli chodzi o to, jest wiele możliwości, których w tej chwili nie będziemy rozważać. A jakie pan dał instrukcje grupom poszukiwawczym w razie odnalezienia takiej... eee... osoby?

- No więc, panie dyrektorze, tu pojawiła się inna trudność. Z jedną grupą wysłałem swojego asystenta, ojca Doyle'a. On zna łacinę. Dzwonek, który mi pan wręczył, dałem inspektorowi Wrenchowi i poleciłem mu pójść z drugą grupą. Jeśli chodzi o trzecią grupę, to upewniłem się, że będzie tam ktoś, kto zna walijski.

- I nie pomyślał pan, że dobrze by było, żeby pan sam poszedł z którąś grupą?

- Nie, proszę pana. Powiedział mi pan, żebym zadzwonił do pana niezwłocznie, gdybyśmy coś znaleźli, a nie chciałem opóźnić wyjścia grup poszukiwawczych.

- Rozumiem. No cóż, pańskie działania, mówiąc bez żadnych uprzedzeń, można oceniać zgodnie z tymi kryteriami. I wyjaśnił pan swoim ludziom, że w przypadku odnalezienia tej... ee... osobistości... mają ją traktować z najwyższym szacunkiem i... mam nadzieję, że dobrze mnie pan rozumie... z należytą ostrożnością?

- Och, tak, panie dyrektorze.

- Tak, panie Stone, ogólnie rzecz biorąc, jestem - z pewnymi nieuniknionymi zastrzeżeniami - dość zadowolony z prowadzenia - przez pana tej akcji. Sądzę, że będę mógł przedstawić to w odpowiednim świetle moim kolegom, których przychylność do pana została, niestety, mocno osłabiona. Jeśli osiągnie pan sukces, bardzo pan wzmocni swoją nadwątloną pozycję. Jeśli nie... no cóż, bardzo boleję nad tym, że wśród nas dochodzi nieraz do napięć i wzajemnych oskarżeń, ale jestem pewien, drogi chłopcze, że mnie dobrze rozumiesz. Gdyby tylko udało o mi się skłonić... powiedzmy, panią Hardcastle i pana Studdocka... do podzielenia mojej dobrej opinii o pana użytecznych kwalifikacjach, to nie będzie pan musiał obawiać się o swoją karierę lub... ee... bezpieczeństwo.

- Czego pan ode mnie oczekuje, panie dyrektorze?

- Mój młody przyjacielu, złota zasada jest bardzo prosta. Istnieją tylko dwa błędy, które mogłyby okazać się fatalne dla kogoś w tak szczególnej sytuacji, jaką, niestety, stworzyły pewne godne pożałowania elementy pańskiego dotychczasowego zachowania. Z jednej strony, brak inicjatywy lub przedsiębiorczości byłby naprawdę zgubny. Z drugiej strony, każda próba podjęcia jakiegś samowolnej akcji... zrobienie czegoś, co mogłoby sugerować, że przypisuje pan sobie pełną swobodę w podejmowaniu decyzji, które, niezależnie od okoliczności, nie do pana należą, mogłoby mieć konsekwencje, przed którymi nawet ja nie mógłbym pana obronić. Jak długo zdoła się pan utrzymać z dala od tych dwu skrajności, tak długo nie ma powodu, mó więc nieoficjalnie, aby panu coś zagrażało.

I nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę i chwycił leżący przed nim dzwonek.

* * *

- Chyba powinniśmy już być blisko tych wrót, przez które przechodziliśmy - odezwał się Dimble.

Ponieważ deszcz już nie padał, zrobiło się trochę jaśniej, ale zaczął wiać silny wiatr, więc musieli krzyczeć do siebie, żeby się porozumieć. Gałęzie żywopłotu kołysały się, przyginały do

ziemi i znowu podnosiły, jakby smagały jasne gwiazdy na niebie.

- Idziemy już o wiele dłużej niż w tamtą stronę - odpowiedział Denniston.

- Ale nie jest tak grząsko - powiedziała Jane.

- Masz rację - rzekł Denniston, nagle się zatrzymując. - Grunt jest kamienisty. Tak nie było, jak szliśmy pod górę. Jesteśmy na innym polu.

- A ja sądzę, że idziemy dobrze - oznajmił spokojnie Dimble. - Skręciliśmy w lewo, wzdłuż tego żywopłotu, jak tylko wyszliśmy z zagajnika, a dobrze pamiętam, że...

- Ale może wyszliśmy zagajnika po złej stronie? - przerwał mu Denniston.

- Jeśli raz zaczniemy zmieniać kierunek, będziemy krążyć w kółko przez całą noc. Idźmy prosto dalej. Musimy w końcu dojść do drogi.

- Posłuchajcie! - zawołała Jane. - Co to takiego?

Nad słuchiwali. Wiatr sprawiał, że trudne do zidentyfikowania dźwięki, które starali się dosłyszeć, zdawały się przez chwilę dochodzić z daleka, lecz już w następnej sekundzie wszyscy troje rzucili się gwałtownie do tyłu, do żywopłotu, z okrzykami: „Uwaga!”, „Precz, głupia bestio!” i „Do tyłu!”, kiedy tuż obok nich rozległ się tętent konia po miękkim, rozmokłym gruncie. Wielka, zimna pacyna błota uderzyła Dennistona w twarz.

- Hej! Widzicie?! - zawołała Jane. - Zatrzymajcie go! Szybko!

- Zatrzymać go? - zdziwił się Denniston, próbując oczyścić twarz z błota. - A niby po co?! Nie mam ochoty na nowe spotkanie z tym głupim czworonogiem!

- Doktorze Dimble, niech pan za nim woła! - krzyczała rozpaczliwie Jane. - Szybko! Za nim! Czy pan nie widział?

- Czego? - wydyszał Dimble, kiedy wszyscy, ulegając natarczywym wezwaniom Jane, rzucili się w pościg za uciekającym koniem.

- Ktoś na nim jechał - wyrzuciła z siebie Jane, z trudem łapiąc oddech.

Okazało się też, że zgubiła pantofel.

- Człowiek?! - zawołał Denniston. - Na Boga, doktorze, Jane ma rację! Patrzcie! Patrzcie tam! Na tle nieba... na lewo!

- Nie dogonimy go - wysapał Dimble.

- Heeej! Zatrzymaj się! Wróć! Przyjaciele... *amis... amici...* - belkotał Denniston.

Dimble nie mógł wydobyć z siebie głosu. Był już stary i odczuwał zmęczenie, zanim wyruszyli na tę wyprawę, a teraz jego serce i płuca dawały mu rozpaczliwe sygnały, których znaczenie poznał parę lat temu podczas wizyty u doktora. Nie czuł strachu, ale nie był w stanie krzyknąć (zwłaszcza w starym języku solarnym). Stał, próbując złapać oddech, gdy nagle dwoje pozostałych krzyknęło jeszcze raz: „Uwaga!”, ponieważ wysoko, na tle gwiazd, nienaturalnie wielki i zdający się mieć wiele nóg pojawił się kształt konia przesadzającego żywopłot jakieś dwadzieścia metrów od nich. A na jego grzbiecie, w obszernym, długim płaszczu powiewającym na wietrze, siedziała wielka postać mężczyzny. Jane wydawało się, że popatrzył na nich przez ramię jakby kpiąco. Rozległ się plusk i głuchy odgłos, gdy koń wylądował po drugiej stronie, a potem... potem słyszeli już tylko wiatr i widzieli jaśniejące gwiazdy.

* * *

- Jest pan w niebezpieczeństwie - powiedział Frost, gdy zamknął za sobą na klucz drzwi celi - ale również w zasięgu wielkich możliwości.

- Wnioskuje - rzekł Mark - że jestem w instytucie, a nie na posterunku policji.

- Tak. Jeśli chodzi o zagrożenie, niczego to nie zmienia. Instytut będzie miał wkrótce oficjalne

uprawnienia do likwidacji niepożądanych osób. Tymczasem antycypujemy je. Hingest i Carstairs zostali zlikwidowani. Tego się od nas oczekuje.

- Jeżeli chcecie mnie zabić, to po co ta cała farsa z oskarżeniem o morderstwo?

- Zanim przejdziemy do sedna - powiedział Frost - chciałbym pana prosić o pewien wysiłek. Niech się pan postara zachować obiektywizm. Złość i strach są zjawiskami chemicznymi. Nasze reakcje na siebie są zjawiskami chemicznymi. Stosunki społeczne opierają się na reakcjach chemicznych. Powinien pan patrzeć na te emocje w sposób obiektywny. Niech pan nie pozwala, by odwracały pana uwagę od faktów.

- Rozumiem - odrzekł Mark.

Zdecydował się nadal grać rolę naiwnego i postarał się, aby w jego głosie obok rezygnacji zabrzmiała jednak słaba nadzieja. Nowe spojrzenie na Belbury nie pozwalało mu już wierzyć w ani jedno słowo Frosta ani zaakceptować (choć mógł udawać akceptację) jakiegokolwiek jego oferty. Czuł, że musi za wszelką cenę podtrzymywać w sobie przekonanie, iż ci ludzie są jego nieprzejednanymi wrogami, bo już odzywała się w nim dawna skłonność do uległości, do łatwowierności.

- Postawienie pana w stan oskarżenia o morderstwo oraz pewna zmiana w traktowaniu pańskiej osoby były elementami programu mającego jasno określony cel. Taką procedurę przechodzi każdy kandydat do Kręgu.

Mark ponownie poczuł atak retrospektywnego przerażenia. Jeszcze kilka dni temu natychmiast połknąłby przynętę i tylko bliskość śmierci pozwalała mu dostrzec tak wyraźne haczyki i fałszywość przynęty. W każdym razie przynęta nie pociągała go już tak, jak jeszcze przed kilkoma dniami, bo nawet teraz...

- Nie bardzo widzę cel tego wszystkiego - powiedział głośno.

- Celem jest, powtórzę, promocja obiektywizmu. Krąg ludzi związanych ze sobą subiektywnymi uczuciami wzajemnego zaufania i sympatii byłby bezużyteczny. Są to, jak już mówiłem, zjawiska chemiczne. Wszystkie uczucia można wywołać zastrzykami. Świadomie wzbudziliśmy w panu konfliktowe uczucia wobec wicedyrektora i innych spośród nas, aby pańskie przyszłe pełne członkostwo w Kręgu nie opierało się na żadnych uczuciach. Jeśli już pewne relacje społeczne między członkami Kręgu są konieczne, to lepiej, aby były to uczucia odrazy. Mniejsze wówczas ryzyko, że pomyli się je z prawdziwym *nexus*. [Nexus (łac.) - więzy, zobowiązanie.]

- Moje pełne członkostwo? - powtórzył Mark, symulując drżącą gorliwość.

Nie sprawiło mu to żadnej trudności. Rzeczywistość mogła dać o sobie znać w każdej chwili.

- Tak. Wybrano pana na ewentualnego kandydata. Jeśli nie zostanie pan przyjęty lub jeśli pan odmówi, będziemy musieli pana zlikwidować. Nie próbuję, oczywiście, wzbudzić w panu strachu. Strach mógłby tylko utrudnić panu świadomą decyzję. Sama procedura byłaby całkowicie bezbolesna, a pańskie terazniejsze reakcje na nią są jedynie zjawiskami czysto fizycznymi.

Mark udał, że dokładnie rozważa te słowa.

- To... to brzmi dość zachęcająco - powiedział w końcu.

- Na razie jest to tylko propozycja dotycząca stanu pańskiego ciała. Jeśli pan pozwoli, udzielę panu koniecznych informacji. Muszę zacząć od tego, że ani wicedyrektor, ani ja nie jesteśmy odpowiedzialni za kształtowanie polityki instytutu.

- To... Głowa?

- Nie. Filostrato i Wilkins nie znają prawdy o Głowie, choć niezależnie od wszystkiego przeprowadzają godny uwagi eksperyment, powstrzymując ją od rozkładu. Ale to nie z umysłem Alcasana kontaktujemy się, gdy Głowa przemawia.

- Czy to znaczy, że Alcasan jest naprawdę... martwy?

Tym razem Mark nie musiał udawać zaskoczenia.

- W obecnym stanie naszej wiedzy - odrzekł Frost - nie ma odpowiedzi na to pytanie. Prawdopodobnie ten problem nie ma żadnego znaczenia. Z rdzenia mózgowego i organów głosowych w głowie Alcasana korzysta inny umysł. A teraz niech pan słucha uważnie. Prawdopodobnie nie słyszał pan o makrobach.

- O makrobach?! Ależ oczywiście...

- Nie powiedziałem „o makrobach”, lecz „o makrobach”. Struktura tego słowa wyjaśnia wszystko. Od dawna wiemy, że poniżej życia zwierzęcego są mikroskopijne organizmy. Ich faktyczny wpływ na życie ludzkie, w aspekcie zdrowia i chorób, stanowi, jak pan wie, zasadniczy człon naszej historii. Tę tajemnicę odkryto po wynalezieniu mikroskopu.

- Niech pan mówi dalej - powiedział Mark.

Jego determinację, by mieć się na baczności i nie dać się zwieść, zaczęła tłumaczyć jakaś żarłoczna ciekawość.

- Pragnę pana teraz poinformować, że podobne organizmy są również powyżej poziomu życia zwierzęcego. Mówiąc „powyżej”, nie używam języka biologii. Struktura makroba, jak ją dotychczas poznaliśmy, jest niezwykle prosta. Mówiąc, że makroby są powyżej życia zwierzęcego, chcę powiedzieć, że są one bardziej trwałe, dysponują większą energią i mają wyższą inteligencję.

- Są bardziej inteligentne od najwyższej rozwiniętych antropoidów? - zapytał Mark. - A więc muszą być bardzo bliskie ludzi?

- Nie zrozumiał mnie pan. Kiedy powiedziałem, że przewyższają zwierzęta, włączyłem w to pojęcie najbardziej sprawne zwierzę, człowieka. Makroby są bardziej inteligentne od ludzi.

Mark zmarszczył czoło, zastanawiając się nad tą teorią.

- Jeśli tak, to dlaczego nie mamy z nimi kontaktu?

- Nie jest wcale takie pewne, że nie mamy. W prymitywnych czasach co jakiś czas do tego dochodziło, ale wzbraniały tego liczne przesady. Poza tym intelektualny rozwój człowieka nie osiągnął jeszcze takiego poziomu, przy którym kontakt z naszym gatunkiem - byłby atrakcyjny dla makroba. Trudno mówić o bezpośrednich relacjach, ale głęboki wpływ makrobów na ludzką historię jest niewątpliwy. Ten wpływ był i jest o wiele większy od wpływu, jaki wywarły i wywierają na nasze losy mikroby, choć i tego przez wieki nie dostrzegano. W świetle tego, co już wiemy, należałoby całą historię świata napisać na nowo. Prawdziwe przyczyny wszystkich wielkich wydarzeń są zupełnie nieznane historykom. Właśnie dlatego historia jeszcze nie zasługuje na miano prawdziwej nauki.

- Chciałbym usiąść, jeśli to panu nie przeszkadza - powiedział Mark, siadając na podłodze.

Frost wciąż stał nieruchomo, z rękami zwieszonymi po bokach. Od czasu do czasu podrywał lekko głowę i błyskał zębami na końcu jakiegoś zdania, ale poza tym nie wykonywał żadnych gestów.

- Narządy głosowe i mózg Alcasana - ciągnął - stały się przekaźnikami regularnych kontaktów między makrobami i naszym gatunkiem. Nie twierdzę, że odkryliśmy, na czym to polega; to one odkryły tę technikę, nie my. Krag, do którego może pan być przyjęty, jest organem współpracy między dwoma gatunkami. Stwarza to całkowicie nową sytuację dla ludzkości. Jest to zmiana o wiele większa od tej, która oddzieliła formy przedludzkie od człowieka, porównywalna z pierwszym pojawieniem się życia organicznego.

- A więc te organizmy są przyjazne ludziom?

- Gdyby się pan przez chwilę zastanowił, zrozumiałby pan, że to pytanie nie ma sensu. Odzwierciedla ono jedynie bardzo prymitywny, choć wciąż popularny sposób myślenia. Przyjaźń to zjawisko chemiczne, podobnie jak nienawiść. Oba uczucia zakładają organizmy naszego typu.

Pierwszy krok ku nawiązaniu relacji z makrobami polega na zdaniu sobie sprawy z tego, że należy wyjść poza świat naszych subiektywnych emocji. Dopiero wówczas można odkryć, w jakim stopniu to, co błędnie uważa się za nasze myśli, jest jedynie produktem ubocznym układu krwionośnego i nerwowego.

- Och, oczywiście. Ja nie użyłem słowa „przyjazne” w tym sensie. Chodzi mi o to, czy ich cele są porównywalne z naszymi?

- Co pan rozumie przez „nasze cele”?

- No... przypuszczam, że... naukowa rekonstrukcja gatunku ludzkiego pod kątem jego większej skuteczności... eliminacja wojny i nędzy... pełniejsze wykorzystanie zasobów naturalnych... faktyczne zachowanie i dalszy rozwój naszego gatunku...

- Nie sądzę, by ten pseudonaukowy język naprawdę zasadniczo zmienił subiektywną i instynktowną podstawę etyki, jaką pan opisuje. Jeszcze do tego powrócimy. Na razie pragnę tylko zauważyć, że pański pogląd na wojnę i na zachowanie gatunków zdaje się polegać na głębokim nieporozumieniu. To są tylko uogólnienia wysnute z doświadczeń afektywnych.

- To chyba oczywiste - rzekł Mark - że potrzeba dużej populacji do pełnego wykorzystania zasobów przyrody, bo... po cóż innego? A trudno zaprzeczyć, że wojna redukuje populację i skuteczność działania. A nawet jeśli populacja wymaga zmniejszenia, to przecież wojna jest chyba najgorszą z metod przeprowadzenia tej operacji.

- Ta idea jest przeżytkiem z epoki, w której panowały zupełnie inne warunki. Kilka stuleci temu wielka rolnicza populacja była rzeczywiście niezbędna, a wojny eliminowały te jednostki, które wówczas były nadal użyteczne. Postęp w przemyśle i w rolnictwie ogranicza jednak liczbę potrzebnych pracowników. Wielka, mało inteligentna populacja staje się dziś balastem. Prawdziwa wartość wojny prowadzonej naukowymi metodami polega na tym, że ochrania się naukowców. Wśród ofiar oblężenia Stalingradu nie było wielkich technokratów z Królewca czy Moskwy. Tam zginęli przesądni bawarscy chłopcy i zacofani rosyjscy kołchoźnicy. Rezultatem nowoczesnej wojny jest eliminacja typów retrogresywnych, przy jednoczesnej ochronie technokracji i wzroście jej wpływu na życie publiczne. W nowej epoce to, co dotychczas było jedynie intelektualnym rdzeniem gatunku, ma się stopniowo stać samym gatunkiem. Musi pan spojrzeć na nasz gatunek jak na zwierzę, które odkryło, jak uprościć odżywianie i lokomocję do tego stopnia, by dawny złożony organizm i wielkie ciało nie były mu już potrzebne. To wielkie ciało musi więc zginąć. Do podtrzymania pracy mózgu potrzebna będzie tylko jedna dziesiąta dawnego ciała. Jednostka ma stać się jedną głową. Ludzką rasą będzie jedynie Technokracja.

- Rozumiem - powiedział Mark. - A zawsze myślałem, że inteligentny rdzeń ludzkości ma się kształtować i rozwijać poprzez edukację.

- To czysta mrzonka. Olbrzymia część ludzkiego gatunku może skorzystać z edukacji tylko w tym zakresie, że dostarczy się jej wiedzy. Nie można jej wpoić totalnego obiektywizmu, który jest teraz niezbędny. Większość ludzi zawsze pozostanie zwierzętami, patrzącymi na świat przez mgłę swoich subiektywnych reakcji. A nawet gdyby to było możliwe, przeminęła już era wielkiej populacji. Spełniła ona funkcję czegoś w rodzaju kokonu, w którym dojrzewał technokratyczny i obiektywny Nowy Człowiek. Teraz makroby i wybrane, współpracujące z nimi jednostki, już jej nie potrzebują.

- A więc, z pańskiego punktu widzenia, dwie ostatnie wojny wcale nie były nieszczęściem dla ludzkości?

- Przeciwnie, były po prostu początkiem całego programu, dwiema z szesnastu wielkich wojen, jakie są zaplanowane jeszcze w tym stuleciu. Jestem świadom, że to stwierdzenie wywołuje w panu określone emocjonalne, czyli chemiczne, reakcje, i niech pan nie traci czasu, próbując je przede mną

ukryć. Nie oczekuję od pana, że zdoła je pan teraz opanować. To nie jest droga do prawdziwego obiektywizmu. Wzbudzam je w panu całkiem świadomie, aby się pan przyzwyczaił do traktowania ich w sposób czysto naukowy i potrafił je wyraźnie odróżnić od faktów.

Mark siedział z oczami utkwionymi w podłogę. Cały ten program odnowy ludzkiej rasy nie wzbudzał w nim większych emocji; przeciwnie, prawie już odkrył, jak mało go tak naprawdę obchodziły owe przyszłe, uniwersalne dobrodziejstwa, na których od samego początku teoretycznie opierała się jego współpraca z instytutem. W tym momencie nie był po prostu miejsca na takie rozważania. Rozdzierał go konflikt między postanowieniem, aby nie ufać tym ludziom, nigdy nie ulegać ich sprytnym namowom i nie dać się wciągnąć do prawdziwej współpracy, a straszną siłą przeciwstawnej emocji, która pociągała go jak cofająca się fala porywa za sobą przybrzeżny żwir. Bo oto dotarł wreszcie z całą pewnością (tak szeptał mu pożądanie) do prawdziwego Wewnętrznego Kręgu, którego centrum znajdowało się poza ludzkim gatunkiem, do ostatecznej tajemnicy, do najwyższej władzy, do ostatniego stopnia wtajemniczenia. To, że owa tajemnica okazała się tak przerażająca, bynajmniej nie osłabiała jej uwodzicielskiego czaru. Nic, czemu by brakowało tego posmaku grozy, nie byłoby wystarczająco silne, aby zaspokoić oszałamiające podniecenie, jakie tętniło teraz w jego żyłach. Przyszło mu na myśl, że Frost zdaje sobie w pełni sprawę zarówno z tego podniecenia, jak i z przeciwstawnej mu determinacji, i spokojnie czeka na to, by podniecenie zwyciężyło.

Rozlegające się od pewnego czasu pukanie stało się tak natarczywe, że Frost podszedł do drzwi.

- Proszę odejść! - powiedział, podnosząc głos. - Co ma znaczyć ta impertynencja?

Zza drzwi dobiegł czyjś donośny głos, a potem znowu rozległo się pukanie. Frost uśmiechnął się, odwrócił i otworzył drzwi. Ktoś włożył mu do ręki kartkę. Przeczytał ją, wzdrygnął się i nie spojrzawszy nawet na Marka, opuścił celę.

Mark usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

* * *

- Ale z nich przyjaciele! - powiedziała Ivy Maggs.

Ta uwaga odnosiła się do kotki Szczypki i Pana Bultitude'a, niedźwiedzia. Ten ostatni siedział przytulony grzbietem do ciepłej ściany kuchennego pieca. Policzki miał tak tłuste, a oczy tak małe, że wyglądał, jakby się uśmiechał. Przez jakiś czas Szczypka, chodząc w tę i z powrotem, ocierała się o jego brzuch z wyprostowanym ogonem, a potem zwinęła w kłębek między jego tylnymi łapami i zapadła w drzemkę. Siedzący na ramieniu Przewodniczącego gawron już dawno wsunął łebek pod skrzydło.

Pani Dimble, która siedziała w głębi kuchni, zawzięcie coś cerując, zacisnęła usta. Nie mogła iść do łóżka i wolałaby, żeby wszyscy siedzieli cicho. Jej lęk osiągnął poziom, na którym prawie każde wydarzenie, nawet błahe, groziło wybuchem irytacji. Gdyby jednak ktoś obserwował wyraz jej twarzy, dostrzegłby, że lekki grymas szybko z niej zniknął. Miała za sobą całe lata praktyki w ćwiczeniu swojej woli.

- Użycie słowa „przyjaciele” w stosunku do tych dwóch stworzeń - odezwał się MacPhee - nie jest jedynie przejawem antropomorfizmu. Trudno oprzeć się iluzji, że mają ludzką osobowość. Ale nie ma na to żadnych dowodów.

- No więc co takiego pcha tę kotkę w jego objęcia? - zapytała Ivy.

- Prawdopodobnie zwykłe pragnienie ciepła. Między tymi łapami nie ma przeciągu. W grę wchodzi też poczucie bezpieczeństwa w bliskości kogoś znajomego. Być może odgrywają też

pewną rolę jakieś przeniesione impulsy seksualne.

- No wie pan, MacPhee! - oburzyła się Ivy. - Powiedzieć coś takiego o dwóch niemych zwierzakach! Jestem pewna, że nigdy nie widziałam tej kotki... albo tego biedaka Pana Bultitude'a...

- Użyłem przymiotnika „przeniesione” - przerwał jej chłodno MacPhee. - Niezależnie od tego, one lubią się ocierać ze względu na podrażnienia wywoływane przez pasożyty. Można zaobserwować...

- Jeśli chciał pan powiedzieć, że mają pchły, to wie pan równie dobrze jak każdy w tym domu, że nic podobnego im się nie przydarzyło.

Był to celny argument, bo to właśnie MacPhee raz w tygodniu wkładał kombinezon i prowadził Pana Bultitude'a do pralni, gdzie go mydlił od pyska po ogon, oblewał kubelkami wody i suszył, a zajmowało mu to prawie cały dzień.

- A pan co o tym sądzi, panie Przewodniczący? - spytała, patrząc na Ransoma.

- Ja? Myślę, że MacPhee wprowadza do życia zwierzęcego pewne rozróżnienie, którego tam w rzeczywistości nie ma, a potem próbuje określić, po której stronie tego rozróżnienia można umieścić uczucia Szczypki i Pana Bultitude'a. Trzeba stać się człowiekiem, aby możliwe było rozróżnienie między fizycznym pożądaniem a związkiem uczuciowym, tak jak trzeba być osobą uduchowioną, aby odróżnić związek uczuciowy od miłości bliźniego. To, co zachodzi w tych zwierzętach, nie jest ani jednym, ani drugim. Jest to coś, w czym można odnaleźć zarodek tego, co nazywamy przyjaźnią oraz potrzebą fizycznej bliskości, ale na tym poziomie jeszcze tym nie jest. To raczej jedna z „odwiecznych harmonii” Barfielda.

- Nigdy nie zaprzeczałem, że lubią być razem - mruknął MacPhee.

- Właśnie to powiedziałam - burknęła pani Maggs.

- Ale to dość istotny problem, panie Przewodniczący - rzekł MacPhee - bo pozwałam sobie zauważyć, że wskazuje na zasadniczy błąd w całym systemie tego miejsca.

Grace Ironwood, która dotąd siedziała z przymkniętymi oczami, nagle je otworzyła i utkwiała w ulsterczyku, a pani Dimble pochyliła głowę ku Camilli i szepnęła:

- Bardzo bym chciała, żeby ktoś wysłał pana MacPhee do łóżka. W tych okolicznościach jest zupełnie nie do zniesienia.

- Co masz na myśli, MacPhee? - zapytał Przewodniczący.

- A to, że mamy tu do czynienia z nieco wymuszoną próbą traktowania tych nierozumnych stworzeń w sposób, którego nie da się logicznie uzasadnić. I niech mi będzie wolno stwierdzić, że nigdy pan tego nawet nie próbował. Ten niedźwiedź łązi sobie po całym domu, obżera się jabłkami i opija syropem klonowym, że o mało już nie pęknie...

- No nie! - zawołała pani Maggs. - A kto mu wciąż podsuwa te jabłka? Bardzo chciałabym to usłyszeć!

- Tego niedźwiedzia, jak już zauważyłem - ciągnął MacPhee - trzyma się tutaj w domu i najwyraźniej rozpieszca. Świnie trzyma się w chlewie i zabija, żeby mieć bekon. Chciałbym poznać filozoficzne przesłanki takiego rozróżnienia.

Ivy Maggs przeniosła zdumione spojrzenie z uśmiechniętej twarzy Przewodniczącego na pełną powagi twarz ulsterczyka.

- To jakaś głupota - powiedziała. - Kto słyszał, żeby robić bekon z niedźwiedzia?

MacPhee tupnął lekko, okazując zniecierpliwienie, i odrzekł coś, co zostało zagłuszone najpierw przez donośny śmiech Ransoma, a potem przez silne uderzenie wiatru w okno.

- Ale mają okropną pogodę w tę noc! - westchnęła pani Dimble.

- A ja to lubię - powiedziała Camilla. - Bardzo bym chciała być na zewnątrz. Na jakimś wysokim wzgórzu. Och, jakbym chciała być teraz razem z nimi, panie Przewodniczący!

- Ty to lubisz? - zdumiała się Ivy. - Och, ja nie! Nie wystawiłbym głowy za róg domu. Gdybym była tutaj sama, to miałbym gęsią skórę. Nawet jakby pan był na górze, panie Przewodniczący. Zawsze sobie myślę, że właśnie w takie noce jak ta, oni... no wie pan... przychodzą do pana.

- Ivy, oni w ogóle nie zwracają uwagi na pogodę - odrzekł Ransom.

- Wie pan, jest coś, czego nie rozumiem - powiedziała cicho Ivy. - Oni są tacy dziwni, ci, co do pana przychodzą. Nie zbliżyłabym się na krok do tej części domu, gdybym myślała, że oni tam są, nawet gdyby mi pan zapłacił sto funtów. A nie czuję czegoś takiego do Boga, chociaż On jest chyba jeszcze straszniejszy... Chyba pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć.

- Kiedyś był - odrzekł Ransom. - Ale masz całkowitą rację co do Potęg. Ogólnie rzecz biorąc, aniołowie nie są dobrym towarzystwem dla ludzi, nawet w przypadku dobrego anioła i dobrego człowieka. To wszystko można znaleźć w Listach świętego Pawła. Ale wszystko to się zmieniło, jeśli chodzi o samego Maledila. Zmieniło się przez to, co wydarzyło się w Betlejem.

- A Boże Narodzenie już za pasem - powiedziała Ivy, zwracając się do wszystkich.

- A więc będziemy tu niedługo gościć pana Maggsa - powiedział Ransom.

- Za dzień albo dwa - dodała Ivy.

- Czy to tylko wiatr? - zapytała nagle Grace Ironwood.

- To mi przypomina tętent konia - powiedziała pani Dimble.

- Och! - zawołał MacPhee, podrywając się z miejsca. - Z drogi, Panie Bultitude, bo muszę włożyć gumki. To pewnie znowu te dwa konie Broada tratują moje selery. Gdyby tylko pozwolił mi pan najpierw pójść na policję... Dlaczego ten człowiek nie trzyma ich w stajni... - mruczał do siebie, wkładając nieprzemakalny płaszcz.

- Moja laska, Camillo - powiedział Ransom. - MacPhee, wracaj. Podejźmy do drzwi razem, ty i ja. Panie zostaną na swoich miejscach.

Na jego twarzy pojawił się wyraz, jakiego nikt z obecnych jeszcze nie widział. Cztery kobiety zamarły, wytrzeszczając oczy. W chwilę później Ransom i MacPhee stali sami w sionce, która służyła za zmywalnię. Wiatr wstrząsał tylnymi drzwiami tak, że nie wiedzieli, czy ktoś puka, czy nie.

- Teraz - powiedział Ransom. - Otwieraj. I stań za drzwiami.

MacPhee mocował się przez chwilę z zasuwami, gdy nagle gwałtowne uderzenie wiatru pchnęło drzwi do środka, przyciskając go do ściany. Ransom, wsparty na lasce, wychylił się do przodu i w padającym z sieni świetle ujrzał olbrzymiego konia, okrytego potem i pianą z obnażonymi żółtymi zębami, uszami płasko przyklejonymi do czaszki i pbnącymi oczami. Był tak blisko drzwi, że jego przednie kopyta opierały się o próg. Nie miał na sobie siodła ani uprzęży, lecz właśnie w tym momencie z jego grzbietu zeskoczył jakiś mężczyzna. Wysoki i potężnie zbudowany, prawie olbrzym. Rudawosiwe włosy i długa broda przysłaniały mu twarz i dopiero gdy zrobił krok w kierunku drzwi, Ransom zauważył, że ma na sobie podarty, wyraźnie nie pasujący na niego płaszcz koloru khaki, workowate spodnie i buty z rozerwanymi noskami.

* * *

W wielkim pokoju w Belbury na kominku płonął ogień, a na stolikach rozstawionych pod ścianami połyskiwały butelki z winem i srebrna zastawa. Pośrodku stało wielkie łoże. Wicedyrektor obserwował czterech ludzi, którzy wnieśli nosze, obarczone jakimś ciężarem. Kiedy rozchylili prześcieradło i przenieśli ów ciężar na łoże, Wither przyjrzał mu się z najwyższym zainteresowaniem. Przez chwilę znikł z jego twarzy chaos, który zwykle na niej gościł, i wyglądał

jak normalny człowiek. Było to nagie ludzkie ciało, najwyraźniej żywe, lecz pogrążone we śnie lub letargu. Wydał polecenie, by umieścili pod stopami termofory i podłożyli poduszki pod głowę. Kiedy odeszli, przysunął krzesło do łóża i usiadł, pogrążając się w studiowaniu ciała, zwłaszcza głowy, która wydawała się nienaturalnie wielka, być może dzięki długo nie strzyżonej, niechlujnej brodzie i potarganym siwym włosom. Twarz była porwana zmarszczkami, a szyja wychudzona i zwiotczała. Oczy były zamknięte, a usta lekko rozchylone, jakby w uśmiechu. Trudno było coś powiedzieć o tym człowieku. Wither przyglądał mu się długo, od czasu do czasu przekrzywiając głowę, aby spojrzeć na niego pod innym kątem, prawie tak, jakby szukał jakiejś szczególnej cechy i był zawiedziony. Siedział tak w skupieniu około kwadransa, po czym drzwi się otworzyły i wszedł profesor Frost.

Zbliżył się do łóża, pochylił i popatrzył na twarz leżącego mężczyzny. Potem obszedł łóżo i zrobił to samo z drugiej strony.

- Czy on śpi? - zapytał szeptem Wither.

- Chyba nie. To raczej coś w rodzaju transu. Ale jakiego rodzaju, nie wiem.

- Nie masz żadnych wątpliwości?

- Gdzie go znaleźli?

- Ćwierć mili od wejścia do tunelu. Szli po śladach nagich stóp.

- Komora była pusta, tak?

- Tak. Stone złożył mi raport w chwilę potem, jak ode mnie wyszedłeś.

- Zabezpieczyłeś się, jeśli chodzi o Stone'a?

- Tak. Ale co o tym myślisz? - Wither wskazał spojrzeniem na łóżo.

- Myślę, że to on - odparł Frost. - Miejsce się zgadza. Nagość trudno byłoby wyjaśnić w inny sposób. Czaszka jest taka, jakiej się spodziewałem.

- Ale twarz...

- Tak. Pewne cechy są trochę niepokojące.

- Mógłbym przysiąc - rzekł Wither - że zawsze rozpoznam jednego z Władców, a nawet kogoś, kto dopiero może zostać Władcą. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi... Moż na od razu stwierdzić, że Straik czy Studdock odpowiadają kryteriom, natomiast pani Hardcastle, pomimo jej wszystkich wspaniałych zalet, na pewno nie.

- Tak. Ale może powinniśmy być przygotowani na dość wyraźne przejawy... braku ogłady, kiedy się przebudzi. W końcu niewiele wiemy o poziomie techniki w Kręgu Atlantydzkim.

- Z całą pewnością nie wolno nam myśleć... ee... zbyt ciasnymi kategoriami. Można przypuszczać, że w tamtej epoce różnica między Władcami a przeciętnymi ludźmi nie była tak ostra jak dziś. Być może w Wielkiej Atlantydzie wciąż tolerowano różne rodzaje czynników emocjonalnych, a nawet instynktownych. Tych, które my musimy odrzucić.

- Nie można tego tylko zakładać, trzeba to przyjąć za pewnik. Nie powinno się zapominać, że cały nasz plan polega na ponownym zjednoczeniu różnych rodzajów wiedzy.

- Właśnie. Może jeśli ktoś ma kontakt z Potęgami... biorąc pod uwagę ich odmienną skalę czasu i całą resztę... to czasem zapomina, że chodzi o wielką przepaść w upływie czasu... zgodnie z naszymi zwykłymi standardami.

- To, co tutaj mamy - rzekł Frost, wskazując na śpiącego - nie pochodzi z piątego wieku. To ostatnia pozostałość, która przetrwała aż do piątego wieku, czegoś o wiele starszego. Czegoś, co pochodzi sprzed Wielkiej Zagłady, nawet sprzed prymitywnego druidyzmu, czegoś z Numinoru, z epoki przedlodowcowej.

- Cały ten eksperyment jest chyba bardziej ryzykowny, niż przypuszczaliśmy.

- Miałem już nieraz sposobność - rzekł Frost - wyrazić życzenie, abyś nie wprowadzał takich

pseudoemocjonalnych spostrzeżeń do naszych dyskusji naukowych.

- Drogi przyjacielu - odpowiedział Wither, nie patrząc na niego - wiem, że temat, o którym wspomniałeś, był przedmiotem twoich rozmów z samymi Potęgami. Jestem tego w pełni świadomy. Nie wątpię, że i ty jesteś w równym stopniu świadomy, iż ja rozmawiałem z nimi na temat pewnych aspektów twoich metod, które można oceniać krytycznie. Nic nie byłoby bardziej jałowe... a powiedziałbym nawet bardziej groźne... od prób wprowadzania między nami tych rodzajów dyscypliny perswazyjnej, które stosujemy wobec naszych współpracowników niższej rangi.

Ośmielam się zwrócić ci na to uwagę jedynie w trosce o nasz własny interes.

Zamiast odpowiedzi Frost dal mu znak głową. Obaj zamilkli, wpatrując się w łożo, bo śpiący otworzył oczy.

Otwarcie oczu spowodowało, że twarz nabrała wyrazu, ale ów wyraz trudno było zinterpretować. Starzec zdawał się na nich patrzeć, ale nie byli pewni, czy ich widzi. Mijały sekundy i Wither w końcu uznał, że ta twarz wyraża przede wszystkim czujność, której nie towarzyszył jednak jakiś wyraźny niepokój. Była to raczej zwykła, nie nerwowa czujność, nabyta przez lata ciężkich doświadczeń znoszonych spokojnie, a nawet może z pewnym humorem.

Wither powstał i odchrząknął.

- *Magister Merline* - zaczął - *Sapientissime Britonum, secreti secretorum possessor, incredibiliquodam gaudio affirmurquod te in domum nostram accipere nobis, .. ee... contingit. Scito nos etiam haud imperitos esse magnae artis... et... ut ita dicam... [Mistrzu Merlinie najędrszy z Brytów, dziedzicu najtajniejszych tajemnic, oto z trudną do opisanja radością mamy możliwość powitania cię w naszym domu. Zrozumiesz, że i nam nie jest obca wielka wiedza... i ... jeśli wolno mi tak powiedzieć...]* Zamilkł. Było całkowicie oczywiste, że mężczyzna nie zwraca najmniejszej uwagi na jego przemowę. To niemożliwe, by tak uczony człowiek z piątego wieku nie znał łaciny.

- Może coś nie w porządku z moją wymową? - zaniepokoił się Wither.

Całkowity brak zainteresowania w twarzy tego czbwieka upewnił go jednak w przeświadczeniu, że nie chodzi tu o trudności w zrozumieniu jego łaciny. Wyglądało raczej na to, że Mistrz wcale go nie słucha.

Frost wziął karafkę ze stołu i napełnił kielich czerwonym winem. Wrócił do łoża, skłonił się głęboko i wręczył kielich leżącemu mężczyźnie. Ten spojrzał na kielich z miną, która mogła (choć niekoniecznie) wyrażać chytryść, po czym nagle usiadł, obnażając szeroką, owłosioną pierś i chude, muskularne ramiona. Rozejrzał się po pokoju, a potem wskazał palcem na stół. Frost wrócił do stołu i dotknął innej karafki. Mężczyzna potrząsnął głową i wskazał jeszcze raz.

- Wydaje mi się - rzekł Wither - że nasz bardzo znakomity gość pragnie wskazać na dzbanek, Nie bardzo wiem, co w nim jest. Może...

- Jest w nim piwo - powiedział Frost.

- Cóż, może to nieoczekiwane... ale tak mało wiemy o zwyczajach tamtej epoki...

Frost napełnił piwem duży cynowy kubek i podał gościowi, na którego trudnej do odczytania twarzy po raz pierwszy pojawił się przebłysk zainteresowania. Schwycił łąpczywie kubek, odgarnął splątane wąsy i zaczął pić, coraz bardziej odchylając siwą głowę do tyłu. Ruch grdyki i mięśni wychudłej szyi wskazywał na proces picia. W końcu wypił do dna, otarł mokre wargi wierzchem dłoni i westchnął głęboko - był to pierwszy odgłos, jaki z siebie wydał. Potem znowu popatrzył na stół.

Dwaj uczeni karmili go prawie dwadzieścia minut - Wither z nabożnym i ceremonialnym szacunkiem, Frost wprawnymi, bezgłośnymi ruchami dobrego służącego. Przygotowano wszelkie

rodzaje wymyślnych przysmaków, ale gość wykazywał zainteresowanie jedynie zimną wołowiną, kurczakiem, piklami, chlebem, serem i masłem. Masło jadł samo, końcem noża. Najwyraźniej nie był przyzwyczajony do używania widelca: brał kawałki kurczaka palcami, a po obgryzieniu kości chował je pod poduszkę. Kiedy się najadł, dał znak, że chce jeszcze jeden kubek piwa. Wypił go dwoma łykami, wytarł usta prześcieradłem, a nos ręką, i wyraźnie zabierał się do dalszego snu.

- Ach... ee... *domine* - odezwał się Wither nieco urażonym, natarczywym tonem - *nihil magis mihi displiceretquam ut tibi ullo modo... ee... molestior essem. Attamen, venia tua...* [Ach... eee... panie, nic nie byłoby bardziej dalekie od moich intencji niż sprawianie ci jakiegokolwiek kłopotów. Równocześnie jednak, jeśli pozwolisz...]

Ale mężczyzna nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Trudno było powiedzieć, czy ma całkowicie zamknięte oczy, czy wciąż patrzy na nich spod półprzymkniętych powiek, ale z całą pewnością nie zamierzał z nimi rozmawiać. Frost i Wither wymienili pytające spojrzenia.

- Czy do tego pokoju można wejść tylko przez sąsiedni? - zapytał Frost.

- Tak.

- Wyjdźmy tam i przedyskutujmy sytuację. Możemy zostawić uchylone drzwi. Będziemy słyszeli, jak się poruszy.

* * *

Kiedy Frost nagle opuścił celę, Mark odczuł najpierw niespodziewaną lekkość w sercu. Nie oznacza to, że uwolnił się od lęku o swoją przyszłość, ale gęste opary strachu przebiło dziwne poczucie wyzwolenia. Ulga, jaką mu przyniosła świadoma rezygnacja z dalszych prób zdobycia zaufania tych ludzi i z towarzyszącej dotąd takim próbom huśtawki nadziei i zwątpienia, wprawiła go w stan graniczący z radością. Po długiej serii dyplomatycznych porażek nastąpił czas bezpośredniej walki. Bardzo go to pokrzepiło na sercu. Mógł przegrać walkę, ale w końcu wiedział, po której jest stronie. I w ogóle mógł teraz mówić o „swojej stronie”. A przecież oznaczało to, że znowu jest po stronie Jane i wszystkiego, co ona symbolizowała. I teraz to on był na pierwszej linii walki; Jane prawie nie brała w niej czynnego udziału...

Aprobata własnej świadomości jest napojem bardzo silnie uderzającym do głowy, zwłaszcza dla tych, którzy nie są do tego przyzwyczajeni. W ciągu następnych dwóch minut Mark przeszedł od pierwszego mimowolnego poczucia wyzwolenia do świadomej postawy odwagi, którą wkrótce zamieniła fala niepokonanego bohaterstwa. W jego wyobraźni zagościła wizja samego siebie jako bohatera i męczennika, jako Jacka Pogromcy Olbrzymów, zachowującego zimną krew nawet w kuchni olbrzyma, pozwalająca mu żywić nadzieję, że wyprze te inne, nieznośne wizje, które go nawiedzały przez ostatnie kilka godzin. W końcu nie każdego stać na odrzucenie propozycji, jaką złożył mu Frost, na wzgardzenie zaproszeniem do przekroczenia granic ludzkiego życia... do udziału w czymś, o czym ludzie marzyli od początków świata... na odepchnięcie dotyku owej nieskończonej tajemnicy, rdzenia, przez który przebiegał nerw całej historii. Kiedyś tak go to pociągało!

Kiedyś tak go to pociągało!... Nagle, jak coś, co spada z nieskończonej odległości z szybkością światła, potężne pożądanie (słone, czarne, żarłoczne, nienasycone pożądanie) schwyciło go za gardło i zaczęło nim wstrząsać, tak jak pies potrząsa szczurem. Tym, którzy takiego uczucia doświadczyli, już samo wspomnienie przynosi smak jego siły, natomiast tym, którzy go nigdy nie doznali, nie pomoże żaden opis. Wielu pisarzy mówi o nim jak o zmysłowej żądzy; jest to opis wspaniale oświetlający rzecz od wewnątrz, lecz zaciemniający ją od zewnątrz. To pożądanie nie ma bowiem nic wspólnego z ciałem, choć w dwu aspektach przypomina żądzę zmysłową, tak jak jawi

się ona w najgłębszym i najciemniejszym zakątku labiryntu ludzkiej świadomości. Podobnie jak żądza odczarowuje świat. Wszystko inne, co Mark kiedykolwiek czuł - miłość, ambicja, głód, samo pożądanie zmysłowe - wydało mu się teraz czymś mdłym i nudnym, czymś, co człowiek dorosły odrzuca jak dziecienną zabawkę, niewartą jednego drgnienia nerwów. Nieskończony powab owej mrocznej siły wessał w siebie wszystkie inne namiętności: reszta świata zbladła, utraciła wyraz, stała się światem białych małżeństw i bezosobowych mas, potraw bez soli, hazardu bez ryzyka. Teraz nie potrafił już myśleć o Jane inaczej, jak o obiekcie pożądania, a w tym świecie pożądanie już go nie pociągało. W obliczu prawdziwego smoka ten wąż stał się bezzębną glistą. Przypominała również żądzę cielesną w innym aspekcie. Zdeprawowany człowiek nie jest w stanie dostrzec okropności swojej perwersji: kiedy włada nim z całą dziką mocą, właśnie owa okropność nadaje żądzę smaku. To brzydota staje się w końcu celem rozpusty; piękno nie dojrzewa na tyle, by stać się bodźcem.

I tak właśnie było teraz. Istoty, o których mówił Frost - a Mark nie wątpił, że naprawdę są w jego celi - tchnęły śmiercią na całą ludzką rasę i na całą radość tego świata. I wcale nie pomimo to, lecz właśnie dlatego przyciągały go, wsysały, szarpały ku sobie ze straszną, przemożną siłą. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak przemożnej siły ruchu przeciwnego naturze, siły, która teraz nim oładnęła, przymuszając do odrzucenia wszelkich oporów, do nakreślenia każdego koła na nowo, ruchem przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Teraz pojął znaczenie pewnych wizji, pojął, co miał na myśli Frost, mówiąc o „obiektywności”, pojął, co naprawdę robiły czarownice w dawnych czasach. Stała mu przed oczami twarz Withera i tym razem, oprócz odrazy, poczuł coś innego: jakąś budzącą dreszcz satysfakcję, gdy dostrzegł w niej oznaki wspólnoty ich doznań. Wither też wiedział. Wither pojmował...

W tej samej chwili przypomniał sobie, że prawdopodobnie go zabiją. Gdy tylko o tym pomyślał, dotarło do niego ponownie, że znajduje się w celi - w małym, nędznym pomieszczeniu oświetlonym nagą żarówką, w którym siedzi na podłodze. Zamrugał. Czyżby naprawdę nie widział tej celi przez ostatnie kilka minut? Gdzie wtedy był? Odzyskał jasność umysłu. Jego i Withera miałyby coś łączyć? Cóż za absurdalny pomysł! To przecież oczywiste, że zamierzają go w końcu zabić, jeśli sam nie uwolni się z tej pułapki. O czym myślał, co czuł, jeśli zapomniał o śmierci?

Stopniowo dotarło do niego, że doświadczył czegoś w rodzaju ataku i że nie stawiał żadnego oporu. Ogarnęło go przerażenie. Chociaż teoretycznie był materialistą, przez całe życie wierzył - bez zastanowienia i wbrew logice - w wolność swojej woli. Rzadko podejmował moralne postanowienia, a kiedy parę godzin temu zdecydował już więcej nie ufać ludziom z Belbury, niezłomność tej decyzji wydawała mu się oczywista. Nie brał w ogóle pod uwagę, że w jego świadomości może zajść tak gwałtowna zmiana w tak krótkim czasie. Jeżeli coś takiego mogło się zdarzyć... To niesprawiedliwe. Oto człowiek próbuje (po raz pierwszy w życiu) zrobić coś, co w sposób oczywisty jest słuszne - coś, co Jane i Dimble'owie na pewno by pochwalili. Można oczekiwać, że kiedy postanawia coś takiego, cały wszechświat powinien go w tym wesprzeć. Nie zdawał sobie sprawy z siły oddziaływania resztek prymitywnych wersji teizmu, które poznał w ciągu dotychczasowego życia, czuł tylko - choć nie potrafił tego ubrać w słowa - że wszechświat powinien nagradzać jego dobre postanowienia. A jednak w tym samym momencie, w którym spróbował być dobry, wszechświat odwrócił się od niego i pozwolił mu upaść. Oto nagroda za jego wysiłki.

A więc cynicy mieli rację! Ale gdy tylko tak pomyślał, wzdrygnął się. W tej myśli było coś, co wzbudziło w nim gwałtowny niepokój. Czyżby znowu zaczynało się tamto? Zacisnął pięści. Nie, tylko nie to, za żadną cenę. Zacisnął dłonie. Nie, nie, nie. Nie zniósłby tego dłużej. Chciał obecności Jane, pani Dimble, Dennistona. Chciał kogoś lub czegoś.

- Och, nie, nie, nie chcę, żeby to wróciło - powiedział cicho, a potem zawołał na głos: - Nie chcę, nie chcę!

W tym okrzyku znalazło ujście wszystko, co można nazwać nim samym. Przerazająca świadomość, że nie jest w stanie nic więcej uczynić, napęliła go powoli spokojem. Nic więcej już nie można uczynić. Bezwiednie rozluźnił mięśnie. Poczł straszliwe zmęczenie w całym ciele i położył się na twardej podłodze. Odniósł dziwne wrażenie, jakby i ta cela została w jakiś sposób opróżniona i oczyszczona, jakby i ona również zmęczyła się konfliktami, których była świadkiem - pusta i czysta jak niebo po deszczu, zmęczona jak dziecko płaczem. Przemknęło mu przez myśl, że noc chyba już się kończy. Zasnął.

Rozdział 13

Ściągnęli na swoje głowy gniew Głębin Niebios

Stój! Stój tam, gdzie jesteś, i powiedz, jak się nazywasz i po co przychodzisz - powiedział Ransom.

Okryta lachmanami postać stojąca w progu przekrzywiła nieco głowę jak ktoś, kto nie najlepiej słyszy. W tym samym momencie powiał silny wiatr. Wewnętrzne drzwi, między zmywalnią a kuchnią, zatrasnęły się z hałasem, oddzielając trzech mężczyzn od kobiet, a do zlewu spadła z hukiem wielka cynowa miednica. Przybysz postąpił krok do środka.

- *Sta!* - zawołał Ransom mocnym głosem. - *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti, dic mihi qui sis etquam ob causam veneris.* [Stój! W imię Ojca i Syna, i Ducha Ś świętego, powiedz mi, kim jesteś i po co przybywasz.]

Przybysz podniósł rękę i odrzucił włosy spadające mu na czoło. Światło padło na jego twarz i pierwszym wrażeniem Ransoma był jej nieopisany spokój. Każdy mięsień ciała mężczyzny zdawał się rozluźniony, jak we śnie. Nie poruszał się: każda kropla deszczu opadająca z płaszcza w kolorze khaki uderzała w ceglana podłogę dokładnie w tym samym miejscu, co poprzednia.

Przez chwilę jego oczy spoczęły na Ransomie bez widocznego zainteresowania. Potem odwrócił głowę w lewo, gdzie za odchylonymi do ściany drzwiami wciąż ukrywał się MacPhee.

- Wyjdź - powiedział po łacinie prawie szeptem, ale tak dźwięcznym i głębokim, że nawet w tym wstrząsanym wiatrem pomieszczeniu wywołały coś w rodzaju wibracji. Jeszcze bardziej zaskoczyło Ransoma to, że MacPhee natychmiast usłuchał, nie patrząc przy tym wcale na niego, lecz na przybysza. Potem, zupełnie nieoczekiwanie, potężnie ziewnął. Przybysz zwrócił się do Przewodniczącego.

- Człowieku - rzekł po łacinie - powiedz panu tego domu, że przybyłem.

Wiatr szarpał połami jego płaszcza i zwiewał mu włosy na czoło, ale masywna postać stała niewzruszenie, jak wrośnięte w ziemię drzewo, a jeśli ktoś mógłby sobie wyobrazić drzewo obdarzone głosem, to jego głos dobrze by do tego wyobrażenia pasował: mocny, powolny i cierpliwy, wydobyty poprzez korzenie, glinę i żwir z trzewi Ziemi.

- Ja jestem tutaj panem - odparł Ransom w tym samym języku.

- Już w to wierzę! A ten chłystek [*mastigia*] jest bez wątpienia twoim biskupem.

Nie uśmiechnął się, ale w jego bystrych oczach pojawił się wyraz kpiącego niedowierzania. Nagłym ruchem wysunął głowę do przodu, tak że jego twarz znalazła się bliżej twarzy Przewodniczącego.

- Powiedz swojemu panu, że przybyłem - powtórzył.

Ransom wpatrywał się w niego bez drgnienia powiek.

- Czy naprawdę chcesz, abym wezwał tu swoich panów? - zapytał w końcu.

- Kawka mieszkająca w celi pustelnika może się nauczyć świergotać po łacinie - zauważył spokojnie przybysz. - Posłuchajmy twojego wezwania, człowieczyno [*homuncio*]

- Będę musiał użyć innego języka - rzekł Ransom.

- Kawka może mieć w dziobie również i grekę.

- To nie będzie greka.

- Posłuchajmy więc twojego hebrajskiego.

- To nie będzie hebrajski.

- Ha! - prychnął przybysz, a gdzieś głęboko w jego szerokich piersiach musiał zrodzić się chichot, bo ramiona lekko zadrgały. - Jeśli nawet przejdiesz do bełkotu barbarzyńców, będzie

ciężko, ale sądzę, że cię przegadam. Szykuje się niezła zabawa.

- Być może język, którego użyję, wyda ci się mową barbarzyńców - powiedział Ransom - ponieważ dawno już go tutaj nie słyszano. A nawet w Numinorze nie mówiono nim na ulicach.

Twarz przybysza pozostała niewzruszona, lecz kiedy się odezwał, w jego tonie można było wyczuć zainteresowanie.

- Twój panowie pozwolili ci igrać niebezpiecznymi zabawkami. Powiedz mi, niewolniku, co to jest Numinor?

- Prawdziwy Zachód - odrzekł Ransom.

- Tak... - powiedział tamten, a po chwili dodał - Nie najlepiej traktuje się gości w tym domu. Zimny wiatr wieje mi w plecy, a długo leżałem w łóżku. Jak widzisz, przekroczyłem już próg.

- Niewiele mnie to obchodzi - odparł Ransom. - Zamknij drzwi, MacPhee - dodał po angielsku.

- Ale nie usłyszał odpowiedzi, więc po raz pierwszy się odwrócił i zobaczył, że MacPhee siedzi na jedynym w sionce krześle, pogrążony w głębokim śnie.

- Cóż to znowu za sztuczki? - zapytał Ransom, spoglądając ostro na przybysza.

- Jeśli naprawdę jesteś panem tego domu, powinienesz wiedzieć.

A jeśli nie, to nie muszę zwracać uwagi na kogoś takiego jak ty. Nie bój się, twemu parobkowi nic się nie stanie.

- Wkrótce się przekonamy. A tymczasem dowiedz się, że nie lękam się twojego wejścia do tego domu. Mam więcej powodów, by lękać się twego odejścia. Zamknij drzwi, jeśli łaska, mam chorą nogę.

Przybysz, nie spuszczać wzroku z Ransoma, wyciągnął lewą rękę i zatrzasnął drzwi. MacPhee nawet nie drgnął.

- A teraz - powiedział przybysz - powiedz mi coś o twoich panach.

- Moimi panami są *Oyeresu*.

- Gdzie usłyszałeś to imię? A jeśli naprawdę jesteś członkiem kolegium, dlaczego ubierasz się jak niewolnik?

- Twój strój - odparł Ransom - też chyba nie jest strojem druidów.

- Dobrze odparowałeś cios. Skoro posiadasz wiedzę, odpowiedz mi na trzy pytania, jeśli się odważysz.

- Odpowiem na nie, jeśli będę potrafił. A co do odwagi, to zobaczymy.

Przybysz zastanawiał się przez chwilę, po czym zapytał nieco śpiewnym tonem, jakby recytował jakąś dawną lekcję, w dwu łacińskich heksametrach:

- Kogo nazywają Sulwą? Jaką drogę przemierza? Dlaczego łono jest bezpłodne z jednej strony? Gdzie są zimne małżeństwa?

Ransom nie musiał zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Sulwa to ta, którą śmiertelni nazywają Księżycem. Wędruje w najniższej strefie. Przebiega przez nią krawędź straconego świata.

Połowa jej kuli zawsze jest zwrócona ku nam i krąży razem z nami.

Druga połowa spogląda na Głębiny Niebios; szczęśliwi ci, którzy mogliby przekroczyć tę granicę i ujrzeć pola po tamtej stronie. Po tej stronie łono jest bezpłodne, a małżeństwa zimne. Mieszka tam przekłety lud, pełen pychy i żądy. Tam, gdy młodzieniec bierze dziewczynę za żonę, nie kładą się razem, lecz każde kładzie się z pomysłowo zrobionym wyobrażeniem drugiego, które mocą diabelskiej sztuki może się poruszać i jest ciepłe. Prawdziwe ciało nie sprawia im bowiem rozkoszy, tak są wybredni [*delicati*] w swoich rozpustnych marzeniach. A swoje prawdziwe dzieci wytwarzają za pomocą ohydnej sztuki w tajemnym miejscu.

- Dobrze odpowiedziałeś - rzekł przybysz. - Myślałem, że tylko trzech ludzi na świecie znają

odpowiedź. Ale moje drugie pytanie może być trudniejsze. Gdzie jest pierścień króla Artura? Jaki pan ma taki skarb w swoim domu?

- Pierścień króla - odpowiedział Ransom - jest na palcu Artura, tam gdzie on zasiada, w kraju Abhalldzin, poza morzami Luru, na Perelandrze. Albowiem Artur nie umarł, lecz Pan nasz zabrał go stąd w ciełe, aż do końca wieków, wraz z Enochem, Eliaszem, Mojżeszem i królem Melchizedekiem. A Melchizedek to ten, w którego sali połyskuje ostro wyrzeźbiony pierścień na palcu Pendragona.

- Dobra odpowiedź - rzekł przybysz. - W moim kolegium sądzono, że tylko dwaj ludzie na świecie o tym wiedzą. Ale odpowiedzi na trzecie pytanie nie zna nikt oprócz mnie. Kto będzie Pendragonem w czasie, gdy Saturn zejdzie ze swojej sfery? W jakim świecie nauczył się wojny?

- Nauczyłem się wojny w sferze Wenus - odrzekł Ransom. - Lurga zstąpi w tej epoce. Ja jestem Pendragonem.

Kiedy to powiedział, cofnął się o krok, ponieważ olbrzym poruszył się, a jego oczy zabłyśły nowym wyrazem. A gdyby ktoś ich w owej chwili zobaczył, jak tak stali twarzą w twarz, pomyślałby, że w każdej chwili może dojść do walki. Lecz przybysz nie miał wrogich zamiarów. Powoli, ociężale, ale z godnością, jakby góra zgięła się w pokłonie, ukląkł na jednym kolanie. Gdy to uczynił, jego twarz nadal znajdowała się prawie na poziomie twarzy Przewodniczącego.

* * *

- To stwarza zupełnie nieoczekiwany problem - powiedział Wither do Frosta, gdy usiedli w sąsiednim pokoju, pozostawiając drzwi uchylone. - Muszę przyznać, że nie przewidywałem poważniejszych trudności językowych.

- Musimy natychmiast zdobyć specjalistę od Celtów - rzekł Frost. - Filologia to nasz słaby punkt. Nawet nie wiem, kto teraz najlepiej zna się na starożytnej Brytanii. Ransom mógłby nam doradzić, gdyby był uchwytany. Czy w twoim wydziale już coś o nim wiedzą?

- Jestem zmuszony ci przypomnieć, że filologiczne osiągnięcia doktora Ransoma nie są jedynym powodem, dla którego tak gorliwie go poszukujemy. Możesz być pewny, że gdybyśmy wpadli na jego trop, już dawno miałbyś... ee... satysfakcję ujrzenia go tutaj osobiście.

- Oczywiście. Może w ogóle nie ma go na Ziemi.

- Kiedyś go spotkałem - odparł Wither, przytykając oczy. - Na swój sposób to niezwykła postać. Człowiek, którego penetracje i intuicje mogłyby mieć dla nas nieocenioną wartość, gdyby nie zorientował się w przyczynie reakcji. To smutna refleksja, ale...

- Oczywiście Straik zna walijski - przerwał mu Frost. - Jego matka była Walijską.

- Byłoby z pewnością o wiele bardziej pożądane, gdybyśmy mogli, że się tak wyrażę, zachować całą rzecz w rodzinie. Mogłoby okazać się bardzo trudne do zaakceptowania dla mnie... a jestem pewny, że i dla ciebie... wprowadzenie eksperta od Celtów z zewnątrz.

- I oczywiście taki ekspert byłby do wykorzystania dopiero po pokonaniu wielu trudności związanych z jego tu przeniesieniem. Nie możemy sobie pozwolić na stratę czasu. Na jakim etapie jest Straik?

- Och, jest już prawie gotowy - odrzekł wicedyrektor. - Prawdę mówiąc, odczuwam nawet pewien zawód, bo mój uczeń robi tak szybkie postępy, że może się okazać konieczne porzucenie pewnego pomysłu, który, muszę wyznać, wydawał mi się bardzo pociągający. Kiedy wyszedłem z mojego gabinetu, pomyślałem sobie, że byłoby szczególnie pożądane i... ee... właściwe i miłe, gdyby twój uczeń i mój mogli być wtajemniczeni razem. Jestem pewien, że powinniśmy obaj czuć... Ale, rzecz jasna, nie czuję się upoważniony do wstrzymywania Studdocka, jeśli tylko będzie

gotów przed Straikiem. Chyba rozumiesz, drogi przyjacielu, że nie chodzi mi o nic innego, jak tylko o test porównawczy bardzo różnych metod, jakie każdy z nas stosuje.

- Nie wydaje mi się to możliwe, bo ja rozmawiałem ze Studdockiem tylko raz, a już ta jedna rozmowa dała oczekiwany efekt. Wspomniałem o Straiku tylko po to, by dowiedzieć się od ciebie, czy jest już na tyle gotowy, by można go było przedstawić naszemu gościowi.

- Och... jeśli chodzi o gotowość... w pewnym sensie tak... jeśli na razie pominać pewne drobne cienie, oczywiście w pełni uznając - ich ostateczną wagę... Nie wzbraniałbym się... uważam, że istnieją rzetelne podstawy...

- Pomyślałem - powiedział Frost - że ktoś powinien pełnić tu dyżur. On może się obudzić w każdej chwili. Nasi uczniowie, Straik i Studdock, mogliby dyżurować na zmianę. Nie ma przecież powodu, aby ich nie wykorzystać już teraz, przed ich pełnym wtajemniczeniem. Oczywiście dostaną polecenie, by zadzwonić do nas, gdyby coś się wydarzyło.

- Myślisz, że ten... ee... Studdock jest już na takim etapie?

- To nie ma znaczenia. W czym może zaszkodzić? Nie będzie mógł stąd wyjść. Potrzebujemy tylko kogoś, kto będzie czuwał. To będzie pożyteczny sprawdzian.

* * *

MacPhee, który właśnie zaprzeczał zarówno Ransomowi, jak i głowie Alcasana, używając obosiecznego argumentu, który we śnie wydawał się nie do odparcia, ale którego nigdy później nie mógł sobie przypomnieć, został gwałtownie obudzony przez kogoś, kto potrząsał go za ramiona. Nagle zdał sobie sprawę, że przemarzył, a lewa noga całkiem mu zdrętwiała. Potem ujrzał przed sobą twarz Dennistona. Wydawało mu się, że w zmywalni jest pełno ludzi. Byli tam również Dimble i Jane. Wszyscy troje byli mokrzy, ubłoceni i obszarpani.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Denniston. - Próbowałem cię obudzić przez kilka minut.

MacPhee przełknął parę razy ślinę i zwilżył wargi językiem.

- Czy dobrze się czuję? - powtórzył. - Tak, nic mi nie jest. - Wyprostował się. - Tu był jakiś... ee... człowiek.

- Jaki człowiek? - zapytał Dimble.

- No... jeśli o to chodzi... Nie jest to takie łatwe... Prawdę mówiąc, zasnąłem, kiedy z nim rozmawiałem. Nie mogę sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy.

Tamci wymienili spojrzenia. MacPhee lubił sobie wypić trochę gorącego grogu z whisky w zimowe wieczory, ale znany był z trzeźwego umysłu. Jeszcze nigdy nie widzieli go w takim stanie. Nagle zerwał się na nogi.

- Wielki Boże! - zawołał. - Przecież on... zaczął rozmawiać z Przewodniczącym. Szybko! Musimy przeszukać dom i ogród! To jakiś oszust albo szpieg. Już wiem, co się ze mną stało. Zostałem zahipnotyzowany. Był też jakiś koń. Pamiętam!

Ten ostatni szczegół wywarł na słuchaczach natychmiastowy skutek. Denniston skoczył do drzwi kuchni, otworzył je i wszyscy wpadli do środka. W ciemnoczerwonym świetle dogasającego ognia na kominku majaczyły jakieś niewyraźne kształty, a kiedy Denniston znalazł kontakt i zapalił światło, ujrzeli cztery kobiety siedzące przy stole. Wszystkie były pogrążone w głębokim śnie. Spał gawron, usadowiony na oparciu pustego krzesła. Spał Pan Bultitude, przytulony do kominka, pochrapując cicho jak dziecko, co dziwnie kontrastowało z jego wielkim brzuchem. Pani Dimble, skrzycona w niezbyt wygodnej pozycji, spała z głową złożoną na stole; na jej kolanach wciąż leżała zacerowana do połowy skarpetka. Dimble spojrzał na nią z owym nieuleczalnym wzruszeniem, z jakim mężczyźni patrzą zwykle na śpiących, a zwłaszcza na żony. Camilla skuliła się z wdziękiem

na krześle na biegunach, jak zwierzę przywykłe do spania gdziekolwiek. Pani Maggs spała z otwartymi ustami, a Grace Ironwood, wyprostowana jakby nie spała, zwiesiła lekko głowę na bok, sprawiając wrażenie osoby cierpliwie znoszącej poníženie nieświadomości.

- Nic im nie jest - powiedział MacPhee. - Zrobił im to samo, co mnie. Nie mamy czasu, żeby je budzić. Idziemy dalej.

Przeszli z kuchni do korytarza wyłożonego kamiennymi płytami. Po nocnych utarczkach z wiatrem i deszczem panująca w domu cisza zdawała się doskonała. Światła, które zapalali, ujawniały po kolei pokoje i korytarze, puste i jakby opuszczone, jak zwykle wyglądał dom o północy - wygasłe kominki, wieczorna gazeta na sofie, zegar, który stanął. Nie spodziewali się jednak znaleźć kogoś na parterze.

- Teraz na górę - powiedział Dimble.

- Tam jest światło - zauważyła Jane, gdy stanęli u stóp schodów.

- Pewnie sami je zapaliliśmy z korytarza - powiedział Dimble.

- Nie wydaje mi się - powiedział Denniston.

- Przepraszam - zwrócił się Dimble do MacPheego - ale myślę, że powinienem pójść pierwszy.

Do pierwszego podestu schodów szli w ciemnościach, potem padło na nich światło z pierwszego piętra. Z dwu następnych podestów schody skręcały pod kątem prostym, więc zanim doszli do drugiego, nie widzieli holu na piętrze. Jane i Denniston, którzy szli na końcu, ujrzeli, jak MacPhee i Dimble zatrzymali się gwałtownie na drugim podejściu. Ich twarze widziane z profdu były oświetlone, a tyły głów pogrążone w ciemności. MacPhee zacisnął szczęki, miał wojowniczą, choć nieco przestraszoną minę. Dimble zamarł z otwartymi ustami. Jane pokonując opór mięśni, podbiegła do nich po stopniach i zobaczyła to, co oni widzieli.

A tam, za balustradą, ujrzeli dwóch mężczyzn w powłóczystrych szatach. W jednym, ubranym w niebieską szatę, Jane z trudem rozpoznała Przewodniczącego. Te dwie postacie, jedna w czerwonej, druga w niebieskiej szacie, miały ze sobą coś bardzo wspólnego, coś, co sprawiło, iż przez chwilę pomyślała, że to znowu koszmar senny... Ale co właściwie wiedziała o tym Przewodniczącym, który zwabił ją do tego domu, skłonił do tego, by śniła, i właśnie tego wieczoru nauczył bać się piekła? Oto stali tam obaj, rozmawiając o tajemnych sprawach i robiąc coś, co mogą robić w takim domu ludzie tacy jak oni po uśpieniu jego mieszkańców. Człowiek odkopany z głębin czasu i człowiek, który powrócił z przestrzeni kosmicznej... I jeden z nich mówił im, że ten drugi to wróg, a teraz, zaledwie się spotkali, działali ręką w rękę, zdążając w jednym kierunku jak dwie krople rtęci. Przez cały czas prawie nie patrzyła na przybysza. Przewodniczący pozbył się laski, po raz pierwszy widziała go tak wyprostowanego i nieruchomego. Światło padało na jego brodę, rozświetlając ją jak aureolę, a szczyt głowy też jarzył się złotem. I nagle, gdy te myśli przebiegały jej przez głowę, zdała sobie sprawę, że patrzy prosto w oczy przybysza. Dopiero po chwili zauważyła jego wzrost. To był olbrzym. A ci dwaj mężczyźni byli sprzymierzeńcami. A przybysz coś mówił i wskazywał na nią palcem.

Jane nie zrozumiała jego słów. Zrozumiał je Dimble, choć był to dla niego dość dziwny rodzaj łaciny.

- Panie - mówił Merhn - masz w swoim domu najbardziej fałszywą kobietę spośród tych, jakie żyją w tych czasach.

A Dimble usłyszał, jak Przewodniczący odpowiada w tym samym języku:

- Panie, mylisz się. Jest bez wątpienia grzesznikiem, jak my wszyscy, lecz jest kobietą cnotliwą.

- Panie - rzekł Merlin - wiem dobrze, że ta kobieta uczyniła w Logresie coś, z czego narodziło się więcej smutku niż z ciosu, jaki zadał Balinus. Albowiem z woli Bożej ona i jej pan mieli splodzić dziecię, przez które wrogowie zostaliby wypędzeni z Logresu na tysiąc lat.

- Niedawno została poślubiona - powiedział Ransom. - To dziecię może się jeszcze narodzić.

- Zapewniam cię, panie - rzekł Merlin - iż to dziecię nigdy się nie narodzi, czas jego spłodzenia bowiem minął. Ze swojej własnej woli są bezpłodni. Nie wiedziałem, aż do tej chwili, że nędzne obyczaje Sulvy są wśród was tak powszechne. Przez sto pokoleń w dwu liniach przygotowywano narodziny tego dziecięcia i jeśli Bóg nie odnowi pracy czasu, to nasienie i ta godzina nigdy już się nie powtórzą.

- Już dosyć zostało powiedziane - odparł Ransom. - Ta kobieta zauważyła, że o niej mówimy.

- Byłoby czynem wielce słusznym i zbawiennym - powiedział Merlin - gdybyś rozkazał odciąć jej głowę, albowiem samo patrzenie na nią sprawia mi mękę.

Jane знаła trochę łaciny, ale nie rozumiała nic z tej wymiany zdań. Akcent był bardzo dziwny, a stary druid używał słownictwa, z którym nigdy się nie spotkała. Była to łacina człowieka uznającego za swoich mistrzów Apulejusza i Martianusa Capellę, język, którego wytworność przywołała na myśl wskazania zawarte w dziele *Hisperica famina*. Dimble zrozumiał jednak, co Merlin powiedział, więc pociągnął Jane za siebie i zawołał:

- Ransom! Powiedz nam, na Boga, co to wszystko znaczy?

Merlin znowu przemówił po łacinie i Ransom już miał mu odpowiedzieć, gdy Dimble mu przerwał.

- Odpowiedz nam! Co tu się wydarzyło? Dlaczego nosisz taki strój? Co cię łączy z tym krwiożerczym starcem?

MacPhee znał łacinę jeszcze gorzej niż Jane, ale przez cały czas wpatrywał się w Merlina jak rozwścieczony terier na nowofundlandczyka, który wtargnął do jego ogrodu. Teraz włączył się do rozmowy.

- Doktorze Ransom! Nie wiem, kim jest ten wielkolud, i nie jestem cinnikiem. Wiem jednak, że pozwoliłeś, aby mnie zahipnotyzowano i wbrew mej woli trzymano w uśpieniu przez całą noc.

Z przykrością widzę cię wystrojonego jak do pantomimy i stojącego ramię w ramię z tym joginem, szamanem czy kapłanem, czy kim tam on naprawdę jest. I niech on nie patrzy na mnie w taki sposób, powiedz mu to. Wcale się go nie boję. I jeśli chodzi o moje życie i o moje członki... wiedz, doktorze Ransom, że jeśli zamierzasz zmienić szeregi po tym wszystkim, co się wydarzyło i jeszcze wydarzy, to ja przynajmniej nie dbam ani o jedno, ani o drugie. Mogę zginać, ale nie dam się ogłupić. Czekamy na wyjaśnienia.

Przewodniczący patrzył na nich w milczeniu przez jakiś czas.

- Czy naprawdę musiało do tego dojść? - zapytał w końcu. - Czy nikt z was mi nie ufa?

- Ja ci ufam, panie - powiedziała nagle Jane.

- Odwoływanie się do namiętności i emocji - odezwał się Mac-Phee - nic nie da. Ja też mógłbym się nagle rozplakać, gdybym tylko zechciał.

- No cóż - rzekł Przewodniczący po chwili milczenia - usprawiedliwia was to, że wszyscy się myliliśmy. Mylił się też nasz przeciwnik. Ten człowiek to Merlinus Ambrosius. Sądzi, że gdy powróci, stanie po ich stronie. A jest po naszej stronie. Ty, Dimble, powinieneś wiedzieć, że zawsze było to możliwe.

- To prawda - przyznał Dimble. - W każdym razie, jak sędzę, tak mogło być... bo teraz... widząc, co się dzieje... No i ta jego krwiożerczość...

- Ja sam jestem tym zaskoczony - powiedział Ransom. - Ale ostatecznie nie mamy prawa oczekiwać, by jego kodeks karny przypominał ten z dziewiętnastego wieku. Mam też duże trudności z wyjaśnieniem mu, że nie jestem monarchą absolutnym.

- Czy on... czy on jest chrześcijaninem? - zapytał Dimble.

- Tak. A jeśli chodzi o mój strój, to musiałem włożyć szatę odpowiadającą mojemu urzędowi,

aby wyrazić mu swój szacunek, no i byłem trochę zawstydzony. Wziął mnie i MacPheego za służących albo stajennych. Za jego czasów ludzie na ogół nie chodzili w szarych, bezkształtnych workach.

W tym momencie Merlin znowu przemówił. Dimble i Przewodniczący, jako jedyni, którzy go rozumieli, usłyszeli, jak powiedział:

- Kim są ci ludzie? Jeśli to twoi niewolnicy, to dlaczego nie okazują ci należytego szacunku? A jeśli to wrogowie, dlaczego ich nie uśmiercisz?

- To moi przyjaciele... - zaczął Ransom po łacinie, ale przerwał mu MacPhee:

- Czy mam rozumieć doktorze Ransom, że prosisz nas, abyśmy przyjęli tę osobę do naszej organizacji?

- Obawiam się - odrzekł Przewodniczący - że nie można tego tak ująć. On jest członkiem naszej organizacji. A ja muszę wam rozkazać, abyście go zaakceptowali.

- Czy jego referencje zostały zbadane?

- Z pozytywnym skutkiem. Mam do niego takie samo zaufanie jak do was.

- Na jakiej podstawie? - nalegał MacPhee. - Możemy to usłyszeć?

- Nie byłoby łatwo wyjaśnić wam powody, dla których ufam Merlinowi Ambrosiusowi. W każdym razie wcale nie łatwiej, niż wyjaśnić jemu, dlaczego ufam wam, mimo pewnych zewnętrznych pozorów, które mogą być źle rozumiane.

"Wokół jego ust pojawił się cień uśmiechu. Potem Merlin znowu przemówił do niego po łacinie, a on odpowiedział. Wówczas Merlin zwrócił się do Dimble'a.

- Pendragon mówi mi - zaczął swoim obojętnym tonem - że oskarżasz mnie o okrucieństwo i brak serca. To zarzut, jaki mnie jeszcze nigdy nie spotkał. Trzecią część mego majątku oddałem wdowom i biedakom. Nigdy nie szukałem śmierci dla nikogo, prócz złoczyńców i ciemnych Saksonów. Co do tej kobiety, to jeśli o mnie chodzi, może sobie żyć. Nie jestem panem tego domu. Ale cóż by się takiego stało, gdyby odcięto jej głowę? Czyż królowe i szlachetne damy, które z pewnością nie wzięłyby jej nawet na służbę, nie ginęły na stosie za o wiele bardziej błahę przewinienia? I nawet tego szubienicznika [*cruciarus*] obok ciebie - tak, mówię o tobie, człowieku, chociaż mówisz tylko tym swoim barbarzyńskim językiem, ty z twarzą jak zsiadłe mleko i głosem jak piła rżnąca twarde pień, z nogami jak żuraw - nawet tego rzeźmieszka [*sector zonarius*]...

choć z chęcią zaprowadziłbym go do stróżówki, to jednak zarzuciłbym mu sznur na plecy, a nie na szyję.

MacPhee, który nie rozumiał tych słów, ale wyczuwał, że to on jest obiektem niezbyt przychylnych komentarzy, stał, przysłuchując się mu z miną człowieka czekającego na wyrok, którą częściej się widzi na twarzach mieszkańców Irlandii Północnej i Szkocji niż na twarzach Anglików.

- Panie Przewodniczący - powiedział, gdy Merlin skończył - byłbym bardzo zobowiązany, gdyby...

- Dość tego - przerwał mu nagle Ransom. - Nikt z nas nie spał jeszcze tej nocy. Arthurze, czy mógłbyś pójść i rozpaść dla naszego gościa ogień na kominku w tym dużym pokoju północnym? I niech ktoś obudzi kobiety. Powiedźcie im, żeby mu przyniosły coś do jedzenia i picia. Butelkę burgunda i coś na zimno. A potem - wszyscy do łóżek. Nie musimy zrywać się wcześniej. Wszystko będzie dobrze.

* * *

- Chyba będziemy mieć trochę kłopotów z naszym nowym kolegą - powiedział Dimble do

żony następnego popołudnia. Byli sami w swoim pokoju w St Annes.

- Tak... - dodał po chwili. - Z naszym... hmm... dość wymagającym kolegą.

- Wyglądasz na bardzo zmęczonego, Cecilu - powiedziała pani Dimble.

- Tak, to była raczej wyczerpująca narada. On jest... trochę męczący. Och, wiem, że wyszliśmy na głupców. Wszyscy sobie wyobrażaliśmy, że skoro powraca do dwudziestego wieku, będzie się zachowywał jak my. Czas jest po prostu o wiele ważniejszym czynnikiem, niż nam się wydawało.

- Czułam to samo podczas lunchu. To głupio nie zdawać sobie sprawy z tego, że nie będzie potrafił posługiwać się widelcem. Ale to, co zaskoczyło mnie jeszcze bardziej po pierwszym szoku, to... jak... no, jak elegancko obywatel się bez widelca. No wiesz, chodzi mi o to, że nie wyglądało to wcale, jakby nie miał dobrych manier, tylko jakby miał inne maniery.

- Och, staruszek jest na swój sposób dżentelmenem... To widać. Ale... no, nie wiem... Chyba jest w porządku.

- Jak przebiegła narada?

- Cóż, musieliśmy mu wszystko tłumaczyć. Z trudem zrozumiał, że Ransom nie jest królem tego kraju i nie próbuje nim zostać. A potem musieliśmy w końcu wyznać, że nie jesteśmy Brytami, lecz Anglikami, a więc, według niego, Saksonami. Dość długo nie mógł się z tym pogodzić.

- Rozumiem.

- A później MacPhee musiał wybrać stosowny moment, żeby mu wyjaśnić stosunki między Szkocją, Irlandią i Anglią. Wszystko to trzeba było, rzecz jasna, tłumaczyć. Jak wielu ludzi, MacPhee wyobraża sobie, że Merlin jest Celtem, choć w rzeczywistości, poza imieniem, nie jest nim bardziej niż Pan Bultitude. A propos, Merlinus Ambrosius wygłosił prorocstwo o Panu Bultitude.

- Och! Co powiedział?

- Powiedział, że przed Bożym Narodzeniem ten miś dokona najwspanialszego wyczynu, jakiego nie dokonał jeszcze żaden niedźwiedź w Brytanii poza jednym, o którym nikt z nas nie słyszał.

Wciąż coś takiego wtrąca, kiedy mówimy o zupełnie innych sprawach, i wypowiada to całkiem innym głosem. Jakby niezależnie od swojej woli. I jakby nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co mówi.

Jakby coś w rodzaju migawki otwierał o się w jego mózgu i natychmiast zamykało. Trudno się do tego przyzwyczaić.

- Czy nie kłócili się znowu, on i MacPhee?

- Raczej nie. Według mnie, Merlinus Ambrosius nie traktuje MacPheego poważnie. Jak wiesz, MacPhee ma skłonność do zaprzeczania wszystkiemu, i to w dość bezceremonialny sposób, więc Merlinus doszedł chyba do wniosku, że jest on błaznem Przewodniczącego. I chyba go już polubił. Natomiast nie sądzę, by MacPhee polubił Merlina.

- Czy w końcu doszliście do omówienia aktualnej sytuacji?

- Jak by to powiedzieć... - Dimble zmarszczył czoło. - W pewnym sensie. Tylko że wciąż były nieporozumienia. Wynikła sprawa męża Ivy, no wiesz... który jest w więzieniu. Merlinus natychmiast oświadczył, że najprościej będzie wziąć więzienie szturmem. Wciąż mówi takie rzeczy.

- Cecilu - powiedziała nagle pani Dimble - czy sądzisz, że będzie z niego jakiś pożytek?

- Wydaje się, że jest w stanie wiele zrobić, jeśli o to ci chodziło. W tym sensie jest bardziej groźny, będąc bardziej użyteczny.

- Ale co konkretnie? - spytała jego żona.

- Wszechświat jest tak skomplikowany - zauważył nieoczekiwanie doktor Dimble.

- To powtarzasz dość często, kochanie.

- Tak? - Uśmiechnął się. - Ciekawe, jak często? Tak samo często jak ty opowiadasz tę historyjkę o kucyku i pułapce w Dawlish?

- Cecil! Nie opowiadałam jej od lat!

- Moja droga, słyszałem, jak przedwczoraj wieczorem opowiadałaś ją Camilli.

- Och, Camilli! To zupełnie co innego. Ona jej nigdy przedtem nie słyszała.

- Nie wiem, czy możemy być pewni nawet tego, że... że wszechświat jest tak skomplikowany.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Ale co z Merlinem? - zapytała w końcu pani Dimble.

- Czy nie zauważyłaś, że wszechświat, a nawet każda jego cząstka, wciąż jakby skupia się, zawęża, staje jednym punktem?

Jego żona czekała w milczeniu jak ktoś, kto na podstawie długiego doświadczenia dobrze zna procesy zachodzące w umyśle swojego rozmówcy.

- Chodzi mi o to - rzekł doktor Dimble, odpowiadając na pytanie, którego nie zadała - że jeśli człowiek poszpera w jakimś kolegium uniwersyteckim albo szkole, albo parafii, w czymkolwiek, w danym punkcie historii zawsze stwierdza, że przed tym punktem był czas, gdy było więcej swobody wyboru, kiedy kontrasty nie były tak ostre. I przeciwnie: że po tym punkcie nadejdzie czas, gdy wyboru trzeba będzie dokonywać o wiele szybciej, gdy będzie coraz trudniej się wahać, pozostawać na uboczu. Dobro wciąż staje się lepsze, a zło wciąż staje się gorsze. Możliwości zachowania neutralności coraz bardziej się kurczą. Wszystko polega na tym, by wciąż dokonywać swojego wyodrębnienia z czasu, by stawiać sprawy coraz ostrzej, coraz twardziej, aby sobie nie pobłązać. Jak w tym wierszu o niebie i piekle zmierzających do szczęśliwego Śródziemia z obu stron... Jak to brzmiało? Coś o „pożeraniu każdego dnia”... „aż wszystko się przemieni”? „Zaniknie”? Bo nie „zostanie pożarte”, to by nie pasowało. Pamięć coraz bardziej ostatnio mnie zawodzi. Znasz ten wiersz, Margery?

- To, co mówiłaś, bardziej mi przypominało ten urywek z Biblii o przewiewaniu zboża. O oddzielaniu ziarna od plew. Albo jak u Browninga: „Życie to tylko sprawa strasznego wyboru”.

- Właśnie! Ale nie tylko w sensie moralnego wyboru. Wszystko coraz bardziej się różnicuje. Ewolucja to nic innego jak coraz większe zróżnicowanie między gatunkami. Umysły stają się coraz bardziej uduchowione, materia coraz bardziej materialna. Nawet w literaturze- poezja i proza coraz bardziej oddalają się od siebie.

Pani Dimble, nauczona długoletnim doświadczeniem współżycia ze swoim mężem, szybko oddaliła zagrożenie sprowadzenia rozmowy na tematy czysto literackie.

- Tak - powiedziała. - Duch i materia, oczywiście. To wyjaśnia, dlaczego takim ludziom jak Studdockowie tak trudno o szczęście w małżeństwie.

- Studdockowie? - powtórzy! Dimble, patrząc na nią z lekkim roztargnieniem. Domowe problemy tej młodej pary interesowały go o wiele mniej niż jego żonę. - Ach, rozumiem. Tak, to chyba ma coś z tym wspólnego. Ale wróćmy do Merlina. A z tego wszystkiego moż na wysnuć następujące wnioski. Człowiek z jego epoki miał pewne prerogatywy, których my dzisiaj nie mamy. Sama Ziemia bardziej przypominała zwierzę, a procesy mentalne bardziej przypominały działania fizyczne. No i byli wszędzie... jak by to nazwać... obojętni...

- Obojętni?...

- Nie chcę przez to powiedzieć, że może być coś naprawdę neutralnego. Byt obdarzony świadomością albo jest posłuszny Bogu, albo Mu się sprzeciwia. Mogą być jednak istoty neutralne wobec nas.

- Masz na myśli eldile... anioły?

- No cóż, słowo anioł jest zbyt ogólnikowe. Myślę o czymś innym. Nawet *Oyeresu* nie są

aniołami w takim sensie jak nasi aniołowie stróże. Z formalnego punktu widzenia są Inteligencjami. Rzecz w tym, że jeśli przy końcu świata stanie się jasne, który z eldilów jest aniołem, a który diabłem, i nawet jeśli dzisiaj potrafimy już dokonać takiej oceny, to nie było to takie jasne w czasach Merlina. Na Ziemi istniały stworzenia zajmujące się tylko swoimi sprawami. Nie były ani duchami służebnymi, posłanymi, aby pomóc ludziom, ani wrogami próbującymi nam szkodzić... Nawet u świętego Pawła można znaleźć odniesienia do istot, które nie pasują do naszych dwóch kolumn aniołów i diabłów. A jeśli się jeszcze bardziej cofniemy w czasie... . Wszyscy ci bogowie... elfy, karty, wodniki i nimfy, *fate, longa-evi...* [Zob. CS. Lewis, *Odrzucony obraz*, rozdz. III i VI.] Ty i ja wiemy zbyt wiele, aby sądzić, że to tylko iluzje.

- Myślisz, że takie byty istnieją?

- Myślę, że istniały. Myślę, że wówczas było dla nich miejsce. Później wszechświat „wyostrzył się”... jakby skupił w sobie... Ale chyba nie wszystkie stworzenia rozumne. Niektóre zakorzeniły się w materii, półświadome, bardziej zdane na swą wolę niż umysł. Bardziej podobne do zwierząt. Inne... zresztą naprawdę nie wiem. W każdym razie chodzi o sytuację, w której ma się do czynienia z kimś takim jak Merlin.

- To brzmi trochę strasznie.

- To było trochę straszne. Nawet za czasów Merlina... a pojawił się on już pod sam koniec epoki tych istot... chociaż można było wykorzystywać ten rodzaj życia do niewinnych celów, nie było to wcale bezpieczne. Te stworzenia nie były złe same w sobie, były złe dla nas. One... wypalały człowieka, który miał z nimi do czynienia. I nie było w tym ich złej woli. Nic na to nie mogły poradzić. Merlinus jest obumarły, wypalony. Jest bardzo pobożny, pokorny i tak dalej, ale coś mu zabrano. Ten jego spokój jest jakiś martwy, jak spokój opuszczonego, ogołoconego budynku. To skutek otwarcia świadomości na coś, co trochę za bardzo poszerza środowisko, w którym się żyje. Jak poligamia. To nie było złe dla Abrahama, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że nawet on coś na tym stracił.

- Cecilu, czy sądzisz, że Przewodniczący dobrze robi, korzystając z pomocy takiego człowieka? Czy to nie jest trochę tak, jakbyśmy chcieli zwyciężyć Belbury, posługując się ich bronią?

- Nie. Przemyślałem to. Merlin jest odwrotnością cią Belbury. Jest po zupełnie przeciwnej stronie. On jest reliktem pewnego starego porządku, w którym materia i duch były pomieszane, przynajmniej z naszego punktu widzenia. Dla niego każde działanie wobec przyrody jest rodzajem osobowego kontaktu, jak łagodne perswadowanie czegoś dziecku albo pogłaskanie konia. Po nim przyszedł nowoczesny człowiek, dla którego przyroda jest czymś w rodzaju maszyny do pracy, którą można roztrzaskać, jeśli nie pracuje tak, jak on chce. A w końcu pojawili się ludzie z Belbury, zachowujący ten punkt widzenia, lecz pragnący dla swych celów zwiększyć moc przyrody przez wykorzystanie potęgi duchów, pozanaturalnych, antynaturalnych duchów. Mają nadzieję, że uda im się pogodzić te dwa porządki. Sądzą, że prastara magia Merlina, współpracująca z duchowymi pierwiastkami natury, przesycona miłością i szacunkiem do nich, znająca je od wewnątrz, może zostać połączona z nową *goeteia*, [*Goeteia* - tak w czasach Renesansu nazywano „czarną magię” w odróżnieniu od „białej magii”.] z brutalną ingerencją z zewnątrz, z czymś w rodzaju chirurgicznej operacji. Nie. W pewnym sensie Merlin reprezentuje coś, co musimy przywrócić w inny sposób. Czy wiesz, że zgodnie z prawami jego zakonu nie wolno używać żadnego ostrego narzędzia wobec czegokolwiek, co rośnie?

- Wielki Boże! - zawołała pani Dimble. - Już szósta! Obiecałam Ivy, że będę w kuchni kwadrans temu. Ale ty nie musisz się ruszać, Cecilu.

- Wiesz co? Myślę, że jesteś cudowną kobietą.

- Dlaczego?

- Ile kobiet, które przez trzydzieści lat miało własny dom, potrafiłoby tak szybko przystosować się do zamieszkania w tej menażerii tak jak ty?

- Ja to nic. Przecież Ivy też miała swój dom. I jej jest o wiele trudniej. W końcu mój mąż nie siedzi w więzieniu.

- Ale szybko może do niego trafić, jeśli choć połowa z planów Merlinusa Ambrosiusa zostanie wcielona w życie.

* * *

W tym samym czasie Merlin i Ransom rozmawiali w Niebieskim Pokoju. Ransom zdjął szatę oraz diadem i położył się na sofie. Druid zasiadł w fotelu naprzeciw niego, nie krzyżując nóg, z wielkimi bladymi rękami spoczywającymi nieruchomo na kolanach, co przywodziło na myśl konwencjonalny posąg jakiegoś króla. Wciąż miał na sobie czerwoną szatę, lecz pod nią zaskakująco niewiele, ponieważ ciepło panujące w domu wydawało mu się nadmierne, a w spodniach nie czuł się najlepiej. Jego głośne narzekania na brak oliwy po kąpieli spowodowały w końcu pospieszną wyprawę do sklepu we wsi, skąd za radą Dennistona przyniesiono puszkę brylantyny. Merlinus użył jej rozrzutnie, tak że włosy i broda mu błyszcząły, a pokój wypełniał słodki, duszący zapach. Być może dlatego Pan Bultitude tak długo drapał w drzwi, aż w końcu wpuszczono go do środka, a teraz siedział tak blisko maga, jak tylko mógł, z rozedrganymi nozdrzami. Jeszcze nigdy nie wahał tak ciekawego człowieka.

- Panie - odrzekł Merlin na pytanie Przewodniczącego - składam ci moje najszczerze dzięki. Trudno mi, co prawda, zrozumieć twój sposób życia, a twój dom wydaje mi się dość dziwnym domostwem. Przygotowałeś mi kąpiel godną samego cesarza, lecz nikt mi podczas niej nie usługiwał. Łoże jest bardziej miękkie niż sam sen, lecz gdy wstałem, musiałem sam się przyodziać, jakbym był wieśniakiem. W mojej komnacie są okna z najczystszej krysztalu, tak że widzę niebo równie jasno, kiedy są zamknięte, jak wówczas, gdy są otwarte, i nie ma w niej przeciągu, który by zgasił nieosłonięty knot, lecz muszę w niej leżeć sam, jak więzień w lochu. Twój ludzie jedzą suche i pozbawione smaku mięso, lecz podawane jest ono na talerzach gładkich jak kość słoniowa i krągłych jak słońce. W całym domostwie jest tak ciepło, miękko i cicho, że przychodzi to na myśl raj ziemski, nie ma jednak kotar i ozdobnych posadzek, nie ma muzykantów, nie ma wonności, nie ma tronów, nie ma jastrzębi czy psów. Nie żyjesz ani jak bogacz, ani jak ubogi, ani jak pan, ani jak pustelnik. Mówię ci to, panie, bo mnie zapytałeś. Nie są to sprawy, którymi warto sobie zaprzętać głowę. A teraz, skoro nie słyszy nas nikt prócz tego ostatniego z siedmiu niedźwiedzi Logresu, czas na naradę.

Popatrzył bystro w twarz Przewodniczącego, a potem, jakby uderzony tym, co w niej ujrzał, wychylił się gwałtownie do przodu.

- Czy twoja rana sprawia ci ból? - zapytał. Ransom potrząsnął głową.

- Nie, to nie rana. To te straszne rzeczy, które musimy omówić. Olbrzym poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Panie - rzekł głębszym i łagodniejszym tonem - mogę odjąć niepokój z twojej stopy, jakbym wyciskał go z gąbki. Daj mi tylko siedem dni, żebym mógł wyjść i wejść, podejść i zejść, tu i tam, aby odnowić stare znajomości. Te pola i ja, te lasy i ja mamy sobie wiele do powiedzenia.

Pochylił się do przodu, tak że jego twarz i pysk niedźwiedzia znalazły się tuż obok siebie; wyglądało to tak, jakby człowieka i zwierzę łączyło jakieś tajemne, puszysto-mrukliwe porozumienie. Twarz druida miała w sobie coś dziwnie zwierzęcego: nie była zmysłowa ani dzika, lecz pełna cierpliwej, spokojnej mądrości zwierzęcia. Natomiast na twarzy Ransoma malował się

ból.

- Pewnie sądzisz, że ten kraj bardzo się zmienił - powiedział, zdobywając się na uśmiech.

- Nie - odparł Merlin. - Nie sądzę, aby się bardzo zmienił.

Coraz więcej ich dzieliło. W Merlinie było coś, co sprawiało, że chciałoby się go widzieć raczej w lesie lub na polu niż w domu. Chociaż wykąpany i namaszczony, budził skojarzenia z mchem, ze żwirem na dnie potoku, z wilgotnymi liśćmi, ze stawem porośniętym trzcinami.

- Nie zmienił się - powtórzył ledwo dosłyszalnym szeptem.

W owej pogłębiającej się wewnętrznej ciszy, której jego twarz dawała świadectwo, łatwo było uwierzyć, że wciąż wsłuchuje się w szept nieuchwytnych odgłosów: szelest przemykających myszy i gronostajów, ciche pacnięcia spadających orzechów, trzask gałązek, świrgot strumyka, samo rośnięcie trawy. Niedźwiedź zamknął oczy. Pokój coraz bardziej przesycała ciężka, wisząca w powietrzu senność.

- Dzięki mnie - rzekł Merlin - możesz wyssać z Ziemi zapomnienie wszelkiego bólu.

- Dość! - powiedział ostro Ransom.

Osuwał się na poduszki, głowa powoli opadała mu na piersi. I nagle otrząsnął się i usiadł. Druid drgnął i też się wyprostował. Powiało świeżością. Nawet niedźwiedź otworzył oczy.

- Nie - powiedział Ransom. - Na miłość boską, czy sądzisz, że wykopano cię z głębin ziemi po to, abyś mi przyłożył plaster do rany na stopie? Mamy leki, które mogłyby przerwać ból równie skutecznie jak twoja magia. Uważam jednak, że znoszenie tego bólu do końca to moja sprawa. Nie chcę o tym więcej słyszeć. Zrozumiałeś?

- Wysłuchałem i będę posłuszny - odrzekł mag. - Nie miałem złych zamiarów. Ale moje spotkanie z polem i wodą będzie jednak potrzebne, jeśli nie do uzdrowienia twojej stopy, to do uzdrowienia Logresu. Będę musiał wejść i wyjść, tu i tam, odnawiając stare znajomości. To wszystko wcale się nie zmieniło. A w każdym razie nie w ten sposób, który ty nazwałbyś zmianą.

I znów ta słodka ociężałość, jak zapach głogu, zaczęła przesycać Niebieski Pokój.

- Nie - powtórzył jeszcze głośniejszym głosem Przewodniczący. - Tego już nie można uczynić. Las i wodę opuściła już dusza. Och, śmiem wierzyć, że mógłbyś je przebudzić, ale tylko trochę. To za mało. Burza, a nawet powódź, niewiele by wyrządziła złego naszemu obecnemu przeciwnikowi. Twój oręż zламаłby ci się w rękach. Mamy bowiem przeciw sobie straszną siłę i jest tak jak za dni Nimroda, który zbudował wieżę, by dotrzeć do niebios.

- Może się ukryło - odrzekł Merlin - ale się nie zmieniło. Pozwól mi popracować, panie. Obudzę to. Każde źdźbło trawy stanie się mieczem, który ich porani, a każda gruda ziemi trucizną dla ich stóp. Sprawię, że...

- Nie - powiedział Ransom. - Zabraniam ci o tym mówić. Nawet gdyby to było możliwe, nie byłoby zgodne z prawem. Cokolwiek z ducha mogło się jeszcze czaić w ziemi, ulotniło się piętnaście stuleci temu. Nie przemówisz do tego ani jednym słowem. Nie podniesiesz nawet małego palca, aby to przebudzić. To mój rozkaz. W naszych czasach jest to bezwzględnie zakazane. - Te słowa wypowiedział twardym, chłodnym głosem, lecz teraz nachylił się - do starca i dodał innym tonem: - To nigdy nie byłoby zbyt zgodne z prawem, nawet za twoich dni. Pamiętaj, że kiedy po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o twoim rychłym przebudzeniu, sądziliśmy, iż staniesz po stronie wroga. A ponieważ Pan nasz czyni wszystko, co czyni, nie tyle dla wszystkich, ile dla każdego, jednym z powodów twojego przebudzenia jest zbawienie twej własnej duszy.

Merlin opadł w fotelu, jakby pozbawiony sił. Niedźwiedź zaczął lizać jego rękę.

- Panie - powiedział cicho - jeśli nie wolno mi działać w ten sposób, to sprowadziłeś do swego domu bezużyteczny worek mięsa, bo nie jestem już wojownikiem. Gdyby doszło do walki mieczem, niewielki byłby ze mnie pożytek.

- I to nie jest droga do zwycięstwa - odrzekł Ransom, wahając się nieco, jak człowiek, któremu trudno jest przejść do rzeczy. - Żadna ziemską potęgą nie wystarczy, aby zmierzyć się ze straszną siłą.

- A więc pozostaje nam tylko modlitwa. Lecz również i w tym... nie zasłużyłem na wyróżnienie... Niektórzy nazywali mnie synem diabła. To kłamstwo, ale... Nie wiem, dlaczego zostałem przywrócony z powrotem do życia...

- Tak, modlitwa jest nam wszystkim ich potrzebna, teraz i zawsze. Ale nie to miałem na myśli. Są jeszcze niebiańskie potęgi, stworzone moce, nie na Ziemi, ale w niebiosach.

Merlin popatrzył na niego w milczeniu.

- Wiesz dobrze, o czym mówię - ciągnął Ransom. - Czyż nie powiedziałem ci, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, że moimi panami są *Oyeresu*?

- Tak - przyznał Merlin. - W ten sposób poznałem, że należysz do kolegium. Czyż nie jest to nasze hasło?

- Hasło? - zdziwił się Ransom. - Nie wiedziałem o tym.

- Ale... ale jeśli nie znałeś hasła, to jak doszło do tego, że je wypowiedziałeś?

- Wypowiedziałem to zdanie, ponieważ jest prawdą.

Mag oblizał zbiegające wargi.

- Jest prawdą w tym samym znaczeniu - dodał Ransom w jakim prawdziwymi są rzeczy najbardziej oczywiste. Jest prawdą jak to, że siedzisz tutaj z moim niedźwiedziem przy boku.

Merlin wyciągnął obie ręce.

- Jesteś moim ojcem i moją matką. - Jego oczy, utkwione nieruchomo w Ransomie, były wielkie jak oczy przerażonego dziecka, ale nie wydawał się już takim olbrzymem jak wówczas, gdy Ransom ujrzał go po raz pierwszy. - Pozwól mi przemówić, bo jestem prochem w zagłębieniu twojej dłoni. Słyszałem o tym za moich dni, że byli tacy, co rozmawiali z bogami. Blaise, mój mistrz, znał kilka słów w ich języku. Lecz ostatecznie, i oni należeli do potęg Ziemi. Nie muszę ci o tym mówić, wiesz lepiej ode mnie, panie, że najwięksi mistrzowie naszej sztuki nie spotykali się z samymi *Oyeresu*, prawdziwymi mocarzami Niebios, lecz tylko z ich ziemskimi widmami, z ich cieniami. Tylko z ziemską Wenus, z ziemskim Merkurem, nie z samą Perelandrą, nie z Viritribią. To tylko...

- Nie mówiłem wcale o widmach - przerwał mu Ransom. - Stałem przed samym Marsem w sferze Marsa i przed samą Wenus w sferze Wenus. To ich moc, i moc kogoś większego od nich, zwycięży naszego wroga.

- Ależ, panie, jak to możliwe?! Czyż nie przeczy to Siódmemu Prawu?

- Co to za prawo?

- Czy nasz dobry Pan nie uczynił tego prawem nawet dla siebie, iż nie ześle Mocy, by naprawić lub zniszczyć Ziemię, dopóki nie nadejdzie koniec wszechrzeczy? A może to jest koniec?

- To może być początek końca - odrzekł Ransom. - Tego nie wiem. Maleldil mógł stworzyć prawo, by nie zsyłać na Ziemię Mocy. Lecz jeśli człowiek, dzięki swej inżynierii i filozofii przyrody, nauczył się, jak wlecieć w niebiosa, i zjawił się w swoim ciele, wśród niebiańskich potęg, i zakłócił im spokój, czyż Pan zabronił im, by na to odpowiedzieli tak, jak zechcą? Bo wszystko to należy do porządku naturalnego. Oto nikczemny człowiek przybył na subtelnej maszynie tam, gdzie mieszka Mars w niebiosach i gdzie mieszka Wenus, i zabrał mnie tam bez mojej woli. Tam rozmawiałem z prawdziwymi *Oyeresu* twarzą w twarz. Rozumiesz?

Merlin pochylił głowę.

- W ten sposób ów niegodziwiec spowodował coś, czego wcale nie zamierzał. Jak Judasz. Bo odtąd zaistniał już jeden człowiek na świecie, którego *Oyeresu* poznali i który mówił ich językiem, i

to nie dzięki boskiemu cudowi lub mocą magii Numinoru, lecz w sposób naturalny, jak dwóch ludzi spotykających się na drodze. Odtąd Siódme Prawo nie chroni już naszych wrogów. Posługując się filozofią przyrody, przełamali barierę, której nie przełamałby Bóg własną mocą. Lecz na tym nie poprzestali i zapragnęli mieć ciebie za sojusznika, splatając bicz na samych siebie. Oto dłaczego Moce zstąpiły na Ziemię i tu, w tej komnacie, w tej, w której teraz rozmawiamy, Malakandra i Perelandra rozmawiali ze mną.

Twarz Merlina pobladła. Nie zwrócił uwagi, że niedźwiedź dotknął nosem jego dłoni.

- Stałem się mostem - rzekł Ransom.

- Panie, co teraz będzie? Jeśli okażą swą moc, zniszczą całe Sródziemie.

- Ich naga moc... tak. Właśnie dlatego będą działać tylko poprzez człowieka.

Mag przyłożył wielką dłoń do czoła.

- Przez człowieka, którego umysł jest otwarty na takie wtargnięcie. Takiego, który już kiedyś otworzył swój umysł dobrowolnie.

Biorę naszego dobrego Pana na świadka, że nie odmówiłbym, gdyby to miało być moim zadaniem. Lecz On nie pozwoli, by umysł wciąż dziewiczy został w ten sposób zgwałcony. Ich czystość nie zechciałaby też... i zapewne nie byłaby w stanie... działać poprzez umysł kogoś, kto opanował czarną magię. Przez kogoś, kto się tylko zanurzył...

i to w czasach, gdy nie był to jeszcze złem, gdy dopiero nim być zaczynało... Chrześcijanin i pokutnik... Narzędzie na tyle dobre, aby mogło zostać użyte, lecz nie nazbyt dobre. Muszę mówić jasno.

We wszystkich zachodnich krainach tego świata był tylko jeden człowiek, który żył w tamtych czasach i wciąż mógł być wezwany. Ty...

Urwał, wstrząśnięty tym, co się działo. Olbrzym podniósł się z fotela. Z jego otwartych ust wydarł się jęk, który Ransomowi wydał się czysto zwierzęcy, choć był to tylko jęk prymitywnej celtyckiej lamentacji. Straszne było widzieć tę pomarszczoną, brodatą twarz całą we łzach. Cała rzymska powłoka Merlina została z niego zdarta. Stał się bezwstydnym, archaicznym monstrem, bełkocącym coś w języku przypominającym mieszaninę walijskiego i hiszpańskiego.

- Zamilknij! - zawołał Ransom. - Usiądź. Przynosisz wstyd nam obu.

Szałeństwo zakończyło się równie nagle, jak się rozpoczęło. Merlin opadł na fotel. Współczesnemu człowiekowi może wydać się dziwne, że odzyskawszy panowanie nad sobą, druid nie okazał najmniejszego zakłopotania z powodu jego czasowej utraty. Ransom dowiedział się więcej o charakterze owego podzielonego, dwulicowego społeczeństwa, w którym ten człowiek kiedyś żył, niż gdyby przestudiował dziesiątki historycznych dzieł.

- Nie myśl - rzekł - że spotkanie z tymi, którzy tu zstąpią, aby udzielić ci swej mocy, to dziecinna igraszka.

- Panie - odpowiedział słabym głosem Merlin - ty byłeś już w niebiosach. Ja jestem tylko zwykłym człowiekiem. Nie jestem synem jednego z Powietrznych Ludzi. To był y kłamstwa. Jakże bym mógł? Ty nie jesteś taki jak ja. Patrzyłeś już w ich twarze.

- Nie widziałem wszystkich. Tym razem zstąpią duchy potężniejsze od Malakandry i Perelandry. Jesteśmy w rękach Boga. To może unicestwić nas obu. Nie obiecano, że ocalimy życie czy rozum. Nie wiem, jak ośmielimy się spojrzeć w ich twarze, ale wiem, że nie bylibyśmy godni spojrzeć w twarz Bogu, gdybyśmy odmówili udziału w tym przedsięwzięciu.

Nagle mag uderzył dłonią w kolano.

- *Mebercule!* - zawołał. - Czy nie za szybko zegnamy się z życiem? Jeśli ty jesteś Pendragonem, ja jestem członkiem Najwyższej Rady Logresu i będę ci służył radą. Jeśli Moce rozerwą mnie na strzępy, by złamać naszych wrogów, taka będzie wola Boga. Ale czy musi do tego

dojść? A ten wasz saksoński król, który zasiada w Windsorze, czy on nie może nam pomóc?

- On nie ma nad tym władzy.

- Jeśli jest tak słaby, to czy nie warto go obalić?

- Nie jest to moim życzeniem. On jest królem. Koronował go i namaścił arcybiskup. W porządku Logresu mogę być Pendragonem, ale w porządku Brytanii jestem poddanym króla.

- Czyżby jego wielcy ludzie... hrabiowie, legaci i biskupi... czynili zło, podczas gdy on o tym nie wie?

- Można tak powiedzieć, choć oni nie są akurat tak wielkimi ludźmi, jakich masz na myśli.

- A my nie jesteśmy wystarczająco silni, by stawić im czoło w otwartej bitwie?

- Nasza armia to czterech mężczyzn, kilka kobiet i niedźwiedź.

- Był czas, gdy Logresem byłem tylko ja, jeszcze jeden mąż i dwóch chłopców, a jeden z nich był gburem. A jednak Zwyciężyliśmy.

- Teraz to niemożliwe. Oni mają maszynę, zwaną prasą, do oszukiwania ludzi. Zginęlibyśmy i nikt by się o tym nawet nie dowiedział.

- A prawdziwi urzędnicy? Czy oni nie mogą nam pomóc? Przecież to niemożliwe, by wasi wszyscy kapłani i biskupi byli zepsuci!

- Od twoich dni sama wiara rozpadła się na strzępy i przemawia podzielonymi głosami. A gdyby nawet chrześcijanie byli zjednoczeni, to stanowią zaledwie dziesiątą część tego ludu. Nie znajdziemy tu wsparcia.

- Szukajmy więc pomocy za morzem. Czy nie ma chrześcijańskich książąt w Neustrii lub w Irlandii, lub w Benwicku, którzy odpowiedzieliby na nasze wezwanie i pomogli nam oczyścić Anglię?

- Nie ma już żadnych chrześcijańskich książąt. Te inne kraje są takie jak Brytania, a nawet jeszcze bardziej pogrążone w chorobie.

- A więc musimy udać się do tego, do którego urzędu należy obalenie tyranów i przywracanie życia umierającym królestwom. Musimy wezwać cesarza.

- Nie ma już żadnego cesarza.

- Żadnego cesarza... - zaczął Merlin, lecz głos zamarł mu w gardle. Po długim milczeniu, gdy zmagał się ze światem, którego nigdy nie znał, rzekł - Przyszła mi do głowy pewna myśl i nie wiem, czy jest dobra, czy zła. Skoro jednak jestem Najwyższą Radą Logresu, nie ukryję jej przed tobą. Zaprawdę, zimny jest wiek, w którym się przebudziłem. Lecz jeśli cała zachodnia część świata jest pogrążona w odstępstwie, to może będzie uprawnione w tak wielkiej potrzebie sięgnięcie jeszcze dalej... poza chrześcijański świat? Czy nie powinniśmy szukać pomocy nawet wśród pogan, tych, którzy nie są całkowicie pogrążeni w ciemności? Za moich dni opowiadano o takich: o ludziach, którzy nie znają artykułów naszej najświętszej wiary, lecz którzy oddają cześć Bogu tak, jak potrafią, i którzy uznają prawo natury. Panie, wierzę, że jesteśmy w prawie szukać pomocy nawet wśród nich... nawet poza Bizancjum. Krążyły pogłoski, że skarby prawdziwej wiedzy i mądrości, która przyszła na Zachód z Numinoru, przechowywane są na Wschodzie. W Babilonii, w Arabii albo w Kataju... Mówiłeś, że wasze statki okrążyły już całą Ziemię.

Ransom potrząsnął głową.

- Nie rozumiesz. Ta trucizna została nawarzona w krajach Zachodu, ale dziś rozlała się po całym świecie. Gdziekolwiek pójdziesz, znajdziesz maszyny, zatłoczone miasta, puste trony, fałszywe pisma, ludzi opętanych kłamliwymi obietnicami i zgorzkniałych od prawdziwych nieszczęść, czczących stworzone własnymi rękami dzieła z żelaza, odciętych od Matki Ziemi i od Ojca w Niebie. Choćbyś zawędrował na Wschód tak daleko, że Wschód stałby się Zachodem, i powrócił do Brytanii poprzez wielki Ocean, to nigdzie nie znajdziesz światła. Ciężkie czarne

skrzydła ogarnął cały Tellus.

- A więc nadszedł koniec? - zapytał Merlin.

- I dlatego - mówił Ransom, ignorując to pytanie - nie ma przed nami innej drogi prócz tej, o której ci powiedziałem. Ta straszna siła ściska w drapieżnej dłoni całą Ziemię. Lecz popełnili jeden błąd i nie ma już dla nich nadziei. Gdyby z własnej złej woli nie przełamali uswięconej granicy i nie wpuścili tu niebiańskich Mocy, ich zwycięstwo byłoby tylko kwestią czasu. Ale zdradziła ich własna siła. Sięgnęli po bogów, którzy nie stanęli po ich stronie. Dlatego czeka ich śmierć. Bo chociaż szukasz szczeliny, przez którą mógłbyś się wymknąć, teraz, gdy już wiesz, że każda najmniejsza szczelina jest zamknięta, teraz będziesz mi posłuszny.

Bardzo powoli na bladą twarz Merlina powrócił dawny, niemal zwierzęcy wyraz, ziemski i zdrowy, z lekką domieszką nieco kpiącej przebiegłości. Oczy zapłonęły mu blaskiem.

- No cóż - powiedział - jeśli nora jest zasypana, lis stawia czoło psom. Ale gdybym podczas naszego pierwszego spotkania wiedział, kim naprawdę jesteś, zesłałbym na ciebie sen, tak jak na twój błazna.

- Trudno mi zasnąć od czasu, gdy podróżowałem po niebiosach - odpowiedział Ransom.

Rozdział 14

„Każde prawdziwe życie jest spotkaniem”

[M. Buber, *Ja i Ty*, część 1, s. 45 w przekładzie J. Doktora.]

Różnica między dniem i nocą nie dawała o sobie znać w celi Marka, więc nie wiedział, czy upłynęły minuty, czy godziny, gdy Frost ponownie go obudził. Profesor przyszedł, aby go zapytać, czy przemyślał ich ostatnią rozmowę. Mark sądząc, iż pewne oznaki oporu uczynią jego ostateczną zgodę bardziej przekonującą, odpowiedział, że tylko jedno wciąż go niepokoi. Nie jest jeszcze dla niego jasne, co właściwie ludzkość i on sam w szczególności może osiągnąć, godząc się na współpracę z makrobami. Rozumie, że pobudki rządzące postępowaniem większości ludzi, nazywane przez nich szumnie patriotyzmem lub obowiązkami wobec ludzkości, są jedynie produktami zwierzęcego organizmu, różniącymi się tylko wzorami zachowań w różnych społecznościach. Co jednak ma zmienić te irracjonalne motywy? Jakiego odtań będą kryteria oceny ludzkich działań?

- Jeśli już ktoś upiera się przy takim sformułowaniu pytań - odrzekł Frost - to myślę, że Waddington dał na nie najlepszą odpowiedź. Kryterium oceny egzystencji jest ona sama. Jedynym kryterium oceny tendencji do zmian rozwojowych, którą nazywamy ewolucją, jest sam fakt, iż jest to ogólna cecha organizmów biologicznych. Nawiązanie kontaktu między najbardziej zaawansowanymi w rozwoju organizmami biologicznymi a makrobami nie podlega ocenie: do takiego kontaktu po prostu doszło i należy go dalej pogłębiać, ponieważ do takiego pogłębiania właśnie dochodzi.

- A więc sądzi pan, że nie ma sensu pytać, czy ogólna tendencja rozwojowa wszechświata zmierza w kierunku, który można nazwać złym?

- To absolutnie nie ma sensu. Stawiając takie pytanie, próbuje pan ocenić coś, co jest jedynie wyrazem emocji, niczym więcej. Sam Huxley, [T. H. Huxley (1825-1895), biolog, zagorzały zwolennik darwinizmu.] pisząc o tej tendencji, potrafił wyrazić jej cechy jedynie za pomocą takich czysto emocjonalnych terminów, jak „gladiatorska” czy „bezlitosna”. Nawiązuję do jego słynnego wykładu w serii odczytów zapoczątkowanych przez Romanesa. Kiedy tak zwaną walkę o egzystencję rozpatruje się po prostu jako pewien aktuarialny teoremat, mamy do czynienia, używając słów Waddingtona, z „konceptcją pozbawioną emocji i wzorcowo integralną”, co pozwala wyzwolić się z wszelkich emocji. A kiedy znikają emocje, znika również niedorzeczna idea jakiegoś zewnętrznego wzorca wartości będącego wytworem emocji.

- Ale aktualny kierunek rozwoju wydarzeń - powiedział Mark - nadal może podlegać ocenie, i w tym sensie może być „dobry”, jeśli zmierza do zaniku wszelkiego życia organicznego, jak to się obecnie dzieje, tak?

- Oczywiście, jeśli upiera się pan przy takim sformułowaniu tego problemu. W rzeczywistości jest to problem pozbawiony znaczenia. Zakłada on przyczynowo-skutkowy wzorzec myślenia, pochodzący od Arystotelesa, który dokonał po prostu hipostazy żywiołów na kanwie doświadczeń rolniczej wspólnoty z epoki żelaza. Motywy nie są przyczynami działań, lecz ich produktami ubocznymi. Biorąc je pod uwagę, traci pan po prostu czas. Kiedy osiągnie pan prawdziwy obiektywizm, nie tylko w niektórych, ale we wszystkich motywach, rozpozna pan jedynie subiektywne epifenomeny. Pozbędzie się pan wówczas motywów i stwierdzi, że nie są już panu potrzebne. Ich miejsce zajmie coś innego, coś, co wkrótce zrozumie pan o wiele lepiej. A wówczas pańskie działania staną się bardziej skuteczne.

- Rozumiem - powiedział Mark.

Filozofia, którą Frost tu wykladał, nie była mu obca. Rozpoznał w niej logiczną konsekwencję myśli, które sam kiedyś zawsze akceptował, a które w tym momencie nieodwołalnie odrzucił. Odkrycie, iż jego własne założenia prowadziły do stanowiska Frosta, połączone z tym, co widział w jego twarzy, i z tym, czego sam doświadczył w tej celi, zaowocowało całkowitym nawróceniem. Żaden filozof czy ewangelista nie odniósłby większego sukcesu.

- I właśnie dlatego - ciągnął Frost - będzie panu potrzebny systematyczny trening prowadzący do obiektywizmu. Jego celem jest eliminacja z pańskiego umysłu założeń, które do tej pory uznawał pan za podstawę swoich działań. To coś jak zatrucie nerwu. Cały system instynktownych preferencji - jakiegokolwiek przybierały pozory: etyczne, estetyczne czy logiczne - musi po prostu zostać zniszczony.

- Chyba zaczynam to wszystko rozumieć - powiedział Mark, choć w tej chwili myśl o zniszczeniu czegokolwiek kojarzyła mu się - jedynie z instynktownym pragnieniem, by rozbić Frostowi twarz na miazgę.

Po tej rozmowie Frost wyprowadził Marka z celi i podał mu posiłek w sąsiednim pokoju, również ze sztucznym oświetleniem i pozbawionym okien. Kiedy Mark jadł, profesor stał nieruchomo, obserwując go w milczeniu. Mark nie wiedział co je, i niezbyt mu to smakował, ale był zbyt głodny, by odmówić, nawet jeśli odmowa byłaby możliwa. Następnie Frost zaprowadził go od razu do laboratorium przy hermetycznej kabinie, w której przechowywano Głowę. Tu został ponownie rozebrany i ubrany w strój chirurga, założono mu maskę i wprowadzono do kabiny. Ku jego zaskoczeniu, Frost nie zwrócił najmniejszej uwagi na gapiącą się i śliniącą Głowę. Poprowadził Marka przez kabinę i stanął przed małymi drzwiami zwieńczonymi łukiem. Tu zatrzymał się i rzekł:

- Wejść. Nie wolno ci nikomu powiedzieć o tym, co zobaczysz. Niedługo wrócę.

Na pierwszy rzut oka pomieszczenie w niczym nie przypominało sąsiednich. Była to pusta sala konferencyjna z długim stołem, ośmioma lub dziewięcioma krzesłami, kilkoma obrazami i (co było dość dziwne) wielką składaną drabiną w jednym rogu. Tu również nie było okien, lecz elektryczne oświetlenie dawało wyjątkowe złudzenie chłodnego, szarego popołudnia poza domem, co w połączeniu z brakiem kominka sprawiało wrażenie, że w pomieszczeniu jest zimno, choć w rzeczywistości temperatura nie była niska.

Ktoś o dobrze ukształtowanych poglądach estetycznych zauważyłby od razu, że pomieszczenie miało fatalne proporcje, może nie aż groteskowe, ale wzbudzające odrazę. Mark odczuł to bez analizowania przyczyny, a jego reakcja pogłębiała się w miarę upływu czasu. Siedząc i rozglądając się dookoła, zwrócił uwagę na drzwi i w pierwszej chwili pomyślał, że coś jest nie w porządku z jego wzrokiem. Dopiero po dłuższym czasie uznał, że nie jest to złudzenie optyczne. Stwierdził, że szczyt łuku nie znajduje się na osi, a cała konstrukcja sprawia wrażenie, jakby się lekko przechyliła. Błąd nie był poważny, w każdym razie nie na tyle, by dostrzec go od razu; dopiero po jakimś czasie czuło się, że coś tu nie jest w porządku. Mimowolnie przechylił głowę, aby odnaleźć pozycję, z której drzwi wyglądałyby normalnie, ale po chwili odwrócił się i usiadł plecami do tych drzwi... Nie może pozwolić, by ośmiadła nim obsesja...

Potem zauważył plamy na suficie: niewielkie, okrągłe czarne plamy w nieregularnych odstępach na bladomusztardowej powierzchni. Nie było ich wiele... może trzydzieści... a może sto? Postanowił, że nie wpadnie w pułapkę liczenia tych plam. Trudno byłoby je policzyć, tak nieregularnie były rozmieszczone. Ale... czy na pewno? Teraz, kiedy jego wzrok już się do nich przyzwyczaił (a trudno było nie zauważyć, że w tej małej grupie po prawej stronie jest ich na pewno pięć), wydało mu się, że układają się jednak w pewien wzór. Ich szczególna brzydota

polegała właśnie na tym, że rozmieszczenie sugerowało wzór, a potem niweczyło to oczekiwanie. Nagle uświadomił sobie, że to jeszcze jedna pułapka. Utkwił spojrzenie w stole.

Na stole też były plamy: białe plamy. Błyszczące, białe plamy, nie całkiem okrągłe i wyraźnie ułożone w sposób odpowiadający plamom na suficie. Ale... czy a by na pewno? Nie, ależ skąd... ach, w końcu zrozumiał! Wzór (jeśli można to nazwać wzorem) plam na stole był dokładną odwrotnością wzoru plam na suficie. Z pewnymi wyjąkami. Przyłapał się na tym, że szybko przenosi wzrok ze stołu na sufit, próbując wychwycić te różnice. I po raz trzeci otrząsnął się, wstał i zaczął się przechadzać po sali. Musiał teraz przyjrzeć się obrazom.

Niektóre należały do szkoły, która nie była mu obca. Był tam portret młodej kobiety z szeroko otwartymi ustami. Wnętrze jamy ustnej wypełniały włosy. Portret namalowano niezwykle sugestywnie, z niemal fotograficzną dokładnością, tak że „czuło się” te włosy; czuło się je nawet wówczas, gdy starało się ich nie czuć. Inny obraz przedstawiał olbrzymią modliszkę grającą na skrzypcach i pożeraną przez drugą. Był tam też mężczyzna z korkociągami zamiast ramion, kąpiący się w świetle zachodzącego słońca w płaskim morzu o ponurych barwach. Większość obrazów należała jednak do zupełnie innej szkoły. Na pierwszy rzut oka nie wyglądały zbyt ciekawie, choć Mark był nieco zaskoczony, stwierdziwszy, że dominują w nich tematy biblijne. Dopiero po dłuższej obserwacji odkrył pewne dziwne szczegóły - było coś niepokojącego w układzie stóp i palców rąk tych postaci, w połączeniu osób. Kim jest ta osoba stojąca między Chrystusem a Łazarzem? I dlaczego pod stołem Ostatniej Wieczerzy jest tyle robaków? Co oznacza to dziwne oświetlenie, jakby każdy z obrazów odtwarzał wizje doświadczane przez kogoś w stanie delirium? Kiedy już raz sformułował te pytania, pierwotna „normalność” obrazów zaczęła przypominać złowieszczą niewinność początku koszmarnych snów. Każda fałda draperii, każdy szczegół architektury uzyskiwały ukryte znaczenie, którego nie można było uchwycić, lecz które zatruwało umysł. W porównaniu z tymi obrazami, te pierwsze, surrealistyczne, wydawały się po prostu głupie i naiwne. Dawno temu Mark czytał gdzieś o „reprezentacjach najwyższego zła, które osobie niewtajemniczonej wydają się całkiem niewinne”[G. K. Chesterton, *The Everlasting Man*, rozdz. VI.] i zastanawiał się wówczas, o czym właściwie jest mowa. Teraz już wiedział.

Odwrócił się od obrazów i usiadł. W końcu zrozumiał. Frost wcale nie próbował doprowadzić go do obłądki, a w każdym razie nie w tym sensie, w jakim Mark rozumiał dotychczas słowo obłądki. Siedzenie w tym pokoju miało być pierwszym krokiem do tego, co Frost nazywał obiektywizmem - procesem, w którym wszystkie specyficznie ludzkie reakcje miały zostać w człowieku wytępione, tak aby zaczął odpowiadać towarzystwu wybrednych makrobów. Później bez wątplenia nastąpią wyższe stopnie owego ascetyzmu anty natury: jedzenie wzbudzających wstręt potraw, taplanie się w brudzie i krwi, rytualne spełnianie wymyślnych perwersji. W pewnym sensie byli wobec niego uczciwi - proponowali mu wtajemniczenie, przez które sami przeszli i które oddzieliło ich od reszty ludzkości, rozdymając i rozmywając Withera w bezkształtną ruinę człowieka, a skupiając i wyostrzając Frosta w twardą, lśniącą igielkę, jaką się stał.

Po upływie godziny ów długi, wysoki pokój przywodzący na myśl trumnę, zaczął jednak wywierać na Marku wrażenie, którego jego instruktor prawdopodobnie nie przewidział. Nie powtórzył się już atak, który przeżył w nocy, siedząc samotnie w celi. Czy to dlatego, że zdołał się oprzeć temu atakowi, czy dlatego, iż poczucie bliskości śmierci wyostrzyło jego od dawna wyczuwaną tęsknotę za tajemnicą, a może dlatego, że tak rozpaczliwie (w pewien sposób) błagał o pomoc, ujawniająca się w samej strukturze tego pomieszczenia i w wiszących na ścianach obrazach perwersja wyczuliła go - i to w najwyższym stopniu, jakiego nigdy dotąd nie zaznał - na coś zupełnie odwrotnego. Podobnie jak najpierw pustynia uczy człowieka kochać wodę lub jak nieobecność jakiejś osoby ujawnia prawdziwe do niej uczucie, w atmosferze goryczy i pokrętnych

zaprzeczeń narodziła się w nim wizja czegoś prostego i miłego. Coś innego - coś, co bez zastanowienia nazwał „normalnością” - z całą pewnością istniało. Nigdy przedtem o tym nie myślał. Teraz wiedział, że to istnieje: solidne, masywne, jak coś, co można dotknąć czy zjeść, w czym można się zakochać. Wszystko to wiązało się w jakiś sposób z Jane, z sadzonymi jajkami, z mydłem, promieniami słońca, gawronami kraczącymi w Cure Hardy, z myślą, że gdzieś na zewnątrz w tym samym momencie jest dzień. Nie myślał o tym w kategoriach moralnych, ale też (co w końcu oznacza prawie to samo) przeżywał swoje pierwsze głębokie doświadczenie moralne. Dokonywał wyboru: stawał po stronie „normalności”. Wybrał „to wszystko”, jak to sobie teraz nazwał. Jeśli światopogląd naukowy prowadzi do wyzbycia się „tego wszystkiego”, to do diabła ze światopoglądem naukowym! Zachłysnął się gwałtownością tego wyboru: czegoś takiego jeszcze nigdy nie doznał. Przestało go w ogóle obchodzić, czy Frost i Wither go zabiją.

Trudno powiedzieć, jak długo to trwało, ale w samym środku owego zupełnie nowego przeżycia wrócił Frost. Zaprowadził Marka do innego pokoju, w którym na kominku płonął ogień, a na ustawionym pośrodku łożu leżał jakiś starzec. Na srebrnej zastawie i szklach migotały świetlne refleksy. Mark był tak mile oczarowany łagodną wytwornością tego pokoju, że z trudem docierały do niego słowa Frosta, który mu oznajmił, że musi tu pozostać i zadzwonić do wicedyrektora, gdy tylko pacjent poruszy się lub przemówi. Nie powinien z nim rozmawiać, zresztą starzec i tak nie rozumie po angielsku.

Po odejściu profesora Mark rozejrzał się po pokoju. Nabral pewności siebie, był zdecydowany na wszystko. Stracił już nadzieję na opuszczenie Belbury, skoro postanowił, że nie zostanie wyzbytym człowieczeństwa sługą makrobów. Nieważne, co się z nim stanie. Przede wszystkim trzeba coś zjeść. Na stole było mnóstwo różnych przysmaków. A może najpierw zapalić, oparkłszy stopy o kratę kominka?

- Psiakrew! - zaklął, gdy włożył rękę do kieszeni i stwierdził, że jest pusta. W tym samym momencie zauważył, że pacjent otworzył oczy i patrzy na niego.

- Przepraszam - powiedział Mark. - Nie chciałem... Mężczyzna usiadł i wskazał głową na drzwi.

- Eee? - stęknął pytająco.

- Nie rozumiem - odrzekł Mark.

- Eee? - powtórzył tamten. - Zagranicznicy, ee?

- A więc mówi pan po angielsku?

- No - odrzekł mężczyzna, a po dłuższej chwili dodał: - Ej, szefie!

Mark spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Szefuniu! - powtórzył pacjent z jeszcze większą energią. Masz może coś zafajczyć, ee?

* * *

- Myślę, że to wszystko, co teraz mogliśmy zrobić - powiedziała Mama Dimble do Jane. - Kwiatami zajmiemy się po południu.

Siedziały w małym kamiennym domku zwanym Stróżówką, tuż obok bocznej furtki w murze, przez którą wpuszczono Jane, gdy po raz pierwszy przybyła do Dworu. Właśnie przygotowały Stróżówkę dla Maggsów, bo mężowi Ivy kończył się dziś wyrok, a ona sama poprzedniego dnia pojechała pociągiem do miasteczka, w którym znajdowało się więzienie, aby go powitać przed bramą. Na szczęście miała tam ciotkę, u której mogła zanoćować.

Kiedy pani Dimble powiedziała mężowi, czym zamierza się zająć przed południem, odrzekł:

- No przecież wystarczy zapalić w kominku i posłać łóżko. To ci chyba zajmie niewiele czasu.

Jako osoba tej samej płci co doktor Dimble podzielałam jego ograniczenia. Nie mam pojęcia, co dwie kobiety mogły robić w Stróżówce przez tyle godzin. Nawet Jane tego nie przewidywała. Natomiast dla pani Dimble zadanie przewietrzenia małego domku i przygotowanie łóżka dla Ivy Maggs i jej męża kryminalisty stało się czymś pomiędzy zabawą a rytuałem. Obudziło to w Jane jakieś niejasne wspomnienia z dzieciństwa, kiedy pomagała dekorować kościół na Boże Narodzenie lub Wielkanoc, ale przywiodło też na myśl wszystko, co kryło się w szesnastowiecznych epitalamiach - te wszystkie stare przesady, żarty i sentymentalizmy, związane z łożami dla nowożeńców i małżeńskimi alkowami, z wróżbami dotyczącymi przekraczania progu i elfami wyłaniającymi się z kominka. Była to atmosfera całkowicie obca tej, w której się wychowała, i jeszcze parę tygodni temu bardzo by jej nie odpowiadała. Czyż nie było czegoś absurdalnego w owym drętwym, rozmigotanym, archaicznym świetle - w tej mieszaninie pruderii i zmysłowości, w tych wszystkich wyuczonych umizgach pana młodego i konwencjonalnej wstydlivosti jego świeżo poślubionej małżonki, w religijnym przyzwoleniu i „uświęceniu”, w fescenijskich przyśpiewkach weselnych, w oczekiwaniu na to, że wszyscy prócz odtwórców głównych ról będą wstawieni? Jak doszło do tego, że ludzie uwięzili w takiej ceremonii coś, co jest całkowitym zaprzeczeniem wszelkiej ceremonialności? Teraz jednak nie była już tak pewna swojej reakcji. Była tylko pewna, że jest w świetle jakaś linia, która łączy Mamę Dimble do tego świata, a ją z niego wyklucza. Mama Dimble, z całym swoim dziewiętnastowiecznym wychowaniem, okazała się tego popołudnia osobą jeszcze bardziej archaiczną. W każdym momencie zdawała się jedną z owych poważnych, a jednocześnie rubasznym, kipiących energią starszych kobiet, które od początków świata wprowadzały młodożeńców do sypialni, pławiąc się w absurdalnej mieszaninie ukłonów, znaczących mrugnięć, błogosławieństw i łez - tych nieznośnych starszych kobiet w kryzysach i kwefach, sypiących dowcipami na temat intymnych męskich części garderoby i przyprowadzania rogów, co im nie przeszkadzało w chwilę potem nabożnie klęczeć przed ołtarzem. Było to w sumie bardzo dziwne, jako że oczywiście w rozmowie Mama Dimble okazywała o wiele większą od niej powściągliwość. Jane, jako znawczyni historii literatury, mogła bez najmniejszego zażenowania rozmawiać o suspensoriach, natomiast Mama Dimble była edwardiańską damą, która zmroziłaby milczącą dezaprobatą każdego silącego się na nowoczesność młodego bubka, gdyby ośmielił się poruszyć taki temat w jej obecności. Być może pogoda miała jakiś wpływ na te dziwne reakcje Jane. Mróz odpuścił i był to jeden z owych przejmująco łagodnych, miłych dni, jakie czasami zdarzają się na samym początku zimy.

Ivy zwierzyła się Jane ze swojej sytuacji zaledwie poprzedniego dnia. Pan Maggs ukradł pieniądze z pralni, w której pracował. Stało się to jeszcze przed poznaniem Ivy, gdy wpadł w złe towarzystwo. Odkąd postanowił rozpocząć wraz z Ivy nowe życie, stał się naprawdę uczciwym człowiekiem, jednak popełniona wcześniej kradzież została później wykryta i aresztowano go jakieś sześć tygodni po ich ślubie. Jane niewiele mówiła w czasie tych zwierzeń, a Ivy nie sprawiała wrażenia osoby świadomej społecznego stygmatu, jakim naznaczony jest zwykle drobny złodziejczek po wyroku, tak że Jane nie miała okazji - nawet gdyby miała na to ochotę - okazania jej owej prawie formalnej „uprzejmości”, jaką niektórzy ludzie rezerwują dla nieszczęśliwych biedaków. Z drugiej strony, nie miała też szansy, by okazać się rewolucjonistką lub teoretykiem - by sugerować, że taka kradzież nie jest przestępstwem w większym stopniu niż bogactwo. Ivy zdawała się przyjmować tradycyjną moralność za coś zupełnie oczywistego. To ją zawsze „tak męczyło”. Tak więc moralny aspekt całej sprawy raz nabierał wielkiej wagi, a w innym kontekście jakby się nie liczył. Nigdy też nie przyszło jej do głowy, by mogło to w jakikolwiek sposób wpłynąć na jej stosunek do męża, jakby sam fakt, że był złodziejem - podobnie jak choroba - był wliczony w normalne ryzyko, towarzyszące wstąpieniu w związek małżeński.

- Zawsze powtarzam, że nie pozna się chłopca do końca, dopóki się za niego nie wyjdzie - powiedziała do Jane.

- No... chyba nie - bąknęła Jane.

- Ale oni mają tak samo - dodała Ivy. - Mój ojczulek często mówił, że nigdy by się nie ożenił z mamą, gdyby wiedział, jak ona chrapie. A mama na to odpowiadała: „I miałbyś świętą rację!”

- To chyba jednak coś innego - powiedziała Jane.

- Ja tam uważam, że jak jedno szydło nie wylezie z worka, to wylezie drugie. Tak sobie m yślę. I tu nie chodzi tylko o chłopów. Oni też muszą nas znosić. Bo oni już tacy są, biedacy, że ciągnie ich do ożenku, jeśli tylko wszystko z nimi w porządku, ale cokolwiek byśmy mówiły, Jane, z babami też czasem mają utrapienie. I nie mówię tu wcale o jakichś jędzach. Pamiętam jak raz... to było zanim do nas przystałaś... Mama Dimble powiedziała coś do doktora, a on sobie siedział i coś czytał, no wiesz, jak on to robi, palce wtyka między strony, ołówek w rękę, my tak nie czytamy. No więc on na to: „Tak, kochanie”, a obie wiedziałyśmy, że w ogóle nie słuchał. To ja mówię: „No widzi pani, Mamó Dimble, jak oni nas traktują, jak już się z nami ożenią? Nawet im się nie chce nas wysłuchać”. I wiesz, co ona na to odpowiedziała? Ona na to: „Ivy Maggs, a tobie kiedykolwiek przyszło do głowy zapytać, czy ktoś jest w stanie słuchać tego wszystkiego, co my wygadujemy?” Jej własne słowa. Oczywiście nie chciałam się tak łatwo poddać, nie w jego obecności, więc powiedziałam: „Mają słuchać i już”. Ale to mnie po prostu zważyło z nóg. I wiesz co? Często gadam i gadam coś do męża, a on w końcu na mnie patrzy i pyta, co mówiłam, a ja... niech skonałam, ja już sama nie pamiętam, o czym mówiłam!

- Och, to zupełnie co innego - powiedziała Jane. - Tak bywa, kiedy ludzie się od siebie odwracają... zajmują zupełnie inne stanowiska w różnych sprawach... stają po innej stronie...

- Ty to musisz się bardzo zamartwiać o swojego męża - zauważyła Ivy. - Jakbym była tobą, to bym chyba oka nie zmrużyła. Ale Przewodniczący w końcu wszystko uładzi. Zobaczysz.

Pani Dimble wróciła do domu, by znaleźć kilka drobiazgów, które nadałyby ostateczny kształt sypialni przygotowywanej w Stróżówce. Jane, czując się trochę zmęczona, uklękła na ławeczce w wykuszu okiennym, łokcie oparłszy na parapecie, a brodę na dłoniach. Słońce mocno przygrzewało. Już dawno pogodziła się z myślą, że wróci do Marka, jeśli on zdoła uwolnić się z Belbury. Nie przerażało to jej, właściwie nie wywoływało w niej żadnych emocji. I wcale nie był tak dlatego, że w tym momencie w pełni wybaczyła mu znane małżeńskie przestępstwo polegające na tym, iż czasami wyraźnie wołał ją samą od rozmowy z nią, a czasami wołał przede wszystkim być sam na sam ze swoimi myślami. Bo niby dlaczego ktoś miałby jakoś szczególnie zainteresować się tym, co ona ma do powiedzenia? Ta zupełnie nowa postawa pokory byłaby nawet całkiem znośna, gdyby chodziło o kogoś bardziej ją pociągającego od Marka. Oczywiście, jeśli się ponownie spotkają, będzie musiała postępować z nim zupełnie inaczej. Lecz właśnie to „ponownie” odjęło smaku owemu dobremu postanowieniu - jak powrót do sumy, którą się kiedyś źle obliczyło, a teraz oblicza na nowo na tej samej pogryzmołonej stronie podręcznika. „Jeśli się ponownie spotkają...” Poczła skruchę z powodu braku niepokoju i prawi e w tym samym momencie zaczęła się trochę niepokoić. Do tej pory zawsze była przekonana, że Mark wróci. Teraz nagle uświadomiła sobie możliwość jego śmierci. Nie zastanawiała się w ogóle nad tym, jak później będzie żyła samotnie, po prostu ujrzała Marka martwego - tę martwą twarz pośrodku poduszki, to sztywne ciało, te dłonie i ramiona (tak różne od wszystkich innych dłoni i ramion, na dobre i na złe) wyciągnięte prosto, bezużyteczne jak ręce lalki.

Zrobiło się jej bardzo zimno. A przecież słońce grzało mocniej niż kiedykolwiek, tak mocno, że wydawało się to zupełnie niemożliwe o tej porze roku. Było też bardzo cicho, tak cicho, że słyszała, jak po ścieżce za oknem skacze jakiś ptaszek. Ścieżka wiodła do furtki w murze, tej samej, przez

którą weszła tu po raz pierwszy. Ptaszek doskakał do progu tej furtki... Do czyichś stóp. Bo teraz Jane zobaczyła, że w zagłębieniu furtki ktoś siedzi. Furtkę dzieliło od okna zaledwie kilka metrów, więc ten ktoś musiał siedzieć bardzo spokojnie, skoro go dotąd nie zauważyła.

Była to kobieta. Ognista szata, w której ukryła ręce, okrywała ją od stóp aż do karku, gdzie podnosiła się, tworząc szeroką kryzę, lecz z przodu była tak wycięta, że ukazywała bujne piersi. Jej skóra miała ciemny, południowy, prawie miodowy połysk. Jane widziała podobne suknie na minojskich kapłankach z waz odnalezionych w Knossos. Nieruchoma głowa, osadzona na mocnym filarze szyi, zwrócona była twarzą ku Jane. Czerwone policzki, wilgotne wargi, wielkie czarne oczy - prawie jak oczy krowy - i zagadkowy wyraz twarzy. Ta twarz - przynajmniej według zwykłych kryteriów - nie przypominała w niczym twarzy Mamy Dimble, a jednak Jane ją rozpoznała. Było to, używając języka muzyków, jakby pełne rozwinięcie tematu, który nawiedzał przelotnie twarz Mamy Dimble w ciągu ostatnich kilku godzin. Tak, to była twarz Mamy Dimble, której czegoś brakowało, a ów brak wstrząsnął Jane. „Jest zwierzęca”, pomyślała przytłoczona bijącą z niej energią, lecz zaraz się poprawiła: „To ja jestem słaba, to ja jestem niczym”. „Kpi sobie ze mnie”, pomyślała po chwili, lecz znowu się poprawiła: „Ignoruje mnie, w ogóle mnie nie dostrzega”, bo choć na tej twarzy malowała się jakaś prawie dzika wesołość, Jane nie była zaproszona, by mieć w niej udział. Spróbowała oderwać spojrzenie od tej twarzy, a gdy to się udało, dostrzegła, że wokół zgromadziły się inne kobiety - ze cztery albo pięć... nie, cała gromada śmiesznych małych ludzików, krępych karłów czy gnomów, w czerwonych czapeczkach z pomponami, frywolnych, niepohamowanych, nie do zniesienia spoufalonych. Tu już nie miała wątpliwości: szydziły z niej, kiwały głowami, robiły miny, stawały na głowie, wywijają koziołki. Jeszcze się nie bała, może po części dlatego, że mocno grzejące słońce trochę ją rozleniwilo. Czuła się przede wszystkim zniewazona. Powróciło z nieodpartą mocą podejrzenie, jakie już kiedyś nawiedziło jej umysł, że prawdziwy, realny wszechświat może być po prostu głupi. To podejrzenie zmieszało się całkowicie ze wspomnieniem śmiechu dorosłych - głośnego, beztroskiego, męskiego śmiechu wydobywającego się z ust wujów - starych kawalerów - który w dzieciństwie tak często doprowadzał ją do szału i od którego ucieczką były pełne niesamowitej powagi zebrania szkolnego kółka dyskusyjnego.

Ale w chwilę później naprawdę się przeraziła. Wysoka kobieta powstała. Wszyscy zaczęli się zbliżać. I nagle, w oślepiającej poświacie, z hałasem przypominającym huk płomieni, kobieta w ognistej sukni i gromada karzełków w czerwonych czapeczkach wtargnęli do domu. Byli już wewnątrz, w pokoju. Dziwna kobieta trzymała w ręku pochodnię, która płonęła straszliwym, oślepiającym blaskiem, skwiercząc i wydzielając chmurę gęstego czarnego dymu i duszący, żywiczny zapach. „Jeśli nie będą uważać, podpalą dom”, pomyślała Jane. Nie miała jednak czasu, by o tym dłużej myśleć, bo całą uwagę skupiła teraz na odrażającym zachowaniu karzełków, które zaczęły buszować po całym pokoju. W kilka sekund łóżko zmieniło się w chaos: zmięte prześcieradła na podłodze, poduszki fruujące w powietrzu, pierze unoszące się wszędzie.

- Przestań! Przestań! - zawołała Jane, bo olbrzymka zaczęła dotykać różnych przedmiotów płonącej pochodnią.

Dotknęła wazy stojącej na gzymsie kominka. Nagle wystrzelił z niej pióropusz barw, który Jane wzięła za płomień. Rzuciła się, by go ugasić, gdy ujrzała, że to samo stało się z obrazem na ścianie. Coraz szybciej i szybciej, teraz już wszędzie. Płonęły nawet pompony na czapeczkach karłów. I właśnie w tym momencie, gdy jej przerażenie dosięgło zenitu, dostrzegła, że to, co tryskało ze wszystkiego, czego dotknęła pochodnia, nie było wcale płomieniami, lecz roślinami. Bluszcz i kapryfolum wyrastały z nóg łóżka, czerwone róże z czapeczek karłów, a zewsząd pochylały się do jej kolan i kibici wielkie lilie, wyciągając do niej żółte jęczyczki. Te zapachy, ten żar,

ten cały dziki tłum - to wszystko, co się wokół niej działo, sprawiło, że zasłabła. Nie miała wcale poczucia, że śni. Ludzie myślą sny z wizjami, ale nikt nigdy nie wziął wizji za sen...

- Jane! Jane! - rozległ się nagle głos pani Dimble. - Co to, na Boga, ma znaczyć?!

Jane usiadła. Pokój był pusty, ale pościel leżała w strzępach. Ona sama najwyraźniej przed chwilą leżała na podłodze. Było jej zimno i czuła się strasznie zmęczona.

- Co tu się stało? - powtórzyła pani Dimble.

- Nie wiem.

- Czy jesteś chora, moje dziecko?

- Muszę natychmiast zobaczyć się z Przewodniczącym - odpowiedziała Jane. - Nic mi nie jest. Nie przejmuj się. Mogę sama wstać.. naprawdę. Ale muszę zaraz zobaczyć się z Przewodniczącym.

* * *

Świadomość Pana Bultitude'a była równie kosmata i nieludzka jak jego ciało. Nie pamiętał prowincjonalnego ogrodu zoologicznego, z którego wydostał się podczas pożaru, paniki ucieczki, przybycia do Dworu i wszystkich długich etapów swojej znajomości z jego mieszkańcami: od początkowej podejrzliwości i nieporozumień do prawdziwego zaufania i miłości. Nawet teraz nie zdawał sobie wcale sprawy z tego, że im ufa i że ich kocha. Nie wiedział, że są ludźmi, nie miał też pojęcia, że sam jest niedźwiedziem. Prawdę mówiąc, nie wiedział nawet, że istnieje: wszystko, co kryje się za słowami „ja”, „mnie” czy „ty”, było jego umysłowi zupełnie obce. Kiedy pani Maggs dawała mu puszkę złocistego syropu, co robiła w każdy niedzielny poranek, nie rozróżniał w tym akcie ani dawcy, ani odbiorcy. Zdarzyło się coś dobrego, czuł tego smak - to wszystko. Jego upodobania i miłości można by, na upartego, opisać jako przejawy miłości interesownej; jej obiektem był pokarm i ciepło, pieszczące ręce, uspokajające głosy. Jeśliby jednak miłość interesowna miała oznaczać coś bardzo zimnego i wyrachowanego, to prowadziłoby to do całkowitego niezrozumienia odczuć tego zwierzęcia. Z ludzkiego punktu widzenia byłby w równym stopniu trudno nazwać go egoistą, co altruistą. W jego życiu w ogóle nie było prozy. Skłonności, którymi człowiek mógłby pogardzać, uznając je za interesowne, w jego świecie przeżyć były rozedrganymi pragnieniami pochłaniającymi całą jego istotę, wybuchami bezgranicznej tęsknoty, przerywanej błyskawicami lęku przed tragedią i promieniami wszystkich barw raj. Przedstawiciel naszego gatunku zanurzony na chwilę w ciepłej, rozedrganiej, opalizującej sadzawce owej przed-Adamowej świadomości, wyłoniłby się z niej przekonany, iż dotknął absolutu, ponieważ stany poniżej poziomu rozumu i stany powyżej tego poziomu wykazują - poprzez ich wspólny kontrast ze znanym nam życiem - pewne powierzchowne podobieństwo. Niekiedy powraca do nas z dzieciństwa wspomnienie jakiejś nienazwanej rozkoszy albo przerażenia, nie związane z żadną rozkoszną lub przerażającą rzeczą, niby jakiś mocny przymiotnik szybujący w pozbawionej rzeczowników próżni, czysta jakość. W takich momentach doświadczamy poczucia płycizn tej sadzawki. A jednak właśnie tam, nieskończenie głębiej niż może sięgnąć ludzka pamięć, w owej ciepłej i zamglonej niszy, upływało całe jego niedźwiedzie życie.

Tego dnia przydarzyło mu się coś niezwykłego. Dostał się do ogrodu bez kagańca. Kiedy go wypuszczano z domu, zawsze nakładano mu kaganiec, nie dlatego, że ktokolwiek mógł się obawiać jego niebezpiecznego zachowania, lecz ze względu na jego neodparte skłonności do owoców i słodszych gatunków warzyw. Ivy Maggs wyjaśniła to Jane Studdock w następujący sposób: „Nie żeby był nieoswojony, tylko że on po prostu jest nieuczciwy. Nie zostawiłby nam ani jednego

ogórka i ani jednej rzodkiewki, gdybyśmy mu nie obwiązywali tego żarłocznego pyska". Dzisiaj zapomniano jednak o tym środku ostrożności i Pan Bultitude spędził bardzo miły ranek, dokładnie badając grządkę z rzepą. Teraz - a było już wczesne popołudnie - dotarł wreszcie do muru otaczającego ogród. Tuż przy murze rósł kasztanowiec, na który łatwo było mu się wspiąć, a z jego gałęzi równie łatwo mógł zsunąć się na drugą stronę muru.

Stał i wpatrywał się w drzewo. Pani Maggs opisałaaby stan jego świadomości słowami: „Dobrze wie, że nie wolno mu opuszczać terenu ogrodu". W rzeczywistości w jego umyśle nie pojawiło się nic podobnego. Nie znał zasad moralnych. Przewodniczący przekazał mu tylko pewne zakazy. W bliskości muru poczuł tajemniczy opór, jakaś chmura zaćmiła jego uczuciową pogodę, lecz czuł też wyraźnie impuls przeciwny: by przedostać się na tamtą stronę. Nie wiedział, oczywiście, dlaczego, nie był nawet w stanie postawić sobie takiego pytania. Gdyby nacisk tego impulsu przełożyć na język ludzki, byłoby to coś bardziej zbliżonego do mitologii niż myśli. W ogrodzie spotyka się pszczoły, ale nie natrafiło się nigdy na ul. Pszczoły zawsze wylatują poza ogród, ponad murem. Podążanie za pszczołami jest czymś oczywistym. W świadomości niedźwiedzia było jakieś poczucie - trudno to nazwać obrazem - niekończących się zielonych krain poza murem, niezliczonych pszczelich rojów, pszczół wielkości wróbli, jakiegoś wyczekiwania na coś albo poszukiwania czegoś sączącego się, ściekającego, płynącego, czegoś lub kogoś bardziej kleistego i słodkiego niż sam miód.

Dzisiaj to niepokojące poczucie dawało mu o sobie znać silniej niż zwykle. Tęsknił za Ivy Maggs. Nie wiedział, że ktoś taki istnieje, i nie pamiętał jej w sposób, w jaki ludzie kogoś pamiętają, ale czuł jakiś nieokreślony brak. Ona i Przewodniczący byli - na różny sposób - dwoma głównymi czynnikami w jego egzystencji. Wyczuwał wyższość Przewodniczącego. Spotkania z nim były dla niedźwiedzia tym, czym dla ludzi jest przeżycie mistyczne, bo Przewodniczący przywiózł ze sobą z Wenus cień utraconej przez człowieka skłonności do uszlachetniania zwierząt. W jego obecności Pan Bultitude drżał cały na samym progu osobowości, myślał w sposób nie do pomyślenia i borykał się z czymś niemożliwym, przerażał się i zachwycał odbłaskami spoza swojego własnego wełnistego świata, po czym odchodził znużony. Natomiast z Ivy czuł się swobodnie - podobnie jak dziki mieszkawiec dżungli wierzący w jakiegoś odległego Wielkiego Boga czuje się swobodnie, obcując z duchami lasu i wody. To Ivy go karmiła, przepędzała z zakazanych miejsc, pętała go i mówiła do niego przez cały dzień, święcie przekonana, że niedźwiedź „rozumie każde jej słowo". Biorąc taką wypowiedź dosłownie, trudno się z nią zgodzić, ale w pewnym sensie oddawała ona część prawdy, bo skierowanymi do niego słowami wyrażała przede wszystkim uczucia, a nie myśli, i to uczucia, które Panu Bultitude nie były obce: jakiejś skwapliwości, przytulności i fizycznej sympatii. Na swój własny sposób rozumeli się całkiem dobrze.

Trzykrotnie Pan Bultitude odwracał się i odchodził od drzewa i muru, lecz za każdym razem wracał. Wreszcie, bardzo ostrożnie i powoli, zaczął się wspinać na drzewo. Kiedy wszedł na rozwidlenie gałęzi, usiadł i siedział tam przez prawie pół godziny. Pod sobą widział trawiaste zbocze zbiegające do drogi. Pragnienie pobiegnięcia tym zboczem walczyło w nim coraz silniej z niejasnym poczuciem zakazu. Coś w jego świadomości błędziło i odbiegało od poprzedniego silnego doznania. W pewnym momencie prawie już zasnął, lecz w końcu, bez wyraźnego impulsu, zsunął się na ziemię po drugiej stronie muru. Kiedy stwierdził że to naprawdę się stało, tak się przeraził, że usiadł na trawiastym poboczu, tuż przy drodze. Wówczas coś usłyszał.

Na drodze pojawiła się ciężarówka. Prowadził ją człowiek w uniformie służby Instytutu Badań Skoordynowanych. Drugi mężczyzna siedział obok niego.

- Hej!... Popatrz! - zawołał drugi mężczyzna. - Zahamuj, Sid. Co to jest, do cholery?

- Co? - spytał kierowca.

- Nie masz oczu?

- A niech to diabli! - zaklął Sid i zahamował. - Cholernie duży niedźwiedź. Słuchaj, czy to przypadkiem nie nasz?

- Daj spokój, przecież siedział w klatce dziś rano, sam widziałem.

- A nie przyszło ci do głowy, że mógł zwiać? Ale by się nam dostało!

- Przecież nie mógłby się tu znaleźć, nawet gdyby nawiał. Niedźwiedzie nie robią czterdziestu mil na godzinę. To nie leży w ich naturze. Ale może by go zwinąć?

- Nie otrzymaliśmy takiego polecenia - odparł Sid.

- No nie. I nie udało nam się też dorwać tego cholernego wilka.

- To nie nasza wina. Przecież sam byłeś świadkiem, Len, że ta stara, co mówiła, że go sprzeda, w końcu się rozmyśliła. Ale się staraliśmy, no nie, młody? Wstawialiśmy jej kit, że te doświadczenia w Belbury to nie to, co ona myśli. Ze zwierzak będzie tam miał jak w raju, że będzie ulubieńcem wszystkich i tak dalej. Jeszcze nigdy nie nałgałem tyle w ciągu jednego przedpołudnia. Ale ktoś ją nastraszył.

- Jasne, że to nie nasza wina. Tylko że szefa guzik to będzie obchodziło. Wyleje nas z Belbury na zbity pysk.

- Wyleje? - powtórzył Sid. - Sam bym chciał wiedzieć, jak to zrobić.

Len splunął przez ramię i przez chwilę zapanowało milczenie.

- A w każdym razie co nam da przywożenie im niedźwiedzia? - zapytał w końcu Sid.

- Pomyśl, chłopie, czy to nie lepsze niż wracać z pustymi rękami? Taki niedźwiedź kosztuje kupę forsy. Wiem, że chcieli mieć drugiego. A tego możemy mieć za friko.

- No dobra - zgodził się Sid. - Jak jesteś taki chętny, to wyskakuj i poproś go, żeby wlał do środka.

- Szpryca - powiedział Len.

- Tylko nie z moim żarciem, dobra?

- Jesteś cholernie fajnym kumplem, nie ma co - rzekł Len, grzebiąc w zatłuszczonej torebce. - Masz szczęście, że nie jestem z tych, co donoszą.

- Już to zrobiłeś - odparł kierowca. - Znam dobrze te wszystkie twoje gierki.

Len wyjął kanapkę i skropił ją obficie jakimś mocno pachnącym płynem z butelki. Potem otworzył drzwi, zeskoczył i zrobił krok, wciąż nie puszczając drzwi. Był teraz jakieś pięć metrów od niedźwiedzia, który znieruchomiał, odkąd ich zobaczył. Rzucił mu kanapkę.

W kwadrans później Pan Bultitude leżał na boku uśpiony, ciężko oddychając. Nie mieli trudności ze związaniem mu pyska i wszystkich czterech łap. Musieli jednak bardzo się namęczyć, zanim zdołali go wciągnąć na ciężarówkę.

- Serduszko mi coś nawala - powiedział Sid, przyciskając dłoń do lewego boku.

- Szlag z twoim serduszkiem - warknął Len, ocierając pot z czoła. - Jedziemy.

Sid wspiał się z powrotem na siedzenie kierowcy i przez chwilę dyszał ciężko, mruczając co jakiś czas: „Jezu”. Potem uruchomił silnik i ruszyli w drogę.

* * *

Życie Marka zostało teraz podzielone na okresy snu, dyżurów przy łóżku nieznanego śpiącego i pobytów w pokoju z płamami na suficie. Trudno opisać ćwiczenia w obiektywizmie, jakie miały miejsce w tym pokoju. Odwrotność naturalnych skłonności, jaką Frost starał się mu zaszczepić, nie była ani specjalnie spektakularna, ani radykalna, ale szczegóły nie nadają się do

druku, a cały program szkolenia miał w sobie coś z głupoty zajęć w przedszkolu. Mark często czuł, że jeden ryk zdrowego śmiechu rozwałby całą atmosferę tych ćwiczeń, ale w sytuacji, w jakiej się znalazł, nie było mu wcale do śmiechu. Kryła się bowiem w tym i groza - musiał wykonywać czynności, które jakieś głupie dziecko mogłoby uznać za śmieszne, a które w istocie były sprośne lub obrzydliwe, zawsze pod niezmiennie poważną obserwacją Frosta, z całym rytuałem doświadczenia naukowego, z mierzeniem czasu stoperem i notatkami. Podczas któregoś z ćwiczeń musiał wspiąć się na drabinę i dotknąć jednej z plam wskazanej przez Frosta: po prostu dotknąć jej palcem wskazującym i zejść z drabiny. Być może przez skojarzenie tego ćwiczenia z innymi albo dlatego, że naprawdę miało ono jakieś znaczenie, wydało się Markowi jakoś szczególnie nieprzyzwoite, a nawet najbardziej nieludzkie. I tak dzień po dniu, w miarę procesu szkolenia, idea „normalności” czy „prostoty”, która objawiła mu się podczas pierwszej bytności w tym pokoju, rozwijała się i utrwałała w jego umyśle, aż stała się czymś w rodzaju masywnej góry. Nigdy przedtem nie wiedział, co właściwie znaczy jakaś „idea”: zawsze myślał, że to coś, co rodzi się w mózgu. Teraz, gdy jego mózg był nieustannie atakowany i często całkowicie wypełniany lepkiem zepsuciem, ta „idea” piętrzyła się nad nim jak coś, co w sposób oczywisty istnieje całkiem niezależnie od niego, coś, co miało twardą jak skała powierzchnię, do której mógł przywrzeć.

Pomocą w przetrwaniu okazał się też „człowiek na łożu”. Odkrycie, że mówi po angielsku, doprowadziło Marka do bardzo dziwnej z nim znajomości. Trudno było zresztą powiedzieć, że ze sobą rozmawiali. Obaj coś mówili, ale wychodziło z tego coś, czego nie można było nazwać rozmową w tym znaczeniu, jakie Mark do tej pory nadawał temu słowu. Ten człowiek porozumiewał się w sposób tak aluzyjny (głównie za pomocą gestów), że o wiele mniej wyszukane sposoby komunikowania się, do jakich Mark przywykł, okazywały się tu prawie bezużyteczne. Tak więc, kiedy wyjaśnił mu, że nie ma tytoniu, mężczyzna wykonał z sześć razy pantomimę skręcania i zapalania papierosa, za każdym razem przekrzywiając śmiesznie głowę, a na jego twarzy pojawiał się wyraz takiej ulgi i rozkoszy, jaki Mark rzadko widywał na ludzkiej twarzy. Potem Mark spróbował mu wyjaśnić, że chociaż „tamci” nie są obcokrajowcami, to jednak są ludźmi bardzo niebezpiecznymi i najlepiej będzie, jeśli zachowa milczenie.

- Ach... Taa? - mruknął „pacjent”, ponownie przekrzywiając głowę, po czym, nie przykładając palca do ust, wykonał skomplikowaną pantomimę wyraźnie oznaczającą to samo.

Przez długi czas trudno było odciągnąć jego uwagę od tego tematu. Wciąż i wciąż powracał do sprawy milczenia.

- Eee tam, nic ze mnie nie wyciągną. Mówię ci. Nic ze mnie nie wyciągną. Eee? Mówię ci. Ty i ja, tylko my kapujemy. Eee?

W spojrzeniu, którym objął Marka, było tyle radosnej konspiracji, że Mark poczuł otuchę w sercu. Wierząc, że ta sprawa jest już dostatecznie jasna, przystąpił do drugiego etapu porozumienia.

- Ale musimy się zastanowić, co z nami... - zaczął, co wywołało kolejną pantomimę wyrażającą konieczność trzymania języka za zębami, zakończoną jak zwykle owym „Eee?”

- Tak, oczywiście - odpowiedział Mark, wiedząc już, że to „Eee?” oznacza żądanie potwierdzenia. - Znajdujemy się w niebezpieczeństwie. I...

- Aha. Zagranicznicy, ee?

- Nie, nie. Mówiłem ci już, że nie. Ale oni chyba myślą, że to ty jesteś nietutejszy. I właśnie dlatego...

- Tak jest - przerwał mu znowu mężczyzna. - Kapuję. Zagranicznicy, tak ich nazywam. Wiem. Nic ze mnie nie wyciągną. Ty i ja jesteśmy git. Aha.

- Spróbowałem opracować coś w rodzaju planu - rzekł Mark.

- Aha - mruknął mężczyzna.

- I zastanawiałem się... - zaczął Mark, ale mężczyzna nagle wychylił się do przodu i powiedział z niezwykłym naciskiem:

- Powiem ci.

- Co?

- Mam plan.

- Jaki?

- Aaa - odpowiedział mężczyzna, mrugając znacząco do Marka i drapiąc się po brzuchu.

- No mów. Co to za plan?

- A jakbyśmy tak... - rzekł tamten, siadając i przykładając lewy kciuk do prawego palca wskazującego, jakby wyliczał pierwszy argument w jakiejś filozoficznej dyspacie - a jakbyśmy tak machnęli sobie po kawałku smażonego sera?

- Słuchaj, mnie chodzi o plan ucieczki - powiedział Mark.

- Aaa... Mój stary, kapujesz? W życiu nie chorował. Ani przez jeden dzień Eee? W porządku, co nie?

- To nadzwyczajne - rzekł Mark.

- Aaa. Można tak powiedzieć. Całe życie w drodze. I nigdy go nawet brzuch nie rozboleł. Eee?

I jakby uważał, że Mark nie wie, co to ból brzucha, wykonał całą serię bardzo żywych gestów, żeby mu pokazać, jak to wygląda.

- Pewnie służyło mu świeże powietrze - powiedział Mark.

- A czemu zawdzięczał takie zdrowie? - zapytał mężczyzna. Słowo „zawdzięczał” wypowiedział z naciskiem, wyraźnie rozkoszując się jego brzmieniem. - Ja się pytam, czemu zawdzięczał takie zdrowie?

Mark już szykował się do odpowiedzi, gdy mężczyzna dał mu do zrozumienia gestem, że pytanie miało charakter czysto retoryczny i że nie życzy sobie, aby mu przerywano.

- Zaw-dzię-czał swoje kochane zdrówko - ciągnął - smażonemu serowi. Wyciąga wodę z brzucha, ot co. Eee? Smażony ser to najlepsza wyściółka. I o to właśnie chodzi. Aa!

W trakcie kilku takich rozmów Mark usiłował dowiedzieć się czegoś o nieznanym, a zwłaszcza w jaki sposób znalazł się w Belbury. Nie było to łatwe, bo choć większość wypowiedzi włączęgi miała wyraźnie autobiograficzny charakter, polegały one głównie na przytaczaniu jego własnych ciętych odpowiedzi, udzielonych w przeszłości, z tym, że nie bardzo było wiadomo, komu odpowiadał i na jakie pytania. Nawet wówczas, gdy wypowiedzi te nie były zbyt zawiłe, Markowi trudno było pojąć aluzje, bo nie znał życia włączęgów, choć kiedyś napisał bardzo autorytatywny artykuł o włączęgostwie. Starannie obmyślane i powtarzane kilka razy pytania doprowadziły jednak Marka do wniosku, że włączęga został zmuszony do oddania swego ubrania jakiemuś nieznanemu, a potem zapadł w głęboki sen. Oczywiście nigdy nie użył aż tylu słów, aby to wyrazić. Mówił tak, jakby Mark już wiedział, jak to wszystko wyglądało, a próby wyciągnięcia z niego bardziej konkretnych informacji na temat tego wydarzenia kończyły się na serii znaczących mrugnięć i konspiracyjnych gestów. W każdym razie Markowi nie udało się dowiedzieć o tożsamości ani wyglądzie człowieka, który tamtemu zabrał ubranie. Po wielu godzinach rozmów i podstępnych pytań Mark dysponował tylko strzępami informacji zawartymi w takich sformułowaniach jak: „Aaa! To był gość!” albo: „Był taki, no wiesz, ee?”, albo: „Tak, niezły był z niego klient!” Wypowiedziom tym towarzyszył niesamowity entuzjazm, jakby ten, kto mu kradł ubranie, wzbudzał w nim najwyższy podziw.

Entuzjazm był zresztą najbardziej uderzającą cechą wszystkich jego wypowiedzi. Nigdy nie mówił niczego, co mogłoby choć przypominać moralną ocenę tego, co mu się w życiu przydarzało. Nie próbował też w żaden sposób tego wyjaśniać. Zarówno wyraźne przejawy niesprawiedliwości

ze strony ludzi, których spotykał, jak i to, co było po prostu niezrozumiałe, wydawał się przyjmować nie tylko bez urazy i złości, ale i z pewną satysfakcją, jeśli tylko samo wydarzenie było na tyle godne uwagi, by je w ogóle wspominać. Nawet jego obecna sytuacja wcale nie dziwiła go tak, jak Mark się spodziewał. Zdawało się to bezsensowne, ale w końcu ów człowiek wcale nie szukał sensu w tym, co mu się w życiu przydarzało. Uważał się nad brakiem tytoniu i uważał „zagraniczników” za ludzi niebezpiecznych, lecz było oczywiste, że obchodzi go przede wszystkim to, by napić się i najeść do syta - póki picie i jedzenie znajdowało się w jego zasięgu. I Mark stopniowo zaczął podobnie reagować na sytuację, w której się znalazł. Mężczyźnie cuchnęło z ust, do zapachu, jaki wydzielab jego ciało niełatwo było przywyknąć, a jadł w sposób, który trudno było nazwać cywilizowanym, ale Mark czuł się tak, jakby obaj urządzili sobie bardzo długi piknik, co przypominało mu beztroskie czasy dzieciństwa, kiedy to nie zważa się na żadne konwenanse. Każdy z nich rozumiał zaledwie jedną ósmą z tego, co mówił drugi, ale pogłębiała się między nimi jakaś szczególna zażyłość. Dopiero po latach Mark zrozumiał, że właśnie tutaj, gdzie nie było miejsca na próżność i gdzie zagrożenie czyhało na niego tak, jak na „dzieci bawiące się w kuchni olbrzyma”, stał się niepostrzeżenie członkiem jakiegoś „tajnego kółka”, do którego nikt z zewnątrz nie miał dostępu.

Co jakiś czas ich beztroskie *tete-a-tete* zakłócało wejście Frosta lub Withera, czasem obu jednocześnie. Za każdym razem towarzyszył im inny obcy mężczyzna, który zwracał się do włóczęgi w jakimś nieznanym języku, a nie doczekawszy się odpowiedzi, był wyprowadzany z pokoju. Pogodzenie się z tym, co niezrozumiałe, w połączeniu z pewną zwierzęcą przebiegłością, pozwalały włóczędze na zachowanie całkowitej obojętności podczas prób nawiązania z nim kontaktu. Nawet bez rady Marka ani razu nie wyprowadził swych prześladowców z błędu co do swojej tożsamości przez odezwanie się po angielsku. Wyprowadzanie kogoś z błędu było czynnością całkowicie obcą jego osobowości, a malujący się na jego twarzy wyraz niewzruszonej obojętności, bez najmniejszego śladu niepokoju lub zdziwienia, dopełniał obrazu, nie pozwalając jego interlokutorom na powzięcie choćby najsłabszych podejrzeń co do jego prawdziwej tożsamości. Wither nigdy nie mógł odnaleźć w jego twarzy zła, którego w niej poszukiwał, podobnie jak śladów jakiegokolwiek cnoty, które dla niego byłyby sygnałem alarmowym. Włóczęga był typem człowieka, którego jeszcze nigdy nie spotkał. Nie był mu obcy typ naiwniaka, przerażonej ofiary, rywala, uczciwego człowieka z odrazą lub przerażeniem w oczach. Ten był dla niego zagadką.

Lecz w końcu pewnego dnia doszło do rozmowy, której przebieg był zupełnie inny.

* * *

- To brzmi tak, jakby ożył jeden z mitologicznych obrazów Tycjana - powiedział Przewodniczący z uśmiechem, kiedy Jane opisała mu swoje przeżycia w Stróżówce.

- Tak, ale... - Jane zawahała się. - Tak - powtórzyła po chwili - to było coś takiego. Nie tylko ta kobieta i... te karły... ale ta poświata. Jakby płonęło powietrze. Tylko że zawsze mi się wydawało, że lubię Tycjana. Chyba nie traktowałam jego obrazów zbyt poważnie. To było tylko takie paplanie o „renesansie”, no wie pan...

- Chcesz powiedzieć, że kiedy obraz stał się rzeczywistością, przestał ci się podobać?

Jane potrząsnęła głową.

- Czy to naprawdę było rzeczywiste? - zapytała po chwili milczenia. - Czy takie rzeczy istnieją?

- Tak - odpowiedział Przewodniczący. - To było wystarczająco rzeczywiste. Och, w promieniu pół mili istnieją całe tysiące istot, o których nic jeszcze nie wiem. I śmiem twierdzić, że to obecność

Merlina wydobywa pewne rzeczy na jaw. Póki on tu jest, nie żyjemy dokładnie w dwudziestym wieku. Różne czasy częściowo na siebie zachodzą, ogniskowa jest nieostra. A ty... ty jesteś jasnowidzem.

Prawdopodobnie to spotkanie z nią było ci potrzebne. Ona jest kimś, kim i ty możesz się stać, jeśli nie staniesz się kimś innym.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Mówiłaś, że przypominała trochę Mamę Dimble. I miałaś rację. Ale była to Mama Dimble, której czegoś brakowało. Mama Dimble jest zaprzyjaźniona z całym światem, podobnie jak Merlin przyjaźni się z lasami i rzekami. Ale przecież sam nie jest lasem czy rzeką. Mama Dimble nie odrzuciła tego świata, ona go ochrzciła. To chrześcijańska małżonka. A ty... ty nie jesteś chrześcijanką, nie jesteś też dziewczyną. Sama doprowadziłaś się do miejsca, w którym musiałaś spotkać tę Starą Kobiętę. Odrzuciłaś wszystko, co stało się z nią od czasu, gdy Maleldil zstąpił na Ziemię, i ujrzałaś ją w jej pierwotnej postaci, taką, jaką zobaczyłaby i Mama Dimble, ale nieprzemienioną, demoniczną. I wcale ci się to nie podobało. Czy to nie była historia twojego życia?

- Chce pan powiedzieć - Jane mówiła bardzo powoli - że ja coś w sobie tłumiałam?

Ransom wybuchnął śmiechem: owym głośnym, pewnym siebie, profesorskim śmiechem, który u innych tak często doprowadzał ją do pasji.

- Tak - powiedział - Ale nie sądzę, że mówię o tłumieniu czegoś w sensie freudowskim. Freud znał tylko połowę faktów. Tu nie chodzi o jakieś zahamowania... o wszczęty wstyd... wobec przyrodzonej żądzy. Obawiam się, że na świecie nie ma jakiegokolwiek niszy dla ludzi, którzy w końcu nie staną się ani poganami, ani chrześcijanami. Spróbuj sobie wyobrazić człowieka, który jest zbyt delikatny, aby jeść palcami, ale który nie chce używać widelca!

Jane zarumieniła się, a spowodował to bardziej jego śmiech niż słowa. Gapiła się na niego z otwartymi ustami. Przewodniczący w żadnej mierze nie przypominał Mamy Dimble, ale kiedy z pewnym zdumieniem zdała sobie sprawę z tego, że przynajmniej w tej sprawie stoi po stronie Mamy Dimble - że choć nie należy do tego barwnego, archaicznego świata, to jednak w jakiś sposób pozostaje w dobrych z nim stosunkach, z czego ona była wyłączona - odczuła to jak wymierzony sobie policzek. Jej dawne kobiece marzenie o znalezieniu mężczyzny, który „naprawdę rozumie”, zostało znieważone. Półświadomie zakładała, że jeśli chodzi o sprawy seksu, Przewodniczący jest chodzącą niewinnością, ale nie przypuszczała, że mimo to jego męskość pozostaje nie tylko w żadnej mierze nie upośledzona, lecz nawet manifestuje się silniej niż u przeciętnych mężczyzn. Mieszkając w tym dziwnym domu, zyskała już pewną wiedzę o świecie nadprzyrodzonym, a pogłębił ją strach o własne życie, jakiego doświadczyła tamtej nocy w kotlinie. Ten nadprzyrodzony świat uważała jednak za „duchowy” w sensie negatywnym - jako pewną neutralną albo egalitarną próżnię, w której zanikają różnice, w której seks i zmysły nie tyle ulegają transcendencji, co po prostu przestają istnieć. Teraz zaczęła podejrzewać, że na drodze wiodącej wzwyż mogą się ujawniać różnice i kontrasty, i to coraz większe i gwałtowniejsze na każdym szczeblu. A jeśli to zawłaszczenie jej osobowości w małżeństwie, które odrzuciła, nie było, jak uprzednio podejrzewała, jedynie reliktem zwierzęcości albo patriarchalnego barbarzyństwa, lecz najprostszą formą jakiegokolwiek szokującego kontaktu z rzeczywistością, który miałby się powtarzać - tyle że w coraz silniejszy i gwałtowniejszy sposób - na wyższych poziomach bytu? - Tak - powiedział Przewodniczący. - Nie ma ucieczki. Gdyby tu chodziło o dziewicze odrzucenie płci męskiej, to Maleldil z pewnością by na to pozwolił. Takie dusze mogą ominąć płęć męską na swojej drodze życia i iść dalej na spotkanie czegoś o wiele bardziej męskiego na wyższym poziomie, czegoś, czemu muszą się poddać w sposób jeszcze głębszy. Twój problem polega na czym innym. Dawni poeci nazywali to *Daungier*. My nazywamy to dumą. Razi cię sama męskość: hałaśliwa,

agresywna, zaborcza - złoty lew, brodaty byk - która przełamuje bariery i burzy maleńkie królestwo twojej oschłości, tak jak owe karły zburzyły pieczołowicie posłane łóżko. Możesz uciec od samca, ponieważ istnieje on tylko na biologicznym poziomie. Lecz od męskości nikt z nas nie może uciec. To, co jest ponad i poza wszystkimi rzeczami i istotami, jest tak męskie, że w stosunku do tego wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu kobiecy. Pozostaje ci tylko jedno: powinnaś szybko pogodzić się ze swoim przeciwnikiem.

- To znaczy... że powinnam zostać chrześcijanką? - zapytała Jane.

- Na to wygląda.

- Ale... nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego z Markiem.

Być może nie było to do końca zgodne z prawdą. Wizja wszechświata, którą zaczęła postrzegać w ciągu ostatnich kilku minut, miała w sobie coś dziwnie gwałtownego. Była świetlista, agresywna i zniewalająca. Nagle pomyślała, po raz pierwszy w życiu, że starotestamentowa metaforyka oczu i kół może mieć jakieś głębsze znaczenie. A łączyło się z tym poczucie, że została zepchnięta na fałszywą pozycję. To ona powinna była mówić o tym chrześcijanom. To ona powinna była przeciwstawiać swój żywy, niebezpieczny świat ich szaremu, sformalizowanemu światu. To ona poruszała się szybko w tym żywym świecie, a oni utkwili w bezruchu, patrząc na świat przez swoje witraże. Do takiego przeciwieństwa przywykła. Tym razem, w nagłym rozbłysku fioletu i purpury, przypomniała sobie, czym naprawdę są witraże. A gdzie był Mark w tym całym nowym świecie? Tego jeszcze nie wiedziała. Na pewno nie w swoim dawnym miejscu. Coś, co do tej pory uważała za przeciwieństwo Marka, nagle gdzieś zanikło. Coś cywilizowanego albo nowoczesnego, albo akademickiego, albo (później) „duchowego”, co nie chciało nią owładnąć, co ceniło ją za ten dziwny zbiór cech, który nazywała „sobą”, coś pozbawionego chwytliwych rąk i nie żądającego od niej niczego. Ale... jeśli czegoś takiego naprawdę nie ma?

- Kim była ta olbrzymka? - zapytała, chcąc zyskać na czasie.

- Nie jestem pewny, ale mogę zaryzykować pewne przypuszczenie. Czy wiesz, że wszystkie planety mają swoich przedstawicieli na każdej innej planecie?

- Nie, nie wiedziałam o tym.

- A tak właśnie jest. Nie ma takiego ojarsy w Głębinach Niebios, który nie miałby swojego przedstawiciela na Ziemi. Nie ma też planety, na której nie spotkałabyś małego, nieupadłego współnika naszego czarnego Archonta, czegoś w rodzaju drugiej jego jaźni. Dlatego był Saturn italski i Saturn niebiański, Jowisz kreteński i Jowisz na Olimpie. To te właśnie ziemskie widma wyższych inteligencji spotykali ludzie w dawnych czasach, gdy mówili, że widzieli bogów. To ich znali niekiedy tacy ludzie jak Merlin. Spoza Księżyca nic tak naprawdę nie zstąpiło na Ziemię. Jest też - i to już dotyczy bezpośrednio ciebie - Wenus ziemska i Wenus niebiańska: widmo Perelandry i sama Perelandra.

- I myśli pan, że...

- Tak. Wiem od dawna, że ten dom jest pod jej wpływem. Tu, w tej ziemi, jest nawet miedź. A ziemska Wenus będzie właśnie teraz szczególnie aktywna. Tej nocy naprawdę zstąpi na Ziemię jej niebiański archetyp.

- Zapomniałam - powiedziała Jane.

- Nie zapomnisz o tym nigdy, kiedy to już się stanie. Lepiej trzymajcie się wszyscy razem. Może w kuchni. Nie wchodźcie na górę. Tej nocy przedstawię Merlina moim Panom, wszystkim pięciu: Viritrilbii, Perelandrze, Malakandrze, Glundowi i Lurdze. Zostanie otwarty. Moce w niego wstąpią.

- Co Merlin zrobi?

Przewodniczący roześmiał się.

- Pierwszy krok będzie łatwy. Nasi wrogowie w Belbury poszukują właśnie specjalistów od różnych archaicznych dialektów zachodnich, przede wszystkim celtyckich. Poślemy im tłumacza! Tak, na chwałę Chrystusa, pošlemy im tłumacza. „Zesłał na nich ducha gorączki, aby sami w pošpiechu wzywali swego niszczyciela”. [J. Milton, *Samson Antagonistę!* (1671), 1675.] Zamieścili w prasie ogłoszenie! A po tym pierwszym kroku... no cóż myślę, że wszystko pójdzie gładko. W walce z tymi, którzy służą diabłom, ma się zawsze przewagę, bo ich Panowie nienawidzą ich tak samo jak nas. Gdy tylko unieszkodlimy te ludzkie pionki na tyle, by stały się bezużyteczne dla Pieła, ich Panowie dokończą za nas dzieło. Zniszczą ich narzędzia.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Grace Ironwood.

- Ivy już wróciła - powiedziała. - Myślę, że powinien pan się z nią zobaczyć. Nie, jest sama. W ogóle nie widziała swojego męża. Kara upłynęła, ale wcale go nie wypuścili. Poślemy go do Belbury, na resocjalizację. Zdaje się, że nie potrzebowali nawet wyroku sądu... Ivy jest zupełnie rozbita. Bardzo cierpi.

* * *

Jane poszła do ogrodu, aby spokojnie pomyśleć. Przyjęła to, co powiedział jej Przewodniczący, lecz wciąż wydawało się jej to nonsensowne. Porównanie miłości Marka z miłością Boga (bo najwyraźniej chodziło mu o Boga) rodząca się w niej duchowość przyjęła jako coś skandalicznego i prześmiewczego. Przecież „religia” powinna oznaczać pewien obszar przestrzeni, w którym nękający ją kobiecy lęk przed kimś, kto potraktuje ją jak rzecz, jak przedmiot handlu, pożądania czy posiadania, zostanie w końcu na zawsze uciszony, w którym to, co nazywała swoją „prawdziwą jaźnią”, wzbije się i rozwinie swobodnie w jakimś bardziej wolnym i czystym świecie. Wciąż uważała „religię” za coś w rodzaju wyziewu lub wydechu, obłoku kadzidła, za coś emanującego z wybranych dusz ku oczekującym na to niebiosom. Potem zupełnie nieoczekiwanie uświadomiła sobie, że ani Przewodniczący, ani Dimble'owie, ani Camilla nigdy nie mówili o „religii”. Mówili o Bogu. Obca im była wizja jakiejś mgły unoszącej się w górę, operowali raczej wizją mocnych, wprawnych rąk, sięgających z góry, by stwarzać i naprawiać, może nawet niszczyć. A może w ostatecznym rozrachunku jesteśmy rzeczami - rzeczami zaprojektowanymi i wynalezionymi przez Kogoś Innego, rzeczami, których wartość leży w czymś zupełnie innym niż to, co ktoś uważa za swoje „prawdziwe ja”? A może ci wszyscy ludzie, od wujów w-kawalerów poczynając, a na Marku i Mamie Dimble kończąc, którzy w tak irytujący sposób widzieli w niej tylko słodką i powabną kobietkę, podczas gdy ona pragnęła, by uważali ją też za osobę interesującą i ważną - może oni wszyscy mieli po prostu rację, może taka po prostu była? Może Maeldil zgadza się co do tego z nimi, a nie z nią? Przez chwilę towarzyszyła jej śmieszna i gorzka jednocześnie wizja świata, w którym sam Bóg nigdy jej nie zrozumie, nigdy nie potraktuje jej poważnie. A potem, na jednym z zakrętów ścieżki wiodącej między krzewami agrestu, przyszła zmiana.

To, co ją tam czekało, było przesycone uroczystą powagą graniczącą ze smutkiem. Nie wyrażało się w żadnej formie lub dźwięku. Czarnoziem pod krzewami, mech na ścieżce, niskie obramowanie z cegiełek - wszystko wizualnie było takie samo, jak przedtem. Lecz uległo zmianie. Przekroczyła jakąś granicę. Znalazła się w jakimś świecie albo w Osobie, albo w obecności Osoby. Stała wobec czegoś oczekującego, ciepłego, nieubłaganego, a pomiędzy nią a tym Czymś nie było już nic, żadnej zasłony lub ochrony. W bliskości tego kontaktu zrozumiała natychmiast, że słowa Przewodniczącego wprowadziły ją w błąd. To nieubłagane żądanie, w obliczu którego teraz stała, nie przypominało zupełnie - nawet przez analogię - jakiegokolwiek innego żądania. Było źródłem wszystkich słusznych żądań i zawierało je wszystkie. W świetle tego żądania można było

zrozumieć wszystkie inne, ale wszystkie inne żądania nie mówiły o nim nic. Nic nie mogło się z nim równać. Nigdy się z czymś takim nie spotkała, a teraz był już tylko to. A przecież jednak wszystko zawsze takie było, tylko dzięki temu istniało. Na tej wysokości, w tej głębi, wewnątrz tej nieogarnionej przestrzeni, owa mała idea jej samej, którą nazywała dotąd swoim prawdziwym ja, nagle opadła i zniknęła w bezdennej otchłani jak ptak w przestrzeni, z której nagle uszło powietrze. Słowo ja było teraz imieniem bytu, którego istnienia nigdy dotąd nie podejrzewała, bytu, który jeszcze w pełni nie zaistniał, ale którego zaistnienia teraz żądano. Ten byt był osobą (choć nie tą, o której przedtem myślała), ale i rzeczą, rzeczą stworzoną, by podobała się Innemu, a w Nim podobała się wszystkim innym, rzeczą stwarzaną w tym właśnie momencie bez swego przyzwolenia, w kształcie, o którym nigdy nie marzyła. To stwarzanie odbywało się w czymś, co można było nazwać albo chwałą, albo smutkiem, albo i chwałą, i smutkiem jednocześnie, dlatego też nie potrafiła powiedzieć, czy źródłem owego odczucia są stwarzające ręce, czy modelowana bryła.

Próba wyrażenia tego słowami wymaga zbyt długiego czasu. W rzeczywistości uświadomienie sobie tego wszystkiego i pewność, że to już się stało, stanowiły jakby jedno nierozłączne przeżycie, ujawnione dopiero wówczas, gdy już przeminęło. To największe, najważniejsze wydarzenie w jej życiu znalazło dla siebie miejsce w momencie czasu zbyt krótkim, by w ogóle nazywać je czasem. Jej ręka zacisnęła się jedynie na wspomnieniu tej chwili, a kiedy się zacisnęła, natychmiast, bez ostrzeżenia, rozległy się z każdego zakątka jej jaźni wyjące i skrzeczące głosy tych, którzy nie znają radości.

- Uważaj. Cofnij się. Bądź rozsądna. Nie poddawaj się - mówiły głosy. A z innego źródła: - Miałaś przeżycie religijne. To bardzo ciekawe. Nie każ dy je ma. Och, jak o wiele lepiej zrozumiesz teraz siedemnastowiecznych poetów! - A z jeszcze innego źródła, bardziej słodko: - No, śmiało. Spróbuj przeżyć to jeszcze raz. To się spodoba Przewodniczącemu.

Lecz jej mury obronne zostały już zdobyte i te kontrataki nie mogły zakończyć się sukcesem.

Rozdział 15

Zstąpienie bogów

Tylko dwa pomieszczenia w St Anne's nie były puste. W kuchni, trochę bliżej pieca niż zazwyczaj, siedzieli: Dimble, Denniston, MacPhee i kobiety. Pendragon i Merlin, oddzieleni od nich schodami i korytarzem, przebywali w Niebieskim Pokoju.

Gdyby ktoś chciał wejść na górę, do niewielkiego westybulu przed Niebieskim Pokojem, napotkałby przeszkodę i nie byłby to zwykły strach, lecz prawie fizyczna bariera broniąca mu wstępu. Gdyby udało mu się pokonać tę przeszkodę, znalazłby się w przestrzeni wypełnionej rozdygotanymi odgłosami, które z pewnością nie były głosami, a jednak wyraźnie zawierały jakąś artykulację. I gdyby w korytarzu było zupełnie ciemno, ujrzałby sączące się spod drzwi Niebieskiego Pokoju słabe światło, nie przypominające ani blasku ognia na kominku, ani poświaty księżycy. Nie sądzę, aby ktoś nieproszony zdołał dojść do samych drzwi. Już uprzednio miałby wrażenie, że cały dom się kołysze, przechyla i nurkuje, jak okręt podczas burzy w Zatoce Biskajskiej. Więcej: zapewne nie mógłby się oprzeć przerażającej myśli, że oto cała Ziemia przestała być stateczną podstawą jego świata, lecz jak wprawiona w obrotowy ruch, miotana porywistym wiatrem piłka pędzi z zawrotną prędkością, i to nie przez kosmiczną, wymarłą próżnię, lecz przez jakiegoś gęsto zamieszkane, poprzerastane skomplikowanymi strukturami środowisko. I wyczułby instynktownie, zanim oszalałe zmysły odmówiłyby mu posłuszeństwa, iż istoty wypełniające ten pokój przybyły tu nie po to, by zaznać spoczynku, lecz dlatego, że prześlizgując się, przetaczając i przeciskając przez gęstą rzeczywistość niebios (którą ludzie nazywają kosmiczną próżnię), skupić swoją rozedrganą energię w tym właśnie punkcie owej ruchomej kryjówki we wszechświecie, jaką jest Ziemia.

Druid i Ransom rozpoczęli oczekiwanie na tych gości wkrótce po zachodzie słońca. Ransom leżał na sofie. Merlin siedział przy nim lekko pochylony do przodu, ze splecionymi dłońmi. Od czasu do czasu kropla potu spływała mu powoli po szarym policzku. Najpierw chciał oczekiwać na klęczkach, ale Ransom mu na to nie pozwolił.

- „Nie waż się tego zrobić! - powiedział. - Czyżbyś zapomniał, że i oni są sługami, tak jak my?”*

Jedynym źródłem oświetlenia pokoju były niezastłonięte okna; na początku, gdy rozpoczęli czuwanie, była to chłodna, czerwona zorza zachodu, a później światło gwiazd.

Długo przedtem, zanim cokolwiek zaczęło się dziać w Niebieskim Pokoju, na dole, w kuchni, nastąpiła pora wieczornej herbaty, którą we Dworze podawano zwykle o dziesiątej. Właśnie ją pili, kiedy zaszła w nich dziwna zmiana. Dotąd rozmawiali przyciszonymi głosami, jak dzieci znajdujące się w pokoju, w którym starsi zajęci są zupełnie wyjątkowymi, dla dzieci niepojętymi sprawami, takimi jak pogrzeb lub odczytywanie testamentu. Teraz nagle wszyscy zaczęli mówić głośno i jednocześnie, przerywając sobie nawzajem, choć - co było jeszcze dziwniejsze! - nie przypominało to wcale zbiorowej sprzeczki, lecz przeciwnie, sprawiało każdemu wyraźną przyjemność. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że wszyscy w kuchni są pijani, a raczej wesoło podchmieleni, zwłaszcza że oprócz podniesionych głosów świadczyłyby o tym przesadne, podekscytowane gesty, zbliżenie głów i rozbiegane spojrzenia. O czym wówczas mówili, tego nikt z obecnych nie potrafił sobie później przypomnieć. Dimble utrzymywał, że były to głównie kalambury. MacPhee zaprzeczał, twierdząc, że nigdy nie bawi się słowami, nie mógłby więc tego robić i w tamtą noc. Wszyscy zgadzali się co do jednego - tej nocy byli niezwykle dowcipni. Jeśli nawet nie zabawiali się wymyślaniem kalamburów, to z pewnością bawili się paradoksami, anegdotami, niesamowitymi

pomysłami i fantastycznymi teoriami, które jednak (po zastanowieniu) okazywały się warte poważnego potraktowania. Wszystko to wypływało im z ust ze zdumiewającą łatwością. Nawet Ivy zapomniała o swoim zmartwieniu. Mama Dimble zapamiętała na zawsze Dennistona i swego męża, jak stali po obu stronach kuchennego pieca pochłonięci żartobliwym, intelektualnym pojedynkiem, raz po raz prześcigając się w błyskotliwych, szybkich ripostach, jak ptaki lub samoloty w powietrznym pojedynku. Nigdy dotąd nie słyszała podobnych rozmów, z takimi wykwitami elokwencji, z taką oszalałymi grą słów i podwójnych znaczeń, z takimi fajerkami metafor i aluzji.

I równie nagle jak to się zaczęło, niespodziewanie się skończyło. Uspokojenie nadeszło tak raptownie, jak cisza, gdy ktoś po marszu w silnym wietrze wejdzie za ścianę. Siedzieli, gapiąc się na siebie, zmęczeni i nieco zażenowani.

Na górze owa pierwsza zmiana wyglądała nieco inaczej. W pewnej chwili obaj, Ransom i Merlin, poczuli silne ożywienie. Ransom schwycił mocno poręcz sofy, Merlin swoje kolana i zacisnął zęby. Pomiędzy nimi przemknęła pałeczka światła o barwie niemożliwej do określenia lub wyobrażenia. Zobaczyli ją, lecz samo widzenie było najmnij ważną częścią tego, co doświadczyli. Przeszło ich podniecenie: coś w rodzaju gwałtownego wrzenia umysłów i serc, wstrząsającego również ciałami. Wkrótce rytm tego wewnętrznego drgania nabrał tak oszalałej szybkości, że ogarnął ich lęk przed natychmiastowym rozpadem jaźni na tysiące fragmentów. A potem poczuli się tak, jakby naprawdę do tego doszło. Lecz już przestali się lękać, gdyż wszystkie te fragmenty - wyostrome oczekiwania, krótkotrwałe radości, przenikliwe myśli - toczyły się tu i tam jak błyszczące krople rozlanej z wysoka rtęci, a potem łączyły ponownie w całość. Na szczęście obaj znali się na poezji. To mnożenie się, rozszczepianie i ponowne łączenie myśli, jakiego doświadczały, byłoby nie do zniesienia dla kogoś, kogo poezja nie nauczyła uprzednio sztuki myślowych i uczuciowych kontrapunktów, mistrzostwa podwójnej i potrójnej wizji. Dla Ransoma, który przez wiele lat obracał się zawodowo w świecie słów, była to niebiańska rozkosz. Miał wrażenie, że znalazł się w samym sercu języka, w rozpalonej do białości tkance mowy. Wszystkie fakty zostały roztrzaskane, rozszczepione w kaskady bryzgów, uchwycone, przeniecowane, wymieszane i ugniecione jak ciasto, a następnie odrodzone w oślepiającym blasku znaczenia. Bo oto był z nimi sam Pan Znaczenia, herold, posłaniec, pogromca Argusa, anioł krążący najbliżej Słońca, Viritribia, którego ludzie zwą Merkurym i Totem.

W tym czasie na dole, w kuchni, po orgii słów w wszystkich ogarnęła senność. Jane wzdrygnęła się, gdy książka wypadła jej z rąk, i rozejrzała się wokoło. Och, jak tu ciepło... jak przytulnie i swojsko... Zawsze lubiła pałę się drewno, ale tej nocy zapach płonących bierwion zdawał się jeszcze miłszy niż zwykle. Cudowny, rozkoszny, przywodził na myśl zapach cedru lub wyszukanego kadzidła. I gęstniał z każdą chwilą. Zaczęły ją nawiedzać słowa łączące się z wonnościami: nard, balsam, kas ja, Arabia, ale w tej woni było coś jeszcze, coś nieporównanie słodsze i subtelniejszego... coś, co może doprowadzić do szaleństwa... dlaczego nie zakazanego? Nie, raczej nakazanego. Była zbyt senna, aby to wszystko przemyśleć, by dociekać, kto sprawił, że tak się dzieje, i dlaczego oszołomienie nie jest czymś złym. Dimble'owie rozmawiali ze sobą, ale tak cicho, że nikt nie słyszał o czym. Ich twarze ukazały się jej odmienione. Już nie byli starzy - byli dojrzały jak pszeniczne pole w sierpniu, pogodny i zły ote, tchnące spokojem spełnionego pragnienia. Spojrzała w drugą stronę: Arthur szeptał coś Camilli na ucho. Tu także... Lecz gdy ciepło i słodycz owego wzbogaconego powietrza owładnęły nią całkowicie, nie była w stanie patrzeć dłużej na tę parę. Nie z zazdrości (od tego była teraz bardzo daleka), lecz z powodu oślepiającego blasku, jaki z nich promieniował, jakby ukryci w nich bóg i bogini zapłonęli poprzez ich ciała i ubrania, jaśniejąc w młodzieńczej, o dwoistej naturze, nagości różowo-czerwonego ducha. A wszędzie wokoło

tańczyły dziwne istoty, już nie owe wulgarne i śmieszne skrzaty, które widziała tego popołudnia, lecz uroczyste i gorejące duchy o jaśniejszych skrzydłach i chłopięcych kształtach, gładkie i wiotkie jak różdżki z kości słoniowej.

W Niebieskim Pokoju Ransom i Merlin też poczuli, że robi się coraz cieplej. Nie zauważyli, kiedy i w jaki sposób otworzyły się okna, lecz nie ochłodziło to powietrza; przeciwnie, ciepło napływało właśnie z zewnątrz. Poprzez nagie gałęzie drzew, ponad ziemią, jeszcze niedawno stwardniałą od mrozu, napływał do pokoju mocny, gorący powiew lata, i to takiego lata, jakiego jeszcze nigdy Anglia nie zaznała. Ociężały jak wielkie barki zanurzone po burty w wodzie, ciężki od woni kwiatów rozchylających się o północy, kleistych żywic i mrocznych gajów, w których zapachy są tak gęste, że wydają się skraplać, przesycony chłodnym smakiem owoców letniej nocy, ów ciepły wiatr wtargnął łagodnie, lecz stanowczo do wnętrza, poruszył zasłonami, uniósł jakiś list leżący na stole i wzburzył włosy Merlina, które jeszcze przed chwilą spływały gładko na jego czoło. Pokój zakołysał się, jakby płynął po morzu. Ich ciała przeszły mrowienie i drżenie, jakby wzburzyła się w nich krew, zamieniona w zawieszinę pękających z cichym trzaskiem pęcherzyków. Po policzkach Ransoma spłynęły łzy. On jeden wiedział, znad jakich mórz i wysp wiała ta ciepła bryza. Merlin tego nie wiedział, ale pod jej dotknięciem i w nim odezwała się owa nigdy nie zabliźniona rana, z którą rodzi się każdy człowiek. Staroceltyckie sylaby płynęły cicho z jego ust, dając wyraz jego litości nad sobą, lecz te westchnienia i roztkliwienia były tylko zwiastunami samej bogini. Kiedy długi snop całej jej mocy skupił się w tym punkcie pędzącej przez wszechświat Ziemi, coś twardszego, bardziej przenikliwego, coś spychającego ich w otchłań groźnej ekstazy pojawiło się w samym jądrze owej łagodności. Obaj zadrżeli: Merlin, bo nie wiedział, co nadchodzi, Ransom - bo to znał. I wreszcie nadeszło. Było to płomienne, ostre, jasne, bezlitosne, gotowe zabijać, gotowe umierać, przesywające światło; była to dobroczynna Miłość, nie taka, jak ją sobie wyobrażają śmiertelni, nawet nie taka, jaką ujrzeli uczyłowieczoną we wcieleniu Słowa, lecz Miłość będąca pozaksiężycową mocą, spadającą na nich prosto z Trzeciego Nieba, niczym nie złagodzona, niczym nie przysłonięta. Oślepiła ich, sparzyła, ogłuszyła. Zdawało im się, że spopieli ich kości. Zdawało im się, że nie zniosą jej dłużej. Zdawało im się, że nie zniosą, kiedy przestanie ich spalać. W ten sposób Perelandra, triumfująca wśród planet, ta, którą ziemianie zwą Wenus, zstąpiła, aby z nimi przebywać.

Na dole, w kuchni, MacPhee odsunął gwałtownie krzesło, aż zazgrzytało na podłodze z terakoty jak ołówek na tabliczce z łupku.

- Ludzie! - zawołał. - To hańba tak siedzieć i wpatrywać się w ogień. Założę się, że gdyby Przewodniczący sam nie dał się nabrać na te sztuczki, z łatwością znalazłby dla nas inne zajęcie.

Camilla spojrzała na niego płomiennym wzrokiem.

- Dalej! - powiedziała. - Mów dalej!

- Co masz na myśli, MacPhee? - zapytał Dimble.

- On ma na myśli walkę - powiedziała Camilla.

- Obawiam się, że jest ich trochę zbyt wielu jak na nas - zauważył Arthur Denniston.

- Może i tak! - rzekł MacPhee. - Lecz to, że siedzimy tu beczynnienie, wcale nie zmniejsza ich przewagi. I czyż nie byłoby wspaniale zaatakować ich choć raz, zanim nadejdzie koniec? Mówiąc szczerze, czasami czuję, że nie bardzo mnie obchodzi, co się stanie. Jedno wiem na pewno: nie mógłbym spocząć spokojnie w grobie, gdybym nie spróbował dobrać im się do skóry, nawet wiedząc, że i tak zwyciężą. Chciałbym móc powiedzieć to, co podczas pierwszej wojny powiedział mi pewien stary sierżant po wypadzie na wroga pod Monchy. Po wypadzie, który skończył się atakiem kolbami karabinów, spytał: „Panie majorze, czy pan kiedykolwiek słyszał coś takiego, jak ten dźwięk, gdy pękają im czaszki?”

- To odrażające - obruszyła się Mama Dimble.

- Ta ostatnia część tak - powiedziała Camilla - ale... och, gdyby zaatakować ich tak, jak to dawniej bywało? Nie dbam o nic, jeśli tylko znajdę się na koniu.

- Nie mogę tego pojąć - odezwał się Dimble. - Nie jestem podobny do ciebie, MacPhee. Nigdy nie byłem zbyt dzielny. Ale kiedy mówiłeś o walce, poczułem, że wcale nie boję się śmierci ani ran. Nie tej nocy.

- To chyba może nas spotkać - powiedziała Jane.

- Dopóki będziemy trzymać się razem - odezwała się Mama Dimble - może to być... nie, nie mam na myśli czegoś bohaterskiego. .. ale to może być przyjemna śmierć.

I nagle ich twarze i głosy zmieniły się. Znowu się śmiali, ale był to inny rodzaj śmiechu. Wiedzieli, że kochają się tak jak nigdy przedtem. Każdy patrząc na pozostałych, myślał: „Jakie to szczęście, że tutaj jestem! Mogę umrzeć z nimi!” A MacPhee rzucił pod wąsem:

- „Król Wilhelm rzekł, nie traćcie ducha, gdy jeden wódz wasz zginie”. [Z anonimowej pieśni irlandzkiej o bitwie pod Boyne, w której protestanci pod wodzą króla Wilhelma III Orańskiego pokonali katolików, którymi dowodził król Jakub II.]

Na górze z początku działo się podobnie. Merlin ujrzał oczami wyobraźni spłowiałe zbocze Badon Hill, długi sztandar Dziewicy powiewający nad brytorzymskimi pancerzami, żółtówłosych barbarzyńców. Usłyszał krótkie warknięcia cięciw, głuchy stuk stalowych ostrzy uderzających w drewniane tarcze, bojowy wrzask, wycie, szczęk żelaza. Przypomniawszy sobie wieczór, ogniska migocące u stóp wzgórza, świeże rany piekące na mrozie, odbłask gwiazd w sadzawce skażonej krwią, orły krążące na tle bladego nieba. A Ransomowi stanęła przed oczami jego walka w jaskiniach Perelandry.

Lecz wkrótce wspomnienia się rozwiały. Spływało na nich coś krzepiącego i pełnego wigoru, coś orzeźwiająco chłodnego jak morska bryza. Zapomnieli, że istnieje lęk, krew popłynęła w ich żyłach szybciej jakby w rytm marszowej piosenki. Poczuli, że zajmują miejsce w uporządkowanym rytmie wszechświata, w rytmie niezawodnych pór roku i zorganizowanych w konsekwentne układy atomów, w hierarchii posłusznych serafinów. Uginając się pod niezmierzoną wagą posłuszeństwa, ich wola przeżyła się stanowczo i niewzruszenie jak ciało kariatyd. Uwolnieni od wszelkiej zmienności i wszelkich sprzeciwów stali krzepko, weseli, podniesieni na duchu, czujni. Zostawili poza sobą wszelkie niepokoje i lęki: troska była słowem, które utraciło znaczenie. Życie polegało teraz wyłącznie na uczestnictwie w owym procesjonalnym, kosmicznym przepychu. Ransom poznał - tak jak poznaje się żelazo, kiedy się je dotknie - wyrazistą, uporządkowaną, doskonałą świetność tego niebiańskiego ducha, który teraz zajaśniał między nimi. Oto przybywał wiecznie czujny Malakandra, dowódca chłodnej orbity, zwany przez ludzi Marssem, Mavorsem lub Tyrem, wkładając bez lęku dłoń w paszczę wilka.

Ransom powitał swych gości w języku niebios. Ostrzegł jednak Merlina, że dopiero teraz nadchodzi czas, w którym trzeba będzie zebrać w sobie całą odwagę. Ci bogowie, którzy już się pojawili w Niebieskim Pokoju, byli bardziej podobni do ludzi niż ci, których jeszcze oczekiwali. W Viritrilbii, Wenus i Malakandrze przejawiały się te dwa rodzaje duchów Siedmiu Rodzajów, które stanowią pewną analogię do biologicznego podziału płci i dlatego mogą być w pewnej mierze zrozumiałe dla ludzi. Nie można tego powiedzieć o tych dwu, które miały teraz zstąpić. I one należą do swoich rodzajów, lecz człowiek nie jest w stanie ich nazwać lub zrozumieć. Potężne energie, starożytne eldile, sternicy gigantycznych światów, nigdy jeszcze nie poddanych słodkiemu upokorzeniu życia organicznego...

- Poszturchaj te bierwiona w piecu, Denniston. Noc jest chłodna - powiedział MacPhee w kuchni.

- Na dworze musi być niezły ziąb - odezwał się Dimble.

Wszyscy o tym pomyśleli: o zeszywniałej trawie, o zimnych kurnikach, o ciemnych miejscach pośrodku lasu, o grobach. Potem o umierającym Słońcu, o Ziemi w uścisku śmierci, duszącej się z braku powietrza w nieubłaganym zimnie, o czarnym niebie rozjaśnionym tylko światłem gwiazd. A potem o śmiecie nawet bez gwiazd, o cieplej śmierci wszechświata, o ostatecznej koi cowej czerni niebytu, z którego przyroda nie zna powrotu. Jakies inne życie? „Być może”, pomyślał MacPhee. „Wierzę w to”, myślał Denniston. Lecz stare życie przeminęło. Przeszedł czas, godziny, dni. Czy Wszchemoc może to przywrócić? Dokąd zmierzają lata, gdzie giną - i dlaczego? Człowiek nigdy tego nie pojmie. Złe obawy pogłębiały się. Może niczego nie można pojąć?

Saturn, którego w niebiosach nazywają Lurgą, zawitał do Niebieskiego Pokoju. Jego duch ogarnął dom, położył się cieniem na całej Ziemi, legł na niej zimnym ciężarem, który mógłby splaszczyc teluryczną orbitę na opłatek. Pozostali bogowie, przytłoczeni ołowianym ciężarem jego starożytności, zapewne poczuli się młodo i efemerycznie. Był to niebotyczny masyw stuleci wznoszący się w górę od podnóża najdalszej starożytności, jaką człowiek może sobie wyobrazić - wciąż w górę i w górę, jak masyw, którego szczytu nigdy się nie dojrzy, którego ściany biegną wwyż, lecz nie ku wieczności, gdzie myśl mogłaby odpocząć, ale w coraz cięższą gęstość czasu, w lodowate pustkowia i ciszę niemożliwych do nazwania liczb. Był mocny jak góra, jego wiek nie kojarzył się z grzęzawiskiem czasu, w którym wyobrażenia mogłaby zatopić się w zadumie, lecz raczej z żywym, samoświadomym przemijaniem, od którego struktur lżejsze inteligencje odbijały się jak fale odrzucane przez granitowe skały. Samo zaś pozostawało nietknięte i wiecznie żywe, zdolne uśmiercić każdego, kto zbliży się nieproszony. Ransoma i Merlina przenikało trudne do wytrzymania zimno, a wszystko, co w Lurdze było siłą, w nich stawało się smutkiem.

A jednak w tym pokoju nawet Lurga musiał poddać się mocy większej niż jego własna. Bo oto zstąpił duch jeszcze potężniejszy - duch, którego wpływ powściągnął i prawie przetworzył zgodnie ze swoimi właściwościami zręczność ruchliwego Merkurego, jasność Marsa, subtelne wibracje Wenus, a nawet paraliżujący ciężar Saturna.

Jego nadejście dało się odczuć i w kuchni. Nikt później nie potrafił powiedzieć, jak do tego doszło, ale na płycie kuchennej znalazł się kociołek z gorącym grogiem. Uproszono Arthura - jedyne go muzyka wśród nich - aby przyniósł skrzypce. Odsunięto na bok krzesła, uprzątnięto podłogę. Tańczyli. Co tańczyli, nikt później nie pamiętał. Był to jakiś korowód taneczny z przytupywaniem, klaskaniem i podskakiwaniem. Jedno jest pewne: gdy tań czyli, nikt nie widział w tym nic śmiesznego. Jeśli nawet ów taniec miał charakter nieco wiejski, co zresztą dobrze pasowało do tej kuchni, to duch, w jakim tańczyli, był zupełnie odmienny. Każdemu się zdawało, że kuchnię zajęli królowie i królowe, że żywiołowość ich tańca wyraża bohaterską energię, a jego spokojniejsze części oddają atmosferę najbardziej uroczystych ceremonii dworskich.

Na górze jego potężny promień napełnił Niebieski Pokój orgią światła. Przed innymi aniołami człowiek może uklęknąć, w obliczu tego - umrzeć. Lecz jeśli przeżyje to spotkanie, będzie się śmiał. Wystarczy odetchnąć tylko raz tym, co z niego emanuje, by poczuć się wyższym i piękniejszym. Kaleka zaczyna kroczyć dostojnie, żebrak będzie nosił łachmany jak magnackie szaty. Królewskość i potęga, odświętny przepych i dworska uprzejmość tryskały z niego jak iskry z kowadła. Środki, za pomocą których Ziemianie próbują przybliżyć jego cechy, są jedynie dalekimi symbolami: dźwięk dzwonów, dumne fanfary, łopotanie sztandarów. Jego zstąpienie przypominało raczej wielką, prześwieconą słońcem falę z kremową grzywą i szmaragdowym łukiem, która nadchodzi z rykiem, grozą i niemożliwym do opanowania śmiechem. Było jak pierwsze dźwięki muzyki w przestronnych komnatach króla tak wielkiego i z okazji święta tak uroczystego, iż młode serca tych, którzy ją usłyszą, przenika drżenie graniczące z łękiem. Był to bowiem wielki Glund-Ojarsa, Król

Królów, ten, dzięki któremu w głównej mierze dmie poprzez Pola Arbola radośćtworzenia, znany starożytnym jako Jowisz, i pod tym imieniem, nieszczęśliwie, lecz z możliwych do zrozumienia powodów, błędnie utożsamiany ze swoim Stwórcą - tak mglista była ich wiedza o drabinie stworzonych bytów, której wiele jeszcze szczerbli wznosi się ponad nim.

Kiedy nadszedł, w Niebieskim Pokoju zapanowało święto. Dwaj śmiertelnicy, porwani hymnem chwały, nieustannie wyśpiewywanym przez owe pięć wspaniałych Natur, zapomnieli o bardziej przyziemnym i bardziej bezpośrednim celu tego spotkania. Kiedy się opamiętali, cel został spełniony. Merlin przyjął w siebie moce pięciu niebiańskich duchów.

Następnego dnia wyglądał zupełnie inaczej, częściowo dlatego, że zgolił brodę, lecz głównie dlatego, że nie należał już do siebie. Nikt nie wątpił, że jego ostateczne odłączenie się od ciała jest już bliskie. Po południu MacPhee zawiózł go samochodem do Belbury i wysadził w pobliżu Narodowego Instytutu Badań Skoordynowanych.

* * *

Mark siedział przy łożu włóczęgi pogrążony w drzemce. Nagle usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i otrząsnął się ze snu, szybko wracając do stanu czujności. Do pokoju wszedł Frost, a za nim Wither, prowadząc mężczyznę, którego Mark nigdy dotąd nie widział.

Nieznajomy miał na sobie zrudziałą sutannę, a w ręku trzymał czarny kapelusz z szerokim rondem, z rodzaju tych, jakie noszą duchowni na kontynencie. Sutanna jeszcze bardziej podkreślała jego niezwykle wzrost. Wielką, dokładnie wygoloną twarz pokrywała skomplikowana sieć zmarszczek i bruzd, a głowę trzymał nieco pochyloną. Mark osądził, że to jakiś poczciwiec z prowincji, być może członek jednego z zapoznanych religijnych bractw, polecony Witherowi jako znawca jeszcze jednego, jeszcze bardziej zapoznanego języka. W każdym razie wyglądał dziwnie pomiędzy tymi dwoma drapieżnymi ptakami - Witherem, jak zwykle wylewnym i schlebiającym, i Frostem, powściągliwym i wyczekującym na wynik kolejnego eksperymentu z zainteresowaniem naukowca, lecz także - jak zauważył Mark - z pewną chłodną odrazą.

Wither przemawiał do nieznajomego w języku, w którym Mark rozpoznał łacinę. „To na pewno jakiś duchowny”, pomyślał Mark. „Ale skąd się wziął? Wither zna przecież większość współczesnych języków. A może to Grek? Ale nie wygląda na Lewantyńczyka. To chyba Rosjanin”.

W tym momencie coś innego zwróciło jego uwagę. Włóczęga, który zamknął oczy, gdy usłyszał odgłos otwieranych drzwi, nagle je otworzył, zobaczył tego nieznajomego i natychmiast ponownie je zamknął, po czym zaczął donośnie chrapać i odwrócił się do nich plecami. Nieznajomy zbliżył się do łoża i cichym głosem wypowiedział dwie sylaby. Włóczęga zadrżał, a potem powolnym, ciągłym ruchem, jak posłuszna sterowi łódź dokonująca zwrotu, obrócił się i znieruchomiał, z rozdziawionymi ustami wpatrując się w jego twarz. Z pewnych ruchów głowy i rąk oraz wymuszonego uśmiechu Mark wywnioskował, że włóczęga próbuje coś powiedzieć, a biorąc pod uwagę jego mimikę, mogła to być jakaś pokorna, podszyta lękiem prośba. To, co nastąpiło w chwilę później, zmusiło Marka do wstrzymania oddechu. Nieznajomy przemówił ponownie i wówczas, krzywiąc się niemiłosiernie, krztusząc, jękając i plując, włóczęga wypowiedział nienaturalnie wysokim głosem kilka sylab, potem oderwanych słów, a wreszcie całe zdanie w języku, który nie był ani angielskim, ani łaciną. Przez cały czas oczy nieznajomego utkwione były w jego oczach.

Nieznajomy znowu przemówił. Tym razem odpowiedź włóczęgi była o wiele dłuższa, a posługiwanie się nieznanym językiem sprawiało mu wyraźnie mniejszą trudność, choć jego głos

nadal różnił się od tego, który Mark poznał w ciągu ostatnich kilku dni. Przy końcu swojej wypowiedzi siadł na łóżku i wskazał na Withera i Frosta. Nieznajomy zadał mu jakieś pytanie, a ten odpowiedział po raz trzeci.

Usłyszawszy odpowiedź, nieznajomy wzdrygnął się i przeżegnał kilka razy, okazując silne przerażenie. Odwrócił się i powiedział coś szybko po łacinie do tych dwóch, na co ich twarze gwałtownie się zmieniły: wyglądali teraz jak psy, które zwietrzyły trop. Nieznajomy krzyknął, podwinął sutannę i skoczył do drzwi. Uczeni byli jednak szybsi. Przez następne kilka minut pod drzwiami trwała zaciekle szamotanina. Mark uchwycił spojrzeniem obnażone jak u zwierzęcia zęby Frosta i zmienioną, wściekłą twarz Withera, pozbawioną zwykłej maski uprzejmej wieloznaczności. Mark mimowolnie zrobił krok do przodu, ale zanim zdołał podjąć jakąkolwiek decyzję, stary ksiądz wyrwał się z ich rąk i wycofał się do łóżka wyraźnie przerażony, potrząsając głową i wyciągając przed siebie ręce. Włóczęga, który podczas walki pod drzwiami rozluźnił się, nagle zeszywniał ponownie i utkwiał spojrzenie w starcu, jakby oczekiwał rozkazu.

Znowu nastąpiła rozmowa w nieznanym języku. Włóczęga ponownie wskazał na Withera i Frosta. Nieznajomy odwrócił się i przemówił do nich po łacinie, najwyraźniej tłumacząc im słowa włóczęgi. Wither i Frost spojrzeli na siebie, jakby każdy oczekiwał reakcji drugiego. To, co nastąpiło później, wydało się Markowi czystym obłędem. Z trudną do opisaną ostrożnością, sapiąc i trzeszcząc w całej swojej roztrzęsionej zgrzybiałości, wicedyrektor osunął się na kolana, a w chwilę później, tyle że ruchem gwałtownym, niemal metalicznym, Frost uczynił to samo obok niego. Już klęcząc, spojrział nagle przez ramię na Marka. Błysk czystej nienawiści w jego twarzy, lecz nienawiści tak skryształizowanej, że przestała już być uczuciem i nie miała w sobie żaru, przywołał na myśl dotknięcie metalu w Arktyce, gdzie metal parzy.

- Na kolana! - jęknął i natychmiast odwrócił głowę.

Mark nie mógł sobie później przypomnieć, czy po prostu zapomniał usłuchać rozkazu, czy też właśnie w tej chwili rozpoczął się jego bunt.

Włóczęga znów przemówił, ze spojrzeniem uwięzionym w oczach mężczyzny w sutannie. Ten przełożył jego słowa na łacinę i odsunął się na bok. Wither i Frost zbliżyli się na kolanach do samego łóżka. Włóczęga wyciągnął do nich swą owłosioną, brudną rękę z poobgryzаныmi paznokciami. Ucałowali ją. Teraz usłyszeli kolejne polecenie, na co powstali i Wither odpowiedział dłuższą przemową po łacinie, najwyraźniej starając się nakłonić włóczęgę, by wycofał swoje żądanie. Wciąż wskazywał na Frosta. Słowa *vema tua* (za każdym razem poprawiane na *venia vestra*) [*Vema tua* - za twoim łaskawym przyzwoleniem; *vema vestra* - za waszym łaskawym pozwoleniem.] powtarzały się tak często, że Mark mógł je łatwo wyłowić. Włóczęga nie dał się jednak przebłągać i w chwilę później obaj uczeni opuścili pokój.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, włóczęga opadł jak przekłuty balon. Miotał się na łożu, mamrocząc:

- A niech to, psiajucha... We łbie się nie mieści. Po prostu mnie ścięło. Dokładnie ścięło.

Mark nie miał jednak czasu, by śledzić jego zachowanie. Nieznajomy zwracał się teraz do niego i chociaż Mark nie rozumiał słów, utkwiał w nim spojrzenie. Natychmiast chciał odwrócić wzrok, ale okazało się, że jest to niewykonalne. Miał już podstawy, by sądzić, że przywykł do strasznych twarzy, ale nie zmieniało to faktu, że ta napawała go przerażeniem. Zanim jednak zdał sobie z tego sprawę, poczuł się bardzo senny. W chwilę później opadł na krzesło i zasnął.

* * *

- No i co myślisz? - zapytał Frost, gdy tylko znaleźli się za drzwiami.

- To jest... ee... niesłuchanie zdumiewające - odrzekł wicedyrektor.

Szli korytarzem, rozmawiając przyciszonymi głosami.

- To naprawdę sprawiało wrażenie... mówię: sprawiało wrażenie - ciągnął Frost - jakby ten człowiek na łóżku został zahipnotyzowany, a ten baskijski klecha panował nad sytuacją.

- Och, z pewnością, mój drogi przyjacielu, byłaby to bardzo niepokojąca hipoteza.

- Bardzo przepraszam, ale ja nie stawiałem żadnej hipotezy. Opisywałem tylko, jakie to sprawiało wrażenie.

- W jaki sposób, przyjmując tę hipotezę... wybac mi, ale to jest hipoteza... jakiś baskijski duchowny mógłby wpaść na to, że nasz gość to Merlinus Ambrosius?

- W tym właśnie problem. Jeśli nasz gość nie jest Merlinusem, to oznaczałoby, że ktoś inny, ktoś, kogo zupełnie nie braliśmy pod uwagę, a mianowicie ten kapłan, zna dobrze nasze plany.

- A to, mój drogi przyjacielu, oznacza, że nasz stosunek do nich obu musi cechować najwyższa ostrożność, ale i delikatność... przynajmniej do czasu, gdy się czegoś więcej dowiemy.

- Oczywiście trzeba będzie ich zatrzymać.

- Obawiam się, że to nie jest właściwe słowo. Ma pewne implikacje... Nie ośmielałbym się wyrazić jakiegokolwiek wątpliwości co do tożsamości naszego gościa. Nie ma mowy o żadnym zatrzymaniu. Przeciwnie, chodzi raczej o najserdeczniejsze przywitanie, o najbardziej drobiazgową uprzejmość...

- Czy mam rozumieć, że zawsze wyobrażałeś sobie wkroczenie Merlinusa do instytutu w ten właśnie sposób? Ze będzie bardziej dyktatorem niż naszym kolegą?

- Jeśli już o to chodzi - odparł Wither - to moje wyobrażenia o osobistych, a nawet oficjalnych stosunkach między nami zawsze były bardzo elastyczne i gotów byłem na ich niezbędną adaptację. Naprawdę, trudno byłoby mi znieść myśl, że pozwalasz się powodować jakimś wypaczonym pojęciem swojej godności, gdy... och, krótko mówiąc, jeśli on naprawdę jest Merlinusem... Rozumiesz mnie?

- Dokąd mnie teraz prowadzisz?

- Do mojego apartamentu. Chyba pamiętasz, że proszono nas o dostarczenie naszemu gościowi jakiejś odzieży.

- To nie była prośba. To był rozkaz.

Wicedyrektor nic na to nie odpowiedział. Kiedy znaleźli się w jego sypialni, Frost zamknął drzwi i powiedział:

- To mnie nie zadowala. Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy z prawdziwego niebezpieczeństwa. Musimy wziąć pod uwagę możliwość, że ten człowiek nie jest Merlinusem. A jeśli nie jest, to ten ksiądz wie o sprawach, o których wiedzieć nie powinien. Nie można pozwolić, by jakiś oszust i szpieg chodził sobie swobodnie po instytucie. Musimy natychmiast wykryć, skąd ten ksiądz tyle o nim wie. I skąd właściwie go wytrzasnąłeś?

- Chyba ta koszula będzie najbardziej odpowiednia - rzekł Wither, kładąc ją na łóżku. - Tu są garnitury. Ten... ee... duchowny powiedział, że przybył do nas w odpowiedzi na nasze ogłoszenie w prasie. Pragnę uwzględnić twój punkt widzenia, mój drogi Froście, ale z drugiej strony... odrzucić prawdziwego Merlinusa... odciąć się od mocy, która jest integralnym czynnikiem w naszym planie... to przynajmniej takie samo zagrożenie. Nie jest nawet pewne, czy ten ksiądz byłby naszym wrogiem. A może miał zupełnie niezależne kontakty z makrobami? Może być naszym potencjalnym sprzymierzeńcem.

- Uważasz, że na takiego wyglądał? Jest księdzem, to przemawia przeciwko niemu.

- Teraz potrzebujemy tylko koloratki i krawata. Wybac mi, ale nigdy nie podzielałem twojego krytycznego stosunku do religii. Nie mówię o dogmatycznym chrześcijaństwie w jego prymitywnej

formie. Ale wewnątrz religijnych kręgów... kościelnych kręgów... od czasu do czasu pojawiają się niezwykle wartościowe typy duchowości. A kiedy się pojawiają, czasami ujawniają naprawdę wielką energię. Ojciec Doyle, choć może nie należy do osób zbyt utalentowanych, jest jednym z naszych najbardziej zagorzałych zwolenników, a pana Straika cechuje tak rzadkie w naszych czasach oddanie... ty pewnie wolabyś termin: obiektywność. Nie można mieć ciasnych poglądów. To nic nie daje.

- Więc co proponujesz?

- Musimy, oczywiście, natychmiast skonsultować się z Głową. Chyba rozumiesz, że używam tego terminu tylko dla wygody...

- Skonsultować się? W jaki sposób? Zapomniałeś, że dziś wieczorem ma się odbyć bankiet inauguracyjny, na którym będzie Jules? Może tu przybyć w ciągu godziny. Będziesz tańczył wokół niego do północy.

Przez chwilę twarz Withera stężała, rozdziawił usta. Rzeczywiście zapomniał, że ten marionetkowy dyrektor, naiwniak, przy pomocy którego manipulowali opinią publiczną, ma tu przybyć tego wieczoru. Kiedy sobie to uświadomił, zaniepokoił się bardziej niż Frost. Przypominało to pierwszy podmuch zimy - pierwsze pęknięcie w konstrukcji tej jego drugiej osobowości czy też mentalnej maszyny, którą pieczołowicie zbudował, aby uporać się z problemami codziennego życia, podczas gdy on sam, prawdziwy Wither, błąkał się gdzieś daleko, na pograniczu widmowości.

- A niech mnie kule biją! - zawołał.

- Trzeba od razu zdecydować - powiedział Frost - co zrobić z tymi dwoma. Jeszcze tego wieczoru. Nie podlega dyskusji, że powinni być na bankiecie. Byłoby szaleństwem pozostawić ich samych.

- To mi przypomniawszy, że już zostawiliśmy ich samych... razem z tym Studdockiem... przez ponad dziesięć minut. Wracajmy.

- Bez żadnego planu? - przyciskał go Frost, ale wyszedł za nim z pokoju, gdy to powiedział.

- Musimy zdać się na bieg wydarzeń - zdecydował Wither.

Gdy wrócili, powitała ich błagalna mowa po łacinie wygłoszona przez mężczyznę w sutannie.

- Pozwólcie mi odejść - mówił. - Błagam was, na waszą miłość do matek, nie zadawajcie gwałtu staremu, nikomu nie zagrażającemu człowiekowi. Nikomu nic nie powiem, Bóg mi świadkiem, ale nie mogę tu zostać. Ten człowiek twierdzi, że jest Merlinusem, który powstał z martwych... To jakiś czciciel szatana dokonujący piekielnych cudów. Spójrzcie! Spójrzcie, co zrobił z tym biednym młodzieńcem, kiedy opuściliście pokój.

Wskazał na Marka wyciągniętego bezwładnie na krześle.

- Uciszyć się i posłuchaj! - powiedział Frost w tym samym języku. - Jeśli zrobisz to, co ci każemy, nic ci się nie stanie. Jeśli nie, zniszczymy cię. Myślę, że jeśli zaczniesz sprawiać nam kłopoty, możesz utracić nie tylko duszę, ale i życie, a nie wyglądasz na męczennika.

Człowiek w sutannie wydał z siebie cichy jęk. Nagle, jakby bez udziału swojej woli, jak mechanizm sterowany przez kogoś innego, Frost kopnął go.

- Do roboty! - zawołał. - Powiedz mu, że przynieśliśmy takie ubrania, jakie dzisiaj się nosi.

Mężczyzna w sutannie nawet nie drgnął, gdy dostał kopniaka. Ten epizod zakończył się umyciem włóczęgi i ubraniem go w to, co przynieśli z pokoju Withera.

- On mówi, że teraz chce być oprowadzony po domu - powiedział mężczyzna w sutannie. - Chce, aby mu pokazano wszystkie sekrety.

- Odpowiedz mu - rzekł Wither - że będzie to dla nas wielką przyjemnością i zaszczytem...

Ale włóczęga przerwał mu w swoim niezrozumiałym języku.

- On mówi - przetłumaczył ksiądz - że najpierw chce zobaczyć Głowę, zwierzęta i złoczyńców, którzy są tu poddawani mękom. Życzy też sobie, aby mu towarzyszył tylko jeden z panów. Pan, wielmożny panie - zwrócił się do Withera.

- Nie zgodzę się na takie warunki - powiedział Frost po angielsku.

- Mój drogi przyjacielu - rzekł Wither - naprawdę nie jest to odpowiedni moment... No i jeden z nas musi być wolny, aby powitać Julesa.

Włóczęga znowu przemówił.

- Proszę o wybaczenie - powiedział mężczyzna w sutannie ale powtarzam tylko to, co on mówi. To nie moje słowa. Zabrania panom mówić w jego obecności językiem, którego nie może, nawet za moim pośrednictwem, zrozumieć. I mówi, że od dawna jest przyzwyczajony do tego, że go słuchają. Teraz pyta, czy chcecie, by był waszym przyjacielem, czy wrogiem.

Frost zbliżył się do pseudo-Merlina tak, że dotknął ramieniem sutanny prawdziwego Merlina. Wither odniósł wrażenie, że jego wspólnik zamierzał coś powiedzieć, lecz zabrakło mu odwagi. W rzeczywistości Frost po prostu nie mógł znaleźć żadnych słów. Może był to skutek ciągłego przechodzenia z łaciny na angielski i odwrotnie, ale po głowie chodziły mu jedynie jakieś bezsensowne sylaby. Od dawna wiedział, że ciągły kontakt z istotami, które nazywał makrobami, może wyrzucić trudny do przewidzenia wpływ na jego psychikę. Nigdy nie opuszczał go przecucie całkowitego rozpadu osobowości. Ćwiczył się, by temu nie ulec. Teraz odniósł wrażenie, że ta chwila nadeszła. Przypominał sobie, że strach jest tylko zjawiskiem chemicznym. Na pewien czas musi się wycofać z walki, odzyskać równowagę i wrócić wzmocniony wieczorem. Bo przecież to nie koniec. W najgorszym razie to dopiero pierwsza zapowiedź końca. Możliwe, że ma przed sobą jeszcze całe lata pracy. Musi przetrzymać Withera. Zabije tego księdza. Nawet Merlin, jeśli to naprawdę jest Merlin, nie da sobie lepiej od niego rady z makrobami.

Usunął się pod ścianę. Włóczęga opuścił pokój w towarzystwie prawdziwego Merlina i Withera.

* * *

Przed rozpoczęciem wizytacji Merlin zażądał jakiegoś godnego okrycia dla włóczęgi i Wither przyniósł mu togę doktora filozofii Uniwersytetu Edgestow. Tak wystrojony, krocząc niepewnie z przymrużonymi oczami, otępiały z wrażenia, wędrowny druciarz został oprowadzony po wszystkich piętrach instytutu. Pokazano mu pomieszczenia dla zwierząt i cele, w których trzymano skazańców. Co jakiś czas jego twarz wykrzywiał grymas, jakby chciał coś powiedzieć, ale nigdy nie udało mu się wyrzec ani jednego słowa, chyba że prawdziwy Merlin zadał mu pytanie i poczekał na odpowiedź, wpatrując się w jego oczy. Oczywiście wszystko to było dla tego włóczęgi czymś zupełnie innym niż dla każdego wykształconego i bogatego człowieka. Jemu to wszystko wydawało się po prostu wysoce „podejrzaną” - najbardziej podejrzane z tego wszystkiego, co go dotąd w życiu spotkało. Przede wszystkim był czysty, cały czysty, i już to samo, niezależnie od purpurowej szaty i faktu, iż jego własne usta wydawały wciąż dźwięki, których nie rozumiał, i to bez udziału jego woli, było zupełnie niepojęte. Jeszcze nigdy nie znalazł się w sytuacji, której absolutnie nie potrafił pojąć.

Tymczasem w Obiektywnym Pokoju rozwój wypadków zmierzał do punktu krytycznego. Kiedy tam weszli, Mark zobaczył, że stojący zwykle na środku stół został podsunęty do ściany. Na podłodze leżał ogromny krucyfiks, prawie naturalnej wielkości, dzieło hiszpańskiej tradycji, a więc upiornie realistyczne.

- Mamy pół godziny na przeprowadzenie ćwiczeń - powiedział Frost, spoglądając na zegarek.

I nie wdając się w wyjaśnienia, polecił Markowi, by podeptał krzyż i znieważył go w każdy sposób, jaki mu przyjdzie do głowy.

Podczas gdy Jane rozstała się z chrześcijaństwem we wczesnym dzieciństwie, razem z elfami i Świętym Mikołajem, Mark nigdy nie był człowiekiem wierzącym. W tym momencie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że ostatecznie nie można wykluczyć, iż coś w tym jednak jest. Frost, obserwujący go uważnie, dobrze wiedział, jaki może być skutek tego eksperymentu. A wiedział, bo podczas jego własnych ćwiczeń makroby w pewnym momencie zażądały od niego tego samego. Nie miał jednak wyboru. Była to istotna część inicjacji i czy mu się to podobało, czy nie, nie mógł z niej zrezygnować.

- Ale... zaraz - powiedział Mark.

- O co chodzi? Proszę się pospieszyć. Mamy ograniczoną ilość czasu do dyspozycji.

- To tutaj - Mark wskazał z pewnym oporem na straszną białą postać na krzyżu - jest z całą pewnością czystym przesądem.

- No więc?

- Więc jeśli tak, cóż to za obiektywizm deptać po tej twarzy? Czy nie jest takim samym przejawem subiektywizmu plucie na tę twarz jak i oddawanie jej czci? To znaczy... a niech to wszyscy diabli... jeśli to jest tylko kawałek drewna, to po co w ogóle coś z tym robić?

- Patrzy pan na to zbyt powierzchownie. Gdyby pan był wychowany w niechrześcijańskim społeczeństwie, nie kazałbym panu tego robić. Oczywiście to przesąd, ale przesąd szczególny, narzucany naszemu społeczeństwu przez wiele stuleci. Można eksperymentalnie wykazać, że wciąż pozostaje dominującym systemem w podświadomości wielu ludzi, których świadomość wydaje się z niego całkowicie wyzwolona. Formalne, wyraźne działanie w przeciwnym kierunku jest więc niezbędnym krokiem ku prawdziwemu obiektywizmowi. To nie jest sprawa podlegająca dyskusji *a priori*. Stwierdziliśmy w praktyce, że nikt nie powinien być z tego zwolniony.

Mark był zaskoczony emocjami, jakich doznawał. Leżący przed nim symbol nie wywoływał w nim żadnych uczuć religijnych. Zdecydowanie nie należał do owej idei „prostoliniowości”, „normalności” czy „psychicznej integralności”, która w ciągu ostatnich kilku dni stała się jego jedyną intelektualną ostoją przeciw temu wszystkiemu, co już wiedział o najtajniejszym kręgu Belbury. Straszliwy realizm tego udręczonego ciała był równie odległy od tej idei jak wszystko, co znajdowało się w tym pokoju. Ale nie było to jedyne źródło jego oporu. Chociaż wiedział, że to tylko rzeźba, znieważenie takiej agonii wydawało mu się czymś odrażającym. Wraz z pojawieniem się tego chrześcijańskiego symbolu sytuacja uległa zasadniczej zmianie, jej rozwój był trudny do przewidzenia. Przeciwwstawienia, do jakich już przywykł - tego, co „normalne”, i tego, co „chore” - przestały się liczyć. Dlaczego położono tu ten krucyfiks? I dlaczego ponad połowa tych trujących obrazów na ścianach miała religijną treść? Miał poczucie, że do tego konfliktu włączyli się nowi gracze - potencjalni sprzymierzeńcy i wrogowie, których istnienia dotąd nie podejrzewał. „Jeśli zrobię krok w jakimkolwiek kierunku, mogę wpaść w przepaść”, pomyślał. Jakaś ośła determinacja, by wbić kopyta w ziemię i nie ruszać się z miejsca, przeszła mu przez myśl.

- Niech się pan pospieszy - powiedział Frost.

Spokojna natarczywość tego głosu i fakt, że tak często był mu posłuszny, o mały włos nie zmusiła go do uległości. Był już bliski spełnienia dziwnego polecenia, choćby po to, żeby mieć to już za sobą. Powstrzymała go bezbronność ukrzyżowanej postaci. To uczucie było całkowicie nielogiczne. Powstrzymał się nie dlatego, że jej ręce przybito gwoździami, lecz dlatego, że wyrzeźbiono je z drewna, przez co stawały się jeszcze bardziej bezbronne, dlatego, że cała ta postać, mimo ohydneho realizmu, była nieożywiona, a więc nigdy, w żaden sposób, nie mogła się obronić, nie mogła oddać ciosu. Stała mu przed oczami twarz lalki - jednej z lalek Myrtle - którą w

dzieciństwie poszarpał na kawałki. To wspomnienie, nawet teraz, nappełniło go wzruszeniem.

- Na co pan czeka, panie Studdock? - rozległ się głos Frosta.

Mark był świadom narastającego zagrożenia. Jeśli nie będzie posłuszny, jego ostatnia szansa ucieczki z Belbury może nieodwołalnie przepaść. Może nie wyjdzie już z tego pokoju. I znowu zaatakowało go to przytłaczające uczucie. Poczul się tak bezbronny jak ten drewniany Chrystus. Kiedy o tym pomyślał, odkrył, że patrzy na krucyfiks w nowy sposób - już nie jak na kawałek drewna ani pomnik zabobonu, lecz jak na kawałek historii. Chrześcijaństwo mogło być nonsensem, lecz nikt nie wątpił, że ten człowiek kiedyś żył i został ukrzyżowany przez Belbury tamtych czasów. I to właśnie - Mark nagle zrozumiał - wyjaśniało, dlaczego to wyobrażenie, choć samo nie było symbolem „prostolinijności” czy „normalności”, było jednak przeciwieństwem zwodniczego, fałszywego Belbury. Był to obraz tego, co się stanie, gdy prostolinijność napotka fałsz - co stanie się z nim, jeśli pozostanie uczciwy. Był to, w sensie bardziej dosłownym, niż to przedtem rozumiał, właśnie krzyż: przekreślenie, przeciwieństwo, udręka.

- Czy ma pan nadal zamiar kontynuować szkolenie, czy nie? - zapytał Frost, spoglądając na zegar.

Frost wiedział, że tamci dokonują wizytacji i że Jules musi już dojeżdżać do Belbury, a więc że czasu jest coraz mniej. Wiedział, że w każdej chwili mogą mu przerwać. Jego decyzja o przeprowadzeniu Marka przez ten etap inicjacji właśnie teraz była po części skutkiem poddania się niejasnemu impulsowi (podobnych impulsów doświadczał ostatnio coraz częściej), a po części wynikała z oceny nieoczekiwanego rozwoju wydarzeń. On i Wither, a także prawdopodobnie (od teraz) Straik, byli jedynymi osobami w instytucie, które przeszły pełne wtajemniczenie. Na nich spoczywała odpowiedzialność za zrobienie jakiegokolwiek fałszywego kroku wobec człowieka, który utrzymywał, że jest Merlinem, oraz wobec jego tajemniczego tłumacza. Frost czuł, że jeśli tylko zachowa rozsądek, ma przed sobą szansę zdobycia przewagi nad pozostałymi, szansę stania się dla nich tym, czym oni byli dla reszty członków NIBS-u i czym NIBS był dla reszty Anglii. Wiedział dobrze, że Wither czyha na każdą jego pomyłkę. W tej sytuacji jak najszybsze doprowadzenie Marka do punktu, z którego nie będzie już odwrotu, nabierało wielkiej wagi. Poddanie się ucznia nie tylko makrobom, ale i mistrzowi, który go wtajemniczył, stawalo się sprawą psychologicznej, a nawet fizycznej konieczności.

- Czy pan nie usłyszał, co powiedziałem? - zapytał ponownie.

Mark nie odpowiedział. Pochłonięty był intensywnym myśleniem, bo wiedział, że jeśli przestanie choćby na moment myśleć, sam lęk przed śmiercią pozbawi go możliwości podjęcia samodzielnej decyzji. Chrześcijaństwo to piękna bajka. Byłoby śmieszne umierać za religię, w którą się nie wierzy. Ten właśnie Człowiek, na tym krzyżu, odkrył, że to bajka, i umarł, uskarżając się na Boga, któremu zaufał i który Go opuścił. Ten Człowiek odkrył, że wszechświat jest wielkim oszustwem. Ale ta refleksja doprowadziła Marka do pytania, którego sobie nigdy nie stawiał. Czy to jest właściwy moment, by odwrócić się od tego Człowieka? Jeśli wszechświat jest oszustwem, to czy istnieje powód, by stanąć po stronie wszechświata? A jeśli to, co „uczciwe”, zawsze jest bezsilne, zawsze i wszędzie narażone na szyderstwo, tortury i w końcu śmierć z rąk oszustów, co wówczas? Czemu nie iść na dno razem z okrętem? Zaczął odczuwać prawdziwe przerażenie, gdy sobie uświadomił, że jego zwykle obawy zanikają. Były przecież jego zabezpieczeniem... chroniły go przez całe życie przed podejmowaniem szalonych decyzji, takich właśnie jak ta, którą teraz podjął, gdy odwrócił się do Frosta i powiedział:

- To wszystko jest cholerną bzdurą i niech mnie szlag trafi, jeśli się zgodzę zrobić coś takiego.

Kiedy to powiedział, nie miał pojęcia, co teraz nastąpi. Ale Frost po prostu wpatrywał się w niego, a on we Frosta. Potem dostrzegł, że Frost nasłuchuje, i sam zaczął nasłuchiwać. W chwili

później do pokoju wpadli ludzie: mężczyzna w czerwonej todze (Mark nie rozpoznał włóczęgi), olbrzym w czarnej sutannie i Wither.

* * *

W wielkim salonie w Belbury rozpoczął się wyjątkowo niemiłe przyjęcie. Horacy Jules, dyrektor NIBS-u, przybył pół godziny temu. Zaprowadzono go do gabinetu wicedyrektora, ale wicedyrektora tam nie było. Pokazano mu jego własny apartament, mając nadzieję, że długo tam zabawi. Zabawił tam bardzo krótko. Po pięciu minutach był już na dole i znowu trzeba się było nim zająć, a nikt jeszcze nie zdążył się przebrać. Teraz stał plecami do kominka, popijając sherry, w otoczeniu grona czołowych członków instytutu. Konwersacja ciągnęła się jak sanie po grudzie.

Rozmowa z panem Julesem zawsze była trudna, ponieważ upierał się, aby go traktowano nie jako honorowego przewodniczącego zarządu, lecz jako prawdziwego dyrektora instytutu, a nawet twórcę większości jego idei i programów. A ponieważ jedyną wiedzą, jaką posiadał, była ta, którą mu wpojono ponad pięćdziesiąt lat temu na Uniwersytecie Londyńskim, a jedyną filozofię, jaką znał, zaczerpnął z pism Hoeckla, Josepha McCabe'a i Winwooda Reade'a, trudno był o rozmawiać z nim o tym, co naprawdę robiono w instytucie. Trzeba było odpowiadać na bezsensowne pytania i wyrażać entuzjazm dla idei, które były nieaktualne już wtedy, gdy powstawały. Dlatego też nieobecność wicedyrektora miała tak katastrofalne konsekwencje, bo tylko Wither był mistrzem tego stylu konwersacji, który całkowicie odpowiadał Julesowi.

Jules był typowym londyńczykiem. Bardzo niski, o nogach tak krótkich, że nazywano go Kaczką, miał zadarty nos i twarz, w której pierwotną jowialność pokryła przez lata warstwa zarozumiałości i skutków folgowania przyziemnym namiętnościom. Sławę zdobył najpierw dzięki swym powieściom; później, jako wydawca tygodnika „Chcemy wiedzieć”, osiągnął taką sławę i wpływy w całym kraju, że jego nazwisko było dla NIBS-u naprawdę niezbędne.

- Jak powiedziałem arcybiskupowi - mówił Jules - „Może ekscelencja nie wiedzieć”, tak powiedziałem, „ale według najnowszych badań świątynia jerozolimską miała rozmiary angielskiego wiejskiego kościółka”.

- O Boże! - jęknął cicho Feverstone stojący nieco na uboczu grupy otaczającej Julesa.

- Może napije się pan jeszcze trochę sherry, panie dyrektorze - zaproponowała pani Hardcastle.

- Cóż, nie mam nic przeciwko temu - odparł Jules. - Nie jest najgorsze, chociaż mógłbym wam polecić miejsce, gdzie można dostać coś lepszego. A jak pani idzie, pani Hardcastle, z reformowaniem naszego systemu penitencjarnego?

- Robimy prawdziwe postępy. Myślę, że pewna modyfikacja metody Pellotoffa...

- Zawsze się pytam - przerwał jej Jules - dlaczego nie traktować przestępstwa jak każdej innej choroby? Nie widzę żadnego pożytku z karania. Chodzi o to, by wprowadzić przestępcę na właściwą drogę, aby umożliwić mu nowy start, aby zaszczerpić w nim zainteresowanie życiem. To naprawdę bardzo proste, jeśli się na to spojrzy z tego punktu widzenia. Ośmielę się mniemać, że czytała pani moje krótkie wystąpienie w Northampton?

- Zgadza się z panem - powiedziała pani Hardcastle.

- Cieszę się. Powiem pani jednak, kto się ze mną nie zgadzał. Stary Hingest... notabene, cóż to za dziwna sprawa. O ile wiem, nie schwycił pani mordercy? Przykro mi z powodu jego śmierci, ale prawdę mówiąc, nie miałem okazji porozmawiać z nim sam na sam. Pamiętam moje ostatnie spotkanie z Hingestem, rozmawialiśmy właśnie o młodocianych przestępcach, i wie pani, co on powiedział? Powiedział: „Jeśli chodzi o sądy dla młodocianych, to kłopot polega na tym, że zawsze zobowiązują ich do czegoś, podczas gdy naprawdę same powinny być zobowiązane wobec

nich". Niezłe, prawda? Niemniej jednak, jak mówi Wither... ale gdzie on właściwie jest?

- Powinien tu być lada chwila - odpowiedziała pani Hardcastle.

- Mogę się założyć - rzekł Filostrato - że miał jakieś kłopoty z samochodem. Będzie niepokieszony, że nie mógł pana przywitać osobiście, panie dyrektorze.

- Och, nie powinien się tym tak przejmować - powiedział Jules. - Nigdy nie przywiązuję wagi do tych wszystkich formalności, choć sądzę, że mógłby tu być, skoro już przyjechałem. Drogi Filostrato, wyglądasz świetnie. Siedzę twoją pracą z wielkim zainteresowaniem. Widzę w tobie jednego z twórców nowej ludzkości.

- Tak, tak... to jest nasz prawdziwy cel. Już zaczęliśmy...

- Staram się pomóc wam, jak tylko potrafię, przynajmniej w sferze pozatechnicznej - przerwał mu Jules. - Prowadzę tę wojnę od lat. Cały ten problem z życiem seksualnym. Zawsze powtarzam, że wszystkie kłopoty znikną, gdy tylko wyciągnie się to wszystko na światło dzienne, kiedy stanie się to jawne. Całe zło bierze się z tej wiktoriańskiej pruderii. Z robienia z tego wielkiej tajemnicy. Chcę, aby każdy chłopiec i każda dziewczyna w tym kraju...

- O Boże! - jęknął ponownie Feverstone.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł Filostrato, który jako cudzoziemiec nie zrezygnował jeszcze z prób oświecenia Julesa - ale nie sądzę, aby o to głównie chodziło.

- Wiem, co pan chce powiedzieć - przerwał mu Jules, kładąc tłusty palec wskazujący na rękawie marynarki profesora. - I śmiem twierdzić, że nie przeczytał pan mojej ostatniej pracy. Ale proszę mi wierzyć, jeśli pan zajrzy do pierwszego numeru z ostatniego miesiąca, znajdzie tam pan skromny artykuł wstępny, który ktoś taki jak pan mógł łatwo przeoczyć, bo nie używam w nim żadnych terminów technicznych. Niech pan jednak to przeczyta, to zobaczy pan, że tam wszystko jest wyłożone jak należy. I to w taki sposób, że zrozumie to każdy.

W tym momencie zegar wybił kwadrans.

- Właściwie o której ma być ta kolacja? - zapytał Jules, który lubił bankiety, a zwłaszcza te, na których musiał przemawiać. I nie lubił czekania.

- Za kwadrans ósma - odpowiedziała pani Hardcastle.

- Uważam - rzekł Jules - że ten stary Wither powinien jednak tu być. Chyba mnie rozumiecie, ja się nie czepiam, ale między nami mówiąc, jestem trochę urażony. Chyba mi przyznacie, że mamy tu do czynienia z sytuacją, której raczej trudno było się spodziewać...

- *Ecco* - powiedział Filostrato. - Ktoś właśnie przyszedł.

Do salonu rzeczywiście wkroczył Wither, lecz w towarzystwie, którego Jules na pewno nie mógł się spodziewać, a przy tym wicedyrektor miał z całą pewnością powody, by wyraz jego twarzy sprawiał wrażenie jeszcze większej nieobecności niż zazwyczaj. Został właśnie przepędzony przez własny instytut, jakby był czymś w rodzaju lokaja. Nie pozwolono mu nawet na wtłoczenie dodatkowej ilości krwi i powietrza do aparatury podtrzymującej życie Głowy, gdy odwiedzili komorę, w której ją przechowywano. „Merlin” (jeśli to był Merlin) nie zwrócił zresztą na nią specjalnej uwagi. Co gorsza, stawało się coraz bardziej oczywiste, że ów trudny do wytrzymania inkubus i jego tłumacz zamierzają wziąć udział w uroczystej kolacji inauguracyjnej. Nikt bardziej od Withera nie był świadom absurdalności przedstawienia Julesowi jakiegoś obszarpanego starego księdza, który nawet nie znał dobrze angielskiego, będącego na usługach kogoś, kto wyglądał jak somnambuliczny szympanz ubrany w togę doktora filozofii. Prawdziwego wyjaśnienia Julesowi tej sytuacji - nawet gdyby sam wiedział, jak ją wyjaśnić - w ogóle nie brał pod uwagę. Jules był prostym człowiekiem, dla którego słowo „średniowieczny” znaczyło tyle, co „dziki”, a słowo „magia” budziło jedynie wspomnienia po lekturze *Złotej gałęzi*. Od odwiedzin w Obiektywnym Pokoju musiał też znosić towarzystwo Frosta i Studdocka. Nie polepszył sytuacji fakt, że gdy

zbliżyli się do Julesa i wszystkie oczy zwróciły się na nich, pseudo-Merlin opadł na fotel, mrużąc coś pod nosem i natychmiast zamknął oczy.

- Drogi dyrektorze - zaczął Wither, mając pewne kłopoty z uregulowaniem oddechu - to naprawdę jedna z najszcześniejszych chwil w moim życiu. Niech mi pan wybaczy, że na skutek trudnych do przewidzenia okoliczności nie mogłem być obecny w momencie, gdy pan tutaj przybył... To zupełnie szczególny splot wypadków... Inna bardzo znamienita osoba przybyła tu w tym samym czasie. Pewien cudzoziemiec...

- Och - przerwał mu Jules nieco chrapliwym głosem - a któż to taki?

- Niech mi pan pozwoli... - rzekł Wither, odsuwając się nieco na bok.

- Ma pan na myśli to? - zapytał Jules.

Rzekomy Merlin siedział rozwalony w fotelu, z zamkniętymi oczami, z rękami zwisającymi bezwładnie po bokach, z głową przekrzywioną i słabym uśmiechem na twarzy.

- Czy on jest pijany? Albo chory? A niezależnie od tego, kim on jest?

- On jest, jak już nadmieniałem, cudzoziemcem... - zaczął Wither.

- No, ale to chyba nie upoważnia go do spania w chwili, gdy jest mi przedstawiany, prawda?

- Proszę... - powiedział Wither, biorąc Julesa pod ramię i wyprowadzając go z grupy gości. - Są pewne okoliczności... byłoby niezmiernie trudno wyjaśnić je tutaj... Sam zostałem całkowicie zaskoczony i gdyby pan tutaj wówczas był, z całą pewnością skonsultowałbym to z panem. Nasz dostojny gość, muszę dodać, jest nieco ekscentryczny i...

- Ale kto to jest? - przerwał mu Jules.

- Nazywa się... ee... Ambrosius. Doktor Ambrosius, rozumie pan?

- Nigdy o nim nie słyszałem - wycedził Jules.

W każdym innym przypadku nie pozwoliłby sobie na taką uwagę, ale cały ten wieczór zaczynał znacząco odbiegać od jego oczekiwań i trochę go już poniosło.

- Niewielu z nas dotychczas o nim słyszało - odrzekł Wither - ale niedługo wszyscy o nim usłyszą. Właśnie dlatego, bez...

- A kim jest ten? - zapytał Jules, wskazując na prawdziwego Merlina. - Wygląda, jakby się nieźle bawił.

- Och, to tylko tłumacz doktora Ambrosiusa.

- Tłumacz? Czy on nie mówi po angielsku?

- Niestety nie. Żyje raczej w swoim własnym świecie.

- Nie mógł pan znaleźć kogoś innego? Duchowny... Nie chcemy tu takich ludzi. Halo! A kim pan jest?

Ostatnie pytanie zostało skierowane do Straika, który stanął przed nim z profetycznym błyskiem w oczach.

- Panie Jules - powiedział - jestem w posiadaniu orędzia, którego musi pan wysłuchać. Ja...

- Zamknij się - warknął Frost.

- Naprawdę, panie Straik, bardzo proszę... - powiedział Wither i przy pomocy Frosta odprowadził go na bok.

- Niech pan posłucha, Wither - rzekł Jules, gdy wicedyrektor wrócił przed jego oblicze. - Muszę panu szczerze wyznać, że moje wrażenia są dalekie od satysfakcji. Jeszcze jeden duchowny... Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek przedstawiano mi tego rodzaju osoby, i naprawdę nie jestem w stanie tego znieść, rozumie pan? Zdaje mi się, że zaprosił pan tutaj te typy poza moimi plecami i zamienił pan to miejsce w jakieś seminarium duchowne. A to jest coś, czego nie zniosę i czego nie zniesie cały naród brytyjski.

- Wiem. Wiem - powiedział Wither. - Doskonale rozumiem, co pan czuje. Naprawdę, czekam

tylko na sprzyjającą chwilę, aby wyjaśnić panu całą sytuację. Tymczasem, skoro doktor Ambrosius sprawia wrażenie zmęczonego, a właśnie usłyszałem pierwszy dzwonek. .. Och, proszę mi wybaczyć. To jest doktor Ambrosius.

Włóczęga, czując utkwione w sobie spojrzenie prawdziwego maga, wstał z fotela i podszedł do Julesa, który niechętnie wyciągnął rękę. Doktor Ambrosius, patrząc gdzieś ponad ramieniem Julesa i szczerząc zęby w niesamowity sposób, uchwycił ją i potrząsnął z dziesięć lub piętnaście razy, sprawiając wrażenie człowieka, który myślami jest bardzo daleko. Jules zdążył zauważyć, że cuchnie mu z ust, a jego ręka jest szorstka i twarda.

Doktor Ambrosius nie wzbudził w nim sympatii, podobnie jak masywna postać jego tłumacza, piętrząca się nad nimi.

Rozdział 16

Bankiet w Belbury

Mark z wielką przyjemnością przebrał się znowu do kolacji, która miała być szczególnie wykwintna. Przy stole siedział między Filostratem po prawej stronie a jakimś niczego nieświadomym gościem po lewej. Nawet Filostrato wydawał mu się wzruszająco ludzki i przyjazny w porównaniu z dwoma wtajemniczonymi profesorami, a do gościa odczuwał instynktowną sympatię, jako do człowieka z zewnątrz. Zaskoczył go widok włóczęgi siedzącego przy honorowym stole między Julesem i Witherem, lecz starał się nie patrzeć w tym kierunku, bo włóczęga, gdy tylko uchwycił jego spojrzenie, podniósł swój kieliszek i mrugnął porozumiewawczo. Dziwny ksiądz stał spokojnie za jego krzesłem. Nie wydarzyło się nic godnego uwagi do czasu, gdy wypito toast za zdrowie króla i Jules wstał, aby wygłosić przemówienie.

Przez pierwsze pięć minut każdy, kto by przebiegł spojrzeniem po długich stołach, ujrzałby to, co się widzi zawsze przy takich okazjach: pogodne twarze starszawych *bons viveurs*, których dobre jedzenie i wino wprowadziło w stan owej błogości, jakiej nie są w stanie zniszczyć najdłużej trwające przemówienia; cierpliwe twarze biesiadników, którzy nauczyli się śledzić własne myśli, kontrolując jednocześnie na tyle uwagę, by w odpowiednim miejscu zareagować śmiechem lub okrzykami akceptacji; pochmurne twarze młodych mężczyzn, nie zachwyconych koniecznością picia portwajnu i marzących o zapaleniu cygara; nienaturalnie skupione, upudrowane twarze kobiet, znających swoje obowiązki wobec społeczeństwa.

Po jakimś czasie w tym zbiorowisku ludzkim, stanowiącym typowe audytorium uroczystych kolacji, zaczęły się jednak pojawiać oznaki nieoczekiwanej zmiany. Tu i tam twarze zwracały się w kierunku mówcy. Można było na nich dostrzec najpierw zdziwienie, potem skupioną uwagę, wreszcie niedowierzanie. W końcu w wielkim salonie zapanowała głęboka cisza, nie przerywana żadnym kasznięciem lub skrzypnięciem krzesła. Wszystkie oczy były utkwione w Julesie, wszystkie usta rozchyliły się bezwiednie w niemej manifestacji doznania, które mogło być tylko mieszaniną fascynacji i przerażenia.

Poszczególni członkowie audytorium zaczęli reagować w różnym czasie. Frost poczuł, że dzieje się coś niezwykłego, gdy usłyszał, jak Jules kończy zdanie słowami: „takim rażącym anachronizmem, jakim byłoby zawierzenie kalwarii we współczesnej wojnie”.

- Kawalerii! - zachnął się Frost prawie na głos. Czy ten głupiec nie mógłby zwracać uwagi na to, co mówi? Może... Ale... ejże! Co to być? Czyżby się przesłyszał? Bo usłyszał, jak Jules stwierdza, że „przyszła gęstość ludzkości zależy od implozji koni przyrody”. „On jest kompletnie pijany”, pomyślał Frost. A potem, krystalicznie czyste w artykulacji, nie dające możliwości pomyłki, padło zdanie:

- Madrigora kwaśnego soku musi być staltibianizowana.

Do Witherera wolniej docierało to, co się dzieje. Nigdy nie oczekiwał, by przemówienia miały w ogóle jakieś znaczenie, i przez dłuższy czas znajome zbitki słów toczyły się przez salę, nie przecząc temu doświadczeniu. Odnosił, co prawda, wrażenie, że Jules wyjątkowo dziś bredzi i że wystarczy jeden fałszywy krok, by zarówno audytorium, jak i mówca przestali nawet udawać, że jego mowa ma jakikolwiek sens. Ale jak długo ta granica nie została przekroczona, przemówienie nawet mu się podobało, bo sam zwykł przemawiać podobnie. Potem pomyślał: „No nie! To już przesada! Nawet oni muszą zauważyć, że nie można mówić o akceptacji wyzwania przeszłości przez rzucanie rękawicy przyszłości”. Popatrzył uważnie po sali. Na razie wszystko jest w porządku, ale nie będzie, jeśli Jules nie skończy jak najszybciej. W ostatnim usłyszonym zdaniu znalazły się słowa,

których z całą pewnością nie znał. Cóż, do diabła, ma znaczyć słowo *aholibaf*? Jeszcze raz popatrzył po sali. Wszyscy słuchali zbyt uważnie, a to zawsze jest zły znak. A potem usłyszał zdanie:

- Surogaty semwszczepione w ciągłość porowatych odmian.

Mark z początku w ogóle nie słuchał przemówienia Julesa. Pojawienie się tego perorującego bubka w przełomowym punkcie jego własnej dramatycznej przygody uznał za niegodny uwagi przypadek. Czuł się zbyt zagrożony, a jednocześnie w jakiś ryzykowny sposób szczęśliwy, więc Julesem w ogóle się nie przejmował. Raz czy drugi wpadła mu w ucho jakaś fraza, wywołując rozbawienie. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na niezwykłość sytuacji, gdy spostrzegł zachowanie tych, którzy siedzieli najbliżej. Potem zauważył, że wszyscy prócz niego słuchają z najwyższą uwagą. Przyjrzał się twarzom i natychmiast sam zaczął słuchać.

- I nie uczynimy tego - mówił Jules - nie uczynimy, dopóki nie zapewnimy sobie erebacji wszystkich prostundialnych inklauz.

Znowu popatrzył po twarzach. Z całą pewnością to nie on zwariował: najwyraźniej wszyscy słyszeli ten dziwaczny bełkot. Jedynym wyjątkiem mógł być włóczęga, który siedział z powagą godną sędziego. Nigdy przedtem nie słyszał przemówienia jednego z tych elegantów i byłby zawiedziony, gdyby coś z tego zrozumiał. Nigdy też jeszcze nie pił markowego portwajnu i choć nie bardzo mu smakował, starał się zachowywać jak człowiek.

Wither ani przez chwilę nie zapomniał o obecności dziennikarzy. Na razie zbyt szybko nimi nie przejmował. Gdyby w jutrzejszej prasie ukazało się coś niewygodnego, mógłby temu z dziecinną łatwością zaprzeczyć, twierdząc, że reporterzy musieli się upić albo powariowali. Z drugiej strony mógł też pozwolić na rozpowszechnienie prawdziwej wersji. Jules był uciążliwy i ten epizod nadawał się doskonale, by go skompromitować i zrujnować mu karierę. W tej chwili nie to było najważniejsze. Wither zastanawiał się, co powinien zrobić: czy czekać, aż Jules skończy, czy też powstać i przerwać mu kilkoma rozsądnymi zdaniami. Chciał jednak uniknąć skandalu. Byłoby lepiej, gdyby Jules sam skończył i usiadł. Atmosfera na sali ostrzegła go jednak, że nie można czekać zbyt długo. Zerknął na zegarek i postanowił poczekać jeszcze dwie minuty. Prawie w tej samej chwili zrozumiał, że popełnił błąd. W sali rozległ się nienaturalny, piskliwy śmiech: jakaś głupia baba dostała ataku hysterii. Wither natychmiast dotknął ręki Julesa i powstał.

- Ee?... Krostowaty pedello? - wybełkotał Jules.

Wither położył mu rękę na ramieniu i spokojnie, ale stanowczo zmusił go do zajęcia pozycji siedzącej. Potem odchrząknął. Wiedział, jak to zrobić, aby wszystkie spojrzenia zwróciły się natychmiast w jego stronę. Kobieta przestała pisać. Ludzie poruszyli się i odprężyli. Wither popatrzył po sali w głębokiej ciszy, czując, że całkowicie panuje nad sytuacją. Ma ich wszystkich w garści. Nie będzie już żadnych hysterii. Potem zaczął mówić.

Tak jak przewidywał, w miarę jego wyjaśnień audytorium powinno się coraz bardziej odprężyć, powinien też zabrzmieć szmer pełnego powagi ubolewania wobec tragedii, jaka się właśnie wydarzyła. Wither był całkowicie pewien takiej reakcji. Jednak to, co w rzeczywistości nastąpiło, wprawiło go w stan osłupienia. Już po kilku jego słowach zapanowała taka sama, pełna napięcia cisza, jaka towarzyszyła przemówieniu Julesa. Kobieta znowu zaczęła się histerycznie śmiać - nie, już dwie kobiety. Cosser spojrział na niego z przerażeniem, zerwał się z miejsca, przewracając krzesło, i wybiegł z sali.

Wicedyrektor nie był w stanie pojąć, co się dzieje, ponieważ jego własny głos zdawał się wypowiadać ściśle to, co zamierzał powiedzieć. Audytorium słyszało jednak co innego.

- Wyplawy i błyskoludzie... będę forował, abyśmy wszyscy... ee... ostrowato odparli defensywilne, chociaż wierzę, toaletowe Aspazja, która pomyka, aby wybrać naszego zbawionego

inspektora, to oszuka. Byłoby to... ach... oszustliwe, bardzo oszustliwe, od czyjejkolwiek obligacji...

Śmiejąca się histerycznie kobieta gwałtownie wstała. Jej sąsiad usłyszał, jak mamrocze: „Wuud huuluu”. Nie wiedział dlaczego, ale zarówno ten bełkot, jak i nienaturalny wyraz jej twarzy rozwścieczył go. Podniósł się, aby pomóc jej odsunąć krzesło jednym z owych gestów fałszywej uprzejmości, które w naszym społeczeństwie często zastępują uderzenia. W rzeczywistości wyrwał jej oparcie z rąk. Kobieta wrzasnęła, zachwiała się i upadła. Sąsiad z drugiej strony dostrzegł wściekłość na twarzy pierwszego mężczyzny.

- Czyś przyklynty?! - ryknął, rzucając się na niego. Już z pięć osób podniosło się z miejsc w tej części sali. Wszyscy krzyczeli. Zrobiło się zamieszanie. Wielu kierowało się ku drzwiom.

- Tobolarze! Tobolarze! - zawołał Wither.

Zwykle, gdy podnosił głos i wypowiadał jedno autorytatywne słowo, potrafił opanować takie sytuacje. Tym razem nikt go nie słuchał. W tym momencie przynajmniej dwadzieścia osób próbowało zrobić to samo. Każdemu wydawało się oczywiste, że w tej sytuacji parę rozsądnych zdań, wypowiedzianych przez kogoś nowego, przywróci spokój. Jedno ostre zdanie, jakiś dowcip, coś spokojnego i znaczącego. W rezultacie z różnych miejsc rozlegał się bezsensowny szwargot. Frost był jedynym z kierownictwa, który nie próbował przemówić. Zamiast tego napisał kilka słów na kartce, skinął na służącego i dał mu do zrozumienia gestami, by podał kartkę pani Hardcastle.

Zanim doręczono jej kartkę, na sali panował już straszliwy zgiełk. Markowi przywodził na myśl ożywiony zgiełk w zatłoczonej zagranicznej restauracji. Pani Hardcastle chwyciła kartkę i pochyliła głowę, by przeczytać wypisane na niej słowa. A słowa te brzmiały: „Przytęp durnostojków natychmiast do wskazanego bdelaroidu”.

Pani Hardcastle zdawała sobie sprawę już wcześniej, że jest porządnie wstawiona. Spodziewała się tego i robiła wszystko, aby ten stan osiągnąć. Wiedziała, że późnym wieczorem zejdzie do pomieszczeń dla więźniów i zajmie się swoimi zwykłymi sprawami. Miała tam nową zdobycz - małą, trzpiotowatą dziewczynkę, z rodzaju tych, jakie bardzo lubiła - z którą obiecywała sobie spędzić miłą godzinkę. Zgiełk bezsensownych słów nie wzbudzał w niej zaniepokojenia; stwierdziła, że nawet ją to podnieca. Frost najwyraźniej chciał, żeby zaczęła działać. Postanowiła to zrobić. Wstała, przeszła przez całą salę do drzwi, zamknęła je, schowała klucz do kieszeni i odwróciła się, by ocenić sytuację. Dopiero teraz zauważyła, że nigdzie nie ma ani doktora Ambrosiusa, ani jego tłumacza. Wither i Jules szamotali się ze sobą. Ruszyła ku nim.

Tyle już osób wstało od stołów, że przejście do dyrektorów zajęło jej sporo czasu. Sala nie przypominała teraz w niczym uroczystego bankietu; to, co się działo, bliższe było raczej scenom z londyńskiego dworca w przedświąteczny wieczór. Każdy chciał przywrócić porządek, ale też każdy bełkotał w sposób prawie całkowicie niezrozumiały dla reszty, co w rezultacie powodowało, że wszyscy coraz bardziej podnosili głosy. Pani Hardcastle sama wykrzyknęła coś parę razy. Zanim dotarła do celu, nie darowała sobie też udziału w kilku bójkach.

Rozległ się ogłuszający huk, a po nim przez kilka sekund w końcu zapanowała cisza. Mark zauważył najpierw, że Jules pada na podłogę, i dopiero po chwili zorientował się, że pani Hardcastle po prostu go zastrzeliła. Teraz trudno już było przewidzieć, co może się wydarzyć. W panice, jaka ogarnęła salę, łatwo dałoby się zrealizować z tuzin pomysłów w rozbrojenia morderczynie, ale podjęcie jakiegoś zorganizowanego działania było po prostu niemożliwe. Wróżka wypaliła z rewolweru jeszcze kilka razy. Kiedy Mark wspominał tę scenę po latach, pamiętał najbardziej zapach: zapach prochu zmieszany z wonią krwi, portwajnu i madery.

Nagle wszystkie głosy zmieszały się w jedno wysokie i długie wycie. Wszystkich ogarnęła jeszcze większa panika. Coś przemknęło po podłodze między dwoma stołami i znikło pod jednym z

nich. Przynajmniej połowa gości nie zdołała dostrzec, co to było - uchwyciła tylko błysk czegoś czarnego i brązowego. Ale Mark dostrzegł to wyraźnie. To był tygrys.

Tego wieczoru wszyscy po raz pierwszy odkryli, jak wiele kryjówek zawierał salon w Belbury. Tygrys mógł być pod każdym ze stołów. Mógł schować się w jednej z wielu nisz okiennych, za kotarami lub za draperią zasłaniającą róg sali.

Byłoby błędem mniemać, że w takiej sytuacji nikt już nie zachowa resztek zdrowego rozsądku. Wielu próbowało ugasić panikę, apelując głośno do wszystkich zebranych lub natarczywym szeptem do najbliższych sąsiadów. Starano się zorganizować uporządkowaną ewakuację z sali, wskazywano, jak wywabić lub wypłoszyć tygrysa z kryjówki, aby go zastrzelić. Niestety, klątwa niezrozumiałego szwargotu niweczyła wszystkie wysiłki. Nie można też było zapanować nad kolizją wynikłą ze zderzenia dwóch fal ludzi: większość nie zauważyła zamknięcia głównych drzwi przez panią Hardcastle i próbowała dostać się do nich za wszelką cenę, pozostali zaś, wiedząc, że drzwi są zamknięte, parli w przeciwnym kierunku, przekonani, iż salon musi mieć inne wyjścia, to używane przez służbę i to, przez które dostał się tygrys. Te dwie fale ścierały się na środku sali, tworząc kłębowisko przywodzące na myśl starcie dwu drużyn w meczu rugby - starcie najpierw hałaśliwe, gdy próbowano się jeszcze wzajemnie przekonać, a potem, gdy walka rozgorzała na dobre - prawie ciche, jeśli pominąć zdyszane oddechy, jęki, tupot obcasów i niezrozumiałe bełkot.

Czterech czy pięciu szepionych ze sobą mężczyźn gwałtownie zepchnięto na stół. Przewracając się, ściągnęli obrus razem z całą zastawą: misami pełnymi owoców, karafkami, kieliszkami i talerzami. Wśród całego tego zamieszania nagle rozległ się ryk przerażenia i pojawił się tygrys. Wydarzyło się to tak szybko, że Mark ledwo zarejestrował tę scenę spojrzeniem. Ujrzał potworny łeb, płonące oczy, koci grymas pyska, z którego wydobywało się warczenie. Usłyszał strzał i tygrys zniknął po raz drugi. Pod nogi walczących upadło coś grubego, białego i zakrwawionego. Było to ludzkie ciało. Z początku Mark nie mógł rozpoznać, czyje to ciało, bo wykrzywiona w straszliwym grymasie twarz miotała się w obie strony. Potem znieruchomiała. Poznał panią Hardcastle.

Withera i Frosta nigdzie nie był widać. Mark odwrócił się, bo tuż za sobą usłyszał słumiony ryk. Był pewien, że to tygrys, lecz kątem oka uchwycił coś mniejszego i szarego. W pierwszej chwili pomyślał, że to owczarek alzacki. Jeśli tak, to pies musiał być wściekły. Biegł wzdłuż stołu z podwiniętym ogonem, tocząc ślinę z pyska. Jakaś kobieta, stojąca tyłem do stołu, odwróciła się, zobaczyła zwierzę i otworzyła usta, aby krzyknąć, gdy bestia skoczyła jej do gardła, powalając na ziemię. To nie był owczarek - to był wilk.

Filostrato wrzasnął i wskoczył na stół. Coś przemknęło między jego nogami, ześlizgnęło się na podłogę i wystrzeliło płową błyskawicą między nogi tłumu, wzbudzając nową falę zbiorowej paniki. Był to jakiś gatunek węża.

Z każdą chwilą w salonie przybywało coraz więcej nowych zwierząt. Ponad bezładną mieszaniną dźwięków dał się w końcu słyszeć jeden odgłos, który ci, co zachowali jeszcze zdolność rozpoznawania dźwięków, powitali z ulgą. Bum - bum - bum: ktoś taranował drzwi z drugiej strony. Były to wielkie, dwuskrzydłowe drzwi, przez które mogłaby chyba przejechać mała lokomotywa, ponieważ salon miał być imitacją jednej z sal w Wersalu. Już w drzwiach pękły dwa panele, a huk doprowadzał do szaleństwa tych, którzy stłoczyli się najbliżej, i jeszcze bardziej rozwścieczał zwierzęta. Nie zatrzymywały się, by rozszarpać i pożreć ciała ofiar, najwyżej po to, by liznąć trochę krwi. Teraz wszędzie już było mnóstwo trupów i konających, bo ludzie ginęli również tratowani przez innych. Ze wszystkich stron dobiegały rozpaczliwe okrzyki tych, którzy usiłowali porozumieć się z tymi, którzy byli na zewnątrz.

- Szybko! Szybko! Pospieszcie się!

Olbrzymi goryl wskoczył na honorowy stół i zaczął bębnić pięściami po włochatej piersi, a potem z rykiem runął w tłum.

W końcu drzwi puściły. Z ciemności wyłoniło się coś węzowatego i szarego. Zakołysało się w powietrzu, a potem zaczęło metodycznie wyłamywać potrzaskane resztki drzwi po obu stronach. Potem zniżyło się, oplotło jakiegoś mężczyznę - to był chyba Steele - i uniosło go powoli w górę. Dopiero wówczas przez otwór po wyłamanych drzwiach wkroczył do sali monstrualny, nieprawdopodobny, olbrzymi słoń. Miał małe, zagadkowe oczy i postawione sztywno uszy przywodzące na myśl skrzydła diabła. Przez chwilę stał nieruchomo, trzymając w pętli trąby wijącego się Steele'a, a potem zaryczał, rzucił go na podłogę i powoli rozdeptał. Wówczas podniósł głowę, jeszcze raz zatrąbił, zarżał chrapliwie i ruszył w głąb sali, trąbiąc i tratując - systematycznie miażdżąc ludzkie ciała jak dziewczyna rozdeptująca winogrona, ciężko, we wściekłym zapamiętaniu krocząc przez drgającą masę krwi i kości, ciał, wina, owoców i nasiąkniętych czerwienią obrusów. Mark poczuł, że ten widok wzbudza w nim coś więcej niż tylko samo przerażenie. Pełna jakiejś niewysłowionej dumy i arogancji wspaniałość tego zwierzęcia, beztroska, z jaką zabijało, zdawała się miażdżyć jego psychikę tak, jak te masywne płaskie stopy miażdżyły kobiety i mężczyzn. Oto z całą pewnością przybył król świata... A potem nagle wszystko pochłonęła ciemność i stracił przytomność.

* * *

Kiedy Pan Bultitude odzyskał zmysły, stwierdził, że znajduje się w ciemnym miejscu pełnym nieznanymi zapachów. Nie było to dla niego jakimś wielkim zaskoczeniem i nie wzbudziło w nim strachu. Przywykł do tajemnic. To, co teraz się z nim działo, nie było przygodą bardziej godną uwagi od wetknięcia głowy do jednego z pustych pokoi w w St Anne's, co czasami robił. Ogólnie rzecz biorąc, były to zapachy dość obiecujące. Rozpoznał gdzieś w pobliżu jedzenie i - co było jeszcze bardziej podniecające - samicę swojego gatunku. Wyczuwał również wiele innych zwierząt, ale to nie wzbudzało w nim większego zainteresowania. Postanowił wyjść, aby odszukać samicę i jedzenie. Wtedy właśnie odkrył, że ciemne miejsce, w którym się znalazł, otaczają z trzech stron ściany, a z czwartej krata. Nie mógł wyjść. Świadomość tego, w połączeniu z niejasną tęsknotą za ludzkim towarzystwem, do którego przywykł, wprowadziła go stopniowo w stan depresji. Zapadł w otchłań smutku tak dojmującego, jaki może znać tylko zwierzę - w toń bezbrzeżnego oceanu nieutulonej rozpacz, na którym nie kołysała się choćby najlichsza tratwa, jakiej można by się ucześcić. Pozwolił, aby w jego gardle narodził się skowyt, i na swój sposób zapłakał.

Niedaleko od niego inny więzień pogrążył się w prawie równej rozpacz. Tym więźniem był pan Maggs, siedzący w niewielkiej białej celi i przeżywający swą udrękę jak każdy prosty człowiek. W takich okolicznościach osoba wykształcona rozmyślałaby zapewne o tym, jak owa nowa idea zamiany kary na „leczenie”, tak humanitarna na pierwszy rzut oka, w rzeczywistości pozbawia skazańca wszystkich praw, a rezygnując z samego pojęcia kary, czyniła ów proces niekończącym się i nieodwracalnym. Pan Maggs myślał jednak tylko o jednym: że jest to dzień, na który liczył przez cały czas odsiadywania swojego wyroku, że oczekiwał tak długo tego dnia, aby w domu napić się herbaty z Ivy (na pewno przygotowuje coś smacznego na powitanie), i że to się nie stało. Siedział nieruchomo i cicho. Co jakieś dwie minuty pojedyncza łza spływała mu po policzku. Być może czułby się nieco lepiej, gdyby mu zostawiono paczkę papierosów.

Obu więźniów uwolnił Merlin. Opuścił salę bankietową, gdy tylko rzucił na wrogów klątwę wieży Babel. Nikt go nie zauważył. Wither usłyszał jego głos, wyrazisty i nie do zniesienia spokojny na tle gielku nonsensownego bełkotu:

- *Qui Verbum Dei contempserunt, eis auferetur etiam verbum hominis.* [Tym, którzy gardzą Słowem Bożym, odjęte zostanie i słowo ludzkie.]

Potem nie zobaczył już ani jego, ani włóczęgi. Merlin odszedł, aby zniszczyć jego dom. Uwolnił zwierzęta i ludzi. Te zwierzęta, które już okaleczono, uśmiercił siłą swej nieziemskiej mocy, tak szybko i bezboleśnie, jakby ich poraziły dobroczynne strzały Artemidy. Panu Maggowski wręczył list następującej treści:

Najdroższy Tomie, mam nadzieję, że nic Ci się nie stało, a nasz Przewodniczący to porządny człowiek i mówi, żebyś jak najszybciej przybył tu, do Dworu w St Anne's. I cokolwiek zrobisz, nie idź przez Edgestow, Tom, ale jakąś inną drogą, myślę, że Cię ktoś podwiezie. Tyle na razie. Z wyrazami miłości zawsze Twoja Ivy.

Innym więźniom Merlin pozwolił iść, gdzie zechcą. Włóczęga, dojrawszy z daleka plecy Merlina, zawahał się przez chwilę, a potem czmychnął, najpierw do kuchni, gdzie naładował sobie kieszenie jedzeniem, wreszcie w szeroki świat.

Wszystkie zwierzęta, prócz jednego osła, który zniknął w tym samym czasie, co włóczęga, Merlin posłał do salonu, oszalał od jego głosu i dotyku. Zatrzymał tylko Pana Bultitude'a. Ten rozpoznał w nim od razu czbwieka, przy którym siedział w Niebieskim Pokoju, tym razem trochę mniej miłego i przylepnego, ale niewątpliwie tego samego. Nawet bez brylantyny był w Merlinie coś, co bardzo odpowiadało niedźwiedziowi. Druid położył mu rękę na łbie i szepnął coś do ucha, a mroczna świadomość zwierzęcia wypełniła się cudownym podnieceniem: od dawna zapomniane i zakazane uciechy zostały mu przypomniane z przyzwalającą siłą. Biegł za nimi truchtem długimi, pustymi korytarzami Belbury. Myślał o ciepłym, słonym smaku, o rozkosznych oporze kości, o rzeczach, które się chrupie, wysysa i rozszarpuje.

* * *

Mark poczuł, że ktoś nim potrząsa, a w chwilę później zimna woda chlusnęła mu w twarz. Z trudem usiadł. Salon był pusty. Na podłodze leżały poszarpane martwe ciała. Nieruchome elektryczne światło spływało na ohydną mieszaninę krwi, resztek jedzenia, luksusowej zastawy i strzępów ciał.

- *Surge, miselle* [Wstań, niegodziwcze.] - rozległ się głos i czyjeś silne ręce pomogły mu wstać.

Był to rzekomy baskijski ksiądz. Mark wstał. Bolała go głowa, a na ciele miał kilka lekkich ran i potłuczeń. Mężczyzna podał mu wielki srebrny kielich pełen wina, ale Mark wzdrygnął się i odmówił bez słowa. Oszołomiony, spojrzał na nieznajomego i dostrzegł, że ten wtyka mu w rękę kartkę papieru. Odczytał:

Twoja żona oczekuje Cię we Dworze w St Anne's on the HM. Postaraj się przybyć tam jak najszybciej drogą. Nie zbliżaj się do Edgestow - A. Denniston.

Spojrzał ponownie na Merlina i pomyślał, że ta twarz jest straszna. Merlin popatrzył na niego z władczą powagą, położył mu rękę na ramieniu i popchnął lekko, a potem powiódł przez ponurą, spustoszoną salę do roztrzaskanych drzwi. Dotyk jego palców w wywoływał dziwne mrowienie. Zaprowadził Marka do szatni, gdzie gestem nakazał mu włożyć czyjś płaszcz i kapelusz. Wyszli na zewnątrz, pod usiane gwiazdami niebo. Mogła być druga w nocy. Było zimno, na niebie jarzył się zielonkawy Syriusz, a w powietrzu wirowały rzadkie płatki suchego śniegu. Mark wzdrygnął się i zatrzymał. Nagle nieznajomy uderzył go otwartą dłonią w plecy. To uderzenie Mark zapamiętał na całe życie: utrwaliło się w jego kościach, które na samo wspomnienie reagowały krótkim,

dojmującym bólem. W chwilę później biegł już tak, jakby znowu był chłopcem - nie ze strachu, po prostu nogi same go niosły. Kiedy w końcu odzyskał nad nimi kontrolę był już jakieś pół mili od Belbury. Obejrzał się i ujrzał lunę na niebie.

* * *

Wither nie został zabity w sali bankietowej. Znał dobrze wszystkie możliwe drogi ucieczki i zdołał się wymknąć jeszcze przed pojawieniem się tygrysa. Bardziej od innych zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Zauważył, że głównym sprawcą strasznego zamieszania jest baskijski ksiądz, i zrozumiał, że Belbury zostało zaatakowane przez moce potężniejsze od ludzkich. Tak pomieszać języki mógł tylko ktoś, czyja dusza dosiadała samego Merkurego. A to oznaczało coś groźnego. To oznaczało, że jego mroczni Panowie całkowicie mylili się w swoich kalkulacjach. Mówili mu o barierze, przez którą moce z Głębin Niebios nie mogą osiągnąć powierzchni Ziemi, zapewniali, że nikt i nic nie może się przedostać przez orbitę Księżyca. Cała ich strategia opierała się na przekonaniu o szczelnej blokadzie Tellusa, zdanego wyłącznie na ich i jego łaskę. Zrozumiał więc, że wszystko stracone.

Trudno uwierzyć, jak mało go to poruszyło. Przyczyna była prosta: Wither od dawna przestał wierzyć w wiedzę jako taką. To, co w jego odległej młodości było jedynie odrazą do rzeczywistości prymitywnych i wulgarnych, z roku na rok pogłębiało się i ciemniało aż do niewzruszonego odrzucenia wszystkiego, co w jakimś stopniu nie było nim samym. Przeszedł od Hegla do Hume'a, potem przez pragmatyzm, następnie przez pozytywizm logiczny, aby w końcu dojść do całkowitej próżni poznawczej. Tryb oznajmujący stał mu się zupełnie obcy. Z całego serca pragnął, by nie było żadnej rzeczywistości i żadnej prawdy. Teraz nawet bliskość własnej klęski nie mogła go obudzić. Ostatnia scena *Fausta*, gdzie bohater szaleje i błaga o przebaczenie na skraju piekła, jest, być może, nieco zbyt teatralna. Ostatnie chwile przed potępieniem nie zawsze są dramatyczne. Często człowiek wie, i to bardzo jasno, że jakiś (wciąż możliwy) akt własnej woli mógłby go jeszcze uratować. Nie potrafi jednak z tej wiedzy skorzystać. Jakaś nałogowa zmysłowość, jakaś odraza do czynu, poddanie się jakiemuś fatalnemu letargowi wydają mu się w owym momencie ważniejsze od wyboru między totalną radością a totalną destrukcją. Z szeroko otwartymi oczami, wiedząc, że stoi u progu przerażenia, które nie będzie miało końca, a jednak (jeszcze przez chwilę) niezdolny do odczuwania lęku spogląda, nie czyniąc nic, aby się ratować, podczas gdy rozrywają się ostatnie więzi łączące go z radością i rozumem, a senne spojrzenie już dostrzega sidła, w które niebawem wpadnie jego dusza. Jakże często paraliżująca senność ogarnia tych, którzy schodzą z właściwej drogi!

Straik i Filostrato też jeszcze żyli. Spotkali się w jednym z owych chłodnych, jasno oświetlonych korytarzy, tak oddalonym od sali bankietowej, że odgłosy janki były tu jedynie cichym gwarem. Filostrato miał poszarpaną prawą rękę. Nie starali się porozumieć - obaj wiedzieli, że to bezcelowe - szli w milczeniu ramię w ramię. Filostrato zamierzał obejść cały budynek, aby dostać się do garażu na tyłach; sądził, że będzie w stanie poprowadzić samochód, przynajmniej do Sterk.

Doszli do załamania korytarza i zobaczyli coś, czego już nigdy nie spodziewali się zobaczyć: wicedyrektora sunącego jak zwykle ze zgarbionymi plecami i nucącego pod nosem swoją posępną melodię. Filostrato nie miał ochoty mu towarzyszyć, lecz Wither, jakby dostrzegł jego ciężko zranioną rękę, zaoferował mu ramię. Filostrato spróbował odmówić, lecz z jego ust popłynęły tylko nonsensowne sylaby. Wither uchwycił go mocno pod lewe ramię, Straik złapał z drugiej strony. Jęcząc i wijąc się z bólu, Filostrato musiał pójść z nimi. Czekały go jeszcze gorsze przeżycia. Nie

należał do wtajemniczonych i nie miał pojęcia o ciemnych eldilahach. Wierzył, że to jego sprawność zawodowa utrzymuje przy życiu mózg Alcasana. Dlatego, mimo straszego bólu, zawył z przerażenia, gdy spostrzegł, że tamci ciągną go przez komorę wstępną do komory Głowy, lekceważąc przy tym wszystkie antyseptyczne zabiegi, do których on zawsze zmuszał swoich uczonych kolegów. Bezskutecznie próbował im wyjaśnić, że jedna chwila takiej lekkomyślności może zniszczyć całą jego dotychczasową pracę. Tym razem zaczęli się rozbierać już w komorze Głowy. Zdjęli z siebie wszystko.

Z niego też zdarli ubranie. Gdy prawy rękaw marynarki, sztywny od krwi, nie chciał zejść, Wither przyniósł z komory wstępnej nóż i odciął go. W końcu wszyscy trzej stanęli nadzy przed Głową - wychudły, grubokościsty Straik, przypominający roztrzęsioną górę tłuszczu Filostrato i Wither, chodząca obsceniczna demencja. Wówczas Filostrato znalazł się na krawędzi ostatecznego przerażenia, które miało mu odtańd towarzyszyć aż do końca. Stało się to, co zawsze uważał za niemożliwe. Nikt nie odczytał wskaźników, nikt nie wyrównał ciśnienia, nie otworzył dopływu powietrza i sztucznej śliny. A jednak z wyschłych ust głowy martwego człowieka wydobyły się słowa.

- Oddajcie mi cześć! - powiedziała Głowa.

Filostrato poczuł, że towarzysze zmuszają go do ruchu: do przodu, do góry, do przodu, w dół. Podskakiwał i przyginał się rytmicznie razem z nimi w jakimś upiornym tańcu. Jedną z ostatnich rzeczy, jakie zobaczył w życiu, były fałdy na szyi Witherera, trzęsące się jak korale na szyi indyka, a jednym z ostatnich dźwięków, jakie usłyszał, był śpiew Witherera, do którego wkrótce dołączył się Straik. A potem, ku swemu przerażeniu, stwierdził, że śpiewa razem z nimi:

Auroborindra!

Auroborindra!

Auroborindra ba-ba-hii!

Nie trwało to jednak długo.

- Jeszcze jedną - powiedział głos. - Dajcie mi jeszcze jedną głowę.

Filostrato natychmiast zrozumiał, dlaczego pchają go do pewnego miejsca w ścianie. Sam to przecież wymyślił. Za dwuskrzydłowymi drzwiczkami było okienko, w którym - zamiast podnoszonej pionowo ramy z szybą - tkwiło szerokie, ciężkie ostrze. Ale przecież tej małej gilotyny nie powinno się używać w ten sposób! Nie tak! Chcą go zamordować bezsensownie, nienaukowo! Gdyby on sam robił to z jednym z nich, wszystko wyglądałoby inaczej: wszystko byłoby przygotowane poprzedniego dnia, temperatura obu pomieszczeń właściwie dobrana, ostrze wysterylizowane, przewody gotowe tuż przed odłączeniem głowy. Obliczył nawet, jakie zmiany w ciśnieniu krwi dawcy wywoła spodziewany wzrost przerażenia; należało to uwzględnić, sterując wymuszonym przepływem krwi tak, aby dokonywał się on równomiernie, bez najmniejszych wahań wskaźnika pompy.

Ostatnią jego myślą było to, że nie docenił stopnia przerażenia dawcy.

Dwaj wtajemniczeni, ochlapani krwią od stóp do głów, wpatrywali się w siebie, dysząc ciężko. Zanim tłuste nogi i pośladki Włocha przestały dygotać, obaj podjęli rytualny taniec.

Auroborindra!

Auroborindra!

Auroborindra ba-ba-hii!

Ta sama myśl przyszła im do głowy jednocześnie: „Zaraz zażąda nowej głowy”. Straik pamiętał, że Wither ma nóż. Straszliwym wysiłkiem uwolnił się od rządzącego jego ciałem rytmu, w piersiach poczuł ból, jakby je od wewnątrz rozrywały stalowe kleszcze. Rzucił się do drzwi. Zdołał wpaść do komory wstępnej, lecz tam poślizgnął się na krwi Filostrata i to wystarczyło, aby Wither go dopadł, dźgając nożem. Nie miał siły przebić mu karku, ale ciosy w plecy były dostatecznie głębokie. Wyprostował się dręczony tęnym bólem starczego serca. Dostrzegł głowę Filostrata leżącą na podłodze. Przyszło mu na myśl, że powinien pokazać ją Głowie. Podniósł ją i przeszedł do głównej komory, a wówczas uświadomił sobie, że w pomieszczeniu, które dopiero opuścił, coś się poruszyło. Czyżby nie zamknęli za sobą zewnętrznych drzwi? Nie mógł sobie przypomnieć. Weszli tu, wciągając między sobą Filostrata... może... wszystko było takie nienaturalne... Odłożył głowę Filostrata - prawie uprzejmie, nawet w takiej chwili - i zaczął się skradać do drzwi łączących obie komory. I nagle rzucił się do tyłu. W przejściu zobaczył olbrzymiego niedźwiedzia, który na jego widok stanął na tylnych łapach, z otwartym pyskiem i płonącymi ślepiami, z przednimi łapami wyciągniętymi do niego jakby do powitalnego uścisku. Czy to ostatnia postać, w jaką przemienił się Straik? Wither wiedział (choć teraz nie potrafił się tym przejąć), że znajduje się na samej granicy świata, w którym takie rzeczy są możliwe.

* * *

Jedyną osobą w Belbury, która tego wieczoru zachowała trzeźwość umysłu, był Feverstone. Nie był ani wtajemniczonym jak Wither, ani naiwną ofiarą jak Filostrato. Wiedział o makrobach, lecz te sprawy nie bardzo go interesowały. Wiedział, że to, co w Belbury zaplanowano, może się nie powieść, ale wiedział też, że gdyby tak się stało, zdąży stamtąd uciec. Miał przygotowane wiele wariantów odejścia. Nie dręczyły go żadne wyrzuty sumienia i nie bawił się w żadne sztuczki ze swoją samoświadomością. Nigdy nie posuwał się do oszczerstw wobec innych, chyba że chodziło o jego własną posadę, nigdy nie oszukiwał, chyba że chodziło o pieniądze, nigdy nie pogardzał ludźmi, chyba że go nudzili. Dość wcześnie się zorientował, że wydarzenia przybierają zły obrót. Trzeba było tylko ocenić, jak dalece zły. Czy oznaczało to koniec Belbury? Jeśli tak, to powinien wrócić do Edgestow i oficjalnie zająć pozycję, którą sobie już wcześniej przygotował - pozycję obrońcy uniwersytetu przed zakusami NIBS-u. Z drugiej strony, gdyby istniała jeszcze jakaś szansa odegrania roli człowieka, który uratował Belbury w momencie groźnego kryzysu, dałoby mu to niewątpliwie lepszą pozycję. Postanowił zwlekać z decyzją tak długo, jak będzie to bezpieczne. I czekał długo. Znalazł okienko, przez które z korytarza kuchennego podawano gorące dania do sali jadalnej, przeszedł przez nie i spokojnie obserwował to, co działo się wewnątrz. Nerwy miał jak ze stali i był pewny, że zdąży pociągnąć i zamknąć drzwiczki, gdyby jakieś niebezpieczne zwierzę zbliżyło się do okienka. Stał tam, obserwując masakrę na sali, z czymś w rodzaju uśmiechu na twarzy, paląc papierosy jeden po drugim i bębniąc palcami po parapecie. Kiedy już było po wszystkim, powiedział do siebie: „A niech to diabli!” Z całą pewnością był świadkiem wydarzeń niezwykłych.

Wszystkie zwierzęta gdzieś się pochowały. Wiedział, że może się natknąć na któreś w korytarzach, ale musiał zaryzykować. Niebezpieczeństwo - zwłaszcza umiarkowane - działało na niego pokrzepiająco. Udał się na tyły domu, do garażu, bo wyglądało na to, że musi natychmiast dostać się do Edgestow. Samochodów było o wiele mniej, niż oczekiwał, a swojego nie znalazł. Najwidoczniej wielu gości wpadło na rozsądny pomysł opuszczenia Belbury, kiedy to jeszcze było możliwe. Bez żadnych skrupułów zaczął się rozglądać za jakimś innym wozem tej samej marki. W końcu znalazł i po dłuższym czasie zdołał uruchomić. Noc była zimna, pomyślał nawet, że pewnie

zaraz zacznie padać śnieg. Po raz pierwszy tej nocy nachmurzył się; nienawidził śniegu. Było parę minut po drugiej.

Miał już ruszyć, gdy doznał dziwnego uczucia, że ktoś jest w wozie za jego plecami.

- Kto tu jest? - zapytał ostrym tonem.

Postanowił wysiąść i sprawdzić, lecz ze zdumieniem przekonał się, że jego ciało nie wykonało polecenia - zamiast tego wyprowadziło samochód z garażu i skierowało na drogę. Teraz śnieg rzeczywiście padał. Stwierdził, że nie może obrócić głowy ani zatrzymać samochodu. Jechał bardzo szybko, stanowczo za szybko w tym cholernym śniegu. Nie miał jednak wyboru. Często słyszał, że można prowadzić samochód z tylnego siedzenia i wyglądało na to, że teraz coś takiego się dzieje. Potem zauważył, że zjeżdża z drogi. Nie tracąc ani trochę szybkości, wóz podskakiwał na czymś, co okoliczni mieszkańcy nazywali Gipsy Lane, a ludzie bardziej wykształceni Wayland Street, a co w rzeczywistości było starą rzymską drogą prowadzącą z Belbury do Edgestow, zarosniętą trawą i pełną wybojów. „Co ja, do diabła, robię?“, myślał. „Może jestem zalany? Złamię kark, jeśli nie będę uważał!“ Ale samochód pędził dalej, jakby go prowadził ktoś, kto uważał ten zabytkowy trakt za wyśmienitą szosę i jedyną oczywistą drogę do Edgestow.

* * *

Frost opuścił salę jadalną kilka minut po Witherze. Nie bardzo wiedział, dokąd pójść i co ze sobą zrobić. Przez wiele lat wierzył w teorię, że wszystko, co pojawia się w umyśle jako motyw lub intencja, jest tylko produktem ubocznym tego, co robi ciało. W ciągu ostatniego roku - od czasu swojego wtajemniczenia - zaczął jednak rzeczywiście przeżywać to, co uprzednio wydawało mu się tylko teorią. Jego działania w coraz większym i większym stopniu pozbawione były motywów. Robił to i tamto, mówił tak a tak, nie wiedząc zupełnie dlaczego. Jego umysł stał się jedynie widzem. Przestał zresztą rozumieć, dlaczego ów widz w ogóle istnieje. Miał mu za złe to istnienie, chociaż wciąż utwierdzał się w przekonaniu, że takie uczucie jest również jedynie zjawiskiem chemicznym. Uczuciem najbliższym ludzkiemu była zimna wściekłość i pogarda wobec wszystkich, którzy pokładali wiarę w ludzkim umyśle. Nie było w nim przyzwolenia na taką iluzję. Nie ma i nie powinno być czegoś takiego jak ludzie. Lecz jeszcze nigdy, aż do tego wieczoru, nie odczuł tak dojmująco, że jedyną rzeczywistością jest ciało i jego ruchy, że jaźń zdająca się obserwować ciało opuszczające salę bankietową i zmierzające do komory Głowy, w rzeczywistości nie istnieje.

Tak więc Frost, którego egzystencji sam Frost zaprzeczał, obserwował swoje ciało, jak weszło do pierwszego pomieszczenia w komorze Głowy i wzdrygnęło się na widok nagiego, zakrwawionego ciała. Zaszła w nim reakcja chemiczna nazywana szokiem. Frost pochylił się, odwrócił ciało i rozpoznał Straika. W chwilę później jego binokle i zaostrzona bródka skierowały się w stronę komory Głowy. Nie zainteresowały go trupy Witherera i Filostrata. Jego uwagę skupiło coś poważniejszego. Konsola, na której zwykle tkwiła Głowa, była pusta, metalowy pierścień powyginany, a gumowe przewody poplątane i pozrywane. Potem dostrzegł na podłodze ludzką głowę. Nachylił się, zbadał ją i stwierdził, że to głowa Filostrata. Nie było jednak śladów głowy Alcasana, chyba że mogły nimi być jakieś ohydne szczątki pokrwawionych kości opodal czaszki Włocha.

Wciąż nie zastanawiając się, co powinien zrobić i dlaczego, Frost skierował się do garażu. Wszędzie było pusto i cicho, na zewnątrz śnieg pokrywał już błonia grubą warstwą. Wszedł z garażu, dźwigając bańki z benzyną. W Obiektywnym Pokoju zgromadził możliwie najwięcej łatwopalnych przedmiotów. Zamknął zewnętrzne drzwi na klucz. Coś zmusiło go do wyjęcia klucza

z zamka i włożenia w otwór w drzwiach służący do porozumiewania się głosem. Popchnął klucz palcem tak daleko, że nie mógł już go dosięgnąć, a potem wyjął z kieszeni ołówek i popychał nim klucz jeszcze dalej, aż usłyszał, jak upada na podłogę z tamtej strony. Niepokonana iluzja, jego świadomość, jęczała w żalnym proteście, lecz ciało nie zwracało na to uwagi. Jak nakręcana lalka jego ciało - sztywne i zimne - wróciło na środek Obiektywnego Pokoju, rozlało benzynę, zapaliło zapalniczkę i rzuciło ją na zgromadzony uprzednio stos. Aż do tej chwili jego dysponenty nie pozwolili mu podejrzewać, że nawet śmierć może nie uleczyć człowieka z iluzji, jaką jest świadomość posiadania duszy - ba, może nawet się okazać bramą do świata, w którym iluzja szaleje wiecznie, w którym iluzji nic już nie jest w stanie pohamować. Jeśli nawet jego ciało było już stracone, to jednak jego duszy pozostawiono jeszcze możliwość ucieczki. Był teraz w stanie zrozumieć (i natychmiast to odrzucił), że mylił się od samego początku. Był w stanie wiedzieć, że naprawdę istnieje dusza i osobista odpowiedzialność. Niewiele już rozumiał - całym sobą nienawidził. Męka ognia nie była tak straszna jak nienawiść wobec tego, że płonął. Ostatnim, najwyższym wysiłkiem rzucił się z powrotem w swą iluzję. W tym samym momencie pochłonęła go wieczność, podobnie jak w starych bajkach pierwsze promienie słońca pochłaniają takie istoty, zamieniając je na zawsze w kamień.

Rozdział 17

Wenus w St Anne's

Szary świt zastał Marka pokonującego najwyższe wzniesienie w drodze do St Anne's. Na białej, wciąż pustej drodze widniały tu i tam czyjeś ślady, to ludzkie, to jakiegoś ptaka lub królika, bo śnieżna zadymka zamierała, choć w powietrzu wciąż wirowały płatki śniegu, teraz już większe i mniej dokuczliwe. Wielka ciężarówka, czarna i ciepła w tym krajobrazie, zatrzymała się tuż obok niego.

- Hej, koleś, walisz do Birmingham? - zapytał kierowca, wychylając głowę z szoferki.

- Ogólnie się zgadza - odrzekł Mark. - W każdym razie do St Anne's.

- A gdzie to jest?

- Na wzgórzu, za Pennington.

- Aha. Mogę cię podwieźć do zakrętu. Będziesz miał trochę bliżej.

Mark wsiadł do kabiny z drugiej strony.

Było już całkiem jasno, gdy kierowca wysadził go na zakręcie, przy małej gospodzie. Śnieg pokrywał już wszystko i wciąż padał. Było niezwykle cicho. Mark wstąpił do gospody, gdzie powitała go uprzejma starsza kobieta. Wziął gorącą kąpiel, zjadł świetne śniadanie i zapadł w drzemkę w fotelu przed miło huczącym kominkiem. Obudził się o czwartej. Ocenił, że do St Anne's jest zaledwie parę mil, i postanowił przed wyjściem napić się herbaty. Za namową gospodyni zjadł do herbaty gotowane jajko. Dwie półki w małym salonie wypełnione były oprawionymi rocznikami tygodnika „The Strand”. W jednym znalazł powieść dla dzieci w odcinkach, którą zaczął czytać jako dziecko, ale przerwał w połowie, kiedy skończył dziesięć lat, bo uznał, że wstydem jest czytać takie rzeczy w tym wieku. Teraz przerzucał szybko strony oprawionego rocznika, żeby ją dokończyć. Była naprawdę dobra. Powieści dla dorosłych, które zaczął czytać po swoich dziesiątych urodzinach, teraz wydały mu się jakies głupie. No, może z wyjątkiem *Sherlocka Holmesa*. „Chyba trzeba ruszać w drogę, i to zaraz”, powiedział do siebie.

Brak entuzjazmu, z jakim o tym myślał, nie wynikał z fizycznej słabości, przeciwnie, czuł się zupełnie wypoczęty. Prawdę mówiąc, tak dobrze nie czuł się już od kilku tygodni. Źródłem jego niechęci był pewnego rodzaju wstyd. Miał się spotkać z Jane, z Dennistonem i (prawdopodobnie) z Dimble'ami. Miał się spotkać z Jane w środowisku, które stało się (tak to teraz odczuwał) jej właściwym światem. Jej światem - ale nie jego. I pomyślał, że przez całe życie tak gorliwie pragnął dostać się do jakiegoś kręgu wtajemniczonych, a wybrał nie ten krąg. Jane do niego należała. Miał zostać przyjęty tylko z czystej uprzejmości, tylko dlatego, że Jane była na tyle głupia, by za niego wyjść. Nie czuł żalu, czuł wstyd. Ujrzał siebie samego takim, jakim musi być w oczach członków tego nowego kręgu - jeszcze jednym prostakiem w rodzaju tych wszystkich Steele'ów i Cosserów, lęklwym, wyrachowanym i pozbawionym uczuć nudziarzem i miernotą. Zaczął się zastanawiać, dlaczego taki jest. Dlaczego inni ludzie - tacy jak Denniston czy Dimble - z taką łatwością niespiesznie chodzą sobie po świecie, zrelaksowani, beztroskim spojrzeniem ogarniając horyzont, tryskając fantazją i humorem, wyczuleni na piękno, a nie są wiecznie spięci, nie mają się wiecznie na baczności? I w ogóle tego nie potrzebowali. W czym tkwi sekret tego wspaniałego, niewymuszonego śmiechu, którego w żaden sposób nie da się naśladować? Różnili się od niego pod każdym względem. Nawet siedząc w fotelu, manifestowali - ułożeniem ciała, ruchami - jakąś pańską wyższość, jakąś powolność czy ociężałość lwów. Mieli wokół siebie wolną przestrzeń. To były kiery - on był tylko pikiem. Ale przecież musi spróbować, musi się do nich zbliżyć... Naturalnie Jane jest kierem. Musi zgodzić się na jej wolność.

Byłoby niesprawiedliwe sądzić, że jego miłość do Jane miała charakter głównie zmysłowy. Miłość, jak mówi Platon, jest córką braku. Ciało Marka знаło swoje braki lepiej niż jego umysł. Zmysłowe pożądanie było wykładnikiem czegoś, czego mu brakowało, a co Jane miała mu do ofiarowania. Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w wyschłym i zakurzonej świecie jego umysłu, była czymś w rodzaju wiosennej ulewy. Otwierając się na nią, nie popełnił błędu. Pomylił się tylko w przekonaniu, że małżeństwo - samo w sobie - dało mu władzę lub tytuł do przywłaszczenia sobie tej świeżości. Teraz zrozumiał, iż równie dobrze można by mniemać, że nabywa się na własność zachód słońca, kupując pole, z którego jest widoczny.

Przywołał dzwoniem właścicielkę gospody i poprosił o rachunek.

* * *

Tego samego popołudnia Mama Dimble i trzy dziewczęta przebywały w wielkim pokoju zajmującym prawie całe najwyższe piętro Dworu, który Przewodniczący nazywał Garderobą. Gdyby ktoś zajrzał do tego pokoju przez uchylone drzwi, odniósłby zapewne wrażenie, że cztery panie buszują w jakimś bajecznym, tropikalnym lesie mieniącym się żywymi kolorami. A potem mógłby pomyśleć, że są w jednej z górnych sal jakiegoś wielkiego sklepu, gdzie stoją zrolowane dywany, a z sufitu zwieszają się bogate tkaniny, sprawiając wrażenie jedynej w swoim rodzaju puszczy. Bo w rzeczy samej mieściła się tu wielka kolekcja wspaniałych, uroczystych sukien, wiszących - każda oddzielnie - na drewnianych kolumnkach.

- W tej wyglądałabyś cudownie, Ivy - powiedziała Mama Dimble, unosząc jedną ręką fałdy soczycie zielonej sukni, ozdobionej misternymi złotymi spiralami. - No co, Ivy, nie podoba ci się?

Chyba nie zamartwiasz się wciąż o Toma? Czy Przewodniczący ci nie powiedział, że Tom znajdzie się tu jeszcze tej nocy albo najpóźniej jutro w południe?

Ivy spojrzała na nią ponuro.

- Nie o to chodzi - odparła. - Gdzie będzie sam Przewodniczący?

- Przecież nie możemy go tu zatrzymać, Ivy - odezwała się Camilla. - Nie widzisz, że wciąż cierpi? Zrobi to, co miał zrobić... jeżeli wszystko się uda w Edgestow.

- Bardzo tęskni za Perelandrą - powiedziała Mama Dimble. - To coś takiego, jak tęsknota za domem... Zawsze, zawsze... Widzę to w jego oczach.

- Czy ten cały Merlin jeszcze tu wróci? - zapytała Ivy.

- Chyba nie - odrzekła Jane. - Myślę, że i Przewodniczący tego nie oczekuje. No i jeszcze mój sen tej nocy... To wyglądało, jakby był w ogniu... To znaczy, nie płonął, rozumiecie, ale cały był skąpany w świetle, jakby różne rodzaje promieni o niesamowitych barwach wystrzelały z niego i pelzały po jego ciele. To była moja ostatnia wizja: Merlin stojący nieruchomo jak kolumna, a wokół niego to wszystko, ta jasność... I można było poznać po jego twarzy, że jest u kresu wyczerpania, że ledwo żyje, że rozpadnie się na kawałki, gdy tylko te niebiańskie potęgi pozwolą mu odejść.

- Słuchajcie, przecież miałyśmy sobie wybrać suknie na dzisiejszy wieczór.

- Z czego to może być? - zapytała Camilla, macając i wachając zieloną opończę.

Rzeczywiście, niełatwo było odpowiedzieć na to pytanie. Tkanina nie była przezroczysta, a jednak w jej bogatych fałdach gnieździły się najróżniejsze odmiany światła i cieni, a przelewała się przez palce Camilli jak struga wody. Ivy zainteresowała się suknią.

- Ojej! - zawołała. - Ile metrów musiało na to pójść!

- Poczekaj - powiedziała Mama Dimble i narzuciła na nią zwiewną suknię. - Och! Naprawdę, gdybyś się zobaczyła!...

Wszystkie trzy wpatrywały się w Ivy ze zdumieniem i zachwytem. Z jej postaci i twarzy nie

znikło pospolite pochodzenie, lecz suknia jakby je uszlachetniła, tak jak wielki kompozytor bierze ludową melodię i wplata w nią swoją symfonię; podrzuca ją jak piłkę, czyni z niej coś cudownego, a jednak zachowuje jej melodię nieskażoną. Stała przed nimi „zuchwała czarodziejka” lub „zwinna driada”, promienista, lotna, żywa - a jednak wciąż rozpoznawały w niej Ivy Maggs.

- Ach, ci mężczyźni! - zawołała Mama Dimble. - W tym pokoju nie ma ani jednego lustra.

- Zdaje się, że nie mamy się oglądać w lustrze - powiedziała Jane. - Przewodniczący mówił, że wystarczy, jak będziemy lustrami jedna dla drugiej.

- Chciałabym tylko zobaczyć, jak wyglądam z tyłu - powiedziała Ivy.

- Teraz ty, Camillo - rzekła Mama Dimble. - Z tobą to całkiem proste. Ta jest oczywiście dla ciebie.

- Och, myślisz o tej?

- Ależ tak! - zawołała Jane.

- Będzie ci w niej cudownie - dodała Ivy.

Była to długa, powłóczysta suknia z tkaniny przypominającej barwą stal, lecz w dotyku delikatnej jak piana. Przylegała do bioder, a na dole kończyła się luźnym trenem. „Wygląda w niej jak rusalka”, pomyślała Jane, a potem: „Jak Walkiria”.

- Chyba powinnaś mieć do niej diadem - powiedziała Mama Dimble.

- Czy nie byłoby jednak lepiej...

Ale Mama Dimble już znalazła diadem, który wkładała na jej głowę. Wspólny wszystkim kobietom szacunek do klejnotów (nie należy sądzić, że jego źródłem jest zawsze wartość pieniężna) uciszył je na chwilę. Wydawało im się, że takich diamentów nie ma w całej Anglii. Ich przepych był wprost niewiarygodny, bajeczny.

- Na co się tak wszystkie gapicie? - zapytała Camilla, która zdążyła uchwycić tylko jeden błysk, gdy Mama Dimble wkładała jej diadem na głowę, i nie wiedziała, że cała jej postać jaśnieje teraz jak „gwiazda pośród łupów z prowincji”.

- Są prawdziwe? - zapytała Ivy.

- Mamo Dimble, skąd one pochodzą? - zapytała Jane.

- Skarby Logresu, moje kochane, skarby Logresu - odpowiedziała pani Dimble. - Może spoza Księżyca, a może sprzed potopu. A teraz Jane.

Jane nie potrafiła dostrzec nic nadzwyczajnego w sukni, którą dla niej wybrały. Niebieski rzeczywiście był jej kolorem, ale myślała raczej o czymś bardziej surowym i dodającym powagi, a tę suknię nazwałaby „trochę zbyt strojną”. Kiedy jednak wszystkie aż zaklaskały, poddała się. Nie przyszło jej do głowy, aby postąpić inaczej, a chwilę później, gdy podniecone zaczęły szukać czegoś dla Mamy Dimble, cała sprawa uległa zapomnieniu.

- Tylko coś spokojnego - powiedziała Mama Dimble. - Jestem stara i nie chcę wyglądać śmiesznie.

- Ta by w ogóle nie pasowała - mówiła Camilla, przebiegając jak meteor wzdłuż długiego rzędu tych wszystkich wspaniałości mieniących się barwami fioletu, złota, szkarłatu, białego śniegu i nie dającego się określić jednym słowem opalu, wzdłuż futer, jedwabów, aksamitów, taft i brokatów. - Ta jest śliczna, ale nie dla ciebie. Ale... och! Spójrzcie na tę! Ale nie... Nic nie widzę...

- Och, chodźcie tu i zobaczcie! Szybko! - zawołała Ivy, jakby się bała, że jej odkrycie gdzieś zniknie, jeśli wszystkie go nie zobaczą.

- Tak, tak! Tylko ta! - zgodziła się Jane.

- Ależ oczywiście! - potwierdziła Camilla.

- Włóż ją, Mamo Dimble - powiedziała Ivy. - Nie sprzeciwiaj się, masz ją włożyć i już.

Suknia miała prawie taki sam agresywnie pmbienisty kolor jak ta, którą Jane widziała w

swoim śnie w Stróżówce, ale była inaczej skrojona, z futrzaną lamówką wokół dekoltu, długimi rękawami i zwieszającymi się z nich draperiami, z kapturem zakończonym kilkoma ostrymi szpicami. Kiedy pani Dimble ją włożyła i spięła pod szyją wielką miedzianą broszą, wszystkie wpatrzyły się w nią ze zdumieniem. Bo oto stała przed nimi już nie typowa prowincjuszka, nie zacna, bezpłodna, starsza pani z siwymi włosami i podwójnym podbródkiem, lecz kapłanka, sybilla, służka jakiejś prahistorycznej bogini płodności - pradawna plemienna matrona, matka matek, uroczysta, dostojna i groźna. Długie berło z wyrzeźbionym wokół niego węzem było najwyraźniej częścią tego stroju, więc zmusiły ją, by wzięła je do ręki.

- Czy wyglądam strasznie? - zapytała Mama Dimble, widząc ich zmienione twarze.

- Wyglądasz cudownie - powiedziała Ivy.

- Tak, ta pasuje idealnie - powiedziała Camilla.

Jane schwyciła jej rękę i ucałowała.

- Kochana - powiedziała - wyglądasz naprawdę strasznie, ale w dawnym znaczeniu tego słowa.

- A w co się ubiorą mężczyźni? - zapytała nagle Camilla.

- Już sobie ich wyobrażam w takich fantastycznych strojach - powiedziała Ivy. - I jak w nich gotują, nakrywają i podają do stołu. W każdym razie, jeśli to ma być nasz ostatni wieczór, to chyba musimy się jednak wziąć do robienia kolacji. Oni niech się zajmą winem. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co by zrobili z gęsiami, bo mogę się założyć, że pan MacPhee nigdy w życiu nie upiekł żadnego ptaka, choćby nie wiem co mówił.

- Ale ostryg chyba nie zepsują - zauważyła Camilla.

- Racja. Ani puddingu śliwkowego. Ale ja bym wolała zejść na dół i rzucić okiem na to wszystko.

- Nie radzę - powiedziała ze śmiechem Jane. - Wiesz, jaki on jest, kiedy ma dyżur w kuchni.

- Jego się nie boję - odrzekła Ivy i prawie pokazała język.

W sukni, którą teraz miała na sobie, taki gest byłby całkowicie nie na miejscu.

- Nie musicie się tak troszczyć o kolację, moje kochane - powiedziała Mama Dimble. - Zobaczycie, że MacPhee zrobi to znakomicie. Pod warunkiem, że on i mój mąż nie wdadzą się w jakieś filozoficzne spory, kiedy będą mieli podawać. Nacieszmy się sukniami. Och, jak tu ciepło!

- Cudownie! - dodała Ivy.

W tym momencie cały pokój zadygotał - O Boże, co to było? - zawołała Jane.

- Gdyby wojna wciąż trwała, powiedziałabym, że to bomba - odrzekła Ivy.

- Chodźcie tu i popatrzcie - powiedziała Camilla, która opanowała się szybciej od swoich towarzyszek i teraz stała w oknie wychodzącym na zachód, na dolinę rzeki Wynd. - Och, popatrzcie! - powtórzyła. - Nie, to nie pożar. I nie reflektory. I chyba nie rozdwojona błyskawica. Ojej! Jeszcze jeden wstrząs. A tam... Popatrzcie tam! Tam, za kościołem, jasno jak w dzień! Co ja mówię, przecież jest dopiero trzecia. Tam jest jaśniej niż w dzień. I to gorąco!

- Zaczęło się - powiedziała Mama Dimble.

* * *

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Mark złapał ciężarówkę, Feverstone wy dostał się ze skradzionego samochodu. Nie odniósł poważniejszych obrażeń, ale wciąż był oszołomiony. Samochód leżał kołami do góry w głębokim rowie i Feverstone, który zawsze szukał we wszystkim jasnych stron, pomyślał, że mogło być gorzej - mógł to być jego własny samochód. Rów był pełen śniegu, a on sam miał przemoczone ubranie. Kiedy podniósł się i rozejrzał, spostrzegł, że nie jest sam. Kilka metrów przed nim stał wysoki, barczysty mężczyzna w czarnym

surducie. Był odwrócony plecami i właśnie zaczynał odchodzić.

- Hej! - zawołał Feverstone.

Tamten odwrócił głowę i popatrzył na niego bez słowa, a potem ruszył dalej. Feverstone natychmiast poczuł, że to nie jest ktoś, kogo chciałby tu spotkać, przeciwnie, jego wygląd bardzo mu się nie podobał. Zresztą nawet gdyby chciał, to i tak by go nie dogonił w swoich rozerwanych, przemoczonych lakierkach, bo nieznajomy oddalał się wielkimi krokami, mając na nogach wysokie buty. Czarna postać zbliżyła się do bramy w polnym ogrodzeniu, przystanęła i wydała z siebie kilka dziwnych dźwięków przypominających rzenie, jakby porozumiewała się z koniem stojącym po drugiej stronie ogrodzenia. W następnej chwili (Feverstone nie zdołał dostrzec, jak to się właściwie stało) mężczyzna przesadził bramę i znalazł się na grzbiecie konia, który popędził galopem przez rozległe, mlecznobiałe pole podchodzące aż do horyzontu.

Feverstone nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Było oczywiste, że przede wszystkim powinien znaleźć jakąś drogę. Zajął mu to o wiele więcej czasu, niż się spodziewał. Zrobiło się cieplej i raz po raz wpadał w głębokie kałuże ukryte pod śniegiem. U podnóża pierwszego wzniesienia natrafił na takie mokradło, że musiał opuścić trakt i próbować drogi na przełaj, przez pola. Ta decyzja okazała się fatalna w skutkach. Co najmniej dwie godziny błądził po polach, wyszukując dziur w żywopłotach i wypatrując czegoś, co by przypominało drogę, lecz za każdym razem stwierdzał swoją pomyłkę. Zawsze nienawidził wsi, nie znosił brzydkiej pogody i nigdy nie widział niczego przyjemnego w pieszych wędrówkach.

Okolo południa znalazł wreszcie jakąś drogę bez znaków drogowych, która go doprowadziła do szosy. Dzięki Bogu panował na niej dość ożywiony ruch pieszy i samochodowy, choć tylko w jednym kierunku. Kierowcy pierwszych trzech samochodów nie zareagowali na jego znaki. Zatrzymał się dopiero czwarty.

- Właż pan, szybko! - zawołał kierowca.

- Jedzie pan do Edgestow? - zapytał Feverstone z ręką na klamce.

- O Boże, nie! - odpowiedział tamten. - Tam jest Edgestow! - wskazał za siebie. - Jeśli naprawdę chce pan tam iść!

Wyglądał na zaskoczonego i przerażonego.

Nie pozostawało więc nic innego jak wyruszyć na piechotę. Wszystkie pojazdy jechały w przeciwną stronę, ani jeden nie zdążył do Edgestow. Feverstone był tym nieco zaskoczony. Wiedział, rzecz jasna, o zbiorowym exodusie (częścią jego planu było zresztą pozbycie się wszystkich mieszkańców z Edgestow), ale sądził, że już to się stało. A oto przez całe popołudnie, gdy brnął przez rozmokły, rozdeptany śnieg, uciekinierzy wciąż go mijali. Nie dysponujemy, oczywiście, żadną bezpośrednią relacją z tego, co stało się w Edgestow tego wieczoru, krąży jednak wiele opowieści o decyzjach ludzi w ostatnich godzinach poprzedzających tragedię. Przez kilka tygodni takie opowieści wypełniały szpalty gazet i przez kilka miesięcy były tematem prywatnych rozmów, a w końcu i dowcipów. „Nie, nie chcę słyseć o tym, jak wydostałeś się z Edgestow” - często powtarzano. Nawet uwzględniając normalną w takich wypadkach skłonność do przesady, nie ulega wątpliwości, że zaskakująco duża liczba mieszkańców postanowiła w ostatniej chwili opuścić miasto. Ktoś otrzymał wiadomość od umierającego ojca, inny podjął nagłą decyzję (nie potrafiąc powiedzieć dlaczego) wyjazdu na urlop, ktoś inny wyjechał, bo popękały mu rury wodociągowe i doszedł do wniosku, że dobrze by było zmienić miejsce pobytu, dopóki nie zostaną naprawione. Sporo ludzi popchnęło do wyjazdu jakieś błahe wydarzenie, które wydało się im ostrzegawczym znakiem: sen, stłuczony wazon, układ fusów w filiżance. Są też świadectwa ostrzeżeń nieco bardziej staroświeckich. Ktoś usłyszał głos swego osła, ktoś inny kota, mówiących po ludzku: „Jaaazda! Jaaaz-da!” i „Nawieewaj!” Setki ludzi opuściły miasto z bardziej

umotywowanych, wcześniejszych powodów: zniszczono im domy, a ich prawa obywatelskie zostały zagrożone przez samowolę policji NIBS-u.

Około czwartej po południu jakaś siła rzuciła Feverstone'a twarzą w błoto. Był to pierwszy wstrząs. W ciągu następnych godzin wstrząsy powtarzały się z coraz większą częstotliwością. Powłoka ziemi drżała, wybrzuszała się, zewsząd dochodził głuchy, narastający pomruk potężnych tąpnięć skalnych warstw. Robiło się coraz cieplej. Śnieg topniał szybko; od czasu do czasu Feverstone szedł po kolana w wodzie. Wilgoć zamieniała się w ciepłą parę. Kiedy dotarł do szczytu ostatniego przed Edgestow wzniesienia, nie mógł dostrzec miasta: dolinę wypełniała gęsta mgła rozświetlana niezwykle błyskami. Kolejny wstrząs powalił go jeszcze raz na ziemię. Teraz postanowił zawrócić, odnaleźć najbliższą stację i spróbować dostać się do Londynu. Zaświtała mu w głowie wizja parującej wanny w klubie i siebie samego przy kominku w palarni opowiadającego, co mu się przydarzyło. To nie było co ująć cało z Belbury i Bractonu. Do tej pory wychodził cało z wielu opresji i wierzył w swoje szczęście.

W momencie podjęcia tej decyzji zszedł już kilka kroków w dół zbocza. Natychmiast zawrócił, by wspiąć się ponownie na szczyt wzgórza, lecz mimo wysiłków wciąż osuwał się w dół, jakby grunt pod nogami zamienił się w sypki żwir pokrywający zbocze stromej góry. Kiedy zdołał się w końcu zatrzymać, był już ze dwadzieścia pięć metrów niżej. Ponowił próbę. Tym razem natychmiast stracił równowagę i zaczął się toczyć po zboczu z coraz większą szybkością, pociągając za sobą lawinę kamieni, ziemi, wody i resztek trawy. Czuł się jak ktoś, kogo podczas spokojnej kąpieli porywa nagle potężna fala, tyle że była to fala ziemi. Jeszcze raz udało mu się stanąć na nogach i zwrócić twarz ku szczytowi wzgórza. Za nim dolina zdawała się przemieniać w piekło. Gruba warstwa mgły rozpalala się od wewnątrz oślepiającym fioletowym blaskiem. Dochodził stamtąd ryk wody, trzask pękających ścian, wycie tłumy. To, co było przed nim, już nie przypominało wzgórza. Znikły ślady drogi, żywopłot, uprawne pole, a zamiast nich piętrzyła się pod niebem stroma, ruchoma, rosnąca w oczach zaporą świeżej ziemi. W chwilę później ta ziemna fala uniosła się jeszcze wyżej, załamała na szczycie, zadygotała i runęła na niego całym swym ciężarem.

* * *

- Dlaczego Logres, panie Przewodniczący? - zapytała Camilla.

Było już po obiedzie i wszyscy siedzieli w jadalni wokół kominka, popijając wino. Jak przepowiedziała pani Dimble, mężczyźni spisali się w kuchni dzielnie. Dopiero, kiedy wszystko podali, a następnie posprzątaли ze stołu, przebrali się w odświętne stroje. Teraz wszyscy czuli się swobodnie, a każdy pysznił się swym wyglądem nieco odmiennie: Ransom po prawej stronie, w koronie; Grace Ironwood naprzeciw niego, cała w czerni i srebrze. Zrobiło się tak ciepło, że pozwalali, by ogień ledwo się tlił. W blasku świec ich dworskie stroje zdawały się płonąć własnym światłem.

- Powiedz im, Dimble - rzekł Ransom. - Od tej chwili nie będę już wiele mówił.

- Czy jest pan zmęczony? - zapytała Grace. - Bardzo pana boli?

- Nie, Grace, to nie to. Teraz, kiedy już nadchodzi czas mojego odejścia, wszystko zaczynam odbierać jak sen. Szczęśliwy, dobry sen, mimo wszystko, nawet mimo tego bólu. Chcę poznać smak każdej kropli. Czuję się tak, jakby to wszystko miało się rozwiązać, gdybym za dużo mówił.

- Czy na pewno musi pan odejść? - zapytała Ivy.

- A co innego mi pozostab, moja droga? Odkąd powróciłem z Perelandry, nie postarzałem się nawet o dzień. Nie mogę oczekiwać naturalnej śmierci. A tę ranę można uleczyć tylko tam, gdzie została zadana.

- To wszystko są ujemne strony niepodporządkowania się uznanym prawom natury - zauważył MacPhee.

- To wcale nie jest sprzeczne z prawami natury - odezwał się głos z kąta, w którym siedziała Grace Ironwood, prawie niewidoczna w cieniu. - Masz całkowitą rację, mówiąc, że praw wszechświata nie można złamać. Popelniasz błąd, jeśli owe drobne prawidłowości, obserwowane na jednej z planet od kilkuset lat, uważasz za prawdziwe, nienaruszalne prawa przyrody. To tylko odległe, mało istotne i nieco częściej spotykane skutki prawdziwych praw.

- Szekspir nigdy nie narusza prawdziwych praw poezji - wtrącił Dimble. - Będąc im posłuszny, przełamuje tu i ówdzie pewne przyzwyczajenia, które krytycy błędnie uważają za prawa. Nędzni krytycy nazywają to „licencją poetycką”, czyli przyzwoleniem. Ale to w żaden sposób nie pasuje do Szekspira.

- I właśnie dlatego - powiedział Denniston - nic w przyrodzie nie jest całkowicie prawidłowe. Zawsze są wyjątki. Dobra średnia jednolitość, ale nie dokładna.

- W polu mojej obserwacji nie zauważyłem wielu wyjątków od prawa śmierci - stwierdził MacPhee.

- A w jaki sposób - zapytała z naciskiem Grace - w jaki sposób, powtarzam, miałbyś się znaleźć przy wszystkich takich przypadkach? Czy byłeś przyjacielem Artura lub Barbarossy? Znałeś Enocha lub Eliasza?

- Czy chce pani powiedzieć - głos Jane lekko drżał - że Przewodniczący... Pendragon... ma odejść tam, dokąd oni odeszli?

- To pewne, że spotka się z Arturem - rzekł Dimble. - Czy z innymi, nie wiem. Są ludzie, którzy nigdy nie umarli. Na razie nie wiemy dlaczego. Niewiele więcej wiemy, jak to się stało. We wszechświecie... mówię o tym samym fizycznym wszechświecie, w którym poruszają się nasze planety... jest wiele miejsc, w których organizm może trwać niemal wiecznie. Wiemy, gdzie jest Artur.

- Gdzie? - zapytała Camilla.

- W Trzeciej Sferze, na Perelandrze. Na dalekiej wyspie Alfalinie, której potomkowie Tora i Tinidril nie odnajdą przez wiele stuleci. Może jest tam tylko on?... - Urwał i spojrzał na Ransoma, lecz ten potrząsnął głową.

- I tu właśnie pojawia się Logres, tak? - zapytała znowu Camilla. - Dlatego, że tam jest Artur?

Dimble milczał długo, przekładając z miejsca na miejsce nóż i widelec do owoców na swoim talerzu.

- To wszystko zaczęło się wówczas - zaczął - kiedy odkryliśmy, że opowieść o królu Arturze jest w większości prawdziwa. Był taki moment w szóstym wieku, kiedy to coś, co od dawna próbuje wdrzeć się do naszego kraju, prawie odniosło sukces. Daliśmy temu swoją nazwę, Logres... Nazwa równic dobra jak każda inna. A potem... stopniowo zaczęliśmy patrzeć na całą historię Anglii w nowy sposób. Odkryliśmy to nawiedzenie.

- Co za nawiedzenie? - zapytała Camilla.

- Zrozumieliśmy, że to, co można nazwać Brytanią, jest wciąż nawiedzane przez coś, co można nazwać Logresem. Czy nie zauważyliście, że na tej wyspie są jakby dwa kraje? Po każdym Arturze nadchodzi Mordred, za każdym Miltonem stoi Cromwell. Naród poetów, naród sklepikarzy, ojczyzna Sidneya... i ojczyzna Cecila Rhodesa. Czy można się dziwić, że nazywają nas hipokrytami? Ale to, co uznano za hipokryzję, jest naprawdę walką między Logresem i Brytanią.

Przerwał i upił nieco wina z kieliszka.

- Później - mówił dalej - w jakiś czas po tym, jak Przewodniczący wrócił z Trzeciej Strefy, dowiedzieliśmy się nieco więcej. Okazało się, że nawiedzano nas nie tylko spoza owej

niewidzialnej bariery. Ransom został wezwany do Cumberlandu, do łoża śmierci pewnego starca. Pominę jego nazwisko, bo i tak nic by wam nie powiedziało. Ważne jest to, iż był on Pendragonem, następcą Artura, Utera i Cassibelauna. Wtedy dowiedzieliśmy się prawdy. Przez te wszystkie lata w samym sercu Anglii wciąż istniało tajemnicze Logres: nieprzerwana sukcesja Pendragonów. Ten starzec był siedemdziesiątym ósmym następcą Artura. Nasz Przewodniczący przejął z jego rąk urząd i błogosławieństwo. Jutro albo jeszcze tej nocy poznamy osiemdziesiątego sukcesora. Niektórzy Pendragonowie byli osobami dobrze znanymi z historii, oczywiście nie pod tym imieniem. O innych nikt nigdy nie słyszał. Ale w każdej epoce właśnie oni, wraz z owym maleńkim Logresem, jak zawsze gromadzili wokół siebie, dawali impuls, czasem ledwo wyczuwalny, niezbędny do obudzenia Anglii z pijanego snu lub zapobieżenia ostatecznej hańbie, do jakiej kusił ją Brytania.

- Tej waszej nowej historii - przerwał mu MacPhee - trochę brakuje dokumentów.

- Jest ich wiele - odparł Dimble z uśmiechem. - Nie znasz języka, w którym są napisane. Kiedy historia ostatnich kilku miesięcy będzie zapisana w twoim języku, wydrukowana i nauczana w szkołach, nie będzie w niej wzmianki o tobie ani o mnie, o Merlinie, Pendragonie i planetach. A jednak właśnie w ciągu tych miesięcy Brytania zagroziła śmiertelnie Logresowi, a zwyciężona została naprawdę w ostatniej chwili.

- No cóż - mruknął MacPhee - może to i dobrze, że w tej historii nie pojawią się nasze nazwiska. Będę głęboko zobowiązany, jeśli ktoś mi wyjaśni, czego tu dokonaliśmy, oczywiście poza tuczeniem prosiąt i hodowaniem bardzo mizernych warzyw.

- Zrobiłeś to, czego od ciebie zażądano - odezwał się Przewodniczący. - Byłeś posłuszny i czekałeś. Tak będzie często się działo.

Jak powiedział jeden ze współczesnych autorów, oltarz trzeba często budować w jednym miejscu, aby ogień z niebios mógł spaść gdzie indziej. [Charles Williams w *He Comt Down front Heaven* (1938), rozdz. 2.] Nie wyciągaj jednak zbyt szybko wniosków. Zanim minie miesiąc, możesz jeszcze mieć wiele do roboty. Brytania przegrała bitwę, ale na pewno się odrodzi.

- A na razie mamy Anglię, tak? - zapytała Mama Dimble. - I miotamy się wciąż między Logresem a Brytanią?

- Tak - odpowiedział jej mąż. - Czy tego nie czujesz? To jest właśnie tożsamość Anglii. Jeśli mamy ośłą głowę, to dzięki wyprawie do zaczarowanego lasu. Usłyszeliśmy coś lepszego niż to, na co nas stać, ale nie potrafimy całkiem zapomnieć. Czy nie dostrzegasz tego we wszystkim, co angielskie... jakiegoś niezdarne wdzięku, jakiejś prostackiej, komicznej niedoskonałości, czegoś, co wciąż domaga się uzupełnienia? Jaką słuszność miał Sam Weller, gdy nazwał pana Pickwicka aniołem w kamaszach! Tu wszystko jest albo lepsze, albo gorsze od...

- Dimble! - przerwał mu Ransom.

Dimble, w którego głosie dało się odczuć roznamietnienie, zamilkł i spojrzął na niego. Zawahał się i chyba zaczerwienił (tak przynajmniej wydawało się Jane), zanim przemówił ponownie.

- Ma pan rację - powiedział z uśmiechem. - Zapomniałem o tym, o czym mi pan radził zawsze pamiętać. To nawiedzenie nie jest naszą specjalnością. Anglia nie jest jakoś specjalnie uprzywilejowana pod tym względem, nie ma mowy o jakimś nonsensownym narodzie wybranym. Mówimy o Logresie, bo mówimy o tym, co nawiedza nasz dom, o tym, co sami znamy.

- To wszystko - odezwał się MacPhee - wydaje mi się bardzo okrężnym sposobem stwierdzenia, iż wszędzie istnieją ludzie dobrzy i źli.

- Wcale nie mówię o tym - odparł Dimble. - Widzi pan, MacPhee, jeśli ktoś myśli po prostu o dobroci, abstrakcyjnie, to wkrótce dojdzie do fatalnej idei standaryzacji: jakiegoś wymyślnego, wspólnego wszystkim rodzajowi życia, do którego powinny dążyć wszystkie narody. Oczywiście są

pewne uniwersalne zasady, którym musi podlegać każde dobro. Ale to tylko gramatyka cnoty. To jeszcze nie wszystko. Bóg nie stwarza dwu jednakowych źdźbeł trawy, a co dopiero dwu jednakowych świętych, dwóch narodów, dwóch aniołów. Uzdrawienie Tellusa zależy od rozniecenia tej jednej małej iskierki, od wcielenia tego ducha, który wciąż żyje w każdym prawdziwym narodzie, i w każdym jest inny. Kiedy Logres naprawdę zapanuje nad Brytanią, kiedy bogini rozumu, boska jasność, naprawdę zasiądzie na tronie Francji, kiedy niebiański porządek będzie naprawdę przestrzegany w Chinach, wtedy, dopiero wtedy nastanie wiosna. Tymczasem jednak zajmijmy się naszym Logresem. Zmusiliśmy Brytanię do odwrotu, ale któż wie na jak długo? Edgestow nigdy już nie podźwignie się z ruiny, jaką stało się tej nocy. Będą jednak inne takie miejsca.

- Chciałabym zapytać o Edgestow - odezwała się Mama Dimble. - Czy Merlin i eldile nie załatwili tego trochę... no, powiedzmy... zbyt hurtowo? Czy całe Edgestow zasługiwało na zagładę?

- Kogo pani żałuje? - zapytał MacPhee. - Tej skorumpowanej rady miejskiej, której członkowie sprzedaliby własne żony i córki, byleby tylko sprowadzić NIBS do Edgestow?

- Cóż, o nich wiem niewiele. Ale był uniwersytet. No, nawet samo Bracton College. Tak, wszyscy wiemy, że to było okropne kolegium. Ale czy oni naprawdę wyrządzali tak wielkie szkody tymi swoimi denerwującymi, lecz w końcu drobnymi intrygami? Czy to wszystkonię było bardziej głupie niż złe?

- No tak - zakpił MacPhee. - Oni się tylko bawili. Kocięta, którym pozwolono udawać tygrysy. Tyle że skorzystał z tego prawdziwy tygrys i zabawa skończyła się wpuszczeniem go do środka. Nie mają powodu do uskarżania się, skoro myśliwy przy okazji naładował również i ich kiszki ołowiem. To ich nauczy, że nie należy przebywać w złym towarzystwie.

- Ale byli przecież członkowie innych kolegiów. A Northumberland, a Duke's College?

- Wiem, wiem - powiedział Denniston. - Można żałować takich ludzi jak Churchwood. Dobrze go znałem. To był bardzo miły staruszek. Wszystkie wykłady poświęcał wykazywaniu bezsensowności etyki, chociaż w prywatnym życiu przeszedłby dziesięć mil, aby oddać groszowy dług. Ale jednocześnie... czy możecie wymienić choćby jedną doktrynę praktykowaną w Belbury, której by nie głoszone z jakiejś katedry w Edgestow? Och tak, oczywiście cie, nikomu nie przyszło do głowy, że ktokolwiek mógłby postępować zgodnie z tymi teoriami! Nikt bardziej od nich nie dziwił się, kiedy to, o czym przez całe lata rozprawiali, nagle stał się rzeczywistością. Ale w końcu był to powrót ich własnego dziecka, już dorosłego i trudnego do rozpoznania, ale przecież wciąż ich dziecka.

- Niestety, chyba masz rację - powiedział Dimble. - *Trahison des clercs*. [Zdrada klerków, tytuł dzieła Juliana Bandy (1867-1956), w którym oskarża on wykształcone warstwy o zdrady ideałów Oświecenia i przyzwolenie na nacjonalizm i irracjonalizm.] Nikt z nas nie jest bez winy.

- Cecilu, to przecież nonsens - powiedziała pani Dimble.

- Zapominacie o tym - wtrąciła Grace - że prawie wszyscy prócz bardzo złych i bardzo dobrych, którzy i tak dojrżeli do sprawiedliwego spoczynku, już wcześniej opuścili Edgestow. Ale zgadzam się z Arturem. Ci, którzy zapominają o Logresie, pogrążają się w Brytanii. Ci, którzy wzywają nonsensu, w końcu doczekają się jego nadejścia.

Przerwał jej jakiś hałas. W ciszy, która zapadła, dało się słyszeć drapanie i popiskiwanie.

- Otwórz drzwi, Arturze - rzekł Ransom.

W chwilę później wszyscy zerwali się na nogi, witając okrzykami powrót Pana Bultitude.

- Och, naprawdę! - zawołała Ivy. - Biedactwo! Wezmę go do kuchni i dam coś do zjedzenia. Gdzie się włoczyłeś, niedobry misiu?

No i popatrz, co ty z siebie zrobiłeś?

* * *

Po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut pociąg szarpnął gwałtownie i stanął. Tym razem zgasły również wszystkie światła.

- To naprawdę robi się nie do zniesienia - powiedział ktoś w ciemności.

Czwórka pozostałych pasażerów przedziału rozpoznała po głosie wszytkowiedzącego jegomościa, który już zdążył udzielić każdemu informacji, gdzie powinien się przesiąść i dlaczego teraz przejeżdża się przez Sterk, omijając Stratford, i kto tak naprawdę rządzi tą linią kolejową.

- Dla mnie to poważna sprawa - powiedział ten sam głos. Powiniennem już być w Edgestow.

Właściciel głosu wstał, otworzył okno i spojrzął w ciemność, ale po chwili jeden z pasażerów zaczął się uskarżać na zimno, więc zamknął okno i usiadł.

- Stoimy tu już dziesięć minut - powiedział.

- Bardzo przepraszam, ale dwanaście - odezwał się inny pasażer.

Pociąg wciąż stał. Z sąsiedniego przedziału dobiegły głosy dwóch kłócących się mężczyzn, a potem znowu zaległa cisza.

Nagle silny wstrząs rzucił wszystkich na siebie w ciemności. Sprawiało to wrażenie, jakby maszynista nieumiejętnie zahamował pociąg jadący z dużą prędkością.

- Co to, do diabła, było? - zapytał ktoś.

- Trzeba otworzyć drzwi.

- To jakaś kolizja czy co?

- Wszystko w porządku - powiedział wszytkowiedzący pasażer tubalnym, spokojnym głosem. - Doczepili nową lokomotywę. I zrobili to bardzo nieumiejętnie. Ostatnio zatrudnili wielu nowych maszynistów.

- Hej, jedziemy! - odezwał się ktoś inny. Pociąg powoli ruszył, zacinając się w biegu.

- Musi się rozpędzić - powiedział ktoś.

- Och, zaraz zobaczycie, że zacznie nadrabiać opóźnienie - oświadczył wszytkowiedzący pasażer.

- Ale dobrze by było, żeby znowu zapalili światło - odezwał się kobiecy głos.

- Wcale nie przyspiesza - zauważył ktoś inny.

- Zwalniamy. Do cholery, znowu stajemy?

- Nie, wciąż jedziemy, ale... och!

Jeszcze jeden wstrząs, silniejszy od ostatniego, zwałił jednych na podłogę, a innych wcisnął boleśnie w oparcia. Przez blisko minutę cały wagon kołysał się i podskakiwał z okropnym zgrzytem.

- To oburzające! - zawołał wszytkowiedzący, otwierając okno. Jakaś ciemna postać wymachująca latarką przeszła obok wagonu.

- Hej! Panie wagonowy! Panie strażniku!

- Już wszystko w porządku, proszę państwa, proszę zajmować miejsca! - odkrzyknęła ciemna postać.

- Dość już tego zimnego powietrza, proszę pana - odezwał się pasażer siedzący przy oknie.

- Przed nami jest jakieś światło - oznajmił wszechwiedzący.

- Sygnał stop? - zapytał ktoś.

- Nie. To zupełnie coś innego. Całe niebo jest rozświetlone. Jak luna albo reflektory.

- Jeszcze jeden wstrząs, po którym usłyszeli z oddali jakiś złowieszczy hałas. Pociąg znowu ruszył, wciąż bardzo powoli, jakby maszynista nie był pewien, co jest przed nim.

- Zrobię z tego sprawę - oświadczył wszechwiedzący. - To skandal.

Po półgodzinie za oknem pojawił się oświetlony peron Sterku.

- Mówi zawiadowca stacji - rozległ się głos. - Prosimy podróżnych o pozostanie na miejscach i wysłuchanie ważnego komunikatu. Słabe trzęsienie ziemi i powódź uszkodziły linię kolejową do Edgestow, czyniąc ją nieprzejezdną. Brak bliższych informacji. Pasażerowie udający się do Edgestow proszeni są...

Dobrze poinformowany pasażer, którym był Curry, pospiesznie opuścił przedział. Należał do ludzi znających wszystkich urzędników i parę minut później grzał się już przy piecyku w biurze zawiadowcy stacji, dopytując się o bliższe informacje na temat kataklizmu.

- Nie mamy jeszcze dokładnych informacji, panie Curry - mówił kolejarz. - Od godziny nie tędy nie przejechało. Ale jest niedobrze, bardzo niedobrze. Starają się nie wywołać paniki, ale jest źle.

Z tego, co słyszałem, jeszcze nigdy w Anglii nie było takiego trzęsienia ziemi. Wylały rzeki. Nie, proszę pana, obawiam się, że po Bracton College nie pozostało ani śladu. Ta cała część miasta zapadła się prawie od razu. Nie znamy jeszcze liczby ofiar. Jakie to szczęście, że w zeszłym tygodniu wyciągnąłem z miasta moje go starego.

W późniejszych latach Curry zawsze wspominał tę chwilę jako punkt zwrotny w swoim życiu. Do tego czasu nie należał do ludzi wierzących. Kiedy jednak usłyszał o zagładzie Bractonu, pierwszym słowem, jakie pojawiło się w jego świadomości, było słowo „Opatrzność”. Bo jak to inaczej nazwać? Niewiele brakowało, a wsiadłby do wcześniejszego pociągu, a wówczas... Całe kolegium starte z powierzchni ziemi! Trzeba je będzie odbudować. Będzie potrzebny nowy komplet członków, nowy rektor. Czyż można tego nie uznać za palec Opatrzności, jeśli z zagłady ratuje się jakaś jedna odpowiedzialna osoba? Oczywiście, to nie mogą być zwykłe wybory. Prawdopodobnie wizytator kolegium (czyli sam lord kanclerz) będzie musiał mianować nowego dyrektora, a następnie, w porozumieniu z nim, kilku nowych członków kolegium. Im bardziej nad tym rozmyślał, tym bardziej upewniał się w przekonaniu, że cały przyszły kształt kolegium zależy od tej jednej osoby, która przeżyła. To niemal tak, jakby był drugim założycielem. Opatrzność... Nic, tylko Opatrzność. W wyobraźni już widział portret tego drugiego założyciela w nowo wybudowanej auli, jego pomnik na nowym wewnętrznym dziedzińcu, długi, bardzo długi rozdział poświęcony mu w historii kolegium. I bez najmniejszej hipokryzji, posłuszny obyczajom i swojemu instynktowi, wyprostował ramiona, spojrział na świat z błyskiem niewzruszonej powagi i nastroszył brwi - jak można się było tego spodziewać po człowieku, który usłyszał takie nowiny. Kolejarz był zbudowany jego reakcją „Widać było, że się bardzo przejął”, mówił później. „Ale zniósł to mężnie. To dzielny staruszek”.

- Kiedy będzie następny pociąg do Londynu? - zapytał Curry. - Muszę tam być z samego rana.

* * *

Ivy Maggs, jak pamiętamy, opuściła jadalnię, żeby nakarmić Pana Bultitude'a w kuchni. Dlatego wszystkich zaskoczyło, gdy wróciła po niecałej minucie z osłupiałą twarzą.

- Och, chodźcie tam szybko! - wysapała. - Chodźcie!

W kuchni jest niedźwiedź.

- Niedźwiedź? - powtórzył Ransom. - Ale to chyba oczywiste, że...

- Och nie, nie chodzi mi o Pana Bultitude'a! Tam jest inny niedźwiedź.

- Naprawdę?!

- Zjadł całą resztę gęsi, a teraz leży przy stole i pożera wszystko, co mu się nawinie pod łapę,

miotając się od półmiska do półmiska i przy okazji tłukąc całą zastawę. Och, chodźcie tam, szybko!

- Ivy, a co na to Pan Bultitude?

- No właśnie, chciałabym, żeby ktoś to zobaczył. On wyprawia coś okropnego, proszę pana. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Najpierw chodził po kuchni w taki sposób, jakby... jakby tańczył, w każdym razie na pewno mu się zdawało, że tańczy. Ale później... wszedł na kredens, stanął na tylnych łapach, wydając z siebie najokropniejsze dźwięki... jakieś piski... i wbił sobie na głowę wieniec cebuli... i naprawdę, nie jestem w stanie nic z nim zrobić, naprawdę.

- To bardzo dziwne zachowanie. Czy nie sądzisz, moja ciroga, że ten przybysz może być niedźwiedzicą?

- Och, niech pan nie mówi! - zawołała Ivy z głęboką odrazą.

- Myślę, że to prawda, Ivy. Podejrzewam, że to właśnie jest przyszłość Pana Bultitude'a.

- To będzie terażniejszość Pana Bultitude'a, jeśli będziemy dłużej tu siedzieć i gadać - odezwał się MacPhee.

- No i co my teraz zrobimy? - zapytała Ivy.

- Jestem pewien, że Pan Bultitude poradzi sobie w tej sytuacji - rzekł Przewodniczący. - Na razie ta dama sobie podjada. *Sine Cerere et Baccho*, [Fragment łacińskiego powiedzenia zaczerpniętego z pism Terencjusza: „Bez Ceres i Bachusa Wenus oziębnie”, tzn. „Bez jedzenia i picia miłość oziębnie”.] Dimble.

- Bez wątpienia, bez wątpienia - zgodził się MacPhee. - Byle nie w naszej kuchni.

- Ivy, moje dziecko - rzekł Ransom - musisz być stanowcza. Idź do kuchni i powiedz tej niedźwiedzicy, że chcę się z nią zobaczyć. Nie będziesz się bała, prawda?

- Bała? Nie ja. Zaraz jej pokażę, kto tu rządzi. I musi do tego przywyknąć.

- Co się dzieje z tym gawronem? - zapytał Dimble.

- Chyba chce wylecieć na dwór - odrzekł Denniston. - Mam otworzyć okno?

- I tak jest ciepło, więc możemy mieć okno otwarte - powiedział Przewodniczący.

Gdy otworzyli okno, gawron skoczył na parapet i za chwilę rozległy się stamtąd ożywione ćwierkania.

- Jeszcze jedna miłosna afera - powiedziała pani Dimble. To brzmi tak, jakby Jack znalazł swoją Jill... Cóż za wspaniała noc!

Zasłony wzdęły się i lekko uniosły w otwartym oknie, a do pokoju napłynęła cała świeżość letniej nocy. Z oddali dobiegło rzenie konia.

- Hej! - zawołał Denniston. - Nasza stara klacz też jest podniecona.

- Ciiicho! Posłuchajcie! - powiedziała Jane.

- To jakiś inny koń - stwierdził Denniston.

- To ogier - dodała Camilla.

- To się robi naprawdę nieprzyzwoite - oświadczył MacPhee z naciskiem.

- Przeciwnie - rzekł Ransom. - To jest przyzwoite, w dawnym znaczeniu tego słowa. A po łacinie wychodzi to jeszcze wyraźniej: *decens* znaczy i przyzwoita, i urocza, powabna. Urocza Wenus jest nad St Anne's.

- Zbliżyła się do Ziemi bardziej, niż miała to w zwyczaju [Niedosłowny cytat z *Otella*, V. 2, 113-1 14, gdzie Szekspir mówi o Księżycu.] - zacytował Dimble - aby doprowadzić ludzi do szaleństwa.

- Jest rzeczywiś cie bliżej, niżby się śniło jakimukolwiek astronomowi - powiedział Ransom. - Zadanie zostało wykonane, inni bogowie odeszli. A Wenus czeka. Kiedy powró ci do swojej sfery, będę jej towarzyszył.

Nagle w półmroku rozległ się ostry krzyk pani Dimble:

- Ojej! Uwaga! Cecil! Och, wybaczcie mi. Nigdy nie przyzwyczaję się do nietoperzy. Wkręca mi się we włosy!

Dwa nietoperze przelatywały nad świecznikami, popiskując cicho. Ich ruchliwe cienie sprawiały wrażenie, jakby nietoperzy było dwa razy więcej.

- Powinniście już iść, Margaret - powiedział Przewodniczący.

- Ty i Cecil. Wkrótce mnie tu nie będzie. Darujmy sobie długie pożegnania.

- Chyba naprawdę muszę iść - powiedziała Mama Dimble.

- Nie znoszę nietoperzy.

- Podnieś ją na duchu, Cecilu - rzekł Ransom. - Nie, nie zostawaj. Te pożegnania zawsze są takie głupie. Nie są ani radosne, ani smutne.

- Mam odejść? - zapytał Dimble.

- Idźcie, moi kochani przyjaciele. *Urendi Maleldil*.

Dotknął ręką ich głów. Cecil podał ramię żonie i oboje opuścili pokój.

- Proszę, oto ona - rozległ się po chwili głos Ivy, która weszła cała rozpromieniona i zaczerwieniona, prowadząc niedźwiedzicę z pyskiem białym od twaróżku i policzkami umazanymi dżemem agrestowym. - I... och, proszę pana...

- O co chodzi, Ivy?

- Pan wie, chodzi o mojego biednego Toma. O mojego męża. Jeśli pan nie ma nic przeciw temu, to...

- Mam nadzieję, że dałaś mu coś do jedzenia i picia?

- No... tak, dałam. Dałam mu trochę pasztetu i pikli... zawsze strasznie lubił pikle... trochę sera i butelkę portera i nastawiłam imbryk, żebyśmy mogli... żeby mu dać kubek dobrej herbaty. Bardzo się cieszy... i powiedział.. to znaczy, pyta się czy nie miałby pan nic przeciw temu, żeby on tu nie przychodził i nie musiał się witać... bo on nigdy nie przepadał za towarzystwem, jeśli pan wie, o co mi chodzi... Przez cały czas niedźwiedzica stała nieruchomo z oczami utkwionymi w Ransomie. Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po płaskim łbie.

- *Urendi Maleldil!* - powiedział. - Dobrze z ciebie zwierzę. Idź do swego towarzysza... ale oto i on!

Uchylone dotąd drzwi rozwarły się szeroko, ukazując nieco zaniepokojony pysk Pana Bultitude'a.

- Weź ją, Bultitude. Ale nie tu, nie w domu. Jane, otwórz drugie okno, to weneckie. Noc zupełnie jak w sierpniu.

Otworzono szeroko okno i para niedźwiedzi pograżyła się ochoczo w ciepłe i wilgocie ogrodu. Wszyscy zauważyli, że zrobiło się jaśniej.

- Czy te ptaki powariowały, że śpiewają na kwadrans przed północą? - zapytał MacPhee.

- Nie - odrzekł Ransom. - Są zupełnie zdrowe. No, Ivy, widzę, że chcesz iść i porozmawiać ze swoim mężem. Mama Dimble umieściła was w tym małym pokoju w połowie schodów, nie w Stróżówce.

- Och, proszę pana... - zaczęła Ivy i urwała.

Przewodniczący wychylił się do przodu i położył rękę na jej głowie.

- No, przecież chcesz do niego iść, prawda? Nie miał jeszcze zbyt wiele czasu, żeby ci się przyjrzeć w tej nowej sukni. Nie chcesz go pocałować? - dodał, całując ją w czoło. - Więc chociaż ucałuj go ode mnie. No, nie pącz. Idź i ulecz tego mężczyznę. *Urendi Maleldil*. Jeszcze się kiedyś spotkamy.

- Co tam znowu tak piszczy i kwiczy? - odezwał się MacPhee.

- Mam nadzieję, że to nie prosięta. Przy tym domu i w ogrodzie jest tyle roboty, że wolałbym

nie mieć nowych kłopotów.

- To chyba jeże - powiedziała Grace Ironwood.

- Dałabym głowę, że ten ostatni pisk dobiegł gdzieś z domu - powiedziała Jane.

- Posłuchajcie! - rzekł Ransom i przez chwilę wszyscy nasłuchiwali. - Ach, to tylko myszy za boazerią - dodał z uśmiechem.

- Tam też trwa zabawa. *So geht es in Snutzeputzhdusel da singen und tanzen die Mausel!* [„I tak to jest w tancbudzie, gdzie śpiewają i tańczą myszki” [dziewczynki], z XVIII-wiecznej ludowej pieśni bawarskiej.]

- Wyrażę przypuszczenie - oświadczył oschle MacPhee - iż możemy uważać się za szczęśliwych, skoro żadne żyrafy, hipopotamy, słonie i inne podobne stworzenia nie znalazły tu dotąd... Wielki Boże, a cóż to znowu?!

Bo gdy mówił, spomiędzy zasłon wysunęła się długa, szara trąba i sięgnęła po wiązkę bananów ze stołu.

- W imię piekła samego, skąd te wszystkie zwierzęta tu przyłazą? - zapytał.

- To uwolnieni więźniowie z Belbury - odrzekł Ransom. - Zbliżyła się do Ziemi bardziej, niż miała to w zwyczaju. Perełandra jest wokół nas i ludzie nie są już osamotnieni. Teraz jesteśmy tacy, jakimi powinniśmy być: między aniołami, które są naszymi starszymi braćmi, i zwierzętami, które są naszymi brzoźkami, sługami i towarzyszami zabaw.

Odpowiedź pana MacPhee utonęła w ogłuszającym ryku zza okna.

- Słonie! Dwa słonie! - jęknęła Jane. - Och, nasze selery! I rabaty z różami!

- Za pozwoleniem, panie Przewodniczący - powiedział MacPhee chłodnym tonem - ale chyba będzie lepiej, jak zaciągnę te zasłony. Chyba pan zapomniał, że w pokoju są panie.

- Nie - rozległ się mocny głos Grace Ironwood. - Nie zobaczymy tam nic zdrożnego. Rozsuń je szerzej. Jak jasno! Jaśniej niż w pełni księżyca, prawie jaśniej niż w dzień. Spójrzcie! Nad całym ogrodem unosi się wielka kopuła blasku. Patrzcie! Te słonie tańczą! Jak śmiesznie podnoszą nogi! I jak krążą! Och, jakie są uroczyście! To prawdziwy menuet olbrzymów. Nie wyglądają jak zwierzęta, raczej jak jakieś dobre demony.

- Odchodzą - powiedziała Camilla.

- Chcą zachować intymność, jak ludzie, którzy się kochają - zauważył Przewodniczący. - To nie są zwykłe zwierzęta.

- Myślę, że powinienem pójść do mojego biura i podsumować parę rachunków - rzekł MacPhee. - W końcu dobrze będzie, jeśli przynajmniej jedna osoba w tym domu nie straci gbowy, bo wy wszyscy chyba powariowaliście. Dobrej nocy, miłe panie.

- Do widzenia, MacPhee - powiedział Ransom.

- Nie, nie - odparł MacPhee. Stał od Ransoma dość daleko, lecz wyciągnął rękę. - Nie będzie pan nade mną szeptał żadnego z tych swoich błogosławieństw. Jeśli kiedyś zbliżę się do religii, będzie to coś innego. Mój wuj był moderatorem Zgromadzenia Ogólnego Prezbiterianów. Ale oto moja dłoń. To, co pan i ja razem widzieliśmy... zresztą dajmy temu spokój. I powiem panu, doktorze Ransom, że przy wszystkich pana błędach... a spośród wszystkich żywych ludzi ja znam je najlepiej... jest pan, ogólnie rzecz biorąc, najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znam albo o jakim kiedykolwiek słyszałem. Pan... pan i ja... ale dość, widzę, że panie płaczą. Już odchodzę. Nie trzeba tego przedłużać. Niech pana Bóg błogosławi, doktorze Ransom. A paniom życzę dobrej nocy.

- Otwórzcie wszystkie okna - rzekł Ransom. - Pojazd, którym będę podróżował, jest już prawie w atmosferze naszego świata.

- Robi się coraz jaśniej - zauważył Denniston.

- Czy możemy być z panem do samego końca? - zapytała Jane.
- Ty, moje dziecko, nie powinnaś pozostawać tak długo.
- Dlaczego?
- Ktoś na ciebie czeka.
- Na mnie?
- Tak. Twój mąż oczekuje ciebie w domku przy furtce. Przygotowałaś swoją własną komnatę małżeńską. Nie chcesz do niego pójść?
- Ale... czy muszę iść teraz?
- Jeśli pozostawiasz decyzję mnie, to posyłam cię do niego właśnie teraz.
- A więc pójdę. Ale... ale... czy ja jestem niedźwiedzicą albo jeżem?
- Czymś więcej. Ale nie czymś mniej. Idź. Bądź posłuszna, a odnajdziesz miłość. Nie będziesz już miała tych snów. Obyś zamiast nich miała dzieci. *Urendi Maleldil.*

* * *

Na długo przedtem zanim doszedł do St Anne's, Mark usławił sobie, że albo on sam, albo świat wokół niego jest w dziwnym stanie. Wędrówka zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał, musiał chyba raz czy dwa zabłądzić. O wiele trudniejsza do wyjaśnienia była upiorna łuna na zachodzie, nad Edgestow, a także ustawiczne dygotanie i osuwanie się ziemi. Potem nastąpiło gwałtowne ocieplenie i wokoło płynęły potoki szybko topniejącego śniegu. Powietrze wypełniała gęsta mgła. Łuna na zachodzie znikła, natomiast jasność zaczęła przeświecać przez mgłę nad nim, jakby jakaś fantastyczna kopuła światła zawisła nad celem jego wędrówki - nad St Anne's. Miał też wrażenie, że wokół niego prześlizgują się we mgle dziwne kształty o bardzo różnych rozmiarach. Podejrzewał, że to jakieś zwierzęta. Może to wszystko było snem, może nadszedł koniec świata, a może już umarł? Pomimo tych wszystkich niezrozumiałych wrażeń czuł się jednak nadspodziewanie dobrze. Jeśli nawet pogodził się z łatwym wnioskiem, że coś jest nie w porządku z jego umysłem, to jego ciało tryskało młodzieńczą energią. Nie zastanawiał się, dlaczego źródłem przepelniającej go siły, młodości i radości wydawała się owa mglista poświata nad wzgórzem. I szedł naprzód, nie zawahawszy się ani przez chwilę.

Rozmyślał nad czym innym. Zdawał sobie jasno sprawę, że zmierza ku spotkaniu z Jane, i zaczęło się z nim dziać coś, co powinno było zdarzyć się wcześniej. To samo laboratoryjne podejście do miłości, które spowodowało, że Jane nie mogła się pogodzić z pokorą w małżeństwie, nie pozwoliło mu rozwinąć w sobie pokory kochanka już w okresie narzeczeństwa. Nawet jeśli w jakimś przebłysku mądrości obudziło się w nim poczucie „piękności zbyt dla nas bogatej, dla ziemi zbyt cennej”, [W. Szekspir, *Romeo i Julia*, 1. 5, 47.] odrzucał je ze wzgardą. Uleganie fałszywym teoriom, prozaicznym i fantazyjnym zarazem, sprawiło, że uważał je za jakiś przemijający nastrój - zbyt wzniosły, nierealistyczny i staroświecki. Teraz, kiedy już było za późno, kiedy wszystkie względy zostały już rozdane i roztrwonione, ogarnął go nieoczekiwany lęk. Próbował się z tego otrząsnąć. Byli przecież małżeństwem. Byli rozsądnymi, nowoczesnymi ludźmi. Cóż mogło być bardziej naturalne, bardziej zwyczajne?

Lecz wówczas pojawiły się w jego wyobraźni wszystkie momenty niezapomnianych zawodów i niepowodzeń, jakich nie brakowało w ich krótkim małżeństwie. Dotychczas często myślał o tym, co nazywał jej „nastrojami”. Teraz pomyślał wreszcie o swoim własnym niezdarnym natręctwie i dokuczliwości. I już nie mógł się od tej myśli uwolnić. Stopniowo ujawniał się przed jego niechętnym krytycznym spojrzeniem gbur, błazen i prostak, jakim w rzeczywistości był wobec niej: nieokielznany samiec ze stwardniałymi rękami i policzkami jak befsztyki, w podkutych ćwiekami

butach, nie wdzierający się - bo z tym mogłyby sobie poradzić - ale wkraczający leniwym krokiem w rejony, w które nie odważyliby się zapuścić wielcy kochankowie, rycerze i poeci. Ujrzał w wyobraźni skórę Jane, tak gładką, tak białą (a w każdym razie tak ją sobie teraz wyobrażał), że pocałunek dziecka mógłby pozostawić na niej ślad. Jak śmiał? Jej niedosięta czystość, jej nieskazitelność, wdzięk wszystkich jej ruchów... jak śmiał? A śmiał bez poczucia, że śmie, z idiotyczną nonszalancją, jak bez troski głupiec! Już same jej myśli, jakie od czasu do czasu znaczyły jej twarz (gdyby tylko jego tępota nie wzbraniała mu tego dostrzec) tkwały wokół niej zasłone, której tacy jak on nie powinni nigdy zuchwale rozdzierać. Tak, tak, oczywiście, to ona pozwałała mu przez nią przejść, być może z nieszczęsnej, błędnie pojętej litości. A on jak łajdak wykorzystywał jej szlachetny błąd, czuł się jak u siebie w domu w tym otoczonym murem ogrodzie, a nawet zachowywał się, jakby był jego właścicielem.

Wszystkie te refleksje mogłyby w normalnych warunkach budzić pewne onieśmienie i radość, lecz teraz rodziły udrękę, ponieważ przychodziły za późno. Odkrywał żywoplot, kiedy już zerwał różę, ba, nie tylko zerwał, ale porwał na kawałeczki i zgniótł w swoich gorących, tępych paluchach. Jak śmiał? I kto spośród tych, którzy to wszystko dostrzegali, mógł mu wybaczyć? Kim był w oczach jej przyjaciół? Kiedy o tym pomyślał - samotny we mgle - poczuł, że oblewa go fala gorąca.

Słowo „pani” nie istniało w jego słowniku; mogło się pojawiać jedynie w pozbawionym znaczenia zwrocie grzecznościowym albo jako kpina.

No cóż, uwolni ją od siebie, a ona odetchnie z ulgą, kiedy się go pozbędzie. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wyobraził sobie nieskazitelne panie w eleganckim salonie, rozmawiające z dystyngowanym chłodem, przeplatające subtelną powagę srebrzystym śmiechem. Czyż mogłyby nie odczuwać ulgi po odejściu intruza, zbyt hałaśliwego lub bełkocącego prostaka, którego właściwe miejsce jest w stajni? Co by robił w takim salonie, gdzie jego komplementy mogłyby brzmieć jak zniewagi, a jego żalosne próby udawania powagi lub wesołości mogłyby ujawniać tylko jego tępotę? To, co kiedyś nazywał jej chłodem, wydało mu się teraz jej cierpliwością. "Wobec czego? Wyłączył wyobraźnię. Bo teraz naprawdę ją kochał. Lecz wszystko już zepsuł, było za późno, by zabrać się do naprawy.

Nagle rozproszone światło rozjarzyło się i nasyciło czerwienią. Zmrużył oczy i dostrzegł przed sobą furtkę w murze, a w niej stojącą wielką kobietę. Ale to nie była Jane. Była od niej o wiele wyższa... wręcz olbrzymia... To w ogóle nie mogła być kobieta, chociaż była do kobiety podobna, półnaga, do piersi owinięta tkaniną o barwie ognia. Bilo z niej światło. Twarz miała zagadkową, wydało mu się, że nawet bezwzględna, nieludzko piękną. Otwierała przed nim drzwi. Nie śmiał jej odmówić. („To oczywiście, musiałem umrzeć”, pomyślał). Wszedł i znalazł się w jakimś zacisznym miejscu, pełnym słodkich zapachów, blasku świec, jedzenia, wina. Zobaczył też bogato zasłane łóżce.

* * *

A Jane wyszła z wielkiego domu z pocałunkiem Ransoma na ustach i jego sówkami w uszach. Wkroczyła w niemal płynną światłość i nadnaturalne ciepło ogrodu, szła po wilgotnej murawie (wszędzie było mnóstwo ptaków), mijając huśtawkę, cieplarnię i chlewy, ciągle w dół, do domku przy murze, zstępując po szczeblach pokory. Najpierw myślała o Przewodniczącym, potem o Maleldilu. Później o dzieciach, o bólu i o śmierci. I wreszcie pomyślała o Marku, o wszystkich jego cierpieniach. Doszła do domku i zatrzymała się zaskoczona, bo okna były ciemne, a drzwi zamknięte. Dotknęła ręką klamki i zawahała się. A jeśli Mark już jej nie zechce - ani tej nocy, ani

żadnej innej, ani w tym sensie, ani w innym? A jeśli mimo wszystko nie ma go tutaj? Kiedy to pomyślała, poczuła dziwną pustkę - i nie wiadomo, czy była to pustka ulgi, czy rozczarowania. Zamarła z ręką na klamce. Potem spostrzegła otwarte okno. Na krześle stojącym blisko okna piętrzyły się ubrania rzucone tak bez troski, że leżące na samej górze sięgały parapetu: rękaw koszuli - koszuli Marka - zwisał na zewnątrz. A przecież jest tak mokro... Jakże to podobne do Marka!

Trudno się dziwić, że natychmiast weszła do środka.